

ALEKSANDER DUMAS

JÓZEF BALSAMO

tłum. Leon Rogalski

PROLOG GÓRA GRZMOTÓW

Na lewym brzegu Renu, kilka mil od cesarskiego miasta Wormacji, w pobliżu źródeł niewielkiej rzeczki Selz rozpoczyna się pasmo gór, których najeżone wierzchołki zdają się bieć ku północy niby spłoszone stado bawołów niknące we mgle.

Góry te panują nad okolicą prawie pustą, a nazwy biorą bądź od kształtów, jakie przypominają, bądź od legend, jakie są z nimi związane. Jest więc tu i „Krzeseł Królewskie” i „Góra Dzikich Róż”, jest „Skala Sokolów” i „Szczyt Wężowy”. Na granitowym wierzchołku najwyższej z nich — zwanej „Górą Grzmotów” — znajdują się prastare ruiny.

Kiedy wieczór pogłębia cienie dębów, a ostatnie promienie zachodzącego słońca złocą wierzchołki olbrzymów, rzekłbyś, że cisza zstępuje z wysokości nieba w dolinę, że jakaś niewidzialna a wszechmocna ręka rozwiesza ponad znużonym światem błękitnawy welon . usiany gwiazdami. I wtedy wszystko zwolna ucicha, wszystko zasypia powoli na ziemi i w powietrzu.

Pośród tej uroczystej ciszy tylko rzeczka Selz, czyli Selzbach, jak ją nazywają- okoliczni mieszkańcy, płynie niestrudzona w cieniu nadbrzeżnych jodeł. Ani dzień, ani noc nie powstrzymują jej biegu, jej przeznaczeniem jest Ren, jej dno jest czyste, trzciny giętkie, głązy tak szczerze otulone miękkimi mchami i porostami, że fale nie zakłócają ciszy jej doliny — od źródeł w Morsheim aż do Freiwehheim, gdzie kończy swój bieg.

Nieco powyżej źródeł, od Albisheim do Kircheim-Poland, wije się wyboista droga wyłobiona między skałami. Poza Danenfels droga ta zmienia się w wąską ścieżynę i niknie u stóp Góry Grzmotów.

Kiedy podróżny, niewidoczny z doliny nawet w biały dzień, przejeżdża tędy wśród gęstych dębów na koniu obwieszonym dzwoneczkami jak muł hiszpański, to nie słychać dźwięku dzwoneczków; nie widać też ozdób na koniu, ponieważ ani jeden promień słońca nie może- przebić się przez gąszcz liści. Tak bardzo gęstwina leśna tłumi dźwięki, a cienie gaszą barwy.

I chociaż teraz na najwyższych wierzchołkach znajdują się obserwatoria, chociaż 'najbardziej fantastyczne legendy wzbudzają zaledwie uśmiech powątpiewania., to jednak dziś jeszcze pustkowia to wywołuje lęk połączony z uczuciem czci dla tych okolic. Kilka nędznych chałup oddalonych od sąsiednich wsi zdaje się istnieć po to tylko, aby świadczyć o obecności człowieka w tej tajemniczej krainie.

Szóstego maja 1770 roku, kiedy słońce zachodziło za wieżę katedry sztrasburskiej, jakiś człowiek jadący z Moguncji zbliżał się do wioski Danenfels. Jechał pod górę ścieżką, a straciwszy jej ślad w zaroślach, zsiadł z konia i uwiązał go za uzdę do najbliższej jodły.

Zwierzę zarżało niespokojnie, a las odpowiedział drzeniem gałęzi.

— No, no — rzekł podróżny. — Uspokój się, wiemy Dzeridzie. Zrobiliśmy dwanaście mil i ty przynajmniej stanąłeś już u celu.

To powiedziawszy, objął oburącz głowę zwierzęcia i przysunął twarz do jego parujących nozdrzy.

— Żegnaj, dzielny rumaku, bo może cię już nie zastanę tutaj, żegnaj, wierny towarzyszu!

Rumak wstrząsnął jedwabistą grzywą, uderzył nogą w ziemię i zarżał, jak gdyby był w pustyni i czuł zbliżanie się lwa.

Podróżny poruszył głową jakby potakując.

— Nie mylisz się, Dzeridzie, niebezpieczeństwo jest blisko.

Widocznie jednak nie zamierzał walczyć z tym niebezpieczeństwem, bo wy dobył z olstrów dwa wspaniałe pistolety z cyzelowanymi lufami, o połączonych kolbach, wyjął z nich naboje i kule wraz z prochem rzucił na trawę.

Uczyniwszy to schował na powrót pistolety do olstrów. Następnie odpiął szpadę o stalowej rękojeści, okręcił ją pasem i podłożył pod siodło, Wreszcie strząsnął kurz z butów, przeszukał kieszenie, wyjął z nich nożyczki oraz scyzoryk w oprawie z konchy perłowej i cisnął to wszystko poza siebie nie patrząc, gdzie upadło.

Raz jeszcze pogłaskał Dzerida, odetchnął pełną piersią i po daremnych poszukiwaniach ścieżki puścił się w gęsty las.

Podróżny wyglądał na lat trzydzieści. Wzrostu więcej niż średniego, dobrze zbudowany, szczupły i zgrabny, miał na sobie czarną kurtkę podróżną z aksamitu, spod której widać było haftowaną kamizelkę. Strój ten uzupełniały obcisłe spodnie i czarne, lakierowane baty. Twarz o rysach ruchliwych, znamionujących typ południowy, tchnęła siłą i bystrością. Spojrzenie zdawało się przenikać do głębi duszy, usta duże, kształtne, osłaniały piękne zęby, których olśniewającą biel podkreślała ciemna cera.

Zaledwie podróżny uszedł kilka kroków, usłyszał gwałtowne i niecierpliwe bicie kopytami o ziemię.

W pierwszej chwili chciał zawrócić, lecz powstrzymał się. Wspiął się tylko na palce, aby zobaczyć, co się stało z koniem. Dzerida jednak już nie było. Znikł jakby uprowadzony niewidzialną ręką.

Podróżny zmarszczył czoło, po czym uśmiechnąwszy się z lekka poszedł w głąb lasu.

Tu i ówdzie przedostawały się jeszcze przez gałęzie ostatnie blaski światła dziennego. Wkrótce jednak ciemność ogarnęła idącego całkowicie. W obawie, że zabłądzi, zatrzymał się.

— Do Danenfels — powiedział głośno — droga była jeszcze możliwa. — Z Danenfels dojechałem do Czarnego Wrzosowiska ledwie widoczną ścieżką. Z Czarnego Wrzosowiska dotarłem tutaj bezdrożem, ale las był jeszcze widoczny. Teraz muszę się zatrzymać, bo nie widzę już nic.

Zaledwie wymówił te słowa, na wpół po francusku, na wpół dialektem sycylijskim, gdy pięćdziesiąt kroków przed nim zajaśniało światło.

— Dziękuję! — rzekł. — Teraz pójdę za tym światłem.

Światelko tymczasem posuwało się równomiernie naprzód. Podróżny uszedł ze sto kroków i naraz ze drzeniem usłyszał obok siebie cichy szepł.

— Nie odwracaj się — dobiegł go głos z prawej strony — bo zginiesz!

— Dobrze — odpowiedział podróżny spokojnie.

— Nie mów nic — zabrzmiał głos z lewej strony — bo umrzesz!

Podróżny skłonił głowę w milczeniu.

— Jeżeli się boisz — odezwał się głos trzeci, jakby spod ziemi — jeżeli ci brak odwagi, wracaj, skąd przychodzisz.

Podróżny uczynił tylko ruch ręką i szedł dalej w milczeniu).

Noc była ciemna, las gęsty. Pomimo światła, które go prowadziło, podróżny potykał się co chwila. Tak szedł prawie godzinę. Nagle światło znikło. Podróżny wydostał się z lasu.

Podniósł oczy w górę: na ciemnym lazurze nieba błyszcząły gwiazdy.

Szedł dalej naprzód. Naraz wynurzyły się przed nim z ciemności ruiny starego zamczyska.

W tej samej chwili potknął się, a na skroniach poczuł mokrą przepaskę, która mu zasłoniła oczy. Odtąd nie widział nawet ciemności.

Jednakże musiał się tego spodziewać, nie stawiał bowiem żadnego oporu — wyciągnął tylko rękę, jak ślepy szukający przewodnika. Jego wyciągnięta dłoń ujęła zimną kościstą rękę. Podróżny nie zdrżał. Nagle dłoń puściła jego rękę, przepaska spadła z oczu i podróżny stanął: znajdował się na szczycie Góry Grzmotów.

TEN, KTÓRY JEST

Pośrodku polany, otoczonej starymi brzoźami wznosiły się ruiny jednego z tych zamków, które panowie feudalni budowali niegdyś w czasie wypraw krzyżowych.

Otworzywszy oczy, podróżny znalazł się przed omszałymi i wilgotnymi schodami portyku zamczyska. Na pierwszym stopniu stało widmo o kościstej ręce, które go tutaj przyprowadziło. Wskazało ono podróżnemu wysoką komnatę, do której przez dziurawe sklepienie przebijało się tajemnicze światło.

Widmo bezszelestnie przesunęło się po schodach i zagłębiło w ruinach. Podróżny podążył za nim. W tej samej chwili z hałasem i brzękiem zamknęły się drzwi portyku.

Przy wejściu do okrągłej, pustej komnaty, przybranej czarno i oświetlonej trzema zielonymi lampami, widmo zatrzymało się. Podróżny stanął również.

— Otwórz oczy! — rozkazało widmo.

— Widzę wszystko — odparł przybysz.

Wówczas widmo wydobyło spod całuna szpadę i uderzyło nią w kolumnę z brązu. Na ten odgłos uniosły się płyty kamiennej podłogi i ukazał się legion widm, uzbrojonych w szpady.

Zasiadłszy na kamiennych ławach fantomy zamarły w bezruchu.

W pierwszym rzędzie było siedem miejsc, z których część zajmowały postacie ważniejsze zapewne znaczeniem, jedno zaś było puste..

Widmo siedzące pośrodku podniosło się.

— Ilu nas jest, bracia?

— Trzystu — odrzekły widma.

— Trzystu — podjął przewodniczący — z których każdy jest przedstawicielem sześciu tysięcy stowarzyszonych. Trzysta szpad, które równają się trzem milionom sztyletów.

Po czym zwrócił się do podróżnego:

— Czego pragniesz?

— Światła — odpowiedział przybyły.

— Ścieżka wiodąca na górę ognistą jest twarda i ostra. Nie boisz się na nią wstąpić?

— Niczego się nie boję.

— Pamiętaj, że stąd nie ma powrotu. Zastanów się dobrze.

— Zatrzymam się dopiero u celu.

— Czyś gotów złożyć przysięgę?

— Przysięgnę.

Przewodniczący podniósł rękę i głosem uroczystym rzekł:

— „Przysięgam na Boga Ukrzyżowanego, że zerwę wszelkie więzy, łączące mnie z ojcem, matką i każdą istotą, której winien jestem wierność i posłuszeństwo”.

Podróżny powtórzył te słowa, widmo zaś ciągnęło dalej:

— „Przysięgam, że wyjawię nowemu zwierzchnikowi wszystko, com widział, com czytał i słyszał.

Przewodniczący zamilkł, a podróżny znowu powtórzył te słowa.

— „Czcij i poważaj aqua toffana — podjął nie zmieniając głosu przewodniczący — truciznę jako środek niezbędny do usunięcia tych, którzy chcą upodlić prawdę. W imię Ojca . Syna, i Ducha Świętego.

Podróżny z siłą i spokojem wypowiedział przysięgę do końca.

— A teraz — dodał przewodniczący — włóżcie mu na głowę świętą opaskę.

Dwa widma zbliżyły się do przybysza i zawiązały mu na czole jasnożółtą wstążkę, przetykaną srebrem, z wizerunkiem Matki Boskiej Loretańskiej, po czym odsunęły się od niego.

— Czego żądasz? — zapytał przewodniczący.

— Ręki żelaznej, ognistego miecza i diamentowych wag — odparł podróżny.

— Do czego pragniesz ich użyć?

— Ażeby zdusić tyranię. Ażeby ważyć losy ludzkości.

— Czy gotów jesteś poddać się próbom? — Gotów jestem w każdej chwili.

— Odwróć się — rozkazał przewodniczący.

Przybysz spełnił żądanie i znalazł się naprzeciw człowieka bladego jak śmierć, okutego w kajdany, z zakneblowanymi ustami.

— Oto zdrajca! — mówił przewodniczący. — Złożył on przysięgę, taką jak ty przed chwilą, a potem wydał tajemnicę Zakonu. Na co zasłużył?

— Na śmierć!

Trzysta głosów powtórzyło:

— Na śmierć!

W tej chwili skazanego zaciągnięto w głąb sali. Po krótkim szamotaniu rozległo się głuche uderzenie. Potem przybysz usłyszał odgłos upadającego ciała i ostatnie przedśmiertne rzęzenie.

— Sprawiedliwości stało się zadość — powiedział przewodniczący do zebranych, pochtaniających wzrokiem to przerażające widowisko,

— Czy pochwalasz wykonanie wyroku, jakiego byłeś świadkiem?

— Pochwalam, jeżeli dotknął istotnie winnego — odparł podróżny.

— I wypijesz za śmierć każdego, który jak ten zdradzi tajemnice naszego świętego stowarzyszenia?

— Wypiję.

— Przynieście czarę.

Jeden z oprawców zbliżył się i podał przybyszowi czerwony i ciepły napój w czaszce ludzkiej. Przybysz wziął czaszę i wychylił ją do ostatniej kropli.

Szmer podziwu przebiegł wśród obecnych.

— Dobrze — rzekł przewodniczący. — Podajcie pistolet. Jedno z widm podało pistolet, kulę ołowianą i ładunek prochu.

— Przyrzekasz posłuszeństwo bezwzględne dla świętego zakonu, nawet gdybyś miał działać przeciw samemu sobie?

— Przyrzekam.

— Jakikolwiek rozkaz otrzymasz, usłuchasz go natychmiast i bez wahania?

— Natychmiast i bez wahania.

— Weź ten pistolet i nabij go!

Przybysz wziął pistolet, wsypał proch w lufę i włożył kulę, przybił ją stemplem i podsypał panewkę.

— Nabity — rzekł zimno. — Co mam z nim uczynić?

— Odwiedź kurek. Przyłóż lufę do czoła. I ten rozkaz został wykonany.

— Strzelaj!

Błysnął ogień, ale proch spalił się i powietrzem nie wstrząsnął huk.

Okrzyk podziwu rozległ się wśród zebranych. Lecz nie dość było tych prób. Widma zawołały.

— Sztylet! Żądamy sztyletu!

— Podajcie zatem sztylet — zdecydował przewodniczący.

— Nie trzeba — rzekł z pogardą przybysz.

— Jak to nie trzeba?! — wrzasnęły widma.

— Co przez to rozumiesz? — zawołał przewodniczący.

— Znam wszystkie wasze tajemnice. Powiadam wam, że człowiek zamordowany nie umarł; że krew, którą piłem, to wino; że kule i proch wypadły z lufy, kiedy odwodziłem kurek. Zabierzcie tę broń nieużyteczną, prawdziwie silni jej się nie ulęką.

Okrzyk wściekłości wzbił się pod sklepienie.

—: Kim jesteś?! — spytało naraz trzysta głosów, a jednocześnie dwadzieścia szpad błysnęło w rękach widm i skierowało się ku piersi nieznanego.

Lecz on, spokojny, wznosił głowę wstrząsając włosami i zawołał:

— Ego sum qui sum!... Ja jestem ten, który jest..

I powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Pod wpływem tego wzroku, pełnego siły, szpady opadły.

— Skąd przybywasz? Kim jesteś?.

— Dobrze — odparł nieznanomy — powiem wam, kim jestem, lecz powiem najpierw, kim wy jesteście.

Widma zadrżały, szpady zadźwięczały znów w rękach, kierując się ku piersi podróżnego. On zaś mówił dalej: -

— Ty — zwrócił się do przewodniczącego — ty, który się masz za boga, jesteś tylko jego zwiastunem; tobie, przedstawicieliu łóż szwedzkich, powiem zaraz twoje imię: Swedenborgu, czy aniołowie nie mówili ci, że ten, którego się spodziewasz, nadchodzi?...

— To prawda — odrzekł przewodniczący — powiedzieli mi o tym.

— Po lewej stronie masz przedstawiciela łoży angielskiej. Pozdrawiam cię, milordzie!
Szpady znów opadły. Oburzenie ustąpiło miejsca podziwowi.

— A ty, kapitanie — ciągnął nieznajomy zwracając się do widma po lewej stronie przewodniczącego — w jakim to porcie pozostawiłeś swój piękny statek, który uwielbiasz jak kochankę?

Potem zwracając się do widma z prawej strony, nieznajomy mówił dalej:

— Na ciebie kolej proroku z Zurychu. Spójrz mi w oczy, czy w rysach mojej twarzy nie dostrzegasz świadectwa mego posłannictwa?

Zapytany cofnął się o krok.

— No, a ty, potomku Pelazgów — zwrócił się nieznajomy do swojego sąsiada — czy chcesz po raz drugi wypędzać Maurów z Hiszpanii?

Zagadnięte przez przybysza pięte z kolei widmo stało nieruchomo, w milczeniu.

— A mnie — zapytało nieznajomego szóste widmo — mnie nic nie masz do powiedzenia?

— Chcesz tego? — odparł przybysz przeszywając go do głębi wzrokiem. — Czy chcesz, żebym ci powiedział to, co Chrystus powiedział Judaszowi?

Zapytany zbladł jak płótno.

— Zapominasz o przedstawicielu Francji — odezwał się przewodniczący.

— Nie ma go tutaj — rzekł nieznajomy. A ty wiesz o tym dobrze, ponieważ miejsce jego jest niezajęte.

— Młody jesteś — powiedział przewodniczący — a mówisz z powagą wtajemniczonego. Zuchwalstwo bałamuci tylko niezdecydowanych oraz ignorantów.

Uśmiech najwyższej pogardy pojawił się na ustach przybysza.

— To wy wszyscy jesteście niezdecydowani — rzekł — bo nie możecie mieć władzy nade mną; jesteście też ciemi, albowiem nie wiecie, kto jestem, kiedy ja przeciwnie, wiem o was wszystko i wszystkiego mógłbym dokonać śmiałością. Lecz po cóż śmiałość temu, kto jest wszechmocny?

— Daj nam dowód tej wszechmocy!

— Kto was tu zwołał? — zapytał nieznajomy. — Koło najwyższe!

— Nie bez powodu — rzekł przybysz, zwracając się do przewodniczącego i pięciu jego towarzyszy — nie bez powodu przybyliście tu: ty ze Szwecji, ty z Londynu, ty z Nowego Jorku, ty z Zurychu, ty z Madrytu, a ty z Warszawy.

— Zebraliśmy się tu — odparł przewodniczący — na spotkanie założyciela tajemniczego państwa na Wschodzie, który złączył obie. półkule we wspólnocie wierzeń i który związał w braterskim uścisku ręce ludzkości.

— Czy macie taki znak, po którym możecie go poznać?

— Mamy — odpowiedział przewodniczący. — Bóg za pośrednictwem aniołów raczył mi go odkryć.

— Jaki to znak? Powiedz.

Przewodniczący zawahał się, po czym rzekł:

— Będzie miał na piersiach brylantową gwiazdę, a na niej błyszczące trzy pierwsze litery godła jemu tylko znanego: L.P.D.

Przybysz szybkim ruchem rozpiął krótką kamizelkę. Na koszuli z cienkiego batystu ukazała się jaśniejąca tysiącem ogni gwiazda brylantowa a na niej trzy lśniące litery z rubinu.

— ON! — wykrzyknął z przerażeniem przewodniczący. — Czyżby to był ON?!

— ON, którego świat oczekuje! — zawołali z niepokojem inni.

— Wielki Kopt! — powiedziało półgłosem trzysta widm.

— I cóż? — rzekł z triumfem nieznajomy. — Czy uwierzycie mi teraz, gdy wam po raz drugi powiem: jestem ten, który jest...?

— Wierzmy odpowiedziały widma.

— Rozkazuj, mistrzu! — dodał przewodniczący, a wespół z nim pięciu jego towarzyszy z pochylonymi kornie czołami. — Rozkazuj, będziemy ci posłuszni.

L. P. D.

Przez chwilę trwała cisza. Nieznajomy zdawał się namyślać, wreszcie odezwał się:

— Panowie! Odłóżcie broń i słuchajcie uważnie. Wiele się możecie nauczyć z tego, co wam powiem.

Uwaga zebranych spotęgowała się.

— Źródła wielkich rzek — mówił przybysz — są prawie zawsze pochodzenia boskiego i dlatego trudno ustalić, gdzie się - znajdują. Podobnie jak Nil, Ganges i Amazonka, wiem dokąd idę, ale nie wiem, skąd przychodzę. Wszystko, co pamiętam, zawdzięczam chwili, kiedy oczy mojej duszy ujrzały świat otaczający, odkryły święte miasto Medynę i ogrody muftiego Salaayma.

Był to godny szacunku starzec, którego kochałem jak ojca, a on pełen był dla mnie czułości i troski. Dzięki niemu poznałem innego starca, mojego nauczyciela i mistrza — Althotasa, człowieka, który ogarnął całą wiedzę ludzką, zdolnego — jak aniołowie — pojąć Boga. Do dzisiaj jest mi on przyjacielem godnym najwyższej czci.

Gdy skończyłem piętnaście lat, przeniknąłem największe tajemnice natury. Znałem botanikę, nie tę, którą bada każdy uczony na skrawku ziemi, gdzie mieszka. Ja znałem sześćdziesiąt tysięcy grup roślin z całego świata. Gdy mistrz mój kładł mi ręce na czoło i rozkazywał zejść do moich oczu promieniom boskiego światła, potrafiłem dzięki nadprzyrodzonej sile zapuszczać w rok na dno morskie i widzieć fantastyczną roślinność, okrywającą gniazda okropnych bezkształtnych potworów. Poświęciłem się także nauce języków martwych i żywych. Znałem wszystkie języki i narzecza od Dardaneli do Cieśniny Magellanskiej. Czytałem tajemnicze hieroglify na piramidach. Zgłębiałem wiedzę ludzką od Sanchoniatona do Sokratesa, od Mojżesza do świętego Hieronima, od Zoroastra aż do Agrypy. Studiowałem medycynę, nie tylko Hippokratesa, Galena, Awerroesa — mistrzem w tej nauce była mi także natura. Poznałem tajemnice Koptów i Druzów. Zgromadziłem wiedzę o źródłach cierpienia i szczęścia. W ten sposób ucząc się, pracując i podróżując, ukończyłem dwadzieścia lat życia.

Pewnego dnia mistrz mój Althotas wszedł do marmurowej groty, gdzie się schroniłem przed upałem. Twarz jego była równocześnie surowa i pogodna. W ręce trzymał buteleczkę.

— Acharacie — rzekł do mnie — mówiłem ci zawsze, że nic się nie rodzi i nic nie umiera na świecie; że kolebka i grób to bracia; że człowiekowi, ażeby widział jasno swoje minione istnienie, brak tylko daru jasnowidzenia, które go czyni równym Bogu. Od chwili bowiem, gdy posiadasz zdolność jasnowidzenia, stajesz się jak Bóg nieśmiertelny. Ja znalazłem napój, który rozprasza ciemności, zanim znajdę napój zwyciężający śmierć samą. Acharacie, wczoraj wypilem część zawartości tej buteleczki, ty wypij dziś resztę.

Ręka mi drżała, gdy dotknąłem podawanego mi naczynia. Tak musiała drzeć ręka Adama, gdy brał jabłko od Ewy.

Althotas położył mi dłonie na głowie, jak zwykle wówczas, gdy chciał mnie obdarzyć na chwilę podwójnym widzeniem.

— Śpij — rzekł — i pamiętaj.

Usnąłem zaraz. Śniło mi się, że leżę na stosie drzewa sandałowego i aloesowego. Wtedy anioł przelatujący ze wschodu na zachód z rozkazami Boga musnął skrzydłem drzewo i stos mój buchnął płomieniem. Wyciągnąłem się pełen błogości wśród ognistych języków. Wszystko, co było we mnie materią, znikło, pozostała jedynie dusza. Ogarnąłem pamięcią trzydzieści dwa istnienia, które już przeżyłem. Widziałem przemijające wieki, rozpoznałem je pod różnymi imionami, jakie nosiłem od pierwszych narodzin do ostatniego zgonu. Wszak, wiecie, bracia, że dusze to niezliczone części bóstwa, które z każdym tchnieniem ulatują z piersi Boga, napełniają przestrzenie i dzielą się na przeróżne kategorie. Są więc dusze wzniosłe i upośledzone. Człowiek w chwili urodzenia przyjmuje w siebie — przypadkowo może — jedną z tych dusz błędzących, a oddaje ją z siebie w chwili śmierci na nowe błędzenie i dalsze przemiany.

Nieznajomy mówił tak przekonywująco i podniosło, że szmer uwielbienia rozległ się na sali.

— Po przebudzeniu — mówił natchniony — poczułem się więcej niż człowiekiem; zrozumiałem, że jestem niemal Bogiem. Postanowiłem wtedy poświęcić wszystko dla szczęścia ludzkości.

Nazajutrz Althotas, jak gdyby odgadł moje myśli, rzekł do mnie:

—Synu mój, dwadzieścia lat upływa, odkąd matka twoja umarła dając ci życie. Nieprzezwykłe przeszkody nie pozwoliły twojemu sławnemu ojcu odnaleźć cię. Teraz udamy się w podróż i wśród tych, których spotkamy, znajdować się będzie twój ojciec. Weźmie cięw objęcia, ucałuje, lecz ty nie będziesz wiedział, że to on.

I tak jak u wybrańców Boga wszystko, co stanowiło moją istotę, stało się tajemnicze: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

Pożegnałem muftiego Salaayma, który pobłogosławił mnie i obdarował, następnie przyłączyliśmy się do karawany idącej w stronę Suezu.

Zapusciliśmy się w głąb Azji. Szliśmy w górę Tygru, zwiedziliśmy Palmirę, Damaszek, Smyrnę, Konstantynopol, Wiedeń, Berlin, Drezno, Moskwę, Sztokholm, Petersburg, Nowy Jork, Buenos-Aires, Przylądek Adetn i znów znaleźliśmy się prawie w tym samym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Dalej droga nasza wiodła do Abisynii z biegiem Nilu, następnie wylądowaliśmy na Rodos, a potem na Malcie. Tu przybył na nasze spotkanie okręt i przywitało nas dwóch kawalerów Zakonu. Uścisnęli Althotasa i zaprowadzili nas triumfalnie do pałacu wielkiego mistrza Pinto. Zapewne zapytacie mnie, w jaki sposób mułmanin Acharat został przyjęty z takimi honorami przez niewiernych. Stało się tak dzięki Althotasowi, katolikowi i kawalerowi maltańskiemu, który nauczył minie, że jeden jest tylko Bóg wszechmocny i dla wszystkich, ustanawiający ład wszechrzeczy i nadający harmonii świata doskonałe piękno. Byłem więc, jak widzieli, teozofem.

Podróże moje skończyły się, lecz widok tylu krajów, miast i ludzi o nazwach przeróżnych i obyczajach najrozmaitszych nie wywarł na mnie wrażenia. Nie było dla mnie nic nowego pod słońcem.

Powiedziałem sobie, że nie po to odkryto mi tyle spraw nadprzyrodzonych, abym je zachował dla siebie. Nie dla dopełnienia obrzędów masońskich przybyłem ze Wschodu. Przybyłem, aby rzec: Bracia! Pożyczcie skrzydeł i oczu od orłów, wznieście się ponad świat, zdobądźcie ze mną szczyt góry, na którą Szatan powiódł Chrystusa, i rzućcie wzrokiem na ziemię. Ludy tworzą niezliczone zastępy, idą każdy swoją drogą i przybyć muszą do celu, dla którego zostały stworzone.

Francja stoi na czele narodów. Dajmy jej pochodnię, a choćby nawet sama od niej spłonęła., będzie to pożar zbawienny, bo oświeci cały świat. Nie ma tu przedstawiciela Francji, bo być może cofnął się on przed swym posłannictwem... Trzeba człowieka nie cofającego się przed niczym. Ja więc pójdę do Francji.

— Wiesz zatem, co się dzieje we Francji? — zapytał przewodniczący.

— Wiem. Na tronie Francji zasiada stary król, zepsuty i niedołężny, mniej jednak niedołężny od monarchii, którą reprezentuje. Pozostało mu zaledwie kilka lat życia. Na dzień jego śmierci trzeba się odpowiednio przygotować. Francja jest kluczem i podporą monarchii, niech sześć milionów rąk podniesie się na znak dany przez. Najwyższe Koło, niech wyrwie podporę, a gmach monarchii runie. W dniu, w którym zginie król Francji, na całą Europę spłynie błogosławieństwo przewrotu.

— Wybacz mistrzu — odezwał się jeden z delegatów, którego akcent zdradzał pochodzenie szwajcarskie. — Czy wszystko zbadaleś?

— Wszystko — odrzekł wielki Kopt.

— Mistrzu, chwila źle jest wybrana... Widziałem córkę Marii Teresy, zmierzającą do Francji, aby połączyć krew siedemnastu cesarzów z krwią spadkobiercy sześćdziesięciu królów. Ludy się cieszą, jak zawsze, gdy im rozluźniają lub złocą kajdany. Powtarzam, czas nie nadszedł jeszcze.

Zapanowało milczenie, wszyscy zwrócili oczy na śmiałego mówcę.

Szwajcar zaś mówił dalej:

— Nauka i życie dały mi doświadczenie i umiejętność od-czytywania charakteru z rysów twarzy ludzkiej. Otóż widziałem na czole młodej dziewczycy, mającej panować nad Francją, dumę, odwagę i czułość dziewcząt niemieckich. Twarz młodego człowieka, przeznaczonego jej na męża, znamionuje zimną krew, chrześcijańską łagodność i bystrość umysłu. Maria Antonina przekracza właśnie granice Francji, ołtarz i łożo przygotowują w Wersalu — czyż to chwila, aby zacząć działać dla dobra Francji?

Słowa przedstawiciela Szwajcarii zyskały uznanie zebranych, którzy oczekiwali z kolei odpowiedzi wielkiego Kopta. On zaś rzekł:

— Bracia! Ty czytasz w obliczach ludzkich, a ja czytam w przyszłości. Maria Antonina jest dumna, zechce więc walczyć i padnie pod ciosami. Ludwik jest dobry i łagodny, będzie zatem słaby w walce z nami i zginie razem z żoną.

Obecnie łączy ich uczucie przyjaźni, nie dopuścimy, aby się pokochali, a za rok będą się nienawidzić. Zresztą, po co się naradzać, z której strony nadejdzie światło, kiedy jasność jest we mnie. Ja idę ze Wschodu i prowadzony przez gwiazdę zwiastuję odrodzenie. Od jutra biorę się do dzieła, którego z waszą pomocą, za lat dwadzieścia dokonam, jeżeli złączeni i silni dążyć będziemy wytrwale do celu.

— Dwadzieścia lat! — powtórzyły widma — to bardzo długo.

Wielki Kopt zwrócił się do nich:

— Tak jest, długi to czas, lecz idei nie zasztyletujesz jak człowieka. Myślicie, że to łatwe zadanie wymazać imię królewskie z serc trzydziestu milionów? A ja chcę, aby za lat dwadzieścia armie walczyły tylko za wolność i braterstwo ludów, aby dzieci nasze bawiły się na gruzach Bastylli. Wszystko może nastąpić nie po śmierci monarchy, lecz dopiero po upadku monarchii, po wytępieniu kasty arystokratów i po przeprowadzeniu równego podziału ziemi. Żądam dwudziestu lat na odbudowanie świata. To jest dwadzieścia sekund wobec wieczności, a wy mówicie, że to długo. A teraz bracia, idę wywołać lwa z jego jaskini. Ja poświęcam życie tej sprawie, a co wy dla niej uczynicie?

Przewodniczący powiedział:

— Jako przedstawiciel Szwecji ofiaruję, aby obalić tron Wazów, pomoc górników i sto tysięcy talarów w srebrze.

Wielki Kopt zapisał na tabliczce zgłoszoną ofiarę. — W imieniu Szkocji i Irlandii — rzekł drugi — zobowiązuję się dostarczyć trzy tysiące ludzi i trzy tysiące koron rocznie.

— A ty? — zapytał Kopt trzeciego.

— Jestem przedstawicielem Ameryki — odparł mężczyzna silnie zbudowany, o posępnej twarzy — gdzie każdy kamień, każde drzewo, każda kropla wody i każda kropla krwi służą rewolucji. Póki nam starczy złota, będziemy je dawać, krew zaś przelejemy do ostatniej kropli. Lecz jeśli chcesz uwolnić Francuzów od monarchii, oswobodź nas wprawdzie od obcego panowania.

— Będziecie wolni pierwsi — odpowiedział wielki Kopt — I Francja wam w tym pomoże. We wszystkich językach Bóg mówi: „Pomagajcie sobie wzajemnie.”

Po czym zwrócił się do przedstawiciela Szwajcarii, który oznajmił:

— Ja mogę złożyć ofiarę tylko we własnym imieniu. Synowie naszej republiki są od dawna sprzymierzeńcami monarchii francuskiej i sprzedają swoją krew tym, którzy ją kupują.

— Zwyciężamy i bez nich i wbrew im! — odpowiedział wielki Kopt.

— Nasi bracia — powiedział z kolei przedstawiciel Rosji i kół polskich — to nienasycony bogacze albo nędzni niewolnicy, pracujący bez odpoczynku do przedwczesnej śmierci. Nie mogę nic obiecać w imieniu niewolników, ponieważ niczym nie rozporządzają, nawet własnym życiem; ale przyrzekam dwadzieścia ludwików rocznie od każdego z trzech tysięcy możnych.

Potem zbliżali się inni, a wielki Kopt zapisywał zgłaszane ofiary.

— A teraz — rzekł — hasło: „Lilia, Pedibus, Destru”, po którym poznaliście mnie, niech ogarnie świat cały. Niech każdy z braci nosi je wyryte w sercu. W imię ojca i mistrza opuście w porządku Górę Grzmotów i jedni wodą, inni lasem lub doliną rozejdźcie się przed wschodem słońca. Ujrzyście mnie raz jeszcze w dzień triumfu. Idźcie!...

Zakończył przemowę znakiem masonskim, zrozumieliśmy tylko sześciu wtajemniczonym.

Potem odprowadził na bok Szweda i rzekł:

— Swedenborgu, wyślij pieniądze do Francji na adres, który ci wskażę.

Przewodniczący oddalił się zdziwiony, że wielki Kopt znał jego nazwisko.

Następnie wielki Kopt rozmawiał kolejno z innymi. Wreszcie pozostał sam. Zapiął surdut z czarnego aksamitu, włożył kapelusz, nacisnął sprężynę drzwi z brązu, które się za nim same zamknęły i ruszył górską ścieżką przez las. Pomimo ciemności, prowadzony niewidzialną ręką, znalazł się w miejscu, gdzie pozostawił konia.

Podróżny gwizdnął po cichu i za chwilę nadbiegł Dżerid jak pies posłuszny i wierny. Podróżny wskoczył lekko na siodło i obydwaj, koń i człowiek, w szalonym pędzie zniknęli w zaroślach.

I. BURZA

Osiem dni po opowiedzianych wydarzeniach, około piątej wieczorem, czworokonny powóz z dwoma pocztylionami opuszczał miasteczko Pont-à-Mousson, leżące między Nancy i Metz. Zmieniono przy poczcie konie i pomimo zaproszeń oberżystki, powóz udał się w dalszą drogę ku Paryżowi.

Był to pojazd bardzo osobliwy: głęboki jak landara, z kabrioletem z przodu, malowany na niebiesko. Jego drzwiczki zdobił wytworny diadem nad misternie połączonymi inicjałami I.B.

Dwa okienka, zasłonięte firankami z białego muślinu, wpuszczały światło do wnętrza. Żelazna krata chroniła szyby przed stłuczeniem.

Pudło wozu miało osiem stóp długości i sześć szerokości. Jego dziwaczność podkreślał blaszany komin, sterczący ponad pojazdem i wypuszczający smugi błękitnego dymu. Z tyłu powozu biegł uwiązany koń. Jego mała i kształtna głowa, suche nogi, pierś wąska, gęsta grzywa i odsądzony ogon stanowiły charakterystyczne cechy rasy arabskiej. Siodło na jego grzbiecie wskazywało, że któryś z podróżnych, zamkniętych w tej arce Noego, używał go do jazdy wierzchem.

W Pont-à-Mousson biała i muskularna ręka wyśliznęła się spoza skórzanych zasłon i dała pocztylonowi hojny napiwek, żeby jechał prędzej.

Pocztylioni należą do tego gatunku ludzi, do których łatwo przemawia dźwięk brzęczącej monety. Toteż pocztylioni robili wszystko, ażeby powóz jechał jak najszybciej.

Okolo godziny siódmej zmieniono konie w Saint-Mihiel i znowu ta sama ręka obdarzyła pocztyliona napiwkami.

Za Saint-Mihiel droga biegła pod górą. W pół godziny ujechano zaledwie ćwierć mili.

Na szczycie wzniesienia konie przystanęły dla wypoczynku, a przed oczyma podróżnych roztoczył się rozległy widok, przesłonięty mgłą. Niebo dotąd pogodne, zasępiło się. Wielka, biała chmura, ciągnąca od południa, groziła burzą. Pocztylioni dla bezpieczeństwa jechali bardzo wolno.

Chmura zbliżała się z szybkością przyływu morskiego i wkrótce zakryła tarczę słońca. Szare i martwe światło sączyło się na ziemię, a drżące liście przybrały czarną barwę. Zapadł siny zmrok.

Nagle oślepiająca błyskawica rozdarła chmury i rozległ się grzmot. Niebo pociemniało jeszcze bardziej.

W powozie okienko z przodu zabłysło różowym światłem. Widocznie podróżny jadący w pudle miał jakieś pilne zajęcie i zabezpieczył się przed zapadającą ciemnością.

Po chwili drugi piorun uderzył ze strasliwym hukiem i lunął ulewny deszcz.

Powóz zatrzymał się.

— Co się stało — zapytał dźwięczny głos. — Dlaczego, u diabła, nie jedziecie?!

— Zastanawiamy się, czy można jechać dalej — odpowiedzieli pocztylioni.

— To mnie powinniście o to zapytać. Jedźcie dalej!

Tyle było woli i siły w tym rozkazie, że pocztylioni natychmiast ruszyli i powóz potoczył się z pochyłości góry. Ale droga była tak gliniasta i rozmiękła od deszczu, że konie znów stanęły.

— Proszę pana! Dalej jechać niesposób — odezwał się pocztylion.

— Jak daleko do stacji?.

— Cztery mile.

— Podkujcie konie srebrem, to pójdą — rzekł podróżny, rzucając cztery talary.

Ciężka landara ruszyła powoli a następnie zaczęła się toczyć w dół coraz szybciej. Konie poniosły i powóz leciał jak strzała, po stromej spadzistości, zbliżając się ku przepaści.

— Józefie! — rozległ się nagle głos kobiety — Józefie! Ratunku! Ach! Santa Madonna!

Niebezpieczeństwo było straszne. Jeszcze cztery obroty kół, a konie, powóz, ludzie, wszystko runie w otchłań i zostanie pogruchotane.

Wtedy z kabrioletu wyskoczył na dyszel podróżny. Chwytał pocztyliona za kołnierz, podniósł go jak dziecko i rzucił na ziemię, sam zaś wskoczył na kozioł i zawołał gromkim głosem w stronę pocztyliona na koniu:

— Na lewo, hultaju, na lewo, albo ci w łeb wypalę!

Rozkaz odniósł natychmiastowy skutek: pocztylion kierujący przednią parą koni uczynił nadludzki wysiłek i zawrócił powóz przy pomocy podróżnego na środek drogi.

— Prędzej! — zawołał podróżny. — Galopem! Jeżeli staniesz, przejadę po twoim trupie.

Pocztylion zrozumiał, że to nie żarty i powóz pomknął z szaloną szybkością. Leciał wśród nocy ze strasliwym łoskotem i z iskrzącym kominem, jak wóz piekielny, prowadzony przez fantastyczne konie i ścigany przez huragan.

Ale na ludzi, którzy uniknęli jednego niebezpieczeństwa, czyhało już drugie. Gdy powóz zjechał z góry, goniąca ich jak na skrzydłach chmura rozdarła się nagle i piorun oślepił i ogłuszył podróżnych. Płomień objął konie, dyszlowe wspięły się rwąc uprząż, lejcowe padły jak gdyby się ziemia obsunęła pod nimi, po czym jeden z nich, na którym siedział pocztylion, zerwał się i znikł wraz z jeźdźcem w ciemnościach. Powóz toczył się jeszcze przez chwilę, wreszcie stanął potracając trupa konia rażonego piorunem. Z głębi powozu odezwał się rozpaczliwy głos kobiety.

Śmiertelna trwoga ogarnęła wszystkich. W obliczu szalejącego żywiołu nawet podróżny zdawał się nie wiedzieć co począć. Kobieta zemdląca. Ale nie o niej najpierw pomyślał mężczyzna. Zeskoczył z konia i pobiegł ku tyłowi powozu, gdzie uwiązany był arabski rumak. Gwiżdżąc, położył mu rękę na grzbiecie. Przerazony koń wspiął się i zarżał, jak gdyby go nie poznał.

— Ach, jeszcze ten koń diabelski! — dobiegł z wnętrza powozu ochrypli, pełen niecierpliwości i pogroźki głos, który dodał po arabsku: — Nhe goullac hogoud shaked haffrit! (Mówię ci, uspokój się, demonie!)

— Nie gniewaj się mistrzu, na Dżerida. Zląkł się, a miał czego, doprawdy.

To mówiąc podróżny uwiązał konia do tylnego koła, wszedł do powozu i zaniknął drzwi za sobą.

II. ALTHOTAS

Podróżny znalazł się w powozie obok starca o szarych oczach, krogulczym nosie i drżących rękach. Prawą ręką przewracał on karty pergaminowego rękopisu, zatytułowanego: La Chivre del Gabinetto, a w lewej trzymał srebrną łyżkę do zbierania szumowin.

Trzy ściany landary zawieszane były półkami ksiąg, pod którymi — na mniejszych półkach — stało wiele flaszeczek, słoików i pudełek.

Starzec mógł z łatwością dosięgnąć potrzebnego przedmiotu. Wystarczyło, aby posunął tylko fotel, który w razie potrzeby — dzięki ukrytemu we wnętrzu mechanizmowi — opuszczał się lub podnosił.

Wnętrze powozu było na osiem stóp długie, sześć szerokie i sześć wysokie. Na wprost drzwi znajdował się piecyk z mieszkiem i rusztami, nad którym wisiało rozpalone do białości naczynie z miksturą. Wyprowadzoną na wierzch powozu rurą ulatniał się białawy dym.

Wśród rozrzuconych na podłodze flaszeczek, pudełek, ksiąg i papierów znajdowały się miedziane cęgi, węgle zanurzone w rozmaitych preparatach i wielkie naczynie do połowy napełnione wodą. U pułapu wisiały na sznurkach wiązki suszonych roślin, z których jedne wydały się być zebrane wczoraj, a inne przed stu laty. Ostra woń rozchodziła się wokół. W mniej dziwnym laboratorium nazwano ją pachnidłem.

W chwili, gdy podróżny wszedł do powozu, starzec przesunął fotel z nadzwyczajną zręcznością, zbliżył się do piecyka i z wielką uwagą i przejęciem zaczął mieszać miksturę.

Był w jak najgorszym humorze.

— Boi się, przekłete zwierzę — rzekł — ale czego? Szarpnął drzwiami tak mocno, że piecyk się zatrzęsł i część eliksiru wylała się na ogień. Acharacie, na litość boską, zostaw to bydlę gdzieś po drodze! Podróżny uśmiechnął się.

— Cóż takiego uczynił ten biedny Dżerid?

— Cóż uczynił?! Gdyby mi nie przeszkodził, eliksir by się zagotował i nie rozlałaby się ani jedna kropla, czego wprawdzie nie przepisuje Zoroaster ani Paracelsus, ale wyraźnie zaleca Borri.

— Poczekaj więc, drogi mistrzu, jeszcze kilka sekund, a eliksir zakipi na nowo.

— A tak, zakipi! Patrz, Acharacie, ogień gaśnie, coś widocznie leci do komina.

— Wiem co — odparł uczeń. — Woda...

— Jak to, woda? Woda! A więc eliksir stracony! Muszę zaczynać od początku, jak gdybym miał wiele czasu do stracenia. Jakaż to woda, Acharacie?

— Czysta woda z nieba, mistrzu. Pada deszcz. Czyś tego nie zauważył?

— A więc to... Acharacie, od sześciu miesięcy błagam cię o daszek nad kominem. Dlaczego nie pomyślisz o tym? Patrz, co się dzieje z powodu twojego niedbalstwa! Dziś deszcz, jutro wiatr, wszystko niweczy moje plany i pracę. Dzień mój nadchodzi, a jeszcze nie gotów. Jeżeli nie odnajdę eliksiru życia, żegnaj mądry i uczony Althotasie! Rozpocynam setny rok życia 15 lipca o jedenastej wieczorem i na ten dzień eliksir musi być gotowy. Lecz cóż to za hałas? Czy powóz przewraca się? — Nie, mistrzu, to pioruny.

— Pioruny?

— Tak, to burza, która o mało nie kosztowała nas życia.

— Oto na co naraża mnie twoja lekkomyślność, Acharacie! Zginać od pioruna! Być zabitym przez iskrę elektryczną, którą — gdybym miał czas — zmusiłbym do ogrzewania tego tygla!

— Wybacz, mistrzu, ale nie rozumiem. Więc przypuszczasz że można opanować pioruny?

— Nie tylko można je ujarzmić, ale dowolnie wykorzystać. Kiedyś, kiedy przekroczę drugą pięćdziesiątkę oczekując spokojnie trzeciej, nałożę piorunom stalowe wędzidło i będę nimi kierował jak ty Dzeridem. Ale tymczasem każ zrobić daszek nad kominem, Acharacie, błagam cię.

— Uczynię to, bądź spokojny. Ale, mistrzu, co będzie z naszym wielkim dziełem? Czy pomyślałeś o tym?

— O, gdyby to było tak łatwo wynaleźć eliksir, jak zrobić diamenty! Zresztą, diamenty już zrobiłem. Idź i zobacz.

Podróżny porwał skwapliwie wskazane naczynie. Był to mały kubek kryształowy, którego dno pokrywał mialki proszek.

— Proszek diamentowy! — zawołał młody człowiek.

— Przyjrzyj się dobrze!

— O, widzę diament wielkości ziarnka prosa.

— Wielkość nic nie znaczy. Z każdego ziarnka będzie ziarnko duże jak groch. Ale, na Boga, drogi Acharacie, każ zrobić daszek nad kominem i piorunochron!. Niech mi woda nie kapie, niech pioruny biją gdzie indziej.

— Mistrzu — rzekł Acharat — ogień gaśnie, tygiel stygnie. Co się w nim znajduje?

— Zajrzyj.

Acharat odkrył naczynie i ujrzał bryłkę stopionego węgla wielkości małego orzecha.

— Diament! — wykrzyknął i zaraz dodał: — Ale nieczysty, bez, wartości.

— Bo ogień wygasł, Acharacie, bo daszka nie było nad kominem!

— Wybacz, mistrzu — rzekł młody człowiek — i posił się dla pokrzepienia.

— Zbyteczne, przed dwiema godzinami wypłem łyżeczkę eliksiru.

— Mylisz, się mistrzu. Elikisir piłeś dzisiaj rano.

— Tak? A która teraz godzina?

— Zaraz będzie wpół do dziewiątej wieczorem.

— O Jezu! — zawołał starzec, załamując ręce — znowu dzień stracony! Że też dni nie mają więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

— Jeżeli nie chcesz jeść, to prześpij się trochę, mistrzu.

— Dobrze, pośpię ze dwie godziny. Uważaj na zegarek ł obudź mnie na czas.

— Obudzę.

Nagle na drodze rozległ się tętent konia, a potem krzyk wyrażający niepokój i zdziwienie.

— Co to może być? — zawołał Acharat i jednym skokiem znalazł się na gościńcu.

III. LORENZA FELICIANI

A oto co się działo na drodze podczas rozmowy podróżnego z uczonym.

Gdy uderzył piorun, kobieta w kabrioletcie zemdląła. Chwilę leżała bez czucia, ponieważ jednak tylko strach był przyczyną omdlenia, powoli przyszła do siebie.

— Boże! — zawołała. — Czy nie ma tu nikogo, kto by mi przyszedł z pomocą?

— Pani — zabrzmiał czyjś głos nieśmiały. — Jeśli pozwolisz, jestem do twoich usług.

Na te słowa młoda kobieta wyrzała z kabrioletu i zobaczyła młodzieńca stojącego na stopniach powozu.

— Czy to pan do mnie mówi?

— Tak, pani.

— I pan ofiarowałeś mi pomoc?

— Tak.

— Ale co tu się stało?

— Piorun uderzył i zerwał lejce przednich koni, które uciekły unosząc pocztyliona.

Kobieta obejrzała się niespokojnie.

— A... a ten, który kierował z kozła... Gdzie jest?

— Wszedł do powozu, pani.
— I nic mu się nie przytrafiło?
— Nic.
— Jesteś pan tego pewny?
— Wiem, że zeskoczył z konia zdrów i bez wypadku. .
— Chwała Bogu! — Młoda kobieta odetchnęła swobodniej. — Ale skąd pan się tu zjawił tak w porę?
— Schroniłem się przed burzą w jaskini. Nagle ujrzałem pędzący z zakrętu powóz. Myślałem, że konie poniosły. Ale zauważyłem, że kierowała nimi mocna ręka. Wtedy uderzył piorun i zdawało mi się, że mnie poraził. Wszystko to widziałem jak przez sen.
— Nie jest pan zatem pewny, czy ten, co kierował tylną parą koni, jest w powozie?
— Kiedy przyszedłem do siebie, widziałem dokładnie, jak wsiadał do powozu.
— Bardzo proszę, przekonaj się pan, czy on jest tam jeszcze.
— W jaki sposób?
— Jeżeli jest w powozie, usłyszysz dwa głosy. Młodzieniec zeskoczył ze stopnia i zbliżył się do ściany powozu.
— Tak, pani — rzekł powróciwszy — jest tam.
Młoda kobieta skinęła głową i pogрузzyła się w głębokiej zadumie.
Młody człowiek mógł się teraz przypatrzeć jej bliżej. Była to kobieta lat około dwudziestu trzech, o cerze śniadej i matowej. Piękne, błękitne oczy, wzniesione ku niebu, jaśniały jak gwiazdy, a czarne nie pudrowane włosy opadały lokami na szyję barwy opalu.
Nagle jej oczy błysnęły, jakby powzięła jakieś postanowienie.
— Gdzie się teraz znajdujemy?
— Na drodze ze Strasburga do Paryża, dwie mile od Pierrefitte.
— A dalej?
— Bar-le-Due.
— Miasto?
— Tak, pani. Ma pięć tysięcy mieszkańców .
— Czy można się tam dostać boczną drogą?
— Nie, pani.
— Peccato! — powiedziała cicho, rzucając się w głąb kabrioletu.
Młodzieniec czekał przez chwilę, po czym odszedł kilka kroków.
— Jeszcze jedno pytanie — rzekła kobieta. Młodzieniec powrócił.
— Czy z tyłu powozu był przywiązany koń?
— Tak, pani.
— Jest to koń niezmiernie cenny i bardzo go lubię. Chciałabym się przekonać, czy mu się nic nie stało. Ale jak się do niego dostać po takim błocie?
— Przeprowadzę go tutaj, pani.
Młodzieniec podszedł do konia, który podniósł głowę i zarżał. Zaledwie go jednak odwiązał, zwierzę wyrwało się i odbiegło.
— Dżerid! — zawołała kobieta pieszczotliwie, zniżając głos. — Dżerid, chodź tutaj!
Koń potrząsnął kształtnym łbem, parsknął i zbliżył się do kabrioletu.
Wtedy kobieta jedną ręką ujęła konia za grzywę, a drugą oparłszy się o kabriolet wskoczyła lekko na siodło.
Młodzieniec podbiegł do niej, lecz kobieta powstrzymała go rozkazującym ruchem ręki.
— Słuchaj — rzekła — chociaż jesteś młody, a raczej po nieważ jesteś młody, nie powinny ci być obce ludzkie uczucia. Nie przeszkadzaj mi więc w ucieczce. Uciekam od człowieka, którego kocham, ale przede wszystkim jestem rzy mianką i katoliczką, a człowiek ten zgubiłby moją duszę, bo jest to ateusz i czarownik. Dzisiaj Bóg przestrzegł go głosem pioruna, oby skorzystał z tej przestrogi. Powtórz mu, co ci powiedziałam, i niech cię Bóg błogosławi za pomoc. Żegnaj!
Po tych słowach młoda kobieta, lekka jak mgła, pomknęła w ciemności nocy.

Młodzieniec nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia. Okrzyk ten dotarł do uszu podróżnego.

IV. GILBERT

Podróżny wyszedł śpiesznie z powozu, starannie zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się uważnie dokoła.

W świetle błyskawicy dostrzegł osłupiałego młodzieńca. Był to chłopiec siedemnastoletni, smukły, niewielkiego wzrostu. Jego czarne oczy patrzyły śmiało i chociaż rzucały ostre błyski, nie pozbawione były wdzięku. Usta miał wąskie, wydatne policzki znamionowały przebiegłość, podejrzliwość, a mocno zarysowana szczęka świadczyła o sile charakteru.

— To pan krzyknął przed chwilą? — zapytał podróżny. — Tak, panie, to ja.

— Dlaczego?

— Ponieważ... — zaczął niepewnie młodzieniec.

— Ponieważ? — podchwycił podróżny.

— ...W kabrioletcie była dama... A tam, z tyłu powozu, był koń...

— Tak, ale gdzież on jest, do diabła!

— Panie, dama z kabrioletu odjechała na nim. Podróżny rzucił się ku kabrioletowi i zajrzał do wnętrza.

— Na rany Chrystusa! — krzyknął z wściekłością. Rozejrzał się bezsilnie dokoła.

— Próbować dogonić Dżerida, to jakby wysłać żółwia w pogoń za gazelą — rozmyślał głośno. — Ale i tak dowiem się, gdzie ona jest!

Wydobył z kieszeni pugilares i otworzył go. W jednej z przegródek znajdował się pukiel czarnych włosów, zawinięty w papier. Ich widok zdawał się uspokajać podróżnego.

— Czy nic nie powiedziała panu, odjeżdżając? — zwrócił się do młodzieńca.

— Kazała powiedzieć, że nie z nienawiści pana porzuca, lecz dlatego, że jest dobrą chrześcijanką... a pan jest... ateu szem, któremu Bóg zesłał przestrozę... Powiedziała, że błaga pana, abys jej usłuchał.

— I to wszystko, co ci powiedziała?

— Wszystko.

Podróżny umilkł, a z jego twarzy znikły ostatnie ślady niepewności i niezadowolenia.

— A teraz — rzekł — powiedz mi, jak się nazywasz, młody mój przyjacielu.

— Gilbert, panie.

— Gilbert? I nic więcej? Ależ to imię, jak mi się zdaje.

— To moje nazwisko.

— Świetnie! A więc to Opatrzność zesłała cię, mój drogi Gilbertcie, ażebyś wybawił mnie z kłopotu.

— Jestem do usług, panie.

— Dziękuję. Wskaż mi zatem miejsce gdzie mógłbym spędzić noc.

— Jest tu o trzysta kroków zamek, siedziba barona de Taverney. Ale... on pana nie przyjmie...

— Co?! Nie przyjmie szlachcica zabłąkanego podczas burzy? To chyba potwór, a nie baron! Ja jednak spróbuję udać się do niego.

— Nie radzę — powiedział Gilbert.

— No, przecież ten twój baron mnie nie zje.

— Ale zamknie panu drzwi przed nosem.

— To je wyłamię! Bylebyś wskazał drogę. — Z ochotą.

Podróżny wziął z kabrioletu latarkę i podał ją Gilbertowi.

— Co mam z tym zrobić?

— Będziesz nam przyświecał, a ja poprowadzę konie.

— Ale latarka się nie pali!

— Zaraz ją zapalimy. Otwórz latarkę i osłoń mi ręce kapeluszem.

Gilbert usłuchał, patrząc ciekawie na przygotowania, bo znane mu było tylko krzesiwo. Podróżny tymczasem wyjął z kieszeni srebrny futeralik, wydobyl zapałkę i zanurzył ją w masie, znajdującej się na spodzie futeralika. Zapałka zapłonęła z lekkim trzaskiem. Stało się to, tak niespodzianie, że Gilbert drgnął.

Podróżny uśmiechnął się pobłaźliwie. Zachowanie Gilberta było zupełnie zrozumiałe w epoce, kiedy niewielu jeszcze chemików znało fosfor, nie wyjawiając tajemnic jego właściwości i zastosowania.

Podróżny zapalił świecę w latarni i zamknawszy futeralik rzekł do młodzieńca:

— Teraz, gdy mamy światło, będziesz nas prowadził. Gilbert poszedł ze światłem naprzód, podróżny zaś ujął konia za wędzidło i ruszyli.

Tymczasem deszcz ustał prawie zupełnie i pogoda z każdą chwilą stawała się coraz bardziej dogodna do podróży. Cichły zwołna pomruki oddalającej się burzy. Podróżny pierwszy przerwał milczenie.

— Czy baron de Taverney to twój krewny? A może opiekun?

— Nie, panie. — Twój pan?

Młodzieniec zarumienił się.

— Nie jestem lokajem. Jestem synem dawnego dzierżawcy pana barona, a matka moja wykarmiła pannę Andreę.

Rozumiem. Jesteś więc mlecznym bratem młodej panny, bo spodziewam się, że córka barona musi być młoda.

— Ma szesnaście lat, panie.

Podróżny zauważył, że młody człowiek nie zdradza chęci do rozmowy o sobie.

— W jaki sposób znalazłeś się na drodze w taką burzę?

— Nie byłem na drodze. Schroniłem się pod skałą przydrożną i czytałem.

— A co czytałeś?

— Umowę społeczną Rousseau.

Podróżny spojrział na młodzieńca ze zdziwieniem.

— Wziąłeś tę książkę z biblioteki barona? — zapytał.

— Nie, panie. Kupiłem u wędrownego księgarza.

— Któż ci powiedział, że Umowa społeczna to dobra książka?

— Nikt. Sam się przekonałem.

— Skoro rozróżniasz dobre książki, to zapewne znasz i złe?

— Tak, panie. Na przykład Sofa, Tanzai i Neadorme...

— Gdzieżeś, u licha, znalazł te książki?

— W bibliotece barona. Przysłała mu je z Paryża książkę Richelieu.

— Jak to, stary marszałek?

— Tak, marszałek.

— Spodziewam się, że panna Andrea jest takiego samego zdania o tych książkach co ty, młody człowieku?

— Panna Andrea nie czyta ich, panie.

— A dlaczego ty czytałeś te książki, choć wiedziałeś, że to złe książki?

— Bo uczyły mnie rzeczy nieznanych.

— A Umowa społeczna?

— Uczy mnie tego, co przeczuwałem: że wszyscy ludzie są braćmi, że społeczeństwa są źle zorganizowane i że nadejdzie dzień, kiedy wszyscy będą sobie równi.

— Ach, tak... — Podróżny zamyślił się na chwilę, po czym zapytał: — Czy bardzo pragniesz się uczyć, przyjacielu?

— To najgorętsze moje pragnienie.

— A czego chciałbyś się uczyć?

— Wszystkiego.

— W jakim celu?

— Aby osiągnąć wyżyny wiedzy.

— Jakie wyżyny?

Gilbert zawahał się. W dalszym ciągu nie chciał wyjawic swoich najskrytszych myśli.

— Jakie tylko człowiek osiągnąć może — odpowiedział.

— A czego już się nauczyłeś?

— Niczego. Umiem tylko czytać i pisać. Lecz wszystko będę umiał.

— Osobliwy chłopak! — mruknął do siebie podróżny.

— Szli dalej w milczeniu. Deszcz ustał zupełnie i ziemia parowała po wiosennej burzy cierpkim zapachem.

Gilbert zdawał się nad czymś głęboko zastanawiać.

— Panie — zapytał nagle — czy pan wie, co to jest burza i skąd się biorą pioruny?

Podróżny uśmiechnął się.

— Jest to zetknięcie się dwóch rodzajów elektryczności: elektryczności chmury i elektryczności ziemi.

Gilbert westchnął.

— Nie rozumiem.

Może podróżny udzieliliby dokładniejszych wyjaśnień, ale w tej samej chwili zabłyśły przed nimi światła.

— To Taverney — rzekł młody człowiek. — Brama wjazdowa.

— Otwórz ją.

Gilbert zbliżył się nieśmiało do bramy i zastukał z wahaniem.

— Nie usłyszą cię. Stukaj mocniej.

Młodzieniec znowu zastukał, ale i tym razem bez skutku. Wówczas Gilbert szarpnął sznur dzwonka, który wydał dźwięk tak donośny, że słycać go było na milę.

— Na honor! Jeżeli twój baron nie usłyszy, to chyba jest głuchy jak pień — rzekł podróżny.

Po dłuższej chwili usłyszeli odgłos kroków.

— Nareszcie!

— To poczciwy La Brie — oznajmił Gilbert.

Brama otwarła się, ale na widok nieznanego i jego dziwnego pojazdu, La Brie chciał ją zamknąć.

— O, przepraszam, przyjacielu — rzekł podróżny. — Ale skoro już tu przybyliśmy, nie godzi się zamykać nam drzwi przed nosem.

— Tak, tylko... powinienem uprzedzić pana barona o niespodziewanej wizycie.

— Nie ma potrzeby uprzedzać go. Zniosę jego kwaśną minę i nie odejdę stąd prędzej, aż się nie ogrzeję, osuszę i posilę.

La Brie próbował stawić opór, ale podróżny mimo to wprowadził konie i powóz, a La Brie pobiegł w stronę domu, wrzeszcząc z całych sił:

— Nicole Legay! Nicole Legay!

— Któż to jest Nicole Legay? — zapytał podróżny, idąc spokojnie w stronę zamku.

— Pokojówka panny Andrei — odparł Gilbert z lekkim drżeniem w głosie.

Tymczasem na krzyk La Brie pomiędzy drzewami zamigotało światło, w którego blasku ukazała się wdzięczna twarzyczka młodej dziewczyny.

— Prędko, Nicole, prędko! Idź, powiedz panu baronowi, że jakiś nieznanomy, zaskoczony burzą, prosi o gościnę.

Nicole nie dała sobie tego powtarzać dwa razy i oddaliła się szybko, a La Brie spokojny już, że barona nie zaskoczą nagłe odwiedziny, odetchnął z ulgą.

Niebawem do uszu przybyłych dobiegł ostry i władczy głos, powtarzający gderliwie:

— Nieznajomy?! Któż to taki? Kiedy się przychodzi do kogo, trzeba powiedzieć przynajmniej swoje nazwisko!

Przestraszony La Brie zapytał podróżnego o nazwisko.

— Oznajmij swemu panu barona Józefa Balsamo. To może go rozbroi.

La Brie nieco ośmielony tytułem przybysza uczynił to skwapliwie.

— Dobrze, dobrze — odburknął gniewny głos. — Niech wejdzie, skoro już jest. Proszę, jeśli łaska, proszę tędy...

Podróżny posłuchał wezwania. Kiedy dochodził do ganku, obejrzał się za Gilbertem. Ale Gilberta nie było.

V. BARON DE TAVERNEY

Podróżny nie miał powodu spodziewać się, że baron de Taverney jest człowiekiem bogatym, niemniej zdziwił się, widząc mizerne domostwo, nazwane szumnie przez Gilberta zamkiem.

Był to dom jednopiętrowy o kształcie podłużnego czworoboku, na krańcach którego wznosiły się dwa kwadratowe pawilony zakończone wieżyczkami. Od frontu znajdował się duży ganek z wyszczerbionymi schodami. W całości jednak budynek, zwłaszcza przy bladym świetle księżyca nie był pozbawiony swoistego wdzięku.

Baron de Taverney czekał w szlafroku z lichtarzem w ręku. Był to staruszek około sześćdziesięciu pięciu lat, o żywym spojrzeniu i wyniosłym czole. Na głowie miał lichą perukę. W ręku trzymał podejrzanej białości serwetkę, co świadczyło, że wizyta podróżnego przeszkodziła mu w chwili, gdy miał siadać do stołu. W jego złośliwej twarzy, w której można było znaleźć pewne podobieństwo do Woltera, malował się wyraz wymuszonej uprzejmości i zarazem kwaśnego zniecierpliwienia.

— Panie — rzekł do podróżnego. — Jaki to szczęśliwy przypadek sprawił, że mam przyjemność widzieć pana?

— Burza, panie, która spłoszyła konie i nieomal nie strzaskała mojego powozu. Zostałem bez pocztylionów, jeden spadł z konia, drugi uciekł. Dopiero przypadkowo spotkany młody człowiek wskazał mi drogę do pańskiego zamku, zapewniając mnie o powszechnie znanej gościnności gospodarza.

Baron podniósł lichtarz, jakby chciał odnaleźć sprawcę tego dobrego uczynku. Podróżny również rozejrzał się, aby upewnić się, czy istotnie młody przewodnik zniknął.

— Czy pan zna nazwisko przewodnika?

— O ile pamiętam, nazywa się Gilbert. — A, Gilbert! Nie spodziewałem się, aby był choćby do tego zdolny. Gilbert, ten próżniak, filozof!...

Z tych pogardliwych i pełnych pogróżki słów gość pojął, że stosunki między suwerenem a jego wasalem nie układają się zbyt przyjaźnie.

Po chwili milczenia, równie wymownego jak dopiero co wypowiedziane słowa, baron de Taverney odezwał się:

— Proszę, niechże pan nareszcie wejdzie!

— Pozwól pan jednak przedtem sprowadzić tu mój powóz, w którym jest sporo kosztownych przedmiotów.

— La Brie! — krzyknął baron. — Wtocz powóz pana barona do wozowni. — I zaraz dodał zwracając się do podróżnego: — Ale co do koni to nie ręczę, czy zostaną nakarmione.

Po umieszczeniu powozu w bezpiecznym miejscu podróżny obdarował La Brie napiwkami i wszedł za baronem do szerokiego i wilgotnego przedsionka,

— Taverney to bardzo smutne miejsce — mówił gospodarz — a nade wszystko biedne...

— O, nie myślę tak źle. o zamku, jak to pan przedstawiasz.

— Wiem, co mówię. Interesy moje wyglądają kiepsko. Jeżeli jesteś Francuzem, panie baronie... ale akcent niemiecki ukazuje, że nim nie jesteś, chociaż nazwisko jest włoskie... więc... jeżeli jesteś Francuzem, nazwisko Taverney powinno ci, panie przypominać o wielkiej fortunie naszego rodu... Tędy, panie baronie, tędy!

I otwierając drzwi do sali jadalnej zawołał:

— Hej, mości La Brie, usługuj nam, jakbyś zastępował stu lokajów!

Kiedy La Brie zabrał się do swoich powinności, de Taverney objaśniał gościa:

— Mam tylko tego jednego lokaja. Ale to niedołęga, źle mi usługuje. Pracuje u mnie blisko dwadzieścia lat, nie otrzymując ani jednego sous, a ja karmię go... prawie tak jak mi usługuje.

Balsamo pomyślał sobie, że gospodarz nie grzeszy wielkodusznością i rozejrzał się po sali.

Jadalnia była wielka i niska. Skąpo umeblowana, na pierwszy rzut oka zdawała się pusta. Krzesła wyplatane słomą, sztychy w stylu batalistycznym obrazów Lebruna w czarnych ramkach, dębowa szafa, poczerniała od dymu i starości — oto cały dobytek. Pośrodku znajdował się mały, okrągły stół, na którym dymił półmisek z kuropatwami i kapustą. Wino stało w pękatej butelce. Trzy srebrne nakrycia, mocno zużyte i pogięte, uzupełniał kubek i solniczka misternej roboty, lśniąca jak kosztowny diament wśród kamieni bez wartości i blasku.

— Ach, widzę — rzekł gospodarz podsuwając gościowi krzesło — że podoba się panu moja solniczka. To znak dobrego gustu. To jedyna rzecz, którą warto tu pokazać. Ale... mam jeszcze coś cenniejszego: to moja córka.

— Panna Andrea? — zapytał Balsamo.

— Dalibóg tak! — odparł zdziwiony baron — Andreo! Andreo! Chodź, moje dziecko, nie lękaj się.

W drzwiach ukazała się wysoka i piękna dziewczyna.

— Nie lękam się, ojczu — powiedziała głosem bez cienia zakłopotania i bez zbytej śmiałości.

Józef Balsamo, tak zwykle opanowany, nie mógł się powstrzymać od podziwu wobec tak niezwyklej urody.

Istotnie, Andrea de Taverney zjawiała się tutaj chyba po to, aby ozłocić i upiększyć wszystko, co ją otaczało. Jasno kasztanowate włosy spadały na białą szyję. Jej czarne szeroko rozwarte i przezroczyście oczy patrzyły przenikliwie jak wzrok orła. Ale w spojrzeniu ich kryła się również niewypowiedziana słodycz. Czerwone wargi zdawały się jakby wykrojone kapryśnym łukiem w wilgotnym koralu. Ramiona miała kształtne; ręce białe i delikatne w rysunku. Giętka i mocna kibić przywodziła na myśl piękne posągi pogańskie, w które tajemnicza siła tchnęła życie. Diana mogłaby jej pozazdrościć smukłych, zwinnych nóg.

Chociaż ubrana była z największą prostotą, strój jej odznaczał się subtelnym smakiem i wytwornością.

Podczas gdy Balsamo wpatrywał się zachwycony w An dreę, baron de Taverney ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku.

— Istotnie, piękna... — rzekł cicho Balsamo.

— Oszczędź jej, panie, komplementów. Wyszła z klasztoru i gotowa uwierzyć w to, co powiedziałaś. Nie jest zalotną, ale ja jako dobry ojciec, staram się w niej rozwinąć tę zaletę, która stanowi najważniejszy oręż kobiety.

Andrea spuściła oczy i zarumieniła się.

— Czy mówiono córce o tym w klasztorze? — zapytał ze śmiechem Balsamo. — I czy tę zasadę głosiły zakonnice?

— Mam swój sąd o rzeczy, panie — odpowiedział baron. — Nie chcę wstępować w ślady ojców, którzy prawią swoim córkom piękne słówka o skromności i tym podobne głupstwa. Zdaje się, że patrzę na opiekunów, prowadzących swego rycerza w szranki, rozbroiwszy go do cna, na walkę z przeciwnikiem uzbrojonym od stóp do głów. Nie, na Boga, tak nie będzie z moją córką, chociaż jest wychowana w takiej prowincjonalnej dziurze jak Taverney.

— Panna de Taverney to anioł — powiedział Balsamo. Andrea skinęła głową na znak podziękowania, a następnie usiadła przy stole, baron zaś zwrócił się do gościa.

— Jeśliś głodny, panie, zabieraj się do jedzenia. Uprzedzam, że potrawa jest obrzydliwa, bo przyrządził ją ten niedołęga La Brie.

— Kuropatwy nazywa pan obrzydliwą potrawą?! W maju? Czy to z pańskich dóbr?

— Jakich tam moich! Wszystko, co miałem, od dawna jest już sprzedane, zjedzone i strawione. A kuropatwy? Upolował ten próżniak Gilbert, który ugania się po cudzych polach z ukradzioną fuzją, albo czyta i marzy o niebieskich migdałach. Pójdzie na galery i ja nie będę go zatrzymywał... Ale Andrea lubi zwierzyńę i dlatego przebaczam mu.

Balsamo przypatrywał się pięknej twarzy Andrei, na której nie pojawił się ani cień rumieńca, ani jedno drgnienie. Podała mu półmisek.

— Nawet nie posolił tego paskudztwa! — zawołał de Taverney. — Andrea, podaj solniczkę panu baronowi.

Andrea wyciągnęła rękę ruchem pełnym wdzięku.

— Acha, złapałem pana, znowu pan podziwia moją sol niczkę, baronie.

— Tym razem pomyliłeś się, panie — odparł Balsamo. — Podziwiałem rączkę panny Andrei.

— Wybornie! No, ale skoro masz pan już w rękę to cacko, bądźże łaskaw przypatrzeć mu się dokładnie. Są to miłostki satyrów z bachantkami. Trochę to nieprzyzwoite, ale ładne. Balsamo dopiero teraz spostrzegł, że solniczka zawdzięcza swój piękny kształt misternym figurkom i że grupa tych figurek jest nie tylko nieprzyzwoita, ale obraża w najwyższym stopniu uczucie skromności.

De Taverney tymczasem jakby się uwziął wystawiać niewinność córki na próbę, dalej objaśniał szczegóły solniczki, mimo że Balsamo usiłował skierować rozmowę na inne tory.

— Jedz, jedz, baronie — rzekł wreszcie do gościa — bo nic więcej nie będzie.

— Przepraszam — wtrąciła Andrea ze zwykłym sobie chłodem — ale jeżeli Nicole nie zawiedzie, to dostaniemy jeszcze leguminę sporządzoną według mojego przepisu.

— Co? Ty dałaś przepis na leguminę swojej kucharce? Tego jeszcze brakowało! — zawołał de Taverney. — Czyż księżna de Chateauroux albo markiza de Pompadour gotowały królowi? Owszem, król przygotowywał dla nich omlety... Sądny dzień! Nie zniosę, aby kobiety u mnie gotowały! Baronie, przepraszam cię za moją córkę.

W tej samej chwili Nicole wniosła półmisek z przyjemnie pachnącą leguminą.

— Wiem dobrze, kto tego nie będzie jadł — krzyknął gniewnie baron de Taverney tłukąc swój talerz.

— Może pan spróbuje? — rzekła zimno Andrea, po czym zwróciła się do ojca: — Wiesz, ojcze, że jest tylko siedemnaście talerzy z serwisu, który mi pozostał po matce.

To, rzekłszy, zabrała się do dzielenia leguminy, którą Nicole postawiła na stole.

VI. ANDREA DE TAVERNEY

Zmysł spostrzegawczości Józefa Balsamo znajdował niezmiernie obfity materiał dotyczący barona, osobistości wyjątkowej i oryginalnej, zagrzebanej w zapadłym kącie Lotaryngii.

Solniczka przypadkowe ale wyczerpująco umożliwiła mu poznanie charakteru pana na Taverney.

Teraz z kolei śledził zachowanie się Andrei. Patrzył nawet tak natarczywie, że w ciągu niespełna dziesięciu minut spojrzenie młodej dziewczyny musiało się spotkać z jego wzrokiem. Początkowo wytrzymywała to przenikliwe spojrzenie bez zmieszania, ale z wolna na jej twarzy zaczął wykwitać rumieniec. Próbowwała opanować się i odważnie wytrzymywała wzrok Balsamo. Ale nie trwało to długo i jej powieki pod wpływem magnetycznej siły oczu gościa opadały ciężko i bojaźliwie, ażeby podnieść się już tylko z wahaniem.

Podczas gdy odbywał się ten niemy pojedynek, baron de Taverney zrzędził, śmiał się i szczypał ramię biednego La Brie, który się znajdował w pobliżu niego. Ten sam los spotkałby z pewnością i Nicole, gdyby oczy barona padły na jej ręce. Pan Baron bowiem miał słabość do pięknych rączek i w młodości popełnił dla nich wiele głupstw.

— Patrzcie no — zawołał — jakie ta bestyjka ma piękne paluszki! A co za paznokietki!

Nicole, nieprzywykła do komplementów barona, spojrzała nań z lekkim uśmiechem, zdradzającym raczej zdziwienie niż zadowolenie. z pochwałą.

— Bo muszę ci powiedzieć, szanowny gościu — dodał baron — że panna Nicole nie jest bynajmniej taką skromniejszą jak jej pani i wcale się nie przeraża, gdy jej się kto pragnie podobać.

Balsamo spojrzał na Andreę. Na pięknej twarzy dziewczęcia przemknął wyraz pogardy.

— Czy uwierzysz, panie — ciągnął dalej baron — że ta pannica wychowywała się tak jak moja córka w klasztorze i otrzymała prawie taką samą edukację. Dlatego też panna Nicole nie odstępowała ani na chwilę swojej pani. Jest to przywiązanie, które uradowałoby panów filozofów, utrzymujących, że stworzenia te mają dusze.

— Ojcze — rzekła Andrea niechętnie. — Nicole mnie odstępowała dlatego, że taka jest moja wola.

Balsamo podniósł oczy na Nicole i spostrzegł, że słowa Andrei sprawiły jej przykrość. W chwili, kiedy odwróciła głowę, aby ukryć łzy i spojrzała w okno wychodzące na podwórze, Balsamo poszedł za jej wzrokiem i spostrzegł mężczyznę, którego twarz mignęła za szybą.

— Dziwny to, jakiś dom — pomyślał. — Każdy tu ma jakąś swoją tajemnicę. Znam już tajemnicę barona, zgaduję jaką ma Nicole, i spodziewam się, że za godzinę poznam tajemnicę panny Andrei.

Jego zamyślenie przerwał baron.

— Pan także zamyślasz się. W tym domu zamyślenie się jest jak zaraźliwa choroba. Zamyśla się panna Andrea, zamyśla panna Nicole i zamyśla próżniak, co upolował te kuropatwy, które także musiały być zamyślone, kiedy do nich strzelał.

— Gilbert? — spytał Balsamo.

— Tak. Filozof podobny do pana La Brie. Ale skoro mowa o filozofach, czy przypadkiem nie jesteś pan ich przyjacielem? W takim razie uprzedzam, że nie byłbyś moim.

— Nie mam nic wspólnego z filozofami — odparł obojętnie Balsamo.

— Tym lepiej. Te wstrętne kreatury podkopują podstawy monarchii swoimi maksymami. We Francji ludzie zamiast śmiać się, czytają różnych Monteskiuszów i Helwecjuszów albo takiego Rousseau, który ośmiela się głosić, że władza królewska nie pochodzi od Boga. To całe nieszczęście, że Jego Królewska Mość raczył łaskawie dyskutować z tym kuglarzem panem Wolterem i czytać bazgroły pana Diderota.

W tej chwili za oknem znowu ukazała się blada twarz mężczyzny. Ale zniknęła natychmiast, kiedy Balsamo utkwiał w niej swój wzrok.

— A czy pani — zwrócił się do Andrei — jest zwolenniczką filozofii?

— Nie wiem, co to jest filozofia, wiem tylko, że cenię to, co jest poważne.

— A czy nie uważasz, moja panno — zawołał baron — że nie ma nic poważniejszego, jak żyć dobrze?

— Ale pani, jak mi się zdaje, nie gardzi życiem? — zauważył Balsamo.

— To zależy od okoliczności, panie — odparła Andrea.

— I znowu niedorzeczność! — rzekł baron. — Czy uwierzysz, panie, że takiego samego zdania jest mój syn?

— A więc pan posiada syna, panie baronie?

— Tak, mam to nieszczęście! Ten znakomity młodzieniec to wicehrabia de Taverney, porucznik żandarmerii delfina. Wyobraź sobie pan, że zaczął mi rozprawiać o potrzebie wyswobodzenia Murzynów! „A cóż się z cukrem stanie? — zapytałem. — „Ja i król Ludwik XV lubimy bardzo słodką kawę. „Ojczy, odpowiedział, lepiej wyrzec się cukru, niż patrzeć na cierpienia całej rasy. „Rasy małp! — rzekłem. Czy wiesz, pan, czego on dowodził? Oto, że wszyscy ludzie są braćmi. Ja bratem Murzyna!

— O, to może trochę za dużo — powiedział Balsamo.

— No, cóż, poszczęściło mi się z moimi dziećmi. Córeczka anioł, syn apostoł... Wypij pan, proszę, to obrzydliwe wino.

— Dla mnie jest wyborne.

— W takim razie i pan jesteś filozofem. Ale wobec tego strzeż się, bo córka wygłosi ci kazanie! Nic to, że filozofowie nie mają religii... A przecież mieć ją było zawsze wygodnie — wierzyło się w Boga i króla. Dziś żeby nie wierzyć ani w jedno, ani w drugie, trzeba uczyć się wielu rzeczy i czytać wiele książek. Wolę raczej nigdy nie wątpić. Za moich czasów uczono się przynajmniej rzeczy przyjemnych; grać w fara ona, w biribi, w kości; pojedynkowano się mimo zakazów.

Rujnowano wielkie damy i rujnowano się dla tancerek. To właśnie moja historia i tylko żałuję, że człowiek zrujnowany nie jest człowiekiem. Panu się zdaje, że jestem starym człowiekiem? I to pewnie dlatego, że żyję w tej norze, że moja peruka zużyta i odzież staroświecka. Ale zobacz pan mojego przyjaciela, marszałka! Jest jeszcze młody, dziarski, lubi awanturki, chociaż dziesięć lat starszy ode mnie!

— Czy mówi pan o panu Richelieu? — Naturalnie.

— Dlaczego jednak mając tak możnych przyjaciół, usunąłeś się pan od dworu?

— O, to chwilowe — odparł baron rzucając na córkę osobliwe spojrzenie. Balsamo zauważył to spojrzenie.

— Zapewne marszałek proteguje pańskiego syna?

— Gdzież tam! Syn mój jest filozofem i marszałek nim się brzydzi.

— A Filip nie pozostaje mu dłużny — wtrąciła Andrea z niezmaconym spokojem i dodała zwracając się do pokojówki: — Posprzątaj, Nicole.

— Ach! — westchnął baron — dawniej przesiadywało się przy stole do rana... Bo było za co jeść i pić. Nicole, podaj flaszkę likieru!

— Wspomniałeś pan, że marszałek Richelieu nienawidzi pańskiego syna, ponieważ jest filozofem — odezwał się Balsamo. — Ale dla pana powinien chyba zachować przyjaźń, ponieważ zasług panu nie brakuje.

— Byłem adiutantem marszałka. Przyjaźń nasza sięga pamiętnego oblężenia Philipsburga, w 1742 albo 1743 roku...

— Ach tak. Ja również tam byłem.

Starzec wyprostował się na krześle i wytrzeszczając oczy zapytał:

— Przepraszam, a ile lat pan sobie liczy?

— Och! ja nie mam lat.

Baron przypuszczając, że gość ma powody do zatajenia swego wieku, jakby nie dosłyszał odpowiedzi.

— Pozwól pan sobie powiedzieć — rzekł — że nie wyglądasz na żołnierza spod Philipsburga. Dwadzieścia osiem lat upłynęło od oblężenia. A pań ma chyba nie więcej niż trzydzieści.

— Mój Boże, któż nie ma trzydziestu lat — odparł niedbale Balsamo.

— Na przykład ja. Bowiem dokładnie lat trzydzieści jak ich już nie mam.

Andrea patrzyła na gościa w napięciu. Ten dziwny człowiek z każdą chwilą stawał się coraz bardziej zagadkowy.

— Przypuszczam, że bierzesz pan Philipsburg za inne miasto — ciągnął baron.

— Nie. Wiem, co mówię, a mówię to co jest. Wspominałem o oblężeniu Philipsburga, w czasie którego ksiązę Richelieu zabił w pojedynku swego krewnego, księcia Lixen. Przeszył go szpadą na gościńcu. Przechodziłem właśnie tamtędy, kiedy ksiązę Richelieu ocierał spokojnie z krwi swoją szpadę.

— Na Boga! — zawołał baron — Istotnie tak było, jak pan mówi. Byłem świadkiem ze strony księcia Richelieu.

— A czy nie był pan wtedy kapitanem pułku lekkiej jazdy, który niemal zupełnie wycięto pod Fontenoy?

— Czy i pan znajdował się pod Fontenoy? — zapytał baron, starając się nadać tym słowom żartobliwy ton.

— Nie — odparł spokojnie Balsamo. — Pod Fontenoy zostałem zabity.

Baron rozwarł szeroko oczy, Andrea zadrżała, Nicole przeżegnała się.

— Doskonale sobie teraz przypominam — ciągnął Balsamo — widziałem pana trzymającego konia marszałka, kie dy ten bił się. Poznaję teraz pana. Nosił pan wtedy tytuł kawalera i nazywano pana małym kawalerem.

— Tam, do diabła! — krzyknął de Taverney w najwię kszym zdumieniu. — Więc pan to wszystko widział?

— Na własne oczy.

— Ma pan zatem lat pięćdziesiąt!

— Mam tyle, ile potrzeba.

Baron poruszył się gniewnie w krześle. Nicole wybuchnęła śmiechem. Tylko Andrea zachowała spokój i zamyśliła się, utkwivszy oczy w Balsamo. Ten zaś jakby przewidział tę chwilę i czekał na nią, wstał nagle i rzucił na dziewczynę przenikliwe spojrzenie.

Andrea zadrżała, ręce jej zesztyniały. Pochyliła głowę, uśmiechnęła się bezwiednie i zamknęła oczy.

— Czy pani także uważa mnie za kłamcę? — zapytał Balsamo dotykając jej ręki.

— Nie, panie, ja ci wierzę — odparła z wysiłkiem Andrea. — A w takim razie, to ja mówię od rzeczy — odezwał się baron, — A więc pan chyba jesteś upiorem!

— Kto wie — odparł poważnie Balsamo. — A czy uwierzy mi pan, gdy powiem, że znałem pana podczas oblężenia Philipsburga?

— Przecież miał pan wówczas najwyżej pięć lat!

— Nie, miałem wówczas czterdziesty pierwszy rok życia. W odpowiedzi baron parsknął niepohamowanym śmiechem, a Nicoline wtórowała mu.

— Niech mi pan da jaki dowód na to, co pan mówi — powiedział baron.

— Dowód jest całkiem prosty. Widziałeś pan może podczas oblężenia Philipsburga wicehrabiego, Jana des Barreaux, który służył w pułku czarnych muszkietierów?

— Tak, widziałem.

— Czy przypomina pan sobie że nazajutrz po pojedynku księcia Richelieu des Barreaux był razem z panem w okopie?

— Pamiętam to wybornie.

— Otóż pewnego wieczoru, kiedy kule padały jak grad, des Barreaux zbliżył się do pana i poprosił o poczęstowanie tabaką którą mu pan podał w złotej tabakierce.

— Na której był portret kobiety...

— Tak właśnie. Widzę ją jeszcze: blondynka, nieprawdaż? — Tak do licha! — rzekł baron zmieszany. — A potem?

— Potem — mówił dalej Balsamo — kiedy zażywał tabaki, kula armatnia, podobnie jak niegdyś Berwickowi, urwała mu głowę.

— Niestety — rzekł z westchnieniem baron — biedny des Barreaux...

— A więc, musiałem pana widzieć i znać w Philipsburgu, albowiem tym des Barreaux byłem ja we własnej osobie.

Baron cofnął się przerażony.

— Ależ to czary! — zawołał. — Przed stu laty byłbyś za to spalony, mój panie!

— Panie baronie — rzekł z uśmiechem Balsamo — prawdziwych czarowników ani palą, ani wieszają. Ale dajmy już temu spokój, bo zdaje się, że panna Taverney zasypia.

Istotnie, Andrea jakby urzeczona hipnotyczną siłą, powoli pochyliła głowę, jak kwiat, którego kielich ugiął się pod ciężką kroplą rosy.

Posłyszawszy ostatnie słowa Balsamo wstała z wysiłkiem i chwiejąc się opuściła salę jadalną.

Jednocześnie zniknęła przylepiona do szyby okiennej twarz, w której Balsamo już wcześniej rozpoznał Gilberta.

W chwilę potem obydwaj mężczyźni usłyszeli Andreę grającą na klawesynie.

— A zatem mogę powiedzieć jak Archimedes: Eureka! — rzekł Balsamo.

— Kto to był Archimedes?

— Wielki uczyony, którego znałem dwa tysiące sto pięćdziesiąt lat temu.

VII. EUREKA

Czy to fanfaronada gościa wydawała się baronowi przesadna, czy to ostatnich słów nie dosłyszał, czy wreszcie zapragnął pozbyć się osobliwego gościa, dość że zaproponował panu Balsamo, iż odwiezie go do pobliskiego miasta.

— Szkapę mam wprawdzie marną — rzekł baron — ale jakoś dojedziemy. Znalazłby się u mnie jaki taki nocleg, ale ja gościnność pojmuję po swojemu. Dobrze albo wcale — oto moja dewiza.

— A więc obchodzi się pan ze mną jak z natrętem.

— Przebóg, nie! — zaproponował baron — raczej jak z przyjacielem, bo zatrzymać pana tutaj znaczyłoby źle mu

życzyć. A przecież pan mi się bardzo spodobał.

— A więc jeżeli panu się podobam, nie przymuszaj strudzonego do opuszczenia tego domu który niesłusznie nazywa pan nędznym.

— No, jeżeli tak, to przenocuj pan w zamku — odparł baron i dodał zwracając się do stojącego w kącie La Brie: — Słuchaj no, stary hultaju, czy czerwony pokój przygotowany?

— Zapewne, panie — rzekł sługa — wszak to pokój, w którym mieszka pan Filip, kiedy przyjeżdża do Taverney.

— To, co jest dobre dla biednego poruczniczyny, może być całkiem nieodpowiednie dla bogatego pana, jeżdżącego w cztery konie pocztowe.

— Zaręczam, panie baronie — wtrącił Balsamo — że będzie mi tu wybornie.

Baron skrzywił się, jakby, chciał powiedzieć: wiem, co to znaczy, po czym głośno dodał:

— A więc pan chce koniecznie tu nocować?

— Tak, panie baronie.

— Ale poczekaj pan... Jest jeszcze jeden sposób, żeby pan nie odbywał drogi konno.

— Jakiej drogi?

— Do Bar-le-Duc naturalnie. Balsamo spojrzął na barona pytająco.

— Mógłby pan odjechać tymi samymi końmi, którymi się tu pan dostał — wyjaśnił baron.

— To niemożliwe, bo z czterech koni pozostały tylko dwa, a powóz jest zbyt ciężki. A zresztą chciałbym pozostać tu do jutra, aby się panu wywdziękzyć, baronie.

— Może to pan uczynić dzisiaj. Ponieważ jest pan w dobrych stosunkach z diabłem, poproś go, żeby wynalazł dla mnie kamień filozoficzny.

— Jeżeli panu tak bardzo o to chodzi...

— Jak to! Czy mnie o to chodzi?! Oczywiście!

— W takim razie trzeba się zwrócić do osoby, która nie jest diabłem.

— Któż jest tą osobą?

— Ja, jak to powiedział Corneille w jednej ze swoich komedii, którą deklamował przede mną sto lat temu.

— La Brie, stary łotrze! — zawołał baron, uważając dalszą rozmowę o tej porze z takim człowiekiem za niebezpieczną — La Brie! Poszukaj no świecy i zaprowadź pana do czerwonego pokoju.

La Brie zabrał się do szukania świecy, baron zaś udał się na spoczynek.

Balsamo spojrzął na zegarek i w tym momencie przypomniał sobie o obietnicy danej Althotasowi. Zamiast dwóch, uczony spał już dwie i pół godziny. Zapytał La Brie, czy powóz znajduje się w tym samym miejscu, i poszedł obudzić Althotasa.

Wracając, zatrzymał się koło drzwi pokoju Andrei, grającej w dalszym ciągu na klawesynie. Uczynił rękami kilka ruchów, które można by poczytać za zaklęcia. Dziewczyna przestała grać, opuściła bezwładnie ręce i odwróciła się powoli ku drzwiom, jakby przymuszona do tego wbrew swej woli.

Balsamo uśmiechnął się. Tego właśnie pragnął i odgadł, że życzenie jego zostało spełnione. Szukając w ciemności poręczy, wszedł na strome schody wiodące do czerwonego pokoju.

Pokój ten był umeblowany podobnie jak i inne pokoje. Dębowe łóżko, stara, wypłowiała kołdra adamaszkowa, wielki kominek kamienny z czasów Ludwika XIII, zarzucony starymi gazetami stół z powykrzywianymi nogami, dwa krzesła drewniane i szafa pomalowana na szaro — oto apartament, jaki Balsamo miał zająć na noc.

La Brie kończył właśnie porządk. Kiedy Balsamo odprawił go, lokaj odchodząc zatrzymał się w drzwiach.

— Muszę panu powiedzieć — rzekł — że pomylił się pan dzisiaj wieczorem...

— Ja? A w czymże to, przyjacielu?

— Dał mi pan dwadzieścia cztery liwry zamiast dwudziestu czterech sous.

Otworzył dłoń i pokazał złotą monetę.

Balsamo spojrzął na starego wzrokiem, z którego można było wnosić, że uczciwość ludzką uważa na ogół za rzadką cnotę.

— And honest! — rzekł jak Hamlet. I sięgnąwszy do kieszeni, położył na dłoni La Brie drugą sztukę złota.

La Brie skłonił się do ziemi i cofnął się ku drzwiom, kiedy Balsamo zapytał:

— Co robią rano w zamku?

— Pan de Taverney pozostaje długo w łóżku, ale panna Andrea wstaje bardzo wcześnie.

— O której godzinie?

— Około szóstej, panie.

— Kto sypia nad tym pokojem?

— Ja, panie.

— A na dole?

— Nikt. Pod tym pokojem jest sień.

— Dziękuję, przyjacielu, teraz możesz odejść.

— Dobranoc, panie.

— Dobranoc. I pamiętaj o moim powozie. Śpi w nim mój stary, zniedołężniały sługa. Poproś Gilberta, żeby mu nie przeszkadzał i poproś go jednocześnie, żeby się zaraz z rana zobaczył koniecznie ze mną. Czy spamiętasz to wszystko, przyjacielu?

— Bez wątpienia panie. Ale czy pan tak wcześnie chciałby nas opuścić?

— Zobaczmy — odparł z uśmiechem Balsamo. — Ale jutro wieczorem muszę być w Bar-le-Duc.

La Brie skłonił się i wyszedł.

Balsamo podszedł ku drzwiom i zaczął nadśluchiwać. Wkrótce ponad jego głową rozległo się stapanie La Brie.

Wtedy Balsamo zbliżył się do okna. Naprzeciwno, w mieszkaniu Nicole paliło się jeszcze światło. Poprzez niezbyt szczelnie zasłoniętą firankę widać było, jak dziewczyna rozbiera się zwolna i coraz to wychyla z okna, jakby wypatrując kogoś na podwórzu.

Balsamo przypatrywał jej się z uwagą, której nie okazał podczas wieczerzy.

— Dziwne podobieństwo — szepnął.

W tej chwili światło w pokoju Nicole zgasło. Balsamo jednak nie odchodził. Stał oparty o ścianę i zdawał się na coś czekać.

Z dołu dochodziły dźwięki klawesynu. Balsamo słuchał ich czujnie, jak gdyby pragnąc upewnić się, czy z głosem instrumentu nie miesza się jakiś inny dźwięk.

Potem, kiedy przekonał się, że tylko Andrea nie śpi, otworzył ostrożnie drzwi, zszedł po cichu po schodach i znalazł się w salonie.

Panna de Tavenney nie dosłyszała jego wejścia.

Jej piękne, matowo białe ręce przesuwają się po żółtych klawiszach.

Grała jakąś melancholijną melodię, odtwarzając jakby dawniejsze swoje wspomnienia czy marzenia. Być może duch jej, znudzony pobytem w Taverney, wymknął się na chwilę z zamku, aby przenieść się do cienistych ogrodów klasztoru w Nancy, pełnych wesołych pensjonarek. Zamglony wzrok dziewczyny gubił się w posępnym zwierciadle umieszczonym naprzeciwno niej i odbijającym ciemności, których nie mogła rozproszyć świeca postawiona na klawesynie.

Niekiedy przestawała grać i przypominała sobie tę dziwną scenę przy kolacji.. Czula, że serce bije jej mocno i przenikają ją dreszcze. Drżała, jakby pamięć minionej chwili przemieniła się w dotknięcie żywej istoty.

Nagle, kiedy starała się otrząsnąć z tych dziwacznych wrażeń, doświadczyła ich na nowo. Ciało jej przeszył gwałtowny wstrząs, oczy stały się przejrzyste. Utkwiła je w zwierciadle i dostrzegła, że coś się w nim poruszyło.

W drzwiach pokazał się cień.

Palce Andrei zatrzymały się na klawiszach. Dziewczyna odgadła, że nie mógł to być ani baron, ani Nicole, ani też stary La Brie.

Cień zbliżał się wolno i gdy wszedł w krąg światła, Andrea poznała w nim cudzoziemca o przerażająco bladej twarzy. Próbowwała odwrócić się i krzyknąć, ale Balsamo wyciągnął ku niej ręce. i, dziewczyna znieruchomiała.

— Na miłość Boską! Czego chcesz ode mnie, panie? Balsamo uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

Andrea usiłowała wstać, ale jakaś dziwna i potężna siła przykuła ją do krzesła.

Ogarnęło ją błogie odrętwienie i lęk zarazem. Poczula, że znajduje się w mocy tego obcego człowieka., Chciała zawołać o ratunek i z wysiłkiem otworzyła usta, ale Balsamo uniósł ponad jej głowę swoje ręce i głos zamarł jej na ustach. Opuściła bezwładnie głowę.

W tej chwili Balsamo usłyszał lekki szmer. Obejrzał się szybko i dojrzał za oknem twarz mężczyzny, która natychmiast znikła.

Zmarszczył brwi i — rzecz dziwna — taki sam wyraz odbił się na twarzy Andrei. Balsamo obrócił się ku niej; uczynił kilka tajemniczych ruchów rękami i rzekł:

— Zaśnij.

Kiedy Andrea próbowała opierać się, Balsamo powtórzył rozkazująco:

— Zaśnij! Ja tego żądam.

Tym razem Andrea uległa jego woli. Oparła się o klawesyn, złożyła, głowę na ręce i zasnęła. Balsamo wyszedł, zamknął drzwi za sobą i powrócił do swego pokoju. Po jego wyjściu ta sama twarz mężczyzny ukazała się w oknie. Był to Gilbert.

VIII. HIPNOZA

Nie mając prawa wstępu do salonu, Gilbert przez cały wieczór śledził tych, którzy z tego prawa korzystali.

Podczas kolacji widział rozprawiającego z uśmiechem Balsamo, widział, z jaką uwagą słuchała go Andrea, widział niezwykłą, uprzejmość barona i uniżoność La Brie.

Gdy wstawano od stołu, skrył się w gęstwinę bzu w obawie, aby go Nicole nie dostrzegła.

Dziwnym mogło się wydawać jego zachowanie, zwłaszcza że przecież doskonale znał mieszkańców zamku, ale Gilbert miał tego wieczoru inne zamiary.

Kiedy Nicole zgasiła światło w swoim pokoju, Gilbert podszedł na palcach do okna salonu i urzeczony wpatrywał się w Andree siedzącą przy klawesynie.

W tej właśnie chwili wszedł do salonu Balsamo.

Na jego widok Gilbert zadrżał i iskrzącym wzrokiem przypatrywał się scenie, którą opowiedzieliśmy.

Zdawało mu się, że Balsamo wieszował Andrei talentu, a ona odpowiadała mu ze zwykłym sobie chłodem i że prosił z uśmiechem, aby przestała grać i porozmawiała z nim. Z całej tej sceny, która wydawała mu się zrozumiałą, niczego nie słyszał, gdyż to, co uważał za rozmowę, było milczeniem.

Gdy Balsamo odszedł, Gilbert z zachwytem przyglądał się Andrei, a potem ze zdziwieniem spostrzegł, że dziewczyna śpi. Przez kilka minut nie ruszał się z miejsca, aby przekonać, czy to rzeczywiście sen. Gdy się co do tego upewnił, podniósł się wzburzony i z uniesieniem bliskim szaleństwa rzekł:

— Och, jej ręka... Zbliżyć usta do jej ręki... Gilbertcie, idź ja tak chcę!

To rzekłszy wpadł do przedpokoju i zbliżył się do drzwi salonu, które otwały się przed nim bezgłośnie, podobnie jak przed Balsamo.

Zaledwie wszedł i stanął przed Andrea, zrozumiał zuchwałość swego kroku. On, syn dzierżawcy i wieśniaczki, nieśmiały i niemal pokorny, on, który w swoim poniżeniu ledwie śmiał podnieść oczy na dumną pannę — teraz oto miał dotknąć ustami rąbka jej sukni lub koniuszków palców tego uśpionego bóstwa, które lada chwila mogło się obudzić i zmiażdżyć go pogardliwym spojrzeniem. Na tę myśl mgła upojenia, która przeniknęła umysł i serce Gilberta, rozwiła się. Oparł się o framugę drzwi w obawie, że upadnie.

Patrzył na uśpioną dziewczynę z biciem serca. Była tak piękna w swoim uśpieniu z rozpuszczonymi włosami spadającymi na ramiona, z głową opartą na ręce, że tłumiony strachem, płomień wybuchnął w nim znowu z całą siłą. Pałące pragnienie dotknięcia dziewczyny było tak przemożne, że znowu postąpił krok ku niej.

Podłoga zaskrzypiała i czoło młodzieńca zrosił zimny pot. Ale Andrea nie poruszyła się.

— Śpi — wyszeptał Gilbert. — Śpi... Co za szczęście... Po przejściu kilku kroków Gilbert zawahał się znowu.

Niezwykły błysk dogasającej lampy spłoszył go. Panująca w całym domu cisza dodała mu jednak odwagi.

Znowu zrobił kilka kroków i podłoga znowu zaskrzypiała. Ale i tym razem Andrea nie obudziła się.

Gilberta zdziwił ten osobliwy sen dziewczyny i zaniepokoił.

— Śpi — powiedział do siebie z niezdecydowaniem, charakterystycznym dla zakochanych lub tchórzów. — Tchórzem jest, kto nie umie zapanować nad swym sercem... Śpi... O, Boże!...

Ulegając na przemian sprzecznym uczuciom bojaźni i nadziei, Gilbert znalazł się o dwa kroki od Andrei, jakby w magicznym kręgu. Teraz i ucieczka byłaby już niemożliwa, wszedł bowiem w zasięg działania siły hipnotycznej, którego dziewczyna była ośrodkiem. Uczuł się skrępowany, obezwładniony, zwyciężony. Upadł na kolana.

Andrea pozostawała nieruchoma i niema jak posąg. Gilbert ujął kraj jej sukni w obie ręce i pocałował.

Gdy podniósł głowę, źrenice jego napotkały szeroko otwarte oczy dziewczyny. A jednak Andrea nic nie widziała.

Gilbert nie wiedział, co o tym myśleć. Przez chwilę zdawało mu się, że dziewczyna umarła. Ujął z niepokojem jej rękę: była ciepła i tętno uderzało łagodnie. Ale pozostawała w dłoni Gilberta bezwładna. Wzburzony tym dotknięciem wyobraził sobie, że Andrea widzi, że czuje, że odgaduje jego bezgraniczną miłość, uwierzył swym biednym, zaślepianym sercem, że czekała na jego odwiedziny, że jej milczenie było przyzwoleniem, a bierność oznaką łaski.

Podniósł rękę Andrei i przycisnął do warg w długim, gorącym pocałunku.

Nagle dziewczyna zdrząła i Gilbert uczył, że go odpycha.

— Jestem zgubiony — szepnął, wypuszczając rękę Andrei i uderzył czołem o podłogę.

Dziewczyna podniosła się gwałtownie, nie spojrzawszy nawet na leżącego Gilberta, na wpół przytomnego ze wstydu i przestachu. Z głową podniesioną do góry, jakby kierowana tajemniczą siłą, przeszła obok Gilberta i krokiem chwiejnym i ociężałym zbliżała się ku drzwiom.

Gilbert uniósł się na rękę i śledził ją w osłupieniu.

Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi i podeszła do schodów, Gilbert powłókł się za nią na kolanach.

Opętała go myśl, że Andrea pójdzie do barona i opowie mu o jego haniebnym szaleństwie i że wypędzą go jak lokaja, że przestanie oglądać tę, która była jego światłością, jego życiem, jego duszą.

Rozpacz dodała mu odwagi. Podniósł się i pobiegł za Andrea.

— Na litość Boską, przebacz mi, pani, przebacz! — wyszeptał.

Andrea nie odpowiedziała. Szła dalej mijając drzwi pokoju ojca.

Gilbert odetchnął.

Tymczasem dziewczyna wstąpiła na schody. Na myśl, że Andrea mogłaby pójść do pokoju Balsamo, Gilbert zacisnął pięści z wściekłości. Ale nie był to kres jego udręki, ponieważ dziewczyna zatrzymała się przed drzwiami czerwonego pokoju.

Czoło młodzieńca zrosił zimny pot. Gilbert uczeplił się poręczy schodów, żeby nie upaść. Wszystko, co widział, wszystko, co odgadywał, wydawało mu się potworne.

Drzwi do czerwonego pokoju były na pół uchylone. Andrea popchnęła je nie pukając. Światło padające z pokoju rozjaśniło jej szlachetne, czyste rysy i odbiło się złotymi błyskami w jej szeroko, rozwartych oczach.

W głębi pokoju Gilbert ujrzał cudzoziemca, ze zmarszczonym czołem, oczyma patrzącymi nieruchomo w przestrzeń i wzniesioną rozkazująco ręką.

Potem drzwi się zamknęły.

Gilbert poczył, że opuszczają go siły. Podniósł rękę do rozpalonego czoła zatoczył się jak koło wypadłe z osi i padł bez zmysłów na kamienny stopień, zimnych schodów z oczyma utkwionymi w przekłete drzwi. Wszystkie jego dawne marzenia, całe teraźniejsze szczęście, cała nadzieja przyszłości runęły bezpowrotnie.

IX. JASNOWIDZĄCA

Balsamo zbliżył się do dziewczyny bez żadnego zdziwienia.

— Kazałem ci spać — rzekł. — Czy śpisz?

Andrea westchnęła nic jednak nie odpowiedziała.

— Chcę, żebyś mówiła — powiedział, podchodząc bliżej. Dziewczyna zdrząła.

— Słyszałaś, co powiedziałem? Andrea skinęła głową potakująco.

— Dlaczego więc nie mówisz?

Dotknęła ręką szyi na znak, że nie może wydobyć głosu. Balsamo ujął jej rękę i podprowadził do krzesła.

— Czy widzisz? — zapytał, gdy usiadła.

Źrenice Andrei rozszerzyły się, jakby chciała nimi pochwycić całe światło rozproszone w pokoju.

— Nie każę ci patrzeć oczami. Patrz oczyma duszy.

I wydobywszy spod haftowanej kamizelki stalowy pręt, Balsamo dotknął nim falujących piersi dziewczyny.

Andrea drgnęła gwałtownie, jakby ognista strzała przeszła jej ciało i utkwiała w sercu. Powieki jej opadły.

— Czy widzisz już? — spytał? Skinęła głową.

I będziesz mówiła?

— Będę mówiła — odpowiedziała, podnosząc rękę do czoła z gestem niewysłowionej udręki.

— Co ci jest? — zapytał Balsamo.

— Och, cierpię...

— Dlaczego cierpisz?

— Bo każesz mi patrzeć i mówić.

Balsamo podniósł kilkakrotnie ręce nad głową Andrei, jakby ujmował jej bólu.

— Czy jeszcze cierpisz?

— Mniej.

— Dobrze. Powiedz więc, gdzie jesteś?

Oczy Andrei pozostały zamknięte, ale twarz jej spochmurniała i zdawała się jednocześnie wyrażać najwyższe zdumienie.

— W czerwonym pokoju — wyszeptała.

— Z kim?

— Z panem — odparła drżąc.

— Co ci jest?

— Boję się, wstyd mi.

— Czego? Czy nie łączy nas uczucie wspólnoty?

— Tak.

— Zdajesz sobie sprawę, że sprowadziłem cię w najczystszych zamiarach?

— Tak, to prawda.

— I że cię szanuję jak siostrę? — Tak, wiem o tym.

Twarcz jej wypogodziła się na chwilę, potem zachmurzyła znowu.

— Nie powiedziałaś mi wszystkiego — mówił dalej Balsamo.

— Bo widzę, że chociaż mi źle nie życzysz, to być może źle życzysz innym.

— Możliwe — rzekł cicho Balsamo i dodał rozkazującym tonem. — Ale nie myśl o tym.

Twarcz Andrei przyoblekła się w wyraz skupienia.

— Czy wszyscy śpią w domu? — spytał Balsamo.

— Nie wiem.

— A więc zobacz! Gdzie jest twój ojciec?

— W swoim pokoju.

— Co robi?

— Leży i czyta.

— Co czyta?

— Jedną z tych złych książek, do których czytania mnie zachęca.

— A ty ich nie czytasz?

— Nie.

— Dobrze. A co robi Nicole?

— Na wpół ubrana otwiera ostrożnie drzwi i schodzi po schodach.

— Dokąd idzie?

— Do furki na dziedzińcu. Czai się. Czeka.

— Czy na ciebie? — zapytał z uśmiechem Balsamo.

— Nie.

— To bardzo ważne. Kiedy ani ojciec ani pokojówka nie pilnują młodej dziewczyny, to nie potrzebuje się ona niczego obawiać, chyba że...

— Nie — przerwała Andrea.

— O, odgadujesz, co mam na myśli.

— Czytam ją.

— A więc nikogo nie kochasz?

— Ja? — spytała pogardliwie. I dodała smutno: — Serce moje jest wolne.

W twarzy jej było tyle niewinności i skromności, że Balsamo szepnął wzruszony:

— Prawdziwa lilia! Jasnowidząca!

I złożywszy ręce na znak dziękczynienia, zapytał Andreę:

— Ale jeżeli nie kochasz, to jesteś zapewne kochana?

— Nie wiem.

— Jak to, nie wiesz? — rzekł szorstko. — Kiedy pytam, chcę mieć odpowiedź.

I po raz drugi dotknął stalowym prętem piersi dziewczyny.

— Tak, widzę — odparła z drżeniem. — Ale nie męcz mnie...

— Cóż widzisz?

— Och, nie do wiary!... Młodego człowieka, który od mojego powrotu z klasztoru chodzi za mną i ukradkiem pożera mnie oczyma.

— Cóż to za człowiek?

— Nie widzę jego twarzy. Ubrany jest jak robotnik.

— Gdzie on jest?

— Przed schodami. Cierpi, płacze...

— Dlaczego nie widzisz jego twarzy?

— Bo zasłania ją rękami.

— To spojrzij przez nie! Twarz Andrei stężała.

— Gilbert! — krzyknęła. — Przecież mówiłam, że to nie możliwe

— Dlaczego niemożliwe?

— Bo on nie ośmieliłby się mnie kochać — odparła tonem najwyższej pogardy.

Balsamo uśmiechnął się jak człowiek, który zna ludzi i wie, że nie ma takich przeszkód, których by nie przezwyciężyła miłość.

— I cóż on tam robi przy schodach?

— Zaraz... zaraz... Odejmuje ręce od twarzy, chwytą kurczowo poręcz, podnosi się, idzie...

— Dokąd?

— Tutaj... Ale na próżno. On nie ośmieli się wejść, bo się boi.

— Ale będzie podsłuchiwał.

— Tak, przykłada ucho do drzwi, nadśłuchuje.

— Czy sprawia ci to przykrość?

— Tak, bo może usłyszeć, co mówię.

— I zdolny byłby to wykorzystać, mimo że cię kocha?

— Tak, w przystępie gniewu lub uniesienia. W takich chwilach zdolny jest do wszystkiego.

— Wobec tego pozbędziemy się go — rzekł Balsamo i podszedł do drzwi.

Na odgłos jego kroków Gilbert wskoczył na poręcz i szybko zsunął się na dół.

Andrea krzyknęła z trwogi.

— Przestań patrzeć w tę stronę — nakazał Balsamo. — Taka zwyczajna miłość jest rzeczą małej wagi. Czy zechcesz mi teraz powiedzieć o baronie de Taverney?

— Chcę tylko tego, czego ty chcesz — odparła z westchnieniem.

— Zatem baron jest biedny?

— Bardzo biedny.

— Czy tak biedny, że nie może ci dostarczyć żadnej rozrywki.

— Żadnej.

— Więc nudzisz się w tym domku?

— Śmiertelnie.

- A czy kochasz ojca? .
 - Tak — odparła z wahaniem.
 - Jednakże zdawało mi się wczoraj wieczorem, że tę miłość do ojca zasnuła jakaś chmura?
 - Mam żal do niego, że lekkomyślnie roztrwonił cały majątek mojej matki, tak że biedny Maison-Rouge gnuśnieje w wojsku i nie może godnie nosić nazwiska naszego rodu.
 - Któż to jest Maison-Rouge?
 - Mój brat, Filip.
 - Dlaczego nazywasz go Maison-Rouge?
 - To jest... a raczej była nazwa naszego zamku i nazwisko rodowe.
 - Czy kochasz brata?
 - Ach tak, bardzo!
 - A dlaczego kochasz go tak bardzo,, kiedy dla ojca masz mniej uczucia?
 - Bo ma szlachetne serce... Oddałby życie za mnie.
 - Gdy ojciec twój? Andrea milczała.
 - Nie odpowiadasz.
 - Nie chcę odpowiedzieć.
- Widocznie Balsamo nie chciał tym razem przełamywać woli dziewczęcia, być może zresztą wiedział już o baronie wszystko, czego się chciał dowiedzieć.
- A gdzie w tej chwili przebywa kawaler de Maison- Rouge?
 - Stacjonuje w Strasburgu.
 - Czy widzisz go w tej chwili?
 - Nie widzę.
 - A czy znasz Strasburg?
 - Nie.
 - Ja znam. Poszukajmy razem, dobrze?
 - Dobrze.
 - Czy brat jest w teatrze?
 - Nie.
 - Może w kawiarni na placu ratuszowym wraz z innymi oficerami?
 - Nie.
 - A może powrócił do mieszkania? Chcę, żebyś zajrzała do mieszkania brata.
 - Nie widzę go tam. Zdaje się, że go nie ma w Strasburgu.
 - Czy znasz drogę ze Strasburga do Taverney?
 - Nie znam.
 - To nic. Ja ją znam. Pójdziemy tą drogą. Może brat jest w Saverne?
 - Nie.
 - To może w Sarrebrück?
 - Nie.
 - A w Nancy?
 - Zaraz... — Dziewczyna podniosła głowę i powiedziała z wybuchem radości: — Widzę, widzę! O, drogi Filipie! Co za szczęście.
 - Gdzież on jest?
 - Jedźcie konno przez miasto, gdzie byłam w klasztorze. Zmam je bardzo dobrze.
 - Czyś pewna., że to brat?
 - O tak! Jego twarz oświetlają pochodnie.
 - Pochodnie? — spytał zdziwiony Balsamo. — Skąd pochodnie?
 - Przy drzwiczkach złocistej karety.
 - A któż jest w karecie?

— Młoda kobieta... Jaka wspaniała, jaka piękna! Dziwne... Zdaje mi się, że już ją widziałam... Ale nie, omyliłam się, to Nicole do niej podobna...

— Nicole podobna do kobiety tak wspaniałej i tak pięknej?

— Tak, ale jak jaśmin do lilii.

— A co się w tej chwili dzieje w Nancy?

— Młoda kobieta wychyla się z karety i daje znak Filipowi, ażeby się zbliżył. Filip podchodzi, zdejmując kapelusz z szacunkiem.

— Czy możesz usłyszeć, co mówią?

— Będę słyszała — odparła Andrea, dając znak ręką, żeby jej nie przeszkadzać. — Słyszę...

— Cóż mówi młoda pani?

— Wydaje mu polecenie, uśmiechając się słodko, ażeby jechano prędzej. Mówi, żeby eskorta była w pogotowiu jutro o godzinie szóstej rano i że chce się zatrzymać w ciągu dnia.

— Gdzie?

— O to ją właśnie brat... Boże!... Ona się chce zatrzymać w Taverney! Chce się zobaczyć z moim ojcem. Taka wielka księżniczka chce zawitać do tak biednego domu! Cóż pocniemy bez srebra, bez nakrycia?!

— Bądź spokojna, zaradzimy temu.

— Dziękuję — wyszeptala i podniósłszy się lekko upadła na fotel z głębokim westchnieniem.

Balsamo zbliżył się do niej . i kilkoma poruszeniami rąk przywrócił jej spokój.

— Zbierz siły — mówił rozkazująco, wpatrując się w nią z natężeniem — za chwilę będę jeszcze potrzebował całego twojego jasnowidzenia. — I zaczął mówić z uniesieniem: — O, wiedzo! Tylko ty jedna jesteś niezawodina! Tobie jednej człowiek wszystko powinien poświęcić... Boże, jakże piękna jest ta kobieta! Czysta jak anioł... Wiesz o tym dobrze Ty, coś stworzył anioły i kobiety. A dla mnie cóż znaczy w tej chwili piękność i niewinność? Tyle tylko, ile się moja wiedza dzięki nim może wzbogacić. Niech umiera istota nawet piękna i czysta, byleby tylko jej usta przedtem mówiły. Niech przepadną rozkosze całego świata, miłość, namiętność, ekstaza, bylebym ja mógł zawsze postępować świadomie i stanowczo. A teraz, młoda „dziewczyno, kiedy mocą mojej woli kilka sekund snu przywróci ci tyle sił, jakbyś spała lat dwadzieścia, teraz przebudź się, a raczej pograź się znowu w sen jasnowidzący. Potrzeba mi, ażebyś mówiła. Ale tym razem będziesz mówiła tylko dla mnie.

I Balsamo wyciągnawszy ręce ku Andrei zmusił dziewczynę do wyprostowania się pod działaniem magnetycznego fluidu.

Gdy dostrzegł, że Andrea jest przygotowana i uległa, wydobył z pugilaesu papier, w którym znajdował się pukiel czarnych jak smoła włosów.

— Patrz! — rzekł rozkazująco, kładąc włosy do ręki Andrei.

— O nie! Pozostaw mnie pan. w spokoju — prosiła z udręką w głosie. — Mój Boże, przed chwilą było mi tak dobrze...

— Patrz! — powtórzył Balsamo bezlitośnie, dotykając prętem piersi dziewczyny.

Andrea załamała ręce, na jej usta wystąpiła piana, jak niegdyś u Pytii siedzącej na poświęconym trójnogu.

— Widzę, widzę — zawołała z rozpaczą.

— Kogo widzisz?

— Kobietę.

— O! — wyszeptał Balsamo z dziką radością. — Wiedza nie jest więc próżnym słowem jak cnota. Mesmer zwyciężył Brutusa. No, opisz mi tę kobietę, ażebym się przekonał, czy ją dobrze widziałas.

— Brunetka, wysoka, cera ciemna, oczy niebieskie, ręce nerwowe.

— Co teraz robi?

— Jedzie, pędzi, unosi ją piękny rumak pokryty pianą.

— W którą stronę jedzie?

— Tam — odparła Andrea, wskazując na zachód.

— Dokąd ta droga prowadzi? Czy do Chalons?

— Tak.

— To dobrze. I ja tam się udaję. Jedzie do Paryża i tam ją znajdzie. — Po czym Balsamo zwrócił się do dziewczyny: — Teraz odpocznij..

Wziął pukiel włosów z jej rąk, które natychmiast opadły bezwładnie.

— Wracaj do klawesynu — rozkazał

Zrobiła krok ku drzwiom, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zachwiała, się.

— Nabierz sił i idź dalej — powiedział poddając ją znowu działaniu magnetycznego fluidu.

Jak szlachetny rumak, zawsze posłuszny woli swego pana, Andrea postąpiła ku drzwiom.

Balsamo otworzył je, a uśpiona. Andrea zeszła wolno po schodach.

X. NICOLE LEGAY

Przez cały czas pobytu Andrei w czerwonym pokoju Gilbert cierpiał niewysłowione, męczarnie.

Ukryty pod schodami, dał się opanować skrajnej rozpacz, która przy jego usposobieniu mogłaby doprowadzić do nieobliczalnego wybuchu. Rozpacz tę pogłębiało uczucie poniżenia i bezsilności.

Gilbert nie wierzył w czarowników i uważał cudzoziemca tylko za człowieka. Ale człowiek ten był silny, gdy Gilbert słaby. Balsamo był odważny, Gilbert jeszcze nie.

Dwadzieścia razy próbował Gilbert wejść na schody i stawić czoło cudzoziemcowi, dwadzieścia razy nogi uginały się pod nim i nie mógł uczynić ani kroku.

Przyszło mu wtedy na myśl poszukać drabiny, której La Brie używał do wiązania wiciokrzewu i jaśminu. Przystawiwszy drabinę do galeryjki schodów i wszedłszy na nią, słyszałby zapewne to, czego tak bardzo pragnął się dowiedzieć. Wszedł na dziedziniec i już: chciał podnieść drabinę, która leżała pod murem, gdy posłyszał jakiś szmer. Obrócił się i na czarnym tle otwartych drzwi dojrzał jakąś postać przesuwającą się cicho jak widmo.

Upuścił drabinę i z bijącym sercem zwrócił się w kierunku zamku.

Wyobraźnia niektórych ludzi łatwo poddaje się zabobonom. Zwykle zdarza się to naturom bujnym i egzaltowanym., W ich umysłach często rzeczywistość miesza się z urojeniami. To, co naturalne uważają za zbyt pospolite, ponad wszystko przedkładając rzeczy niemożliwe i idealne. Pociągają ich głębie ciemnych lasów, bo w ich mroku zdają się widzieć fantastyczne stwory.

Jakkolwiek był niedowiarkiem, nie mógł uwolnić się od wrażenia, że ujrzał widmo. Przypomniał sobie, co o cudzoziemcu powiedziała mu uciekająca kobieta, którą spotkał podczas burzy. Czyż Balsamo nie mógł wywołać ducha, zdolnego opętać anioła czystości?

Po tym pierwszym wrażeniu Gilbert opanował się. Przywołał na pomoc wszystkie argumenty niedowiarków, a artykuł o upiorach w słowniku filozoficznym przywrócił mu nie co odwagi, choć zarazem znowu obudził strach i to coraz silniejszy.

Jeżeli rzeczywiście kogo zobaczył, musiała to być istota żywa, a w każdym bądź razie zachowująca się, jakby kogoś usilnie śledziła.

Strach podszeptał mu osobę pana de Taverney, przecucie podpowiedziało co innego.

Spojrzał w okno na drugim piętrze, światło w pokoju Nicole było jednak zgaszone, a przez szyby nic nie można było spostrzec. W całym zamku zresztą, z wyjątkiem pokoju cudzoziemca, panowała cisza i ciemność.

Przekonany, że uległ złudzeniu, Gilbert wziął drabinę i przystawił ją do galeryjki. Ledwie jednak wszedł na pierwszy szczebel, drzwi czerwonego pokoju otworzyły się i ukazała się w nich Andrea. Zeszła bezgłośnie po schodach i minęła skamieniałego Gilberta musnąwszy go suknią. Przewyciężając odrętwienie, młodzieniec poszedł w ślad za Andrea, która wchodziła właśnie do salonu.

Dziewczyna usiadła na taborecie przy klawesynie, Gilbert jednak zatrzymał się przy uchylonych drzwiach.

Miotłały nim gwałtowne uczucia. W tym samym miejscu przed pół godziną ucałował suknię i rękę Andrei, a ona nie rozgniewała się na niego. Jakże się czuł szczęśliwy!

Być może łaskawość dziewczyny była owocem zepsucia, o jakim Gilbert czytał w romansach. Ale skoro anioł rzuca na wiatr swą szatę niewinności, czyż nie warto pochwycić z niej choćby kilka strzępów?

Tym razem Gilbert był zdecydowany, ale gdy miał już przestąpić próg salonu, czyjaś ręka pochwyciła go energicznie za ramię.

Gilbert odwrócił się przerażony. Zdawało mu się, że serce wyskoczy mu z piersi.

— A, mam cię nareszcie, bezwstydniku! — szepnął gniewny głos. — Spróbuj teraz zapierać się, że masz z nią schadzki, spróbuj kłamać, że jej nie kochasz!...

Była to Nicole.

— Czego chcesz? — spytał Gilbert zniecierpliwiony.

— Mogę ci powiedzieć i to głośno! — odparła z pogroźką W głosie.

— Nie, nie, chcę, żebyś milczała — powiedział Gilbert wciągając Nicole do przedpokoju.

Dziewczyna nie opierała się. Wyszli do ogrodu. — A może panna Andrea zawoła cię — rzekł Gilbert — a ciebie nie będzie...

— Jeżeli myślisz, że to mnie obchodzi w tej chwili, to się mylisz. Muszę się z tobą rozmówić.

— Czy nie możesz tego odłożyć do jutra? Wiesz, że panna Andrea jest surowa...

— Niech spróbuje być surowa ze mną!

— Nicole, jutro... Przysięgam ci...

— Przysiękasz! A czy nie przysiękałeś, że będziesz na mnie czekał o szóstej?! Za nic mam twoje przysięczenia!

— Nicole, pamiętaj, że cię odprawia, jeżeli zauważą...

— A ciebie nie odprawia?! Myślisz, że kochanka swej córki baron zawaha się wyrzucie?

— Nie ma żadnej przyczyny, aby mnie odprawić.

— Rzeczywiście! On ci pozwolił zalecać się do swojej córki?! Nie wiedziałam, że z niego taki filozof.

Gilbert mógł jednym słowem dowieść Nicole, że chociaż był winien, jednak Andrea nie była w tej sprawie współwinna. Dość mu było opowiedzieć, co widział, a co wydawało się tak nieprawdopodobne, żeby Nicole we wszystko uwierzyła. A jednak Gilbert miał powody, które powstrzymały go od wyznania.

Tajemnica Andrei należała do rzędu tych, które mogą zadość uczynić pragnieniom miłości, albo przynieść korzyści materialne. Gilbert pragnął miłości Andrei i dlatego zachował milczenie, przygotowany, że Nicole będzie dochodzić i prawdy.

— Tu w ogrodzie trudno jest rozmawiać — rzekła Nicole. — Chodźmy do mojego pokoju!

— Do twojego pokoju?! — zawołał Gilbert przestraszony. — Ależ to niemożliwe!

— Dlaczego?

— Bo mógłby nas kto zobaczyć.

— Kto? Może panna Andrea? — powiedziała drwiąco Nicole. — Rzeczywiście, ma powody być zazdrosna o tak pięknego panicza! Co za zaszczyt dla mnie!

Zaśmiała się sztucznie i śmiech ten zatrwożył Gilberta bardziej niż pogroźka.

— Nie o pannę Andreę się lękam, ale o ciebie.

— Ach tak! Mówiłeś mi nieraz, że gdzie nie ma skandalu, tam nie dzieje się nic złego. Filozofowie bywają niekiedy jezuitami. Kapelan w klasztorze mówił tak samo i dlatego... pewnie miewasz schadzki w nocy. No, ale dosyć tych wykrętów! Chodź do mojego pokoju! Dalej!

— Nicole! Uważaj! — rzekł Gilbert i zamierzył się na dziewczynę.

— O, nie boję się! Już mnie raz uderzyłeś, kiedy byłeś o mnie zazdrosny. Ale wtedy mnie kochałeś. Było to w tydzień po naszych miodowych dniach i pozwoliłam się bić.

Ale dzisiaj nie pozwolę, bo już mnie nie kochasz. I teraz ja jestem zazdrosna.

— I cóż zrobisz? — zapytał chwytając ją za rękę.

— Będę tak krzyczała, że panna Andrea zapyta, jakim prawem robisz to, co jej się tylko należy. Radzę ci, puść mnie.

Gilbert puścił rękę Nicole. Potem wzięwszy drabinę i ciągnąc ją ostrożnie przystawił do okna jej pokoju.

— Widzisz, co to jest przeznaczenie! — rzekła dziewczyna. — Drabina, która miała umożliwić wejście do pokoju panny Andrei, posłuży teraz do wyjścia z izby Nicole. To mi pochlebia.

Nicole czuła, że ma przewagę i nie omieszkała jej okazać jak kobiety, które drogo odpłacają przedwcześnie ogłoszone zwycięstwo.

Gilbert rozumiał, jak fałszywe było jego położenie i starał się zebrać siły do walki, którą przewidywał.

Przede wszystkim upewnił się, że panna de Taverney pozostawała wciąż w salonie, a następnie obliczył, że nie narażając się na złamanie karku można dosięgnąć pierwszego szczebla drabiny i zeskoczyć na ziemię.

Kiedy tak rozważał, weszli do pokoju Nicole.

Było to właściwie poddasze o ścianach pokrytych szarozieloną tapetą. Drewniane łóżko, okazała gerania przy oknie i ofiarowana przez Andreą skrzynia, która służyła za komodę i stół — stanowiły całe umeblowanie izdebki.

Nicole usiadła na brzegu łóżka, Gilbert na krawędzi skrzyni. Oczy dziewczyny płonęły gniewem.

— Więc to tak — odezwała się. — Kochasz się w pannie Andrei, a mnie oszukujesz!

— Kto ci powiedział, że się kocham w pannie Andrei? — No przecież masz z nią schadzki.

— A kto ci powiedział, że to z nią?

— A co robiłeś w zamku? Może byłeś u cudzoziemca?

— A może! Przecież jestem ciekawy.

— Powiedz raczej: zazdrosny. Zresztą zostawmy to. Nie kochasz mnie już, prawda?

— Ależ kocham cię zawsze!

— Więc dlaczego mnie unikasz?

— Bo kiedy się spotkamy, ciągle kłócisz się ze mną.

— Szukam kłótni, bo nic nie robimy, tylko spotykamy się z sobą.

— Wiesz, że zawsze byłem dziki i szukałem samotności. — Nie wiedziałam, że jej się szuka z drabiną.

Dla Gilberta stało się jasne, że rozmowa rozpoczęła się dla niego niepomyślnie.

— No, Gilberte, przyznaj się, że mnie już nie kochasz, albo że kochasz nas oboje.

— A gdyby tak było, cóż byś na to powiedziała?

— Powiedziałabym, że to wstrętne. I że to tylko twoja wina.

— A może naszego społeczeństwa?... Są kraje, gdzie — jak wiesz — każdy mężczyzna ma po siedem i więcej żon.

— To nie są chrześcijanie! — odpowiedziała z niecierpliwością.

— To są filozofowie! — rzekł wyniośle Gilbert.

— O, panowie filozofowie! A więc uważałbyś za właściwe, gdybym tak jak ty postarała się o drugiego kochanka?

— Nie chciałbym być względem ciebie niesprawiedliwy. Nie powinienem hamować popędów twego serca... Nie wolno krępować niczyjej wolności... Gdybyś pokochała kogo innego, nie mógłbym cię zmusić do wierności, która moim zdaniem jest przeciwna naturze ludzkiej.

— Ach tak! — krzyknęła Nicole. — Teraz już jasne, że mnie nie kochasz!

Czując się silniejszym w walce na słowa, Gilbert odzyskiwał powoli zimną krew, którą z kolei traciła Nicole.

— Czy przynajmniej masz dobrą pamięć, panie filozofie? — spytała z szyderczym uśmiechem.

— Czasami...

— A czy sobie przypominasz, co mi mówiłeś, kiedy powróciłam z panną Andreą z klasztoru, przed pięciu miesiącami?

— Nie, ale może mi przypomnisz?

— Powiedziałeś do mnie: „Jestem biedny”. Było to tego dnia, kiedy czytaliśmy razem Tanzai w ruinach zamku...

— I cóż dalej?

— Drżałeś wtedy...

— Być może, jestem z natury lękliwy. Ale wiem, co robić, żeby się wyleczyć z tej wady... I z innych.

— Tak, a kiedy wyzbędziesz się swoich wad, będziesz doskonały — zaśmiała się Nicole.

— W każdym razie silny, bo mądrość daje siłę. — Gdzieś to wyczytał? .

— Co cię to obchodzi! Cóż ci jeszcze mówiłem w ruinach? — Mówiłeś mi: „Jestem biedny, nikt mnie nie kocha i nikt nie pomyśli, że i ja mam tutaj coś i uderzyłeś się w serce.

— Mylisz się, Nicole. Kiedy to powiedziałem, uderzyłem się w głowę, nie w serce. Serce jest tylko pompą, tłoczącą krew po całym ciele. Przeczytać o tym możesz w słowniku filozoficznym.

Powiedziawszy to, Gilbert wyprostował się dumnie. Wyniosłością wobec Nicole zdawał się brać odwet za upokorzenie, jakiego doznał w rozmowie z Balsamo.

— Masz słuszność, Gilberte — mówiła Nicole — powiedziłeś, uderzając się w głowę: „Obchodzą się tutaj ze mną jak z psem folwarcznym”. Odpowiedziałam wtedy, że nie zasłużyłeś na niechęć i że gdybyś był moim bratem, to bym cię kochała. Zdaje się, że powiedziałam ci to z serca, a nie z głowy. Ale może się omyliłam: ja nie czytam słownika filozoficznego.

— A jedna? pomyliłaś się.

— Wtedy objąłeś mnie i powiedziłeś: „Jesteś sierotą i ja jestem sierotą. Nasze poniżenie czyni nas bliskimi. Kochajmy się więc, Nicole, jak rodzeństwo. Zresztą gdybyśmy nim naprawdę byli, społeczeństwo zabroniłoby nam kochać się tak, jak ja chcę, żebyś mnie kochała”. Wtedy mnie pocałowałeś.

— Być może.

— Czy myślałeś tak, jak mówiłeś?

— Oczywiście. Zawsze prawie myśli się o tym, co się mówi, w chwili, kiedy się mówi.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj jestem starszy o pięć miesięcy, nauczyłem się rzeczy, o których nie wiedziałem i odgaduję te, których jeszcze nie znam. Dzisiaj myślę inaczej.

— Jesteś więc kłamcą i obłudnikiem! — krzyknęła dziewczyna, unosząc się gniewem.

— Nie większym niż podróżny, którego pytają w głębi doliny, co myśli o krajobrazie i któremu to samo pytanie zadają na szczycie góry. Widzę po prostu więcej. Oto wszystko.

— A więc nie ożenisz się ze mną?

— Nigdy nie powiedziałem, że się z tobą ożenię — odparł Gilbert lekceważąco.

— No, no! — krzyknęła dziewczyna z gniewem. — Zdaje mi się, że Nicole Legay tyle warta co Sebastian Gilbert.

— Wszyscy ludzie są sobie równi — rzekł Gilbert. — Różni ich tylko od siebie wykształcenie i zdolności, a stopień wykształcenia i rozwój zdolności oddała jednych od drugich.

— A więc oddalasz się ode mnie?

— Naturalnie. Zaczynasz mnie rozumieć.

— Tak! — zawołała zrozpaczona Nicole. — Rozumiem!

— I cóż rozumiesz?

— Rozumiem, że jesteś nieuczciwy.

— Być może. Wielu ludzi rodzi się ze złymi skłonnościami, ale po to jest wola, aby się ich wyzbyc. Rousseau także urodził się ze złymi skłonnościami, a przecież odmienił się. Ja właśnie będę go naśladował.

— Ach, mój Boże! Jakże mogłam kochać takiego człowieka?!

— To też mnie nie kochałaś, Nicole — odparł zimno Gilbert. — Ja tylko podobałem się tobie, oto wszystko. Wychowywałaś się w Nancy, gdzie spotykałaś seminarzystów, którzy budzili w tobie śmiech, albo wojskowych, których lękałaś się. Byliśmy oboje młodzi i niewinni. Ale natura przemawiała w nas głosem niepokoju i zapalała krew w naszych żyłach. Niepokój, którego ukojenia szukamy w książkach, budzi jeszcze większą rozterkę. Czytając jedną z takich książek, odkryliśmy, tajemnicę tego niepokoju. Byliśmy wtedy szczęśliwi. Ale czy to znaczy, że jeżeli byliśmy szczęśliwi przez dwa miesiące, to mamy teraz być nieszczęśliwi na całe życie? Pomyśl, Nicole, przecież takie postępowanie byłoby niedorzecznością. — A więc uczysz mnie filozofii?

— Tak sądzę.

— Czy nie ma już nic świętego dla filozofów? — Owszem, rozum.

— A więc ja, która chciałam być uczciwa...

— Przepraszam, ale to już za późno... Nicole zbladła, potem się zarumieniła.

— Pocięłaś mnie, że kobieta jest zawsze uczciwa, jeżeli dochowuje wierności temu, którego jej serce wybrało. Przypominasz to sobie?

— Nie mówiłem o małżeństwie, Nicole. Ja się zresztą nigdy nie ożenię.

— Nigdy się nie ożenisz?

— Nigdy! Chcę być filozofem i uczonym. Nauka nakazu . je samotność umysłu, a filozofia — ciała.

— Panie Gilbert! — rzekła Nicole. — Jesteś nikczemnikiem i uważam, że jestem warta więcej od ciebie.

— Skończmy już — powiedział Gilbert podnosząc się. — Tracimy czas daremnie, ty na obelgi, a ja na ich słuchanie. Kochałaś mnie, bo ci się tak podobało, czy nie tak?

— Naturalnie.

— W takim razie to nie jest przyczyna, żebyś mnie czyniła nieszczęśliwym dlatego, że zrobiłaś to, co ci się podobało.

— Głupiec! — rzekła Nicole. — Myśli, że jestem zepsuta i udaje, że się mnie nie boi!

— Ciebie się bać, Nicole? Może... A cóż ty możesz mi zrobić? Zazdrość ci odbiera rozum., Nicole.

— Zazdrość! — mówiła Nicole śmiejąc się nerwowo. — Ja zazdrosna! Mylisz się bardzo. Dlaczego miałabym być zazdrosna? Czy jest w całej okolicy ładniejsza ode mnie dziewczyna? Gdybym nie pracowała i miała ręce białe jak panna Andrea, czy nie byłabym tyle warta co ona? Patrz na moje włosy — i dziewczyna rozwiązała je — moje włosy mogą minie okryć od stóp do głowy jak płaszcz. Jestem zgrabna i dobrze zbudowana. Mam zęby jak perły. Kiedy się do kogo uśmiechnę i popatrzę na niego znacząco, rumieni się, drży i kurczy pod moim spojrzeniem. Ty jesteś moim pierwszym kochankiem, to prawda, ale nie jesteś pierwszym, którego kokietowałam. A ty się śmiejesz! — zasyczała. — Jeszcze mnie powstrzymuje pamięć matki i wspomnienia modlitw dziecięcych. Ale jeśli raz przekroczę granicę wstydu, wtedy strzeż się, bo będziesz miał sobie do wyrzucenia nie tylko nieszczęścia, jakie spadną na ciebie, ale i te, które wynikną stąd dla innych.

— Znakomicie — rzekł Gilbert — osiągnęliśmy już pewien poziom, Nicole, i jestem przekonany o jednej rzeczy...

— O jakiej?

— Ze gdybym chciał się z tobą teraz ożenić, tobyś mi odmówiła.

Nicole zamyśliła się, potem z rękami kurczowo zaciśniętymi wybuchnęła:

— Wierzę, że masz słuszość. Wydaje mi się, że i ja widzę rozszerzający się przede mną horyzont i że ja także mogę być kimś. Bo rzeczywiście to niewielka rzecz być żoną uczonego albo filozofa. A teraz wracaj na swoją drabinę i strzeż się, żebyś karku nie skręcił. Chociaż zaczynam wierzyć, że byłoby to wielkim szczęściem dla innych, a może i dla ciebie samego.

I dziewczyna odwróciwszy się plecami do Gilberta, zaczęła się rozbierać, jakby go nie było.

Gilbert stał przez chwilę nieruchomy i niezdecydowany, gdyż podniecona gniewem i zazdrością Nicole wyglądała .zachwycająco. Ale że zrobił mocne postanowienie zerwania z nią, oparł się pokusie.

Po chwili Nicole, nie słysząc żadnego szmeru za sobą, obróciła się: pokój był pusty.

— Poszedł! — szepnęła. — Poszedł...

Podeszła do okna. Wszędzie było ciemno, światła pogasły. Zeszła na palcach ze schodów, zbliżyła się do drzwi pokoju Andrei i nadśluchiwała.

— Dobrze — stwierdziła. — Jest sama i śpi. A więc do jutra... Och, dowiem się, czy ona go kocha!...

XI. PANI I POKOJÓWKA

Po rozmowie z Gilbertem Nicole powróciła do równowagi tylko pozornie. Była to dziewczyna, która umiała maskować swoje uczucia. Pozorna zarożumiałość i siła charakteru były po prostu zwykłą fanfaronadą. Nicole miała wyobraźnię nieokielzaną, a nieodpowiednie książki przewróciły jej w głowie. Połączenie takiego stanu umysłu z taką wyobraźnią potęgowało jej burzliwą namiętność. Ale Nicole nigdy nie była oschła i jeżeli wybujala miłość własna potrafiła wstrzymać łzy w jej oczach, to przecież łzy te spadały w jej serce jak krople roztopionego ołowiu.

Jedno tylko w jej zachowaniu było prawdziwe: pogardliwy uśmiech, z jakim przyjęła pierwsze obelgi Gilberta. A przecież uśmiech ten odkrywał wszystkie rany jej serca! Zapewne, Nicole była dziewczyną bez zasad, ale swojego upadku nie uważała za coś hańbiącego, ponieważ oddając się Gilbertowi wierzyła, że jest to podarunek. Obojętność i zarożumiałość Gilberta upokarzały ją. Dotkliwie ukarania

za swój błąd, odczuła go boleśnie. Ale potrafiła się otrząsnąć i poprzysięgła Gilbertowi zemstę za wyrządzoną jej krzywdę.

Młoda i obdarzona zdolnością szybkiego zapomnienia, Nicole ułożyła plan zemsty, jaki podszeptę jej siedemnastoletniemu sercu złośliwe diabliki.

Nie mogła przy tym nie pomyśleć o pannie de Taverney, która wydawała się jej nie mniej winna niż Gilbert. Ta pełna pychy i uprzedzeń córka szlacheckiego radu podczas pobytu w klasztorze mówiła do księżniczek krwi w trzeciej osobie, do hrabianek „wy”, margrabiankom „ty”, a do niższych znaczeniem nie odzywała się wcale. Na pozór zimna jak posąg, w rzeczywistości uczuciowa, wydawała się Nicole śmieszna i małostkowa, kiedy próbowała wdzięków swej kobiecości na wiejskim Pygmalionie, Gilbercie.

Uznając umysłową wyższość Gilberta, Nicole czuła, że go przewyższa pod każdym innym względem, Trzeba jednak wspomnieć, że przewaga umysłu kochanka uchroniła ją od upokorzenia, że ona, pokojówka barona, oddała się prostemu chłopu.

Cóż więc zrobiła Andrea, jeżeli się rzeczywiście oddała Gilbertowi?

Opowiedzieć baronowi to, co podpatrzyła byłoby błędem. Przede wszystkim pan de Taverney obiłby i wypędził Gilberta, a potem śmiałyby się z tego wszystkiego. Gilbert zaś uważałby taką zemstę za nikczemną.

Ale skazać Gilberta na cierpienia z powodu Andrei, mieć władzę nad obojgiem, widzieć ich blednących i rumieniących się pod spojrzeniem pokojówki, zostać panią samowładną i obudzić może w Gilbercie żal za tym czasem, kiedy całował jej szorstką rękę — oto co upajało jej wyobraźnię i schlebowało dumie, oto co jej się wydawało godne zachodu i co postanowiła przeprowadzić.

Nicole zasnęła.

Było już dość późno gdy się obudziła, świeża, lekka i rześka. Jej toaleta poranna trwała jak zwykle godzinę. Uczesała z wielką wprawą długie włosy, ubrała się i spojrzała w lustro. Oczy wydały się jej piękniejsze niż kiedykolwiek. Przypatrywała się sobie z uwagą dalej. Przekonała się, że usta pozostały czerwone i krągłe jak czereśnie pod kształtnym choć nieco zadartym nosem. Szyja, którą troskliwie zasłaniała przed pocałunkami słońca, miała białość lili, a jej piersi i kibić nie miały sobie równych.

Widząc się tak piękną, Nicole zdawała sobie sprawę, że mogłaby łatwo zbudzić zazdrość w sercu Andrei. Nie była jednak na tyle zepsuta, żeby kierować się kaprysem czy fantazją, skoro przyszło jej do głowy, że panna de Taverney może kochać się w Gilbercie.

Umocniona w ten sposób na duszy i ciele, Nicole zjawiła się w pokoju Andrei bez wezwania, upoważniona do tego, jeżeli pani nie wstawała sama przed siódmą z rana.

W progu pokoju Nicole zatrzymała się.

Na łóżku leżała, blada i wyczerpana Andrea, z wyrazem głębokiego bólu na twarzy. Czoło pokrywały kropelki potu, jej piękne włosy były wilgotne, oddychała ciężko, a ciałem jej wśród niespokojnego snu wstrząsały dreszcze, leżała na wpół odkryta, z jedną ręką podłożoną pod policzek, drugą zaś przyciskając do piersi. Nieład jaki. panował na jej łóżku, znamionował silne wzruszenie śpiącej.

Nicole patrzyła przez chwilę na Andreę w milczeniu i musiała przyznać, że nie znała takiej piękności, która by dorównywała piękności panny de Taverney.

Potem zbliżyła się do okna i otworzyła okiennice.

Strumień światła napełnił pokój jasnością. Sine powieki Andrei drgnęły.

Obudziła się i chciała wstać, ale uczuła tak wielkie znużenie i przeszył ją tak dotkliwy ból że jęcząc opadła z powrotem na poduszkę.

— O, Boże! — zawołała Nicole. — Co się pani stało? — Czy już późno? — spytała Andrea, przecierając oczy.

— Bardzo późno! Spała pani godzinę dłużej niż zwykle.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje Nicole — mówiła Andrea, rozglądając się dokoła, jakby chciała się upewnić, gdzie jest. — Czuję okropne znużenie. Ciężko mi oddychać.

Nicole utkwiała wzrok w Andrei, po czym odezwała się:

— Przeziębła się pani tej nocy.

— Tej nocy? — zdziwiła się Andrea. Och! — zawołała spojrzawszy na siebie. — Ja. przecież nie jestem rozebrana! Jak to się stało?

— Niech pani sobie przypomni.

— Nic sobie nie przypominam — odparła Andrea, podnosząc ręce do czoła. — Cóż mi się stało? Czy straciłam zmysły?

Podniosła się znowu na swym posłaniu wodząc dokoła niemal błędnym wzrokiem, po czym powiedziała z wysiłkiem:

— Ach tak, pamiętam... wczoraj byłam strasznie zmęczona... to pewnie ta burza... potem...

Kiedy to mówiła, Nicole wskazała palcem na łóżko, które było pomięte, ale zasłane.

Andrea zamyśliła się na moment. Przypomniała sobie cudzoziemca, który w tak szczególny sposób wpatrywał się w nią wczoraj.

— Potem? — podjęła Nicole udając zainteresowanie. — Co było potem? Zdaje się, że zaczyna pani sobie przypominać?

— Potem — odpowiedziała Andrea — usnęłam na taborecie przy klawesynie. Ale od tej chwili nie pamiętam już nic. Wróciłam chyba do swojego pokoju na wpół uśpiona i nie miałam już sił się rozebrać.

— Trzeba było mnie zawołać — rzekła Nicole z udaną słodyczą. — Jestem przecież pani pokojówką.

— Nie przyszło mi to na myśl albo nie miałam sił — odparła naiwnie Andrea.

— Hipokrytka! — szepnęła do siebie Nicole i dodała głośno: — Ale musiało być już późno, bo kiedy schodziłam na dół, pani siedziała jeszcze przy klawesynie.

Wbrew oczekiwaniu pokojówki, Andrea pozostała spokojna i twarz jej wyrażała niekłamaną szczerłość.

— Kiedy zesłam na dół, pani nie było przy klawesynie — ciągnęła dalej Nicole.

Andrea podniosła głowę, ale w jej pięknych oczach nie podobna było wyczytać nic innego prócz zdziwienia.

— To dziwne — powiedziała.

— To prawda.

— Mówisz, że mnie nie było w salonie, a ja się stamtąd nie ruszyłam.

— Pani mi wybacz...

— Więc gdzie byłam?

— Pani powinna wiedzieć lepiej ode mnie — rzekła Nicole wzruszając ramionami.

— Mylisz się, moja droga — zaprzeczyła ze słodyczą Andrea. — Nie wstawałam z taboretu. Przypominam sobie tylko, że czułam zimno, ociężałość i bezwład w nogach.

— O! — zawołała Nicole nie ukrywając złości. — Zauważyłam, że szła pani zupełnie dobrze.

— Ty mnie widziałas?

— Na własne oczy, proszę pani.

— A przecież tylko co mówiłaś, że ranie nie było w salonie!

— Bo ja nie w salonie widziałam panią.

— Więc gdzie?

— W przedsionku, tuż przy schodach.

— Mnie?

— Panią. Przecież znam panią dobrze. — Nicole zaśmiała się sztucznie.

— Ja jednak jestem pewna, że nie wychodziłam z salonu.

— A ja — oświadczyła z naciskiem Nicole — jestem pewna, że widziałam panią przy schodach. Myślałam nawet — dodała, wpatrując się bacznie w Andreę — że wracała pani z ogrodu.

było wczoraj po burzy, a przechadzka w nocy to rzecz przyjemna: powietrze jest świeże, kwiaty pachną mocniej, prawda, proszę pani?

— Wiesz dobrze, że za nic w świecie nie odważyłabym się pójść do ogrodu w nocy — odparła Andrea z uśmiechem. — Znadto jestem bojaźliwa.

— Można przechadzać się z kimś drugim i wtedy nie trzeba się bać.

— A z kim miałabym się przechadzać — powiedziała Andrea, nie dostrzegając, że jest badana.

Nicole nie uważała za stosowne dalej pytać. Zimna krew Andrei wydała się jej szczytem obłudy i przeraziła ją. Postanowiła więc zmienić temat rozmowy.

— Wspomniała pani przed chwilą, że się czuje cierpiącą... — zaczęła.

— Rzeczywiście — odparła Andrea. — Czuję się osłabiona, znużona i to bez żadnej przyczyny. Wczorajszy wieczór spędziłam jak zwykle. Czyżbym zachorowała?

— O, proszę pani — rzekła Nicole. — Są niekiedy zmartwienia, które sprowadzają ten sam skutek co znużenie. Wiem o tym dobrze.

— Ty miewasz zmartwienia, Nicole, ty? — powiedziała Andrea z lekceważeniem, które pozwoliło pokojówce wyzbyć się ostrożności.

— O tak, proszę pani, mam zmartwienia — odparła spuszczać oczy. Andrea wstała leniwie z łóżka i zaczęła się przebierać.

— Opowiedz mi coś o tych zmartwieniach — zwróciła się do pokojówki.

— Właśnie miałam ten zamiar... — rozpoczęła Nicole i urwała.

— Czemu jesteś zmieszana? Mów...

— Ja jestem zmieszana, panni znużona, obydwie więc cierpimy.

— Ach! — żachnęła się Andrea marszcząc brwi. Liczba mnoga wyraźnie się jej nie podobała. Ale Nicole nie stropiła się okrzykiem swej pani i brnęła dalej:

— Ponieważ pani tego chce koniecznie, będę mówiła dalej.

— Ciekawam co takiego?

— Chcę wyjść za mąż, proszę pani — oznajmiła Nicole.

— O!... Przecież nie masz jeszcze siedemnastu lat!

— Pani ma tylko szesnaście...

— Więc cóż z tego?

— I mając szesnaście lat, nie myśli pani o zamążpójściu?

— Skąd to przypuszczenie? — spytała surowo Andrea.

Nicole otworzyła już usta, aby odpowiedzieć w ten sam sposób, ale знаła Andreę i wiedziała, że wówczas niczego się już więcej nie dowie. Zmieniła więc zamiar.

— Naprawdę to nie mogę przecież wiedzieć, co pani myśli — powiedziała — jestem dziewczyną ze wsi i postępują zgodnie ze swoją naturą...

— Osobliwe...

— Czy to takie osobliwe, kochać i być kochaną?

— Cóż dalej?

— A więc kocham kogoś.. .

— A ten ktoś ciebie kocha?

— Tak przypuszczam — rzekła Nicole; — To jest... jestem tego pewna — dodała rozumiejąc, że w podobnych wypadkach trzeba wypowiadać się jednoznacznie.

— Wybornie, nie próżnujesz jak się zdaje w Taverney — powiedziała Andrea.

— Trzeba myśleć o przyszłości. Pani zupełnie co innego, może pani odziedziczyć majątek po bogatym krewnym, ale ja nie mam krewnych i mogę mieć tylko to, co sama zdobędę.

Wyjaśnienie to wydało się Andrei tak szczere, że ze zwykłą sobie dobrocią serca zapomniała o urazie, jaką wywołało niewłaściwe zachowanie pokojówki.

— No, a za kogo chcesz wyjść za mąż, moja droga?

— Za kogoś, kogo pani zna doskonale.

— Kogo ja znam?...

— Doskonale.

— Któż to taki? Bardzo jestem ciekawa!

— Nie wiem, czy mój wybór się pani spodoba.

— Mnie?

— Tak.

— Sama więc uważasz ten wybór za niestosowny?

— Ja tego nie mówię.

— A więc? Powiedźżeż wreszcie szczerze. Obowiązkiem pani jest dbać o dobro swej służby. A ja jestem z ciebie zupełnie zadowolona.

— Pani jest bardzo dobra.

— Mówże więc prędyj i kończ mnie sznurować.

— Skoro pani tak każe — zdecydowała się Nicole — to... to jest Gilbert.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu Andrea nawet nie drgnęła.

— Mały Gilbert? Syn mojej mamki?

— Tak jest, proszę pani.

— Jak to? Za tego chłopca chcesz iść za mąż?

— Tak, proszę pani, za niego.

— I on cię kocha?

Nicole uznała, że nadszedł decydujący moment.

— Powtarzał mi to dwadzieścia razy — odparła.

— Więc bie

— Zapewne... — wyjąkała Nicole, zaskoczona, że rozmowa zmierza w nieprzewidzianym kierunku.

— Jak to, pani pozwala?

— Oczywiście, chociaż oboje jesteście bardzo młodzi.

— Będziemy mieli więcej życia przed sobą.

— Nie jesteście bogaci: ani jedno, ani drugie.

— Będziemy pracować.

— Jak on będzie pracował, kiedy jest niezdatny do niczego. Cierpliwość Nicole wyczerpała się. Nie mogła znieść dłużej nieszczerości, jaką przypisywała Andrei.

— Pani pozwoli sobie powiedzieć, że zbyt srogo traktuje biednego Gilberta — powiedziała.

— Traktuję go tak, jak na to zasługuje. To próżniak.

— Ależ, proszę pani, on ciągle czyta i chciałby tylko uczyć się...

— Jest pełen złej woli.

— Ale nie wobec pani.

— Jak to?

— Pani wie o tym lepiej niż ktokolwiek. Przecież pani mu każe polować na zwierzynę.

— Ja? Daję słowo, że nie zwróciłam nawet najmniejszej uwagi.

— Na zwierzynę? — podchwyciła szyderczo Nicole.

Kiedy indziej Andrea zbyłaby śmiechem przycinki pokojówki, ale dzisiaj nerwy jej były tak napięte, najmniejszy wysiłek umysłowy kosztował ją tyle trudu, że zapytała rozdrażniona.

— Cóż to za dowcip?

— Nie jestem dowcipna — odparła Nicole. — Dowcip jest dobry dla wielkich pań. Ja jestem biedna dziewczyna i mówię to, co czuję.

— Więc co?

— Pani spotwarza Gilberta, który darzy panią najwyższym szacunkiem. Oto co!

— Gilbert jest sługą i spełnia tylko swoją powinność.

— Nie, Gilbert nie jest służącym, proszę pani. On nie pobiera żadnej płacy.

— Jest synem dawnych naszych dzierżawców. Ma mieszkanie i jedzenie, ale nic za to nie robi, a więc kradnie. Dlaczego jednak bronisz tego chłopaka, na którego przecież nikt nie napada?

— O, ja wiem dobrze, że pani na niego napada — rzekła Nicole ze zjadliwym uśmiechem.

— Znowu coś, czego nie rozumiem.

— Bo widocznie pani nie chce rozumieć.

— Dosyć! — przerwała Andrea oschle. — Wytłumacz mi się natychmiast!

— Pani wie zapewne lepiej, co ja chcę powiedzieć.

— Nic nie wiem i nie chcę się niczego domyślać. Nie mam na to czasu. Chcesz mojego pozwolenia na małżeństwo: tak czy nie?

— Tak i proszę, aby pani nie gniewała się na mnie, że Gilbert minie kocha.

— Cóż mnie to obchodzi, czy Gilbert cię kocha, czy nie! Doprawdy, nudzisz już mnie, moja panno! Nicole uniosła się na palcach jak młody kogut. Długo hamowany gniew wybuchł na koniec.

— Zapewne raczyła pani powiedzieć już to samo Gilbertowi? — rzuciła zuchwale.

— Czy ja się wdaję w jakieś rozmowy z tym twoim całym Gilbertem? Oszalałaś?!

— Jeżeli pani z nim nie rozmawia, to chyba od bardzo niedawna.

Andrea podeszła do Nicole i zmierzyła ją wzrokiem pełnym pogardy.

— Całą godzinę prawisz mi impertynencje — rzekła gniewnie. — Dość tego! Mów natychmiast, co to znaczy! — Ale... — bąknęła Nicole nieco zmieszana. — Powiadasz, że ja rozmawiałam z Gilbertem?

— Tak, proszę pani.

Nieoczekiwanie nasunęła się Andrei myśl, którą uważała za nieprawdopodobną.

— Ależ tę nieszczęśliwą dziewczynę dręczy zazdrość! — zawołała parsknawszy śmiechem. — Uspokój się, moja panno. Tak mało mnie obchodzi ten. twój Gilbert, że nie umiałabym powiedzieć, jakiego koloru ma oczy.

I Andrea była gotowa przebaczyć dziewczynie jej szaleństwo, ale Nicole nie pragnęła bynajmniej przebaczenia.

— Wierzę. W nocy trudno rozpoznać kolor oczu.

— Co takiego?! — krzyknęła Andrea, zaczynając coś rozumieć, ale nie mogąc w to uwierzyć.

— Mówię, że jeżeli rozmawiała pani z Gilbertem w nocy, jak to było wczoraj, to nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że nie rozróżniła pani rysów jego twarzy.

— Jeżeli się natychmiast nie wytłumaczysz, to się źle skończy! — zawołała Andrea śmiertelnie błada.

— O, to bardzo łatwo, proszę pani — odparła Nicole zapominając się. — Widziałam tej nocy...

— Czekaj! — przerwała Andrea — ktoś mnie woła na dole. — To pan baron — oznajmiła Nicole. — Jest w towarzystwie tego cudzoziemca, który tu nocował.

— Zejdź na dół i powiedz, że jestem cierpiąca i wracaj natychmiast, aby skończyć tę dziwną rozmowę.

— Andreo! — dobiegł głos barona. — Pan Balsamo pragnie ci powiedzieć dzień dobry.

— Idź — powtórzyła Andrea, gestem królowej pokazując Nicole drzwi.

Nicole wyszła bez słowa.

Zostawszy sama, Andrea doznała dziwnego uczucia, jakby jakaś przemożna siła ciągnęła ją do otwartego okna.

Zrobiła kilka kroków i ujrzała cudzoziemca. Balsamo zgiął się w głębokim ukłonie i utkwiał w dziewczynie wzrok.

Zachwiała się i oparła o okiennicę, aby nie stracić równowagi.

— Dzień dobry panu — odpowiedziała na ukłon.

Stało się to w chwili, kiedy Nicole oznajmiła baronowi, że panna de Taverney jest cierpiąca. Ujrawszy Andree w oknie, Nicole otworzyła usta ze zdumienia, nie. pojmując kapryśnego zachowania swej pani.

Andrea była u kresu sił. Padła bezwładnie na fotel.

Balsamo nie spuszczał z niej oka.

XII. W ŚWIETLE DNIA

Podróżny wstał bardzo wcześnie, aby obejrzeć powóz i zapytać o zdrowie Althotasa.

Zamek był jeszcze pogrążony we śnie, tylko Gilbert czuwał. Ukryty w swej izdebce, znajdującej się przy bramie wjazdowej, śledził każdy krok cudzoziemca.

Kiedy Balsamo opuścił przybytek Althotasa, Gilbert poszedł w ślad za nim.

Tymczasem Balsamo szedł aleją i dziwił się, że widok Taverney, który wczoraj wydawał się mu tak ponury, w świetle dnia nabrał nieoczekiwanie pogodnych kolorów.

Nieduży zamek, zbudowany z białego kamienia i cegły, otaczały sykomory i szczodrzenice, których wonne grona opadały na dach i obejmowały boczne skrzydła zamku złocistymi wieńcami.

Z frontu znajdowała się sadzawka, obramowana szerokim pasem trawy i szpalerem kwitnących bzów. Dla mile odpoczywającego tu otwierał się widok na wysokie kasztany i na aleje, wzdłuż których rosły drżące osiny.

Z obu stron zamku szerokie aleje, wysadzone klonami, platanami i lipami, prowadziły do gęstego lasu. Stanowił on schronienie dla mnóstwa ptaków, których poranny koncert dochodził do uszu mieszkańców zamku. Jedną z tych alei Balsamo dotarł do zielonej gęstwiny. Róże i bez włoski, zroszone wczoraj ulewnym deszczem, tchnęły cudownym zapachem. Spośród gąszcza ligustrów wystrzelały wiciokrzewy i jaśminy, a długa wstęga irysów i krzewów poziomkowych ginęła w lasu między kwitnącymi jeżynami i różowymi głógami.

Tędy doszedł Balsamo do najwyższej położonej części posiadłości barona. Ujrzał tu ruiny starego zamczyska. Na pół zniszczona wieża sterczała wśród gruzów i kamieni, po których wiły się girlandy bluszczu i dzikiego wina.. Rzuciła je tam ręka natury jak gdyby dla wskazania człowiekowi, że nawet wśród ruin istnieje życie.

Siedmiomorgowa posiadłość Taverney przy bliższym poznaniu nie wydawała się . pozbawiona pewnej okazałości i wdzięku. Dom przypominał grotę, której wejście upiększały kwiaty i rośliny pnące, ale której wewnątrz nie zachęcało zbląkanego i szukającego przytułku wędrowca.

Powracając po godzinnej przechadzce, Balsamo ujrzał barona odzianego w luźny, wzorzysty szlafrok z perkalu. Pan de Taverney wyszedł z domu bocznymi drzwiami i przebiegał ogród czyszcząc róże ze ślimaków.

Balsamo pośpieszył na jego spotkanie.

— Panie baronie! — rzekł z wyszukaną grzecznością. — Pozwól mi złożyć moje uszanowanie, a zarazem przeprosić. Powinienem był oczekiwać, aż pan wstanie, ale widok Ta verney z mojego okna jest tak zachęcający, że chciałem z bliska obejrzeć piękny ogród i wspaniałe ruiny.

— Ruiny są rzeczywiście wspaniałe — odparł baron przywitawszy się z Balsamo równie grzecznie. — To jedyna tutaj rzecz godna uwagi. — To był kiedyś zamek?

— Tak, to był zamek, mój, a raczej moich przodków. Nazywano go Maison-Rouge. I długie lata nazwę jego dodawaliśmy do nazwiska de Taverney. Do Maison-Rouge przywiązany jest tytuł barona. Ale szanowny gościu, nie mówmy o tym, czego nie ma...

Balsamo skłonił głowę.

— Ja także — mówił dalej baron — powinienem pana przeprosić: dom mój ubogi, a ja uprzedzałem pana...

— Bardzo dobrze się tu czuję.

— To nora, szanowny mój gościu, nora! — rzekł baron. — Gniazdo, które upodobały sobie szczury, odkąd lisy, jaszczurki i węże wypędziły je z drugiego zaniku. Ale jeżeli jesteś pan czarownikiem czy kimś podobnym, powinienbyś uderzeniem laski podnieść z gruzów Maison-Rouge, a przede wszystkim przywrócić mu dwa tysiące morgów lasów i łąk, które go otaczały. Ale założę się, że zamiast myśleć o tym, byłeś aa tyle grzeczny, ażeby spać w obrzydliwym łóżku.

— O, proszę pana!

— No, niech się pan nie zapiera. To bardzo podłe łóżko, znam je, to łóżko mojego syna.

— Zaręczam, panie baronie, że wydało mi się wyborne. Doprawdy, zawstydzona mnie pan swoją uprzejmością i troskliwością. Z całego serca chciałbym odwdziżyć się czymkolwiek.

Starzec, który zawsze lubił pokpiwać, nie ociągał się z odpowiedzią.

— Spróbuj, szanowny gościu — rzekł wskazując na La Brie, który niósł właśnie szklanekę czystej wody na przepyszny talerz z saskiej porcelany — oto nadarza się sposobność: zamień jak Chrystus w Kanie Galilejskiej wodę w wino, ale przynajmniej w burgundzkie. Będzie to największa przysługa, jaką w tej chwili możesz mi wyświadczyć.

Balsamo uśmiechnął się.

Starzec wziął to za odmowę i wypił wodę duszkiem.

— Wyborne lekarstwo — rzekł Balsamo. — Woda jest najszlachetniejszym z żywiółów, ponieważ nad wodami unosił się Duch Boży przy stworzeniu świata. Nic się nie może oprzeć jej działaniu: kruszy kamień i może kiedyś ludzie przekonają się, że rozpuszcza diamenty.

— Świetnie! — zawołał baron. — Woda mnie rozpuści. Może napijesz się ze mną, drogi gościu? Ma ona tę wyższość nad moim winem, że jest wybornego gatunku i że nieprędko jej zbraknie.

— Gdybyś, panie baronie, kazał i dla mnie przynieść szklanę, może umiałbym się odwdziżyć.

— Ależ z największą chęcią! La Brie! Czy słyszysz? La Brie oddalił się, baron zaś zwrócił się do Balsamo:

— Czyżby woda, którą pijam co rano, miała naprawdę jakieś własności tajemnicze, których się nie domyślałem? Więc od dzieciństwa uprawiam alchemię, jak pan Jourdain pisał prozą, nie wiedząc nawet o tym?

— Nie wiem, czym się zajmowałeś, panie baronie — odpowiedział poważnie Balsamo — ale wiem, co ja czynię.

Wziął szklanę wody, którą właśnie przyniósł La Brie, i podniósł ku oczom. Promienie słoneczne przenikały przez kryształowe naczynie i rzucały na wodę błyski, które zda wały się pływać jak perły, diamenty i fiołkowe smugi.

— Co też ciekawego można zobaczyć w szklance wody? — zapytał baron.

— Można. A dziś w szczególności — odparł Balsamo i zmarszczywszy brwi zaczął się wpatrywać ze skupieniem w naczynie z wodą.

— Powiedzie, co tara widzisz, drogi gościu — powiedział drwiąco baron. — Doprawdy, umieram z ciekawości. Może jaki spadek dla mnie albo nowy Maison-Rouge dla podreperowania moich interesów?

— Widzę tu ostrzeżenie, którego udzielam panu, abyś się miał na baczności.

— Doprawdy, czy mam być napadnięty?

— Nie, ale jeszcze dzisiejszego ranka czekają pana odwiedziny.

— Hm, chyba że pan wyznaczyłeś tu komu spotkanie...

To źle, panie, bardzo źle, wątpię, czy dostaniemy dziś kuropatwy.

— Mam honor oznajmić panu, że to sprawa poważna, rzecz największej wagi, mój drogi gospodarzu. Ktoś w tej chwili znajduje się w drodze do Taverney.

— Kto i w jakim celu? Powiedz, szanowny mój gościli, proszę cię o to, bo jak zauważyłeś po trochę kwaśnym przyjęciu, każdy gość jest dla mnie nieznośny. Objaśnij mi dokładniej, jeśli możesz.

— Mogę i chętnie to uczynię — odparł Balsamo i spojrzał badawczo na mieniącą się opalem powierzchnię wody.

— I co widzisz, panie? — nacierał baron.

— Widzę jadącą osobę wysokiego stanu.

— Ba! I ta osoba przyjeżdża tak sobie, przez nikogo nie zaproszona?

— Sama się zaprosiła. Towarzyszy jej pański syn.

— Filip?

— We własnej osobie.

Baron wpadł w wesołość, świadczącą o braku taktu gospodarza.

— Ha! ha! — zaśmiał się hałaśliwie. — Powiadasz pan, że syn mój towarzyszy tej osobie?

— Tak jest, panie baronie.

— Znasz więc mojego syna.

— Nie znam go zupełnie.

— A gdzie też znajduje się mój syn w tej chwili? — O pół, o ćwierć mili może...

— Od Taverney?

— Tak.

— Drogi panie syn mój stoi w Strasburgu z garnizorem i chyba by zdezerterował, a że tego nigdy nie uczyni, na to przysięgam ci uroczyście.

— A jednak jedzie i kogoś prowadzi — upierał się Balsamo patrząc ciągle w szklanę.

— Mężczyznę czy kobietę?

— Damę, panie baronie, i to nawet bardzo znakomitą damę. To sprawa bardzo szczególna, niezwykła...

— I ważna?

— Naturalnie, bardzo ważna. — Ale cóż to takiego, u licha!?

— Dobrze pan zrobi, jeżeli usunie stąd swoją służącą, tę małą szelmę, jak mówiłeś.

— A to po co?

— Ponieważ Nicole jest bardzo podobna do osoby, która tu przybywa.

— Mówiłeś pan, że to wielka dama, a teraz znów powiadasz, że podobna do Nicole. Coś tu się nie zgadza!

— Dlaczego? Kupiłem kiedyś niewolnicę tak podobną do królowej Kleopatry, że miano ją wysłać do Rzymu, aby wzięła udział w uroczystościach ku czci władczyni Egiptu.

— Och, pan znowu swoje!

— Zresztą rób, panie baronie, co się panu żywnie podoba, to wyłącznie dotyczy pana, a nie mnie.

— Dlaczego jednak podobieństwo do Nicole ma obrażać tę osobę?

— Przypuśćmy, panie baronie, że jesteś królem Francji, czego panu wcale nie życzę, albo delfinem, czego jeszcze mniej życzę. Czy byłbyś zadowolony, gdybyś, panie baronie, przybywając gdzieś w gościnę spotkał między służbą kogoś podobnego z twarzy do twojej dostojnej fizjonomii?

— O, do licha! — zawołał baron. — Zadałeś mi klina! Wynikałoby z tego, że...

— ...że wysoko postawiona i nader można osoba, która tu przyjeżdża, może nie byłaby rada widzieć swego sobowtóra w krótkiej spódniczce i płóciennej chusteczce.

— Dobrze, dobrze — rzekł baron śmiejąc się ciągle — pomyślimy o tym, kiedy będzie trzeba. Ale najbardziej drogi panie., cieszę się z tego, że będę mógł ujrzeć swojego syna. Kochany Filip! Cóż za szczęśliwy traf sprowadza go tak niespodzianie? — I baron wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

— A więc moja przepowiednia bawi pana? Tym lepiej, ale na twoim miejscu, baronie...

— Co takiego na moim miejscu?

— ...wydałbym ca prędej stosowne rozkazy. — Doprawdy?

— Tak jest.

— Pomyślę o tym, drogi gościu, pomyślę.

— Najwyższy czas..

— Czy pan mówi serio?

— Nie można bardziej serio, panie baranie. Bo jeżeli chcesz godnie przyjąć osobę, która wyświadcza ci łaskę swoimi odwiedzinami, nie masz ani minuty do stracenia. Baron wzruszył ramionami.

— Wątpisz pan, jak mi się zdaje? — zapytał Balsamo.

— Uprzedziłem cię, drogi gościu, że masz do czynienia z najbardziej zatwardziałym niedowiarkiem. Rzekłszy to, baron podszedł pod okna pokoju córki i zawołał ją.

Pamiętamy już, co dziewczyna odpowiedziała na wezwanie ojca i w jaki sposób hipnotyczny wzrok cudzoziemca przyciągnął ją wbrew woli ku oknu.

Nicole była świadkiem tej sceny i patrzyła ze zdumieniem na La Brie, który dawał jej jakieś dziwne znaki.

— Diabelnie mi coś trudno w to wszystko uwierzyć. — powtarzał baron — i jeżeli nie zobaczę...

— Ponieważ koniecznie chce pan tego, to odwrócę się, panie baronie — rzekł Balsamo wskazując ręką w stronę alei, którą pędził galopem jeździec na spienionym koniu.

— O! — krzyknął baron. — Rzeczywiście!

— Pan Filip! — zawołała Nicole wspinając się na palce.

— Nasz młody pan! — dodał uradowany La Brie.

— Mój brat! — wykrzyknęła Andrea wyciągając z okna rękę.

— Czy to przypadkiem nie syn pański, drogi baronie? — zapytał niedbale Balsamo.

— Przebóg! to on — odpowiedział zdumiony baron.

— To dopiero początek.

— Więc naprawdę jest pan czarownikiem?

W odpowiedzi na ustach cudzoziemca ukazał się uśmiech triumfu.

Tymczasem jeździec zbliżał się na pokrytym pianą koniu, którego sylwetka przesuwiała się szybko wśród szpalerów drzew. Rumak znajdował się jeszcze w pełnym biegu, gdy młody oficer, średniego wzrostu, zabryzgany błotem, zeskoczył z siodła i podbiegł uściskać ojca.

— O, do diabła! — powtarzał baron zachwiany w swoim niedowiarstwie. — Do diabła!
— To ja, ojcze, we własnej osobie — rzekł Filip widząc na twarzy ojca powątpiewanie.
— Przecież widzę dobrze, że ty, u licha! Ale co się stało, że tu się znalazłeś?
— Wielki zaszczyt, drogi ojcze, spotyka dom nasz. Starzec podniósł głowę.
— Za godzinę Maria Antonina Józefa, arcyksiężniczka austriacka i małżonka delfina Francji przybędzie tutaj!
Szyderstwo i ironia opuściły barona całkowicie. Zwracając się do Balsamo, rzekł niemal pokornie:
— Przebacz, panie.
— Zostawiam cię, panie baronie, z synem — odparł Balsamo kłaniając się. — Dawno nie widzieliście się z sobą i będziecie zapewne mieli sobie dużo do powiedzenia.
To powiedziawszy, Balsamo złożył ukłon Andrei, która wybiegła na spotkanie brata. Po czym skinął na Nicole i na La Brie i razem z nimi zniknął w głębi alei.

XIII. FILIP DE TAVERNEY

Filip de Taverney, kawaler de Maison-Rouge, choć niepodobny do siostry, był równie piękny jak ona.

Dumnie i zarazem łagodnie patrzące oczy, klasyczne rysy twarzy, kształtne ręce i figura — czyniły z niego czarującego młodzieńca.

Jak wszyscy ludzie znaczniejszego rodu, którym życie nie daje tego, na co zasługują, Filip robił wrażenie człowieka smutnego, ale nie ponurego. Swoją łagodność zawdzięczał właśnie skłonności do smutku, który chronił go przed wyniosłością i oschłością. Konieczność obcowania z ludźmi zarówno biednymi, jak równego stanu nauczyła go giętkości, mimo że z natury był szorstki, drażliwy i władczy... Zawsze jest trochę wzgardy w łaskawości lwa.

Uściskawszy ojca, Filip przywitał się z siostrą, która rzuciła mu się na szyję z płaczem. Jej zachowanie wskazywało, że przywiązuje wielkie znaczenie do tego spotkania.

Ujawszy ręce siostry i ojca, Filip poprowadził ich do salonu.

— Nie dacie wiary, kochany ojcze i ty, droga siostrzyczko — mówił usadowiwszy ich obok siebie — a jednak to

prawda, że za kilka chwil w naszym ubogim domu znajdzie się małżonka delfina Francji.

— Jeżeli tak, to za żadną cenę nie należy do tego dopuścić, do stu diabłów! — zawołał baron. — Małżonka delfina tutaj! Jeżeli to się stanie, będziemy na wieki zhańbieni! Jeżeli arcyksiężniczka pragnie przypatrzeć się tutaj szlachcie francuskiej, to bardzo jej żałuję. Ale jak to się stało, że wybrała właśnie ten dom?

— O, to cała historia, ojcze!

— Opowiedz ją nam — poprosiła Andrea.

— To historia, która by nawet wątpiącym przywróciła wiarę w Boga.

Baron wydał wargi jak człowiek, który powątpiewa, by najwyższy sędzia ludzi i rzeczy raczył zniżyć się ku niemu i wdawać w jego sprawy. Andrea, widząc radość Filipa, nie wątpiła o niczym. Ścisnęła rękę brata, wdzięczna za dobrą nowinę.

— Braciszku! Dobry mój braciszku — szeptała.

— Braciszku! — powtórzył baron. — Ależ ona ma taką minę, jakby naprawdę była zadowolona z tego, co nas spotyka.

— Czyż nie widzisz, ojcze, jaki Filip szczęśliwy?

— Bo pan Filip jest entuzjastą — powiedział baron, rzucając niewesołe spojrzenie na wnętrze salonu. — Ale ja, który — na szczęście czy nieszczęście — patrzę na wszystko krytycznie, nie widzę w tym nic wesołego.

— Zmienisz zaraz zdanie, ojcze — powiedział młodzieniec — skoro opowiem ci wszystko, co mi się przytrafiło.

— Opowiadaj więc wreszcie! — burknął starzec.

— Otóż stałem, jak wiecie, z garnizonem w Strasburgu. I jak zapewne także wiecie, Jej Wysokość przejeżdżała przez Strasburg...

— Czy tu można coś wiedzieć w tej przekłętej dziurze?! — bąknął baron.

— Więc powiedziałaś, braciszku, że małżonka delfina przejeżdżała przez Strasburg...

— Tak jest. Czekaliśmy na nią od samego ranka na wałach. Padał ulewny deszcz i przemoczył nas do nitki. Nie wiadomo było, o której godzinie przyjedzie. Major wysłał mnie na rekonesans. Ujechałem blisko milę. Nagle na zakręcie drogi spotkałem się oko w oko z pierwszymi jeźdźcami eskorty. Zamieniliśmy kilka słów i za chwilę Jej Królewska Mość wychyliła się z karety i zapytała, kto jestem. Zawróciłem natychmiast, aby jak najprędzej zdać sprawę temu, który mnie wysłał.

— A małżonka delfina? — spytała Andrea.

— Młoda jak ty, a piękna jak anioł — odparł młodzieniec.

— A powiedz no, Filipie — spytał baron z wahaniem — czy małżonka delfina nie jest podobna do kogoś, kogo ty znasz?

— Kogo ja. znam? — I to dobrze.

— Nikt do niej nie może być podobny! — zawołał Filip z entuzjazmem.

— A pomyśl...

Młodzieniec zamyślił się.

— Nnie...

— No, a do Nicole na przykład?

— A to rzeczywiście dziwne! — krzyknął Filip. — Istotnie, Nicole przypomina w czymś dostojną podróżną. Tak... Ale skąd mogłeś się dowiedzieć o tym, ojczu?

— Od czarownika.

— Od czarownika?

— Tak, który mi jednocześnie przepowiedział i twój przyjazd.

— Ten cudzoziemiec? — nieśmiało zapytała Andrea.

— Czy to ten, który w chwili mego przybycia usunął się tak dyskretnie?.

— Ten właśnie. Ale kończ swoje opowiadanie, Filipie — rzekł baron.

— Lepiej by może zarządzić jakieś przygotowania? — odezwała się Andrea.

Ale baron przytrzymał ją za rękę.

— Im się bardziej będziemy przygotowywać, tym śmieszniejsi się wydamy — rzekł. — Mów dalej, Filipie!

Powróciłem więc do Strasburga i zdałem raport majorowi. Wezwano gubernatora, pana de Stainville, który przybył natychmiast. Skoro tylko się zjawił, uderzono w bębny, ustawiliśmy się w szyku i wtedy ukazał się orszaki. Popędziliśmy ku bramie kehlskiej. Ja byłem przy boku gubernatora.

— Przy panu de Stainville? — spytał baron. — Czekał no, znałem jakiegoś pana de Stainville...

— Szwagra ministra, pana de Choiseul.

— Tak, tak. Mów dalej.

— Młoda małżonka delfina lubi zapewne młodych ludzi, bo słuchała z roztargnieniem komplementów gubernatora. W pewnej chwili zwróciła na minie oczy i zapytała:

— Czy to ten pan był wysłany na moje spotkanie? — Tak, pani — odpowiedział de Stainville.

— Zbliź się pan — rzekła. Zbliżyłem się,

— Jak się pan nazywa? — spytała czarującym głosem.

— Kawaler de Taverney Maison-Rouge — odpowiedziałem jękając się.

— Zapisz mi to nazwisko, moja droga — zwróciła się Jej Wysokość do starszej damy, jak się później dowiedziałem, hrabiny Langershausen, jej guwernantki.

Następnie powiedziała do minie:

— Ach, jak mi przykro, że w taką szkaradną pogodę musiał pan ponieść dla mnie tyle trudu.

— Co za dobroć z jej strony, jakie miłe słowa! — zawołała Andrea, składając ręce.

— Dlatego też zachowałem je w pamięci, słowo w słowo — rzekł Filip — i ton, z jakim były wypowiedziane, wyraz twarzy, wszystko, wszystko...

— No dobrze — mruknął baron z uśmiechem, zdradzając jednocześnie próżność rodzicielską i złe mniemanie o kobietach, nawet z królewskiego domu. — Dobrze, mów dalej, Filipie.

— I cóż odpowiedziałeś? — spytała Andrea.

— Nic nie odpowiedziałem. Ukłoniłem się aż do ziemi i Jej Wysokość udała się dalej.

— Jak to nic nie odpowiedziałeś!? — krzyknął baron.

— Nie mogłem wydobyć słowa, ojcze. Wszystkie krew napłynęła mi do serca, które biło gwałtownie.

— Do licha! Spytaj-no mnie, czy ja w twoim wieku nie miałem nic do powiedzenia, gdy mnie przedstawiono księżniczce Leszczyńskiej?

— Bo ty masz, ojcze, więcej przytomności umysłu — odparł Filip, pochylając głowę.

Andrea ścisnęła mu rękę.

— Korzystając z odjazdu Jej Królewskiej Mości — ciągnął Filip — powróciłem na kwatery, żeby zmienić ubranie, bo przemoczony i zbryzgany błotem znajdowałem się rzeczywiście w stanie godnym pożałowania.

— Biedny!.. — szepnęła Andrea.

— Jej Wysokość — mówił dalej Filip — zatrzymała się w ratuszu i tam przyjmowała życzenia, a następnie zasiadła do stołu. Jeden z moich przyjaciół, ten sam major, który wysłał mnie na zwiady, powiedział mi, że arcyksiężna kilka razy rozglądała się, jakby szukając kogoś pomiędzy oficerami asystującymi przy obiedzie.

— Nie widzę tu — odezwała się nareszcie — młodego oficera, który był wysłany na moje spotkanie. Czy nie powiadomiono go, że pragnęłam mu podziękować?

Wtedy podszedł major i powiedział:

— Porucznik de Taverney zmuszony był udać się do siebie, aby zmienić ubranie i dopiero potem przedstawić się Waszej Wysokości...

W chwilę później znalazłem się na sali i nie upłynęło pięć minut, kiedy Jej Wysokość mnie dostrzegła.. Dała mi znak, abym się zbliżył.

— Czy nie miałbyś pan nic przeciwko temu — zapytała — aby towarzyszyć mi do Paryża?

— Och, byłoby to dla mnie najwyższym szczęściem — odpowiedziałem — ale służę w garnizonie w Strasburgu.

— Pod czyimi zostajesz rozkazami?

— Gubernatora wojennego.

— Dobrze. Ja z nim tę rzecz załatwię. — Dała mi znak ręką i odszedłem. Wieczorem przywołała dowódcę.

— Czy nie zechciałby pan — rzekła — spełnić pewne moje życzenie?

— Raczej Wasza Wysokość wyrazić, a stanie się dla mnie rozkazem.

— Źle się jednak wyraziłam nazwawszy to życzeniem... Uczyniłam ślub...

— Tym świętszy będzie dla mnie!

— Otóż uczyniłam ślub, że powołam do moich usług pierwszego Francuza, którego spotkam po przekroczeniu granic tego kraju, i zapewnię jemu i jego rodzinie szczęście. Jeżeli leży to w mocy książąt.

— Książęta są przedstawicielami Boga na ziemi — odparł dowódca. — A któż jest ten, kto miał szczęście pierwszy spotkać Waszą Wysokość?

— Pan de Taverney Maison-Rouge. Ów młody porucznik, który uprzedził pana o moim przybyciu

— Wszyscy zazdrościmy panu de Taverney — rzekł gubernator — ale nie przeszkodzimy szczęściu, jakie go spotyka. Zatrzymuje go rozkaz, my rozkaz cofamy; wiąże go przysięga, rozwiążemy ją. Wyjedzie wtedy, kiedy i Wasza Wysokość.

Istotnie, w dniu, w którym Jej Wysokość opuszcza Strasburg, otrzymałem rozkaz przyłączenia się do jej orszaku. Od tej chwili nie odstąpiłem od drzwi jej karety.

— No, no — odezwał się baron ze szczególnym uśmiechem. — To dziwne, ale chyba możliwe.

— Co, mój ojcze? — zapytał naiwnie młody człowiek.

— O, znam się na tym! — rzekł baron.

— Ale braciszku drogi — odezwała się Andrea — nie rozumiem jeszcze, dlaczego Jej Wysokość postanowiła odwiedzić Taverney? .

— Poczekaj. Wczoraj wieczorem, kiedy przejeżdżaliśmy przez Nancy przy świetle pochodni, Jej Wysokość przywołała mnie,

— Panie de Taverney — powiedziała — każ jechać prędzej.

Nakazałem eskortie przyspieszyć jazdę.

— Chcę wyjechać jutro bardzo rano.

— Czy Wasza Wysokość życzy sobie mieć jutro długi postój?

— Nie, ale chcę zatrzymać się w drodze.

Na te słowa coś jakby przecucie ścisnęło mi serce.

— W drodze? — powtórzyłem.

— Tak — odpowiedziała Jej Wysokość. Zamilkłem, — Pan nie zgadujesz, gdzie się chcę zatrzymać? — za pytała mnie z uśmiechem.

— Nie, pani.

— Ja się chcę zatrzymać w Taverney.

— Ale dlaczego, na Boga! — wykrzyknąłem.

— Aby poznać ojca i siostrę pana.

— Mojego ojca i siostrę? Skądże Wasza Królewska Mość wie?...

— Zasięgnęłam wiadomości — rzekła — i dowiedziałam się, że mieszkają o paręset kroków od drogi, którą jedziemy. Każesz, aby się zatrzymano w Taverney.

Pot wystąpił mi na czoło. Odpowiedziałem z drżeniem, które chyba rozumiecie:

— Wasza Wysokość, dom mojego ojca nie jest godzien przyjęć tak dostojną osobę.

— Dlaczego?

— Jesteśmy biedni.

— Tym lepiej. Jestem pewna, że przyjęcie będzie serdeczniejsze i bardziej proste. Jakikolwiek jest Taverney, znajdzie się tam kubek mleka dla przyjaciółki, która chce choć na chwilę zapomnieć, że jest arcyksiężniczką austriacką i żoną delfina Francji.

— O, Wasza Wysokość — odpowiedziałem z ukłonem. Tylko na to było mnie stać..

Miałem nadzieję, że Jej Królewska Mość zapomni o tym projekcie, stało się jednak inaczej. W Pont-à-Moussan małżonka delfina zapytała mnie, jak daleko do Taverney. Zmuszony byłem więc odpowiedzieć, że trzy mile zaledwie.

— Niedołęgo! — wykrzyknął baron..

— Niestety, Jej Wysokość odgadła moje zakłopotanie, powiedziała nawet: „Nie lękaj się, mój pobyt u was nie potrwa długo, a jeżeli nawet spotkają mnie jakieś przykrości, to przecież i ty doświadczyłeś przykrości podczas mojego wjazdu do Strasburga. Jakże się oprzeć takim przyjemnym słowom, powiedz, ojcze?

— O, to było niemożliwe — rzekła Andrea. — Jej wysokość jest tak dobra i szlachetna, że naprawdę zadowoli się moimi kwiatami i kubkiem mleka.

— Tak — rzekł baron — ale nie będzie zadowolona z moich krzesel, od których bolą kości, ani z moich postrzępionych lamperii. Diabli nadali z takimi kapryсами! Świetnie wyglądać będzie Francja rządzona przez kobietę o takich zachciankach! Oto jutrzeńka niezwykłych rządów!

— Ależ, ojcze, jak można mówić takie rzeczy o księżnej, która nas obdarza honorami! — zawołała Andrea.

— Która mi raczej odbiera honor! — krzyknął starzec. — Któż teraz myśli o de Taverneyach? Nikt. Imię naszego rodu spoczywa pod gruzami Maison-Rouge i miałem nadzieję, że wydobycie się stamtąd w odpowiedniej chwili. Ale omyliłem się, bo oto kaprys dziecka wskrzesza je wypłowiałe, zakurzone i żalosne. A gazety polujące na wszystko, co śmieszne i co da się rozdmuchać do rozmiaru skandalów, z których żyją, będą miały dopiero uciechę z odwiedzin znakomitej księżnej w norze de Taverneyów! Ale, na Boga, wiem, co uczynię!

Baron wyrzekł te słowa takim tonem, że młodzi zadrżeli.

— Co chcesz uczynić, ojcze? — zapytał Filip.

— A to, co znamy już z historii — wycedził przez zęby baron. — Jeżeli hrabia de Medina mógł podpalić swój pałac, aby pocałować królową, to ja mogę puścić z dymem tę budę, aby się uwolnić od przyjmowania małżonki delfina. Niech sobie przyjeżdża!

— Młodzi zrozumieli tylko ostatnie słowa i z niepokojem spojrzeli na siebie.

— Niechże sobie przyjeżdża! — powtórzył baron de Taverney.

— Wkrótce tu przybędzie — powiedział Filip. — Przyjechałem boczną drogą przez las Pierrefitte, aby wyprzedzić przybycie orszaku. Lada chwila tu będą.

— W takim razie nie ma czasu do stracenia — rzekł baron.

I wybiegł z salonu, jakby miał dwadzieścia lat, wpadł do kuchni i porwawszy żarzącą się głównię, pobiegł do stodoły pełnej słomy i grochówki. Już miał je podpalić, gdy nagle pojawił się Balsamo i chwycił go za ramię.

— Co pan robi?! — zawołał wyrывая z ręki starca płonąca głównię. — Arcyksiężniczka austriacka nie jest konetabłem de Bourbon, który obecnością swą znieważa domy tak, że lepiej je palić niż pozwolić mu, aby przestąpił ich progi.

Starzec zatrzymał się, blady i drżący. — Niech pan idzie, panie baronie — mówił dalej Balsamo — niech się pan pospieszy, bo czasu jest tylko tyle, aby zrzucić szlafrok i ubrać się przyzwoicie. Podczas oblężenia Philipsburga baron de Taverney nosił wielki krzyż orderu świętego Ludwika. A przy takim orderze nie ma ubrania, które nie wydałoby się bogatym i wykwintnym.

— Ale pomimo to — odparł baron — małżonka delfina zobaczy to, czego nawet panu pokazać nie chciałem: moją nędzę.

— Bądź spokojny, panie baronie, przyjmijmy ją tak, że ani spostrzeże, czy pana dom jest nowy czy stary, bogaty czy ubogi. Bądź gościnnie, panie, to twój obowiązek, obowiązek szlachcica. Cóż zrobią nieprzyjaciele Jej Wysokości, a ma ich przecież niemało, jeżeli przyjaciele palić będą swoje zamki, aby jej nie przyjąć pod swoim dachem? Nie uprzedzajmy przyszłych wypadków, panie baronie. Przyjdzie kolej na wszystko.

Pan de Taverney przyjął słowa gościa z rezygnacją i powrócił do dzieci, które go poszukiwały. Balsamo odszedł w milczeniu.

XIV. MARIA ANTONINA JÓZEFA, ARCYKSIĘŻNA AUSTRIACKA

Słusznie powiedział Balsamo, że nie było czasu do stracenia. Zazwyczaj spokojna droga, wiodąca z głównego gościńca do Taverney, rozbrzmiewała już turkotem powozów, tętentem koni i wrzawą głosów ludzkich.

Wkrótce ukazały się trzy karety, z których jedna ozdobiona była złoceniami i płaskorzeźbami, przedstawiającymi sceny mitologiczne. Podobnie jak i pozostałe, pokryta była kurzem i błotem. Zatrzymała się przy głównej bramie, którą otworzył Gilbert. W jego rozszerzonych oczach i na jego twarzy malowało się żywe wzruszenie na widok tyłu dostojnych gości.

Dwudziestu jeźdźców, młodych i wytwornych, utworzyło szpaler przy najświetniejszej karecie. Wysiadła z niej z pomocą czarno ubranego i udekorowanego orderami mężczyzny. młoda dziewczyna lat około szesnastu. Uczesana była z prostotą, nieupudrowane włosy miała upięte wysoko ponad czołem.

Maria Antonina, ona to bowiem była, przybywała do Francji poprzedzona sławą piękności, jaką nie zawsze cieszyły się księżniczki przeznaczone na małżonki królewskie.

Trudno było coś powiedzieć o jej oczach, niezbyt pięknych, ale zdolnych do wyrażania uczuć tak sprzecznych jak słodycz i wzgarda. Nos miała kształtny, ładnie wykrojona górna wargę, ale dolna, arystokratyczne dziedzictwo po siedemnastu cesarzach, była zbyt gruba i wydęta. Szczegół ten nie harmonizował z resztą twarzy, chyba wtedy, gdy twarz ta chciała wyrazić gniew lub oburzenie. Czerę miała zachwycającą. Widać było, jak krew krążyła pod delikatną tkanką skóry. Piersi, szyja i ramiona odznaczały się niezwykłą pięknnością, ręce miała prawdziwie królewskie. Chód jej był niekiedy stanowczy i jakby niecierpliwy, to znów miękki, kołyszący i — jeśli tak można powiedzieć — pieszczotliwy. Żadna kobieta nie kłaniała się z większym wdziękiem i żadna królowa z większą umiejętnością. Skłaniała głowę raz jeden dla dziesięciu osób, a przecież tym jednym ruchem składała ukłon każdemu z osobna odpowiednio do jego znaczenia.

Tego dnia Maria Antonina miała spojrzenie prawdziwie kobiece i uśmiech kobiety szczęśliwej. Przynękała sobie zapomnieć dzisiaj, że jest małżonką delfina. Spokój pełen słodczy opromieniał jej twarz, a czarująca dobroć ożywiała jej oczy. Ubrana była w białą, jedwabną suknię, a śliczne jej ramiona okrywała mantyla z ciężkich koronek.

Zaledwie wysiadła z karety, zaraz obróciła się, aby pomóc jednej ze swoich dam, osobie już starszej. Potem, nie przyjąwszy ramienia czarno ubranego mężczyzny, szła lekko naprzód, wciągając głęboko powietrze i rozglądając się dokoła, jakby chciała się nacieszyć tą rzadką chwilą swobody, jaką sobie obiecywała.

— Och, jakie ładne położenie, jakie piękne drzewa i przyjemny domek — rzekła. — Jakże tu można być szczęśliwym wśród tych cienistych drzew i w czystym, orzeźwiającym powietrzu.

Kiedy to mówiła, nadszedł Filip de Taverney. Za nim podążała Andrea, z włosami zaplecionymi w warkocze, w popielatej sukni z jedwabiu. Prowadził ją baron, ubrany w piękny frak z niebieskiego aksamitu, pozostałość dawnej świetności. Zbyteczne dodawać, że za radą Balsamo baron nie zapomniał o orderze świętego Ludwika.

Spostrzegłszy ich, małżonka delfina zatrzymała się. Otoczyła ją świta: oficerowie trzymający konie za uzdy, dworzanie z kapeluszami w ręku, rozmawiający szeptem.

Filip zbliżył się do arcyksiężniczki, blady ze wzruszenia.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość pozwoli — rzekł — będę miał zaszczyt przedstawić Jej barona de Taverney Mai son-Rouge, ojca mego, i Klarę Andreę de Taverney, moją siostrę.

Baron ukłonił się nisko jak człowiek, który wie, że w ten sposób należy witać królowe.

Andrea okazała pełną wdzięku nieśmiałość i subtelną grzeczność, wyrażającą szczerzy szacunek.

Maria Antonina spojrzała na rodzeństwo i przypomniałszy sobie, co Filip mówił o niedostatku ojca, zdawała się współczuć ich niedoli.

— Wasza Królewska Mość wyświadcza nam zbyt wielki zaszczyt — rzekł baron głosem pełnym godności — skromne Taverney nie zasługuje na przyjęcie tak szlachetnego i pięknego gościa.

— Wiem, że jestem u starego żołnierza Francji — odparła małżonka delfina — a matka moja, cesarzowa Maria Teresa, która niemało prowadziła wojen, mawiała mi, że w waszym kraju najbogatsi w sławę są prawie zawsze najubożsi w pieniądze.

I z niezrównanym wdziękiem podała rękę Andrei, która ucałowała ją przyklękawszy.

Tymczasem barona ciągle trapiła myśl, w jaki sposób przyjmie tak wielką liczbę gości, dla których brakłoby nawet krzesel.

Z kłopotu wybawiła go nieoczekiwanie żona delfina.

— Panowie — zwróciła się do swojej świty — nie chciałabym, abyście się trudzili z powodu mojej fantazji, ani żebyście korzystali z przywilejów, które mi przysługują. Zaczekajcie tu na mnie, proszę, za pół godziny wracam. — I dodała zwracając się po niemiecku do damy, której pomogła wysiąść z powozu: — Chodź ze mną, moja droga Langershausen.

Oprócz pani Langershausen arcyksiężniczka poleciła udać się z sobą mężczyźnie w czarnym ubraniu. Mężczyzna ten wyglądał niezwykle dystyngowanie; miał około trzydziestu lat, był przystojny, o ujmujących manierach.

Następnie Maria Antonina ruszyła przodem w towarzystwie Andrei i Filipa. Za nimi szedł baron obok mężczyzny, który był bez wątpienia znakomitą osobistością.

— To pan jesteście Taverney Maison-Rouge? — spytał barona czarno ubrany mężczyzna, głaszcząc palcami żaboty z koronek angielskich.

W geście tym niesposób było nie dostrzec wielkopańskiej impertynencji. Ale baron nie pozostał dłużny.

— Czy mam tytułować: pan czy też jaśnie oświecony? — odparował.

— Mów pan po prostu: mój książę — padła odpowiedź — lub: Wasza Eminencjo, jeśli pan woli...

— Dobrze, Wasza. Eminencjo — powiedział baron szyderczo. — Jestem Taverney Maison-Rouge, prawdziwy...

Jego Eminencja, nie pozbawiony taktu wielkich panów, spostrzegł, że ma do czynienia z kimś lepszym, niż przypuszczał.

Czy to pańska letnia rezydencja? — zapytał.

— Letnia i zimowa — odparł baron, który choć miał dość już tych pytań, przy każdej jednak odpowiedzi składał głęboki ukłon.

W czasie tej rozmowy Filip oglądał się niespokojnie w stronę ojca.

A tymczasem dom zdawał się zbliżać z każdą chwilą groźnie i nieuchronnie, aby neliitościwie ukazać swoje ubóstwo.

Byli już o parę kroków od niego i baron z rezygnacją wyciągnął zapraszającą rękę ku rzadko odwiedzanym progom, gdy małżonka delfina zwróciła, się do niego:

— Pan mi wybaczy, że nie wejdę do środka, cień tych drzew tak mi się podoba, że spędziłabym tu całe życie. Sprzykrzyły już mi się trochę pokoje, w których przyjmują mnie już od piętnastu dni. Ja tak lubię świeże powietrze, cień. i zapach kwiatów.

Potem powiedziała do Andrei:

— Chyba każesz mi przynieść pod to śliczne drzewo kubek mleka, nieprawda?

— Wasza Wysokość — rzekł baron blednąc — któż by ośmielił się ofiarować ci tak mizerny posiłek?

— Ależ ja bardzo lubię mleko i świeże jaja. To były moje przysmaki w Schönbrunn.

Wtem pojawił się rozpromieniony i dumny La Brie, w okazałej liberii, z serwetką zarzuconą na rękę. Stanąwszy przed altanką z jaśminu, której cienia zdawała się zazdrościć arcyksiężniczka, zaanonsował z trudną do opisaną mieszaniną prostoty i szacunku:

— Wasza Królewska Mość, podano do stołu.

— O, to znajduję się u czarodzieja — zawołała ze śmiechem Maria Antonina — i pośpieszyła ku pachnącej altanie.

Zaniepokojony tym baron zapomniał o etykiecie i pozostawiając towarzysza samego podążył szybko za dostojnym gościem.

Filip i Andrea spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, ale i ich ogarnął niepokój.

Tymczasem małżonka delfina, wszedłszy pod baldachim z zieleni wydała okrzyk podziwu.

Baron, który stanął tuż za nią, westchnął z zadowoleniem.

Andrea opuściła rękę, jakby chciała powiedzieć: Mój Boże, co to wszystko znaczy?

Arcyksiężniczka dostrzegła całą tę pantomimę. Miała umysł zdolny do rozumienia rzeczy, których serce jeszcze nie odgadło.

Pod splotami klematytów, jaśminu i wiciokrzewu, których gałęzie wiły się w promieniach słońca stał okrągły stół. Jaśniał blaskiem adamaszkowego obrusa i złotą, cyzelowaną zastawą.

Dziesięć nakryć oczekiwało na dziesięć osób.

Uwagę małżonki delfina zwróciły przede wszystkim wyszukane potrawy i niezwykle ich dobór.

Były tu egzotyczne owoce, smażone w cukrze; konfitury z wielu krajów, biszkopty z Aleppo, pomarańcze maltańskie, cytryny i granaty niezwyklej wielkości, ułożone na szerokich paterach. Kosztowne wina najszlachetniejszego pochodzenia mieniły się odcieniami rubinów i topazów w czterech prześlicznych karafkach, rżniętych na sposób perski.

Mleko, o które prosiła arcyksiężniczka, znajdowało się w złotym dzbaneczku.

Maria Antonina odwróciła się i, spojrzawszy na gospodarzy: ich twarze były blade i wystraszone.

— Więc spodziewałaś się mnie, baronie? — spytała małżonka delfina.

— Ja? — wyjąkał baron.

— Tak. Przecież w dziesięć minut nie można było się tak przygotować, a ja jestem tutaj zaledwie od dziesięciu minut.

To mówiąc spojrzawszy na La Brie, jakby chciała dopowiedzieć: — Zwłaszcza kiedy się ma tylko jednego służącego.

— Pani — odpowiedział baron. — Rzeczywiście czekałem na Waszą Królewską Mość, a raczej byłem uprzedzony o jej przybyciu.

Maria Antonina zwróciła się do Filipa:

— Więc to pan napisał do ojca? — Nie, pani.

— Ale nikt przecież nie mógł o tym wiedzieć, że ja się tu zatrzymam — rzekła Maria Antonina, po czym powiedziała do barona z uśmiechem:

— Chyba wieszczka to panu objawiła.

— Pani! — odparł baron, podając arcyksiężniczce krzesło. — Me wieszczka oznajmiła mi o tym szczęściu, ale...

— Ale? — podchwyciła małżonka delfina, widząc wahanie barona.

— ...prawdziwy czarodziej. — Czarodziej? Jak to być może?

— Me mogę nic o tym powiedzieć, bo nie znam się na czarach, ale to im przecież zawdzięczam, że mogę przyjąć Waszą Królewską Mość prawie tak, jakby należało.

— W takim razie nie możemy dotknąć się niczego, skoro te potrawy są dziełem sztuki czarnoksiężskiej i Jego Eminencja zbyt się pośpieszył — dodała zwracając się do mężczyzny w czarnym ubraniu — z otwarciem strasburskiego pasztetu, którego jeść nie będziemy. A ty, droga przyjaciółko — powiedziała do starszej damy — nie dowierzaj temu winu cypryjskiemu i zrób tak jak ja.

To mówiąc małżonka delfina naląła sobie z okrągłej jak kula karafki wody w złoty kubek.

— Rzeczywiście — rzekła Andrea zatrwożona — może Jej Królewska Mość ma słuszość.

Również i Filip był przejęty, nie wiedząc, co zaszło w przeddzień. Spoglądał to na ojca, to na siostrę, usiłując odgadnąć z ich oczu to, czego oni sami nie odgadywali.

— To jest przeciwne dogmatom — rzekła Maria Antonina — i ksiądz kardynał zgrzeszył.

— Pani — odparł mężczyzna w czarnym ubraniu. — My, księżęta kościoła, jesteśmy zbyt światowi, żebyśmy mieli wierzyć w gniew nieba z powodu pokarmów i zbyt ludzcy, żeby palić na stosie pocziwych czarnoksiężników żywiących nas tak wybornymi specjałami.

— Nie żartuj, Wasza Eminencjo — rzekł baron. — Przysięgam, że sprawcą tego wszystkiego jest czarnoksiężnik, który mi przed godziną przepowiedział przybycie Jej Królewskiej Mości i mojego syna.

— Przed godziną? — zapytała Maria Antonina.

— Tak jest.

— I w ciągu godziny miałeś pan czas zastawić stół i nałożyć kontrybucje na cztery części świata, ażeby sprowadzić te

owoce i wina? W takim razie jesteś pan większym czarnoksiężnikiem aniżeli ten, o którym mówiłeś.

— Nie, pani. To on, to wszystko za jego sprawą.

— Jak to?

— To za jego wolą wyrósł spod ziemi ten stół cały nakryty i zastawiany, tak jak go widać.

— Dajesz pan na to słowo? — zapytała arcyksiężniczka.

— Jakem szlachcic! — odparł baron.

— O — rzekł z powagą kardynał odsuwając talerz. — Myślałem, że pan żartujesz.

— Nie, Wasza Eminencjo.

— Masz pan u siebie prawdziwego czarnoksiężnika?

— Prawdziwego czarnoksiężnika... I nie zdziwiłbym się, gdyby złoto, z jakiego jest ten serwis, było jego dziełem.

— Czyżby znał kamień filozoficzny? — krzyknął kardynał, a oczy zaiskrzyły mu się pożądlivością.

— O, jak to się dobrze składa dla Jego Eminencji — wtrąciła arcyksiężniczka — który całe życie go szukał i nie mógł znaleźć.

— Wyznaję Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział kardynał — że nie znajduję nic bardziej zajmującego niż rzeczy nadprzyrodzone i nic ciekawszego nad rzeczy nieprawdopodobne.

— Ach, trafiłam, jak mi się zdaje, w słabe miejsce — rzekła małżonka delfina. Każdy wielki człowiek ma swoje tajemnice, zwłaszcza kiedy jest dyplomata. Ja także, uprzedzam cię Eminencjo, jestem biegła w sztuce czarnoksiężskiej i odgaduję niekiedy rzeczy jeśli nie niemożliwe i nie nadprzyrodzone, to przynajmniej... trudne do uwierzenia.

Słowa te były widocznie zrozumiałe tylko dla kardynała, który nie mógł ukryć zmieszania.

W łagodnych zwykle oczach arcyksiężniczki migotały iskry, jak błyskawice zapowiadające burzę. Pohamowała się jednak i mówiła, dalej zwracając się do barona:

— No, panie de Taverney, żeby ucztą była zupełna, pokaż nam swego czarnoksiężnika. Gdzież on jest? W jakie schował go pudełko?

— Pani! — odparł baron. — Raczej to on włożyłby mnie i mój dom w pudełko.

— Zaostrzasz moją ciekawość — rzekła Maria Antonina. — Chcę go koniecznie zobaczyć.

Ton, z jakim wyrzeczone były te słowa, mimo ich wdzięku, nie dopuszczał sprzeciwu. I baron zrozumiał to doskonale. Skinął na La Brie, który zamiast usługiwać przypatrywał się dostojnym gościom, jakby ich widokiem chciał spłacić sobie dwadzieścia lat zaległych zasług.

— Oznajmij panu baronowi Józefowi Balsamo — rozkazał mu de Taverney — że Jej Królewska Mość małżonka delfina życzy sobie go ujrzeć.

La Brie oddalił się.

— Józef Balsamo — rzekła arcyksiężniczka. — Co za szczególne nazwisko.

— Józef Balsamo... — powtórzył zamyślając się kardynał. — Znam to nazwisko, jak mi się zdaje. Zapanowało milczenie, którego nikt przez dłuższy czas nie przerwał.

Nagle Andrea zadrżała: usłyszała wcześniej niż ktokolwiek zbliżające się kroki wśród pobliskich zarośli.

Za chwilę rozchylły się gałęzie i naprzeciw Marii Antoniny stanął Józef Balsamo.

XV. MAGIA

Balsamo skłonił się nisko. Zaraz jednak podniósł głowę i spojrzał na Marię Antoninę badawczo, choć z uszanowaniem jasnym wzrokiem pełnym inteligencji i wyrazu. Stał w milczeniu, czekając na pytania.

— Jeżeli to pan jesteś tym, o którym nam mówił baron de Taverney — rzekła małżonka delfina — to zbliż się pan, zobaczymy, jak wygląda czarnoksiężnik.

Balsamo postąpił krok naprzód i po raz drugi się skłonił.

— Pan się trudnisz wróżeniem — powiedziała Maria Antonina. Popijając mleko, patrzyła na Balsamo z ciekawością większą, niż chciała mu okazać. — Nie trudnię się, pani — odparł Balsamo — ale wróżę.

— Jesteśmy wychowani w wierze wolnej od przesądów — rzekła arcyksiężniczka — i jedynymi tajemnicami, w które wierzymy, są tajemnice wiary katolickiej.

— Bez wątpienia są one godne czci — powiedział z głęboką powagą Balsamo. — Ale oto Jego Eminencja kardynał da Rohan jakkolwiek jest księciem kościoła, powie Waszej Królewskiej Mości, że nie tylko te jedynie tajemnice zasługują na powalanie.

Kardynał drgnął. Nazwiska swego nie powiedział nikomu, nikt go też nie wymieniał, a jednak cudzoziemiec je znał. Maria Antonina jakby nie zwróciła na to uwagi.

— Przyznasz chyba panie — mówiła — że są one jedyne, którym nie można zaprzeczyć.

— Pani — odparł Balsamo z tym samym wciąż uszanowaniem, ale i ze stanowczością — obok wiary jest pewność.

— Mówisz pan trochę niejasno, panie czarnoksiężniku. Wprawdzie czuję się Francuzką, ale nie znam jeszcze wszystkich odcieni języka francuskiego. Powiedziano mi, że pan de Bievre nauczył ranie tego wszystkiego, ale tymczasem jestem zmuszona pana prosić, abyś był mniej zagadkowy, gdyż chcę cię rozumieć.

— A ja — rzekł Balsamo potrząsając głową z nikłym uśmiechem — proszę Waszą Królewską Mość, ażeby mi pozwoliła pozostać niejasnym. Zbyt przykro byłoby mi odsłonić tak wielkiej księżnej przyszłość, która być może nie odpowiada jej nadziejom.

— O, to coś poważniejszego! — powiedziała Maria Antonina. — Pan chcesz zaostriżyć moją ciekawość spodziewając się, że będę nalegała, abyś mi wróżył.

— Niech mnie Bóg strzeże, bym miał być do tego zmuszony — odrzekł zimno Balsamo.

— Ach tak! — zaśmiała się małżonka delfina — bo sprawiłoby to panu kłopot! .

Ale jej śmiech szybko zgasł, nie podchwycony przez nikogo. Balsamo wywarł na wszystkich nieodparte wrażenie i stał się ośrodkiem ogólnej uwagi.

— No, powiedz pan szczerze... — nalegała Maria Antonina. Balsamo skłonił się, nic nie odpowiadawszy.

— Przecież pan przepowiedziałeś moje przybycie do Taverney — ciągnęła Maria Antonina z pewnym zniecierpliwieniem.

— Tak pani, ja.

— Jakimże sposobem, baronie? — spytała zwracając się do gospodarza. Czuliła potrzebę wciągnięcia innej osoby do rozmowy, której nie chciała przerwać, choć zaczęła jej ciążyć.

— O, mój Boże, najprostszym — odparł baron — patrząc w szklankę wody.

— Naprawdę? — spytała Maria Antonina zwracając się do Balsamo.

— Tak, pani.

— Czy to pana księga czarnoksięska? Jeżeli tak, ta przynajmniej czysta. Oby i twoje słowa były takie.

Kardynał uśmiechnął się, a baron rzekł z galanterią:

— Pan de Bievre nie będzie potrzebował już Waszej Wysokości niczego uczyć.

— O, mój drogi gospodarzu — odparła wesoła Maria Antonina — nie pochlebiaj mi, albo czyń to lepiej. Powiedziałam coś, jak mi się zdaje, całkiem miernego. Ale wracajmy do pana.

Odwróciła się w stronę Balsamo, ku któremu zdawała się ciągnąć ją nieprzeparta siła, podobnie jak ciągnie nas ku miejscu, gdzie czeka nas jakieś nieszczęście.

— Jeżeliś pan wyczytał przyszłość w szklance wody — powiedziała — to czemu nie mógłbyś wyczytać mojej w karafce?

Jak najlepiej, pani.

— Dlaczego więc odmówiłeś przed chwilą?

— Bo przyszłość jest niepewna pani, i jeśli bym dojrzał jaką chmurę... odparł Balsamo i urwał.

— Więc co? .

— Przykro byłoby mi, jak miałem zaszczyt już powiedzieć, zasmucić Waszą Królewską Mość.

— Czy pan już mnie znał, czy też widzisz mnie po raz pierwszy?

— Miałem zaszczyt widzieć Waszą Królewską Mość jako dziecko w rodzinnym kraju, przy czcigodnej matce.

— Widziałeś moją matkę?

— Miałem ten zaszczyt. Czcigodna to i potężna królowa.

— Cesarzowa, panie.

— Chciałem powiedzieć: królowa sercem i rozumem, a jednak...

— Jakieś niedomówienia i to względem mojej matki! — zawołała małżonka delfina z oburzeniem.

— Największe serca nie są wolne od słabości, zwłaszcza kiedy im się zdaje, że chodzi o szczęście ich dzieci.

— Jak się spodziewam, historia nie zapisze ani jednej słabości Marii Teresy.

— Bo historia nie będzie wiedzieć o tym, o czym wiedzą tylko Najjaśniejsza cesarzowa Maria Teresa, Wasza Królewska Mość i ja.

— Mamy więc jakąś tajemnicę we troje — powiedziała Maria Antonina z pogardliwym uśmiechem.

— Tak, we troje — odparł spokojnie Balsamo. — Poznajmy więc tę tajemnicę.

— Jeżeli ją powiem, już nie będzie tajemnicą.

— Mniejsza o to, mów!

— Wasza królewska Mość tego żąda?

— Tak, żądam.

Balsamo pochylił się w ukłonie i rzekł:

— Jest w pałacu w Schönbrunn gabinet zwany saskim z powodu przepysznych waz porcelanowych, jakie się tam znajdują.

— Tak — odparła Maria Antonina. — Cóż dalej?

— Gabinet ten należy do apartamentów Jej Cesarskiej Mości Marii Teresy...

— Tak

— Jest to gabinet, w którym Najjaśniejsza Cesarzowa zajmuje się poufną korespondencją...

— Tak.

— ...na wspaniałym biurku, które podarował cesarzowi Franciszkowi I król Ludwik XV.

— Do tej pory wszystko, co pan mówisz, jest prawdą, ale każdy może wiedzieć o tym.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy mieć cierpliwość. Pewnego dnia, było to około godziny siódmej rano Najjaśniejsza Cesarzowa jeszcze nie wstała, gdy Wasza Królewska Mość weszła do gabinetu ukrytymi drzwiami, bo spośród dostojnych cór Najjaśniejszej Cesarzowej Wasza Królewska Mość była najukochańszą...

— A potem, panie?

— ...Wasza Królewska Mość zbliżyła się do biurka, Wasza Królewska Mość musi to pamiętać: było to właśnie przed pięciu laty...

— Mów pan dalej.

— Wasza Królewska Mość zbliżyła się do biurka. Na biurku leżał nie zapieczętowany list, który Najjaśniejsza Cesarzowa napisała poprzedniego dnia.

— No i cóż?

— Wasza Królewska Mość przeczytała ten list. Maria Antonina zarumieniła się.

— A po przeczytaniu, Waszej Królewskiej Mości nie podobały się zapewne niektóre wyrażenia, gdyż własną ręką...

Maria Antonina słuchała z niepokojem, Balsamo zaś mówił dalej:

— ...wykreśliła trzy słowa.

— A jakie były te słowa?! — zawołała żywo.

— Na początku listu.

— Nie pytam o miejsce, ale o ich znaczenie.

— Zbyt wylewne jak dla osoby, do której list był adresowany. To właśnie owa słabość, jaką można by przypisać dostojnej matce Waszej Królewskiej Mości.

— Więc pamiętasz pan te trzy wyrazy?

— Pamiętam.

— Mógłbyś mi je pan powtórzyć?

— Jak najdokładniej

— Więc mi je pan powtórz.

— Głośno? — Tak.

— „Moja droga przyjaciółko .

Maria Antonina zbladła, przygryzając usta.

— A teraz — rzekł Balsamo — czy Wasza Królewska Mość życzy sobie, ażebym powiedział, do kogo ten list był pisany?

— Nie, ale chcę, żebyś to napisał.

Balsamo wyjął z kieszeni notes ze złotą klamerką, napisał kilka wyrazów ołówkiem, wydarł kartkę i podał ją z ukłonem.

Maria Antonina wzięła kartkę i przeczytała.

List był adresowany do kochanki Ludwika XV, pani margrabny de Pompadour.

Maria Antonina podniosła zdziwiony wzrok na człowieka, który mówił tak jasno, głosem tak czystym i bez żadnego wzruszenia i który choć jej się kłaniał nisko, zdawał się nad nią panować.

— Wszystko to prawda — rzekła — i chociaż nie pojmuję, jakim sposobem odgadłeś te szczegóły, nie umiem kłaniać i powtarzam głośno: to prawda.

— Niech zatem Wasza Wysokość — powiedział Balsamo — pozwoli mi oddalić się i niech poprzestanie łaskawie na tej niewinnej próbie mojej wiedzy.

— Nie — odparła urażona Maria Antonina. — Teraz bardziej pragnę się dowiedzieć wszystkiego. Mówiłeś mi pan o przeszłości, a mnie chodzi o przyszłość.

Słowa te wypowiedziała z gorączkowym wzruszeniem, które daremnie starała się ukryć przed słuchaczami.

— Jestem gotów — rzekł Balsamo — ośmielam się jednak jeszcze raz prosić Waszą Wysokość, aby nie nalegała.

— Nigdy nie powtarzam dwa razy: ja chcę, a przypomina sobie pan, że już raz to powiedziałam.

— Pozwól mi Wasza Wysokość poradzić się przynajmniej wyroczni — powiedział Balsamo tonem prośby. — Niech się dowiem, czy można ujawnić przepowiednię Waszej Królewskiej Mości.

— Dobra czy zła, ja chcę wiedzieć, czy pan mnie rozumie?! — odparła Maria Antonina ze wzrastającym gniewem. — Dobrej nie uwierzę, uważając ją za pochlebstwo, złą wezmę za przestrożę i jakakolwiek będzie, przyrzekam, że przyjmę ją z wdzięcznością. Zaczynaj więc.;

Powiedziała to tonem nie dopuszczającym sprzeciwu ani wahania.

Balsamo wziął okrągłą karafkę z krótką i wąską szyjką, o której była mowa, i postawił ją na złotym talerzyku. Mieniące się wewnątrz karafki, wypełnionej wodą zdawało się mieć jakieś znaczenie dla bacznie wpatrującego się wróżbity.

Wszyscy milczeli.

Balsamo podniósł karafkę, przez chwilę popatrzył na nią z uwagą i znowu postawił na stole potrząsając głową.

— No i cóż? — zapytała arcyksiężniczka.

— Nie mogę powiedzieć — odparł Balsamo.

Twarz Marii Antoniny przybrała wyraz, który zdawał się oznaczać: Bądź spokojny, wiem jak zmusić do mówienia tych, którzy chcą milczeć.

— Nic zatem nie masz mi pan do powiedzenia? — zapytała głośno.

— Są rzeczy, których nie należy nigdy mówić księżętom — odpowiedział Balsamo tonem dającym do zrozumienia, że postanowił opierać się nawet rozkazom małżonki delfina.

— Zwłaszcza — rzekła Maria Antonina — kiedy się nic nie wie.

— Nie, Wasza Wysokość, nie to mnie powstrzymuje. Małżonka delfina uśmiechnęła się pogardliwie. Balsamo zdawał się być zakłopotany, kardynał śmiał się mu w oczy, a baron zbliżył się i mruknął:

— No, no, nasz czarnoksiężnik już się zmęczył, nie długo się trzymał. Teraz pozostaje tylko, ażebyśmy ujrzeli te wszystkie złote naczynia zamienione w liście winnej latorośli jak w opowieści wschodniej.

— Wolałabym — rzekła Maria Antonina — zwykłe liście niż cały ten przepych, z jakim ten pan wystąpił, aby mi być przedstawiony.

— Wasza Wysokość raczy sobie przypomnieć — odparł Balsamo bardzo blady — że nie prosiłem o ten zaszczyt.

— Ejże, mój panie, nie trudno było się domyślić, że zechcę cię zobaczyć.

— Przebacz mu, Wasza Wysokość — odezwała się cicho Andrea — sądził, że dobrze robi.

— A ja ci mówię, że zawinił — odparła Maria Antonina tak, aby usłyszał ją również Balsamo. — Nie wolno mu było wywyższać się kosztem biednego starca. Kiedy można się napić z cynowego kubka szlachcica, nie należy zmuszać małżonki delfina Francji do picia ze złotego kubka szarlatana. Balsamo drgnął jakby ukąsiła go żmija.

— Wasza Wysokość — rzekł — gotów jestem dać ci poznać twoje przeznaczenie, skoro w swym zaślepieniu koniecznie tego żądasz.

Wypowiedział te słowa tonem tak pewnym i groźnym zarazem, że obecni poczuli w żyłach lodowate zimno. Młoda arcyksiężniczka pobladła.

— A zatem — powiedziała — chcę, abyś mówił.

Gdy Balsamo usłyszał te słowa, posępny i przelotny uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Właśnie to powiedziałem.— szepnął sam do siebie. — Oto fanfaronada.

— Mów pan! — nakazała Maria Antonina.

— Wasza Królewska Wysokość żąda więc tego stanowczo?

— Nie zmieniam nigdy swojego postanowienia.

— A więc powiem tylko Waszej Wysokości.

— Zgoda — powiedziała małżonka delfina. — Skruszę jego opór całkowicie. Oddalcie się.

Na jej skinienie wszyscy odeszli.

— To sposób jak każdy inny — rzekła Maria Antonina do Balsamo — aby uzyskać specjalne posłuchanie, nieprawdaż?

— Nie staraj się, Wasza Wysokość, mnie rozgniewać — odparł Balsamo — jestem jedynie narzędziem, którego Bóg używa, aby cię oświecić. Uragaj losowi, on ci tym samym odpłaci, bo on się umie mścić. Ja tłumaczę jedynie jego kaprysy. Nie zwracaj przeciwko mnie gniewu z powodu mojego ociągania się, ponieważ i tak nie możesz obarczyć mnie odpowiedzialnością za nieszczęścia, których jestem tylko złowieszczym zwiastunem

— A więc to są nieszczęścia? — powiedziała Maria Antonina udobruchana wyrazem uszanowania ze strony Balsamo i rozbrojona jego pozorną uległością.

— Tak, Wasza Wysokość, i to bardzo wielkie nieszczęścia. — Powiedz jakie?

— Spróbuję. Proszę mnie pytać.

— Najpierw: Czy moja rodzina będzie szczęśliwa?

— Czy ta, którą Wasza Wysokość opuszcza, czy ta, która czeka?

— Och! Moja prawdziwa rodzina: moja Matka Maria Teresa, mój brat. Józef, moja siostra Karolina.

— Nieszczęścia Waszej Królewskiej Mości ich nie dotyczą. — Więc nieszczęścia te będą tylko moim udziałem?

— Tak. Z nową rodziną Waszej Wysokości.

— Czy możesz mi pan wyjaśnić, jakie to będą nieszczęścia?

— Mogę.

— Rodzina królewska składa się z trzech książąt? — spytała Maria Antonina.

— Tak.

— Książę Berry, hrabia Prowansji i hrabia d'Artois.

— Tak właśnie.

— Jaki los spotka tych książąt?

— Wszyscy trzej będą panować.

— Nie będę więc miała dzieci?

— Będziesz miała, Wasza Wysokość. — A więc nie będą to synowie?

— Będą i synowie między nimi.

— To znaczy, że będę cierpieć widząc ich śmierć?

— Żałować będziesz, Wasza Wysokość, że jedno umarło, żałować będziesz, że drugie pozostało przy życiu,

— Czy mąż mój będzie mnie kochał?

— Będzie kochał.

— Czy bardzo?

— Aż za bardzo.

— Jakież nieszczęścia osiągnąć mnie zatem mogą, jeżeli będę miała miłość męża i pomoc rodziny?

— Będziesz, Wasza wysokość, pozbawiona jednego i drugiego.

— Pozostanie mi wtedy małość i pomoc ludu.

— Miłość i pomoc ludu! To jest ocean podczas ciszy... Czy Wasza Wysokość widziała ocean podczas burzy?

— Czyniąc dobrze, zapobiegnę burzy, a jeżeli się zerwie, pójdę razem z nią.

— Im wyżej piętrzą się bałwany, tym głębsza pod nimi otchłań.

— Bóg mi pozostanie...

— Bóg nie broni głów, które potępił.

— Co pan mówi?! Czyż nie będę królową?

— Dałby Bóg, abyś nią Wasza Wysokość nie była. Młoda kobieta uśmiechnęła się pogardliwie.

— Racz posłuchać mnie dalej, Wasza Wysokość — odezwał się Balsamo.

— Słucham.

— Czy Wasza Wysokość zauważyła obicie w pokoju, w którym spędziła pierwszą noc po wjeździe do Francji?

— Tak — odpowiedziała Maria Antonina z drżeniem.

— Co wyobrażało to obicie?

— Rzeź niewiniątek.

— Zapewne okropne oblicza siepaczy pozostały w pamięci Waszej Wysokości?

— Pamiętam je.

— A w czasie burzy nic Wasza Wysokość nie zauważyła?

— Piorun zwałił drzewo, które padając omal nie strzaskalo karety.

— To są właśnie przepowiednie — rzekł posępnie Balsamo. — Przepowiednie nieszczęść?

— Trudno byłoby je, jak mi się zdaje, tłumaczyć inaczej. Małżonka delfina opuściła głowę na piersi i po chwili skupionego milczenia podniosła ją.

— Jak umrze mój mąż? — zapytała.

— Bez głowy.

— Jak umrze hrabia Prowansji?

— Bez nóg.

— Jak umrze hrabia d'Artois?

— Bez dworu.

— A ja?.

Balsamo potrząsnął głową.

— Mów..

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Ale ja chcę, żebyś mówił! — krzyknęła Maria Antonina drżąc.

— Przez litość.

— Ach, mów!

— Nigdy, nigdy...

— Mów! — rzekła tonem groźby. — Mów albo powiem, że to wszystko jest śmieszną komedią! A strzeż się, bo nie można żartować z córkami Marii Teresy, z kobiety... która ma w swoim ręku życie trzydziestu milionów ludzi.

Balsamo milczał.

— Zatem nie wiesz nic więcej — powiedziała wzruszając ramionami z pogardą — albo wyczerpała się już twoja wyobraźnia.

— Wiem wszystko, Wasza Wysokość — odparł Balsamo. — A ponieważ chcesz koniecznie...

— Tak, ja chcę.

Balsamo wziął karafkę ze złotego talerzyka i postawił ją w ciemnym kącie altany, gdzie kilka sztucznych skał tworzyło grotę. Potem chwyciwszy arcyksiężniczkę za rękę, pociągnął ją pod czarne cienie sklepienia.

— Czy Wasza Wysokość gotowa? — spytał Marię Antoninę, którą ten gwałtowny ruch prawie przeraził.

— Tak.

— Teraz więc na kolana, Wasza Wysokość, na kolana i błagaj Boga, aby ci oszczędził losu, jaki zobaczysz.

Maria Antonina posłuchała bezwiednie i padła na kolana. Balsamo dotknął pałeczką kryształowej kuli, pośrodku której ukazał się ponury i przerażający obraz.

Maria Antonina próbowała podnieść się z kolan, ale za chwiała się i wydawszy przeraźliwy okrzyk zemdlała.

Nadbiegł baron i zastał ją bez przytomności.

Po kilku minutach przyszła do siebie, przesunęła ręką po' czole, jak to czyni człowiek, usiłujący sobie coś przypomnieć.

Potem krzyknęła nagle z niewysłowionym przerażeniem w głosie:

— Karafka! Karafka!

Baron podał ją. Woda w karafce była przezroczysta, niezmacona.

Balsamo zniknął.

XVI. NADZIEJE BARONA DE TAVERNEY

Pierwszą osobą, która ujrziała zemdloną małżonkę delfina był, jak już powiedzieliśmy, baron de Taverney. Usłyszawszy krzyk Marii Antoniny i na widok oddalającego się Balsamo, pobiegł na ratunek.

Pierwsze słowa Marii Antoniny dotyczyły karafki, następne — aby nic złego nie uczyniono czarnoksiężnikowi. Stało się to w samą porę, gdyż Filip de Taverney rzucił się za nim w pogoń jak rozdrażniony lew. Głos małżonki delfina zatrzymał go.

Wtedy zbliżyła się do niej starsza dama i zapytała po niemiecku, co się stało. Maria Antonina odpowiedziała tylko, że Balsamo w niczym jej nie uchybił, lecz prawdopodobnie długa podróż i wczorajsza burza wyczerpały ją nerwowo.

Odpowiedź tę przetłumaczono kardynałowi de Rohan. Nie zadowolila ona nikogo, choć nikt się z tym nie zdradził.

Wtedy do Marii Antoniny podszedł Filip i rzekł:

— Wasza Wysokość posłuszny rozkazom, przychodzę z wielkim żalem oznajmić, że pół godziny już upłynęło i że konie są gotowe.

— Dobrze — odparła Maria Antonina słabym głosem — ale niezdolna jestem do wyjazdu w tej chwili... Klika, godzin snu pokrzepiłoby ranie bardzo.

Baron zbladł, Andrea spojrzała na ojca z. niepokojem.

— Wasza Królewska Mość zdaje sobie sprawę, jak niegodny jej jest ten dom — wyjął de Taverney.

— O, proszą cię, baronie — powiedziała Maria Antonina bliska omdlenia. — Wszystko będzie dobrze, bylebym odpoczęła.

Andrea poszła niezwłocznie przygotować dla niej; swój pokój. Nie był to pokój największy, ani nawet najbardziej okazały, ale w mieszkaniu panny z arystokratycznego rodu, choćby tak biednej jak Andrea, jest zawsze coś, co cieszy oko innej kobiety

Każdy gotów był teraz świadczyć usługi Marii Antoninie, ale ona z melancholijnym uśmiechem skinęła tylko ręką, jakby nie była zdolna przemówić, na znak, że życzy sobie pozostać sama.

Powoli wszyscy opuścili ją. Maria Antonina przeprowadziła ich wzrokiem, a potem w zadumie oparła bladą twarz na pięknej ręce.

Od początku przyjazdu do Francji ścigały ją okropne przepowiednie. Najpierw pokój w Strasburgu, gdzie po raz pierwszy stanęła na ziemi francuskiej, i obicie w tym pokoju, przedstawiające rzeź niewiniątek; potem burza, która strzaskała drzewo tuż koło jej karety; wreszcie przepowiednie tego niezwykłego człowieka i tajemnicze widzenie, którego Maria Antonina postanowiła nie ujawniać nikomu.

W dziesięć minut później Andrea weszła do altany, aby oznajmić, że pokój jest przygotowany.

Przez dłuższą chwilę stała przed Marią Antoniną, nie odważywszy się przerwać jej głębokiej zadumy.

Kiedy małżonka delfina ocknęła się z zamyślenia, podniosła głowę i skinęła ręką,

— Pokój Waszej Królewskiej Mości jest już gotowy — rzekła dziewczyna. — Błagamy tylko...

Maria Antonina nie dała jej dokończyć.

— Bardzo dziękuję. Wezwij, proszę, hrabinę Langershau sen i poprowadź nas.

Kiedy hrabina zjawiała się, Maria Antonina odezwała się do niej po niemiecku:

— Podaj mi rękę, moja Brygido, bo doprawdy nie mam sił iść sama.

Hrabina wyciągnęła rękę i jednocześnie Andrea pospieszyła z pomocą.

— Rozumiesz więc po niemiecku? — spytała pannę de Taverney Maria Antonina.

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedziała po niemiecku Andrea — a nawet trochę mówię.

— Wspaniale! — zawołała Maria Antonina z radością. — Och; jak to odpowiada moim planom!

Andrea nie śmiała jednak zapytać dostojnego gościa, jakie to były plany.

Maria Antonina, wspierana przez hrabinę, szła powolnym krokiem. Kolana uginały się pod nią. Kiedy wychodziły z gęstwiny, dobiegł ich głos kardynała de Rohan:

— Jakże to, panie de Stainville, chcesz mówić z jej Królewską Mością pomimo zakazu?!

— Trzeba — odpowiedział stanowczo gubernator. — Jej Królewska Mość przebaczy mi, jestem tego pewny.

— Doprawdy nie wiem, czy powinienem...

— Pozwól zbliżyć się naszemu gubernatorowi, kardynale — rzekła Maria Antonina, wychodząc z zielonej gęstwiny. — Proszę, panie de Stainville.

Nikt nie ośmielił się teraz zatrzymać pana de Stainville, szwagra wszechwładnego ministra, który rządził podówczas Francją.

Gubernator zbliżył się do Marii Antoniny i spojrzał znacząco wokół siebie, dając do zrozumienia, że pragnie z nią rozmawiać na osobności. Małżonka delfina odgadła jego intencje i oświadczyła, że chce rozmawiać z gubernatorem bez świadków.

— Depesza z Wersalu — rzekł półgłosem de Stainville, kiedy wszyscy się oddalili.

Wyjął spod haftowanego kapelusza list i podał go Marii Antoninie, która odczytała adres na kopercie: „Do pana barona de Stainville, gubernatora miasta Strasburga.

— List nie do mnie pisany, lecz do ciebie, baronie — rzekła. — Rozpieczętuj i przeczytaj, czy jest w nim coś, co mnie interesuje.

— List wprawdzie jest do mnie adresowany, ale w rogu znajduje się umówiony z moim szwagrem znak, który wskazuje, że list przeznaczony jest wyłącznie dla Waszej Królewskiej Mości.

— Ach, prawda, krzyżyk. Nie spostrzegłam. Podaj mi list, baronie.

Otworzyła podany list i czytała: „Prezentacja pani Dubarry jest postanowiona, jeżeli tylko znajdzie matkę chrzestną. Mamy jeszcze nadzieję, że nie znajdzie. Najpewniejszym jednak środkiem zapobieżenia prezentacji byłoby, żeby Jej Królewska Mość małżonka delfina pośpieszyła się. Skoro już Jej Królewska Mość będzie w Wersalu, nikt nie odważy się proponować podobnej bezecności.

— Bardzo dobrze — rzekła Maria Antonina, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Wasza Królewska Mość raczy odpocząć? — spytała nieśmiało Andrea.

— Nie, dziękuję — odparła arcyksiężniczka. — Świeże powietrze mnie orzeźwiło, czuję się już zdrowa i silna.

Puściła rękę hrabiny i zrobiła kilka kroków naprzód tak szybko i energicznie, jakby nic zgoła nie zaszło,

— Konie! — rzekła. — Odjeżdżam.

Kardynał de Rohan spojrział na gubernatora, jakby chcąc go. prosić o wyjaśnienie tej nieoczekiwanej zmiany.

— Delfin niecierpliwi się — szepnął mu na ucho de Stainville.

Kłamstwo to było tak zręczne, że kardynał wziął je za niedyskrecję i zadowolił się tym.

Kaprys Marii Antoniny nie zdziwił Andrei. Ojciec przyzwyczaił ją do szanowania zmiennych nastrojów każdej koronowanej głowy.

— Dziękuję — rzekła Maria Antonina do dziewczyny. — Gościnność twoja bardzo mnie wzruszyła.

I dodała zwracając się do barona:

— Wyjeżdżając z Wiednia, uczyniłam ślub, że obdarzę dobrodziejstwami pierwszego Francuza, którego spotkam na ziemi francuskiej. Tym Francuzem jest twój syn, baranie. Ale nie znaczy to, że zapomnę o pannie... Jak ma na imię twoja córka, baronie?

... — Andrea, Wasza Wysokość. — ...że zapomnę o pannie Andrei.

— O, Wasza Wysokość... — szepnęła Andrea.

— Tak, chcę, żebyś została damą dworu.

— Ach, Wasza Wysokość — zawołał baron, dla którego słowa Marii Antoniny były spełnieniem marzeń. — Posiadamy... — Posiadamy więcej szlachectwa niż bogactwa, a jednak... tak. wielki los...

— Słusznie wam się to należy... Brat będzie bronił króla w wojsku, siostra będzie służyć małżonce delfina.. Ojciec uczyć będzie syna wierności, a córkę cnoty... Godne będę miała sługi, nieprawdaż baronie?

— Ale... — bąknął baron, który zdążył już odzyskać równowagę.

— Tak, rozumiem — rzekła Maria Antonina. — Musicie się przygotować.

— Tak, Wasza Wysokość.

— Zgoda. Ale przygotowania te nie powinny trwać długo. Uwaga ta wywołała na ustach Andrei i Filipa smutny uśmiech, a baron skrzywił się. Ich miłość własna została wystawiona na ciężką próbę.

— Pojedziecie jedną z moich karet, którą mnie dogonicie — dodała Maria Antonina. — Panie gubernatorze, proszę wydać odpowiednie zarządzenia i wyznaczyć oficera do towarzyszenia karcie barona de Taverney.

Baron i rodzeństwo podziękowali gorąco.

— Ten nagły wyjazd nie sprawi wam zbyt wiele kłopotów, nieprawdaż? — spytała Maria Antonina.

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Królewskiej Mości — odparł de Taverney.

— A więc ruszamy — rzekła Maria Antonina z uśmiechem.

W kwadrans potem aleja wyjazdowa zamku Taverney, przed chwilą jeszcze pełna ruchu i gwaru, opustoszała. Na kamieniu przy bramie siedział Gilbert, smutny i blady, ze wzrokiem utkwionym w kłęby kurzu, jakie wzbijały kopyta koni z dala na drodze.

Tymczasem w salonie Andrea przeżywała ponownie dziwne i niespodziane wypadki, które wdary się w jej spokojne życie. Zdawało jej się, że to sen.

Baron nie mógł jeszcze przemówić ani słowa. Wyrwał z krzaczastych brwi siwe włosy i nerwowo szarpał fałdy żabota.

Nicole, oparta o drzwi, obserwowała Andreę i barona.

La Brie z rękami opuszczonymi i otwartymi ustami patrzył na Nicole.

Wreszcie baron pierwszy ocknął się.

— Łotrze! — huknął na La Brie. — Stoisz tu jak bałwan, a szlachcic, oficer królewski czeka na dziedzińcu.

La Brie wybiegł z salonu i w chwilę potem wrócił. — Jaśnie panie! — oznajmił. — Ten szlachcic jest na dole.

— Co robi?

— Karmi konie.

— Niech karmi. A kareta?

— Kareta stoi w alei.

— Zaprzężona?

— W cztery konie. Och, piękne konie, jaśnie panie! Jedzą liście granatu w ogródku.

— Konie królewskie mają prawo jeść, co im się podoba. Ale, ale... Co się stało z czarownikiem?

— Czarownik, jaśnie panie, zniknął.

— Zostawiwszy stół z całym nakryciem?! To nie podobna! Wróci.

— Nie wierzę — rzekł La Brie. — Gilbert widział, jak odjeżdżał swoją landarą.

— Gilbert widział, jak odjeżdżał... — powtórzył baron zamyślony.

— Tak, jaśnie panie.

— Ten próżniak Gilbert wszystko widzi. Przygotuj kufer.

— Już gotowy, jaśnie panie.

— Jak to gotowy?

— Jak tylko usłyszałem rozkaz Jej Królewskiej Mości małżonki delfina, poszedłem do pokoju pana barona i spakowałem odzież i bieliznę.

— Po co się wtrącasz w nieswoje rzeczy, hultaju?!

— Jaśnie panie, myślałem, że dobrze zrobię, uprzedzając pana życzenie.

— Głupcze! Idź, pomóż mojej córce.

— Dziękuję, ojczy, ja mam Nicole — powiedziała Andrea. W tej chwili rozległo się na dziedzińcu ciche gwizdnięcie.

— Jaśnie panie — rzekł La Brie.

— Co takiego?

— Wołają...

— Kto taki?

— Ten pan.

— Oficer królewski?

— Tak. I Gilbert chodzi tam na dole, jakby chciał rozmawiać z jaśnie panem.

— No to idź, bydlaku.

La Brie usłuchał ze zwykłą sobie skwapliwością.

— Ojczy — rzekła Andrea podchodząc do barona — rozumiem, co cię dręczy w tej chwili. Mam trzydzieści ludwików i piękny zegarek z brylantami, który królowa Maria Leszczyńska darowała mojej matce.

— Tak, moje dziecko, tak... Dobrze, ale schowaj to. Potrzeba ci będzie pięknej sukni. To ja muszę postarać się... Ale cicho, idzie La Brie.

— Jaśnie panie! — krzyknął La Brie wchodząc i trzymając w jednej ręce listy, a w drugiej kilka sztuk złota. — Jej Królewska Mość zostawiła dla mnie dziesięć ludwików, dziesięć ludwików, jaśnie panie! — A ten list, błźnie?

- To od czarownika.
- Od czarownika? A kto ci go dał?
- Gilbert.
- Dawaj go prędko!

To mówiąc baron wyrwał list z rąk La Brie, rozpieczętował szybko i przeczytał po cichu: „Panie baronie, odkąd tak dostojna ręka dotknęła tych naczyń u pana, należą one do pana. Zachowaj je więc jako relikwie i pomyśl czasem o swoim wdzięcznym gościu. Józef Balsamo.”

— La Brie! — krzyknął baron po krótkim namyśle. — Czy jest w Bar-le-Duc porządny złotnik?

— Tak, jasnie panie. Ten, co lutował srebrny kubek panny Andrei.

— Dobrze. Andreo, odłóż na bok kubek, z którego piła Jej Królewska Mość i każ zanieść resztę serwisu do karety. A ty, hultaju, biegnij do piwnicy i podaj szlachcicowi co tam zostało z dobrego wina.

— Jedna butelka, jasnie panie — rzekł La Brie z głęboką melancholią.

— Tyle właśnie trzeba. La Brie wyszedł.

— No, Andreo — mówił baron, wzięwszy córkę za obie ręce — odwagi, moje dziecko. Jedziemy na dwór. Wiele jest tam wakujących urzędów, wiele opactw do rozdania, niemało regimentów bez pułkowników, znaczna liczba nie przydzielonych rent. Piękny to kraj, piękny dwór, opróżniony światłem słońca. Zawsze obracaj się w tę stronę, gdzie ono świeci, moja córko, miło na ciebie patrzeć. Idź już, moje dziecko.

Andrea wyszła podając ojcu czoło do pocałowania.

Nicole udała się za nią.

— Hej, pokrako, La Brie! — krzyknął de Taverney — miej staranie o pana oficera, czy słyszysz?

— Tak, jasnie panie — odpowiedział La Brie z głębi piwnicy.

— Ja muszę uporządkować swoje papiery — mówił baron idąc do swojego pokoju. — Za godzinę wyniesiemy się z tej dziury. Andreo, czy słyszysz? Wydobędę się przecież z tego Taverney! Co za pocziwy człek ten czarownik! Dalibóg, zaczynam być zabobonnym jak diabeł. Ale zwijaj że się prędzej, ty łotrze La Brie!

— Jasnie panie, musiałem iść po omacku. Nie było już ani jednej świecy w zamku.

XVII. POSAG NICOLE

Powróciwszy do swojego pokoju, Andrea zajęła się przygotowaniem do odjazdu. Nicole pomagała jej z zapalem. Rozwiązał on szybko chmurę nieporozumienia, jaką wywołała poranna rozmowa pani ze służącą.

Andrea spoglądała z ukosa na krzątającą się Nicole i uśmiechała się na myśl, że nie będzie potrzeby przebaczać.

— To dobra dziewczyna — mówiła sobie. — Ma swoje wady, ale jest przywiązana i umie być wdzięczna. Trzeba jej zapomnieć poranną scenę.

Nicole również przyglądała się ukradkiem swojej pani i nie mogła nie zauważyć wzrastającej przychylności, jaka malowała się na spokojnej i pięknej twarzy Andrei.

— Jakże jestem głupia! — myślała. — Mało co nie pokłóciłam się z panną Andrea o tego szelmę Gilberta, a ona przecież bierze mnie do Paryża, gdzie prawie zawsze do ludzi uśmiecha się szczęście.

W tej atmosferze odprężenia łatwo już było o objawy przychylności.

Pierwsze kroki zrobiła Andrea.

— Włóż moje koronki do pudła — rzekła.

— Do jakiego pudła? — spytała pokojówka.

— A czy ja wiem? Nie mamy żadnego?

— Owszem, mam to, które mi pani dała. Jest w moim pokoju.

I Nicole pobiegła po pudło z pośpiechem, który upewnił Andreę w przekonaniu, że uczyniła słusznie puszczając urazę w niepamięć.

— Ależ to twoje pudło! — powiedziała, kiedy Nicole wróciła. — Może ci będzie potrzebne, biedne dziecko?

— Kiedy to pudło pani bardziej potrzebne niż mnie, a zresztą ono należy do pani.

— Kto chce założyć własny dom, temu nigdy nie będzie za wiele sprzętów. Tobie więc pudło jest bardziej potrzebne niż mnie.

Nicole zaczerwieniła się.

— Pudła będą ci potrzebne — mówiła dalej Andrea — do przechowywania ślubnych strojów.

— Ach, proszę pani — rzekła wesoło Nicole potrząsając głową. — Moje ślubne stroje niewiele zajmą miejsca.

— Dlaczego? Skoro idziesz za mąż, chciałabym, żebyś była szczęśliwa i bogata.

— Bogata?

— No tak, stosunkowo bogata.

— Czy pani znalazła dla mnie dzierżawcę generalnego?.

— Nie, ale znalazłam dla ciebie posag.

— Naprawdę?

Wiesz, ile jest w mojej sakiewce?

— Tak. Dwadzieścia pięć pięknych ludwików.

— No to te dwadzieścia pięć ludwików należą do ciebie, Nicole.

— Dwadzieścia pięć ludwików! Ależ to majątek! — krzyknęła Nicole zachwycona.

— Tym lepiej, jeżeli to mówisz szczerze.

— I pani mi daruje te dwadzieścia pięć ludwików?

— Daruję.

Nicole najpierw zdziwiła się, potem rozrzewniła. Ze łzami w oczach rzuciła się do rąk Andrei.

— Twój mąż będzie teraz zadowolony, nieprawdaż? — spytała panna de Taverny.

— O tak, bardzo zadowolony. Przynajmniej tak się spodziewam — odparła Nicole.

I przyszło jej na myśl, że powodem odmowy Gilberta była zapewne obawa przed biedą i że teraz kiedy jest bogata ambitny młodzieniec będzie jej bardziej przychylny. Postanowiła zaraz ofiarować Gilbertowi część otrzymanych pieniędzy w nadziei, że go tym sobie zjedna. Zamiar ten miał niewątpliwie szlachetne pobudki, chociaż ktoś złośliwy doszukałby się w tej szlachetności szczypty pychy, bezwiednej chęci poniżenia tego, kto ją poniżył.

W tym miejscu jednak warto dodać, że w sercu Nicole więcej było dobrych chęci niż złych.

— Biedne dziecko — westchnęła Andrea patrząc na zamyśloną Nicole. — Czy wolna od trosk, mogłaby być szczęśliwa?

Nicole usłyszała te słowa i zadrzała. Słowa te wyczarowały przed oczyma płoczej dziewczyny całe eldorado jedwabów, brylantów, koronek, miłości, o czym Andrea, która szczęście widziała w spokojnym życiu, ani by pomyślała.

A jednak Nicole oparła się pokusie złota i purpury.

— Może zresztą — rzekła — i tutaj będę szczęśliwa... Małym szczęściem...

— Zastanów się dobrze.

— Tak, proszę pani, zastanowię się.

— Mądrze zrobisz. Staraj się być szczęśliwa na swój sposób, ale nie bądź więcej lekkomyślna.

— Racja, proszę pani. I cieszę się ze sposobności, że mogę pani powiedzieć; jak bardzo byłam lekkomyślna i jak występna. Ale niech mi pani wybaczy, bo kiedy kto kocha...

— To ty tak bardzo kochasz Gilberta?

— Tak, ja... Kocham go — rzekła Nicole.

— To nie do wiary! — powiedziała Andrea z uśmiechem.

— Co ci się mogło podobać w tym chłopcu? Kiedy tylko go zobaczę, muszę się przyjrzeć temu Gilbertowi, który podbija serca.

Nicole spojrzała na swoją panią wzrokiem, w którym nikły resztki powątpiewania. Czy mówiąc tak Andrea dopuszczała się głębokiej hipokryzji, czy też czyniła to szczerze?

Być może zresztą, że Andrea nie zwracała uwagi na Gilberta, mówiła sobie Nicole, ale on na pewno patrzył na Andreę.

— Czy Gilbert jedzie do Paryża? — zapytała, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów.

— A po co? — odparła Andrea — Gilbert nie jest lokajem i nie mógłby służyć w paryskim domu. Próźniacy w Taverney, moja Nicole, są jak ptaszki, które świegocą na gałązkach drzew w moim ogrodzie, a ziemia, chociaż uboga, żywi je. Ale próżniak w Paryżu drogo kosztuje i nie moglibyśmy go tam utrzymywać, jeźliby nie pracował.

— A jeżeli wyjdę za niego za mąż? — wyjąkała Nicole. — No tak, jeżeli wyjdiesz za niego za mąż, pozostaniesz z nim w Taverney — powiedziała Andrea stanowczo — i będziecie razem pilnować tego domu, który moja matka tak bardzo lubiła.

Nicole przyjęła decyzję swojej pani w osłupieniu. Jak to, więc Andrea zrzekła się Gilberta bez żadnych ukrytych celów, bez cienia żalu? Oddawała jej tego, którego wczoraj zaszczyciała względami? To zupełnie niezrozumiałe.

— Pewne panny ze znakomitych rodów taką mają naturę — mówiła sobie Nicole. — Dlatego widziałam w klasztorze Annonciade tak wiele intryg i tak mało prawdziwych zmartwień!

Andrea odgadła prawdopodobnie rozterkę Nicole. Nie łatwo było dziewczynie wybrać między żądzą uciech wielkiego miasta, a cichym i spokojnym życiem w Taverney.

— Nicole — powiedziała Andrea stanowczo, ale ze słodyczą w głosie — decyzja, jaką teraz podejmiesz rozstrzygnie może o całym twoim życiu. Zastanów się, moja miła, masz jeszcze godzinę czasu. To może niewiele, ale ty się szybko decydujesz. Wybieraj: służba u mnie albo mąż, ja albo Gilbert. Nie chcę mieć na służbie kobiety zamężnej.

— Godzina... pani ma słuszność, tyle mi wystarczy — rzekła Nicole.

— No to złóż teraz wszystkie moje suknie, weź także suknie mojej matki, które cenię jak relikwie i przyjdź powiedzieć mi o swoim postanowieniu. Jakiegokolwiek ono będzie, oto. twoje dwadzieścia pięć ludwików! Jeżeli wyjdiesz za mąż to twój posag, jeżeli pojedziesz ze mną to twoje zasługi za dwa pierwsze lata.

Nicole wzięła z rąk Andrei sakiewkę i podniosła ją do ust, po czym szybko wybiegła z pokoju, jakby nie chciała stracić ani jednej sekundy z tej jednej godziny, jaką miała do namysłu.

— Biedna trzpiotka! Mogłaby być szczęśliwa — powiedziała Andrea patrząc za odcinającą się Nicole, — Czyż tak słodką rzeczą jest miłość?

W pięć minut później, aby nie tracić drogiego czasu, Nicole zapukała do okna izdebki Gilberta nazwanego przez Andreę próżniakiem, a przez barona wałkoniem.

Gilbert krzątając się w głębi izdebki, był odwrócony tyłem do okna wychodzącego na aleję.

Na odgłos pukania Nicole, drgnął jak złodziej przydybany na gorącym uczynku i odwrócił się, jakby poruszony sprężyną.

— A, to ty, Nicole!

— Tak, to jeszcze ja — odpowiedziała dziewczyna zdecydowanie, ale z uśmiechem.

A więc witam cię, Nicole — rzekł Gilbert otwierając okno.

Ujęta takim przyjęciem, Nicole podała mu rękę.

— Dobry znak pomyślała — żegnaj, Paryżu!

Na dobro Nicole warto tu dodać, że myśli tej towarzyszyło jedno tylko westchnienie.

— Czy wiesz, Gilberte — spytała opierając się łokciami o okno — że państwo opuszczają Taverney?

— Wiem — odpowiedział Gilbert.

— A czy wiesz, dokąd jadą?

— Do Paryża.

— A wiesz, że i ja też jadę?

— Nie, tego nie wiedziałem.

— No i co ty na to?

— Cóż? Winszuję ci, jeżeli ci się to podoba.

— Jak to powiedziałeś?

— Powiedziałem, jeżeli ci się to podoba. Jasne, jak mi się zdaje.

— Podoba się... To zależy... — rzekła Nicole.

— To znaczy?

— Że od ciebie będzie zależeć, żeby mi się to nie podobało.

— Nie rozumiem — powiedział. Gilbert siadając na oknie tak, że jego kolana dotykały rąk Nicole. Mogli teraz rozmawiać dalej na wprost osłonięci pędami powoju i nasturcji wijącymi się nad ich głowami.

Nicole spojrzała na Gilberta czule. Ale Gilbert wzruszył ramionami, jakby rozumiał tylko słowa.

— Dobrze... Ponieważ wszystko ci trzeba powiedzieć, więc słuchaj — powiedziała Nicole.

— Słucham — rzekł Gilbert zimno.

— Panna Andrea chce mnie wziąć z sobą do Paryża.

— Dobrze.

— Chyba że...

— Chyba co?

— Chyba że wyszłabym za męża.

— Koniecznie więc chcesz iść za męża? — spytał obojętnie Gilbert.

— Tak zwłaszcza odkąd jestem bogata.

— Ach, jesteś bogata? — spytał z zimną krwią, co zdezorientowało dziewczynę.

— Bardzo bogata, Gilbercie.

— Doprawdy? Jakim cudem?

— Panna Andrea dała mi posag.

— To wielkie szczęście. Winszują ci, Nicole.

— Patrz! — powiedziała dziewczyna pobrzękując trzymanymi w ręku monetami. To mówiąc, patrzyła na Gilberta, aby pochwycić w jego oczach promyk radości albo przynajmniej pożądlivości.

Gilbert nawet zmarszczył brwi. — Dalibóg! — rzekł — to bardzo ładna sumka.

— To jeszcze nie wszystko — mówiła dalej Nicole. — Pan baron będzie znowu bogaty. Myśli o odbudowie i upiększeniu Taverney.

— Wierzę.

— A wtedy trzeba będzie pilnować zamku.

— Bez wątpienia.

— I panna Andrea daje miejsce...

— ...odźwiernego szczęśliwemu małżonkowi Nicole — mówił Gilbert z ironią, wystarczająco wyraźną, aby dotknęła dziewczynę.

— Szczęśliwemu małżonkowi Nicole — powtórzyła udając, że nie wyczuła ironii. — Czy nie jest to ktoś z twoich znajomych, Gilbercie?

— Kogo masz na myśli?

— No, czy zgłupiałeś, czy ja nie po francusku mówię?! — krzyknęła dziewczyna, zaczynając się niecierpliwie.

— Rozumiem cię wybornie — rzekł Gilbert. — Ofiarowujesz mi swoją rękę, nieprawdaż panno Legay?

— Tak, panie Gilbert.

— Nawet z posagiem trwasz przy swoim zamiarze? Doprawdy, jestem ci bardzo wdzięczny.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

— W takim razie bierz ten posag — powiedziała dobrodusznie.

— Ja?

— Zgadzasz się, prawda?

— Odmawiam. Nicole podskoczyła.

— Ach, to tak! — powiedziała. — Jesteś zły albo głupi, Gilbercie, i zapewniam cię, że to, co czynisz w tej chwili, nie przyniesie ci szczęścia. Gdybym cię jeszcze kochała i gdybym się teraz nie kierowała honorem i uczciwością, zraniłbyś moje serce. Ale, Bóg mi świadkiem, nie chciałam, aby powiedziano, że Nicole, już nie uboga, wzgardziła Gilbertem i zapłaciła za obrazę pogardą. Teraz między nami wszystko skończone.

Gilbert wzruszył obojętnie ramionami.

— Wiem już, co o tobie myśleć — ciągnęła dalej Nicole. — Co do mnie, chyba nie sądzisz, że postanowiłam zagrzebać się tutaj, kiedy czeka na mnie Paryż? Że miałabym patrzeć każdego dnia, cały rok i całe życie na tę zimną, nieprzenikloną twarz, pod którą ukrywa się tyle szkaradnych myśli?! To byłaby ofiara. Nie zrozumiałeś tego, tym gorzej dla ciebie. Nie chcę powiedzieć, Gilberte, że będziesz mnie żałował, ale będziesz się mnie lękał wstydzili, kiedy znajdę się tam, dokąd mnie twoja pogarda doprowadzi. Mogłam pozostać uczciwą, ale brakło przyjaznej ręki, która by mnie zatrzymała nad przepaścią. Krzychałam: ratuj mnie, zatrzymaj, a ty mnie odepchnąłeś. Toczę się w przepaść, ginę. Odpowiesz za tę zbrodnię przed Bogiem. Żegnaj, Gilberte.

I dumna dziewczyna oddaliła się bez gniewu. Jej szlachetna dusza potrafiła w decydującym momencie zdobyć się na wspaniałomyślność.

Gilbert zamknął spokojnie okno i powrócił do tajemniczego zajęcia, które przerwało mu zjawienie się Nicole.

XVIII. POŻEGNANIE Z TAVERNEY

Po powrocie do zamku Nicole zatrzymała się na schodach, aby ochłoniąć z gniewu, wywołanego rozmową z Gilbertem.

Baron spotkał ją na schodach zamyśloną i tak w tym zamyśleniu ładną, że mimo kłopotów przed wyjazdem pocałował ją, niczym Richelieu, kiedy miał trzydzieści lat.

Wyrwana z zadumy swawolnym postępkami barona, Nicole pobiegła do Andrei, która zamykała właśnie kufer.

— No i co, namyśliłaś się?

— Już, proszę pani — odpowiedziała Nicole zdecydowanie.

— Wychodzisz za mąż?

— Nie.

— Ach! A ta wielka miłość?

— Nigdy nie znacząłyby dla mnie tyle, ile znaczą łaski, jakimi mnie pani obsypuje bez ustanku. Służyłam pani i zawsze chcę służyć. Panią wybrałam sobie i znam dobrze, a czy znałabym tak dobrze mężczyznę, którego bym sobie wybrała?

To wyznanie wzruszyło Andreę, która nie podejrzewała, że trzpiotowata Nicole zdolna jest do takich uczuć. Oczywiście nie wiedziała, że ta sama Nicole opowiada się za nią, przyciśnięta koniecznością.

Uśmiechnęła się zadowolona, że spotyka istotę lepszą niż się spodziewała.

— To dobrze, że jesteś do mnie przywiązana, Nicole — odpowiedziała. — Nie zapomnę o tym. Zdaj się na mnie i jeżeli los się do mnie uśmiechnie i ty doświadczysz jego dobrodziejstw, przyrzekam ci.

— Och, proszę pani, to rzecz zdecydowana: jadę z panią.

— Bez żalu?

— Choćby zaraz.

— To nie jest odpowiedź — rzekła Andrea. — Nie chciałabym, żebyś decydowała nierozważnie i później miała do mnie żal.

— Żal miałabym tylko do siebie, proszę pani.

— Czy mówiłaś o tym z narzeczonym? Nicole zarumieniła się.

— Ja? — zapytała.

— Tak, ty.. Widziałam, jak z nim rozmawiałaś.

Nicole przygryzła wargi. Przypomniała sobie, że z pokoju Andrei okno izdebki Gilberta jest widoczne.

— Tak, rozmawiałam z nim — przyznała,

— I co mu powiedziałaś?

— Powiedziałam, że go już nie chcę — odparła Nicole, w której słowa Andrei na nowo obudziły podejrzenia.

Andrea nie rozumiała jednak intencji pokojówki, przekonana, że Nicole jej schlebia.

Widać zrzędzenie losu chciało, że obydwie kobiety: jedna czysta jak diament, druga z wrodzoną skłonnością do złego, nigdy nie będą się rozumieć.

Tymczasem baron pakował się. Stara szpada, którą nosił pod Fontenoy, dokumenty zaświadczone, że miał prawo jeździć karetami Jego Królewskiej Mości, roczniki „Gazette” i listy stanowiły największą część jego mienia. Jak Bias niósł to wszystko pod pachą.

La Brie dźwigał za nim kufer. Szedł zgarbiony z miną człowieka, który poci się z wysiłku, chociaż kufer był prawie pusty.

W alei spotkali oficera, który urozmaicał sobie oczekiwanie ostatnią butelką wina z piwnicy Taverney. Nie przeszkodziło mu to dostrzec zgrabną sylwetkę Nicole, która mignęła mu wśród zieleni.

Panu de Beausire, tak się bowiem nazywał ów oficer, przerwało to miłe zajęcie wezwaniem barona o powóz. Natychmiast podskoczył, uklonił się i donośnym głosem zawołał na stangreta, aby wjechał w aleję.

Kiedy kareta zajechała, La Brie umieścił kufer na resorach. Miał przy tym minę, w której radość mieszała się z pychą.

— Oto wsiadę do królewskiej karety — mruknął do siebie z satysfakcją, myśląc, że nikt go nie słyszy.

— Z tyłu, mój przyjacielu — powiedział na to de Beausire z protekcyjnym uśmiechem.

— Czy La Brie jedzie z nami? — spytała Andrea barona. — Kto będzie pilnował Taverney?

— Któż by jak nie ten próżniak filozof!

— Gilbert?

— Oczywiście, czyż nie ma strzelby?

— Ale z czego będzie żył?

— Z tego, co upoluje, do licha! Bądź spokojna, drozdów i kosów nie zabraknie w Taverney.

Andrea spojrzała na Nicole. Ta zaczęła się śmiać.

— Widzę, jak go żałujesz, złośnico! — powiedziała Andrea.

— Och, jest zaradny, nie umrze z głodu.

— Trzeba mu zostawić ze dwa ludwiki — zwróciła się Andrea do barona.

— Żeby go zepsuć! On już i tak jest dosyć zepsuty.

— Chodzi o to, żeby miał z czego żyć.

— Da mu się cokolwiek, jeżeli będzie krzyczał.

— Niech pani się nie martwi — wtrąciła Nicole — on nie będzie się dopominał.

— Mniejsza o to — rzekła Andrea. — Zostaw mu ze trzy lub cztery pistole.

— Nie przyjmie.

— Nie przyjmie? Dumna sztuka ten twój pan Gilbert.

— Och proszę pani, on już nie mój, dzięki Bogu!

— No dosyć już tego — przerwał baron zniecierpliwiony. — Do diabła z Gilbertem! Kareta czeka, wsiadajmy, córko!

Andrea musnęła mury zamku pożegnalnym spojrzeniem i bez słowa wsiadła do obszernej karety.

Baron de Taverney usiadł obok niej. La Brie ubrany w bogatą liberię i Nicole usiedli na koźle. Stangret dosiadł konia.

— A pan oficer gdzie siądzie? — zapytał baron.

— Na konia, panie baronie — odparł de Beausire, zerkając na Nicole, która aż rumieniła się z radości, że tak prędko zwyczajnego chłopca zastąpił elegancki kawaler.

W chwilę potem kareta, zaprzężona w cztery konie, toczyła się cienistą aleją. Po obu stronach alei, tak bliskiej sercu Andrei przesuwały się i znikwały po jednym drzewa uginające się smutno, jak gdyby żegnały opuszczających ich właścicieli. Zatrzymali się u bramy wjazdowej, gdzie stał Gilbert. Wyprostowany i nieruchomy, z obnażoną głową patrzył na Andreę.

Panna de Taverney wychyliła się przez okno drzwiczek karety, aby nasycić oczy widokiem drogiego jej domu, Tymczasem baron mówił do Gilberta:

— Tak, panie próżniaku! Będiesz teraz szczęśliwy i sam jeden jak prawdziwy filozof. Nie będziesz nic robił ani słuchał łajania. A uważaj przynajmniej na ogień, żeby się nie palił, kiedy będziesz spał i opiekuj się Mahonem.

Gilbert uklonił się bez słowa. Zdawało mu się, że czuje wzrok Nicole, przytłaczający go nieznośnym ciężarem. Obawiał się jej triumfującego i szyderczego spojrzenia jak dotknięcia rozpalonym żelazem.

— Ruszaj! — krzyknął pan de Taverney do stangreta. Nicole nie śmiała się wbrew obawom Gilberta. Przeciwnie, musiała nawet zebrać siły i odwagę, aby nie litować się nad biednym chłopcem, którego porzucano bez chleba, bez przyszłości, bez pociechy. Widok pana de Beausire, który tak pięknie wyglądał na koniu, oderwał jej myśli od Gilberta.

Kiedy tak patrzyła na pana de Beausire, nie mogła widzieć, że Gilbert pożerał oczyma Andreę. Ale Andrea zażawionymi oczyma widziała tylko dom, w którym się urodziła i w którym umarła jej matka.

Kareta zniknęła i Gilbert, tak mało znaczący dla tych, którzy odjeżdżali, poczuł się niczym.

Baron, Andrea, Nicole i La Brie, wyjechawszy poza bramę zamkową, wstępowali w nowy świat.

Każde z nich myślało o czym innym.

Baron obliczał, że w Bar-le-Duc uzyska z łatwością pięć lub sześć tysięcy liwrów za złoty serwis Balsamo oddany w zastaw.

Andrea odmawiała po cichu modlitwę, jakiej nauczyła ją matka na odpędzenie czarta pychy i dumy.

Nicole poprawiała chustkę, którą wiatr unosił, nie na tyle jednak, aby to zadowalało pana de Beausire.

La Brie liczył w głębi kieszeni dziesięć ludwików Marii Antoniny i dwa ludwiki, jakie ofiarował mu Balsamo.

De Beausire galopował.

Gilbert zamknął bramę. Od dawna nie oliwione zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie.

Następnie młodzieniec pobiegł do swojej izdebki, odsunął dębową komodę, spoza której wyjął przygotowany już tobołek. Zawinał go w ręcznik i uwiązał u końca dereniowego kija. Potem ściągawszy pościel z łóżka rozpruł siennik. Ręce jego prędko odszukały zwinięty papierek, w którym znajdował się sześcioliwrowy talar. Był to owoc oszczędności trzech lub czterech lat.

Gilbert popatrzył na talara, jakby chciał się przekonać, czy się nie odmienił, i włożył go do kieszeni.

Mahon wył, szarpiąc się na łańcuchu, jakby zgadywał swym instynktem, że i Gilbert go niebawem opuści. — Cicho! — krzyknął Gilbert, po czym uśmiechając się dodał: — Skoro mnie opuszczono jak psa, czemuż by cię nie opuścić jak człowieka?

Po chwili zastanowienia mówił dalej:

— Ale opuszczono mnie wolnego i mogę sobie układać życie, jak mi się podoba. A więc, pocziwy Mahonie, zrobię i dla ciebie to, co zrobiono dla mnie.

. Podbiegł ku budzie i odwiązał psa z łańcucha.

Pies rzucił się w stronę domu i znalazłszy drzwi zamknięte pobiegł ku zwaliskom. W chwilę potem Gilbert ujrzał go znikającego w gęstwinie.

— Dobrze — powiedział Gilbert — teraz zobaczymy, kto ma więcej instynktu: pies czy człowiek.

To rzekłszy młodzieniec wyszedł przed furtkę, zamknął ją na dwa spusty i rzucił zręcznie klucz poprzez mur w sadzawkę.

Jednakże ponieważ natura jednostajna w tworzeniu uczuć, jest różnorodna w ich objawianiu się, Gilbert doświadczył podobnych wzruszeń jak Andrea. Tylko że u Andrei był to żal za przeszłością, a u Gilberta nadzieja lepszego jutra.

— Żegnam cię — powiedział rzucając po raz ostatni spojrzenie na zamek, którego dach wychylał się spośród liści jaworów i kwiatów — żegnam cię, domie, w którym tyle ucie-

piałem, gdzie wszyscy mnie nienawidzili, gdzie rzucano mi chleb mówiąc, że kradnę! Żegnam cię, bądź przeklęty! Serce mi skacze z radości i czuję się swobodny jak ptak poza twoimi murami. Żegnaj, więzienie, żegnaj piekło, jaskinio tyranów, żegnaj na zawsze.

I po tych ciężkich obelgach, niezbyt poetycznych, ale wiele znaczących, Gilbert pobiegł śladami karety, której daleki odgłos rozlegał się jeszcze w powietrzu.

XIX. TALAR GILBERTA

Po półgodzinnym szalonym biegu Gilbert krzyknął z radości, spostrzegłszy o ćwierć mili przed sobą karetę barona, jadącą powoli pod górę.

Gilberta rozpierała duma. Wyobrażał sobie, że dzięki swojej młodości, zdrowiu i rozumowi dorównuje bogactwu i potędze arystokracji.

Teraz pan de Taverney mógłby nazwać Gilberta filozofem, widząc go na drodze z kijem w rękę, z małym tobołkiem zawieszonym na guziku, idącego szybko, skaczącego przez rowy i pagórki, by zyskać na czasie i zatrzymującego się, kiedy droga wiodła pod górę, jak gdyby chciał powiedzieć do idących przed nim koni:

— Posuwacie się dla mnie nie dość prędko i muszę czekać na was.

Filozof! Zapewne był nim teraz, jeżeli filozofią nazywamy pogardę wszelkich rozkoszy i wszelkich ułatwień. To prawda, nie przywykł do wygodnego życia, ale iluż to ludzi miłość hartuje!

Był to, trzeba powiedzieć, widok piękny, godny Boga, ojca stworzeń energicznych i rozumnych, widok młodzieńca zakurzonego, rozgrzanego, biegnącego około dwóch godzin, aby dogonić karetę i odpoczywającego z rozkoszą, kiedy konie nie mogły dalej iść. Zasługiwał na podziw i kto wie, czy nawet wyniosła Andrea, gdyby go zobaczyła, nie wzruszyłaby się i czy obojętność, jaką mu okazywała, nie zamieniłaby się w szacunek dla jego dzielności.

Tak upłynął pierwszy dzień. Baron zatrzymał się na godzinę w Bar-le-Duc. To dało Gilbertowi możliwość nie tylko dogonienia ale i wyprzedzenia karety. Kiedy dowiedział się, że baron zatrzymał się przed złotnikiem, Gilbert obszedł miasto, w drodze karetę go dogoniła, a on ją przepuścił, ukrywając się w gęstwinie, następnie poszedł jej śladem.

Pod wieczór baron dopędził powozy małżonki delfina we wsi Brillon, której mieszkańcy zebrali się na wzgórzach i okrzykami radości witali przejeżdżających.

Przez cały dzień Gilbert nic nie jadł oprócz kawałka chleba, zabranego z Taverney. Pił za to wody ile chciał z uroczego strumyka, przecinającego drogę. Woda w strumyku była tak przezroczysta, tak świeża i tak zachęcająco obramowana zielonością i kwiatami, że na prośbę Andrei karetę się zatrzymała. Andrea wysiadła i zaczerpnęła wody złotym kubkiem, którego na jej prośbę baron nie oddał w zastaw u złotnika.

Ukryty za przydrożnym wiązem, Gilbert widział to wszystko.

Kiedy podróżni odjechali, Gilbert udał się w to samo miejsce, gdzie widział Andreę i napił się wody, zaczerpnąwszy jej dłonią jak Diogenes, z tego samego źródła, z którego panna de Taverney gasiła pragnienie.

Orzeźwiony, puścił się w dalszą drogę. Jedną tylko rzecz niepokoiła Gilberta: czy małżonka delfina będzie nocować w drodze. Jeśliby to nastąpiło, co było prawdopodobne, ponieważ Maria Antonina skarżyła się w Taverney na zmęczenie, Gilbert byłby ocalony. Zatrzymaliby się wtedy w Saint-Dizier. Dwie godziny snu w stodole wystarczą, aby przywrócić sprężystość nogom, które zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Po upływie tych dwóch godzin uda się znowu w drogę i maszerując w nocy nadrobi pięć lub sześć mil. Kiedy ma się osiemnaście lat, same nogi niosą w piękną noc majową.

Cienie nocy zagarnęły drogę, po której biegł Gilbert. Widział już teraz tylko wielką latarnię, umieszczoną z prawej strony karety. Jej odbłask biegł przed nim jak białe widmo.

Po przejechaniu dwunastu mil kawalkada zatrzymała się na chwilę w Combles, Gilbert uwierzył, że mu sprzyja niebo. Podeszedł bliżej, wśliznął się we framugę jakiejś bramy, aby usłyszeć głos Andrei. Ujrzał ją przy blasku pochodni, pytała się, która godzina, jakiś głos odpowiedział: jedenasta. W tym momencie Gilbert przestał odczuwać zmęczenie i odrzuciłby ze wzdrganiem zaprosiny do powozu.

Oczywiście wyobraźni widział jut złocisty Wersal, miasto szlachty i królów. A potem dalej za Wersalem — Paryż, ponury, czarny i ogromny, Paryż, miasto ludu.

Tych swoich marzeń nie oddałby nawet za całe złoto Peru.

Z rozmarzenia wyrwał go turkot odjeżdżających powozów. Ruszył za nimi i po chwili poczuł, że jest głodny. Nie przejął się tym, bo przypomniał sobie że ma w kieszeni talara.

O północy kawalkada dotarła do Saint-Dizier. Tu według przewidywań Gilberta podróżni powinni zatrzymać się na nocleg. Sam Gilbert poczuł już zmęczenie, przebywszy szesnaście mil w ciągu dwunastu godzin i usiadł nad brzegiem rowu. Niestety, w Saint-Dizier nastąpiła jedynie zmiana koni. Podróżni posilili się tylko i ruszyli dalej.

Nie załamało to Gilberta. Zmusił się do powstania całą siłą woli, niepomny, że jeszcze przed dziesięcioma minutami ledwie trzymał się na nogach.

— Dobrze — mówił — jedźcie! Ja także zatrzymam się na Chwilę w Saint-Dizier, kupię chleba i kawałek Wędliny, wypiję szklankę wina. Wydam pięć sous i pokrzepię się lepiej niż panowie.

Słowo „panowie” wymówił z emfazą.

Mimo że w miasteczku zamykano już okiennice i drzwi domów, nasz filozof znalazł przyzwoitą oberżę. Wszedł do wnętrza tuż przed samym zamknięciem. Oberżystka liczyła utargowane pieniądze

— Przepraszam panią — rzekł Gilbert — czy mogę prosić o chleb i szynkę?

— Nie ma szynki, przyjacielu — odparła oberżystka. — Może chcesz kurczaka?

— Nie, prosiłem o szynkę, bo chciało mi się szynki. Kurcząt nie lubię.

— To szkoda, mój panie, bo nic innego nie ma. Ale słuchaj — dodała oberżystka uśmiechając się — kurczę nie będzie droższe od szynki, weź więc połowę albo całe za dziesięć sous, będziesz miał zapas na jutro. Myśleliśmy, że Jej Królewska Mość zatrzyma się u pana starosty i że sprzedamy nasze zapasy. Ale Jej Królewska Mość tylko przejechała i na nic nasze przygotowania.

Okazja była wyjątkowa, gospodyni uprzejma, Gilbert jednak jeszcze raz dał dowód niezwykłości swego charakteru.

— Dziękuję — rzekł — poprzestaję na małym. Nie jestem księciem ani lokajem.

— A więc daruję ci kurczę, mój mały Artabanie — po wiedziała poczciwa kobieta — i niech cię Bóg prowadzi.

— Nie jestem także żebrakiem, dobra kobieto — odparł urażony Gilbert. — Kupuję i płacę.

I dla poparcia tych słów sięgnął do kieszeni. Daremnie jednak szukał w jej wnętrzu, wydobył tylko papierek, w który zawinięty był talar. Widocznie przetaił w czasie biegu Gilberta stare płótno kieszeni, wysunął się w spodnie i wypadł przez rozpiętą podwiązkę.

Talar leżał zapewne na drodze, w pobliżu strumyka, który tek się podobał Gilbertowi. Biedny chłopiec, zapłacił sześć franków za szklanekę wody, czerpaną własną dłonią. Diogenes, kiedy rozprawił o bezużyteczności drewnianych misek, był w lepszej sytuacji; nie miał dziurawej kieszeni ani sześcioliwowego talara do zgubienia.

Bładość i zawstydzenie Gilberta wzruszyły poczciwą oberżystkę. Kto inny cieszyłby się złościwie z ukarania dumnego młodzieńca, ona jednak współczuła mu, widząc na jego twarzy upokorzenie i zmieszanie.

— Biedne moje dziecko — rzekła — zjedz wieszczę i przenocuj tu, a jutro, jeśli chcesz koniecznie, pójdziesz sobie w dalszą drogę.

— O tak, tak, koniecznie — powiedział Gilbert. — Nie jutro lecz natychmiast.

I porwawszy swój tobołek, wypadł z oberży, aby w ciemnościach ukryć swój wstyd i boleść.

Okiennica zamknęła się. Ostatnie światło zgasło w miasteczku i nawet psy, zmęczone niezwykłymi wydarzeniami dnia; przestały ujadać.

Gilbert pozostał sam, zupełnie sam na całym świecie. Nikt bowiem, nie jest bardziej samotny na ziemi niż człowiek, który pożegnał się ze swoim ostatnim talarem, zwłaszcza kiedy ten ostatni talar jest jedynym, jaki posiadał w swoim życiu.

Dokoła trwała noc. Cóż czynić? Gilbert wahał się. Wracać i szukać talara — nie wróżyło to powodzenia. Przy czym rozstałby się z powozami, których nie zdołałby dogonić.

Postanowił więc iść dalej. Zaledwie jednak uszedł milę, zaczął go znowu dręczyć głód, przytłumiony na chwilę bolesnym doświadczeniem. Dokuczał mu teraz coraz dotkliwiej.

Równocześnie z głodem zaczęło opanowywać Gilberta znużenie. Z niesłychanym wysiłkiem jeszcze raz dogonił karetę. Ale wszystko jakby sprzysięgło się przeciw niemu. Karety zatrzymały się tylko, aby zmienić konie, ale zmiana odbyła się z taką szybkością, że biedny Gilbert nie zyskał nawet pięciu minut odpoczynku.

Szedł jednak dalej. Dzień już zaczął świtać. Słońce wschodziło spoza szerokiego pasma ciężkich oparów w całym swoim blasku i majestacie. Zapowiadał się jeden z tych skwarnych dni majowych, które wyprzedzają lato o dwa miesiące. Czy młodemu podróżnemu starczy sił, aby zmieść upał południa?

Przez chwilę przemknęła Gilbertowi myśl schlebająca jego miłości własnej, że to przeciwko niemu sprzysięgli się konie, ludzie i sam Pan Bóg. Podniósł pięść ku niebu i jeżeli nie powiedział jak Ajaks: „Wyzwolę się na przekór bogom”,

to tylko dlatego, że lepiej znał Umowę społeczną niż Odysseję.

Na koniec nadszedł moment, w którym Gilbert pojął swoją bezsilność i grozę swego położenia. Straszna jest chwila zmagania dumy z niemocą. Na krótko zdobył się jeszcze na rozpaczliwy wysiłek. Ostatkiem sił zbliżył się ku powozom i ujrzał je poprzez kłęby kurzawy, które w nabrzmiałych krwią oczach przybrały fantastyczną barwę. Turkot kół i gwałtowne bicie tętnic ogłuszały go. Z otwartymi ustami, nieruchomym wzrokiem, spotniałymi włosami przyklejonymi do czoła podobny był do sprawnego automatu, naśladowującego poruszenia człowieka, z większą tylko sztywnością i wytrzymałością. Od wczoraj uszedł około dwudziestu mil, przyszła jednak, wreszcie chwila, kiedy

zmęczone nogi odmówiły posłuszeństwa. Jego oczy nic już nie widziały, uszy nic nie słyszały, zdawało mu się, że ziemia wiruje dookoła niego, chciał krzyknąć i nie mógł wydobyć z siebie głosu, chciał zatrzymać się czując, że upadnie i zaczął bić rękami powietrze jak szalony.

W końcu z ust jego wydobył się okrzyk wściekłości. Obrócił się w kierunku, gdzie, jak mniemał, znajdował się Paryż i zaczął miotać obelgi przeciw zwycięzcom, którzy złamali jego odwagę i siły. Potem chwyciwszy się za włosy, zatoczył się i upadł na gościniec. W nagłym przebiegu świadomości ujrzał się podobny bohaterom starożytności, walczącym do ostatka, i to przyniosło mu ulgę.

Leżał przez chwilę z otwartymi, pełnymi groźby oczami, z zaciśniętymi jeszcze pięściami, potem powieki jego opadły mięśnie rozluźniły się i omdlał.

— Z drogi, szaleńcze! — krzyknął w tej samej chwili ochryply głos, któremu towarzyszyło trzaśnięcie z bicia.

Gilbert jednak nie słyszał.

— Na bok, bo cię stratuję, do stu katów!

I w ślad za tym okrzykiem cienki rzemień bicia smagnął leżącego Gilberta.

Ale młody człowiek nic już nie czuł.

Leżał na środku drogi, na wprost pędzących koni, które mogły go lada moment stratować.

Przeraźliwy krzyk rozległ się w powozie, niesionym przez konie jak pióro na wietrze.

Pocztalion wyteżył wszystkie siły, ale nie zdążył zatrzymać pierwszego konia, który na szczęście przeskoczył ponad Gilbertem. Dwa następne konie udało się pocztalionowi zatrzymać. Z powozu wychyliła się kobieta.

— Och, mój Boże! — krzyknęła zatrwożona. — Stratowałeś tego nieszczęśnika!

— Dalibóg, proszę pani, zdaje się, że tak — odparł pocztalion, starając się dostrzec coś poprzez tuman kurzu.

— Biedny, szalony chłopiec — litowała się podróżna i dodała zwracając się do pocztaliona: — Ani kroku dalej! Stój!

Pocztalion zsiadł z konia i starał się wydobyć spod kół ciało Gilberta, jak przypuszczał pokrwawione i martwe. Kobieta pomagała mu z energią.

— Co za szczęście! — krzyknął pocztalion. — Żadnego zadraśnięcia, ani jednego uderzenia kopytem.

— Ależ on omdlał!

— To na pewno ze strachu. Połóżmy go nad rowem i jedźmy dalej.

— W żadnym wypadku! Nie mogę porzucić tego chłopca.

— Ba! Nic mu się nie stało. Sam przyjdzie do siebie.

— Nie. Taki młody chłopak, pewnie student, któremu nie dopisały siły w zbyt uciążliwej drodze. Patrz, jaki bladny, pewnie umrze. Nie, nie porzucę go. Zanieś go do powozu.

Pocztalion wykonał rozkaz, układając Gilberta na poduszce z głową opartą o miękką ścianę powozu.

— A teraz dalej w drogę! — rzekła młoda dama. — Dziesięć minut straconych. Jeżeli nadrobisz, dostaniesz pistola.

Pocztalion strzelił z bicia i konie pomknęły galopem.

XX. GILBERT PRZESTAJE ŻAŁOWAĆ ZGUBIONEGO TALARA

Kiedy po kilku minutach Gilbert powrócił do przytomności, zdziwił się niezmiernie widząc, że leży na kolanach młodej kobiety, która mu się przyglądała z uwagą.

Była to kobieta lat około dwudziestu czterech, z dużymi szarymi oczyma, zadartym nosem, cerą opaloną południowym słońcem. Małe usta, kapryśnie i delikatnie zarysowane nadawały jej pogodnej i wesołej twarzy wyraz bystrości i przezorności. Miała prześliczne ramiona, wychylające się z fiołkowego aksamitu, obszerne fałdy jedwabnej spódnicy, szarej, w szerokie pasy, zapełniały prawie cały powóz.

Niemniejsze zdziwienie okazał Gilbert spostrzegłszy, że znajduje się w powozie, zaprzężonym w trzy galopujące konie.

Ponieważ uśmiechnięta twarz damy wyrażała współczucie, Gilbert zaczął się jej przypatrywać z natężeniem, aby przekonać się czy to nie sen.

— No, moje dziecko — rzekła dama po chwili milczenia — czy lepiej ci teraz?

— Gdzie jestem? — zapytał Gilbert, przypominając sobie ten frazes z romansów, jakie czytał i jakiego używa się w romansach.

— W bezpiecznym miejscu, mój mały panie — odpowiedziała dama z wybitnie południowym akcentem. — Ale przed chwilą omal nie zgruchotały cię koła mojego powozu. Cóż się takiego stało, żeś Upadł właśnie na środku gościńca?

— Osłabłem, pani.

— Jak to, osłabłeś?

— Zbyt długo szedłem.

Czy dawno wybrałeś się w drogę?

— Wczoraj o godzinie czwartej po południu.

— I jaką drogę przebyłeś od tego czasu?

— Zdaje się, szesnaście lub osiemnaście mil.

— W ciągu czternastu godzin?

— Całą drogę bieglem.

— A dokąd?

— Do Wersalu, pani. .

— Skąd?

— Z Taverney.

— Co to jest Taverney?

— Zamek leżący między Pierrefitte a Bar-le-Duc.

— Ale znalazłeś chyba czas, aby coś zjeść?

— Nie, nie tylko nie miałem czasu, ale nie miałem za co,

— Jakże to?

— Zgubiłem w drodze pieniądze.

— Od wczoraj więc nic nie jadłeś?

— Tylko kawałek chleba, który Wziąłem z sobą.

— Biedaczysko! Ale dlaczego nie poprosiłeś o jedzenie po drodze?

Gilbert uśmiechnął się pogardliwie.

— Ponieważ jestem dumny.

— Dumny... To bardzo pięknie być dumnym, ale kiedy umiera się z głodu...

— Lepiej umrzeć niż się poniżyć.

Dama spojrzała na młodzieńca z pewnym podziwem. — Któż ty jesteś, że tak mówisz? — zapytała.

— Jestem sierota.

— A jak się nazywasz?

— Gilbert.

— Gilbert... i co więcej?

— I nic więcej.

— Ach! — zdziwiła się młoda dama.

Gilbert zauważył, że uczynił pewne wrażenie i ucieszył się w duchu, że postąpił, jak Jan Jakób Rousseau.

— Jesteś jeszcze za młody, mój panie, abyś biegał po gościńcach — mówiła dalej dama.

— Pozostałem sam jeden w opuszczonym starym zamku, z którego właściciele wyjechali. Zrobiłem tak jak oni: porzuciłem zamek.

— Bez celu?

— Świat jest wielki i dla każdego znajdzie się, jak mówią, miejsce pod słońcem.

— Dobrze — szepnęła do siebie dama, przypuszczając, że to jakieś nieprawe dziecko, które uciekło ze szlacheckiego dworku i zapytała głośno:

— I mówisz, że zgubiłeś swoją sakiewkę?

— Tak.

— I miałeś dużo pieniędzy?

— Miałem tylko sześcioliwrowego talara — odparł Gilbert wstydząc się swego ubóstwa i obawiając skłamać, aby nie wzbudzić podejrzeń.

— Sześcioliwrowy talar na tak długą podróż? Ależ za to można kupić chleba zaledwie na dwa dni! A przecież droga z Bar-le-Duc do Paryża wynosi coś około sześćdziesięciu pięciu mil!

— Nie liczyłem mil, pani. Powiedziałem sobie: chcę się tam dostać, to wszystko.

— I potem ruszyłeś w drogę, biedny szaleńcze?

— Och, ja mam dobre nogi.

— Choćby i najlepsze, to się zmęczą. Masz tego dowód.

— Ach, nie nogi mnie zawiodły, ale nadziei mi zabrakło.

— Istotnie, zdawało mi się, że wpadłeś w wielką rozpacz. Gilbert uśmiechnął się gorzko.

— Co ci przyszło do głowy? Wrywałeś sobie włosy...

— Czy to możliwe? — zapytał Gilbert zakłopotany.

— O, jestem tego pewna. Twoja rozpacz przeszkodziła ci usłyszeć turkot powozu.

Gilbert pomyślał, że może zyskać jeszcze bardziej, jeżeli powie całą prawdę. Instynkt mówił mu, że jego sytuacja jest interesująca, zwłaszcza dla kobiety.

— Istotnie, ogarnęła mnie rozpacz — powiedział.

— Z jakiej przyczyny?

— Nie mogłem zdażyć za powozem, za którym biegłem.

— Ależ to niezwykła historia rzekła dama, uśmiechając się. — Czy czasem nie kryje się za tym miłość?

Gilbert nie panował jeszcze na tyle nad sobą, aby się nie zarumienić.

— I cóż to był za powóz?

— Powóz z orszaku małżonki delfina.

— Przebóg, co mówisz! — krzyknęła młoda dama. — Małżonka delfina jedzie więc przed nami?

— Tak jest, ona właśnie.

— Ja myślałam, że jest za nami, dopiero w Nancy. Czy nie przyjmują jej po drodze?

— Owszem, pani, ale zdaje mi się, że Jej Królewskiej Mości się śpieszy.

— Śpieszy się! Któż ci to powiedział? — Domyślałam się.

— Na jakiej podstawie?

— Oświadczyła, że odpocznie dwie lub trzy godziny w Taverney, a zabawiła tam tylko trzy kwadransy.

— A nie wiesz, czy przyszedł do niej jakiś list z Paryża?

— Widziałem wchodzącego z listem gubernatora Strasurga.

— Pan de Stainville, szwagier pana de Choiseul! Prędzej, pocztylionie, prędzej!

Trzask z bicza odpowiedział na to wezwanie i Gilbert poczuł że powóz pomknął z jeszcze większą szybkością.

— Tak więc — upewniła się młoda dama — małżonka delfina jedzie przed nami?

— Tak, pani.

— Ale zatrzyma się na śniadanie — powiedziała dama jakby do siebie. — A wtedy wyprzedzimy ją, chyba że tej nocy... Czy zatrzymywała się tej nocy?

— Tak, w Saint-Dizier.

— O której godzinie?

— Około jedenastej.

— Żeby zjeść wieczerzę. Dobrze. Będzie musiała jeść śniadanie... Pocztylionie, jakie jest najbliższe miasto po drodze?

— Vitry, proszę pani.
— A jak daleko jesteśmy od Vitry?
— Trzy mile.
— Gdzie masz najbliższy postój?
— W Vauclere.

— Dobrze. Jedź, a kiedy spostrzeżesz powozy na drodze, daj mi znać.

Podczas tej krótkiej rozmowy między damą a pocztylionem Gilbert ponownie osłabł. Młoda dama zauważyła, że siedział blady i z zamkniętymi oczyma.

— Ach, biedne dziecko! — krzyknęła. — Znowu osłabł! Ja tu z nim rozmawiam, a on umiera z głodu i pragnienia.

To mówiąc wyjęła z torby flaszkę, do której przyczepiona była na złotym łańcuszku połączana czarka.

— Napij się najpierw wody de la Côte — rzekła nalewając czarkę i podając ją Gilbertowi.

Tym razem Gilbert nie dał się prosić. Czy skusiła go ładna rączka, która mu podawała wodę, czy poczuł się bardziej spragniony niż w Saint-Dizier?

— Dobrze — rzekła dama — teraz zjedz sucharek. Za godzinę lub dwie zjesz posilniejsze śniadanie.

— Dziękuję, pani — rzekł Gilbert, podnosząc sucharek do ust.

— Powiedz mi, jeżeli chcesz mieć we mnie powiernicę — mówiła dama, kiedy się już pokrzepił — powiedz, co cię skłoniło, abyś biegł za powozem, który, jak mówisz, należy do orszaku małżonki delfina.

— Pokrótkie sprawa wygląda tak, pani: Mieszkalem u barona de Taverney. Kiedy Jej Królewska Mość tam przyjechała, rozkazała panu de Taverney towarzyszyć jej do Paryża. Ponieważ jestem sierotą, nikt nie pomyślał o mnie i pozostawiono mnie bez pieniędzy i bez żywności. Wtedy przysiągłem sobie, że ja także udam się do Wersalu i to pieszo i że przybędę tam tak prędko jak oni końmi i powozami. Nieszczęściem siły mnie zawiodły, a raczej wszystkie złe moce sprzysięgły się przeciwko mnie. Gdybym nie zgubił pieniędzy, mógłbym posilić się, a gdybym posilił się tej nocy, mógłbym dogonić konie dzisiejszego ranka.

— Wyborne! To jest odwaga! Jestem pełna uznania dla ciebie, mój przyjacielu. Zdaje mi się, że jest jednak jedna rzecz, o której nie wiesz.

— Jaka?

— W Wersalu ludzie nie żyją odwagą.

— Pójdę więc do Paryża!

— Paryż pod tym względem jest bardzo podobny do Wersalu.

— Jeżeli nie żyją tam odwagą, żyją pracą, pani.

— To dobra odpowiedź, mój chłopcze. Ale jaką pracą? Ty nie masz rąk wyrobnika czy tragarza.

— Będę się uczył, pani.

— Wydaje się, że wiele już wiesz...

— Tak, ponieważ wiem, że nic nie wiem — odpowiedział poważnie Gilbert przypominając sobie słowa Sokratesa.

— Nie chcę być niedyskretna, ale czy mogę zapytać, jakiej nauce pragnąłbyś się poświęcić, mój mały przyjacielu?

— Pani — odparł Gilbert — myślę, że najlepszą nauką jest ta, która pozwala człowiekowi być użytecznym dla bliźnich. Z drugiej strony, człowiek jest istotą tak niedoskonałą, że powinien wyuczyć się tajemnic swojej słabości, aby poznać tajemnice swojej siły. Chcę pewnego dnia dowiedzieć się dlaczego żołądek obezwładnił moje nogi dzisiejszego ranka. J chcę także wiedzieć, czy to nie słabość żołądka wzbudziła w moim mózgu ów gniew, gorączkę i zamroczenie, które mnie powaliło.

— Ależ ty będziesz wybornym lekarzem! A nawet już nieźle znasz się na medycynie. Przrzekam ci, że za dziesięć lat będziesz miał u mnie praktykę.

— Postaram się zasłużyć na ten zaszczyt, pani — odpowiedział Gilbert.

Pocztylion zatrzymał konie na postoju, nie spotkawszy po drodze żadnego powozu.

Według zasięgniętych informacji młoda dama dowiedziała się, że małżonka delfina przejeżdżała przed kwadranssem i zatrzymać się miała w Vitry na śniadanie.

Kiedy nowy pocztalion wsiadł na konia, młoda Sama prze < czekała aż wyjechali z miasteczka, po czym rzekła:

— Pocztalionie, czy podejmiesz się dopędzić powozy małżonki delfina?

— O, tak.

— Wprzód nim dojadą do Vitry?

— O, do diabła!... Jechały wyłożonym kłusem.

— A gdybyśmy tak pojechali galopem, Pocztalion spojrzął na nią.

— Trzeba to było zaraz powiedzieć — odparł. — Bylibyśmy, już o ćwierć mili dalej.

— Masz tu sześcioliwowego talara zadatku I odrób ten stracony czas — powiedziała dama podając mu monetę.

W chwilę potem konie pomknęły jak strzała.

Gilbert czuł się już lepiej. Na postoju umył twarz i ręce przy studni, przyglądał piękne włosy, przez co zyskał na wyglądzie.

— Doprawdy — rzekła do siebie młoda dama — niebrzydki jak na przyszłego lekarza.

I uśmiechnęła się spojrzawszy na Gilberta.

Młodzieniec zarumienił się, jak gdyby domyślał się, co było powodem uśmiechu towarzyszki podróży.

Młodą damę bawiła szorstkość Gilberta i wypowiedane przez niego sentencje i paradoksy.

Od czasu do czasu przerywała mu wybuchem głośniego śmiechu. Spoglądała wtedy na drogę, ręka jej jakby przypadkiem dotykała twarzy Gilberta, a kolana jego nóg. Piękną kobietę bawił rumieniec na twarzy przyszłego lekarza i jego spuszczone skromnie oczy.

Tak ujechali blisko milę. Nagle młoda dama krzyknęła z radości rzucając się do przodu z takim impetem, że tym razem oparła się na Gilbertcie całym ciałem.

W niewielkiej odległości przed nimi toczyły się ostatnie furgony eskorty, z trudnością posuwające się na wysokie wzniesienie. Na szczycie wzniesienia stało dwadzieścia karet, z których prawie wszyscy podróżni powysiadali.

Gilbert wydobył się spod fałd sukni, wsunął głowę pod rękę damy i ukląkł na siedzeniu, szukając gorejącymi oczyma sylwetki panny de Taverney wśród podróżnych, podobnych z daleka do Pigmiejów.

Zdawało mu się, że poznał po czepku Nicole.

— No i dogoniliśmy — rzekł pocztalion. — Co mam teraz robić?

— Musimy wszystkich wyprzedzić.

— Wszystkich nie można, proszę pani. Nie wyprzedza się małżonki delfina.

— Dlaczego?

— To jest zakazane. Do licha! Wyprzedzić konie królewskie! Poszedłbym na galery!

— Słuchaj, przyjacielu, rób co chcesz, ale ja muszę je wyprzedzić.

— A więc pani nie należy do orszaku? — zapytał Gilbert, który przypuszczał, że pośpiech młodej damy miał na celu dopędzenie kawalkady małżonki delfina.

— Pragnienie wiedzy jest godne pochwały — odpowiedziała dama — niedyskrecja nie ma żadnej wartości.

— Przepraszam panią — odparł Gilbert zawstydzony.

— No i co zrobimy? — pytała podróżna pocztaliona.

— Ba! Będziemy jechać z tyłu aż do Vitry. Tam, jeżeli Jej Wysokość się zatrzyma, poprosimy o pozwolenie wyprzedzenia.

— Tak, ale wtedy będą się wypytywać, kto jestem i dowiedzą się... Nie, musimy znaleźć inny sposób.

— Pani — rzekł Gilbert — jeśli wolno udzielić rady. .

— Oczywiście, powiedz, jeżeli będzie dobra, skorzystamy z niej.

— Trzeba wyminąć Vitry boczną drogą. W ten sposób wyprzedzimy małżonkę delfina nie uchybiając jej.

— Dobrze mówi! — zawołała dama. — Pocztalionie, czy nie ma jakiej bocznej drogi?

— Dokąd?

— Dokąd chcesz, bylebyśmy zostawili małżonką delfina za sobą..

— Acha! Na prawo idzie droga do. Marole, która wymija Vitry i wychodzi na gościniec w la Chaussée.

— Bravo! — wykrzyknęła dama. — Otóż to!

— Ale pani wie, że będę musiał jechać dwa razy tak długo...

— Dostaniesz dwa ludwiki, jeżeli dotrzemy do la Chaussée przed małżonką delfina.

— Czy pani nie obawia się, że karetą może się połamać?

— Niczego się nie obawiam, Jeżeli karetą połamie się, pojedę konno.

Powóz skręcił z gościńca na prawo, na boczną drogę, pełną wybojów, pędził wzdłuż mętnej rzeczki, która wpada do Marny między la Chaussée i Mutigny.

Pocztalion dotrzymał słowa: robił wszystko, aby przy śpieszyć jazdę nie troszcząc się o całość powozu:

Wstrząsy pędzącej karety sprawiły, że wiele razy młoda dama i Gilbert wpadali na siebie. Gilbert umiał być grzeczny bez zażenowania. Potrafił powstrzymać uśmiech, podczas kiedy oczy mówiły młodej damie, że jest piękna.

Jazda: skaczącym po wybojach powozem sam na sam zachęca do poufałości.. Po dwóch godzinach jazdy zdawało się Gilbertowi, że zna towarzyszkę podróży od wielu lat., a młoda dama przysięgłaby, że zna Gilberta od urodzenia.

Okolo godziny jedenastej wjechali na gościniec wiodący z Vitry do Chalôns.

Kurier, którego spotkali, objaśnił ich, że małżonka delfina spożywa w Vitry śniadanie i jest tak znużona, że odpocznie tam dwie godziny. Dodał również, że wysłano go na następny postój, aby zajął się przygotowaniami na przyjęcie małżonki delfina, która przybędzie okolo godziny czwartej po południu.

Wiadomość tę przyjęła podróżna z radością.

Wręczyła pocztalionowi obiecane dwa ludwiki i zwracając się do Gilberta rzekła:

— No, nareszcie my także będziemy jedli obiad na najbliższym postoju.

Ale los chciał, że Gilbert nie zdążył zjeść obiadu na tym postoju.

XXI. NOWE ZNAJOMOŚCI

La Chaussée, gdzie znajdował się postój dla pocztalionów, była wioską położoną malowniczo tuż pod lasem na wysokim brzegu niewielkiej rzeczki. Obydwa jej brzegi spinały liczne mostki i kładki wiodące do krytych słomą domków.

W czasie, kiedy karetą z młodą damą i Gilbertem zbliżała się do la Chaussée, na drodze pośrodku wioski stał mężczyzna jakby go tu postawiono na warcie. Mężczyzna ten na przemian to obserwował drogę, to znów przyglądał się siwemu rumakowi z długą grzywą, który przywiązany był do okiennicy pobliskiego domku i potrząsał niecierpliwie śliczną głową, jakby oczekując swego pana.

Od czasu do czasu nieznamy, znużony daremnym obserwowaniem drogi, podchodził do konia i przyglądał mu się ze znawstwem, przesuwając wprawna ręką po jedwabistym zadzie i dotykając końcami palców cienkich pęcín. Kiedy rumak próbował uwolnić się od jego ręki otrząsając się nerwowo i wierzgając, nieznamy powracał na punkt obserwacyjny i patrzył na drogę.

Wreszcie zniecierpliwiony zaczął kołatać w okiennice.

— Hej! Jest tam kto?! — krzyknął.

— A kto tam? — odpowiedział męski głos i okiennica otworzyła się.

— Panie! — rzekł nieznamy. — Jeżeli twój koń jest do sprzedania, jestem gotów go kupić.

— Widzisz dobrze, że nie ma słomy uwiązanej u ogona — padła odpowiedź i okiennica zamknęła się.

Odpowiedź ta nie zadowoliła nieznanego, który zapukał po raz drugi.

Był to mężczyzna czterdziestoletni, wysoki i dobrze zbudowany, o twarzy czerwonej, z brodą, z krzepkimi rękami, ukrytymi w szerokich mankietach z koronek. Nosił wyszywany kapelusz założony na bakier według mody oficerów z prowincji.

Zapukał trzeci raz wołając niecierpliwie:

— Nie jesteś grzeczny, mój drogi! Jeżeli nie otworzysz okiennicy, natychmiast ją rozwalę!

Pogróżka poskutkowała i spoza otwartej okiennicy ukazała się twarz wieśniaka.

— Ależ mówiłem już, że koń nie do sprzedania — rzekł wieśniak. — To chyba dosyć, do diabła!

— A ja ci powiedziałem, że potrzebuję dobrego konia.

— Jeżeli potrzebujesz dobrego konia, to weź go na poczcie. Jest tam sześćdziesiąt sztuk ze stajen Jego Królewskiej. Mości, będziesz miał z czego wybierać. Ale zostaw konia temu, który ma tylko jednego.

— A ja właśnie tego chcę!

— Niebrzydki, arab!

— Tym bardziej chcę go kupić.

— Wierzę, ale na nieszczęście nie jest do sprzedania. — Ale czyżże jest ten koń?

— Należy do osoby, która kwateruje u mnie i lubi tego konia jak by to było dziecko. — Chcę się rozmówić z tą osobą.

— Śpi.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Kobieta.

— To powiedz tej kobiecie, że jeśli potrzebuje pięćset pistoletów, to dam jej za tego konia.

— Ho! Ho! — zdziwił się chłop, wytrzeszczając oczy. — Pięćset pistoletów to piękne pieniądze.

— Dodaj, jeżeli chcesz, że tego konia pragnie mieć — Król?

— Król we własnej osobie. — A może to pan jest królem?

— Nie, ale go reprezentuję.

— Pan reprezentuje króla? — rzekł chłop zdejmując ka pelusz.

— Prędziej, przyjacielu, królowi bardzo pilno.

I nieznajomy rzucił na drogę baczne spojrzenie.

— Dobrze — odparł chłop — kiedy dama się obudzi, może pan być pewny, że powiem jej o tym.

— Tak, ale ja nie mam czasu czekać, aż się obudzi.

— Cóż więc robić?

— Do kata! Obudź ją!

— Nie śmiem.

— No to ja sam obudzę! — powiedział nieznajomy i podszedł do okiennicy podnosząc długą szpicrutę ze srebrną gałką.

Ale podniesiona szpicruta nie dotknęła nawet okiennicy, gdyż w tej samej chwili nieznajomy spostrzegł pędzącą karetę, którą ostatkiem sił ciągnęły trzy wycieńczone konie.

Nieznajomy poznał natychmiast karete i rzucił się ku niej z szybkością, jakiej nie powstydziliby się koń, którego, chciał kupić.

Była to karetka wioząca podróżną, anioła stróża Gilberta. Spostrzegłszy nieznajomego dającego znaki, pocztylion ucieszył się, że zmęczone konie mogą się zatrzymać.

— Chon, moja droga Chon! — wołał nieznajomy. — Czy to ty nareszcie? Dzień dobry! Witaj!

— To ja we własnej osobie, Janie — odpowiedziała dama, nazwana tak niezwykle, imieniem. — A ty co tutaj robisz?

— Do kata! Piękne pytanie! Czekam na ciebie! — odparł nieznajomy, wskoczył na stopień karety i przez drzwiczki obejmując młodą damę rękami obsypał ją pocałunkami.

Nagle spostrzegł Gilberta, który nie wiedząc, co łączy tych dwoje, zrobił zawiedzioną minę, jak pies, któremu zabierają kość.

— Kogo ty tutaj wieszysz?

— Bardzo zabawnego małego filozofa — odpowiedziała panna Chon, nie zważając, czy pochlebi tym swojemu protegowanemu.

I gdzieżeś go znalazła?

— Na drodze. Ale nie o to chodzi.

— To prawda — odpowiedział mężczyzna nazwany Janem. — No dobrze, a cóż z naszą starą hrabiną de. Béarn?

— Załatwione.

— Jak to, załatwione?

— Przyjedzie.

— I cóż jej naopowiadałaś? — zapytał Jan ciągle jeszcze stojąc na stopniu karety.

— Że jestem córką adwokata Flageot, że jadę przez Ver dun i mam polecenie oznajmić jej w imieniu ojca o wyznaczeniu sprawy,

— I to wszystko?

— Tak, Dodałam tylko, że sprawa wymaga bezwarunkowo jej obecności w Paryżu.

— I cóż ona na to?

— Otworzyła małe, siwe oczy, zażyła tabaki, wypowiedziała komplement pod adresem pana Flageot i kazała się gotować do odjazdu.

— Wspaniale, Choin! Mianuję cię moim posłem nadzwyczajnym. A teraz, czy zjemy śniadanie?

— Koniecznie, bo ten nieszczęśliwy chłopiec umiera z głodu. Ale szybko!

— Dlaczego?

— Bo przyjeżdża...

— Ta stara piniaczka? — Nie, małżonka delfina.

— Ba! Gna musi być jeszcze w Nancy.

— Ona jest w Vitry.

— Trzy mile stąd?

— Ani mniej., ani więcej.

— Do licha! To zmienia postać rzeczy. No, pocztylionie, ruszaj!

— Dokąd, proszą pana?

— Na pocztą.

— Czy pan wsiada, czy zostaje?

— Ruszaj!

Kareta ruszyła, unosząc podróżnego na stopniu. W pięć minut później stanęła przed budynkiem pocztowym.

— Prędkiej, prędkiej — nalegała Chon — kotlety, kurczę, jaja, butelka wina burgundzkiego, cokolwiek bądź, musimy natychmiast odjeżdżać!

— Przepraszam — rzekł poczmistrz stając w progu domu — jeżeli pani chce jechać natychmiast, to chyba własnymi końmi.

— Jak to własnymi końmi? — rzekł Jan zeskakując ciężko ze stopnia.

— Tak własnymi, albo końmi, którymi państwo przyjechaliście.

— Nie — wtrącił pocztylion — niemożliwe, proszę spojrzeć, w jakim stanie się znajdują.

— Och, prawda — powiedziała Chon. — Niepodobieństwo, aby szły dalej.

— Ale co stoi na przeszkodzie, że mi pan odmawia świeżych koni?

— To, że ich nie mam.

— Ech, powinieneś mieć! Są przepisy. Cóż u diabła!

— Panie, według przepisów powinienem mieć piętnaście koni w stajni.

— No i cóż?

— No i mam osiemnaście.

— To znacznie więcej niż nam potrzeba!

— Tak, ale ich nie ma tutaj.

— Wszystkich osiemnastu?

— Wszystkich osiemnastu.

— Do pioruna! — zaklął podróżny.

— Wicehrabio, wicehrabio! — zmitygowała go młoda dama.

— Tak, tak, Chon, bądź spokojna — odparł Jan i zwrócił się do poczmistrza: — A kiedy wrócą twoje szkapy?

— Nie wiem, proszę pana, to zależy od pocztylionów. Może za godzinę, może za dwie.

— A czy pan wiesz, że ja nigdy nie żartuję? — rzekł wicehrabia zsuwając kapelusz na lewe ucho.

— Bardzo mnie to smuci. Wolałbym, żeby pan był w lepszym humorze.

— No, dalej, niech zaprzęgają — rzekł Jan — i to prędko, bo się rozgniewam.

— Niech pan pójdzie ze mną do stajni. Jeżeli pan znajdzie choć jednego konia, dam go darmo.

— A jeżeli znajdę sześćdziesiąt?

— To będzie zupełnie tak samo, jakby pan nie znalazł ani jednego, ponieważ tych sześćdziesiąt koni należy do Jego Królewskiej Mości.

— A więc?

— A więc nie wynajmuje się ich.

— To po co tu stoją?

— Do dyspozycji małżonki delfina.

— Jak to?! Sześćdziesiąt koni u żłobu, a dla mnie ani jednego?

— No cóż, pan rozumie?

— Ja rozumiem tylko jedno: że jest mi pilno.

— Bardzo mi przykro.

— Ale ponieważ małżonka delfina przyjedzie tutaj dopiero wieczorem... — mówił dalej wicehrabia.

— Co pan mówi?! — zawołał poczmistrz przerażony.

— Mówię, że konie powrócą przed przybyciem małżonki delfina.

— Panie, czyżby pan chciał...! — zawołał poczmistrz.

— Do katal! — rzekł wicehrabia wchodząc do stajni. — Nie będę się certować!

— Ależ, panie...

— Tylko trzy. Nie żądam ośmiu koni jak Ich Królewskie Moście, chociaż mam do tego prawo przynajmniej przez powinowactwo. Tak, trzy mi wystarczą.

— Ale nie dostanie pan ani jednego! — krzyknął poczmistrz rzucając się między konie i wicehrabiego.

— Gburze! — rzekł Jan blednąc ze złości. — Czy wiesz, kto ja jestem?

— Wicehrabio, wicehrabio! — wołała Choin. — Na litość boską, nie rób skandalu!

— Masz słuszność, moja Chon, masz słuszność — zmitygował się wicehrabia i dodał po chwili zwracając się do poczmistrza: — No, do rzeczy mój przyjacielu. Ja cię uwolnię od odpowiedzialności.

— W jaki sposób? — zapytał poczmistrz jeszcze niespokojny, mimo że twarz wicehrabiego wyrażała uprzejmość.

— Sam sobie wezmę. Oto trzy konie jednakowej maści. Te Morę.

— Jak to, pan bierze?

— Zwyczajnie.

— I pan to nazywa uwolnieniem mnie od odpowiedzialności?

— No tak. Nie dałeś koni, ale je zabrano,

— Kiedy powiadani panu, że to niepodobieństwo.

— Zobaczymy. Gdzie tu macie uprząż?

— Niech mi się nikt nie waży ruszyć! — huknął poczmistrz na stajennych, kręcących się w pobliżu.

— Ach, hultaje!

— Janie, drogi Janie! — krzyknęła Chon, która przez bramę widziała i słyszała wszystko. — Nie wdawaj się w kłótnię, mój przyjacielu. Kiedy ma się do spełnienia ważne za da nie, trzeba ścierpieć wszystko.

— Wszystko z wyjątkiem zwłoki — odpowiedział Jan z flegmą — ponieważ byłaby to zwłoka, gdybym czekał, aż ci hultaje mi pomogą. Sam sobie dam radę.

I zamieniając słowa w czyn, Jan; zdjął ze ściany stajni uprząż i zaczął zakładać ją koniom.

— Na litość boską, Janie! — zawołała Chon składając rękę.

— Czy chcesz dojechać, czy nie? — rzekł wicehrabia zgrzytając zębami.

— Oczywiście, że chcę dojechać! Jeżeli nie przyjedziemy na czas, wszystko stracone!

— No, w takim razie nie przeszkadzaj mi!

I wicehrabia wyprowadził ze stajni trzy nienajgorsze konie.

— Pamiętaj, panie, pamiętaj! — krzyczał poczmistrz idąc za Janem. — To obraza majestatu kradzież tych koni!

— Ja nie kradnę, głupcze, ale pożyczam.

Poczmistrz rzucił się na lejce, ale wicehrabia odepchnął go silnie

— Bracie mój, bracie! — krzyknęła Chon.

— Acha, to jej brat — szepnął do siebie Gilbert z westchnieniem ulgi.

W tej chwili otworzyło się okno z przeciwnej strony ulicy, na wprost budynku pocztowego i ukazała się śliczna twarz kobiety, zaniepokojonej hałasem.

— Ach, to pani — rzekł Jan zwracając się w jej stronę.

— Jak to ja? — odparła młoda kobieta złą francuszczyzną.

— Cieszę się, że pani już wstała. Czy zechce mi pani sprzedać swojego konia?

— Mojego konia?

— Tak, siwego araba, przywiązanego do okiennicy. Daję za niego pięćset pistołów.

— Mój koń nie na sprzedaż — odpowiedziała młoda kobieta zamykając okno.

— No, nie mam dzisiaj szczęścia — stwierdził Jan. — Nie chcą ani sprzedać, ani wynająć. Do stu katów! Wezmę araba, skoro mi go nie chcą sprzedać i ubiję te meklemburgi, jeżeli mi ich nie wynajmą. Chodź tutaj, Patryk!

Lokaj wicehrabiego zeskoczył z kozła.

— Zaprzęgaj! — rozkazał mu Jan.

— Do mnie stajenni, do mnie! — zawołał poczmistrz. . Nadbiegło dwóch masztalerzów.

— Janie! Wicehrabio! — krzyczała Chon rzucając się w powozie, którego nie mogła otworzyć. — Czy straciłeś rozum? Pozabijają nas wszystkich!

— Pozabijają?! Spodziewam się, że to my ich pozabijamy! Nas troje przeciwko trzem. Nuże, młody filozofie! — krzyknął Jan na Gilberta, który ze strachu nie mógł się ruszyć. — No, wysiadaj! Poigramy z nimi, kijami, kamieniami, pięściami! Wysiadaż że, do stu diabłów, wyglądasz jak święta figura z gipsu!

Gilbert spojrzał niespokojnie i zarazem błagalnie na swoją protektorkę, która przytrzymała go za rękę.

Tymczasem przed powozem toczyła się utarczka. Wicehrabia nie puszczał koni, a poczmistrz ciągnął je w swoją stronę wrzeszcząc na całe gardło.

To żałosne widowisko musiało się wreszcie skończyć. Zmęczony szarpaniną i doprowadzony do ostateczności, wicehrabia tak silnie uderzył pięścią poczmistrza, że ten wpadł w kałużę, plosząc stado kaczek i gęsi.

— Ratujcie! — krzyczał niefortunny obrońca królewskich koni. — Gwałtu! Rozbój!

Wicehrabia nie zważając na to, nie tracił czasu i spiesznie zaprzęgał konie.

— Ratunku, na pomoc w imię króla — dał się poczmistrz, usiłując przywołać do siebie dwóch osłupiałych masztalerzy.

— Kto tu woła o ratunek w imieniu króla?! — zawołał nagle jeździec, który wpadł galopem na dziedziniec poczty, osadzając konia tuż przed Sprawcami zajścia.

— Pan Filip de Taverney! — rzekł po cichu Gilbert, wciskając się jeszcze bardziej w głąb powozu.

Chon, której uwadze nic nie uchodziło, usłyszała nazwisko młodego jeźdźca.

XXII. WICEHRABIA JAN

Młody porucznik żandarmów delfina zeskoczył z konia na widok dziwacznej sceny, jaka zaczęła gromadzić wokół budynku poczty wszystkie kobiety i dzieci ze wsi la Chaussée.

Spostrzegłszy Filipa, poczmistrz zrobił ruch Jakby chciał się rzucić na kolana przed niespodziewanym wybawcą, którego zesłała mu Opatrzność.

— Panie oficerze! — zawołał. — Czy pan wie, co tu się dzieje?

— Nie — odparł zimno Filip — ale powiesz mi, przyjacielu.

— Chcą gwałtem zabrać konie Jej Królewskiej Mości, małżonki delfina.

Filip podniósł brwi jak człowiek, który się dowiaduje o rzeczy nieprawdopodobnej.

— A kto chce zabrać konie? — zapytał.

— Ten pan — odpowiedział poczmistrz, wskazując palcem wicehrabiego.

— Pan? — powtórzył Filip.

— Do kata! Tak, ja! — powiedział Jan.

— To chyba pomyłka — rzekł Filip potrząsając głową. — To niemożliwe! Albo pan jest szalony, albo pan nie jest szlachcicem.

— To pan się myli, kochany poruczniku — odparł wicehrabia. — Jestem przy zdrowych zmysłach i mam prawo korzystać z karet Jego Królewskiej Mości.

— Jak się więc to stało, że będąc przy zdrowych zmysłach i podróżując karetami Jego Królewskiej Mości odważył się pan sięgnąć po konie małżonki delfina.

— Przede wszystkim jest tutaj sześćdziesiąt koni. Jej Wysokość nie potrzebuje więcej niż osiem. Nie byłoby chyba nieszczęścia, gdybym biorąc trzy, przypadkiem trafił właśnie na konie małżonki delfina.

— To prawda, że jest sześćdziesiąt koni — powiedział Filip — i prawda, że Jej Królewska Mość nie potrzebuje więcej niż osiem. Ale to bynajmniej nie przeszkadza, aby wszystkie sześćdziesiąt koni należały do Jego Królewskiej Mości i nie pana jest rzeczą rozstrzygać, jaka jest różnica między końmi króla, a końmi małżonki delfina.

— A jednak pozwalam sobie rozstrzygać — odparł z szyderstwem wicehrabia — skoro zabieram te konie. Mam iść piechotą, ja, kiedy błazny, lokaje będą. jechać czterema końmi? Do kata! Niech zrobią tak jak ja i przestaną na trzech. I tak będą mieli dosyć.

— Jeżeli ci lokaje jadą czterema końmi — rzekł Filip i uczynił gest, jakby dając znak, by wicehrabia nie upierał się dłużej — to dlatego, że taki jest rozkaz króla. Zechciej więc, panie, kazać swojemu lokajowi odprowadzić konie tam skąd je wzięłeś.

Słowa te wypowiedziane zostały stanowczo i grzecznie i trzeba byłoby nie lada gburowatości, aby nie odpowiedzieć na nie uprzejmie.

— Miałbyś słuszność, drogi poruczniku — odpowiedział wicehrabia — gdyby należało do twych obowiązków pilnowanie tych koni. Ale nie słyszałem, żeby oficerowie żandarmerii delfina awansowali na masztalerzy. Zamknijże więc pan oczy, powiedz swoim ludziom, żeby zrobili to samo i bywaj zdrów!

— Pan się myli. Nie jestem ani awansowany, ani zdegradowany do stopnia masztalerza. To, co teraz robię, wchodzi w zakres moich obowiązków, ponieważ sama małżonka delfina wysłała mnie przodem, abym. dopilnował porządku na postojach..

— A to co innego! — odpowiedział wicehrabia. — Ale pozwól mi sobie powiedzieć, mój poruczniku, że smutną pełnisz służbę i jeżeli w taki sposób młoda pani obchodzi się z wojskiem...

— O kimże pan mówi w ten sposób — przerwał Filip. — Do licha! O Austriaczce!

Młody porucznik zbladł jak chusta.

— Jak pan śmie tak mówić — krzyknął.

— Nie tylko śmiem mówić, ale jeszcze śmiem robić — ciągnął wicehrabia. — No, Patryk! Zaprzęgaj, przyjacielu i jedziemy, bo mi bardzo pilno.

Filip pochwycił pierwszego konia za cugle i rzekł z lodowatym spokojem:

— Panie, chyba robi mi pan przyjemność mówiąc, kim jesteś, nieprawdaż?

Czy koniecznie chce pan wiedzieć? — Koniecznie.

— No, więc jestem wicehrabia Jan Dubarry. Jak to, pan. jest bratem tej...

— ...która spowoduje, że zgnijesz w Bastylli, mój panie oficerze, jeżeli dodasz jedno słowo — odpowiedział wicehrabia i wskoczył do powozu.

Filip zbliżył się do drzwiczek i rzekł:

Panie wicehrabio Janie Dubarry! Zechce mi pan zrobić ten zaszczyt i wysiąść, nieprawdaż?

— A to dobre! Akurat mam czas na to — odparł wicehrabia próbując zamknąć drzwiczki powozu.

— Jeżeli się pan będzie wahał choć sekundę — mówił dalej Filip przytrzymując drzwiczki — daję słowo honoru, że pana przebiję szpadą.

— To mówiąc, młody porucznik dobył szpady.

— Ależ to morderstwo! — krzyknęła Chon. — Zrezygnuj z tych koni, Janie!

— Ach, więc grozisz mi! — zgrzytnął zębami rozjuszony wicehrabia porywając szpadę, która leżała na przednim siedzeniu.

— Tak i spełnię swoją groźbę, jeżeli się pan będzie ociągał choćby tylko jedną sekundę, rozumie pan?! — zawołał Filip machnąwszy szpadą.

— Nie pojedziemy nigdy — szepnęła Chon do ucha wicehrabiego — jeżeli nie ujmiesz tego oficera dobrocią,

— Ani dobroć, ani gwałt nie wstrzymają mnie od spełnienia obowiązku rzekł Filip kłaniając się grzecznie, ponieważ usłyszał słowa młodej damy — niech pani doradzi panu wicehrabiemu, żeby ustąpił, bo inaczej w imieniu króla, którego reprezentuję, będę zmuszony zabić go, jeżeli się zgodzi na pojedynek, albo kazać go aresztować, jeżeli odmówi.

— A ja powiadam, że pojedę, nie zważając na pana! — wrzasnął wicehrabia dobywając szpady.

— Zobaczmy! — rzekł Filip zasłaniając się szpadą i go tując się do starcia. — Czy pan jest gotów?

— Panie poruczniku! — zwrócił się do Filipa brygadier dowodzący sześciu żołnierzami eskorty — czy, pan porucznik każe...

— Nie ruszaj się z miejsca — rzekł Filip — to sprawa osobista. No, panie wicehrabio, jestem na twoje rozkazy.

Chon zaczęła przeraźliwie krzyczeć, a Gilbert pragnął, aby karetą zapadła się pod ziemię i ukryła go.

Atak rozpoczął wicehrabia. Jego biegiłość we władaniu bronią wynikała bardziej z doświadczenia i zimnej kalkulacji niż ze zręczności. Ale gniew odebrał mu część sił.

Inaczej poczynał sobie Filip: operował szpadą jak floretem i wydawało się, jakby ćwiczył w sali fechtunku. Spokojny, z okiem bacznie wpatrzonym w przeciwnika, panował nad sytuacją, jakby widział i zgadywał wszystko.

Pojedynek toczył się wśród głuchego milczenia, które przerywały tylko okrzyki bezładnie nacierającego wicehrabiego.

Walka trwała już niemal trzy minuty, ale żaden z przeciwników nie zadał jeszcze ciosu. Ataki wicehrabiego Filip parował zręcznie jakby badając jego umiejętności.

Nagle wicehrabia odskoczył do tyłu krzyknawszy i w tej samej chwili jego mankiet zboczył się krwią, która strugami popłynęła wzdłuż palców. Szpada Filipa przebiła ramię wicehrabiego.

— Pan jest raniony — rzekł młody porucznik.

— Czuję się dobrze, do kata! — krzyknął wicehrabia blednąc i upuszczając szpadę.

Filip podniósł ją i podał przeciwnikowi.

— Panie wicehrabio, idź i nie rób więcej podobnych niedorzeczności.

— Do licha! Jeżeli je robię, to i płacę za nie — mruknął wicehrabia i dodał zwracając się do Chon, która wyskoczyła z karety i biegła bratu z pomocą:

— Prędeż, prędeż, moja biedna Chon!

— Pani, przynasz, że nie moja to wina — rzekł Filip. —

Najmocniej żałuję, że zmuszony byłem do tej ostateczności i dobyłem szpady w obecności damy.

To rzekłszy, uklonił się i podszedł do poczmistrza, któremu nakazał wyprząc i odprowadzić konie, zabrane przez wicehrabiego. Jan Dubarry pogroził pięścią młodemu porucznikowi, ten jednak wzruszył tylko ramionami.

— O, wróciły właśnie trzy konie! — krzyknął nagle poczmistrz. — Courtin, Courtin, zaprzęgaj natychmiast konie do karety tego pana.

— Twoje konie powinny były przyjść przed pół godziną — mruknął wicehrabia patrząc na zranioną rękę, którą Chon obwiązywała chustką.

Tymczasem Filip wszedł na konia i wydawał rozkazy, jakby nic nie zaszło.

— Jedziemy już, Janie — rzekła Chon ciągnąc brata do karety. .

— A mój arab? — spytał wicehrabia. — A niech idzie do diabła! Nieszczęśliwy dla mnie dzisiaj dzień.

Po czym wsiadł do powozu i spostrzegłszy Gilberta rzekł z niezadowoleniem:

— Oho, nie będę mógł teraz nóg wyciągnąć.

— Byłbym zrozpaczony, gdybym miał panu przeszkadzać — odparł młodzieniec.

— No, no, Janie — odezwała się Chon — zostaw mi mojego małego filozofa...

— Do licha! Niech siada na kozioł. Gilbert zaczerwienił się.

— Nie jestem lokajem, żebym siedział na kozle.

— Patrzcie go!

— Niech mi pan pozwoli wysiąść.

— A wysiadajże do stu tysięcy diabłów! — krzyknął Dubarry.

— Ależ nie, nie — zaoponowała Chon wstrzymując Gilberta za rękę. — Siadaj naprzeciw mnie, w ten sposób nie będziesz przeszkadzał memu bratu.

I nachyliwszy się do ucha wicehrabiego szepnęła:

— On zna tego, który cię zranił.

W oczach wicehrabiego zabłysła radość.

— O, to bardzo dobrze! Niech więc zostanie. A jak się nazywa tamten oficer?

— Filip de Taverney.

W tej chwili młody oficer przejeżdżał obok karety.

— A, to znowu ty, mój panie żandarmie — krzyknął Jan. — Byłeś dzisiaj bardzo hardy, ale przyjdzie i moja kolej.

— Zobaczmy — odpowiedział Filip obojętnie. — Jeżeli się panu spodoba...

— Ano zobaczymy, panie Filipie de Taverney — zawołał wicehrabia, starając się uchwycić wrażenie, jakie sprawi na młodym oficerze głośne wypowiedzenie jego nazwiska.

Rzeczywiście, tamten podniósł głowę ze zdziwieniem i jakby z niepokojem. Opanował się jednak natychmiast i zdejmując kapelusz rzekł z wyszukaną grzecnością:

— Szczęśliwej podróży, panie Janie Dubarry! Zaraz potem powóz ruszył.

— Do pioruna! — rzekł wicehrabia, krzywiąc się. — Czy wiesz, moja Chon, że mnie okropnie boli?

— Na pierwszym postoju poszukamy lekarza, kiedy ten, chłopiec będzie jadł śniadanie.

— Ach, prawda, nie jedliśmy jeszcze śniadania. Ból odbiera mi apetyt, ale mam pragnienie.

— Może chcesz się napić kieliszek l'eau de la Côte.

— Dobrze, daj.

— Panie — rzekł Gilbert — jeżeli pan pozwoli zwrócić uwagę...

— No, mów.

— Mocne trunki są napojem bardzo szkodliwym w położeniu, w jakim się pan znajduje.

— Doprawdy? — rzekł wicehrabia i dodał zwracając się do Chon: — Ależ to doktor z tego twojego filozofa.

— Nie, panie, nie jestem lekarzem, będę nim kiedyś, jeżeli się Bogu spodoba — odparł Gilbert. — Ale czytałem w pewnym traktacie dla użytku wojskowych, że rannym zabrania się używać likierów, win i kawy.

— Ach, czytałeś, to, no, nie mówmy już więcej o tym.

— Jeżeli pan wicehrabia raczy mi dać swoją chustkę, zmoczę ją w tym strumieniu i owinę rękę. Poczujecie pan ulgę.

— Dobrze, mój przyjacielu — rzekła Chon. — Pocztylio nie, zatrzymaj się.

Kareta stanęła i Gilbert wysiadł, aby zmoczyć chustkę wicehrabiego w strumieniu.

— Ten chłopiec będzie nam przeszkadzał rozmawiać — powiedział Dubarry,

— Będziemy rozmawiać dialektem prowansalskim — odparła Chon.

— Mam wielką ochotę odjechać i zostawić go tutaj,

— Nie, on może być nam użyteczny.

— W czym?

— Udzielił mi już wiadomości wielkiej wagi.

— O kim?

— O małżonce delfina. A poza tym, jak to zauważyłeś, powiedział nam nazwisko twojego przeciwnika.

— No to niech jedzie z nami.

W tej samej chwili powrócił. Gilbert i owinął wilgotną chustką rękę wicehrabiego. Jak przewidywał Gilbert, przyniosło to rannemu ulgę.

— Dalibóg, czuję się teraz daleko lepiej — stwierdził wicehrabia. No, a teraz porozmawiajmy.

Gilbert zamknął oczy i słuchał, ale zawiódł się. Na wezwanie brata Chon odpowiedziała dialektem, który wprawia w rozpacz uszy paryżan twardymi i chrapliwymi spółgłoskami toczącymi się po melodyjnych samogłoskach.

Jakkolwiek Gilbert panował nad sobą, nie zdołał ukryć gniewu, słysząc niezrozumiały dialekt. Jakby na pocieszenie Chon przesłała mu miły uśmiech.

Uśmiech ten wbił Gilberta w dumę: oto i jemu okazują względy, to on zmusił wicehrabiego do uprzejmości. Gdyby to Andrea widziała go w tej sytuacji, w tym pięknym powozie.

Napęczniały pychą, ani przez chwilę nie pomyślał o Nicole.

— Wyborne! — krzyknął wicehrabia wychylając się z karety i spoglądając w tył:

— Co takiego? — zapytała Chon.

— Koń, którego chciałem kupić, pędzi za nami.

— Kobieta jedzie na nim! — rzekła Chon. — Och, co za śliczne stworzenie.

— O kim mówisz? O kobiecie czy o koniu?

— O kobiecie.

— Zawołaj ją, Chon. Może się ciebie mniej będzie obawiać niż mnie?... Dam tysiąc pistoletów za konia.

— A za kobietę? — zapytała Chon ze śmiechem.

— Zrzuńnoałbym się dla niej. Zawołaj ją!

Chon wychyliła się próbując przywołać kobietę na koniu.

Ale młoda kobieta z dużymi, czarnymi oczami, otulona białym nakryciem, w szarym kapeluszu z długimi piórami, jak strzała przeleciała obok wołając:

— Avanti, Dzerid, avanti!

— To Włoszka! — rzekł wicehrabia. Do kata! Śliczna kobieta. Gdybym nie był ranny, wyskoczyłbym za nią!

— Ja ją znam — rzekł Gilbert.

— Ależ ten młody chłopiec jest almanachem, zna wszystkich...

— Jakże się ona nazywa? — zapytała Chon.

— Nazywa się Lorenza.

— A kto ona jest?

— Żona czarnoksiężnika.

— Jakiego czarnoksiężnika?

— Barona Józefa Balsamo.

Brat i siostra spojrzeli na siebie. Siostra zdawała się mówić: — Czy dobrze zrobiłam, że zatrzymałam go. — Dalibóg tak — zdawał się odpowiadać brat.

XXIII. U HRABINY DUBARRY

Opuśćmy na jakiś czas pannę Chan i wicehrabiego Jana, jadących do Châlons i poznajmy inne osoby tej samej rodziny.

Apartamenty Wersalu, w których mieszkała Adelajda, córka Ludwika XV, zajmowała teraz jego kochanka, hrabina Dubarry.

Niewymuszonym, swobodnym sposobem bycia, pogodnym usposobieniem, nieustanną werwą i fantastycznymi pomysłami napełniła milczący dotąd zamek życiem pełnym zgiełku, w którym brali udział jedynie ludzie z temperamentem, obdarzeni dowcipem i umiejący się bawić.

Z jej apartamentów wychodziły co chwila wezwania do biesiad i do rozrywek. Od samego rana, to jest od godziny dziewiątej zjawiali się tu wystrojeni znakomici goście i tłoczyli się w przedpokoju pełnym niezwykłości, mniej jednak niezwykłym niż bożyszcze, któremu wybrańcy mieli oddać cześć.

Nazajutrz po zdarzeniu na poczcie w la Chaussée, około godziny dziewiątej rano, czyli o zwykłej porze przyjęć, Joanna de Vaubernier, późniejsza panna Lange i hrabina Dubarry — wychodziła z łóżka, owinięta w haftowany płaszcz z muślinu. Pod fałdami koronek rysowały się jej toczone, jędrne nogi i alabastrowe krągłe ramiona.

Powiedzieć, że była podobna do Wenus, znaczyłoby przedkładać złudzenia nad rzeczywistość, gdyż była ona dla mężczyzny piękniejsza niż bogini miłości.

Hrabina miała włosy jasnokasztanowate, zachwycająco upięte, gładką, białą skórę w lazurowe żyłki, oczy na przemian żywe i omdlewające, usta małe, pąsowe, wykrojone, w najdoskonalszy kształt, rozchylające się tylko po to, aby pokazać podwójny rząd olśniewających jak perły zębów. Na policzkach, podbródki i pulchnych rękach miała urocze dołeczki. Pięknie modelowana szyja i wężowa gibkość jej bujnego ciała dopełniały powabów pani Dubarry, pozwalającej się oglądać wybranym na porannych przyjęciach. Nawet Jego Królewska Mość Ludwik XV, szczęśliwy towarzysz nocy hrabiny, nie zaniedbywał tych porannych przyjęć, kierując się jakby przysłowiem, które doradza starcom nie trwonić okruszyn, jakie spadają ze stołu życia.

Tego dnia faworyta obudziła się wcześniej niż zwykle. O godzinie ósmej kazała odsłonić firanki. Wraz z promieniami słonecznymi wszedł do pokoju wesoły dzień, pierwszy jej dworak. Przybywał popieścić się z piękną nimfą, która zamiast uciekać jak Dafne przed miłością bogów, szła odważnie na spotkanie miłości śmiertelników. Nie było w niej ociążałości ani śladów snu w jej błyszczących oczach. Zsunęła się z łóżka na gronostajowy kobierzec, kładąc nóżki, które przyniosłyby zaszczyt Kopciuszkowi, w pantofelki podstawione przez usługujące pokojówki. Już jeden choćby z tych pantofelków mógłby wzbogacić drwa z rodzinnego lasu Joanny.

Kiedy podniosła się, zarzucono jej na ramiona bogaty koronkowy szlafroczek, a następnie na pulchne nogi wciągnięto jedwabne, różowe pończochy, tak cienkie, że nie podobna je było odróżnić od ciała, jakie osłaniały

— Nie ma wiadomości od Chon? — zapytała hrabina pokojówkę.

— Nie, pani.

— Ani od wicehrabiego Jana?

— Także nie, pani.

— A czy Bischi nie miała żadnych wiadomości?

— Posyłano dziś z rana do siostry pani hrabiny.

— I nie ma listów?

— Nie ma, proszę pani.

— Ach, jak nudno czekać tak długo — rzekła hrabina z czarującym grymasem. Kiedyż wynajdą sposób korespondowania w ciągu jednej minuty na odległość stu mil? Doprawdy żałuję tych co wpadną mi dziś rano pod rękę. Czy dużo dziś osób czeka w przedpokoju?:

— Pani hrabina pyta o to?

— Słuchaj, Doro, przyjeżdża małżonka delfina i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby o mnie teraz zapomniano, skoro zjawia się słońce. Jestem tylko biedną gwiazdką. Zobaczymy kto tam czeka?

— Pan d'Aiguillon, książę de Soubise, pan de Sartines, pan Maupeou.

— A książę de Richelieu?

— Jeszcze się nie pokazał.

— Ani dziś, ani wczoraj! A nie mówiłam, Doro. Obawia się. kompromitacji.. Poślesz kuriera do pałacu hanowerskiego, aby się dowiedział, czy książę nie jest chory.

— Dobrze, proszę pani. A czy pani hrabina przyjmie wszystkich razem, czy oddzielnie?

— Oddzielnie. Chcę rozmawiać z panem de Sartines, niech wejdzie.

W chwilę potem do pokoju hrabiny wszedł czarno ubrany minister policji. Surowość szarych jego oczu i nieprzyjemny wyraz wąskich warg łagodził uśmiech zwiastujący dobre nowiny.

— Dzień dobry, mój nieprzyjacielu! — rzekła hrabina, obserwując odbicie ministra w swoim lustrze.

— Ja nieprzyjacielem?

— Oczywiście, świat dzieli się na przyjaciół i nieprzyjaciół. Nie uznaję obojętnych, zaliczam ich do swoich wrogów.

— Nie ma pani słuszności. Ale racz mi pani powiedzieć jak to się stało, że mimo mojego poświęcenia zasłużyłem na miano wroga.

— Dlatego, że pozwalasz drukować, rozpowszechniać, sprzedawać, przedstawiać królowi stopy wierszydeł, pamfletów, paszkwilów wymierzonych przeciwko mnie. To niegodziwość, złośliwość, głupota!

— Ależ pani, przecież ja nie jestem odpowiedzialny... — Owszem jesteś, bo wiesz, co za nikczemnik to robi.

— Pani, gdyby to był jeden tylko autor, nie potrzebowalibyśmy go dusić w Bastylji, sam by się wkrótce udusił pod ciężarem swoich dzieł.

— Pan jest bardzo uprzejmy, że mi to powiedział.

— Nie powiedziałbym tego, gdybym był nieprzyjacielem pani.

— Nie mówmy już o tym. Tak jak jest, jest dobrze. Ale jedna jeszcze rzecz niepokoi minie.

— Co takiego?

— Że jest pan w dobrych stosunkach z Choiseulami.

— Pani, Choiseul jest pierwszym ministrem. On wydaje rozkazy, ja muszę je wykonywać.

— Jeżeli zatem Choiseul da ci rozkaz, abyś pozwolił mnie prześladować i zadręczać na śmierć, pozwoliłbyś mi prześladować i zadręczać! Dziękuję.

— Rozpatrzmy, co uczyniłem dla pani przed trzema dniami — rzeź de Sartines.

To mówiąc usiadł, a hrabina nie rozgniewała się, gdyż zdawała sobie sprawę, że człowiekowi, który wie dokładnie, co dzieje się we Francji, wybaczają się wszystko.

— Uprzedził mnie pan, że wysłano z Chanteloup kuriera, aby przyspieszyć przyjazd małżonki delfina.

— A więc czy nieprzyjaciel tak postępuje?

— Ale w sprawie prezentacji, która jak pan wie, najbardziej mnie obchodzi, co pan zrobił?

— Wszystko, co było można.

— Pan nie jest szczery.

— Ależ pani mnie krzywdzi. Kto odszukał w szynku i to w niespełna dwie godziny, wicehrabiego Jana, którego potrzebowałeś, aby wysłać nie wiem dokąd, a raczej wiem dokąd.

— Lepiej byłoby może, abyś pozwolił zginąć mojemu szwagrowi, człowiekowi spokrewnionemu z rodziną królewską — rzekła pani Dubarry śmiejąc się.

— Przecież to wszystko są przysługi, pani!

— Tak było przed trzema dniami. Ale wczoraj, czy zrobiłeś coś dla mnie wczoraj?

— Wczoraj...

— Och, daremnie by pan sobie przypominał: wczoraj było dniem przysług dla innych.

— Nie rozumiem cię, pani?

— Ale ja rozlaniam. No więc opowiadaj, co robiłeś wczoraj.

— Rano czy wieczorem?

— Najpierw rano.

— Rano pracowałem jak zwykle.

— Do której godziny? — Do dziesiątej.

— A potem?

Potem zaprosiłem jednego z moich przyjaciół z Lionu, który założył się, że przyjedzie do Paryża i ja o tym nie będę wiedział. No, ale mój lokaj czekał już na niego u rogatki.

— A po obiedzie?

— Posłałem naczelnikowi policji Jego Wysokości Cesarza Austrii adres słynnego złodzieja, którego nie mógł odszukać.

— I gdzie się znajdował?

— W Wiedniu.

— Tak więc zajmuje się pan nie tylko sprawami policji paryskiej, ale i dworów zagranicznych?

— Tak, pani, w wolnych chwilach.

— Dobrze, będę o tym pamiętać. A co pan robił później?

— Poszedłem na operę.

— Widzieć małą Guimard? Biedny de Soubise!

— Nie. Poszedłem, żeby aresztować sławnego rzeźmieszkę, którego pozostawiałem w spokoju, dopóki zadowolala się dzierżawcami generalnymi i nie zaczął zuchwale magnatów.

— Raczej, że uczynił to niezręcznie. A co pan robił po operze?

— Po operze... Niech sobie przypomnę.

— A więc tutaj brak już panu pamięci.

— Bynajmniej. Po operze... Tak, przypominam sobie...

— A więc?

— Poszedłem do pewnej damy, u której grałem w karty i zawiozłem ją do Fort l'Eveque.

— Swoim powozem? — Nie, fiakrem.

— A potem?

— Jak to potem? To już wszystko.

— Nie, to nie wszystko.

— Wsiadłem znowu do mojego fiakra,

— I kogo pan tam znalazł?

Pan de Sartines zaczerwienił się.

— Ach, więc spotkał mnie zaszczyt wywołania rumieńca na twarzy ministra policji! — zawołała hrabina klasnąwszy w rękę.

— Pani... — wyjąkał de Sartines.

— A więc dobrze, to ja panu powiem, kto siedział w fiakrze. Księżna de Grammont.

— Księżna de Grammont? — wykrzyknął minister policji.

— Tak, księżna de Grammont, która pana prosiła, abyś ją wprowadził do apartamentów królewskich.

— Dalibóg, składam swój urząd w pani ręce — rzekł de Sartines poruszając się na krześle. — Nie mnie zajmować się policją.

— Istotnie, panie de Sartines, jak widzisz, mam swoją policję, więc strzeż się. Tak, tak! Księżna de Grammont w fiakrze, o północy, z panem ministrem policji i to w fiakrze, który jechał noga za nogą. Czy pan wie co ja rozkazałam zrobić?

— Nie, ale bardzo się boję. Na szczęście było już późno. — To nic nie znaczy. Noc jest odpowiednią porą dla zemsty.

— Cóż więc pani kazała zrobić?

— Podobnie jak swoją tajną policję, mam zgromadzić pismaków, nędznych jak łachmany i wygłodniałych jak łasice,

— A zatem pani ich źle karmi.

— Ja wcale ich nie karmię. Gdyby się utuczyl, zgłupieliby tak jak pan de Soubise...

— Niech pani mówi dalej. Aż dreszcz mnie przejmuje...

— Pomyślałam sobie o złościwościach, które pozwala pan. Choiseulom popełniać wobec mnie. To mnie dotknęło do żywego, więc dałam moim Apolinom takie zadanie: primo — pan de Sartines, przebrany za prokuratora, odwiedza przy ulicy l'Arbre-Séc, na czwartym piętrze, młodzieńką dziewczynę, której nie wstydzi się wydzielać nędzną kwotę 300 liwrów miesięcznie.

— Pani, jest to dobry uczynek, który pani chce zohydzić.

— Tylko takie dadzą się zohydzić. Secundo: pan de Sartines, przebrany za misjonarza, wślizguje się do klasztoru Kar melitanek przy ulicy świętego Antoniego.

— Pani, przyniosłem tym dobrym siostrą wiadomości ze Wschodu.

— Tertio: Pan de Sartines w ubiorze ministra policji przebiega ulicę o północy fiakrem, sam na sam z księżną de Grammont.

— Ach, pani — rzekł przerażony de Sartines — czy aż do takiego stopnia chce pani znieślić mój urząd?

— A pan pozwala mnie znieślić — powiedziała hrabina śmiejąc się. — Ale niech pan poczeka: moi hultaje wzięli się do roboty i ułożyli mi już dzisiaj rano epigram, piosenkę i wodewil.

— Ach mój Boże!

— Wszystkie trzy zabójcze. Poczęstuję dzisiaj nimi króla łącznie z nowym Pater Noster, który dzięki panu krąży o nim. Czy pan to zna? „Ojcze nasz, który jesteś na Wersalu, oby twoje imię zostało zhańbione, jak na to zasługuje. Twoje królestwo jest zachwiane. Twojej woli nie spełnia nikt ani na ziemi, ani w niebie. Oddaj nam nasz chleb powszedni, który odbierają nam twoje faworyty. Przebacz tym, którzy przysparzają ci dochodów, jak my przebaczymy tym ministrom, którzy je trwonią. I nie daj się wodzić na pokuszenie Dubarry, ale nas zbaw od swego diabła-kanclerza. Amen”

— Jakżeś to pani odkryła? — spytał de Sartines z westchnieniem.

— Ach, mój Boże, nie mam potrzeby odkrywać, przysyłają mi co dzień uprzejmie co jest najlepszego w tym rodzaju. Myślę, że sprawiam panu przyjemność mówiąc o tym...

— Och, pani...

— Odwdzięczę się panu jutro epigramem, piosenką i wodewilem, o których wspominałam.

— Dlaczego nie zaraz?

— Bo trzeba mi czasu na ich kolportaż. Zresztą czy nie jest zwykłą rzeczą, że policja dowiaduje się ostatnia o tym, co się dzieje? Och, bardzo to pana ubawi, jestem tego pewna. Ja śmiałam się dzisiaj rano całe trzy kwadransy, a król zachorował ze śmiechu na wątrobę i dlatego dzisiaj tak spóźnił.

— Jestem zgubiony! — krzyknął de Sartines chwytając się za perukę.

— Nie jesteś zgubiony, jesteś tylko wyśmiany i to wszystko. Czy zgubiła mnie Piękna Burbonka! Nie. Wściekam się tylko i nic więcej. Dlatego i ja z kolei chcę, aby inni się wściekali. Ach, czarujące wierszyki! Tak mnie ucieszyły, że kazałam dać białego wina moim pismakom. Spili się pewnie na umór.

— Ach, hrabino, hrabino!

— Najpierw powiem panu epigram.

— Łaski!

— „Francjo, na co to cię los skazał: podlegać władzy samicy! — zacytowała pani Dubarry i ciągnęła dalej: Chyba nie mylę się, że to epigram przeciwko mnie, który krążył za twoim pozwoleniem. Tyle tych epigramów, że trudno spamiętać. Ale poczekaj, przypomniał mi się jeden:

Przyjaciele, czy znacie śmieszny szyld, Który malarz z Saint-Luc robi dla aptekarzy? Kładzie w butelkę jak pigułki Boynesa, Maupeou, Terreya w całej ich krasie Dodaje de Sartinesa i nazywa tę miksturę Octem czterech złodziejów!

— Ach, okrutna! Zamieni mnie pani w tygrysa.

— A teraz przejdźmy do piosenki. Pani de Grammont tak śpiewa:

Panie ministrze policji,

Czyż nie mam gładkiej skóry?

Oddaj mi tą przysługę I donieś o tym królowi.

— Pani! — krzyknął de Sartines wściekły.

— O, niech się pan. uspokoi — rzekła hrabina — wydru kowano tylko dziesięć tysięcy egzemplarzy. Ale najbardziej wart wysłuchania wodewil.

— A więc pani ma drukarnię?

— Dobre sobie! A czy pan de Choiseul jej nie ma?

— Niechże się strzeże ten pani drukarz!

— No, niech pan tylko spróbuje, zezwolenie wydane jest na moje nazwisko.

— To szkaradne! I król się śmieje z tych wszystkich bezceństw?

— Jeszcze jak! Sam podpowiada rymy, kiedy ich moim pismakom zabraknie.

— Och, pani wie, że jestem jej sługą, a obchodzi się ze mną w taki sposób!

— Wiem, że mnie pan zdradza. Księżna sprzyja Choiseulowi i chce mojej zguby.

— Zaskoczyła mnie, przysięgam.

— A więc pan się przyznaje? — Muszę.

— Dlaczego mnie pan nie ostrzegł? — Po to właśnie przyszedłem.

— Hm, nie wierzę.

— Słowo honoru! — rzekł minister i padając na kolana zawołał: — Proszę o przebaczenie!

— Dobrze pan robi.

— Błagam o zgodę, hrabino!

— Jak to, boi się pan kilku nędznych wierszy, pan — mężczyzna, minister?

— Ach, gdybym tylko tego bał się!

— A nie zastanowił się pan, jak bardzo może dokuczyć złośliwa piosenka minie, kobiecie.

— Pani jest królową.

— Tak, królową, której się nie prezentuje.

— Przysięgam pani, że nigdy ci nic złego nie zrobiłem.

— Tak, ale pozwalał pan na to innym.

— Staralem się żeby jak najmniej pani szkodzili.

— Chcę temu wierzyć.

— Proszę mi wierzyć.

— Chodzi teraz o to, aby przeciwdziałać złu i robić dobrze.

— Niech mi pani pomoże, a na pewno się uda.

— Czy pan jest za mną? Tak czy nie?

— Tak.

— Czy pan jest gotów poprzeć sprawę mojej prezentacji?

— To zależy i od pani.

— Niech pan się zastanowi, drukarnia moja jest w pogotowiu, pracuje we dnie i w nocy. Za dwadzieścia cztery godziny moi bazgracze będą głodni, a kiedy są głodni, kłają.

— Będę roztropny. Czego pani żąda?

— Żeby pan nie stawał w poprzek moich zamiarów.

— Ach, co do mnie, to przyrzekam.

— To dopiero słowa! — rzekła hrabina tupnąwszy nogą. — Wykrętne jak u Greków albo u Kartagińczyków.

— Hrabino!...

— Nie zgadzam się na to. Pan będzie udawał, że nic nie robi, a Choiseul będzie działał. Ja tego nie chcę, rozumie pan? Wszystko albo nic. Wydadź mi Choiseulów, obezwładnionych i zrujnowanych, albo ja ciebie obezwładnię i zrujnuję. I uprzedzam cię, piosenka nie będzie moją jedyną bronią.

— Nie groź mi, pani — rzekł de Sartines zamyślając się. — Prezentacja stała się sprawą tak zawiłą, że trudno to pani pojąć.

— Stała się... Właściwe słowo! Ponieważ wysunięto przeszkody.

— Niestety!

— Czy może je pan usunąć? — Potrzeba nam stu osób.

— Będziemy je mieć. — Milion...

— To należy do Terreya.

— Zgody króla... — Otrzymam ją.

— Nie udzieli jej.

— Wymuszę ją.

— Ale potem, kiedy pani to osiągnie, potrzeba jeszcze bę dzie matki chrzestnej.

— Znajdzie się.

— Na próżno. Knują spisek przeciwko pani.

— W Wersalu?

— Tak. Wszystkie damy odmówiły. Zrobiły to, żeby przypodobać się pani de Choiseul, pani de Grammont, małżonce delfina i stronnictwu skromności.

— Przede wszystkim stronnictwo skromności musi zmienić nazwę, skoro pani Grammont do niego należy.

— Daremnie się pani upiera, proszę mi wierzyć.

— Jestem bliska celu.

— Ach, to dlatego wysłała pani swoją siostrę do Verdun? — Dlatego. A pan już wie o tym — rzekła hrabina niezadowolona.

— Ba! Ja też mam swoją policję — odparł de Sartines śmiejąc się.

— I szpiegów.

— I szpiegów.

— U mnie?

— U pani.

— W moich stajniach czy kuchniach?

— W pani przedpokojach, w salonie, w buduarze, w sypialni, pod pani poduszką.

— A więc na dowód naszego przymierza niech pan wymieni tych szpiegów.

— Ach, nie chcę pokłócić pani z jej przyjaciółmi, hrabino.

— Czyli wojna?

— Wojna... łatwo to powiedzieć.

— Tak mówię, jak myślę. Precz! Nie chcę parna widzieć więcej.

— A gdybym wydał tajemnicę... stanu?

— Tajemnicę alkowy.

— To właśnie chciałem powiedzieć: kraj znajdzie się dzisiaj w alkowie.

— Chcę znać mojego szpiega.

— I co pani z nim zrobi?

— Wypędzę.

— A więc dom pani będzie pusty.

— Straszną rzecz mi pan powiedział.

— A przede wszystkim prawdziwą. Ach, mój Boże, nie byłoby sposobu rządzić bez tego, pani wie o tym dobrze będąc tak doskonałym politykiem.

Hrabina oparła łokieć o stół z laki.

— Ma pan słuszność — powiedziała. — Zostawmy to. A warunki porozumienia?

— Pani je dyktuje jako zwyciężona.

— Jestem wspaniałomyślna jak Semiramida. Czego pan. żąda?

— Nie wspomni pani nigdy królowi ó skargach w sprawie mąki.

— Załatwiane. Niech pan bierze wszystkie te skargi, które do mnie dotarły. Leżą w szkatułce.

— Przyjm, pani, w zamian notę parów królestwa w sprawie prezentacji.

— Tę notę, którą miałeś oddać Jego Królewskiej Mości?,

— Tak.

— Ale jak się pan wytłumaczy?

— Powiem, że ją oddałem. W ten sposób zyska się na czasie, z czego pani jako zręczny polityk na pewno skorzysta.

W tej chwili drzwi pokoju otworzyły się na rozcież i wszedł odźwierny wołając:

— Jego Królewska Mość!

Sprzymierzeńcy schowali pośpiesznie wymienione dokumenty i odwrócili się, aby powitać Ludwika XV.

XXIV. KRÓL LUDWIK XV

Ludwik wszedł z głową podniesioną, z wesołym spojrzeniem i uśmiechem na ustach.

Przez otwarte na rozcież drzwi widać było podwójny szpaler dworaków z pochylonymi głowami. Przyszli tu złożyć hołd dwóm osobistościom władającym Francją.

Ponieważ król nie dał nikomu znaku, aby mu towarzyszył, po zamknięciu drzwi znalazł się więc sam z hrabiną i panem de Sartines, nie licząc pokojówki i małego murzynka, na których nigdy nie zwracano uwagi.

— Dzień dobry, hrabino! — rzekł król całując panią Du Barry w rękę. — Chwała Bogu, świeżo wyglądamy dzisiejszego ranka! Dzień dobry Sartines! Czyżby się tutaj pracowało? Miły Boże, co papierków! Schowajcie to. Ach, co za śliczna fontanna!

Najjaśniejszy panie — powiedziała pani Dubarry — jest to rodzaj fontanny. Kiedy przekręcić z tyłu kurek, gwizdzą porcelanowe ptaszki i pływają szklane rybki, a potem otwierają się bramy pagody i wychodzą szeregiem mandaryni.

— To bardzo ładne, hrabino.

W tej chwili obok nich przeszedł mały Murzynek, w dziwacznym i fantastycznym ubiorze. Na głowie miał turban z piórami, kaftan ze złotogłowi osłaniał hebanowe ramiona. Spodnie Murzynka z białego atłasu sięgały kolan. Jaskrawy pas łączył spodnie z haftowaną kamizelką. Za pasem tkwił sztylet lśniący drogimi kamieniami.

— Ho, ho — zawołał król — jaki Zamora dzisiaj wspaniały!

Murzyn zatrzymał się przed lustrem z zadowoleniem.

— Najjaśniejszy panie, on ma prośbę do Waszej Królewskiej Mości.

— Pani — rzekł Ludwik XV uśmiechając się — Zamora jest bardzo dumny.

— Dlaczego, Najjaśniejszy Panie?

— Ponieważ udzieliłaś mu największej łaski, o jaką mógł prosić.

— Jakiej?

— Takiej samej jak mnie.

— Nie rozumiem, Najjaśniejszy Panie.

— Zrobiłaś go swoim niewolnikiem.

De Sartines pochylił głowę uśmiechając się i przygryzając wargi.

— Och, jesteś czarujący, Najjaśniejszy Panie — zawołała hrabina i dodała szepnąwszy królowi do ucha: — Uwielbiam cię.

Ludwik uśmiechnął się.

— Czego żądasz dla Murzynka? — zapytał.

— Nagrody za jego liczne i długoletnie zasługi.

— On ma dwanaście lat.

— Za liczne i długoletnie zasługi w przyszłości.

— Ha, ha!

— Naprawdę, Najjaśniejszy Panie. Zdaje mi się, że już dość długo wynagradza się za zasługi minione i że czas wynagradzać za zasługi przyszłe. Większa będzie pewność, że nam nie odplacą niewdzięcznością.

— To jest pomysł! — rzekł król. — Co o tym myślisz, panie de Sartines?

— Że wszelkie poświęcenie znajdzie swoją zapłatę. Dlatego popieram wniosek, Najjaśniejszy Panie.

— No więc czego wreszcie, hrabino, żądasz dla Zamory?

— Czy znasz, Najjaśniejszy Panie, mój pałac w Luciennes?

— Znam ze słyszenia.

— To twoja wina, Najjaśniejszy Panie. Sto razy zapraszałam, abyś tam wstąpił.

— Znasz etykietę, droga hrabino: z wyjątkiem podróży; król może korzystać z noclegu tylko w zamkach królewskich.

— Właśnie, ja też chciałam prosić o łaskę, aby podnieść Luciennes do godności zamku królewskiego i mianować Za morę jego gubernatorem.

— To byłoby parodią, hrabino.

— Przepadam za parodiami, Najjaśniejszy Panie.

— Będą krzyżeć inni gubernatorzy. — Niech krzyżują!

— Ale tym razem będą mieli rację.

— Tym lepiej. Tak często krzyżowali bez racji. Zamora, uklęknij i podziękuj Jego Królewskiej Mości.

— Za co? — zapytał Ludwik XV. Murzynek ukląkł.

— Za to, że nosił tren mojej sukni, co doprowadziło do wściekłości skromnisie.

— Doprawdy, jaki on szkaradny — rzekł Ludwik XV, roześmiewszy się głośno.

— Zamora, podnieś się — powiedziała hrabina — otrzymałaś nominację.

— Ależ, doprawdy, pani...

— Podejmuję się przygotować wszystkie dokumenty, to moja sprawa. A twoja, Najjaśniejszy Panie, abyś mógł bez ubliżenia swojej powadze przyjechać do Luciennes. Od dzisiejszego dnia, mój królu, masz o jeden zamek królewski więcej.

— Czy znasz jaki sposób odmówienia jej czegokolwiek, Sartines?

— Może jest jaki, ale dotąd go jeszcze nie wynaleziono.

— A jeżeli go wynajdą, Najjaśniejszy Panie, mogę ręczyć, że to pan de Sartines przyczyni się do tego.

— Jak to, pani? — zapytał minister policji z drzeniem.

— Wyobraź sobie, Najjaśniejszy Panie, że już trzy miesiące proszę pana de Sartines, o jedną rzecz i to proszę daremnie.

— A o co prosisz, hrabino? — zapytał król.

— Och, on wie dobrze!

— Ja, pani, przysięgam...

— Czy to należy do jego uprawnień? — spytał król.

— Do jego albo do jego następcy.

— Pani! — zawołał de Sartines. — Pani słowa budzą we mnie niepokój!

— Czego żądasz od niego?

— Aby mi odnalazł czarnoksiężnika. De Sartines odetchnął.

— Żeby go spalić? Och, jest bardzo gorąco, poczekamy do zimy — rzekł król.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, żeby mu darować złotą pałeczkę.

— Czy ten czarnoksiężnik przepowiedział ci nieszczęście, które się nie sprawdziło?

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, przepowiedział mi szczęście, które mnie spotkało.

— Opowiedz mi o tym, hrabino — rzekł Ludwik XV tonem człowieka, który nie jest pewny, czy się będzie bawić, czy nudzić, ale zdecydował się zaryzykować.

— Chętnie. Otóż pewnego razu... .

— To się zaczyna jak czarodziejska bajka.

— Bo też taką jest, Najjaśniejszy Panie.

— Tym lepiej. Przepadam za czarodziejami.

— Była więc niegdyś biedna dziewczyna, która nie miała ani paziów, ani powozu, ani Murzyna, ani papugi, ani małpy...

— Ani króla — wtrącił Ludwik XV.

— Och, Najjaśniejszy Panie.

— I cóż robiła ta dziewczyna?

— Wałęsała się.

— Jak to, wałęsała?

— Zwyczajnie, Najjaśniejszy Panie, po ulicach paryskich, pieszo jak zwykła śmiertelniczka. Mówiono, że była ładna, a ona lękała się, aby uroda nie naraziła jej na jakieś nieprzyjemności.

— A więc dziewczyna ta była Lukrecją? — zapytał król.

— Wasza Królewska Mość wie dobrze, że od roku... nie pamiętam którego, od założenia Rzymu już się ich nie spotyka,

— Och, mój Boże, hrabino, nie zostałaś przypadkiem uczoną?

— Nie, gdybym została uczoną, podałabym fałszywą datę.

— To prawda, hrabino, mów dalej.

— I tak wałęsała się i wałęsała, przebiegając Tuilleries, gdy nagle spostrzegła, że ktoś idzie za nią.

— O do diabła! — rzekł król. — I co, zatrzymała się?,

— Miły Boże, jakże złą masz opinię o kobietach, Najjaśniejszy Panie. Widać, że znałeś tylko margrabiny i...

— I księżniczki, nieprawdaż?

— Jestem zbyt uprzejma, abym śmiała zaprzeczyć Jego Królewskiej Mości... ale najbardziej napawała dziewczynę lękiem mgła, która z każdą chwilą stawała się gęstsza.

— Sartines, czy pan wie, skąd bierze się mgła? Minister policji zaskoczony znieścacka zadrżał.

— Dalibóg, nie wiem, Najjaśniejszy Panie.

— I ja także nie wiem — rzekł król. — Mów dalej, droga hrabino.

— Wzięła więc nogi za pas, przesadziła sztachety i już była na placu, który ma zaszczyt nosić imię Waszej Królewskiej Mości, gdy nieznajomy nagle stanął naprzeciwko niej. Krzyknęła.

— Czy był taki brzydki?

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, był to przystojny, młody człowiek lat około dwudziestu siedmiu. Miał śniadą cerę, duże oczy i dźwięczny głos.

— I twoja bohaterka zlekła się, hrabino?

— Nie bardzo. Jej położenie nie było jednak przyjemne. I gdyby nieznajomy miał złe zamiary, w takiej mgle nie można było spodziewać się pomocy. Dziewczyna więc złożony rękę powiedziała:

— Och, panie, błagam cię, nie rób mi nic złego. Nieznajomy potrząsnął głową z miłym uśmiechem i rzekł;

— Bóg mi świadkiem, że nie mam tego zamiaru.

— Czego więc pan chce?

— Otrzymać od ciebie obietnicę,

— Cóż mogę panu obiecać?

— Ze udzielisz mi pierwszej łaski, o którą będę cię prosić, kiedy...

— Kiedy co? — powtórzyła z ciekawością młoda dziewczyna.

— ...kiedy będziesz królową.

— I coż powiedziała dziewczyna? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie, myślała, że się do niczego nie zobowiązuje. Obiecała.

— A czarnoksiężnik? — Zniknął.

— I pan de Sartines odmawia odszukania czarnoksiężnika? Nie ma racji.

— Najjaśniejszy Panie, ja nie odmawiam, ja nie mogę.

— Panie ministrze, to są słowa, które nie powinny się znajdować w słowniku policji.

— Pani, jesteśmy na jego tropie.

— Ach, to znana śpiewka!

— Nie, to oczywista prawda, ale pani rozumie, że to bardzo niedostateczna wskazówka.

— Jak to? Młody, piękny, cera śniada, czarne włosy, śliczne oczy, dźwięczny głos...

— Do licha, jak ty o nim mówisz, hrabino! Sartines, zabraniam ci szukać tego jegomościa!

— Nie masz racji, Najjaśniejszy Panie, bo chcę się tylko od niego czegoś dowiedzieć.

— Czy o tobie więc była mowa, hrabino?

— Oczywiście.

— O co chcesz go jeszcze pytać? Przecież jego przepowie dnia spełniła się.

— Tak uważasz, Najjaśniejszy Panie?

— Naturalnie. Jesteś królową. — Prawie.

— Nie ma on zatem nic więcej do powiedzenia.

— A jednak ma. Ma mi powiedzieć, kiedy ta królowa będzie przedstawiona na dworze. To nie wszystko być królową w nocy, Najjaśniejszy Panie. Trzeba także być trochę królową we dnie.

— To nie ma nic wspólnego z czarnoksiężnikiem, rzekł Ludwik XV wydymając wargi jak człowiek niezadowolony z niepożądanego zwrotu w rozmowie.

— A od kogo to zależy?

— Od ciebie, hrabino.

— Ode mnie?

— Tak. Znajdź matkę chrzestną.

— Pomiędzy dworskimi skromniami? Wasza Królewska Mość wiesz, że to niepodobieństwo. Wszystkie one są zaprzędane Choiseulom, Praslinom.

— Sądziłem, że tak jak ułożyliśmy się, nie będziemy o nich, mówili.

— Ja tego nie przyrzekałam, Najjaśniejszy Panie.

— Dobrze więc, proszę cię o jedną rzecz.

— O co?

— Pozostawić ich tam, gdzie są, a samej pozostać tam, gdzie jesteś. Wierz mi, hrabino, że zajmujesz najlepsze miejsce.

— Biedne sprawy zagraniczne, biedna marynarka!

— Na litość boską, hrabino! Nie zajmujmy się polityką, kiedy jesteśmy razem.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie, ale nie możesz zabronić, abym się nią sama zajmowała,

— O, ile tylko zapragniesz!

Hrabina wyjęła z koszyka dwie pomarańcze i zaczęła je podrzucać do góry.

— Skacz Praslin, skacz Choiseul! — mówiła. Skacz Choiseul, skacz Praslin!

— Co robisz, hrabino?!

— Korzystam z pozwolenia Waszej Królewskiej Mości. Wyrzucam ministerstwa.

W tej chwili weszła Dora i szepnęła coś do ucha swojej pani.

— Co się stało? — zapytał król.

— Wróciła Chon. Prosi, abyś jej Wasza Królewska Mość pozwolił złożyć uszanowanie.

— Niech wejdzie. Od czterech lub pięciu dni czułem, że mi czegoś brakowało i nie wiedziałem czego, a to właśnie jej.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie — rzekła Chon wchodząc.

Następnie pochyliła się do ucha hrabiny i szepnęła:

— Załatwione.

Pani Dubarry nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku radości.

— Cóż tam takiego? — zapytał król.

— Nic, Najjaśniejszy Panie. Szczęśliwa jestem, że ją oglądam znowu, to wszystko.

— I ja także. Dzień dobry, mała Chon.

— Czy Wasza Królewska Mość pozwoli, abym powiedziała kilka słów mojej siostrze? — zapytała Chon.

— Powiedz, moje dziecko. Tymczasem ja zapytam Sartinesa, skąd przybywasz.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł de Sartines, który chciał uniknąć pytania — czy Wasza Królewska Mość raczyłaby poświęcić mi jedną chwilę?

— W jakiej sprawie?

— W sprawach największej wagi, Najjaśniejszy Panie.

— Och, nie mam czasu — rzekł król ziewnąwszy.

— Najjaśniejszy Panie, dwa słowa tylko!

— O czym?

— O jasnowidzach, iluminatach, cudotwórcach.

— Ach, o szarlatanach. Wydaj im patenty na kuglarzy, a przestaną być groźni.

— Najjaśniejszy Panie, ośmielam się zwrócić uwagę, że położenie jest daleko poważniejsze, niż się wydaje. Co chwila powstają nowe łoże masońskie. Nie jest to już stowarzyszenie, ale sekta, sekta, do której przyłączają się wszyscy wrogowie monarchii: marzyciele, encyklopedyści, filozofowie. Będą przyjmować pana Woltera z wielkimi ceremoniami.

— On przecież umiera.

— O nie, Najjaśniejszy Panie, nie jest on taki naiwny!

— Spowiadał się.

— To podstęp.

— W habicie kapucyna.

— To bezbożność, Najjaśniejszy Panie. Wszyscy oni burzą się, piszą, nawołują, korespondują, intrygują, grożą. Kilka słów nieostrożnych braci wskazuje, że wyczekują oni swego przywódcy.

— No, Sartines! Kiedy ten przywódca przyjedzie, złapiesz go, posadzisz w Bastylii i rzecz skończona.

— Najjaśniejszy Panie, ci ludzie mają wiele sposobów działania.

— Czy więcej niż ty, minister policji wielkiego królestwa?

— Najjaśniejszy Panie, wyjednano u Waszej Królewskiej Mości wypędzenie jezuitów, należało raczej wypędzić filozofów.

— Stale się boisz ostrych piór!

— Niebezpieczne to pióra, zwłaszcza kiedy je ostrzy Damiems.

Ludwik XV zbladł.

— Ci filozofowie, którymi pogardzasz Najjaśniejszy Panie, zgubią kiedyś monarchię.

— Ile im na to potrzeba czasu?

— Minister spojrział na króla ze zdziwieniem.

— Skądże mogę wiedzieć, Najjaśniejszy Panie? Może piętnaście lat, dwadzieścia, może trzydzieści...

— W takim razie, mój przyjacielu — rzekł Ludwik. XV

— za piętnaście lat mnie już nie będzie. Powiedz o tym mojemu następcy.

To mówiąc król odwrócił się w stronę pani Dubarry, która zdawała się czekać na tę chwilę.

— O mój Boże! — zawołała z głębokim westchnieniem.

— Co ty mówisz, Chon!

— Właśnie, co ona mówi? — wtrącił król. — Obie macie miny jak na pogrzebie.

— Ach, Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina — jest powód.

— Mówcie, co się stało?

— Biedny brat! Biedny Jan! Trzeba będzie mu ją odjąć!

— Co odjąć? — zapytał król.

— Rękę, Najjaśniejszy Panie.

— Odjąć rękę wicehrabiemu?! Dlaczego?

— Jest ciężko ranny w rękę.

— W czasie burdy, w łazienkach, w domu gry?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, na drodze i to na głównej drodze.

— Ale jak się to stało?

— Tak się stało, że chciano go zamordować.

— Biedny wicehrabia! — zawołał Ludwik XV, który bardzo rzadko współczuł ludziom, ale w zadziwiający sposób umiał okazywać, że ich żałuje. — Zamordować! Czy to możliwe? Co ty na to, Sartines?

De Sartines z pozoru mniej niespokojny niż król, ale w rzeczywistości bardziej od niego przejęty, zbliżył się do sióstr i powiedział:

— Nie do wiary, żeby się takie nieszczęście przytrafiło.

— Tak się właśnie zdarzyło — rzekła Chon ze łzami.

— Zamordowany!... W jaki sposób?

— W zasadzce.

— W zasadzce!... Ach tak! — zawołał król. — W takim razie, Sartines, ta sprawa do ciebie należy.

— Opowiedz nam to, pani — rzekł de Sartines. — Ale proszę cię, abyś w słusznym gniewie nie przesadzała. Będąc surowi będziemy bardziej sprawiedliwi. Rzeczy widziane z bliska i na trzeźwo tracą często swoją wagę.

— Och, patrzyłam na to własnymi oczami! — zawołała Chon.

— I cóżeś zobaczyła?

— Widziałam, jak jakiś człowiek rzucił się na mojego brata, zmusił go do pojedynku i ciężko zranił.

— Czy ten człowiek był sam jeden? — zapytał de Sartines.

— Nie, było z nim sześciu innych.

— Biedny; wicehrabia! — krzyknął król ciągle patrząc na hrabinę, aby ocenić rzeczywisty stopień jej żalu. — Biedny wicehrabia! Zmuszony do pojedynku! — I spostrzegłszy, że hrabina bynajmniej nie żartuje, dodał ze współczuciem: — I raniony!

— Ale co było powodem kłótni? — zapytał minister policji.

— Drobiazg: konie pocztowe, których nie chciano dać wicehrabiemu. Pilno mu było odwieźć mnie do siostry na dziś rano, tak jak jej przyrzekłam.

— Ależ to woła o pomstę, nieprawdaż, Sartines?! — oburzył się król.

— Oczywiście — odpowiedział minister policji — muszę zasięgnąć informacji. Może mi pani powie, jak się nazywa napastnik, jakiego jest stanu i czym się zajmuje?

— Jest to oficer pułku żandarmerii delfina, jak mi się zdaje. Nazywa się... Baverney, Faverney... Taverney... Tak, Taverney!

— Pani, jutro będzie on nocować w Bastylji — oświadczył de Sartines

— Och, nie — rzekła hrabina, która zachowywała dotąd dyplomatyczne milczenie.

— Jak to, nie?! — zapytał król. — Dlaczegoż by, proszę cię, nie uwięzić hultaja? Przecież wiesz, że nie znoszę wojskowych.

— A ja, Najjaśniejszy Panie, twierdzę — powiedziała hrabina tonem głębokiego przekonania — że nic nie zrobią człowiekowi, który zamordował Dubarry'ego.

— Ależ, hrabino — rzekł Ludwik XV — to bardzo dziwne, co mówisz. Wytlumacz mi, proszę cię.

— O, to nie trudno. Ktoś go będzie bronić.

— Kto taki?

— Ten, z czyjej namowy on działał,

— Ten ktoś będzie go bronić przeciwko nam? Och, to mocno powiedziane!

— Pani... — wyjąkał de Sartines, który przewidywał zbliżający się cios i na próżno starał się go odparować.

— Przeciwno wam, tak, przeciwno wam! I nie ma go tutaj. Och, królu, czy jesteś władcą?

Król odczuł cios, przewidziany przez ministra policji, i opancerzył się.

— Ach, mówimy o tym, jakby tu chodziło o rację stanu

— rzekł — i dla marnego pojedynku szukamy motywów wielkiej doniosłości.

— No proszę — powiedziała hrabina — teraz, kiedy wiesz, czego to dotyczy, już mnie opuszczasz i morderstwo nazywasz nagle pojedynkiem.

— Ależ, hrabino! — zaprotestował niepewnie Ludwik XV 1 przekręcił kurek chińskiej fontanny wprawiając w ruch mechanizm: ptaki zaczęły śpiewać, rybki pływać, mandaryni chodzić.

— Nie wiesz, królu, czyja to sprężyna? — zapytała hrabina targając lekko ucho leżącego u jej stóp Murzynka.

— Naprawdę, nie — odparł Ludwik.

— Nie domyślasz się, Najjaśniejszy Panie? Przysięgam, że nie. A ty, hrabino?

— A ja wiem i powiem, chociaż jestem pewna, że nie powiem nic nowego.

— Hrabino! — rzekł król próbując przybrać godną minę,

— Czy wiesz, że zadajesz kłam królowi?

— Najjaśniejszy Panie, może zanadto jestem porywcza, ale jeżeli myślisz, że pozwolę spokojnie panu Choiseulowi zabijać mojego brata...

— No tak, jest i pan de Choiseul — rzekł takim tonem, jak gdyby nie spodziewał się tego nazwiska, chociaż już od dziesięciu minut lękał się że usłyszy je w rozmowie.

— Najjaśniejszy Panie, ty uporczywie nie chcesz wie dzieć, że on jest śmiertelnym moim wrogiem, ale ja widzę to jasno, bo on wcale nie myśli ukrywać swojej nienawiści do mnie.

— Od nienawiści do morderstwa droga daleka, hrabino.

— Dla Choiseula to niewielka różnica.

— I znów powracamy, droga przyjaciółko, do racji stanu.

— Mój Boże! Popatrz, panie de Sartines, czy to nie jest godne potępienia?

— Ależ nie, jeżeli pani sądzi...

— Sądzę, że minie pan nie broni, a nawet pewna jestem, że mnie pan pozostawia samą — przerwała hrabina gwałtownie.

— Och, nie gniewaj się, hrabino — rzekł Ludwik. — Nie będziesz sama, znajdą się tacy, którzy będą cię bronić i to tak dzielnie, że drogo to będzie kosztowało prześladowcę biednego Jana.

— Otóż to: skruszy się tylko narzędzie, ale uściśnie rękę. — Czy sprawiedliwie zabrać się do tego, który zadał cios, do tego pana Taverney?

— Oczywiście sprawiedliwie, ale tylko sprawiedliwie, bo to, co robisz, królu, dla mnie,, zrobiłbyś dla pierwszego lepszego kupca z ulicy świętego Honoriusza, którego obić żołnierz w teatrze. Uprzedzam, ja nie życzę sobie, żeby się ze mną obchodzono jak z każdym. Jeżeli nie więcej czynisz dla tych, których kochasz, niż dla obojętnych, to wolę odosobnienie obojętnych. Przynajmniej tnie mają wrogów, którzy by ich zabijali.

— Och, hrabino, hrabino — rzekł król ze smutkiem — wstałem dziś taki wesoły, taki szczęśliwy, taki zadowolony, a ty mi psujesz przyjemny poranek.

— Rzeczywiście, śliczny jest ten poranek dla mnie, zwłaszcza kiedy się dowiedziałam, że mi rodzinę mordują!

Pomimo obawy, jaką w nim budziła przybierająca na gwałtowności scena, król nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, usłyszawszy słowo: mordują.

Hrabina podniosła się i zawołała ze wściekłością:

— Ach, więc to tak mnie żalujesz?!

— No, no, nie gniewaj się.

— Ale ja chcę się gniewać!

— Źle robisz. Jesteś zachwycająca, kiedy się uśmiechasz, a gniew cię szpeci.

— Cóż mi po piękności, skoro ta piękność nie broni mnie przed intrygami?

— No, uspokój się, hrabino.

— Nie, wybieraj albo mnie, albo swojego Choiseula.

— Moja ślicznotko, przecież tu nie można wybierać. Oboje jesteście mi potrzebna.

— A więc ja odchodzę.

— Ty, hrabino?

— Tak, ustępuję moim nieprzyjaciołom. Och, umrę ze zgrzyoty, ale przynajmniej pan de Choiseul będzie zadowolony i to was pocieszy.

— Ależ przysięgam, hrabino, że on ci bynajmniej źle nie życzy, a nawet sprzyja ci. Przy tym wszystkim jest to człowiek dystyngowany — dodał król starając się, aby de Sartines usłyszał dobrze to ostatnie słowo.

— Dystyngowany! Doprowadzasz mnie do ostateczności, Najjaśniejszy Panie. Dystyngowany człowiek, który każe mordować ludzi!

— Och, jeszcze nie wiemy — rzekł król.

— A przy tym — ośmielił się zwrócić uwagę minister policji — zwada między ludźmi, którzy noszą szpady, jest tak naturalna!

— Ach, więc i ty także, panie de Sartines?

Minister policji zrozumiał znaczenie tego „tu quoque” i ustąpił przed gniewem hrabiny.

Nastąpiła chwila głuchego i groźnego milczenia.

— Widzisz, Chan — rzekł król skonsternowany — to twoja robota.

Chon spuściła oczy z udanym smutkiem.

— Wybacz, królu — powiedziała — jeżeli boleść siostry wzięła górę nad posłuszeństwem poddanej.

— Niezła sztuczka — mruknął pod nosem król. — No, hrabino, nie gniewaj się.

— O, nie, Najjaśniejszy Panie, ja się nie gniewam. Ale... wyjeżdżam do Luciennes, a z Luciennes do Boulogne.

— Nad morzę?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, opuszczam kraj, w którym król boi się ministra.

— Pani! — obraził się Ludwik XV.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, aby nie uchybić twojej godności, pozwól mi odejść.

Hrabina wstała, spoglądając z ukosa, jakie to wywoła wrażenie.

Ludwik XV westchnął znużony, jakby chciał powiedzieć: jakże się tu okropnie nudzę!

Chon odgadła sens tego westchnienia i zrozumiała, że byłoby niebezpiecznie dla siostry przeciągać dalej sprzeczkę.

Przytrzymała więc siostrę i zwracając się do króla rzekła:

— Najjaśniejszy Panie, miłość, jaką moja siostra darzy biednego wicehrabiego, poniosła ją za daleko. Ale to ja popełniłam błąd i do mnie należy go naprawić... Staję jako najpokorniejsza poddana Waszej Królewskiej Mości i proszę o sprawiedliwość dla mojego brata. Nikogo nie oskarżam, mądrość króla potrafi wszystko rozstrzygnąć.

— Ach, mój Boże, przecież ja właśnie tego chcę, ale niech sprawiedliwość będzie sprawiedliwa. Jeżeli człowiek nie popełnił zbrodni, nie wolno mu tej zbrodni zarzucać, jeżeli ją popełnił, trzeba go ukarać. .

Powiedziawszy to., Ludwik XV spojrział na hrabinę w nadziei, że odnajdzie w jej oczach ślad przyjemnego poranka, po którym się tak wiele spodziewał, a który się tak żałośnie kończył.

Hrabina była na tyle dobra, że ulitowała się nad wiecznie znudzonym królem, który tylko w jej towarzystwie zapominał o smutkach i nudzie.

— A czy ja żądam czego innego? — zapytała z zachwycającą rezygnacją. — Ale nie należy odrzucać podejrzeń, kiedy je wyjawiam.

— Podejrzienia twoje są dla mnie święte, hrabino! — zawołał król. — A niech się tylko zamienią w pewność, zobaczysz... Ale znalazłem dobry sposób...

— Jaki Najjaśniejszy Panie?

— Wezwać tutaj pana de Choiseul.

— Ach, Wasza Królewska Mość wie dobrze, że on tutaj nigdy nie przychodzi. Gardzi apartamentami przyjaciółki króla. Jego siostra jest inna: niczego by bardziej nie pragnęła.

Król roześmiał się.

— Pan de Choiseul naśladuje delfina — mówiła dalej ośmielona hrabina. — Nie chce się kompromitować.

— Delfin jest religiantem, hrabino.

— A pan de Choiseul świętoszkiem, Najjaśniejszy Panie.

— Mówię ci, droga przyjaciółko, że będziesz miała przyjemność widzieć go tutaj, bo ja go zawołam. Musi tu przyjść z urzędu i wytłumaczyć się w obecności Chon, która wszystko widziała. Dokonamy konfrontacji, jak to mówią w trybunale, nieprawdaż Sartines! Niech mi poszukają pana de Choiseul.

— A mnie niech przyniosą moją małpę, Doro. Moja małpa, moja małpa! — wołała hrabina.

Na jej wołanie, wypowiedziane w momencie, kiedy służący wychodził wezwać pana de Choiseul, z przedpokoju dobiegł jakiś ochryply, sepleniący głos:

— Małpa pani hrabiny to pewno ja. Zaraz się stawię, oto jestem.

I do pokoju wszedł małego wzrostu grubasek, ubrany z wyszukaną starannością.

— Książę de Tresmes! — zawołała zniecierpliwiona hrabina. — Ależ ja nie ciebie wzywałam, mości książę.

— Wzywała pani swoją małpę — rzekł książę kłaniając się królowi, pani Dubarry i panu de Sartines. — A ponieważ nie widziałem wśród dworzan brzydszej małpy ode mnie, stawiłem się więc.

I książę roześmiał się pokazując tak długie zęby, że hrabina również nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Czy mogę pozostać? — zapytał książę jakby to była łaska, o którą zabiegał całe życie.

— Proś króla, mości książę, on tu jest panem. Książę zwrócił się do króla z błagalną miną.

— Zostań, książę, zostań — rzekł król z zadowoleniem. W tym momencie służący otworzył drzwi.

— Czy jest już pan de Choiseul? — zapytał król lekko zachmurzony.

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Jego Wysokość Delfin pragnie mówić z Jego Królewską Mością.

Hrabina podskoczyła z radości spodziewając się, że delfin ją odwiedzi. Ale przewidująca Chon zmarszczyła brwi.

— Dobrze, gdzie Jego Wysokość Delfin? — zapytał król zniecierpliwiony.

— U Waszej Królewskiej Mości. Jego Wysokość Delfin będzie czekać, aż Jego Królewska Mość wróci.

— Widocznie sądzono mi, abym ani na chwilę nie miał spokoju — mruknął król, ale uprzytomniwszy sobie, że spotkanie z delfinem odwlecze przynajmniej na chwilę scenę z Choiseulem zmienił zdanie.

— Idę — rzekł. — Żegnam cię, hrabino. Widzisz jaki jestem nieszczęśliwy, jak mnie szarpia na wszystkie strony.

— Wasza Królewska Mość odchodzi w chwili, kiedy pan de Choiseul ma przybyć! — zawołała hrabina.

— No cóż, największym niewolnikiem jest król. Ach, gdyby panowie filozofowie wiedzieli, co to znaczy być królem, a nade wszystko królem Francji.

— Ależ Najjaśniejszy Panie, zostań!

— Ach, nie mogę pozwolić, aby delfin czekał. I tak już mówią, że kocham tylko córki.

— Ale co ja powiem panu de Choiseul?

— Powiesz, aby przyszedł do mnie, hrabino.

I aby przeciąć dalszą rozmowę, król pocałował w rękę hrabinę drżącą z gniewu i oddalił się szybko, jak zwykle, gdy lękał się utracić owoce bitwy, wygranej dzięki zwłoce i chytrności.

— I znowu nam się wymknął! — krzyknęła hrabina, klasnąwszy ze złością rękami.

Ale król już tego nie słyszał, drzwi zamknęły się za nim. Szedł przez przedpokój mówiąc:

— Idźcie, panowie, idźcie. Hrabina was przyjmie, tylko znajdziecie ją bardzo smutną z powodu przygody, jaka spotkała hrabiego, Jana.

Dworzanie spojrzeli na siebie zdziwieni. Nie wiedzieli, jaka przygoda mogła spotkać wicehrabiego. Wielu przypuszczało, że umarł.

Natychmiast przystosowali się do okoliczności. Najweselsi stali się najsmutniejszymi i tak szli powitać panią Dubarry.

XXV. SALA ZEGAROWA

W obszernej sali pałacu wersalskiego, zwanej Salą Zegarową, przechadzał się młodzieniec lat około siedemnastu, o cerze różowej, łagodnych oczach, z rękami opuszczonymi, pochyloną głową.

Na jego piersiach jaśniała brylantowa gwiazda, której blask podkreślał fiołkowy frak. Błękitna wstęga z zawieszonym na niej krzyżem opadała mu na biodro.

Profil jego twarzy, surowy i pełen dobroci zarazem, majestatyczny i uprzejmy, był charakterystyczny dla Burbonów głównej linii. W młodzieńcu przejawiały się cechy tej linii w sposób najbardziej wierny, choć jednocześnie przesadny. Porównując rysy jego twarzy z wizerunkami jego przodków, można było przypuszczać, że nie przekaze ich swojemu potomkowi bez skażenia pierwotnego typu. Szlachetne piękno pierwowzoru którego był ostatnim odbiciem, miało się zmienić w karykaturę.

Istotnie Ludwik August, książę de Berry, delfin Francji, późniejszy król Ludwik XVI, miał nos burboński, bardziej orli i dłuższy niż jego przodkowie, czoło wąskie było bardziej niskie niż u Ludwika XV, a podwójny podbródek jeszcze wydatniejszy niż u jego dziada, chociaż delfin był wówczas chudy.

Ponadto chód jego był powolny i niezdecydowany. Mimo kształtności figury ruch jego ramion i nóg raził brakiem swobody. Tylko ręce, a przede wszystkim palce odznaczały się giętkością i siłą, i one to określały jego charakter, jak u innych objawia się to w wyrazie twarzy.

Delfin przechadzał się w milczeniu po Sali Zegarowej, tej samej, w której przed ośmiu laty, Ludwik XV wręczył pani de Pompadour uchwałę Zgromadzenia o wypędzeniu jezuitów z królestwa.

Oczekiwanie i myśli, którymi był zaprzątnięty, znużyły go w końcu Zaczął więc przyglądać się zegarom, zdobiącym salę. Podobnie jak Karola V bawiły go różnice, jakie wykazują nawet najregularniej chodzące zegary, Objawiała się w tym dziwna, ale wyraźna niedoskonałość rzeczy materialnych, uregulowanych i będących lub nie będących dziełem człowieka.

Zatrzymał się przed wielkim zegarem w głębi sali. Zegar ten dzięki skomplikowanemu mechanizmowi wskazywał dni, miesiące i lata, zmiany księżyca, obroty planet, wszystko co może

obchodzić inną, bardziej jeszcze dziwną machinę, którą nazywamy człowiekiem, w jego rozwoju od urodzenia aż do śmierci.

Delfin przypatrywał się z zainteresowaniem temu zegarowi, który wzbudzał w nim zawsze podziw. Przypatrywał się dokładnie kółkom mechanicznym, których ostre zęby, delikatne jak igły, zaczepiały o jeszcze delikatniejsze sprężyny. Oglądał zegar od tyłu i z przodu, śledził szybki bieg wskazówki, prześlizgującej się po sekundach, (podobnej do wodnych muszek, które mkną po tafli sadzawek na długich nóżkach nie marszcząc nawet gładkiej powierzchni).

Od tego przyglądania się do wspomnień było już bardzo blisko. Delfin uświadomił sobie, że czeka dość długo, chociaż niemało upłynęło czasu, zanim ośmielił się zawiadomić króla, że czeka.

Nagle wskazówka, w którą młody królewicz miał utkwiony wzrok, zatrzymała się. Mosiężne koła przestały się kręcić, stalowe osie znieruchomiały w rubinowych otworach i machina zastygła. Zegar umarł.

Na ten widok zapomniał po co tu przyszedł i jak dawno czeka. Zapomniał, że czasu nie odmierza dźwiczące wahadło ani nie opóźnia wstrzymany ruch metalu, ale wyznacza go ręka Wszchemmogącego na wiekiustym zegarze, który istniał przed stworzeniem świata i który je przetrwa.

Pochłonięty tym wszystkim, delfin otworzył kryształowe drzwi pagody i wsunął głowę do wnętrza zegara, aby się bliżej mu przyjrzeć.

Ale przeszkodziło mu w tym wielkie wahadło. Odczepił je więc, wsuwając delikatnie przez mosiężny otwór zręczne palce.

Mimo że teraz mógł rozejrzeć się dokładnie, przyczyna bezwładu zegara pozostawała nadal niewidzialna dla jego oczu.

Nasunęło mu się tedy przypuszczenie, że zegarmistrz zamkowy prawdopodobnie zapomniał nakręcić zegar i to było powodem, że zegar stanął. Wziął więc klucz wiszący u podstawy i zaczął nakręcać zegar z wprawą człowieka znającego się na rzeczy. Ale wnet się przekonał, kiedy napotkał opór obróciwszy klucz zaledwie trzy razy, że to inna przyczyna unieruchomiła zegar, skoro napięta sprężyna nie mogła działać.

Delfin wydobyl z kieszeni stalowy nożyk w szyldkretowej oprawie i końcem nożyka popchnął jedno z kólek. Koła poru szyły się na mgnienie, po czym stanęły.

Uszkodzenie zegara wydawało się poważne.

Ludwik odśrubował więc kilka części, a śrubki troskliwie położył na stoliku.

Potem pochłonięty coraz bardziej tą pracą, dalej rozbierał skomplikowaną maszynę i dotarł do najbardziej ukrytych jej szczegółów.

Nagle wydał okrzyk radości: odkrył bowiem, że śrubka przytrzymująca sprężynę rozluźniła się i to spowodowało zatrzymanie się zegara.

Zaczął więc przykręcać śrubkę, po czym przytrzymując koło lewą ręką, ze szczyrykiem w prawej, wsunął głowę w otwór.

Kiedy tak był pogrążony w ulubionym zajęciu, otworzyły się drzwi i rozległ się okrzyk:

— Król idzie!

Ale do ucha delfina nie docierało nic poza melodyjnym kołataniem zegara, zbudzonym pod dotknięciem jego ręki, jak bicie serca przywróconego życiu za sprawą wytrawnego lekarza.

Król wszedłszy rozejrzał się na wszystkie strony, ale nie dostrzegł delfina, zasłoniętego zegarem, z głową schowaną w otworze. Widoczne były tylko nogi, szeroko rozstawione.

Kiedy go wreszcie dojrzał, zbliżył się z uśmiechem, uderzył wnuka po ramieniu i zapytał:

— Co tu robisz, u licha?

Ludwik wydostał się szybko, ale ostrożnie, aby nie uszkodzić pięknego sprzętu, który naprawiał.

— Zabawiałem się, Najjaśniejszy Panie, czekając na twe przybycie — odparł młodzieniec rumieniąc się ze wstydu, że został zaskoczony na takim zajęciu.

— Hm, psując mój zegar. Piękna zabawa!

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, naprawiałem go. Stanęło główne koło, bo odkręciła się śrubka, którą Wasza Królewska Mość widzi. Przymocowałem ją i zegar znowu idzie.

— Wzrok stracisz przy tym zegarze. Nie wścibiałbym tam głowy za żadne skarby świata.

— Och, nie, Najjaśniejszy Panie! Znam się na tym: umiem sam rozbierać, składać i czyścić ten śliczny zegarek, który mi Wasza Królewska Mość podarowałaś, gdy skończyłem czternaście lat.

— No dobrze. Ale dajmy spokój na chwilę mechanice. Chciałeś ze mną mówić?

— Ja, Najjaśniejszy Panie? — zapytał młodzieniec czerwieniąc się.

— No tak. Przecież kazałeś oznajmić, że czekasz na minie.

— To prawda, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział delfin spuszcżając oczy.

— Czego więc chcesz ode mnie? Mów. Jeżeli nie masz mi nic do powiedzenia, jadę do Marly.

W ten sposób Ludwik XV chciał skorzystać z okazji i oddalić się, jak to było w jego zwyczaju.

Delfin położył jednak scyzoryk i części mechanizmu zegara na krześle, co oznaczało, że ma coś ważnego do powiedzenia, skoro przerywał tak zajmujące zajęcie. ..

— Potrzebujesz może pieniędzy?, — zapytał żywo król. — Jeżeli tak, przyślę ci.

I Ludwik XV postąpił krok ku drzwiom.

— O nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział młody Ludwik. — Mam jeszcze tysiąc talarów z mojej miesięcznej pensji.

— Jaki oszczędny! — wykrzyknął król, — Jak to go dobrze wychował pan de Lavauguyon! Doprawdy, wydaje się, że wychodował w nim te wszystkie cnoty, których mi brak.

Młodzieniec za wszelką cenę starał się przewyciężyć onieśmienie.

— Najjaśniejszy Panie — spytał — czy Maria Antonina jest bardzo jeszcze daleko?

— Powinieneś wiedzieć tak samo dobrze jak ja.

— Ja? — bąknął delfin z zakłopotaniem.

— Oczywiście,, czytano przecież wczoraj biuletyn podróży. W ubiegły poniedziałek miała być w Nancy. A teraz chyba czterdzieści pięć minut od Paryża.

— Czy Wasza Królewska Mość nie uważa — pytał dalej delfin — że ona jedzie bardzo powoli?

— Ależ nie — odparł Ludwik XV — według mnie, jak na kobietę, jedzie bardzo szybko, zwłaszcza że po drodze bierze udział w uroczystych powitaniach. Robi przynajmniej dziesięć mil przeciętnie w ciągu dwu dni.

— Najjaśniejszy Panie, to bardzo niewiele — zauważył lękliwie delfin.

Niecierpliwość wnuka wprawiła Ludwika XV w zdziwienie.

— Tak ci pilno? — zapytał z żartobliwym uśmiechem. Delfin splonął rumieńcem.

— Zapewniam cię, Najjaśniejszy Panie — wyjąkał — że nie to jest przyczyną.

— Tym gorzej, bo ja chciałbym właśnie, żeby to było przyczyną. Co, u licha, masz już szesnaście lat, a księżniczka jak mówią, ładna, wolno ci więc być niecierpliwym. No, bądź spokojny, przyjedzie.

— Najjaśniejszy Panie, czy nie można by skrócić tych ceremonii po drodze?

— Niemożliwe. Już i tak przejechała nie zatrzymując się dwa czy trzy miasta, w. których powinna się zatrzymać.

— A więc to się będzie ciągnąć bez końca. Poza tym ja myślę, Najjaśniejszy Panie...

— No, co myślisz, mów!

— Że podróż jest źle przygotowana.

— Ależ skąd! Wysłałem trzydzieści tysięcy koni na drogę, trzydzieści karet, sześćdziesiąt furgonów i już nie pamiętam, ile wozów. Gdyby te wozy, furgony, karety i konie ustawić w jedną linię, to ciągnęłaby się ona z Paryża aż do Strasburga. Jakże więc możesz mówić, że podróż jest źle przygotowana?

— A jednak, Najjaśniejszy Panie, jestem prawie przekonany o tym, co mówię. Może tylko użyłem niewłaściwego słowa. Może należało raczej powiedzieć, że podróż jest źle zorganizowana...

Król podniósł głowę . i utkwiał wzrok w delfina. Domyślał gzę, że wnuk ma coś więcej do powiedzenia.

— Trzydzieści tysięcy koni — powtórzył — trzydzieści karet, sześćdziesiąt furgonów, dwa regimenty przydzielone... Czy widziałeś kiedy, mości uczony, żeby małżonka delfina wjeżdżała do Francji z podobnym orszakiem?

— Przynaję, Najjaśniejszy Panie, że wszystko to wygląda po królewsku, ale czy Wasza Królewska Mość rozkazała, aby to wszystko było wyłącznie przeznaczone dla małżonki delfina i jej orszaku?

Król znowu spojrział na wnuka, tym razem podejrzliwie. Przebiegło mu przez myśl, że to, co mówi delfin, kojarzy się z nieprzyjemnymi wrażeniami, jakie wywołała scena u pani Dubarry.

— Cóż to za pytanie? — rzekł. — Oczywiście, że to wszy sko jest dla małżonki delfina i dlatego zjawi się tu niebawem. Ale dlaczego tak patrzysz na mnie? — dodał tonem, który wydał się delfinowi groźnym. — Czy przypadkiem nie zamierzasz się bawić studiowaniem rysów mojej twarzy, jak sprężynami tych twoich mechanizmów?

Delfin otworzył usta, ale nie powiedział nic.

— Jak mi się zdaje, nie masz już nic do powiedzenia — rzekł król z żywością. — Jesteś chyba zadowolony? Twoja małżonka przyjeżdża, podróż odbywa się bez przeszkód, jesteś bogaty jak Krezus i w ogóle wszystko jest w porządku. Teraz więc, kiedy cię już nic nie frasuje, zrób mi przyjemność i nakręć ten zegar.

Delfin nie poruszył się z miejsca.

— Czy wiesz — mówił dalej król ze śmiechem — że mam ochotę powierzyć ci urząd pierwszego zegarmistrza zamkowego, oczywiście płatny?

Delfin opuścił głowę i onieśmielony spojrzeniem króla wziął z krzesła nożyk.

Tymczasem Ludwik XV szedł powoli ku drzwiom. — Cóż on, u licha, miał na myśli mówiąc o źle zorganizowanej podróży? — myślał patrząc ciągle na delfina. — No, zdaje się, że znowu uniknąłem sceny. On przecież jest wyraźnie niezadowolony.

Istotnie, tak cierpliwy zazwyczaj delfin tupnął nogą.

— A to się rozpuścił! — mruknął król ze śmiechem. — Doprawdy, najwyższy czas na ucieczkę.

Ale nagle, gdy otwierał drzwi, spotkał w progu pana de Choiseul, zgiętego w ukłonie.

XXVI. DWÓR KRÓLA PÉTAUD

Na widok nowego aktora, który zjawił się na scenie, aby przeszkodzić mu wyjść, król cofnął się o krok mówiąc do siebie w duchu:

—Do licha, zapomniałem o nim, ale zapłaci mi on za tamtych!

I powiedział głośno:

— A więc to pan! Wzywałem pana.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odparł zimno minister. — Właśnie wybierałem się do Waszej Królewskiej Mości, gdy dotarł do mnie rozkaz.

— Dobrze. Musimy porozmawiać o ważnych sprawach — zaczął Ludwik XV marszcząc brwi, aby jeżeli to możliwe zastraszyć ministra.

Na nieszczęście dla króla de Choiseul był jednym z najmniej bojaźliwych ludzi w całym królestwie.

— Ja także, jeśli wolno, mam ważne sprawy do omówienia z Waszą Królewską Mością — odparł kłaniając się.

W tej samej chwili jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem delfina, na wpół zastłoniętego zegarem.

— Acha, więc i z tej strony czyha na mnie pułapka. Już teraz się nie wymknę — pomyślał król i pierwszy zaatakował:

— Powinien pan wiedzieć, że biedny wicehrabia Jan omal nie został zamordowany.

— To znaczy, że pchnięto go szpadą w łokieć. Przyszedłem powiedzieć o tym wypadku Waszej Królewskiej Mości.

— Rozumiem, aby uprzedzić pogłoski.

— Aby nie dopuścić do fałszywych komentarzy, Najjaśniejszy Panie.

— A więc pan zna tę sprawę? — zapytał król znaczącym tonem.

— Doskonale.

— Właśnie mówiono mi o tym w pewnym miejscu. De Choiseul nawet nie drgnął.

Delfin nakręcał zegar, ale spuściwszy głowę słuchał, nie tracąc ani jednego słowa.

— Teraz ja powiem, jak się rzecz miała — rzekł król.

— Czy Wasza Królewska Mość jest pewien, że informacje były dokładne? — zapytał de Choiseul

— Och, co się tyczy...

— A więc słuchamy, Najjaśniejszy Panie.

— Słuchamy?

— Tak jest, Jego Wysokość Delfin i ja,

— Jego Wysokość Delfin? — powtórzył król, spojrzawszy w stronę wnuka — a cóż z tym wspólnego ma delfin?

— Ta sprawa dotyczy przecież Jej Królewskiej Mości małżonki delfina — mówił de Choiseul, składając ukłon w stronę królewicza.

— Małżonki delfina?! — krzyknął król zaniepokojony.

— Tak jest. Czy nie wiesz o tym, Najjaśniejszy Panie? W takim razie Wasza Królewska Mość jest źle poinformowany.

— Małżonka delfina i Jan Dubarry. To naprawdę ciekawe! — mówił król, — Niech pan to wyjaśni, panie de Choi seul, i nic przede mną nie ukrywa, chociażby sama małżonka delfina raniła wicehrabiego.

— Najjaśniejszy Panie, to nie Jej Wysokość małżonka delfina go raniła — wyjaśniał spokojnie de Choiseul — ale oficer z jej eskorty.

— I pan tego oficera zna, panie de Choiseul? — spytał król,

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Ale Wasza Królewska Mość musi go znać, jeżeli pamięta o wszystkich swoich dobrych sługach. Nazwisko tego oficera, rozślawnione pod Philipsburgiem, Fonteaoy i Mahon, brzmi: Taverney-Maison-Rouge,

Delfin zdawał się chłonać z powietrzem to nazwisko, aby je lepiej zachować w pamięci.

— Maison-Rouge! — rzekł Ludwik XV. — Ależ oczywiście, znam to nazwisko. Tylko dlaczego bił się z moim ulu bieńcem Janem? Czy dlatego właśnie, że jest moim ulubieńcem? To jakaś niedorzeczna zazdrość, załóżek niezadowolenia, może buntu!

— Najjaśniejszy Panie, czy raczysz minie wysłuchać? — zapytał de Choiseul.

Ludwik XV pojął, że jedynym sposobem wycofania się z rozmowy, której przebieg stawał się niepożądany, jest okazanie gniewu.

— Mówię panu, że widzę w tym zarodek spisku przeciwko mojej rodzinie.

— Ach, Najjaśniejszy Panie — perswadował de Choiseul — czyż broniąc Jej Wysokość małżonkę delfina, wnuka Waszej Królewskiej Mości, ten dzielny młodzieniec zasłużył na takie zarzuty?

Delfin wyprostował się i skrzyżowawszy ręce włączył się do rozmowy.

— Co do mnie to jestem wdzięczny temu młodemu człowiekowi, narażającemu życie w obronie księżniczki, która za dwa tygodnie będzie moją żoną.

— Naraził życie, naraził!... — mruknął król. — Z jakiego powodu? Trzeba przecież wiedzieć, z jakiego powodu!

— Powód był taki — wyjaśniał de Choiseul — że podróżujący pospiesznie wicehrabia Jan Dubarry, próbował wziąć na postojach konie Jej Wysokości małżonki delfina, prawdopodobnie dlatego, żeby przyspieszyć swoją podróż.

Król przygryzł wargi. Znowu nawiedziła go nieprzyjemna myśl, że to, co słyszy, kojarzy się groźnie z niepokojącymi wrażeniami, jakie wywołała scena u pani Dubarry.

— Niemożliwe, znam tę sprawę. To pan jest źle poinformowany — powiedział, aby zyskać na czasie.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, nie jestem źle poinformowany i to, co miałem honor już powiedzieć, jest czystą prawdą. V/icehrabia Dubarry istotnie obraził Jej Wysokość małżonkę delfina, zabierając konie królewskie i uprowadzając je siłą mimo sprzeciwu poczmistrza. Wtedy właśnie Filip de Taverney, wysłany przez Jej Wysokość, po kilkakrotnym grzecznym i pojednawczym wezwaniu...

— Och, och!... — nie dowierzał król.

— I po kilkakrotnym grzecznym i pojednawczym wezwaniu, powtarzam, Najjaśniejszy Panie...

— Tak, i ja to potwierdzam — wtrącił delfin.

— Ty także wiesz o tym? — spytał król zdziwiony.

— Bardzo dobrze, Najjaśniejszy Panie.

De Choiseul, uradowany, skłonił się i rzekł:

— Czy Wasza Wysokość zechce mówić dalej? Jego Królewska Mość uwierzy prędzej słowom swojego wnuka niż moim.

— Tak, Najjaśniejszy panie — mówił dalej delfin, nie okazując jednak pełni wdzięczności, jakiej minister miał podstawę oczekiwać od niego za gorącą obronę arcyksiężniczki. — Wiedziałem o tym i

przyszedłem oznajmić, że pan Dubarry nie tylko obraził księżniczkę, ale i oficera mojego regimentu, który spełnił swoją powinność powstrzymując go od gwałtu.

Król potrząsnął głową z uporem.

— Trzeba się upewnić, trzeba się upewnić... — powtarzał.

— Upewniłem się, Najjaśniejszy Panie — dodał miękko delfin — i nie mam żadnej wątpliwości, że pan Dubarry dobył szpady.

— Pierwszy? — zapytał król, zadowolony, że uchwycił szansę wyrównania niepomysłnej jak dotąd dla niego rozmowy.

Delfin zarumienił się i spojrzął na de Choiseula, który pospieszył mu z pomocą.

— Najjaśniejszy Panie, istotny jest tu fakt, że skrzyżowali szpady dwaj mężczyźni, z których jeden obraził, a drugi bronił Jej Wysokość małżonkę delfina.

— Tak, ale kto był napastnikiem? — pytał król. — Ja znam Jana, który jest łagodny jak jagnię.

— Najjaśniejszy Panie, napastnikiem według mojego mniemania jest ten, kto dał powód do starcia — rzekł delfin ze zwykłym sobie umiarkowaniem.

— To sprawa delikatna — upierał się król. — Napastnikiem jest ten, który zawinił... A jeżeli oficer okazał się zuchwały?

— Zuchwały?! zawołał de Choiseul. — Zuchwały wobec człowieka, który usiłował gwałtem zabrać konie przeznaczone dla Jej Wysokości małżonki delfina?! Czy to możliwe, Najjaśniejszy Panie?

Delfin nic nie powiedział, twarz jego pokryła się bledością.

— Chciałem powiedzieć: porywczy — poprawił król, wycofując się wobec zdecydowanej postawy wnuka i ministra.

— Poza tym Wasza Królewska Mość wie dobrze, że gorliwy sługa nie może ponosić winy — nacierał de Choiseul.

— No tak, ale w jaki sposób dowiedziałeś się o tym zdarzeniu? — zapytał król delfina, nie spuszczać oka z ministra, którego to niespodziewane pytanie zmieszało, mimo widocznego wysiłku, aby tego nie okazać.

— Z listu, Najjaśniejszy Panie — odparł delfin.

— Z listu, od kogo?

— Od kogoś, kto interesuje się tą sprawą i uważa, że to rzecz niezwykła obrażać małżonkę delfina.

— A więc znowu tajemnice, sekretne korespondencje, spiski! — zawołał król. — Znowu zaczynają mnie dręczyć jak. za czasów pani de Pompadour!

— Ależ nie, Najjaśniejszy Panie — zaoponował de Choiseul. — Sprawa jest prosta. Mamy tu do czynienia z przestępstwem obrazy majestatu drugiego stopnia. Wystarczy odpowiednio ukarać winowajcę i sprawa skończona.

Słowa te wywołały w wyobraźni Ludwika XV obraz rozwścieczonej hrabiny i podrażnionej Chon. Ujrzał ulatujący spokój ogniska domowego, o który daremnie zabiegał przez całe życie, i zbliżające się konflikty, brzemienne w kłótnie, spazmy i płacze.

— Nie ukarzę nikogo! — zawołał. — Nie ukarzą, zanim nie wysłuchani obydwu stron i zanim nie przekonam się, kto ma słuszość! Nie chcę dopuścić do niesprawiedliwości. Och. piękną mi pan daje radę, w ładną ranie pan wciąga historię!

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, któż od tej chwili będzie szanować Jej Wysokość małżonkę delfina, jeżeli dla przykładu nie ukarze się pierwszego, który obraził?

— Bez wątpienia — dorzucił delfin. — Byłoby to skandalem, Najjaśniejszy Panie.

— Przykład, skandal! — zachnął się król. Och, wiecie, ile skandalów nas otacza i gdybyście mi radzili karać dla przykładu, straciłbym całe życie na podpisywaniu nakazów uwięzienia, których już i tak zbyt wiele, dzięki Bogu, podpisuję.

— Tak trzeba, Najjaśniejszy Panie — rzekł de Choiseul.

— Najjaśniejszy Panie, błagam... — dorzucił delfin.

— Jak to? Czy nie uważacie, że został już odpowiednio ukarany pchnięciem szpady, które otrzymał?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ponieważ mógł zranić pana de Taverney.

— A w tym właśnie przypadku, jakiej kary by pan żądał?

— Zażądałbym jego głowy.

— Nie gorzej postąpiono z Montgomeryem za to, że zabił króla Henryka II — zauważył Ludwik XV.

— Montgomery zabił króla przypadkiem, Najjaśniejszy Panie, a Jan Dubarry znieważył Jej Wysokość małżonkę delfina z intencją jej znieważenia.

— Czy ty także żądasz głowy Jana? — zwrócił się król do wnuka.

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci, jak Wasza Królewska Mość wie o tym — odparł delfin miękko. — Ograniczę się więc do prośby o wygnanie.

Król zadrżał.

— Wygnanie za karczemną zwadę! Ludwiku, jesteś surowy mimo swoich filantropijnych zamierzeń. To prawda, że przede wszystkim jesteś matematykiem i dopiero potem filantropem, a matematyk...

— Wasza Królewska Mość raczy mi pozwolić...

...a matematyk gotów jest poświęcić dla liczby cały świat.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł delfin — ja nie żywią osobistej urazy do pana Dubarry.

— Do kogo więc żywisz urazę? — Do napastnika małżonki delfina.

— Co za wzór męża! — ironizował król. — Na szczęście nie łatwo nakłonić mnie do uwierzenia w to. Widzę, kogo to się atakuje, a przede wszystkim do czego zmierza ta cała przesadzana historia.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł de Choiseul — w tym nie ma przesady. Ogół jest powszechnie oburzony na taką zniewagę.

— Ogół! Jeszcze jedno monstrum, które sobie stwarzacie, a raczej które tworzycie dla mnie. Ogół... Czyż go słucham, kiedy przemawia do mnie tysiącem ust pamflecistów, autorów paszkwilów i piosenek, intrygantów o tym, że mnie okradają, że ze mnie szydzą, że mnie zdradzają? Ech, nie mój Boże! Niech sobie przemawia, a ja się śmieję. Róbcie, na Boga tak, jak ja! Zatkajcie uszy, a kiedy się wasz ogół zmęczy krzykiem, przestanie krzyczeć. O... widzę, że teraz pan mi składa ukłon pełen niezadowolenia. Oto Ludwik ma na twarzy grymas, jakby się dąsał. Doprawdy, to osobliwe, że nie można uczynić dla mnie tego, co się czyni dla ostatniego rzędu osób prywatnych, że nie pozwala mi się żyć tak, jak chcę, że się nienawidzi tych, których kocham i że się kocha tych, których nienawidzę! Czyż mam rozum, czy też jestem szaleńcem? Jestem władcą, czy nie jestem?!

Delfin wziął swój nożyk z krzesła i powrócił do zegara. De Choiseul uklonił się podobnie jak przed chwilą.

— No więc, nie słyszę żadnej odpowiedzi. Mówcie cokolwiek, do licha! Chcecie, żebym umarł ze zgryzoty, z powodu waszych słów i waszego milczenia, waszych małych nienawiści i waszych malutkich obaw?!

— Nie czuję do pana Dubarry nienawiści, Najjaśniejszy Panie — rzekł delfin uśmiechając się.

— A ja go się nie boję — powiedział wyniośle de Choi seul.

— To dopiero! Macie chyba źle w głowie — krzyknął król udając rozgniewanego. — Chcecie, abym się stał pośmiewiskiem całej Europy, aby szydził ze mnie mój król pruski, aby mój dwór upodobił się do roli jaką odegrał dwór króla Pétaud u tego chłystka Woltera. Nie, tego nie zrobię, nie będziecie się cieszyć. Pojmuję mój honor na swój sposób i będę go strzegł tak, jak to uważam za stosowne.

— Przepraszam, Najjaśniejszy Panie — rzekł delfin ze słodyczą, ale i z uporem — nie chodzi tu o honor Waszej Królewskiej Mości, lecz o godność małżonki delfina, która została znieważona.

— Jego Wysokość ma słuszność, Najjaśniejszy Panie — dodał de Choiseul — jedno słowo z ust Waszej Królewskiej Mości, a podobna historia już się nie powtórzy..

— A dlaczego miałyby się powtórzyć? Jan jest gburem, ale nie złośliwcem.

— Niech i tak będzie — rzekł de Choiseul. — Nazwijmy to gburowatością, Najjaśniejszy Panie, ale niech za tę swoją gburowatość przeprosi pana de Taverney,

— Powiedziałem już raz, że to mnie nie obchodzi, czy Jan przeprosi, czy nie przeprosi. Wolno mu i tak, i tak.

— Jeżeli sprawę pozostawimy w ten sposób załatwioną, a raczej niezłatwioną, narobi hałasu, Najjaśniejszy Panie — oświadczył de Choiseul. — Mam honor uprzedzić o tym. Waszą Królewską Mość.

— Tym lepiej! — krzyknął król. — A niech ten hałas będzie tak wielki, żeby mnie ogłuszył, żebym nie słyszał więcej waszych bredni.

— A więc Wasza Królewska Mość upoważnia mnie do ogłoszenia, że przyznaje słuszność panu Dubarry? — zapytał zimno de Choiseul.

— Ja mam przyznawać słuszość w sprawie czarnej jak atrament! — krzyknął Ludwik XV. — Doprawdy, to mnie doprowadza do ostateczności. O, niech się pan strzeże! A ty, Ludwiku, zrobisz dla siebie dobrze, jeżeli będziesz mnie oszczędzał. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Jestem zmęczony i dłużej już nie mogę wytrzymać. Żegnaj was, panowie! Idę do moich córek i uciekam do Marly, gdzie może znajdę trochę spokoju, jeżeli nie podożycie tam za mną.

W tym momencie otwarty się drzwi i odzwierny zameldował:

— Najjaśniejszy Panie, Jej Królewska Mość czeka w galeerii, aby się pożegnać.

— Pożegnać się? — spytał król zmieszany. — A dokąd wyjeżdża?

— Jej Wysokość oświadczyła, że ma od Waszej Królewskiej Mości pozwolenie na opuszczenie zamku.

— A więc jeszcze i to! Cóż ta moja bigotka wyprawiał Doprawdy, jestem najnieszczęśliwszym z ludzi.

I to mówiąc Ludwik XV wybiegł z sali.

— Jego Królewska Mość pozostawił nas bez odpowiedzi — rzekł minister do delfina. — Co Wasza Wysokość postanawia?

— Ach, już bije! — zawołał młody książę, przysłuchując się z udaną czy też prawdziwą radością ,biciu zegara świeżo naprawionego.

De Choiseul zmarszczył brwi i po chwili wyszedł, pozostawiając delfina samego.

XXVII. KSIĘŻNA LUDWIKI FRANCUSKA

Najstarsza córka króla czekała na ojca w wielkiej galerii Lebrun. Ludwik XV przybył w chwili, gdy grupy dworzan zaczęły się gromadzić w przedsiionku. Powzięte przez księżniczkę postanowienie było przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Królowna Ludwika, o majestatycznej postawie i iście królewskiej urodzie, księżna, na obliczu której znaczył się niewysłowiony smutek wzbudzała z powodu swych licznych cnót szacunek u otoczenia dla siebie i dla władzy, której od lat pięćdziesięciu poddawano się jedynie ze względu na korzyść osobistą lub strach.

W owych czasach ogólnej niechęci dla władców, ją jedną tylko szczerze kochano. Była pełna cnót, ale nie surowa; choć niewiele o niej mówiono, pamiętano, że ma dobre serce. Przypominała o tym dobrymi uczynkami, podczas gdy reszta dworu siała zgorzenie.

Ludwik XV obawiał się jej, ale tym bardziej ją szanował. Niekiedy był z niej nawet dumny. Ona też była jedyną z jego córek, którą pomijał w swych złośliwych żarcikach i płaskich conceptach. I kiedy trzy swoje córki: Adelajdę, Wiktorię i Zofię, nazywał Łachmankiem, Gałgankiem i Ochłapkkiem, to Ludwikę zawsze tytułował „Madame”.

Od czasu śmierci marszałka de Saxe, o charakterze i umyśle Turenuszów i Kondeuszów, oraz Marii Leszczyńskiej, której władza królewska godna była majestatu królowej Marii Teresy — wszystko skarłało wokół tronu.

Jedynie pełen dostojęństwa charakter królowy Ludwiki jaśniał wśród jej otoczenia. Księżna Ludwika, o prawdziwie królewskim, heroicznym charakterze, była dumą korony francuskiej, jak prawdziwa perła wśród fałszywych błyskotek.

Trudno stwierdzić, czy Ludwik XV kochał swoją córkę. Kochał on bowiem tylko siebie. Można jedynie sądzić, że obchodziła go ona więcej niż pozostałe córki.

Kiedy król wszedł, spostrzegł księżniczkę na środku galerii wspartą o inkrustowany drogimi kamieniami stólik.

Ubrana była na czarno. Jej piękne włosy, bez pudru, skryte były pod dwoma rzędami koronek, spiętych wysoko ponad głową. Wyraz jej twarzy był łagodny i smutny zarazem. Pełen melancholii wzrok przesuwiał się po wizerunkach królów Europy, wśród których na czołowych miejscach jaśnieli jej przodkowie, władcy Francji.

Czarny ubiór posiadał długie kieszenie, jakie noszono jeszcze w owej epoce, podobnie jak za dawnych czasów, i królowa Ludwika, jak dawne królowe, miała na złotym kółku u pasa mnóstwo kluczy od swoich szaf i kufrów.

Król zadumał się, widząc z jaką ciekawością i uwagą przypatrywano się córce i jemu.

Ale galeria była tak długa, że dworzanie stojąc w obu jej końcach mogli wszystko widzieć, nie mogli jednak nic usłyszeć.

Królowna zbliżyła się do króla i ucałowała z uszanowaniem jego rękę.

— Mówią, pani, że wyjeżdżasz? — spytał Ludwik. — Podobno do Pikardii?

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała królowna.

— A! — rzekł król podnosząc głos — udajesz się więc z pielgrzymką do Noirmoutiers.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Ludwika — udaję się do klasztoru karmelitanek w Saint-Denis, gdzie jak już Jego Królewska Mość wie, mogę być przełożoną.

Krół drgnął, ale zapanował nad sobą. Twarz jego zachowała spokój, choć był wzruszony.

— Nie, moja córko! — powiedział. — Nie opuścisz mnie, nie wierzę w to! To niemożliwe, żebyś miała mnie opuścić.

— Ojczy! Od dawna już postanowiłam, że udam się do klasztoru, na co Wasza Królewska Mość wyraził zgodę. Raczże nie cofać jej teraz,

— Tak, prawda, zgodziłem się, ale od tego czasu starałem się zawsze wpłynąć na zmianę twej decyzji, zgodziłem się, mając jednak wciąż nadzieję, że gdy przyjdzie chwila twego odjazdu, twoje serce nie pozwoli ci mnie porzucić. Nie możesz pogrzebać się w klasztorze. Dziś już się tak nie postępuje. Do klasztoru wstępuje się tylko z powodu ciężkiego zmartwienia lub niedostatków. Córka króla francuskiego, o ile wiem, nie jest uboga, a jeśli jest nieszczęśliwa, nikt o tym wiedzieć nie powinien.

Krół wzruszał się coraz bardziej własnymi słowami, czując się królem i ojcem jednocześnie.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekła Ludwika, spostrzegłszy wyruszenie ojca, tak rzadkie u egoisty jakim był Ludwik XV, Zrobiło to na niej większe wrażenie, niżby chciała okazać.

— Najjaśniejszy Panie — ciągnęła dalej. — Nie osłabiaj mej decyzji waszą czułością. Moje zmartwienie nie jest zwyczajne, toteż i moje postanowienie nie jest zgodne ze zwyczajami naszego wieku.

— Masz więc zmartwienie? — zawołał król z uniesieniem i czułością. — Zmartwienie! O! Moje biedne dziecko!

— Straszne zmartwienie, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedziała księżna.

— Córko moja, dlaczego ja nic o nim nie wiem?

— Bo to są takie zmartwienia, jakim ręka ludzka nie może zapobiec.

— Nawet ręka króla? — Nawet króla.

— Ani ojca?

— Ani ojca, Najjaśniejszy Panie.

— Jesteś pobożna, Ludwiko, w religii więc powinnaś znaleźć siłę...

— To za mało, Najjaśniejszy Panie! Pragnę zamknąć się w klasztorze, aby znaleźć tam więcej sił. W ciszy Bóg przemawia do serca człowieka. W samotności człowiek przemawia do Boga.

— Ale czynisz z siebie ogromną ofiarę, której nic nie wynagrodzi. Tron Francji otacza opieką dzieci wychowane w jego cieniu. Czyż ciebie on nie ochrania?

— W celi, mój ojczy, jest cień jeszcze głębszy. Orzeźwia on serce, jest miły dla silnych i słabych, dla pokornych i dumnych, dla wielkich i maluczkich.

— Czyż sądzisz, że zagraża ci jakieś niebezpieczeństwo?, W takim razie, Ludwiko, masz przecież króla na swą obronę.

— Najjaśniejszy Panie, oby Bóg samego króla najpierw; obronił.

— Powtarzam ci, Ludwiko, unosisz się źle rozumianą żarliwością. Dobrze jest się modlić, ale nie modlić bez ustanku. Ty, tak dobra, tak pobożna, czy musisz się stale modlić?

— Nigdy mej modlitwy za dużo, mój ojczy! Nigdy za dużo, aby odsunąć wszelkie nieszczęścia jakie mają nas spotkać. Dobroć, jaką mnie Bóg obdarzył, niewinność, jaką od dwudziestu lat staram się zachować bez skazy, to na tę intencję jeszcze o wiele za mała ofiara.

Krół cofnął się o krok i patrząc ze zdziwieniem na Ludwikę, rzekł:

— Nigdy nie przemawiałaś do mnie w podobny sposób. Błądzisz, moje dziecko. Gubi cię asceza!

— Och, Najjaśniejszy Panie! Nie nazywaj tak prawdziwego poświęcenia, poświęcenia, które jest najbardziej potrzebne ze wszystkich, jakie kiedykolwiek poddana mogła ofiarować swemu królowi, a córka ojcu w największej potrzebie. Najjaśniejszy Panie! Twój tron, w którego cieniu, jak dumnie

mówiłeś, miałam znaleźć opiekę — chwije się pod ciosami, o których ty jeszcze nie wiesz, ale których istnienie ja już odgaduję. Otwiera się przed nami przepaść, która nagle może pogrążyć monarchię. Czy mówiono ci, Panie, kiedykolwiek prawdę?

Ludwika spojrzała wokół siebie, aby się przekonać, czy nikt jej rozmowy z ojcem nie może dosłyszeć, a widząc, że wszyscy znajdują się w należytej odległości, mówiła dalej:

— A ja wiem, ja, która w habitcie siostry miłosierdzia po dwadzieścia razy odwiedzałam ciemne ulice, wygłodniałych ludzi na poddaszach, uliczki, w których rozlega się jęk. W tych ulicach, na tych poddaszach, Najjaśniejszy Panie, umierają ludzie z głodu i zimna w porze zimowej, a w lecie z pragnienia i upału. We wsiach, których nie widzisz, Najjaśniejszy Panie, bo jeździsz tylko z Wersalu do Marly i z Marly do Wersalu, we wsiach nie ma zboża, nie tylko na żywność dla ludu, ale na zasiew gruntów, które jakby przeklęte przez wrogą moc, pożerają nasienie, nie wydając plonu. Wszyscy ci, którym brak chleba szemrzają głucho. Nowe idee, mgliste i jeszcze nieznanne krążą w powietrzu, wypływają z mroków nocy. Mówi się o kajdanach, tyranii, a na te słowa nieszczęśliwi ludzie przestają narzekać — lecz się burzą. Izby poselskie ze swej strony domagają się prawa głosu, prawa wypowiedzenia tego głośno, o czym wszyscy mówią po cichu: „Królu gubisz nas. Ratuj nasi Albo sami zaczniemy się ratować!”

Uczeni szerzą idee wolności, mówią ludowi o tym jak postępujesz, Najjaśniejszy Panie, a poddani marszczą czoło ilekroć ujrzą swych władców.

Wasza Królewska Mość żeni obecnie syna! Niegdyś, gdy żenił się syn Anny Austriackiej, Paryż niósł w darze upominki dla księżniczki Marii Teresy. Dziś przeciwnie... miasto nie ofiarowuje nic i trzeba było podnieść gwałtem podatki, aby opłacić powozy wiozące córkę cesarza synowi Ludwika Świętego.

Czyż wreszcie mówić ci trzeba, Panie, o tym, o czym sam wiesz dobrze, na co patrzyłeś z taką goryczą, że nikomu nie chciałeś o tym mówić?

Królowie, nasi bracia, którzy zazdrościli nam dawniej, dziś odwracają się od nas. Twoje cztery córki, Najjaśniejszy Panie, córki króla Francji, nie wyszły za mąż. A jest przecież dwudziestu książąt w Niemczech, szesnastu w krajach północnych, nie licząc naszych krewnych Bourbonów w Hiszpanii i Neapolu, którzy albo o nas zapomnieli, albo odwracają się od nas, podobnie jak i inni. Może by zechciał ożenić się z nami Turek, gdybyśmy nie były córkami arcychrześcijańskiego króla. Och! Nie mówię o sobie, mój ojcze! Ja nie narzekam. Uważam, że jestem szczęśliwa, ponieważ jestem wolna, ponieważ nie jestem potrzebna nikomu z mojej rodziny, ponieważ pragnę w samotności, w ciszy i ubóstwie prosić Boga, aby odwrócił od was nadciągającą straszną burzę.

— Córko! Dziecko moje! — rzekł król. — Twoje obawy sprawiają, że widzisz przyszłość w tak czarnych barwach.

— Najjaśniejszy Panie! O! Najjaśniejszy Panie! — rzekła Ludwika. — Przypomnij sobie ową księżniczkę starożytną, królewską prorokinię. Przepowiadała ona wojnę, zniszczenie, pożar. A jej ojciec i bracia śmiali się z tych wróżb, nazywając ją szaloną. Nie postępuj ze mną, jak oni z nią. Strzeż się, mój ojcze! Zastanów się, mój królu!

Ludwik XV skrzyżował ręce na piersi i opuścił głowę.

— Córko moja — rzekł — surowo do mnie przemawiasz. Czyż nieszczęścia, o których mówisz, są moją winą?

— Niech Bóg uchowa, żebym miała tak myśleć. Ale są one dziełem czasów, w których żyjemy. Jesteś wciągnięty w wir zdarzeń, jak i my wszyscy. Zwróć uwagę, panie, jak oklaskują w teatrze najmniejszą aluzję wymierzoną przeciwko władzy królewskiej. Zobacz, jak wieczorem grupy wesółych ludzi zbiegają po małych schodkach, podczas gdy tymczasem wielkie, marmurowe schody ponure są i puste. Najjaśniejszy Panie! Lud i dworacy znaleźli sobie rozrywki, różne od naszych. Bawią się bez nas. A gdy zjawiamy się tam, gdzie oni się bawią — zachmurzają się zaraz. Niestety! — mówiła dalej królewna, z pełną słodczy melancholią w głosie. — Niestety! Piękni młodzieńcy! Śliczne kobiety! Kochajcie się! Śpiewajcie! Bawcie się! Bądźcie szczęśliwi! Tu wam zawadzam, tam — służyć wam będę. Tutaj mój widok tłumiał wasz radosny śmiech, tam modlić się będę z całego serca za króla, za siostry, za siostrzeńców, za was, za naród francuski, za wszystkich wreszcie, których ukochałam całą siłą mego serca, da którego dotąd żadna namiętność nie miała przystępu.

— Córko moja — rzekł po chwili ciężkiego milczenia król — błagam cię, nie opuszczaj mnie. Przynajmniej w tej chwili.

Ludwika wzięła w swe dłonie rękę ojca i wpatrując się w jego szlachetną twarz, powiedziała;

— Nie, nie, mój ojczel! Nie pozostanę w tym pałacu, ani godziny dłużej. Czas już, abym się modliła. Czują w sobie siłą okupienia mymi łzami wszystkich rozrywek, jakim się oddajecie. Przebacz mi, dobry ojczel, który umiesz przebaczać.

— Pozostań z nami, Ludwiko, pozostań z nami — prosił król trzymając ją w objęciach.

Królowna odmówiła ruchem głowy.

— „Królestwo moje nie jest z tego świata” — powiedziała wyzwalając się z uścisków. — Żegnam cię, ojczel. Powiedziałam dziś to, co od dziesięciu lat leżało mi na sercu. Ten ciężar mnie przygniatał. Żegnam cię! Jestem zadowolona. Patrz! Uśmiecham się. Jestem szczęśliwa dopiero od tej chwili. Niczego nie żałuję.

— Nawet mnie, moja córko?

— Och! Żałowałabym cię, gdybym nie miała cię więcej widzieć. Ale odwiedziś czasem Saint-Denis. Nie zapomnisz o mnie zupełnie.

— Och! Nigdy! Nigdy!

— Nie rozkliwiaj się, Najjaśniejszy Panie! Niech się nie domyślają, że rozstajemy się na zawsze. Jak mi się zdaje, moje siostry nie domyślają się jeszcze niczego. Tylko moje dworki dopuszczone są do tej tajemnicy. Od tygodnia poczyniłam wszystkie przygotowania i pragnęłabym gorąco, aby wieść o moim odjeździe wtedy dopiero się rozeszła, gdy zamkną się za mną ciężkie wrota klasztoru.

Król wyczytał w oczach córki, że jej postanowienie jest nieodwołalne. Wolał przy tym, by wyjechała bez rozgłosu. Jeśli Ludwika bała się lamentów, jakie mogły towarzyszyć jej odjazdowi, król lękał się jeszcze więcej o stan swych nerwów.

Ponadto, wybierał się do Marly, a nie chciał, by żale i płacze opóźniły jego wyjazd.

Wreszcie pomyślał sobie, iż może będzie lepiej, gdy powracając z jakiejś uczty, niegodnej króla i ojca, nie napotka więcej tej twarzy poważnej i smutnej, patrzącej na niego z wyrzutem za niewłaściwe postępowanie.

— Niech się więc stanie tak, jak chcesz, moje dziecię — rzekł. — Przyjm błogosławieństwo ojca, któremu zawsze przynosiłaś szczęście.

— Daj mi, Najjaśniejszy Panie, twą rękę do ucałowania i w myślach mnie pobłogosław! — powiedziała Ludwika.

Dla tych, którzy wiedzieli o jej postanowieniu, była to wielka i uroczysta chwila, w której szlachetna królowna zdawała się świadczyć swym postępowaniem, że godna jest cnót swych wielkich przodków, którzy patrzyli teraz na nią z obrazów oprawionych w złociste ramy.

Król dochodząc do drzwi odwrócił się i złożył ukłon córce. Po czym wyszedł nie rzekłszy już ani słowa.

Za nim udał się dwór, jak tego wymagała etykieta.

XXVIII. ŁACHMANEK, GAŁGANEK I OCHŁAPEK

Król skierował swe kroki do gabinetu. Tam zazwyczaj przed polowaniem lub przejażdżką spędzał kilka chwil, aby wydać rozkazy służbie.

Gdy doszedł do końca galerii, dał znak ręką dworzanom, że pragnie pozostać sam w gabinecie.

Potem poszedł korytarzem, który prowadził do apartamentów córek. Stanął na chwilę przed portierą osłaniającą drzwi i mruknął:

— Jedna tylko była dobra i ta odjechała!

Na to zdanie usłyszał w odpowiedzi krzyk trzech córek.

Uchyliła się portiera i Ludwik powitany został przez rozgniewaną trójkę. Córki otoczyły króla.

— Ach! To ty Łachmanku — rzekł do najstarszej, Adelajdy. — No, cóż, gniewaj się czy nie gniewaj, ale powiedziałem prawdę.

— Och! — odezwała się Wiktoria. — Nie powiedziałeś nam nic nowego. Najjaśniejszy Panie, wiemy, że wolałeś od nas Ludwikę.

— Istotnie! Powiedziałas prawdę, Gałganku!

— I z jakiej to racji te wyjątkowe względy? — rzuciła kwaśno najmłodsza z księżniczek, Zofia.

— Bo Ludwika nigdy i niczym mi nie dokuczyła — odpowiedział dobrodusznie król, tonem charakterystycznym dla niego w chwilach, kiedy ulegał własnemu egoizmowi.

— O! Dokuczy ci ona, dokuczy jeszcze nie raz. Bądź na to przygotowany, mój ojczu! — rzekła Zofia, w sposób tak uszczypliwy, że zwróciła tym szczególną uwagę króla.

— Skądże to przypuszczenie, Ochłapku? — rzekł. — Czy Ludwika odjeżdżając zwierzała ci się? Bardzo by mnie to zdziwiło, bo o ile wiem, nie bardzo cię ona kocha.

— Mniejsza z tym. Odplączę jej za to z procentem.

— Doskonale! — rzekł Ludwik XV. — Nienawidźcie się, gniewajcie, kłóćcie się między sobą, bylebyście nie kazały mi przywracać porządku w waszym królestwie Amazonek. Ale radbym jednak wiedzieć, czym to ma mi dokuczyć Ludwika?

— Biedna Ludwika! — powtórzyły razem Wiktoria i Adelajda, wykrzywiając usta, każda w inny sposób.

— Czym ci ma dokuczyć? Owszem, możemy ci powiedzieć, ojczu.

Ludwik XV zasiadł w wielkim fotelu, przy drzwiach, tak umieszczonym, aby w każdej chwili mógł się wycofać z pokoju.

— Tym oto, że Ludwika — zaczęła Zofia — jest opętana przez demona, tego samego, który nagabywał ksienię z Chelles, i udała się do klasztoru dla przeprowadzenia doświadczeń.

— Tylko bardzo proszę — oświadczył Ludwik XV — proszę bez żadnych dwuznaczników. Nikt, nigdy nie mógł jej nic zarzucić, choć ludzie zawsze wiele gadają. No, zaczynajże, ty.

— Ja? — spytała Zofia.

— Tak, ty.

— Och! Ja nie mówię o jej cnocie — rzekła Zofia — dotknięta do żywego szczególnym tonem, z jakim ojciec wyrzekł słowo „ty”, i powtórzeniem tego słowa w sposób przesadny.

— Mówię, że będzie robiła doświadczenia. Nic więcej!

— A gdyby nawet zajmowała się chemią, gdyby wyrabiała broń lub kółka do foteli, gdyby grała na flecie lub bębniła na klawikordzie. Cóż byście widziały w tym złego?

— Mówią, że chce się zajmować polityką. Ludwik XV drgnął.

— Będzie studiowała filozofię i teologię. My zaś przy niej nic nie będziemy znaczyć w rodzinie, my...

— Jeżeli wasza siostra pragnie w ten sposób torować sobie drogę do nieba, cóż wam to może przeszkadzać? — odparł Ludwik XV, wspominając z przykrością polityczną treść rozważań Ludwika. — Czy jej czasem nie zazdrościcie? Byłoby to nie po chrześcijańsku.

— O! Wcale jej nie zazdroścę — powiedziała Wiktoria. — I nie pójdę w jej ślady.

— Ani ja — dodała Adelajda.

— Ani ja — wtrąciła Zofia.

— Ta biedna, kochana Ludwika, nienawidziła nas — zauważyła Wiktoria.

— Was? — zapytał Ludwik XV.

— Tak, nas — odpowiedziały siostry.

— Widzicie więc — powiedział król — że dlatego tylko wybrała sobie niebo, żeby się tam nie spotkać z rodziną.

Żart ten rozśmieszył na chwilę siostry. Najstarsza, Adelajda wysilała tymczasem swój umysł, aby znaleźć słowa, które by dotknęły króla boleśniej niż dotychczasowe docinki.

— Moje panie — rzekła tonem uszczypliwym, jakim zwykle się posługiwała w chwilach, w których opuszczała ją ospałość, dzięki czemu zyskała sobie przezwisko Łachmanka — moje panie, albo nie znacie, ale nie macie odwagi wyjawić królowi prawdziwego powodu odjazdu Ludwika.

— No, no, mów! — czuję znowu jakieś oszczerstwo, no, co tam Łachmanku, co tam? — odezwał się król.

— Jestem jednak pewna, Najjaśniejszy Panie, że sprawię ci tym przykrość.

— Powiedz raczej, że się tego spodziewasz. Adelajda przygryzła wargi.

— Powiem tylko prawdę.

— Prawdę?... No, no... to coś interesującego. Radzę ci się oduczyć powtarzania podobnych rzeczy. Czyż ja mówię kiedy prawdę. Nigdy... i wcale mi z tym nie jest źle, dzięki Bogu!

I Ludwik XV wzruszył ramionami.

— Zaraz się dowiemy, mów siostrze, mów — zawołały dwie młodsze księżniczki, zaciekawione tym, co tak mocno miało zranić króla.

— Dobre serduszka — mruknął Ludwik XV — jak one kochają swego ojca.

Pocieszył się jednak zaraz myślą, że wypłacał im pięknym za nadobne.

— Otóż — zaczęła znowu dalej Adelajda — siostra nasza Ludwika, która tak bardzo przestrzegała etykiety, bała się najbardziej tego...

— Czego?... — podchwycił król. — Mówże, mów, skoro zaczęłaś.

— Bała się, Najjaśniejszy Panie, wtargnięcia tu nowych osób...

— Wtargnięcia, mówisz?... — powtórzył kwaśno Ludwik XV, domyśliwszy się o co chodzi... — Wtargnięcia!... Czyż mają wstęp na dwór jacyś intruzi? Czy mnie ktoś zmusi, abym kogoś przyjmował, jeśli sobie tego nie życzę.

Był to dość zręczny sposób do zmiany tematu rozmowy. Ale księżniczka Adelajda miała zbyt dużo sprytu i złośliwości, by się dać zbić z tropu.

— Może źle się wyraziłam — powiedziała — może użyłam niewłaściwego wyrazu. Zamiast „wtargnięcia” trzeba mi było powiedzieć: „wprowadzenia”.

— O! O! Nieszczerólnie, ale zawsze właściwsze jest wyrażenie „wprowadzenie” niż „wtargnięcie”, bezwarunkowo właściwsze — rzekł król.

— Nie jest to jednak, Najjaśniejszy Panie, najodpowiedniejsze jeszcze określenie — wtrąciła Wiktoria.

— Jakież więc będzie najwłaściwsze?

— Przedstawienie!...

— Tak, tak! — odezwały się dwie siostry, zgadzając się ze starszą. — To doskonale. Przedstawienie!...

Król przygryzł wargi.

— Tak sądzicie? — rzekł po chwili.

— Tak — powiedziała Adelajda. — Król obawia się ogromnie nowych prezentacji.

— Cóż dalej? — powiedział król chcąc jak najszybciej skończyć rozmowę na ten temat. — Cóż dalej?

— Przerażała ją pogłoska, że ta pani... hrabina Dubarry ma być przedstawiona na dworze.

— Dostyć! — zawołał król w porywie niepohamowanego gniewu. — Mów wprost, bez tych wykrętów i kołowania. Co masz do powiedzenia ty „mówiąca prawdę”?

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Adelajda — jeżeli nie chciałam wprost oznajmić ci, co ci chciałam powiedzieć, to tylko dlatego, że mnie wstrzymywał szacunek dla ciebie. Tylko wyraźny rozkaz Waszej Królewskiej Mości otworzył mi usta.

— Nie tak bardzo trzymasz je zamknięte, mówisz, ziewasz, kąsas!...

— Jednakże to prawda — kończyła Adelajda — że ta prezentacja, to istotna przyczyna usunięcia się stąd Ludwika.

— Mylisz się, moja kochana!

— Najjaśniejszy Panie — odezwały się razem Wiktoria i Zofia — jesteśmy tego najzupełniej pewne!

— Patrzcie no! — przerwał Ludwik XV. — Ach! Ach! Zjednoczyłyście się jak widzę w opinii. Zdaje się, że mam tu do czynienia z prawdziwym spiskiem w rodzinie. Więc dlatego ta prezentacja nie może dojść do skutku? Dlatego nie ma pań w domu właśnie wtedy, gdy ma być złożona im wizyta? Dlatego nie odpowiadają na pisma, ani na prośby o posłuchanie?

— Jakie prośby, jakie żądania? — spytała Adelajda.

— Jak to, nie wiesz? — wtrąciła Zofia. — Na pisma panny Joanny Vaubernier.

— Na prośby o posłuchanie panny Lange — dodała Wiktoria.

Król powstał, zagniewany. Jego zazwyczaj spokojne i o łagodnym spojrzeniu oczy, ciskały teraz błyskawice. Ponieważ żadna z trzech siostr nie była zdolna do przeciwstawienia się ojcowskiemu oburzeniu, wszystkie trzy schyliły czoła, aby nie wywoływać jeszcze większej burzy.

— I to wszystko dlatego tylko, żeby mnie przekonać, że się myliłem utrzymując, iż najlepsza z mych córek odjechała.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała Adelajda. — Wasza Królewska Mość obchodzi się z nami źle, gorzej niż ze swymi psami.

— Moje psy cieszą się, gdy do nich przychodzę. Moje psy to moi prawdziwi przyjaciele. Żegnaj panie. Idę właśnie do Charlotki, Belle-Filletki i Gredinet. Kocham bardzo te biedne zwierzęta, kocham za to, że nie szczekają prawdy.

Król wyszedł rozgniewany, ale nim zdążył zrobić kilka kroków, posłyszał jak trzy księżniczki śpiewały chórem:

W Paryżu, wielkim mieście,
Serca męskie i niewieście,
Bez wyjątku miękkie, słabe,
Wykrzykują ach! ach! ach!
Błażeja faworyta
Ma się źle i kwita.
Źle, Źle, Źle,
Leży sobie na szezlongu,
Ach! Ach! Ach!

Była to pierwsza zwrotka wodewilu, skierowanego przeciw pani Dubarry, a obiegającego ulice pod tytułem Piękna burbonka.

Król miał zamiar wrócić, co zapewne nie wyszłoby na dobre jego córkom, ale zmienił zamiar i poszedł dalej, wołając, aby zagłuszyć dobiegający go śpiew córek:

— Panie kapitanie od chartów! Panie kapitanie! Oficer, którego zaszczycono tym szczególnym tytułem, nadbiegł.

— Proszę otworzyć psiarnię — powiedział król,

— Najjaśniejszy Panie — zawołał oficer rzucając się przed króla — niech Wasza Królewska Mość zatrzyma się! Ani kroku dalej!

— Cóż tam znowu? Zobaczmy — rzekł król, zatrzymując się przed drzwiami, spod których wysuwały się pyski psów.

— Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie, moją gorliwość, nie mogę jednak pozwolić, aby Wasza Królewska Mość wszedł do psów.

— Acha! Rozumiem, psiarnia nie jest w należyтым porządku. Wypuść więc Gredineta!

— Najjaśniejszy Panie! — wyszeptał oficer, a twarz jego wyrażała smutek. — Gredinet od dwóch dni nie je, ani nie pije. Zachodzi obawa, czy nie jest wściekły.

— Och! Jestem zatem -niewątpliwie najniezwyklejszym z ludzi — zawołał Ludwik XV. — Gredinet wściekły? To przepelnia miarę moich utrapień.

Oficer od chartów poczuł się w obowiązku uronić łzę dla okazania współczucia królowi.

Ludwik XV odwrócił się i poszedł do swego gabinetu, w którym czekał na niego pokojowiec. Spostrzegłszy zmartwioną twarz króla ukrył się on we framudze okna.

— Tak. Dobrze widzę — mówił do siebie Ludwik XV, nie zwracając uwagi na wiernego sługę — widzę to dobrze — powtarzał chodząc wielkimi krokami po gabinecie — widzę! widzę! Pan de Choiseul drwi sobie ze mnie. Delfin uważa się już niemal za pana i sądzi że zaraz nim zostanie, gdy tylko posadzi Austriaczkę obok siebie na tronie. Ludwika mnie kocha, ale prawi morały i odjeżdża. Trzy młodsze córki wyśpiewują piosenki, w których nazwano mnie Błażejem. Hrabia Prowansji tłumaczy Lukrecjusza. Hrabia d'Artois włóczy się po uliczkach. Moje psy wściekają się i chcą mnie kąsać. Ostatecznie kocha mnie tylko ta jedna, biedna hrabina. Niech diabli porwą tych wszystkich, którzy chcą jej sprawić przykrość!

Z rozpaczliwym postanowieniem usiadł przy stoliku, przy którym Ludwik XIV podpisywał państwowe papiery i gdzie leżały ostatnie traktaty oraz listy wielkiego króla. Mówił:

— Dopiero teraz rozumiem, dlaczego całe moje otoczenie tak przyśpiesza przybycie narzeczonej delfina. Sądzą, że gdy ona się tu pokaże, stanę się jej niewolnikiem, ulegnę wpływom jej rodziny. Doprawdy! Nie mam po co przyśpieszać przybycia mojej synowej, jeśli jej przyjazd ma spowodować nowe powikłania i kłopoty. Trzeba nam spokoju, jak można najdłużej, aby więc go osiągnąć, zatrzymajmy ją w drodze. Miała, nie zatrzymując się w Reims i Noyon, przybyć prosto do Compiègne.

Utrzymajmy poprzedni ceremoniał. Trzy dni przyjęcia w Reims i jeden... nie, dwa... nie, trzy dni uroczystości w Noyon, to razem sześć dni, które zyskamy, sześć wspaniałych dni.

Król wziął pióro i sam napisał rozkaz do pana de Stainville, rozkaz zatrzymania się przez trzy dni w Reims i trzy dni w Noyon. Potem wezwawszy kuriera, powiedział:

— Pędź, co koń wyskoczy, póki nie wręczysz tego rozkazu podług adresu.

Tym samym piórem napisał następnie:

„Droga hrabino! Urządzamy dziś Zamorę na gubernatorstwie. Wyjeżdżam do Marly. Dziś wieczorem przybędę do Luciennes, aby powiedzieć ci wszystko o czym teraz myślę.

Francja”

— Masz, Lebel, zanieść ten list pani hrabinie. A spraw się szybko. To rada, jaką ci daję. Pokojowiec skłonił się i wyszedł.

XXIX. PANI DE BÉARN

Pani hrabina de Bèarn, będąca przyczyną wielu skandalów, przedmiotem licznych ataków oraz postrachem na dworze — podążała w pośpiechu ku Paryżowi. O tym fakcie zawiadomiła panna Chon swego brata wicehrabiego Jana Dubarry.

Pani de Bèarn wybrała się w podróż na żądanie wicehrabiego, któremu bujna wyobraźnia podsuwała nieraz pożądane pomysły w najtrudniejszych okolicznościach.

Nie mogąc znaleźć między damami dworu matki chrzestnej, bez której prezentacja pani Dubarry nie mogła dojść do skutku, hrabia rozejrzał się po prowincji, przeszedł koligacje, poszukał w miastach, i nad brzegami Mozy znalazł w zamku gotyckim, dobrze utrzymanym, tę, która była mu potrzebna.

Znalazł starą piniaczkę i zadawniony proces. Starą piniaczką była hrabina de Bèarn.

Proces, od wyniku którego zależał cały majątek hrabiny, prowadził teraz pan de Maupeou. Nawiązał on niedawno kontakt z panią Dubarry, z którą odnalazł nawet jakiś, nikomu przedtem nieznaną, stopień pokrewieństwa i zaczął ją nazywać kuzynką. Spodziewając się otrzymania godności kanclerza, okazywał faworytce wszystkie względy godne zarówno dawnej przyjaźni jak i oczekiwanych korzyści w przyszłości. Jego postępowanie sprawiło, że król nazywał go już wicekanclerzem, a wszyscy przez skrócenie: Vice.

Pani de Bèarn była rzeczywiście starą piniaczką w stylu hrabiny d'Escarbagnas lub pani Pimbèche, dwóch charakterystycznych postaci owej epoki.

Żywa, chuda, koścista, wodząca spod siwych brwi oczyma przestraszonego kota, pani de Bèarn, zachowała sposób ubierania się z czasów swojej młodości, to jest sprzed trzydziestu lat.

Szerokie koronki, zdobiące pelerynę powycinaną w zęby i olbrzymi czepek; na szyi jedwabna chustka w kwiaty i przy sukni olbrzymie kieszenie, a ponadto olbrzymi worek w rękę — oto strój, w jakim zastała hrabinę panna Chon, ukochana siostra pani Dubarry, posiadająca jej nieograniczone zaufanie. Panna Chon przedstawiła się hrabinie jako córka adwokata Flageot.

Stara hrabina ubierała się, tak jak to opisywaliśmy, nie tylko z upodobania lecz i przez oszczędność.

Nie należała do rzędu tych, którzy wstydzą się swego ubóstwa, nie było ono bowiem jej winą. Żałowała, że nie jest bogata, bo chciałaby zostawić godny swego rodu majątek synowi, typowemu prowincjonalnemu dżentelmenowi, nieśmiało jak panienka, który bardziej cenił życie w dostatku niż sławę i rozgłos.

Jedyną pociechą, jaka jej pozostała, była możliwość mówienia: „moje dobra”, o majątkach o jakie się procesowała, mimo że obdarzona zdrowym rozsądkiem, wiedziała dobrze, iż ani jeden lichwiarz, a nie brakowało ich wówczas we Francji, nie udzieliłby na te jej dobra ani złamanego grosza pożyczki.

Toteż hrabina de Bèarn, zmuszona do poprzestawiania na dochodach z części majątku, nie będącej przedmiotem sporu w procesie, a przynoszącej około tysiąca talarów rocznie, unikała dworu, gdzie musiałaby wydawać po dwanaście liwrow dziennie jedynie na utrzymanie karety dla odwiedzania panów sędziów i panów adwokatów.

Unikała także dworu i dlatego, że zwątpiła, iż uda jej się szybko odgrzebać swoje prawa z pyłu zapomnienia, bo procesy, jeśli i dziś nawet wloką się długo, to za owych czasów ciągnęły się nieraz przez dwa lub trzy pokolenia, i jak ów bajeczny krzew z Tysiąca i jednej nocy, zakwitły dopiero po latach dwustu lub trzystu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, pani de Bèarn nie chciała topić w kosztach procesu ostatniej cząstki ojcowizny. Była to, jak się w takich wypadkach zwykło mówić, kobieta dawnych czasów, czyli przenikliwa, ostrożna, wytrwała i skąpa.

Niewątpliwie sama lepiej pokierowałaby swoją sprawą niż wszelkiego rodzaju prawnicy. Ale nosiła nazwisko de Bèarn, co stanowiło w wielu przypadkach poważną przeszkodę.

Trawiona smutkiem i niepewnością, podobna była do Achillesa, który cierpiał niewystowione męki w chwili gdy pod osłoną swego namiotu musiał udawać, że głuchy jest na dźwięk trąby, którą przecież dobrze słyszał. Toteż pani de Bèarn całe dni przepędzała z okularami na nosie przy odczytywaniu starych pergaminów, a każdej niemal nocy ubrana w szlafrok, z rozpuszczonymi siwymi włosami broniła przed poduszką, niby przed sędzią, swej sprawy przeciw panom Saluces. Sprawę zawsze wtedy wygrywała dzięki swemu krasomówstwu, z którego była tak rada, że życzyła takiego daru wymowy w podobnej okoliczności swemu adwokatowi.

Łatwo więc pojąć, że przy takim usposobieniu, zjawienie się Chon, pod przybranym nazwiskiem Flageot, bardzo wzruszyło panią de Bèarn.

Młody hrabia, jej syn, służył wówczas w wojsku.

Ponieważ bardzo chętnie wierzymy w to, czego pragniemy, więc i pani de Bèarn dała się łatwo przekonać młodej kobiecie.

Pewne podejrzenia wzbudziło w niej jednak uświadomienie sobie faktu, że choć znała pana Flageot od lat dwudziestu i w ciągu tego czasu odwiedziła go przynajmniej z jakieś dwieście razy, nigdy nie słyszała o żadnym dziecku. Ale wreszcie postanowiła o tym nie myśleć, miała przecież przed sobą córkę adwokata Flageot.

Ta ostatnia oświadczyła, że jest zamężna, że w Verdun, po drodze oczekuje na nią mąż. To ostatecznie rozwiało wątpliwości hrabiny. Może powinna była zapytać pannę Flageot o list, ale czyż ojciec nie może przystać córki, własnej córki bez listu? Komuż mógłby bardziej zaufać? Po cóż by wreszcie przebywała sześćdziesiąt mil? Po to tylko, by z takim kłamstwem tu wystąpić?

Gdyby pani de Bèarn była bogata, mogłaby przypuszczać, że to spisek uknuty przeciwko niej przez złodziei, dla zrabowania w drodze powozów i kosztowności. W położeniu, w jakim się znajdowała, myśl ta pobudzała ją tylko do śmiechu, gdy sobie wyobraziła rozczarowanie jakiego doznałoby źle poinformowani złodzieje.

Skoro więc Chon odjechała jednokonnym kabrioletem, wynajętym na ostatniej stacji, na której zostawiła swój powóz, pani de Bèarn, przekonana, że nadeszła chwila działania wsiadła do swej starej karety i do tego stopnia nagliła pocztylionów, iż dojechała do la Chaussée na godzinę przed przybyciem tam żony delfina, a w pięć czy sześć godzin później do rogatki Saint-Denis niż panna Dubarry.

Ponieważ pakunków miała niewiele, a sprawą dla niej najpilniejszą było zobaczenie się z adwokatem, kazała zatrzymać się przy ulicy du Petit-Lion, przed drzwiami pana Flageot.

Można się domyśleć, że znaczna liczba ciekawych, a wszyscy paryżanie takimi są, musiała się skupić wokół staromodnej landary, którą jak się zdawało, wyprowadzono z wozowni Henryka IV, gdyż przypominała jego ulubiony powóz solidną robotą, monumentalnymi rozmiarami i skózanymi firankami, które z okropnym skrzypieniem przesuwają się na zardzewiałym pręcie.

Ulica Petit-Lion nie jest szeroka. Pani de Bèarn zatarasowała ją swym powozem. Zapłaciwszy pocztylionowi kazała pojazd odstawić do oberży, gdzie zwykle zajeżdżała, to jest „Pod Piejącym Kogutem” przy ulicy Saint-Germain-des-Près.

Trzymając się zatłuszczonego sznura wchodziła na ciemne schody, zadowolona po przebytej podróży w upalny dzień, z chłodu jaki tutaj panował.

Adwokat, po oznajmieniu o przybyciu pani de Bèarn, wcisnął w pośpiechu perukę na głowę i narzucił na siebie gruby szlafrok w pasy.

Tak wystrojony i uśmiechnięty wyszedł przywitać klientkę.

Twarz jego jednak wyrażała takie zdziwienie, że zaskoczyło to hrabinę.

— No, jestem, kochany panie Flageot — zawołała — jestem!

— A, widzę, pani hrabino — odpowiedział adwokat — i poprowadził panią de Bèarn do obitego skórą fotela stojącego w najlepiej oświetlonym kącie gabinetu, przezornie sadzając ją z dala od rozrzuconych na biurku papierów, bowiem znał ciekawość swego gościa.

— Pozwól pani — odezwał się z galanterią — nacieszyć się przede wszystkim miłą niespodzianką.

Pani de Bèarn rozsiadła się właśnie w fotelu i w chwili gdy adwokat do niej mówił, Małgorzata podsuwała pod jej stopy skórzaną poduszkę. Nagle wyprostowała się.

— Jak to! Niespodzianką? — zawołała, wciskając na nos okulary i przypatrując się adwokatowi.

— Nie inaczej. Byłem przekonany, że pani przebywa w swoich dobrach — odpowiedział prawnik, przez grzeczność określając w ten sposób trzy morgi ogrodu warzywnego będącego bezsporną własnością hrabiny.

— Przebywałam tam rzeczywiście, lecz na wezwanie pańskie, natychmiast wyjechałam.

— Na moje wezwanie?

— No, tak. Naturalnie.

Ze zdziwienia oczy pana Flageot zrobiły się tak wielkie, jak okulary hrabiny.

— Zdaje mi się, że stawiałam się dość szybko. Chyba powinien być pan zadowolony.

— Pani! Jestem nią zachwycony jak zawsze. Ale pozwól mi powiedzieć, że nie pojmuję co mogę mieć z tym wspólnego.

— Jak to?! — zawołała pieniaczka — przecież pan to sprawiłeś!

— Ja?

— Naturalnie, że pan... A zatem, co słyhać nowego?

— Mówią, że król zastanawia się nad energicznymi posunięciami wobec parlamentu. Ale czym mogę pani służyć?

— Akurat! Chodzi mi o króla, chodzi mi o parlament! — zawołała ironicznie hrabina.

— O cóż więc pani chodzi?

— O mój proces. Pytam, co słyhać nowego w mojej sprawie?

— Och! Jeśli o to chodzi, łaskawa pani, to nic — odpowiedział prawnik, potrząsając głową — To... nic.

— Nic?

— Nic, a nic.

— No, naturalnie nic, od chwili, w której widziałam się z pańską córką.

— Z moją córką?

— Tak.

— Powiedziała pani: z moją córką?...

— Oczywiście, z tą, którą pan do mnie przysłał.

— Wybacz hrabino, ale to niemożliwe, abym moją córkę wysłał do pani.

— Niemożliwe?

— Z tej bardzo prostej przyczyny, że jej nie mam.

— Jest pan tego pewny?

— Pani — rzekł Flageot — mam zaszczyt być w stanie bezzennym.

— Masz tobie! — zawołała hrabina.

Adwokat zaniepokojony zawezwał Małgorzatę, aby podała hrabinie coś chłodzącego, a przede wszystkim, by miała na nią baczenie.

— Biedna kobieta — pomyślał adwokat — w głowie się jej pomieszało.

— Jak to? — pytała dalej hrabina — pan naprawdę nie ma córki?

— Nie, pani.

— Zameżnej córki, w Strasburgu?...

— Nie, pani, absolutnie nie...

— I nie upoważniał pan jej — kończyła hrabina, nie mogąc uwolnić się od swych myśli — do oznajmienia mi, że moja sprawa weszła na wokandę?

— Nie!

Hrabina podskoczyła w fotelu, uderzając się dłońmi po kolanach.

— Może pani hrabina napije się — zaproponował pan Flageot. — To pani dobrze zrobi...

I skinął na Małgorzatę, która podała na tacy dwie szklanki piwa. Ale hrabina straciła już pragnienie. Odepchnęła tacę i szklanki tak mocno, że Małgorzata, która jak się zdaje, cieszyła się w tym domu pewnymi przywilejami, poczuła się tym dotknięta.

— Zobaczmy! — powiedziała hrabina, patrząc spod okularów na pana Flageot. — Spróbujmy sobie to wszystko wyjaśnić.

— Właśnie pragnę tego bardzo. Małgorzato, zatrzymaj się. Może pani zechce się napić, hrabino. Wyjaśnimy to wszystko.

— Bardzo proszę. Jest pan dziś dla mnie zagadkowy, drogi panie Flageot. Można by rzec, że ze zbytniego upału pomieszało ci się w głowie.

— Niech się pani nie unosi!... — powiedział prawnik odsuwając jak najdalej od hrabiny fotel, na którym siedział. — Niech się pani nie unosi. Wyjaśnimy sobie wszystko spokojnie.

— Owszem, owszem. Mówi pan zatem, panie Flageot, że nie ma pan córki?

— Nie, hrabino, i żałuję tego szczerze, bo, jak widzę, zrobiłoby to pani pewną przyjemność, jakkolwiek...

— Jakkolwiek...? — powtórzyła hrabina.

— Jakkolwiek, jeśli o mnie chodzi, wolałbym już w tym wypadku chłopca, bo chłopcom lepiej się powodzi w tych czasach.

Pani de Bèarn z wielkim niepokojem skrzyżowała ręce.

— Jak to? Nie wzywałeś mię pan do Paryża przez siostrę, siostrzenicę, lub jakąś krewną?

— Ani mi to przez myśl nie przeszło. Wiem przecież, jak kosztowny jest pobyt w Paryżu.

— A mój proces?

— Wstrzymuję się ze zdawaniem z niego sprawy, do czasu kiedy będzie wznowiony.

— Więc jeszcze nie jest?

— Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Więc nawet nic nie słyhać o terminie?

— Niestety, pani.

— A więc — zawołała stara dama wstając z fotela — zażartowano sobie ze mnie niegodnie.

Pan Flageot zsunął perukę na czubek głowy i mruknął:

— Właśnie, boję się tego.

— Panie Flageot!... — krzyknęła hrabina.

Adwokat uniósł się na krzesło, dając znak Małgorzacie, aby była gotowa przyjść, w razie czego, z pomocą swemu panu.

— Nigdy nie daruję tego poniżenia, udam się do ministra policji, aby kazał odszukać tę błąźnicę, która tak mnie obraziła.

— Ba! — odezwał się pan Flageot — to będzie trudna sprawa.

— Gdy tylko ją znajdą — prawiała hrabina w uniesieniu — natychmiast pozwę ją przed sąd.

— Przybędzie zatem nowy proces — powiedział smutno adwokat.

— Boże! A ja jechałam tu taka szczęśliwa!

— Ale cóż ta kobieta powiedziała pani?

— Najpierw, że przybywa od pana.

— Jakaś intrygantka.

— W pańskim imieniu powiadomiła mię, że moja sprawa jest wznowiona i że powinienam natychmiast przybyć, pod groźbą nowej, jeszcze większej zwłoki w terminie rozpoczęcia procesu.

— Niestety! Pani hrabino! Daleko, bardzo nam jeszcze daleko do wznowienia sprawy.

— Zapomniano o nas. Tak?

— Zapomniano, pogrzebano i chyba cudem... ale cud się rzadko zdarza.

— Zapewne — westchnęła hrabina. Pan Flageot zawtórował jej.

— Panie Flageot, czy chce pan, żebym mu coś powiedziała?

— Proszę.

— Ja tego nie przeżyję.

— Tak nie można mówić, pani hrabino!

— Boże, mój Boże! Czuję, że wyczerpują się moje siły.

— Odwagi! Pani, odwagi!

— Czyż nie ma pan dla mnie żadnej rady?

— Owszem. Wróć, pani, do swych dóbr i nie dawaj wiary nikomu kto będzie się zgłaszał rzekomo ode mnie, bez listu pisanego moją ręką.

— Trzeba, abym wróciła do mojego majątku?

— Tak będzie najrozsądniej.

— Wierz mi, panie Flageot — rzekła hrabina — że już więcej nie zobaczymy się na tym padole płaczu.

— Okropność!

— Mamy, widać, strasznych nieprzyjaciół!

— Przysięgłbym, że to sztuczka Salucesów.

— W każdym razie nikczemna.

— Tak, nikczemna.

— O! Sprawiedliwość, sprawiedliwość! — wykrzyknęła hrabina — to otchłań, drogi panie Flageot!

— A dlaczego? — odparł prawnik. — Dlatego, że sprawiedliwość nie jest już sprawiedliwością, bo pan de Maupeou chce być kanclerzem, zamiast pozostać prezesem.

— Panie Flageot, napiłabym się teraz czegoś chętnie.

— Małgorzato! — krzyknął adwokat.

Nie było jej jednak. Wysunęła się z pokoju, spostrzegłszy że rozmowa weszła na tor normalny. Po chwili powróciła z dwiema szklankami na tacy. Pani de Bèarn wychyliła powoli piwo, trąciwszy się przedtem szklanką z adwokatem. Następnie pożegnała się z nim i skierowała się do przedpokoju.

Pan Flageot szedł za nią z peruką w rękę. Pani de Bèarn przystanąła nad schodami i zaczęła w mroku szukać poręczy, gdy jakaś ręka spoczęła na jej ręce, a jakaś głowa dotknęła jej piersi.

Ręka ta i głowa należały do jednego z dependentów, który przeskakując po trzy stopnie pędził co tchu na górę.

Stara hrabina, zrzedząc, poprawiła suknię i schodziła dalej. Dependent zaś dopadł drzwi, pchnął je i zawołał rozradowanym głosem:

— Oto jest, panie Flageot, jest — w sprawie Bèarn! I podał papier adwokatowi.

Zanim dependent zdążył otrzymać od Małgorzaty dwa policzki, które wymierzyła mu lub też udawała, że wymierza w zamian za dwa całusy, hrabina zdążyła powrócić, bowiem będąc na schodach usłyszała swoje nazwisko. Odepchnęła teraz od drzwi dependentą, rzuciła się na pana Flageot i wyrwała mu papier z ręki.

— Co?... — wykrzyknęła. — Co tam powiedziano o mojej sprawie, panie Flageot?

— Na honor! Jeszcze nic nie wiem, hrabino. Jeżeli jednak raczy pani oddać mi papiery to się dowiem.

— Prawda! Prawda! Mój dobry panie Flageot. Masz i czytaj prędko.

Adwokat spojrział na podpis.

— Od pana de Guildou, prokuratora — powiedział.

— Zaprasza mnie — mówił dalej adwokat z wzrastającym osłupieniem — abym się przygotował do obrony sprawy na wtorek, bo sprawa wchodzi na wokandę.

— Wchodzi na wokandę! — krzyknęła hrabina, niemalże skacząc z radości. — Tylko proszę cię, panie Flageot, niech pan nie żartuje, bo tym razem już bym się nie podniosła więcej.

— Pani — powiedział prawnik, ogłuszony niespodziewaną wiadomością — jeśli tu jest ktoś, kto żartuje, to chyba pan Guildou, a zdarzyłoby mu się to po raz pierwszy w życiu.

— Czy ten list jest na pewno od niego?

— Tak, to jego podpis. Proszę spojrzeć!

— Prawda. Sprawa dziś wznowiona, broniona we wtorek. A więc ta dama, która mnie odwiedziła nie była intrygantką.

— Widocznie, nie.

— Skoro jednak nie przez pana była przysłana? Czy pan jesteś tego pewien?

— Na Boga! Najzupełniej pewien,

— Przez kogo więc?

— Właśnie, to ciekawe, przez kogo?

— Niewątpliwie była przez kogoś przysłana.

— Ja tracę głowę.

— Ja tym bardziej nic z tego nie rozumiem. Pozwól mi jeszcze raz odczytać, mój drogi panie Flageot. Jest wznowiona... tak... jest napisane, że będzie broniona przed panem prezesem Maupeou...

— Diabli się tu chyba wdali.

— Dlaczego?

— Bo pan Maupeou to wielki przyjaciel Salucesów.

— Masz tobie! To znaczy że jesteśmy w większym niż kiedykolwiek kłopotcie. Dziwne mam szczęście!

— A jednak, trudno. Musi pani być u niego.

— Zapewne bardzo źle mnie przyjmie.

— Prawdopodobnie.

— Nie tylko, że sam tracisz odwagę, panie Flageot, ale i mnie ją odbierasz.

— Nie. Nie może być nie dobrego, jeśli pan Maupeou...

— Do tego stopnia pan zwątpił?

— I Cyceron przegrałby sprawę, gdyby jej bronił przed Verresem, a nie przed Cezarem — odpowiedział pan Flageot.

— Radzi pan zatem, żeby go nie odwiedzać?

— Uchowaj Boże! Nie mogę pani tego odradzać, żałuję tylko, że jest pani do tego zmuszona.

— Mówi pan, panie Flageot, jak żołnierz, który ma zamiar zdezerterować. Można by przypuszczać, że chcesz zrezygnować z obrony.

— Pani hrabino — odpowiedział adwokat — przegrałem w moim życiu niejedną sprawę, były to nieraz takie, które bardziej rokowały wygraną niż ta.

Hrabina westchnęła, a skupiając całą swoją energię, rzekła z godnością:

— Nie ustąpią! Przynajmniej nikt mi nie powie, że mając za sobą prawo cofnęłam się przed intrygą. Przegram, ale przeniwiercom czoło kobiecie, o takich wartościach, jakie się rzadko spotyka u dworu. Czy chcesz, panie Flageot, towarzyszyć mi w mojej wizycie do pana wicekanclerza?

— Pani — odpowiedział adwokat, przywołując także na pomoc całą swą godność. — Pani Przysięgliśmy sobie, członkowie opozycji w parlamencie paryskim, że poza obrębem sali sądowej nie będziemy mieli nic wspólnego z tym, którzy odstąpili od sprawy pana d'Aiguillon. Jedność stanowi siłę, a pan de Maupeou prowadził dwulicową grę. Ponieważ mamy mu wiele do zarzucenia, pozostaniemy w naszym obozie, póki nie ukáže nam swego prawdziwego oblicza.

— W złą, widać, porę odbywa się mój proces — westchnęła hrabina. — Adwokaci poróżnieni Z sędziami, sędziowie z klientami... Ale wszystko jedno, wytrwam...

— Niech ci Bóg dopomoże, pani hrabino — rzekł adwokat, zarzucając połę szlafroka na lewe ramię, niby rzymski senator togę.

— Nietęgi adwokacina — rzekł w duchu pani de Bèarn. Obawiam się, że będę miała z nim mniejszą nadzieję wygranej przed parlamentem, niż gdybym wzięła innego.

— Do widzenia, panie Flageot — rzekła — przestuduj pan dobrze moją sprawę. Nie wiadomo jeszcze jaki przybierze obrót.

— Och! O moją obronę niech się pani nie lęka, hrabino. Moja mowa obrońcy będzie bardzo piękna, bo obiecałem sobie że użyję w niej dosadnych aluzji.

— Jakich aluzji, do czego?

— Do zepsucia obyczajów Jerozolimy, a porównam ją do miast wyklętych i będę wzywać na nią ognia z nieba. Pani pojmuję, że nie będzie się zbyt trudno domyśleć, że ta Jerozolima — to Wersal.

— Panie Flageot — wykrzyknęła stara piniaczka — nie kompromituj pan siebie, a przede wszystkim nie zaprzepaszczaj mojej sprawy!

— Ech! Ona i tak stracona, jeśli się w nią wdał pan Maupeou. Chodzi tylko o moralne zwycięstwo przed sądem współczesnych. A ponieważ i tak nie dostąpimy sprawiedliwości, wywołajmy więc skandal.

— Panie Flageot...!

— Bądźmy filozofami, pani... Ciskajmy piorunami!

— Bodaj cię piorun trzasł! — mruknęła hrabina. — Podły adwokacino, który szukasz tylko okazji do drapowania się w swoje filozoficzne łachmany. Idźmy do pana Maupeou. On nie filozof i z nim na pewno łatwiej będzie można się porozumieć niż z tobą.

I stara hrabina opuściła pana Flageot.

XXX. WICEKANCLERZ

Stara hrabina, jadąc do pana Maupeou bardzo była zdenerwowana.

W drodze przyszło jej na myśl, że godzina na przyjęcia jest już spóźniona i że prawdopodobnie nie zastanie już pana Maupeou w domu. Myśl ta uspokoiła ją. Miała nadzieję, że poprzestanie na zapowiedzeniu przez lokaja swej wizyty w dniu następnym.

Wydawało się jej to tym bardziej prawdopodobne, że była już prawie siódma godzina, a rozpowszechniony wówczas wśród arystokracji zwyczaj jadań obiadu o czwartej sprawiał, że załatwianie wszelkich spraw po tej godzinie odkładano aż do dnia następnego.

Tak to pani de Bèarn gorąco pragnąc widzieć się z wicekanclerzem, równocześnie dodawała sobie otuchy nadzieją, że go nie zastanie.

W przedsiönku pałacu spotkała lokaja, który rozmawiał z portierem. Ten ostatni, wydawało się, udziela lokajowi jakichś poleceń. Portier spostrzegłszy damę w wynajętym powozie, oddalił się.

Lokaj zbliżył się do pojazdu i spytał o nazwisko.

— Zdaję sobie sprawę — rzekła — że jest już zbyt późno i że nie będę miała zaszczytu widzieć się z Jego Ekscelencją.

— Nie wiem — rzekł lokaj — ale niech pani będzie łaskawa powiedzieć mi swoją godność.

— Hrabina de Bèarn.

— Jego Ekscelencja jest w pałacu — odpowiedział.

— Co takiego? — wykrzyknęła hrabina niezmiernie zdziwiona.

— Mówię, że Jego Ekscelencja jest w pałacu.

— Ale zapewne nie przyjmuje?

— Panią hrabinę przyjmie — odparł lokaj.

Hrabina wysiadła nie będąc pewną czy to sen czy jawa. Lokaj pociągnął za sznurek i odezwał się dzwonek. Na schodach ukazał się lokaj i portier dał znak hrabinie, że może wejść.

— Pani chce się widzieć z Ekscelencją? — spytał lokaj.

— Pragnęłabym dostąpić tego zaszczytu, choć się go nie spodziewam.

— Proszę za mną, pani hrabino.

— Tyle złego słyszałam o tym dygnitarzu — myślała hrabina — a przecież posiada wielką zaletę, że jest taki przystępny. I to kanclerz!

Idąc, drżała jednak na myśl, że ujrzy człowieka, o którym mówiono, iż jest szorstki, opryskliwy i skrupulatny w pełnieniu swoich obowiązków.

Pan de Maupeou ubrany w czarny aksamit, w obszernej peruce na głowie, pracował w gabinecie przy otwartych drzwiach.

Wchodząc, hrabina rzuciła dokoła okiem i z wielkim zdziwieniem spostrzegła, że oprócz jej twarzy i chudej, żółtej, z wyrazem człowieka bardzo zajętego, twarzy pana de Maupeou — żadna inna nie odbijała się w zawieszonych na ścianach zwierciadłach.

Lokaj oznajmił: „Pani hrabina de Bèarni”

Pan de Maupeou zerwał się i stanął oparty plecami o kominek.

Pani de Bèarn ukłoniła się trzy razy stosownie do panujących zwyczajów.

Chciała powiedzieć jakieś uprzejme słówka, ale wypadło to niezręcznie. Nie spodziewała się tego zaszczytu, nie wierzyła, że kanclerz, tak zajęty, zechce rezygnować z chwili wypoczynku.

Maupeou odpowiedział, że czas jest nie mniej cenny tak dla poddanych Jego Królewskiej Mości jak i dla królewskich ministrów, a ponadto że są jeszcze pewne różnice pomiędzy osobami, którym pilno, zatem on nie żałuje swego czasu przeznaczanego na spoczynek i chętnie go poświęci tym, którzy zasługują na wyróżnienie.

Pani de Bèarn złożyła nowe ukłony, potem zapadło kłopotliwe milczenie, gdyż zakończyły się komplementy, a należało przejść do poruszenia sprawy.

Pan de Maupeou czekał gładząc sobie podbródek.

— Panie ministże — zaczęła hrabina — stoję przed Waszą Ekszelencją, aby mu pokornie przedstawić pewną ważną sprawę, od której zależy całe moje mienie.

Pan de Maupeou skłonił lekko głowę, co miało oznaczać: „Niech pani mówi!”

— Dowie się Wasza Ekszelencja, że w istocie cały mój majątek, a właściwie syna mojego, jest przedmiotem procesu, który prowadzę przeciw rodzinie Salucesów.

Wicekanclerz słuchał w zamyśleniu.

— Lecz sprawiedliwość Waszej Ekszelencji jest tak znana, że choć wiem, jaką Ekszelencja żywi przyjaźń dla strony przeciwnej, bez wahania przychodzę błagać go o wysłuchanie.

Pan de Maupeou nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, słysząc pochwały swej sprawiedliwości.

— Pani hrabina słusznie powiedziała, że jestem przyjacielem Salucesów, lecz również słusznie wierzy, że przyjmując pieczęć kanclerską nie kieruję się względami przyjaźni. Odpowiem więc pani, nie powodując się żadnymi względami postronnymi, tak, jak przystało na sprawiedliwego zwierzchnika.

— O! Panie! Niech cię Pan Bóg błogosławi — zawołała hrabina.

— Badam pani sprawę, hrabino, jako zwyczajny prawnik — ciągnął dalej kanclerz.

— Składam dzięki, Ekszelencjo!

— Sprawa pani, hrabino, o ile słyszałem, ma być wkrótce rozpatrywana.

— W przyszłym tygodniu, Ekszelencjo.

— Więc czego pani teraz żąda?

— Aby Ekszelencja chciał się bliżej z nią zapoznać.

— Znam ją.

— Co Ekszelencja o niej myśli? — zapytała z drzeniem w głosie hrabina.

— O pani sprawie?...

— Tak.

— Myślę, że nie ma najmniejszej wątpliwości, że będzie...

— Wygrana?

— Nie. Przegrana,

— Pan więc mówi, że przegram.

— Oczywiście. Dam pani jedną radę...

— Jaką?

— Jeżeli ma pani jakieś wyplaty, po zapadnięciu wyroku...

— To co?

— To trzeba mieć pieniądze w pogotowiu.

— Ach, Ekszelencjo, jesteście więc zgubieni.

— Pani hrabina pojmuje, że sprawiedliwość na takie względy nie zważa.

— Jednak obok sprawiedliwości jest jeszcze litość.

— Właśnie dlatego, pani hrabino, sprawiedliwość jest przedstawiana z zawiązanymi oczami.

— Nie odmówcie mi jednak rady, Ekszelencjo!

— Dobrze, proszę. Jakiego rodzaju oczekuje pani rady?

— Czy nie ma sposobu wejścia w układy, złagodzenia wyroku?

— Czy nie zna pani, hrabino, żadnego ze swoich sędziów — spytał kanclerz.

— Żadnego.

— To źle! Panowie de Saluces mają bliskie stosunki prawie z całym parlamentem.

Hrabina zadrżała.

— Niech pani pamięta, że w gruncie rzeczy to nic nie znaczy, bo sędzia nie powoduje się osobistymi względami...

Była to taka sama prawda, jak ta o prawości wicekanclerza. Hrabina omal nie zemdląła.

— Bądź co bądź — ciągnął kanclerz — pomimo nieskazitelności postępowania, jest zrozumiałe, że każdy sędzia więcej myśli o swym przyjacielu niż o kimś obojętnym. A ponieważ zgodnie z zasadami sprawiedliwości przegra pani swój proces, następstwa tego mogą przybrać bardzo dla pani nieprzyjemną formę.

— Ależ to przerażające, co mi Wasza Ekscelencja mówi.

— Co do mnie, niech mi pani wierzy, że będę neutralny. Nie mam zamiaru dawać poleceń sędziom, a ponieważ sam tu nie będę sędzią, mogę o tym mówić.

— Niestety! Panie ministrze, podejrzewam... Wicekanclerz utkwiał w hrabinie szare, małe oczka.

— Podejrzewam — mówiła hrabina — że panowie de Saluces mieszkając w Paryżu są w dobrych stosunkach ze wszystkimi sędziami i dlatego będą wszechmocni...

— Przede wszystkim mają za sobą prawo.

— Jakże to bolesne dla mnie słyszeć te słowa z ust człowieka nieomylnego, jakim jest Wasza Ekscelencja.

— Tak, pani, mówię to wszystko, bo jest prawdą, a jednak — ciągnął dalej z udaną dobroduszością — na honor, chciałbym pani pomóc.

Hrabina drgnęła. Zdawało się jej, że coś niejasnego kryje się w słowach kanclerza, czuła równocześnie, że gdyby udało jej się dotrzeć do właściwej treści tych słów, to dostrzegłaby coś korzystnego dla siebie.

— Imię, jakie pani nosi, jedno z najpiękniejszych imion Francji, jest dla mnie najlepszą rekomendacją.

— Która jednak nie przeszkodzi, abym przegrała sprawę,
O Ekscelencjo!

— Pani, ja nic nie mogę.

— O! Ekscelencjo! Ekscelencjo! — mówiła hrabina kiwając głową — to tak się teraz sprawy mają.

— Pani zdaje się chce powiedzieć — rzekł z uśmiechem Maupeou — że za naszych dobrych czasów szły lepiej.

— Niestety! Ekscelencjo, tak mi się przynajmniej zdaje

i z rozkoszą wspominam owe czasy, kiedy jako zwyczajny adwokat królewski w parlamencie wygłaszałeś cudowne mowy, które ja, wówczas młoda kobieta, przychodziłam oklaskiwać z zapalem. Co za wymowa, jaki ogień, jaka prawość! Ach! Panie kanclerzu, za tamtych czasów nie było intryg, względów, za tamtych czasów wygrałabym mój proces.

— Mieliśmy panią de Phalaris, która próbowała rządzić w chwilach kiedy regent zamykał oczy i Myszkę, która wszędzie się wkręcała, aby coś zgryźć.

— O! Pani de Phalaris była wielką damą, a Myszka tak dobrym dziewczęciem!

— Że nie podobna im było niczego odmówić.

— I one nie umiały odmawiać.

— Och! Pani! — śmiejąc się odpowiedział kanclerz — nie zmuszaj mnie do obmawiania naszej administracji, przez wzgląd dla czasów mojej młodości...

— Nie może jednak, Wasza Ekscelencja, zabronić mi płakać nad stratą mojego majątku, nad ruiną mego starożytnego domu.

— Otóż zaraz widać, że nie należysz pani, hrabino, do naszej epoki. Złóż naszym bożkom ofiary, złóż!...

— Niestety panie, bożki gardzą tymi, którzy przychodzą składać im hołd z próżnymi rękami.

— Skąd pani o tym wie? Nie próbowałaś pani tego, jak sądzę!

— Ach, Ekscelencjo. Mówi pan do mnie, jak przyjaciel.

— Przecież jesteśmy równi sobie wiekiem, hrabino.

— Czemu nie mam dwudziestu lat i czemu pan nie jest jeszcze zwykłym adwokatem. Broniłbyś mojej sprawy i nie byłoby przeciw nam Salucesów.

— Niestety! Nie mamy już po dwadzieścia lat, hrabino — rzekł kanclerz wzdychając — trzeba nam zatem udawać się do tych, którzy je mają, bo sama, hrabino, przyznajesz, że jest to wiek, w którym grają rolę wpływy. Czy nikogo nie znasz pani u dworu?

— Jedynie starych arystokratów, którzy wstydziłiby się dawnej przyjaciółki... dlatego, że zubożała. Panie kanclerzu, mam wstęp do Wersalu, gdybym chciała, poszłabym tam. Ale po co?

Ach! Niech odzyskam moje dwieście tysięcy liwrow dochodu, a znowu będą mnie szukali. Uczyni ten cud, Ekscelencjo! Kanclerz uśmiechnął się, że nie słyszy tych ostatnich słów.

— Na pani miejscu — rzekł — zapomniałbym o starych, jak oni zapomnieli o pani, i udałbym się do młodych, którzy starają się zjednać sobie stronników. Czy hrabina zna królową?

— Zapomniały o mnie.

— Zresztą, niewiele one mogą. A nie zna pani delfina? * — Nie.

— On teraz, wprawdzie, zanadto zajęty arcyksiężniczką, aby mógł o czym innym myśleć. Lecz poszukajmy między ulubieńcami.

Nawet nie wiem jak się nazywają.

— Pan d'Aiguillon?

— Lekkomysłny młodzieniec, o którym mówią niestworzone rzeczy.

— Trzeba temu wierzyć tylko w połowie. Poszukajmy jeszcze!

— Szukaj, Ekscelencjo, szukaj!

— Czemu nie miałaby pani udać się do samej hrabiny?

— Do pani Dubarry? — zapytała dama otwierając swój wachlarz.

— Tak, to w gruncie rzeczy dobra kobieta.

— Doprawdy?

— A nade wszystko, uczynna.

— Pochodzę ze zbyt starej rodziny, bym się jej mogła podobać.

— Mylisz się hrabino, właśnie ona stara się zjednać sobie stare rody.

— Doprawdy? — rzekła stara dama widocznie chwając się w oporze.

— Pani ją zna?

— Ależ nie, mój Boże!

— To źle. Ma duże wpływy.

— Tak. Lecz ja jej nigdy nie widziałam.

— Ani jej siostry Chon?

— Nie.

— Ani jej siostry Bischi?

— Nie.

— Ani jej brata Jana?

— Nie.

— Ani jej Murzyna Zamory? — Jak to, Murzyna?

— Tak, jej Murzyn, to potęga.

— To małe straszdyło, którego portrety sprzedają na Pont-Neuf, ten, podobny do przebranego mopsa?

Ten sam.

— Ja? Ja miałabym znać tego smolucha? — krzyknęła hrabina urażona w swej godności. — Jak możesz o to pytać, Ekscelencjo?

— Widocznie nie pragniesz hrabino odzyskać swoich dóbr.

— Dlaczego?

— Ponieważ gardzisz Zamorą.

— Lecz cóż Zamora może mieć z tym wspólnego.

— Może się bardzo przyczynić do wygrania procesu.

— On? Ten Murzyn? Ma mi dopomóc wygrać proces? W jaki sposób?

— Mówiąc swej pani, że zrobi mu to przyjemność, jeśli pani wygra proces. On ma wpływy. On robi wszystko co zechce, ze swą panią, a jego pani robi to co zechce z królem.

— Więc to Zamora rządzi Francją?

— Hm! Zamora ma wielkie wpływy i wolałbym poróżnić się z narzeczoną delfina niż z nim.

— Jezusie! — krzyknęła pani de Bèarn — gdyby mi to mówiła osoba mniej poważna niż Jego Ekscelencja...

— Nie tylko ja to mówię, lecz wszyscy. Zapytaj, hrabino, książąt i parów czy jadąc do Luciennes albo do Marly zapominają o cukierkach lub perłach dla Zamory. A czy pani wie przy jakim zastałaś zajęciu mnie, kanclerza państwa? Wyznaczałem dla niego dochody gubernatorskie.

— Gubernatorskie?

— Tak. Pan Zamora został mianowany gubernatorem Luciennes.

— Takim tytułem, jakim wynagrodzono hrabiego de Bèarn za dwadzieścia lat służby.

— Mianując go gubernatorem zamku Blois? Tak. To prawda.

— Co za upadek, mój Boże! — zawołała hrabina — Ależ to zguba monarchii.

— Ona jest bardzo chora, hrabino. Ale od chorego, który ma umrzeć należy wyciągnąć co tylko się da.

— Tak, tylko trzeba mieć sposobność zbliżenia się do niego.

— Wiesz czego trzeba hrabino, aby być dobrze przyjętą przez panią Dubarry?

— Czego?

— Trzeba, aby się tak złożyło, żebyś mogła ten gubernatorski dyplom wręczyć jej Murzynowi... świetny wstęp do załatwienia sprawy!

— Tak sądzisz, Ekscelencjo? — spytała zgorziona hrabina.

— Jestem tego pewny, ale...

— Ale nie zna pani nikogo z jej otoczenia?

— Prócz pana, Ekscelencjo!

— Ja byłbym w wielkim kłopotcie.

— Tak — mówiła biedna stara hrabina, złamana tą odpowiedzią — tak, fortuna nic dla mnie nie chce zrobić. Ekscelencja przyjął mnie tak, jakbym się nigdy tego nie mogła spodziewać. Nawet nadziei nie miałam, że dostąpię takiego zaszczytu. Nie dość, że gotowa jestem nadskakiwać pani Dubarry — ja jedna z de Bèarnów, nie dość że dla dostania się do niej przyjmuję rolę posłańca do tego szkaradnego Murzyna, którego nie zaszczyciłabym nawet kopniakiem spotkawszy go na ulicy, a teraz okazuje się, że nie mogę znaleźć sposobu dla zbliżenia się do tej poczwary. Pan de Maupeou zamyślił się, gdy wtem lokaj oznajmił:

— Pan wicehrabia Jan Dubarry!

Na te słowa kanclerz ze zdziwieniem klasnął w dłonie, a hrabina osunęła się na fotel zupełnie już wyczerpana.

— I ty, pani, mówisz, że fortuna cię opuściła! — zawołał kanclerz. — Przeciwnie, Opatrzność czuwa nad tobą!

Następnie odwróciwszy się do lokaja, nie dając hrabinie ochłonąć z wrażenia, rzekł: „Proś!”

Lokaj się oddalił, a po chwili wrócił poprzedzając naszego znajomego, Jana Dubarry, który wszedł wyprostowany, trzymając rękę na temblaku.

Po zwykłych przywitaniach, kiedy hrabina niepewna i drżąca usiłowała powstać, żeby odejść, kanclerz lekkim skinieniem głowy dał jej znać, że posłuchanie skończone.

— Przepraszam, Ekscelencjo: — odezwał się wicehrabia — przepraszam panią, że jej przeszkadzam. Pozostań pani, jeśli Ekscelencja nie ma nic przeciwko temu. Mam tylko parę słów do powiedzenia.

Hrabina, nie dając się dłużej prosić, usiadła. Serce jej biło mocno z radości.

— Może będę przeszkadzała — wyjąkała nieśmiało.

— Och! Nie! Mam tylko dwa słowa do Ekscelencji. Tyle tylko, żeby wnieść skargę.

— Skargę, mówi pan? — zawołał kanclerz.

— Rozbój, panie kanclerzu! Tak, rozbój! Pojmuje pan, że nie mogę darować takiej rzeczy. Niech nami poniewierają, niech żartują z nas w piosenkach, niech oczerniają. Wszystko to można znieść, ale niechże nas nie mordują. Tu już chodzi o życie!

— Niechże pan to wszystko opowie — rzekł kanclerz z udanym przerażeniem.

— Uczynię to natychmiast, ale... przerwałem posłuchanie.

— Pani hrabina de Bèarn — rzekł kanclerz, przedstawiając starą damę wicehrabiemu Dubarry.

Dubarry cofnął się składając z wdziękiem ukłon. Hrabina uczyniła to samo i oboje ukłonili się sobie z takim ceremoniałem, jak gdyby znajdowali się na pokojach królewskich.

— Poczekam, panie wicehrabio — powiedziała.

— Pani, hrabino, nie śmiem popełnić uchybienia wobec grzeczności.

— O! Proszę, pana, proszę! Mnie chodzi tylko o pieniądze, a panu o honor. Panu więc należy się pierwszeństwo.

— Pani — rzekł wicehrabia — skorzystam więc z pani uprzejmości.

I opowiedział kanclerzowi swoją przygodę. Ten wysłuchał go z uwagą.

— Panu potrzeba będzie świadków — rzekł Maupeou po chwili.

— Ach! Poznaję w panu nieskazitelnego sędziego, ufającego tylko niezaprzeczonej prawdzie. Znajdą się świadkowie — zawołał wicehrabia.

— Panie — rzekła hrabina — jeden już się znalazł.

— Któż nim jest — zawołali równocześnie wicehrabia i pan de Maupeou.

— Ja — odrzekła hrabina.

— Pani? — podchwycił kanclerz.

— Czy rzecz miała miejsce w wiosce de la Chaussée?”

— Tak, pani.

— Przy zmianie koni pocztowych?

— Tak.

— To będę pańskim świadkiem. Przejeżdżałam tamtędy w dwie godziny po wypadku.

— Doprawdy? — zapytał kanclerz.

— Uszczęśliwisz mnie pani! — dodał wicehrabia.

— W całej wsi mówiono o tym zajściu, z najdrobniejszymi szczegółami.

— Niech się pani strzeże, hrabino! Niech się pani strzeże! Jeśli zgodzisz się wyświadczyć mi przysługę, Choiseulowie znajdą sposób na to, abyś później tego żałowała.

— A tak! Istotnie — dodał kanclerz — i to tym łatwiej, że pani hrabina prowadzi obecnie proces, którego wygrana wydaje mi się bardzo wątpliwą.

— Ekscelencjo, Ekscelencjo — zawołała stara dama — podnosząc ręce do czoła — teraz już naprawdę staczam się w przepaść.

— Wesprzyj się hrabino, na silnym ramieniu tego pana — szepnął kanclerz.

— Ja mam teraz zdrowe tylko jedno. Ale znam kogoś kto wyciąga do ciebie pani, dwie mocne ręce.

— O! Panie wicehrabio! Czyż mogę w to wierzyć?

— Przysługa za przysługę. Przyjmuję pani, pani niech przyjmie moją. Dobrze?...

— Czy ją przyjmuję? Och! Za wiele szczęścia.

— A więc jadę do siostry. Niech pani raczy zająć miejsce w moim powozie.

— Jak to? Tak od razu... Bez żadnego przygotowania? Och! Bez powodu... Nie ośmieliłabym się.

— Powód łatwo się znajdzie — podchwycił kanclerz, wsuwając hrabinie do ręki dyplom Zamory.

— Panie kanclerzu! — zawołała hrabina — jesteś moim duchem opiekuńczym, tak jak hrabia jest kwiatem francuskiej szlachty.

— Do pani usług!... — powtórzył Dubarry, wskazując hrabinie drogę.

— Dzięki ci w imieniu siostry, kuzynie — wyszeptał wicehrabia do pana de Maupeou. — Dobrze odegrałem moją rolę, co?

— Wybornie — rzekł Maupeou. — Opowiedz tam, jak ja wykonałem swoją. Ale pilnuj się, stara jest mądra...:

W tejże chwili hrabina się odwróciła.

Obydwa panowie pożegnali się bardzo ceremonialnie.

Wspaniała karetka z królewską liberią oczekiwała przed gankiem. Hrabina pełna dumy zajęła miejsce w pojeździe. Ruszono.

Po wyjściu króla od pani Dubarry, hrabina została nareszcie sama z Chon i jej bratem. Ten ostatni umyślnie nie pokazywał się przedtem, aby nie rzucało się w oczy, to, że rana jego była właściwie bardzo lekka.

W wyniku narady rodzinnej z Chon i wicehrabią Dubarry, hrabina zamiast jechać do Luciennes, jak to mówiła królowi, udała się do Paryża.

Miała ona tam mały pałacyk, przy ulicy Valois, służący jako dogodne miejsce czasowego pobytu dla całej rodziny, niezmiernie energicznej i przedsiębiorczej, zwłaszcza w momentach, gdy w grę wchodził interes lub rozrywka.

Hrabina przejeżdżając przez Paryż nie mogła się powstrzymać od wychylania z powozu swej ładnej główki. Jak większość ładnych kobiet, lubiła się pokazywać, aby ją podziwiano. W rezultacie wieść o jej przybyciu do Paryża rozeszła się lotem błyskawicy i natychmiast po przybyciu do swej rezydencji hrabina zaczęła przyjmować wizyty.

Mogła imponować, przymilać się i kokietować. Gdyby pozostała choć na chwilę sama, nudziłaby się śmiertelnie.

Tymczasem pan Dubarry działał.

Wielki zegar na wieży kościoła św. Eustachego wskazywał pół do siódmej, gdy powóz wicehrabiego przejeżdżał tamtędy, wioząc hrabinę de Bèarn.

W czasie jazdy powozem rozmowa hrabiny de Bèarn z wicehrabią obracała się dookoła szczęśliwego zbiegu okoliczności, jaki pozwalał jej na tak szybkie zawarcie znajomości z panią Dubarry. Wśród szeregu wzajemnie prawionych sobie komplementów, pani de Bèarn wzdragała się czy wypada jej korzystać z tego szczęśliwego trafu, zaś Jan Dubarry, rozpraszając jej obawy, przybierał ton protekcyjnej uprzejmości.

Konie pędziły rącho i nasi podróżni jeszcze przed ósmą przybyli na miejsce.

— Pozwoli pani — odezwał się wicehrabia, zostawiając starą damę w powozie — że uprzedzę hrabinę Dubarry o zaszczycie jaki ją czeka.

— Och! Panie, nigdy bym sobie nie darowała, jeśli miałabym jej w czymkolwiek przeszkodzić.

Jan zbliżył się do Zamory, czatującego na przybycie wicehrabiego w pobliżu przedsiönka i wydał mu po cichu jakiś rozkaz.

W tejże chwili otworzyły się podwoje i lokaj wprowadził hrabinę de Bèarn do salonu, w którym pani Dubarry udzielała posłuchań.

W czasie gdy hrabina wzdychając podziwiała otaczający ją przepych, Jan Dubarry poszedł po siostrę.

— Czy to ona? — zapytała hrabina Dubarry. — Ona we własnej osobie.

— Niczego się nie domyśla?

— Absolutnie niczego.

— A Vice?

— Wyborny. Wszystko nam sprzyja, moja droga.

— Nie zostawajmy z sobą dłużej, aby się niczego nie domyśliła.

— Masz rację. Ma minę bardzo przebiegłej. Gdzie Chon?

— Wiesz przecież, że w Wersalu.

— Przede wszystkim niech się nie pokazuje.

— Zaleciłam jej to jak najusilniej.

— No, wychodź, księżniczko!

Pani Dubarry otworzyła drzwi buduaru i weszła do salonu.

Wszystkie ceremonie, jakie można było w danym przypadku zastosować — zostały zastosowane przez te dwie aktorki, ożywione pragnieniem przypodobania się sobie nawzajem.

Po trzykrotnej wymianie ukłonów, hrabina wskazała pani de Bèarn fotel, a sama usiadła w drugim.

XXXI. DYPLOM ZAMORY

— Pani — rzekła faworyta królewska do hrabiny — racz' mówić, słucham.

— Pozwól sestro — przerwał Jan — pozwól, że cię objaśnię. Pani hrabina nie przyszła do ciebie z prośbą. Kanclerz prosił ją, aby doręczyła ci pewne pismo. Oto wszystko.

Pani de Bèarn spojrzała na Jana z wdzięcznością, następnie podała hrabinie dyplom podpisany przez wicekanclerza, według którego Luciennes podniesione zostało do godności pałaców królewskich, a Zamora mianowany zarządcą tegoż pałacu.

— Mam więc wobec pani dług wdzięczności — odezwała się hrabina Dubarry, rzuciwszy okiem na podany jej dyplom — i chciałabym mieć sposobność oddania i pani jakiejś przysługi.

— Ależ to bardzo dobrze się składa — zawołała pani de Bèarn z ożywieniem, co uradowało Jana i faworytę królewską.

— Ponieważ raczyłaś, pani hrabino — mówiła dalej pani de Bèarn — powiedzieć, iż nazwisko moje nie jest ci nieznane... może więc słyszałaś o procesie, w którym chodzi o majątek mojej rodziny?

— Proces z panem de Saluces, jeżeli się nie mylę? Tak, tak, znam tę sprawę — rzekła Dubarry. — Jego Królewska Mość, będąc u mnie wczoraj wieczorem rozmawiał o tym z moim kuzynem, panem de Maupeou.

— I co?

— Niestety, hrabino! — odpowiedziała Dubarry z nutą współczucia w głosie. — Jeżeli mam być szczerą, to bardzo mnie pani sprawa niepokoi. Najjaśniejszy Pan powiedział, że te dobra należą słusznie do rodziny Salucesów.

— O Boże! Boże! Pani hrabino! Gdybym mogła osobiście stanąć przed parlamentem i bronić mojej sprawy, wykazałabym niezbitcie...

— Niezbitcie?... — podchwyciła hrabina, nic nie rozumiejąc padkach nie uciekano by się do wyroku trybunałów. Sąd Boży; rozstrzygnąłby sprawę. Co do mnie jestem tak bardzo przekonany o słuszności pani sprawy, że gdyby istniał jeszcze ten zwyczaj — ja sam ofiarowałbym się jako pani rycerz.

— Och! Panie!

— Zresztą nie zrobiłbym nic innego nad to co uczynił mój dziad Dubarry Moore, który sprzymierzył się z królewską rodziną Stuartów, gdy walczył w szrankach za młodą i piękną Edytę Scarborough i zmusił przeciwnika, do tego, że tamten przyznał się, że skłamał. Ale na nieszczęście — mówił hrabia z westchnieniem — nie żyjemy już w tamtych pełnych sławy czasach, a szlachta dochodząc swych praw, zmuszona jest dziś do oddawania spraw pod sąd prawników-gryzipiórków, którzy nie rozumieją wcale tak jasnej frazy, jak ta: „Nie będąc nic winien ludziom.”

— Słuchaj, kochany bracie, upłynęło już trzysta lat, kiedy to zdanie zostało napisane — rzekła pani Dubarry — i myślę, że zaszła tu okoliczność, którą w sądownictwie nazywają przedawnieniem.

— Nie, to nie ma znaczenia — odrzekł Jan — jestem przekonany, że gdyby Jego Królewska Mość słyszała panią, tak, jak nam pani przedstawiła swoją sprawę...

— Na pewno przekonałabym króla. Jestem tego pewna!

— I ja także.

— Ale w jaki sposób mogę mu to powiedzieć?

— Trzeba, aby pani odwiedziła mnie któregoś dnia w Luciennes. A ponieważ Najjaśniejszy Pan raczy bywać u mnie dość często...

— Zapewne, moja droga sestro, ale to zależy od przypadku.

— Wiesz dobrze, wicehrabio, iż zdaję się na los szczęścia i nigdy tego nie żałuję.

— Może się jednak zdarzyć, że tydzień, dwa, trzy upłynie i pani nie ujrzy króla. A proces wchodzi na wokandę w poniedziałek, lub wtorek.

— We wtorek, proszę pana — odezwała się pani de Bèarn.

— Więc jak to zrobić? — podchwycił hrabia, udając głęboki namysł. — Do diabła!...

— Może by tak posłuchanie w Wersalu...? — rzekła nieśmiało stara dama.

— O! Nie uzyskacie go, pani — powiedziała pani Dubarry.

— Przy pani protekcji...?

— To nic nie znaczy. Jego Królewska Mość nie cierpi spraw urzędowych, a obecnie zaprzątnięty jest głównie... moją prezentacją u dworu.

— Wiadomo pani zapewne, że mimo opozycji pana de Choiseul, pomimo intryg pana de Praslin i mimo zabiegów pani de Grammont, król postanowił, że będę przedstawiona.

— Nic o tym nie wiedziałam, pani hrabino.

— Kiedy nastąpi pani przedstawienie? — spytała pani de Bèarn.

— Król pragnie, aby się to odbyło przed przybyciem narzeczonej delfina, aby mógł zabrać moją siostrę na uroczystości do Compiègne. — wyjaśnił Jan.

— Ach! Rozumiem. Pani więc czyni przygotowania do prezentacji? — zapytała bojaźliwie pani de Bèarn.

— Mój Boże! Tak. Pani baronowa d'Alogny, zna pani baronową d'Alogny? — spytał Jan.

— Nie, panie. Niestety! Nikogo już nie znam. Dwadzieścia lat temu opuściłam dwór.

— Otóż pani baronowa d'Alogny będzie jej matką chrzestną. Król obsypie ją za to swymi łaskami. Jej mąż zostanie szambelanem, syn przejdzie do gwardii z obietnicą awansu, tytuł baronowski, jaki im przysługuje zostanie zamieniony na hrabiowski, a w dzień prezentacji pani baronowa odbierze dwadzieścia tysięcy talarów gotówką. Toteż nalega na pośpiech.

— Pojmuję — odpowiedziała pani de Bèarn z wdzięcznym uśmiechem.

— A wiesz co ja myślę? — wykrzyknął Jan.

— Cóż takiego? — spytała pani Dubarry.

— Jakie nieszczęście! Jakie nieszczęście — zawołał Jan wierząc się na krzesło — że tydzień temu nie spotkałem u naszego kuzyna wicekanclerza, pani hrabiny.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wówczas jeszcze nie porozumieliśmy się z baronową d'Alogny.

— Mój kochany — rzekła pani Dubarry — mówisz jak Sfinks. Nic nie rozumiem.

— Mogą się założyć, że pani hrabina zrozumiała.

— Przepraszam, panie, staram się zrozumieć, ale nadaremnie.

— Przed tygodniem nie miałaś matki chrzestnej?

— Oczywiście.

— Być może, pani, posuwam się za daleko. — Nie, panie, proszę niech pan mówi

— Pani przyjąłaby na siebie ten obowiązek. I to, co król zrobić ma dla pani d'Alogny, zrobiłby dla pani de Bèarn.

Oczy hrabiny rozszerzyły się ze zdumienia.

— Niestety! — rzekła.

— Ach! Gdyby pani wiedziała — mówił dalej Jan — jak chętnie Najjaśniejszy Pan udziela jej tych wszystkich łask. Nie trzeba go było o to prosić. Sam uprzedził wszelkie prośby. Skoro powiedziano mu, że baronowa d'Alogny zgodziła się zostać matką chrzestną Joanny, rzekł: „Świetnie, znudziły mi się już te wszystkie dziwaczki, które zdają się być bardziej dumne, niż ja. Czy nie ma ona jakiegoś poważniejszego procesu, długów, czy nie grozi jej bankructwo?...”

Oczy hrabiny de Bèarn rozszerzały się coraz bardziej.

— Tylko, rzekł król, jedno mi się w tym wszystkim nie podoba. Dla przedstawienia mi pani Dubarry, chciałbym kogoś o historycznym nazwisku. To mówiąc, Jego Królewska Mość spojrział na portret Karola I.

— Tak, rozumiem — rzekła hrabina de Bèarn. — Jego Królewska Mość powiedział tak, mając na myśli pokrewieństwo domu Dubarry Moore ze Stuartami, o którym niedawno pan wspominał.

— Właśnie.

— Prawdą mówiąc — rzekła pani de Bèarn z naciskiem — prawdę mówiąc, nigdy o rodzinie Alogny nie słyszałam.

— Dobra to jednak rodzina — rzekła pani Dubarry. — Złożyli podobno nawet jakieś dowody.

— Ach! Mój Boże — krzyknął nagle Jan zrywając się raptem z fotela. — Przyszła mi do głowy świetna myśl.

— Cóż to za myśl? — spytała pani Dubarry wstrzymując się od śmiechu na widok zachowania się brata.

— To świetna myśl, tylko, że nie można jej spełnić.

— Ale powiedz — nalegała pani Dubarry.

— Kiedy boję się, żeby komuś nie sprawić przykrości. — Mniejsza o to, hrabio, niech pan mówi — prosiła pani de Bèarn.

— Pomyślałem sobie, czy nie byłoby dobrze, gdyby powiedzieć pani d'Alogny, o uwadze jaką uczynił król przed portretem Karola I.

— Ależ wicehrabio, to byłoby niegrzecznie...

— Wielka szkoda — mówił dalej wicehrabia, jakby sam do siebie. — Wszystko doskonale by się złożyło. Pani, która nosi historyczne nazwisko i jest kobietą rozumną, zajęłaby miejsce baronowej d'Alogny. Wygrałaby pani sprawę, młody pan de Bèarn zostałby porucznikiem, a pani otrzymałaby zwrot kosztów, jakie poniosła pani w związku z podróżami do Paryża w sprawie swego procesu. Ach! Podobna okazja nie trafia się dwa razy w życiu!

— Niestety! Niestety! Z pewnością nie! — rzekła pani de Bèarn zaskoczona tym co usłyszała.

— Widzisz, mój bracie — powiedziała hrabina Dubarry, tonem głębokiego współczucia — zmartwiłeś hrabinę. A ja teraz o nic przecież nie mogę króla prosić, zanim nie będę przedstawiona u dworu.

— O! Gdybym mogła odroczyć termin mojej sprawy! — powiedziała pani de Bèarn.

— Chociaż o tydzień — dodała Dubarry. — Za tydzień będzie już po prezentacji.

— Król będzie wtedy w Compiègne, rozbawiony. Narzeczona delfina już przybędzie.

— Prawda, prawda — rzekł Jan — ale przychodzi mi do głowy nowa myśl. Twoja prezentacja u dworu jest nadal tajemnicą. Prawda?

— Oczywiście. Tylko pani jedna... Jan zbliżył się do obu pań.

— Pani uda, iż nie wie, że siostra ma być przedstawiona i że znalazła matkę chrzestną... Nas pani nie zna... i prosi o posłuchanie u króla.

— Pani hrabina utrzymuje, że król odmówi... — rzekła pani de Bèarn.

— Żąda pani audiencji i ofiarowuje się wprowadzić na dwór panią Dubarry. Króla, naturalnie, wzrusza ten pani gest, przyjmuje panią, dziękuje i pragnie się odwdziżyć. Pani wtedy zaczyna mówić o procesie...

Dubarry błyszczącym wzrokiem patrzyła na starą damę. Ta zaś zaczęła się trochę domyślać podstępu.

— Myśl jest doskonała — mówiła teraz pani Dubarry z uśmiechem — ale może pani hrabina nawet dla procesu nie podjęłaby się tej roli.

— Rzeczywiście — odparła pani de Bèarn — wołałabym. oddać pani inną, ważniejszą usługę i zyskać jej przyjaźń.

— Myślę jeszcze o jednym sposobie... — rzekł Jan. — Czy; jesteś w dobrych stosunkach, siostrzyczko, z baronową d'Alo-

— W jak najlepszych.

— Czy obraziłaby się gdybyś na jej miejsce poprosiła kogo innego? Nie potrzebujesz jej mówić o tym, co król powiedział. Jest zbyt niedawno szlachcianką, by doznać zaszczytu, jaki miałby jej przypaść. Ty masz rozumek i wynajdziesz kogoś innego, ona zaś, zaręczam, ustąpi. A pani hrabina odda i tobie przysługę i sobie zarazem.

Stara zaniepokoiła się. Tym razem przypuszczono szturm otwarcie. Nie było rady. Spróbowała jednak ostatniego wybiegu.

— Nie chciałabym obrazić tej damy — powiedziała. — [Wobec ludzi naszej sfery trzeba zachować pewne względy.

Dubarry spojrzała na panią de Bèarn z niechęcią. Jan skinął na nią, aby nic nie mówiła.

— Niech pani pamięta — mówił Jan do pani de Bèarn — że ja nic pani nie radzę. Pani ma proces. To się każdemu może zdarzyć. Chce go pani, naturalnie, wygrać. Proces, wydaje się, można uznać z góry za przegrany. To doprowadza panią do rozpacz. Poznałem panią w takiej właśnie chwili i wzruszyłem się pani sprawą, zająłem się nią i starałem się wszystko wyprowadzić na dobre tory. Żle uczyniłem. Nie mówmy o tym więcej.

I Jan wstał.

— Panie! — zawołała stara, przerażona tym, że rodzina Dubarrych, dotąd dla niej obojętna, może teraz występować przeciwko niej. — Ależ panie! Owszem. Uznaję, cenię pańską dobroć!

— Pojmuje pani — odparł Jan z doskonale udaną obojętnością — że dla* mnie to wszystko jedno czy siostra będzie wprowadzona na dwór przez panią d'Alogny, panią Polastron, czy panią de Bèarn.

— Ależ oczywiście, panie.

— Tylko, przyznaję się, bolałoby mnie to, że dobrodziejstwa króla mogą dotyczyć kogoś, kto powoduje się tylko zyskiem. Gdy tymczasem — mówił dalej Jan — pani, której nie proszono, którą zaledwie znamy i która wreszcie zgłasza swą gotowość, wydała mi się godną pod każdym względem, aby skorzystać z takiej okazji.

Hrabina de Bèarn, zdaje się, chciała zaprotestować przeciwko tej „gotowości”, o jakiej mówił wicehrabia, ale pani Dubarry nie dała jej na to czasu.

— Prawdę mówiąc — rzekła — podobne postępowanie mogłoby jedynie zachwycić króla, który takiej osobie nie mógłby niczego odmówić.

— Jak to? Pani mówi, że nie mógłby niczego odmówić? — zapytała pani de Bèarn.

— Tak jest. Uprzedziłby nawet prośby takiej osoby. Na własne uszy usłyszałyby pani, jak mówiłby do wicekanclerza: „Chcę, aby pani de Bèarn cieszyła się specjalnymi względami, rozumiesz mnie panie Maupeou?” Ale zdaje się, że hrabina upatruje w tym wszystkim trudności.

— No, cóż? Mam jednak nadzieję, że pani nie weźmie mi za złe moich dobrych chęci — powiedział wicehrabia i skłonił się pani de Bèarn.

— Och! Jestem panu bardzo wdzięczna, panie hrabio — zawołała stara.

— Nie ma za co — rzekł grzecznie Jan.

— Ale... — odezwała się hrabina — ale pani d'Alogny nie ustąpi swych praw.

— A więc wróćmy do tego cośmy już powiedzieli. Pani wystąpi z propozycją, a król będzie miał powód do wdzięczności.

— Przypuśćmy nawet, że pani d'Alogny zgodzi się ustąpić — rzekła hrabina de Bèarn, która chciała gruntowniej się we wszystkim zorientować — to czyż można pozbawiać ją korzyści?...

— Dobroć króla jest niewyczerpana — rzekła pani Dubarry.

— O! Jakże to zmiażdżyłoby Salucesów, których nie cierpię! — dodał Jan.

— Gdybym ofiarowała pani moje usługi — rzekła stara dama pociągnięta zarówno własnym wyrachowaniem jak i obserwowaniem komedii odgrywanej przez tych dwoje — nie mogłabym jeszcze uważać moich wszystkich kłopotów za skończone. Ów proces, który przez wszystkich uważany jest dziś za przegrany, jutro byłby tak sarno trudny do wygrania.

— Gdy tylko król zechce... — dodał pośpiesznie wicehrabia.

— Pani ma całkowitą słuszność i podzielam jej zdanie — przerwała królewska faworyta.

— Co mówisz? — zawołał zdziwiony Jan.

— Mówię, iż dla kobiety o takim nazwisku, jak pani, jest słuszne, aby proces szedł drogą normalną i prawidłową. Jednakże, ani woli, ani szczodroliwości królewskiej nikt nie może tamować i gdyby król, nie chcąc wpływać na wymogi sprawiedliwości, ofiarował pani inne wynagrodzenie?...

— Niestety! Jak wynagrodzić stratą dwustu tysięcy liwrów?

— Przede wszystkim darem królewskim w wysokości stu tysięcy liwrów — rzekła pani Dubarry.

Sprzymierzeni spojrzeli na swą ofiarę.

— Mam syna — rzekła pani de Bèarn.

— Tym lepiej! Jeszcze jedna podpora dla rządu, wierny sługa królewski.

— Czy zrobiono by cokolwiek dla mego syna?

— Ja za to ręczę — rzekł Jan. — Zostałby co najmniej porucznikiem gwardii.

— Czy posiada pani więcej krewnych? — spytała pani Dubarry.

— Mam jeszcze siostrzeńca.

— I dla niego coś wymyślimy.

— Pan się tym zajmie, panie wicehrabio — zawołała faworyta.

— A więc gdyby król uczynił to wszystko dla pani, czy okazałabyś mu wdzięczność?

— Uważałabym go za najbardziej wspaniałomyślnego” z monarchów a panią za najlaskawszą, gdyż miałabym przekonanie, że pani dla mnie najwięcej uczyniła.

— Niech pani raczej uważać, że naszą umowę; traktujemy poważnie.

— Wiem, pani, i zgadzam się — odrzekła stara, blada ze wzruszenia.

— Pozwoli pani, abym o niej pomówiła z Jego Królewską Mością?

— Proszę o ten zaszczyt. Kiedy mi będzie wolno stawić się u pani? — zapytała stara dama.

— Jutro z rana moja karetka zabierze panią i zawiezie do Luciennes. O dziesiątej zawiadomię króla. Ponieważ będzie on o pani przybyciu uprzedzony, nie będzie pani czekała.

— Pozwól pani, że jej będę towarzyszył — rzekł Jan, podając hrabinie ramię.

— Zamora! — zawołała pani Dubarry. Zamora nadbiegł.

— Poświęć pani hrabinie aż do ganku i niech tu zajedzie powóz mojego brata.

Zamora wybiegł jak strzała.

Dwie kobiety zamieniły ostatnie ukłony.

Kiedy doszli do schodów, Jan pożegnał panią de Bèarn i wrócił do siostry. Stara hrabina majestatycznie szła dalej. Brat z siostrą patrzyli przez okno na szacowną matkę chrzestną, tak żmudnie poszukiwaną i z takim trudem znaną.

W chwili, gdy pani de Bèarn schodziła z ostatniego stopnia, na podwórzu wjechał powozik i wyskoczyła z niego młoda kobieta.

— A! Pani Chon! — zawołał Zamora. — Dobry wieczór, pani Chon!

Pani de Bèarn osłupiała.

W przybyłej poznała bowiem ze zdziwieniem, swego gościa, rzekomą córkę pana Flageot.

Dubarry przez okno dawał siostrze znaki ręką.

Chon ujrzała te znaki, a patrząc w kierunku jaki jej ręką pokazywał wicehrabia, zobaczyła panią de Bèarn. Poznała ją, krzyknęła, zapuściła woalkę i zniknęła w przedsionku.

Stara dama udała, że niczego nie zauważyła. Wsiadła do karety i kazała się zawieźć do siebie.

XXXII. KRÓL SIĘ NUDZI

Król udał się do Marly, a zgodnie z tym, co zapowiedział, około trzeciej po południu kazał się zawieźć stamtąd do Luciennes.

Przypuszczał, że pani Dubarry, po odebraniu jego bileciku pośpieszy zaraz z Wersalu, aby oczekiwać na króla w uroczej siedzibie, jaką kazała sobie zbudować.

Moeno się też zdziwił, kiedy zastał w Luciennes jedynie Zamorę i to bynajmniej nie w roli dumnego gubernatora, lecz zajętego wrywaniem piór papudze, która usiłowała dosięgnąć go dziobem. Była to widocznie walka dwojga faworytów pani Dubarry, wzajemnie się nienawidzących, podobnie jak faworyci królewscy — pan Choiseul i pani Dubarry.

Król rozgościł się w małym salonie i odprawił swój orszak.

Nie miał zwyczaju wypytywania służących i lokajów, choć był chyba najbardziej ciekawskim z ludzi w swoim królestwie. Zamora jednak nie był nawet lokajem, był czymś pośrednim między małpą, a papugą.

Król zapytał więc tylko Zamorę:

— Czy hrabina w ogrodzie?

— Nie, panie — rzekł Zamora.

— A zatem jest przy karpicach?

— Nie, panie — odpowiedział Zamora.

— Więc gdzie jest?

— W Paryżu, panie.

— Jak to w Paryżu? Hrabina nie przyjechała do Luciennes?...

— Nie, panie. Ale przysłała tu mnie.

— Po co?

— Żebym czekał na króla.

— Ach! Tobie więc poruczono przyjmowanie mnie. To wspaniale! Towarzystwo Zamory! Dziękuję, hrabino, dziękuję!

I król wstał, zaczynając tracić cierpliwość.

— Och! Nie! — rzekł murzynek. — Król nie będzie miał towarzystwa Zamory.

— A dlaczego?

— Bo Zamora wyjeżdża.
— A dokądże ty jedziesz?
— Do Paryża.
— Więc ja mam tu zostać sam. A to jeszcze lepiej! A po co ty jedziesz do Paryża?
— Do pani Dubarry, powiedziec jej, że król jest w Luciennes.
— Ach, więc hrabina poleciła ci, abyś rai to powiedział.
— Tak; panie.
— A nie powiedziała ci co ja mam robić oczekując jej?
— Powiedziała, że będziesz spał.
— Ha! Zapewne zaraz przyjedzie — pomyślał król — i ma dla mnie jakąś niespodziankę.

Po czym głośno dodał:

— Jedź więc prędko i przywieź hrabinę... Ale... jak ty pojedziesz?
— Na wielkim białym koniu z czerwonym czaprakiem.
— A ile czasu potrzebuje wielki biały koń na drogę stąd do Paryża?
— Nie wiem. Ale niesie prędko, prędko, prędko. Zamora lubi jeździć prędko.
— No to przynajmniej dobrze, że Zamora lubi jeździć prędko.
I podszedł do okna, żeby zobaczyć odjeżdżającego Zamorę.

Wysoki lokaj wsadził na konia murzynka, a ten skulony na grzbiecie olbrzymiego rumaka ruszył z miejsca galopem, nie zdając sobie sprawy, jak to zwykle bywa z dziećmi, z niebezpieczeństwa tej jazdy.

Król zostawszy sam, zapytał lokaja czy nie ma czegoś nowego do obejrzenia w Luciennes.

— Jest pan Boucher — odrzekł lokaj — maluje wielki gabinet pani hrabiny.

— Ach! Boucher! Ten biedny Boucher jest tutaj — rzekł król, z rodzajem pewnego zadowolenia — i gdzież on jest?

— W pawilonie, w gabinecie. Czy Najjaśniejszy Pan chce, żeby go zaprowadzić do pana Boucher?

— Nie — rzekł król. — Wolę iść do karpi. Daj mi nóż!

— Nóż? Najjaśniejszy Panie?

— Tak. I bochenek chleba.

Lokaj powrócił niosąc na półmisku z japońskiej porcelany; okrągły bochenek chleba, w którym tkwił długi i ostry nóż.'

Król skinął na lokaja, aby szedł za nim i podążył ku sadzawce.

Karmienie karpi było tradycyjnym zwyczajem. Wielki król nie zaniedbywał tego zwyczaju ani przez jeden dzień.

Ludwik XV usiadł na ławce z mchu skąd roztaczał się wspaniały widok.

Widać było najpierw jezioro z zieleniejącymi brzegami, dalej wioskę pośród dwu pagórków, z których jeden od strony zachodniej wznosił się stromo, niby zielonym mchem pokryta skała. Znajdujące się tam kryte słomą chaty wyglądały z dala jak dziecinne zabawki ustawione w pudełku wymoszczonym trawą.

Nieco dalej wznosiły się szczyty Saint-Germain, olbrzymie pełne zieleni tarasy, jeszcze dalej błękitnawe brzegi Sannois i Corneilles, wreszcie niebo różowe i popielate nad tym krajobrazem, który wieńczyło niby przepyszna kopuła z miedzi.

Miało się na burzę. Liście odbijały czernią od seledynu łąk. Woda nieruchoma i stężała błyszcząca gładką powierzchnią. Od czasu do czasu wyskakiwała z wody tu i tam rybka, chwytając muszkę.

Król, jako człowiek, który posiadał sztukę zabijania czasu, przypatrzył się krajobrazowi ze wszystkich stron. Policzył domy, wioski i chatki w oddali. Wreszcie wziął chleb z talerza i zaczął go kroić na spore kromki.

Potem kęs po kęsie rzucał w wodę karmiąc rybki. Po pół godzinie król, cierpliwie wrzuciwszy ze sto kęsów do wody, znudził się i teraz przypomniał sobie, że Boucher może mu dostarczyć rozrywki.

Ludwik XV udał się więc do pawilonu. Boucher był już uprzedzony o odwiedzinach króla. Malując, a raczej udając, że maluje, obserwował spod oka zachowanie się króla. Zobaczywszy, że Ludwik XV zmierza do pawilonu, Boucher poprawił żaboty, wywinął mankiety i wszedł na drabinę, gdyż uprzedzono go, aby się nie zdradził, iż wie o pobycie króla w Luciennes. Wziął się więc do malowania

tłustego amorka wrywającego różę młodej pasterce w błękitnym atlasowym gorseciku i słomkowym kapeluszu. Ręka malarza drżała, serce biło mu mocno.

Ludwik XV zatrzymał się w proggu.

— Ach! Panie Boucher — rzekł — jakże od ciebie czuć terpentynę!

I poszedł dalej.

Biedny Boucher, wiedział, że król nie jest artystą, ale spodziewał się przecież innego komplementu. Z wrażenia omalże nie spadł z drabiny.

Zszedł na dół i ze łzami w oczach wyszedł z pawilonu nie wyskrobawszy palety i nie umywszy pędzli, co mu się nigdy dotąd po pracy jeszcze nie zdarzyło.

Ludwik XV spojrział na zegarek. Była siódma. Wrócił do zamku, podrażnił małpę, kazał gadać papudze i pozdejmował z półek, jedną po drugiej, wszystkie chińskie cacka.

Zapadła noc.

Król nie lubił ciemności, więc pozapalano lampy.

Ale król nie cierpiał także samotności.

— Za kwadrans konie! — wydał rozkaz.

— Daję jej jeszcze kwadrans — mruknął do siebie — ani minuty więcej!

I Ludwik XV położył się na sofie naprzeciw kominka, postanowiwszy poczekać piętnaście minut.

Za czterechsetnym poruszeniem się wahadła u zegara, który wyobrażał błękitnego słonia dźwigającego sułtankę — król już spał.

Jak się można domyślać, lokaj który przyszedł oznajmić, że powóz gotów, widząc śpiącego króla — nie budził go.

Z tego szacunku lokaja dla dostojnego snu królewskiego wynikło to, że król przebudziwszy się ujrzał naprzeciw siebie panią Dubarry, która patrzyła na niego swymi dużymi oczyma. Zamora stojąc u drzwi czekał na rozkazy.

— Ach! Otóż i jesteś, hrabino! — rzekł król wstając.

— Ależ tak, Najjaśniejszy Panie, jestem i to nawet od bardzo dawna — rzekła hrabina. — Przynajmniej od godziny, Och! Jak Wasza Królewska Mość twardo śpi.

— Słuchaj hrabino! Nie było tu ciebie i bardzo się nudziłem. Przy tym tak źle sypiam w nocy. Czy wiesz, że chciałem już odjeżdżać?

— Tak, widziałam konie Waszej Królewskiej Mości zaprzężone.

Król spojrział na zegarek.

— Och! Ależ to już pół do jedenastej — rzekł — spałem więc blisko trzy godziny.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, musisz jednak przyznać, że w Luciennes śpi się nieźle.

— Ale oczywiście! Ale cóż ja u licha widzę! — zawołał król patrząc na Zamorę.

— Widzisz gubernatora zamku Luciennes, Najjaśniejszy Panie.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — rzekł król śmiejąc się. — Jakim prawem ten hulaj nosi już mundur nie odebrawszy jeszcze nominacji, czy już tak bardzo liczy na moje słowo?

— Najjaśniejszy Panie, słowo twoje jest święte i my wszyscy mamy prawo na nie liczyć. Ale Zamora ma już więcej niż wasze słowo, albo raczej mniej niż wasze słowo, Najjaśniejszy Panie. Zamora ma dyplom.

— Jak to?

— Wicekanclerz mi go przysłał. Oto jest. Teraz tylko przysięga jest jedyną formalnością, jaka mu jest potrzebna dla pełnienia urzędu gubernatorskiego. Każ mu przysięgać, Najjaśniejszy Panie, i niech nas strzeże.

— Zbliź się, panie gubernatorze — rzekł król.

Zamora zbliżył się do króla. Ubrany był w mundur z haftowanym kołnierzem, ze szlifami kapitana. Miał na sobie krótkie spodnie, jedwabne pończochy. U boku przypasaną miał szpadę. Szedł sztywnie i krokiem odmierzonym, trzymając pod pachą stosowany kapelusz.

— Czy on potrafi przysięgać? — rzekł król.

— Och. Tak! Spróbuj mu rozkazać, Najjaśniejszy Panie!

— Zbliź się wedle rozkazu — rzekł król, z ciekawością przyglądając się Zamorze, tej zabawce hrabiny.

— Na kolana — zawołała hrabina.

— Złóż przysięgę — rozkazał król.

Chłopak położył jedną rękę na sercu, drugą położył na rękę króla i mówił:

— Przysięgam wiarę i hołd mojemu panu i mojej pani. Przysięgam bronić aż do śmierci zamku, którego straż mi powierzono, i zjeść aż do ostatka stoik konfitur nim się poddam, gdyby mnie atakowano.

Król zaczął się śmiać zarówno z formuły przysięgi jak i z powagi, z jaką ją Zamora wypowiedział.

W odpowiedzi na tę przysięgę — rzekł król, przybierając stosowną powagę — nadaję ci, panie gubernatorze, prawo zwierzchnicze, prawo wielkiego i małego sądu nad wszystkimi, którzy zamieszkują powietrze, ziemię, ogień i wodę w tym pałacu.

— Dziękuję, panie — rzekł Zamora, podnosząc się z kolan.

— A teraz — rzekł król — pokaz się w kuchni w swym pięknym mundurze, a nas zostaw w spokoju. Idź!

Zamora wyszedł.

Kiedy murzynek wychodził jednymi drzwiami, Chon wchodziła przez drugie. — Ach! Otóż i mała Chon. Jak się masz, Chon!

Król przyciągnął ją do siebie na kolana i pocałował. — No, moja mała Chon — mówił dalej — ty mi powiesz prawdę.

— Ach! Strzeż się, Najjaśniejszy Panie — odparła Chon. — Źle trafiłeś. Prawdę! Myślę, że byłoby to pierwszy raz w moim życiu. Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, udaj się do Joanny. Ona kłamać nie umie.

— Czy to prawda, hrabino?

— Najjaśniejszy Panie, Chon ma zbyt dobrą opinię o mnie. Przykład innych podziałał i na mnie i od dzisiejszego wieczora postanowiłam kłamać jak 'prawdziwa hrabina, jeśli okazało się, że nie jest dobrze mówić prawdę.

— Ach! — rzekł król — zdaje się że i Chon tai coś przede mną.

— Naprawdę, nie.

— Jakieś książątko, jakiś markizek, jakieś wicehrabiątko, z którym się widziała — rzekł król.

— Nie sądzę — odpowiedziała hrabina Dubarry.

— Cóż powiesz Chon?

— To samo, Najjaśniejszy Panie — rzekła Chon.

— Muszę kazać policji złożyć mi o tym raport.

— Policji pana Sartines, czy mojej? — spytała Dubarry.

— Pana Sartines — rzekł król.

— A ile mu zapłacisz, Najjaśniejszy Panie?

— Jeśli powie rzeczy ciekawe, nie będę się targował.

— Daj więc pierwszeństwo mojej policji i wysłuchaj mego raportu. Usłużę ci... po królewsku.

— Może sprzedasz swą własną tajemnicę?

— Dlaczego nie? Jeżeli suma będzie warta sekretu.

— No dobrze! Słuchajmy więc raportu. Ale nade wszystko bez kłamstwa.

— Francjo! Ty mnie obrażasz.

— Chciałem powiedzieć, bez wykrętów.

— A więc, Najjaśniejszy Panie, przygotuj zapłatę. Oto raport.

— Dobrze — rzekł król, brząknąwszy kilkoma sztukami złota, jakie miał w kieszeni.

— Najpierw hrabinę Dubarry widziano w Paryżu około godziny drugiej po południu.

— O tym wiem. A potem, potem?

— Przy ulicy Valois.

— Mogę się z tym zgodzić.

— Około szóstej Zamora przyjechał do niej.

— To także być może. Ale coź robiła pani Dubarry przy ulicy Valois?

— Była u siebie.

— Rozumiem. Ale w jakim celu była u siebie?

— Czekala na matkę chrzestną.

— Na matkę chrzestną! — rzekł król, krzywiąc się mimo woli. — Ma więc się ochrzcić?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. U wielkich źródeł Wersalu.

— Dalibóg, źle robisz! Bądź nadal poganką. Tak ci było z tym do twarzy.

— Cóż chcesz Najjaśniejszy Panie? Znasz przysłowie, że chcemy mieć to, czego nam brak.

— Ach! Więc chcemy mieć matkę chrzestną?

— I mamy ją, Najjaśniejszy Panie! Król drgnął i wzruszył ramionami.

— Bardzo lubię ten gest, Najjaśniejszy Panie. To mnie przekonało, że Wasza Królewska Mość wpadnie w rozpacz widząc klęskę księżnej Grammont, Guèmenèe i wszystkich niewiniątek dworskich.

— Co takiego?

— Bez wątpienia. Wchodzisz w przymierze z nimi wszystkimi.

— Ja wchodzę z nimi w przymierze?... Hrabino, dowiedz się o jednym, że król wchodzi w przymierze jedynie z królami.

— Prawda. Ale wszyscy wasi królowie są przyjaciółmi pana Choiseula.

— Mówmy o twojej chrzestnej matce, hrabino.

— Chętnie, Najjaśniejszy Panie!

— Potrafiłaś więc sfabrykować sobie matkę chrzestną?

— Znalazłam ją i to nie byle jaką, hrabinę de Bèarn... z niegdyś panującego domu. Nic więcej nie muszę dodawać. Ta spodziewam się, nie przyniesie hańby krewnym krewnych Stuartów.

— Hrabina de Bèarn? — rzekł zdziwiony król. — Znam tylko jedną, która mieszkać teraz musi w okolicach Verdun.

— Właśnie ta sama. Przyjechała tu umyślnie.

— I poda ci rękę?

— Obie.

— I kiedyż?

— Jutro, o godzinie jedenastej rano, będzie miała honor być u mnie na tajnym posłuchaniu. I w tymże czasie, jeśli pytanie nie jest niedyskretne, prosić będzie króla o wyznaczenie dnia? Ty, Najjaśniejszy Panie wyznaczysz jej, możliwie najbliższy, nieprawdaż?

Król roześmiał się, ale nieszczerze.

— Oczywiście, oczywiście — rzekł król, całując rękę hrabiny.

Ale nagle zawołał:

— Jutro o godzinie jedenastej?

— Tak jest. Podczas śniadania.

— Niemożliwe, droga przyjaciółko!

— Jak to, niemożliwe?

— Nie będę tu na śniadaniu. Wracam jeszcze dziś wieczorem.

— Cóż znowu — rzekła pani Dubarry, która poczuła pod wpływem tych słów, chłód w sercu. — Odjeżdżasz, Najjaśniejszy Panie?

— Muszę, koniecznie. Wezwałem do siebie Sartinesa w bardzo pilnej sprawie.

— Jak chcesz, Najjaśniejszy Panie. Ale spodziewam się, że przynajmniej zostaniesz na kolacji.

— O! Tak. Może zjem kolację... jestem bardzo głodny. Zjem tu kolację.

— Każ podawać do stołu, Chon — rzekła hrabina do siostry, dając jej jakiś znak, który miał zapewne związek z poprzednio ułożonymi planami.

Chon wyszła.

Król spostrzegł, że hrabina dawała jakieś znaki siostrze i choć nie mógł rozumieć o co chodzi, zgadł jednak, że kryje się za nimi jakaś zasadzka.

— Ach! Nie, nie! — rzekł. — Nie mogę jeść kolacji. Muszę natychmiast jechać. Mam papiery do podpisu. Dziś jest sobota.

— Niech więc tak będzie. Każę zaprzęgać konie.

— Dobrze, moja piękna.
— Chon! Chon weszła.
— Konie królewskie — rzekła hrabina.
— Dobrze — odrzekła Chon, uśmiechając się. I znowu wyszła.
W chwilę potem słychać było jej głos dobiegający z przedpokoju:
— Konie królewskie!

XXXIII. KRÓL SIĘ BAWI

Król, uradowany tym, że dzięki swej władzy mógł ukarać hrabinę za to, że czekał na nią, oraz zadowolony z tego, że ominie go nudna ceremonia przedstawienia, szedł do drzwi galonu.

Chon wróciła.

— Widziałaś moją służbę? — spytał król.

— Nie, Najjaśniejszy Panie! W przedpokoju nie ma nikogo ze służby Waszej Królewskiej Mości.

Król podszedł do drzwi. — Służba! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Wydawało się, że w pogrążonym w ciszy pałacu nie rozlega się nawet echo.

— Któż by w to uwierzył — rzekł król wracając do pokoju — że jestem wnukiem tego, który powiedział: „Omalże nie czekałem”.

Podszedł do okna i otworzył je.

Ale dziedziniec był pusty jak i przedpokój: ani koni, ani łuczników, ani straży królewskiej. Noc tylko rozpościerała się przed oczyma króla w ciszy i majestacie, rozjaśniona księżycem, w blasku którego drżały jak fale wierzchołki drzew w lesie Chatou, a miliony gwiazd migotało w Sekwanie, podobnej do olbrzymiego leniwego węża.

Wśród panującej wokół ciszy słowik improwizował Jedną ze swych cudnych pieśni, jakie słyszeć można tylko w maju, jak gdyby na radosne jego trele zasługiwały tylko pierwsze dni wiosny.

Cały czar jednak tej nocy stracony był dla Ludwika XV, który nie był poetą i nie lubił marzyć.

— No, hrabino! — rzekł z gniewem. — Wydaj rozkazy, proszę cię! Cóż u diabła! Czas, żeby się te żarty skończyły.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała hrabina z zalotną minką — nie ja tutaj rozkazuję.

— Ale i nie ja — rzekł Ludwik XV — bo widzisz, jak mnie tutaj słuchają.

— Ani ty, Najjaśniejszy Panie, ani ja.

— Któż więc. Czy to może ty Chon?

— Ja? — spytała Chon, która siedziała w drugim końcu salonu naprzeciw hrabiny. — Mam zbyt wiele kłopotów spełniając rozkazy, żebym miała brać na siebie jeszcze obowiązki wydawania poleceń.

— Więc kto tu jest panem?

— Ależ Najjaśniejszy panie, pan gubernator.

— Pan Zamora?

— Tak.

— Prawda. Niech zadzwonią, aby ktokolwiek przyszedł.

Hrabina niedbałym gestem wyciągnęła rękę w kierunku jedwabnego sznura ozdobionego perłami i zadzwoniła.

Lokaj, którego, według wszelkiego prawdopodobieństwa zawczasu pouczono, znajdował się w przedpokoju i wszedł natychmiast.

— Gubernatora!!! — zawołał król.

— Gubernator — odpowiedział z uszanowaniem lokaj — czuwa nad bezpieczeństwem Waszej Królewskiej Mości.

— Gdzież on jest?

— Jest na patrolu.

— Na patrolu? — zdziwił się król.

— Tak jest. Z czterema oficerami — odpowiedział lokaj.

— Zupełnie jak pan de Marlborough — wykrzyknęła hrabina.

Król nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Tak. To jest zabawne — rzekł — ale to nie przeszkadza, żeby zaprzęgano konie.

— Najjaśniejszy Panie, pan gubernator kazał pozamykać stajnie, z obawy, aby nie zakradł się tam złoczyńca.

— A gdzie są moi masztalerze?

— W wozowni, Najjaśniejszy Panie!

— Co robią?

— Śpią.

— Jak to śpią?

— Z rozkazu gubernatora.

— A bramy? — spytał król.

— Jakie bramy, Najjaśniejszy Panie?

— Bramy zamku.

— Zamknięte.

— Rozumiem. Ale gdzie są klucze?

— Najjaśniejszy Panie, klucze ma zawieszony u pasa pan ' gubernator.

— Co za porządki w tym zamku — rzekł król.

Lokaj oddalił się, ponieważ król nie zadawał mu więcej pytań.

Hrabina wyciągnięta w fotelu obrywała piękną różę, przy której usta jej wydawały się jak z koralu.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła, z omdlewającym uśmiechem — lituję się nad Waszą Królewską Mością. Podaj mi rękę, królu, i chodźmy szukać. Chon! Poświęć nam.

Chon wyszła pierwsza, jakby gotowa ostrzec o niebezpieczeństwie, jakie mogłoby się przytrafić.

Na zakręcenie pierwszego korytarza nozdrza królewskie mile polechła woń, która mogłaby wzbudzić apetyt najwybredniejszego smakosza.

— Cóż to tak zapachniało, hrabino? — rzekł król zatrzymując się.

— Kolacja, Najjaśniejszy Panie. Spodziewałam się, że król zaszczyli mnie tym, że będzie jadł kolację w Luciennes. Przygotowałam się więc do tego.

Ludwik XV wdychał z lubością smakowite zapachy, przypomniał sobie jednocześnie, że jego żołądek już od jakiegoś czasu upomina się o swoje prawa. Pomyślał ponadto, że nawet gdyby zrobić wielki hałas, trzeba pół godziny na obudzenie masztalerzy, kwadransa na zaprzęgnięcie koni, co najmniej dziesięciu minut na drogę do Marly. I że w dodatku w Marly, gdzie go nie oczekiwano, kolacja nie będzie przygotowana. Wciągnął w nozdrza przyjemne zapachy i poprowadził hrabinę w kierunku jadalni.

Na bogato zastawionym stole przygotowane były już dwa nakrycia.

— Dobrego masz kucharza — powiedział Ludwik XV.

— Najjaśniejszy Panie, dziś właśnie wypróbowałam jego zdolności i nieborak starał się jak tylko mógł, w nadziei, że zasłuży na pochwałę Jego Królewskiej Mości.

— No więc, hrabino, zróbmy przyjemność twojemu kucharzowi — rzekł król z uśmiechem — a może podczas wieczerzy Zamora powróci z patrolu.

— Ach! Najjaśniejszy Panie! To doskonały pomysł — rzekła hrabina, nie mogąc ukryć zadowolenia z tego że, jak dotąd, wszystko idzie po jej myśli. — Proszę, Najjaśniejszy Panie, proszę!

— Ale kto nam będzie służywał — rzekł król — nadaremnie szukając wzrokiem choćby jednego lokaja.

— Ach! Najjaśniejszy Panie czy kawa wydaje się gorsza, gdy ja ją sama podaję?

— Nie, hrabino. Wtedy jest chyba właśnie najlepsza.

— Dwa tylko nakrycia... — zdziwił się król. — A Chon? Czy już jadła kolację?

— Najjaśniejszy Panie, nie ośmielono by się bez wyraźnego rozkazu Waszej Królewskiej Mości...

— No, no — rzekł król biorąc sam nakrycie z etażerki.

— Chodź tu, mała Chon. Siadaj naprzeciwko nas.

— Och! Najjaśniejszy Panie! — szepnęła Chon.

— A tak. Tak. Udawaj najpokorniejszą i najbardziej posłuszną poddaną. Ty, mała hipokrytko! Siadaj tu! A ty, hrabino, obok mnie. Jaki śliczny masz dziś profil.

— Czy to dopiero dziś spostrzegłeś, panie Francjo?

— Cóż chcesz? Przywykłem patrzeć na ciebie en face, hrabino. Doprawdy twój kucharz jest nadzwyczajny. Cóż to za wspaniała zupa!

— Miałam więc rację, że odprawiłam poprzedniego.

— Oczywiście.

— A więc Najjaśniejszy Panie, pójdź za moim przykładem. Widzisz, że to na dobre wychodzi.

— Nie rozumiem.

— Ja odprawiłam mojego Choiseula, a ty odpraw swojego.

— Nie mówmy o polityce, hrabino! Nalej mi madery. Król podał kieliszek hrabinie, która wzięła karafkę z wąską

szijką i napełniła kieliszek króla. Gdy nalewała, palce, które ujmowały kieliszek zbieleły, a paznokcie zaróżowiły się jeszcze bardziej.

— Nalewaj długo i powoli, hrabino — rzekł król patrząc na nią.

— Ażeby nie zmącić wina, Najjaśniejszy Panie?

— Nie. Ale żebym mógł lepiej przypatrzeć się twojej ręce.

— Ach! Doprawdy, Najjaśniejszy Panie — rzekła, śmiejąc się hrabina — Wasza Królewska Mość jest w stadium dokonywania odkryć.

— Istotnie — rzekł król, odzyskując powoli doskonały humor — i sądzę, że jestem zdolny, aby odkryć...

— ...świat? — zapytała hrabina.

— Nie! Nie! — zaprzeczył król. — Świat to za wiele. Dość mam już jednego królestwa. Ale wysepkę, zakątek ziemi, górę zaczarowaną, pałac, którego Armidą będzie moja przyjaciółka, a wejścia do tego pałacu strzeżone będą przez groźne potwory. Jeśli będę chciał zapomnieć...

— Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina — podając królowi karafkę mrożonego szampana, co było nowością w owej epoce. — Oto woda czerpana z rzeki Lety.

— Z rzeki Lety, hrabino? Czy jesteś tego pewna?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, biedny Jan przyniósł ją z piekieł, dokąd już niemal wstąpił.

— Hrabino — rzekł król podnosząc kieliszek — pijmy za jego szczęśliwe zmartwychwstanie, ale proszę nie mówmy więcej o polityce.

— W takim razie nie wiem o czym mam mówić, Najjaśniejszy Panie. Może Wasza Królewska Mość opowie jakąś historię. Wasza Królewska Mość tak pięknie opowiada.

— Powiem ci wiersze.

— Wiersze? — zawołała pani Dubarry.

— Tak. Wiersze. Cóż w tym dziwnego?

— Wasza Królewska Mość nienawidzi wierszy.

— Ze stu tysięcy jakie piszą, dziewięćdziesiąt tysięcy jest pisanych przeciwko mnie.

— A te, które Wasza Królewska Mość chce mi powiedzieć?

— Te, które chcę ci przeczytać, pisane są pod twoim adresem.

— Do mnie? Przez kogo? — Przez pana Voltaire'a.

— I on upoważnił Waszą Królewską Mość...?

— Bynajmniej. Adresował je wprost do Jaśnie Oświeconej, Hrabiny.

— Jak to, bez listu?

— Owszem. Razem z bardzo miłym listem.

— Ach! Rozumiem. Wasza Królewska Mość musiał pracować dziś rano z dyrektorem policji.

— Tak. Właśnie.

— Przeczytaj więc, Najjaśniejszy Panie, wiersze Voltaire'a. Ludwik XV rozwinął niewielki arkusik papieru i odczytał następujące wiersze:

Bogini rozkoszy, czuła matko Gracji,

po cóż chcesz mieszać do uroczystości na Paphos
czarne podejrzenia, sromotną niełaską?
Po cóż przemyślasz nad zgubą bohatera?
Ulisses drogim jest dla ojczyzny,
on jest podporą dla Agamemnona.
Jego działalność i geniusz polityczny
równe są waleczności dumnego Ilionu.
Panuj nad bogami, Venero!
Nad wszystkimi sercami króluj pięknnością!
Zbieraj wśród wesela róże rozkoszy!
Ale racz uśmiechnąć się do naszych życzeń
i przywróć spokój wzburzonemu Neptunowi.
Ulisses, ten śmiertelnik, groźny dla Trojan,
którego w gniewie prześladujesz
nie jest groźny dla piękności, chyba, gdy wzdycha na klęczkach.

— Stanowczo, Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina, więcej dotknięta niż wdzięczna za tę poezję — stanowczo pan chce się z wami pogodzić.

— Och! Jeśli o to chodzi, to daremny trud — rzekł Ludwik XV. — Voltaire to wartogłów, który wszystko przewróciłby do góry nogami, gdyby przybył do Paryża. Niech sobie jedzie do swego przyjaciela, mojego kuzyna, Fryderyka II. Dość tutaj mamy już pana Rousseau. Ale weź sobie te wiersze, hrabino, i zastanów się nad nimi.

Hrabina wzięła papier, skręciła w trąbkę i położyła przy swoim talerzu. Król patrzył na to.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła Chon — trochę tokaju.

— Pochodzi z piwnic cesarza austriackiego — rzekła hrabina.

— Ach! Z piwnic cesarza? — zdziwił się król. — Tylko ja jeden je mam.

— Właśnie, dostałam je od piwnicznego Waszej Królewskiej Mości.

— Jak to? Przekupiłaś go, hrabino?

— Nie. Rozkazałam.

— Dobrze powiedziane, hrabino. Król jest głupi.

— Och! Tak, ale „pan Francja”...

— Pan Francja ma przynajmniej tyle rozumu, żeby cię kochać z całego serca.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, czemu nie jesteś tylko „panem Francją”.

— Hrabino, nie mówmy o polityce.

— Czy król będzie pił kawę? — zapytała Chon.

— Naturalnie. Hrabina wstała.

— Co robisz?

— Chcę wam usłużyć, Miłościwy Panie.

— Zgoda — rzekł król, wyciągając się wygodnie w fotelu, jak ktoś, kto po doskonałej kolacji jest w jak najlepszym nastroju. — Widzę, że najlepiej zrobię, kiedy pozwolę ci działać według twojej woli, hrabino.

Hrabina przyniosła na srebrnej podstawce imbryczek z gorącą mokrą. Postawiła przed królem na talerzu pozłacaną filiżankę i karafeczkę z czeskiego kryształu. Potem przy nakryciu położyła zwinięty papier.

Król z uwagą, jaką zwykle zachowywał przy podobnej czynności, odliczył cukier, wymierzył kawę i powoli wlewając spirytus wziął zwinięty papier, zapalił go w płomieniu świecy i podpalił spirytus. Potem rzucił palący się papier na podstawkę, gdzie ten spłonął do reszty.

W pięć minut później król pił kawę rozkoszując się, jak prawdziwy smakosz.

Hrabina patrzyła na to, a przy ostatniej kropli zawołała:

— Ach, Najjaśniejszy Panie! Zapaliłeś kawę wierszami pana Voltaire'a. To sprowadzi nieszczęście na Choiseulów.

— Pomyliłem się — rzekł król śmiejąc się. — Nie jesteś czarodziejką, jesteś demonem.

Hrabina wstała i rzekła:

— Najjaśniejszy Pan chce się dowiedzieć czy gubernator powrócił?

— A! Zamora? A po co?

— Żeby jechać do Marly, Najjaśniejszy Panie.

— Prawda — rzekł król, starając się zwalczyć stan błędnego rozleniwienia, w jakim się znajdował. — Chodźmy więc dowiedzieć się, hrabino. Chodźmy!

Pani Dubarry dała znak Chon, która zniknęła.

Król rozpoczął poszukiwania, ale przyznać trzeba, że wyglądały one zupełnie odmiennie od poprzednich. Filozofowie powiedzieli słusznie, że czarna lub różowa barwa w jakiej człowiek widzi świat zależy zwykle od stanu jego żołądka.

Otworzyły się drzwi komnaty obitej niebieskim atłasem w kwiaty, ukazując w przyćmionym świetle alkowę, ku której od dwóch godzin prowadziły króla wszystkie manewry pani Dubarry.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina — zdaje się, że Zamora jeszcze nie wrócił, że jesteśmy jeszcze nadal zamknięci, stąd chyba tylko oknem moglibyśmy się wydostać.

— Czy razem z łóżkiem? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekła hrabina, z wdzięcznym uśmiechem — używajmy, lecz nie nadużywajmy.

Król, śmiejąc się, wziął hrabinę w objęcia, a hrabina upuściła piękną różę, której płatki rozsypały się po podłodze.

XXXIV. VOLTAIRE I ROUSSEAU

Była dziesiąta godzina, gdy król wyszedł z błękitnego pokoju.

Tym razem powozy królewskie oczekiwały od godziny na głównym dziedzińcu.

Zamora z założonymi rękoma wydawał, lub udawał, że wydaje rozkazy.

- Król spojrział w okno i dojrzał te wszystkie przygotowania do odjazdu.

— Cóż to znaczy, hrabino? — zapytał. — Czy nie będziemy jedli śniadania? Można by rzec, że chcesz odprawić mnie na czczo.

— Niech Bóg zachowa, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedziała hrabina. — Ale sądziłam, że Wasza Królewska Mość ma się widzieć w Marly z panem Sartinesa.

— Ależ zdaje mi się, że można tutaj wezwać Sartinesa.

— Wasza Królewska Mość uczyni mi honor wierząc w to, że nie tylko jemu ta myśl przyszła do głowy — rzekła z uśmiechem hrabina.

— A przy tym ranek jest zbyt piękny, aby pracować. Zjedźmy śniadanie.

— Najjaśniejszy Panie, trzeba by przecież podpisać niektóre papiery dla mnie.

— Dla pani de Bèarn?

— Tak. A przy tym wyznaczyć dzień i godzinę mojej prezentacji.

— Na honor — rzekł król — zasłużyłaś na przedstawienie hrabino. Sama wyznacz dzień.

— Najjaśniejszy Panie, możliwie jak najbliższy.

— Wszystko więc jest przygotowane?

— Tak.

— Nauczyłaś się trzech ukłonów?

— Spodziewam się. Od roku wprawiam się do tego.

— Masz suknię?

— Wystarczy na to dwadzieścia cztery godziny,

— Masz matkę chrzestną?

— Za godzinę tu będzie.

- A więc, hrabino zawrzyjmy układ.
- Jaki?
- Nie wspomnisz mi więcej o zajściu jakie miał wicehrabia Jan z baronem de Taverney.
- Zgoda, Najjaśniejszy Panie. Nie będziemy już o tym mówili.
- A dzień?
- Pojutrze.
- Godzina?
- O godzinie dziewiątej wieczorem. Jak zwykle.
- Zatem sprawa załatwiona, Najjaśniejszy Panie.
- Tak jest.
- Słowo królewskie?
- Słowo szlacheckie.

Pani Dubarry wyciągnęła do króla śliczną, małą rączkę, na której Ludwik XV położył swoją dłoń.

Tego ranka w Luciennes wszyscy byli świadkami dobrego humoru króla. Ustąpił on w jednym, tak jak właśnie od dawna już postanowił, ale za to przeprowadził to co chciał, w sprawie Jana Dubarry.

Uważał to za swoją wygraną: da sto tysięcy liwrow Janowi pod warunkiem, że ten je straci u wód w Pirenejach lub w Auvergne, co w oczach Choiseulów będzie uchodziło za wygnanie.

Tego dnia tak radosnego dla króla znalazły się luidory dla ubogich, ciastka dla karpi i komplementy dla malowideł Bouchera.

Pomimo doskonałej kolacji, którą wczoraj jadł, królowi bardzo smakowało śniadanie.

Wybiła wreszcie godzina jedenasta. Hrabina usługując królowi rzucała co chwila okiem na zegar.

Sam król powiedział nawet, że jeżeli pani de Bèarn przyjedzie, można ją wprowadzić do sali jadalnej.

Podano kawę, delektowano się nią, a pani de Bèarn nie przyjeżdżała.

Kwadrans po jedenastej usłyszano na dziedzińcu tętent konia.

Pani Dubarry zerwała się z miejsca i podbiegła do okna.

Goniec od Jana Dubarry zsiadał ze spienionego konia.

Hrabina zadrżała. Ale ponieważ postanowiła nie okazywać królowi swego zdenerwowania, ażeby go utrzymać w dobrym usposobieniu, powróciła i usiadła obok niego.

W chwilę potem weszła Chon z bilecikiem w ręku.

— A co tam Chon, liścik miłosny? — spytał król i przyciągnął do siebie siostrę faworyty, nucąc piosenkę.

Hrabina usunęła się we framugę okna i czytała co następuje:

„Nie oczekuj starej szachrajki. Udaje, że wczoraj wieczorem oparzyła sobie nogę i nie wychodzi z pokoju. Podziękujmy Chon za jej wczorajsze przybycie nie w porę. Jej to wszystko zawdzięczamy. Ta czarownica ją poznała i cała komedia przepadła. Szczęście, że ten hultaj Gilbert, który jest przyczyną wszystkiego, przepadł. Kark bym mu skręcił. Jeśli go spotkam, niech będzie spokojny, nie minie go to z pewnością. Przybывaj natychmiast do Paryża, lub będziemy znów tym czym byliśmy przedtem.

Jan”

— Co się stało? — zapytał król dostrzegając nagłą bladość hrabiny.

— Nic, Najjaśniejszy Panie. Biuletyn o stanie zdrowia mojego brata.

— Coraz lepiej, kochanemu wicehrabiemu?

— Coraz lepiej — rzekła hrabina — dziękuję, Najjaśniejszy Panie. Ale oto powóz wjeżdża na dziedziniec.

— To na pewno nasza hrabina.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, to pan Sartines. Zostawię ci z nim, a sama idę się przebrać.

— A pani de Bèarn?

— Gdy tylko przyjedzie, Najjaśniejszy Panie, będę miała zaszczyt uprzedzić o tym Waszą Królewską Mość — rzekła hrabina, mnąc w ręku nerwowo bilecik.

— Opuszczasz więc mnie hrabino? — rzekł król z westchnieniem.

— Najjaśniejszy Panie, dziś niedziela... podpisy... podpisy... Podała królowi policzek do pocałunku, po czym wyszła z pokoju.

— Do diabła z podpisami i tymi co po nie przychodzą — rzekł król.

Wszedł Sartines.

— Ach! Oto i jesteś — rzekł król. — Jakże jesteś punktualny.

Powiedziane to było takim tonem, że nie można było ocenić, czy była to pochwała czy nagana.

Sartines otworzył teczkę i przygotowywał się do wyjęcia papierów.

Wtem usłyszano skrzywienie kół powozu.

— Poczekaj Sartines — rzekł król i podbiegł do okna.

— Cóż to — powiedział — hrabina wyjeżdża?

— Ona we własnej osobie — odrzekł minister.

— A więc nie czeka na hrabinę de Bèarn?

— Najjaśniejszy Panie, gotów jestem przypuszczać, że znudziła się czekaniem i jedzie po nią.

— Jednakże pani ta miała przyjechać dziś rano.

— Najjaśniejszy Panie, jestem prawie pewny, że nie przyjedzie.

— Jak to? Wiesz więc coś o tym, Sartines?

— Najjaśniejszy Panie, wypada mi, żebym wiedział po trosze o wszystkim, abyś Wasza Królewska Mość był ze mnie zadowolony.

— Cóż więc się stało? Opowiedz mi.

— Ze starą hrabiną, Najjaśniejszy Panie?

— Tak.

— To co się przytrafia we wszystkich sprawach, Najjaśniejszy Panie: trudności.

— Ale czy wreszcie przyjedzie?

— Hh, hm, Najjaśniejszy Panie. Ta rzecz była pewniejsza wczoraj wieczorem niż dziś rano.

— Biedna hrabina — westchnął król, a równocześnie w oczach jego pojawił się błysk radości.

— A co jest najgorsze dla hrabiny Dubarry, to to, że jeżeli nie będzie przedstawiona przed przyjazdem narzeczonej delfina, nigdy już nie będzie przedstawioną.

— Tak, Sartines, masz rację. Powiadają, że moja przyszła synowa jest surowa, bardzo pobożna i bardzo skromna. Biedna hrabina!

— Zapewne — mówił dalej Sartines — nie odbyć prezentacji — to będzie wielka przykrość dla pani Dubarry, ale w takim wypadku zaoszczędzi sobie Wasza Królewska Mość wielu nieprzyjemności.

— Tak myślisz, Sartines?

— Naturalnie. Mniej wtedy będzie zazdrosnych, oszczerców, piosenek, pochlebców, artykułów w gazetach. Jeżeli pani Dubarry zostanie przedstawiona, Najjaśniejszy Panie, będzie nas to kosztowało sto tysięcy franków na policję nadzwyczajną.

— Doprawdy, biedna hrabina. A jednak ona tak tego pragnie.

— Niech więc Wasza Królewska Mość rozkaże, a życzenia hrabiny zostaną spełnione.

— Co ty mówisz Sartines? — zawołał król. — Doprawdy, czyż ja mogę się mieszać do tej sprawy? Czy mogę podpisać rozkaz, aby okazywano uprzejmość pani Dubarry? I to ty, Sartines, ty, człowiek rozumny doradzasz mi radykalne posunięcia dla dogodzenia kaprysowi hrabiny?

— O! Bynajmniej, Najjaśniejszy Panie! Ja poprzestaję na powtarzaniu, tak jak Wasza Królewska Mość: „biedna hrabina”,

— Przy czym jej położenie — rzekł król — nie jest jeszcze beznadziejne. Wszystko widzisz w kolorze twej czarnej szaty,

Sartines. Któż nam powiedział, że pani de Bèarn nie zmieni swojego zdania? Któż nas zapewni, że narzeczona delfina zaraz przyjedzie? Mamy jeszcze cztery dni nim stanie w Compiègne. W ciągu czterech dni wiele można zrobić. No, bierzmy się do pracy Sartines.

— Wasza Królewska Mość! Tylko trzy podpisy.

I minister policji wydobyl pierwszy papier z teczki.

— O! — rzekł król. — Tajny rozkaz. — Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Przeciwno komu?

— Proszę niech Wasza Królewska Mość zobaczy!

— Przeciwno panu Rousseau. Kto to taki? I co on zrobił?

— Ha! Umowa społeczna, Najjaśniejszy Panie.

— A! To przeciw Janowi Jakubowi? Chcesz więc go wsadzić do Bastylii?

— Najjaśniejszy Panie, on sieje zgorzenie.

— Cóż u licha chcesz, żeby robił?

— Zresztą ja nie twierdę, że trzeba go uwięzić.

— Po cóż więc rozkaz?

— Najjaśniejszy Panie, aby mieć oręż w pogotowiu.

— Wcale mi nie idzie o tych waszych wszystkich filozofów. Tylko, widzisz, narobiono by wiele hałasu. Zresztą, zdawało mi się, że ma prawo na pobyt w Paryżu.

— Tolerowane, Najjaśniejszy Panie, pod warunkiem, żeby się nie pokazywał.

— A on się pokazuje?

— Nic innego nie robi, jak tylko to.

— W ubiorze ormiańskim?

— Och nie! Najjaśniejszy Panie. Kazaliśmy mu go zrzucić.

— I usłuchał?

— Tak, ale krzycząc, że jest prześladowany..

— A jak się teraz ubiera?

— Tak, jak wszyscy, Najjaśniejszy Panie!

— Zgorzenie przeto nie jest wielkie.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie? Człowiek, któremu zabroniono pokazywać się... Niech Wasza Królewska Mość zgadnie gdzie bywa co dzień?

— U marszałka Luksemburga, u pana d'Alemberta, u d'Epinay'a.

— W kawiarni Regencji, Najjaśniejszy Panie. Grywa tam w szachy co wieczór, przez upór, bo zawsze przegrywa. I co dzień potrzeba mi brygady policji dla czuwania nad zbiegowiskiem, jakie się tworzy koło tego domu.

— No — rzekł król — paryżanie są jeszcze głupszy niż myślałem. Pozwól, Sartines, niech się bawią. Przez ten czas nie będą narzekali na nędzę.

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Ale jeśli przyjdzie mu do głowy wygłaszać przemówienia, jak to robił w Londynie?

— Och! W takim razie, ponieważ to będzie występki i to występki publiczny, tajny rozkaz nie będzie potrzebny, Sartines.

Minister policji, widząc, że aresztowanie Rousseau'a byłoby krokiem, za który król nie chciał brać odpowiedzialności, nie nalegał więcej.

— A teraz, Najjaśniejszy Panie, chodzi o drugiego filozofa.

— Jeszcze? — powiedział król niechętnie. — Czyż nigdy z nimi nie skończymy?

— Niestety, Najjaśniejszy Panie. To właśnie oni nie dają nam spokoju.

— O kogóż więc tam znowu chodzi.

— O Voltaire'a.

— Czy ten także powrócił do Francji?

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Może byłoby lepiej gdyby powrócił. Mielibyśmy przynajmniej oko na niego.

— Cóż on zrobił?

— Nic nie zrobił, ale jego stronnicy ni mniej ni więcej tylko chcą mu wzniesć posąg.

— Na koniu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie! A jednak jest to niepospolity zdobywca grodów. Ręczę za to. Ludwik XV wzruszył ramionami.

— Najjaśniejszy Panie, nie widziałem nikogo podobnego do niego od czasu Poliorceta — mówił dalej Sartines. — Ma on wszędzie stosunki. Wciska się wszędzie. Najwierniejsi w naszym królestwie

przemycają i rozpowszechniają jego dzieła. Niedawno zabrałem pełnych osiem pak. Dwie były adresowane do pana Choiseula.

— To bardzo zabawne.

— Najjaśniejszy Panie, a tymczasem robią dla niego to, co się robi dla osób znakomitych. Chcą mu wystawić posąg.

— Komu poruczono wykonanie tego pięknego dzieła?

— Rzeźbiarzowi Pigalle. Wyjechał on do Ferney dla przygotowania modelu. Tymczasem subskrypcje sypią się jak grad. Zebrano już sześć tysięcy talarów, a przecież, Najjaśniejszy Panie, tylko pisarze mają prawo składania podpisów. Wszyscy śpieszą z ofiarami. Istna procesja. Rousseau dał dwa luidory. Chciałem zaproponować Waszej Królewskiej Mości, by od razu położyć kres tej demonstracji.

— Strzeż się tego, Sartines, bo zamiast wystawić mu posąg z brązu, wystawią mu pomnik ze złota. Niech sobie stawiają. Ech! Mój Boże, szpetniejszy on jeszcze będzie w brązie niż jest w swojej własnej skórze.

— A zatem Wasza Królewska Mość życzy sobie, aby się do tego nie mieszać?

— Życzy... życzy... Porozumiejmy się, Sartines. To nie jest stosowne słowo. Chciałbym zapobiec temu wszystkiemu, to prawda. Ale cóż chcesz? To jest niemożliwe. Krzyżeć bez skutku, uderzać, a nie trafić, byłoby to okazać nasze niedołęstwo. Odwróćmy oczy, Sartines, i udawajmy, że nic nie widzimy.

Sartines westchnął.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — jeśli nie karzemy ludzi, niszczy przynajmniej ich dzieła. Oto lista dzieł, których czytania trzeba koniecznie zakazać. Bo jedne powstają przeciw tronowi, drugie przeciw ołtarzowi. Jedne są buntem, drugie — świętokradztwem.

Ludwik XV wziął listę i czytał półgłosem:

— La contagion sacrée, ou Histoire naturelle de la superstition; Système de la nature, ou lois du monde physique et moral; Dieu et les hommes, discours sur les miracles de Jesus-Christ; Instruction du capucin de Raguse à frère Perduiclosa partant pour la terre sainte.

Ale nie przeczytawszy nawet czwartej części już upuścił papier. Rysy jego twarzy zwykle spokojne przybrały wyraz smutku i zniechęcenia. Przez kilka chwil był zadumany i pogrążony w myślach, jakby odrętwiały.

— Starczyłoby tego, aby cały świat podburzyć, Sartines — rzekł cicho król. — No, niech inni próbują...

Sartines patrzył na króla z tą bystrością, jaką Ludwik XV tak cenił u swoich ministrów, ponieważ oszczędzała mu trudu, myślenia lub czynu.

— Spokoju... nieprawdaż, Najjaśniejszy panie, spokoju... Oto czego król pragnie.

Król potrząsnął głową.

— Ach, mój Boże! Tak. Niczego innego nie żądam od waszych filozofów, waszych encyklopedystów, waszych luminarzy, waszych poetów, waszych ekonomistów, waszych dziennikarzy, którzy pochodzą nie wiadomo skąd i którzy hałasują, piszą, kraczą, oczerniają, trąbią, opowiadają, wrzeszczą. Niech im wkładają wieńce na głowę, niech im stawiają posągi, niech budują świątynie, co mi do tego. Niech tylko mnie zostawią w spokoju.

Sartines wstał, skłonił się i wyszedł.

Ludwik XV pozostawszy sam, wziął pióro i napisał do delfina:

„Prosięś mnie o przyśpieszenie przyjazdu twej narzeczonej. Chcę ci zrobić przyjemność.

Wydaję rozkaz, aby nie zatrzymywano się w Noyon. We wtorek rano będzie więc w Compiègne.

Ja sam będę tam punktualnie o godzinie dziesiątej, to jest na kwadrans przed jej przybyciem.”

— W ten sposób — rzekł do siebie — uwolnię się od tej głupiej sprawy prezentacji, która mnie więcej niepokoi niż pan Voltaire, pan Rousseau i wszyscy filozofowie terażniejsi i przyszli. Będzie to teraz sprawa pomiędzy biedną hrabiną, delfinem i jego narzeczoną. Doprawdy! Skierujmy nieco zmartwień, gniewów i zemsty na młode głowy, które mają siłę do walki. Niech dzieci uczą się cierpieć, to przyczyni się do ich wychowania.

I uradowany, że w ten sposób uwolnił się od trudnej decyzji, pewny, że nikt nie może postawić mu zarzutu, że pomagał lub przeszkadzał prezentacji, która zaprzętała cały Paryż, król wsiadł do powozu i wyjechał do Marly, gdzie czekał już na niego dwór.

XXXV. MATKA CHRZESTNA I CÓRKA CHRZESTNA

Biedna hrabina! Zachowajmy ten epitet, jaki król jej nadał, bo rzeczywiście zasługiwała nań w chwili, gdy pędziła, jak szalona, do Paryża. Chon przerażona, równie jak siostra, listem Jana, ukryta w swoim buduarze w Luciennes przeklinała fatalny pomysł, jaki miała, biorąc Gilberta do powozu.

Przybywszy do mostu d'Antin, hrabina zastała tam już czekającą na nią karekę. Siedział w niej Jan i rozprawił żywo z prokuratorem. Gdy ujrzał siostrę wyskoczył z powozu dając znak stangretowi siostry, żeby zatrzymał konie,

— Prędziej, hrabino — rzekł — siadaj do mojej karety i pędź na ulicę Saint-Germain-des-Près.

— Stara zadrzyła z nas — rzekła pani Dubarry, przesiadając się do karety brata.

— Tak sędzę, hrabino, jest to z jej strony odwet, albo skwitowanie się.

— Ale cóż się stało?

— Powiem w dwóch słowach. Pozostałem w Paryżu, bo nigdy nikomu nie dowierzam, i jak to zobaczysz, okazało się, że słusznie. Gdy nadeszła godzina dziewiąta, przechadzałem się koło gospody „Pod Piejącym Kogutem”. Nic. Żadnego ruchu. Żadnych odwiedzin, wydawało mi się więc, że wszystko jest w najlepszym porządku. Sądziłem, wobec tego, że mogę powrócić i zasnąć. Powracam i śpię.

Dziś o świcie obudziłem się. Zbudziłem Patryka i każę mu stać na warcie koło słupa.

O godzinie dziewiątej, uważaj dobrze, na godzinę wcześniej przed wyznaczoną, przyjeżdżam kareką. Patryk nic takiego nie zauważył co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Wchodzę więc dość pewny siebie na schody. Tymczasem w drzwiach zatrzymuje mnie służąca i oświadcza, że pani hrabina nie wyjdzie dzisiaj z domu, a może nawet i przez tydzień.

Wyznaję, że będąc przygotowany na nieprzewidziane niepowodzenia, bynajmniej nie spodziewałem się podobnego obrotu sprawy.

— Jak to nie wyjdzie? A cóż jej jest?

— Chora.

— Chora? To niemożliwe wczoraj była zupełnie zdrowa.

— Tak, panie, ale hrabina ma zwyczaj sama gotować czekoladę. I dziś rano gotując ją rozlała ukrop i oparzyła sobie nogę. Na krzyk hrabiny przybiegłam. Hrabina omal nie zemdląła, zaniiosłam ją na łóżko, a w tej chwili, zdaje się, że śpi.

— To kłamstwo! — krzyknąłem.

— Nie, kochany panie Dubarry — odpowiedział ostry przeszywający głos. — To nie kłamstwo, ja okrutnie cierpię. — Skoczyłem w tę stronę skąd dochodził głos. Wpadłem przez szklane drzwi, które otworzyły się z trudem. Stara hrabina rzeczywiście leżała. — Ach, pani — rzekłem. — Tyle tylko mogłem powiedzieć. Byłem wściekły i zadusiłbym ją z rozkoszą.

— Patrz pan — rzekła pokazując jakiś garnek walający się po podłodze — oto przyczyna całego nieszczęścia.

Obiema nogami skoczyłem na ów garnek. Nie będzie w nim już gotowała czekolady, ręczę.

— Co za nieszczęście, mówiła dalej stara bolejącym głosem. Więc pani d'Alogny prezentować będzie pańską siostrę. Cóż pan chcesz, tak widać jest przeznaczone, jak mówią na wschodzie.

— Ach, mój Boże — zawołała pani Dubarry — wpędzasz mnie w rozpacz, Janie.

— Ja jeszcze nie rozpaczam i dlatego wezwałem cię tutaj.

— Nie rozumiem.

— Nie rozpaczam, ponieważ ty możesz to czego ja nie mogę. Ponieważ jesteś kobietą i możesz zmusić starą do zdjęcia bandaży, a przekonawszy się o fałszu możesz jej powiedzieć, że jej syn nigdy niczym nie zostanie i że ona nie dostanie ani grosza ze sprawy z panami de Saluces. Słowem odegrasz lepiej komedię niż ja to potrafię.

— Gdzie mieszka nasza stara Sybilla?

— „Pod Piejącym Kogutem” przy ulicy Saint-Germain-des-Près, wielki czarny dom z wielkim kogutem wymalowanym na blasze. Skoro blacha zaskrzypi, kogut pieje.

— Gdzie będziesz na mnie czekał?

— W tym samym hotelu. A jeśli będziesz potrzebowała pomocy, znajdziesz mnie przy butelce hiszpańskiego wina.

— Ruszaj! — zawołała hrabina.

Powóz popędził w stronę Pól Elizejskich, a w kwadrans potem zatrzymał się na rogu ulic OO. Opatów i Świętej Małgorzaty.

Tu pani Dubarry wysiadła, bo lękała się, aby turkot powozu nie ostrzegł starej, i żeby się przed nią nie schowała.

Hrabina, z jednym tylko lokajem idącym za nią, szybko weszła w bramę oberży. Przy drewnianych schodach spotkała gospodynię domu.

— Czy zastałam panią de Bèarn? — spytała.

— Pani de Bèarn bardzo chora i nikogo przyjąć nie może.

— Chora? — rzekła hrabina. — Właśnie przysłam się dowiedzieć jak się czuje.

Mówiąc to, lekko wbiegła na schody.

— Pani! Pani! — krzyknęła gospodyni. — Gwałtem wdzierają się do pani mieszkania.

— Kto taki? — zapytała stara z głębi pokoju.

— Ja — rzekła hrabina — stanąwszy nagle w progu, z wyrazem twarzy wybornie dostosowanym do okoliczności.

— Pani hrabina tutaj? — krzyknęła pani de Bèarn, blednąc ze strachu.

— Tak, droga pani, przychodzę wyrazić pani moje współczucie dla jej nieszczęścia, o którym tylko co się dowiedziałam. Niech mi pani opowie, jak się to stało. Bardzo proszę.

Hrabina usiadła, a pani de Bèarn zrozumiała, że nie pozbędzie się jej łatwo.

— Bardzo pani cierpi? — spytała pani Dubarry.

— Okropnie.

— Prawa noga. Ale jakim sposobem mogła się pani tak oparzyć?

— Nic prostszego. Trzymałam naczynie, rączka wysliznęła mi się i ukrop oparzył mi nogę.

— To straszne. Stara westchnęła.

— Ach, tak — rzekła — to straszne. Nieszczęścia sypią się na mnie jak grad.

— Pani wie, że król oczekiwał ją dzisiejszego ranka?

— Podwaja pani moją rozpacz.

— Król Jegomość jest nierad, że nie mógł panią widzieć.

— Usprawiedliwiają mnie moje cierpienia. I spodziewam się, że sama jak najpokorniej przepraszę Jego Królewską Mość.

— Nie mówię tego po to, żeby pani zrobić choćby najmniejszą przykrość — rzekła pani Dubarry, która widziała jak bardzo stara jest przebiegła. — Chciałam tylko dać pani poznać, jak bardzo obchodzi króla sprawa, o której mówiliśmy. I jak bardzo potrafiłby odwdziżyć się.

— Widzi pani moje położenie.

— Oczywiście. Mnie się zdaje, że pani wypadek mógł nastąpić na skutek wielkiego wzruszenia.

— To bardzo możliwe — rzekła stara, potakując głową. — Byłam bardzo wzruszona uprzejmym przyjęciem ze strony pani.

— Zdaje mi się, że oprócz tego zaszło jeszcze coś innego.

— Coś innego? Nie, doprawdy, o niczym nie wiem.

— Niech pani sobie przypomni — rzekła Dubarry zniecierpliwiona — przecież ktoś wjeżdżał na dziedziniec, gdy pani opuszczała pałac.

— Niestety, nie przypominam sobie.

— Pewna kobieta... Czy teraz pani sobie przypomina?

— Mam wzrok tak krótki, że o dwa kroki nikogo nie poznają.

— To kuta baba — mruknęła do siebie hrabina. — Zaniechajmy chytryści, bo mnie zwycięży.

— No, ponieważ pani nie widziała tej damy — rzekła głośno — powiem pani kim ona jest.

— Dama, która wchodziła, gdy ja wychodziłam?

— Tak, właśnie. To była moja siostra, panna Dubarry.

— Ach, tak, tak. Ale ponieważ jej nigdy nie widziałam...

— Widziała ją pani i nawet rozmawiała z nią.

— Z panną Dubarry?

— Tak, z panną Dubarry, tylko wówczas nazywała się ona Flageot.

— Ach! — zawołała stara z goryczą, której ukryć nie była w stanie. — Więc ta domniemana panna Flageot, która była u mnie i namówiła mnie do podróży? To była siostra pani?

— Tak. To była ona.

— Przez kogo była przysłana?

— Przeze mnie.

— Żeby nadużyć mej łatwości?

— Nie, aby wyświadczyć pani przysługę w tym czasie, kiedy i pani wyświadczyłaby mi ją ze swej strony.

Stara zmarszczyła szerokie brwi.

— Sądzę — rzekła — że nie wyjdzie mi to na dobre.

— Żarty na bok. Mówmy na serio — rzekła hrabina Dubarry.

— Słucham.

— Pani oparzyła sobie nogę.

— Jak pani widzi.

— Mocno?

— Okropnie.

— Czy nie mogłaby pani, bez względu na ranę, niewątpliwie bolesną, ale która nie jest przecież niebezpieczną, czy nie mogłaby pani więc wytrzymać drogę do Luciennes i stać przez sekundę w moim gabinecie przed Jego Królewską Mością?

— Niepodobna pani. Na samą myśl o wstaniu z łóżka, omdleвам. Mam okropną ranę.

— I któż ją pani opatruje? Kto leczy?

— Mam jak każda kobieta, która utrzymywała dom, świetne recepty na oparzelinę. Przykładam balsam przeze mnie samą zrobiony.

— Czy można zobaczyć to lekarstwo?

— Oto w tym słoiku na stole.

Hipokrytka! — pomyślała hrabina Dubarry. — Pani — rzekła głośno — ja także mam doskonały olejek na przypadki tego rodzaju, ale zastosowanie jego zależy od rodzaju oparzenia.

— Jak to?

— Bywa zwykle zaczerwienienie, pęcherze lub większe uszkodzenie skóry. Nie jestem lekarzem, ale każdy oparzył się mniej lub więcej w swoim życiu.

— Pani! Moja rana to znaczne uszkodzenie skóry — rzekła pani de Bèarn.

— Och! Mój Boże! Jak pani musi cierpieć. Czy chce pani, abym jej przyłożyła mój olejek.

— Pani więc przyniosła go z sobą?

— Nie. Ale przyślę.

— Dziękuję po tysiąc razy.

— Trzeba tylko, abym się przekonała o stopniu oparzenia. Stara zaprotestowała:

— Och! Nie, pani! Chcę ci oszczędzić podobnego widoku.

— Doskonale — pomyślała pani Dubarry — tu ją złapałam.

— Nie lękaj się tego pani — rzekła. — Jestem oswojona z widokiem ran.

I nagle wysunęła rękę ku nodze, którą hrabina de Bèarn trzymała wyciągniętą na krześle.

Stara przeraźliwie krzyknęła, toteż pani Dubarry zaledwie jej dotknęła.

— O! Doskonale odegrane — pomyślała pani Dubarry, która śledziła każde drgnienie na zmienionej twarzy pani de Bèarn.

— Umieram! — mówiła stara. — Ach! Jakże mnie pani przestraszyła.

I blada z przymkniętymi oczami opadła na posłanie, jakby miała zemdleć.

— Pani pozwoli — mówiła dalej faworytka królewska.

— Niech pani zobaczy! — mówiła stara cichym głosem. Pani Dubarry nie traciła bynajmniej czasu. Odwiązała szybko bandaże, w które owinięta była noga.

— Zapewne przy ostatnim” bandażu zacznie wrzeszczeć — myślała hrabina Dubarry — lecz choćbym miała ją zadusić, muszę zobaczyć nogę.

Pani de Bèarn jęczała lecz nie sprzeciwiała się.

Po zdjęciu bandaży prawdziwa i głęboka rana ukazała się oczom pani Dubarry. Nie było to więc udawanie i tu dopiero w pełni okazywała się dyplomacja pani de Bèarn. Stara mogła widzieć i poznać Chon, a w tym wypadku jej czyn równał się tym jakie dokonali Porcja i Mucjusz Scevola.

Pani Dubarry zamilkła ze zdumienia.

Stara oprzytomniawszy nieco, cieszyła się wyraźnie zwycięstwem, spoglądając na hrabinę klęczącą u jej nóg.

Pani Dubarry obandażowała troskliwie ranę, położyła nogę chorej na poduszce i siadając obok pani de Bèarn, rzekła:

— Zwyciężyłaś mnie, pani! Wybacz, że od początku — nie stawiałam sprawy jasno, jak należało z kobietą pani charakteru; Więc, proszę, niech pani poda teraz warunki.

Oczy starej zaiskrzyły się na moment.

— Określ pani wyraźnie swoje żądania, a zobaczę w czym mogę być jej pomocna.

— Chcą — rzekła Dubarry — żeby pani przedstawiła mnie w Wersalu, choćby to kosztowało panią godzinę cierpień.

Pani de Bèarn wysłuchiwała tego nie zmarszczywszy nawet brwi.

— A potem? — rzekła.

— To wszystko! Teraz na panią kolej.

— Chciałabym — rzekła pani de Bèarn śmiało, dzięki czemu pani Dubarry zrozumiała, że traktuje ją jak równą sobie — chciałabym mieć zapewnione z mego procesu dwieście tysięcy liwrów, o które toczy się sprawa.

— A jeżeli pani ją wygra, to wyniesie to czterysta tysięcy liwrów, jak mi się zdaje.

— Nie. Bo ja uważam za moje własne dwieście tysięcy liwrów, które kwestionują panowie de Saluces. Drugie dwieście tysięcy będzie szczęśliwym dodatkiem do honoru, jaki mnie spotkał przez zawarcie znajomości z panią.

— Będzie pani miała te dwieście tysięcy liwrów. Cóż więcej?

— Mam syna, którego szczerze kocham. Szpada zawsze była w naszej rodzinie noszona z honorem, lecz urodzeni do rozkazywania, nie jesteśmy dobrymi szeregowcami. Trzeba mi natychmiast pułku dla syna i nominacji na pułkownika, również natychmiast.

— A kto munduruje pułk?

— Król. Pani przecież rozumie, że gdybym wydała na umundurowanie pułku dwieście tysięcy liwrów mojego zysku, byłabym tak ubogą jutro, jak nią jestem dzisiaj.

— Policzywszy dobrze, mamy już sześćset tysięcy liwrów.

— O! Nie... tylko czterysta i to przy założeniu, że pułk kosztować będzie dwieście.

— Niech tak będzie.

— Chcę jeszcze prosić króla o restytucję mojej winnicy w Touraine. Cztery piękne morgi zabrali mi inżynierowie królewscy przed jedenastu laty na wykopanie kanału.

— Pani za to zapłacono.

— Tak, ale według oszacowania biegłych. A ja właśnie oceniam tę winnicę dwukrotnie więcej, niż oni ją oszacowali.

— Dobrze. Zostanie to pani powtórnie zapłacone. Czy już wszystko?

— Przepraszam, ale brak mi gotówki, jak pani może się domyślać. Winna jestem panu Flageot coś około dziewięciu tysięcy liwrów.

— Zapłacę te pieniądze z własnej szkatuły. Mam nadzieję, że teraz jest już pani ze mnie zadowolona?

— Naturalnie, ale spodziewam się, że i ja z mojej strony przekonałam panią o moich dobrych chęciach.

— O! Żeby pani wiedziała jak żałuję, że pani oparzyła sobie nogę — rzekła pani Dubarry, uśmiechając się.

— Ja zaś tego nie żałuję — odpowiedziała stara — bo to mi pozwoli przekonać panią, iż pomimo wszelkich nieszczęść jestem na pani usługi.

— Zestawmy teraz to wszystko dokładnie.

— Niech pani zaczeka chwilkę!

— Czy pani zapomniała jeszcze o czym?

— O jednej drobnej rzeczy. — Słucham!

— Nie spodziewałam się stanąć przed naszym wielkim monarchą. Wersal i jego świetności niestety wyszły mi już dawno z pamięci. Tak, że obecnie nie mam odpowiedniej sukni.

— Przewidziałam to, droga pani. Wczoraj, zaraz po pani odjeździe zaczęto przygotowywać dla pani ubiór na uroczystość prezentacji. Jutro w południe będzie skończony.

— Nie mam brylantów.

— Panowie Boëhmer i Bassange dostarczą pani jutro, na mój rozkaz, prześliczny garnitur wartości dwustu dziesięciu tysięcy liwrów, a pojutrze przyjmą go z powrotem płacąc pani dwieście tysięcy. W ten sposób zostanie pani wynagrodzona.

— Doskonale. Nie żądam niczego więcej.

— Bardzo mnie to cieszy.

— Ale, ale... a nominacja dla mego syna?

— Najjaśniejszy Pan sam ją pani wręczy.

— A obietnica umundurowania pułku? — I to się znajdzie w dyplomie.

— Doskonale. Pozostaje jeszcze kwestia winnic.

— Na ile ceni pani te cztery morgi?

— Ponieważ ziemia jest doskonała, po sześć tysięcy liwrów za morgę.

— Wydam pani oblig na dwanaście tysięcy liwrów, które z dwunastoma tysiącami, o których mówiliśmy, uczynią dwadzieścia cztery tysiące.

— Oto przybory do pisania — rzekła stara hrabina, wskazując biurko.

— Będę miała zaszczyt podać je najpierw pani — powiedziała Dubarry — abyś pani raczyła napisać do króla kilka słów, które pani podyktuję.

— A prawda — odrzekła pani de Bèarn. — Niechże więc pani pisze.

Stara przyciągnęła stolik do krzesła, przygotowała papier, wzięła pióro i czekała.

Pani Dubarry dyktowała:

„Najjaśniejszy Panie, szczęście jakie mnie spotkało z powodu, iż Wasza Królewska Mość raczyłeś przyjąć moją propozycję przedstawienia na dworze najdroższej mojej przyjaciółki, hrabiny Dubarry...”

Stara skrzywiła wargi i nacisnęła pióro tak mocno, że aż skrzypnęło.

— Pani ma złe pióro — rzekła faworytka — trzeba je zmienić.

— Nie trzeba, przyzwyczaj się. Pani Dubarry dyktowała dalej:

.....szczęście to ośmiela mnie do wniesienia prośby przed

Waszą Królewską Mość, abyś raczył wejrzeć na mnie łaskawym okiem, gdy jutro stawię się w Wersalu, jak na to zezwolić raczyłeś. Pochodząc z rodziny, która zawsze wiernie służyła swoim monarchom, ośmielałam się oczekiwać od Waszej Królewskiej Mości łaskawego przyjęcia.”

— A teraz chciej się pani podpisać. Stara hrabina podpisała:

„Anastazja Eulemia Rudolfina hrabina de Bèarn”.

Pisała pewną ręką, dużymi literami, z właściwą arystokratom, niezliczoną ilością błędów ortograficznych.

Następnie podsunęła papier i pióro pani Dubarry, która swym kształtnym, wydłużonym pismem podpisała przekaz na dwadzieścia jeden tysięcy liwrów, dwanaście jako wynagrodzenie za winnice, a dziewięć na zapłacenie honorarium panu Flageot.

Potem napisała bilecik do panów Boehmer i Bassange, jubilerów dworskich, prosząc o wręczenie oddawcy biletu garnituru z brylantów i szmaragdów nazwanego Ludwiką, ponieważ należał niegdyś do ciotki delfina, która sprzedała go, potrzebując pieniędzy na cele dobroczynne.

Następnie obie panie zamieniły między sobą te papiery.

— A teraz — rzekła pani Dubarry — daj mi dowód twej przyjaźni, hrabino.

— O! Pani! Z całego serca.

Zamieszkać pani u mnie, a zaręczam, że za kilka dni doktor mój Tronchin wyleczy cię zupełnie. Jedź pani zaraz ze mną, wypróbujesz także skuteczność mego olejku.

— Niech pani na mnie nie czeka — rzekła przezornie stara hrabina — mam tu jeszcze do załatwienia kilka ważnych spraw, nim za panią podążę.

— Więc mi pani odmawia?

— Przeciwnie, droga pani. Przyjmuję jej łaskawe zaproszenie, ale oto bije pierwsza, do trzeciej załatwię "swoje interesy, a punkt o piątej stawię się w Luciennes.

— Czy brat mój może przyjechać i zabrać panią swoim powozem?

— Naturalnie, bardzo proszę.

— Niech więc pani będzie gotowa o tej godzinie.

— Niech się pani nie obawia. Jestem szlachcianką, a pani ma moje słowo i choćbym miała umrzeć jutro przedstawię cię w Wersalu.

— Do widzenia, droga matko chrzestna!

— Do widzenia, moja przemila córko chrzestna! Rozstały się nareszcie.

Stara pozostała z nogą na poduszce ściskając w rękę cenne papiery. Pani Dubarry wyszła, lekka i zgrabna, jednak ze ściśniętym sercem z żalu, że nie potrafiła okazać się silniejszą od starej hrabiny, ona, która rządziła królem Francji.

Jan, który siedział na dole w sali jadalnej i z nudów wysączał już drugą butelkę zerwał się na widok siostry i podbiegł ku niej.

— No i cóż? — zapytał.

— Powiem ci to co powiedział marszałek de Saxe swemu królowi wskazując na pole bitwy pod Fontenoy: „Najjaśniejszy Panie, dowiedz się z tego widoku, jak zwycięstwo jest drogie i bolesne”.

— Jesteśmy więc zwycięzcami? — zapytał Jan.

— „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a jesteśmy zrujnowani”.

— No, ale matkę chrzestną mamy?

— Tak, ale kosztuje nas ona około miliona.

— Och! Och! — zawołał Dubarry krzywiąc się okropnie.

— Trudno! Miałam nóż na gardle.

— Ależ to okropne!

— A jednak prawdziwe. Nie zżymaj się, z twojej winy o mało wszystko nie przepadło.

— Boże! Co za straszna kobieta.

— To Rzymianka!

— Nie. Greczynka!

— Mniejsza o to. Rzymianka czy Greczynka, ale pamiętaj zabrać ją z hotelu o trzeciej i dostawić do Luciennes. Uspokoję się dopiero, gdy ją będę miała pod kluczem.

— Nie ruszę się stąd — rzekł Jan.

— A ja biegnę przygotować wszystko, co trzeba — rzekła hrabina.

I wskoczywszy do karety krzyknęła: — Do Luciennes! Jutro już powiem: do Marly. — To wszystko jedno — rzekł Jan odprowadzając wzrokiem karete — drogo kosztujemy kochaną Francję! Ale górą rodzina Dubarry!

XXXVI. PIĄTY SPISEK MARSZAŁKA DE RICHELIEU

Król powrócił do Marly.

Mniej przestrzegający etykiety, niż Ludwik XIV, Ludwik XV szukał w zebraniach dworu przede wszystkim nowości i urozmaicenia, twarzy uśmiechniętych, rozrywki i wesołości.

Wieczorem, po opowiedzianym przez nas spotkaniu, pani de Bèarn, stosownie do obietnicy, przebywała od dwóch godzin w gabinecie pani Dubarry. Król grał w karty w błękitnym pokoju. Po lewej jego ręce siedziała księżna d'Ayen, po prawej — księżna Guèmenèe.

Król zdawał się być czymś bardzo zajęty. Skutkiem tego zamyślenia przegrał osiemset luidorów, a że nie lubił przegrywać, wstał od gry o dziewiątej, stanął we framudze okna i rozpoczął rozmowę z panem Malesherbes, synem ekskanclerza, podczas gdy pan Maupeou i pan Choiseul, którzy stali we framudze okna znajdującego się naprzeciwko, śledzili niespokojnym okiem rozmawiających.

Po odejściu króla utworzyła się grupa koło kominka. Królowny Adelajda, Zofia i Wiktoria powróciwszy z przechadzki, usiadły tu ze swymi damami honorowymi i dworzanami.

Króla, zajętego ważnymi sprawami (znano bowiem surowość obyczajów pana de Malesherbes), otaczali oficerowie lądowi i morscy, wysocy dygnitarze, magnaci i prezesi — w pełnym oczekiwaniu uszanowaniu. Mały świątek przy kominku musiał sam sobie wystarczyć.

Oprócz trzech córek króla, znakomitszymi damami tworzącymi tę grupę były panie: de Guèmenèe, de Choiseul, de Mirepoix i de Polastron.

W chwili, gdy się zbliżamy do tej grupy, księżniczka Adelajda opowiada właśnie historyjkę o pewnym dygnitarzu. Historyjka ta, o pewnym biskupie osadzonym na pokucie w swej diecezji, a od której powtarzania wstrzymujemy się, była dość skandaliczna, zwłaszcza dla panny królewskiego rodu. Epoka jednak, którą próbujemy odtworzyć, nie była, jak wiadomo, epoką pod wezwaniem Westy.

— A jednak ten biskup — rzekła księżniczka Wiktoria — zasiadał pomiędzy nami nie dawniej jak miesiąc temu.

— U Jego Królewskiej Mości można narazić się na jeszcze gorsze spotkania — rzekła pani Grammont — jeśli tu zaczną bywać ci, którzy jeszcze nigdy nie byli, a pragną się koniecznie wcisnąć.

Wszyscy pojęli, zarówno z pierwszych już słów księżnej, jak i z tonu jej wypowiedzi, o kim chciała powiedzieć i jakiej sprawy to dotyczyło.

— Na szczęście chcieć i móc — to dwie różne rzeczy — rzekł, mieszając się do rozmowy, mały siedemdziesięcioletni człowieczek, który wyglądał na pięćdziesięcioletniego, tak był elegancki, świeży, taki miał dźwięczny głos i żywe spojrzenie.

— Ach! Otóż i pan Richelieu, który, jak pod Mahon, rzuca się na wały, i który chce opanować szturmem naszą skromną rozmowę — rzekła księżna. — Jesteśmy więc zawsze trochę grenadierami, książę?

— Trochę tylko? Ech! Księżno, pani mnie krzywdzi.

— No, czyż nie powiedziałam prawdy, książę?

— Kiedy?

— Przed chwilą.

— A co takiego powiedziałaś, księżno?

— Że drzwi do pokoi królewskich nie zdobywa się szturmem.

— Tak jak zasłony alkowy. Jestem stanowczo tego samego zdania, księżno, zawsze tego zdania.

Słowa te ogólnie się wszystkim podobały, choć ci co lubią innych obmawiać, utrzymywali, że dowcip księcia bardzo się już postarzał.

— Moje panie — rzekła księżna — jeżeli książę prawić nam będzie takie rzeczy, nie dokończę mojej historyjki, a przysięgam wam, że wiele na tym stracie, chyba że udacie się do marszałka, aby wam opowiedział inne.

— Ja śmiałym pani przerywać, kiedy będziesz prawdopodobnie obmawiała innych?... Boże uchowaj! Słucham, owszem, wszystkimi uszami, ile tylko posiadam.

Ścieśniono kółko. Pani de Grammont rzuciła wzrokiem w stronę okna, aby się przekonać, czy król jeszcze się tam znajduje, i spostrzegła, że chociaż rozmawiał z panem Malesherbes, nie spuszczał z oka grupy koło kominka, a jego spojrzenie krzyżowało się ze wzrokiem pani de Grammont. Księżna poczuła się nieco onieśmielona wzrokiem królewskim, ale że zaczęła, nie chciała się już zatrzymywać w pół drogi.

— Wiecie, panie — mówiła, zwracając się głównie do trzech księżniczek, córek króla — że pewna dama, nazwisko tu jest bez znaczenia, zapragnęła ostatnimi czasy widzieć nas, nas wybranych przez króla, nas jaśniejących w chwale, której blask wzbudza w niej śmiertelną zazdrość.

— Widzieć nas, gdzie? — zapytał książę.

— Ależ w Wersalu, w Marly, w Fontainebleau. — Dobrze, dobrze, słucham dalej.

— Biedna ta istota nigdy nie widziała naszych wielkich zebrań u królewskiego stołu, z wyjątkiem obiadów królewskich, kiedy to uliczna gawiedz przypatruje się zza płotu królowi i jego gościom.

Pan de Richelieu zażył głośno tabaki z sewrskiej tabakierki.

— Ale żeby nas widzieć w tych trzech rezydencjach — zauważył — trzeba być przedstawionym.

— Właśnie, dama, o której mówię, stara się o prezentację.

— Idę o zakład, że dostąpi tego czego pragnie — powiedział książę — król jest tak przecież dobry!

— Na nieszczęście, aby być przedstawioną nie dość jest mieć królewskie pozwolenie, trzeba jeszcze kogoś, kto podjąłby się prezentacji.

— Tak — rzekła pani de Guèmenèe — trzeba mieć kogoś w rodzaju chrzestnej matki.

— Tak, ale nie każdy ma matkę chrzestną — rzekła pani de Mirepoix — dowodem piękna burbonka, która szuka i nie znajduje.

I zaczęła nucić:

La belle Bourbonnaise, Est fort mal à son aise.

— Ach! Marszałkowo — zawołał książę de Richelieu — zostawże księżnie całą zasługę opowiadania.

— Dalej, dalej, księżno — zawołała księżniczka Wiktoria — zaostrzyła naszą ciekawość, a teraz chcesz przerwać opowiadanie.

— Wcale nie mam tego zamiaru. Powiedziano: „Szukajcie, a znajdziecie”. Więc szukano i znaleziono. A co za matka, miły Boże! Dobra kobiecina, ze wsi, prostoduszna, szczerza. Wydobyto ją z gołębnika, wycackano, wychuchano, wystrojono.

— Aż dreszcz, doprawdy, przejmuje — powiedziała pani de Guèmenèe.

— Naraz, jednakże, kiedy wszystko tak ślicznie przygotowano, stara prowincjonalna gołąbeczka spada z góry... ze schodów...

— I — zapytał książę.

— I nóżkę złamała I leży biedna mała!

— powiedziała księżna recytując wierszyk.

— W ten sposób — wtrąciła pani de Guèmenèe znowu — z prezentacji...

— Nic nie będzie, moja droga.

— Otóż co to znaczy Opatrzność! — rzekł marszałek, wznosząc ręce ku górze.

— Przepraszam — rzekła królowa Wiktoria — ale ja bardzo żałuję biednej staruszki.

— Przeciwnie, księżniczko, winnaś jej powinszować. Z dwojga złego wybrała mniejsze.

Księżna naraz urwała. Po raz drugi napotkała Uważne spojrzenie króla.

— Ale o kim właściwie księżna mówi? — spytał marszałek — udając, że się nie domyśla o kogo chodzi.

— Nie powiedziano mi nazwiska, doprawdy.

— Co za nieszczęście — mruknął marszałek.

— Ale ja zgadłam. Zróbcie więc państwo to samo.

— Gdyby wszystkie damy, które mają dostęp do dworu były odważne i wierne zasadom honoru starej szlachty francuskiej — rzekła pani de Guèmenèe z goryczą — wszystkie pojechałyby z odwiedzinami do starej damy z prowincji za jej wzniosty pomysł złamania nogi.

— Piękna myśl, na honor! — wykrzyknął Richelieu — ale trzeba by się przedtem dowiedzieć, jak się nazywa ta parafianka, która wybawiła nas z tak wielkiego niebezpieczeństwa, bo już teraz nie mamy powodu do obaw. Prawda, droga księżno?

— Och! Naturalnie. Ręczę za to. — Leży ona w łóżku i niezdolna jest się ruszyć.

— Ale — rzekła pani de Guèmenèe — jeżeli ta kobieta znajdzie sobie inną chrzestną matkę?... To bardzo obrotna osóbką.

— O! Nie tak łatwo znaleźć inną.

W tej chwili król skierował się w stronę rozmawiających. Wszyscy nagle zamilkli, a jasny, czysty głos Ludwika XV dał się słyszeć w sali:

— Żegnam was panie, dobranoc panowie! Wszyscy powstali i zrobił się ruch w galerii.

Król poszedł kilka kroków w kierunku drzwi, potem nagle przy samych drzwiach odwrócił się i rzekł:

— A propos, jutro w Wersalu będzie miała miejsce prezentacja.
Słowa te jak piorun spadły na zgromadzonych.
Król powiódł wzrokiem po grupę pań, które blednąc spoglądały jedna na drugą.
Król wyszedł, nie rzekłszy ani jednego słowa więcej.
Zaledwie jednak przestąpił próg wraz z orszakiem szlachty i osób należących do świty pomiędzy pozostałymi dało się zauważyć gwałtowne poruszenie.

— Prezentacja — wybełkotała księżna de Grammont prawie zieleniejąc. — Co Jego Królewska Mość chciał przez to powiedzieć?

— Księżno! — powiedział marszałek z jednym z tych uśmiechów, jakich nie przebaczali mu najlepsi jego przyjaciele — czy to przypadkiem nie ta sama prezentacja, o której pani opowiadała?

Królewny przygryzały wargi z gniewu.

— Och! Niepodobna! — powtarzała głucho księżna Grammont.

— Księżno! — rzekł marszałek. — Szybko teraz leczą nogi.

Pan de Choiseul zbliżył się do siostry i położył rękę na jej ramieniu na znak ostrzeżenia, ale księżna była zbyt wzburzona, aby na to zważać.

— To niegodziwe — zawołała. Pani de Guèmenèe potwierdziła.

Choiseul spostrzegłszy, że nic nie poradzi, oddalił się. — Och! Panie! — zawołała księżna, zwracając się do trzech córek królewskich — w was tylko jeszcze nasza nadzieja, Wy, pierwsze damy królestwa, czyż ścierpicie, abyśmy w tym jedynym schronieniu znakomitych dam narażone były na towarzystwo, jakiego nie chciałyby mieć nasze pokojówki?

Zamiast odpowiedzi, księżniczki zwiesiły smutnie głowy.

— Królewny moje, na Boga!... — wołała księżna.

— Król tu jest panem — odpowiedziała z westchnieniem Adelajda.

— Słusznie — zauważył Richelieu.

— W takim razie cały dwór francuski jest skompromitowany — krzyczała księżna. — Panowie, panowie! Jak mało dbacie o honor waszych rodzin!

— Moje panie — odezwał się pan de Choiseul, próbując się uśmiechnąć — ponieważ to zakrawa na spisek, nie będziecie miały nic przeciwko temu, że się oddalę zabierając z sobą pana de Sartines. Idziesz ze mną księżę? — kończył pan de Choiseul zwracając się do marszałka.

— Och! Nie! — odpowiedział marszałek. — Uwielbiam spiski i... zostaję.

Pan de Choiseul wymknął się uprowadzając ze sobą pana de Sartines.

Kilku mężczyzn poszło za ich przykładem.

Przy królewnach pozostały tylko panie: de Grammont, de Guèmenèe, d'Ayen, de Mirepoix, de Polastron i osiem lub dziesięć innych zapalonych przeciwniczek prezentacji.

Jedynym mężczyzną jaki pozostał tu, był Richelieu.

Damy z niepokojem patrzyły na niego, jak na Trojańczyka w obozie greckim.

— Ja reprezentuję tu moją córkę, hrabinę d'Egmont. Nie krępujcie się więc, moje panie! — powiedział.

— Moje panie, jest sposób zaprotestowania przeciw obeldze, jaką mają nam wyrządzić i użyję tego sposobu — oświadczyła księżna de Grammont.

— Jakiż to sposób?... — zapytały wszystkie razem.

— Powiedziano nam: „Król jest tu panem”.

— A ja odpowiedziałem: „Słusznie”... — odezwał się księżę.

— Lecz i my jesteśmy paniami u siebie. I kto mi zabroni powiedzieć dziś wieczorem mojemu stangretowi: „do Chanteloup”, zamiast: „do Wersalu”?

— Prawda — rzekł Richelieu — ale gdy księżna zaprotestuje, cóż stąd wyniknie?

— To wyniknie, że może by się zastanowiono nad tym wszystkim, jeżeli i inne panie poszłyby za tym przykładem — zawołała pani de Guèmenèe.

— Dlaczego nie miałybyśmy naśladować księżnę? — pytała marszałkowa de Mirepoix.

— O! Panie moje — wołała księżna, znów zwracając się do córek króla — dobry przykład powinien wyjść od was, córek Francji!

— Toż by się król na nas obraził — rzekła Zofia.

— Nie, nie! Mogą Wasze Królewskie Wysokości być tego pewne — krzyknęła księżna. — On, obdarzony tak niezrównanym taktem, byłby wam tylko za to wdzięczny. Król nie wywiera na nikogo nacisku, wierzajcie mi.

— Przeciwnie odezwał się książę, robiąc aluzję do wtargnięcia, jakiego się dopuściła pewnego wieczoru księżna de Grammont, wchodząc do pokoju królewskiego — to jemu czynią gwałt, jego biorą przemocą.

Na te słowa zakotłowało się między damami, jak w kompanii grenadierów, gdy padnie między nich granat.

Po chwili uspokojono się jednak.

— Król nie powiedział nic, to prawda, kiedy zamknęłyśmy drzwi przed hrabiną — podniecona wrzeniem całego towarzystwa, odpowiedziała Wiktoria — ale, bardzo możliwe, że w tak uroczystych okolicznościach...

— Oczywiście — rzekła pani de Grammont — mogłoby się to zdarzyć, gdybyście to same księżniczki uczyniły, ale gdy zobaczą, że nie ma nas wszystkich...

— Wszystkich? — zawołały damy.

— Tak, wszystkich — powtórzył marszałek.

— Więc pan należy do spisku? — zapytała królowna Adelajda.

— Oczywiście, że należę i dlatego proszę o głos. — Mów książę — rzekła pani de Grammont.

— Działajmy metodycznie — rzekł książę — nie dosyć jest krzyczeć. Ponieważ należę do spisku, jak to miałem honor zakomunikować, nie chciałbym być pominięty, jak to bywało za każdym razem, kiedy należałem do spisków na króla nieboszczyka, albo za czasów regencji.

— Doprawdy! Książę — z ironią odezwała się pani de Grammont — można by rzec, że zapominasz gdzie jesteś. W kraju Amazonek pozujesz na wodza.

— Pani! Proszę mi wierzyć, że mógłbym mieć pewne prawo do godności, której nie chcesz mi przyznać. Więcej niż ja nienawidzisz pani Dubarry, lecz ja jestem bardziej od pani skompromitowany.

— Książę, skompromitowany? — spytała marszałkowa de Mirepoix.

— Tak. Skompromitowany i to okropnie. Osiem dni jak nie byłem już w Luciennes, cztery dni nie byłem już w Wersalu. Do tego doszło, że wczoraj hrabina przysłała do mnie z zapytaniem, czy nie jestem chory. A wiecie co odpowiedział Rafè? Ze jestem tak zdrow, iż od wczoraj nie byłem w domu. Ale ustępuję swoich praw, nie mam pretensji, pozostawiam pani pierwsze miejsce, a nawet wynoszę ją na nie. Pani wszystko poruszyła, pani zapaliła ogień, pani poruszyłaś sumienia, do niej więc należy buława hetmańska.

— A cóż królowny?

— Pozostawcie nam, proszę, rolę bierną — rzekła Adelajda. — Pojedziemy do naszej siostry Ludwiki do Saint-Denis. Zatrzyma nas, nie powrócimy, co do tego nie ma wątpliwości.

— Bardzo dobrze — odpowiedział książę.

— Ja — odezwała się księżna — zajmę się sianokosami w Chanteloup.

— Bravo! — zawołał książę.

— Ja — rzekła księżna de Guèmenèe — mam chore dziecko, ubieram się w szlafrok i będę je pielęgnowała.

— Ja — dodała pani de Polastron — czuję się tak wzburzona po dzisiejszym wieczorze, że mogę się ciężko rozchorować, jeżeli Tronchin nie upuści mi krwi.

— A ja — odezwała się wyniośle pani de Mirepoix — nie jadę do Wersalu dlatego, że nie jadę. To mój powód. Moja woła!

— Bardzo pięknie — powiedział de Richelieu — wszystko to jest zupełnie logiczne. Ale trzeba przysiąc.

— Jak to, trzeba przysięgać?

— Tak. W sprzysiężeniach zawsze się przysięga. Od czasów Katyliny, aż do spisku Cellamare'a, do którego miałem zaszczyt należeć. Przysięgano zawsze. Wprawdzie, nie znaczy to, że przez to spiski lepiej się udawały, ale trzeba szanować zwyczaj. Przysięgajmy więc!... Zobaczycie panie jak się to uroczyście odbędzie.

Wyciągnął rękę ku kobietom i z powagą wyrzekł:

— Przysięgamy!

Wszystkie damy powtórzyły przysięgę, z wyjątkiem księżniczek, które zniknęły.

— A zatem wszystko załatwione — powiedział.

— Och! Jaka będzie wściekła kiedy się ujrzy sama w salonie! — zawołała pani de Grammont.

— Hm! Król wyśle nas trochę na wygnanie — rzekł Richelieu.

— Gdyby tak uczynił, cóż się stanie z dworem? — zawołała pani de Guèmenèe. — Czyż nie oczekują Jego Wysokości Króla Duńskiego? Kogóż mu pokażą? Czyż nie czekają przybycia Jej Królewskiej Wysokości narzeczonej delfina? A zresztą nie cały dwór idzie na wygnanie. Robią wybór.

— Wiem o tym — podchwycił Richelieu — a nawet mam takie szczęście, że mnie zawsze wybierają. Wybrano mnie już cztery razy, licząc dobrze, to już mój piąty spiszek.

— Nie, nie wierz temu, książę — rzekła pani de Grammont — to ja będę ofiarą.

— Albo pan Choiseul — dodał marszałek. — Miej się na baczości, książę!

— Pan Choiseul jest taki jak i ja. Podda się niełasce, lecz nie zniesie hańby.

— Ani ty książę, ani pan Choiseul nie pójdziecie na wygnanie — rzekła marszałkowa Mirepoix — ale ja. Król nie przebaczy mi tego, że jestem mniej uprzejmą dla hrabiny, niż byłam dawniej dla margrabiny.

— Prawda — rzekł książę — pani, którą zawsze nazywano faworytką faworytki, biedna marszałkowo, razem pójdziemy na wygnanie.

— Pójdziemy wszystkie na wygnanie — rzekła, wstając pani de Guèmenèe — bo spodziewam się, że nikt nie zmieni raz powziętego postanowienia.

— I zaprzysiężonej obietnicy — rzekł książę.

— Och! A przy tym — rzekła pani de Grammont — na wszelki przypadek ja przedsięwzmem środki ostrożności.

— Pani? — podchwycił książę.

— Tak. Ażebym jutro mogła stawić się w Wersalu potrzebne jej są...

— Co takiego?

— Fryzjer, suknia, karety.

— Oczywiście. Ale cóż z tego?

— No! Nie przybędzie do Wersalu na dziesiątą. Król się zniecierpliwi, pożegna gości, a prezentacja zostanie odłożona do czasu, który nigdy nie nastąpi, a to z powodu przyjazdu narzeczonej delfina.

Grzmot oklasków i krzyki radości powitały ten nowy pomysł, ale oklaskując go głośniejsze niż inni, marszałek i pani de Mirepoix zamienili ze sobą znaczące spojrzenia. Dwoje starych dworaków rozumiało się nawzajem doskonale.

O jedenastej wszyscy spiskowcy pędzili w powozach drogą do Wersalu i Saint-Germaine w uroczym blasku księżycy.

Jeden tylko marszałek Richelieu dosiadł konia swego strzelca i gdy jego karetą z zapuszczonymi firankami podążała do Wersalu, on sam pędził galopem, boczną drogą do Paryża.

XXXVII. ANI FRYZJERA, ANI SUKNI, ANI KARETY

Pani Dubarry nie wypadało udać się do wielkiej sali prezentacyjnej wprost ze swego mieszkania w Wersalu. Zresztą Wersal był zbyt ubogi, aby mógł hrabinie dostarczyć wszystkich potrzebnych środków na tę uroczystość. Wreszcie, nie było tego w zwyczaju. Osoby wybrane, przybywały z całą okazałością, jak ambasadorowie, w pięknych karetach, z własnych pałaców w Wersalu lub Paryżu.

Pani Dubarry postanowiła przybyć z Paryża.

O jedenastej rano była już przy ulicy de Valois, razem z panią de Bèarn, której nie spuszczała z oka, ani na chwilę i której chorą nogę starała się wyleczyć wszelkimi sposobami, jakich tylko mogła dostarczyć chemia i medycyna.

Jan Dubarry, Chon i Dora krzątały się już od dwudziestu czterech godzin.

Chon zamawiała fryzjera, popędzała szwaczki.

Jan, któremu przypadło w udziale kierownictwo departamentu karet, pilnował nadto fryzjera i czuwał również nad szwaczkami. Hrabina przebierała stosy koronek, kwiatów, brylantów, a prawie co godzinę odbierała wiadomości z Wersalu przez umyślnych posłańców: że prezentacja została wyznaczona na godzinę dziesiątą, że wydano rozkaz oświetlenia sali jadalnej i że nie zaszły żadne zmiany.

Około czwartej powrócił Jan Dubarry zmęczony, ale dobrej myśli.

— Co słyhać? — spytała go hrabina.

— Wszystko będzie gotowe na czas. — A fryzjer?

— Zastałem u niego Dorę. Umówiłem się i wsunąłem mu w rękę pięćdziesiąt luidorów. Przyjdzie o szóstej, zje tu obiad. Możemy być o niego najzupełniej spokojni.

— A suknia? — Suknia będzie cudowna! Chon nad nią czuwa. Dwadzieścia sześć szwaczek naszywa perły, wstążki i inne dodatki.

— Każdy bryt sukni robią osobno, inaczej trwałoby to osiem dni.

— Jak to każdy bryt z osobna? Nie rozumiem? — spytała pani Dubarry.

— Tak, siostrzyczko. Jest trzynaście brytów. Dwie robotnice przy każdym, jedna z prawej, druga z lewej strony, naszywa ją suknię drogimi kamieniami i haftami, a w ostatniej chwili wszystko to połączą razem i o godzinie szóstej suknia będzie gotowa.

— Jesteś pewny tego, Janie? — O! Najzupełniej!

— A kareta?

— Odpowiadam za nią. Umalowana na nowo schnie w specjalnie ogrzonym pomieszczeniu! Śliczna, czteroosobowa! Ręczę, że nie ma ani jednej tak pięknej wśród tych, jakie zostały wysłane na spotkanie narzeczonej delfina.

Obok godła wojennego Dubarry: „Naprzód!”, kazałem wymalować z jednej strony dwa gołąbki, z drugiej zaś serce przebite strzałą, a wszystko to otoczone będzie złotymi ozdobami. U Franciana tłok. Wszyscy chcą obejrzeć to cacko. O ósmej będzie już tu, na podwórzcu.

W tej chwili nadeszła Chon i Dora i potwierdziły to wszystko o czym mówił Jan:

— Dziękuję wam, dzielni moi pomocnicy — rzekła hrabina.

— Siostrzyczko — rzekł Jan — oczy ci się kleją, prześpij się z godzinkę, to cię pokrzepi.

— Spać? Teraz? O! Nie! Za to w nocy będę spała doskonale, a niewiele osób będzie to mogło powiedzieć o sobie.

Kiedy hrabina czyniła te wszystkie przygotowania, cały Paryż mówił o mającej nastąpić prezentacji. Lud paryski lubi wszelkie uroczystości i nikt lepiej od niego nie znał wybitniejszych osobistości dworu. Ci nawet, którzy nie mieli tam wstępu, wiedzieli doskonale o wszelkich intrygach dworskich, interesowali się tym, co się tam działo, mieli swych ulubieńców.

Książę Richelieu w operze włoskiej, pani Dubarry w błyszczącej karecie, która równała się wspaniałością królewskiej — znani byli dobrze ludności stolicy.

Dubarry, młoda i piękna lubiła pokazywać się w teatrze, na spacerach, w sklepach. Znano ją także z karykatur, z portretów. Nic więc dziwnego, że interesowano się ogromnie jej prezentacją u dworu.

I dziś też było zbiegowisko na placu przed Palais-Royal, ale już nie dla przyglądania się panu Rousseau, grającemu w szachy w kawiarni Regencji, lecz dla ujżenia królewskiej faworyty i jej pięknej sukni, o której tyle mówiono.

Słowa Jana Dubarry: „Drogo kosztujemy Francję” miały głęboką treść. Ta Francja uosobiona przez Paryż, chciała nasycić oczy widowiskiem, za które płaciła tak drogo.

Pani Dubarry znała doskonale lud, bo lud francuski był bardziej jej ludem, niż Marii Leszczyńskiej. Wiedziała, że lubi, by go zachwycono przepychem, a ponieważ miała dobry smak, starała się o to, aby wspaniałość widowiska odpowiadała jego kosztom.

Zamiast przespać się, jak jej to radził brat, wykapała się w mleku i czekała na fryzjera.

Nie od rzeczy będzie nadmienić, że w owym czasie uczesanie wymagało wielu starań, czasu i kunsztu.

Wyobraźmy sobie wieżę na głowie, zbudowaną z włosów, drogich kamieni, piór, kwiatów i wstążek, z których nieraz układano godła herbowe. Aby wykonać taką fryzurę trzeba było nie tylko artysty, ale człowieka całkowicie oddanego swej sztuce i bezgranicznie cierpliwego.

Dlatego właśnie, spośród wszystkich rzemieślników, tylko fryzjerowi wolno było nosić szpadę.

Jan Dubarry bojąc się, aby sławny Lubin, fryzjer dworski nie zawiódł, ofiarował mu jako zachętę pięćdziesiąt luidorów.

Obawa ta wkrótce okazała się aż nadto uzasadniona. Bo oto wybiła szósta, minęło pół do siódmej a fryzjer nie zjawiał się. Za piętnaście siódma czekających ogarnęła prawdziwa rozpacz.

Wybiła siódma godzina. Jan posłał lokaja po fryzjera.

Lokaj powrócił po kwadransie.

Lokaj widział się z samą panią Lubin, która zapewniła go, że mąż jej udał się do pani Dubarry i że musi już być u niej.

— Czekajmy — rzekła Dubarry — może zatrzymało go coś w drodze.

— Nic jeszcze nie jest stracone — dodała — ubiorę się, a on mnie potem uczesze. Prezentacja odbędzie się dopiero o dziesiątej. Mamy więc jeszcze trzy godziny czasu, a do Wersalu nie tak daleko. Chon kochana, pokaż mi moją suknię, to mnie pocieszy.

— Gdzież jesteś Chon? Chon! Moją suknię, moją suknię!

— Sukni jeszcze nie ma — rzekła Dora — siostra pani hrabiny sama po nią pojechała.

— Ach! — zawołał Dubarry — słyszę turkot, to zapewne nadjeżdża nasza karetka.

Ale wicehrabia mylił się. To tylko Chon powróciła:

— Suknię! — wołała hrabina. — Chon! Prędeż! Dawaj mi suknię!

— Czyż jej jeszcze nie ma? — zawołała przerażona Chon.

— Nie! Me ma.

— A to zaraz będzie — uspokajała hrabinę Chon. — Właścicielka magazynu, a z nią dwie robotnice zabrały suknię i pojechały już dorożką.

— Tak — rzekł Jan — mieszkają przy ulicy du Bac, a dorożka nie jedzie tak szybko jak twój powóz.

— Tak, tak, zapewne — rzekła Chon — nie mogąc się opędzić złym przecuciom.

— Wicehrabio — rzekła Dubarry pošlij po karetkę. Niechże choć na nią nie czekamy.

— Dobrze, Joanno.

Dubarry otworzył drzwi i rozkazał:

— Niech natychmiast jadą do Franciana po karetkę tymi samymi końmi, które nas zawiozą do Wersalu!

Woznica z końmi wyruszył. A ledwie tętent ich ucichł w stronie ulicy Świętego Honoriusza, wszedł Zamora z listem.

— List do pani Dubarry — rzekł.

— Kto go przyniósł?

— Jakiś człowiek.

— Jak to? Co za człowiek?

— Przyjechał konno.

— A dlaczego oddał ten list tobie.

— Bo Zamora stał przy drzwiach.

— Czytaj, hrabino, zamiast się wypytywać — zawołał Jan.

— Masz słuszność, wicehrabio. Hrabina złamała pieczęć.

Po przeczytaniu pierwszych wyrazów krzyknęła przeraźliwie i padła na fotel.

— Ani fryzjera, ani sukni, ani karety! — zawołała.

Chon podbiegła do hrabiny. Jan pochwyił list. Pismo było proste i drobne, zdradzające rękę kobiecą.

„Pani — donosiło pismo — strzeż się! Dziś wieczorem nie dostaniesz ani fryzjera, ani sukni, ani karety. Spodziewam się, iż ostrzeżenie zdaży na czas.

Nie wymagam wdzięczności i nie podpisuję się nazwiskiem.

Zgadnij sama kto jest twoją szczerą przyjaciółką.”

— Ach! Cios ostatni — krzyknęła Dubarry w rozpacz. — Chyba, do wszystkich diabłów, zamorduję zdrajcę Lubina — wołał Jan. Już w pół do ósmej, a jego nie ma.

I wicehrabia chwycił się za głowę targając włosy.

— Suknia! Mój Boże, suknia! Fryzjera jeszcze znajdziemy! — wołała Chon.

— Jakiego znajdziesz? Ach! Do pioruna!

Hrabina milczała, lecz jej bolesne westchnienia wzruszyłyby nawet Choiseulów, gdyby je słyszeli.

— No, uspokój się — rzekła Chon. — Poszukamy fryzjera i jedźmy do szwaczki dowiedzieć się o losach sukni.

— Nie ma fryzjera, nie ma sukni, nie ma karety — szepnęła hrabina zgasłym głosem.

— Prawda! Nie ma dotąd karety — zawołał Jan — a powinna już być. O! To cały spisek, hrabino! Czy Sartines nie każe aresztować spiskowców? Czy Maupeou nie każe ich powiesić? Warci są tego, aby ich spalić na Placu Grève. Chciałbym kołem rozszarpać fryzjera, poćwiartować szwaczkę, na pal wbić stangreta.

Hrabina tymczasem oprzytomniała nieco i teraz dopiero uświadomiła sobie całkowicie swoją sytuację.

— No, tym razem jestem zgubiona — mówiła cicho. — Ci, którzy przekupili Lubina, usunęli na pewno wszystkich dobrych fryzjerów z Paryża. A moja suknia nieszczęśliwa, a kareta nowa, której mi tak zazdrozczono?

Dubarry milczał, oczy jego miały dziki wyraz, biegł z kąta w kąt, a ilekroć natknął się na jakiś sprzęt, druzgotał go bez miłosierdzia, i jeżeli kawałki wydawały mu się jeszcze zbyt wielkimi, łamał je na drobniejsze.

Wśród tej sceny rozpaczy, której nastrój udzielił się i służbie, wysyłanej co chwila ze sprzecznymi rozkazami, - przed bramą pałacu zatrzymał się kabriolet, z którego wysiadł młody elegancko ubrany, w ciemnozielony surdut, mężczyzna. Przebył ostrożnie na palcach dziedziniec, wszedł na schody i zapukał do buduaru.

Jan właśnie stłukł przepyszny sewrski serwis, o który zawadził chwytając spadający wielki chiński wazon, który poprzednio uderzył pięścią, gdy usłyszano trzykrotne, lekkie pukanie do drzwi.

Nastąpiła grobowa cisza, w czasie której nikt nie śmiał spytać, kto jest za drzwiami.

— Proszę wybaczyć — odezwał się głos zza drzwi. — Pragnąłbym pomówić z panią Dubarry.

— Ale mój panie — krzyczał portier, biegnąc za obcym i chcąc go zatrzymać.

— Czekaj, czekaj — rzekł Dubarry — nie może się nam przytrafić nic gorszego, ponad to co nas spotkało. Czego on chce od hrabiny?

I Jan otworzył drzwi ręką z takim rozmachem, że mógłby wysadzić bramy miasta Gazy.

Obcy uniknął z trudem uderzenia, odskakując w tył.

— Panie! — rzekł. — Chciałem ofiarować moje usługi hrabinie Dubarry, która jak mi się zdaje bierze udział w dzisiejszej ceremonii dworskiej.

— Jakież to usługi?

Nieznajomy skłonił się powtórnie.

— Jestem fryzjerem — powiedział.

— Ach! — krzyknął Jan — rzucając się na szyję przybysza. — Więc pan jesteście fryzjerem? Chodź prędzej, mój najdroższy panie, chodź!

— Chodź, chodź — wołała Chon, chwytając za ramiona młodego człowieka, zmieszanego tym przyjęciem.

— Fryzjer! — zawołała pani Dubarry podnosząc ręce. — Ależ to anioł zesłany z nieba! Czy to Lubin pana przysłał?

— Nikt mnie nie przysłał. — Wyczytałem w gazecie, że pani hrabina ma być przedstawiona u dworu. A może wypadkiem brak jej fryzjera, pomyślałem i ośmieliłem się przyjść.

— Jakże się pan nazywa? — zawołała hrabina trochę zażenowana.

— Leonard, pani.

— Tylko Leonard? Nie słyszałam nic o panu.

— Jeśli pani hrabina przyjmie moje usługi cały Paryż będzie jutro o mnie wiedział.

— Hm, hm — odezwał się Jan — uczesanie uczesaniu nie równe.

— Jeśli pani mi nie ufa, odchodzę.

— Bo, pan widzi, nie mamy czasu na próby — rzekła Chon.

— Po co próby, na co próby? — zawołał młody człowiek w uniesieniu przyjrząwszy się pani Dubarry. — Rozumiem to dobrze, że pani powinna olśnić uczesaniem i przez ten czas kiedy się jej przypatruję, wymyśliłem coś tak cudownego, że na wszystkich sprawi ogromne wrażenie.

I młodzieniec przybrał postawę takiej pewności siebie, że hrabina nabrała nieco ufności, a w serca Jana i Chon wstąpiła nadzieja.

— No, to spróbujmy — rzekła zwyciężona śmiałością fryzjera.

— Przede wszystkim prosiłbym o pokazanie mi sukni pani hrabiny, aby dostosować do niej fryzurę.

— Ach! Moja suknia — krzyknęła pani Dubarry, wracając do rzeczywistości — biedna moja suknia! Jan uderzył się w czoło.

— Ach! Prawda! — rzekł. — Panie, niech pan sobie wyobrazi podłą zasadzkę!... Skradziono suknię, szwaczkę, wszystko!

— Nieszczęście! — szepnęła hrabina. — Co mi przyjdzie z fryzjera, kiedy nie mam sukni.

W tej chwili odezwał się dzwonek u bramy.

— Dzwonią — zawołał Dubarry. Chon pośpieszyła do okna.

— Pudło! — krzyknęła.

— Pudło! — powtórzyła hrabina. — Czy wnoszą?

— Tak, nie, tak. Oddają portierowi.

Jan wypadł na dziedziniec i wyrwał pudło z rąk portiera.

Chon wyglądała oknem, on zaś otworzył pudło, sięgnął doń ręką i ryknął z radości.

Pudło zawierało prześliczną suknię z chińskiego atlasu przybraną kwiatami i kosztownymi koronkami.

— Suknia! Suknia! — wołała Chon klaszcząc w ręce.

— Suknia! — powtórzyła pani Dubarry, bliska omdlenia z nadmiaru radości, jak przed chwilą z nadmiaru rozpacz.

— Kto ci to wręczył, niedołęgo! — pytał Jan portiera.

— Jakaś kobieta — proszę pana — której wcale nie znam. — A gdzie się ona podziała?

— Oddała mi pudło, krzyknęła nad uchem „dla pani hrabiny”, wskoczyła do kabrioletu, którym przyjechała i oddaliła się szybko.

— Chodźże Janie, chodź prędzej — wołała Chon — siostra umiera z niecierpliwości.

— Jestem — mówił Jan. — Patrzcie i podziwiajcie. Tę suknię zesłano z nieba.

— Czy tylko będzie na mnie pasowała? — spytała hrabina. Chon zmierzyła suknię.

— Długość taka, jak na ciebie. Szerokość stanika także.

— Co za prześliczny materiał — dorzuciła pani Dubarry.

— To nie do uwierzenia — rzekła Chon.

— To przerażające — rzekła hrabina.

— Ależ przeciwnie — rzekł Jan. — To dowodzi, że masz nie tylko potężnych wrogów, lecz i równocześnie oddanych ci przyjaciół.

— A teraz — odezwał się Jan — myślę, że możesz z całym zaufaniem powierzyć swoją główkę temu panu.

— Co ci daje tę pewność?

— Czyż nie domyślasz się, że przysłał go ten sam przyjaciel, który dostarczył ci suknię?

— Ależ...?

— No! No! Cała ta historia z gazetą to komedia — rzekł Jan. — Prawda, kochany panie?

— Pani, oto jest gazeta. Zachowałem ją na papiloty.

I Leonard wyjął z kieszeni dziennik, w którym była wiadomość o prezentacji.

— No, no! Do roboty — rzekła Chon — bo ósma już bije! — Nic pilnego. Mamy jeszcze dość czasu — rzekł fryzjer.

— Tylko godzina jazdy.

— Gdybym tylko miała karetę — westchnęła hrabina. Prawie w tej samej chwili wpadł do salonu zmieszany

Francian.

— Ach! Panie wicehrabio! — zawołał. — Odebrano mi na ulicy Traversière karetę. Zatrzymało ją czterech ludzi, zrzucili mego czeladnika z kozła, i zaciąwszy konie zniknęli wraz z nią ulicą Saint-Nicaise.

— Byłem tego pewny — rzekł Jan.

— Ależ to napad, rozbój — krzyczała Chon. — Rusz się, mój bracie.

— Ruszać się? Ja? A to po co?

— Postaraj się o odpowiednią karetę. Tu są konie pomęczone, karety brudne. Joanna w czymś takim nie może jechać do Wersalu.

Ha! — odezwał się Jan. — Ten kto uśmierza morskie bałwany, kto żywi ptaszęta, kto przysyła fryzjera i suknię, przyśle nam i karetę.

— Patrzcie — krzyknęła Chon. — Otóż i kareta! Zatrzymała się przed bramą.

— Tak, lecz nie wjeżdża na dziedziniec.

Jan skoczył do okna i otworzywszy je zawołał:

— Biegnijcie! — krzyczał na służbę. — Dowiedzcie się kto przyprowadził karetę. Niech poznamy naszego dobroczyńcę!

Służba ruszyła z pośpiechem, lecz na próżno.

Kareta wybita białym atłasem, zaprzężona w dwa pyszne białe rumaki, stała przed bramą, ale ani woźnicy, ani lokaja nie było w niej. Konie trzymał najęty człowiek; jak mówił dostał za to sześć liwrów, od jakiegoś pana, który umknął w stronę placu z wodotryskiem.

Obejrzano drzwiczki karety. Zamiast herbu widniały na nich bukiety z róż.

Jan rozkazał wprowadzić karetę, zamknął bramę, klucz schował i powrócił do buduaru, gdzie już fryzjer zabierał się do czesania.

— Panie — zawołał Jan chwytając za rękę Leonarda — jeśli nie wydasz nazwiska anioła opiekuńczego, abyśmy zachowali dla niego dozągonną wdzięczność, przysięgam ci, że...

— Ostrożnie, wicehrabio — przerwał flegmatycznie Leonard — ściskasz mi rękę zbyt mocno. Nie uczeszę pani hrabiny. A już bije pół do dziewiątej.

— Puszczaj Janie, puszczaj! — zawołała hrabina.

— Cudo! Suknia doskonale zrobiona — krzyknęła Chon.

— A kareta prześliczna. Wybita białym atłasem, pachnie esencją różaną — dodał Jan.

— No, panie Leonardzie! — zawołała Dubarry. — Jeśli i fryzura się uda, los twój jest zapewniony.

Po trzech kwadransach pani Dubarry wyszła spod jego ręki bardziej zachwycająca niż bogini piękności.

Leonard raz jeszcze rzucił okiem na wspaniałe arcydzieło sztuki fryzjerskiej wznoszące się na głowie hrabiny. Poprawił fryzurę, umocował i podziękowawszy Chon, która z nadmiaru wdzięczności usługiwała mu jak królowi, chciał się oddalić.

— Panie! — zawołał Dubarry. — Dowiedz się, że jestem równie zawzięty w miłości jak w nienawiści. Powiedz zatem kim jesteś?

— Wiesz już, panie. Jestem młodym, początkującym fryzjerem, a nazywam się Leonard.

— Pan początkujący? Boże wielki! Toż jesteś mistrzem w swojej sztuce.

— Odtąd będziesz mnie zawsze czesał, panie Leonardzie — rzekła hrabina przeglądając się w małym ręcznym lusterku — a za każde uczesanie otrzymasz pięćdziesiąt luidorów. Chon kochana, wylicz panu sto luidorów za ten pierwszy raz. Pięćdziesiąt będzie zadatkiem.

— Wszak mówiłem pani, że uczynisz mnie sławnym.

— Ale czesać będziesz tylko mnie.

— W takim razie niech pani zabierze te sto luidorów. Genię swoją wolność. To największy skarb człowieka.

— Fryzjer filozofem! — zawołał Jan. — Stwórczo Przedwieczny! Co się dzieje? I czym się to skończy? No, kochany panie Leonardzie, zabierz pieniądze i zachowaj swoją wolność! A my, hrabino, jedźmy już.

Te ostatnie słowa zwrócone były już do pani de Bèarn, która weszła właśnie, sztywna i wystrojona.

— Prędej, prędej, niech wezmą panią na ręce i ostrożnie zniosą ze schodów.

Jeśli wyda najmniejszy jęk, poduszę was, lokaje! Gdy Jan wraz z Chon dozorowali zniesienia starej hrabiny ze schodów, pani Dubarry rozejrzała się szukając Leonarda. Ale fryzjer znikł.

— Gdzież on się podział? Którędy wyszedł? — szepnęła.

— Gdzież on się podział? Którędy wyszedł? — powtórzył Jan. — Zapadł się w ziemię lub ulotnił się przez sufit. To zwykła droga diabłów. A teraz słuchaj, hrabino! Twoja fryzura może zamienić się w masę migdałową, suknia w pajęczynę, a do Wersalu zajedziemy w dyni, zaprzężonej w dwa szczury. Wypowiedziawszy te obawy, wicehrabia wskoczył do karety, gdzie już siedziały hrabina de Bèarn i jej chrześniaczka, obie rozpromienione.

XXXVIII. PREZENTACJA

Wersal, jak wszystko co wielkie, był, jest i pozostanie piękny.

Nawet w ruinie przedstawiałby jeszcze niezmiernie uroczy widok dla poety lub marzyciela, który by z balkonu pałacu mógł rozglądać się po tych cudach, rozrzuconych na tle dalekiego horyzontu. Ale nade wszystko wspaniałym był Wersal w dniach chwały — w tych dniach, w których niezliczone tłumy, powstrzymywane przez galowo umundurowanych żołnierzy, tłoczyły się pod jego złote sztachety, aby nasycić wzrok widokiem bogatych pojazdów, wyścielanych aksamitem i atłasem, toczących się z turkotem po bruku pałacowego dziedzińca. W oknach jarzących się światłami, widać było świat lśniący od brylantów, rubinów i szafirów, świat, który na skinienie ręki króla pochylał głowy, jak wiatr zgina złociste kłosa, wśród których błyszczą żywymi barwami bławaty i maki polne. Tak. Wersal był nade wszystko piękny, gdy przez jego bramy wyjeżdżali gońcy do wszystkich monarchów świata, kiedy królowie, książęta, generałowie, uczeni — deptali bogate wersalskie kobierce i posadzki z drogocennej mozaiki.

Wersal, nieco już inny niż za czasów Ludwika XIV, ale wciąż jeszcze świetny, otworzył dziś wszystkie podwoje, zajaśniał wszystkimi światłami i ukazał cały swój przepych na prezentację pani Dubarry. Tłumy ciekawych, tłumy zgłodniałe i nędzne zdawały się zapominać, rzecz dziwna, o swojej nędzy i głodzie, na widok takiego blasku. Tłumy ludu zapełniały plac i całą drogę z Paryża.

Król wyszedł ze swych apartamentów punkt o dziesiątej. Ubrany był świetniej niż zwykle. Jego strój przybrany był w kosztowne koronki, a same sprzączki u spodni i trzewików warte były około miliona.

Sartines zawiadomił króla o spisku uknutym poprzedniego wieczoru. Toteż troska widoczna była na czole króla. Obawiał się, czy nie zastanie samych tylko mężczyzn w galerii.

Obawa ta wkrótce minęła, bo w sali królewskiej, przeznaczonej jedynie na prezentacje, ujrzał najpierw trzy swoje córki, potem marszałkową de Mirepoix, która tyle robiła wczoraj hałasu, ujrzał wreszcie wszystkie te wichrzycielki, które wczoraj przysięgały zostać w domu, a dziś stawiały się pierwsze w szeregu.

Książę Richelieu biegał jak generał od jednej do drugiej i mówił:

— A! Złapałem cię, istoto przewrotna! Albo:

— Byłem zupełnie pewny, że pani się sprzeniewierzy.

Albo też:

— A co? Nie mówiłem, ile warte są wasze spiski?

— A ty, książę? — pytały damy.

— Ja reprezentuję moją córkę, hrabinę d'Egmont. Proszę popatrzeć, przecież jej tu nie ma. Tylko ona wraz z paniami de Grammont i de Guèmenèe dotrzymały słowa. Toteż wiem, co mnie czeka. Jutro pójdę na piąte już wygnanie, albo po raz czwarty do Bastylii. Doprawdy! Już nigdy więcej nie będę należał do spisków.

Król wszedł. Nastąpiło głębokie milczenie. Wybiła godzina dziesiąta. Przy królu znajdowało się około pięćdziesięciu osób z najznakomitszej szlachty, którzy nie przysięgali, że nie zjawią się na prezentację i zapewne dlatego wszyscy byli obecni.

'Król spostrzegł natychmiast nieobecność trzech dam. Zbliżył się do pana de Choiseul, udającego nadzwyczajny spokój i spytał:

— Nie widzę księżny de Grammont?

— Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział minister. — Moja siostra jest chora. Poleciała mi złożyć Waszej Królewskiej Mości wyrazy najpoddającego szacunku.

— Tym gorzej — odpowiedział król i odwróciwszy się plecami do Choiseula, stanął oko w oko z księciem de Guémènèe, którego zapytał:

— Gdzież to księżna de Guémènèe? Nie przyjechała z tobą, Mości Książę?

— To było niemożliwe, Najjaśniejszy Panie, bo właśnie zachorowała. Pozostawiłem ją w łóżku.

— Tym gorzej, tym gorzej! — powiedział znowu król. — A! Otóż i pan marszałek! Dobry wieczór, panie marszałku!

— Najjaśniejszy Panie... — wyszeptał stary dworak, składając ukłon z młodzieńczą giętkością.

— A ty, książę, nie jesteś przypadkiem chory? — zapytał Ludwik XV, tak, aby to usłyszeli panowie de Choiseul i de Grammont.

— Czuję się zawsze najzdrowszy, gdy spotyka mnie zaszczyt ujrzenia Waszej Królewskiej Mości.

— Dlaczegoż jednak nie ma tu twej córki, hrabiny d'Egmont? — zapytał król rozglądając się dokoła:

— Biedna hrabina rozpaczła, że nie może złożyć najpowinniejszego hołdu Waszej Królewskiej Mości, zwłaszcza dzisiejszego wieczoru, ale jest chora, Najjaśniejszy Panie!

— Tym gorzej, tym gorzej!

Obchodząc dalej salon zatrzymał się Ludwik XV przed panią de Mirepoix i zaczął z nią mówić tak uprzejmie, iż wprowadził ją w zakłopotanie.

— Oto nagroda za zdradę — szepnął jej do ucha marszałek. — Jutro zostanie pani obsypana zaszczytami, gdy tymczasem my...!

— Zdaje mi się, książę, że i ty zdradzasz Choiseulów skoro się tu znajdujesz... Przysięgałeś przecież także...

— Tylko za moją córkę, marszałkowo, za moją biedną Septymanię. Wpadnie w niełaskę, za to, że była zbyt wierna.

— Swojemu ojcu — dopowiedziała marszałkowa. Książę udał, że tego nie słyszał, i zapytał:

— Czy pani nie zauważyła, marszałkowo, że król jest bardzo niespokojny?

— Ma widocznie jakieś do tego powody.

— Ale jakie?

— Jest kwadrans po dziesiątej.

— A tak... prawda... a hrabiny jak nie widać, tak nie widać. Marszałkowo, czy chcesz, abym ci coś powiedział?

— Mów.

— Lękam się.

— Czego?

— Aby co złego nie przytrafiło się biednej hrabinie. Musisz coś o tym wiedzieć, marszałkowo.

— Dlaczegoż to ja?

— Byłaś przecież główną sprężyną spisku.

— Więc tak! — poufnie szepnęła marszałkowa. — Mam te same obawy, co i ty, książę.

— Nasza księżna jest przeciwniczką niebezpieczną, umie ona jak Partowie ranić uciekając. Dostrzegam także niepokój na twarzy pana de Choiseul, nie może usiedzieć na miejscu, a króla nie spuszcza z oczu. Cóżecie tam takiego uknuli? Powiedz mi z łaski swej, książęno.

— O niczym nie wiem, ale coś podejrzewam, tak, jak ty, książę.

— Co na tym zyskają?

— Zwłokę, kochany książę, a jutro może się coś zdarzyć, co prezentację odwlecze w nieskończoność. Narzeczona delfina zamiast za cztery dni może już jutro znaleźć się w Compiègne. Kto wie, czy nie chodzi im o zyskanie jednego dnia.

— Twoja bajeczka, marszałkowo, ma wszelkie pozory prawdy.

— Jakoś długo nie widać hrabiny.

— Król się niepokoi i będzie w coraz to gorszym usposobieniu. ' — Dlaczego?

— Jest już dwadzieścia minut po dziesiątej. Z pewnością już nie przybędzie.

— O! Marszałkowo, marszałkowo, ależ to byłby okropny skandal.

— Powód do procesu kryminalnego. Bo o ile wiem z pewnego źródła jest tam i porwanie i gwałt, a nawet obraza majestatu.

— Choiseulowie wszystko postawili na jedną kartę.

— Patrz, król znowu we framudze.

Rzeczywiście, Ludwik XV ponury i gniewny, podszedł do okna i oparł czoło na chłodnej szybie.

W trakcie tego, jakby szelest liści przed burzą, dał się słyszeć szmer rozmów dworzan.

Zegar wybił pół do jedenastej. - Pan Maupeou zbliżył się do króla i rzekł:

— Piękna pogoda, Najjaśniejszy Panie!

— Wspaniała. Czy pojmujesz, co to znaczy, panie Maupeou.

— Co takiego, Najjaśniejszy Panie?

— Dziwne opóźnienie! Biedna hrabina.

— Zastąpiła chyba, Najjaśniejszy Panie — rzekł kanclerz.

— Że się pochorowały panie: de Grammont, Guèmenèe i Egmont, to łatwo zrozumieć, ale że hrabina chora, to nie do pojęcia.

— Najjaśniejszy Panie, silne wzruszenie nieraz przyprawić może o chorobę, a radość hrabiny była tak wielka!

— Wszystko skończone — rzekł Ludwik XV potrząsając głową — na pewno już nie przyjedzie.

Cisza tak głęboka panowała w sali, że ostatnie słowa królewskie, choć wymówione półgłosem, dosłyszane były przez wszystkich obecnych.

Zanim jednak zdołano sobie zdać sprawę z ich znaczenia, usłyszano turkot zajeżdżającej karety. Wszyscy obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

Król odszedł od okna i stanął pośrodku sali.

— Lękam się, aby to nie była jakaś zła nowina — szepnęła marszałkowa księciu, który uśmiechnął się zagadkowo.

Twarz króla nagle się ożywiła. Oczy zabłyśły radością.

— Pani hrabina Dubarry! — oznajmił głośno portier wielkiemu mistrzowi ceremonii.

— Pani hrabina de Bèarn!

Pod wrażeniem sprzecznych uczuć wszystkie serca uderzyły szybszym tętnem. Tłum dworzan, pociągnięty ciekawością zbliżył się do króla.

Pani de Mirepoix znalazła się najbliżej.

— O! Jaka piękna! Jaka piękna! — zawołała, składając ręce w zachwycie.

Król uśmiechnął się do marszałkowej.

— Czarodziejka, nie kobieta — rzucił Richelieu. Król skinął przychylnie głową staremu dworakowi. Istotnie pani Dubarry nigdy nie wydawała się tak piękną, ani tak uroczą, jak w tej chwili. Pełna wdzięku postawa, lekki chód — oczarowały całe zgromadzenie.

Zachwycająco piękna, w stroju bogatym, choć pełnym prostoty, z prześliczną fryzurą, weszła prowadzona za rękę przez panią de Bèarn. Ta ostatnia, mimo strasznego bólu, nie kulała, tylko róż opadał z jej zwiędłego oblicza, wstrząsanego nerwowym drżeniem, wywoływanym przy każdym stąpieniu oparzoną nogą. Wszystkie oczy spoczęły na tej szczególnej parze.

Stara dama z obnażonymi, jak za czasów młodości, ramionami, ze spiętrzonymi włosami, z oczami zapadłymi i świecącymi jak u sowy, stąpająca niby kościotrup, we wspaniałym stroju wydawała się wizerunkiem czasów przeszłych, podającym rękę chwili obecnej.

Kontrast ten był tak wielki, że królowi wydało się, że pani de Bèarn przyprawia mu ulubienicę piękniejszą i bardziej zachwycającą niż kiedykolwiek.

W chwili też, gdy hrabina Dubarry przyklękła według ceremoniału na jedno kolano i całowała rękę królewską, Ludwik XV pochwycił ją za ramię i wynagrodził jej wszystkie zmartwienia ubiegłych dwóch tygodni słowami:

— Jak to? Ty u nóg moich, hrabino? To żarty chyba, to ja chciałbym znaleźć się u twoich stóp!

Potem, również według ceremoniału, otoczył ją ramionami, ale zamiast etykietalnego, złożył na jej ślicznej twarzyczce, prawdziwie serdeczny pocałunek.

— Prześliczną masz pani córkę chrzestną — odezwał się do pani de Bèarn — ale i ona poszczycić się może tak dostojną opiekunką, którą z przyjemnością widzę znowu na moim dworze.

Stara dama skłoniła się królowi.

— Pójdź, hrabino, powitać moje córki! — odezwał się następnie do pani Dubarry — i pokaż im, że znasz dobrze ukłony. Spodziewam się, iż nie będziesz miała powodu być niezadowoloną, z tych jakie ci one oddadzą.

Trzy księżniczki widząc zbliżającą się panią Dubarry powstały jak za naciśnięciem sprężyny i czekały.

Czujne spojrzenie króla nakazywało im zachowanie się jak najbardziej uprzejme.

Z pewnym wzruszeniem, odpowiedziały na niższy, niż nakazywała etykieta, ukłon pani Dubarry, co się podobało ogólnie, a tak rozczuliło księżniczki, że uściślały ją serdecznie.

Od tej chwili powodzenie hrabiny zamieniło się w triumf. Powolniejsi, lub mniej zręczni, dworzanie długo musieli czekać, aby precyzyjnie się do niej dla złożenia ukłonu.

Dubarry zdawała się nie pamiętać o wszystkich intrygach. Nic sztucznego nie mąciło jej pogodnej wesołości. Zdawało się, że w jej sercu wezbranym radością, nie było miejsca na żadne nienawistne uczucia. Pan de Richelieu, zwycięzca spod Mahon, umiał manewrować. Podczas gdy zwykli dworzanie pozostali na swych miejscach, czekając, póki nie przyjdzie na nich kolej składania hołdu bóstwu, on jak wódz kawalerii stojący w otwartym polu i czekający na zmianę frontu szeregów, obrął pozycję za taboretem hrabiny i w ten sposób znalazł się obok niej jako pierwszy.

Pani de Mirepoix, świadoma zręczności przyjaciela, poszła za jego przykładem i nieznacznie przysunęła swój taboret do taboretu faworyty.

We wszystkich grupach zawrzała rozmowa, której jedynym tematem była osoba pani Dubarry.

Hrabina, świadoma miłości króla, wsparta obecnie uprzejmym przyjęciem księżniczek i pomocą swej matki chrzestnej, śmiało spoglądała na panów otaczających monarchę, a pewna swej pozycji, szukała oczami swych nieprzyjaciółek pomiędzy damami.

Naraz czyjaś postać przesłoniła jej widok sali.

— Ach! Książę! — zawołała. — Trzeba było aż tu przybyć, żeby was nareszcie spotkać.

— Jak to, hrabino?

— Tak, od tygodnia prawie nie pokazał się książę, ani w Wersalu, ani w Paryżu, ani w Luciennes.

— Zachowywałem sobie przyjemność ujżenia pani tutaj dzisiejszego wieczoru — odpowiedział stary dworak.

— Przewidywałeś to może, Mości Książę? — Pewny tego byłem, hrabino.

— Dziwny z ciebie człowiek, książę, wiedziałeś o wszystkim, a nie uprzedziłeś mnie, która o niczym nie wiedziałam:

— Jak to, pani? Nie wiedziałaś, że masz tutaj być?

— Nie. Byłam w tym położeniu co kiedyś Ezop. Gdy stróż porządku publicznego zatrzymał go na ulicy i zapytał: „Dokąd idziesz?” „Nie wiem” — odpowiedział bajkopisarz, „Tak. No, to w takim razie pójdziesz do więzienia”. „Widzisz, więc, że nie wiedziałem dokąd idę” — odparł filozof. Tak samo i ja, Mości Książę, mogłam przypuszczać, że idę do Wersalu. Lecz na pewno twierdzić tego nie mogłam. Byłbyś też oddał mi wielką przysługę, gdybyś był raczył mnie odwiedzić... Teraz przyjdiesz, nieprawdaż...?

— Pani — odpowiedział Richelieu, udając, że nie zrozumiał szyderstwa — nie pojmuję dlaczego nie byłaś pewna tego, że tu przybędziesz?

— Dlatego Mości Książę, ponieważ zastawiono na mnie 'najprzeróżniejsze sidła.

I bystro spojrzała na księcia, który z całym spokojem wytrzymał to spojrzenie.

— Sidła? Boże! Co ja słyszę, hrabino?

— Najpierw skradziono mi fryzjera.

— Fryzjera?

— Tak jest, Mości Książę!

— Czemu mnie pani nie powiadomiła o tym. Byłbym ci przysłał innego. Ale mówmy trochę ciszej — dodał. — Byłbym ci przysłał skarb, talent, który wynalazła pani d'Egmont, artystę, przy którym błędną wszyscy perukarze, byłbym ci przysłał mego Leonarda.

— Leonarda? — zawołała hrabina.

— Tak. Człowieka, który czesze Septymanię. Człowieka, którego ukrywała ona przed okiem ludzkim, jak Harpagon swoją szkatułkę. Zresztą, hrabino, nie masz się na co użalać, uczesana jesteś

zachwycająco, a co najdziwniejsze, że fryzura twoja przypomina tę, jaką miałyby dzisiaj moja córka, gdyby nie zachorowała. Biedna Septymania!

Hrabina jeszcze bardziej badawczo spojrzała na księcia.

Stał on przed nią uśmiechnięty, zagadkowy.

— Wybacz, hrabino, że ci przerwałem. Mówiłaś wszak o sidłach.

— A tak. Pozbawiwszy mnie fryzjera, skradziono mi suknię. Moją prześliczną suknię.

— Ach! Jakież to ohydne! Ale jednocześnie trzeba przyznać, hrabino, że potrafiłaś wybornie się bez niej obejść. Ta, którą masz na sobie zrobiona jest ze wspaniałej tkaniny. Materia chińska haftowana w kwiaty, nieprawda? Gdybyś się pani udała do mnie ze swoim kłopotem, jak to w przyszłości robić powinnaś, byłbym ci przysłał suknię, którą moja córka kazała sobie przygotować na twoją prezentację, suknia ta jest do tej tak podobna, iż przysiągłbym, że to ta sama.

Pani Dubarry pochwyliła księcia za obydwie ręce, zaczęła bowiem pojmować kto był tym czarodziejem, który ją wybawił z kłopotu.

— A czy wiesz, księżę, jaką kareta tu przyjechałam?

— Nie. Prawdopodobnie swoją własną?

— I kareta moją zrabowano mi, podobnie jak fryzjera i suknię.

— Ależ to była, widzę, prawdziwa zasadzka. W jakiejże karecie przybyłaś więc hrabino?

— Najpierw, powiedz mi, księżę, jak wyglądała kareta pani d'Egmont?

— Na honor! Zdaje mi się, że w przewidywaniu dzisiejszego wieczoru zadysponowała sobie kareta wybitą białym atłasem, ale zabrakło czasu na wymalowanie herbu.

— Róże łatwiej się maluje niż skomplikowane herby rodziny Richelieu i d'Egmont. Wiesz, księżę, że jest pan zachwycającym człowiekiem.

I podała mu obie rączki, które stary dworak ujął i zaczął okrywać pocałunkami. Nagle poczuł, że te śliczne ręce zdrząły.

— Co pani jest, hrabino? — zapytał rozglądając się.

— Księżę... — rzekła hrabina. — Kim jest ten mężczyzna, który stoi blisko pana Guèmenèe?

— Ten w mundurze pruskiego oficera?

— Tak.

— Ten brunet z czarnymi oczyma i wyrazistą twarzą? Hrabino, to jakiegoś wyższego stopnia adiutant Jego Królewskiej Mości króla pruskiego, delegowany dla uświetnienia swoją obecnością dzisiejszej prezentacji.

— Nie żartuj, księżę. Ten człowiek był już we Francji przed trzema czy czterema laty, Jest to człowiek, którego znam, którego szukałam, a którego nigdzie znaleźć nie mogłam.

— Mylisz się, hrabino. To hrabia de Foenix, świeżo przybyły cudzoziemiec.

— Czy widzisz, księżę, jak on się we mnie wpatruje?

— Wszyscy patrzą na ciebie, pani, bo jesteś wyjątkowa piękna.

— Kłania mi się. Czy widzisz to?

— Wszyscy kłamać ci się będą, jeśli dotąd jeszcze nie uczynili tego.

Ale hrabina nie słuchała tych komplementów. Dziwnie wzruszona, z wejrzeniem utkwionym w człowieka, który pochłonął jej całą uwagę, odwróciła się od księcia i jakby mimo woli postąpiła parę kroków w stronę nieznanego.

Król, który nie spuszczał oka z ulubienicy zauważył ten ruch, a sądząc, iż chce ona z nim mówić, zbliżył się, aby jej złożyć swoje powinszowanie.

— Najjaśniejszy Panie — zapytała — kim jest ten oficer pruski, który stoi tyłem do pana Guèmenèe?

— Ten, który w tej chwili teraz na nas patrzy? — zapytał Ludwik XV.

— Tak — odpowiedziała hrabina.

— Reprezentant mojego kuzyna, króla pruskiego... filozof jak i tamten. Zaprosiłem go na dziś wieczór.

— Ale jak się nazywa, Najjaśniejszy Panie?

— Zaczekaj — król przypomniał sobie — Tak. Hrabia Foenix.

— To on! — rzekła do siebie po cichu pani Dubarry — to on, jestem tego pewna.

Król czekał chwilę na nowe zapytania pani Dubarry, a widząc, że milczy, powiedział:

— Zawiadamiam was panie, że jutro przybywa do Compiègne narzeczona-delfina. Jej Królewska Wysokość przyjmowana będzie w samo południe. Do orszaku należeć będą wszystkie damy przedstawione z wyjątkiem naturalnie tych, które się pochorowały. Podróż jest zawsze męcząca, a narzeczona delfina nie chciałaby narażać ich cennego zdrowia.

Król wypowiedział te słowa surowo, patrząc na panów: de Choiseula, Guémènèe i Richelieu'go.

Zapanowało milczenie. Znaczenie tych słów było aż nadto jasne. Była to zapowiedź niełaski.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się stojąca obok króla pani Dubarry — błagam o przebaczenie dla pani hrabiny d'Egmont?

— Czemuż to, jeśli łaska?

— Bo ona jest córką księcia de Richelieu, a on jest najwierniejszym moim przyjacielem.

— Richelieu?

— Jestem tego pewna, Najjaśniejszy Panie!

— Uczynię wszystko, co tylko będziesz chciała — odpowiedział król.

I zbliżywszy się do marszałka, którego uwadze nie uszło ani jedno poruszenie warg hrabiny i który, nawet jeśli nie słyszał, to odgadł to, co mówiła.

— Spodziewam się kochany książę, że pani d'Egmont wyzdrowieje do jutra.

— Niewątpliwie, Najjaśniejszy Panie, dziś nawet, jeśli Wasza Królewska Mość sobie tego życzy.

Książę skłonił się przed królem, przy czym ukłon jego wyrażał cześć i wdzięczność zarazem.

Król nachylił się do ucha hrabiny i coś jej cicho szepnął.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała z czarującym uśmiechem hrabina — jestem waszą posłuszną poddaną.

Król skinieniem ręki pożegnał obecnych i oddalił się do swych apartamentów. Za ledwie przestąpił próg sali, gdy oczy hrabiny z wyrazem przestachu skierowały się na niezwykłego człowieka, którego obecność tak ją niepokoiła.

Człowiek ów, wraz z innymi skłonił się przechodzącemu królowi, przy czym nawet podczas ukłonu twarz jego zachowała wyraz dumy, a nawet niemal groźby. Skoro tylko wyszedł Ludwik XV, przecisnął się pomiędzy zebranymi i stanął w odległości dwóch kroków od pani Dubarry.

Hrabina pociągnięta nieprzepartą ciekawością przybliżyła się ku niemu tak, że schylając się w ukłonie mógł jej powiedzieć cicho, aby nikt inny nie mógł słyszeć.

— Czy poznajesz mnie, pani?

— Poznaję. Jesteś pan moim prorokiem z Placu Ludwika XV.

Nieznajomy popatrzył na nią wzrokiem jasnym i śmiałym.

— Czy skłamałem, przepowiadając ci pani, że będziesz królową Francji?

— Nie. Przepowiednia pańska prawie, że się spełniła. Gotowa jestem dotrzymać mojego zobowiązania. Czego pan żąda? Powiedz, bardzo cię o to proszę.

— Miejsce nie po temu, ani czas jeszcze nie nadszedł.

— Proszę mi wierzyć, że każde żądanie postaram się spełnić.

— Czy będę mógł o każdym czasie, w każdym miejscu, o każdej porze dostać się do pani?

— Przrzekam ci to uroczyście.

— Dziękuję.

— Ale pod jakim nazwiskiem się zjawisz? Czy jako hrabia de Foenix?

— Nie. Jako Józef Balsamo.

— Józef Balsamo — powtórzyła hrabina, podczas gdy tajemniczy cudzoziemiec znikł w tłumie dworzan. — Józef Balsamo. Dobrze! Nie zapomnę!

XXXIX COMPIÈGNE

Nazajutrz rano całe Compiègne wstało w nastroju radosnego podniecenia, a mówiąc ściślej, wcale się do snu nie kładło.

Już w przeddzień, przednia straż królewska zarezerwowała dla siebie w mieście kwatery, a gdy oficerowie zaznajamiali się z miejscowością, znakomitsi mieszkańcy miasta wspólnie z mistrzem ceremonii przygotowywali gród do wielkiego zaszczytu jaki miał go spotkać.

Przystrojono miasto w bramy triumfalne z zieleni, w kwiaty, umieszczając w miejscach widocznych napisy wierszem i prozą po łacinie, niemiecku i francusku.

Dziewczęta w bieli, ławnicy ubrani na czarno, mnisi w szarych habitach, kler w najbogatszych szatach, wojsko w nowych mundurach — wszyscy gotowi na swych stanowiskach oczekiwali na pierwszy znak o zbliżaniu się narzeczonej delfina. Delfin z dwoma braćmi przybył incognito o jedenastej wieczorem.. Wczesnym rankiem dosiadł konia i w towarzystwie; piętnastoletniego hrabiego Prowansji i trzynastoletniego hrabiego d'Artois popędził w kierunku Ribecourt, drogą, którą miała przybyć jego narzeczona.

Trzeba przyznać, że nie było to pomysłem młodego księcia, ale jego guwernera de La Vauguyona, który dzień przedtem otrzymał od Ludwika XV polecenie zaznajomienia swego dostojnego wychowanka ze wszystkimi obowiązkami, jakie mu wypadało spełnić w ciągu najbliższej doby.

Pan de La Vauguyon uznał za stosowne, aby księżę de Berry poszedł w ślad za tradycyjnym przykładem swych przodków, którzy sami chcieli ujrzeć przyszłe małżonki, jeszcze w drodze, nie przygotowane na taki egzamin.

Na rączkach koniach ujechali trzy do czterech mil francuskich w przeciągu pół godziny. Delfin był poważny, a jego bracia weseli. O pół do dziewiątej byli już z powrotem w mieście. Delfin tak samo poważny, hrabia Prowansji niemal ponury, tylko hrabia d'Artois był weselszy niż z rana. Księżę de Berry był bowiem niespokojny, hrabia Prowansji zazdrosny, a hrabia d'Artois zachwycony i przejęty tym, że przyszła bratowa jest tak piękna.

Dziesiąta biła na ratuszu w Compiègne, gdy wartownik ujrzał na dzwonnicy wioski Claives zatkniętą białą chorągiew, co oznaczało, że narzeczona delfina jest już blisko.

Natychmiast uderzył w dzwon, a na to hasło rozległ się wystrzał armatni z placu przed zamkiem.

W tejże chwili król wsiadł do karety zaprzężonej w osiem koni i jechał środkiem podwójnego szpaleru wojska, a za nim niezliczona ilość dworskich powozów.

Żandarmi i dragoni w pełnym galopie torowali drogę wśród tłumów spragnionych ujrzenia króla i jego powitania z synową.

Sto czterokonnych karek wiozło czterysta pań i tyleż panów z najznakomitszej szlachty francuskiej. Tym stu karetom towarzyszyli masztalerze, hajducy, lokaje i pazie. Dworzanie królewscy na koniach tworzyli świetny hufiec, który wśród pyłu wznieconego kopytami koni, mienił się aksamitem, złotem, piórami i jedwabiem.

Zatrzymano się przez chwilę w Compiègne, potem wyjechano powoli z miasta, aż do umówionej granicy, którą oznaczał krzyż przy drodze, w pobliżu wsi Magny.

Cała młodzież Francji otaczała delfina, cała stara szlachta była przy boku króla.

Jednocześnie od strony przeciwnej zbliżała się kareta przyszłej żony delfina.

Dwa orszaki zetknęły się nareszcie.

Natychmiast wszyscy dworzanie wysiedli z karek. Dwie tylko pozostały jeszcze zajęte. Jedna króla, druga narzeczonej delfina.

Otworzyły się drzwiczki karety i młoda arcyksiężniczka lekko wyskoczyła z powozu i podeszła do karety królewskiej, Ludwik XV ujrzawszy swoją synową kazał otworzyć drzwiczki i śpiesznie wysiadł z pojazdu.

Narzeczona delfina tak dobrze obliczyła swe kroki, że w chwili, gdy król stawiał nogę na ziemi, rzuciła mu się do kolan. Król się schylił, podniósł młodziutką księżniczkę i czule ją uściskał, objął wejrzeniem, które wywołało rumieniec na bladej, niewinnej twarzyczce.

— Księżę delfin — rzekł król przedstawiając jej księcia de Berry, stojącego za Marią Antoniną tak, że nie mogła go jeszcze spostrzec, przynajmniej urzędowo.

Maria Antonina ukłoniła mu się z wdziękiem, na co on odpowiedział także ukłonem rumieniąc się przy tym.

Po delfinie przyszła kolej na dwóch jego braci, po nich znów na córki królewskie.

Narzeczona delfina dla każdego z książąt, dla każdej księżniczki znalazła uprzejme słówko.

W czasie gdy następowały jedne po drugich prezentacje, za księżniczkami w oczekiwaniu pełnym niepokoju stała pani Dubarry. Czy na nią też przyjdzie kolej? Czyżby miała być pominięta?

Po przedstawieniu królowy Zofii, najmłodszej z córek króla, nastąpiła chwilowa przerwa, podczas której wszyscy wstrzymali oddech.

Król zdawał się wahać. Narzeczona delfina tak wyglądała, jakby oczekiwała czegoś, o czym z góry była uprzedzona.

Król rozejrzał się dokoła, a ujrawszy w pobliżu stojącą hrabinę ujął jej rękę.

Wszyscy rozstąpili się natychmiast, tak że król ujrzał się w środku koła z żoną delfina.

— Pani hrabina Dubarry — rzekł — moja najlepsza przyjaciółka.

Maria Antonina zbladła, lecz na jej zbiegających ustach zarysował się uprzejmy uśmiech.

— Wasza Królewska Mość szczęśliwy jesteś, mając tak zachwycającą przyjaciółkę i bynajmniej nie dziwi mnie przywiązanie, jakie w nim może wzbudzać. Otaczający z podziwem spojrzeli po sobie. Widocznie narzeczona delfina postępowała według poleceń dworu austriackiego i dosłownie powtórzyła to co jej podyktowała Maria Teresa.

Pan de Choiseul sądząc, że obecność jego także jest niezbędna, zbliżył się, lecz w tejże chwili król dał znak. Uderzono w bębny, zagrały trąby, zagrzmiąły działa.

Król ująwszy za rękę młodą księżniczkę poprowadził ją do karety.

Przeszła obok pana de Choiseul, trudno powiedzieć, czy go widziała, czy też nie, to tylko pewne, że nie powitała go nawet skinieniem głowy.

Z chwilą gdy zajęła miejsce w karecie królewskiej, w mieście uderzono w dzwony.

Pani Dubarry promienna, powróciła do swej karety.

Król otoczony orszakiem zawrócił drogą do Compiègne.

Wtedy dopiero powstrzymywane dotąd przez uszanowanie wszystkie naraz głosy wybuchnęły ogólną wrzawą.

Jan Dubarry podszedł do karety siostry, która powitała go z uśmiechem. Oczekiwała na powinszowania.

— Czy wiesz Joanno — rzekł — wskazując na jeźdźca, rozmawiającego przy jednej z karet należącej do świty narzeczony delfina, czy wiesz kim jest ten młody człowiek?

— Nie — odrzekła hrabina. — Ale czy ty wiesz, co odpowiedziała Maria Antonina, gdy król mnie jej przedstawiał?

— To nie o to chodzi, ten młody człowiek to Filip de Taverney.

— Czy to ten, który cię zranił szpadą?

— Tak. A wiesz kim jest ta zachwycająca osóbką, z którą on w tej chwili rozmawia?

— Ta młoda panna, blada i wyniosła.

— Tak. Ta, na którą patrzy teraz król i o której rozmawia prawdopodobnie z narzeczoną delfina.

— Któż to jest?

— Jego siostra. Słuchaj Joanno, nie wiem dlaczego, lecz zdaje mi się, że powinnaś tak samo strzec się siostry, jak ja brata.

— Oszalałaś.

— Jestem tylko przezorny. Będę miał chłopczyka na oku.

— A ja panienkę.

— Cicho! — rzekł Jan — oto nasz przyjaciel ksiązę Richelieu.

Istotnie ksiązę zbliżał się kręcąc głową.

— Co ci się stało, kochany marszałku — z przemiłym uśmiechem zapytała hrabina — wyglądasz jakbyś był niezadowolony.

— Czyż, hrabino, my wszyscy nie jesteśmy zanadto poważni, nawet smutni, jak na taką uroczystość? Niegdyś, pamiętam, gdy spotykaliśmy równie miłą i równie piękną księżniczkę, matkę delfina, byliśmy o wiele weselsi. Czyżby dlatego, że byliśmy młodszy?

— Nie — drogi marszałku odezwał się głos za księciem — ale monarchia była młodsza.

Słowa te zadźwięczały jakoś niemile w uszach tych, co je usłyszeli.

Ksiązę odwrócił się i ujrzał starego szlachcica, który z uśmiechem mizantropa położył mu rękę na ramieniu.

— Wielki Boże! — wykrzyknął książę. — Wszak to baron de Taverney. Hrabino — dodał — oto jeden z moich dawnych przyjaciół, którego polecam pani względom, baron de Taverney Maison-Rouge.

— Ojciec! — rzekli razem Jan i hrabina, schylając w ukłonie głowy.

— Wsiadać, panowie, wsiadać! — zawołał w tej chwili marszałek dworu.

Dwaj starzy arystokraci pożegnawszy hrabinę i wicehrabiego udali się razem do powozu, szczęśliwi ze spotkania po tak długim niewidzeniu się.

— Wiesz — rzekł wicehrabia do siostry — że ojciec równie mi się podoba jak i jego dzieci.

— Jaka szkoda — rzekła hrabina — że ten niedźwiedź Gilbert uciekł, on wychowany w ich domu byłby nam wiele rzeczy objaśnił.

— Odnajdziemy go teraz, gdy już nic innego nie mamy do roboty.

Turkot powozów przerwał rozmowę.

Nazajutrz, po spędzonej w Compiègne nocy, obydwa dwory podążyły ku Paryżowi, jak ku przepaści, która wszystko miała pochłonać.

XL. PROTEKTORKA I PROTEGOWANY

Czas powrócić do Gilberta, o którego ucieczce powiadomił nas okrzyk jego protektorki panny Chon, rzucony nieostrożnie, owego pamiętnego wieczoru.

Od chwili, gdy młody chłopak w wiosce de La Chaussee podczas przygotowywania się do pojedynku między Filipem de Taverney a wicehrabią Dubarry posłyszał nazwisko panny Chon, uwielbienie jego dla niej mocno osłabło.

W Taverney, gdy Ukryty w gęstwinie śledził płomiennym wzrokiem przechadzającą się z ojcem Andreę słyszał nieraz bardzo dosadne powiedzenia barona odnoszące się do pani Dubarry. Nienawiść starego Taverney'a, którego zasady znane nam są dobrze, znalazła oddźwięk w sercu Gilberta. Zwłaszcza, że Andrea nigdy, ani jednym słówkiem nie zaprzeczła temu co ojciec mówił, a przy tym nazwisko pani Dubarry znieawidzone było w całej Francji.

W ciągu podróży Chon zajęta była zbyt ważnymi sprawami, ażeby zauważyć zmianę w ustosunkowaniu się do niej chłopaka. Po przybyciu do Wersalu, siostra faworyty myślała jedynie o tym, aby osiągnąć możliwie jak największą korzyść dla wicehrabiego z powodu cięcia szpada, jakie otrzymał od Filipa.

Co do Gilberta, to zaledwie znalazł się on w Wersalu, zapomniał o wszystkim. Wersal wspaniały i zimny, Wersal ze swymi wielkimi drzewami, których znaczna część zaczynała już ze starości usychać, przejął go uczuciem jednocześnie podziwu i smutku.

Te nieznanne dotąd młodemu chłopakowi wrażenia spowodowały, że stał się zamyślony i milczący. Przygnębiało go poczucie własnej nędzy i niższości. Raziło go jego ubranie tak nędzne wobec stroju tych panów wygalowanych i udekorowanych, czuł się mały w porównaniu z lokajami, bardzo niepewny siebie, gdy w grubych, podkutych trzewikach stapał po mozaikowych posadzkach i połyskujących marmurach galerii.

Zdawało mu się wtedy, że bez pomocy swej protektorki, nigdy nie osiągnie czegokolwiek. Podszedł ku niej, aby strażnicy widziały, że przybywa z nią razem. Ale potem żałował tego, że szukał takiej pomocy.

Wiemy już, że pani Dubarry zajmowała w Wersalu apartamenty, zamieszkiwane niegdyś przez księżniczkę Adelajdę. Złoto, marmury, rozkoszne zapachy, kobierce i koronki — oszołomiły zrazu Gilberta. Po dłuższej dopiero chwili, gdy minęło to olśnienie przepychem, spostrzegł że znajduje się w małej izdebce, że podano mu rosół, resztki baraniny i kubek śmietanki i że lokaj rzekł do niego rozkazującym tonem:

— Zostań tu!

I następnie wyszedł.

Jedno tylko jeszcze miało dla Gilberta urok. To, że z okienka jego izdebki na poddaszu widział cały park, zdobiące go marmury, widział zieloną powierzchnię stawów, dalej wierzchołki drzew kołyszących się jak fale oceanu i błękitne kontury gór.

Wbijalo go w dumę przekonanie, że nie będąc lokajem, ani dworzaninem, niby dostojnik państwowy mieszka w pałacu królewskim, w Wersalu.

Podczas gdy jadł obiad, doskonały zresztą w porównaniu z tymi, które dotąd jadał, Chon odwiedziła siostrę, szepnęła jej o spełnionym poleceniu co do pani de Bèarn, a głośno zaczęła opowiadać o wypadku brata, o wypadku, który pomimo wrzawy, jaką zrazu wywołał, utonął, jak wiele ważniejszych spraw, w obojętności króla.

Gilbert pogrążony był właśnie w swych marzeniach, gdy oznajmiono mu, że panna Chon chce go widzieć.

Oczyścił kapelusz i pocieszając się tym, że lepszy niż jego, strój lokaja, był tylko liberią, zeszedł na dół.

W tym samym czasie zeszła na podwórze, głównymi schodami, Chon. Powóz już oczekiwał. Chon usiadła na pierwszym miejscu umieszczając obok siebie duży kufer i małego pieska. Dwa pozostałe przeznaczone były dla Gilberta i dla intendenta, pana Grange.

Panna Chon zapytała:

— Jakże ci się podobał Wersal, mój panie filozofie?

— Bardzo, proszę pani, ale czy go już opuszczamy?

— Tak. Jedziemy teraz do siebie.

— To ma znaczyć do pani? — zapytał Gilbert tonem na pół oswojonego niedźwiedzia.

— Tak właśnie chciałam powiedzieć. Pokażę cię mojej siostrze. Staraj się jej przypodobać, bo o to starają się teraz najwięksi panowie we Francji. Ale, ale, panie Grange, każesz zrobić ubranie temu chłopcu.

Gilbert zaczerwienił się aż po uszy.

— Jakie, proszę pani? Czy zwyczajną liberię?

— Liberię? — wykrzyknął Gilbert rzucając na intendenta gniewne spojrzenie.

Chon zaczęła się śmiać.

— Ależ nie!... Każesz mu zrobić... powiem ci później... Mam pewien pomysł, który zakomunikuję mojej siostrze. Dopilnujesz pan tylko, aby to ubranie było jednocześnie gotowe z ubraniami Zamory.

— Dobrze, proszę pani.

— Czy znasz Zamorę? — zapytała Gilberta.

— Nie, proszę pani.

— Będiesz miał w nim towarzysza. Ma on być rządcą pałacu w Luciennes. Bądź dla niego przyjacielem, bo Zamora to w gruncie rzeczy dobre stworzonko, pomimo swego koloru.

Gilbert chciał zapytać jakiego koloru był Zamora, lecz przypomniawszy sobie nauczkę, jaką mu dała Chon z powodu jego ciekawości, powstrzymał się od pytania.

Przyjechali do Luciennes. Tu Gilbert zauważył świeżo ubitą drogę, cieniste wzgórza, wielki wspaniały wodociąg wykonany na wzór rzymskich, gęste gaje kasztanów i wspaniały widok, jaki tworzyły pola i lasy rozpostarte wzdłuż obydwu brzegów Sekwany.

— Więc tak wygląda ten pałac, który według słów barona de Taverney tyle pieniędzy kosztował Francję — pomyślał Gilbert.

— Czy przyjechała już moja siostra? — zapytała Chon.

— Nie, pani, lecz czekają na hrabinę.

— Kto taki?

— Pan kanclerz, pan minister policji i księżę d'Aiguillon.

— Dobrze! Otwórzcie mi jak najprędzej gabinet chiński, muszę pierwsza zobaczyć się z moją siostrą. Uprzedźcie ją, że tam jestem. Rozumiecie? Ach! Sylwio! — dodała zwracając się do pokojowej, która przyszła zabrać kuferek i pieska. — Oddaj walizkę i Mizapufa panu Grange, sama zaś zaprowadź tego filozofa do Zamory.

Sylwia rozejrzała się wokoło, aby dowiedzieć się o czym mowa. Spojrzenie pani zwrócone na Gilberta wytłumaczyło jej o kogo właściwie chodzi.

— Proszę za mną — odezwała się Sylwia.

Gilbert coraz bardziej zdziwiony, poszedł za pokojową.

Chon zaś zniknęła w drzwiach pawilonu.

Gilbert idąc do Zamory czyścił nieznacznie rękawem ubranie. Czuł się onieśmielony na myśl, że ma stanąć wobec wysoko postawionej osobistości. Jednak gdy przypomniał sobie słowa: „Zamora jest

dobrym stworzonkiem” uspokoił się nieco. Był już przyjacielem hrabiny i wicehrabiego, zawrze teraz przyjaźń z gubernatorem.

Widocznie — pomyślał — przy dworze nie trudno jest znaleźć przyjaciół. Wszyscy ludzie są tu dobrzy i gościnni.

Sylwia otworzyła drzwi do przedpokoju wyglądającego na buduar. Tu, w ogromnym krześle, na poduszkach, ze skrzyżowanymi nogami, siedział Zamora chrupiąc pastylki czekoladowe.

— Och! — zawołał Gilbert wpatrując się z ciekawością w Zamorę, bowiem pierwszy raz widział Murzyna. — Co to takiego?

Zamora nie zmieniając pozycji chrupał w dalszym ciągu czekoladki z wyrazem zadowolenia przewracając białkami oczu.

— To jest pan Zamora — powiedziała Sylwia.

— To!? — zawołał osłupiały Gilbert.

— Tak, panie — odpowiedziała Sylwia rozśmieszona zachowaniem się Gilberta.

— On gubernatorem? Ten małpison. Pani chyba żartuje. Na te słowa Zamora wyprostował się i pokazał białe zęby.

— Ja gubernator, nie małpison.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Gilbert stał się gniewny.

Tylko Zamora poważny i obojętny, jak fetysz indyjski, zanurzył znów swe czarne palce w atlasowym woreczku i zaczął na nowo chrupać pastylki.

W tej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się w nich pan Grange w towarzystwie krawca.

— Oto osoba, dla której ma być uszyte ubranie — rzekł wskazując na Gilberta. — Proszę wziąć miarę według danych przeze mnie wskazówek.

Gilbert machinalnie się wyprostował, Sylwia zaś i pan Grange zaczęli rozmawiać w głębi pokoju. W miarę opowiadania intendenta pokojowa coraz częściej wybuchała śmiechem. — Ależ to będzie prześliczne — śmiała się Sylwia. — A czy będzie miał spiczastą czapkę jak Sganarelle?

Gilbert nie czekając na odpowiedź, odepchnął gwałtownie krawca i nie pozwolił dalej brać z siebie miary. Nie wiedział kim był Sganarelle, lecz brzmienie nazwiska oraz śmiech panny Sylwii kazały mu się domyślać, że jest to jakaś komiczna figura.

— Mniejsza z tym — rzekł intendencja — nie trzeba zmuszać tego zucha. Wiesz już i tak, co potrzeba.

— Naturalnie. A zresztą ubranie takie, im obszerniejsze tym lepsze.

Panna Sylwia, intendencja i krawiec wyszli pozostawiając Gilberta sam na sam z murzynkiem bezustannie chrupiącym czekoladki i przewracającym białkami oczu.

Gilbert próbował nawiązać rozmowę z Zamorą. Przyszło mu bowiem na myśl, że może to jest jakieś książątko indyjskie w rodzaju tych, o jakich czytał w romansach Crebillona.

Zamiast mu jednak odpowiadać mniemany indyjski książę stawał przed wszystkimi lustrami i oglądał swój wspaniały uniform, jak narzeczoną strój godowy. Potem siadłszy okrakiem na krześle na kółkach, zaczął odpychać się nogami i z dziesięć razy objechał pokój z szybkością dowodzącą wysokiej biegłości w tej sztuce.

Nagle odezwał się dzwonek. Zamora zeskoczył z krzesła i zostawiając je na środku pokoju rzucił się do drzwi.

To, że Zamora wybiegł tak szybko na dźwięk dzwonka, przekonało ostatecznie Gilberta, że nie był to książę.

Gilbert przez chwilę miał ochotę wyjść tymi samymi drzwiami co Zamora. Ale stanąwszy w końcu korytarza prowadzącego do salonu, spostrzegł tyłu wystających pod drzwiami lokajów, że wstrząsnął nim dreszcz i ze zwilżonym od potu czołem, powrócił do pokoju.

Tak upłynęła godzina. Zamora nie wracał. Panna Sylwia się nie pokazywała. Gilbert z upragnieniem oczekiwał widoku jakiegokolwiek twarzy ludzkiej. Po upływie godziny drzwi, którymi wszedł otworzyły się i ukazał się w nich lokaj mówiący:

— Chodź!

XLI. LEKARZ MIMO WOLI

Gilbertowi było bardzo przykro, że musiał spełnić polecenie lokaja. Ponieważ jednak każda zmiana w jego położeniu wydawała mu się zmianą na lepsze, nie oponował.

Panna Chon, zawiadomiwszy siostrą o wynikach swej wizyty u pani de Bèarn, uwolniła się wreszcie od kłopotów związanych z tą sprawą. Jadła teraz ze smakiem śniadanie siedząc w pięknym porannym stroju w pobliżu okna, przez które widać było rosnące w pobliżu akacje i kasztany,

Jej apetyt nie zdziwił Gilberta. Bowiem na stole stała przed nią smakowicie wyglądająca potrawka z bażanta i galantyna z trufkami.

Gilbert spodziewał się, że panna Chon poprosi go, żeby zjadł z nią śniadanie. Ale nie poprosiła go nawet żeby usiadł. Spojrzała na niego przelotnie, potem wychyliła mały kieliszek wina o barwie topazu i zapytała:

— No i cóż, mój kochany doktorze, czy zaznajomiłeś się z Zamorą?

— Jak pani może żądać, abym się zaznajamiał ze stworzeniem, które nie umie mówić. Gdy się do niego ktoś odezwie, wywraca tylko oczy i wyszczerza zęby.

— Przerażasz mnie — odpowiedziała Chon nie przestając jeść, a wyraz jej twarzy wcale nie licował z tym co mówiła:

— Nie jesteś więc skłonny do zawierania przyjaźni?

— Pani! Przyjaźnić można się tylko z równym sobie.

— Piękna zasada! Uważasz więc, że nie należy cię traktować na równi z Zamorą?

— Uważam, że Zamory nie należy traktować na równi ze mną.

— Doprawdy? Paradny! — rzekła do siebie panna Chon, Potem zwracając się do Gilberta, którego twarz miała wyraz pełen godności, rzekła:

— Powiedziałeś więc, kochany doktorze, że nie łatwo ofiarowujesz swe serce?

— Tak, pani.

— A więc myliłam się, pochlebając sobie, że jestem twoją dobrą przyjaciółką?

— Osobiście czuję dla pani wielką życzliwość — odrzekł chłodno Gilbert. — Lecz...

— A! Bardzo dziękuję za tę uprzejmość. Zaszczycasz mnie. A ile to potrzeba czasu, mój dumny i piękny paniczu, aby pozyskać twe względy.

— Bardzo wiele, pani. Są nawet tacy, którzy pomimo starań, nie pozyskają ich nigdy.

— Ach! Rozumiem teraz dlaczego spędziwszy osiemnaście lat w domu barona de Taverney, nagle ten dom opuściłeś. Widocznie Taverney'owie nie zasłużyli sobie na szczęście pozyskania twych względów.

Gilbert się zarumienił.

— Czemu nic nie mówisz? — spytała Chon.

— Mogę odpowiedzieć tylko tyle, że na przyjaźń i zaufanie trzeba sobie zasłużyć.

— Ach! A więc w takim razie mieszkańcy Taverney nie zasługiwali na nie?

— Nie wszyscy, pani.

— A ci, którzy zasłużyli na twoją niechęć, w czym zawinili?

— Nie przyszedłem tu, aby się skarżyć — dumnie odrzekł Gilbert.

— No, no! Widzę, że i ja nie zasługuję na zaufanie Gilberta. Chciałabym jednak je pozyskać. Nie wiem tylko, w jaki sposób to zrobić?

Gilbert przygryzł wargi.

— Jednym słowem nie byłeś zadowolony z państwa de Taverney. Cóż więc u nich robiłeś?

Gilbert zakłopotany nie wiedział, jak ma odpowiedzieć, bo sam nie zdawał sobie sprawy co właściwie robił w Taverney.

— Pani — rzekł — ja byłem... byłem człowiekiem zaufanym. — Na te słowa, wypowiedziane przez Gilberta z filozoficznym spokojem, tak dla niego charakterystycznym, panna Chon parsknęła śmiechem.

— Czy pani o tym wątpi? — zapytał marszcząc brwi.

— Broń Boże! Czy wiesz, mój drogi przyjacielu, że jesteś dziki i że nic ci nie można powiedzieć? Pytałam cię o Taverney'ów nie dlatego, żeby ci zrobić przykrość, ale przeciwnie, chciałam ci się przysłużyć mszcząc się na nich.

— Zemsty me szukam, albo mszczę się sam.

— Bardzo dobrze. Ale ponieważ i ja, i ty mamy powody, aby być obrazem na Taverney'ów, jesteśmy zatem sprzymierzeńcami.

— Pani się myli. Moja zemsta nie ma nic wspólnego z zemstą pani. Chcesz się bowiem mścić na całej rodzinie, gdy ja... mam różny stosunek do poszczególnych osób.

— A co sądzisz o panu Filipie de Taverney?

— Nie mam nic przeciwko niemu. Nie uczynił mi nic dobrego, ani złego. Jest mi obojętny.

— A więc nie złożysz zeznań przed królem, lub przed panem Choiseul przeciwko Filipowi de Taverney?

— Z jakiego powodu?

— Z powodu pojedynku z moim bratem.

— Powiem to, co o tym wiem, jeśli będą mnie pytać.

— A cóż ty wiesz?

— Prawdę.

— Tak, ale co nazywasz prawdą? To słowo jest bardzo elastyczne.

— Nie dla tego kto umie odróżniać dobre od złego, a słuszne od niesprawiedliwego.

— Rozumiem. Dobre — to pan Filip de Taverney, złe — to wicehrabia Dubarry.

— Tak, pani. Przynajmniej według mego rozumienia i sumienia.

— Warto było podnosić go z drogi! — rzekła Chon cierpko. — Pięknie mi się odwdzięcza ten, któremu uratowałaś życie.

— Powiedz, pani, raczej: „ten, który nie zawdzięcza ci śmierci”.

— To wszystko jedno.

— Nie. To zupełnie co innego. Nie zawdzięczam pani życia. Dzięki pani, a właściwie dzięki jej poczytylionowi konie nie pozbawiły mnie życia. To wszystko.

Chon spojrzała z uwagą na chłopca, który tak logicznie argumentował i tak śmiało wyrażał swe myśli.

— Mogłam się spodziewać — rzekła, uśmiechając się łagodnie — więcej grzeczności od towarzysza podróży, który w drodze potrafił odszukać moją rączkę i z przyjemnością pozwalał moim nóżkom spoczywać na swych kolanach.

Chon była tak pełna wdzięku, że Gilbert zapomniał o krawcu, Zamorze i o tym, że nie został zaproszony na śniadanie.

— Jesteśmy znowu grzeczni — powiedziała panna Chon, gładząc Gilberta po twarzy. — Będziesz świadczył przeciwko Filipowi de Taverney, prawda?

— Och! Co to, to nie. Nigdy! — Dlaczego, uparciuchu?!

— Bo wicehrabia nie miał racji.

— W czymże, jeśli wolno wiedzieć?

— Obraził żonę delfina. Gdy pan Filip de Taverney przeciwnie...

— Co?

— Słusznie ją bronił.

— Jesteśmy, jak się zdaje, po stronie żony delfina?

— Nie! Tylko po stronie słuszności.

— Oszalałeś Gilbercie?! Bądź cicho! Niech w tym pałacu nikt nie słyszy, że tak mówisz.

— To uwolnij mnie, pani, od odpowiedzi na swe pytania.

— Przestańmy o tym mówić. Gilbert skłonił się na znak zgody.

— I cóż, chłopcze, zamysłasz tu robić, jeżeli nie starasz się o to, aby się podobać? — zapytała szorstko Chon.

— Czy mam to czynić dopuszczając się krzywoprzysięstwa?

— Skąd czerpiesz te wszystkie wielkie słowa?

— Z prawa, jakie ma każdy człowiek, aby pozostać w zgodzie z własnym sumieniem.

— Pan, któremu się służy, bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność.

— Nie mam pana — mruknął Gilbert.

— A sądząc z tego jak postępujesz, głuptasku — rzekła Chon podnosząc się z wdziękiem — nigdy nie będziesz miał i pani. Powtarzam moje pytanie, na które żądam kategorycznej odpowiedzi: co zamierzasz u nas robić?

— Sądziłem, że nie trzeba starać się o względy, gdy się jest pożytecznym.

— Mylisz się. Spotykamy samych ludzi pożytecznych. I mamy już ich dosyć.

— W takim razie odejdę.

— Odejdiesz?

— Oczywiście. Wszak nie napraszałem się pani tutaj. Jestem wolny.

— Wolny! — krzyknęła Chon, wpadając w gniew z powodu uporczywości, do jakiego nie była przyzwyczajona. — Nie!

Gilbert zmarszczył brwi.

— No, no — rzekła młoda kobieta — spostrzegłszy wyraz twarzy chłopca, świadczący, że nie tak łatwo wyrzeknie się on swobody. — Pogódźmy się. Jesteś ładnym, poczciwym chłopcem, bardzo zabawnym przez to, że jesteś inny od wszystkiego co nas otacza. Tylko zachowaj tę miłość prawdy dla siebie.

— Zachowam ją bez wątpienia.

— Tak, ale różnimy się w naszych pojęciach. Mówię: zachowaj dla siebie, to znaczy nie głos tych zasad w korytarzach w Trianon i przedpokojach Wersalu.

— Hm — mruknął Gilbert.

— Nie ma tu żadnych „hm”! Nie jesteś jeszcze tak mądry, mój filozofie, abyś nie mógł nauczyć się jeszcze czegoś od kobiety. Pierwsza zasada, którą sobie zapamiętaj: Kto milczy, nie kłamie.

— A jeśli mnie pytają?

— Kto? Czyś ty oszalał, mój przyjacielu? Boże mój! Kto tu o tobie myśli oprócz mnie? Jak widzę, jesteś jeszcze niedoświadczony, mój filozofie. Takie istoty, jak ty, są rzadkością. Trzeba by zwiedzić kawał świata, aby znaleźć kogoś podobnego do ciebie. Pozostaniesz u mnie i przed upływem czterech dni, zmienisz się w doskonałego dworaka.

— Wątpię — rzekł dumnie Gilbert.

Chon wzruszyła ramionami, a Gilbert się uśmiechnął.

— Skończmy z tym zresztą. Musisz się podobać tylko trzem osobom.

— To znaczy, komu?

— Królowi, mojej siostrze i mnie.

— Cóż mam uczynić?

— Widziałeś Zamorę? — zapytała kobieta, chcąc uniknąć odpowiedzi na pytanie Gilberta.

— Tego Murzyna? — z głęboką pogardą zapytał chłopiec. — Tak, Murzyna.

— Cóż mogę mieć z nim wspólnego?

— Staraj się, aby ci to przyniosło korzyść. Ten murzyn ma już dwa tysiące liwrow dochodu ze szkatuły królewskiej. Będzie mianowany gubernatorem pałacu w Luciennes. A ten, kto wyśmiewał się z jego grubych warg i czarnej skóry, będzie mu teraz nadskakiwał i nazywał panem, a nawet jaśnie panem.

— Ja chyba nie — odrzekł Gilbert.

— No proszę! A ja sądziłam, że pierwszą zasadą filozofii jest stwierdzenie, że wszyscy ludzie są sobie równi?

— Dlatego też nie będę nazywał Zamorę jaśnie panem.

Chon została pokonana własną bronią. Teraz ona przygryzła wargi.

— Nie masz, widocznie, wysokich aspiracji.

— Przeciwnie — odrzekł z błyszczącym wzrokiem Gilbert.

— O ile pamiętam, chciałeś zostać lekarzem.

— Niesienie bliźnim pomocy — to najszczytniejsze powołanie.

— Twoje marzenia zostaną urzeczywistnione.

— W jaki sposób?

— Będziesz lekarzem i to lekarzem królewskim.

— Ja?! — wykrzyknął Gilbert. — Ja, który nie mam pojęcia o sztuce lekarskiej? Pani... to żarty!

— A Zamora, czy zna się na tym, co to bramy warowne, blanki, mury? Z pewnością nie ma o tym pojęcia, a wcale się tym nie martwi. Nie przeszkadza mu to bowiem być gubernatorem zamku Luciennes, wraz ze wszystkimi przywilejami przywiązanymi do tego tytułu.

— Rozumiem teraz — gorzko powiedział Gilbert — że jednego błazna za mało. Król się nudzi. Potrzeba mu więc dwóch.

— Widzicie go! — zawołała Chon. — Znowu spuścił nos na kwintę. Stajesz się brzydki i śmieszny, mój mały. Zachowaj te dziwaczne miny do czasu, kiedy włożysz na głowę perukę, a na nią spiczasty kapelusz. Wówczas będziesz tylko komiczny.

Gilbert znowu spochmurniał.

— Możesz śmiało przyjąć stanowisko doktora, skoro księżę de Tresme ubiega się o tytuł małej siostry.

Gilbert nic nie odpowiedział.

Chon zrozumiała milczenie jako znak zgody.

— Na dowód, że zaczynasz być w łaskach, nie będziesz jadał ze służbą.

— O! Dziękuję.

— Wydałam odpowiedni rozkaz.

— A gdzie będę jadał?

— Z Zamorą. Rządca i lekarz królewski mogą mieć wspólny stół. Idź więc na obiad, jeśli chcesz.

— Nie jestem głodny — odrzekł cierpko Gilbert.

— Bardzo dobrze — rzekła ze spokojem Chon. — Jeżeli nie jesteś teraz głodny, to będziesz wieczorem.

Gilbert zaprzeczył ruchem głowy.

— Jeżeli nie wieczorem, to jutro, pojutrze. Zmiękniesz, panie buntowniku, a jeśli nam będziesz sprawiać zbyt dużo kłopotów, to mamy tu ochmistrza paziów, który jest nam oddany.

Gilbert zadrzał i pobladł.

— Udaj się teraz do pana Zamory — surowo dodała Chon. — Źle ci tam nie będzie. Kuchnia jest doskonała. Ale strzeż się okazać niewdzięczność. Nauczono by cię wtedy wdzięczności.

Gilbert spuścił głowę. Zawsze tak czynił ilekroć zamiast odpowiadać, miał zamiar działać.

Lokaj, który wprowadził tu Gilberta, czekał na jego wyjście. Zaprowadził go do małej sali jadalnej, przylegającej do znanego mu już przedpokoju.

Przy stole siedział Zamora. Gilbert zajął przy nim miejsce, lecz nie tknął niczego.

Wybiła godzina trzecia. Pani Dubarry odjechała do Paryża. Chon, która miała później za nią pojechać, wydała kilka zleceń dla oswojenia „swego niedźwiedzia”: przysmaki i łakocie — jeśli będzie miły. pogróżki, a nawet zamknięcie w razie gdyby się buntował.

O czwartej przyniesiono Gilbertowi ubranie „lekarza z musu”: perukę, spiczasty kapelusz, czarny obcisły kaftan, płaszcz tegoż koloru. Uzupełniono je kryzą, laseczką i dużą księgą.

Lokaj, który przyniósł to wszystko, pokazał mu te przedmioty jeden po drugim. Gilbert przyjął je z pozorną uległością.

Za lokajem przybył pan Grange i wyjaśnił w jaki sposób należy się ubrać w ten strój. Gilbert wysłuchał tego z cierpliwością.

— Zdaje mi się — nadmienił tylko — że dawniej lekarze nosili przy sobie kałamarz i zwój papieru.

— Ma słuszość, na honor! — zawołał pan Grange — trzeba poszukać wielkiego kałamarza, aby mógł powiesić go sobie u pasa.

— Pióro i papier — krzyknął Gilbert. — Chcę, żeby strój był kompletny.

Lokaj poskoczył, aby wypełnić zlecenie, a równocześnie donieść panie Chon o zadziwiającej uległości Gilberta.

Zachwycona tą wiadomością, panna Chon dała mu woreczek a w nim osiem talarów, aby go przywiązał wraz z kałamarzem u pasa doktora.

Gilbert podziękował i poprosił, żeby zostawiono go samego, dopóki się nie przebierze.

— Niech się pan pośpieszy, abys się pan mógł pokazać pannie Chon, nim pojedzie ona do Paryża.

— Proszę tylko o pół godziny — odpowiedział Gilbert.

— Jeśli trzeba i trzy kwadransy, szanowny doktorze — odezwał się intendent, zamykając za sobą drzwi.

Gilbert podszedł do nich na palcach. Posłuchał, póki kroki się nie oddaliły, a następnie podbiegł do okna. Stwierdził, że wychodziło ono na tarasy, wzniesione na osiemnaście stóp nad ziemią, wysypane piaskiem i okolone drzewami, których gałęzie ocieniały balkony.

Gilbert podarł na trzy pasy długą togę. Końce ich powiązał, a na stole położył kapelusz, woreczek i napisał:

*„Pani!
Największym skarbem jest swoboda. Najświętszym obowiązkiem
człowieka jest ją zachować. Stosujesz wobec mnie przemoc, ja się
wyzwalam. Gilbert”*

Złożył papier, zaadresował do panny Chon, przymocował do kraty okna dziesięciolokciowy pas, ześliznął się po nim i gdy był już u końca pasa skoczył na taras. Mimo że był ogłuszony nieco tym skokiem, pobiegł do drzewa, wdrapał się na gałęzie, wśliznął pod liście jak wiewiórka, zsunął się po konarze i pobiegł co tchu do lasu Ville-d'Avray.

Kiedy po upływie pół godziny przyszli po niego, był już daleko, bezpieczny od wszelkiej pogoni.

XLII. STARZEC

Gilbert, bojąc się pogoni, nie poszedł gościńcem, lecz pobiegł na przelaj, od jednych zarośli ku drugim, aż wreszcie zatrzymał się w lesie. Przebycie tej drogi zabrało mu prawie trzy kwadransy. Obejrzał się dookoła — był sam.

To go uspokoiło.

Spróbował zbliżyć się do drogi, która, jak sądził, prowadziła do Paryża, lecz gdy spostrzegł ludzi w pomarańczowych liberjach, prowadzących konie z wioski Roquencourt, tak się tym przeraził, że rzucił się z powrotem do lasu.

— Pozostanę w cieniu kasztanów — powiedział do siebie. Jeśli mnie będą ścigać, to z pewnością tylko na trakcie. Wieczorem, od drzewa do drzewa, od polanki do polanki — przemknę się do Paryża. Mówią, że Paryż jest wielki, ja zaś jestem mały, łatwiej zginę im z oczu.

Pomysł ten wydał mu się tym lepszy, że pogoda była piękna, las cienisty, a ziemia porośła mchem. Słońce, którego ostatnie blaski gasły właśnie za wzgórkiem Marly, wysuszyło w ciągu dnia trawy i zioła, toteż ziemia pachniała kwiatami i wiosenną roślinnością. Nastąpiła pora dnia, w której cisza spływała z ciemniejącego nieba, chwila, w której kwiaty zwijając płatki zamykają w swych kielichach uśpione owady. Złotawe i brzęczące muszki wracają do wypróchniałych dębów, gdzie mają swe schronienie, milknące ptactwo kryje się w gałęziach drzew i słychać tylko szelest "skrzydełek, a jedyny głos jaki się jeszcze rozlega, to ostre gwizdanie kosa lub cichy świergot szczygła. Gilbert znał lasy, znał ich odgłosy i ciszę. Nie zastanawiając się więc, ani nie poddając dziecinnyim obawom, rozciągnął się na świeżych wrzosach przyprószonych rdzawymi, zeszlórocznymi liśćmi. Zamiast niepokoju Gilbert poczuł bezmierną radość. Pełną piersią oddychał świeżym i wonnym powietrzem, odniósłszy jeszcze raz triumf, jak prawdziwy stoik, nad wszystkimi przeciwnościami obliczonymi na słabą naturę ludzką.

Cóż go obchodziło, że nie miał chleba, pieniędzy, ani schronienia?

Czyż nie miał upragnionej wolności? Czyż nie mógł sam sobą rozporządzać?

Ułożył się u stóp olbrzymiego kasztana, między dwoma omszałymi korzeniami i wpatrując się w pogodne niebo — zasnął.

Zbudził go o świcie śpiew ptaków. Wspierając się na łokciu, który bolał go od leżenia na twardym pniu drzewa, Gilbert wpatrywał się w sinawy mrok. Widział, jak wilgotnymi od rosy ścieżkami przemykały płochliwe króliki z długimi uszami położonymi na grzbietach, a zaciekawiony jeleń przystanął na chwilę wśród drzew, aby się przyjrzeć leżącej pod drzewem nieznannej istocie, której widok przynaglał go do ucieczki.

Gilbert wstał. Poczuł, że jest głodny. Jak sobie przypominamy, nie chciał wczoraj jeść obiadu z Zamorą, a więc od śniadania, jakie jadł na poddaszu w Wersalu, nic nie miał w ustach.

Znalazłszy się w cieniu drzew, nieustraszony wędrownik puszczy Lotaryngii i Szampanii, sądził, że przebywa w gęstwinach Taverney lub zaroślach Pierrefitte, że się zbudził o brzasku po całonocnych czatach na zwierzyną, przeznaczoną dla Andrei. Lecz wówczas miał zawsze przy sobie kilka przepiórek zaskoczonych zniechęca, lub zabitego bażanta, podczas gdy teraz ujrzał obok siebie tylko kapelusz, mocno nadwerżony podróżą, a teraz do reszty zniszczony wilgocią poranka. Więc to nie był sen, jak mu się zdawało zaraz po przebudzeniu. Wersal i Luciennes były rzeczywistością, począwszy od triumfalnego przybycia do pierwszego, a skończywszy na ucieczce w popłochu z drugiego. Zresztą w powrocie do rzeczywistości pomógł mu głód coraz bardziej dokuczliwy.

Gilbert machinalnie zaczął szukać wokół siebie soczystych jeżyn, dzikich tatarak i leśnych korzonków, których smak choć cierpki lubią drwale, wychodzący rankiem na karczunek.

Niestety, pora roku była na to za wczesna i chłopiec widział naokół tylko jesiony, wiązy, kasztany i odwieczne dęby, które lubią piaszczystą ziemię.

— Pójdę prosto do Paryża — powiedział do siebie Gilbert. Dojdę tam najwyżej za dwie godziny. Cóż znaczą te dwie godziny trudu, jeśli ma się pewność, że więcej nie będzie się już cierpieć. W Paryżu jest dość miejsca dla wszystkich. W Paryżu każdy ma chleb, a widząc uczciwego i pracowitego chłopca pierwszy rzemieślnik, jakiego spotkam, nie odmówi mi chleba za moją pracę.

W Paryżu w ciągu jednego dnia zarabia się tyle, że można przeżyć dzień następny. A czegoż mi więcej trzeba? Nic. Byle tylko każdy dzień następny przybliżał mnie do celu, jaki pragnę osiągnąć.

Gilbert przyśpieszył kroku. Chciał się wydostać na gościniec, lecz stracił orientację. W Taverney i okolicznych lasach wiedział, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, każdy promień słońca wskazywał mu czas i drogę. W nocy, każda gwiazda, choć nieznaną z nazwy, była mu przewodniczką. Lecz w tym świecie, zupełnie dla niego nowym, nie znał ani przedmiotów, ani ludzi i tak wśród jednych jak i drugich — szukać musiał po omacku, na los szczęścia, swojej drogi.

— Na szczęście — pomyślał Gilbert — widziałem słupy przydrożne wskazujące kierunek.

Zbliżył się do rozwidlenia dróg. Stały tam trzy słupy: jeden wskazywał drogę do Marais-Jaune, drugi do Champ de l'Alouette, a trzeci do Trou-Salé.

Nie wiedział, w jakim kierunku się udać. Biegał przez trzy godziny nie mogąc wydostać się z lasu, błądząc od Koła Królewskiego do Polanki Książęcej.

Pot zlewał mu czoło, dwadzieścia razy zrzucił z siebie ubranie i wdrapywał się na olbrzymi kasztan, ale dosięgnąwszy wierzchołka stale widział tylko Wersal, to z lewej, to z prawej strony. Wersal, w którego stronę jakaś fatalność musiała go nieustannie kierować.

Na wpół oszalały, bojąc się wejść na gościniec, będąc przekonany, że cała załoga zamku Luciennes go ściga, Gilbert szedł ciągle środkiem lasu. W ten sposób minął Viroflay, później Chaville, a wreszcie Sévres.

Pół do szóstej wybiło na zegarze zamku w Meudon, kiedy znalazł się pod klasztorem kapucynów, położonym między manufakturą i Belleuve. Stamtąd, wspiąwszy się na wierzch krzyża, ujrzał Sekwanę, miasteczko i dym z kominów pobliskich domów.

Ale nad Sekwaną, płynącą przez środek miasteczka, biegł trakt do Wersalu, droga, którą powinien omijać.

Gilbert przez chwilę nie czuł ani zmęczenia, ani głodu.

Dostrzegając na horyzoncie wielkie skupisko domów majaczących w porannej mgle. Sądząc, że to Paryż udał się w tym kierunku i zatrzymał się dopiero wówczas, kiedy poczuł, że zabrakło mu tchu.

Znajdował się wśród lasu Meudon, między Fleury i PlessisPiquet.

— No, no — rzekł rozglądając się — trzeba się pozbyć fałszywego wstydu. Niemożliwe, żebym nie spotkał jakiegoś robotnika idącego do pracy z bochenkiem chleba pod pachą. Powiem do niego: „Wszyscy ludzie są braćmi i powinni sobie nawzajem pomagać. Masz więcej chleba niż ci potrzeba nie tylko na śniadanie, ale i na cały dzień, gdy ja umieram, z głodu”.

Odda mi z pewnością połowę.

Głód sprawił, że Gilbert nastroił się jeszcze bardziej filozoficznie i rozważał dalej:

— W istocie czyż wszystko co jest na ziemi nie jest wspólną własnością ludzi? Czyż powietrze lub ziemia wydająca owoce dane są przez Boga temu lub innemu człowiekowi? Nie. To tylko niektórzy uzurpowali sobie prawo do posiadania, ale w oczach Stwórcy, podobnie jak mniemają filozofowie, nikt nie jest posiadaczem. To co sądzą, że posiadają, jest im tylko użyzione przez Boga.

W ten sposób Gilbert” dzięki wrodzonej inteligencji pochwycił przebłyski jeszcze mglistych i nieokreślonych w jego epoce idei, które już odczuwane przez współczesnych mu ludzi gromadziły się na kształt obłoków, skupiających się w chmury przed burzą.

— Niektórzy — zastanawiał się Gilbert — zatrzymują dla siebie siłą dobra, które powinny należeć do wszystkich, a więc jest się w prawie odebrać im siłą to, czym powinni się dzielić z innymi.

Jeżeli mój brat posiada w nadmiarze chleba i odmówi mi jego części, wtedy... naśladować będę prawo zwierząt, to źródło zdrowego rozsądku wypływające z wrodzonych popędów, i odbiorę mu go przemocą. Uczynię tak, Jeżeli mój brat nie powie do mnie: „Część ta, której żądasz ode mnie należy do mojej żony i moich dzieci”, albo powie: „Jestem silniejszy, zatem nie oddam ci chleba”.

Gilbert, zgłodniały jak wilk, znalazł się na polance. Środek jej zajmowało bagienko o rudawej wodzie, porośle trzcina i nenufarami. Nad wodą, na poroślej zieleni pochyłości śmiały się do słońca turkusową barwą liczne kępy niezapominajek.

W dali widniała, jak tło obrazu, gęstwa osiczyn, spośród których ciemną zielenią odcinały się krzaki olszyny.

Sześć alei prowadziło na tę polanę. Dwie z nich biegły w kierunku wschodzącego słońca, które złociło właśnie wierzchołki drzew, stojących w oddali, cztery inne rozchodząc się promieniście, ginęły w sinawej głębi lasu.

Polanka ta pełna świeżej zieleni i kwiatów była chyba najpiękniejszym miejscem w lesie.

Gilbert dotarł tu idąc jedną z ciemnych alei.

Pierwsze, co spostrzegł ujrawszy krajobraz, któryśmy opisali — był widok obalonego pnia nad głębokim rowem. Na pniu siedział człowiek w siwej peruce. Twarz jego wyrażała łagodność i inteligencję. Miał na sobie ubranie z szarego sukna. Szare, wełniane pończochy obciskały nogi kształtne i silne. Trzewiki ze sprzączkami były zakurzone, a przy brzegach szklily się poranną rosą.

Obok mężczyzny stało zielone pudełko, otwarte i wypełnione świeżo zebranych roślinami.

Między kolanami trzymał jałowcową laskę z błyszczącą skuwką, zakończoną stalową łopatką.

Gilbert jednym rzutem oka dostrzegł te szczegóły, lecz i przede wszystkim zwrócił uwagę na chleb. Starzec łamiąc go po kawałku spokojnie jadł, dzieląc się po bratersku pożywieniem z ziębami i dzwońcami. Ptaki z daleka przypatrywały się jadł, po czym spadały na rzucone im okruchy, odlatując ze zdobyczą w gęstwinę.

Starzec, wodząc za nimi przyjaznym wzrokiem, wyjmował z kraciastej chusteczki po jednej wiśni i jadł je ze smakiem, urozmaicając w ten sposób swoje śniadanie. — Dobra okazja dla mnie — pomyślał Gilbert i rozchyliwszy gałęzie stanął przed samotnikiem wyrwijąc go z zadumy swym niespodziewanym zjawieniem się.

Starzec ujrawszy nagle, że nie jest sam, spojrzął najpierw na swe ubranie, potem na stojące obok pudełko.

Szybko zapiął ubranie i zamknął pudełko.

XLIII. BOTANIK

Gilbert pomimo swego postanowienia nie mógł się zdobyć na to, aby poprosić starca o kawałek chleba. Otwierał usta chcąc przemówić i znów je zamykał.

Starzec zauważył wahanie chłopca i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Chcesz ze mną mówić, mój drogi? — zapytał kładąc chleb obok siebie.

— Tak, panie — powiedział Gilbert.

— A czego żądasz?

— Panie, widzę, że rzucasz chleb ptakom, a powiedziane jest przecież, że je Bóg żywi...

— Masz słuszość, młodzieńcze, lecz ręka człowieka jest jednym z narzędzi, które służy do spełnienia tego celu. Jeśli robisz mi z tego powodu zarzut — nie masz racji, bo nigdzie, ani w bezludnym lesie, ani na ulicy przepelnionej ludźmi chleb rzucony na ziemię nie marnuje się. Tu żywią się nim ptaki, tam podnoszą go ubodzy.

— Panie — odezwał się Gilbert, wzruszony łagodnym głosem starca — znam człowieka, który chętnie odebrałby twój chleb ptakom.

— Czyżbyś to ty nim był, młodzieńcze? — zawołał starzec.

— Jestem bardzo głodny, panie, przysięgam ci. I jeżeli pozwolisz...

Starzec natychmiast chwycił chleb, następnie zamyślił się badając Gilberta wzrokiem bystrym i przenikliwym.

Gilbert w istocie nie wyglądał na zgłodniałego. Zrozumiał, że nieznajomy się waha i pośpieszył z wyjaśnieniami.

— Jest się głodnym, panie, jeśli się nie je przez dwanaście godzin. A ja od dwudziestu czterech godzin nic w ustach nie miałem.

Tyle prawdy było w słowach młodego człowieka, w wyrazie jego bladej twarzy i drżącym głosem, że starzec przestał się wahać.

Podał mu chleb i chusteczkę, w której były wiśnie.

— Dziękuję, panie — powiedział Gilbert, odsuwając podane mu wiśnie — dziękuję, chcę tylko chleba, to starczy.

Przełamał chleb na dwoje i połowę oddał starcowi. Siadł na trawie o kilka kroków od nieznajomego, który patrzył na niego z wzrastającym zdziwieniem.

Posiłek nie trwał długo. Chleba było niewiele, a Gilbert był bardzo głodny. Starzec nie przerywał mu posiłku ani jednym słowem, choć przypatrywał się chłopcu uważnie, udając jednak, że bardziej interesują go kwiaty, które wychylały kielichy z blaszanego pudełka. Jednakże kiedy zobaczył, że Gilbert zbliża się do bagienka, żywo zawołał:

— Nie pij tej wody, młodzieńcze! Zatruta jest zgniłymi liśćmi i żabim skrzekiem, pływającym na powierzchni. Weź lepiej kilka wiśni. Ugaszą ci pragnienie. Weź, proszę, bo widzę, że nie jesteś zbyt natrętnym współbiedniakiem.

— To prawda, panie, natręctwo jest przeciwne mojej naturze. Dowiodłem tego obecnie w Wersalu.

— Ach, więc to z Wersalu idziesz? — spytał nieznajomy przypatrując się znowu Gilbertowi.

— Tak, panie.

— Bogata to miejscowość. Trzeba być bardzo biednym lub bardzo dumnym, aby umrzeć tam z głodu...

— Jestem jednym i drugim.

— Pokłóciłeś się ze swym panem? — zapytał nieśmiało starzec.

— Nie mam nad sobą pana.

— Przyjacielu — rzekł nieznajomy — to odpowiedź nazbyt dumna.

— A jednak prawdziwa.

— Nie, młodzieńcze. Każdy z nas ma tu swego pana i ten kto mówi: „nie mam pana” nie pojmuje należycie wyrazu „pan”.

— Jak to?

— Tak. Mój Boże, starzy czy. młodzi, ilu nas jest, podlegamy wszyscy prawom siły rządzącej. Jednymi rządzą ludzie, drugimi przekonania, a najbardziej surowymi władcami nie zawsze są ci, którzy rozkazują lub karzą żelazną ręką.

— Być może — odrzekł Gilbert — ja więc jestem posłuszny tylko własnym przekonaniom. Przyznaję się do tego. Przekonania — to jedyni władcy, którym człowiek myślący może bez wstydu podlegać.

— A jakież są te twoje przekonania? Zdaje się, że jesteś za młody by je mieć ugruntowane.

— Panie, wiem, że ludzie są braćmi, że każdy człowiek rodząc się zaciąga mnóstwo zobowiązań wobec swych braci. Wiem, że Bóg złożył we mnie pewną wartość, jakkolwiek może drobną, ale ponieważ uznaję wartość innych, mam prawo wymagać od nich, aby uznawali i moją, jeśli tylko zbyt wysoko jej nie cenię. Dopóki nie uczyniłem nic niezgodnego z zasadami sprawiedliwości i honoru, uważam, że mam prawo do szacunku, choćby już tylko z tego samego, że jestem człowiekiem.

— Acha! — rzekł nieznajomy — więc uczyłeś się?

— Niestety, nie. Czytałem tylko Rozprawę o nierówności stanów i Umowę społeczną. Z tych dwóch księzek pochodzi wszystko to co umiem i o czym marzę.

Na te słowa oczy nieznajomego zabłysły. O mało nie zgniótł w rękę ślicznej xerantemy, którą właśnie wkładał do pudełka. — Więc takie są twoje zasady?

— Może pańskimi one nie są — odpowiedział młodzieniec — ale wyznaje je Jan Jakub Rousseau.

— Tylko — rzekł nieznamy z niedowierzaniem, które dotknęło Gilberta — czy dobrze je rozumiałeś?

— Przecież rozumiem swój język, zwłaszcza jeśli jest on tak czysty i poetyczny.

— Otóż niezupełnie tak jest — rzekł z uśmiechem starzec.

— To, o co chcę cię zapytać w tej chwili, nie jest wyrażone językiem poetyckim, jest jednak jasne. Chciałbym wiedzieć czy twoje studia filozoficzne dostatecznie cię przygotowały do zrozumienia istoty systemu ekonomii...

Tu starzec przerwał jakby zawstydzony. — System Rousseau'a? — podchwycił młodzieniec. — O! Panie, nie uczyłem się w szkołach, ale posiadam instynkt, który mi kazał ze wszystkich książek, jakie czytałem, najgoręcej uwielbiać doskonałość Umowy społecznej. W nieszczęściu człowiek przed czasem dojrzewa, a wyobraźnia, gdy raz się jej wodze popuści, często prowadzi na bezdroża. Nieznajomy otworzył szeroko oczy.

— Do kogo czynisz tę aluzję?

— Do nikogo, panie.

— Jednak...

— Zaręczam, panie.

— Studiowałeś, zdaje się, filozofa genewskiego, czy więc robisz aluzję do życia jakie prowadzi?

— Nie znam go — odpowiedział szczerze Gilbert.

— Nie znasz go? Starzec westchnął.

— Wierz mi młodzieńcze, nieszczęśliwa to istota.

— Jan Jakub Rousseau nieszczęśliwy? To niemożliwe. Chyba nie ma na ziemi i w niebie sprawiedliwości! Jak może być nieszczęśliwy ten, który życie poświęcił dla dobra, ludzkości?

— Widzę, że rzeczywiście nie znasz go. Ale pomówmy o tobie, młody człowieku.

— Wolałbym mówić o panu Rousseau, bo cóż o sobie mogę powiedzieć.

— A poza tym nie znasz mnie. Lękasz się być wobec mnie szczerym.

— Kogóż mogę się lękać i kto może uczynić mnie bardziej nieszczęśliwym niż jestem? Przypomnij sobie, panie, jakim mnie poznałeś. Biednym i zgłodniałym.

— Dokąd szedłeś.

— Do Paryża. A pan jest paryżaninem?

— Tak... to jest nie...

— Więc kimże? — zapytał śmiejąc się Gilbert.

— Nie umiem kłamać i zawsze uważam, aby najpierw pomyśleć zanim coś powiem. Jestem paryżaninem, jeśli można tak nazwać człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu. Lecz urodziłem się w innym mieście. Dlaczego o to pytasz?

— Chciałem powiedzieć, że jeśli mieszkasz w Paryżu, to znasz z pewnością Rousseau, o którym przed chwilą mówiliśmy.

— Rzeczywiście, widuję go niekiedy.

— Spoglądają za nim gdy idzie ulicą, nieprawdaż? Uwielbiają go. Wskazują go innym jako dobroczyńcę ludzkości?

— Nie! Dzieci biegną za nim i namówione przez rodziców rzucają w niego kamykami.

— O Boże mój! — zawołał zdziwiony Gilbert. — A czy jest on przynajmniej bogaty?

— Podobnie jak ty dziś rano, pyta on niekiedy sam siebie: „Co będę jadł?”

— Ale choć biedny posiada chyba wielkie znaczenie w społeczeństwie, cieszy się poważaniem i szacunkiem u ludzi?!

— Zасыpiając wieczorem, nie jest pewny czy nie zbudzi się rankiem w Bastylii.

— Och! Jak on musi nienawidzić tych ludzi.

— Ani nie kocha, ani ich nienawidzi. Jest zniechęcony do ludzi. To wszystko.

— Jak można nie żywić nienawiści do ludzi, którzy nami poniewierają!? — zawołał Gilbert. — Tego nie pojmuję.

— Rousseau był zawsze wolnym, mój panie. Rousseau był zawsze dość silnym, aby liczyć tylko na siebie. A jedynie moc charakteru i swoboda czynią człowieka wyrozumiałym i dobrym. Niewola i słabość czynią go złym.

— Oto dlaczego zawsze chciałem pozostać wolnym. Odgadłem to, co mi pan teraz wyjaśnił.

— Można pozostać wolnym nawet w więziennej celi — ciągnął nieznajomy. — Rousseau zamknięty w Bastylji, co go prędzej czy później niezawodnie spotka, będzie pisał i myślał tak samo swobodnie jak w górach Szwajcarii. Co do mnie, to nigdy nie sądziłem, że wolność człowieka polega na robieniu co mu się podoba, lecz jedynie na tym, aby żadna ludzka potęga nie zmusiła go do robienia tego czego nie chce.

— Czy Rousseau napisał to, co pan mówi?

— Zdaje mi się — odparł nieznajomy.

— W Umowie społecznej nie ma tego.

— Tak, bo to znajduje się w nowym dziele pt. Dumania samotnika.

— Panie — rzekł Gilbert — jestem pewien, że zgadzamy się z sobą pod jednym względem.

— Pod jakimże to?

— Obydwaj kochamy i podziwiamy Rousseau'a.

— Mów za siebie, młodzieńcze. Jesteś bowiem w wieku złudzeń.

— Można się mylić w sądzie o rzeczach, lecz nie co do ludzi.

— Niestety! Przekonasz się później, że właśnie ludzie zawodzą. Rousseau jest może trochę sprawiedliwszy od innych, lecz wierzaj mi, ma on wady i to wielkie.

Gilbert pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Lecz wróćmy do naszej poprzedniej rozmowy — rzekł nieznajomy.

— Wiem, że porzuciłeś swego pana w Wersalu.

— A mogę dodać — rzekł Gilbert nieco ułagodzony — że wyłącznie ode mnie zależało czy dostanę pana bardzo możnego. Ja zaś odrzuciłem służbę, której niejednym by mi pozazdrościł.

— Jakaż to służba?

— Chciano, abym został zabawką próżnujących wielkich panów. Ale pomyślałem, że będąc młodym i spragnionym wiedzy nie powinienem tracić cennego czasu i poniżyć w mojej osobie godność człowieka.

— To dobrze — rzekł poważnie nieznajomy — a jakie masz plany na przyszłość?

— Pragnę zostać lekarzem.

— Piękny to i szlachetny zawód, w którym obrać można jedną z dwóch dróg: pierwsza to droga prawdziwej nauki, droga skromności i poświęcenia. Druga to szarlatanerii, krzykliwej, bezczelnej choć pełnej rozgłosu. Jeśli miłujesz prawdę, młodzieńcze, ucz się medycyny, jeśli pociąga cię świetna kariera zostań lekarzem.

— Ale trzeba dużo pieniędzy na naukę, prawda, panie?

— Trzeba, ale nie tak znów wiele.

— Prawda — rzekł Gilbert — że Jan Jakub Rousseau, który umie wszystko, uczył się darmo.

— Darmo! O! Młodzieńcze — mówił smutnie starzec — za nic więc masz to, co Bóg ludziom dał najdroższego: niewinność, zdrowie, sen spokojny. A tym właśnie płacił genewski filozof za to trochę wiedzy, którą posiadał.

— Jak pan może mówić „trochę” — odparł zgorzony Gilbert.

— Chcesz to ci powiem co on umie.

— Po pierwsze jest bardzo muzykalny.

— To, że Ludwik XV śpiewał zawzięcie arię „Straciłem wiernego sługę” wcale jeszcze nie dowodzi, że Czarownik wiejski jest dobrą operą.

— Jest także znakomitym botanikiem. Czytałem jego listy z tej dziedziny. Niestety, tylko kilka podartych kartek z tej książki udało mi się zdobyć. Ale pan zapewne czytał je także? Pan, który z takim zamiłowaniem zbiera po lasach rośliny.

— O, bardzo często ktoś się uważa za botanika, podczas gdy jest...

— Dokończ pan.

— ...tylko zbieraczem roślin.

— A czy pan jest botanikiem czy tylko zbieraczem?

— Jestem zbieraczem skromnym i pełnym niewiedzy, wobec cudów, jakimi są rośliny i kwiaty.

— A czy Rousseau zna łaciną?

— Bardzo niedokładnie.

— Czytałem jednak, że tłumaczył starożytnego autora, Tacyta.

— Chciał w swojej pysze (niestety, każdy człowiek czasami jest pyszny) i tego spróbować. Lecz, jak sam mówi o tym w pierwszej i jedynej księdze, jaką przetłumaczył, niedobrze pojmował trudny język tego mędrca. O! nie, młodzieńcze, mimo twego uwielbienia, nie jest to człowiek wszechstronny. I mały strumyk wzbiera podczas burzy i wydaje się wtedy wielkim jeziorem, lecz popłyń na nim statkiem, a osiadasz na mieliźnie.

— Zatem według pańskiego zdania, Rousseau jest człowiekiem o wiedzy jedynie powierzchownej?

— Tak. Może trochę mniej niż inni, ale to wszystko.

— Dużo ludzi czułoby się szczęśliwymi, gdyby mogli być jemu podobni.

— Czy mówisz to do mnie?

— Niech Bóg zachowa — zawołał Gilbert. — Zbyt przyjemnie się z panem rozmawia, abym go chciał obrazić.

— No więc dlaczego rozmowa ze mną sprawia ci przyjemność? Powiedz, bo nie przypuszczam, byś mi chciał płacić pochlebstwami za kawałek chleba i kilka wisien.

— O! Nigdy! Nie umiałbym pochlebiać za żadne skarby świata! Ale pan jest pierwszy, co ze mną rozmawia bez pychy, z dobrocią, tak jak się mówi do młodego człowieka, nie zaś do dziecka. I choć nie zgadzamy się w naszych poglądach na Rousseau, jest coś w panu, co mnie pociąga. Rozmawiając z panem wydaje mi się, jakbym się znajdował we wspaniałym salonie o zamkniętych okiennicach, którego bogactwa, mimo ciemności odgaduję. O! Gdyby pan mówiąc do mnie, odślonił choć promień swojej wiedzy, z pewnością byłbym olśniony.

— Wyrażasz się w ten sposób, młodzieńcze, iż można sądzić, że masz większe wykształcenie, niż to, do którego się przyznajesz.

— Pierwszy raz tak mówię i sam sobie się dziwię, gdyż wymawiam wyrazy, które ledwo rozumiem. Poznałem je w książkach, które czytałem nie rozumiejąc ich całkowicie.

— A czy dużo czytałeś?

— Myślę, że zbyt wiele. Lecz znowu zacznę od początku. Starzec patrzył na Gilberta z podziwem.

— Czytałem to, co mi wpadło w rękę. Pochłaniałem książki dobre i złe. O! Gdyby ktoś pokierował moją lekturą, gdyby mi powiedział co mam zapamiętać, a o czym zapomnieć!... Wybacz mi panie, może cię nudzę... zbierałeś rośliny, a ja ci pewnie przeszkodziłem?

I Gilbert, choć niechętnie, zbierał się do odejścia. Starzec jednak zdawał się czytać w jego duszy.

— Nie przeszkadzasz mi wcale — rzekł. — Potrzebuję tylko kilka mchów kapilarków. A mówiono mi, że tu rosną piękne kapilarki.

— To, czego pan szuka, widziałem przed chwilą na skale.

— Czy to daleko stąd?

— Zaledwie pięćdziesiąt kroków.

— Skąd wiesz, że te mchy nazywają się kapilarki?

— Urodziłem się wśród lasów, a córka mego opiekuna zajmowała się botaniką. Posiadała zielnik i pod każdą rośliną pisała jej nazwę. Nieraz przypatrywałem się tym roślinom i jej napisom. Widziałem w zielniku także i mchy skalne oznaczone jako kapilarki.

— Czy lubisz botanikę?

— O! Panie, gdy Nicolina opowiadała (Nicolina to pokojowa panny Andrei), że jej pani nie może znaleźć jakiejś rośliny w okolicy Taverny, wtedy starałem się dowiedzieć jak ta roślina wygląda, a panna Andrea, nie wiedząc że to dla mnie, rysowała ją na papierze. Nicolina dawała mi tę kartkę z rysunkiem, a ja przebiegałem pola, łąki, lasy, póki nie znalazłem poszukiwanej rośliny. Następnie wykopywałem ją i sadziłem na trawniku przed pałacem. Panna Andrea spacerując spostrzegła szukany przez siebie okaz i wołała ucieszona: „Mój Boże, jakie to dziwne. Roślina, której wszędzie szukam jest tutaj.”

Starzec spojrział na Gilberta z jeszcze większą uwagą niż dotychczas i gdyby Gilbert kończąc swoje opowiadanie nie spuścił oczu rumieniąc się, byłby dostrzegł w wyrazie twarzy nieznanego, życzliwość i współczucie.

— Ucz się, ucz botaniki, młodzieńcze — powiedział — to najprostsza droga do medycyny. Wierz mi, Bóg niczego na próżno nie stworzył i każda roślina będzie kiedyś oznaczona w księgach wiedzy. Naucz się najpierw poznawać zioła, potem poznasz ich właściwości.

— Są w Paryżu szkoły, prawda?

— Są, a nawet bezpłatne. Na przykład szkoła chirurgiczna jest jednym z dobrodziejstw obecnego rządu.

— Będę tam uczęszczał na wykłady.

— Nic łatwiejszego. Rodzice, jak sądzę, widząc twe chęci, pomogą ci zapewne...

— Nie mam już rodziców. Ale niech pan będzie spokojny. Praca mnie wyżywi.

— Naturalnie! A ponieważ czytałeś dzieła Rousseau'a, wiesz, że każdy człowiek, choćby był synem księcia, powinien uczyć się rzemiosła.

— Nie czytałem Emila, a to podobno w tej właśnie książce jest o tym mowa, prawda?

— Tak.

— Ale słyszałem jak pan Taverney wyśmiewał się z tej zasady, mówiąc iż żałuje, że swego syna nie zrobił stolarzem.

— Kimże go zrobił? — zapytał nieznajomy.

— Wojskowym, oficerem. Starzec uśmiechnął się.

— Wszyscy oni tacy sami, ci szlachetnie urodzeni. Zamiast nauczyć dzieci rzemiosła, które pozwala zdobywać środki do życia, uczą ich takiego, które niesie śmierć. Stąd rewolucje, a w ich następstwie wygnania, a na wygnaniu pomiędzy obcymi szlachcic będzie żebrał, lub, co jest jeszcze o wiele gorsze — zaprzeda się. Lecz ty, nie będąc synem szlachcica, zapewne umiesz coś robić?

— Mówiłem już panu, że nic nie umiem i mam wstręt do pracy fizycznej.

— A! — podchwycił starzec — więc jesteś leniwy.

— O! Nie. Ale zamiast pracy rąk dajcie mi książki, dajcie mi na wpół ciemny kącik, a zobaczycie jak dniem i nocą będę pracował.

Nieznajomy spojrział na delikatne ręce Gilberta.

— To już powołanie niezawodne, to instynkt — powiedział. — Tego rodzaju usposobienie daje nieraz dobre rezultaty, pod warunkiem jednak, że jest dobrze kierowane. Mówisz, że nie byłeś w szkołach, ale chodziłeś chyba do wiejskiej szkółki?

Gilbert zaprzeczył.

— Umiesz czytać i pisać?

— Póki żyła moja matka, uczyła mię czytać. Biedna, widząc, że jestem wątły, mówiła: „Nie będzie z niego nigdy dobry rzemieślnik. Trzeba, żeby został księdzem lub uczonym”. Kiedy nie miałem ochoty na naukę dodawała: „Ucz się czytać, Gilbertcie, a nie będziesz musiał rąbać drzewa, orać, ani tłuc kamieni”. I uczyłem się. Niestety! Zaledwie nauczyłem się czytać, umarła...

— A kto cię nauczył pisać? — Sam się nauczyłem.

— Sam?

— A tak. Kijem na piasku przez dwa lata kopiowałem drukowane litery z książek, nie wiedząc, że można pisać inaczej.

Pewnego dnia wreszcie, gdy pannę Andreę odwieziono do klasztoru, w kilka dni po jej odejździe, listonosz wręczył mi list, jaki wysłała do ojca.

Wtedy dowiedziałem się, że są jeszcze inne litery.

Pan de Taverney złamał pieczętkę i rzucił na ziemię kopertę. Podniosłem ją i schowałem, a potem kiedy spotkałem listonosza kazałem mu odczytać adres. Był następujący:

„Do pana barona de Taverney Maison-Rouge we własnym zamku, przez Pierrefitte.”

Do każdej z liter pisanych przyłożyłem literę drukowaną o tym samym brzmieniu i przekonałem się, że z wyjątkiem trzech, wszystkie znaki alfabetu znajdowały się w adresie.

Następnie naśladowałem pismo panny Andrei, a po ośmiu dniach, skopiowawszy z dziesięć tysięcy razy adres, umiałem już pisać. Piszę więc wcale nieźle. Niech pan sam osądzi czy moje nadzieje są wygórowane? Ponieważ umiem czytać i pisać, a czytałem wszystko co tylko mogłem, i ponieważ zastanawiałem się nad tym co czytałem, czyż nie znajdę człowieka, któremu się mogę przydać?

— Zapominasz, że miałbyś wówczas pana, a wszak ty go mieć nie chcesz. Zostać sekretarzem czy lektorem, to przecież służba.

— To prawda — szepnął Gilbert, blednąc — ale ja muszę dojść do celu. Będę brukował ulice, nosił wodę. Osiągnę swój cel, lub poniosę śmierć, ale nie wyrzeknę się mych zamiarów.

— No, no — powiedział nieznajomy — jesteś naprawdę odważny i pełen zapału.

— A ty panie, który jesteś dla mnie tak dobry, czym się trudnisz? Jesteś ubrany jak człowiek żyjący z kapitału.

Starzec uśmiechnął się smutnie.

— I ja mam zajęcie — odpowiedział — bo każdy człowiek coś powinien robić, ale moje zajęcie nie ma nic wspólnego z obrotem pieniądza. Kapitalista nie zbiera roślin!

— Zatem botanika jest pańskim zajęciem?

— Prawie.

— Więc pan jest biedny?

— Tak.

— Biedni pomagają biednym chętniej niż bogaci, gdyż ubóstwo uczyniło ich mądrymi. A dobra rada nieraz więcej warta niż luidory. Daj mi więc panie jakąś radę.

— Może uczynię nawet coś lepszego. Gilbert roześmiał się.

— Domyślam się tego — rzekł.

— Jak sądzisz, ile ci potrzeba na życie?

— O! Bardzo niewiele.

— Nie znasz pewnie wcale Paryża?

— Pierwszy raz ujrzałem Paryż wczoraj z wieży w Luciennes.

— W takim razie nie wiesz ile może kosztować utrzymanie w wielkim mieście.

— A ile, na przykład?

— Uważaj dobrze. To, co kosztuje na wsi trzy sody, w Paryżu kosztuje dziewięć.

— A więc znajdę sobie jakiś kął dla odpoczynku po pracy, a na wyżywienie wystarczy mi 18 soldów dziennie.

— Podobasz mi się młodzieńcze — zawołał nieznajomy. — Biorę cię z sobą do Paryża i postaram się tam dla ciebie o pracę, z której będziesz mógł się utrzymać.

— O! Panie! — wykrzyknął uszczęśliwiony Gilbert. Następnie, hamując swoją radość, dodał:

— Ma się rozumieć, że będę pracował rzetelnie i że to co mi pan da nie będzie jałmużną.

— Bądź spokojny, moje dziecko. Nie jestem dość bogaty, bym mógł dawać jałmużnę, a poza tym nie tak głupi, żebym ją miał rzucać na wiatr.

— Wybornie — odpowiedział Gilbert, któremu ten zabarwiony mizantropią docinek podobał się, zamiast go urazić.

— Lubię takie stawianie sprawy — dodał.

— Więc postanowione? Idziesz ze mną do Paryża!

— O, tak. Jeśli pan pozwoli.

— Sam to przecież proponowałeś.

— Jakie będą moje obowiązki wobec pana?

— Żadne. Będziesz pracował i sam sobie wybierzesz pracę. Będziesz miał prawo być młodym, szczęśliwym i wolnym. Będziesz mógł odpoczywać, jeśli na odpoczynek zarobisz — powiedział nieznajomy, uśmiechając się jakby mimo woli, po czym podnosząc oczy ku niebu dodał z westchnieniem:

— Ach! Młodość, zapał, swoboda! Potem wstał wspierając się na kiju.

— Kiedy już wiesz, że będziesz miał pracę — rzekł wesoło — może byśmy napelnili ziołami drugie pudełko? Mam tu szary papier. Pomiedzy arkusze rozłożymy nasz pierwszy zbiór. A może jesteś głodny? Mam jeszcze kawałek chleba.

— Schowajmy go na później, panie. — Zjedz przynajmniej wiśnie.

— Z ochotą. A teraz zabieram pudełko i ruszajmy na poszukiwania.

— Widzisz młodzieńcze, przynosisz mi szczęście. Tam oto widzę vicris hieracioides, której szukałem od rana, a pod nogami masz, uważajże, cerastium aquaticum. Czekaj! Czekaj! Nie wrywaj! O! Widać, że jeszcze nie jesteś dobrym zbieraczem ziół. Wracając wieczorem zabierzemy vicris

hieracioides, a cerastium dopiero za tydzień. Chcę go najpierw pokazać jednemu z przyjaciół; uczonemu. On także może ci być pomocny. A teraz zaprowadź mnie do mchów-kapilarków.

Gilbert poszedł przodem i obydwaj zniknęli w leśnym gąszczu.

XLIV. PAN JAKUB

Gilbert zachwycony tym, że szczęście uśmiechnęło się do niego, szedł przodem oglądając się od czasu do czasu za tym zadziwiającym człowiekiem, który w kilku zaledwie słowach potrafił nad nim całkowicie zapanować.

Chłopiec przyprowadził go rzeczywiście do miejsca, w którym rosły wspaniałe kapilarki. Gdy ukończyli je zbierać udali się na nowe poszukiwania.

Gilbert, jak się okazało, bardziej był biegły w botanice, niż sam przypuszczał. Wychowany wśród lasów znał niemal wszystkie leśne rośliny jak towarzyszy lat dziecięcych. Znał jednak tylko ich nazwy ludowe. Staruszek tłumaczył mu te nazwy na język naukowy. Gilbert starał się je powtarzać. Zdarzało mu się przy tym przekreślić jakiś wyraz grecki lub łaciński, a wtedy nieznajomy objaśniał mu pochodzenie tych wyrazów i w ten sposób uczył go nie tylko rozumieć nazwy, lecz i znaczenia słów greckich lub łacińskich, którymi Pliniusz, Linneusz lub Jussieu ochrzczili te rośliny. Od czasu do czasu chłopiec mówił:

— Jaka szkoda, że nie mogę zarobić chociażby kilkunastu soldów zbierając tak z panem rośliny. Nie spocząłbym nawet na chwilę. Nawet to wynagrodzenie byłoby zbyt duże. Poprzestałbym na kawałku chleba, jaki miał pan dziś rano. Napilem się ze źródła równie czystego jak w Taverney. A dzisiejszej nocy spałem stokroć lepiej pod drzewem, niż bym spał pod dachem najwspanialszego pałacu.

Nieznajomy uśmiechał się tylko.

— Przyjacielu — rzekł — nadejdzie zima. Zmrozi rośliny, zetnie lodem źródło i zamiast łagodnego powiewu, który kołysze liśćmi, zahuczy wiatr wśród odartych z liści gałęzi. Zapragniesz wtedy schronienia, odzieży, ogniska, a kilkanaście soldów dziennie nie wystarczy na to.

Gilbert wzdychał, zbierał nowe okazy i zadawał wciąż pytania.

Tak spędzili znaczną część dnia w lasach Aulnay, Plessis-Piquet i Clamart, pod Meudon.

W Chatillon nieznajomy kupił chleba i mleka dzieląc się posiłkiem z Gilbertem. Potem obydwaj ruszyli w stronę Paryża.

Serce chłopca żywiej tało już na samą myśl, że znajdzie się wkrótce w Paryżu. Nie starał się ukryć wzruszenia, kiedy z wysokości Vanves dojrzał kościół św. Genowefy, Pałac Inwalidów, Katedrę Notre-Dame i niezmierny ocean domów, którego jakby fale biły o stoki Montmartre, Belleville i Menilmontant.

— Och! Paryż! Paryż! — szeptał.

— Tak. Paryż, skupisko domów, otchłań cierpienia — odpowiedział starzec. Z każdego z tych kamieni mogłaby trysnąć łza, lub kropla krwi, gdyby cierpienia ukryte w tych murach mogły się ujawnić.

Zapał Gilberta przygasł.

Weszli do miasta przez Rogatkę Piekła. Przedmieście było brudne i cuchnące. Spotykali chorych niesionych na noszach do szpitala, półnagie dzieci bawiące się w błocie razem z psami, krowami i trzodą chlewną.

Gilbert zasępił się.

— Prawda, że to wszystko wydaje ci się wstrętne? — zapytał starzec. — Lecz krowa i wieprz to jeszcze jest pewne bogactwo; dziecko — to jeszcze radość. A co do błota, to znajdziesz go tu zawsze i wszędzie.

Gilbert przygotowany już na to, że ujrzy obraz Paryża w ponurych barwach, słuchał w milczeniu uwag towarzysza. Ten zaś, z początku tak wyczerpująco informujący Gilberta o swych spostrzeżeniach, stopniowo milkł, w miarę jak się zbliżali do śródmieścia. Wyglądał na coraz bardziej przygnębionego, tak że Gilbert nie śmiał go zapytać co to za ogród, który właśnie mijali i jak się nazywa most na Sekwanie, którym właśnie przechodzili. A szli obok ogrodu Luksemburskiego i przez most Pont Neuf.

Szli tak ciągle, a nieznajomy coraz częściej wpadał w zamyślenie, a ponadto zaczął zdradzać pewien niepokój.

Gilbert odważył się go zapytać:

— Czy daleko jeszcze do pańskiego mieszkania?

— Zbliżamy się już — odpowiedział starzec, okazując coraz większe przygnębienie.

Minęli ulicę du Four, wspaniały pałac de Soissons, którego front wychodził na tę ulicę, a wspaniałe ogrody ciągnęły się aż do ulic Grenelle i Deux-Écus.

Doszli wreszcie do kościoła, który Gilbertowi wydał się bardzo piękny. Zatrzymał się więc na chwilę, aby się lepiej przyjrzeć budynkowi.

— Co za wspaniały gmach — wykrzyknął.

— To kościół świętego Eustachego — rzekł starzec i podnosząc głowę zawołał:

— Ósma godzina! Boże, mój Boże! Chodź prędzej młodzieńcze! Prędzej!

I obaj przyśpieszyli kroku.

— Ale — rzekł po chwili milczenia nieznajomy — zapomniałem ci powiedzieć, że jestem żonaty. I że moja żona, jak prawdziwa paryżanka, będzie na nas zrzędzić, że tak późno wracamy. A poza tym muszę ci powiedzieć, że jest nieufna wobec nieznajomych.

— Czy chce pan, żebym sobie poszedł? — zapytał Gilbert zmrożony tymi słowami.

— Nie, nie, mój drogi. Zaprosiłem cię, więc chodź ze mną.

— Służę panu — rzekł Gilbert.

— O, tu, na prawo, tędy, już jesteśmy.

Gilbert podniósł oczy i w ostatnich blaskach zachodzącego słońca, przeczytał na tabliczce umieszczonej nad sklepem korzennym w rogu placu, wyrazy:

— Ulica Platrière.

Nieznajomy przyśpieszył kroku. Im bliżej był domu, tym bardziej wzrastał jego niepokój. Gilbert nie chcąc stracić go z oczu potraçał co chwila przechodniów, potykał się o paki, dyszle powozów i skrzynie na wózkach.

Jego przewodnik zdawał się o nim całkowicie zapominać. Dreptał zatopiony w myślach, zapewne niezbyt przyjemnych. Wreszcie starzec zatrzymał się przy drzwiach, których górna część była zakratowana. Pociągnął za sznurek, wystający przez jeden z otworów kraty. Drzwi się otworzyły. Spostrzegłszy wahanie Gilberta, nieznajomy przynaglił go do wejścia. Gdy weszli, starzec zamknął za sobą drzwi. Zrobiwszy po ciemku kilka kroków, Gilbert uczył pod stopami pierwszy stopień stromych schodów. Starzec obeznany z miejscem, przebiegł szybko kilkanaście stopni. Gilbert dopędził go.

Nieznajomy pociągnął za sarnią nóżkę zawieszoną na sznurku i głuchy dzwonek odezwał się wewnątrz pokoju. Wtedy dało się słyszeć ciężkie stąpanie nóg, obutych w pantofle i drzwi się otworzyły.

Na progu ukazała się kobieta przeszło pięćdziesięcioletnia.

Dwa głosy odezwały się równocześnie.

Nieznajomy pytał nieśmiało:

— Czy to już tak późno, moja kochana Tereso?

— Pięknie, że każesz na siebie czekać z kolacją — odezwała się mrukiwie kobieta.

— No, no, naprawimy to — odpowiedział grzecznie nieznajomy, zamykając drzwi i biorąc blaszane pudełko z ręki Gilberta.

— Ha! Najął człowieka! — krzyknęła stara. — Jeszcze tego brakowało. A więc już sam nie możesz nosić swoich ziół. Posługacz dla pana Jakuba! Z przeproszeniem wielki pan zrobił się z pana Jakuba.

— Uspokój się Tereso — rzekł, tak nieuprzejmie potraktowany ten, którego stara nazwała Jakubem, i cierpliwie rozkładał rośliny nad kominkiem.

— Zapłać mu przynajmniej i odpraw go, żebyśmy nie mieli szpiega.

Gilbert zbladł śmiertelnie i poskoczył ku drzwiom. Jakub zatrzymał go.

— Ten pan nie jest posługaczem, a tym bardziej szpiegiem. Jest moim gościem.

Stara opuściła ręce na znak rozpaczy.

— Gościem! Tylko tego jeszcze brakowało!

— Zapal-no świecę, Tereso — rzekł starzec łagodnym, lecz już coraz bardziej stanowczym głosem.
— Gorąco nam i mamy pragnienie.

Kobieta, mrużąc coś pod nosem, wzięła krzesiwo i hubkę i zaczęła krzesać ogień.

Podczas całej tej sceny Gilbert stał nieruchomo o parę kroków od drzwi, żałując, że przestąpił próg tego mieszkania. Jakub rozumiał w jakim nastroju znalazł się chłopiec.

— Proszę dalej, panie Gilbertcie, bardzo proszę! — rzekł. Na te uprzejme słowa stara obróciła poźółkłą twarz, aby ujrzeć przybysza. W świetle cienkiej świeczki, zatkniętej w mosiężnym lichtarzu, Gilbert mógł się przyjrzeć kobiecie. Twarz miała pomarszczoną z czerwoną wysypką i żółtawymi plamami. Oczy spoglądały natarczywie i bezczelnie z wyrazem trywialnej dobroduszości w gminnych rysach twarzy, dobroduszości będącej w jaskrawej sprzeczności z kłótliwym głosem, jakim powitała zjawienie się Gilberta. Wszystko to wzbudziło w Gilbertcie niepoohamowany wstręt do tej kobiety.

Starej także nie podobała się blada i delikatna twarz chłopca, jego milczenie i sztywność w zachowaniu się.

— Wierzę, że wam gorąco i że się wam chce pić, moi panowie — powiedziała kobieta. — W istocie to bardzo męczące przepędzić dzień w lesie, schylać się po zioła, o, to mi praca! Pan zapewne też się zajmuje zbieraniem roślin. To rzemiosło wszystkich, którym się nie chce pracować.

— Ten pan — odezwał się już pewniejszym głosem Jakub — jest dobrym i szlachetnym młodzieńcem, który w ciągu dnia dotrzymywał mi towarzystwa i jestem pewien, że moja droga Teresa potraktuje go jak przyjaciela.

— Dla dwojga wystarczy, ale nie dla trojga — mruknęła stara.

— Jestem umiarkowany w jedzeniu i piciu, a on także — powiedział Jakub.

— Znam ją doskonale to umiarkowanie i zaznaczam, że nie wystarczy chleba, a biegać nie myślę z trzeciego piętra na dół. Zresztą o tej porze wszystkie piekarnie są zamknięte.

— To ja zejść — odrzekł Jakub, marszcząc brwi. — Otwórz mi Tereso!

— Ale...

— Ja chcę!

— Dobrze, już dobrze! — mruknęła stara ustępując jednak przed rozkazującym tonem, który spowodowała swym uporem.

— Czyż nie jestem tu po to, aby spełniać twoje wszystkie kaprysy? Zobaczmy... zrobi się co można. Chodźcie na kolację.

— Usiądź przy mnie! — powiedział Jakub do Gilberta, prowadząc go do przyległego pokoju, gdzie stał stolik nakryty na dwie osoby.

Mały pokój wyklejony był bladoniebieskim papierem w białe desenie. Dwie duże mapy geograficzne zdobiły ściany.

Umeblowanie stanowiło kilka krzesel wyplatanych słomą, stolik i kosz pełny cerowanych pończoch.

Gilbert usiadł. Stara postawiła przed nim nakrycie mocno już zniszczone przez długie używanie oraz cynowy, polerowany kubek.

— Nie pójdziesz? — spytał Jakub żony.

— Nie potrzeba — odburknęła stara, urażona odniesionym nad nią zwycięstwem. — Znalazłam w szafie pół bochenka. Jest więc półtora funta. Musi nam to wystarczyć.

To mówiąc postawiła zupę na stole.

Nalała najpierw Jakubowi, potem Gilbertowi, a sama zaczęła jeść z wazy.

Wszyscy troje mieli świetny apetyt.

Gilbert, onieśmielony rozprawą o domowej oszczędności, rozprawą, której stał się mimowolnie przyczyną, starał się pohamować swój apetyt. Jednakże on właśnie pierwszy opróżnił talerz.

Stara rzuciła gniewne spojrzenie na talerz, z którego tak szybko zniknęła zupa.

— Kto tu dzisiaj przychodził? — zapytał Jakub, chcąc odwrócić uwagę Teresy.

— Jak zwykle, wszyscy! Cztery kajety obiecałaś pani Boufflers, pani d'Escars dwie piosenki, kwartet z akompaniamentem pani de Penthièvre. Jedne przychodziły same, inne przysyłały. Ale cóż! Pan sobie chodził po lesie. A że nie można bawić się i równocześnie pracować, te panie musiały się obejść bez nut.

Ku wielkiemu zdziwieniu Gilberta Jakub nic nie odpowiedział.

Po zupie stara podała sztukę mięsa na małym półmisku, którego polewa startą się od częstego używania.

Jakub, pod bacznym okiem Teresy, dał Gilbertowi skromną porcyjkę, sobie wziął taką, a resztę wraz z półmiskiem podsunął gospodyni.

Ta wzięła teraz chleb i odkroiła kromkę dla Gilberta.

Kawałek był tak mały, że Jakub zaczerwienił się. Począł, aż Teresa ukroi dla siebie, po czym wziął z jej rąk bochenek i podając go Gilbertowi powiedział:

— Sam sobie ukrój, przyjacielu, i ukrój tyle, na ile masz apetyt, proszę cię. Chleb powinien być wydzielany jedynie tym, którzy go marnują.

Po chwili na stole zjawiała się zielona fasolka okraszona masłem.

— Widzisz jaka zielona — rzekł Jakub — to z naszej spiżarni. U nas jest bardzo smaczna.

— Dziękuję, nie jestem głodny — odpowiedział chłopiec.

— Pan nie podziela twego zdania o fasolce — odezwała się uszczypliwie Teresa. — Wolałby zapewne świeżą, ale to są nowalce, na które nas nie stać.

— Nie, pani. Przeciwnie. Fasolka wygląda bardzo apetycznie, lecz ja jadam zwykle tylko jedną potrawę.

— I pijesz tylko wodę? — rzekł Jakub podając mu butelkę.

— Tylko.

Jakub nalał sobie trochę samego wina.

— A teraz, moja żono — rzekł stawiając butelkę na stole — zajmij się, proszę, przygotowaniem posłania dla tego młodzieńca. Musi być bardzo znużony.

Widlec wypadł z ręki Teresy. Przerazona wpatrywała się w męża.

— Przygotowaniem posłania? Czyś oszalał? Sprowadzasz tu kogoś na nocleg? Chyba położysz go w swoim łóżku. Przewróciło ci się w głowie. Widocznie hotel zakładasz. W takim razie proszę na mnie nie liczyć. Poszukaj sobie kucharki i posługaczki. Nie dość, że ci usługuję, to mam jeszcze usługiwać innym?

— Tereso — mówił Jakub tonem poważnym i stanowczym — wysłuchaj mnie, proszę, moja droga. Ten pan będzie u nas tylko jedną noc. Nigdy jeszcze nie był w Paryżu, a przybył tu pod moją opieką. Nie chcę i nie pozwolę, żeby nocował w zajeździe, choćbym musiał, jak mówisz, odstąpić mu łóżko.

Po tym oświadczeniu starzec zamilkł, jakby na coś czekając.

Wówczas Teresa, która przypatrywała się mu uważnie gdy mówił i zdawało się, że bada uważnie każdy mięsień jego twarzy, rozumiejąc widocznie iż przeciwstawianie się jest daremne — zmieniła nagłe taktkę.

Czując, że poniosłaby porażkę występując przeciw Gilbertowi, zaczęła teraz ujmować się za nim, co prawda jak sprzymierzeniec każdej chwili gotowy do zdrady.

— A więc — rzekła — skoro ten młody pan przyszedł tu z tobą, zapewne musisz go dobrze znać, lepiej więc będzie jeśli u nas pozostanie. Przygotuję mu zatem posłanie w twoim gabinecie, przy plikach papierów...

— Nie, nie — żywo podchwycił Jakub — to nie miejsce gdzie można by spać. Między papiery mógłby się ogień zaprószyć.

— Wielkie rzeczy! — szepnęła ironicznie Teresa, a głośno dodała:

— Może więc w przedpokoju? — I tam nie.

— Widzę więc, że pomimo najlepszych chęci umieszczenie chłopca jest u nas niemożliwe. Bo jeśli nie w twoim lub moim pokoju...?

— Zdaje mi się, Tereso, że nie wpadłaś na myśl, aby...

— Ja?

— Tak. Przecież mamy pokoik na górze. — Chciałaś powiedzieć na poddaszu?

— Nie, to nie poddasze, to pokoik, niby na strychu, ale zdrowy, z widokiem na śliczne ogrody, a to w Paryżu dość rzadkie.

— Och! Mniejsza o to, panie. Gdyby to nawet było poddasze, byłbym szczęśliwy, przysięgam.

— Nie, nie zgadzam się — odezwała się Teresa. — Ja tam wiem bieliznę.

— Ten młodzieniec nie będzie ci tam przeszkadzał, Tereso. Prawda, Gilbertcie, że będziesz uważał, aby nic złego nie stało się bieliźnie, którą tam rozwiesiła ta dobra gospodyni? Jesteśmy biedni i każda strata jest dla nas ciężka.

— Och! Bądź spokojny, panie. Jakub wstał i zbliżył się do Teresy.

— Nie chcą, widzisz, droga przyjaciółko — powiedział — aby ten młody człowiek zginął marnie. Paryż to otchłań. A tu możemy nad nim czuwać.

— Zajmiesz się więc jego edukacją? Więc twój uczeń będzie ci płacił?

— Nie.. Ale ręczę ci, że nic cię kosztować nie będzie. Począwszy od jutra sam się będzie żywił. A co się tyczy mieszkania, to przecież ten pokój jest nam prawie niepotrzebny. Pozwólmy w nim chłopcu zamieszkać.

— Jak to próżniacy potrafią się zrozumieć — mruknęła stara wzruszając ramionami.

— Panie — rzekł Gilbert więcej zmęczony niż jego gospodarz tą walką, która go upokarzała — nikomu nie byłem dotąd ciężarem i nie chciałem tego zaczynać od pana, który byłeś dla mnie tak dobry. Pozwól więc, że odejdę. Przy moście, przez który przechodziliśmy widziałem pod drzewami ławki. Zaręczam, że doskonale się na jednej z nich wyśpię.

— Tak — rzekł Jakub — żeby cię zatrzymał patrol jako włóczęgę?

— Którym zresztą jest — mruknęła Teresa sprząając ze stołu.

— Chodź, chodź, młody człowieku — powiedział Jakub. —

O ile pamiętam, na górze jest siennik. Zawsze to lepsze niż ławka, a ponieważ chciałeś poprzestać na ławce...

— Ach! Panie — zawołał Gilbert — zawsze sypiałem tylko na sienniku.

A potem mijając się z prawdą, dodał:

— Na piernacie jest mi za gorąco. Jakub uśmiechnął się.

— Istotnie słoma chłodzi — odpowiedział. — Weź świeczkę i chodź za mną.

Teresa nie spojrzała nawet na Jakuba. Westchnęła tylko, była pokonana.

Gilbert wstał i poszedł za swym opiekunem. Przechodząc przez przedpokój zobaczył naczynie z wodą.

— Panie — zapytał — czy woda w Paryżu jest droga? — Nie, przyjacielu, ale choćby i była droga, to chleb i woda są tymi rzeczami, których człowiek nie ma prawa odmówić bliźniemu, gdy ten o nie poprosi.

— Och! Bo w Taverney woda nic nie kosztowała, a dla biedaka czystość jest radością.

— Weź, przyjacielu, weź — rzekł Jakub wskazując duży dzbanek fajansowy — nabierz sobie wody.

I poszedł naprzód zdziwiony, że w takim niemal jeszcze dziecku, napotkał charakter, w którym upór ludu łączył się z instynktami arystokracji.

XLV. PODDASZE JAKUBA

Schody wąskie i strome od parteru, stawały się coraz to węższe i spadzistsze począwszy od trzeciego piętra, gdzie mieszkał Jakub. Z wielkim więc wysiłkiem dostał się on wraz ze swym protegowanym na „prawdziwe” poddasze.

Tym razem Teresa miała rację. Był to właściwie strych, podzielony na cztery izdebki, z których trzy były niezajęte.

Trzeba przyznać, że wszystkie, oprócz tej, którą przeznaczono dla Gilberta, nie nadawały się zupełnie na mieszkanie.

— Ładnie tu nie jest — powiedział Jakub — lecz sen i ciemność są takie same w najwspanialszych pałacach jak i najuboższych chatkach! Śpij więc, młody przyjacielu tak, jak się śpi w twoim wieku, gdy nic nie stoi na przeszkodzie, abyś po przebudzeniu wyobraził sobie, że spałeś w Luwrze. Przede wszystkim zaś uważaj na ogień. Jutro porozmawiamy jeszcze. Mam nadzieję, że do pracy nie będziesz się lenił, prawda?

— Przecież pan wie — odrzekł Gilbert — że moim najgorętszym pragnieniem jest, żeby pracować.

— To bardzo dobrze. A więc do jutra.

— Dobranoc panu i dziękuję — rzekł Gilbert.

Jakub wyszedł, zamknął za sobą drzwi i chłopiec pozostał w izdebce sam.

Ze świecą w ręku, zachowując ostrożność zaleconą przez Jakuba, chłopiec obszedł wszystkie kąty poddasza. Zatrzymał się przy stosie zadrukowanych papierów. Wzbudziło to w nim bowiem najżywsze zainteresowanie. Papiery były powiązane sznurkiem, więc ich nie tknął. Rozglądając się z zaciekawieniem podszedł od powiązanych papierów do toreb z fasolą zawieszonych na sznurkach. Torby zrobione były z białego, zadrukowanego papieru, pospinanego szpilkami. Poruszywszy się nieco gwałtowniej Gilbert trącił głową o sznur i jedna z toreb spadła na podłogę. Zbierając rozsypaną fasolę rzucił bezwiednie okiem na papier, z którego była zrobiona torba. Przeczytane wyrazy przykuły jego uwagę. Odsunąwszy na bok fasolę usiadł na sienniku i zaczął czytać. Wszystko to, czego dowiadywał się, było tak podobne do jego przeżyć i myśli, że chwilami zdawało mu się, że to co czyta jest nie tylko napisane dla niego, ale i przez niego samego.

„Zresztą szwaczki, służące, straganiarki — czytał — nie nęciły mnie wcale. Ja pragnąłem eleganckich panien. Każdy ma swoją fantazję, ja tę miałem zawsze. Nie pociągało mnie bynajmniej stanowisko społeczne, lecz grzeczniejsze obejście, staranniejsze wychowanie, piękniejsze ręce, ubranie bardziej eleganckie, czystość i delikatność cechujące całą osobę, więcej smaku w stroju i sposobie wyrażania się, suknia lepsza i zgrabniej uszyta, trzewiczek elegancki, wstążki, koronki, włosy z wdziękiem uczesane. Zawsze przyznałbym pierwszeństwo nawet najmniej ładnej, byleby to wszystko posiadała. Taki wybór sam uważam za śmieszny, lecz moje serce wybiera tak mimo mej woli”.

Gilbert drgnął i pot wystąpił mu na czoło. Nie można było lepiej wyrazić jego własnych myśli, lepiej określić jego własnych uczuć. Wprawdzie o Andrei nie można było powiedzieć, że jest najmniej ładną, choć posiadała te wszystkie zalety. Andrea posiadała je wszystkie i była najpiękniejszą.

Gilbert czytał dalej z najwyższym zainteresowaniem.

Poniżej znalazł opis uroczej wycieczki młodego mężczyzny z dwiema pannami, konną przejażdżkę i powrót nocą z dziewczyną utrzymaną na siodle.

Gilberta zajmowało to coraz bardziej. Rozwinął torbę i przeczytał z biciem serca wszystko co było na niej wydrukowane. Następnie znalazł jeszcze siedem czy osiem toreb, wysypał z nich fasolę, uporządkował kartki i czytał dalej.

Na dalszych stronicach znalazł opis miłości młodego, ubogiego, nieznanego nikomu mężczyzny do wielkiej damy. Pani ta zniżyła się do niego, lub raczej on wzniósł się do niej a ona wybrała go na swego kochanka, jak gdyby był jej równy. Pozwoliła mu poznać tajniki swego serca spełniając młodzieńcze marzenia, tak pełne blasku i tak krótkotrwałe, jak meteory pojawiające się na tle gwiazdzistego nieba. Nazwisko młodego człowieka nigdzie nie było wymienione. Wielka pani nazywała się de Warens.

Gilbert czułby się szczęśliwy, gdyby mógł całą noc spędzić na odczytywaniu torebek i zamierzał dalej je czytać, gdy tymczasem od dopalającej się świecy rozgrzał się mosiądz lichtarza i knot zanurzył się w roztopionym łożu. Śwąd napełnił poddasze, światło zgasło, Gilberta otoczyła ciemność.

Nastąpiło to tak szybko, że Gilbert nie zdążył temu zaradzić. O mało nie zapłakał ze złości. Wtedy rzucił plik papierów na fasolę rozsypaną koło łóżka i położył się na sienniku. W chwilę potem zasnął głębokim snem. Obudził się dopiero na zgrzyt klucza w kłódce, na którą Jakub zamknął wieczorem drzwi od poddasza.

Dzień był już w pełni, gdy Gilbert ujrzał gospodarza wchodzącego po cichu do izdebki.

Jakub spojrzął od razu na rozsypaną fasolę i na torby, które zostały zamienione w arkusze papieru. Wzrok Gilberta również podążył w tym kierunku.

Chłopiec zaczerwieniony ze wstydu powiedział:

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, mój przyjacielu — odpowiedział Jakub — czy dobrze spałeś?

— Tak, panie.

— Czy nie jesteś przypadkiem lunatykiem?

Gilbert nie wiedział co znaczy słowo „lunatyk”, lecz zrozumiał, że chodzi o groch wysypany z torebek i o torebki.

— Niestety! — rzekł. — Rozumiem dlaczego pan mię. o to pyta. Tak. To ja jestem winien, przyznaję się z pokorą, ale myślę, że będę mógł to naprawić.

— Bez wątpienia. Ale dlaczego świeca wypaliła się aż do ostatka?

— Nie spałem bardzo długo. Czytałem.

Wzrok Jakuba, z wyrazem niedowierzania, przesunął się po rupiecicach zawalających izdebkę.

— Ten pierwszy arkusz — rzekł Gilbert, pokazując pierwszą torbę, którą wczoraj rozwinął i czytał — ten pierwszy arkusz, na który przypadkiem spojrzałem tak mnie zaciekawił... Ale pan, który tyle wie, musi wiedzieć z jakiej to książki.

Jakub, obojętnie popatrzył na chłopca i rzekł:

— Nie wiem.

— To zapewne jest romans — powiedział Gilbert. — Bardzo piękny romans.

— Romans? Tak myślisz?

— Tak sądzę, bo o miłości mówi się tu jak w romansach, z tą jednak różnicą, że mówi się piękniej.

— Jednakże — rzekł Jakub odczytując u dołu kartki wyraz Wyznania — sądziłbym...

— Sądziłby pan...?

— Że może to jest historia prawdziwa.

— Och! Nie, nie. Człowiek, który w ten sposób mówi, nie mówi o sobie. Za wiele szczerości w jego wyznaniach, za wiele bezstronności w sądach.

— A ja myślę, że się mylisz — rzekł żywo starzec.

— Przeciwnie, autor chciał dać światu przykład człowieka, który ukazuje się bliźnim takim, jak go Bóg ukształtował.

— Więc pan zna autora?

— Autorem jest Jan Jakub Rousseau.

— Rousseau! — krzyknął Gilbert.

— To są kartki z jego ostatniego dzieła, powyrywane i pomieszane.

— A więc ten młodzieniec, biedny, nieznan nikomu, niemal żebrzący po gościńcach, które przemierzał piechotą — to Rousseau, to człowiek, będący później autorem Emila i Umowy Społecznej?

— Tak to on był, a właściwie nie on — rzekł starzec z wyrazem zadumy. — Nie, to nie był on. — Autor Umowy społecznej i Emila to człowiek, dla którego wszelki powab straciły: świat, życie, sława. Inny... inny Rousseau pani Warens to dziecko, które idzie ku życiu przez tę samą bramę co i jutrzienka, to dziecko pełne radości i nadziei. Pomiędzy jednym a drugim Rousseau jest przepaść, która im obu nigdy nie pozwoli się spotkać... Trzydzieści lat nieszczęścia!

Starzec mówiąc to potrzasał głową. Smutny, opuścił ręce i pogrążył się w zadumie. Gilbert stał jak urzeczony.

— A więc — rzekł — przygoda z pannami Galey i Graffenried była prawdziwa? Więc to on żywił gorącą miłość do pani Warens. Więc miłość tej kobiety, miłość która przynosiła mu smutek zamiast wznosić go ku niebu, jak się tego spodziewał, to nie tylko czarująca bajka?

— Młodzieńcze — odrzekł starzec — Rousseau nigdy nie skłamał. Przypomnij sobie jego zasadę: Vitam impendere vero.

— Znam ją — rzekł Gilbert — ale ponieważ nie umiem po łacinie, nigdy nie mogłem tego zrozumieć.

— To znaczy: Oddać życie za prawdę.

— A więc to możliwe — ciągnął dalej Gilbert — że człowiek, który wyszedł z tej sfery co Rousseau, może być kochany przez piękną damę, przez wielką damę? O! Mój Boże!

Czy nie może oszaleć z radości i nadziei ten, który jak on, wyszedł z nizin i ośmiela się sięgnąć wzrokiem ponad siebie?...

— Jesteś zakochany — podchwycił Jakub — i upatrujesz podobieństwo między swoim położeniem a Rousseau'a.

Gilbert zarumienił się, ale milczał.

— Ale nie wszystkie kobiety są takie jak pani Warens — rzekł wreszcie — bywają czasem dumne, pogardliwe, nieprzystępne, a wtedy kochać się w nich jest szaleństwem.

— Rousseau też bywał w podobnych sytuacjach — powiedział starzec.

— Tak, ale gdybym był geniuszem jak Rousseau — zawołał Gilbert — powiedziałbym sobie, że nie istnieje kobieta, jakkolwiek wysokie byłoby jej pochodzenie, która mogłaby mi się oprzeć. Sam jednak jestem niczym i nie wiem czym będę w przyszłości. Och! Chciałbym pomówić z Rousseau.

— O czym?

— Chciałbym go zapytać, czy gdyby pani Warens nie zniżyła się do niego... czy byłby gotów zdobyć ją nawet...

Gilbert zatrzymał się wpół słowa. — Nawet... — powtórzył starzec.

— Nawet przez zbrodnię? Starzec drgnął.

— Żona moja obudziła się już pewnie — rzekł przerywając rozmowę. — Musimy zejść. Zresztą, dla pracującego dzień nigdy nie zaczyna się zbyt wcześnie. Chodź, chłopcze, chodź. Pójdźmy popracować.

— Przepraszani pana — rzekł Gilbert — ale są pewne książki i są pewne rozmowy, które tak na mnie działają, że wprawiają mnie niemal w szaleństwo.

— No, no — rzekł Jakub — jesteś zakochany.

Gilbert nie odpowiedział i zabrał się do zbierania fasoli i naprawiania torebek przy pomocy szpilek.

— Niezbyt wygodną miałeś kwatere — mówił tymczasem starzec — gdybyś jednak wstał wcześniej mógłby cię uradować zapach ogrodów, które rozciągają się dookoła.

— Lubię to — powiedział Gilbert — ale ponieważ jestem do tego przyzwyczajony, nie bardzo zwracam na to uwagę.

— Powiedz raczej, że nie dość dawno opuściłeś wieś, żebyś miał jej już żałować. Ale skończyłeś już, idźmy pracować.

Wskazując drogę Gilbertowi, Jakub wyszedł z nim i zamknął drzwi na kłódkę.

Teraz Jakub zaprowadził chłopca prosto do pokoiku, który Teresa nazwała wczoraj gabinetem.

Były tu motyle pod szkłem, rośliny i minerały oraz książki w szafach z orzechowego drzewa. Na długim, wąskim stole, przykrytym czarnozieloną, wytartą już materią, leżały uporządkowane rękopisy. Umeblowanie uzupełniały cztery krzesła, stolik pod oknem i mały klawikord z różanego drzewa. Wszystko lśniło od czystości, ale było zimne i surowe.

Gilbert wszedł do gabinetu z uszanowaniem. Sprzęty wydawały mu się wspaniałe, gdyż były niemal takie jak w zamku w Taverney, a froterowana podłoga uczyniła na nim silne wrażenie.

— Siadaj — rzekł Jakub, wskazując mu mały stoliczek we framudze okna — powiem ci jakie mam dla ciebie zajęcia.

Gilbert usłuchał skwapliwie.

— Czy znasz to? — zapytał starzec i pokazał Gilbertowi papier poliniowany w równych odstępach.

— Znam — odrzekł chłopiec — to papier nutowy.

— Widzisz, kiedy taki arkusz zapełnięm należycie nutami, zarabiałem 10 soldów. Sam taką cenę ustanowiłem. Czy masz nadzieję, że nauczysz się przepisywać nuty?

— Tak panie.

— Ale czy ten rój czarnych punkcików poprzecinanych liniami, nie miga ci w oczach?

— Istotnie. Na pierwszy rzut oka niewiele z tego mogą zrozumieć. Ale przyjrząwszy się uważnie, rozróżnią nuty jedne od drugich. O ta na przykład — to fa.

— Gdzie?

— O tu na najwyższej linii.

— A ta, między dwiema dolnymi liniami?

— To także fa.

— A więc znasz nuty?

— Tak. To znaczy... znam nazwy nut, nie wiem jednak co one oznaczają.

— A czy wiesz kiedy są białe, czarne, łączone podwójnie, potrójnie.

— Och tak! Wiem.

— A te znaki?

— To krótkie pauzy.

— A to?

— Bemol.

— Bardzo dobrze. Ach tak! Ale przy twoim braku wiedzy mówisz o muzyce jak mówiłeś o botanice i, jak niedawno zacząłeś mówić, o miłości.

— Ach, panie! — rzekł Gilbert — proszę się ze mnie nie śmiać.

— Nie moje dziecko. Ty mnie zadziwiasz. Skąd znasz muzykę, jeśli jak mówiłeś, nie masz żadnego wykształcenia? Przecież to nie ty sam wymyśliłeś, że ten czarny punkt na ostatniej linii to fa.

— Panie — rzekł Gilbert mówiąc cicho i opuszczając głowę — w domu, w którym mieszkałem była... młoda osoba. Ona to grała na klawikordzie.

— Ach! To ta sama, która zajmowała się botaniką?

— Ta sama. Grała nawet bardzo dobrze. A ja przepadam za muzyką.

— Wszystko to nie tłumaczy jeszcze w jaki sposób poznałeś nuty.

— Panie, Rousseau opowiada, że nie jest naprawdę człowiekiem ten, który zadowala się skutkiem nie starając się dociec przyczyny.

— Tak, ale mówi on także — rzekł Jakub — że człowiek przez takie dociekania traci radość, prostotę i instynkt.

— Mniejsza o to — rzekł Gilbert — jeśli w dociekaniach znajduje przyjemność równą tej, jaką by tracił rezygnując z nich.

Zdumiony Jakub odwrócił się.

— Ho, ho — rzekł — jesteś nie tylko botanikiem i muzykiem, ale jeszcze i logikiem.

— Niestety! Na nieszczęście nie jestem ani botanikiem, ani muzykiem, ani logikiem. Umiem odróżnić jedną nutę od drugiej. Jeden znak od drugiego. To wszystko.

— Mniejsza z tym. Czy chcesz spróbować przepisywania? Oto poliniowany papier. Uważaj jednak, aby go nie zepsuć.' Jest drogi. A teraz uważaj. Człowiek wprawiony do tej pracy może przez dwie lub trzy godziny w nocy przepisać pięć, a nawet sześć kartek. Przepisanie tych sześciu kartek daje zarobek w wysokości trzech franków, a za to można już żyć. Zgodzisz się zapewne ze mną, bo sam żądałeś tylko kilkunastu soldów dziennego zarobku. A więc za pracę dwóch godzin w nocy, człowiek może sobie pozwolić na uczęszczanie na kursy chirurgii, medycyny i botaniki.

— O! Rozumiem pana i dziękuję z całego serca — wykrzyknął Gilbert.

I zabrał się pilnie do pracy.

XLVI. KIM BYŁ PAN JAKUB

Gilbert pracował gorliwie pokrywając papier starannie kreślonymi nutami. Tymczasem starzec przypatrując mu się przez chwilę, zabrał się także do roboty siadłszy przy drugim stole.

Upłynęły trzy godziny i zegar wybił dziewiątą, kiedy nagle do pokoju weszła Teresa. Jakub podniósł głowę.

— Prędeż, prędeż, przejdź do salonu. Znów przyszedł do ciebie jakiś książę. Mój Boże, kiedyż się skończy ta procesja jaśnie oświeconych? Byleby nie przyszło mu do głowy zasiąść z nami do śniadania, jak to niedawno zrobił książę de Chartes.

— A który to książę teraz przyszedł? — spytał cicho Jakub.

— Jaśnie oświecony książę Conti.

Gilbert na dźwięk tego nazwiska zrobił kleksa na nutach.

Uśmiechając się Jakub wyszedł z pokoju, a za nim Teresa, zamykając za sobą drzwi. Wtedy Gilbert oglądając się wokół siebie, jakby dla upewnienia się, że jest sam, wstał i już zupełnie oszołomiony wykrzyknął:

— Gdzież ja jestem? Książęta krwi u pana Jakuba, u przepisywacza nut!?

Zbliżył się do drzwi, żeby usłyszeć coś z prowadzonej za nimi rozmowy. Serce biło mu jak młotem. Słyszał jak książę mówił:

— Chciałbym koniecznie zabrać pana ze sobą dla przedstawienia go Jej Wysokości Małżonce Delfina. Nastaje nowa era dla filozofii, mój drogi filozofie.

— Stokrotne dzięki za łaskawe zaproszenie, ale nie będę mógł towarzyszyć księciu.

— Ależ przed sześciu laty towarzyszyłeś pani Pompadour do Fontainebleau.

— Byłem młodszy o sześć lat. Dziś dolegliwości przykuły mnie do fotela. A poza tym wielki świat nie jest już dla mnie tak interesujący, abym miał się narażać na niewygody.

— Ależ ja zwalniam cię od całego ceremoniału w Saint-Denis i zabieram do la Muette, gdzie będzie po jutrze nocować Jej Królewska Wysokość.

— To Jej Królewska Wysokość przybywa po jutrze do Saint-Denis?

— Z całym swoim orszakiem. Powiadają, że księżna jest bardzo muzykalna — to uczennica Glucka.

Gilbert nie słuchał już dalej. Na słowa: „Po jutrze Jej Królewska Wysokość przybywa z całym swoim orszakiem do Saint-Denis”, pomyślał natychmiast, że po jutrze znajdzie się zaledwie o dwie mile od Andrei. To go oszołomiło. Wydawało mu się z początku, że brak mu powietrza. Pobiegł do okna, by je otworzyć, ale okno było zaryglowane. Rzucił się na krzesło. Ręce mu drżały i zaćmiło mu się w oczach.

Po chwili chciał wstać i dalej podsłuchiwać pod drzwiami.

Może w ten sposób dowiedziałby się czegoś więcej o pannie Andrei. Uświadomił sobie jednak szybko, że podsłuchując staje się podobny do lokaja. La Brie także podsłuchiwał pod drzwiami.

Uczuł potrzebę zajęcia się czymś. Przepisywanie nut mu nie wystarczało. Wziął książkę ze stolika Jakuba.

— Wyznania — czytał z niespodziewaną radością. — Wyznania, dzieło, którego blisko sto stronic przeczytałem z takim zainteresowaniem. Wydanie z portretem autora. — mówił do siebie. — O! Jeszcze nigdy nie widziałem portretu pana Rousseau. Zobaczmy. I szybko odwrócił kartkę cieniutkiego papieru, zakrywającego rycinę, ujrzał portret i krzyknął.

W tej chwili właśnie otworzyły się drzwi i szedł Jakub Gilbert porównał twarz wchodzącego z portretem, który trzymał przed sobą i drżąc upuścił książkę.

— Jestem u Jana Jakuba Rousseau — szepnął.

— Zobaczmy teraz jak przepisałeś nuty — powiedział Jan Jakub z uśmiechem. Zachwył chłopca bardziej go ucieszył niż wszystkie triumfy, jakie kiedykolwiek w życiu odniósł. Przechodząc koło wzruszonego Gilberta, zbliżył się do stołu i rzucił okiem na papier. .

— Nieżle już przepisujesz — rzekł. — Nie pilnujesz jednak marginesów, nie dość zgrabnie łączysz jednym pociągnięciem nuty. O! Patrz! Tu brakuje pauzy. Tak, przyjacielu, istotnie, jesteś u Jana Jakuba Rousseau.

— O panie, proszę mi wybaczyć wszystkie głupstwa jakie mówiłem. Jestem szczęśliwy, że cię poznałem i że mogę być blisko ciebie.

— Dziękuję ci, moje dziecko — odparł Rousseau — lecz to nie dosyć być szczęśliwym. Trzeba pracować. Teraz, kiedy skończyłeś próbę przepisywania nut, weź to pióro i papier nutowy i staraj się przepisać na czysto. Ale jakim sposobem poznałeś...?

Gilbert wskazał na tom Wyznań.

— Panie! Marzyłem zawsze tylko o tym, aby żyć blisko ciebie.

— Nie będziesz żył przy mnie, przyjacielu — rzekł Jakub. — Bo ja nie wychowuję uczniów. Wiesz przecież, że nie jestem tak zamożny, abym przyjmował gości, a tym bardziej, abym ich utrzymywał.

Widząc wzruszenie chłopca Jan Jakub ujął go za rękę.

— Nie rozpaczaj — rzekł. — Od czasu jak cię spotkałem, obserwuję cię, mój chłopcze, i wiem, że jest w tobie wiele dobrego, ale i wiele złego. Siłą woli pokonuj więc złe instynkty. Strzeż się pychy, tego robaka, który toczy filozofię. A teraz przepisuj nuty, póki nie znajdziesz czegoś lepszego.

— Och mój Boże! Mój Boże! — mówił Gilbert. — Nie chce mi się w głowie pomieścić, gdy pomyślę o tym jakie szczęście mnie spotkało!

— Nie spotkało cię nic takiego, co nie byłoby zupełnie proste i naturalne. Uciekałeś, nie wiem skąd. Nie pytałem cię przecież o twą tajemnicę. Uciekałeś przez lasy, gdzie natknąłeś się na człowieka zbierającego zioła, człowiek ten miał chleb, podczas gdy ty go nie miałeś. Podzielił się z tobą chlebem i dał ci schronienie, gdy nie miałeś się gdzie podziać. Człowiek ten musi nosić jakieś nazwisko. Ten człowiek nazywa się Rousseau. Oto i wszystko. A teraz ten człowiek mówi do ciebie:

— Pierwsza zasada filozofii jest następująca: „Człowiek powinien sam sobie dawać radę”. Tak więc, przyjacielu, jeśli przepiszesz te oto nuty, zarobisz na dzisiejsze utrzymanie. Przepisuj więc!

— Och! Jaki pan dobry!

— Co się tyczy noclegu, masz go w potrzebie. Tylko nie czytaj po nocach. Jeśli palisz świecę, niech to będzie twoja, bo inaczej Teresa będzie zrzędzić. Czy jesteś teraz głodny? Z wczorajszej kolacji pozostało dosyć na dzisiejsze śniadanie. To będzie ostatni twój posiłek przy moim stole. Przy ulicy

Plastriére jest stołówka dla robotników. Możesz tam tanio zjeść, bo ja cię tam zarekomenduję. Tymczasem chodźmy na śniadanie.

Gilbert nic nie odpowiedział i poszedł za Jakubem.

Nie wiele zjadłszy, Gilbert wrócił do pracy. Przez cały dzień nie oderwał się od niej, a około ósmej wieczorem, zdołał skończyć przepisywanie czytelnie i czysto czwartej stronicy.

— Nie chcę ci pochlebiać — rzekł Rousseau. — Nie jest to jeszcze zupełnie dobre, lecz przynajmniej jest przepisane czytelnie. Zarobiłeś dziesięć soldów. Proszę!

Gilbert przyjął pieniądze skłoniwszy się.

— Jest chleb w szafie — odezwała się Teresa, na której pilność i staranność Gilberta zrobiły dobre wrażenie. Chłopiec w pierwszej chwili chciał odmówić, ale spojrzawszy na Jana Jakuba pohamował się. Wyraz twarzy gospodarza zdawał się świadczyć, że odmowa taka zrobiłaby mu przykrość. Podziękowawszy więc, wziął chleb i poszedł do swej małej izdebki. W ręku trzymał srebrny pieniądz sześciosoldowy i cztery miedziane soldy, które dostał od Jana Jakuba za przepisywanie.

— Otóż nareszcie — rzekł wchodząc do izdebki — jestem dla siebie panem, chociaż nie, jeszcze nie, bo oto chleb dostałem za darmo.

I choć był głodny, położył chleb na oknie i nie tknął go. Potem, sądząc, że usnąwszy zapomni o głodzie, zgasił świecę. Nazajutrz Gilbert, choć bardzo mało spał tej nocy — już o świcie był na nogach.

Głód mu dokuczał i dwa czy trzy razy zerknął na chleb leżący na oknie, ale mimo silnej pokusy, nie ruszył go.

Umył się, uczesał, oczyścił ubranie i wzięwszy chleb zszedł po schodach.

Zaledwie znalazł się na ulicy oddał przechodzącemu żebrakowi chleb, a następnie wszedł do piekarni kupić pieczywo, zjadł trochę, poszedł do studni na rogu ulicy napił się wody, zjadł resztę chleba, umył ręce i wrócił.

Cały dzień upłynął Gilbertowi na pracy. Przy żmudnym przepisywaniu wykazał wielką staranność i niezmierną pilność. Czego nie rozumiał, to odgadywał. Ręka, prowadzona żelazną wolą, pracowała szybko, bez błędu. Pod wieczór miał już siedem kartek przepisanych bez zarzutu. Zarobił dwadzieścia kilka soldów.

Rousseau zdumiewał się widząc siłę woli tego osiemnastoletniego chłopaka, odgadywał w jego sercu jakąś namiętność, choć nie wiedział jeszcze, czy to jest dumna chęć wybicia się czy miłość.

Gilbert spojrzął na pieniądze, które otrzymał i rzekł:

— Pan jest moim dobroczyńcą, bo od pana dostałem płatne zajęcie i bezpłatne mieszkanie. Sądzę, że mógłby pan o mnie źle myśleć, gdybym nie wyjawiał mu moich zamiarów.

Rousseau spojrzął na niego niechętnie.

— A jakie to twoje zamiary? Czy masz jakieś projekty na jutro?

— Tak panie, jutro, jeśli pan pozwoli, chciałbym pójść do Saint-Denis.

— A! Prawda. Jutro odbędą się tam wielkie uroczystości. Myślałem jednak, że nie interesują cię te sprawy. Spójrz na mnie, z którego jak powiadasz bierzesz wzór. Wczoraj książę z królewskiego rodu przychodził mnie prosić, abym się udał z nim na przywitanie królewskiego dworu. Ty biedny chłopcze, wspinać się będziesz musiał na palcach, aby przez ramię żołnierza z gwardii francuskiej, dojrzeć królewską karetę. Mnie chciano przedstawić książętom, byłbym zaszczycony uśmiechem księżniczek. Ja jednak nie przyjąłem tych zaprosin.

— Panie — rzekł Gilbert — jesteś filozofem, ja zaś nim nie jestem.

— Powiedz więc przynajmniej co będziesz robił w Saint-Denis?

— Panie, pozwól mi na dyskrecję...

Rousseau zrozumiał, że jakaś tajemnica kryje się w tym uporze.

— Ha, skoro masz jakiś ważny powód, to co innego.

— Mam powód. Bardzo ważny. Ale przysięgam, że nie ma on nic wspólnego z ciekawością, z chęcią zobaczenia widowiska.

— Zgoda, przyjacielu. Uprzedzam cię tylko, że gdy ty zachwycać się będziesz uroczystościami, ja będę przeglądał swoje zielniki.

— A czy pan nie pozostawiłby wszystkich zielników w spokoju, aby ujrzeć panią Galley i ofiarować jej bukiet kwiatów?

— Rozumiem — rzekł Rousseau. — Idź do Saint-Denis, moje dziecko.

Gdy Gilbert wyszedł, Rousseau zamykając za nim drzwi powiedział:

— Nie! To nie pełna próżności chęć wybicia się. To miłość.

XLVII. ŻONA CZARNOKSIĘŻNIKA

W tym samym czasie, kiedy Gilbert jadł na poddaszu chleb maczany w świeżej wodzie i kiedy wchłaniał w płuca powietrze sąsiednich ogrodów, w tym właśnie czasie jakaś, wykwinnie lecz z cudzoziemska ubrana dama zasłonięta długim welonem, przejechała galopem na wspaniałym arabie, drogą wiodącą do Saint-Denis. Dama ta zatrzymała się przed klasztorem karmelitek w Saint-Denis, zsiadła z konia i zaczęła natarczywie stukać do furty.

Rumak rżał tymczasem i uderzał niecierpliwie o ziemię kopytem.

Kilku mieszczan przystanęło w zaciekawieniu ujrawszy nieznaną.

— Czego pani sobie życzy? — zapytał jeden z mieszczan.

— Widzi pan przecież — odpowiedziała z włoskim akcentem — że chciałabym dostać się do klasztoru.

— To na nic, proszę pani. Ta furta otwiera się tylko jeden raz dziennie dla ubogich, a godzina na to przeznaczona już dawno minęła.

— Co należy uczynić, aby można było zobaczyć się z przełożoną? — zapytała dama.

— Zakolatać do furki znajdującej się przy końcu tego muru, lub zadzwonić u wielkiej bramy.

— Czy pani wie — powiedział inny — że teraz przełożoną jest Jej Królewska Wysokość królowna Ludwika?

— Wiem, dziękuję.

— Przebóg! Piękny koń — zawołał dragon pułku królowej, przypatrując się rumakowi cudzoziemki. — Czy wiecie, że jeśli ten koń jest jeszcze dość młody, wart jest pięćset luidorów, tak samo jak mój wart jest sto pistolów.

Słowa te uczyniły wielkie wrażenie na obecnych.

W tej chwili jakiś kanonik, który w przeciwieństwie do dragona, przypatrywał się nieznanemu nie zwracając najmniejszej uwagi na konia — przecisnął się przez ciżbę i otworzył furkę.

— Wejdz, pani, i wprowadz z sobą konia — rzekł. Dama znalazła się na obszernym dziedzińcu. Koń zaczął

tak głośno bić kopytami o bruk, że siostra furtianka wybiegła z głębi klasztoru.

— Czego pani sobie życzy? — zawołała.

— Jeśli to możliwe chciałabym zobaczyć się z matką przełożoną.

— Matka przełożona nie przyjmuje dzisiaj nikogo.

— Siostro moja! — powiedziała łagodnie nieznaną — przybywam z daleka, przybywam z Rzymu. Zrobiłam konno sześćdziesiąt mil, upadam ze znużenia.

— Cóż jestem temu winna? Otrzymałam wyraźny rozkaz i muszę się do niego zastosować.

— Siostro, mam do zakomunikowania ksieni wiadomości najwyższej wagi.

— Jeśli tak jest... zobaczę... spróbuję...

— Raczcie, siostro, powiedziec Jej Wysokości — dodała cudzoziemka — że przybywam wprost z Rzymu, że zatrzymywałam się tylko na popasach w Moguncji i Strasburgu, że od czterech dni odpoczywałam tylko tyle ile to było konieczne dla nabrania sił, aby się utrzymać na koniu...

— Powtórzę wszystko Jej Wysokości. Furtianka rzekłszy to oddaliła się. Powróciła wkrótce w towarzystwie zakonnicy.

— Jej Przewielebność oświadczyła — odezwała się zakonnica — że nie może w żaden sposób udzielić dziś posłuchania, ale nie odmawia pani bynajmniej gościnności, skoro jej pani potrzebuje. Racz pani wejść, a jeżeli rzeczywiście odbyłaś podróż tak długą, racz położyć się zaraz do łóżka.

— Ale co zrobię z moim koniem?

— Niech pani będzie o niego spokojna. Będzie miał dobrą opiekę.

— Zaprowadz panią do jej pokoju! — odezwała się zakonnica do furtianki.

— Chciałabym nie do pokoju, lecz do kościoła. Nie snu potrzebuję, lecz modlitwy! — powiedziała nieznaną.

— Kaplica będzie dla ciebie otwarta, siostró moja — rzekła zakonnica, wskazując małe drzwiczki wiodące do kościoła.

— A kiedy zobaczę się z przełożoną? — spytała cudzoziemka.

— Jutro. Ale dopiero wieczorem — odparła zakonnica — gdyż jutro rano następczyni tronu zaszczyca nasz zakon swymi odwiedzinami.

— A tymczasem — rzekła nieznajoma rozglądając się dokoła siebie z wyraźnym lękiem — nim będę mogła widzieć się z dostojną przełożoną, czy znajdę tu ochronę przed niebezpieczeństwem, które mi grozi?

— Tak, siostró, bez wątplenia. Dom nasz jest schronieniem nawet dla występnych, a tym bardziej dla...

— Uciekających — rzekła nieznajoma.

— Bez zezwolenia nikt tu nie wejdzie — dodała zakonnica.

— Och! A jeżeli on otrzyma to zezwolenie, mój Boże, mój Boże — zawołała cudzoziemka — on, który jest tak potężny, że jego potęga niekiedy mnie przeraża.

— Kto to jest ten on? — spytała zakonnica.

— Nikt, nikt. Widzisz siostró, ścigają mnie. Chodźmy prędzej do kościoła. Chcę się modlić, aby Bóg oddalił ode mnie tych, którzy mnie prześladują — zawołała nieznajoma wchodząc przez drzwi, które wskazała jej zakonnica i zamykając je za sobą.

Zakonnica, ciekawska jak każda siostra zakonna, obeszła kościół i weszła do niego przez wielkie drzwi, a zbliżywszy się cicho do ołtarza, ujrzała u jego stopni nieznajomą kobietę, która upadła na twarz modliła się i płakała.

XLVIII. MIESZCZANIE PARYSCY

Kapituła klasztoru w Saint-Denis zebrała się w celu przygotowania jak najświetniejszego powitania i ugoszczenia następczyni tronu.

Po odbytej naradzie przełożona klasztoru królowa Ludwika wysłała posłańca do Wersalu i tej jeszcze nocy przybył wóz naładowany kobiercami, koronkami i innymi ozdobami.

Więść o mającej nastąpić uroczystości obudziła niepohamowaną ciekawość paryżan.

Począwszy od świtu, na trasie, jaką miał przebyć orszak następczyni tronu, snuli się paryżanie dziesiątkami, setkami, tysiącami.

Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie czerniły się głowy ludzkie.

Wynajęte karety, omnibusy kursujące do Saint-Denis, ciągnione przez konie idące wolnym truchtem — wiozły tłumy mieszczan, a w każdym z takich omnibusów dusiło się po dwadzieścia pięć osób, które przybywały na miejsce znacznie później, niż gdyby szły piechotą.

Gwardia francuska, Szwajcarzy, pułki stacjonowane w Saint-Denis, uszykowane teraz w szeregi tamowały napór tłumy przed bazyliką.

Mężczyźni, kobiety, dzieci pojawiali się w oknach i na dachach domów. Widać ich było uczepionych wśród gałęzi przydrożnych drzew, a nawet wśród rzeźb kościelnego portalu.

Wyobraźmy sobie pośród tego tłumy Gilberta, osamotnionego niezdecydowanego, nie znającego miejscowości, a w dodatku zbyt dumnego, aby pytać o cokolwiek, gdyż odkąd znalazł się w Paryżu chciał, by go uważano za paryżanina.

Szedł więc nie wiedząc dokąd, tam gdzie szły tłumy.

Wreszcie usłyszawszy przypadkiem, że wkrótce na drodze pojawią się karety królewskie, wycofał się z tłumy.

Zdjął kapelusz, rozesłał chustkę na trawie i usiadł. Obok niego siedziała rodzina mieszczańska. Byli tu: matka, ojciec, córka, ciotka i służąca.

Gilbert nie zwracał najmniejszej uwagi na sąsiadów, ale za to oni się nim zajęli.

— Panie — zwróciła się matka do Gilberta, z poufałością spotykaną tylko u paryżan — czy nie wie pan jak daleko są karety królewskie?

— Nie wiem, proszę pani — odpowiedział Gilbert — słyszałem tylko, że widziano tuman kurzu o ćwierć mili stąd.

— Niech się pan do nas zbliży — rzekł mieszczanin — i jeżeli wola i łaska...

Wskazał apetyczne śniadanie rozłożone na trawie.

— Dziękuję, panie — rzekł Gilbert — bardzo dziękuję, ale jestem już po śniadaniu.

— Oho! — odezwała się mieszcanka — jest pan przewidujący, lecz z tego miejsca nic pan nie zobaczy.

— Państwo również nic nie zobaczycie — odrzekł Gilbert z uśmiechem — skoro jesteście tu gdzie i ja.

— No, my — powiedziała kobieta — to co innego. My mamy synowca sierżanta gwardii francuskiej, a dziś rano jego oddział stać będzie pod „Błękitnym pawiem”, gdzie obiecał nas umieścić. Będziemy mieli tam ławkę i wszystko doskonale zobaczymy.

Gilbert zaczerwienił się po same uszy. Nie śmiał zasiać do posiłku tych pocziwych ludzi, ale pragnął ogromnie pójść razem z nimi.

— Jeśli pan sobie tego życzy, to może pan pójść z nami — dodała matka, jakby odgadując myśli Gilberta.

— Nie chciałbym państwu przeszkadzać — odpowiedział chłopiec.

— Przeciwnie — rzekła kobieta. — Bardzo byłoby nam na rękę pańskie towarzystwo. Mamy jednego tylko mężczyznę dla opieki, a miałybyśmy dwóch.

Ten argument trafił do przekonania Gilbertowi. Przyjął zaproszenie.

Ruszone. Ojciec prowadził siostrę i córkę, służąca szła na końcu, niosąc kosz w rękę.

Krok za krokiem przebyto około pięciuset sążni od miejsca, gdzie spożyto śniadanie. Dotarto wreszcie do szpaleru groźnych francuskich gwardzistów, wśród których mieszczanin spostrzegł o dwadzieścia kroków od siebie synowca żony, podkreślającego wąsa. Mieszczanin zaczął machać kapeluszem dopóty, aż to spostrzegł nareszcie jego synowiec. Podszedł do niego, a następnie poprosił swych towarzyszy, żeby się trochę rozstapili dla przepuszczenia całego towarzystwa.

Natychmiast przez tę szparę wśliznęli się Gilbert i mieszcanka, mieszczanin, jego siostra i córka, a na koniec służąca.

Przedostawszy się przez szpaler gwardzistów Gilbert zrozumiał, że jest już na miejscu. Podziękował więc mieszczaninowi, a ten jemu. Matka próbowała go zatrzymać, ciotka dawała do zrozumienia, że powinien odejść. Rozstali się więc, żeby już więcej się nie zobaczyć.

W ten sposób Gilbert znalazł się na dogodnym miejscu do oglądania przebiegu uroczystości. Wszedł na kamień znajdujący się pod grubą lipą i oparłszy się o drzewo — czekał.

Minęło około pół godziny, gdy rozległ się werbel bębnowy, zagrzmiały działa i majestatyczny głos dzwonu kościelnego wstrząsnął powietrzem.

XLIX. KARETY KRÓLEWSKIE

Przytłumiony oddaleniem gwar wzrastał się z każdą chwilą. Gilbert wsłuchiwał się bacznie i drżał z niepokoju. Krzyczano: Niech żyje król! Taki był wówczas zwyczaj.

Wielka liczba koni, okrytych złotem i purpurą — pędziła szosą. Widać było na nich muszkieterów, żandarmów i konnych Szwajcarów.

Następnie ukazała się przepyszna, ogromna kareta.

Gilbert ujrzał niebieską wstęgą i majestatyczną głowę nakrytą kapeluszem. Spostrzegł zimny i przejmujący blask królewskiego wzroku, przed którym chyliły się i odkrywały wszystkie głowy.

Gilbert nieruchomy, olśniony, upojony, zapomniał zdjąć kapelusz.

Silne uderzenie zbudziło go z zachwytu. Jego kapelusz potoczył się po ziemi.

Skoczył, podniósł kapelusz, obrócił się i poznał synowca mieszczanina, przypatrującego mu się z drwiącym uśmiechem, tak charakterystycznym u wojskowych.

— Cóż u diabła! Czy nie zdejmujesz się kapelusza przed królem?

Gilbert zbladł. Rzucił wzrokiem na zakurzony kapelusz i odrzekł:

— Pierwszy raz widzę króla i zapomniałem mu się uklonić. Tak, to prawda. Lecz nie wiedziałem, że...

— Nie wiedział pan? — krzyknął sierżant, marszcząc brwi. Gilbert przeląkł się, żeby go nie usunięto z miejsca, skąd tak dobrze mógł widzieć Andreę. Miłość przepelniająca jego serce zwyciężyła dumę.

— Wybacz pan — rzekł — jestem z prowincji.

— Acha! To do Paryża przybyłeś na edukację, przyjacielu?

— Tak, panie — mruknął Gilbert, tłumiąc w sobie wściekłość.

— Więc skoro chcesz tu nabyć ogłady — podchwycił sierżant, wstrzymując rękę Gilberta, który chciał włożyć znów kapelusz na głowę — to naucz się, że trzeba się kłaniać następczyni tronu tak jak królowi, księżętom krwi tak jak następczyni tronu, wreszcie trzeba się kłaniać wszystkim pojazdom, na których widać lilie. Czy znasz kwiat lilii, mój mały, czy też trzeba ci go pokazać?

— Nie potrzeba, proszę pana, znam go.

— To bardzo szczęśliwie — mruknął sierżant. Królewskie karety przemknęły właśnie drogą.

Szereg innych karet przejeżdżało dalej. Gilbert z osłupieniem wpatrywał się coraz bardziej natarczywie w nadjeżdżające pojazdy. Karety kolejno zatrzymywały się naprzeciw bramy klasztornej. Wsiadali z nich panowie, co wstrzymywało chwilowo ruch na całej linii.

Nagle, na widok jednego z pojazdów, Gilbert uczuł ścisnięcie serca. Zaćmiło mu się w oczach. Wrażenie było tak silne, że chłopiec musiał się ucześcić gałęzi, żeby nie upaść.

Nie dalej jak dziesięć kroków przed nim, w jednym z pojazdów ozdobionych liliami, przed którymi sierżant kazał mu się kłaniać, zobaczył uroczą, promienną postać Andrei, która w białej sukni wyglądała jak zjawa nieziemska, lub anioł.

Wyrwał mu się z piersi okrzyk, lecz opanowawszy wzruszenie siłą woli nakazał sobie spokój.

Andrea, chcąc się przekonać dlaczego zatrzymały się pojazdy, wychyliła się z powozu, spostrzegła Gilberta i poznała go.

Gilbert domyślał się, że Andrea zdziwiona jego widokiem, zwróci się do siedzącego obok niej w karecie ojca, aby mu o nim powiedzieć.

Nie mylił się. Andrea powiedziała coś do barona Taverneya, który przybrany w wielką czerwoną wstęgę siedział majestatycznie w królewskim pojeździe.

— Gilbert! — zawołał baron, jakby nagle zbudzony. — Gilbert tutaj. A kóż tam będzie pilnował Mahona?

— Gilbert usłyszawszy to, ukłonił się z wymuszonym szacunkiem Andrei i jej ojcu. Tylko najwyższym wysiłkiem woli zdobył się na ten ukłon.

— Tak, to naprawdę on! — zawołał powtórnie baron, zoczywszy naszego filozofa. — Tak, to ten hultaj we własnej osobie. Myśl, że Gilbert jest w Paryżu wydawała mu się tak nieprawdopodobna, że nie mogąc dowierzać oczom córki, z trudnością uwierzył własnym.

Tymczasem twarz Andrei, którą Gilbert obserwował z najwyższym napięciem, po chwili przelotnego zdziwienia, przybrała wyraz zupełnego spokoju i obojętności.

Baron, wychyliwszy się z karety, skinął na Gilberta.

Gilbert chciał zaraz podejść, lecz powstrzymał go sierżant.

— Widzi pan, że mnie wołają — rzekł. — Z tego pojazdu. Spojrzenie sierżanta pobiegło w kierunku wskazanym przez

chłopca i zatrzymało się na karecie pana de Taverneya.

— Pozwól, sierżancie — odezwał się baron — chciałbym powiedzieć temu chłopcu tylko dwa słowa.

— Choćby cztery, proszę pana — rzekł sierżant — czasu jest dość. Czytają mowę powitalną w przedsiönku. Ma pan dobre pół godziny czasu. Przechodź młodzieńcze!

— Pójdź tu, hultaju — zawołał baron do Gilberta, zbliżającego się bez pośpiechu. — Powiedz mi jakim cudem znajdujesz się w Saint-Denis, gdy powinienes być w Taverney?

Gilbert ukłonił się po raz drugi Andrei i baronowi. Odpowiedział:

— Żaden cud mnie tu nie sprowadził, lecz moja własna wola.

— Jak to, twoja wola, hultaju! Czyżbyś ty miał przypadkiem własną wolę?

— A to czemu nie? Każdy wolny człowiek ma do niej pełne prawo.

— Każdy wolny człowiek. To ty się uważasz za wolnego, trutniu?

— Ma się rozumieć, skoro nikomu nie sprzedałem swojej wolności.

— A to, słowo daję, pocieszny okaz — wykrzyknął pan de Taverney, zdumiony powagą, z jaką się odezwał Gilbert. — Co? Ty w Paryżu!? A powiedz mi jakieś tu przybył...

— Pieszol!... — odparł krótko Gilbert.

— Piesz! — powtórzyła Andrea z politowaniem.

— A powiedz-no mi — odezwał się znów baron — po coś przybył do Paryża?

— Przede wszystkim dla zdobycia wykształcenia, następnie dla zdobycia stanowiska.

— Dla wykształcenia...?

— Tak sobie postanowiłem.

— Dla stanowiska?

— Mam nadzieję.

— A cóż tymczasem robisz? Żebrzesz?

— Ja... żebrac...? — odparł dumnie Gilbert.

— Więc kradniesz?

— Panie — zawołał porywczo Gilbert z akcentem dumy i stanowczości w głosie, co przez chwilę zwróciło uwagę panny de Taverney na młodzieńca — czy ja co kiedykolwiek ukradłem u pana?

— Cóż więc robisz, próżniaku?

— To co robi człowiek genialny, do którego chciałbym być podobny, choć tylko przez moją wytrwałość — odrzekł Gilbert. — Przepisuję nuty.

Andrea zwróciła się do niego:

— Przepisujesz nuty?

— Tak jest, proszę pani.

— Skądże ty to potrafisz?... — dodała pogardliwie i takim tonem, jak gdyby chciała powiedzieć: „kłamiesz”.

— Znam nuty, a to wystarcza, aby je przepisywać — odrzekł Gilbert.

— A gdzieżeś się ich nauczył, trutniu? — spytał baron.

— Tak, gdzie? — dodała Andrea.

— Panie baronie, namiętnie lubię muzykę, a gdy córka pańska grała na klawikordzie godzinę lub dwie ja wtedy, ukryty, słuchałem.

— A to wałkoń! — mruknął baron.

— Najpierw wryła mi się w pamięć melodia, a że była ona zapisana w nutach, więc powoli, usilną pracą nauczyłem się czytać nuty.

— Z moich nut? — zawołała Andrea w najwyższym oburzeniu. — Jak to? Ośmieliłeś się ruszać moje nuty?

— Nie, pani. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił — odrzekł Gilbert — ale nuty leżały na klawikordzie. Nie dotykałem ich, próbowałem tylko odczytać. Moje oczy nie mogły tych kartek zabrudzić.

— No — wtrącił baron — ten nicpoń zechce jeszcze w nas wmówić, że gra na klawikordzie jak Haydn.

— Może nauczyłbym się grać — rzekł Gilbert — gdybym się odważył dotknąć klawiszy,

Andrea mimo woli spojrziała na jego twarz, wyrażającą bezmiar uczucia, a przypominającą twarz fanatyka marzącego o bohaterskim poświęceniu.

Baron jednak, nie posiadając tyle rozsądku i rozwagi co córka, wybuchnął gniewem na myśl, że ten młokos miał słuszność i że nieludzkim postępkiem było zostawiać go samego w Taverney jedynie w towarzystwie Mahona.

A trudno się przebacza podwładnemu, jeżeli może nam on dowieść swej krzywdy. Toteż baron zapalał się coraz więcej, gdy córka coraz bardziej się uspokajała.

— A rozbójniku — krzyczał — uciekasz, włóczysz się, a gdy żądam wytłumaczenia się z twego postępowania, wykręcasz się niedorzecznymi bajdami. Ale ja nie ścierpię, żeby z mojej winy po ziemiach królewskich wałęsali się oszuści i Cyganie.

Andrea usiłowała uspokoić ojca. Czuli, że przesada nie licuje z poczuciem wyższości.

— Polecę cię opiece pana de Sartines i zamkną cię w Bicetre, ty filozoficzne ladaco! — krzyczał dalej baron.

Gilbert blady ze złości cofnął się o krok i wcisnął na głowę kapelusz.

— Dowiedz się panie baronie — odrzekł — że odkąd jestem w Paryżu, znalazłem opiekunów, u których pański pan Sartines musiałby wyczekiwać w przedpokoju.

— A! Dobryś — wrzasnął baron — dobrze, nie boisz się Bicetre, zobaczymy. Andreo, Andreo! Zawołaj Filipa, który jest niedaleko.

Andrea nachyliła się do Gilberta i rzekła rozkazująco:

— Odejdź pan, Gilbercie!

— Filipie! Filipie! — wołał starzec.

— Odejdź pan — powtórzyła Andrea młodzieńcowi, który nadal stał nieruchomo, jakby go zachwył, z którym patrzył na nią, przykuł do ziemi.

Na wołanie barona jeździec zbliżył się do drzwi karety. Był to Filip de Taverney w mundurze kapitana. Młody człowiek był wesół i wyglądał dziarsko.

— A Gilbert! — odezwał się dobrodusznie, posiawszy młodzieńca. — Ty tutaj? Dzień dobry, Gilbercie... Czego ojciec życzy sobie...?

— Dzień dobry, panie Filipie! — odpowiedział młodzieniec.

— Czego sobie życzę — wykrzyknął baron błądzący z wściekłości. — Życzę sobie, żebyś porządnie wyplazował tego trutnia.

— A cóż on zrobił? — zapytał Filip patrząc z coraz większym zdziwieniem na wściekłość barona i lodowatą obojętność Gilberta.

— Co zrobił! Co zrobił! — wrzasnął baron. — Tłucz Filipie, tłucz go jak psa.

Taverney zwrócił się do siostry:

— Cóż on takiego uczynił, Andreo? Czyżby ci czym ubliżył?

— Ja? — krzyknął Gilbert.

— Nie, nie, Filipie — odpowiedziała Andrea — nic, nic nie zrobił. Ojciec zapomniał się w uniesieniu. Pan Gilbert nie jest już u nas w służbie, ma więc wszelkie prawo iść dokąd mu się podoba.. Ale ojciec nie chce tego zrozumieć i rozgniewał się, gdy go tu zobaczył.

— I to już wszystko? — spytał Filip.

— Tak jest, mój bracie, i nie pojmuję nawet oburzenia pana de Taverney, tym bardziej że cała sprawa i ten kogo ona dotyczy nie zasługują nawet na chwilę uwagi. Zobacz, Filipie, czy prędko będziemy mogli jechać.

Baron zamilkł, obezwładniony iście królewskim spokojem swej córki.

Gilbert zwiesił głowę zmiażdżony okazaną mu pogardą.

Serce jego zawrzało na chwilę niemal nienawiścią. Czuł, że mniej bolesnym od tego co go spotkało byłoby śmiertelne pchnięcie szpady Filipa lub nawet krwawe uderzenie jego bata.

O mało nie zemdlął.

Na szczęście w tej chwili rozmowa się skończyła. Karety ruszyły z miejsca.

Pojazd barona oddalał się z wolna, inne podążyły za nim. Andrea znikła jak sen.

Gilbert o mało nie zapłakał, niezdolny, jak mu się to przynajmniej zdawało, do tego, aby znieść swe nieszczęście.

Wtem poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu.

Odwrócił się i ujrzał uśmiechniętego Filipa, który zsiadł z konia i kazał go potrzymać żołnierzowi ze swego pułku.

— Powiedz mi, mój biedny Gilbercie, jak to się stało, że jesteś w Paryżu?

Głos ten szczery i życzliwy wzruszył młodzieńca.

— O! Panie! — odrzekł z westchnieniem. — Cóż ja robiłbym w Taverney? Byłbym tam umarł z rozpaczny, nieuctwa i głodu.

Filip drgnął. Będąc zdolny do bezstronnego sądu zrozumiał jak bardzo Gilbert miał rację twierdząc, że nie mógł "pozostać w Taverney, opuszczony przez wszystkich.

— A maszże ty nadzieję, mój biedny chłopcze, że ci się uda w Paryżu zdobyć stanowisko, bez pieniędzy, bez poparcia, słowem bez żadnych środków do życia?

— Mam, panie, tę nadzieję. Bo człowiek, który chce pracować rzadko umiera z głodu tam gdzie są ludzie, którzy pragną nic nie robić.

Filip drgnął na tę odpowiedź. Uważał dotąd Gilberta zawsze za bezmyślnego sługę.

— A czy masz co. jeść? — zapytał.

— Zarabiam na chleb, panie Filipie. Więcej zaś nie potrzeba temu, który ciągle sobie wyrzucał, że się żywił chlebem, którego nie zarobił.

— Spodziewam się, moje dziecko, że nie robisz aluzji do pobytu w Taverney? Twój ojciec i twoja matka byli poczywymi sługami zamku, a i ty sam zawsze byłeś chętny do usług.

— Wykonywałem tylko swój obowiązek.

— Słuchaj Gilbercie — ciągnął dalej kapitan — wiesz dobrze, że cię zawsze lubiłem i obchodziłem się z tobą inaczej niż z innymi. Czy słusznie? Przyszłość to okaże. Twoja dzikość wydawała mi się nieśmiałością, a twoja szorstkość — dumą.

— O! Panie baronie — rzekł Gilbert z westchnieniem.

— Zawsze ci dobrze życzę, Gilbercie.

— Dziękuję panu.

— Byłem jak ty młody, jak ty nieszczęśliwy, dlatego też zapewne rozumiem cię. Wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście, więc pozwól mi Gilbercie, dopomóc ci, nim szczęście z kolei uśmiechnie się do ciebie.

— O! Dziękuję ci panie.

— Cóż tedy zamýślasz? Jesteś zbyt dziki, żeby pójść na służbę.

Gilbert potrząsnął głową uśmiechając się pogardliwie.

— Chcę się uczyć — rzekł.

— Tak, ale żeby się uczyć trzeba nauczycieli, a na nauczycieli trzeba pieniędzy.

— Ja też zarabiam, proszę pana. Zarabiam dziennie dwadzieścia pięć soldów, a mogę zarobić trzydzieści, nawet czterdzieści.

— Lecz to przecież wystarczy za ledwie na życie. Gilbert uśmiechnął się.

— Może ja w niewłaściwy sposób ofiarowuję ci moją pomoc? Czyżby cię to upokarzało?

Gilbert nie odpowiedział.

— Ludzie powinni sobie nawzajem pomagać, powiedział Maison-Rouge. Czyż nie są braćmi? — mówił dalej oficer.

Gilbert podniósł głowę. Jego pełne wyrazu, myślące oczy, patrzyły wprost w szlachetną twarz kapitana.

— Czy to co ci mówię wydaje ci się dziwne? — zagadnął Filip.

— Nie, panie — odrzekł Gilbert — to głos filozofa. Lecz nie zdarzyło mi się go słyszeć z ust ludzi należących do pańskiego stanu.

— Masz słusność. A jednak to jest głos naszego pokolenia. Nawet następca tronu wyznaje te zasady. No! Nie bądź dumny wobec mnie — mówił dalej Filip — co ci teraz pożyczę, zwrócisz mi później. Kto wie czy kiedyś nie zostaniesz drugim Colbertem albo Vaubanem.

— Albo Tronchinem — odrzekł Gilbert.

— Niech i tak będzie. Oto moja sakiewka, podzielmy się.

— Dziękuję panu — odparł nieugięty młodzieniec wzruszony ofiarną życzliwością Filipa. — Dziękuję, nie potrzebuję niczego, ale... ale zarycam panu, czuję jeszcze większą dla pana wdzięczność, niż gdybym przyjął pańską łaskę.

Po czym skłoniwszy się zdumionemu Filipowi oddalił się szybko i zniknął w tłumie.

Młody kapitan poczekał jeszcze chwilę, nie wierząc własnym oczom i uszom, a widząc, że Gilbert nie wraca, dosiadł konia i udał się na swe służbowe stanowisko.

L. OPĘTANA

Turkot licznych pojazdów, odgłosy bijących z całą mocą dzwonów, huczne warczenie bębnow, cała ta wspaniałość, będąca niejako odblaskiem wspaniałości świata, którego się wyrzekła, przepłynęła obok niej nie zapadając w jej sercu i przebrzmiała pod murami jej celi.

Kiedy odjechał król, który i władzą ojcowską i królewską, uśmiechem i prośbami podobnymi do rozkazów, daremnie usiłował powrócić światu swą córkę, kiedy następczyni tronu zachwycona wielkością duszy swej dostojnej ciotki oddaliła się z całą chmarą dworzan, przełożona karmelitek kazała pozdejmować makaty, powynosić kwiaty i pousuwać koronki.

Nie czuła się bynajmniej wzruszona, gdy ciężkie wrota klasztorne, na chwilę otwarte dla świata, zgrzytnęły hałaśliwie i znów oddzieliły życie klasztorne od świata.

Następnie przywołała skarbniczkę.

— Czy podczas tego dwudniowego zamętu — zapytała — ubodzy dostali swoje zwykłe wsparcie?

— Dostali, proszę matki przełożonej.

— A chorych czy nawiedzano jak zwykle?

— Nawiedzano, proszę matki przełożonej.

— Czy odprawiono żołnierzy posiliwszy ich przedtem?

— Wszyscy otrzymali chleb i wino, które matka przełożona przygotować kazała.

— Niczego więc w klasztorze nie zaniedbano?

— Niczego.

Księżna Ludwika zbliżyła się do okna, wdychając z przyjemnością świeżą woń ogrodów, jaka napełniała powietrze w godzinach wieczoru.

Skarbniczka czekała z uszanowaniem, dopóki dostojna przełożona nie odprawi jej, lub nie da jakiego zlecenia.

Bóg jeden tylko wiedział, o czym myślała w tej chwili przeorysza. Obrywała ona róże sięgające wysoko, aż do jej okna i jaśminy przytykające do murów jej celi.

Wtem odezwało się silne uderzenie kopyt końskich w drzwi stajenne. Przestraszyło to przełożoną.

— Któż to z orszaku królewskiego pozostał w Saint-Denis? — zapytała księżna Ludwika.

— Jego Eminencja kardynał Rohan.

— Czy jego konie są tutaj?

— Nie, matko przełożona, są w opactwie, gdzie i Jego Eminencja będzie nocował.

— Skądże więc ten hałas?

— Ten łoskot spowodował koń cudzoziemki.

— Jakiej cudzoziemki? — zapytała księżna Ludwika, usiłując sobie przypomnieć.

— Tej Włoszki, która prosiła wczoraj Waszą Wysokość o gościnność.

— Ach! Prawda! Gdzie ona jest?

— W swojej celi, albo w kościele.

— Cóż porabiała od wczoraj?

— Od wczoraj, prócz chleba, nic jeść nie chciała, a całą noc modliła się w kaplicy.

— Jakaś wielka grzesznica, zapewne — odezwała się przełożona marszcząc brwi.

— Nic nie wiem. Nie mówiła z nikim.

— Jak ona wygląda?

— Piękna, o wyrazie twarzy łagodnym, a jednocześnie dumnym.

— A gdzie się znajdowała podczas dzisiejszej uroczystości?

— W swoim pokoju przy oknie. Widziałam, kiedy ukryta za firankami przyglądała się każdemu wzrokiem tak zatruwionym, jak gdyby obawiała się, że w każdym może ujrzeć wroga.

— Widocznie to jakaś kobieta z tego nieszczęsnego świata, w którym żyłam, w którym panowałam. Niechaj tu przyjdzie.

Skarbniczka zwróciła się ku wyjściu.

— A jakże się nazywa? — zapytała jeszcze księżniczka.

— Lorenza Feliciani.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku — wyrzekła księżniczka w zamyśleniu. — Mniejsza o to, niech ta niewiasta tu przyjdzie.

Przeorysza zasiadła w starym, dębowym fotelu. Fotel ten rzeźbiony za panowania Henryka II służył dziewięciu ostatnim przeoryszom karmelitanek. Był to groźny trybunał, przed którym drżała niejedna nowicjuszka.

W chwilę potem skarbniczka wprowadziła znaną nam już cudzoziemkę, okrytą długą zasłoną.

Księżna Ludwika miała wzrok bystry, właściwy jej rodzinie; wzrok ten utkwiała w Lorenzie Feliciani skoro tylko ta weszła, ale dojrzała w cudzoziemce tyle pokory, tyle wdzięku połączonego z urodą,

wreszcie tyle niewinności w jej czarnych, wielkich oczach wilgotnych od łez, że usposobienie przeoryszy.

dla nieznamyjomej, zrazu niechętne, zmieniło się w przyjazne i siostrzane.

— Niech się pani zbliży — wyrzekła księżniczka. Młoda kobieta, drżąc, postąpiła jeden krok i padła na kolana.

Księżniczka ją podniosła.

— Pani nazywasz się Lorenza Feliciani?

— Tak jest, królewno.

— I pani pragnie powierzyć mi tajemnicę?

— O! Pragnę tego z całej duszy.

— Lecz czemu pani nie zwróci się do trybunału pokuty?... Ja mogę tylko pocieszać, ksiądz pociesza i przebacza.

Księżna Ludwika wyrzekła ostatnie słowa z pewnym wahaniem.

— Potrzebuję tylko pociechy — odpowiedziała Lorenza — a zresztą tylko przed kobietą mogę się zwierzyć z tym co mam do powiedzenia.

— Więc to ma być jakieś szczególne zwierzenie?

— Tak, bardzo dziwne. Lecz racz mnie, księżno, cierpliwie wysłuchać. To co mam do powiedzenia tobie tylko jednej mogę powiedzieć, ponieważ jesteś kobietą i ponadto kobietą, która ma wielką władzę, a ja potrzebuję niemal ręki boskiej, ażeby mogła mnie obronić.

— Pani bronić? Czy panią ścigają? Czy panią napastują?

— O! Tak pani, tak. Ścigają mnie! — wykrzyknęła cudzoziemka z nieopisaną trwożą.

— W takim razie winnam zwrócić uwagę pani — odrzekła księżna — że ten dom jest klasztorem, a nie twierdzą, że wszystko to, co roznamiętnia ludzi, wchodzi tylko tu po to, żeby zaraz przygasnąć, że nie ma tu żadnych środków obrony przeciw ludziom. Nie jest to dom sądu, siły i ucisku. Jest to po prostu dom boży.

— Och! Właśnie, właśnie tego szukam — rzekła Lorenza. Tak, to dom boży, a tylko w domu bożym mogę żyć spokojnie.

— Lecz Bóg nie pozwala na zemstę. Jakżeż pani chcesz, abyśmy się mścili na wrogach pani? Po to odwołaj się pani do władz.

— Władze są bezsilne wobec tego, którego się obawiam.

— Kimże więc on jest? — zapytała przeorysza z mimowolną i tajemną obawą.

Pod wpływem nadmiernego uniesienia Lorenza zbliżyła się do księżnej.

— Kim on jest, pani? — powtórzyła. — O! Jestem tego pewna, że to jeden z demonów, toczących wojnę z ludźmi, a których szatan, ich pan, obdarzył nadludzką potęgą.

— Co pani mówisz? — zawołała księżna, przypatrując się Lorenzy, dla przekonania się czy nie jest ona obłąkana.

— A ja, ja! Stokroć nieszczęsna — jęknęła cudzoziemka, załamując śliczne ręce, jakby utoczone na wzór posągów starożytnych — ja znalazłam się na drodze tego człowieka i sama jestem... jestem...

— Dokończ pani!

Lorenza przysunęła się jeszcze bliżej do przeoryszy, szepcząc jakby w obłądnie przerażenia:

— Jestem opętana!

— Opętana! — wykrzyknęła księżna. — Czy pani jesteś przy zdrowych zmysłach, lub może...

— Obłąkana, nieprawdaż? Wszak to księżno miałaś na myśli. Nie, nie jestem obłąkaną, lecz mogłabym nią zostać, jeśli mnie opuścisz.

— Opętana! — powtórzyła księżna.

— Niestety, Niestety!

— Lecz pozwól pani sobie powiedzieć, że jesteś pod każdym względem podobną do istot, najhójniej przez Boga obdarzonych. Wydajesz się bogatą, jesteś piękna, wyrażasz się rozumnie, a na twarzy nie ma żadnego śladu tej straszliwej, a tajemniczej choroby, zwanej opętaniem.

— To w historii mego życia tkwi ta potworna tajemnica, którą chciałabym ukryć przed samą sobą.

— Wyłumacz się. Czy jestem pierwsza, przed którą się pani zwierza ze swego nieszczęścia? Rodzina pani, przyjaciele?

— Moi rodzice! — zawołała młoda kobieta, załamując ręce z boleścią. — Biedni rodzice! Czy ich jeszcze kiedyś zobaczę? A przyjaciele — dodała z goryczą — na nieszczęście nie mam ich wielu.

— No, ale uporządkujmy sobie to wszystko, co powiedziałaś, moje dziecko! — rzekła księżna, usiłując nadać pewien ład słowom cudzoziemki. — Kim są pani rodzice i w jaki sposób ich opuściłaś?

— Jestem rzymianką i mieszkam w Rzymie wraz z nimi. Ojciec pochodzi ze starożytnej szlachty, lecz jak większość rzymskich patrycjuszów — jest biedny. Prócz ojca mam matkę i starszego brata. We Francji, jak mi mówiono, gdy arystokratyczna rodzina taka jak moja, ma syna i córkę, poświęcają posag córki, żeby zapewnić synowi stanowisko w wojsku. I u nas dzieje się podobnie. Nie odebrałam odpowiedniego wykształcenia, bo trzeba było dużo łożyć na wychowanie mego brata, który jeszcze się uczy, aby, jak się naiwnie wyraża matka, mógł z czasem zostać kardynałem.

— Cóż dalej?

— Z tego wynikało, że rodzice odmawiali sobie niezbędnych potrzeb pomagając memu bratu i dlatego postanowiono oddać mnie do klasztoru karmelitanek w Subiaco.

— A cóż pani na to?

— Nic, księżno. Od dzieciństwa mówiono mi o tym jako o konieczności. Nie miałam ani siły, ani woli. Nie radzono się mnie zresztą. Rozkazano i musiałam być posłuszną.

— A jednak.

— My, rzymskie córki mamy własne pragnienia, lecz równocześnie czujemy naszą bezsilność. Wzdychamy do świata, jak potępieni do raj, nie znając go wcale. Zresztą przekonałam się z licznych przykładów, że mój opór nie zdałby się na nic. Toteż nie opierałam się. Wszystkie moje przyjaciółki, posiadające braci, jak ja, spełniły taką samą ofiarę dla podniesienia znaczenia rodu. Nie miałam powodu do uskarżania się. Nie żądano ode mnie niczego, co by wykraczało poza ogólnie przyjęte zwyczaje. Tylko moja matka pieściła mnie serdeczniej kiedy przybliżał się dzień, w którym miałam opuścić dom rodzicielski.

Wreszcie gdy nadszedł ów dzień ojciec zebrał pięćset rzymskich talarów, wymaganych przez klasztor jako mój posag i pojechaliśmy do Subiaco.

Osiem do dziewięciu mil przedziela Rzym od Subiaco, lecz drogi górskie są tak złe, że w ciągu pięciu godzin od naszego wyjazdu ujechaliśmy zaledwie trzy mile. Chociaż droga była męcząca jednak podobała mi się. Uśmiechałam się do niej, jak do ostatnich chwil szczęścia i przez cały czas żegnałam drzewa, krzaki, kamienie, nawet uschnięte kwiaty. Kto wie, myślałam, czy tam w klasztorze będzie trawa, kamienie, krzaki i drzewa?

Gdy tak marzyłam, a przejeżdżaliśmy właśnie pomiędzy lasem i łańcuchem skalistych gór pojazd nasz nagle zatrzymał się. Matka krzyknęła, a ojciec sięgnął po pistolety. Ocknąwszy się z marzeń spostrzegłam, że napadli na nas zbójcy.

— Biedne dziecię — wyrzekła księżna, zajęta coraz bardziej opowiadaniem.

— Czy pani uwierzy, gdy ją zapewnię, że nie bardzo się przestraszyłam, bo ci ludzie napadli na nas dla ograbienia z pieniędzy, a pieniądze które chcieli zabrać były przeznaczone na mój posag w klasztorze. Jeśli nie będzie pieniędzy, pomyślałam, moje wstąpienie do klasztoru opóźni się o cały ten czas, jakiego ojciec będzie potrzebował, ażeby należną sumę zebrać. A wiedziałam dobrze jak wiele czasu i mozolnych zachodów potrzeba dla uciulania pięciuset talarów.

Po doraźnym podziale łupu, zbójce zamiast puścić nas wolno, pochwycili mnie. Kiedy zobaczyłam, jak ojciec chce mnie bronić, jak matka błaga ich ze łzami w oczach, dopiero wtedy pojęłam, że zagraża mi wielkie, nieznanie niebezpieczeństwo. Poczęłam szlochać, wołać ratunku, choć czułam, że nadaremnie, bo w tym dzikim ustroniu nikt nie mógł nas usłyszeć.

Mimo moich krzyków, łez matki i usiłowań ojca, aby mnie obronić, zbójce związali mi ręce za plecami, a ich palący bezwstydnym wzrokiem utkwiony we mnie, odkrył mi całą grozę mego położenia. Oni zaś wyjąwszy kości do gry z kieszeni, zaczęli grać w milczeniu.

Najwięcej przestraszyło mię to, że przy ich grze nie widziałam żadnej stawki. Drżałam przez cały ten czas, w którym kości przechodziły z rąk do rąk, bo rozumiałam, że to ja byłam stawką.

Wreszcie jeden ze zbójców, ryknąwszy zwycięsko, poskoczył ku mnie, chwycił mnie w objęcia i przycisnął swoje wargi do moich.

Gdyby dotknięto mnie rozpalonym żelazem, nie byłabym krzyknęła okropniej.

— O! Śmierć, raczej śmierć, mój Boże! — krzyknęłam. Matka wiła się po ziemi z rozpacz. Ojciec zemdłał. Ożywiła mnie tylko nadzieja, że któryś ze zbójców rozwścieczony przegraną zamorduje mnie nożem.

Oczekiwałam ciosu, spodziewałam się go i pragnęłam.

Wtem ukazał się na drodze jakiś jeździec. Zamienił jakiś znak i kilka cichych słów ze zbójem stojącym na czatach, a ten go natychmiast przepuścił.

Człowiek ten wzrostu średniego, okazałej postaci, o śmiałych, przenikliwych oczach — zbliżał się spokojnie jadąc wierzchem.

Stanąwszy na wprost mnie, zatrzymał konia.

Zbój, który mnie już trzymał w swych ramionach odwrócił się na pierwsze gwizdnięcie przybyłego i upuścił mnie na ziemię.

— Chodź tutaj — rzekł nieznajomy do opryszka.

A gdy zbój się wahał, nieznajomy ułożył ręce w trójkąt dotykając przy tym swej piersi dwoma palcami. Znak ten oznaczał zapewne władzę wszechmocną, gdyż zbój natychmiast podszedł do nieznajomego. Ten nachylił się do ucha opryszka i wyszeptał słowo:

— Mac.

Powiedział ten jeden wyraz, jestem tego pewna, bo patrzyłam jak się patrzy na nóż, mający zabić, bo słuchałam, jak się słucha wyroku życia lub śmierci.

— Benac — odpowiedział zbój.

Po czym, jak poskromiony lew i z rykiem podobnym do ryku lwa wrócił do mnie, rozwiązał sznur krępujący moje ręce i uczynił to samo z ojcem moim i moją matką.

A że się już poprzednio podzielili pieniędzmi, każdy ze zbójów złożył swój udział na kamieniu. Nie brakowało ani jednego talara.

Czułam, że na nowo odżyłam w objęciach matki i ojca.

— Teraz odejdźcie — powiedział nieznajomy.

Rozbójnicy usłuchali i wszyscy, co do jednego wrócili do lasu.

— Lorenzo Feliciani — odezwał się nieznajomy, wpatrując się we mnie swoim chyba nadludzkim wzrokiem — jedź dalej, jesteś wolną.

Rodzice podziękowali nieznajomemu, który widać znał mnie, chociaż my nie znaliśmy go zupełnie. Gdy rodzice zajęli miejsce w powozie, wsiadłam i ja do pojazdu, ale obecnie towarzyszyłam im mniej chętnie, bo wówczas już jakiś niezwykle urok pociągał mnie ku memu wybawcy.

On tymczasem stał wciąż nieruchomo na tym samym miejscu, jakby wciąż jeszcze nie przestał się nami opiekować. Nie mogłam oderwać oczu od niego, póki mogłam go widzieć. Dopiero gdy straciłam go z oczu, rozwiął się czar, który przedtem mną owładnął.

W dwie godziny później byliśmy w Subiaco.

— Któż to był ten nadzwyczajny człowiek? — spytała księżna, wzruszona prostotą tej opowieści.

— Racz mnie pani jeszcze wysłuchać. Niestety! Jeszcze nie wszystko skończone.

— Słucham — odrzekła księżna.

— W dwie godziny po tych wypadkach przyjechaliśmy do Subiaco.

Przez cały czas podróży mówiliśmy wyłącznie o naszym zbawcy, tak tajemniczym i wszechwładnym, jakby był wysłańcem z nieba.

Mój ojciec, mniej łatwowierny niż ja, podejrzewał, że nieznajomy jest hersztem jednej z band, rozproszonych w okolicach Rzymu. Bandy te mają wspólną organizację, a lustrowane są od czasu do czasu przez ich naczelnego dowódcę, dzierżącego władzę nieograniczoną, karzącego i dzielącego łupy.

Mając znacznie mniej doświadczenia od mego ojca, a powodując się uczuciem wdzięczności, nie wierzyłam, nie mogłam wierzyć w to, że ten człowiek może być rozbójnikiem.

Toteż we wszystkich wieczornych modlitwach, błagałam Pannę Najświętszą, żeby wzięła pod swoją opiekę mego nieznanego wybawcę.

Tego samego dnia wstąpiłam do klasztoru. Posag był, nie zachodziła więc żadna przeszkoda. Byłam bardzo smutna, lecz z całą uległością poddawałam się swemu losowi. Powiedziałam sobie, że Bóg chciał, żebym mu się poświęciła czysta, niewinna i nieskałana, skoro mnie uwolnił z rąk opryszków.

Ostatniego dnia mego nowicjatu kazano mi zejść do kaplicy; wraz z innymi siostrami.

We Włoszech kaplice klasztorne są prawie kościołami. Wszedłszy na chór usiadłam w swej stalli. Między kratami chóru, obitego zielonym płótnem były luki, z których odsłaniał się widok na cały kościół.

Przez jeden z takich otworów spostrzegłam mężczyznę, stojącego na boku, nie w tłumie, ze schyłym kornie czołem. Ten człowiek patrzył na mnie, jakby pożerał mnie wzrokiem. Uczułam wtedy, że jakiś nadprzyrodzony czar pociągał mnie ku niemu, podobnie jak magnes, który widywałam w ręku brata przyciągał igłę nawet przez kartkę papieru lub deszczułkę.

Bezsilna wobec tego czaru, wychyliłam się ku nieznanemu, a złożwszy ręce jak do modlitwy, jednocześnie sercem i ustami krzyknęłam:

— Dzięki! O dzięki!

Siostry spojrzały na mnie ze zdziwieniem, nie rozumiejąc ani przyczyny mego wzruszenia, ani słów, zauważywszy jednak kierunek, w którym wyciągnęłam ręce, powychylały się również ze swoich stall, pragnąc zaspokoić swą ciekawość. A ja patrzyłam drżąc cała. Nieznajomy zniknął.

Na pytanie sióstr czerwieniłam się, bladłam, wymawiałam niezrozumiałe słowa.

— Od tej chwili — wykrzyknęła Lorenza z rozpaczą — jestem pod władzą demona!

— Nie widzę jednakże w tym wszystkim niczego nadzwyczajnego, moja siostrze — odezwała się księżna z uśmiechem — uspokój się więc i mów dalej.

— O! Bo matka przełożona nie może tego pojąć, co ja odczuwam.

— A cóż odczuwasz?

— Serce moje, duszę, rozum, wszystko posiadał ów demon.

— Siostrze moja, obawiam się bardzo, ażeby ten demon nie był po prostu miłością — zauważyła przeorysza.

— O! Miłość nie byłaby dla mnie taką męką, miłość nie uciskałaby tak serca, miłość nie nasunęłaby tej złej myśli jaka mi przyszła.

— Jakaż to była ta zła myśl, moje dziecko?

— Powinnam była wszystko wyjawić spowiednikowi, nieprawdaż, matko?

— Bez wątpienia.

— Demon, który mnie opanował, sprawił, że postanowiłam nie mówić nawet spowiednikowi o moich przeżyciach. Może żadna zakonnica nie wstąpiła do klasztoru, nie zostawiwszy na świecie, który opuszcza, jakiegoś miłosnego wspomnienia. Spowiednik przyzwyczajony był do zwierzeń podobnych. Ja będąc tak pobożną, tak nieśmiałą, tak niewinną, ja która przed tym nieszczęsnym wyjazdem do Subiaco nigdy w życiu nie zamieniłam ani jednego słowa z żadnym mężczyzną, wyjąwszy brata, ja która z tym nieznanym zaledwie dwa razy skrzyżowałam wzrok, ja wyobrażałam sobie, że będą mnie podejrzewali o romans z tym człowiekiem.

— Zła to myśl, zapewne — odparła księżna — ale demon, podsuwający kobiecie, którą owaładnął, takie tylko myśli jeszcze prawie niewiniątkiem. Cóż dalej?

— Nazajutrz zavezowano mnie do gościnnego pokoju. Zeszłam i zastałam tam jedną z moich sąsiadek z ulicy Frattina. Sąsiadka ta bardzo mnie lubiła, bo nieraz całymi wieczorami rozmawiałyśmy ze sobą i śpiewały.

Za nią przy drzwiach stał człowiek osłonięty płaszczem, można było sądzić, że był to jej lokaj. Człowiek ten nie zwrócił się ku mnie, ale ja mimo swej woli zwróciłam się ku niemu. Nie wyrzekł do mnie ani słowa, a jednak ja zaraz odgadłam, że znów był to mój nieznanomy wybawca. Odczułam znowu ten sam zamęt w swoich myślach i sercu jak poprzednio. Czułam, że jestem pod urokiem tego człowieka. Gdyby nie krata, byłabym do niego podbiegła. Wydawało mi się, że z ciemnych fałd jego płaszcza tryskają ku mnie olśniewające płomienie. Chociaż milczał, wydawało mi się, że przemawia do mnie w sposób pelen uroku.

Oprzytomniawszy trochę zdobyłam się na najwyższy wysiłek woli i zapytałam sąsiadkę co to za człowiek. Nie znała go. Jej mąż miał jej towarzyszyć w podróży, lecz w chwili wyjazdu przyszedł z tym człowiekiem i rzekł do niej, że on nie może jechać do Subiaco, lecz będzie jej towarzyszył jego przyjaciel. O więcej się nie pytała, bo było jej pilno zobaczyć się ze mną. Toteż przyjechała w towarzystwie nieznanomego. Sąsiadka moja była bardzo nabożną, ujrawszy więc cudowny obraz Matki Boskiej w pokoju, nie chciała ominąć sposobności, ażeby się przed nim nie pomodlić i uklękała. W tym czasie człowiek ów zbliżył się powoli do mnie i utkwiał we mnie swój pałający wzrok. Oczekiwałam od niego słów, oddychałam ciężko, serce bilo mi gwałtownie. A on wznosił obie ręce ponad moją głowę i wpadłam zaraz w rodzaj zachwytu. Uśmiechał się do mnie. Odpowiadałam mu

uśmiechem na uśmiech, zamykałam oczy pod wrażeniem rozkosznego upojenia. Naraz znikł, jak gdyby chciał się tylko przekonać o swej mocy nade mną. W miarę jak się oddalał powracałam do przytomności i jeszcze nie wytrzeźwiałam zupełnie, gdy moja dawna sąsiadka skończywszy modlitwę powstała, uściskała mnie, pożegnała i odeszła.

Rozbierając się wieczorem zauważyłam, że z ubrania wypadła kartka. Były na niej te wyrazy:

„Kto w Rzymie kocha się w zakonnicy karany jest śmiercią. Czy skażesz na śmierć tego, któremu winnaś życie?”

Od tego dnia władza tego człowieka nade mną była nieograniczona, bo kłamałam Bogu, bo nie poświęciłam Mu się zupełnie.

Przestraszona tym co powiedziała, Lorenza zatrzymała się i zaczęła się przypatrywać łagodnej i mądrej twarzy księżniczki.

— Wszystko to nie jest jeszcze opętaniem — powiedziała księżna Ludwika. — Nieszczęśliwa to namiętność, a jak już wspominałam, uczucia światowe w progi te wchodzić nie powinny, chyba pełen skruchy żal po nich.

— Żal!? — wykrzyknęła Lorenza. — Jak to? Widzi mnie matka we łzach, błagającą na klęczkach o wyrwanie mnie spod piekielnej władzy tego człowieka. Czyż można mieć więcej ode mnie żalu i zgryzot sumienia?

— Jednakże do tej pory... — odezwała się przeorysza.

— Racz matko wysłuchać mnie do końca — rzekła Lorenza — i nie sądź zbyt surowo, błagam cię o to.

— Pობłażanie i łagodność są moim obowiązkiem. Szczerze też pragnę zawsze ulżyć w miarę możliwości cudzym cierpieniom.

— Dzięki! O dzięki stokrotnie. Matka jest rzeczywiście aniołem pocieszycielem, którego szukałam.

Schodziliśmy do kaplicy trzy razy tygodniowo — mówiła dalej Lorenza — a nieznajomy znajdował się podczas każdego nabożeństwa. Próbowałam unikać jego widoku, mówiłam, że jestem chora, postanawiałam nie schodzić do kaplicy. Ale słaba jest natura ludzka. Gdy przychodził czas zejścia do kościoła, schodziłam wbrew mej chęci jak gdyby popychana siłą wyższej woli. Jeśli nieznajomego nie było tam jeszcze czułam się spokojna i szczęśliwa, lecz w miarę jak się zbliżał (czułam zawsze gdy nadchodził, tak że mogłabym powiedzieć: jest o sto kroków, jest u progu drzwi, jest już w kościele), oczy moje odwracały się i zatrzymywały na nim.

Przez cały czas nabożeństwa nie mogłam się już wcale modlić. Wszystkie moje myśli, cała wola, cała dusza wyrwały się do tego człowieka, który, czułam to dobrze, wydzierał mnie Bogu.

Z początku nie mogłam patrzeć na niego bez trwogi, później pragnęłam go zobaczyć, a jeszcze potem — wybiegałam w mych myślach ku niemu. Często nocą, jakby przez sen, zdawało mi się, że go widzę przechodzącego ulicą lub stojącego pod moim oknem.

Mój stan nie uszedł uwagi towarzyszek. Uprzedzono przełożoną, a ta moją matkę. Na trzy dni przed moimi ślubami zakonnymi weszli do mojej celki jedyni krewni jakich posiadałam: ojciec, matka i brat.

Przyszli niby po to, żeby mnie jeszcze raz ucałować, ale zaraz poznałam, że przyszli w innym zamiarze, bo kiedy zostałam sama z matką, ta poczęła mnie wypytywać. I widać było to dziełem szatana, że zamiast przyznać się do wszystkiego, jak to uczynić powinnam, upierałam się zawzięcie, że nie mam nic do powiedzenia.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym miałam złożyć śluby. W mojej duszy rozgrywała się straszna walka. Pragnęłam, a jednocześnie obawiałam się chwili, w której miałam całkowicie poświęcić się Bogu.

— Czy osobliwy ten człowiek nie pisał do pani po tym pierwszym liście, jaki znalazła pani w swoim ubraniu? — zapytała przeorysza.

— Nigdy, matko.

— Czy nie rozmawiała pani nigdy z nim w owym czasie?

— Nigdy, chyba w mojej myśli.

— Nie pisała pani nigdy do niego?

— Nigdy a nigdy.

— Mów pani dalej. Przerwałaś opowieść na dniu, w którym miałaś pani złożyć śluby zakonne.

W tym dniu, jak już wspominałam Waszej Wysokości, skończyć się miały moje męczarnie, bo to opanowanie moich myśli przez wciąż to samo nieprzezwyciężone pragnienie, było prawdziwą katuszą

dla duszy chrześcijańskiej. Ta* postać wciąż przy mnie obecna, choć niewidzialna, ta postać szydząca ze mnie w chwilach mojej walki, sprawiała mi straszne męczarnie. Błagałam Boga, aby święta chwila ślubów zbliżyła się jak najprędzej. Gdy się już raz Stwórcy mojemu poświęcę, mówiłam sobie, potrafi mnie On obronić tak jak raz obronił mnie już od napadu zbójów. Zapominałam, że od owego napadu uratował mnie Bóg za pośrednictwem tego właśnie szczególnego człowieka.

Gdy nadszedł czas dopełnienia obrządku ślubów zesłam do kościoła blada i niespokojna, ale mniej wzburzona niż zwykle. Ojciec, matka, brat, sąsiadka z ulicy Frattina — wszyscy nasi przyjaciele byli już w świątyni, wszyscy mieszkańcy sąsiednich wiosek zbiegli się tutaj na wieść, że jestem piękna, a piękna ofiara, jak powiadają, przyjemniejsza jest Bogu. Nabożeństwo zaczęło się. _

Wszystkimi siłami, gorącymi modlitwami chciałam przyspieszyć obrządek złożenia ślubów, bowiem nie było nieznanego w kościele, a czułam, że w jego nieobecności jestem panią siebie. Ksiądz zwrócił się do mnie i wskazał mi ukrzyżowanego Chrystusa, któremu miałam się poświęcić. Ja wyciągałam ręce ku jednemu Zbawcy ludzkości, gdy wtem dreszcz wstrząsnął moimi członkami i zabrakło mi tchu w piersi. Czułam, że tajemniczy człowiek stanął w progu kościoła, a gdy ulegając jakiejś fatalnej sile odwróciłam wzrok od ołtarza, dostrzegłam, że mój prześladowca stał pod amboną i bacznie wpatrywał się we mnie.

Od tej chwili należałam do niego. Na nic obrządek, nabożeństwo, modlitwy.

Zdaje się, że mi zadawano pytania według rytuału, ale nie odpowiadałam na nie. Przypominam sobie, że potrząsano mnie za ramię i że się chwiałam jak przedmiot martwy. Pokazano mi nożyczki, od których odbijał się blask słońca, ale ani oka nie zmużyłam. W chwilę później uczułam zimno żelaza na mojej szyi i usłyszałam zgrzyt stali w moich włosach.

Wówczas zdawało mi się, że wszystkie siły mię opuszczają, że dusza moja wyrwa się z ciała i bieży do niego. Upadłam na posadzkę, ale nie jak człowiek zemdlony lecz jakby ktoś zmorzony snem. Słyszałam głośny szmer a potem stałam się głucha, niema, bez czucia. Obrządek został przerwany. Zapanowało ogólne zamieszanie.

Księżniczka złożyła ręce ze współczuciem.

— Czy nieprawda — rzekła Lorenza — że to straszne wydarzenie, że łatwo w nim dojrzeć piekielne sztuki szatana?

— Uważaj — odezwała się księżna z wyrazem współczucia, uważaj nieszczęśliwa kobieto, zdaje mi się, że przypisujesz zbyt pochopnie nadprzyrodzonym przyczynom to, co jest wyłącznie skutkiem ludzkiej słabości. Zobaczysz tego człowieka — zemdlą. Ot i wszystko. Mów dalej.

— O! Nie, nie mów matko tego — zawołała Lorenza, lub też poczekaj ze swym sądem aż wszystko postłyszysz. Nic nadprzyrodzonego — powiadasz matko, ależ w takim razie przyszedłbym do siebie w dziesięć minut, w kwadrans, najdalej w godzinę po omdleniu. Porozumiałabym się z siostrami, wśród nich nabrałabym otuchy i wiary.

— Bez wątpienia — odparła przeorysza — a czyż nie tak potoczyło się dalej wszystko?

Gdy wróciłam do przytomności — wyszeptala Lorenza głosem cichym i urywanym — była już noc. Podniosłam głowę będąc przekonana, że znajduję się pod sklepieniem kaplicy, albo za firankami mojej celi. Tymczasem zobaczyłam skały, drzewa, obłoki, a ponadto uczułam ciepły oddech ogrzewający moją twarz. Mniemałam, że to siostra pielęgniarka opiekuje się mną i chciałam jej podziękować... Tymczasem moja głowa spoczywała na piersi mężczyzny, a był nim mój prześladowca. Przetarłam oczy dla upewnienia się czy żyję, czy śnię. Krzyknęłam. Byłam cała w bieli. Moje czoło wieńczyła korona z białych róż, jak u narzeczonej lub umarłej.

Księżniczka w tym momencie krzyknęła. Lorenza opuściła głowę.

— Nazajutrz — ciągnęła dalej cudzoziemka szlochając — sprawdziłam ile czasu mogło upłynąć. Była środa. Trzy dni więc byłam nieprzytomna. Nie wiem, co się przez te trzy dni ze mną działo.

LI. HRABIA DE FOENIX

Przez długi czas obie kobiety trwały w głębokim milczeniu — pierwsza zatopiona w swych bolesnych rozmyślaniach, druga zdumiona usłyszonym opowiadaniem.

Wreszcie księżna pierwsza przerwała milczenie.

— Czyś pani w niczym nie przyczyniła się do ułatwienia tego porwania? — zapytała.

— W niczym, matko.

— I nie wie pani, jakim sposobem wydostałaś się z klasztoru?

— Nie wiem, matko.

— Klasztor zamykają bardzo starannie i pilnie go strzegą, w oknach są kraty, furtianka nie rozstaje się nigdy z kluczami, a wysokiego muru okalającego gmach nikt nie jest w stanie przesadzić. Tak zwłaszcza jest we Włoszech, gdzie reguły przestrzegane są surowiej niż we Francji.

— Cóż na to mogę odpowiedzieć, kiedy sama nic zgoła nie wiem.

— Wymawiała mu pani swoje porwanie?

— Naturalnie.

— Cóż przytaczał na swoje uniewinnienie?

— Że mnie kocha.

— A cóż mu odpowiedziałaś?

— Że mnie przejmują obawy.

— A więc go nie kochałaś?

— Nie! Nie!

— Czyś tego pewna?

— Niestety! Żywiłam dla tego człowieka dziwne uczucia. W jego obecności przestaję być sobą. Stają się jakby nim. Co on chce tego i ja chcę. Co on rozkaże — czynię. Moja dusza nie ma już wtedy władzy, mój rozum nie ma woli. Jego wzrok mnie podbija i obezwładnia. Czasem rzuca mi w głąb mojej duszy myśli, które nie są moimi, czasem zaś potrafi wydobyć ze mnie przekonania tak starannie do tej pory ukrywane przeze mnie, przez siebie samą, że nie odgadłabym ich nigdy. O! Niech mi matka wierzy, że to są czary.

— Tak, to przynajmniej dziwne, jeśli nie nadprzyrodzone — rzekła księżna. Po porwaniu żyliście razem?

— Otaczał mnie gorącą miłością i szczerym przywiązaniem.

— Czy to człowiek zepsuty?

— Nie, zdaje mi się, że przeciwnie. Gdy mówi, staje się podobny do apostoła.

— A więc kochasz go pani. Przyznaj się.

— Nie! Nie! — zawołała młoda kobieta z boleścią. — Nie! Nie kocham go.

— Powinnaś była więc uciec, odwołać się do władz, wezwać pomocy rodziców.

— Kiedy tak mnie pilnowano, że uciec nie mogłam.

— Dlaczego więc nie pisałaś?

— Zatrzymywaliśmy się przez całą drogę tylko w domach, które jakby należały do niego. Wszyscy tam byli mu posłuszni.

Wielokrotnie żądałam papieru, atramentu i pióra, lecz wszyscy, do których się zwracałam, musieli być już uprzedzeni przez niego. Nikt mnie nie usłuchał.

— W jaki sposób odbywaliście tę podróż?

— Z początku ekstrapocztą, a od Mediolanu ogromnym omnibusem.

— Jednakże czasami zmuszony był zostawiać cię samą.

— Tak. Lecz wówczas zbliżał się do mnie i mówił: „zaśnij”. I zaraz zasypiałam i nie budziłam się, aż po jego powrocie.

Księżna pokręciła niedowierzająco głową.

— Gdybyś chciała uciec — rzekła księżna — z pewnością udałoby ci się to.

— Mnie się zdaje że nie... Może zresztą pozostawałam pod wpływem czaru.

— Jego zakłęb miłosnych i jego pieszczot... -

— Bardzo rzadko mówił mi o swej miłości. Jedyną zaś jego pieszczotą był pocałunek w czoło wieczorem i rano.

— To szczególnie, zadziwiające — wyszeptwała przeorysza, a pod wpływem podejrzenia dodała:

— Powtórz mi pani raz jeszcze, że go nie kochasz! — Zapewniani was o tym, księżno, uroczyście.

— Powtórz mi, że żaden ziemski związek nie łączy cię z nim.

— Przysięgam Waszej Wysokości.

— Więc jeśli zechce się o ciebie upomnieć, nie będzie miał do tego żadnego prawa?

— Żadnego.

— Powiedz mi pani jeszcze jakim sposobem dostałaś się tutaj? Bo mi się to wszystko nie chce pomieścić w głowie.

— Skorzystałam z gwałtownej burzy, która nas zaskoczyła za jakimś miastem, zwanym zdaje się Nancy. Opuścił miejsce zajmowane obok mnie i poszedł do drugiego przedziału powozu, dla rozmówienia się z siedzącym tam staruszkiem. Wtedy wskoczyłam na jego konia i uciekłam.

— Dlaczego uciekałaś do Francji zamiast powrócić do Włoch?

— Nie chciałam wracać do Rzymu, bo wszyscy tam są prawdopodobnie przekonani, że człowiek ten działał w porozumieniu ze mną. Zniestawionej córki rodzice nie przyjęliby. Postanowiłam więc uciekać do Paryża, albo do jakiejś innej stolicy, gdzie mogłabym się schronić przed ludzkim wzrokiem, a zwłaszcza przed jego wzrokiem.

W Paryżu przekonałam się, że całe miasto zajęte było zamiarem wstąpienia Waszej Wysokości do klasztoru karmelitanek. Wszyscy wysławiali Waszą pobożność, Waszą troskę o nieszczęśliwych, Wasze współczucie dla strapionych. To zadecydowało, że nabrałam przekonania, iż Wasza Wysokość będzie tak wspaniałomyślna, aby mnie przyjąć, dość potężną, aby mnie osłonić.

— Odwołujesz się ciągle do mojej potęgi, moje dziecko. Czy on jest naprawdę tak potężny?

— O! Bardzo.

— Lecz kimże on jest? Nie pytałam się do tej pory przez delikatność, powinnam wszakże wiedzieć przeciw komu mam cię bronić?

— W tej mierze znowu nie jestem w stanie udzielić wyczerpujących wyjaśnień. Ja wcale nie wiem kim on jest. Stwierdzam jednak stanowczo, że sam król nie wzbudza dla siebie bardziej kornego uszanowania.

— Jakże się nazywa?

— Nazywano go różnymi nazwiskami, lecz tylko dwa zapamiętałam. Jedno — którym go mianuje staruszek, towarzysz naszej podróży z Mediolanu, drugie zaś to — jakie sam sobie nadaje.

— Jakże go nazwał ów staruszek?

— Acharat. Wszakże to imię niechrześcijańskie, prawda matko?

— A jakież sam sobie nadaje?

— Józef Balsamo.

— Balsamo?...

— Zna on wszystkich, żyjących i zmarłych, ludzi wszystkich czasów, jakby żył we wszystkich wiekach. Mówi... och! mój Boże! — Odpuść mu podobne bluźnierstwa — o Aleksandrze, o Cezarze, o Karolu Wielkim, jakby ich znał, a przecież wszyscy ci ludzie zmarli już bardzo dawno. Opowiada jeszcze i o Kaifaszu, o Piłacie, wreszcie o Zbawicielu naszym, jak gdyby patrzył na jego męczeństwo.

— To jakiś szarlatan — odezwała się księżna.

— Nie rozumiem co znaczy ten wyraz we Francji, ale wiem doskonale, że jest to człowiek niebezpieczny, straszny, przed którym wszystko się ugina, wszystko korzy, wszystko pada. Wydaje się on bezbronnym, a jest uzbrojony, zdaje się, że jest sam, a na jego skinienie setki ludzi wyrastają spod ziemi. I wszystko to czyni bez wysiłku, nie przemocą, lecz jednym słowem, jednym skinieniem... z uśmiechem na ustach,

— Mniejsza o to! — rzekła księżna. — Nabierz otuchy, moje dziecko. Kimkolwiek jest ten człowiek znajdziesz tu opiekę i obronę przed nim.

— U ciebie, matko, prawda?

— Tak. Dopóty, dopóki sama nie zechcesz uwolnić się spod mojej opieki. Lecz nie wierz, że w twojej historii jest coś nadprzyrodzonego, ani nie wmawiaj we mnie urojeń, które zrodziły się w twoim chorobliwym umyśle. Wysokie mury Saint-Denis będą dla ciebie dostatecznym szańcem przeciw mocom piekielnym, a nawet, wierzaj, przeciw groźniejszej potędze, przeciw potędze ludzkiej. Cóż zamierzasz teraz czynić?

— Moimi klejnotami pragnę opłacić mój posag w klasztorze, jeżeli to jest możliwe...

Lorenza powiedziawszy to złożyła na stole kosztowne bransolety, cenne pierścionki, przepyszny brylant i drogie kolczyki. Wszystko mogło mieć wartość dwudziestu tysięcy talarów.

— Czy te klejnoty należą do pani?

— Do mnie należą bo mi je podarował, a zwracam je Bogu, O jedno tylko chcę prosić...

— O co?

— Ażeby jego arabski koń Dżerid, na którym uciekłam od niego, był mu zwrócony, jeśli się o niego upomni.

— Lecz pani sama nie chcesz już powrócić do mego?

— Nie jestem jego własnością.

— To prawda. Mówiłaś to już przecież. Trwasz więc w postanowieniu wstąpienia do klasztoru w Saint-Denis, chcesz poddać się regule zakonnej przzerwanej w Subiaco osobliwym wypadkiem, o którym mi opowiadałaś?

— Jest to najgorętsze moje życzenie i błagam na klęczkach o tę łaskę.

— Bądź spokojna, moje dziecko — wyrzekła księżna — od dzisiejszego dnia będziesz żyła między nami, a gdy nas przekonasz, że bardzo usiłujesz zasłużyć na tę łaskę, gdy wzorowym postępowaniem, jakiego się spodziewam po tobie, usprawiedliwisz nasze oczekiwania, wtedy poświęcisz się już Stwórcy, a zapewniam cię, że nikt cię nie porwie z Saint-Denis póki przełożona będzie czuwała nad tobą.

Lorenza padła do nóg swej opiekunki składając najszczerze i najtkliwsze podziękowania. Lecz nagle... podniosła się, wytężyła słuch, zbladła i zadrżała.

— O! Mój Boże! — krzyknęła. — Mój Boże! Mój Boże!

— Co takiego? — zapytała księżna.

— Drzę cała. Nie widzi go pani? Idzie! Idzie! On. On przysiągł mi zgubę.

— Ten człowiek?

— Tak, ten człowiek. Czy nie widzisz, matko, jak drżą mi ręce?

— Rzeczywiście.

— O! — odezwała się rozpaczliwym głosem — zbliża się, zbliża się.

— Pani się myli — rzekła przeorysza.

— Nie, nie. O, zobacz matko, przyciąga mnie wbrew mojej woli. Zatrzymaj mnie, zatrzymaj.

Księżna pochwyciła młodą kobietę za ramię.

— No, uspokój się, biedne dziecko — rzekła — jeśli to nawet byłby on, jesteś tutaj bezpieczna.

— Zbliża się, zbliża się — krzyczała Lorenza nieludzkim głosem, wskazując ręką na drzwi. Oczy jej rozszerzyły się z przerażenia, ręce wyciągnęły w stronę drzwi.

— Ależ nie bój się pani. Czyż można wejść tak do księżniczki Ludwiki Francuskiej?... Na to musiałyby ten człowiek mieć rozkaz królewski.

— O! Nie wiem jakim sposobem tu wszedł — zawołała staniając się do tyłu — nie wiem, ale jestem tego pewna, że jest zaledwie o dziesięć kroków stąd... że... oto on!

W tej chwili drzwi się otworzyły, księżniczka cofnęła się przestraszona dziwnym zbiegiem okoliczności.

Ukazała się siostra.

— Kto tam? — zagadnęła księżna. — Czego chcesz?

— Jakiś pan przybył do klasztoru — odpowiedziała zakonnica i życzy sobie widzieć się z Waszą Królewską Wysokością.

— Jego nazwisko?

— Hrabia de Foenix.

— Czy to on? — zapytała księżna Lorenzę — czy znasz pani to nazwisko?

— Nie mam tego nazwiska, lecz to on, on niezawodnie.

— Czegóż chce? — zapytała księżna zakonnicy.

— Jest on oddawcą listu uwierzytelniającego Jego Królewskiej Mości, króla pruskiego do króla francuskiego. Pragnie mieć zaszczyt przedstawienia się na chwilę Waszej Królewskiej Wysokości.

Księżna zastanowiła się przez chwilę, po czym rzekła zwracając się do Lorenzy:

— Wejdź do tego gabinetu. Lorenza posłuchała.

— A ty moja siostró — powiedziała księżna do zakonnicy — wprowadź tego pana.

Siostra skłoniła się i wyszła.

Księżna, upewniwszy się, że drzwi do gabinetu są szczelnie zamknięte, usiadła w fotelu, oczekując nie bez pewnego wzruszenia, co się stanie dalej.

Po chwili siostra powróciła. Za nią wszedł człowiek, którego już poznaliśmy, gdy się przedstawiał królowi pod nazwiskiem hrabiego de Foenix.

Był tak samo ubrany, miał na sobie surowy w kroju mundur pruski, nosił wojskową perukę i czarny halsztuk. Wielkie i pełne wyrazu oczy na chwilę przysłonił powiekami, zdając sobie widać sprawę z tego, że szlachcic choćby najwyżej postawiony winien okazać uszanowanie dla córki króla francuskiego.

Podniósł je wszakże natychmiast, jakby się obawiał okazać zbyt wielką pokorę.

— Składam dzięki Waszej Królewskiej Wysokości za zaszczyt jaki raczyła mi wyświadczyć. Liczyłem jednak na to, wiedząc dobrze, że Wasza Wysokość wspiera wspaniałomyślnie każdego nieszczęśliwego.

— Rzeczywiście usiłuję to czynić — odrzekła księżna z godnością, w przekonaniu, że po dziesięciu minutach rozmowy zbije z tropu tego, który udawał się tak zuchwale pod cudzą opiekę sam uprzednio nadużywający swej władzy.

Hrabia skłonił się, nie dając niczym poznać, że zrozumiał dwoiste znaczenie stów księżnej.

— Cóż mogę dla pana uczynić? — spytała księżna ironicznie.

— Wszystko, Wasza Wysokość!...

— Wytłumacz się pan.

— Nie poważylbym się nigdy bez poważniejszych powodów zajmować swoją osobą Waszą Wysokość w zaciszu jakie sobie obrała, lecz zdaje mi się, że tu znalazła schronienie osoba, która mnie niezmiernie obchodzi.

— Jak się nazywa ta osoba?

— Lorenza Feliciani.

— A czymże dla pana jest ta osoba? Czy to pańska krewna, czy siostra?

— To moja żona.

— Pańska żona? — odezwała się księżna, podnosząc głos tak, żeby był słyszany w gabinecie. — Lorenza Feliciani jest hrabiną de Foenix?

— Tak jest. Lorenza Feliciani jest hrabiną de Foenix — odpowiedział hrabia ze spokojem.

— Hrabina de Foenix nie znajduje się w klasztorze karmelitek — odrzekła sucho księżna.

Lecz hrabia nie dał za wygraną i rzekł:

— Widzę z tego, że Wasza Wysokość nie jest jeszcze dostatecznie przekonana, że Lorenza Feliciani i hrabina de Foenix są jedną i tą samą osobą.

— Przyznaję — odpowiedziała księżna — zgodził pan, że nie mam tego przeświadczenia.

— Jeżeli Wasza Wysokość raczy rozkazać, żeby tu przyprowadzono Lorenzę Feliciani, to już nie będzie miała w tym względzie żadnej wątpliwości. Przepraszam Waszą Wysokość za moje naleganie, lecz jestem bardzo przywiązany do tej młodej kobiety, a przy tym jestem przekonany, że i ona żałuje, iż jest rozłączona ze mną.

— Tak pan mniema?

— Tak mniemam, jakkolwiek niewielkie mogą być moje zasługi.

— O! Lorenza powiedziała prawdę — pomyślała księżna — ten człowiek jest rzeczywiście niebezpieczny.

Hrabia zachował postawę spokojną, a obejściem nie przekraczał najpoprawniejszych form grzeczności dworskiej.

— Spróbujmy skłamać — pomyślała znów księżna Ludwika.

— Nie mogę panu wydać kobiety nie znajdującej się tutaj. Pojmuję, że pan jej szuka tak gorliwie, będąc do niej tak szczerze przywiązany, jak pan o tym mówił, lecz jeśli chcesz mieć nadzieję odnalezienia jej, szukaj pan jej gdzie indziej, wierząc mi.

Jeszcze wchodząc tu, hrabia rzucił wzrokiem na wszystkie przedmioty znajdujące się w pokoju księżnej i oczy jego na moment zatrzymały się, na moment wprawdzie, lecz wystarczająco, na stole, który stał w ciemnym rogu pokoju. A na tym właśnie stole Lorenza złożyła swoje klejnoty, które miały być jej posagiem przy wstąpieniu do klasztoru. Po niezwykłym ich blasku hrabia je poznał.

— Gdyby Wasza Królewska Wysokość raczyła cofnąć się choć trochę pamięcią przypominałaby sobie, że Lorenza Feliciani była przed chwilą w tym pokoju i zostawiła na stole te oto klejnoty, a po uzyskaniu posłuchania, odeszła.

Mówiąc to hrabia Foenix dostrzegł przelotne spojrzenie jakie księżna skierowała w stronę gabinetu.

— Oddaliła się do tego pokoju — dorzucił hrabia wskazując drzwi do gabinetu.

Księżna zarumieniła się, a hrabia mówił dalej:

— Oczekuję też tylko łaskawego zezwolenia Waszej Wysokości, ażebym mógł ją wezwać, a nie wątpię, że tu przyjdzie.

Księżna przypomniała sobie, że Lorenza zamknęła drzwi za sobą od wewnątrz i w ten sposób nikt i nic nie mogło ją zmusić do wyjścia z gabinetu, prócz jej własnej woli.

— Ale — wyrzekła, nie starając się nawet ukryć niezadowolenia wynikającego z kłamstwa, które nie przydało się jej na nic, wobec tego człowieka, przed którym nic ukryć nie było można — cóż ona uczyni, jeżeli tu przyjdzie?

— Nic, księżno. Powie tylko Waszej Wysokości, że pragnie mi towarzyszyć będąc moją żoną.

Ta odpowiedź uspokoiła księżnę, gdyż przypomniała sobie skargi i żale Lorenzy.

— Pańską żoną — odezwała się — czy pan jest tego pewny?

Nuta oburzenia zadźwięczała w jej głosie.

— Mógłbym rzeczywiście mniemać, że Wasza Wysokość mi nie wierzy — odrzekł hrabia uprzejmie. — Nie ma w tym jednak nic nadzwyczajnego, że hrabia de Foenix ożenił się z Lorenzą Feliciani i że skoro się z nią ożenił upomina się o swą żonę.

— O! Nie! — zawołała księżna Ludwika ze zniecierpliwieniem. — Pan śmiesz twierdzić, że Lorenza Feliciani jest pańską żoną?

— Tak jest — odezwał się hrabia spokojnie. — Śmiem twierdzić, bo tak jest.

— Więc pan jesteś mężem Lorenzy?

— Tak, mężem Lorenzy.

— Mężem ślubnym?

— Jak najprawowitszym. A jeżeli pani mi nie dowierza, co mi uwłacza...

— To cóż pan zrobi?

— Pokażę zaraz akt urzędowy naszego ślubu podpisany przez księdza, który nas połączył.

Księżna drgnęła. Taki spokój i pewność siebie zachwiały jej przekonanie.

Hrabia wyjął z pugilaesu papier złożony we czworo.

— Oto dowód, że mówią prawdę i że mam prawo upomnieć się o tę kobietę. Podpis jest wiarygodny. Maże Wasza Wysokość zechce przeczytać akt i sprawdzić podpis?

— Podpis — wyszeptła księżna szyderczo i powątpiewaniem, bardziej dla hrabiego upokarzającym niż poprzednio jej gniew — a jeżeli ten podpis...

— Jest to podpis proboszcza parafii św. Jana ze Strasburga. Proboszcza tego dobrze zna książe Ludwik, kardynał de Rohan, i gdyby Jego Eminencja był tutaj...

— Właśnie kardynał jest tutaj — zawołała księżna przeszywając hrabiego wzrokiem. — Jego Eminencja nie wyjechał jeszcze z Saint-Denis, przebywa teraz u kanoników katedralnych, nie ma też nic prostszego, jak sprawdzić te co pan mówi, według pańskiego życzenia...

— Jest to dla mnie prawdziwe szczęście — odrzekł hrabia powoli wkładając papier do pugilaesu — gdyż po tym sprawdzeniu ustaną wszelkie niesłuszne podejrzenia jakie Wasza Wysokość względem mnie żywi.

— O, tyle bezczelności oburza mnie — zawałała księżna pociągając za dzwonek. — Siostro! Siostro!

Nadbiegła zakonnica, która poprzednio wprowadziła tu hrabiego de Foenix.

— Niech natychmiast konny posłaniec — rzekła księżna — zawiezie bilecik kardynałowi Rohan. Znajdzie go w kapitule katedralnej. I niech kardynał przybywa tu niezwłocznie. Czeka na niego.

Mówiąc to księżna pośpiesznie napisała parę słów na karteczce, którą wręczyła zakonnicy. Przy czym dodała po cichu.

— Postawić w korytarzu dwóch łuczników z konnej policji i nikogo niech nie wypuszczają bez mojego pozwolenia. Idź!

Hrabia zauważył, że księżna postanowiła walczyć z nim do końca, toteż gdy pisała zbliżył się do drzwi gabinetu i utkwivszy weń oczy wykonał rękoma kilka ruchów, wymawiając jednocześnie po cichu kilka słów.

Księżna, która w tym momencie odwróciła się, ujrzała go w tej postawie.

— Co pan robi? — zapytała.

— Wzywam Lorenzę Feliciani, ażeby tu przyszła sama dla potwierdzenia dobrowolnie i własnymi słowami, że nie jestem oszustem ani fałszerzem, co nie przeszkadza, że gotów będę złożyć Waszej Wysokości wszelkie inne dowody jakich możesz pani zażądać.

— Panie!

— Lorenzo Feliciani — krzyknął hrabia. — Lorenzo Feliciani wyjdź z tego gabinetu i chodź tu, chodź...

Ale drzwi nie otwierały się.

— Chodź! Ja tak chcę! — powtórzył hrabia.

Klucz zgrzytnął w zamku, a księżna z ogromnym przerażeniem ujrzała wchodzącą Lorenzę z oczami zwróconymi ku hrabiemu, bez śladu gniewu lub nienawiści w wyrazie twarzy.

— Co ty robisz, moje dziecię? Co czynisz? — zawołała księżna Ludwika. — Po co wracasz do człowieka, od którego uciekałaś? Wszak powiedziałam ci, że jesteś tutaj bezpieczna.

— Ona jest równie bezpieczna w moim domu — odparł hrabia. A zwróciwszy się do Lorenzy rzekł:

— Wszak prawda, Lorenzo, że nic ci u mnie nie grozi?

— Tak jest — odpowiedziała młoda kobieta.

Księżna w najwyższym zdumieniu złożyła ręce i opadła na fotel.

— A ja, Lorenzo — odezwał się hrabia łagodnym głosem, w którym jednak wyczuwało się rozkaz — ja oskarżony jestem o to, że używałem przeciw tobie przemocy. Powiedz sama czy kiedykolwiek zmuszałem cię do czego?

— Nigdy — odpowiedziała młoda kobieta głosem pewnym i dobitnym, ale temu zaprzeczeniu nie towarzyszył nawet najmniejszy gest.

— Więc cóż znaczy cała ta historia o porwaniu, którą mi opowiadałaś? — zawołała księżna.

Lorenza milczała. Patrzyła na hrabiego, jak gdyby jej życie i słowa jakie wymawiała, zależały tylko od niego.

— Jej Wysokość pragnie zapewne wiedzieć jakim sposobem wyszłaś z klasztoru, Lorenzo? Opowiedz wszystko poczynawszy od chwili, kiedy zemdlałaś na chórze, aż do twego obudzenia się w powozie pocztowym.

Lorenza nadal milczała.

— Opowiedz wszystko szczegółowo — rzekł hrabia — ja tego chcę.

Lorenza zadrżała.

— Nie przypominam sobie — odrzekła,

— Szukaj we wspomnieniach, musisz sobie przypomnieć.

— A! Tak rzeczywiście — odezwała się Lorenza tym samym monotonnym głosem — przypominam sobie.

— Mów!

— Kiedy zemdlałam w chwili, gdy nożyczki dotykały mych włosów przeniesiono mnie do celi i położono do łóżka. Matka moja siedziała przy mnie do wieczora, a gdy przytomność nie wracała posłano po wiejskiego felczera. Ten zbadał puls, przybliżył lusterko do moich ust i przekonawszy się, że tętno i oddech ustały, oświadczył, że umarłam.

— Lecz w jaki sposób możesz o tym wiedzieć? — zapytała księżna.

— Jej Wysokość pragnie wiedzieć jakim sposobem wiesz o tym — powtórzył hrabia.

— Dziwna rzecz — odrzekła Lorenza — widziałam i słyszałam, tylko nie mogłam otworzyć oczu, ani się poruszać. Byłam jakby w letargu.

— Istotnie — wtrąciła księżna. — Tronchin mówił mi nieraz o ludziach będących w letargu, których pochowano żywcem. Opowiadaj dalej, Lorenzo.

— Matka moja rozpacziała i nie chciała uwierzyć, że umarłam. Oświadczyła, że spędzi przy mnie noc i dzień następnny. Uczyniła jak postanowiła, lecz minęło trzydzieści sześć godzin, podczas których

mnie doglądała, a ja ani drgnęłam, ani odetchnęłam. Na usilne nalegania mojej matki pozwolono jej pozostać przy mnie jeszcze przez całą noc z poniedziałku na wtorek. We wtorek rano leżałam nadal tak samo nieruchoma i bez czucia.

Matka oddaliła się wreszcie całkiem złamana. Zapalono świece w kaplicy, w której miałam być wystawiona, według zwyczaju przez jeden dzień i jedną noc.

Po odejściu matki weszły żałobnice do mego pokoju, a ponieważ nie wykonałam jeszcze ślubów, ubrały mnie w białą suknię, włożyły na głowę wianek z białych róż, złożyły ręce na piersiach, po czym zażądały trumny.

Gdy przyniesiono trumnę zimny dreszcz przebiegł moje ciało, bo powtarzam, mimo zawartych powiek widziałam wszystko tak, jakbym miała oczy otwarte.

Złożono mnie do trumny.

Po czym wyniesiono mnie z odkrytą twarzą według włoskiego zwyczaju, do kaplicy. Tam postawiono trumnę na środku chóru i otoczono gorejącymi świecami. Kropielnicę postawiono u nóg.

Przez cały dzień wieśniacy z Subiaco odwiedzali kaplicę, modlili się za mnie i skrapiali moje ciało święconą wodą.

Nadszedł wieczór. Odwiedziny ustały. Zamknięto od wewnątrz drzwi kaplicy z wyjątkiem małej furtki. Pozostała przy mnie tylko jedna siostra szpitalna.

Podczas mojego snu dręczyła mnie okropnie myśl, że nazajutrz odbędzie się mój pogrzeb i że zostanę pogrzebana żywcem jeśli nie ocali mnie jakiś cud.

Słyszałam jak na zegarach wybijały kolejno godziny: wybiła dziewiąta, dziesiąta, potem jedenasta.

Każde uderzenie zegara na nowo ścisnęło me serce, bo oczekiwałam czegoś okropnego: pogrzebowego dzwonu na własną śmierć.

Ileż wysiłków włożyłam w to, żeby przerwać ten lodowaty sen, żeby zerwać żelazne więzy, które przykuwały mnie do trumny. Bóg jeden wie i widział to, skoro się zlitował nade mną.

Północ wybiła.

W tej to chwili zdawało mi się, że moim ciałem, wstrząsnął konwulsyjny dreszcz, podobny do tego jakiego doznawałam zwykle za zbliżeniem się Acharata do mnie. Potem zabiło moje serce, wreszcie ujrzałam go wchodzącego przez furtkę do kaplicy.

— Czy doświadczyłaś wówczas lęku? — zapytał hrabia de Foenix,

— Nie, nie. To było szczęście, radość, to był zachwyt, bo domyślałam się, że przyszedł uratować mnie od tej strasznej śmierci, której się tak bałam. Szedł wolno ku mojej trumnie. Potem popatrzył na mnie ze smutkiem i po chwili rzekł do mnie: „Wstań i idź”.

Więzy krępujące moje ciało prysnęły natychmiast. Na wezwanie tego potężnego głosu wstałam i wyszłam z trumny. „Czyś zadowolona, że żyjesz?” — zapytał mnie. „O bardzo!” — odpowiedziałam. „A więc chodź ze mną”.

Siostra szpitalna wyznaczona do odprawiania obrządku żałobnego przy mnie, odprawivszy go poprzednio przy tylu innych nieboszczykach, spała spokojnie siedząc na krześle. Przeszłam obok niej nie budząc śpiącej i... poszłam za tym, który po raz drugi wyratował mnie od śmierci.

Wyszliśmy na podwórze. Zobaczyłam znów na niebie roziskrzone gwiazdami niebo, którego nie miałam już nadziei ujrzeć. Wdychałam świeże powietrze nocne, którego umarli nie czują, a które jest tak przyjemne dla żyjących.

— Teraz — rzekł do mnie — zanim opuścisz klasztor wybieraj: Czy chcesz, być zakonnica, czy wolisz iść za mną.

— Wolę iść z panem — odrzekłam.

— A więc chodźmy! — powiedział po raz wtóry. Przyszliśmy do furty. Była zamknięta.

— Gdzie są klucze — zapytał mnie.

— W kieszeni siostry furtianki.

— Wejdź do celi furtianki bez hałasu, weź klucz od furty i przynieś.

Usluchałam. Drzwi od celi nie były zamknięte. Poszłam prosto do krzesła, gdzie wisiała odzież furtianki i znalazłam w kieszeni klucze. Z całego pęku wybrałam klucz od furty i wyszłam.

W pięć minut później furta była otwarta, a my na ulicy.

Wtedy podał mi rękę i pobiegliśmy na drugi koniec wsi Subiaco. O sto kroków za ostatnim domem stał już zaprzężony pojazd pocztowy. Wsiadliśmy do niego, a konie ruszyły galopem.

— Czy nie padłaś ofiarą jakiejś przemocy, jakiejś groźby? Czy pojechałaś dobrowolnie z tym człowiekiem? — spytała księżna.

— Jej Królewska Wysokość zapytuje cię, Lorenzo, czy nie zmusiłem cię przemocą do pojechania ze mną.

— Nie.

— A dlaczego z nim pojechałaś?

— Bowiem kochałam go!

Hrabia de Foenix zwrócił się w stronę księżnej z uśmiechem triumfu.

LII. JEGO EMINENCJA KARDYNAŁ DE ROHAN

Wszystko to, co się działo na oczach księżnej, było tak niezwykle, że nie będąc wcale zabobonna, lecz posiadając dużą wrażliwość, zapytywała sama siebie czy człowiek ten nie jest rzeczywiście czarnoksiężnikiem, skoro potrafi kierować według swej woli sercami i umysłami ludzi.

Tymczasem hrabia de Foenix nie chciał i na tym poprzestać.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł. — Wasza Wysokość usłyszała z ust Lorenzy tylko część naszej historii. Mogłaby więc Wasza Wysokość mieć jeszcze jakieś podejrzenia, gdyby i reszty nie dowiedziała się od niej samej.

I odwróciwszy się do młodej kobiety mówił:

— Czy przypominasz sobie, kochana Lorenzo, dalszy ciąg naszej podróży? Wszak zwiedziliśmy razem Mediolan, jezioro Maggiore, Oberland, górę Righi i wspaniały Ren, który jest Tybrem Północy.

— Tak, przypominam sobie — odpowiedziała młoda kobieta, tym samym monotonnym głosem — Lorenza widziała to wszystko.

— Pod przymusem, nieprawdaż moje dziecko? Ustępowałaś przemożnej sile sama o tym nie wiedząc? — zapytała księżna.

— Skądże te przypuszczenia, kiedy to wszystko, o czym Wasza Wysokość słyszy, świadczy zgoła o czym innym. Wreszcie, jeśli potrzeba rzeczowego dowodu, świadectwa wiarygodnego, to proszę — oto list własnoręcznie pisany przez Lorenzę. Byłem zmuszony, wbrew mojej woli, zostawić ją samą w Moguncji, a ona tęskniła do mnie i podczas mojej nieobecności napisała do mnie ten list, który Wasza Wysokość może przeczytać.

Hrabia wyjął list z pugilaresu i podał księżnej. Księżna przeczytała:

*„Wracaj Acharacie. Brak mi wszystkiego, gdy ciebie nie ma przy mnie. Mój Boże! Kiedyż będę twoją na wieki?
Lorenza”*

Księżna wstała z błyskiem gniewu w oczach i zbliżała się do Lorenzy z listem w ręku.

Ta jednak nie widziała, ani nie słyszała księżnej, widziała i słyszała tylko hrabiego.

— Rozumiem — odezwał się hrabia, który postanowił do końca być tłumaczem młodej kobiety — Wasza Wysokość wątpi i chce wiedzieć czy to jest własnoręcznie pisany list Lorenzy? Dobrze. Objasni Waszą Wysokość ona sama. Lorenzo! Powiedz-kto napisał ten list?

I wzięwszy list wcisnął go w rękę młodej kobiety. Ta zaś przycisnęła go do serca.

— Lorenza!... — odpowiedziała.

— A czy Lorenza zna jego treść?

— Zna.

— Zatem powiedz księżnej, co jest w tym liście, aby nie sądziła, że ja oszukuję mówiąc, że mnie kochasz. Powiedz! Chcę tego.

W zachowaniu Lorenzy znać było wysiłek, ale nie rozwijając listu i nie zbliżając go do oczu — odczytała:

„Wracaj Acharacie. Brak mi wszystkiego, gdy ciebie nie ma przy mnie. Mój Boże! Kiedyż będę twoją na wieki?

Lorenza”

— To nie do wiary — odezwała się księżna — ja jeszcze nie wierzę. W tym wszystkim jest coś niepojętego, nadprzyrodzonego.

— Ten oto list — ciągnął dalej hrabia, jakby nie słyszał słów księżnej Ludwiki — ten oto list zniewolił mnie do przyśpieszenia naszego ślubu. Kochałem Lorenzę tak, jak i ona mnie. Położenie nasze dawało powód do krzywdzących Lorenzę domysłów. Przy tym, w burzliwym życiu jakie prowadzę mogło mnie spotkać nieszczęście, mogłem umrzeć, a chciałem, aby na wypadek mojej śmierci, cały mój majątek dziedziczyła Lorenza. Po przyjeździe więc do Strasburga pobraliśmy się.

— Pobraliście się?

— Tak jest.

— Niemożliwe.

— Dlaczego proszę Waszej Wysokości — podchwycił hrabia uśmiechając się. Cóż w tym niemożliwego, że hrabia de Foenix żeni się z Lorenzą Feliciani?

— Bowiem ona sama zapewniała mnie, że nie jest pańską żoną.

Hrabia, nie odpowiedziawszy księżnej, zwrócił się do Lorenzy:

— Czy przypominasz sobie, którego dnia pobraliśmy się?

— Pamiętam — odpowiedziała. — Było to trzeciego maja.

— A gdzie?

— W Strasburgu.

— W którym kościele?

— W samej katedrze, w kaplicy Świętego Jana.

— Czyś się opierała temu związkowi?

— O! Nie. Znadto byłam szczęśliwa.

— Bo widzisz, Lorenzo — ciągnął hrabia dalej — księżna mniema, że cię do tego zmuszono. Powiedziano jej, że mnie nienawidzisz.

Mówiąc te słowa hrabia ujął Lorenzę za rękę.

Młoda kobieta zadrżała od szczęścia.

— Ja miałabym cię nienawidzić? — wyrzekła. — O nie! Ja ciebie Kocham! Jesteś dobry, wspaniałomyślny, potężny!

— A od czasu, od kiedy jesteś moją żoną, powiedz Lorenzo, czy nadużyłem kiedykolwiek swych praw małżeńskich?

— Nigdy. Szanowałeś mnie jak córkę i jestem twoją przyjaciółką czystą i bez zmyy.

Hrabia zwrócił się do księżnej, jakby chciał powiedzieć: „słyszysz pani?”

Ta w przerażeniu cofnęła się do stóp Chrystusa z kości słoniowej, zawieszzonego na murze, na tle czarnego aksamitu.

— Czy to już wszystko, czego Wasza Wysokość chciała się dowiedzieć? — zapytał hrabia puszczając rękę Lorenzy.

— Panie! Nie zbliżajcie się oboje do mnie — zawołała księżna.

W tej chwili dał się słyszeć turkot pojazdu, który zatrzymywał się przed wrotami klasztoru.

— Otóż i kardynał — krzyknęła księżna. — Dowiemy się nareszcie, co wypada nam czynić.

Hrabia de Foenix skłonił się, powiedział parę słów do Lorenzy i oczekiwał ze spokojem człowieka, który jest przeświadczony o tym, że panuje nad wypadkami.

W chwilę później otworzyły się drzwi i oznajmiono przytocie Jego Eminencji kardynała de Rohan.

Księżna uspokojona jego przybyciem usiadła z powrotem w swoim fotelu, mówiąc:

— Prosić.

Kardynał wszedł.

Zaledwie jednak skłonił się księżnej, spostrzegł Balsamo.

— A! To pan? — rzekł ze zdziwieniem.

— Eminencja zna tego pana? — zapytała księżna coraz bardziej zdziwiona.

— Znam — odrzekł kardynał.

— To musi nam powiedzieć — zawołała księżna Ludwika — kim on jest?

— Nic łatwiejszego — odparł kardynał. — Ten pan jest czarnoksiężnikiem.

— Czarnoksiężnikiem — wyszeptła księżna.

— Przepraszam — rzekł hrabia. — Jego Eminencja wytłumaczy to lepiej, ku zadowoleniu nas wszystkich.

— Czy ten pan wywróżył także coś Waszej Wysokości, że Ją znajduję tak wzburzoną? — zapytał kardynał.

— Akt ślubu! Proszę natychmiast o ten akt! — zawołała księżna.

Kardynał spojrział na nią zdziwiony, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Oto jest powiedział hrabia — podając papier kardynałowi.

— Cóż to znaczy? — zapytał de Rohan.

— Eminencjo — rzekła księżna — idzie o to, żeby się dowiedzieć czy podpis jest prawdziwy i czy akt jest ważny,

Kardynał przeczytał papier, który mu podała księżna.

— Akt ten — powiedział — jest metryką ślubu należycie sporządzoną, a podpis księdza Remy, proboszcza kaplicy świętego Jana... Ale cóż to obchodzi Waszą Wysokość?

— Och! Bardzo wiele, a więc podpis...?

— Prawdziwy. Co nie znaczy, że nie jest on wymuszony.

— Wymuszony, prawda? — zawołała księżna.

— I zezwolenie Lorenzy także, prawda? — rzekł hrabia ironicznie zwracając się do księżnej.

— Ale jakimi środkami, powiedz kardynale, jakimi środkami można było wymóc ten podpis? Powiedz, czy wiesz? — pytał dalej hrabia.

— Środkami jakie są w mocy pana, czarnoksiężskimi.

— Czarnoksiężskimi...? — powtórzyła księżna.

— Tak, ten pan jest czarnoksiężnikiem. Powiedziałam to i twierdzenia mego nie cofam.

— Wasza Eminencja żartuje — powiedział hrabia.

— Wcale nie. A na dowód tego co twierdzę, muszę się z panem, wobec Jej Wysokości, rozmówić stanowczo.

— Właśnie miałem o to prosić Waszą Eminencję — rzekł hrabia.

— Wybornie, lecz proszę pamiętać, że ja stawiam pytania — odparł kardynał wyniośle.

— Proszę pamiętać, że na wszelkie zapytania odpowiem, nawet wobec Jej Wysokości, ale pewny jestem, że Eminencja nie zawsze będzie sobie tego życzył.

Kardynał uśmiechnął się.

— Zadanie czarnoksiężnika, mój panie, jest trudnym w tych czasach. Widziałem pana w działaniu, miałeś ogromne powodzenie, lecz nie wszyscy, uprzedzam pana, będą mieli cierpliwość, a przede wszystkim, wspaniałomyślność narzeczonej delfina.

— Narzeczonej delfina? — zawołała księżna.

— Tak jest — odezwał się hrabia. — Miałem zaszczyt być przedstawiony Jej Królewskiej Wysokości.

— A powiedz pan, jak się wywdzięczyłeś za ten zaszczyt?

— Niestety, gorzej niżbym tego pragnął, gdyż nie czuję nienawiści do ludzi, a w szczególności do kobiet.

— I cóż pan powiedział mojej dostojnej siostrzenicy? — zapytała księżna.

— Miałem nieszczęście — odrzekł hrabia — na Jej zapytanie odpowiedzieć prawdę.

— Tak. Prawdę... Prawdę, która była powodem jej zemdlenia.

— Czyż to moja wina — przerwał hrabia potężnym głosem, tak donośnie rozbrzmiewającym w pewnych chwilach — czy to moja wina, że ta prawda była tak okropna? Czy to ja szukałem księżnej? Czy ja prosiłem o przedstawienie mnie?

Nie, przeciwnie, unikałem tego. Przyprawiono mnie do niej siłą. Pytała mnie rozkazując.

— Lecz jakaż to była ta okropna prawda, którą jej pan powiedział? — spytała księżna.

— Ja? Tylko odsłoniłem przed nią przyszłość.

— Przyszłość?

— Przyszłość, która tak dalece przeraża Waszą Wysokość, żeś się przed nią schroniła do klasztoru, aby walczyć przeciw niej u stóp ołtarza modlitwą i łzami.

— Panie!

— Czyż to moja wina, że księżna poczuła tę przyszłość, jako osoba święta, że mnie zaś objawiła się jako prorokowi. Czy to moja wina, że narzeczona delfina przeraziła się przyszłości, która jej grozi?

— Słyszysz pani? — podchwycił kardynał.

— Niestety! — odparła księżna.

— Bo jej panowanie nosi piętno potępienia — zawołał hrabia — jako panowanie najbardziej fatalne najniebezpieczniejsze w całej monarchii.

— Panie! — zawołała księżna.

— Zapewne dzięki swym modłom Wasza Wysokość tych okropności nie zobaczy. Będzie już wtedy na łanie Stwórcy. Módlcie się! Módlcie!

Księżna, pod wpływem tych prorocत्व tak bardzo zbliżonych do jej własnych obaw, padła na kolana u stóp krzyża i zaczęła się modlić gorąco.

Wtedy hrabia zwrócił się do kardynała, i pociągając go w stronę wnęki okiennej, rzekł:

— Teraz kolej na nas, kardynale. Czego pan sobie ode mnie życzy?

Kardynał stanął obok hrabiego.

Księżna pod krzyżem modliła się żarliwie. Lorenza nieruchoma, niema, z oczami rozwartymi i bez wyrazu stała na środku pokoju. Dwaj mężczyźni stali przy oknie. Hrabia oparł się o framugę okienną, kardynał stał na wpół ukryty za firankami.

— Czego pan ode mnie chce — powtórzył hrabia.

— Chcę wiedzieć, kim pan jest?

— Pan to dobrze wie.

— Ja?

— Tak. Czyż Eminencja nie powiedział, że jestem czarnoksiężnikiem?

— Rzeczywiście. Lecz wtedy nazywałeś się pan Józef Balsamo, teraz zaś hrabią de Foenix.

— Czegóż to dowodzi? Tylko tego, że zmieniłem nazwisko, nic więcej.

— Musisz pań chyba wiedzieć, że takie zmiany dałyby wiele do myślenia panu de Sartines?

Hrabia uśmiechnął się.

— To walka niegodna nazwiska Rohanów. Jak to? Wasza Eminencja wszczyna spór o słowa? Czyż więc nie można mi już nic gorszego zarzucić?

— Zdaje mi się, że chce pan być złośliwy — rzekł kardynał.

— Nie chcę, ale to już leży w moim usposobieniu.

— Jeśli tak, potrafię się odwzajemnić.

— W jaki sposób?

— Wydam zaraz rozkaz, ażeby pana uwięziono. Wtedy dowiemy się na pewno kim jest ten baron Józef Balsamo i hrabia de Foenix w jednej osobie, potomek znakomitego drzewa genealogicznego, którego nie znalazłem w żadnym, spisie heraldycznym w Europie.

— Czemuż się pan nie zapytał o mnie swego przyjaciela pana de Breteuil? — odezwał się Balsamo.

— Pan de Breteuil nie jest moim przyjacielem — powiedział kardynał.

— To chyba teraz nim nie jest. Lecz był nim i to jednym z najlepszych. Przecież pan pisał do niego pewien list...

— Jaki list? — zapytał kardynał zbliżając się do hrabiego.

— Bliżej, kardynale, bliżej. Nie chciałbym mówić głośno, żeby nie skompromitować Waszej Eminencji.

Kardynał przysunął się jeszcze bliżej.

— O jakim liście chcesz pan mówić? — zapytał.

— O! Pan wie dobrze.

— Proszę jednak powiedzieć.

— A więc o liście, który Wasza Eminencja napisał z Wiednia do Paryża, żeby zerwać małżeństwo delfina.

Rohan drgnął przerażony.

— List... — wybełkotał.

— Umieję go na pamięć.

— To zdrada pana de Breteuil.

— Dlaczego?

— Bo zażądałem zwrotu, gdy małżeństwo zostało postanowione.

— A co on odpowiedział?

— Że go spalił.

— Nie śmiał się przyznać, że go zgubił.

— Zgubił?

— A list zgubiony, jak pan rozumie... może być znaleziony. Ja go znalazłem. O! Przypadkiem, przechodząc przez marmurowe podwórze w Wersalu.

— I pan go nie kazał oddać panu de Breteuil?

— Daleki byłem od tego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jako czarnoksiężnik, wiedziałem dobrze, że choćbym rad mu nieba przychylić, Wasza Eminencja czuje do mnie śmiertelny gniew. Zatem rozumie mię pan... Człowiek bez broni, gdy przechodzi przez las i wie, że go napadną, a znajduje na drodze nabyty pistolet...

— To cóż?

— Człowiek taki byłby głupcem, gdyby nie uzbroił się w ten pistolet.

Kardynał się zachwiał i musiał się oprzeć o framugę okna. Po chwili wahania, które hrabia zauważył rzekł:

— Niech i tak będzie. Lecz nikt nie powie, że książę mego rodu ugiął się przed szarlatanem. Choćby ten list zginął, choćby go pan znalazł, choćby go pokazano samej narzeczonej delfina, choćby ten list miał mnie zgubić, jako męża stanu, pozostanę szczerym poddanym, wiernym ambasadorem. Powiem to co jest prawdą, że podług mego przekonania związek ten. był szkodliwy dla naszego kraju, a mój kraj będzie mnie bronił, albo będzie mnie żałował.

— A jeżeli znajdzie się ktoś — przerwał hrabia — do powie, że ów ambasador młody, przystojny, pewny siebie, dumny ze swego rodu de Rohan i książęcego tytułu, usiłował zerwać związek austriacki nie dlatego, że uważał go za szkodliwy dla interesów Francji, lecz że będąc zrazu przyjęty uprzejmie przez arcyksiężniczkę Marię Antoninę pomyślał w próżności i zaślepieniu, że widzieć może w tej uprzejmości wzajemność? Cóż na to odpowie szczerzy poddany i wierny ambasador?

— Zaprzeczy wszystkiemu, bo nie ma żadnego dowodu, aby to uczucie kiedykolwiek istniało.

— O! Przeciwnie. Myli się Eminencja. Pozostała oziębłość kobiety względem niego.

Kardynał się zawahał.

— Wierzaj mi, mości książę — powiedział hrabia Foenix — że zamiast walczyć, co już niechybnie by nastąpiła, gdybym nie miał więcej rozsądku od pana, zostanmy raczej dobrymi przyjaciółmi

— Dobrymi przyjaciółmi?

— Dlaczego nie? Dobrymi przyjaciółmi są ci, którzy nam wyświadczają przysługi.

— Nie żądałem ich od pana.

— Myli się pan wielce, bo będąc od dwóch dni w Paryżu...

— Ja?

— Tak jest, mości książę. Ale po cóż to ukrywać przede mną, skoro jestem czarnoksiężnikiem? Eminencja się rozstał z księżną w Soisson, po czym przyjechał pocztą do Paryża przez Villers, Cotterets i Dommartin, czyli najbliższą drogą i zażądał Eminencja od swoich dobrych przyjaciół usług, których ci odmówili. Po tym zawodzie powrócił Eminencja do Compiègne zrozpaczony.

Kardynał był przerażony.

— A jakiegoż rodzaju usług mógłbym się spodziewać od pana — zapytał — gdybym się do niego zwrócił?

— Takich jakich się żąda od człowieka, który robi złoto!

— I cóż mnie obchodzi, że pan robisz złoto?

— Do licha! Kto potrzebuje zapłacić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin pięćkroć sto tysięcy franków, zdaje mi się pięćkroć sto tysięcy franków?

— Tak. Właśnie tyle!

— I pan pyta co go może obchodzić posiadanie przyjaciela, który robi złoto? U niego to trzeba szukać tych pięciuset tysięcy franków, których inni odmówili.

— A gdzie? — zapytał kardynał.

— Przy ulicy Saint-Claude, w dzielnicy Marais.

— A po czym poznam ten dom?

— Po brązowym łbie gryfa, który służy jako młotek przy bramie.

— Kiedy mogę tam przybyć?

— Pojutrze, koło szóstej wieczorem, jeżeli łaska, po czym...

— A potem?

— Ile razy i kiedykolwiek spodoba się waszej książęcej mości tam przybyć. Lecz nasza rozmowa kończy się w samą porę, bo oto właśnie księżna przestała się modlić.

Kardynał został zwyciężony. Nie próbował się nawet opierać. A zbliżając się do księżnej rzekł:

— Zmuszony jestem przyznać, że hrabia de Foenix ma zupełną słuszność. Akt, który posiada jest najzupełniej ważny, a objaśnienia jakich mi udzielił całkowicie mi wystarczają.

Hrabia się skłonił.

— Co Wasza Królewska Wysokość rozkazać teraz raczy — rzekł hrabia.

— Chcę powiedzieć jedno, ostatnie słowo do tej młodej kobiety.

Hrabia skłonił się po raz drugi na znak zgody.

— Czy z twojej własnej i wyłącznej woli chcesz opuścić klasztor w Saint-Denis, dokąd przybyłaś żądając schronienia?

— Jej Wysokość — podjął żywo Balsamo — zapytuje cię, czy z twojej własnej i wyłącznej woli chcesz opuścić klasztor w Saint-Denis, dokąd przybyłaś żądając schronienia. Odpowiadaj Lorenzo.

— Tak jest. Z mojej własnej i wyłącznej woli — odpowiedziała młoda kobieta.

— Po to, ażeby pójść za swym mężem, hrabią de Foenix — zapytała księżna.

— Po to, ażeby pójść za mną? — powtórzył hrabia.

— O! Tak — rzekła Lorenza.

— W takim razie nie zatrzymuję was. Byłoby to zadawaniem gwałtu waszym uczuciom. Jeśli jednak w tym wszystkim jest coś, co przekracza naturalny porządek rzeczy, niech kara Przedwiecznego spadnie na tego, który dla swej korzyści lub dla własnych celów, zamącił równowagę natury. Odejdź hrabio Foenix! Odejdź Lorenzo Feliciani! Nie zazatrzymuję was... Ale zabierz swoje klejnoty.

— Są przeznaczone dla ubogich — rzekł hrabia — a jałmużna rozdana rękami Waszej Wysokości będzie podwójnie miła Bogu. Pragnę tylko odebrać mego konia Dżerida.

— Może go pan odebrać zaraz przy wyjściu.

Hrabia skłonił się księżnej i podał rękę Lorenzie, na której ta wsparła się, po czym wyszła z Balsamo nie wymówiwszy ani słowa.

— O! Eminencjo! — odezwała się księżna, potrząsając smutnie głową — są rzeczy niepojęte, a straszne na świecie, w którym żyjemy.

ROZDZIAŁ LIII. POWRÓT Z SAINT-DENIS

Gilbert — jakżeśmy to już powiedzieli — po rozstaniu się z Filipem wmieszał się w tłum. Ale tym razem serca jego już nie przepelniała wezbrana fala radosnego oczekiwania. Przeciwnie, serce jego przepelnione było żalem i goryczą. Przyjęcie, jakiego doznał od Filipa, który był gotów wyświadczyć mu przyjacielską przysługę, nie mogło ukoić jego głębokiej rany.

Andrea nie miała najmniejszego pojęcia o tym, że jej postępowanie w stosunku do Gilberta było okrutne. Piękna i łagodna dziewczyna ani przez chwilę nie przypuszczała, że jakaś radość czy cierpienie mogą być wspólne jej i synowi jej mamki. Za dumną była, aby zniżyć się kiedykolwiek do sfery ludzi niższego pochodzenia. Było dla niej zupełnie obojętne, czy jej uczucia rzucają na nich

światło lub cień. Tym razem chłód jej pogardy dotknął boleśnie Gilberta. Andrea postępując zgodnie ze swym usposobieniem, nie zdawała sobie nawet sprawy ze swej wyniosłej postawy.

Młody chłopak, jak rozbrojony gladiator musiał znosić jej wzgardliwy uśmiech i lekceważące słowa. Za młody był jeszcze, aby mógł znaleźć pociechę w filozoficznych poglądach, toteż pogrążył się w bezbrzeżnej rozpacz.

Torując sobie drogę wśród tłumu nie widział przed sobą nic — ani koni, ani ludzi. Z pochyloną głową gnał przed siebie, niby raniony odyniec. Gdy się przebił nareszcie, gdy rozejrzał się wokół siebie, odetchnął trochę swobodniej. Był przynajmniej samotny, był wśród zieloności nad wodą.

Zupełnie bezwiednie znalazł się nad brzegiem Sekwany, prawie naprzeciw wyspy Świętego Dionizego.

Wyczerpany rozpaczą, szarpiącą jego duszę, rzucił się na murawę i objawszy rękami głowę począł jęczeć jak zranione zwierzę, jakby te jęki mogły lepiej wyrazić jego ból niż słowa.

W tej to chwili wszystkie jego nadzieje jakkolwiek nieśmiałe i mgliste, jego chęć wybitcia się siłą geniuszu i pracy, jego pragnienia zdobycia w społeczeństwie takiego stanowiska, które zbliżyłoby go do ubóstwianej istoty — rozprysły się niby bańka mydlana. Cokolwiek by zdziałał, kimkolwiek by został, dla niej pozostanie tylko Gilbertem, istotą pogardzaną, niższą od niej, istotą, o którą jej ojciec niepotrzebnie się kiedyś troszczył.

Łudził się, że gdy Andrea zobaczy go w Paryżu, gdy się dowie jak wiele już zdziałał, z jaką energią postanowił walczyć z losem, jak postanowił pokonać wszystkie trudności i przeszkody — zechce mu sama dodać siły i odwagi słowem i wejrzeniem. Zamiast tego spotkał się z jej zimną, pogardliwą obojętnością.

Oburzona była przecież, gdy dowiedziała się, że miał kiedyś śmiałość spojrzeć na jej nuty, gdy śpiewała. Gdyby dotknął ich, choćby niechcący, prawdopodobnie rzuciłaby je bez namysłu w ogień.

Dla charakterów słabych zawód miłosny jest ciosem, który łamiąc serce wzmaga jeszcze bardziej ich miłość. Wyrażają cni swe uczucia przez łzy i zale. W takim wypadku w swej bierności podobni są do owcy stojącej pod nożem. Często z cierpieniem wiążą oni nadzieję, że spotka ich za to nagroda. Są przekonani, że ich cierpliwość doprowadzi w końcu, choćby nieprędko, do upragnionego celu.

Inaczej odczuwają zawód miłosny charaktery silne, miotane gwałtownymi uczuciami. Buntują się one tak bardzo przeciw własnemu cierpieniu, że ich miłość łatwo zamienia się w nienawiść.

Gilbert, powalony cierpieniem, nie był w stanie zdać sobie sprawy z tego, czy w tej chwili kochał czy nienawidził Andree. Czuł, że cierpi i buntował się przeciw cierpieniu, wiedząc, że musi postanowić coś, co mogłoby ukoić jego ból — Andrea mnie nie kocha — mówił sobie — ale czyż miałem prawo spodziewać się jej miłości? Powinnaby jednak mieć dla mnie tę choćby tylko obojętną sympatię, na jaką zasługuje każdy uczciwy człowiek borykający się z trudnościami, walczący odważnie z losem. Dlaczegoż jej brat rozumie mnie tak dobrze?... Kto wie może ty z czasem staniesz tak wysoko jak Colbert lub Vaubaa? — powiedział mi przed chwilą. I gdybym zdobył stanowisko równe jednemu lub drugiemu, pan Filip de Tavernay nie zawahałby się powierzyć mi losu swej siostry, oddałby mi ją za żonę równie chętnie, jak gdybym pochodził z wysokiego rodu. A zna przecież moje niskie pochodzenie! Ale dla niej... o, dla niej... czuję to teraz aż nadto dobrze... dla niej Colbert czy Vauban nie przestałby być Gilbertem. Nie przestałaby mną pogardzać za tę plamę, której zetrzeć nie jestem w stanie. Za to, że się urodziłem pod ubogim dachem.

Tak! taki Gdybym nawet potrafił zwyciężyć wszystkie przeszkody, gdybym dokonał czynów najbardziej bohaterskich, to aureola sławy, wyższość, jaką by mi świat przyznał, dla niej byłaby niczym. Dla niej pozostanę na zawsze istotą niższą, niegodną jej uznania, bo nierówną jej urodzeniem. O kobieto! Słaba istoto! Zbiorze wszelakich niedoskonałości!

Piękna, wyniosła postawa, wysokie czoło, oczy pełne blasku, czarujący głos — wszystko to zda się są oznaki równie szlachetnej duszy!... A jednak woale tak nie jest. Obok wspaniałej urody Andrea przesiąknięta jest przesądami swej kasty. Równymi jej wydają się owi bezmyślni! młokosi, co mając wszystkie warunki pozostają do samej śmierci głupcami. Dla niej oni — to mężczyźni, to ludzie, na których godzi się zwrócić uwagę. A Gilbert? Gilbert to pies. Mniej może nawet niż pies!... Zapytywała ramie o Mahona. O Gilberta nie zapytałaby na pewno nikogo!

Nie wie ona, że jestem im równy siłą, może nawet od nich silniejszy. Nie wie, że gdy przywdzieję strój, jaki oni noszą, będą tak samo piękny, nie wie ona, że mam żelazną wolę i gdy zechcę...

Zły uśmiech zarysował się w tej chwili na jego ustach. Nie skończył rozpoczętego zdania. Zmarszczył czoło i pochylił głowę na piersi.

Co się działo w jego duszy, jaka myśl straszliwa zrodziła się w jego głowie? Któż to potrafi odgadnąć?

Nic złego też zapewne nie domyślał się ów rybak, który kierując łódkę w stronę brzegu, nucił piosenkę o Henryku IV, nie domyślała się młoda kobieta, jak się zdaje praczka, która przechodząc obok niego mijając go ostrożnie, myśląc, że natrafiła na złodzieja, który czatuje na przechodniów.

Przeleżał tak nieruchomo, pogrążony w myślach około pół godziny, po czym powstał już spokojny i opanowany. Zeszedł nad brzeg rzeki, napił się wody, obejrzał wokoło i dostrzegł tłumy ludzi na drodze prowadzącej z Saint-Denis,

Spośród tej ciżby wynurzyły się karety jadące wolno w tłumie ludu zgromadzonego wzdłuż drogi do Saint-Ouen.

Ponieważ następczyni tronu chciała, aby uroczystość miała charakter rodzinny, gawiedz korzystała z tego na swój sposób. Czepiano się dworskich pojazdów, nieraz wdrapywano się aż na koźły, a służba dworska w myśl otrzymanych rozkazów nikomu nie czyniła w tym żadnych przeszkód.

Gilbert natychmiast poznał karete Andrei. Filip towarzyszył jej konno, przy drzwiczkach.

— Aha — rzekł do siebie Gilbert — dobrze. Muszę się dowiedzieć, gdzie jedzie. Pójdę w tamtą stronę.

I ruszył w ślad za kareta.

Następczyni tronu jechała na kolację, na którą została zaproszona przez Ludwika XV. Wziąć udział w kolacji mieli tylko najbliżsi członkowie rodziny: hrabia Prowansji i hrabia d'Artois, ale król pozwolił sobie na dziwną fantazję wpisując na listę zaproszonych i panią Dubarry, chociaż zaraz podał tę listę synowej wraz z ołówkiem i poprosił, aby skreśliła nazwiska tych osób, których towarzystwo jej nie odpowiada.

Następczyni tronu przebiegła wzrokiem listę, a gdy doszła do nazwiska faworyty zadrżała i pobladła, pomna jednak rad swej matki, stłumiła oburzenie a zwracając królowi listę i ołówek rzekła z uśmiechem:

— Bardzo mi będzie przyjemnie znaleźć się od razu w tak ścisłym gronie rodzinnym.

Gilbert nic o tym nie wiedział i ze zdziwieniem ujrzał pojazd pani Dubarry, eskortowany przez Zamorę na białym koniu.

Dzięki ciemności Gilbert nie został przez nikogo dostrzeżony. Wcisnął się w zarośla, położył na trawie i czekał.

Stary król był bardzo wesoły i ożywiony. Zachowanie się synowej względem pani Dubarry wprawiało go w zachwyty. Następca tronu nie podzielał naturalnie tej radości — posępny i milczący opuścił towarzystwo przed kolacją, oświadczywszy, że ból głowy zmusza go do udania się na spoczynek.

Kolacja, przeciągnęła się do jedenastej w nocy.

Osoby należące do świty, a w ich liczbie znajdowała się i Andrea, zasiadły w oddzielnym pawilonie i posilały się przy dźwiękach muzyki. Ponieważ pawilon ten okazał się za ciasny dla pomieszczenia w nim wszystkich, rozstawiono także stoły na trawnikach. Zasiadło parzy nich pięćdziesięciu panów. Usługiwała służba pałacowa we wspaniałych liberjach.

Gilbert ze swego ukrycia widział wszystko dokładnie. Wyjął z kieszeni kawałek chleba kupiony w Aichy-la-Garenne i zaczął zajadać, nie tracąc z oczu tego, co się przed nim działo.

Po kolacji następczyni tronu ukazała się na balkonie. Król był obok niej. Pani Dubarry z wrodzonym taktem, który budził podziw nawet u jej największych wrogów, pozostała w głębi pokoju.

Każdy z panów przechodził kolejno pod balkonem, i składał głęboki ukłon królowi oraz następczyni tronu. Ludwik XV wymieniał jej po nazwisku tych, których nie znała. Od czasu do czasu uprzejmie słówko lub wesoły żarcik wyrывał się z ust księżniczki, radując osobę, do której był zwrócony.

Gilbert przyglądał się z daleka tej scenie i myślał sobie:

— Toć ja przecie jestem wyższy od tych ludzi, bo za skarby całego świata nie zrobiłbym tego, co oni.

Przyszła kolej na pana de Taverney i jego rodzinę. Gilbert uniósł się w zaroślach, aby lepiej słyszeć i widzieć.

— Dziękuję ci, panie Filipie! Możesz odprowadzić ojca i siostrę — odezwała się następczyni tronu. Po czym zwróciwszy się do starego barona dodała:

— Nie mam jeszcze mieszkania dla pana, panie Taverney. Wracaj więc z córką do Paryża. Gdy zainstaluję się w Wersalu, nie omieszkać was do siebie wezwać.

Baron z synem i z córką skłonił się do samej ziemi. Następczyni powiedziała jeszcze coś do nich, ale Gilbert nie słuchał już dłużej. Wyszedł z ukrycia, przemknął zręcznie pomiędzy służbą i powozami, i zwrócił się ku rogatkom.

Ponieważ pan Tavenney przyjechał dworską kareta, odnaleziono ją niebawem i wkrótce ojciec, syn i córka byli gotowi do drogi.

— Siądź na kozioł obok stangreta, przyjacielu — powiedział Filip do lokaja, gdy ten zamykał drzwiczki powozu.

— A to po co? — zamruczał stary baron.

— Bo biedak ledwo się trzyma na nogach, taki strudzony. Od samego rana na służbie.

Gilbert nie usłyszał, co baron odpowiedział. Lokaj siadł na koźle.

Gilbert podsunął się bliżej.

W chwili kiedy kareta miała ruszyć, zauważono, że jeden rzemień lejc odwiązał się.

Stangret zszedł z koźła.

— To już chyba bardzo późno — odezwał się baron.

— Strasznie jestem znużona. Czy przynajmniej znajdę wygodne spanie? — wtrąciła Andrea.

— Mam nadzieję! — odpowiedział Filip. — Wysłałem z Soisson, La Briego i Nicole z listem do jednego z moich paryskich przyjaciół, prosząc, aby zamówił dla nas apartament, jaki zajmują jego matka i siostry, gdy przebywają w Paryżu. Lokal to niezbyt wspaniały ale dość wygodny. Obecnie nie chodzi nam o to, by imponować, lecz aby przeczekać.

— Na honor, Filipie — rzekł baron — przecież nie będzie nam gorzej niż w Taverney.

— Z pewnością, mój ojciec — rzekł Filip uśmiechając się smutno.

— Ile będziemy mieli pokoi? — zagadnęła Andrea.

— Zobaczysz wkrótce, moja droga — odpowiedział ojciec. — Czy dałeś, Filipie, adres stangretowi?

Gilbert miał nadzieję, że dowie się adresu. Stało się jednak inaczej. Związano rzemień, stangret wskoczył na kozioł i konie ruszyły.

— Mniejsza o to — szepnął Gilbert — pójdę za nimi. Wszak stąd nie więcej jak mila drogi do Paryża.

Ale, że konie dworskie biegną szybko, gdy ich tłum nie wstrzymuje, biedny Gilbert spostrzegł wkrótce, iż nie potrafi nadążyć za kareta. Nie namyślając się długo wskoczył na siedzenie w tyle pojazdu, wolne teraz, gdyż lokaj siedział obok stangreta. Natychmiast przyszło mu na myśl, że umieścił się w tyle karety Andrei, jakby był lokajem dziewczyny.

— O nie! — powiedział do siebie. — To miejsce nie dla mnie. Po czym chwycił się obydwiema rękami za antaby i jechał tak wisząc w powietrzu.

— Dowiem się, gdzie mieszka — rzekł do siebie po cichu — dowiem się koniecznie. Jeszcze jedna noc stracona, ale mniejsza o to. Wypocznę sobie jutro przepisując nuty. Zresztą mam jeszcze trochę pieniędzy i jeżeli zechcę, mogę sobie na to pozwolić, aby się parę godzin przespać.

Przejeżdżali w tej chwili przez wielki plac, na środku którego wznosił się pomnik.

— Zdaje się, że to Plac Zwycięstwa — pomyślał z radością i zdziwieniem.

Powóz skręcił. W oknie pojazdu ukazała się główka Andrei.

— Oto pomnik nieboszczyka króla. Zaraz będziemy na miejscu — powiedział Filip. Powóz toczył się po znacznej pochyłości. Gilbert o mało co nie spadł pod koła.

Zatrzymano się. Filip wyskoczył pierwszy, podał rękę siostrze, potem ojcu i wszyscy troje znaleźli się na ulicy.

Gdy powóz się zatrzymał, Gilbert zeskoczył, przebiegł na drugą stronę ulicy i stanął przyczaiwszy się za słupem.

— No, czy ci hultaje każą nam do rana czekać na ulicy? — zawołał gniewnie stary baron.

W tejże chwili otwarto drzwi, w których ukazali się La Brie i Nicole.

Podróżni zniknęli w ciemnym podwórzu i drzwi natychmiast zaryglowano.

Powóz ze służbą odjechał, wracając do królewskich stajen.

Dom, do którego weszli podróżni, nie miał w sobie nic szczególnego, ale karetą przejeżdżając oświetliła swymi latarniami sąsiedni dom i Gilbert przeczytał:

„Hotel d'Armenonville”

Nie wiedział dotąd, jak się nazywała ulica.

Poszedł w stronę, w którą odjechał powóz, doszedł do rogu i ze zdziwieniem zobaczył studnię, z której codziennie pijał.

O dziesięć kroków dalej, skręciwszy w inną ulicę, poznał piekarnię, gdzie kupował zwykle chleb.

Nie dowierając własnym oczom jeszcze raz wrócił na róg i przy bladym świetle latarni wyczytał napis, który zauważył trzy dni temu, gdy wracał z botanicznej wyprawy z panem Rousseau: „Ulica Plâtrière.”

Tak więc, mieszkał najwyżej o jakie sto kroków od mieszkania państwa Taverney. Miał ich równie blisko jak w Taverney.

Wkrótce potem znalazł się pod drzwiami swego mieszkania, namacał sznurek, pociągnął — drzwi się otworzyły. Wszedł na schody i dotarł do swej izdebki.

Znużenie fizyczne wzięło górę nad podnieceniem, toteż wkrótce zasnął twardym snem, zapominając o wszystkim.

ROZDZIAŁ LIV. PAWILON

Powróciwszy późno, Gilbert położył się zaraz spać i zasnął kamiennym snem. Ponieważ zapomniał zasłonić okno, słońce obudziło go już o piątej rano. Wstał zaniepokojony, że spał zbyt długo. Jako dziecko wsi Gilbert umiał oznaczyć czas według położenia słońca i ciepła oraz barw jego promieni. Pobiegnął poradzić się swojego zegara.

Bladość światła oświetlającego szczyty drzew uspokoiła go. Nie tylko nie zasnął, ale wstał za wcześnie.

Zajął się zaraz swoją toaletą i po chwili stanął ubrany przed oknem. Wystawił gorące czoło na orzeźwiający chłód poranka, poszukał wzrokiem pałacu d'Armenonville starając się rozpoznać dom, w którym zamieszkała Andrea.

Przypomniał sobie, jak pytała Filipa: „A czy są tam jakie drzewa?” O, gdyby zamieszkała w tym tu zupełnie pustyni domu, położonym w ogrodzie — pomyślał i jednocześnie spojrzął znowu w tamtą stronę, usłyszawszy jakiś hałas.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył otwierające się jedno okno pawilonu. Dość długo mocował się ktoś z tym oknem, widocznie z powodu spaczonych od wilgoci rana lub zardzewiałych zawiasów nie dawało się otworzyć. Na koniec pchnięte silnie, skrzypnęły okiennice, okno otwarło się na rozcież i ukazała się młoda dziewczyna zaczerwieniona z wysiłku i otrzępująca zakurzone ręce.

Zaskoczony Gilbert krzyknął i cofnął się o krok. Ta dziewczyna, zasnana jeszcze trochę, przeciągająca się i wdychająca rześkie powietrze — to była Nicole.

Nie miał już teraz żadnej wątpliwości. Wczoraj Filip oznajmił ojcu i siostrze, że La Brie i Nicole przygotowali dla nich mieszkanie. Pawilon więc był tym mieszkaniem. Dom przy ulicy Coq-Héron, do którego udali się podróżni, otoczony był ogrodem ciągnącym się aż do końca ulicy Plâtrière.

Gilbert cofnął się o krok, ponieważ nie chciał, aby go Nicole zauważyła w okienku na poddaszu. Gdyby mieszkał na pierwszym piętrze i gdyby przez otwarte okno można było dostrzec bogate obicia i okazałe meble, pewnie by się nie chował. Niestety, mieszkanie na piątym piętrze stawiało go zbyt nisko w hierarchii społecznej, aby nie miał powodów do ukrywania się. Zresztą widzieć, nie będąc widzianym, przynosi zawsze niemałe korzyści.

Gilbert obawiał się ponadto, że gdyby Andrea dowiedziała się o jego zamieszkaniu w sąsiedztwie, może by zechciała przeprowadzić się gdzie indziej, albo starałaby się unikać przechadzek po ogrodzie.

Miłość własna zaślepiała go, a zarazem jątrzyła. Jak bowiem traktowała go Andrea i co mogło ją do niego zbliżyć? Czyż nie należała do kategorii tych kobiet, które wychodzą z kąpieli w obecności lokaja lub chłopca, ponieważ w ich oczach lokaj lub chłop nie są mężczyznami?

Nicole jednak nie należała do kategorii tych kobiet, toteż lepiej było nie pokazywać się jej na oczy. To było powodem, dla którego Gilbert cofnął się od okna.

Wkrótce jednak ciekawość pchnęła go tam ponownie. Podeszedł ostrożnie i ukryty za framugą spojrział naprzeciwko.

Po chwili otworzyło się inne okno, poniżej tego, w którym stała Nicole, i ukazała się biała postać Andrei. Dziewczyna dopiero co obudziła się. Odziana w peniuar, szukała pantofelka, który jej się zsunął z nogi i zapodział pod krzesłem.

Ilekcio Gilbert widział Andreę, przysięgał sobie daremnie, że musi ją znienawidzić, zamiast poddawać się miłości. Nie zdając sobie z tego sprawy, oparł się o ścianę. Serce biło mu gwałtownie, jakby za chwilę miało pęknąć, i krew gorącą falą napłynęła mu do głowy.

Gdy nieco ochłonął, zaczął zastanawiać się, jak się ma zachować, aby widzieć, będąc niepostrzeżony. Szybko udało mu się znaleźć sposób. Wziął jedną z sukien Teresy, przypiął szpilką do sznura przeciągniętego nad oknem i spoza tej zaimprovizowanej firanki mógł obserwować Andreę bez obawy, że zostanie dostrzeżony.

Andrea, podobnie jak przedtem Nicole, przeciągnęła się, wznosząc w górę ramiona. Peniuar rozchylił się nieco. Potem dziewczyna oparła się o parapet i wyjrzała przez okno, spoglądając na ogród.

Na twarzy jej odmalowało się zadowolenie. Chociaż bardzo rzadko uśmiechała się do ludzi, nie skąpiła uśmiechu, gdy otaczały ją tylko rzeczy lub przyroda. Uśmiechnęła się więc do wysokich drzew i cienistej ściany zieleni.

Przesunęła spojrzeniem po pobliskich domach i przez chwilę patrzyła na dom, w którym mieszkał Gilbert. Z punktu obserwacyjnego Andrei można było widzieć tylko poddasze, ale dziewczyna nie zwróciła na nie uwagi. Cóż ją mogło tam zainteresować? Przecież nie ludzie zamieszkiwali tak wysoko.

Rozglądając się dokoła Andrea była naturalnie pewna, że nikt jej nie obserwuje i że w takim ustroniu nie ma potrzeby obawiać się spojrzeń ciekawskich czy złośliwych, a nawet frywolnych paryżan, których tak się lękają kobiety z prowincji.

Upewniwszy się co do tego, Andrea zostawiła okno otwarte, podeszła do kominka i zadzwoniła. W lekkim półcieniu pokoju zaczęła się ubierać, a raczej rozbierać.

Weszła Nicole, otworzyła torebkę toaletową ze skóry jaszczurki, która pamiętała czasy królowej Anny, wyjęła sztyldkretowy grzebień i rozpuściła włosy Andrei. Spłynęły na ramiona dziewczyny i okryły ją gęstym płaszczem.

Gilbert nie mógł powstrzymać westchnienia. Ledwie poznawał piękne włosy Andrei, które moda i etykieta nakazywały przysypywać pudrem. Za to danym mu było poznać Andreę na pół ubraną, stokroć piękniejszą w tym niepełnym, niedbałym stroju niż w najbogatszych sukniach. Ręce zaczęły mu drżeć, zacisnął spierzchnięte wargi. Od długiego wpatrywania się w jeden punkt oczy zamgliły się wilgocią.

Przypadek zrządził, że w trakcie czesania Andrea podniosła głowę i spojrziała w kierunku izdebki Gilberta.

— Tak, tak! Patrz sobie, ile zechcesz — szepnął — Nie nie zobaczysz, a ja widzę wszystko.

Jednak młodzieniec mylił się. Andrea dostrzegła zawieszoną w oknie suknię, przylegającą jak zawój do głowy Gilberta. Wskazała okno poddasza Nicole i obydwie zaczęły zastanawiać się nad dziwnym zjawiskiem.

Ta niema dla Gilberta scena podnieciła go. Wprost sycił się jej oglądaniem, nie domyślając się, że może ona posiadać innego jeszcze obserwatora.

Poczuł nagle, że czyjaś ręka zerwała mu z głowy suknię Teresy, odwrócił się jak rażony piorunem i napotkał spojrzenie Rousseau.

— Cóż to, u licha, robisz, mój panie?! — zawołał filozof ze zmarszczonymi brwiami i gniewną miną przypatrując się, badawczo sukni żony.

— Nic, proszę pana, zupełnie nic... — wyjąkał Gilbert, starając się odwrócić uwagę Rousseau od okna.

— Nic? To dlaczego chowałeś się pod suknię?

— Słońce mnie raziło...

— Okno wychodzi na zachód, a słońce cię razi już o wschodzie. Masz oczy nazbyt delikatne, młodzieńcze.

Gilbert wymamrotał kilka bezsensownych słów i czując, że się płacze zamilkł ukrywszy głowę w dłoniach.

— Kłamiesz i boisz się — rzekł Rousseau — a zatem uczyniłeś coś złego.

Wypowiedziawszy te zwięzłe i logiczne słowa, które do reszty zmieszały Gilberta, Rousseau podszedł ku oknu. Młodzieniec bez namysłu, jednym skokiem znalazł się przy nim.

— Aha! — powiedział filozof tonem, który ściał krew w żyłach młodzieńca. — W pawilonie teraz ktoś mieszka.

Gilbert milczał.

— I to w dodatku ludzie — mówił dalej Rousseau — którzy widocznie znają moje mieszkanie, bo pokazują je sobie.

Gilbert cofnął się szybko w obawie, aby go nie poznano. Jego zachowanie nie uszło uwagi Rousseau. Pojął przyczynę obawy Gilberta.

— Nie, nie, mój przyjacielu — rzekł chwytając młodzieńca za rękę — te kobiety jakoś zbytnio się interesują naszym mieszkaniem. Chodź no tu bliżej.

I pociągnął go do samego okna.

— Och, nie, proszę pana, nie! — krzyknął Gilbert, próbując się wyrwać.

Ale aby się wyrwać, trzeba było mieć siły, na których wprawdzie Gilbertowi nie zbywało, a także zręczność, którą jednak paraliżował szacunek dla mistrza. Ten właśnie szacunek powstrzymał go.

— Ty znasz te kobiety i one ciebie znają, czy tak? — zapytał Rousseau.

— Nie, nie, proszę pana.

— Skoro tak, to czemu nie chcesz się pokazać?

— Panie Rousseau, musiał pan mieć w swoim życiu tajemnice, nieprawdaż? Proszę o łaskę i dla moich...

— Ach, zdrajco! — krzyknął Rousseau. — Znam te tajemnice. Jesteś nasłany przez Grimmów i Holbachów! Oni cię nauczyli, jak się masz zachować, żeby zyskać moją przychylność, wśliznąłeś się do mnie i zdradzasz mnie. O, ja głupiec i bezrozumny miłośnik natury, myślałem, że pomagam jednemu z takich jak ja, a tymczasem wprowadziłem do swojego domu szpiega.

— Szpiega?! — zawołał Gilbert z oburzeniem.

— No, powiedz, kiedy mnie sprzedasz, Judaszu? — ciągnął Rousseau, przyciskając do siebie suknię Teresy i drapując się w nią mimo woli, co zamiast efektu wzniosłości czyniło go po prostu śmiesznym.

— Pan mnie znieważa — rzekł Gilbert.

— To zniewaga, mały wężu?! Przecież przydybałem cię, jak porozumiewałeś się na migi z moimi wrogami i jak gestami opowiadałeś im może treść dzieła, nad którym pracuję!

— Gdybym chciał pana zdradzić, przepisałbym bez przeszkody rękopisy leżące na biurku, zamiast przekazywać ich treść gestami.

Prawdziwość tych słów była tak oczywista, iż Rousseau pojął, że jego pretensje są niedorzeczne jak zawsze wówczas, kiedy opanowuje go kompleks lęku.

— Ubolewam nad tym — mówił dalej gniewnie — ale doświadczenie nauczyło mnie być surowym. Doznałem w życiu wielu zawodów, bywałem wielokrotnie zdradzany, opuszczany i prześladowany przez wszystkich. Jak wiesz, jestem jednym z tych znakomitych nieszczęśliwców, których rządy traktują jako wyrzutków społeczeństwa. W takiej sytuacji wolno mi być podejrzliwym. Straciłem do ciebie zaufanie i dlatego musisz opuścić mój dom.

Gilbert nie spodziewał się takiego zakończenia perory. Jakże to, ma zostać wypędzony?

Zacisnął kurczowo dłonie i przez mgnienie jego oczy zaiskrzyły się. Zaraz jednak pomyślał, że odchodząc z tego domu straci nie tylko możliwość widywania Andrei, ale i przyjaźń filozofa, co byłoby nieszczęściem, i jednocześnie wstydem.

Zduśił w sobie urazę, która tak okrutnie dotknęła jego wybujałą miłość własną i rzekł błagalnie:

— Niech mnie pan wysłucha, jedno tylko słowo...

— Nie chcę, muszę być nieubłagany — zawołał Rousseau. — Niesprawiedliwość ludzka uczyniła mnie okrutniejszym od tygrysa. Utrzymujesz kontakty z moimi nieprzyjaciółmi, idź więc do nich, nie przeszkadzam. Nic tu po tobie!

— Ależ, proszę pana te dwie młode panny nie są wcale pana wrogami. To panna Andrea i Nicole.

— Co za panna Andrea? — zapytał Rousseau, przypominając sobie, że nieraz już słyszał to imię z ust Gilberta.

— Panna Andrea jest córką barona de Taverney... Co ja mówię, przepraszam... To jest ta, którą kocham bardziej niż pan kochał pannę Galley, pannę Warrens i inne kobiety. To za nią szedłem pieszo, bez pieniędzy, bez chleba, dopóki nie zważyło mnie na drodze wyczerpanie i cierpienie. Żeby ją zobaczyć, poszedłem wczoraj do Saint-Denis, za nią biegłem aż do Muette, a potem do sąsiedniej ulicy. Dzisiaj ujrzałem ją przypadkowo w tym pawilonie. I dla niej... chciałbym zostać Turenuszem, Richelieu albo Rousseau.

Rousseau znał tajemnice ludzkiego serca i rozróżniał odcienie jego uniesień. Wiedział, że najbardziej wytrawny aktor niezdolny byłby wydobyć z siebie tak nabrzmiałych łzami i namiętnością słów, jakie płynęły z ust Gilberta.

— A więc ta młoda dama to panna Andrea? — spytał.

— Tak, to ona.

— Znasz ją?

— Jestem synem jej mamki.

— A więc kłamałeś mówiąc, że nie znasz jej i jeżeli nie jesteś zdrajcą, to w każdym razie kłamcą.

— Pan mi rozdziera serce — rzekł Gilbert — i doprawdy mniejszym złem byłoby, gdyby mnie pan zabił.

— To frazesy w stylu Diderota i Marmontela. Jesteś kłamcą.

— No więc dobrze, jestem kłamcą, ale tym gorzej dla pana, że nie rozumiał pan powodów tego kłamstwa. Kłamca, kłamca! Ach, odchodzę... Żegnaj pana. Odchodzę w rozpacz i ta rozpacz legnie na pana sumieniu.

- Rousseau gładził podbródek, patrząc spod oka na młodzieńca. Jakże wiele mieli wspólnych cech!

— Jedno z dwojga — myślał — albo ten chłopak ma szlachetne serce, albo jest łotrem. Ale jeżeli istnieje spisek przeciwko mnie, czemużbym nie miał trzymać w ręku jego nici?

Gilbert zatrzymał się w drzwiach i położywszy rękę na kłamce czekał na ostatnie słowo, które by go odepchnęło lub zatrzymało

— Dość już tego — rzekł Rousseau. — Jeżeli jesteś do tego stopnia zakochany, to niestety tym gorzej dla ciebie. Ale późno już i pora wziąć się do roboty. Straciłeś cały dzień wczorajszy, a dziś mamy trzydzieści stron do przepisania. Śpiesz się zatem, Gilberte.

Młodzieniec chwycił rękę filozofa i przycisnął do ust. Nie uczyniłby tego na pewno z ręką królewską.

Zanim wyszli, Rousseau zbliżył się jeszcze do okna i spojrzał na pawilon. Andrea właśnie zdejmowała peniuar i brała suknię z rąk Nicole, kiedy zobaczyła w okienku poddasza bladą twarz filozofa. Cofnęła się szybko i kazała pokojówce zamknąć okno.

— Moja siwa głowa przestraszyła ją — powiedział Rousseau. — O młodości, młodości, jakżeś jest piękną! — dodał wzdychając i zacytował:

O gioventu primavera del età! O primavera gioventu del amo!

Powiesiwszy na gwoździu suknię Teresy, poszedł wolno za Gilbertem. Jakże chętnie zamieniłby jego młodość na swoją sławę, nie ustępującą sławie Woltera i odbierającą równie wielkie hołdy całego świata!

ROZDZIAŁ LV. DOM PRZY ULICY SAINT-CLAUDE

Ulica Saint-Claude, przy której hrabia de Foenix miał się spotkać z kardynałem de Rohan, niewiele różniła się w tamtej epoce od dzisiejszej; nie tyle w każdym razie, aby nie można tu było odnaleźć miejsc, które spróbujemy opisać.

Podobnie jak dzisiaj, ciągnęła się od ulicy Saint-Louis do bulwaru. Na ulicę Saint-Louis wychodziła pomiędzy klasztorem Sakramentek i pałacem de Voysins, podczas gdy dzisiaj jej wyłot znajduje się między kościołem a sklepem kolonialnym. W stronę bulwaru opadała w dół.

Na całej jej długości znajdowało się piętnaście domów. Siedem latarni oświetlało ją nocą. Posiadała dwie odnogi, ślepe uliczki, z których jedna kończyła swój bieg na murach pałacu de Voysins, a druga na rozległym ogrodzie klasztoru.

Tę drugą uliczkę, ocienioną drzewami ogrodu, osłaniał położony po przeciwnej stronie klasztoru wysoki szary mur domu, wychodzącego na ulicę Saint-Claude.

Szary i posępny mur podobny był do twarzy Cyclopa. Miał jedno oko lub, jeśli kto woli, okno, okratowane i odpychająco czarne. Widocznie dawno go nie otwierano, gdyż zasnuwała je pajęczyna.

Poniżej znajdowały się drzwi, nabite szerokimi ćwiekami. Wygląd drzwi wskazywał nie to, że się przez nie przechodziło, ale że można było to uczynić.

Nikt w tej części ulicy nie mieszkał, jeśli nie liczyć szewca, pracującego w drewnianej budce i cerowaczki, która przechowywała uszkodzoną odzież i bieliznę w beczce. Oboje chronili się pod gałęziami akacji klasztornych, które od godziny dziewiątej rano zsyłały na zakurzoną ziemię ożywczy chłód.

Wieczorem cerowaczka wracała do domu, szewc zamykał swój pałac i uliczka pustoszała, pozostając pod strażą owego zakratowanego okna, patrzącego ponuro na świat.

Oprócz wspomnianych już drzwi dom posiadał główne wejście od ulicy Saint-Claude. Była tu brama ozdobiona płaskorzeźbami z czasów Ludwika XIII i zaopatrzona w kołatkę z głową gryfa, o którym hrabia de Foenix wspominał kardynałowi de Rohan, umawiając się na spotkanie.

Okna domu wychodziły na bulwar i były otwarte od samego rana.

Paryż w owej epoce nie był miastem spokojnym i bezpiecznym, zwłaszcza w tej dzielnicy, nic więc dziwnego, że okna chroniły żelazne kraty, a mury jeżyły się kolcami.

Pierwsze piętro domu, o którym mówimy, było podobne niemal do fortecy. Dla zabezpieczenia przed rabusiami i kochankami jego balkony posiadały wystające kolce żelazne. Głęboki rów oddzielał dom od bulwaru, żeby zaś dostać się do tej fortecy z ulicy, trzeba byłoby drabin długich na trzydzieści stóp, takiej bowiem wysokości był mur, poza którym znajdowało się podwórze.

Dzisiaj przed tym domem zatrzymałby się z pewnością każdy przechodzień, zdziwiony jego wyglądem, ale w roku 1770 nie przedstawiał on niczego osobliwego. Nie wyróżniał się też specjalnie od innych domów tej dzielnicy i jeżeli spokojni mieszkańcy ulic Saint-Louis i Saint-Claude unikali go, to nie z powodu jego ponurego wyglądu ani złej sławy, której jeszcze nie posiadał, ale dlatego, że w sąsiedztwie, tuż przy bramie Świętego Ludwika, znajdował się bezludny zazwyczaj i odstrasający bulwar. Nie zachęcał też do zapuszczania się w ten zaułek most Aux Choux, którego arkady, przerzucone nad brudnym ściekiem, wydawały się każdemu dobrze zorientowanemu paryżaninowi nie do przebycia.

W rzeczy samej bulwar prowadził z tej strony do Bastylli. Na przestrzeni ćwierć mili znajdowało się tutaj zaledwie dziesięć domów i dlatego ojcowie miasta nie uważali za stosowne zainstalować latarni na tym pustkowiu. Tak więc o godzinie ósmej wieczorem w lecie i o czwartej zimą było tu zupełnie ciemno i roiło się od złodziejasków.

Jednakże około godziny dziewiątej wieczorem któregoś dnia pustym bulwarem jechała śpiesznie wytworna karetą, ozdobiona herbem hrabiego de Poenix. On sam wyprzedzał ją o dwadzieścia kroków na Dzeridzie, który parskał ustawicznie, gdyż gęsty i brudny pył uliczny osiadał mu na nozdrzach.

W karecie z zapuszczonymi firankami spoczywała na poduszkach Lorenza, pogrążona w głębokim śnie.

Na turkot zajeżdżającej karety, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, brama otworzyła się i wchłonęła w swoje mroczne wnętrza przybyłych.

Hrabia de Foenix nie potrzebował otaczać się tajemnicą, żadne bowiem ciekawe oko nie śledziło go w tym pustkowiu. Gdyby wiózł z sobą wszystkie skarby klasztoru Saint-Denis, z którego wracał, nikt by tego na pewno nie zauważył.

W tym miejscu godzi się powiedzieć parę słów o wnętrzu tego domu, do którego nieraz będziemy zaglądać.

Podwórze, porośnięte trawą rozsadzającą bruk, miało po prawej stronie stajnię, a po lewej wozownię. W głębi podwórza znajdował się rodzaj ganku, ukrywającego drzwi wejściowe. Do drzwi prowadziły schody po obydwu stronach ganku, o dwunastu stopniach.

Parter pałacu, przynajmniej w jego części dostępnej, składał się z ogromnego przedpokoju, z sali jadalnej, zdobnej w bogate naczynia srebrne rozświetlone na pałkach kredensu, i z salonu, którego wygląd wskazywał, że dopiero co został umeblowany na przyjęcie nowoprzybyłych mieszkańców.

Z przedpokoju prowadziły szerokie schody na pierwsze piętro. Były tu tylko trzy pokoje, ale biegły mierniczy, spojrzawszy na rozmiary zewnętrznych murów pałacu, zauważyłby z pewnością, że te trzy pokoje nie wypełniają całej powierzchni mieszkalnej domu powyżej parteru. I rzeczywiście, kryło się tu jeszcze inne mieszkanie, o którego istnieniu wiedział tylko właściciel.

W przedpokoju, obok posągu bożka Harpokratesa, który trzymał palec na ustach zdając się nakazywać milczenie, znajdowały się nieduże drzwi, ukryte wśród ornamentów ściennych. Drzwi te otwierały się za naciśnięciem sprężyny i ukazywały schody wiodące na drugie piętro, gdzie znajdował się mały pokój o dwóch zakratowanych oknach wychodzących na podwórze.

Pokój ten musiał zamieszkiwać mężczyzna. Przed łóżkiem, kanapą i fotelami rozestane były kosztowne skóry lamparcie, lwie i tygrysie, o błyszczących szklanych oczach i z groźnie wyszczerzonymi zębami. Ściany pokrywała skóra z Kordoby w dziwaczne, ale wdzięczne desenie. Wisiały na niej rozmaite rodzaje broni, począwszy od tomahawka Huronów, a skończywszy na sztylecie malajskim, od miecza rycerskiego z rękojeścią w kształcie krzyża do arabskiego kindżału, od szesnastowiecznej rusznicy wysadzanej kością słoniową do strzelby damasceńskiej ze złota z XVIII wieku.

Pokój zdawał się nie mieć innego wyjścia poza tym, które wiodło na schody. Jeżeli było inne, to musiała być dobrze zamaskowane.

Służący Niemiec w wieku około trzydziestu lat był jedyną istotą snującą się od kilku dni po obszernym domu. Zaraz po przyjeździe hrabiego zaryglował bramę wjazdową i podszedłszy do karety otworzył drzwiczki, wziął na ręce uśpioną Lorenzę i zaniósł do przedpokoju. Położył ją na stole pokrytym paśowym sukniem i przykrył jej nogi białym szalem, którym była otulona.

Następnie wyszedł zapalić od latarni karety siedmioramienny świecznik i powrócił ze światłem. Zajęło mu to bardzo niewiele czasu, kiedy jednak wszedł do przedpokoju, Lorenzy już tam nie było.

Hrabia de Foenix zdążył ją przenieść po schodach do pokoju z licznymi okazami broni. Zamknąwszy starannie drzwi, zbliżył się do kominka i przycisnął nogą ukrytą sprężynę. Tylne ściana kominka obróciła się bezszelestnie na zawiasach, ukazując wejście na schody. Hrabia z uśpioną kobietą wszedł i zamknął tajemnicze przejście.

Po schodach wysłanych holenderskim aksamitem dotarł do pokoju o ścianach obitych aksamitem w haftowane artystycznie kwiaty i ptaki. Takim samym aksamitem pokryte były mebla z połączanego drzewa. Dwie wielkie szafy z szylkretu, inkrustowane miedzią, toaleta z drzewa różanego, piękne łóżko, klawesyn, fotele i sofę, a także przedmioty z sewskiej porcelany zdobiły apartament, do którego należał jeszcze mały buduar i garderoba.

Dwa okna, zasłonięte ciężkimi firankami, nie dopuszczały tutaj dziennego światła. Buduar i garderoba nie posiadały okien. Zawieszona u sufitu oliwne lampy oświetlały wnętrze dniem i nocą. Lampy te można było wyciągać przez otwór w suficie, aby uzupełniać zapas wonnej oliwy.

Niczym niezmacona cisza panowała w pokoju, jak gdyby to było miejsce oddalone sto mil od świata. Ze wszystkich stron błyszczało złoto, piękne malowidła wprost uśmiechały się ze ścian i misternie rżnięty kryształ czeski gorzał jak ogniste oczy.

Wszedłszy tu, hrabia złożył Lorenzę na sofie, wyjął z kieszeni srebrne pudełko, które kiedyś zaciekawilo Gilberta, i zapaliwszy przytknął płomień do różowych świec w kandelabrach stojących na kominku. Następnie ukląkł przed sofą na poduszce i rzekł do uśpionej:

— Lorenzo!

Młoda kobieta drgnęła, uniosła się na łokciu, ale nic nie odpowiedziała. Oczy jej były zamknięte.

— Lorenzo! — powtórzył hrabia. — Czy śpisz snem naturalnym czy hipnotycznym?

— Śpię snem hipnotycznym — odpowiedziała Lorenza.

— Czy będziesz odpowiadać na moje pytania?

— Myślę, że tak.

— A więc dobrze — rzekł hrabia i po chwili milczenia mówił dalej: — Zajrzyj do pokoju księżnej Ludwiki, który opuściliśmy przed niespełną godziną.

— Patrzę...

— I widzisz?

— Tak.

— Czy jest tam jeszcze kardynał de Rohan?

— Nie widzę go.

— Co robi księżna?

— Modli się przed snem.

— Zajrzyj na korytarze i dziedziniec klasztorny; czy nie widzisz tam Jego Eminencji?

— Nie, nie widzę.

— Zobacz, czy jego powóz stoi przed bramą.
— Nie stoi.
— Spójrz na drogę, którą jechaliśmy.
— Patrę.
— Czy nie widać tam karet?
— Widać, kilka.
— A wśród nich nie rozpoznałaś karety kardynała?
— Nie.
— Popatrz bliżej Paryża.
— Patrę.
— Jeszcze bliżej.
— Ach, teraz widzę!
— Gdzie?
— Przy rogatkach.
— Czy zatrzymał się?
— Właśnie zatrzymuje się. Lokaj schodzi na ziemię...
— Czy mówi co?
— Chce coś powiedzieć.
— Słuchaj uważnie, Lorenzo. Muszę wiedzieć, co mu kardynał powie.
— Spóźniłeś się z tym nakazem i nie zdążyłam dosłyszeć. Ale czekaj, czekaj... Lokaj coś mówi do stangreta.

— Co mówi?

— „Jedź przez bulwar na ulicę Saint-Claude”.

— Dobrze, Lorenzo. Dziękuję.

Hrabia napisał kilka słów na kartce, zawinął ją na miedzianej blaszce, zapewne aby ją obciążyć, potem pociągnął za sznurek dzwonka i przycisnął sprężyną, która odsłoniła otwór. Wrzucił weń kartkę i otwór zamknął się natychmiast.

W ten sposób hrabia porozumiewał się z Fritzem w czasie, kiedy znajdował się w pokojach z ukrytym wejściem.

Wysławszy kartkę, hrabia wrócił do Lorenzy i powtórzył:

— Dziękuję ci.

— Jesteś więc ze mnie zadowolony? — spytała młoda kobieta.

— Tak, droga Lorenzo.

— A więc daj mi nagrodę.

Balsamo uśmiechnął się i przywarł wargami do jej warg. Ciałem Lorenzy wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

— Och, Józefie, Józefie — szepnęła niemal boleśnie. — Jakże ja ciebie Kocham!

I wyciągnęła do niego ramiona, aby go przytulić do piersi.

ROZDZIAŁ LVI. PODWÓJNE ŻYCIE

Balsamo odsunął się szybko i ręce Lorenzy chwyciły tylko powietrze. Opuściła je bezwładnie, krzyżując na piersiach.

— Lorenzo — rzekł Balsamo — czy chcesz porozmawiać ze swoim przyjacielem?

— Och, tak! Mów do mnie jak najczęściej, tak bardzo Kocham twój głos!

— Lorenzo, nieraz mówiłaś, że byłabyś szczęśliwa, gdybyś mogła żyć ze mną z dala od świata i ludzi.

— Tak, to byłoby szczęście.

— Spełniłem twoje życzenie, Lorenzo. W tym pokoju nikt nas nie może osiągnąć, ani dostrzec. Jesteśmy sami, zupełnie sami.

— Ach, jak to dobrze!

— Powiedz, czy ten pokój ci się podoba?

— Każ mi go zobaczyć.

— Patrz!

— Och, jaki śliczny pokój!

— Więc podoba ci się? — zapytał z czułością.

— O, tak! Otaczają mnie moje ulubione kwiaty, moje heliotropy, moje róże, mój chiński jaśmin. Dziękuję ci, drogi Józefie. Jaki ty jesteś dobry!

— Robię wszystko, aby ci się podobać.

— Och, robisz daleko więcej niż na to zasługuję! — Przyznajesz to?

— Tak.

— Przyznajesz, że źle postępowałaś w stosunku do mnie?

— Bardzo źle, przyznaję, ale ty mi przebaczysz, czy tak?

— Przebaczę ci, ale wtedy, kiedy mi wytłumaczysz tę dziwną tajemnicę, z którą walczę, odkąd cię poznałem.

— Słuchaj więc, Balsamo. Są we mnie dwie Lorenzy, zupełnie różne: jedna cię kocha, druga nienawidzi. I życie moje jest również dwoiste, są to jakby dwa sprzeczne byty: w jednym doświadczam wszystkich rozkoszy raj, w drugim wszystkich mąk piekła.

— Na to podwójne życie składa się byt we śnie i na jawie, tak?

— Tak.

— Kochasz mnie we śnie, a nienawidzisz na jawie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Powinnaś to wiedzieć.

— Nie.

— Pomyśl dobrze, wejrzyj w siebie, spójrz w swoje serce.

— Ach!... Tak... Teraz rozumiem.

— Mów.

— Lorenza na jawie jest rzymianką, przesadną Włoszką, dla której nauka jest przestępstwem, a miłość grzechem. Boi się wówczas uczonego Balsamo, boi się pięknego Józefa. Spowiednik powiedział jej, że jeśli cię pokocha, zgubi swoją duszę i dlatego powinna od ciebie uciekać, zawsze, bez ustanku, aż na koniec świata

— A kiedy Lorenza śpi?

— Och, wtedy jest inaczej, wtedy przestaje być rzymianką, przesadną Włoszką i jest tylko kobietą. Czyta wówczas w sercu i duszy Balsamo, widzi, że to serce ją kocha i dostrzega, że jego umysł sięga wyżyn. Ta Lorenza rozumie, jak słabą jest przy nim istotą. Pragnęłaby żyć i umierać przy nim, aby przyszłe pokolenia mogły choć półgłosem wymawiać jej imię, gdy tymczasem głośno będą wymawiać nazwisko Cagliostro....

— Czy jest to nazwisko, pod którym zasłynę?

— Tak, pod tym nazwiskiem.

— Droga Lorenzo, powiedz mi teraz czy podoba ci się to nowe mieszkanie?

— Bogatsze niż inne, ale nie dlatego mi się podoba.

— A dlaczego?

— Ponieważ przyrzekłeś mieszkać tu ze mną.

— Ach, kiedy śpisz, wiesz, że cię Kocham gorąco i namiętnie?!

Młoda kobieta przysunęła się do niego, objęła jego kolana rękami i blady uśmiech zakwitł na jej wargach.

— Tak, wiem o tym, a jednak... — powiedziała z westchnieniem — jest jeszcze coś, co kochasz bardziej niż mnie.

— Co? — zapytał Balsamo z drżeniem.

— Twoje marzenie.

— Powiedz raczej: moje dzieło.

— Twoją dumę.

— Powiedz: moją sławę.

— O, mój Boże, mój Boże! — jęknęła Lorenza i łyzy polaty się spod jej zamkniętych powiek.

— Cóż zobaczyłaś? — zapytał Balsamo zdziwiony jej jasnowidzeniem, które nawet jego niekiedy przerażało.

— Ach, widzę ciemność, w której poruszają się jakieś widma, a wśród nich widma trzymające w rękach swoje koronowane głowy! A ty, ty chodzisz między nimi jak wódz i rozkazujesz, i wszyscy są ci posłuszni.

— A więc powinnaś być ze mnie dumna — rzekł Balsamo z radością w głosie.

— Och, ja wolę cię widzieć dobrym niż wielkim! A w tym tłumie szukam siebie i nie widzę... Mnie tam nie ma... Mnie tam nie będzie... Nie będzie... — dodała smutno.

— A gdzie będziesz?

— W grobie. Balsamo zadrżał.

— Ty miałabyś umrzeć?! Nie, Lorenzo, nie! Będziemy żyć razem i będziemy się kochać zawsze.

— Ty minie nie kochasz.

— Kocham.

— Nie dość kochasz! — zawołała Lorenza, obejmując go i przyciskając gorące wargi do jego czoła.

— Cóż mi masz do zarzucenia?

— Twoją oziębłość. Dlaczego starasz się wymknąć z moich ramion? Czyż moje wargi tak cię palą, że unikasz pocałunków? Och, przywróć mi mój dziewiczy spokój, mój klasztor w Subiaco, nocę w mojej samotnej celi! Przywróć mi pocałunki, które przesyłałeś na skrzydłach tajemniczego wiatru, których zbliżanie czułam na sobie we śnie jak muśnięcie złotoskrzydłych sylfów, które zanurzały moją duszę w morzu słodocy...

— Lorenzo, Lorenzo!

— Och, nie uciekaj ode mnie, błagam cię! Daj mi swoją rękę, niech ją uścisknę. Pozwól mi całować twoje oczy, przecież jestem twoją żoną!

— Tak, droga Lorenzo, tak. Jesteś moją żoną, moją najukochańszą żoną.

— A jednak patrzysz na mnie obojętnie, zaniedbujesz mnie. Jesteś w posiadaniu czystego i samotnego kwiatu, którego zapach cię wabi, a ty go odrzucasz! Ach, ja to dobrze czuję, jestem dla ciebie niczym!

— Przeciwnie, jesteś wszystkim, moja Lorenzo. Ty stanowisz moją siłę, moją potęgę, mój geniusz. Bez ciebie nic bym nie zdołał. Przestań mnie kochać tą gorączkową namiętnością, która odbiera sen kobietom twojego kraju, kochaj mnie tak, jak ja ciebie kocham.

— Twoje uczucie trudno nazwać miłością.

— To jest jednak wszystko, czego chcę od ciebie. Bo ty mi dajesz wszystko, czego pragnę. Bo żebym był szczęśliwy, wystarczy mi posiadać twoją duszę.

— Ty to nazywasz szczęściem? — powiedziała Lorenza tonem pogardliwym.

— Tak, bo dla mnie być szczęśliwym znaczy być wielkim. Lorenza westchnęła głęboko.

— O, gdybyś wiedziała, moja miła Lorenzo, co to znaczy czytać w ludzkich sercach i kierować nimi za pośrednictwem ich słabości i namiętności!

— Rozumiem. Jestem ci da tego potrzebna.

— Ale to nie wszystko. Oczy twoje pozwalają mi otwierać księgę przyszłości. Czego nie mogłem się nauczyć przez dwadzieścia trudnych lat studiów, ty najmilsza gołąbko, czysta i niewinna, pozwalasz mi poznać, kiedy zechcesz. Na drodze mojej wrogowie stawiają liczne przeszkody, ale ty oświecasz mój umysł i zaostrzasz dla mnie kontury rzeczy i spraw, co pozwala mi być niezależnym, silnym i bogatym. Twoje piękne oczy, zakrywając się powiekami przed ziemskim światłem, otwierają przede mną jasność ponadludzką, czuwają dla mnie! Tobie tylko zawdzięczam moją potęgę.

— I w nagrodę czynisz mnie nieszczęśliwą! — zawołała z uniesieniem Lorenza.

I z namiętnością bardziej niż kiedykolwiek gwałtowną objęła go w uścisku. Ogarnięty płomieniem tej namiętności, Balsamo opierał się resztką woli.

Uczynił ostatni wysiłek i wyrwał się z jej objęć.

— Lorenzo, daruj...

— Jestem twoją żoną — zawołała — a nie córką! Chcę, żebyś mnie kochał jak mąż, a nie jak ojciec!

— Lorenzo — rzekł Balsamo z trudem tłumiąc pożądanie — błagam cię, nie żądaj ode mnie miłości, jakiej nie mogę ci dać.

— Ależ to nie jest miłość! — krzyknęła Lorenza załamując ręce rozpaczliwie.

— Mylisz się, to jest miłość, ale miłość święta i czysta, jaką powinno się kochać dziewicę.

Młoda kobieta poruszyła się gwałtownie. Uwolnione z węzła włosy rozplotły się i opadły na jej ramiona czarnymi pasmami. Uniosła delikatne i zarazem silne ręce jakby grożąc hrabiemu.

— Ach, po co to wszystko! — mówiła z męką w głosie. — Dlaczego zmusiłeś mnie do opuszczenia ojczyzny, nazwiska, rodziny i wszystkiego, nawet wiary?! Przecież twój Bóg jest inny niż mój. Czemu zagarnąłeś nieograniczoną władzę nade mną i uczyniłeś ze mnie- niewolnicę, która swoim życiem zasila twoje życie, swoją krwią ożywia twoją krew? Czy słyszysz? Czemu to wszystko uczyniłeś, czy dlatego, żeby mnie nazywać dziewicą?

Balsamo westchnął głęboko, przybity ogromem jej cierpienia

— Niestety — powiedział — to twoja wina, a raczej wina Boga. Czemu stworzył cię wszystkowiedzącym aniołem, przy pomocy którego ujarzmił świat? Dlaczego czytasz w sercach wszystkich ludzi poprzez ich materialną powłokę tak, jak się czyta zapisaną kartę? Dlatego, że jesteś aniołem czystości, Lorenzo. Dlatego, że jesteś diamentem bez skazy, że żaden cień nie dociera do twojej duszy. To sarn Bóg, widząc ten nieskazitelny, czysty i promienny kształt, zezwolił mu zstąpić na moje wezwanie i tchnął weń Ducha świętego, unoszącego się ponad istotami przyziemnymi i skażonymi, które nie są w stanie być jego przybytkiem. Będziesz jasnowidzącą, dopóki pozostaniesz dziewicą — jako kobieta, staniesz się tylko materią.

— Ach, tak! — krzyknęła Lorenza uderzając z wściekłością w swoje piękne dłonie. — To ty bardziej niż moją miłość cenisz te urojenia, które cię opętały i które rodzą się w twojej wyobraźni?! I dlatego chcesz mnie skazać na dochowanie czystości jak zakonnice, kiedy sama twoja obecność wzbudza we mnie nieokiełzane pożądanie?! Ach, Józefie, Józefie, popełniasz ciężką zbrodnię!

— Nie oskarżaj mnie, Lorenzo — zawołał Balsamo. — Cierpię nie mniej od ciebie. Chcę, żebyś czytała w moim sercu, a potem powiedziała, czy cię kocham, czy nie.

— Ale dlaczego walczysz z samym sobą?

— Bo chcę cię wywyżżyć razem ze mną.

— A czy duma twoja potrafi ci dać to, co daje ci moja miłość?

Wzruszony Balsamo opuścił głowę na piersi Lorenzy.

— O tak, tak! — zawołała. — Widzę już teraz, że kochasz mnie więcej niż swoją dumę, niż sławę, niż nadzieję!... Kochasz mnie tali, jak ja ciebie!

Balsamo próbował wyzwolić się z ogarniającego go oszołomienia, ale daremnie.

— Jeżeli mnie kochasz tak gorąco — rzekł — oszczędź mnie.

Ale Lorenza nie słyszała już tego. Oplotła go ramionami w mocnym i namiętym uścisku.

— Będę cię kochać — powiedziała — jak ty chcesz, będę dla ciebie siostrą albo żoną, dziewicą albo kochanką, ale pocałuj mnie chociaż raz...

Balsamo nie miał już siły opierać się dłużej. Zwyciężony, z gorejącymi oczami, drżący pochylił głowę nad Lorenzą i już jego wargi miały dotknąć warg młodej kobiety, gdy w ostatniej chwili opanował się.

— Lorenzo! — zawołał. — Zbudź się, rozkazuję ci!

W tej samej chwili ręce, które go oplatały, opadły, namiętny półuśmiech zgasł na rozpalonych wargach. Zamknięte powieki Lorenzy podniosły się i zabłyśły znużone źrenice. Potrząsnęła rękami i osunęła się na sofę przebudzona.

Balsamo usiadł z dala od niej i westchnął głęboko.

— Żegnaj, marzenie — szepnął do siebie. — Żegnaj, szczęście.

ROZDZIAŁ LVII. NA JAWIE

Lorenza ocknęła się z odrętwienia i rozejrzała się gwałtownie wokół siebie.

Wzrok jej przebiegł po tych wszystkich drobiazgach, które zwykle sprawiają kobietom tyle radości, i zatrzymał się pełen bolesnego i ciężkiego smutku na obliczu Balsamo, który siedział obok i wpatrywał się w nią uporczywie.

— Jesteś jeszcze? — rzekła odsuwając się z przestrachem. Usta jej pobladły, a na skronie wystąpiły krople potu.

Balsamo milczał.

— Gdzie jestem? — zapytała znowu.

— Wiesz, skąd przybyłaś — odparł Balsamo — to ci powinno powiedzieć, gdzie jesteś.

— Tak, przypominam sobie... Ściagałeś mnie i wyrwałeś księżniczce, którą wybrałam za pośredniczkę między mną a Bogiem.

— Przekonałaś się więc, że nawet tak potężna księżniczka nie mogła cię obronić przede mną.

— Tak, zwyciężyłaś ją swoją czarnoksięską mocą! — zawołała Lorenza składając ręce. — O, Boże, Boże, wyzwól mnie spod władzy tego szatana.

— Jak ci mogło przyjść to do głowy widzieć we mnie szatana? — rzekł Balsamo wzruszając ramionami. — Proszę cię bardzo, porzuć raz wreszcie te dziecinne wyobrażenia przywiezione z Rzymu i cały ten zapas bezsensownych przesądów, jakie wleczesz za sobą od samego powrotu z klasztoru.

— O, mój klasztor! Co mi wróci czasy klasztornego życia? — zawołała Lorenza i zaniósła się płaczem.

— Doprawdy — rzekł Balsamo — klasztor to rzeczywiście rzecz godna pożałowania!

Lorenza rzuciła się ku oknu, rozsunęła zasłony, podniosła zasuwkę i wyciągnęła przed siebie rękę. Ale ręka napotkała grubą, żelazną kratę ukrytą wśród kwiatów, które wprawdzie łagodziły wrażenie, jakie krata mogła wywołać, ale przecież nie zmieniały jej charakteru i nie osłabiały skuteczności w spełnianiu celu, jakiemu służyła.

— Jedno więzienie za drugie — rzekła Lorenza. — Wolę jednak to więzienie, które wiedzie do nieba, niż to, które prowadzi do piekła.

I jej delikatne palce objęły kurczowo zimne pręty kraty.

— Gdybyś była rozsądniejsza, Lorenzo — rzekł Balsamo — widziałabyś w swoim oknie tylko kwiaty.

— Czy nie byłam rozsądna, gdy mnie zamknąłeś w tym wędrującym więzieniu z owym upiorem, którego nazywasz Althotasem? A jednak nie spuszczałeś wówczas ze mnie oka, a jednak uczyniłeś mnie swoją niewolnicą. A kiedy mnie potem opuściłeś, nawiedziło mnie za twoją sprawą opętanie, którego przezwyciężyć nie jestem zdolna! A może nawet jest tu gdzie ukryty ten potworny starzec, na którego widok umieram z przerażenia? O, pewnie tam, w którymś z kątów. Cicho, słyszysz? Zaraz rozlegnie się spod ziemi głos tego widma.

— Dręczysz się jak dziecko tymi urojeniami — rzekł Balsamo. — Althotas, który jest moim mistrzem, moim przyjacielem, drugim ojcem, to starzec niezwyklej łagodności. Nigdy cię nie widział, nigdy się do ciebie nie zbliżał, a jeżeli nawet widział lub zbliżył, to nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, zaprzątnięty myślami o swoim wielkim dziele.

— O wielkim dziele? — powiedziała szeptem Lorenza. — Cóż to za dzieło? Powiedz.

— Szuka on eliksiru życia, tego eliksiru życia, którego wielkie umysły szukają już daremnie od sześciu tysięcy lat.

— A ty? Czego ty szukasz?

— Szukam doskonałości ludzkiej.

— O, szatani, szatani! — zawołała Lorenza wznosząc ręce ku niebu.

— Tak — rzekł Balsamo powstając — zaczyna się nowy napad szału.

— Napad szału?

— Tak. Nie znasz pewnej tajemnicy, Lorenzo. Twoje życie dzieli się na dwie równe części. Jedna część, to gdy jesteś łagodna, dobra, rozsądna. Druga jego część, to szaleństwo.

— I dlatego pod pozorem szaleństwa trzymasz mnie w zamknięciu?

— Niestety, jest to konieczne.

— Och, jaki ty jesteś podły, okrutny i bez serca. Wiąż mnie, zabij, ale nie bądź obłudnikiem i nie udawaj, że masz litość nade mną, gdy minie dręczysz.

— No, no — rzekł Balsamo nie okazując najmniejszego gniewu i nawet uśmiechając się dobrotliwie.

— Czyż to jest taka męczarnia mieszkać w wygodnym, pięknie urządzonej pokoju?

— Wszędzie kraty, kraty, wszędzie rygle! Brak mi powietrza, brak przestrzeni!

— Te kraty są dla twojego dobra, czy ty tego nie rozumiesz, Lorenzo?

— Och! — zawołała kobieta. — Przypieka mnie na wolnym ogniu i mówi, że dba o moje dobro, że troszczy się o moje życie!

Balsamo zbliżył się do Lorenzy i przyjaznym ruchem chciał wziąć ją za rękę. Ale ona odskoczyła od niego ze wstrętem jakby na widok węża.

— Ach, nie dotykaj mnie! — zawołała. — Nienawidzisz minie, Lorenzo?

— Zapytaj skazanego na męki, czy kocha swojego oprawcę.

— Lorenzo, Lorenzo, to właśnie dlatego, że nim być nie chcę, ośmielam się odebrać ci trochę wolności. Gdyby wolno ci było postępować według swojej woli, Bóg jeden wie, co uczyniłabyś w napadzie szału.

— Co bym uczyniła? Ach, daj mi tylko chwilę wolności, a przekonasz się.

— Lorenzo, źle się obchodzisz z małżonkiem, którego sobie wybrałaś przed obliczem Boga.

— Ja ciebie nie wybierałam!

— Ale jesteś jednak moją żoną.

— To właśnie jest dziełem szatana!

— Biedna szalona — rzekł Balsamo z tklwym spojrzeniem.

— Ale jestem rzymianką — powiedziała cicho Lorenza — i przyjdzie dzień, że zemszczę się na tobie!

Balsamo potrząsnął łagodnie głową.

— Czyżbyś chciała mnie przestraszyć, Lorenzo? — zapytał z uśmiechem.

— O, nie, nie, zrobię to, co powiedziałam.

— I to ty mówisz? Ty, chrześcijanka? — zapytał Balsamo z powagą. — Twoja religia nakazuje ci odpłacać dobrem za złe, a ty chcesz za dobre odpłacać złym?

Słowa te zdawały się zastanawiać Lorenzę — O — rzekła — wydać społeczeństwu przestępców to nie zemsta, to obowiązek.

— Jeżeli uważasz mnie za czarnoksiężnika, to nie występuję przeciw społeczeństwu, ale przeciw Bogu. Dlaczego więc Bóg, który posiada tysiące sposobów, aby mnie ukarać, nie czyni tego sam, a pozostawia to słabym i błędzącym podobnie jak ja ludziom?

— Bóg przyzwala na to, bo czeka, abyś się opamiętał. Balsamo uśmiechnął się.

— A tymczasem radzi ci, abyś zdradziła -swego przyjaciela, dobroczyńcę i męża.

— Męża ! Ach, Bogu niech będą dzięki, że twoja ręka nie dotknęła mnie nigdy, aby nie wywołać rumieńca wstydu na mej twarzy lub drżenia mojego ciała ze wstrętu do ciebie.

— Musisz przyznać, że wspaniałomyślnie oszczędzałem ci tych dotknięć.

— To prawda. Jesteś wstrzemięźliwy i to jedyna pociecha w moim nieszczęściu. Och, gdybym musiała jeszcze poddać się twojej miłości!

— O tajemnico, nieprzenikniona tajemnico! — rzekł cicho Balsamo, raczej do siebie niż odpowiadając na słowa Lorenzy.

— Skończmy już z tym — odezwała się ponownie Lorenza. — Dlaczego pozbawiłeś ranie wolności?

— Dlaczego? — odpowiedział Balsamo pytaniem na pytanie — dlaczego dawasz mi ją dobrowolnie, chcesz mi ją teraz odebrać? Dlaczego chcesz odtrącić od siebie tego, kto cię ochrania? Dlaczego zabiegasz o opiekę obcych ludzi gardząc tym, który cię kocha? Po co grozisz temu, kto nie grozi ci nigdy ujawnieniem tajemnic nie dla ciebie przeznaczonych, których znaczenia nie jesteś zdolna zrozumieć?

— Och! — rzekła Lorenza nie odpowiadając na pytania— więzień, który chce ponad wszystko odzyskać wolność, odzyska ją wcześniej czy później i nie zatrzymają go twoje żelazne zapory, tak jak nie zatrzymała mnie twoja wędrująca klatka.

— To szczęście dla ciebie, Lorenzo — wtrącił Balsamo z groźnym spokojem — że te zapory są mocne.

— Bóg ześle znowu jakąś burzę, jak ta w Lorraine, jakieś pioruny, które rozwalą zapory.

— Proś Boga, aby raczej to nie nastąpiło. Czas już, abyś wyzbyła się tej romansowej egzaltacji. Będzie to doprawdy z większą korzyścią dla ciebie, wierz mi, Lorenzo. Mówię ci to jak przyjaciel, posłuchaj mojej rady.

W głosie Balsamo było tyle ukrytego gniewu, w oczach tyle posępnego ognia, wyrazy wymawiane były z taką powolnością i niemal uroczyście, a za każdym słowem jego mocna, biała ręka kurczyła się tak dziwnie, że Lorenza mimo wzburzenia, jakie ją ogłuszyło, słuchała go wbrew woli.

— Posłuchaj, moje dziecko — mówił dalej Balsamo tonem groźnej łagodności — starałem się uczynić z tego więzienia siedzibę godną królowej. Gdybyś nawet była królową, nie miałabyś tu lepiej. Uśmierz więc swoją niedorzeczną egzaltację. Żyj tak, jakbyś przebywała w klasztorze. Staraj się przywyknąć do mojej obecności. Pokochaj mnie jak przyjaciela, jak brata. Mam wielkie zmartwienia i tobie się z nich zwierzam. Dosiągają mnie ciężkie doświadczenia, a nieraz jeden twój uśmiech mógłby ukoić mój ból. Im więcej w tobie dobroci, życzliwości, cierpliwości, tym kruchsze będą ściany twojego więzienia. Kto wie, może za rok, za pół roku będziesz tak wolna jak ja i nie będziesz już potrzebowała wykradać swojej wolności.

— Nie, nie, nie! — krzyczała Lorenza nie mogąc pojąć, w jaki sposób tak potworny wyrok mógł być wypowiedziany tak łagodnym głosem. — Nie! Dość obietnic, dość kłamstwa! Uprowadziłeś mnie, porwałeś mnie gwałtem! Ale ja należę do siebie i tylko do siebie! Wróc mnie przynajmniej Bogu, jeżeli nie chcesz mnie wrócić samej sobie. Do tej pory znosiłam twoją przemoc, ponieważ miałam w pamięci, że wyrwałeś mnie z rąk rozbójników, którzy chcieli mnie zbezczeszczyć. Ale uczucie wdzięczności słabnie we mnie coraz bardziej. Jeszcze kilka dni tej niewoli, która wznieca we mnie bunt, a przestanę czuć się zobowiązaną wobec ciebie. A wtedy, strzeż się, wtedy może mi przyjść do głowy, że z owymi rozbójnikami łączyły cię tajemne stosunki.

— A może wyda ci się słuszne uznać mnie za herszta tych rozbójników? — zapytał ironicznie Balsamo.

— Nie wiem... W każdym razie podchwyciłam pierwsze znaki i słowa...

— Znaki i słowa?! — zawołał Balsamo blednąc.

— Tak, tak, poznałam je i pamiętam doskonale.

— Ale nie wolno ci ich nikomu wyjawiać. Musisz je zamknąć głęboko w sercu, aby umarły tam zduszane na zawsze.

— Och!... Postąpię wręcz przeciwnie! — wykrzyknęła Lorenza z radością, jaką odczuwa człowiek w gniewie, odkrywszy słabą stronę przeciwnika. — Słowa owe zachowam pieczołowicie w pamięci, będę je sobie powtarzała po cichu, a przy pierwszej sposobności powiem je głośno. Zresztą, już je powiedziałam.

— Komu? — zapytał Balsamo.

— Księżniczce.

— A więc dobrze — rzekł Balsamo i wpijając palce w ciało usiłował opanować wzburzenie. — Posłuchaj uważnie, Lorenzo, co ci powiem. Jeżeli już raz wyjawiaś te słowa, to już ich więcej nie powtórzysz. Nie powtórzysz, bo każe pozabijać wszystkie drzwi, zaostriżyć końce prętów u krat, każe, jeśli będzie trzeba, wznieść mury wokół tego dziedzińca wysokie jak wieża Babel.

— Powiedziałam ci już, Balsamo — zawołała Lorenza — że można wyjść z każdego więzienia, zwłaszcza gdy pragnienie wolności podsycą nienawiść do tyrana.

— Cudownie, spróbuj więc wydostać się z więzienia, Lorenzo. Tylko zapamiętaj sobie wpięty dobrze, że z tego więzienia tylko dwa razy można się wydostać. Za pierwszym razem ukarałbym cię tak dotkliwie, że wypłakałabyś wszystkie łzy. Drugi raz skatowałbym cię tak bezlitośnie, że wszystka krew wypłynęłaby z twoich żył.

— Boże! Boże drogi! On mnie zamorduje! — jęknęła młoda kobieta w bezsilnej wściekłości, rwąc włosy na głowie i tarzając się po kobiercu.

Balsamo przyglądał się jej przez chwilę z uczuciem gniewu i litości. W końcu litość wzięła górę nad gniewem.

— Uspokój się, Lorenzo — rzekł — opanuj się. Przyjdzie dzień, kiedy zostaną ci wynagrodzone twoje rzeczywiste czy urojone cierpienia.

— Uwięziona! Uwięziona! — wołała Lorenza nie zwracając uwagi na to, co mówił Balsamo.

— Cierpliwości...

— Skazana na chłostę! — To jest czas próby...

— Szalona! Jestem szalona!

— Uleczę cię.

— Oddaj mnie natychmiast do domu wariatów, zamknij w prawdziwym więzieniu!

— O, nie! Uprzedziłaś mnie w porę, co przeciwko mnie knujesz.

— A więc dobrze! — jęknęła Lorenza. — Niech przyjdzie śmierć! Niech umrę natychmiast!

I z szybkością i zwinnością dzikiego zwierzęcia rzuciła się, aby rozbić sobie głowę o mur.

Ale wystarczył jeden tylko ruch ręki Balsamo i jedno tylko słowo, aby powstrzymać ją. Zachwiała się i bezwładna upadła w jego ramiona.

Dziwny czarnoksiężnik, który zdawał się mieć władzę nad ciałem tej kobiety, lecz nie mógł przewyciężyć jej ducha, wziął Lorenzę na ręce i zaniósł do jej łóżka. Potem złożył na jej wargach długi pocałunek, zamknął żaluzje u okien i wyszedł.

A Lorenzę otulił spokojny, dobroczynny sen, jak kochająca matka otula kapryśne dziecko, które bardzo cierpiało i zanosiło się długo płaczem.

ROZDZIAŁ LVIII. ODWIEDZINY

Lorenza nie omyliła się. Karetą przejechała przez rogatki, przemknęła wzdłuż całego przedmieścia Saint-Denis, po czym zawróciła między bramą i węglem ostatniego domu i popędziła bulwarem.

W karecie tej znajdował się, tak jak powiedziała jasnowidząca, Ludwik de Rohan, arcybiskup Strasburga, który niecierpliwie spieszył, aby przed oznaczonym terminem trafić do jaskini czarnoksiężnika.

Stangret nie stropił się wcale, kiedy z ludnych jeszcze i oświetlonych bulwarów Saint-Denis i Saint-Martin przyszło mu wjechać w opustoszały i ponury bulwar Bastylli, przyzwyczajony był bowiem do ciemnych, pełnych wybojów, niebezpieczeństw, tajemniczych ulic i zaułków, dokąd wiodły go miłosne awantury pięknego prałata.

Karetą zatrzymała się na rogu ulicy Saint-Claude i arcybiskup polecił ukryć ją pod drzewami, o dwadzieścia kroków dalej, po czym przemknął przez ulicę, ubrany po świecku i zapukał do bramy domu, który łatwo rozpoznał dzięki opisowi hrabiego de Foenix.

Z dziedzińca dobiegły kroki Fritza i po chwili brania otworzyła się.

— Czy tutaj mieszka hrabia de Foenix? — zapytał księżę.

— Tak, jaśnie panie — odparł Fritz.

— Czy jest w domu?

— Tak, jaśnie panie.

— Dobrze, zamelduj mnie więc.

— Jego Eminencja kardynał de Rohan, prawda, jaśnie panie?

Kardynał zdawał się być zaskoczony. Przebiegł wzrokiem po swoim ubraniu, potem rozejrzał się dokoła, jakby chciał się przekonać, czy jakiś szczegół w ubiorze lub ktoś z otoczenia nie zdradził, kim jest. Ale był sam, w świeckim ubiorze.

— Skąd znasz moje nazwisko? — spytał.

— Mój pan oznajmił mi przed chwilą, że oczekuje Waszej Eminencji.

— Tak, ale jutro lub pojutrze.

— Mój pan powiedział, że dziś wieczorem.

— Dobrze, zamelduj mnie więc — rzekł kardynał dając Fritzowi podwójnego ludwika.

— Niech Wasza Eminencja raczy pójść ze mną. Kardynał skinął głową na znak zgody. Fritz zmierzał

śpiesznym krokiem ku drzwiom przedpokoju, oświetlonego ogromnym dwunastoświecowym połączanym kandelabrem z brązu.

Kardynał podążał za nim zdziwiony i zamyślony.

— Przyjacielu — rzekł zatrzymując się u drzwi salonu — w tym jest jakaś pomyłka i dlatego nie chciałbym przeszkadzać hrabiemu. To jest niemożliwe, aby czekał na mnie. Nie mógł wiedzieć, że przyjdę dzisiaj.

— Wasza Eminencja jest księciem kardynałem de Rohan, arcybiskupem Strasburga? — spytał Fritz.

— Tak, mój przyjacielu.

— A więc to Wasza Eminencja jest tym, którego mój pan oczekuje.

I zapaliwszy po kolei świece w dwóch innych kandelabrach, Fritz skłonił się i wyszedł.

Upłynęło pięć minut, w czasie których kardynał, wydany na pastwę osobliwych wzruszeń, przyglądał się wykwintnemu umeblowaniu salonu i ośmiu obrazom wielkich mistrzów, zawieszonych na ścianach.

Drzwi się otworzyły i w progu ukazał się hrabia de Foenix.

— Dobry wieczór — rzekł po prostu.

— Powiedziano mi, że pan spodziewał się mnie dzisiaj! — zawołał kardynał nie odpowiadając na powitanie. — Przecież to niemożliwe!

— Proszę darować, ale ja rzeczywiście oczekiwałem Waszej Eminencji — odparł hrabia. — Być może Wasza Eminencja wątpi w to dlatego, że przyjęcie nie jest dość godne.

Ale nie zdążyłem się jeszcze urządzić, ponieważ ledwo kilka dni temu powróciłem do Paryża. Wasza Eminencja zechce mi więc wybaczyć!

— Pan mnie oczekiwał! I któż to uprzedził pana a mojej wizycie?

— Pan sam, Wasza Eminencjo.

— Jakże to?

— Czy Wasza Eminencja nie kazałaś zatrzymać karety u rogatek?

— Kazałem.

— Czy Wasza Eminencja nie wezwał lokaja, aby zamienić z nim kilka słów przy drzwiczkach karety?

— Tak, wezwałem.

— I czy Wasza Eminencja nie powiedział do niego: „Ulica Saint-Claude w Marais, przedmieściem Saint-Denis i bulwarem”, a on powtórzył te słowa stangretowi?

— Tak było. Ale pan nie mógł przecież widzieć ani słyszeć?

— A jednak widziałem Waszą Eminencję i słyszałem.

— Był pan więc tam?

— Nie, Wasza Eminencjo, nie byłem tam.

— Więc gdzie pan był?

— Byłem tutaj.

— I pan mnie widział i słyszał?

— Tak, Wasza Eminencjo.

— Ależ to żarty!

— Wasza Eminencja zapomina, że jestem czarnoksiężnikiem.

— Ach, rzeczywiście zapomniałem, panie... jak pana tytułować? Baron Balsamo czy hrabia de Foenix?

— U siebie, Wasza Eminencjo, nie noszę nazwiska. Zwę się — mistrz.

— Istotnie, to jest tytuł wtajemniczonych. A więc, mistrzu, oczekiwałeś mnie?

— Oczekiwałem Waszej Eminencji.

— I napaliłeś w swym laboratorium.

— Moje laboratorium jest zawsze ogrzane.

— Czy wolno tam pójść?

- Uczyni mi tym Wasza Eminencja zaszczyt.
- Pójdę tam, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Że uchronisz mnie od osobistego kontaktu z diabłem. Strasznie się boję Jego Wysokości Lucyfera.
- Ach, Wasza Eminencjo!
- Tak, bo zwykle do roli diabła dobierają drabów z gwardii francuskiej albo świetnych fehmistrzów, którzy, aby jak najlepiej odegrać swą rolę, gaszą świece i nie szczczędzą nieborakom, jacy się nadarzą, szcutków i kułaków.
- Wasza Eminencjo — rzekł Balsamo uśmiechając się — moje diabły nigdy nie zapominają, że mają honor z książętami i dobrze pamiętają słowa księcia de Condè, który obiecał jednemu z nich tak wygarbować skórę, jeżeli nie zaprzestanie awantur, że albo wyskoczy z niej, albo będzie musiał zachowywać się stateczniej.
- To mnie uspokaja. Chodźmy zatem.
- Proszę za mną.

ROZDZIAŁ LIX. ZŁOTO

Kardynał de Rohan i Balsamo minęli małe schody, które prowadziły równolegle z głównymi schodami, do salonów na pierwszym piętrze i znaleźli się w ciemnym korytarzu, do którego kardynał wszedł bez wahania.

Na łoskot zamykanych przez Balsamo drzwi kardynał spojrzął za siebie i doznał niemiłego uczucia.

— Wasza Eminencjo, jesteśmy na miejscu — rzekł Balsamo. — Otworzymy jeszcze i zamkniemy za sobą te ostatnie drzwi. Proszę się tylko nie dziwić odgłosowi, jaki wydają drzwi, są żelazne.

Kardynał, na którym łoskot pierwszych drzwi wywarł duże wrażenie, był zadowolony, że został w porę uprzedzony, gdyż metaliczny zgrzyt zawiasów i zamku potrafiłby rozdrażnić ludzi mniej wrażliwych niż kardynał.

Po trzech stopniach wszedł do obszernego gabinetu o surowych belkach u pułapu, z dużą lampą, osłoniętą abażurem, mnóstwem książek i przyrządów do badań chemicznych i fizycznych.

Po kilku sekundach kardynał uczył, że oddycha z trudem.

— Cóż to znaczy, mistrzu? — zapytał. — Człowiek się dusi, pot spływa strumieniami? Co to za łoskot?

— Oto przyczyna, Wasza Eminencjo, jakby rzekł Szekspir — powiedział Balsamo rozsuwając ciężką zasłonę, spoza której ukazał się szeroki piec z cegły. Pośrodku niego błysz czały dwa otwory jak oczy lwa w ciemności.

Piec ten zajmował środek drugiej komnaty, dwukrotnie większej niż pierwsza, której książkę nie dostrzegł, bo oddzielona była zasłoną.

— Ho, ho! — rzekł książkę cofając się. — Zdaje się, że to coś groźnego.

— To piec, mości książkę.

— Tak, bez wątpienia. Tylko że piec piecowi nie równy, powiem za Molierem, skoro pan powołał się na Szekspira Ten ma wygląd diabelski. Nie podoba mi się zapach, jaki się z niego wydobywa. Co tam się warzy?

— To czego Wasza Eminencja sobie życzył.

— Co takiego?

— Wasza Eminencja raczył zgodzić się, jeśli się nie mylę, na sprawdzenie mych umiejętności. Chciałem przystąpić do dzieła dopiero jutro wieczorem, ponieważ Wasza Eminencja miał przybyć pojutrze. Ale skoro Wasza Eminencja zmienił zamiar, natychmiast rozpalilem ogień i sporządziłem miksturę. Za dziesięć minut Wasza Eminencja będzie mieć swoje złoto.

Proszę pozwolić otworzyć wietrznik dla dopływu świeżego powietrza.

— A więc w tych tyglach na piecu...

— Po dziesięciu minutach znajdziemy złoto, tak czyste jak weneckie cekiny i dukaty toskańskie.

— Zajrzyjmy tam, jeśli to możliwe.

— Oczywiście. Tylko musimy przedsięwziąć konieczne środki ostrożności. Proszę założyć tę maskę z szybkami w otworach na oczy. Bez niej można by stracić wzrok od żaru.

— Do licha! Strzeżmy się. Oczy są mi droższe niż sto tysięcy talarów, które mi obiecałeś.

— To też miałem na myśli. Oczy Waszej Eminencji są piękne i dobre.

Komplement wcale nie podobał się księciu, który miał bardzo wysokie mniemanie o swoich zaletach.

— A więc za chwilę będziemy oglądać złoto? — rzekł zakładając maskę.

— Mam nadzieję, Wasza Eminencjo.

— Złoto na sto tysięcy talarów?

— Tak jest, Wasza Eminencjo, być może, że nawet trochę więcej, ponieważ przyrządziłem znaczną ilość mikstury.

— Jesteś wspaniałomyślnym czarnoksiężnikiem, mistrzu — rzekł książę z radosnym biciem serca.

— Nie na tyle, jak to ocenia Wasza Eminencja. A teraz proszę się nieco odsunąć, gdyż zdejmę pokrywę tygla.

Balsamo włożył krótką koszulkę amiantową, silną ręką ujął żelazne szczypce i unióś nimi rozżarzoną do czerwoności pokrywę. W ten sposób odkrył cztery jednakowego kształtu tygla, z których jedno zawierały ciecz barwy cynobru, w innych ciecz stawała się już biaława, gdzieniegdzie tylko zostawiając purpurowe, przezrocyste smugi.

— Złoto! — rzekł kardynał półgłosem, jakby bał się przeszkodzić tajemniczemu dziełu, które się dokonywało na jego oczach.

— Tak, Wasza Eminencjo. W tych tyglach ciecz musi gotować się przez dwanaście godzin, w tych drugich — jedenaście godzin. Miksturę, która stanowi ową tajemnicę, objawioną przyjacielom nauki, wlewa się do cieczy dopiero w momencie jej wrzenia. Ale jak Wasza Eminencja widzi, w pierwszym tyglu ciecz staje się już biała, Czas ją przelać. Proszę, Wasza Eminencja raczy się odsunąć trochę.

Książę uczynił to posłusznie, jak karny żołnierz wykonujący dokładnie rozkaz przełożonego. A Balsamo, cisnąwszy żelazne cęgi, gorące już od samego zetknięcia z rozgrzаныmi do czerwoności tyglami, przysunął do pieca pewnego rodzaju kowadło na kółkach, na których umocowane było w żelaznej oprawie osiem form odlewniczych o kształcie cylindrycznym, jednakowej objętości.

— Cóż to takiego, drogi czarnoksiężniku? — zapytał książę.

— To są zwyczajne formy, w których odleję sztabki złota Waszej Eminencji.

— Ach! — westchnął z zachwytem książę i zdwoił uwagę.

Balsamo rozesał na posadzce warstwę białych pakuł i nadał im kształt wału, następnie stanął między kowadłem a piecem, otworzył wielką księgę i trzymając w ręku różdżkę czarodziejską odczytał zaklęcie, po czym wziął olbrzymie kleszcze z zakrzywionymi ramionami obejmującymi tygiel i rzekł:

— To będzie wspaniałe złoto, Wasza Eminencjo, złoto najwyższego gatunku.

— Jak to! — zawołał książę. — Zamierzacie, mistrzu, zdjąć to naczynie z ognia?

— Naczynie, które waży pięćdziesiąt funtów, tak, Wasza Eminencjo. Ale też mało jest odlewników, zapewniam Waszą

Eminencję, równych mi siłą mięśni i zręcznością. Proszę się więc niczego nie obawiać.

— Jednakże... jeżeli tygiel pęknie...

— To mi się raz zdarzyło, Wasza Eminencjo. Było to w roku 1399, robiłem doświadczenie wspólnie z Mikołajem Flamel, w jego domu przy ulicy des Ecrivains w pobliżu kaplicy Saint-Jacques-la-Boucherie. Biedny Flamel omal życiem tego nie przypłacił, a ja straciłem bezcenną substancję, wartościowszą nad złoto.

— Do licha, cóż to za niedorzeczności mówisz mi, mistrzu?

— Mówię prawdę.

— Dokonałeś wielkiego dzieła w roku 1399?

— Tak jest, Wasza Eminencjo. — Z Mikołajem Flamel.

— Z nim właśnie. Odkryliśmy wspólnie pewną tajemnicę pracując razem — z Piotrem le Bon w mieście Pola. Nie zdołał on na czas przykryć tygla i wskutek tego straciłem na dziesięć czy dwanaście lat prawe oko, wypalone przez parę.

— Współpracowałeś, mistrzu, z Piotrem le Bon?

— Tak, z tym samym, który napisał znakomite dzieło pod tytułem Margarita pretiosa, które zapewne Wasza Eminencja zna.

— Znam, powstało ono w roku 1330.

— Istotnie, Wasza Eminencjo.

— I twierdzisz, mistrzu, że znałeś Piotra le Bon i Mikołaja Flamel?

— Byłem uczniem pierwszego i nauczycielem drugiego.

To powiedziawszy, Balsamo wsunął do pieca kleszcze o długich ramionach, pozostawiając wzburzonego kardynała własnym myślom, krążącym wokół dręczącego pytania, czy ten czarnoksiężnik to diabeł we własnej osobie, czy też któryś z jego pomocników.

Alchemik uchwycił tygiel pewnie i szybko na cztery cale poniżej krawędzi, po czym podniósł go nieco kilka razy w górę, aby sprawdzić, czy kleszcze trzymają mocno. Potem naprężył mięśnie i silnym ruchem wydobył okopcony kocioł z płonącego pieca. Ramiona kleszczy natychmiast stały się czerwone. Po rozpalonej aż do białości glinie przebiegły białe zygzaki jak błyskawice w brunatnych chmurach. Na brzegach tygla osiadła ciemnoczerwona piana, podczas gdy środek mienił się na przemian różowymi i srebrzystymi odblaskami. Pośród tego gęstniał powoli płynny metal, na którym utworzyła się fiolkowa maź połyskująca złotem. Nagle rozległ się syk i przez otwór tygla trysnął w czarną formę płomienisty strumień, przemieniający się w bulgocącą i spienioną strugę złota, jakby burzącą się przeciw nikczemnemu metalowi, który ją przyjmował

Balsamo przeszedł do drugiej formy i napełnił ją z tą samą pewnością i zręcznością, co poprzednią. Pot kroplami spływał mu z czoła. Gość przeżegnał się skrycie.

W istocie był to obraz, który swą wspaniałą dzikością wywoływał trwogę. Balsamo, oświetlony płowymi błyskami metalicznego płomienia, przypominał potępieńców wijących się w mękach na dnie piekielnych kotłów, jak ich przedstawiał Michał Anioł i Dante.

Kardynał czekał w napięciu, co nastąpi dalej.

Balsamo nie mógł nawet na chwilę odetchnąć, bo czas naglił.

— Będzie niewielka strata — rzekł po napełnieniu drugiej formy. — Dopuszciam, że ciecz kipiła o setną część minuty za długo.

— Setną część minuty! — zawołał kardynał nie próbując już dłużej ukrywać swojego zdumienia.

— W wiedzy tajemnej jest to bardzo wiele, Wasza Eminencjo — odparł dobrodusznie Balsamo. — Ale oto dwa próżne tygłe, dwie pełne formy i sto funtów czystego złota.

Powiedziawszy to, chwycił potężnymi kleszczami pierwszą formę, wrzucił ją do wody, która wzburzyła się i długo dymiła, potem otworzył formę i wydobył z niej bryłkę szczerzego złota mającego kształt głowy cukru spłaszczonej z obu końców.

— Mamy blisko godzinę, nim dwa pozostałe tygłe będą gotowe — rzekł Balsamo. — Czekając, może Wasza Eminencja zechce usiąść lub odetchnąć świeżym powietrzem?

Ale kardynał nie odpowiedział na te słowa, tylko zapytał:

— A więc to jest złoto?

Balsamo uśmiechnął się. Kardynał był już w jego władzy.

— Czy Wasza Eminencja w to wątpi?

— Ale nie zapominaj, mistrzu, że nauka tylekroć się myliła...

— Nie mówisz wszystkiego, co masz na myśli, mój książę — rzekł Balsamo. — Podejrzewasz, że cię oszukuję. Bardzo bym nisko się cenił, źle wyglądał we własnych oczach, gdybym się do tego uciekał. Moje ambicje nie przerastałyby wtedy ścian tego gabinetu, a ty straciłbyś cały podziw dla mnie wraz z odwiedzinami u pierwszego lepszego złotnika. Zechciej, mój książę, zrobić mi ten honor i uwierz, że gdybym miał zamiar cię oszukać, zrobiłbym to zręczniejsze i dla szlachetniejszego celu. A zresztą Wasza Eminencja wie przecież, jak się poddaje próbie złoto?

— Oczywiście, za pomocą kamienia probierczego.

— Wasza Eminencja zapewne sam przeprowadzał doświadczenia, zwłaszcza na hiszpańskich uncjach, powszechnie używanych do gry, które zwykle są z najczystszej złota, ale zdarza się wśród nich wiele fałszywych.

— Właśnie to mi się kiedyś przytrafiło.

— A więc przynieść kamień i kwas, Wasza Eminencjo?

— Nie trzeba, nie mam wątpliwości.

— Wasza Eminencjo, proszę zrobić mi tę łaskę i przekonać się, że bryłki są nie tylko złotem, ale złotem bez żadnych domieszek.

Kardynał nie śmiał okazać niedowierzania, a przecież widać było, że nie został przekonany.

Balsamo więc sarn dokonał próby, a sprawdzenie wyniku pozostawił gościowi.

— Dwadzieścia osiem karatów — rzekł. — Opróżnią pozostałe tygle.

W dziesięć minut później dwadzieścia funtów złota w czterech bryłach leżało na rozgrzanych pakułach.

— Wasza Eminencja przybył kareta, prawda? Zresztą widziałem to przecież.

— Tak.

— Proszę polecić, Wasza Eminencjo, aby kareta zajechała przed bramę, a mój lokaj zanieś bryły złota do karety.

— Sto tysięcy talarów! — mruknął kardynał zdejmując maskę, jakby chciał dokładniej zobaczyć złoto leżące u jego stóp.

— Wasza Eminencja może poświadczyć skąd to złoto, bo na własne oczy widziałeś, jak się je robi, prawda?

— O tak, chętnie poświadczę.

— Nie, nie — rzekł żywo Balsamo — tego nie należy robić, we Francji nie lubią uczonych. Lepiej jeżeli Wasza Eminencja o niczym nie będzie świadczyć. O, gdybym tworzył teorie naukowe zamiast złota, to byłoby co innego.

— Cóż zatem mógłbym dla pana zrobić, mistrzu? — rzekł książę podnosząc z trudem pięćdziesięciofuntową bryłę złota delikatnymi rękami.

Balsamo utkwiał w nim badawczy wzrok, a potem począł się śmiać nie licząc się, że może to być wzięte za brak szacunku.

— Cóż w tym śmiesznego, co powiedziałem? — zapytał kardynał.

— Wasza Eminencja ofiarowuje mi swoje usługi, jeśli dobrze zrozumiałem.

— Tak jest.

— Otóż, doprawdy, czy nie byłoby o wiele słuszniejsze, gdybym to ja ofiarował swoje?

Oblicze kardynała rozchmurzyło się.

— Pan mi wyświadcza przysługę, przyznaję — rzekł — i umiem to ocenić. Jeżeli jednak wdzięczność, jaką jestem panu winien miałaby przekroczyć dopuszczalne granice, nie mogę przyjąć przysługi. Chwała Bogu, jest jeszcze w Paryżu, dość lichwiarzy, którzy gotowi będą dostarczyć mi pojutrze, w części pod zastaw, w części za moim podpisem, sto tysięcy talarów. Już sam mój pierścień biskupi wart jest czterdzieści tysięcy talarów.

I kardynał wyciągnął białą jak u kobiety rękę, na której połyskiwał diament wielkości orzecha.

— Mości książę — rzekł Balsamo pochylając się — jest niepodobieństwem, abyś mógł na chwilę przypościć, że chciałem cię obrazić.

A potem dodał jakby do siebie:

— Dziwna rzecz, że prawda wywiera takie samo wrażenie na każdym, kto nazywa się księciem.

— Nie rozumiem.

— Po prostu: Wasza Eminencja ofiarowuje mi swoje usługi. Zapytuję Waszą Eminencję, jakiego rodzaju mogłyby to być

usługi?

— No więc przede wszystkim związane z moim znaczeniem na dworze królewskim.

— Mości książę, mości książę, sam wiesz najlepiej, że jest ono poważnie zagrożone i że tyle samo prawie warte co autorytet pana de Choiseul, który nawet chyba już i dwóch tygodni nie utrzyma się jako minister. Jeżeli chodzi o znaczenie, mój książę, to oprzyjmy się lepiej na moim. Proszę, jakie piękne, dobre złoto. Ilekroć tylko Wasza Eminencja będzie je chciał, wystarczy mi powiedzieć dzień naprzód lub nawet tego samego dnia rano, a zawsze dostarczę je ile tylko będzie potrzeba. A za złoto można mieć wszystko, prawda, Wasza

Eminencjo?

— Nie, nie wszystko — burknął kardynał z opiekuna spadając do roli protegowanego i nie usiłując nawet przywrócić poprzedniego stanu rzeczy.

— Ach, prawda! — rzekł Balsamo. — Zapomniałem, że książę pragnie czego innego niż złota, czegoś cenniejszego niż wszelkie skarby świata. Ale to już nie należy do nauki, to jest kraina czarnoksięstwa. Wasza Eminencjo, proszę powiedzieć jedno słowo, a alchemik przemieni się w czarodzieja.

— Dziękuję, nie potrzeba mi niczego, nie mam żadnych życzeń — rzekł smutno kardynał.

Balsamo zbliżył się do niego.

— Młody, piękny książę, płomienny i bogaty, noszący nazwisko de Rohan, nie może w podobny sposób odpowiadać czarnoksiężnikowi.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że czarnoksiężnik czyta w głębi serca i wie co innego.

— Nie mam pragnień, nie chcę niczego — odparł kardynał prawie z trwogą.

— Sądziłbym raczej, że jest przeciwnie, że Wasza Eminencja nie ma odwagi przed samym sobą wyjawić swoich pragnień, takie są one śmiałe, są pragnieniami króla.

— Panie — rzekł kardynał drżąc — wydaje mi się, że nawiązujesz do słów, które wypowiedziałeś u księżniczki.

— Istotnie, Wasza Eminencjo.

— W takim razie muszę cię zapewnić, panie, że omyliłeś się wówczas i mylisz się jeszcze i teraz.

— Proszę nie zapominać, Wasza Eminencjo, że tak samo jasno widzę co się dzieje w twoim sercu w tej chwili, jak widziałem karetę Waszej Eminencji, gdy wyjeżdżała z klasztoru karmelitanek w Saint-Denis, gdy przez rogatki dotarła na bulwar i zatrzymała się przed drzewami o pięćdziesiąt kroków od mojego domu.

— A zatem proszę mi wyjaśnić i powiedzieć, co mnie trapi.

— Dla książąt z rodu Waszej Eminencji konieczna jest miłość, wielka i śmiała. Nie grozi ona zwyrodnieniem, bo takie jest prawo rozwoju.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, hrabio — wyjąkał książę.

— Przeciwnie, Wasza Eminencja rozumie mnie doskonale. Mógłbym poruszyć wiele strun, które drgają w tobie, ale po co imać się rzeczy bezużytecznych. Dotknąłem tej, którą należy dotknąć. O, ta drga mocno, tego jestem pewien.

Kardynał podniósł głowę i opanowany ostatnim odruchem nieufności spotkał jasne, otwarte spojrzenie Balsamo.

Balsamo uśmiechnął się z wyrazem takiej wyższości, że kardynał opuścił oczy.

— O, Wasza Eminencja ma słuszność, że nie chce patrzeć na mnie, ponieważ w spojrzeniu widzę dokładnie, co się w sercu dzieje. Serce bowiem jest jak zwierciadło i zachowuje kształt przedmiotów, które się w nim odbiły.

— Nie mów już, hrabio de Foenix, nie mów nic — powiedział kardynał czując się pokonanym.

— Tak, to prawda, nie trzeba mówić, ponieważ nie przyszedł jeszcze czas na tę miłość.

— A więc ta miłość ma swoją przyszłość?

— Dlaczego by nie?

— I ta miłość nie będzie szaleństwem, jak mi się wydawało i jak jeszcze teraz sędzę i będę sądził tak długo, póki nie otrzymam dowodu, który temu zaprzeczy.

— Za dużo wymagasz, książę. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie zetknę się z osobą, która natchnęła cię tą miłością, albo z przedmiotem, który od niej pochodzi,

— Jaki musi być przedmiot?

— Może to być pukiel jej prześlicznych, złocistych włosów, choćby jak najmniejszy.

— O tak, hrabio, jesteś człowiekiem głębokim. Powiedziałeś prawdę, czytasz w sercach ludzkich, jak ja czytałbym książkę.

— Niestety! To samo powiedział mi biedny przyjaciel Waszej Eminencji, kawaler Ludwik de Rohan, kiedy się z nim żegnałem na wałach Bastylli, u podnóża rusztowania, na które wstąpił z tak wielką odwagą.

— Powiedział to samo?... Że jest pan głębokim człowiekiem?

— I że czytam w sercach. Tak, ponieważ uprzedziłem go, że zostanie zdradzony przez kawalera de Préault. Nie chciał w to wierzyć.

— Co za osobliwe porównanie mnie z moim przodkiem — rzekł kardynał blednąc mimo woli.

— Powiedziałem to tylko dlatego, aby przypomnieć Waszej Eminencji, że trzeba być ostrożnym przy zabieganiu o włosy, które przyjdzie uciąć pod koroną.

— Mniejsza o to, skąd je wziąć wypadnie, będziesz je miał, panie.

— Dobrze. A teraz proszę wziąć swoje złoto, Wasza Eminencjo. Spodziewam się, że nie wątpi Eminencja w jego prawdziwość.

— Proszę o pióro i papier.

— W jakim celu, Wasza Eminencjo?

— Napiszę zobowiązanie na sto tysięcy talarów, które mi pan tak uprzejmie pożyczysz.

— Jak to rozumieć, Wasza Eminencjo? Zobowiązanie dla mnie? Po co to?

— Często pożyczam, mój drogi hrabio — rzekł kardynał — ale nigdy nie przyjmuję podarunków.

— Niech się stanie według woli księcia.

Kardynał wziął pióro ze stolika i napisał wielkimi i nieczytelnymi literami zobowiązanie, w którym niepoprawność wyrazów przyprawiłaby dzisiaj o zawrót głowy nawet gospodynię zakrystiana.

— Czy tak dobrze? — zapytał pokazując zobowiązanie hrabiemu Balsamo.

— Doskonale — odpowiedział hrabia i schował zobowiązanie do kieszeni nie rzuciwszy nawet na nie okiem.

— Pan nie czyta?

— Mam słowo Waszej Eminencji, a słowo Rohanów więcej znaczy niż zastaw.

— Panie hrabio de Foenix — rzekł kardynał skłoniwszy się lekko dla zaznaczenia szczególnej łaskawości — okazał się pan człowiekiem bardzo dystyngowanym i jeżeli nie mogę być panu w niczym pomocnym, pozwól mi mieć przyjemność, abym był zobowiązany wobec ciebie.

Teraz z kolei skłonił się Balsamo i zadzwonił na Fritza, który zjawił się natychmiast.

Hrabia powiedział do niego kilka słów po niemiecku.

Fritz pochylił się i podniósł osiem sztab złota, owiniętych pakułami, z taką łatwością, jakby dziecko, trochę zakłopotane, ale nie przeciążone, podniosło osiem pomarańczy.

— Ależ to Herkules! — zawołał kardynał.

— Owszem, jest dość silny — odparł Balsamo. Odkąd jest u mnie, otrzymuje co rano po trzy krople eliksiru wynalezionego przez mego uczonego przyjaciela, doktora Althotasa. Skutki są już widoczne. Za rok będzie dźwigać pięciokrotnie więcej.

— Nie do wiary! — zawołał kardynał. — O, trudno mi będzie powstrzymać się od opowiadania o tym wszystkim.

— Proszę opowiadać, proszę — odpowiedział Balsamo śmiejąc się. — Tylko niech Wasza Eminencja pamięta, że bierze tym na siebie obowiązek gaszenia ognia, jeśliby przypadkiem podobało się parlamentowi upiec mnie na stosie na placu de Greve.

Żartując tak, odprowadził dostojnego gościa aż do bramy i żegnał go ukłonem pełnym uszanowania.

— Ale gdzie jest pański służący, nie widzę go — odezwał się kardynał.

— Poszedł odnieść złoto do karety, Wasza Eminencjo. — Czyż on wie, gdzie ona się znajduje?

— Wie: pod czwartym drzewem skręcając na prawo od bulwaru. To mu właśnie powiedziałem po niemiecku.

Kardynał podniósł ręce ku niebu i zniknął w cieniu. Balsamo poczekał, aż Fritz wróci, po czym udał się do swojego pokoju zamknąwszy wszystkie drzwi.

ROZDZIAŁ LX. ELIKSIR, ŻYCIA

Kiedy Balsamo pozostał sam, zbliżył się do drzwi pokoju Lorenzy i chwilę nadśluchował.

Spała spokojnie, oddychając równo.

Balsamo otworzył okienko w drzwiach i patrzył na śpiącą owładnięty słodkim uczuciem czułości. Potem zamknął okienko, przeszedł przez pokój oddzielający apartament Lorenzy od gabinetu fizycznego, pośpiesznie zgasił ogień w piecach, otworzył ogromny przewód, który odprowadzał ciepłe powietrze kominem i włączył wodociąg do zbiornika znajdującego się na tarasie.

Wykonawszy te wszystkie czynności schował starannie w portfelu z safianu zobowiązanie kardynała i mruknął do siebie:

— Słowo de Rohan ma wartość, ale tylko dla mnie. Niech by tylko dowiedziano się, na co używam złota braci.

Ledwo to powiedział, gdy spod sufitu dobiegły trzy silne uderzenia. Balsamo podniósł głowę.

— Oho! — rzekł. — To Althotas mnie woła.

W czasie, gdy wietrzył laboratorium i sprzątał je z pedantyczną dokładnością, pukanie się pdwtórzyło.

— Ależ się niecierpliwi. Dobry znak.

Teraz z kolei Balsamo zapukał żelaznym prętem. Potem zdjął ze ściany żelazną obręcz, nacisnął sprężynę i spod sufitu opuściła się winda, łagodnie zatrzymując się na podłodze. Balsamo zajął w niej miejsce i za pomocą drugiej sprężyny wprawił ją w ruch. Podniosła go powoli i lekko, zawożąc ucznia do jego mistrza.

Nowe mieszkanie uczonego starca mogło mieć około dziesięciu stóp wysokości i szesnaście stóp szerokości. Oświetlone było z góry na podobieństwo studni, szczelnie zamknięte z czterech stron ścianami otaczających go budynków.

Mieszkanie to mogło wydawać się pałacem w porównaniu z tym, jakie miał w powozie.

Starzec siedział w krześle na kółkach pośrodku stołu w kształcie podkowy, zastawionego mnóstwem roślin, narzędzi, ksiąg, różnych instrumentów i zwojów papieru pokrytych kabalistycznymi znakami.

Był tak zajęty, że nawet nie zauważył przybycia Balsamo.

Światło lampy astralnej, przymocowanej do najwyższej części okna, odbijało się o łysą, lśniąca czaszkę uczonego.

Trzymał on w palcach butelkę z białego szkła i przypatrywał się jej badając jej przezroczystość prawie tak, jak to czyni gospodyni, kiedy bierze pod światło jaja, nabyte na targu.

Balsamo przyglądał mu się chwilę, po czym odezwał się:

— Cóż, czy jest coś nowego?

— Ależ tak, tak. Chodź tu, Acharacie! Widzisz przecież, że jestem oczarowany, zachwycony. Znalazłem, znalazłem... to... czego szukałem!

— Złoto?

— Ależ skąd! Cóż tam złoto!

— Więc diamenty?

— Cóż znowu, co on wygaduje. Złoto, diamenty, to ci dopiero odkrycie, doprawdy, miałbym się z czego cieszyć!

— A zatem — oświadczył Balsamo — to, co znalazłeś, Althotasio, może być tylko eliksirem życia.

— Tak, mój przyjacielu, to jest mój eliksir. To oznacza życie — cóż ja mówię! — wieczność życia.

— Och — rzekł Balsamo zasmucony, gdyż uważał te poszukiwania za przedsięwzięcie szalone — ciągle jeszcze zaprządasz sobie głowę tym marzeniem?

Ale Althotas nie słuchając go wcale wpatrywał się z uczuciem miłości w swą butelkę.

— Nareszcie — rzekł — został ustalony stosunek składników: dwadzieścia gramów eliksiru Arystotelesa, piętnaście gramów balsamu Merkuriusza, piętnaście gramów sproszkowanego precypitu złota, dwadzieścia pięć gramów esencji z libańskich cedrów.

— Zdaje mi się jednak, że oprócz eliksiru Arystotelesa, jest to ten sam skład, jaki już ułożyłeś poprzednio, mistrzu?

— Tak, ale brak było składnika najważniejszego, tego, który wiąże wszystkie inne i bez którego inne nie znaczą nic.

— I ty go odkryłeś, mistrzu?

— Tak, odkryłem.

— Czy możesz go otrzymać?

— Ba!

— Cóż to takiego?

— Do mieszaniny, która została już zrobiona w tej flasce, trzeba dodać trzy krople krwi z tętnicy dziecka.

— Lecz skąd weźmiesz dziecko? — rzekł Balsamo bojaźliwie.

— Ty mi je dostarczysz.

— Ja?

— Tak, ty.

— Jesteś szalony, mistrzu.

— No więc jak? — zapytał niewzruszony, zlizując cieknącą po flasce kroplę płynu, która przesączyła się przez nieszczelny korek. — Więc jak?

— Chcesz mieć dziecko, aby wziąć z jego tętnicy trzy ostatnie krople krwi?

— Tak

— Ależ w takim razie trzeba by zabić dziecko?

— Oczywiście, trzeba. Im będzie piękniejsze, tym godniejsze tego.

— To jest niemożliwe — rzekł Balsamo wzruszając ramionami — tutaj nie ma dzieci na zabicie.

— O! — zawołał starzec z okrutną naiwnością. — A co się z nimi dzieje?

— Opiekują się nimi.

— Cóż to, więc świat aż tak się zmienił? Przed trzema laty dostarczono by nam za cztery ładunki prochu albo pół kwarty wódki tyle dzieci, ile byśmy tylko zechcieli.

— To było w Kongo, mistrzu?

— W Kongo. Dla mnie jest wszystko jedno, czy dziecko będzie czarne. Przypominam sobie, że ofiarowane nam wówczas dzieci były kędzierzawe, bardzo wesołe i żwawe.

— Bardzo to pięknie — rzekł Balsamo — ale na nieszczęście, drogi mistrzu, nie jesteśmy w Kongo.

— Nie jesteśmy w Kongo? — zdziwił się Althotas, — Gdzież więc jesteśmy?

— W Paryżu.

— W Paryżu... Hm, gdybyśmy wsiedli na okręt w Marsylii, za sześć tygodni moglibyśmy być w Kongo.

— To prawda. Tylko, że ja muszę zostać we Francji. — A to dlaczego?

— Bo mam tu ważne sprawy.

— Masz ważne sprawy we Francji?

Starzec wybuchnął przeciągłym i ponurym śmiechem.

— Ach tak, prawda — powiedział znowu — zapomniałem, że masz zakładać we Francji kluby.

— Tak, mistrzu.

— Knuć spiski.

— Tak, mistrzu.

— Te twoje różne sprawy, jak ty to nazywasz.

I starzec ponownie zaczął się śmiać nieszczercze i drwiąco. Balsamo zachował milczenie, zbierając siły do odparcia nadciągającej burzy.

— I jakże stoją te twoje sprawy? Powiedzże — rzekł starzec i z trudem poruszywszy się w krześle, utkwiał swoje duże, szare oczy w uczniu.

Balsamo odczuł to spojrzenie jak promień światła przenikający go na wskroś.

— Cisnąłem pierwszy kamień: woda się zmaciła — odparł.

— Jaki muł poruszyłeś?

— Wartościowy: muł filozoficzny.

— Tak, tak, wprowadzasz do gry swoje urojenia, swoje nedorzeczne marzenia, swoje mgliste mrzonki. Stawiasz na głupców, którzy rozprawiają o istnieniu lub nieistnieniu Boga, zamiast usiłować jak ja stać się równymi bogom. I któż to są ci znakomici filozofowie, z którymi się powiązałeś?

— Jest między "nimi" największy poeta i największy ateista naszych czasów. W tych dniach powróci on do Francji, skąd został niemal wygnany, i zostanie przyjęty do loży masońskiej, którą utworzyłem przy ulicy Pot-de-Fer, w dawnym klasztorze jezuitów.

— Jak się nazywa?

— Wolter.

— Nie znam go. Kto tam jest jeszcze?

— Mam wkrótce poznać jednego z największych myślicieli naszego wieku, twórcę dzieła Umowa społeczna.

— Jak się nazywa? — Rousseau.

— Również nie znam.

— Nic dziwnego, znasz bowiem tylko Alfonsa X, Raymonda Lulle, Piotra z Toledo i wielkiego Alberta.

— To są jedyni ludzie, którzy naprawdę żyli, ponieważ oni jedni rozstrząsali przez całe życie to wielkie zagadnienie: być albo nie być.

— Istnieją dwa sposoby życia, mistrzu.

— Znam tylko jeden: trwać. Ale wróćmy do naszych filozofów. Jakże się oni nazywają?

— Wolter i Rousseau.

— Dobrze! Zapamiętam te nazwiska. A ty spodziewasz się dzięki tym ludziom...

— ...opanować teraźniejszość i zachwiać przyszłość.

— No, no, bardzo tępi ludzie muszą żyć w tym kraju, skoro dają się opętać ideom.

— Przeciwnie, ponieważ mają dość rozumu, idee mają wpływ na to, co czynią. A przy tym mam pomocnika potężniejszego niż wszyscy filozofowie na ziemi.

— Kogo?

— Nudę... Już tysiąc sześćset lat trwa monarchia we Francji. Francuzom sprzykrzyła się monarchia.

— Czyżby chcieli obalić monarchię.

— Nie inaczej.

— Wierzysz w to?

— Najzupełniej.

— I dążysz do tego?

— Ze wszystkich moich sił.

— Głupiec! Cóż ci przyjdzie z obalenia tej monarchii? — Mnie nic. Ale wszystkim da to szczęście.

— No, niech będzie, jestem dziś dobrze usposobiony i gotów jestem stracić trochę czasu na rozmowę z tobą. Wyłumacz mi więc najpierw, jak zamierzasz doprowadzić do szczęścia, a następnie — co to jest szczęście?

— Jak doprowadzę do szczęścia?

— Tak, do szczęścia wszystkich albo do obalenia monarchii, co według ciebie jest równoznaczne z powszechnym szczęściem. Słucham.

— A więc dobrze. Istnieje obecnie minister, który stanowi ostatnią zaporę broniącą monarchii. Jest to minister inteligentny, przedsiębiorczy i dzielny, który potrafi jeszcze, być może, ze dwadzieścia lat podtrzymać tę steraną i chwiejącą się w posadach monarchię. Oni pozwolą mi ją obalić.

— Kto, twoi filozofowie?

— Ależ skąd! Przeciwnie, oni ją popierają.

— Jak to! Filozofowie popierają ministra, który podtrzymuje monarchię, oni — wrogowie monarchii? Och, cóż za głupcy z tych filozofów!

— Nie, to tylko dlatego, że sam minister jest filozofem.

— Ach, rozumiem, to znaczy, że filozofowie sprawują rządy za pośrednictwem tego ministra. A zatem omyliłem się: oni nie są głupcami, oni są egoistami.

— Nie chciałbym o tym dyskutować, czym oni są — rzekł Balsamo. — Gdzie niecierpliwość bierze górę, zaczynani nie rozumieć. Wiem jednak jedno: gdyby to ministerstwo zostało zawieszono, wszyscy by powstałi przeciw następnemu. Miałoby ono przeciwko sobie najpierw filozofów, potem parlament. Filozofowie krzyczeli by, krzyczały by i parlament, a ministerstwo uciekłoby się do prześladowań wobec filozofów, rozwiązały by parlament. A więc w umysłach i dążeniach zrodziłaby się myśl tajnego przymierza, utworzyłaby się zacięta opozycja, groźna, nieustannie atakująca, wszystko drażniąca, podkopująca, burząca. Na miejsce parlamentu mianowano by sędziów. Ci sędziowie, powołani przez króla, działaliby w imieniu królestwa. Oskarżano by ich, i słusznie, o sprzedajność, o

łupiestwo, niesprawiedliwość. Lud powstałby i w końcu królestwo miałyby przeciwko sobie i filozofów, i inteligencję, i parlamenty, które tworzy burżuazja, i lud, który jest ludem, to znaczy tym punktem oparcia, którego szukał Archimedes, aby podnieść świat.

— No tak, gdybyś podniósł świat, musiałbyś go z powrotem opuścić.

— Tak, ale z jego upadkiem uległoby zniszczeniu i królestwo.

— A kiedy by zostało zdruzgotane to królestwo stoczone przez robaki, wyobrażani sobie te twoje urojone obrazy o przyszłości... przedstawione językiem pełnym emfazy. Cóż więc powstałoby z ruin, mój drogi?

— Wolność.

— Ach! Więc Francuzi będą wolni?

— Gdy nadejdzie ten dzień, nastąpi to nieuchronnie.

— Wolni, wszyscy?

— Wszyscy.

— A zatem trzydzieści milionów ludzi we Francji otrzyma wolność?

— Tak.

— I ty sądzisz, że pośród trzydziestu milionów ludzi nie znajdzie się człowiek obdarzony tęższym mózgiem niż inni, i nie pozbawi pewnego pięknego dnia wolności tych dwudziestu dziewięciu milionów dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięciu współobywateli, aby dla siebie samego mieć nieco więcej wolności? Przypominasz sobie owego psa, którego mieliśmy w Medynie i który zjadał sam część przeznaczoną dla innych?

— Tak, ale pewnego pięknego dnia inne psy zjednoczyły się przeciwko niemu i udusiły go.

— Bo to były psy. Z ludźmi jest inaczej,

— Stawiasz niżej inteligencję człowieka od inteligencji psów, mistrzu?

— A jakże! Mało jest na to przykładów?

— Co to za przykłady?

— Zdaje mi się, że żył w starożytności pewien mąż imieniem Cezar August, a wśród współczesnych niejaki Olivier Cromwell. Otóż gryzli oni z chciwością placek rzymski i placek angielski, chociaż ci, którym ten placek wyrwali, nie mówili i nie czynili nic złego,

— No dobrze, przypuśćmy, że i tym razem zjawi się jeszcze człowiek. I on będzie śmiertelny, i on umrze, ale przed śmiercią wyświadczy wiele dobra tym, których uciskał, ponieważ zmieni się natura arystokracji. Zmuszona opierać się na czymś, wybierze oparcie najsilniejsze, to jest lud. Z równości, która poniża, zrodzi się równość, która wywyższa. Równość przestanie być nieruchomą zaporą, a stanie się poziomem dostępnym do przekroczenia tym, którzy na to rzeczywiście zasługują. Tak więc podnosząc lud, uświęca się zasadę dotąd nieznaną. Rewolucja uczyniła Francuzów wolnymi. Rządy jakiegoś drugiego Cezara Augusta czy Oliviera Cromwella uczyniły ludzi równymi.

Althotas poruszył się gwałtownie w fotelu.

— Ach, jaki ten człowiek jest tępy! — zawołał. — Przez dwadzieścia lat wychowywałem go od samego dziecka, usiłowałem przekazać mu swoją wiedzę, a to dziecko, mając trzydzieści lat, potrafi mi powiedzieć: Ludzie będą wolni!

— To jest pewne, ludzie będą równi, równi wobec prawa.

— A wobec śmierci, wobec śmierci, głupcze, czy ludzie również będą równi, kiedy jeden człowiek umrze po trzech dniach życia, a drugi będzie żył sto lat? Jakżeż mogą być równi, jeżeli nie zwyciężają śmierci! Ach, zwierzak, podwójny zwierzak!

I Althotas począł się śmiać serdecznie. Balsamo, poważny i nachmurzony, usiadł obok niego z opuszczoną głową. Althotas spojrział na niego ze współczuciem.

— Miałbym więc — powiedział — być równy prostakowi, spożywającemu czarny chleb, dziecku, które ssie pierś matki, dziecinniatemu starcowi, który myśli tylko o jedzeniu. O, pożalowania godny filozofie, nie zastanowiłeś się nad tym, że ludzie nie mogą być równi, póki są śmiertelni. Gdyby byli nieśmiertelni staliby się bogami, a tylko bogowie są równi sobie.

— Nieśmiertelni, nieśmiertelni! — mruknął Balsamo. — Co za uluda!

— Uluda! — zawołał Althotas. — Uluda! Tak, uluda taka sama jak para, jak fluid, jak wszystko to, czego się poszukuje, czego nie odkryto i co będzie odkryte. Lecz strząśnij wraz ze mną pył światów, obnaż jedne po drugich nałożone na siebie te warstwy dziejów ludzkich, które przedstawiają cywilizację. Cóż odczytasz z tych złóż kultury ludzkiej, z historii upadłych królestw, z tych pokładów

wieków, które trnie płatami nóż nowoczesnych badań naukowych? Odczytasz z tego, że ludzie pod różnymi nazwami: szczęścia, dobra, doskonałości, szukali zawsze tego samego, czego ja szukam. Szukali za czasów Homera, kiedy ludzie żyli po dwieście lat, i za czasów patriarchów, kiedy wiek ludzki sięgał ośmiu wieków. Ale nie znaleźli ani szczęścia, ani dobra, ani doskonałości. Gdyby go znaleźli, ten świat zgrzybiały stałby się świeży, dziewiczy i różowy jak jutrzienka. Tymczasem zamiast tego są cierpienia, trupy, rozkład. Jest szczęściem cierpienie? Są pięknem trupy? Pożądaną rzeczą jest rozkład?

— A więc dobrze — rzekł Balsamo odpowiadając starcowi, któremu suchy kaszel nie pozwolił dalej mówić — nikt nie wynalazł dotąd eliksiru życia i sądzę, że nikt go nie wynajdzie. Zostaw to Bogu.

— Głupcze! Gdyby tak rozumować, nigdy by nie doszło do żadnych odkryć. Zresztą, czy myślisz, że odkrycia te są na nowo wynalezione? Nie, są to rzeczy wydobyte z zapomnienia. Idą w zapomnienie, ponieważ zbyt krótkie jest życie wynalazcy, aby mógł wyciągnąć wszystkie wnioski, wynikające z jego odkryć. Ze dwadzieścia już razy blisko było znalezienia eliksiru życia. Czy sądzisz, że Styks był wymysłem Homera? Czy uważasz za bajkę to, że Achilles był prawie nieśmiertelny, bo pozbawić go życia można było jedynie ugodziwszy w piętę? Nie, Achilles był uczniem Chirona, podobnie jak ty jesteś moim. Chiron znaczy wyższy lub też gorszy. Chiron był uczonym, którego przedstawiają w postaci centaury, bo jego nauka obdarzyła człowieka siłą i lekkością konia. No, więc on także był bliski wynalezienia eliksiru życia. Może i jemu, jak mnie brakowało owych trzech kropli krwi, których mi odmawiasz. Brak tych trzech kropli krwi sprawił, że śmierć znalazła doświadczenie do Achillesa przez piętę. Tak, powtarzam to, Chiron, człowiek uniwersalny, człowiek wyższy, człowiek gorszy, to nikt inny jak drugi Althotas, któremu drugi Acharat przeszkadza dokonać dzieła, zdolnego ocalić ludzkość i wydrzeć skutkom boskiej klątwy. Co powiesz na to?

— Powiem — odparł Balsamo z widocznym wahaniem — powiem, że ja mam swoje dzieło, a ty masz swoje. Niech każdy z nas wykonuje je na własne ryzyko, narażając się sam na niebezpieczeństwa. Nie będę ci pomagał w zbrodni.

— Zbrodni?

— Tak, i to jeszcze wielkiej zbrodni, jednej z tych, która zwróciłaby przeciw tobie całą obudzoną ludzkość, zbrodni, która postawiłaby cię w obliczu haniebnych szubienic, od których twoja wiedza nie jest zdolna uwolnić ani ludzi lepszych, ani gorszych.

Althotas uderzył suchymi rękami po marmurowym stole.

— No, no — rzekł — nie bądź głupcem z miłości do ludzi, to jest najgorszy gatunek głupców ze wszystkich istniejących na świecie. No, ale dobrze, pomówmy też trochę o prawie, o okrutnym i niedorzecznym prawie stworzonym przez zwierzęta tobie podobne, których oburza kropla krwi przelana rozumnie, ale którzy żądni są krwi płynącej potokami po placach publicznych, u murów miast, na rozległych równinach zwanych polami bitwy. Oto bzdurne i samolubne prawo, które przyjęło za zasadę: „Używaj dnia, jutro umrzesz!” Proszę, porozmawiajmy o tym prawie.

— Powiedz ty, co masz do powiedzenia, ja posłucham — odparł Balsamo coraz posępniejszy.

— Masz ołówek lub pióro? Zrobimy mały rachunek.

— Ja liczę bez ołówka i pióra. Mów, co masz do powiedzenia, słucham.

— Rozpatrzmy twój projekt. Aha, przypominam sobie... Zniosłeś ministerstwo, zniosłeś parlament, ustanowiłeś niesprawiedliwych sędziów, doprowadziłeś do upadku, podburzyłeś zbuntowanych, roznieciłeś rewolucję, obaliłeś monarchię, pozwoliłeś na rządy jednego człowieka i straciłeś władzę. Rewolucja przyniosła ci wolność, samarządca — równość. W ten sposób Francuzi stali się wolni i równi, dzieło twe zostało dokonane, prawda?

— Tak. Uważasz to za niemożliwe?

— Nie uznaję niemożliwości. Zresztą widzisz przecież, że jestem z tobą.

— No więc?

— Posłuchaj. Po pierwsze, Francja to nie Anglia, gdzie już zrobiono to wszystko, co ty chcesz zrobić, ty, plagiator! Francja nie jest krajem odcięty od innych, w którym można by przeprowadzić to, do czego dążysz, bez wmieszania się innych narodów. Francja zrosnięta jest z Europą jak wątroba z wnętrznościami człowieka. Francja zapuściła korzenie w ciele wszystkich narodów, w nerwach wszystkich ludów. Spróbuj wyrwać wątrobę z tego wielkiego organizmu, jakim jest kontynent europejski, a zobaczysz jak w ciągu trzydziestu, być może czterdziestu lat całe ciało zacznie drgać. Oceniam bardzo ostrożnie i należałoby raczej przyjąć dwadzieścia lat. Czy to za wiele? Odpowiedz, mądry filozofie.

— Nie, to nie jest za wiele — rzekł Balsamo — nie jest też dosyć.

— Świetnie, to mnie zadowala. Dwadzieścia lat wojny, zażartych, śmiertelnych, bezustannych walk. Można przyjąć dlatego dwieście tysięcy rocznie zabitych, to nie jest wiele, jeśli zważyć, że będą bić się jednocześnie w Niemczech, Włoszech i Hiszpanii. Dwieście tysięcy zabitych rocznie to przez dwadzieścia lat wyniesie cztery miliony ludzi. Biorąc po siedemnaście litrów krwi na jednego człowieka... pomnożmy... 17 przez 4... to będzie sześćdziesiąt osiem milionów litrów krwi wylanej dla osiągnięcia twego celu. A ja żądam od ciebie tylko trzech kropeł. Powiedz teraz, kto z nas dwóch jest szalony, dziki, ludożerca? No, cóż to, nie odpowiadasz?

— Istotnie, mistrzu, odpowiem ci, że te trzy krople nie znacząłyby nic, gdybyś był pewien swego wyniku.

— A ty, który gotów jesteś wylać sześćdziesiąt osiem milionów litrów krwi, ty jesteś pewien? Mów! Wstań! Z ręką na sercu odpowiedz: „Mistrzu, za cenę tych czterech milionów trupów zapewnię szczęście ludzkości.”

— Mistrzu — rzekł Balsamo uchylając się od odpowiedzi — mistrzu, na Boga, mów o czym innym.

— Ach tak, nie chcesz odpowiedzieć! — wykrzyknął triumfalnie Althotas.

— Mylisz się, mistrzu, co do skuteczności środka; to jest niemożliwe.

— Widzę, że ty mnie pouczasz, zaprzeczasz mi, protestujesz — rzekł Althotas tocząc pełnymi zimnego gniewu, szarymi oczami o białych rzęsach:

— Nie, mistrzu, tylko zastanawiam się, żyjąc codziennie w kontakcie z otaczającym mnie światem, ścierając się z ludźmi, w walce z książętami, nie tak jak ty, zaszyty w kącie, obojętny na wszystko, co się dzieje, obojętny wobec tych, którzy się bronią, lub tych, którzy się umacniają. Jesteś czystą abstrakcją uczonego i cytologa. Ja znam trudności i ujawniam je, oto wszystko.

— Te trudności mógłbyś bardzo szybko przewyciężyć, gdybyś chciał.

— Powiedz raczej „gdybyś wierzył.”

— Więc ty nie wierzysz?

— Nie — odpowiedział Balsamo.

— Ty mnie kusisz — zawołał Althotas.

— Nie, ja wątpię.

— Wierzysz w śmierć?

— Wierzę w to, co jest. Śmierć istnieje. Althotas wzruszył ramionami.

— Więc śmierć istnieje — rzekł. — Przynajmniej tego nie zaprzeczasz.

— To jest rzecz niezaprzeczalna.

— Niezwyciężona i wieczna, prawda? — dorzucił stary uczoney z uśmiechem, od którego jego ucznia przebiegł dreszcz.

— Och, tak, mistrzu, niezwyciężona i wieczna nade wszystko.

— Kiedy jednak patrzysz na trupa, czy nie pokrywa ci pot czoła i czy żal nie ściska ci serca?

— Nie, pot nie występuje mi na czoło, bo zmam wielką niedolę ludzkości. Z żalu serce mi nie pęka, bo uważam życie za marność. Ale patrząc na zwłoki, mówię do siebie: „O, śmierci, jesteś potężna jak Bóg, panujesz wszechwładnie! O, śmierci, nic ci się oprzeć nie zdoła!”

Althotas słuchał w milczeniu i tylko ściskanie palcami lancetu zdradzało jego niecierpliwość. Kiedy jego uczeń skończył bolesne i uroczyste zdanie, starzec rozejrzał się z uśmiechem wokół siebie, a jego oczy, tak ogniste, że zdawały się przenikać każdą tajemnicę, zatrzymały się w kącie sali, gdzie na garści słomy leżał, drżąc cały, biedny czarny pies, ostatnie z trzech zwierząt, które Balsamo dostarczył Althotasowi do jego doświadczeń.

— Weź tego psa — rzekł Althotas do Balsamo — i połóż tu na stole.

Balsamo wykonał polecenie.

Zwierzę, które zdawało się przeczuwać swoje przeznaczenie i niewątpliwie znajdowało się już poprzednio w rękach uczonego, poczęło drzeć, rzucać się i wyć, dotknąwszy marmurowej powierzchni stołu.

— Ech — rzekł Althotas — wierzysz w życie, ponieważ wierzysz w śmierć, prawda?

— Naturalnie.

— No, a co powiesz o tym psie, który wydaje się tak żywy? — Że jest żywy, ponieważ wyje, rzuca się, ponieważ boi się.

— Och, jakie niemile są te czarne psy. Na przyszłość postaraj się o białe.

— Postaram się.

— Ano, twierdzimy więc, że ten pies jest żywy — ciągnął dalej starzec z żalobnym uśmiechem. — Szczekaj piesku, szczekaj, niech się przekona jaśnie wielmożny pan Acharat, że jesteś żywy.

I dotknął palcem jeden z mięśni psa, co sprawiło, że pies natychmiast zaszczekał, a raczej zajęczał.

— W porządku. Podaj klosz, tak. Wsadź" teraz psa pod klosz... Tutaj! Aha, zapomniałem cię zapytać, w jaką śmierć wierzysz najbardziej?

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, mistrzu. Śmierć jest śmiercią.

— Słusznie, bardzo słusznie. To, co mi powiedziałeś teraz, jest również moim poglądem. No, skoro śmierć jest śmiercią, usuń teraz powietrze z klosza, Acharacie.

Balsamo obrócił koło i wypuścił przez rurkę zamknięte w kloszu powietrze, które uchodziło powoli z ostrym sykiem. Znajdujący się pod kloszem pies z początku był niespokojny, zaczął biegać, węszyć, podniósł głowę, oddychał głośno i pośpiesznie, po czym obrzmiały padł bez życia wskutek uduszenia.

— A więc pies padł rażony apopleksją, prawda? — rzekł Althotas. — Piękna to śmierć, nie trzeba się długo męczyć!

— Tak.

— Sądzisz, że nie żyje?

— Bez wątpienia.

— Nie wydajesz się zbyt przekonany, Acharacie.

— Wręcz przeciwnie, jestem tego pewny.

— Ach tak! Znasz przecież środki, jakie stosuję, prawda? Przypuszczasz, że wynalazłem jakiś nowy sposób przywracania życia, który polega na wprowadzeniu do nieuszkodzonego organizmu powietrza i spowodowaniu krążenia krwi, podobnie jak to się dzieje w całym naczyniu?

— Niczego nie przypuszczam. Uważam, że pies nie żyje i to wszystko.

— Mniejsza o to. Dla zupełnej pewności, zabijemy go jeszcze raz. Podnieś klosz, Acharacie.

Po zdjęciu klosza pies nie poruszał się, powieki były zamknięte, serce nie biło.

— Weź teraz lancet i przetnij mu kość pacierzową nie naruszając krtani.

— Czynię to tylko, żeby ci się nie sprzeciwić.

— No, i żeby dobić biedne zwierzę na wypadek, gdyby jednak jeszcze żyło — dodał Althotas z upartym uśmiechem właściwym starcom.

Balsamo dokonał cięcia, ostrze lancetu rozdzieliło kręgosłup od mózgu tworząc głęboką, krwawiącą ranę. Zwłoki zwierzęcia nie poruszyły się.

— Tak, rzeczywiście, całkiem nieżywy — rzekł Althotas. — Ani jeden nerw nie drgnie, ani jeden mięsień. Jest martwy, zupełnie martwy, prawda?

— Stwierdzę to tyle razy, ile tylko zechcesz — odparł Balsamo niecierpliwie.

— A więc mamy tu zwierzę bezwładne, zimne, na zawsze nieżywe. Nic się nie oprze śmierci, powiedziałeś, nikt nie jest w mocy przywrócić życia, nawet pozoru życia biednemu zwierzęciu, prawda?

— Nikt oprócz Boga.

— No tak, ale Bóg nie będzie na tyle niekonsekwentny, aby to uczynić. Skoro Bóg zabija, to ponieważ jest największą mądrością, ma do tego swoje powody. Powiedział to pewien zabójca, już nie pamiętam, jak on się nazywał i wydaje mi się, że miał słuszość. Natura czerpie korzyści ze śmierci.

— Tak więc leży tu pies zupełnie martwy i natura ma go w swej władzy.

Althotas utkwiał przenikliwy wzrok w Balsamo, ten zaś znużony uciążliwością starca opuścił głowę.

— A cóż byś powiedział — odezwał się znów Althotas — gdyby ten pies otworzył oczy i spojrzał na ciebie?

— Niezmiernie by mnie to zdziwiło, mistrzu — odparł Balsamo uśmiechając się.

— Zdziwiłoby? Doskonale!

Powiedziawszy to z wymuszonym i ponurym śmiechem, starzec przysunął do martwego ciała psa przyrząd zbudowany z metalowych krążków oddzielonych kawałkami sukna, zanurzonymi w naczyniu z roztworem kwasu. Dwa końce tego przyrządu sterczały z naczynia.

— Które oko ma otworzyć, Acharacie? — zapytał starzec.

— Prawe.

Althotas zbliżył dwa końce przyrządu do szyi psa i dotknął nimi mięśnia.

Natychmiast otworzyło się prawe oko psa, nieruchomo utkwione w Balsamo, który cofnął się przestraszony.

— A teraz otworzymy pysk, dobrze?

Balsamo nie był zdolny odpowiedzieć, pozostając pod silnym wrażeniem tego, co zobaczył.

Althotas dotknął tymczasem innego mięśnia i zamiast oka otworzył się pysk, ukazując białe zęby osadzone w czerwonych dziąsłach, które drgały, jakby pies był żywy.

Balsamo poczuł lęk, którego nie potrafił ukryć.

— To niesłychane! — zawołał.

— Oto widzisz, jak błahą rzeczą jest śmierć — powiedział Althotas z triumfem na widok zdumienia swego ucznia. — Ponieważ jestem biednym starcem, którego ona niebawem osiągnie, zmusiłem ją do zboczenia z jej nieubłaganej drogi.

Nagle dodał ze śmiechem, ostrym i nerwowym:

— Strzeż się, Acharacie! Nieżywy pies dopiero co chciał cię ugryźć, a za chwilę zacznie cię gonić. Strzeż się!

Ledwie to powiedział, pies rzeczywiście podniósł się nagle na czterech łapach, z głową okropnie zwisającą z rozciętą szyją, rozwartym pyskiem, drgającym wzrokiem i zachwiał się na nogach.

Balsamo uczył, jak mu włosy stają na głowie. Zrobił kilka kroków do tyłu, aby oprzeć się o drzwi, nie wiedząc, czy ma uciekać, czy pozostać.

— No już dobrze — rzekł Althotas odsuwając zwłoki psa i przyrząd — dość tych doświadczeń. Ucząc cię, wcale nie chcę, abyś umarł ze strachu.

W tej samej chwili zwłoki psa odłączone od stołu galwanicznego, opadły bezwładnie i pozostały nieruchome jak poprzednio.

— Czy pomyślałbyś kiedy coś podobnego o śmierci i że z nią taka łatwa sprawa? Powiedz.

— Niesłychane, doprawdy niesłychane! — rzekł Balsamo podchodząc bliżej.

— Widzisz teraz, że można dojść do tego, o czym mówiłem i że pierwszy krok został już zrobiony. Cóż to już znaczy przedłużyć życie, skoro udało się udaremnić działanie śmierci?

— Nie wiadomo jeszcze — wyraził wątpliwość Balsamo — bo życie, które przywróciłeś, było życiem pozornym.

— Przejdzie czas, a będziemy przywracać życie prawdziwe. Czy nie czytałeś w dziełach poetów rzymskich o tym, jak Cassideus przywracał życie umarłym?

— Tak, w dziełach poetów...

— Nie zapominaj, mój przyjacielu, że Rzymianie nazywali poetów vates.

— No dobrze, jednak powiedz mi...

— Znowu zastrzeżenia?

— Tak. Kiedy już twój eliksir życia byłby wynaleziony i gdyby dać go psu, czy żyłby on wówczas wiecznie?

— Niewątpliwie.

— A gdyby dostał się potem w ręce takiego eksperymentatora jak ty, który by go zabił?

— Świetnie! — zawołał starzec uderzając z radości jedną ręką o drugą. — Na to właśnie czekałem!

— Jeśli tak, proszę, odpowiedz mi.

— Jak najchętniej.

— Czy zatem eliksir przeszkodzi temu, aby komin zwałił się na głowę, aby pocisk przeszedł człowieka na wylot czy koń kopnięciem rozpruł brzuch, jeźdźcowi?

Althotas spojrział na Balsamo jak szermierz, któremu chybiony cios przeciwnika pozwala ugodzić celnie.

— Nie, nie, nie — rzekł. — Jesteś tęgim logikiem, mój drogi Acharacie. Ani komin, ani pocisku, ani kopyta końskiego niesposób się ustrzec, dopóki istnieją domy, strzelby i konie.

— A więc czy prawdą jest, że będziesz mógł wskrzeszać umarłych?

— Tylko na pewien czas. Nie na zawsze. Aby do tego doszło, musiałbym odkryć miejsce w ciele ludzkim, gdzie się znajduje dusza. To mogłoby trwać dość długo. Mimo to przeszkodzę i tak tej duszy, aby uszła z ciała raną, jaką mu zadano.

- W jaki sposób?
- Zamykając ją.
- Nawet gdyby została przecięta tętnica?
- Nawet wtedy.
- Ach, żebym mógł to zobaczyć!
- A więc patrz — powiedział starzec.

I nim Balsamo zdążył go powstrzymać, przeciął sobie końcem lancetu żyłę u lewej ręki.

W ciele starca było już tak niewiele krwi i sączyła się tak powoli, że upłynęło kilka chwil, zanim ukazała się na krawędziach rany. Wtedy znalazłszy ujście, popłynęła obficie.

- Wielki Boże! — krzyknął Balsamo.
- Co się stało? — rzekł Althotas.
- Zraniłeś się, i to ciężko.
- Ponieważ jesteś jak święty Tomasz i nie wierzysz, póki nie zobaczysz i nie dotkniesz, trzeba więc, abyś zobaczył i dotknął.

Powiedziawszy to, Althotas wziął małą flaszeczkę, która znajdowała się w pobliżu niego i upuścił kilka kropel na ranę.

- Spójrz — powiedział.

Pod działaniem cudownego płynu krew przestała płynąć, ciało wokół rany skurczyło się, zwierając tak silnie brzegi rany, że krew, owo płynne ciało, jak ją nazywają, nie mogła się już precyzować.

Balsamo patrzył na starca z osłupieniem.

- Oto co jeszcze wynalazłem. Co ty na to, Acharacie?
- O, mistrzu, jesteś najmądrszym z ludzi.

— I chociaż nie pokonałem jeszcze śmierci w pełni, zadałem jej przecież cios, po którym trudno będzie jej się podnieść, prawda? Widzisz, mój synu, człowiek ma kruche kości i łatwo je złamać. Ja uczynię te kości twardymi jak stal. Kiedy z człowieka wyjdzie krew, razem z nią uchodzi życie. Nie dozwolę, aby krew uciekała z człowieka. Ciało ludzkie jest miękkie i łatwo je uszkodzić. Uczynię je tak odpornym jak ciała średniowiecznych paladynów, których nie imal się ni miecz, ni topór. Aby to się ziszcilo, potrzeba tylko Althotasa, który by żył trzysta lat. Daj mi więc to, czego od ciebie żądam, a żyć będę tysiąc lat. O, drogi mój Acharacie, to zależy jedynie od ciebie. Przywróć mi młodość, gibkość ciała i świeżość myśli, a przekonasz się, czy złękę się miecza, pocisku, walącego się komina lub zwierzęcia, które gryzie i wierzga. W czwartej mojej młodości, Acharacie, to jest wcześniej niżbym przeżył wiek czterech pokoleń, odnowiłbym oblicze ziemi i stworzyłbym dla siebie i dla odrodzonej ludzkości świat według moich wyobrażeń, świat bez kominów, bez mieczów, muszkietów, bez koni, które wierzgają, bo wtedy ludzie rozumieją, że warto żyć lepiej, pomagać sobie, kochać się, niż prowadzić spory i niszczyć się wzajemnie.

- To, co mówisz, mistrzu, wydaje się być prawdziwe lub przynajmniej prawdopodobne.

- Więc dobrze, przyprowadź mi dziecko.

— Pozwól mi zastanowić się jeszcze i zastanów się też sam. Althotas rzucił na swego ucznia spojrzenie pełne pogardy.

— Odejdź! — rzekł. — Będę cię przekonywał kiedy indziej. A zresztą krew ludzka nie jest składnikiem tak drogocennym, żeby nie można jej zastąpić czym innym. Idź sobie! Będę szukał i znajdę. Nie jesteś mi potrzebny, możesz iść.

Balsamo dotknął nogą sprężyny i przeniósł się do pokojów na dole, milczący i nieruchomy, przygnębiony siłą geniuszu tego człowieka, który potrafił zmuszać do wierzenia w rzeczy niemożliwe, sam je czyniąc.

ROZDZIAŁ LXI. WIADOMOŚCI

W tę długą noc, tak bogatą w wydarzenia, w czasie której przenieśliśmy się jak na obłokach bogów mitologicznych z jednego miejsca w drugie, z Saint-Denis do Murette i z Murette na ulicę Coq-Héron, a z ulicy Coq-Héron na ulicę Plâtrière, stąd zaś na ulicę Saint-Claude, w tę noc pani Dubarry próbowała różnych sposobów, za pomocą których udałoby się urobić i skłonić króla do nowej polityki, odpowiadającej jej dążeniom.

Przede wszystkim zwracała uwagę na niebezpieczeństwo, jakie groziło z pozostawienia Choiseulom szansy pozyskania małżonki delfina.

Król wzruszył ramionami, twierdząc, że małżonka delfina to jeszcze dziecko, a Choiseul jest starym ministrem, że zatem nie może być mowy o żadnym niebezpieczeństwie, gdyż małżonka delfina nie potrafi działać, minister natomiast nie będzie umiał bawić.

Oczarowany swym dowcipem i elokwencją, król uciął dalszą rozmowę.

Zupełnie co innego działo się z panią Dubarry. Wydawało jej się, że dostrzegła u króla pewien chłód w stosunku do niej.

Ludwik XV zabiegał o to, aby podobać się kobietom. Najbardziej czuł się szczęśliwy, gdy mógł przysporzyć swoim metresom powodów do zazdrości, oczywiście tylko w tym stopniu, aby nie prowadziło to do kłótni i przewlekłych dąsów.

Pani Dubarry była natomiast zazdrosna. Zazdrość ta wynikała przede wszystkim z miłości własnej, a także z obawy. Zbyt wiele trudu kosztowało ją zdobycie obecnej pozycji, jakże odległej i o ile wyższej od jej początkowego położenia, aby mogła jak pani Pompadour tolerować inne kochanki króla, a nawet mu je wyszukiwać, gdy zdawał się być znudzony, co jak wiadomo zdarzało się często.

A ponieważ pani Dubarry była zazdrosna, więc pragnęła poznać dokładnie przyczyny królewskiej obojętności.

Wtedy król powiedział te pamiętne słowa, z których ani jednego nie przemyślał:

— Bardzo mi zależy na szczęściu mojej wnuczki, a nie wiem doprawdy, czy delfin zdolny je będzie jej zapewnić.

— Dlaczego, Najjaśniejszy Panie?

— Dlatego, że w Compiègne, Saint-Denis i w la Muette interesowały go bardziej niż żona inne kobiety.

— Doprawdy, gdyby nie Wasza Wysokość mi to mówiła, nigdy bym nie uwierzyła. Małżonka delfina jest przecież piękna.

— Trochę za chuda.

— Ale jakże młoda!

— No tak, tylko że panna de Taverney jest również w wieku arcyksiężniczki.

— Cóż z tego?

— Jest przy tym skończenie piękna.

Błyskawica, jaka przebiegła w oczach hrabiny, ostrzegła króla, że popełnił nieostrożność.

— Ależ ty sarna, droga hrabino — rzekł król z żywością — chociaż tak mówisz, mając szesnaście lat byłaś okrągłutka jak pasterki naszego przyjaciela Bouchera. Nie mam co do tego wątpliwości.

To niewinne pochlebstwo poprawiło nieco sytuację, cios jednak był już zadany.

Pani Dubarry rozpoczęła atak i wdzięcząc się rzekła:

— Ach tak! Jest więc aż tali piękna ta panna de Taverney?

— Skądże mogę o tym wiedzieć? — odparł Ludwik.

— Jak to, wychwalasz jej urodę, a nie wiesz, czy jest piękna?

— Wiem tylko, że jest chuda i to wszystko. — A zatem widziałeś ją i oceniałeś.

— Ach, droga hrabino, zastawiasz na mnie sidła. A wiesz dobrze, że mam krótki wzrok. Dostrzegam tylko zarysy, reszta mnie nie obchodzi. U małżonki delfina rozpoznałem tylko kości i tyle.

— A u panny de Taverney widziałeś też tylko zarysy, jak to powiadasz. Bo Jej Wysokość małżonka delfina odznacza się wytworną pięknnością, a panna de Taverney ma urodę pospolitą.

— No nie, Joanno — rzekł król — więc ty nie miałabyś być pięknnością wytworną? Żartujesz chyba.

— Aha, komplement — powiedziała cicho hrabina. — Na nieszczęście ten komplement osłania inny komplement, który nie jest przeznaczony dla mnie.

Po czym dodała głośno:

— Doprawdy, bardzo byłabym rada, aby damy Jej Wysokości małżonki delfina odznaczały się urodą. Dwór składający się ze starych kobiet to rzecz szkaradna.

— Komu to mówisz, droga przyjaciółko? Powtarzałem to jeszcze wczoraj wieczorem delfinowi, ale dla niego jest to obojętne.

— A gdyby Jej Wysokość wzięła pannę de Taverney?

— Sądzę, że chyba ją weźmie — odpowiedział Ludwik XV. — Ach, to wiesz o tym, Najjaśniejszy Panie?

— Słyszałem, że tak przynajmniej mówiła.

— Dziewczyna nie ma majątku.

— Tak, ale z dobrego domu. Ci Taverney Maison-Rouge pochodzą ze starego rodu i są bardzo zasłużeni,

— Kto ich popiera?

— Nic o tym nie wiem. Ale przypuszczam, że są biedni, tak jak mówisz.

— W takim razie nie popiera ich pan de Choiseul, bo opływaliby w dostatkach.

— Hrabino, hrabino, błagam cię, nie wdawajmy się w politykę.

— A więc to jest polityka, mówić, że Choiseulowie cię rujnują?

— Naturalnie — rzekł król i podniósł się.

W godzinę później Jego Królewska Mość znajdował się już w wielkim Trianon, rad wielce, że wzbudził zazdrość. Ale jednocześnie powtarzał półgłosem, jakby to uczynił być może Richelieu, mając trzydzieści lat:

— Doprawdy, zazdrosne kobiety — to strasznie nudne! Natychmiast po odejściu króla, pani Dubarry udała się

do swojego buduaru, gdzie czekała na nią niecierpliwie chciwa wiadomości Chon.

— Ho, ho — rzekła — odnosisz ostatnio nie lada sukcesy:

przedwczoraj zostałaś przedstawiona żonie delfina wczoraj zaproszona na obiad.

— To prawda. Nie ma co, ładna historia!

— Jak to ładna historia. Wiesz przecież, że w tej chwili pędzi drogą do Luciennes sto powozów po twój uśmiech poranny.

— Bardzo mi przykro z tego powodu.

— Dlaczego?

— Bo ani powozy, ani ludzie nie ujrzą dziś mojego uśmiechu.

— Ach, hrabino, czyżbyś spodziewała się burzy?

— Właśnie! Czekolady, prędszej czekolady! Chan zadzwoniła.

Zjawił się Zamara.

— Czekolady] — rozkazała hrabina.

Zamora powolnym, wymierzonym krokiem, wyprostowany skierował się ku wyjściu.

— Ten łotr chce, żebym umarła z głodu! — krzyknęła hrabina. — Sto różeg, jeżeli się nie pośpieszy!

— Ja nie będę biegł, ja gubernator — odparł dostojnie Zamora,

— Ach, ty gubernatorze! — rzekła hrabina, chwyciwszy szpicrutę, przeznaczoną do godzenia zwaśnionych piesków i papug hrabiny. — Ach, ty gubernatorze, poczekaj, poczekaj, zaraz zobaczysz, panie gubernatorze!

Na ten widok Zamora zaczął biec trzaskając wszystkimi drzwiami i wrzeszcząc wniebogłosy.

— Ale okrutna jesteś dzisiaj, Joanno — rzekła Chan.

— Mam do tego prawo, prawda?

— Och, zapewne. Ale opuszczam cię, moja droga.

— Dlaczegoż to?

— Boję się, że mnie zmaltretujesz. Ktoś zapukał trzy razy.

— Kto tam znowu? — rzekła hrabina z niecierpliwością.

— Ten na pewno będzie przyjęty przychylnie — powiedziała cicho Chon.

— Wolałbym być źle przyjęty — zawołał Jan, ukazując się, w szeroko, z królewskim gestem otwartych drzwiach.

— A cóżby się stało, gdybyś został źle przyjęty? W końcu może cię i to spotkać.

— Stałoby się — rzekł Jan — że więcej bym nie przyszedł.

— Impertynent!

— Proszę, nazywają człowieka impertynentem za to, że nie jest pochlebcą. Co jej się stało dzisiaj, powiedz Chon?

— Nie mówmy o tym, Janie, ona jest nie w humorze. Ale oto czekolada!

— A więc nie odzywajmy się do niej. Witaj, moja czekolado — rzekł Jan biorąc tacę — jak się masz! I postawił tacę w kącie na stolyczku, przy którym usiadł.

— Chodź, Chon — rzekł — chodź. A ci, co są zbyt dumni, nie dostaną nic.

— Ach, wy jesteście rozkoszni — rzekła hrabina widząc, jak Chon dała znak Janowi, żeby jadł sam — obrażacie się za byle głupstwo i nie widzicie, że ja cierpię.

— Co ci jest? — spytała Chon zbliżając się do niej.

— Nic — zawołała hrabina — ale żadnemu z was nie przyjdzie do głowy, co mi zaprzęta myśli.

— Co, powiedz?

Jan nie poruszył się nawet. Smarował chleb masłem.

— Brakło ci pieniędzy? — zapytała Chon.

— Ach, co do tego — rzekła hrabina — to prędzej braknie ich królowi niż mnie.

— Wiesz, to pożycz mi tysiąc ludwików — odezwał się Jan — bardzo potrzebuję pieniędzy.

— Tysiąc przytków w twój czerwony nochal!

— Król więc stanowczo zatrzymuje tego wstrętnego Choiseula? — zapytała Chon.

— Naturalnie! Wiecie przecież, że Choiseulowie są niezniszczalni.

— A więc zakochał się chyba w żonie delfina?

— Być może! Ale spójrz na tego gbura, który tylko żłopie czekoladę i ani myśli mi przyjść z pomocą. Och, wpędzą mnie do grobu!

Jan, nie przejmując się wcale burzą huczącą za jego plecami, przekroił drugą bułkę, posmarował masłem i nalał drugą filiżankę czekolady.

— Co?! Król jest zakochany? — wykrzyknęła Chon. Pani Dubarry zrobiła ruch głową, jakby chciała powiedzieć:

— Trafiłaś w sedno.

— I to w żonie delfina — ciągnęła Chon załamując ręce. — Ale to może nawet lepiej. Nie popełnił przecież kazirodztwa. Możesz więc być spokojna. Lepiej już ta niż jakaś inna.

— A jeżeli zakochał się nie w niej, tylko w innej?

— Ach, mój Boże! Co ty mówisz?

— Tak, teraz jest ci gorzej, prawda? Tego nam tylko brakowało.

— Och, jeżeli to prawda — rzekła Chon z cicha — jesteście zgubieni! I ty możesz to znieść, Joanno? Ale w kimże mógł się zakochać?

— Spytaj o to swego braciszka, który pęknie od tej czekolady. On wie lub przynajmniej się domyśla. Jan podniósł głowę.

— Do mnie mówisz? — rzekł.

— Tak, mój panie, do ciebie. Masz powiedzieć, jak się nazywa ta, która zawróciła w głowie królowi.

Jan mając pełne usta jedzenia z trudem wypowiedział trzy wyrazy:

— Panna de Taverney.

— Panna de Taverney! — krzyknęła Chon. — Litości!

— On wie o tym — zawołała hrabina opierając się gwałtownie o poręcz krzesła i wznosząc ręce ku niebu — on wie o tym, niegodziwiec, i nic sobie z tego nie robi!

— Ach, niesłychane — rzekła zgorziona Chon, przechodząc teraz z kolei na stronę siostry.

— Nie wiem doprawdy — odezwała się ponownie rozgniewana hrabina — co mnie wstrzymuje, żeby wydrapać temu wankoniowi oczy. No, nareszcie ruszył się! Chwała Bogu!

— Mylisz się — rzekł Jan — wcale nie spałem.

— Cóżeś robił, hultaju?

— Dalibóg! — odparł Jan — biegałem całą noc i całe rano.

— Właśnie! Któż wreszcie udzieli mi jakichś informacji, kto mi powie, co się stało z tą dziewczyną, gdzie ona jest?

— Gdzie jest? — powtórzył Jan.

— Tak, gdzie jest.

— W Paryżu, u licha, ulica Coq-Heron. — Kto ci to powiedział?

— Stangret, który ją przywiózł. Powiedział, że przywiózł całą rodzinę Taverneyów do pałacu przy ulicy Coq-Heron, położonego w ogrodzie i przylegającego do pałacu d Arme-nonville.

— Ach, Janie! — zawołała hrabina. — Dogadaliśmy się w końcu, mój przyjacielu. Teraz potrzeba tylko jeszcze szczegółów. Jaki tryb życia prowadzi, co robi, z kim się widuje, czy otrzymuje listy? Oto, co muszę koniecznie wiedzieć.

— Dobrze, zrobi się.

— W jaki sposób?

— A, w jaki? Szukałem ją, poszukajcie teraz trochę wy. — Na ulicy Coq-Heron? — zapytała żywo Chon. — Mh... — odmruknął flegmatycznie Jan.

— Tam muszą być chyba mieszkania do wynajęcia.

— Och, doskonały pomysł! — zawołała hrabina. — Trzeba szybko wynająć tam mieszkanie. Schowamy w nim kogoś, kto będzie śledził wchodzących i wychodzących. Prędszej, prędszej, karetę i jedźmy na ulicę Coq-Hèron!

— Nie ma po co. Na ulicy Coq-Hèron nie ma mieszkań do wynajęcia.

— Skąd wiesz?

— Dowiadywałem się. Ale jest mieszkanie do wynajęcia na ulicy Plâtrière.

— Co to za ulica?

— Tyły domów przy tej ulicy wychodzą na ogrody ulicy Coq-Hèron.

— A więc żywo! — rzekła hrabina — mieszkanie na ulicy Plâtrière!

— Już wynajęte — powiedział Jan.

— Cudowny człowiek! — zawołała hrabina. — Chodź, Janku, możesz mnie pocałować.

Jan otarł usta i pocałował panią Dubarry w oba policzki, po czym ukłonił się ceremonialnie, okazując w ten sposób podziękowanie za honor, jaki go spotkał.

— Sprawilo mi to prawdziwą przyjemność — rzekł Jan. — Najważniejsze, czy cię tam nie poznano.

— Któż mógłby mnie poznać, u licha, na ulicy Plâtrière!

— Pytano cię, dla kogo wynajmujesz?

— Oczywiście. Powiedziałem, że dla młodej wdowy. Czy nie możesz być wdową, Chon?

— Och, i to jeszcze jak!

— Wybornie — rzekła hrabina. — A zatem Chon zamieszka w wynajętym mieszkaniu, będzie czatować i czuwać. Dalej, nie traćmy czasu!

— Jadę natychmiast — zdecydowała Chon. — Konie! Dawajcie konie!

— Konie! — krzyknęła hrabina dzwoniąc tak gwałtownie, że mogło to obudzić umarłego.

Jan i hrabina dobrze zdawali sobie sprawę, co należy myśleć w związku z Andreą. Ledwo się pokazała, a już zwróciła uwagę króla: jest więc niebezpieczna.

W czasie kiedy zaprzęgano konie, hrabina wypowiedziała na ten temat swoje uwagi:

— Ta dziewczyna nie byłaby prawdziwą prowincjonalną, gdyby ze swojego zaścianka nie sprowadziła tu jakiego zalekłego wielbiciela. Odszukajmy go i doprowadźmy jak najprędzej do ożenku! Nic bardziej nie ostudzi króla w miłosnych zapędach jak małżeńska sielanka kochanków z prowincji.

— Akurat! Całkiem na odwrót! — rzekł Jan. — Trzeba się tego strzec jak ognia. Dla Jego Królewskiej Mości taka młoda żonka to byłby najsmaczniejszy kąsek i ty powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż kto inny, moja droga. Natomiast panna, mająca kochanka, to by się mniej podobała jego Wysokości.

— Karetą gotowa — oznajmił lokaj.

Chon wybiegła, uściskawszy rękę brata i ucałowawszy siostrę.

— Czemu nie bierzesz ze sobą Jana? — zapytała hrabina.

— Nie trzeba, ja pójdę sam — odparł Jan. — Czekaj na mnie na ulicy Plâtrière, Chon. Ja pierwszy złożę ci wizytę w twoim nowym mieszkaniu.

Kiedy Chon odjechała, Jan zasiadł przy stole i wypił trzecią filiżankę czekolady.

Chon tymczasem udała się najpierw do domu, tam przebrała się, po czym zajęła się studiowaniem manier cnotliwej mieszczyki. Kiedy już wydawała się być zadowolona z przeprowadzonych prób, założyła na arystokratyczne ramiona skromną mantylę z czarnego jedwabiu, kazała sprowadzić lektykę i w pół godziny później wspinała się po stromych schodach wraz z Sylwią na czwarte piętro, gdzie mieściło się tak szczęśliwie zdobyte przez wicehrabiego mieszkanie.

Kiedy znajdowała się już na drugim piętrze, odwróciła się, usłyszała bowiem, że ktoś za nią idzie.

Była to właścicielka domu, kobieta stara, zajmująca mieszkanie na pierwszym piętrze. Usłyszawszy kroki na schodach, wyszła, zaintrygowana przybyciem dwóch tak młodych i pięknych kobiet.

Podniosła zaciekawiona głowę i ujrzała dwie roześmiane twarze.

— Kogo to szukacie, moje panie? — rzekła.

— Mieszkania, które wynajął dla nas mój brat — odparła Chon zachowując się tak, aby wywołać wrażenie, że jest wdową. — Czy nie widziała go pani? A może nie trafiłyśmy?

— Nie, nie, to tutaj na czwartym piętrze — rzekła gospodyni. — Biedna kobieta, w tak młodym wieku już wdowa!

— Niestety — westchnęła Chon wznosząc oczy ku niebu.

— Ale będzie pani czuła się tu bardzo dobrze. To bardzo miła ulica, cicha, okna pani mieszkania wychodzą na ogród.

— Tego właśnie pragnęłam.

— A z korytarza będzie pani mogła wyglądać na ulicę i patrzeć na przechodzące procesje albo na popisy tresowanych psów.

— Ach, to będzie bardzo zajmujące — westchnęła znowu Chon.

I poszła dalej.

Stara gospodyni prowadziła ją wzrokiem aż na czwarte piętro, a kiedy Chon zniknęła za drzwiami, gospodyni mruknęła do siebie:

— Wygląda na porządną kobietę.

Gdy tylko zamknęła drzwi, Chon podbiegła natychmiast do okna wychodzącego na ogród.

Jan nie omylił się: pod samymi prawie oknami znajdował się budynek, o którym mówił stangret.

Niebawem znalazło to jeszcze bardziej niewątpliwe potwierdzenie: oto w jednym z okien tego budynku usiadła młoda dziewczyna z robótką w ręku. Była to Andrea.

ROZDZIAŁ LXII. MIESZKANIE NA ULICY PLÂTRIÈRE

Przez chwilę Chon przypatrywała się młodej dziewczynie. Dalszą obserwację przerwało wejście wicehrabiego.

— No i cóż? — zapytał w progu.

— Ach, to ty! Jakże minie przestraszyłeś, Janie. — Co mówisz na to mieszkanie?

— Doskonale! Wszystko stąd wybornie widać, szkoda tylko, że nie można wszystkiego słyszeć.

— Wymagasz zbyt wiele. Ale, ale... Mam nową wiadomość.

— Mów jaką?

— Cudowną!

— No, mówże!

— Wspaniałą!

— Ten. człowiek mnie zabije tymi okrzykami!

— Filozof...

— Cóż znowu za filozof?!

— Mówi się: Mędrzec jest przygotowany na wszystko. Ale chociaż jestem mądry, to minie przecież zaskoczyło.

— Zmiłujże się, mów nareszcie, o co chodzi! Może ta dziewczyna ci przeszkadza? W takim razie proszę przejść do sąsiedniego pokoju, panno Sylwio.

— Och, wręcz przeciwnie, z takim ślicznym dzieckiem powinno się być jak najdłużej. Zostań, Sylwio, zostań.

I wicehrabia musnął palcem podbródek pięknej dziewczyny, która na myśl, że mogłaby nie usłyszeć tego, o czym będzie mowa, zmarszczyła brwi.

— Niech już zostanie, ale mówże prędzej.

— Albo ja co innego robię od samego przyścia?

— Ale mówisz od rzeczy. Przestań więc i pozwól mi spokojnie obserwować.

— No dość już, mówmy poważnie. Otóż jak już powiedziałem, przechodziłem koło studni...

— Nie wspomniałeś o tym ani słówkiem.

— Widzisz, znowu mi przerywasz.

— No, już dobrze.

— A więc targowałem się przy studni o graty, które chciałem kupić do tego wstrętnego mieszkania, gdy nagle uczułem, jak strumień wody oblewa mi nogi.

— Ach, nie ma co, jakież to wszystko zajmujące!

— Czekaj, nie bądź w gorącej wodzie kąpana, moja droga. Oglądani się więc... patrzę... i zgadnij, kogo zobaczyłem. Stawiam sto do jednego, że nie zgadniesz.

— Och, powiedzże w końcu.

— Zobaczyłem młodego człowieka, który spowodował ów prysznic, przykładając kawał chleba do otworu studziennego kranu.

— Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mnie to wszystko obchodzi! — rzekła Chon wzruszając ramionami.

— Słuchaj więc. Oblany wodą, zacząłem krzyczeć, kłać i wymyślać na sprawcę tego głupiego żartu. On obejrzał się i zobaczyłem... zobaczyłem mojego, a raczej naszego filozofa.

— Czyżby Gilberta?

— We własnej osobie. Miał odkrytą głowę, rozpiętą kamizelkę, pończochy mu opadły, przy trzewikach brak było sprzączek, słowem zupełnie zaniedbany!

— Gilbert! I co ci powiedział?

— Poznał ranie również. Podszedłem do niego, on cofnął się. Wyciągnąłem do niego rękę, a on wziął nogi za pas i pomknął jak chart między powozami i nosiwodami.

— I straciłeś go z oczu?

— Pal go diabli! Miałem go może gonić?

— Tak, to było niemożliwe. Ale przepadł.

— Ach, jaka szkoda! — wymknęło się panie Sylwii westchnienie.

— Zapewne — rzekł Jan — jestem mu winien porcję batów i gdybym chwycił go za wypłowiły kołnier, nic by na tym nie stracił, że poczekał, słowo daję. Ale chłopak odgadł moje dobre intencje i dał drapaka. Ale nic się nie stało, jest w Paryżu, a to najważniejsze. W Paryżu zaś, byle być w dobrej komitywie z ministrem policji, znajdzie się wszystko, czego się szuka.

— Trzeba to zrobić koniecznie.

— A gdy go znajdziemy, będzie się miał z pyszna.

— Zamknie się go — rzekła Sylwia. — Tylko tym razem trzeba go umieścić w pewnym miejscu.

— A Sylwia będzie nosiła mu tam chleb i wodę — zaśmiał się wicehrabia.

— Nie żartuj, mój drogi — rzekła Chon. — Ten chłopiec był świadkiem zajścia z końmi pocztowymi. Gdyby miał powody do tego, mógłby się stać niebezpieczny.

— Dlatego też — odparł Jan — idąc po schodach, postanowiłem sobie udać się do pana de Sartines i oznajmić mu o mojej zgubie. Sartines bez trudu dojdzie do wniosku, że człowiek, który chodzi z odkrytą głową, z opuszczonymi pończochami i moczy chleb przy studni, musi mieszkać gdzieś w pobliżu i łatwo go znajdzie.

— Co ten chłopak może tu robić bez pieniędzy?

— Jest pewno posłańcem.

— On!? Filozof, i to z gatunku tych dzikich?! Skądże znowu!

— Znalazł zapewne — rzekła Sylwia — jakąś starą dewotkę, swoją krewną, która daje mu skórki chleba zbyt twarde dla jej pieska.

— Dość już, dość. Włóż, Sylwio bieliznę do tej starej szafy, a ty Janie, stań na posterunku.

I oboje z wielką ostrożnością zbliżyli się do okna.

Andrea porzuciła robótkę, wyciągnęła niedbale nogi na fotelu, potem sięgnęła ręką po książkę leżącą na krześle, otworzyła ją i zaczęła czytać. Książka musiała być bardzo ciekawa, bo Andrea ani razu się nie poruszyła.

— Ach, jaka zaczytana! — rzekła panna Chon. — Co też ona czyta?

— Oto rzecz najniezbędniejsza — powiedział wicehrabia wydobywając z kieszeni lornetkę. Rozsunął ją opierając o framugę okna, aby się nie poruszyła, i skierował na Andreę.

Chon z niecierpliwością śledziła jego ruchy.

— No, czy naprawdę jest to takie piękne stworzenie? — zapytała wicehrabiego.

— Cudowna! Co za ramiona! Jakie ręce! A oczy! Tym ustom nie oparłby się nawet święty Antoni! Och, co za nogi!

— Me zakochaj się czasem. Tego by nam jeszcze brakowało — rzekła Chon nadaśana.

— A wiesz, to byłoby nawet niezłe, zwłaszcza gdyby i ona zechciała mnie trochę kochać. Uspokoiliby to nieco naszą biedną hrabinę.

— No, dawaj lornetkę i nie zwracaj głowy, jeżeli to możliwe. Ależ tak, ta dziewczyna jest rzeczywiście piękna. Niepodobna, aby nie miała kochanka... Ale patrz... ona nie czyta... Książka wypadła jej z ręki... A mówiłam, że ona nie czyta, tylko marzy...

— Albo śpi.

— Z otwartymi oczami! Niech ją licha, cóż za oczy!

— W każdym razie — rzekł Jan — jeżeli ma ona kochanka, zobaczymy go stąd.

— Tak, jeżeli przychodzi we dnie. Ale jeżeli nocą?

— Do diabła! Nie pomyślałem o tym, a to jest przecież pierwsza rzecz, o której powinienem pomyśleć. To dowodzi, jak bardzo jestem naiwny.

— Naiwny jak szafarz klasztorny.

— Dobrze! Wyprowadzono mnie w pole, coś jednak wymyślę.

— Ależ to doskonała lornetka! — rzekła Chon. — Mogłabym stąd czytać tam książkę.

Chon zbliżyła się z zaciekawieniem do okna, lecz cofnęła się jeszcze szybciej niż podeszła.

— Co tam? — zapytał wicehrabia. Choin wzięła go za rękę i powiedziała.

— Spójrz ostrożnie w lewo, ktoś wychyla się przez okno. Uważaj, żeby cię nie spostrzegł.

— Oo! — zawołał głucho Dubarry. — Toż to mój znajomy spod studni, jak Boga kocham!

— Chce zeskoczyć na dół.

— Nie, uczeplił się rynnny.

— Zobacz tylko, jaki ma dziki wyraz oczu.

— On wypatruje kogoś. Wicehrabia uderzył się w czoło. — Już mam! — zawołał.

— Co?

— On przecież wypatruje tę małą!

— Pannę de Taverney?

— A jakże! Oto i kochanek z gołębnika Ona przybywa do Paryża, on za nią. Ona mieszka na ulicy Coq-Héron, on ucieka od nas, aby zamieszkać obok niej przy ulicy Plâtrière. On wpatruje się w nią, ona marzy.

— Ależ lak, to prawda — rzekła Chon. — Patrz, jak wlepił w nią rozpalone oczy. Stracił głowę z miłości.

— Siostró — odparł Jan — nie zadawajmy sobie trudu w śledzeniu dziewczyny, zakochamy nas wyręczy.

— Na swoją korzyść.

— Wcale nie, na naszą. Teraz pozwól mi odejść, chciałbym zobaczyć się z tym kochanym Sartines. Do licha, wygląda na to, że los nam sprzyja. Ale uważaj dobrze, aby filozof cię nie zobaczył. Wiesz, jak szybko bierze nogi za pas.

ROZDZIAŁ LXIII

PLAN WYPRAWY

Pan de Sartines powrócił do domu o trzeciej nad ranem i był bardzo znużony, ale jednocześnie i bardzo zadowolony, że tak dobrze wypadła uroczystość urządzona przez niego na cześć króla i pani Dubarry.

Rozentuzjasmowany widokiem następczyni tronu, lud wznosił na cześć Jego Wysokości niezliczoną ilość okrzyków „Niech żyje król”, których skąpił mu coraz bardziej od czasu owej słynnej choroby w Metz, kiedy to cała Francja przebywała w kościołach albo odbywała pielgrzymki, aby wyjednać u Boga zdrowie dla młodego Ludwika XV, zwanego wówczas Ludwikiem Ukochanym.

Nawet pani Dubarry, której nie udało się prawie nigdy uniknąć zniewag tłumu, gdy ukazała się publicznie, tym razem spotkała się z przychylnymi okrzykami najbliższych stojących widzów. Król powitał te objawy z zadowoleniem i przesłał panu de Sartines dyskretny uśmiech, który upewniał ministra w przekonaniu, że może spodziewać się przy najbliższej sposobności serdecznych podziękowań ze strony króla.

Pozwolił też sobie tego dnia spać do południa, co mu się nie zdarzyło już od dawna, a kiedy wstał, przez resztę wolnego dnia zrobił sobie uciechę przymierzając ze dwa tuziny nowych peruk. Gdy tak używał sobie, słuchając przy tym raportów z nocy, zawiadomiono go o wizycie wicehrabiego Jana Dubarry.

— Świetnie — pomyślał pan de Sartines — zapewne król przysłał mi podziękowania. Kto zresztą wie? Kobiety są takie kapryśne!

I kazał prosić gościa do salonu.

Jan, zmęczony już od samego rana, zasiadł w fotelu i minister policji, który nie ościągał się z powitaniem gościa, mógł przekonać się, że w czasie wczorajszych uroczystości nie było żadnych uchybień.

Rzeczywiście Jan wydawał się być rozpromieniony.

Panowie uścisnęli sobie ręce.

— Cóż pana sprowadza do mnie tak wcześnie, wicehrabio? — zapytał pan de Sartines.

— Przede wszystkim — odparł Jan nawykły do schlebiania miłości własnej ludzi, z którymi musiał się liczyć — przede wszystkim chciałem powinszować panu niezwyklego

talentu w urządzaniu tak udanych uroczystości jak wczorajsza.

— A, bardzo dziękuję. Czy to jest oficjalne podziękowanie?

— Jak najbardziej oficjalne. Pochodzi z Lurciennes.

— Niczego więcej nie mógłbym sobie życzyć. To tam przecież słońce wschodzi?

— A niekiedy nawet zachodzi.

I Dubarry wybuchnął dość prostackim śmiechem, który jednak nadawał jego obliczu wyraz dobroduszości, często zresztą przez niego wykorzystywanej w odpowiednich okolicznościach przy nadarzającej się sposobności.

— Oprócz komplementów mam do pana jeszcze pewną prośbę.

— Ależ proszę bardzo, uczynię, co tylko w mojej mocy.

— Ośmiela mnie ta uprzejmość. Chodzi o to, czy jeśli coś w Paryżu zginie, istnieje nadzieja odnalezienia tego?

— Owszem, jeżeli jest to rzecz nie warta nic albo bardzo wiele.

— To, czego szukam, nie przedstawia większej wartości.

— Cóż to jest?

— Szukam pewnego chłopca lat około osiemnastu.

Pan de Sartines wyciągnął rękę po papier, wziął ołówek i zapisał.

— Lat osiemnaście. Jak się ten chłopiec nazywa?

— Gilbert.

— Czym się zajmuje?

— Prawdopodobnie niczym.

— Skąd pochodzi? — Z Lotaryngii.

— U kogo był poprzednio?

— W służbie u Taverneyów.

— Wzięli tu go z sobą?

— Nie. Moja siostra znalazła go na gościńcu umierającego z głodu, zabrała z sobą i zawiozła do Luciennes a tam...

— Tak, a tam?

— Obawiam się, że nicpoń nadużył gościnności.

— Czy ukradł coś?

— Tego nie powiedziałem.

— A więc.

— Chciałem powiedzieć tylko, że uciekł i to w bardzo dziwaczny sposób.

— A teraz chciałby go pan mieć z powrotem?

— Tak.

— Może domyśla się pan, gdzie obecnie może on przebywać?

— Spotkałem go dziś przy studni na rogu ulicy Plâtrière i mam podstawy przypuszczać, że mieszka na tej ulicy. Ściśle biorąc, zdaje się, że mógłbym nawet wskazać, w którym domu.

— Świetnie, jeśli pan zna dom, to nic łatwiejszego, jak sprowadzić go. Co z nim zrobić potem? Zamknąć go w Bieître czy Charenton?

— Nie, właściwie...

— Ależ proszę się nie krępować, zrobię co tylko pan zechce.

— Ot, po prostu chłopiec podoba się mojej siostrze, chciała zatrzymać go na służbie, bo jest inteligentny, gdyby więc można go sprowadzić jakoś w łagodny sposób, byłbym bardzo rad.

— Spróbujemy. Czy wypytywał pan kogo o tego chłopca na ulicy Plâtrière?

— O, skądże! Nie chciałem zwracać na siebie uwagi w tej sytuacji. Przecież kiedy mnie zobaczył, uciekł gdzie pieprz rośnie. Nie mogłem więc pytać o niego w domu, gdzie mieszka, bo jeszcze by się o tym dowiedział i czmychnął.

— Słusznie. A więc na ulicy Plâtrière? Na końcu, w środku, na początku?

— Prawie pośrodku.

— Może pan być spokojny, pošlę tam zaraz odpowiedniego człowieka.

— Ach, drogi ministrze, niechby to był nie wiem kto, będzie jednak musiał rozmawiać.

— Nie, u nas nie ma tego zwyczaju.

— Chłopiec jest niesłychanie sprytny.

— Ach, rozumiem, przepraszam, że nie wpadłem na to wcześniej, pan wolałby, żebym to ja sam zajął się tą sprawą? Rzeczywiście, ma pan słuszność... tak będzie najlepiej... ponieważ można tam napotkać trudności, które niesposób przewidzieć.

Jakkolwiek Jan był przekonany, że owe trudności istniały tylko w słowach urzędnika, który chciał przez to przydać sobie znaczenia, nie wyjawiał tego jednak, a nawet dodał:

— Z uwagi na trudności, jakie pan przedstawił, byłoby pożądanym, aby pan minister osobiście zajął się tą sprawą.

Pan de Sartines zadzwonił na służącego.

— Niech zaprzęgają konie — rzekł do wchodzącego lokaja.

— Służę moim powozem — powiedział Jan.

— Dziękuję, wolę mój. Nie ma na nim żadnych herbów, jest czymś pośrednim między dorożką a karetą, co miesiąc przemalowywany, aby trudniej było go rozpoznać. A teraz, nim zaprzęgną, pozwól mi pan przymierzyć peruki, które mi przyniesiono.

— Ależ proszę bardzo — odparł Jan.

Pan de Sartines wezwał perukarza, który był artystą w swoim zawodzie i przyniósł istną kolekcję peruk różnych kształtów, barwy i rozmiarów.

Pan de Sartines z racji swego powołania przebierał się po kilka razy na dzień i przykładał wielką uwagę do ścisłego przestrzegania szczegółów w ubiorze.

Gdy minister policji przymierzał już dwudziestą czwartą perukę, zawiadomiono go, że powóz podjechał.

— Czy pozna pan dom? — zapytał Jana pan de Sartines w drodze.

— Naturalnie! Stąd go widzę.

— Przyjrzał się pan dobrze wjazdowi?

— To była pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę. — Jak wygląda ten wjazd?

— Jest to aleja.

— Co?! Aleja pośrodku ulicy, mówi pan?

— Tak, z ukrytą bramą.

— Do diabła! Z ukrytą bramą! Czy wie pan, na którym piętrze mieszka zbieg?

— Na poddaszu. Zresztą zaraz się pan przekona, bo oto i studnia.

— Jedź stępa! — zawołał pan de Sartines do stangreta. Konie zwolniły. Pan de Sartines opuścił szybko drzwiczek pojazdu.

— O, niech pan spojrzy — rzekł Jan — to jest ten dom, ten brudny.

— Ten?! — wykrzyknął pan de Sartines. — Tego się właśnie bałem.

— Co, pan się boi?

— Niestety, tak.

— Ale czego?

— Tak, bardzo źle pan trafił.

— Nie rozumiem, proszę mi to wytłumaczyć.

— W tym odrapanym domu, w którym przebywa pański uciekinier, zamieszkuje pan Rousseau z Genewy.

— Pisarz?

— Właśnie on.

— Cóż z tego?

— Cóż z tego? Widać, że pan nie jest w policji i nie zna się na tym, a zwłaszcza na kłopotach z filozofami.

— Ale to nieprawdopodobne, aby Gilbert przebywał u pana Rousseau!

— Czy nie powiedział pan sam, że ten młody człowiek jest filozofem?

— Powiedziałem.

— Nic więc dziwnego, że się spotkali.

— Gdyby nawet tak było, to cóż z tego? — To, że go nie odzyskasz.

— Dlaczego.

— Dlatego, że Rousseau jest człowiekiem niebezpiecznym.

— Czemu nie uwięzicie go w Bastylji?

— Doradzałem to królowi, ale nie śmie tego uczynić.

— Król nie śmie?

— Tak, chciał, abym wziął na siebie całą odpowiedzialność, ale przyznaję, nie okazałem większej odwagi niż król. Bo niech pan mi wierzy, trzeba bardzo uważać, aby czasem ta filozoficzna sfera nie ukąsiła człowieka. Zabrać kogoś panu Rousseau? Nie, dziękuję, to nie dla mnie, drogi przyjacielu.

— Wybacz pan, ale nic z tego nie rozumiem. Czy król przestał być królem, a pan jego ministrem policji?

— Doprawdy, rozbrajacie mnie, pan i panu podobni. Mówicie: „Czy król nie jest królem?” i jesteście zadowoleni. Niech pan mnie posłucha, drogi wicehrabio: tysiąc razy bardziej wolałbym zabrać pana od pani Dubarry, niż wyrwać pańskiego Gilberta z rąk pana Rousseau.

— Rzeczywiście! Dziękuję bardzo za względy.

— Byłoby mniej krzyku. Nie ma pan pojęcia, jacy ci literaci są przewrażliwieni i ile robią hałasu o byle co.

— Lecz nie wymyślajmy niestworzonych rzeczy. Czy to już takie pewne, że pan Rousseau przyjął do siebie naszego zbiega? A może pan Rousseau jest właścicielem tego czteropiętrowego domu i zajmuje go sam?

— Pan Rousseau nie ma grosza przy duszy i dlatego nie może też mieć domu w Paryżu. Prawdopodobnie w tej budzie mieszka jeszcze oprócz niego z piętnastu lub dwudziestu lokatorów. Ale niech pan to przyjmie za zasadę, że jeżeli święci się coś niedobrego, to zawsze coś z tego wyniknie, zapowiedź dobrego zaś nigdy prawie się nie spełnia. Na sto wydarzeń dziewięćdziesiąt dziewięć jest złych i tylko jedno dobre. Ale do rzeczy! Ponieważ przewidywałem to, z czym się tu spotkałem, zabrałem ze sobą notatki.

— Jakie notatki?

— Notatki o panu Rousseau. Czy pan sądzi, że zrobił on, choć jeden krok, o którym bym nie wiedział?

— Jest więc rzeczywiście niebezpieczny?

— Nie, ale bardzo niespokojny. Taki szaleniec gotów kark skrócić lub złamać nogę i zaraz by powiedziano, że to przez nas.

— A niechby już raz coś mu się wreszcie przytrafiło!

— Niech Bóg broni!

— Pozwoli pan, ale teraz już nic nie rozumiem.

— Widzi pan, lud co prawda obrzuca od czasu do czasu kamieniami poczciwego genewczyka, ale ten przywilej zachowuje tylko dla siebie. Gdybyśmy jednak my spróbowali rzucić weń najmniejszym kamieniem, lud zwróciłby się przeciwko nam.

— Och, proszę mi wybaczyć, nie znam się na tym zupełnie.

— Musimy więc zastosować wszystkie środki ostrożności.

Najpierw przekonamy się, czy Gilbert mieszka u pana Rousseau. Proszę ukryć się w głębi powozu.

Jan wykonał polecenie, a pan de Sartines kazał stangretowi ruszyć powoli naprzód.

Potem otworzył portfel i wyciągnął z niego kilka zapisanych kartek papieru.

— Od ilu dni może być już ten młody człowiek u pana Rousseau?

— Od szesnastu.

Pan de Sartines począł odczytywać swoje notatki:

— „Siedemnastego: O szóstej rano widziano pana Rousseau zbierającego zioła w lasku w Meudon. Był sam. O godzinie drugiej po południu, tego samego dnia, zbierał znowu zioła, ale tym razem w towarzystwie młodego człowieka.”

— O! — wykrzyknął Jan.

— W towarzystwie młodego człowieka — powtórzył pan de Sartines — pojmuje pan?

— To Gilbert!

— Hm, tak pan mówi? „Młody człowiek był wąły.”

— Ależ to on!

— „Jadł chciwie.”

— Na pewno on!

— „Obaj osobnicy wrywali rośliny i smażyli je w blaszanym pudełku.”

— A to diabły wcielone! — zawołał Dubarry.

— To jeszcze nie wszystko. Niech pan słucha dalej uważnie: „Wieczorem pan Rousseau zabrał chłopca ze sobą do domu. Do północy nie widziano, aby chłopiec wychodził od niego.”

— Aha!

— „Osiemnastego: Młody człowiek nie opuścił mieszkania pana Rousseau i wydaje się, że zamieszkał tam.”

— Nie tracę jeszcze nadziei. Może Gilbert w tym domu ma krewnych i u nich się zatrzymał.

— Niepoprawny optymista! Ale zobaczymy. Albo będzie miał pan satysfakcję, albo raczej zawiedzie się pan zupełnie. Stangret! Zatrzymać się!

Pan de Sartines wysiadł z powozu. Nie zdołał ująć nawet dziesięciu kroków, gdy spotkał mężczyznę w szarym ubraniu o dość obojętnym wyrazie twarzy.

Ujrzawszy tak wysokiego urzędnika, mężczyzna uchylił kapelusza i włożył go z powrotem, nie przywiązując, jak się zdaje, zbytniego znaczenia do ukłonu, jakkolwiek z jego oczu biło oddanie i szacunek.

Pan de Sartines skinął na niego, a gdy mężczyzna zbliżył się, powiedział mu do ucha kilka słów, po których ów zniknął w alei prowadzącej do domu Rousseau.

Pan de Sartines wrócił do powozu.

W pięć minut później mężczyzna stawił się ponownie przed swym zwierzchnikiem.

— Odwróć się — rzekł Dubarry — aby nie być widzianym.

Pan de Sartines uśmiechnął się, wysłuchał raportu swego agenta i odprawił go.

— No i cóż? — zapytał Dubarry.

— Ano, wiadomości niewesołe, jak przewidywałem. Pański Gilbert mieszka jednak u pana Rousseau. Będzie pan musiał zrezygnować z dalszych starań.

— Zrezygnować?

— Wątpię, czy chciałby pan dla kaprysu poruszyć przeciwko nam wszystkich filozofów Paryża, prawda?

— Mój Boże, ale co na to powie moja siostra?

— Tak bardzo jej na tym zależy? — zapytał pan de Sartines.

— O, bardzo!

— W takim razie pozostaje wam jeszcze jeden sposób: wkraść się w łaski pana Rousseau i zamiast zabrać mu Gilberta wbrew niemu, uzyskać to za jego zgodą.

— Ba! To takie łatwe jak oswojenie niedźwiedzia.

— To może być mniej trudne, niż się panu wydaje. Nie należy tracić nadziei. Rousseau jest wrażliwy na wdzięki kobiece, a tych natura nie poskapiła zarówno hrabinie, jak i pannie Chon. Może właśnie hrabina zechce zdobyć się na małą ofiarę.

— W tym celu gotowa to uczynić i sto razy.

— Czy na przykład nie zgodziłaby się zakochać w panu Rousseau?

— Jeżeli byłoby to koniecznie potrzebne...

— Byłoby to ze wszech miar pożądane. Ale wpieryw należałoby ich z sobą poznać. Przydałby się jakiś pośrednik. Czy ktoś z pańskich przyjaciół zna pana Rousseau?

— Książę de Conti.

— To się na wiele nie przyda. Rousseau nie ma zaufania do książąt. Lepiej, żeby to był człowiek bez znaczenia, jakiś uczony, poeta.

— Nie utrzymujemy z takimi stosunków.

— Zdaje mi się jednak, że spotkałem u hrabiny kiedyś pana Jussieu.

— Botanika?

— Tak.

— Istotnie, bywa czasem w Trianon. Hrabina zezwala grzebać mu w klombach.

— Ten byłby najodpowiedniejszy. Jest poza tym jednym z moich przyjaciół.

— A więc wszystko dobrze się składa.

— Mniej więcej.

— I Gilbert powróci do nas?

Pan de Sartines zastanowił się chwilę.

— Zaczynam wierzyć, że to da się zrobić i to bez użycia przemocy i bez krzyku. Rousseau odda wam chłopca dobrowolnie.

— Czyż to możliwe?

— Jestem tego pewien.

— Co trzeba robić, aby do tego doszło?

— Bardzo niewiele. Macie państwo zapewne w Meudon lub Marly wolną ziemię?

— No, tego nam nie brak.

— A więc zbudujcie tam... jak to się nazywa?... aha, pułapkę na filozofów.

— Jak pan to nazwał?

— Powiedziałem: pułapkę na filozofów.

— Pojęcia nie mam, co to takiego.

— Proszę być spokojnym, dostarczę panu planów. A teraz wracajmy czym prędzej, nim nas kto zauważy.

ROZDZIAŁ LXIV. CO SPOTKAŁO PANA DE LA VAUGUYON, NAUCZYCIELA MŁODYCH KSIĄŻĄT, WIECZOREM W DZIEŃ ŚLUBU DELFINA

Wielkie wydarzenia historyczne są dla powieściopisarza tym, czym wysokie góry dla podróżnika. Popatrz na nie, obejdzie, ale ich nie przekroczy.

Tak więc i my krążyć tylko będziemy wokół pełnych przepychu ceremonii ślubnych delfina w Wersalu, pozostawiając historykom drobiazgowy opis zbytku dworu Ludwika XV, strojów i wspaniałości uroczystych ceremonii.

W naszym opowiadaniu, które jak skromna książka będzie wzdłuż wielkiego traktu historii Francji, na inne sprawy zwrócona będzie nasza uwaga, w innych rzeczach znajdziemy dla siebie pożytek.

Pominiemy więc uroczystość odbywającą się w gorących promieniach pięknego dnia majowego. Zostawimy znakomitych gości, rozjeżdżających się w spokoju do domów i dzielących się wrażeniami o widowiskach, w których uczestniczyli, a powrócimy do obchodzących nas wydarzeń i osób, które mają również pewne znaczenie z historycznego punktu widzenia.

Król znudzony całodziennymi uroczystościami, a przede wszystkim obiadem, który był bardzo długi i wzorowany na ceremoniale obiadu weselnego wielkiego delfina, Ludwika XIV, udał się o godzinie dziewiątej do siebie, pożegnawszy się ze wszystkimi, zatrzymując przy sobie tylko pana de La Vauguyon, wychowawcę dzieci królewskich.

Książę de La Vauguyon, gorliwy zwolennik jezuitów, miał nadzieję sprowadzić ich z powrotem za poparciem pani Dubarry i widział w małżeństwie księcia de Berry krok zbliżający do tego celu.

Doprowadzenie do niegodnie przekraczało możliwości księcia, ponieważ był on jeszcze wychowawcą dzieci królewskich., Jego doskonałemu kierownictwu powierzono piętnastoletniego hrabiego Prowansji i trzynastoletniego hrabiego d'Artois, obu w tej epoce uchodzących już za dorosłych. Hrabia Prowansji był skryty i nieopanowany, hrabia d'Artois lekkomyślny i uległy. Natomiast delfin poza tym, że posiadał zdolności, dzięki którym był wybitnym uczniem, był delfinem, to znaczy pierwszą po królu osobą we Francji. Małżeństwo delfina mogło sprawić, że książę straciłby wpływ na delfina, a być może zyskałaby go małżonka delfina.

Zatrzymanie go przez króla mogło wydawać się księciu chęcią zadośćuczynienia mu tej straty. Zwykle przecież po zakończonym okresie nauki wynagradza się wychowawcę.

Sprowadziło to na księcia, człowieka bardzo uczuciowego, nową, zdwojoną falę wzruszenia. W czasie obiadu nie odrywał chusteczki od oczu, aby dać wyraz żalowi, jaki napełnił go z powodu utraty ucznia. Przy deserze był już zupełnie roztrzęsiony. Ale kiedy został w końcu sam, był spokojny jak głaz.

Przywołany do króla, znowu wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przyciskał ją nieprzerwanie do pełnych oczu łez.

— Pozwól tu, mój biedny La Vauguyon — rzekł król rozkładając się wygodnie na szezlongu — pogadamy sobie.

— Jestem na rozkazy Waszej Wysokości— odpowiedział książę.

— Siadaj sobie, mój drogi, musisz być zmęczony.

— Usiąść, Najjaśniejszy Panie?

— Tak, tutaj, nie krępuj się.

I Ludwik XV wskazał mu taboret, który był tak ustawiony, że kiedy książę usiadł, twarz jego znajdowała się w pełnym świetle, zaś oblicze króla pogrążone było w cieniu.

— A więc, drogi książę — rzekł Ludwik XV — nauką mamy już poza sobą.

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Powiedziawszy to, La Vauguyon westchnął.

— Piękna to była nauka, doprawdy.

— Wasza Wysokość jest bardzo łaskaw.

— Ta nauka przynosi ci, książę, zaszczyt.

— Wasza Wysokość mnie przecenia.

— Zdaje mi się, że delfin jest jednym z najbardziej wykształconych książąt w Europie.

— I ja tak sądzę, Najjaśniejszy Panie. — Czy dobrze zna historię?

— Bardzo dobrze.

— A geografie?

— Najjaśniejszy Panie, Jego Wysokość delfin potrafi sporządzić takie mapy, jakich by nie umiał nawet inżynier.

— Jest dobrym tokarzem?

— Najjaśniejszy Panie, w tym wypadku uznanie należy się komu innemu, ja go tego nie uczyłem.

— Mniejsza o to. Ale przecież zna się na tym? — Doskonale.

— A jak się zna na zegarach, co?... Co za zręczność! — To jest zadziwiające, Najjaśniejszy Panie.

— Od sześciu miesięcy wszystkie moje zegary chodzą z niezwykle dokładnością i on sam je wszystkie wyregulował.

— Muszę wyznać, Najjaśniejszy Panie, że na tym nie znam się wcale.

— No, ale matematyka, nawigacja?

— O, to są dziedziny wiedzy, na które starałem się zwracać zawsze szczególną uwagę mego ucznia, Najjaśniejszy Panie.

— I dlatego opanował je tak dobrze. Słyszałem go, jak rozmawiał o tych rzeczach z panem de la Pérouse. Mówił niczym Jan Bart. Tobie, książę, wszystko to zawdzięczam.

— Wasza Wysokość chwali mnie ponad miarę i zasługi, które są niewielkie w porównaniu z korzyściami, jakie potrafił Jego Wysokość delfin z nauki wyciągnąć.

— Istotnie, mam wrażenie, że delfin będzie dobrym królem, dobrym zarządcą i dobrym ojcem rodziny. Tak, mości książę — dodał król kładąc nacisk na słowach — czy będzie on dobrym ojcem rodziny?

— Ależ, Najjaśniejszy Panie — odparł prostodusznie wychowawca — mniemam, że w sercu Jego Wysokości delfina mieszczą się w załączku wszelkie cnoty, dlaczegoż miałby i tej nie mieć?

— Nie o to chodzi, książę — rzeki Ludwik XV — pytam, czy będzie on dobrym ojcem.

— Najjaśniejszy Panie, wyznaję, że nie pojmuję Waszej Wysokości. W czym tkwi sens tego pytania?

— W czym tkwi sens, w czym tkwi sens... Czy nie czytałeś Pisma świętego mości książę?

— Oczywiście, czytałem, Najjaśniejszy Panie.

— No, więc znasz dzieje patriarchów?

— Naturalnie.

— Czy będzie on dobrym ojcem w tym patriarchalnym znaczeniu?

Pan de La Vauguyon spoglądał na króla, jakby ten mówił po hebrajsku, i obracając w rękę kapelusz powiedział:

— Najjaśniejszy Panie, wielki król może być czym tylko zechce.

— Przepraszam, mości książę — trwał przy swoim król — ale wydaje mi się, że nie rozumiemy się zbyt dobrze.

— Najjaśniejszy Panie, z najwyższą uwagą słucham każdego słowa.

— Spróbujmy powiedzieć to jaśniej. Znasz, książę, delfina jak własne dziecko, prawda?

— Och, zapewne, Najjaśniejszy Panie. — Jego upodobania?

— Tak.

— Namiętności?

— Jego Wysokość delfin nie ma namiętności. Gdyby je miał, wytępiłbym je gruntownie.

— Zatem delfin nie ma namiętności?

— Ani jednej.

— Więc posłuchaj, co z tego wynika: delfin może być dobrym królem, bardzo dobrym zarządcą, ale nie będzie nigdy dobrym patriarchą.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, nigdy nie otrzymałem poleceń, aby go wychować w tym duchu.

— Bardzo źle zrobiłem, że nie wydałem tego polecenia. Powinienem pomyśleć o tym, że przyjdzie dzień, kiedy trzeba będzie delfina ożenić. No, dobrze, ale chociaż pozbawiony jest on namiętności, nie sądzisz chyba, że jest pod tym względem zupełnie upośledzony.

— Nie rozumiem.

— No tak, chcę powiedzieć, czy jest niezdolny do wzbudzenia w sobie namiętności, gdy będzie trzeba?

— Najjaśniejszy Panie, obawiam się...

— Czego się obawiasz?

— Doprawdy, Wasza Wysokość — rzekł płacząco biedny książę — czuję się jak na torturach.

— Panie de La Vauguyon — zawołał król niecierpliwie — pytam wyraźnie, czy książę de Berry będzie dobrym mężem. Nie chodzi mi już o jego namiętności, przymioty ojca rodziny i patriarchy.

— Nie umiałbym tego dokładnie określić, Wasza Królewska Mość.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że nic nie wiem.

— Nie wiesz! — wykrzyknął Ludwik XV z takim zdumieniem, że aż poruszyła mu się peruka na głowie.

— Najjaśniejszy Panie, książę de Berry żył pod dachem Waszej Wysokości niewinnie, jak przystoi dziecku oddanemu nauce.

— Ech, mój panie, to dziecko nie uczy się już, ono się żeni.

— Najjaśniejszy Panie, byłem tylko wychowawcą Jego Wysokości delfina...

— Właśnie, trzeba więc było nauczyć go wszystkiego, co powinien umieć.

I Ludwik XV rzucił się gwałtownie w fotelu wzruszając ramionami.

— Zresztą powątpiewam w to — westchnął.

— Mój Boże, Najjaśniejszy Panie.

— Pan zna historię Francji, prawda, panie de la Vauguyon?

— Zawsze tak sądziłem i nadal będą tak sądził, Najjaśniejszy Panie, chyba że Wasza Wysokość każe sądzić inaczej.

— No to powinieneś wiedzieć, co mi się przytrafiło w przeddzień ślubu.

— Nie, Najjaśniejszy Panie tego nie wiem.

— Boże drogi! To pan o tym nic nie wie?

— Gdyby Wasza Wysokość zechciałby powiedzieć mi to, czego nie wiem.

— A więc posłuchaj, książę, niech ci to posłuży w dalszym kierowaniu wychowaniem moich dwóch pozostałych wnuków.

— Słucham, Najjaśniejszy Panie.

— Miałem również wychowawcę, był nim pan de Villeroy, człowiek nadzwyczaj zacny, zupełnie tak jak ty, książę. Och, gdyby pozwolił mi częściej przebywać w towarzystwie mego wuja regenta! Ale nie! Niewinność nauki, jak to nazwałś, książę, przeszkodziła ćwiczeniom niewinności. Potem ożeniłem się, a kiedy król się żeni, to jest sprawa poważna, mości książę.

— Ach tak, zaczynam rozumieć, Najjaśniejszy Panie.

— Bardzo się cieszę. Słuchaj więc dalej. Kardynał starał się dowiedzieć, jakie jest moje przygotowanie do stanu małżeńskiego. Było ono bardzo mizerne i moja niewinność w tych sprawach mogła rodzić obawę, że królestwo Francji popadnie we władanie kobiet.

Na szczęście kardynał zasięgnął w tym względzie rady pana de Richelieu. Sprawa była delikatna, ale de Richelieu był wielkim znawcą w tej dziedzinie. Żyła wówczas niejaka panna Lemaure czy Lemoure, dobrze już nie pamiętany która malowała zachwycające obrazy. Zamówiono więc u niej kilka odpowiednich dzieł, rozumie książę?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Hm, jakby to powiedzieć? No, to były sceny z życia wiejskiego.

— W rodzaju obrazów Teniers?

— Tylko bardziej prymitywne. — Prymitywne?

— Odtwarzające życie naturalne. Tak, dobrze to określiłem. Teraz książę rozumie?

— Co!? — zawołał pan de La Vauguyon czerwieniąc się. — Ktoś ośmielił się to pokazać Waszej Wysokości?!

— A któż mówi o pokazaniu mi czegokolwiek, książę? — Ale aby Wasza Wysokość mógł zobaczyć...

— Aby Moja Wysokość mogła zobaczyć, musiała się przyjrzeć, ot i wszystko.

— No więc?

— No więc przyjrzałem się.

— I?

— I ponieważ człowiek z natury jest naśladowcą... zacząłem naśladować.

— Zapewne, Najjaśniejszy Panie, sposób jest pomysłowy, zapewne, wyśmienity, tylko że niebezpieczny dla młodego człowieka.

Król spojrział na księcia de la Vauguyon z uśmiechem, który by można nazwać cynicznym, gdyby nie zjawił się na najbardziej uduchowionej twarzy ludzkiej.

— Zostawmy na dzisiaj niebezpieczeństwa, a zróbmy to, co nam pozostało do zrobienia.

— Ach!

— Książę nie wie?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, i Wasza Wysokość uczyni mnie szczęśliwym, jeżeli mnie o tym pouczy.

— A zatem proszę: W tej chwili delfin przyjmuje ostatnie powinszowania od panów, a jego małżonka od dam. Książę zechce odnaleźć delfina.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Zaopatrzył się w lichtarz i odwołał delfina na stronę.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Powiesz swemu uczniowi — król wymówił z naciskiem te dwa ostatnie wyrazy — że jego sypialnia znajduje się w końcu nowego korytarza.

— Do tej sypialni nie ma klucza, Najjaśniejszy Panie.

— Bo ja go strzegłem. Przewidziałem to, co nastąpi dzisiaj. A oto klucz.

Pan de La Vauguyon wziął go drżącą ręką.

— Chcę ci to jeszcze powiedzieć, mości książę, tak tylko dla ciebie — ciągnął dalej król — że galeria tych obrazów, o których ci opowiedziałem, mieści się w korytarzu prowadzącym do sypialni delfina i składa się z dwudziestu płócien, przeze mnie osobiście tam zawieszonych.

— Ach, Najjaśniejszy Panie!

— Tak, mości książę. Uściśniesz swojego ucznia, otworzysz mu drzwi korytarza, włożysz świecę do ręki, powiesz mu dobranoc i pouczysz go, że ma dwadzieścia minut na dojście do sypialni, przeznaczając po jednej minucie na obejrzenie każdego z obrazów.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, rozumiem już.

— Całe szczęście. Dobranoc, panie de la Vauguyon.

— Czy Wasza Królewska Mość nie ma do mnie urazy?

— Sam nie wiem, bo gdyby nie ja, wpakowałbyś królewską rodzinę w nie lada kabałę.

Wychowawca królewski skłonił się w milczeniu i wyszedł. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, król zadzwonił. Zjawił się Lebel.

— Podaj kawę — rzekł król. — Ale, ale, słuchaj no, Lebel...

— Najjaśniejszy Pan rozkaże...

— Jak mi już podasz kawę, pójdziesz po cichu za panem de La Vauguyon, który wyszedł stąd przed chwilą i udał się pełnić swoje obowiązki u Jego Wysokości delfina.

— Idę już, Najjaśniejszy Panie.

— Czekażże, powiem ci, po co masz tam iść.

— Rzeczywiście, nie wiem, ale moja gorliwość w spełnieniu rozkazów Waszej Królewskiej Mości jest tak wielka...

— Pójdziesz więc za panem de La Vauguyon, który wyszedł stąd tak zmieszany i przygnębiony, że obawiam się, aby z czułości do delfina nie popełnił jakiegoś głupstwa.

— A co mam robić, Najjaśniejszy Panie, jeżeli się rozczuli? — Nic. Po prostu przyjdiesz mi to powiedzieć.

Lebel postawił przed królem tacę z kawą, którą król pił z upodobaniem małymi łykami, po czym wyszedł. W kwadrans później służący powrócił.

— No i cóż, Lebel? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie, pan de La Vauguyon doszedł już do korytarza, trzymając Jego Wysokość delfina pod rękę.

— Dobrze, i co dalej?

— Tylko że nie wydawał się zbyt wzruszony, a całkiem przeciwnie, rozglądał się żywo dokoła.

— No i co potem?

— Wyjął klucz z kieszeni, dał go Jego Wysokości delfinowi, który otworzył drzwi i stanął w progu korytarza.

— A dalej?

— Księżę podał lichtarz Jego Wysokości i powiedział do niego cicho, lecz nie tak cicho, żebym nie mógł usłyszeć: „Wasza Wysokość, sypialnia znajduje się na końcu tego korytarza, który jest galerią obrazów. Król życzy sobie, aby Wasza Wysokość odbył drogę dzielącą go od pokoju sypialnego w ciągu dwudziestu minut.

— „Jak to, dwadzieścia minut!”, zdziwił się Jego Wysokość delfin — ciągnął dalej Lebel. — „Wystarczy na tą aż nadto dwadzieścia sekund!” „Tu już kończy się moja władza i nie mogę dalej dawać Waszej Wysokości nauk”, powiedział de La Vauguyon. „Mogę tylko dać ostatnią radę: przyjrzyj się uważnie obrazom wiszącym na ścianach po prawej i po lewej stronie tej galerii, abym mógł powiedzieć Jego Królewskiej Mości, że te dwadzieścia minut zastały z pożytkiem wykorzystane.”

— Całkiem nieźle powiedziane — osądził król.

— A potem księżę de La Vauguyon złożył głęboki ukłon, któremu towarzyszyło spojrzenie płonących nieustannie oczu, jakby chciał nimi przeniknąć w głąb korytarza, i zostawił Jego Wysokość delfina samego.

— Przypuszczam, że Jego Wysokość wszedł do środka?

— Najjaśniejszy Panie, racz zwrócić uwagę na światło w galerii. Ono wędruje już tam co najmniej piętnaście minut.

— Oho, patrz — rzekł król spoglądając przez okno w stronę galerii — światło zgasło. Mnie też w swoim czasie pozostawiono dwadzieścia minut na obejrzenie galerii. Ale, jak sobie przypominam, już po pięciu minutach znalazłem się u boku mojej małżonki. Niestety, o delfinie można by powiedzieć to, co powiedziano o potomku znakomitego Racine'a: „To jest mały wnuk — wielkiego dziadka”.

ROZDZIAŁ LXV. NOC POŚLUBNA DELFINA

Delfin otworzył drzwi przedpokoju, znajdującego się przed sypialnią małżeńską.

Na złoconym łożu leżała odziana w długi, biały peniuar arcyksiężniczka. Zdawała się nie dotykać niemal pościeli, tak lekkie, wątle i delikatne było jej ciało. Na jej twarzy zamiast słodkiego oczekiwania malowała się dziewczęca trwoga wobec grożącego jej niebezpieczeństwa, które jednak natury wrażliwe znoszą z większą odwagą, niż się spodziewały.

Przy łóżku arcyksiężniczki siedziała pani de Noailles.

W głębi pokoju stały damy dworu, czekając na znak pani de Noailles nakazujący odejście.

Ona zaś, przestrzegając przepisów etykiety, oczekiwała ze spokojem przybycia delfina.

Lecz ponieważ tym razem złośliwe okoliczności sprzysięgły się przeciw wszelkim kanonom etykiety i ceremoniału, stało się tak, że osoby, które powinny wprowadzić delfina do sypialni, oczekiwały go w innym przedpokoju, nic nie wiedząc o tym, że delfin z woli króla miał dostać się do sypialni przez galerię obrazów.

Przedpokój, przez który miał przejść delfin, był pusty, a drzwi prowadzące stąd do pokoju sypialnego lekko uchylone. Dzięki temu delfin mógł widzieć i słyszeć, co się dzieje w sypialni.

Przystanął, podglądając i przysłuchując się skrycie.

Z sypialni doszedł go czysty i harmonijny, choć nieco drżący głos małżonki:

— Którędy wejdzie Jego Wysokość delfin?

— Tymi drzwiami, pani — odparła księżniczka de Noailles. I wskazała drzwi naprzeciw tych, za którymi znajdował się książę.

— A co to za odgłos rozlega się za oknem? — dorzuciła małżonka delfina. — Słysząc jakby szum morza.

— Jest to gwar tłumu podziwiającego iluminację i czekającego na fajerwerki.

— Iluminacja? — rzekła ze smutnym uśmiechem małżonka delfina. — Przydała się dzisiejszego wieczoru, niebo jest takie pochmurne, zauważyłaś to, księżniczko?

W tej chwili delfin, niezdolny do dalszego czekania, pchnął lekko drzwi i wsunawszy głowę zapytał, czy może wejść.

Pani de Noailles krzyknęła, gdyż nie rozpoznała głosu delfina.

Małżonka delfina, wyczerpana i rozdrażniona wrażeniami, których ostatnio doświadczyła, chwyciła z przestachem za rękę panią de Noailles.

— To ja, pani — rzekł delfin — proszę się nie lękać.

— Ale dlaczego tymi drzwiami? — zapytała pani de Noailles.

— Dlatego — rozległ się niespodziewanie głos Ludwika XV, który z bezwstydnym uśmiechem na twarzy ukazał się w uchylonych drzwiach — dlatego, że pan de La Vauguyon jak przystało na prawdziwego jezuitę, którym jest, zna doskonale łacinę, matematykę, geografię, natomiast nie zna się wcale na innych rzeczach.

Na widok tak nieoczekiwanie przybyłego króla, małżonka delfina zsunęła się z łóżka i stanęła obok w długim peniarze, który otulał ją od stóp do głów tak szczelnie jak szata rzymskiej patrycjuszki.

— Och, jaka ona chuda — mruknął Ludwik XV. — Do diabła z tym Choiseulem! Spośród wszystkich arcyksiężniczek, których jest tak wiele, musiał wybrać akurat tę!

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się pani de Noailles — racz zauważyć, że jeżeli o mnie chodzi, etykieta została z całą skrupulatnością zachowana, czego nie można, niestety, powiedzieć o Jego Wysokości delfinie.

— To biorę już na siebie — rzekł Ludwik XV — to moja wina. Ale okoliczności były nagłe, moja droga księżno, i mam nadzieję, że mi to wybaczysz.

— Nie rozumiem, co Wasza Wysokość chce przez to powiedzieć.

— Wyjdziemy stąd, księżno, i wtedy wszystko opowiem. Teraz pomyślmy o tym, aby dzieci ułożyć do snu.

Małżonka delfina odstąpiła krok od łóżka i chwyciła rękę pani de Noailles z większym jeszcze przestachem niż za pierwszym razem.

— Och, litości, pani! Umrę ze wstydu.

— Najjaśniejszy Panie — zwróciła się pani de Noailles do króla — małżonka delfina błaga Waszą Wysokość, abyś zezwolił jej udać się na spoczynek jak najzwyczajszej ze swych poddanych.

— Do diabła! I to pani o to prosi, pani, Pani Etykieto?

— Najjaśniejszy Panie, wiem doskonale, że to uchybia przepisom ceremoniału, lecz proszę spojrzeć na arcyksiężniczkę...

Rzeczywiście, Maria Antonina zdawała się być posągiem przerażenia, stojąc tak zastygła w bezruchu, błada i trzymając się kurczowo poręczy fotela. Tylko lekkie dzwonienie zębami i pot, który spływał jej na twarz, wskazywały, że to żywa istota.

— Nie, nie zamierzam sprzeciwiać się arcyksiężniczce pod tym względem — rzekł Ludwik XV, równie niechętny ceremoniałowi jak Ludwik XIV był jego gorącym zwolennikiem.

— Wycofajmy się, księżno. Zresztą, są przecież dziurki od klucza i to może być nawet zabawniejsze.

Delfin usłyszał ostatnie słowa swego dziadka i zaczerwienił się.

Małżonka delfina również usłyszała te słowa, ale nie zrozumiała ich.

Ludwik XV pocałował Marię Antoninę i pociągając za sobą księżnę de Noailles wyszedł z kpiarskim uśmiechem, tak przykrym dla tych, którzy nie uczestniczą w wesołości kpiarza.

Inne osoby towarzyszące wyszły drugimi drzwiami. Młodzi ludzie pozostali sami. - Przez chwilę panowało milczenie.

W końcu młody książę zbliżył się do Marii Antoniny. Serce mu biło gwałtownie. Czuł w swej piersi, w skroniach, tętnicach szum burzliwie pulsującej krwi, szalonej młodością i miłością.

Ale czuł na sobie bezwstydną wzrok dziadka, ukrytego za drzwiami, i to spojrzenie wdzierające się w głąb sypialni małżeńskiej mroziło delfina i tak już bardzo nieśmiałego i niezręcznego z natury.

— Pani — rzekł spoglądając na arcyksiężniczkę — pani zapewne cierpi? Jesteś bardzo blada i wydaje się, że drżysz.

— Panie — odpowiedziała Maria Antonina — nie będę ukrywała, że jestem ogromnie wzburzona. Widocznie zbliża się gwałtowna burza. Jestem bardzo na to wrażliwa.

— Ach! Sądzi pani, że będzie burza?

— Jestem tego pewna. Cała drzę, proszę spojrzeć. Istotnie, ciało biednej księżniczki zdawało się dygotać jak

pod działaniem prądu elektrycznego.

W tym momencie, jakby na potwierdzenie jej przeczuć, zerwał się gwałtowny wiatr, tak potężny, że potrafiłby spowodować wylew wód z mórz i zwalić szczyty górskie. Był to pierwszy zwiastun nadciągającej burzy. Napełnił zamek gwieźkiem, grozą i rozdzierającym traskiem.

Wicher zrywał z drzew liście, łamał gałęzie, strącał posągi z cokołów. Z ust stu tysięcy widzów, znajdujących się w ogrodach, wydobył się potężny i przeciągły okrzyk zgrozy. Ponury pomruk docierał poprzez galerie do korytarzy zamkowych.

Potem nastąpił złowieszczy brzęk szyb, rozpryskujących się na drobne kawałki, które padały na marmurowe schody i gzymsy z przeraźliwym zgrzytem.

Wiatr jednym uderzeniem wyrwał połowę źle umocowanej żaluzji i bił nią o mur jak olbrzymim skrzydłem nocnego ptaka.

Wszędzie, gdzie były otwarte okna w zamku, wiatr silnym podmuchem zgasił światła.

Delfin skierował się ku oknu, aby zasunąć żaluzję, ale arcyksiężniczka powstrzymała go.

— Nie, nie, na miłość boską — powiedziała — nie otwieraj okna! Zgaśnie światło, a wtedy umarłabym ze strachu.

Delfin przystanął.

Przez firankę, którą odsłonił, widać było ciemne wierzchołki drzew targane wichrem, jak gdyby niewidzialna ręka olbrzyma wstrząsała nimi w ciemnościach.

Pogasły światła iluminacji.

Po niebie pędziły tabuny ciężkich, czarnych chmur, toczące się w różnych kierunkach jak oddziały wojska do natarcia.

Delfin stał blady, z ręką opartą o framugę okna. Arcyksiężniczka opadła na krzesło z głębokim westchnieniem.

— Pani się boi? — spytał delfin.

— O tak, ale twoja obecność, księżę, uspokaja mnie. Ach, jaka straszna burza! Iluminacja zgasła.

— Wieje wiatr południowo-zachodni — rzekł Ludwik — to zapowiada silny huragan. Jeżeli potrwa dłużej, nic nie będzie z ogni sztucznych.

— Dla kogo je puszczać? Przecież nikt nie pozostanie w parku w taką pogodę.

— O, nie znasz, księżno, Francuzów. Bardzo sobie cenią to widowisko. Będzie naprawdę wspaniałe. No, nie omyliłem się: oto pierwsze race.

Rzeczywiście, długie i lśniące wstęgi ognia strzeliły w niebo. Lecz w tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na zuchwałe wyzwanie, oślepiająca błyskawica przecięła niebo stapiając się swoim niebieskawym płomieniem z czerwonym ogniem rakiet.

— To jest_ bezbożność — rzekła arcyksiężniczka — walczyć z Bogiem.

Tuż za racami buchnęły w górę pierwsze ognie sztuczne, które tłum powitał okrzykiem zachwyty.

Ale w tym samym momencie, jakby rzeczywiście zaczął się bój między niebem a ziemią i człowiek dopuszczał się bezbożności, rozszalała się burza i wściekłym rykiem zagłuszała głosy ludzkie, a z czarnych chmur lunął potokami siekący deszcz. Sztuczne ognie zgasły.

— Co za nieszczęście! — rzekł delfin. — Nie udały się, sztuczne ognie!

— Ech, księżę — powiedziała smutno Maria Antonina — nic się nie udaje od mego przybycia do Francji...

— Nie rozumiem...

— Widziałeś Wersal?

— Oczywiście. Czy nie podoba ci się, księżno?

— Wersal podobałby mi się, gdyby dziś był jeszcze taki, jakim pozostawił go twój dostojny przodek, Ludwik XIV. Ale w jakim stanie go zastaliśmy, powiedz sam? Wszędzie żałoba. O, tak, burza to najodpowiedniejsze zjawisko w czasie uroczystości, jaką dla mnie zgotowano. Czy to nie jest dobrze, że huragan ukryje przed naszym ludem niedostatki naszego pałacu? Czyż noc nie jest dla nas łaskawa, że pograża w ciemnościach zaniedbane aleje, sadzawki bez wody i obłuczone posągi? O, niech wieje południowy wiatr, niech grzmi burza, niech nadciągają ciężkie chmury. Zasłońcie przed oczyma wszystkich to dziwne przyjęcie, które zgotowała Francja córce cesarów w dniu, kiedy oddaje swą rękę przyszlęmu królowi!

Delfin westchnął tylko głęboko, widocznie zakłopotany, nie wiedząc, co odpowiedzieć na te wymówki, a przede wszystkim, co począć wobec tej przesadnej melancholii, tak mu obcej.

— Martwię cię — rzekła Maria Antonina. — Nie sądź jednak, że to pycha przemawia przeze mnie. O nie, brak mi jej zupełnie. Dlaczego nie poprzestano na pokazaniu mi jedynie Trianon, tak roześmianego, pełnego kwiatów i miłego cienia. Teraz tam okrutna burza targa młodymi drzewami i mąci wodę. Chciałabym cieszyć się tym uroczym zakątkiem, ale straszą mnie ruiny, przed którymi moja młodość wzdraga się. Ale ile jeszcze ruin przysporzy ta straszna burza!

Nowe uderzenie wichru, jeszcze potworniejsze niż poprzednio, wstrząsnęło pałacem.

Arcyksiężniczka podniosła się przerażona.

— Ach, Boże! Powiedz, powiedz mi, że nie ma niebezpieczeństwa, powiedz nawet, jeżeli jest — inaczej umrę z trwogi!

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — persadował delfin. — Wersal zbudowany jest na wzniesieniu i nie może weń uderzyć piorun. Jeśliby uderzył, to prawdopodobnie w kaplicę, która ma strzelistą wieżę, albo w mały zamek o dachu spadzistym. Wiesz przecież, że przedmioty zaostrome ściągają prąd elektryczny, płaskie natomiast odpychają.

— Nie! — krzyknęła Maria Antonina. — Nie wiem, nie wiem!

Ludwik ujął jej rękę drżącą i zimną, ale w tej samej chwili biała błyskawica zaala pokój sinawioletowym światłem. Maria Antonina wydała okrzyk trwogi i odepchnęła delfina.

— Co się stało? — zapytał delfin.

— W świetle błyskawicy wydałeś mi się jak umierający, blady, zboczony krwią. Jakbym widziała widmo.

— Był to odbłask płonącej siarki, pozwól, że ci to wytłumaczę.

Potworne uderzenie pioruna przecięło nagle uczone wyjaśnienie delfina. Huk pioruna rozległ się potężnym echem wokół, ginąc stopniowo w oddali, jakby przenoszony w inne strony.

— Droga księżno — rzekł delfin po chwili milczenia — odwagi, proszę cię! Strach stanowi cechę pospółstwa. Odruchy ciała są wrodzone, są warunkiem jego istnienia. Nie więcej należy się dziwić wzburzeniu niż spokojowi. Jedno następuje po drugim. Wzburzenie mąci spokój, spokój uśmierza wzburzenie. Ostatecznie jest to tylko burza, księżno, a burza jest jednym z najbardziej naturalnych i najczęstszych zjawisk przyrody. Nie rozumiem, dlaczego miałaby przerażać.

— Ach, kiedy indziej może by mnie tak nie przerażała — odpowiedziała Maria Antonina. — Ale dzisiaj, w dniu naszego wesela, ta burza wydaje się złowrogą przepowiednią, związaną z tymi, którzy mnie prześladowają od samego początku mojego pobytu we Francji. Czyż nie może się wydać złowrogą w taki właśnie dzień?

— Co ty mówisz, księżniczko? — zawołał delfin, ogarnięty wbrew swej woli zabobonnym lękiem. — O jakich przepowiedniach?

— Okropne przepowiednie o krwawych wydarzeniach.

— Opowiedz o nich, księżniczko. Uważają mnie ogólnie za człowieka trzeźwego i opanowanego. Być może, będę miał szczęście owe przepowiednie, które cię przerażają, zwalczyć i unicestwić.

— Pierwszą noc pobytu we Francji spędziłam w Strasburgu. Umieszczono mnie w ogromnym pokoju, a ponieważ było już ciemno, zapalono świece. W świetle świec ujrzałam krew płynącą po ścianie. Nie straciłam jednak odwagi i zbliżyłam się do ściany, z uwagą przypatrując się czerwonym plamom krwi. Ściany pokrywało obicie przedstawiające rzeź niewinątek. Wyzierała rozpacz mordowanych. Wszędzie twarze morderców z płonącym wzrokiem wśród błysku toporów i mieczy. Wszędzie płacz, rozdzierający krzyk matek, jęki konających. Obraz ten wstrząsnął mną jak żywy. Nie mogłam zasnąć. Z przerażenia byłam zimna jak lód. Powiedz, czy nie jest to złowróźbna przepowiednia?

— Dla kobiety starożytnej może, ale nie dla księżniczki naszego wieku.

— O, książę, ten wiek jest pełen nieszczęścia, moja matka mówiła mi, że niebo, które płonie nad naszymi głowami, niesie ze sobą ogień zniszczenia. Dlatego tak strasznie się boję, dlatego każdą przepowiednię biorę za ostrzeżenie.

— Żadne niebezpieczeństwo nie może grozić tronowi, na który wступujemy. My, królowie, jesteśmy ponad burzami. Pioruny są u naszych stóp i jeżeli spadają na ziemię, to my je tam zsyłamy.

— Niestety, nie to mówiła przepowiednia.

— A co mówiła?

— Raczej objawiła. Mówiłam ci, książę, co widziałam, i obraz ten utkwiał we mnie tak głęboko, że nie ma dnia abym o nim nie pomyślała, nie ma nocy, abym nie widziała go we śnie. Drzę wtedy cała z przerażenia.

— Czy możesz powiedzieć, co widziałas? Czy może jesteś związana tajemnicą?

— Nic mnie nie wiąże. Ale tego nie można opisać. Była to jakaś dziwna maszyna, wznosząca się ponad ziemią, jak rusztowanie, do którego przyczepione były jakby dwa szczeble drabiny, a między nimi zwisały nóż, siekiera i topór. Widziałam własną głowę, widziałam jak między szczeblami przesunął się nóż i oddzielił od ciała głowę, która potoczyła się po ziemi. To widziałam, książę...

— To halucynacja, zwykła halucynacja — rzekł delfin. — Znam zresztą prawie wszystkie narzędzia śmierci. Takiego, jak opisałaś, nie ma. Możesz więc być spokojna.

— Niestety — odparła Maria Antonina — nie mogę odpędzić tej strasznej myśli. Ale staram się o to, jak tylko potrafię.

— I na pewno uda ci się to — rzekł delfin zbliżając się do żony. — Masz przy sobie teraz najlepszego przyjaciela i najtroskliwszego obrońcę.

— Niestety — powtórzyła Maria Antonina z zamkniętymi oczami opadając bezwolnie na fotel.

Delfin podszedł tak blisko, że odczuła jego oddech na swej twarzy.

W tym momencie uchyliły się cicho drzwi, którymi przedtem wszedł delfin, i ciekawy, pożądlivy wzrok Ludwika XV przeniknął pograżony w półmroku obszerny pokój, oświetlony dwiema tylko świecami, z których topniejący wosk spływał strużkami na lichtarze ze złota.

Stary król otwierał już usta, aby półgłosem dodać odwagi wnukowi, gdy rozległ się nagle potężny huk, błyskawica rozdarła niebo, a przed oknem mignął słup zielonkawobiałego ognia. Z okna wyleciały wszystkie szyby, a stojący pod balkonem posąg padł zdruzgotany

Wiatr, który wdarł się przez okno, zgasił obie świece. Delfin stał oparty o ścianę, oślepiiony, chwiejący się, przerażony.

Małżonka delfina, na wpół omdlała, padła na stopnie kłęcznika i trwała tam w śmiertelnym odrętwieniu.

Ludwik XV, cały drżący pod wrażeniem, że ziemia rozstępuje się pod nim, schronił się pośpiesznie, prowadzony przez Lebela, w swoich opustoszałych pokojach.

A tymczasem jak stado spłoszonych ptaków mieszkańcy Wersalu i Paryża uciekali w różne strony, drogami, ogrodami, lasami, ścigani gęstym gradem, który niszczył kwiaty w ogrodach, liście w lasach i zboże na polach, dachówkę na dachach i delikatne rzeźbienia na domach.

Małżonka delfina ukrywszy twarz w dłoniach, wstrząsana płaczem, modliła się.

Delfin spoglądał posępnie i obojętnie na wodę, która wlewała się do pokoju przez potłuczone szyby i rozlana po podłodze niebieskawymi strugami odbijała światło błyskawic pojawiające się nieprzerwanie od kilku godzin.

W końcu jednak wszystko nad ranem się uciszyło. Pierwsze promienie słońca przedarły się przez miedziane chmury i ukazały spustoszenia wywołane nocną burzą.

Wersal zmienił się nie do poznania.

Ziemia wypięła ten potop wody, drzewa wchłonęły potop ognia. Wszędzie widać było błoto i zdruzgotane, wyrwane z korzeniami, opalone drzewa, rozdarte uderzeniami piorunów.

Ludwik XV tak był przerażony, że nie spał całą noc. O świcie kazał się ubrać Lebelowi, który go nie opuszczał ani na chwilę, i udał się ponownie ku galerii, gdzie straszły w bladym świetle brzasku owe haniebne malowidła, o których była już mowa i które raczej winno się oglądać wśród kwiatów przy świetle kryształowych żyrandoli.

Ludwik XV już po raz trzeci wczorajszego dnia przekroczył próg sypialni małżeńskiej delfina. Na widok leżącej na posadzce arcyksiężniczki stary król zadrzał. — Śmiertelnie błada, z podniesionymi

oczyma jak u rubensowskiej Magdaleny, w białej szacie, na którą padał błękitny odbłask świtu, tę przyszłą królowę Francji sen wyzwolił wreszcie od cierpień.

W głębi pokoju na fotelu opartym o ścianę, z wyciągniętymi nogami w kałuży wody, spoczywał delfin Francji, równie blady jak małżonka i podobnie jak ona z czołem pokrytym potem od koszmarnych widziadeł.

Łoże małżeńskie było nietknięte, takie samo, jak je król widział wczoraj.

Ludwik XV zmarszczył brwi. Serce tego egoisty, którego nawet rozpusta nie rozgrzała, przeszył jak pod dotknięciem rozpalonego żelaza ból, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie doświadczył.

Potrząsnął głową, westchnął ciężko i wrócił do siebie, posępny i bardziej jeszcze zatrwożony niż nocą.

ROZDZIAŁ LXVI. UROCZYSTOŚCI NA PLACU LUDWIKA XV

Dnia 30 maja, to jest trzeciego dnia po owej okropnej nocy, która dla Marii Antoniny była nocą wróżb i przepowiedni, Paryż obchodził uroczystości weselne swego przyszłego króla. Dlatego też cała ludność podążyła na plac Ludwika XV, gdzie były przygotowane ognie sztuczne, to nieodzowne uzupełnienie każdej wielkiej uroczystości publicznej, z których paryżanki żartuje, ale nie może się bez nich obejść.

Miejsce było dobrze wybrane. Mogło się tu pomieścić swobodnie sześćset tysięcy widzów. Obok pomnika Ludwika XV na koniu cieśle wzniesli rusztowanie na dwanaście stóp powyżej ziemi, dzięki czemu sztuczne ognie widoczne były dla każdego, gdziekolwiek się znajdował.

Paryżanie zgodnie ze zwyczajem przybywali tu grupami i długo szukali najwygodniejszych miejsc, najczęściej zresztą zajętych przez tych, którzy przyszli wcześniej.

Dzieci pouczały się drzew, mężczyźni wdrapali się na słupy, a kobiety zajmowały miejsca na poręczach mostów, nad rowami i na przenośnych rusztowaniach zbudowanych przez pełnych niewyczerpanych pomysłów wydrwigroszów, włóczących się po całym świecie, których zawsze można spotkać na wszelkich uroczystościach paryskich.

Około godziny ósmej wraz z pierwszymi ciekawskimi zjawilo się kilka oddziałów strażników, zwanych łucznicami.

Służby porządkowej nie powierzano gwardii królewskiej.

Miasto wzbraniało się płacić tysiąc talarów, których żądał jej dowódca, marszałek książę Biron, za pełnienie tych czynności.

Dla ludzi pułk gwardii królewskiej był jednocześnie źródłem obaw i przedmiotem miłości, bo w każdym żołnierzu gwardii widziano i Cezara, i Mandrina zarazem. Na polu bitwy gwardia odznaczała się chwalebными czynami, męstwem i karnością, w czasie pokoju i poza służbą nie cieszyła się dobrą opinią, gwardziści uchodzili za okrutnych rozbójników. W szyku wojskowym wydawali się piękni, dumni i nieprzystępni, ich czyny budziły podziw u kobiet i szacunek wśród mężczyzn. Ale poza służbą, rozproszeni w tłumie, stawali się postrachem wczorajszych entuzjastów, prześladowając dotkliwie tych, których nazajutrz mieli bronić.

Dlatego też miasto szukając powodów, aby nie płacić tym nocnym hulakom i pijakom tysiąca talarów, przydzieliło tylko miejską straż porządkową, wychodząc z założenia, że na uroczystość podobną świętu rodzinnemu wystarczy zwykła straż, której regulamin przypomina stosunki rodzinne.

W ten sposób gwardziści uzyskali wolny czas od służby i mieszczały się z tłumem, i tak swobodni, jak byliby surowi na służbie, dopuszczali się wobec spokojnych mieszkańców drobnych wykroczeń, które by sami w innym wypadku karcili użyciem kolby, kopnięciem czy uderzeniem łokciem, a nawet stosowaliby aresztowanie, gdyby ich dowódca Cezar Biron miał prawo dzisiejszego wieczora nazywać ich żołnierzami.

Dokoła rozlegał się zgiełk i wrzask, kobiety krzyczały, mężczyźni zrzędzili, słyhać było złorzeczenia przekupniów, którym porywano ciastka i pierniki, nie płacąc pieniędzy. Ale wszystko to dawało zaledwie przedsmak owej niesłychanej wrzawy, jaka wybuchła około godziny ósmej wieczorem, gdy zebrał się na placu Ludwika XV sześćsettyśięczny tłum widzów, który roił się, kłębił i przewalał, przywodząc na pamięć sceny jakby z olbrzymiego obrazu Téniersa.

Kiedy paryscy ulicznicy, najruchliwsi i najbardziej zarazem leniwi na świecie znaleźli dla siebie miejsce, gdzie kto mógł, a również mieszczaństwo i lud usadowili się wygodnie, z rozmaitych stron zaczęły przybywać powozy szlachty i finansjery.

Ponieważ nie zostało przewidziane, któredy mają przejeżdżać, nadciągały bez żadnego porządku ulicami Madelaine i Saint-Honoré, zatrzymując się przed pięknymi gmachami, skąd zaproszeni przez gubernatora goście oglądać mieli z okien i balkonów świetne widowisko.

Ci, którzy nie byli zaproszeni, zostawiali karety u wylotu ulic prowadzących na plac i poprzedzani przez lokajów mieszały się z tłumem, wśród którego było już wprawdzie nieznośnie ciasno, ale gdzie zawsze jeszcze znalazło się miejsce dla tego, kto umiał je zdobyć.

Warto było zobaczyć, z jaką przemyślnością tłumy ciekawych umiały wykorzystać najmniejsze wzniesienie, każdą nierówność terenu, aby tylko zyskać lepsze pole widzenia. Była tu w pobliżu placu ulica, bardzo szeroka, przy której nie ukończono jeszcze robót i która miała nosić nazwę Królewskiej. Tu i ówdzie przerzynały ją głębokie rowy, a obok nich znajdowały się kopce, usypane z wykopanej ziemi i gruzu. Każdy z tych kopców oblepiało mrowie ludzi, wyglądające jak wyniesiona na morzu fala.

Niekiedy taka fala pod naporem innych rozsypywała się ku ucieście tłumy, nie dość jeszcze gęstego, aby groziło to komukolwiek niebezpieczeństwem.

Około godziny w pół do dziewiątej wzrok tłumy, rozbiegany dotąd na wszystkie strony, skupił się teraz i zatrzymał na rusztowaniu, gdzie umieszczone były sztuczne ognie. Ludzie zaczęli się rozpychać, aby zdobyć lepsze miejsca lub utrzymać zdobyte przed ciągle ponawianymi atakami.

Urządzenie sztucznych ogni było dziełem Ruggieri'ego, który współzawodniczył w tym z inżynierem Torre, twórcą sztucznych ogni w Wersalu. Ułatwiła mu to współzawodnictwo onegdajsza burza, wiedziano bowiem w Paryżu, że widzowie w Wersalu niewiele skorzystali ze wspaniałomyślności króla, który przeznaczył na sztuczne ognie pięćdziesiąt tysięcy liwrow, gdyż deszcz i burza zniszczyły zaraz na początku wszystkie urządzenia. W Paryżu natomiast pogoda trzydziestego maja wieczorem była przepiękna, nic więc dziwnego, że paryżanie zawczasu już cieszyli się z niewątpliwego zwycięstwa nad sąsiadami z Wersalu.

Zresztą, paryżanie o wiele więcej obiecywali sobie po słynnym Ruggieri niż po Tonre, który w tym zawodzie stawiał dopiero pierwsze kroki.

Poza tym plan Ruggieri'ego bardziej przemyślany i prosty niż plan jego rywala, wykazywał wyższość pod względem pirotechnicznym. Alegoria, panująca niepodzielnie w widowiskach tej epoki, łączyła się tutaj z pełnym wdziękiem stylem architektury. Rusztowanie wyobrażało starożytną świątynię Hymenu, która w pojęciu Francuzów wiekiem dorównuje świątyni sławy. Wspierały ją potężne kolumny i otaczał niski mur, na rogach którego ustawione delfiny z rozwartymi paszczami czekały tylko, aby na dane hasło zionąc potokami ognia. Naprzeciw delfinów piętrzyły się sztywno i majestatycznie nad swoimi urnami upostaciowania Loary, Rodanu, Sekwany i Renu, a więc i tej rzeki, którą pragniemy wziąć pod swoją opiekę wbrew całemu światu, a jeśli wierzyć ostatnim pieśniom naszych przyjaciół Niemców, wbrew samemu Renowi,...

Owe uosobione rzeki miały wyrzucać, kiedy zapali się kolumna, zamiast wody różnobarwne płomienie: błękitny, biały, zielony i różowy.

Inne ognie sztuczne miały wystrzelić w kształcie olbrzymich wazonów z kwiatami na tarasie przed pałacem Hymenu.

W końcu przed tym samym pałacem, w którym tyle już rozmaitych rzeczy się działo, wznosiła się ognista piramida, a na jej wierzchołku spoczywała kula ziemiska. Kula ta, głucho sycząc, miała rozprysnąć się z hukiem pioruna na krocie kolorowych iskier.

Najważniejszą częścią tej feerii sztucznych ogni jest tzw. bukiet, według którego paryżanin ocenia całość widowiska. Ruggieri odsunął go nieco od głównego członu urządzeń i przeniósł dalej, za statuetkę znajdującą się przy wieży koło rzeki. Bukiet ten umieszczony na podwyższeniu o wysokości około czterech sążni musiał wywierać nieodparte wrażenie.

Oto są szczegóły spraw, którymi wówczas zajmował się Paryż. Od dwóch tygodni paryżanie z niezwykłą ciekawością przyglądali się przygotowaniom Ruggieri'ego i jego pomocników, którzy jak cienie przesuwali się po rusztowaniach i gestykulując w osobliwy sposób zastanawiali się, jakby najumiejtniej wykonać to wielkie dzieło.

Gdy więc wniesiono na rusztowanie latarnie, zapowiadające bliski początek uroczystości, tłum się poruszył i zakolysał jak zboże za podmuchem wiatru.

Napływające bezustannie powozy zatrzymywały się u brzegu placu. Konie dotykały łbami ramion ostatnich widzów, zaniepokojonych takim nieoczekiwanym sąsiedztwem. Za powozami rosły nowe, tłoczące się tłumy, uniemożliwiając wycofanie się powozom. Korzystając z okazji gwardziści, rzemieślnicy i lokaje zręcznie wdzierali się na powozy jak rozbitkowie na skały.

Światła bulwarów rzucały z daleka czerwony blask na morze głów. Gdzieś tam mignął jak błyskawica bagnet strażnika sterczący samotnie jak kłosa na rżysku.

Po bokach nowobudowanych gmachów, obecnego pałacu Crillon i Skarbcza królewskiego, powozy zaproszonych gości uformowały trzy szeregi ciągnące się od bulwaru do Tuilleries i od bulwaru Pól Elizejskich, wijąc się jak wąż trzykrotnie wokół siebie okręcony.

Między tymi szeregami powozów błakali się jak cienie na brzegach Styksu ci z zaproszonych gości, którym zator nie pozwolił dostać się do głównego wjazdu. Ogłuszone zgiełkiem, bojąc się stąpnąć w atlasowym obuwiu i odzieży na zakurzony bruk, wykwintne damy, potrącane przez tłum, szydzący z ich delikatności, starały się, manewrując między kołami powozów i nogami końskimi, dostać do celu podróży, do drzwi pałacu, tak teraz pożądanego jak port w czasie burzy.

Jedna z karet przybyła około godziny dziewiątej, to jest na kilka minut przed rozpoczęciem widowiska. Próbowała przedostać się do drzwi pałacu gubernatora. Zamiar to równie daremny jak zuchwały. Zaczął już tworzyć się, jakby dla wzmocnienia pozostałych, czwarty szereg powozów. Konie podrażnione panującym tumultem stawały się szalone, wierzgały dokoła, powodując kilka poważnych wypadków, które nie zwróciły jednak uwagi wobec ogólnego zamieszania i wrzawy.

Uczepiony resorów jednej z karet, torującej sobie mozolnie drogę naprzód, posuwał się z nią razem jakiś młodzieniec, odpychając energicznie tych, którzy usiłowali zająć jego miejsce.

Kiedy kareta zatrzymała się, młodzieniec uskoczył w bok, trzymając się jednak ciągle jedną ręką dobroczynnego resora. Wskutek tego mógł wysłuchać dochodzącej przez otworzone drzwiczki rozmowy.

Właśnie w chwili, kiedy z karety wychyliła się głowa kobiety, przystrojona żywymi kwiatami, rozległ się głos:

— Andreo, zachowujesz się jak dziewczyna z prowincji. Nie wychylaj się przecież, bo ani się nie spostrzeżesz, jak cię jaki hultaj pocałuje. Nie widzisz, że kareta nasza jest w samym środku motłochu jakby pośród mętnej rzeki. Strzeż się!

Głowa dziewczyny znikła.

— Stąd nic nie widać — odezwała się dziewczyna. — Gdyby można nieco skrócić, można by wszystko zobaczyć przez drzwiczki prawie tak dobrze jak z okien pałacu gubernatora.

— Zawracaj! — krzyknął baron do stangreta.

— To niemożliwe, panie baronie — odpowiedział stangret — musiałbym stratować z dziesięciu ludzi.

— Niech cię wszyscy diabli. To tratuj.

— Tak przecież nie można — rzekła ze zgorszeniem Andrea.

— Co to za jeden, ten baron, co chce tratować biednych ludzi? — zawołało naraz groźnie kilka głosów.

— Do pioruna! To jestem ja! — odpowiedział porywczos de Taverney, wychylając się z karety i pokazując swoją czerwoną wstęgę.

W owym czasie szanowano jeszcze we Francji wstęgi, nawet czerwone. Krzyk zmienił się w szemranie.

— Pozwól, ojczu, ja wysiadę — rzekł Filip. — Rozejrzę się, czy da się coś zrobić.

— Uważaj, żeby cię nie stratowały konie. Słyszysz, jak szaleją? — ostrzegła brata Andrea.

— No to wysiadajmy — powiedział baron do syna. — Każ, aby się rozstąpili i dali nam przejście.

— Ach, nie znasz już Paryża, ojczu — odparł Filip. — Dawniej takie rozkazy coś znaczyłyby, dzisiaj już nie. Zapewne nie chcesz narażać swej godności, prawda?

— Kiedy jednak ci hultaje dowiedzą się kim jestem...

— Ojczu — rzekł Filip z uśmiechem — gdybyś nawet był delfinem, nic to nie pomoże w chwili, kiedy zaczyna się puszczanie sztucznych ogni.

— A więc nic nie zobaczymy — odezwała się Andrea z niezadowoleniem.

— To ty temu jesteś winna, do licha! — odpowiedział baron. — Przeszło dwie godziny zmarnowałaś na ubieranie.

— Mój bracie, czy nie mógłbyś mnie wziąć pod rękę i stanęlibyśmy gdzieś tu wśród tłumu?

— Tak, tak miła panienko — odezwało się kilka osób, uderzonych urzekającą pięknnością Andrei. — Proszę wysiąść, dla smukłej damy znajdzie się na pewno wśród nas miejsce.

— Cóż, chcesz, Andreo? — zapytał Filip.

— Bardzo — odpowiedziała Andrea i pośpiesznie wyskoczyła z karety nie dotknąwszy nogą stopnia.

— Rób, co chcesz — rzekł baron. — Mnie to wszystko wcale nie obchodzi. Zostanę sobie tutaj.

— Dobrze, ojczy, zostań — odparł Filip. — Będziemy w pobliżu.

A tymczasem tłum rozstał się przed Andrea i jej bratem. Tłum potrafi okazać uszanowanie, jeżeli nie rządzą nim namiętności, umie podziwiać bóstwo zwane pięknnością. Jakiś poczciwy mieszczanin, który wraz ze swoją rodziną zajął kamienną ławkę, polecił posunąć się nieco swojej żonie i córce i w ten sposób znalazło się pośród nich miejsce dla Andrei.

Filip stanął u nóg siostry, która jedną ręką oparła się na jego ramieniu.

Stojący o cztery kroki od nich Gilbert, który poprzednio szedł za nimi, pożerał Andreę oczami.

— Czy dobrze ci, Andreo? — pytał Filip.

— Wyśmienicie — odparła dziewczyna.

— Co to znaczy być piękną — rzekł żartobliwie Filip.

— O tak, bardzo piękna — powtórzył po cichu Gilbert. Andrea usłyszała te słowa, ale nie zwróciła uwagi na ten głos dochodzący z kręgu otaczającego ją pospólstwa, tak jak bóstwo hinduskie nie dostrzega ofiary, jaką składa u jego stóp biedny parias.

ROZDZIAŁ LXVII. SZTUCZNE OGNI

Wkrótce potem, gdy Andrea zajęła miejsce na kamiennej ławce, wystrzeliły w niebo pierwsze race, których lotowi towarzyszyły huczne i radosne okrzyki tłumowi.

Początek widowiska zapowiadał się wspaniale, godny wielkiej sławy Ruggieri'ego. Stopniowo zapalały się ozdoby na świątyni, aż niebawem zapłonął niezliczonymi światłami cały fronton. Zagrzmiały oklaski, które zamieniały się w zapamiętałą owację, gdy z paszczy delfinów i z urn, nad którymi znajdowały się postacie rzek, lunął rześisty deszcz ognia różnobarwnymi strumieniami.

Andrea zachwycona nieporównywalnym widokiem siedmiuset tysięcy ludzi, wiwatujących przed płomienistym gmachem, nie próbowała nawet ukrywać swych wrażeń.

O trzy kroki od niej, zasłonięty barczystymi plecami tragarza, który trzymał ponad sobą swego synka, stał Gilbert i nie spuszczał z niej oka. Jeżeli patrzył na sztuczne ognie, to tylko dlatego, że ona patrzyła.

Gilbert widział Andreę z profilu. Za każdym razem, kiedy raca ukazywała się na niebie i oświetlała piękną twarz Andrei, przejmowało to Gilberta głębokim wzruszeniem i wydawało mu się, że objawy powszechnego zachwyty pochodzą z jego uwielbienia dla tej nieziemskiej istoty, którą ubóstwiał.

Andrea nie widziała dotąd Paryża ani tłumów, ani ludu, ani przepychu takich uroczystości. Ta wielorakość przeżyć, jakich doświadczała, pochłaniała całą jej uwagę.

Nagle od strony rzeki trysnął jaskrawy snop światła i rozprysnęła się ze strasznym hukiem kula wyobrażająca ziemię, a deszcz różnobarwnych iskiei rozsypał się w przestrzeni.

— Patrz, Filipie, jakie to cudowne! — zawołała.

— Mój Boże! — wykrzyknął Filip zaniepokojony, nie odpowiadając siostrze. — Ostatnia raca, źle puszczona, leci niewłaściwie. Powinna przecież opisać linię krzywą, a nie lecieć prawie poziomo.

Ledwo Filip okazał swój niepokój, który w tłumie wyraził się pomrukiem poruszenia, gdy nagle sponad wieży, gdzie umieszczony był bukiet, buchnął słup płomieni, któremu towarzyszył huk, potężny jak przy uderzeniu -tysiąca piorunów. Ci, którzy znajdowali się w pobliżu, rzucili się do ucieczki jak pod ogniem kartaczy.

Widzowie dalej stojący wołali: — Czy to już zapalono bukiet?

— Jeszcze nie — odpowiadali inni. — Za wcześnie.

— Nie, to nie bukiet — powiedział smutno Filip. — Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Za chwilę ten cały tłum poruszy się jak wzburzone morze. Andreo, chodźmy stąd, póki czas. Prędkiej, prędkiej.

— Och, Filipie, pozwól mi jeszcze trochę popatrzeć. To takie piękne!

— Andreo, nie ma ani chwili do stracenia. Chodź za mną natychmiast. Lękałenw się nieszczęścia. Raca, źle skierowana, uderzyła w wieżę, gdzie znajdowały się materiały wybuchowe. Tam już się

duszą. Słyszysz ten krzyk? To nie krzyk radości, to krzyk rozpacz. Chodźmy, prędzej, prędzej do karety.

I Filip objął siostrę wpół i zaczął iść ku ojcu, który także był niespokojny. W dochodzącym do niego zgłębku przeczuwał niebezpieczeństwo, choć nie umiał go sobie wytłumaczyć. Wychylił głowę z karety i niespokojnym wzrokiem szukał dzieci.

Ale było już za późno. Przewidywania Filipa sprawdziły się. Bukiet składający się z piętnastu tysięcy rac, pękał rozbryzgując się we wszystkie strony i ścigając uciekających w popłochu i przerażeniu ognistymi strzałami, jakby pociskami rzucanymi w byki na arenie, aby je pobudzić do walki.

Widzowie stojący z dala od wypadku byli z początku zdziwieni tym, co się działo. Jednak napór stu tysięcy ludzi przeraził ich i sprawił, że cofnęli się natychmiast bez namysłu. Drugie sto tysięcy ludzi przygniecionych tym brzemieniem parło na tych, co stali za nimi. Rusztowanie objęty płomieniem, dzieci krzyczały rozpaczliwie, kobiety dusząc się wyciągały bezradnie ręce w górę. Straż, chcąc przywrócić porządek, dzieliła razy na prawo i na lewo. To wszystko spowodowało, że część tłumu, którego obawiał się Filip, spadła jak trąba morską właśnie w to miejsce, gdzie znajdował się wraz z Andreą. Zamiast dostać się do ojca, który siedział strwożony w karecie, został porwany gwałtownym- prądem, o którym żaden opis nie potrafi dać wyobrażenia. Siły pojedynczych ludzi, pomnożone dziesięciokrotnie przez strach i ból, zwielokrotniły się stokrotnie przez połączenie się razem w oszalałym tłumie.

W chwili, gdy Filip chwycił Andreę, Gilberta porwał ten sam wir, który i ich unosił. Ale, ku jego rozpacz, już po kilku krokach zabrała go z sobą inna fala uciekających, tak, że rozłączono go z Andreą.

Andrea, trzymając mocno za rękę Filipa, wpadła razem z nim między gromadę ludzi, którzy starali się uniknąć spotkania z kareta, unoszoną przez rozszalałe konie. Filip widział z jaką szybkością się zbliżały. Oczy ich ciskały ogień, z nozdrzy szła piana. Wytężył wszystkie siły, aby uskoczyć w bok Ale nie udało się. Tłum się rozstał, a nad nim wspięły się rozhukane konie. Puścił rękę Andrei i odepchnął ją mocno, jak mógł tylko najdalej od niebezpiecznego miejsca, i chwycił za wędzidło konia, który znalazł się obok niego. Koń stanął dęba. Filip upadł, potem podniósł się na kolana i nagle zniknął. Andrea krzyknęła przeraźliwie, wyciągnęła ku niemu ręce, ale odepchnięta znowu znalazła się sama jedna, bez sił, unoszona przez tłum jak pióro porwane wichrem.

Pozbawiły ją przytomności i ostatka sił ogłuszające krzyki, okropniejsze od krzyków w czasie wojny, rżenie koni, potworny turkot kół toczących się na przemian to po bruku, to po trupach, siny ogień płonącego rusztowania, złowieszczy błysk pałaszów wydobytych przez kilku niepoczytalnych żołnierzy, a pośród tego krwawego chaosu wznosiła się ponad placem rzezi brązowa statua, oświetlona płowym światłem pożaru.

Andrea wydała rozdzierający krzyk. Obok niej jakiś żołnierz pałaszem torował sobie drogę przez tłum.

Pałasz błysnął nad jej głową.

Złożyła ręce jak tonący, który widzi, że przyszła ostatnia chwila, zawołała: „Boże mój, Boże!” i padła bez zmysłów.

Upaść wśród takiego zamieszania znaczyło zginąć.

Ale ów krzyk usłyszał ktoś, kto go rozpoznał. Był to Gilbert. Odepchnięty daleko od Andrei, zebrał wszystkie siły, aby znaleźć się jak najprędzej przy niej, rzucił się ku niej, podniósł natychmiast, gdy przewróciła go fala, która pochłonęła Andreę, dopadł żołnierza, który zamierzył się pałaszem, chwycił za gardło i powalił na ziemię. Ujrawszy u swych stóp młodą kobietę w białej sukni, wziął ją na rękę i podniósł niczym olbrzym.

Kiedy poczuł, że w jego rękach spoczywa ta istota nadziemskiej piękności, może już martwa, duma rozjaśniła jego twarz. Jemu należała się nagroda za poświęcenie i odwagę. Rzucił się ze swoim bezcennym ciężarem w tłum, którego siła mogłaby rozwałać mury. Ten tłum podtrzymywał go i razem z Andreą niósł na swych ramionach. Szedł tak kilka minut. Nagle tłum zatrzymał się, jakby napotkał nieprzewyciężoną tamę... Nogi Gilberta dotknęły ziemi. Teraz dopiero odczuł ciężar Andrei. Podniósł głowę, aby zobaczyć co to za przeszkoda powstrzymała ich i zauważył, że znajdują się o parę kroków od królewskiego Skarbca.

Podczas tego gorączkowego postoj Gilbert miał możliwość przyrzeć się Andrei, pogrążonej w ciężkim jak śmierć śnie. Serce już nie biło, oczy były zamknięte, twarz podobna do zwiędłej białej róży.

Gilbert sądził, że umarła. Teraz on z kolei wydał okrzyk rozpacz, przycisnął usta do sukni, potem do ręki, a wreszcie ośmielony bezwładnością ciała dziewczyny pożerał pocałunkami jej zimną twarz, oczy ukryte pod zamkniętymi powiekami. Oblewał się gorącym rumieńcem, płakał, wołał, pragnął swą

duszę tchnąć w pierś Andrei, nie mogąc zrozumieć, że jego pocałunki, zdolne ożywić marmur, nie miały mocy nad martwym ciałem.

Nagle uczył bicie serca pod swoją ręką.

— Ocalona! — krzyknął, spoglądając na ten ponury, skrwawiony tłum, słysząc przekleństwa i zlorzeczenia, westchnienia i jęki konających.

— Ocalona — powtórzył — i to ja ją ocaliłem.

Nieszczęśnik, wsparty o mur, że wzrokiem zwróconym ku mostowi, nie widział, co działo się z prawej strony. A tam gonione przez oszalałych stangretów i konie uciekało dwadzieścia tysięcy biedaków, okaleczonych, poparzonych, wzajemnie przez siebie tratowanych.

Instynktownie biegli oni w stronę muru, chociaż tu właśnie czyhała na nich zguba.

Tłum ten porywał z sobą albo dusił tych wszystkich, którzy mniemali, dostawszy się do Skarbca królewskiego, że znaleźli tu ratunek. Nowa fala gwałtownego, strasznego uderzenia tłumy przyniosła nowe trupy, nowe ofiary i zwała się na Gilberta, który w ostatniej chwili dojrzał otwór w kracie i rzucił się ku niemu.

Pod ciężarem uciekających runął mur z kratą.

Gilbert, przyciśnięty do muru omal nie wypuścił z rąk Andrei. Ale skupił ostatnie siły, objął obiema rękami jej ciało i przyłożył głowę do jej piersi. Mogło się wydawać, że chce udusić tę, którą uratował.

— Żegnam cię, żegnam — powtarzał po cichu, raczej kłusując suknię Andrei niż ją całując.

Potem skierował wzrok na dziewczynę jakby błagając ją o ostatnie spojrzenie.

Wtedy doznał osobliwego widzenia.

Oto na słupie przy murze stał jakiś mężczyzna i trzymając się prawą ręką za kółko przymocowane do muru, lewą zdawał się przywoływać uciekające tłumy. Spoglądając na ciżbę, przelewającą się pod jego stopami jak rozhukane morze, wymawiał jakieś słowa i czynił jakieś znaki. Wtedy tu i ówdzie zatrzymywał się ktoś z tłumy i próbował ze wszystkich sił dostać się do tego człowieka. Komu to się udało, ten jakby się odradzał. Przybywało takich coraz więcej. Pomagali wydostać się z tłumy innym, podnosili ich, podtrzymywali, podawali im ręce. W ten sposób ta mała garstka ludzi potrafiła rozdzielić tłum i wstrzymać gwałtowny napór uciekających.

Gilbert podniósł się wyężdżając ostatnie siły. Czuł, że tam jest ratunek, bo tam jest spokój i moc. Ostatni odblask pożaru oświetlił twarz niezwykłego mężczyzny, Gilbert krzyknął zdumiony, a potem rzekł po cichu:

— Niech umrę, ale ona musi żyć. Ten człowiek może ją ocalić.

I w tej chwili wzniosłego samozaparcia, podniósłszy aa rękach młodą dziewczynę, zawołał:

— Panie baronie Balsamo! Niech pan ratuje pannę Andreę de Taverney!

Balsamo usłyszał ten głos z tłumy. Zeskoczył z cokołu, zwołał oddanych sobie ludzi i przebił się do Gilberta. Wziął z jego słabnących rąk Andreę i przedzierając się przez niepowstrzymany już tłum uniósł Andreę nie zdoławszy nawet się obejrzeć.

Gilbert chciał powiedzieć coś jeszcze, może prosić o ratunek dla siebie, ale siły go opuściły. W rękę trzymał strzępek sukni Andrei, który urwał całując jej rękę, gdy Balsamo zabierał mu Andreę.

Po tym ostatnim pocałunku, po tym ostatnim pożegnaniu pozostało Gilbertowi tylko umrzeć. Nie próbował więc już walczyć, zamknął oczy i konając padł na stos trupów,

ROZDZIAŁ LXVIII. POLE UMARŁYCH

Po wielkich burzach zawsze następuje cisza, cisza przerażająca, ale która goi rany.

Było około drugiej godziny w nocy. Na tle białych, wielkich obłoków płynących nad Paryżem ostro rysowały się w świetle przyćmionego księżyca nierówności tego nieszczęsnego skrawka ziemi, na którym uciekające tłumy wpadające w głębokie tory znalazły zgubę i śmierć.

Tu i ówdzie leżały trupy w poszarpanej odzieży, z zeszywniałymi nogami, sinymi czołami, z rękami wyciągniętymi przed siebie i wyrażającymi strach lub modlitwę.

Pośrodku placu sterczały szczątki drewnianego rusztowania, z którego wydobywał się żółty, cuchnący dym.

Wszystko to nadawało placowi Ludwika XV wygląd pola bitwy. Po tym krwawym i żalosnym placu snuły się szybko poruszając tajemnicze cienie. Zatrzymywały się co chwila, pochylały jakby coś dziobiąc i uciekały chyłkiem.

Byli to złodzieje znęcani padliną jak kruki. Nie mogli okradać żywych, więc przyszli okraść trupy, zdumieni, że uprzedzili już ich inni. Uciekali gniewnie i z przestachem, spłoszeni błyskiem bagnatów zapóźnionych strażników, którzy byli groźni. Ale wśród tych zwalów zwłok ludzkich poruszali się nie tylko złodzieje i opieszali strażnicy.

Byli tam i ludzie z latarniami, których by można poczytywać na podstawie ich zachowania za ciekawych.

Pożałowania godni owi ciekawi, niestety! Byli to bowiem krewni i przyjaciele zmarłych, niespokojni o swych najbliższych, którzy tak długo ociągali się z powrotem. Przybywali z najodleglejszych dzielnic, gdyż straszna wieść rozeszła się już po całym Paryżu, potworna jak huragan i zamieniła nagle niepokój w okrutne poszukiwania.

Było to okrutniejsze widowisko niż to, co działo się w czasie samej katastrofy.

Na bladych twarzach wryte były wszystkie cierpienia ciężko doświadczonych przez los, począwszy od rozpaczonych, którzy znaleźli zwłoki swych ukochanych, aż do ponurego zwątpienia tych, którzy nic nie znaleźli i rzucali chciwe spojrzenia w stronę płynącej jednostajnie rzeki.

Krażyły pogłoski, że wiele już trupów ciśnięto do rzeki z rozkazu władz miejskich stolicy, które odpowiedzialne za to, co się stało, chciały ukryć przerażającą ilość ofiar swojej nieostrożności.

A kiedy już poszukujący swych rodzin nasycili się tym widmowym widowiskiem, kiedy obmyli nogi w Sekwanie i napełnili dusze nieuśmierzonym niepokojem, jaki budzi w człowieku nocny bieg rzeki, wtedy odchodzili z latarniami w rękach przetrząsając przyległe do placu ulice, gdzie — jak mówiono — dowlokło się wielu rannych, aby szukać tu ratunku albo przynajmniej wyrwać się z piekła cierpień.

Kiedy zaś znaleźli między poległymi kogoś bliskiego wybuchali po chwili rozpaczliwego osłupienia rozdzierającym płaczem, który łączył się z płaczem innych.

Czasem rozległ się brzęk tłukącej się latarni. To ktoś wypuszczając z rąk latarnię rzucił się gwałtownie na ciało zmarłego, aby go ucałować po raz ostatni.

Bezustannie zaś słychać było chrapliwy charkot i jęki podobne do błagania, na odgłos których nadbiegali ci, którzy spodziewali się znaleźć bliskie sobie osoby i odchodzili zawiedzeni, nie rozpoznawszy wśród nich swoich krewnych czy przyjaciół.

Leżeli tu ludzie okaleczeni, z połamanymi kośćmi, zgniecionymi piersiami i z ranami od ciosów zadanych pałaszami.

W końcu placu przy ogrodzie, urządzonego został z miłosierdzia ludu szpital polowy. Krzątał się tam młody mężczyzna, zapewne chirurg, bo wskazywało na to wiele leżących obok niego narzędzi chirurgicznych, którymi się posługiwał. Kazał przynosić rannych, opatrywał ich, wypowiadając przy tym słowa, wyrażające więcej nienawiści dla przyczyn nieszczęśliwego wypadku niż współczucia dla jego skutków.

Do swoich pomocników, dwóch -barczystych tragarzy, którzy przynosili rannych, wołał co chwila:

— Najpierw tych z ludu! Łatwo ich poznać: zawsze prawie są bardziej pokaleczeni, a na pewno zawsze gorzej odziani.

Te słowa, powtarzane z gryzącą ironią przy każdym opatrunku, zwróciły uwagę młodego bladego człowieka, który przyszedł tu z latarnią szukając kogoś między trupami i rannymi, i dwukrotnie już podniósł głowę słysząc słowa chirurga.

Z głębokiej rany, która przecięła mu czoło, sączyły się krople czerwonej krwi. Ręką podtrzymywał odzież zapiętą na dwa guziki. Oblana potem twarz zdradzała silne wzburzenie.

Spoglądając smutno na okaleczone członki, na które chirurg zdawał się patrzeć prawie z przyjemnością, rzekł:

— Dlaczego wybiera pan pomiędzy ofiarami?

— Dlatego, że nikt nie opatry tych biednych — odparł chirurg podnosząc głowę, sponad operowanej rany — jeżeli ja tego nie uczynię. A o bogaczach nie zapomną. Opuść niżej latarnię, znajdziesz na stu biednych jednego bogacza lub szlachcica.

Młody podniósł latarnię na wysokość zbrozonego krwią czoła.

— Mówisz, że bogaczom i szlachcie szybko przychodzą z pomocą — rzeki bez gniewu. — Ja jestem szlachcicem, mam złamaną rękę i ranę na czole, a nie jestem opatrzony.

— Masz swój pałac, swojego lekarza, możesz chodzić, wracaj do domu.

— Nie proszę o opatrunek. Szukam siostry, pewnie zabitej, chociaż nie pochodzi z ludu. Miała na sobie białą suknię i złoty łańcuszek z krzyżykiem na szyi. Chociaż ma swój pałac i swojego lekarza, powiedz, błagam, czy jej nie widziałeś.

— Panie — rzekł porywczy młody chirurg z gwałtownością, świadcząca, że wyrażone przez niego myśli dawno już wrzały w jego głowie. — Moim posłannictwem jest służba dla ludzkości, jej się poświęcam całkowicie i kiedy porzucam arystokrację na śmiertelnym łożu, aby wydzwignąć cierpiący lud, jestem posłuszny temu jedynemu prawu ludzkości, z którego uczyniłem swoje bóstwo. Wszystkie nieszczęścia, jakie się dzisiaj zdarzyły, są waszym dziełem. Pochodzą z waszych nadużyć, zachłanności, ucisku i przemocy. Dziś ponosicie tego skutki. Nie, panie, nie widziałem twojej siostry.

I po tej gniewnej wypowiedzi młody chirurg powrócił do przerwanych czynności. Przyniesiono mu biedną kobietę, której kareta zmiażdżyła obie nogi.

— Patrz — zawołał jeszcze chirurg za oddalającym się Filipem — przyjrzyj się i powiedz, czy ubodzy rozjeżdżają na uroczystościach publicznych swoimi karetami bogatych, miażdżąc im nogi?

Filip, należący do młodego pokolenia szlachty, które wydało Lafayettów i Lamethów, sam wyznawał podobne zasady jak te, które wygłaszał chirurg. Ale teraz zastosowane w życiu przerażały go i spadały na niego jak kara.

Wstrząśnięty do głębi oddalił się od szpitala i prowadził dalej swoje smutne poszukiwania. Nagle wezbrał się w nim przejmujący ból, który wyrwał z głębi jego duszy okrzyk pełen tłumionego płaczu:

— Andreo, Andreo!

W tym momencie przechodził obok niego człowiek w podeszłym już wieku, ubrany w szary surdut i wełniane pończochy. Prawą ręką wspierał się na lasce, a w lewej trzymał latarkę z papieru.

— Biedny — westchnął ze współczuciem, gdyż rozumiał cierpienie młodzieńca.

Ale ponieważ przygnało go tutaj, jak się zdawało, podobne cierpienie, poszedł dalej.

Potem jednak nagle przystanął, jakby wyrzucając sobie, że przeszedł obojętnie obok tak wielkiego bólu, nie próbując nieszczęśliwemu dodać otuchy, zawrócił i odezwał się w te słowa:

— Wybacz, panie, że zakłócam twoją samotność i przydaję do twojego mój smutek. Ale ci, których ugodził podobny cios, powinni się wspierać, aby nie upaść. Przy tym... jeżeli zechcesz, możesz mi przyjść z pomocą. Szukasz już dawno, widać to po dopalającej się świecy, musisz więc znać najstraszniejsze miejsca wypadku.

— O tak, panie, znam aż nazbyt dobrze — odparł gorzko Filip. — Ja też szukam kogoś...

— O tam, spójrz, nad wielką fosą, tam będzie z pięćdziesiąt martwych ciał.

— O Boże! Tyle ofiar, zabitych podczas jednej zabawy!

— Mówisz: tyle ofiar, panie. Świeciłem w twarz tysiącom ofiar... Ale nie znalazłem tego, kogo szukam...

— A kogo szukasz?

— Siostry. Tam była. Tam koło ławki, straciłem ją z oczu.

Odnalazłem to miejsce, ale nie było po niej ani śladu... Zacznę znowu- szukać, wychodząc od wieży.

— W którą stronę szły tłumy?

— Ku nowym gmachom, w kierunku ulicy Madelaine. Szukałem i tam. Tłum szedł tamtędy, ale dziewczyna opierała się i starała się wyrwać, uciec.

— To nieprawdopodobne, aby zdołała oprzeć się naporowi tłumy. Pójdę szukać w tym kierunku. Niech pan pójdzie ze mną, razem łatwiej może odnajdziemy.

— A pan kogo szuka? Syna? — zapytał Filip.

— Nie syna, ale chłopca, który był mi niemal synem.

— Pozwolił mu pan wyjść samemu?

— To był już młodzieniec dziewiętnastoletni. Nie mogłem mu zabronić. Przy tym, któż mógł przewidzieć tak okropną katastrofę. Ale świeca pańska gaśnie... Proszę, iść ze mną, ja poświecę.

— Dziękuję bardzo, nie chciałbym się jednak naprzykrzać.

— Niech pan nie robi sobie skrupułów. Przecież sam i tak muszę szukać. Biedny chłopiec powracał zawsze na czas do domu — mówił starzec, kiedy szli ulicami — ale tego wieczora, czekając na niego, miałem złe przeczucia. Była już jedenasta, gdy żona moja dowiedziała się od sąsiadki o

nieszczęśliwym wypadku na tej uroczystości. Czekałem jeszcze dwie godziny, spodziewając się ciągle, że wróci. Wstyd mi było iść spać, nie wiedząc, co dzieje się z chłopcem.

— Idziemy więc w stronę domów? — przerwał wynurzenia starca Filip.

— Tak. Mówiłeś, że tłum zwrócił się w tę stronę. Tutaj na pewno - pobiegł nieszczęśliwy chłopiec. Nie znał ani zwyczajów, ani nawet ulic wielkiego miasta, pewnie pierwszy raz był na placu Ludwika XV.

— Niestety! Moja siostra także przybyła z prowincji.

— Okropny widok — rzekł starzec odwracając się od zastygłego kłębowiska splecionych ze sobą martwych ciał ludzkich.

— A tu właśnie trzeba jednak szukać — rzekł młody człowiek zbliżając śmiało latarnię do zwału trupów.

— Ach, boję się nawet spojrzeć. Odczuwani wstręt, którego nie mogę pokonać.

— Ja też doznawałem obrzydzenia, ale dziś wieczorem przywykłem już do wszystkiego. Patrz, tu leży młody człowiek, uduszony, bo nie widać żadnej rany, może to on?

— Nie — odparł starzec — to nie on. On był młodszy. Miał czarne włosy i bladą twarz.

— Niestety, dziś wieczorem wszyscy oni są bladzi — rzekł Filip.

— O, jesteśmy przy Skarbcu — zawołał starzec. — Patrz, widać ślady walki. Krew na ścianach, strzępy ciał i odzieży na kratkach i sztachetach.

— Którędy teraz iść?

— Tędy, na pewno tędy — powiedział po cichu Filip. — Ach, ileż tu było cierpienia...

— Boże drogi!

— Co się stało?

— Widać skrawek białej tkaniny. Moja siostra miała białą suknię. Panie, błagam cię, pozwól swej latarni.

Chwytał gwałtownie strzęp białej sukni i zawołał z rozziewionym jękiem.

— Straszne. To jej suknia. O, Andreo, Andreo! Starzec zbliżył się także.

— To on! — wykrzyknął wyciągając ramiona. Zwróciło to uwagę Filipa.

— Gilbert... — powiedział.

— Pan go zna?

— To szuka pan Gilberta?

Dwa te pytania zostały wypowiedziane równocześnie. Starzec ujął rękę Gilberta, była zimna jak lód. Filip rozpiął jego kamizelkę, rozchylił koszulę i położył rękę na serce.

— Biedny Gilbert!

— Drogie moje dziecko — westchnął z bólem starzec.

— Oddycha. Żyje, żyje, mówią ci — zawołał nagle Filip.

— Czy to możliwe?

— Jestem tego pewny. Serce bije.

— Prawda — wykrzyknął starzec. — Ratunku, ratunku! Chirurga, przędzej!

— Ratujmy go raczej sami, panie. Prosiłem przed chwilą o ratunek dla siebie, odmówił mi.

— Musi ratować moje dziecko — zawołał starzec w uniesieniu. — Musi. Pomóż mi zanieść do niego Gilberta.

— Mam tylko jedną rękę zdrową — rzekł Filip — alei ile tylko będę mógł, pomogę.

— Ja, choć stary, znajdę jednak dość siły.

— No, spróbujmy.

Starzec wziął Gilberta za ramiona, Filip objął obie nogi prawą ręką i tak doszli do miejsca, gdzie ciągle jeszcze zajęty był przy rannych chirurg.

— Ratunku, ratunku! — zawołał starzec.

— Najpierw ludzie prości — powtarzał chirurg, wierny swej zasadzie, świadomy tego, że za każdym takim wezwaniem wywoływał szmer uwielbienia wokół otaczających go.

— Przynoszę człowieka z ludu — odezwał się starzec gorąco, ulegając uczuciu, jakie budził chirurg wśród ludzi.

— Dobrze, ale opatrzę go po kobietach. Mężczyźni mają więcej sił.

— Trzeba tylko puścić krew — rzekł starzec.

Chirurg spojrział na niego przelotnie, dostrzegając przedtem jeszcze Filipa.

— A, to pan znowu, panie szlachcicu — rzekł.

Filip nic nie odpowiedział. Starzec zaś wziął te słowa do siebie.

— Nie jestem szlachcicem — zaprzeczył żywo. — Pochodzę z ludu. Nazywam się Jan Jakób Rousseau.

Lekarz wydał okrzyk zdumienia i robiąc rozkazujący gest, zawołał:

— Miejsce dla głosiciela praw natury, wybawcy ludzkości, obywatela Genewy.

— Dziękuję, panie, dziękuję — rzekł skromnie Rousseau, nieco zmieszany tak nieoczekiwanym przyjęciem i pochwałami.

— Czy i panu zdarzył się jaki wypadek? — zapytał młody lekarz.

— Nie mnie, tylko temu biednemu chłopcu, proszę spojrzeć.

— Ach, ty tak samo jak ja stajesz w obronie praw ludzkich — zawołał lekarz.

Rousseau, wzruszony tym nieoczekiwanym uznaniem, wyjąkał kilka niezrozumiałych słów.

Filip zaskoczony, że znajduje się obok filozofa, którego uwielbiał, odsunął się nieco, onieśmielony.

Zaraz pośpieszono z pomocą i Gilbert, ciągle bez zmysłów, został położony niebawem na stole operacyjnym.

Teraz dopiero Rousseau rzucił wzrokiem na lekarza. — Był to młody człowiek, prawie w wieku Gilberta, ale w którego rysach nie było nic śladu młodości. Cera była żółta, zwiotczała jak u starca, obrzmiałe powieki osłaniały oczy podobne do wzroku węża, usta wykrzywione jak u człowieka, nawiedzonego napadem padaczki. Z rękami zawiniętymi po łokcie, zbroczonymi krwią, otoczony bryłami ciała ludzkiego przypominał bardziej kata, rozsmakowanego w swym rzemiośle, niż lekarza oddanego smutnej służbie w świętym obowiązku.

Nazwisko Rousseau wywarło jednak na nim tak wielkie wrażenie, że zdawał się mniej okrutny. Odchylił łagodnie rękaw koszuli Gilberta, ściągnął rękę bandażem, po czym przebił żyłę. Z początku krew ciekła kroplami, lecz po kilku sekundach czysta i szlachetna krew młodości trysnęła strumieniem.

— Będzie żyć. — rzekł chirurg. — Trzeba jednak wielu starań. Pierś jest przygnieciona.

— Pozostaje mi tylko podziękować panu — odezwał się Rousseau — i wyrazić uznanie, nie tyle zresztą za działalność wyłącznie dla ubogich, ile za poświęcenie dla nich, wszyscy bowiem ludzie są braćmi.

— Nawet szlachta, nawet arystokraci, nawet bogacze? — zapytał chirurg rzuciwszy iskrzącym spojrzeniem spod ciężkich powiek.

— Nawet oni, gdy cierpią... — odparł Rousseau.. .

— Przepraszam, panie — odezwał się znowu po krótkiej chwili lekarz — ale jestem trochę demokratą. Urodziłem się w Baudry blisko Neuchâtel, jestem więc jak ty Szwajcarem.

— A więc ziomek — zawołał uradowany Rousseau. — Jakże się pan nazywa?

— Moje nazwisko nic panu nie powie. Jestem człowiekiem skromnym, nieznanym, który poświęcił swoje życie nauce i czeka na chwilę, kiedy będzie mógł jak tu oddać je całkowicie dla szczęścia ludzkości. Nazywam się Jan Paweł Marat.

— Dziękuję, panie Marat — rzekł Rousseau. — Wydaje mi się jednak, że uświadamiając lud o jego prawach, nie należy go podżegać do zemsty. Jeżeli mścić się będzie, sam może zatrwożyć się skutkami odwetu.

— Ach, gdybym doczekał tego dnia — powiedział Marat :— gdybym miał szczęście ujrzeć ten dzień...

Sposób, w jaki lekarz wypowiedział te słowa, zatrwożyły Rousseau, jak podróznego przeraża pomruk nadciągającej burzy. Wziął na ręce Gilberta i próbował go udźwignąć.

— Dwóch ludzi do pomocy panie Rousseau — zawołał chirurg.

Zgłosiło się ponad dziesięciu ludzi. Rousseau wybrał spośród nich dwóch najsilniejszych. Chwycili Gilberta na ramiona. Rousseau, odchodząc, zwrócił się do Filipa:

— Nie potrzebna mi już latarnia, proszę ją sobie wziąć.

— Dziękuję, panie — rzekł Filip.

Wziął latarnię i kiedy Rousseau ruszył w kierunku ulicy Plâtrière, rozpoczął znowu poszukiwania.

— Biedny chłopak — westchnął Rousseau odwracając się i widząc Filipa znikającego w ulicy zatłoczonej tłumem ludzi. Szedł dalej drżąc co chwila, bo z dala dochodził go unoszący się nad tym polem żaloby ostry głos chirurga.

— Tylko dla ludu, tylko dla ludzi biednych. Hańba szlachcie, arystokracji, bogaczom!

ROZDZIAŁ LXIX. POWRÓT

Wypadki następowały po sobie z niebywałą szybkością i przerażające w swej liczebności i rozmiarami. Pan de Taverney cudem uniknął niebezpieczeństw.

Niezdolny do oporu wobec tej unicestwiającej wszystko siły, umiał zręcznie i zachowując spokój utrzymać się w środku grupy, która toczyła się ku ulicy Madelaine.

Grupa ta, wtłoczona między mury otaczające plac, objijająca się o róg gmachu Skarbca, pozostawiała za sobą długie pasmo trupów i rannych. Potrafiła jednak uchronić od niebezpieczeństwa tych, którzy znajdowali się w jej środku.

Gromada uratowanych mężczyzn i kobiet rozproszyła się po bulwarze, oddychając pełną piersią świeżym powietrzem, i wydając radosne okrzyki.

Wśród nich znajdował się i pan de Taverney, wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Trudno byłoby w to uwierzyć temu, kto nie znał charakteru barona, ale przez cały czas tych koszmarnych wydarzeń myślał on tylko o sobie.

Taverney nie był naturą skłoną do uczuciowości, był przede wszystkim człowiekiem czynu, a tacy ludzie w chwilach przełomowych stosują się w praktyce do zasady Cezara: *age quod agis*. Nie nazywajmy przeto pana de Taverney egoistą; zadowolimy się raczej określeniem, że był tylko roztargniony.

Gdy jednak znalazł się na bruku bulwaru, poruszając się swobodnie, wyrwany śmierci, aby wrócić do życia, całkowicie bezpieczny, wtedy po okrzyku radości wydał inny okrzyk, słabszy niż poprzedni, ale bardziej przejmujący, okrzyk bólu:

— Córko moja! Córko moja!

I stał nieruchomy, z opuszczonymi rękami, osłupiałymi i przygasłymi oczami, w których przesuwaly się wszystkie obrazy rozłąki.

— Biedny pan — mówiły cicho kobiety, które zebrały się koło niego, skore do litowania się, a jeszcze bardziej do wypytywania. Baron nie lubił pospolitować się z ludźmi i nie znosił litości, przebił się więc przez otaczających go i postąpił kilka kroków ku placowi, co trzeba zapisać na jego dobro.

Tych kilka kroków to była mimowolna oznaka reszty miłości rodzicielskiej, która nigdy nie wygasa całkowicie w sercu człowieka. W tej chwili jednak przyszedł z pomocą panu de Taverney rozsądek i powstrzymał dalsze jego kroki.

Tok rozumowania pana de Taverney był mniej więcej taki: po pierwsze, niemożliwe jest dostać się z powrotem na plac Ludwika XV, ponieważ jest tam ścisk nie do opisanego, dokonują się zbrodnie, a z placu wylewa się jak żywioł oszalały tłum; chcieć się przezeń przebić byłoby podobną niedorzecznością jak nierozumnemu pływakowi rzucić się naprzeciw wodospada na Renie. Po wtóre, gdyby nawet cudem udało się dostać w głąb placu, to jak odszukać Andreę wśród stu tysięcy kobiet? Po co daremnie narażać się na śmierć, której cudownie uniknął?

Przy tym błyskała iskra nadziei, która świeci nawet w najstraszniejszych ciemnościach nocy.

Czyż Andrea nie była pod opieką Filipa, mężczyzny i brata, wsparta o jego mocną rękę?

Że on, starzec słaby, ledwo trzymający się na nogach, został porwany przez tłum, to nic dziwnego. Ale co innego Filip, człowiek o stalowym ramieniu, odważny i gorący, w pełnym poczuciu odpowiedzialności za siostrę; Filip na pewno walczył i musiał zwyciężyć. Baron jak każdy egoista stroił Filipa we wszelkie przymioty, których egoizm go pozbawił, ale których tym chętniej szukał w innych. Nie być silnym, szlachetnym, odważnym — oto co dla egoisty jest istotne, co jest mu właściwe. Wszystko, co pozbawia go zysków, które ma prawo ciągnąć, jak mu się wydaje, za społeczeństwa, jest mu wrogiem.

Uspokoiwszy się więc w ten sposób własnym rozumowaniem, baron de Taverney wyprowadził stąd wniosek, że Filip po prostu musiał uratować siostrę, że stracił prawdopodobnie trochę czasu na

szukanie ojca, którego także chciał uratować, ale że teraz wraca zapewne, nawet na pewno, na ulicę Coq-Heron, żeby odprowadzić Andreeę, trochę przerażoną tym wszystkim, co zaszło.

Zawrócił więc i wyszedł ulicą Kapucyńską na plac Ludwika Wielkiego, zwany obecnie placem Zwycięstwa.

Ale baron nie doszedł jeszcze do pałacu, gdy Nicole, stojąc u progu i gawędząc z kilkoma kobietami, zawołała z daleka:

— A gdzie pan Filip? A panna Andrea? Co się z nimi stało?

Cały bowiem Paryż wiedział już o katastrofie. Pierwsi z uciekających, którzy tu przybyli, opowiedzieli o niej, wyolbrzymiając jeszcze wypadki pod wpływem strachu.

— Ach, mój Boże — rzekł baron nieco zaskoczony. — Czyżby ich nie było jeszcze w domu?

— Nie, panie, nie ma ich.

— Muszą iść drogą okrężną — wyjaśnił baron, ale czuł się zaniepokojony, że jego wyliczenia nie sprawdzają się.

Pozostał więc na ulicy, aby czekać razem z Nicole, która głośno zawodziła, i z La Brie, wznoszącym ręce ku niebu.

— Ach, idzie pan Filip! — krzyknęła Nicole z przestraszeniem, ponieważ Filip był sam.

Biegł w ciemności, zadyszany i pełen rozpacz.

— Czy jest siostra? — wołał już z daleka, gdy tylko spostrzegł przed domem grupę ludzi. — Andreo, Andreo! Gdzież ona jest?

— Nie ma jej tu, panie Filipie — odpowiedziała Nicole zanosząc się płaczem. — O, Boże, Boże drogi! Moja najukochańsza pani!

— A ty powróciłeś — rzeki baron z gniewem tym niesprawiedliwszym, że, jak wiemy, sam nie był bez skazy.

Za całą odpowiedź Filip pokazał rany na pokrwawionej twarzy i złamaną rękę, wiszącą jak uschła gałąź.

— Biedna moja Andrea — westchnął baron i upadł na kamienną ławkę stojącą przy drzwiach.

— Znajdę ją żywą lub umarłą — zawołał Filip z ponurą zaciętością.

I szybkim gorączkowym krokiem oddalił się znowu, po drodze wkładając przy pomocy prawej ręki w otwór kamizelki rękę lewą. Przez tę rękę nie mógł wrócić między tłum. Gdyby miał topór, odciąłby ją bez namysłu.

Filip tułał się przez resztę nocy po placu Ludwika XV. Nie mógł oderwać oczu od murów Skarbca, przy których znaleziony został Gilbert. Wpatrywał się bezustannie w strzęp białej tkaniny, którą Gilbert trzymał w ręku, nim go wyciągnięto spod stosu ciał. Dopiero kiedy pierwsze blaski dnia błysnęły na wschodzie — wycieńczony, bliski upadku, wśród trupów mniej bladych niż on, Filip wracał na ulicę Coq-Heron. I on podobnie jak jego ojciec spodziewał się, że Andrea powróciła lub przywieziono ją do domu. Z daleka już dostrzegł u drzwi domu tę samą grupę osób, którą zostawił, gdy odchodził.

Zrozumiał, że Andrei nie ma, i zatrzymał się.

Pierwszy zauważył go baron. Zawołał go.

Nikt już nie miał żadnej nadziei. Filip upadł na ławkę, baron jęknął rozpaczliwie.

W tej samej chwili na końcu ulicy ukazał się powóz, który posuwał się z trudem, aż wreszcie zatrzymał się przed pałacem. W oknie powozu widać było głowę kobiety, zwisającą na ramieniu jakby w omdleniu. Na ten widok Filip ocknął się nagle z odrętwienia i skoczył w stronę powozu.

Drzwiczki otworzyły się i z powozu wysiadł mężczyzna z Andrea na ręku, nie dającą oznak życia.

— Umarła — krzyknął Filip padając na kolana.

— Och, panie — wyjąkał baron — czy naprawdę umarła?

— Nie sądzę, panowie — odparł spokojnie mężczyzna niosący Andreeę. — Panna de Taverney zemdliała tylko.

— Czarnoksiężnik — wyrwał się baronowi okrzyk zdumienia.

— Hrabia Balsamo — rzeki cicho Filip.

— Tak, to ja, panowie. Jestem szczęśliwy, że zdołałem rozpoznać pannę de Taverney w tym piekielnym chaosie.

— Gdzie ją pan odnalazł? — zapytał Filip.

— Koło Skarbca.

— Tak — powiedział Filip, ale zaraz jakby tknięty nieufnością, która zgasła radość, dodał:

— Przywozisz ją zbyt późno, hrabio.

— Panie — odpowiedział Balsamo nie okazując najmniejszego zdziwienia tym odezwaniem się Filipa — łatwo zrozumiesz, w jakim byłem kłopotcie, jeśli zwrócisz uwagę na to, że nie znałem miejsca zamieszkania pańskiej siostry. Musiałem więc polecić mym ludziom, aby odnieśli ją do margrabiny de Savigny, mojej przyjaciółki, która mieszka niedaleko stajen królewskich. Wówczas zjawił się ten poczciwy chłopak, którego widzicie i który pomagał nieść pannę de Taverney... Chodź no tu, Comtois!

Na dany przez Balsamo znak z powozu wysiadł człowiek w liberii królewskiej.

— A więc — ciągnął dalej Balsamo — ten poczciwiec, który jest stangretem królewskim, przypomniał sobie, że odwoził któregoś wieczora pannę de Taverney z la Muette do tego pałacu. Tę pamięć zawdzięczać trzeba niezwyklej piękności panny de Taverney. No, a potem wziąłem dorożkę i oto mam honor przekazać wam z należnym szacunkiem pannę de Taverney, mniej cierpiącą niż wam się wydaje.

To mówiąc oddał z głębokim ukłonem młodą dziewczynę w ręce ojca i Nicole.

Baron uczył po raz pierwszy łzę pod powieką i szczerze wzruszony pozwolił łzie płynąć jawnie po pomarszczonej twarzy. Filip podał panu Balsamo zdrową rękę.

— Panie — rzekł — znasz mój dom i moje nazwisko. Pozwól mi zadość uczynić wyświadczonej mam przysłudze.

— Spełniłem tylko moją powinność — odpowiedział Balsamo. — Zresztą doznałem już przecież waszej gościnności.

I kłaniając się, oddalił się kilka kroków. Ale obrócił się Jeszcze i dodał:

— Przepraszam, zapomniałem podać adres margrabiny de Savigny. Pałac jej znajduje się przy ulicy Saint-Honore, blisko Bernardynów. Podaję na wypadek, gdyby panna de Taverney uważała za swój obowiązek odwiedzić ją.

W całym zachowaniu i słowach Balsamo było tyle delikatności, że rozrzewniło to Filipa, a nawet barona.

— Panie — rzekł baron — córka moja winna ci życie.

— Wiem o tym, panie, i jestem z tego dumny i szczęśliwy — odpowiedział Balsamo.

I w towarzystwie Comtois, który od Filipa nie przyjął pieniężnej nagrody, wsiadł do powozu, który niebawem zniknął. W tej samej prawie chwili Andrea odzyskała przytomność. Otworzyła oczy, które były jakby błędne. Nic nie mówiła, zdawała się być jeszcze odurzona.

— Boże, Boże drogi — szepnął Filip. — Czyliż Bóg zwrócił nam ją tylko w połowie? Czy wpadła w obłąd?

Zdawało się, że Andrea zrozumiała te słowa i zaprzeczyła, potrząsając głową. Ale milczała dalej jakby była w ekstazie. Stała nieruchomo, jednak jej ręka wyciągnięta była w stronę ulicy, którą odjechał Balsamo.

— No, czas już wrócić do normalnego życia — rzekł baron. — Pomóż, Filipie, wejść siostrze do domu.

Andrea, podtrzymywana przez Filipa i wsparta na ramieniu Nicole szła jakby śpiąc do pałacu. Tu dopiero wróciła jej mowa.

— Filipie. — rzekła. — Ojczy mój!

— Poznaje nas — zawołał Filip.

— Tak, poznaje, ale co się działo, Boże drogi?

Andrea znowu zamknęła oczy. Tym razem jednak nie z powodu omdlenia, - ale pogrążając się w spokojnym głębokim śnie.

Gdy zostały same, Nicole, rozebrała ją i ułożyła do snu.

Kiedy Filip znalazł się w swoim pokoju, zastał tam lekarza, którego przywołał przezorny La Brie.

Lekarz opatrzył rękę. Okazało się, że nie była złamana, a tylko zwichnięta. Lekarz zręcznie ją nastawił.

Potem Filip zaprowadził lekarza do Andrei.

Lekarz wziął ją za puls, przysłuchiwał się chwilę oddechowi i uśmiechnął się.

— Śpi mocno jak dziecko — rzeki. — Niech śpi, ten sen da jej zdrowie. Nic więcej nie trzeba.

W czasie, gdy działo się to wszystko, baron spokojny o syna i córkę spał już dawno.

ROZDZIAŁ LXX. PAN DE JUSSIEU

Udajmy się jeszcze raz do tego domu przy ulicy Plâtrière, gdzie de Sartines wysłał swojego agenta. Znajdziemy tutaj Gilberta, leżącego na materacu w pokoju Teresy, a przy nim samą Teresę i Jana Jakuba Rousseau z kilkoma sąsiadkami, przypatrującymi się żalostnej ofierze tego niesłychanego wypadku, na wspomnienie którego Paryż drżał jeszcze.

Jest rano dnia 31 maja.

Gilbert, blady i pokrwawiony otworzył oczy i gdy tylko odzyskał przytomność, usiłował się podnieść i rozejrzeć dokoła tak, jakby znajdował się jeszcze na placu Ludwika XV.

Na twarzy jego ukazał się najpierw głęboki niepokój, który przeszedł po chwili w radość, zmałą jednak znowu chmurą smutku.

— Cierpisz, mój przyjacielu? — zapytał Rousseau, biorąc go z troskliwością za rękę.

— Ach, jestem więc uratowany — zawołał Gilbert nie odpowiadając na pytanie. — Kto pomyślał o mnie, kto ulitował się nad biednym sierotą?.

— Uratowało cię to, moje dziecko, że żyłeś jeszcze, a pomyślał ten, kto myśli o wszystkich.

— Wszystko jedno kto — mruknęła Teresa. — W każdym razie to bardzo nierozsądnie wmieszać się w taki tłum.

— Tak, tak, bardzo nierozsądnie — poparty ją skwapliwie sąsiadki.

— Ech, moje panie — przerwał im Rousseau — nie można mówić o braku rozsądku tam, gdzie nie widać wyraźnie niebezpieczeństwa. A jakież niebezpieczeństwo może być w oglądaniu sztucznych ognii. Kiedy wynika w takim momencie niebezpieczeństwo, nie można mówić o braku rozsądku, ale o nieszczęściu. Zresztą, oceniamy to tak surowo, a postąpilibyśmy tak samo w podobnym przypadku.

Gilbert znowu rozejrzał się dokoła, a przekonawszy się, że jest w pokoju Rousseau, próbował odezwać się.

Ale z wysiłku, który to spowodowało, krew rzuciła mu się ustami i nosem, i stracił przytomność.

Rousseau był na to przygotowany, bo uprzedził go o możliwości krwotoku lekarz z placu Ludwika XV, więc nie przeraził się wcale. Spodziewał się nawet takiego przebiegu rzeczy i dlatego kazał umieścić Gilberta na samym tylko materacu i bez prześcieradła.

— Teraz — rzekł do Teresy — możesz już położyć biednego chłopca do łóżka.

— Gdzie?

— No tutaj, do mojego łóżka.

Gilbert usłyszał to, chciał się sprzeciwić, ale siły mu nie pozwalały. Przewyciężył jednak słabość i otwierając oczy, rzekł mocno:

— Nie, nie. Tam, na górę!

— Chcesz do swojej izdebki?

— Tak, tak, jeśli wolno.

Wypowiedział tę prośbę pod wpływem wspomnienia potężniejszego niż cierpienie i trwalszego niż wszystko, co przeżył. Rousseau, człowiek o wielkiej wrażliwości, zrozumiał to od razu i dlatego powiedział:

— Dobrze, moje dziecko, przeniesiemy cię na górę. Nie chce się nam uprzykrzać — zwrócił się do Teresy, która przyjęła to postanowienie Gilberta z wielkim uznaniem. Przeniesiono go też zaraz na poddasze.

Około południa przyszedł odwiedzić go Rousseau, spędzając przy łóżku swojego ucznia czas, jaki zwykle trawił nad kolekcją ulubionych roślin. Młodzieniec powróciwszy nieco do siebie opowiedział mu głosem cichym i bezbarwnym szczegóły nieszczęśliwego wypadku.

Nie powiedział tylko, dlaczego poszedł przyglądać się sztucznym ogniom. Twierdził, że zaprowadziła go na plac Ludwika XV prosta ciekawość.

Rousseau nie mógł domyślić się prawdziwej przyczyny, chyba że byłby czarnoksiężnikiem.

Nie okazał więc żadnego zdziwienia, poprzestał na pytaniach, które już zadał, i prosił Gilberta o zachowanie spokoju i cierpliwości. Nie wspomniał nic o skrawku sukni znalezionej w ręku Gilberta, którą zabrał Filip.

Chociaż obaj nie mówili o rzeczach najbardziej ich obchodzących, przecież rozmowa ta sprawiała im przyjemność. Przerwało ją wołanie Teresy, które rozległo się na schodach.

— Jakubie, Jakubie!

— Cóż takiego?

— Może przyszedł mnie odwiedzić jaki książę — zażartował Gilbert z bladym uśmiechem.

Do izby weszła Teresa.

— Pan de Jussieu czeka na dole — oznajmiła. — Dowiedziawszy się, że widziano cię w nocy na placu Ludwika, chciał się przekonać, czy nie stało ci się co złego.

— Pocziwy ten Jussieu — rzekł Rousseau. — Jak każdy, kto z konieczności czy z zamiłowania zbliżył się do natury, źródła wszelkiego dobra. Leż spokojnie, Gilberte, zaraz powrócę.

To powiedziawszy Rousseau wyszedł.

Ale nim tylko przestąpił próg, Gilbert ciężko podniósł się z łóżka i powłókł się do okienka, skąd było widać okno pokoju Andrei. Z niezmiernym trudem, osłabiony, prawie bez sił i ledwo przytomny, dźwignął się na krzesło, otworzył okienko i wychylił się. To było wszystko, czego mógł dokonać. Zrobiło mu się ciemno w oczach, na ustach pokazała się krew, drżące, omdlałe ręce puściły parapet i Gilbert ciężko runął na podłogę. W tej chwili otworzyły się drzwi, do izby wszedł Jan Jakub, poprzedzając pana Jussieu z oznakami niezwykle uprzejmości.

— Ostrożnie, mój szanowny mistrzu, tu trzeba pochylić się... — mówił Rousseau — no, cóż, nie jesteśmy w pałacu.

— Dziękuję, dziękuję. Mam na szczęście dobre oczy i nogi, dam sobie jakoś radę — odpowiedział uczony botanik.

— Patrz, Gilberte, któż to przychodzi cię odwiedzić — i rzekł Rousseau kierując wzrok w stronę łóżka. — Cóż to? Gdzież on jest? Boże drogi. On wstał!

I Rousseau spostrzegłszy otwarte okno, chciał skarcić po ojcowsku Gilberta.

Tymczasem Gilbert podniósł się z wysiłkiem i rzekł słabym głosem.

— Potrzebowałem powietrza.

Jakże można było karcić, tego chłopca, na którego twarzy malowało się cierpienie.

— Rzeczywiście — wtrącił się pan Jussieu — strasznie tu gorąco. No, młody człowieku, pokaż mi puls, jestem także lekarzem.

— I to lepszym od wielu innych — dodał Rousseau. — Jesteś doskonałym lekarzem duszy i ciała.

— Tyle honoru... — szepnął Gilbert starając się ukryć w ubogim łóżku przed wzrokiem Rousseau i Jussieu.

— No cóż, kochany doktorze, co powiesz o stanie chłopca, Jussieu dotknął rękami piersi Gilberta i zbadał go dokładnie.

— Na ogół organizm jest zdrowy — rzekł. — Tylko któż cię tak mocno uściskał?

— To śmierć, panie — odparł Gilbert.. Rousseau spojrział na młodzieńca ze zdziwieniem.

— O, bardzo ci przygniotła klatkę piersiową. Ale wzmacniające lekarstwo, świeże powietrze, odpoczynek wróć ci zdrowie.

— Ja nie mogę mieć odpoczynku... — rzekł Gilbert spoglądając na Rousseau.

— Cóż on chce przez to powiedzieć? — spytał Jussieu.

— Gilbert jest bardzo pracowity, drogi panie.

— No, to bardzo dobrze, ale teraz nie ma mowy, aby mógł pracować.

— A jednak muszę. Na życie. Trzeba pracować ciągle, jeśli chce się żyć.

— Och, niewiele ci potrzeba posiłku i niewiele on kosztuje.

— Jakkolwiek mało by kosztował — odparł Gilbert — nie mogę przyjąć jałmużny.

— Ach, jaki jesteś szalony — rzekł Rousseau — i przeważliwiony. Musisz postępować według zaleceń pana Jussieu, inaczej nigdy nie przyjdiesz do zdrowia. Czy uwierzysz — zwrócił się następnie do pana Jussieu — że prosił mnie gorąco, aby nie wzywać lekarza?

— Dlaczego?

— Bo na to trzeba pieniędzy, których on nie ma, a on jest dumny.

— Tak — powiedział Jussieu przypatrując się z rosnącym zainteresowaniem wyrazistej i inteligentnej twarzy Gilberta— tylko że gdybyśmy byli nie wiem jak dumni, nie zdołamy uczynić nic

więcej niż to, co jest możliwe. Czy naprawdę sądzisz, że jesteś w stanie pracować, gdy chcąc tylko wyrzucić przez okno, upadłeś wpół drogi?

— To prawda — westchnął Gilbert — słaby jestem, wiem o tym.

— Odpocznij więc, a przede wszystkim odpocznij duchowo... Jesteś gościem człowieka, z którym każdy robi obrachunki prócz jego gości.

Rousseau wzruszony delikatną wielkodusznością, uściśnął mu rękę.

— A przy tym — dodał Jussieu — staniesz się przedmiotem troskliwości króla i książąt.

— Ja? — zawołał Gilbert.

— Ty, biedna ofiario tragicznego wieczoru. Delfin, dowiedziawszy się o wypadkach, był bardzo tym przejęty i wzburzony. Małżonka delfina, która wybierała się do Marly, pozostała w Trianon, aby być bliżej nieszczęśliwych i nieść im pomoc.

— Czy to być może? — zdumiał się Rousseau.

— Tak jest, mój kochany filozofie. Powtarzam tylko to, co było zawarte w liście delfina do pana de Sartines.

— Nie słyszałem o tym.

— Jest to zarazem proste i piękne. Delfin przeznaczył swoją miesięczną pensję w wysokości dwóch tysięcy talarów na pomoc dla ofiar wypadku. Dziś rano przesłał je do Paryża na ręce pana de Sartines z wyrazami współczucia dla nieszczęśliwych, o czym pan de Sartines sam mi powiedział.

— Ach; widział się pan dzisiaj z panem de Sartines? — rzekł Rousseau z pewnym odcieniem nieufności.

— Tak, od niego właśnie tu przyszedłem — odparł Jussieu nieco zmieszany. — Prosiłem go o nasiona... Tak więc — dorzucił bardzo szybko — małżonka delfina pozostała w Wersalu, aby opatrywać rannych i chorych.

— Rannych i chorych? — powtórzył Rousseau.

— Tak. Nie tylko jeden Gilbert ucierpiał z powodu wypadku. Tym razem lud poniósł mniejsze niż zwykle ofiary wskutek katastrofy. Powiadają, że między rannymi i zabitymi jest wiele osób ze sfer wyższych.

Gilbert słuchał tych słów chciwie i gorączkowo. Zdawało mu się że za chwilę padnie imię Andrei. Jussieu wstał.

— A więc koniec porady lekarskiej? — rzekł Rousseau.

— Wiedza lekarska nie będzie tu już potrzebna. Teraz potrzebne tylko świeże powietrze, umiarkowany ruch... las... Ale, ale... zapomniałem.

— Słucham, co takiego?

— Otóż w przyszłą niedzielę wybieram się na wycieczkę, botaniczną do lasów Marly. Czy nie zechciałbyś mi towarzyszyć, mój dostojny przyjacielu?

— Och — obruszył się Rousseau — powiedz raczej: niegodny wyznawco.

— Doprawdy, byłaby to również świetna okazja dla naszego chorego... Weź go pan z sobą na przechadzkę.

— Tak daleko?

— O, parę kroków tylko, dalej bowiem powiezie nas moja karetka... Pojedziemy drogą księżnej do Luciennes. Stamtąd dostaniemy się do Marly. Botanicy zatrzymują się co chwila... Nasz chory będzie miał czas odpocząć...

— Jesteś niezwykle człowiekiem, mój kochany mistrzu — rzekł Rousseau.

— Pozwól mi powiedzieć, że mam w tym swój interes. Wiem, że przygotowałeś wielkie dzieło o mchach. W tej dziedzinie poruszam się trochę po omacku. Będziesz moim przewodnikiem, jeśli zechcesz.

— Och! — wykrzyknął Rousseau, objawiając wbrew woli swą radość.

— Zjemy lekkie śniadanie, a potem cień, prześliczne kwiaty... A więc zgoda?

— Zgoda...

— Zatem do niedzieli. Cóż to będzie za wycieczka!

— Prześliczna! Wydaje mi się jakbym miał piętnaście lat. Z góry już wyobrażam sobie szczęście, jakie mnie spotka — mówił Rousseau z zapalem dziecka.

— A ty, mały przyjacielu, przygotuj nogi do marszu. Gilbert wyjąkał coś, co miało oznaczać podziękowanie.

Ale Jussieu tego już nie słyszał. Obaj botanicy zostawili Gilberta jego myślom, a jeszcze bardziej jego obawom.

ROZDZIAŁ LXXI. POWRACAJĄCE ŻYCIE

Podczas gdy Rousseau był przekonany, że zapewnił choremu wszystko co trzeba, a Teresa rozповідаła wszystkim dookoła, że dzięki, uczonemu lekarzowi, panu de Jussieu, Gilbertowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, w rzeczywistości był on narażony na niebezpieczeństwo o wiele większe, niż dotychczas, a wynikające z jego uporu i bezustannego oddawania się marzeniom.

Rousseau jednak nie był człowiekiem tak daleko ufającym rzeczom, aby nie pozostało zawsze na dnie jego duszy trochę niedowierzania wobec różnych poglądów filozoficznych.

Wiedząc, że Gilbert jest zakochany i nie przestrzega przepisów lekarskich, Rousseau doszedł do wniosku, że Gilbert wpadnie w te same tarapaty, z jakich został uratowany, jeżeli będzie miał zbyt wiele swobody postępowania.

Stąd też Rousseau jak troskliwy ojciec zamknął drzwi izdebki na kłódkę, pozostawiając choremu tylko wyglądanie oknem. Trudno powiedzieć, ile ta troskliwość, zamieniając mieszkanie na poddaszu w więzienie, wywołała w Gilbertcie gniewu i różnych myśli.

Dla niektórych ludzi przymus rodzi wiele rozmaitych pomysłów.

Gilbert myślał jedynie o Andrei, jedynie o tym, aby ją widzieć i choć z daleka czuć nad nią, nad jej powrotem do zdrowia. Andrea jednak nie ukazywała się w oknach pawilonu. Od czasu do czasu tylko przemknęła Nicole niosąca leki na porcelanowej tacy albo w ogródku przechadzał się de Taverney zażywający tabaki.

Te szczegóły uspokajały go nieco, bo mówiły o chorobie, a nie o śmierci najdroższej istoty.

— Tam — mówił do siebie — za tamtymi drzwiami, za parawanem, oddycha i cierpi ta, którą kocham do szaleństwa.

Czuł, że na jej widok drżałby na całym ciele. Zdawało mu się, że istnienie jego związane jest nierozzerwalnie z jej istnieniem, że dzięki niej oddycha, że ona oddycha za nich dwoje.

W tej chwili Gilbert wychylił się tak bardzo z okienka, że Chon, która z ciekawości często wyglądała przez okno, obawiała się wypadku. Powtórzyło się to w ciągu godziny ze dwadzieścia razy. Gilbert nieustannie przyglądał się ścianom, posadzkom i rozmiarom pawilonu, obmyślając najwidoczniej jakiś plan. Mówił do siebie: tu musi być pokój sypialny pana de Taverney, tu izba dla służby i kuchnia, tam pokój Filipa, dalej izba Nicole, a wreszcie pokój Andrei, świątynia.

O, gdyby choć jeden dzień móc klęczeć u jej drzwi! Życie by oddał za to.

Według wyobrażenia Gilberta tą świątynią był wielki pokój na piętrze z przedpokojem i przyległym pokoikiem o szklanych drzwiach, w którym miało stać łóżko Nicole.

— Och — mówił ten szaleniec w napadzie zazdrości — szczęśliwi ludzie, którzy mogą przechadzać się tam po ogrodzie, gdzie w nocy można na pewno usłyszeć westchnienia panny Andrei.

Od marzeń do ich urzeczywistnienia droga daleka. Ale natury o bujnej wyobraźni znajdują na to sposób, aby rzeczy niemożliwe odczuwać jak rzeczywistość; umieją przerzucać mosty przez rzeki, przystawiać drabiny do gór.

Gilbert w pierwszych dniach żył tylko marzeniami. Potem jednak przyszło mu do głowy, że przecież ci szczęśliwcy, którzy mogą deptać piasek ogrodowych ścieżek, są takimi samymi zwykłymi śmiertelnikami jak i on, że ma on tak samo jak oni nogi do chodzenia po ogrodzie i ręce do otwierania drzwi. Przeczuwał szczęście, jakiego by doznał, gdyby mógł ukradkiem wśliznąć się do tego domu, do którego wstęp mu jest zabroniony, i wsłuchiwać się w dźwięki, które wydobywałyby się przez żaluzje z wnętrza mieszkania.

Gilbert nie zadowalał się chęciami. Zawsze zaraz potem następowały próby ich urzeczywistnienia.

Tymczasem wracał szybko do sił. Był młody i po trzech dniach uczuł się tak silny jak nigdy przedtem.

W swoich rozmyślaniach Gilbert stwierdził, że zamknięcie go przez pana Rousseau usunęło przed nim jedną przeszkodę, mianowicie nie będzie musiał wchodzić do domu panny de Taverney przez

bramę, gdyż brama wychodziła na ulicę Coq-Héron, Gilbert zaś zamknięty przy ulicy Plâtrière nie mógł wydostać się na żadną ulicę, a więc nie potrzebował otwierać żadnej bramy. Miał w zamian okna.

Jego okienko na poddaszu znajdowało się na wysokości ponad czterdziestu ośmiu stóp.

Trzeba by być szalonym lub pijanym, żeby odważyć się spuścić stąd na dół.

— Och, te drzwi to jednak taki świetny wynalazek — powtarzał do siebie Gilbert gryząc paznokcie — a pan Rousseau, filozof, zamyka je przede mną.

— Oderwać kłódkę — przemknęło mu przez myśl. — Tak, nie było to trudne, ale trzeba by się pożegnać z powrotem do gościnnego domu. Uciekać z Luciennes, uciekać z ulicy Plâtrière, uciekać z Taverney, ciągle uciekać, znaczyłoby to nie móc spojrzeć nikomu w oczy bez spotkania w nich wyrzutu, posądzenia o niewdzięczność czy lekkomyślność...

— Nie, pan Rousseau nie dowie się o niczym. Pochylił się w swym okienku Gilbert mówił do siebie:

— Mając swobodne ręce i swobodne nogi, będę czepiał się dachówek, trzymał rynny, bardzo wąskiej co prawda, ale prostej, a więc łączącej najkrótszą drogą dwa punkty. W ten sposób, jeśli mi się to uda, dostanę się do okienka, które wychodzi na schody. Jeżeli się nie uda, spadnę do ogrodu, narobię hałasu, ludzie wyjdą z pałacu, podniosą mnie, poznają, umrę piękny, szlachetny, poetyczny, otoczony współczuciem. To będzie cudowne! Jeżeli jednak powiedzie mi się, na co wszystko wskazuje, wtedy wyjdę przez sąsiednie okienko na schody, stamtąd boso na pierwsze piętro, gdzie znajduje się okno wychodzące na ogród, nie wyżej niż piętnaście stóp nad ziemią i skoczę. Niestety, brak mi sił, brak mi potrzebnej zwinności... Ale jest tam gzyms, to mi pomoże... Tak, tylko że to jest stary gzyms i oberwie się. Wtedy spadnę, ale już nie martwy, nie poetyczny, szlachetny i piękny, a pobielony wapnem, potargany, zawstydzony, jakbym zamyślał kraść gruszki. Strach pomyśleć. Pan de Taverney każe La Brie wytargać mnie za uszy albo wychłostać stróżowi. Ale nie! Mam tu przecież ze dwadzieścia sznurków, które splecione sznurkiem utworzą linę, tak jak według słów pana Rousseau kłosa utworzą snopek. Pożyczę jeszcze sznurków od pani Teresy i przez jedną noc zrobię linę, którą po dostaniu się do upragnionego okna na pierwszym piętrze zaczepię o balkon lub rynnę i spuszczę się w ten sposób do ogrodu.

Obejrząwszy dokładnie rynnę i zmierzywszy na oko wysokość, Gilbert poczuł się pełen nadziei i przedsiębiorczości.

Splótszy sznurki, wypróbował wytrzymałość linki. Zawieszony u belki pułapu, mocował się z nią chwilę. Był szczęśliwy, że podczas tych zabiegów tylko raz ukazała mu się krew na ustach, i postanowił jeszcze tej nocy dokonać wyprawy. Żeby zmylić czujność pana Jakuba i Teresy, udawał chorego i leżał tak aż do godziny drugiej, kiedy Rousseau wychodził na poobiednią przechadzkę, wracając dopiero wieczorem.

Gilbert oświadczył, że jest bardzo senny i że spać będzie aż do rana.

Pan Rousseau zaś był zadowolony, że Gilbert czuje się dobrze, gdyż zamierzał spożyć wieczerzę w mieście.

Wśród tych wzajemnych wynurzeń rozstali się. Gdy Rousseau wyszedł, Gilbert począł znowu wiązać sznurki, a czynił to już z większą wprawą.

Jeszcze raz dotknął ręką rynny i dachówek, jakby sprawdzając ich przydatność, po czym do samego wieczora siedział przy oknie wpatrując się w ogród.

ROZDZIAŁ LXXII. PODROŻ POWIETRZNA

Gilbert zaczął przygotowywać się do wylądowania w nieprzyjacielskim obozie, jak nazywał dom i ogród, który zajmował pan de Taverney. Ze swego okienka badał plac boju, gdzie przyjdzie stoczyć bitwę, z głęboką uwagą biegłego stra

tego, kiedy zaszedł wypadek, który zakłócił spokój tego tak zawsze śpiącego, monotonnego życia domu filozofa.

Oto przez ogrodzenie wpadł kamień i uderzył o róg domu. Gilbert wiedział, że nie ma skutku bez przyczyny. Widząc więc skutek, zaczął szukać przyczyny.

Ale chociaż bardzo się wychylił z okna nie mógł dostrzec, kto rzucił kamień.

Zrozumiał tylko natychmiast, że miało to związek z wypadkiem, który zaraz potem nastąpił. Ostrożnie uchyliła się okiennica na pierwszym piętrze i ukazała się ożywiona twarzyczka Nicole.

Na jej widok Gilbert skrył się w głębi izby, nie tracąc jednak z oczu dziewczyny.

Nicole tymczasem przebiegłszy okiem wszystkie okna, szczególnie zaś okna pawilonu, wyszła chyłkiem z mieszkania i pobiegła do ogrodu, gdzie suszyły się w słońcu koronki..

Kamienia, który potoczył się aż tutaj, nie spuszczał Gilbert podobnie jak Nicole ani na chwilę z oczu. Widział więc, jak Nicole potrąciła kamień nogą, posuwając go w ten sposób naprzód, uczyniła tak jeszcze raz, i jeszcze, raz, aż znalazł się w pobliżu schnących koronek.

Wtedy podniosła ręce, zdjęła rozwieszony koronki, upuściła jedną na ziemię, podnosząc ją bardzo długo i zabrała przy tej sposobności leżący obok kamień.

Gilbert nic jeszcze z tego nie rozumiał. Kiedy jednak ujrzał, jak Nicole obiera kamień niczym z lupiny, zdejmując zeń papierową powłokę, w lot poznał rzeczywistą wartość kamienia.

Był to ni mniej ni więcej tylko liścik owinięty wokół kamienia. Sprytna dziewczyna szybko go rozwinęła, pochłaniając oczyma, włożyła do kieszeni, nie potrzebując już zwracać uwagi na koronki, które były suche.

Gilbert zaś potrząsnął z niesmakiem i ze zgorszeniem głową, chwając sobie w swym zaślepionym egoizmie mężczyzny lekceważącego kobiety to, że zerwał nagle odważnie z zepsutą dziewczyną odbierającą miłosne liściki. Poczytywał to sobie za czyn o dużym znaczeniu moralnym, świadczącym o sile charakteru i umiejętności właściwego postępowania.

Tak rozumując, wyprowadzając pięknie przyczyny ze skutków, nawet nie przeczuwał, że potępia skutek, którego sam może być przyczyną. Nicole tymczasem weszła do domu, potem znowu wyszła, trzymając rękę w kieszeni.

Wyjęła z niej klucz, który błysnął przez mgnienie w jej palcach i wsunęła go pod furtkę ogrodnika, znajdującą się w drugim końcu ogrodzenia, równoległe do głównej bramy ogrodowej.

— Aha — rzekł Gilbert — rozumiem: liścik i schadzka. Nicole nie traci czasu, ma już nowego kochanka.

I zmarszczył brwi z niezadowoleniem jak człowiek, który spodziewał się, że serce kobiety którą porzucił, długo nie zazna spokoju po jego stracie. Był niemile dotknięty, że tak łatwo znalazło ono zaspokojenie gdzie indziej.

— Oto co znowu mogłoby pokrzyżować moje plany — mruknął oszukując się co do istotnej przyczyny złego humoru. — Mniejsza zresztą o to — dodał po chwili milczenia. — Co mi szkodzi poznać szczęśliwca, który zaskarbił sobie po mnie łaski Nicole?

W innych sprawach miał jednak Gilbert sąd jasny i trafny. Doszedł więc do wniosku, że to nowe odkrycie, o którym nikt poza nim nie wie, daje mu przewagę nad Nicole, ponieważ znalazł ze wszystkimi szczegółami jej tajemnice, którym nie mogła zaprzeczyć. Ona w zamian zaledwie domyślała się jego tajemnicy, a żaden szczegół nie mógł potwierdzić jej podejrzeń.

Gilbert postanowił skorzystać z tej przewagi przy najbliższej sposobności.

Tymczasem nadeszła wreszcie tak niecierpliwie oczekiwana noc. Gilbert lękał się tylko jednej rzeczy: niespodziewanego powrotu Rousseau.

Bał się, aby Rousseau nie zastał go na dachu, na schodach, a jeszcze bardziej lękał się, żeby filozof nie wszedł do pustej izdebki. Straszny byłby wtedy gniew genewczyka. Gilbert obiecywał sobie odwrócić ten gniew za pomocą listu, który zostawił na swoim stoliku.

List był następującej treści:

„Kochany i dostojny mój Opiekunie!

Nie miej mi tego za złe, że wbrew twojej woli, a nawet wbrew twemu rozkazowi, pozwoliłem sobie opuścić pokój. Nie omieszkam powrócić, chyba że spotkałby mnie znowu wypadek podobny temu, jakiemu niedawno uległem. Konieczne jednak było, abym nawet z narażeniem na taki wypadek opuścił mieszkanie na dwie godziny.”

— Nie wiem, co powiedzieć, kiedy wrócę — myślał Gilbert — ale przynajmniej na razie pan Rousseau nie będzie się martwić i gniewał. Wieczór był ciemny. Panował duszący upał jak zwykle przy pierwszym ciepłym wiosennym, niebo się zachmurzyło i już o wpół do dziesiątej najwprawniejsze oko nie rozróżniłoby nic w ciemnej przepaści, którą Gilbert badał wzrokiem.

Teraz też Gilbert zauważył, że oddycha z trudnością, że nagle pot wystąpił mu na czoło. Były to niewątpliwie oznaki osłabienia. Roztropność radziła nie puszczać się w takim stanie na wyprawę, w której niezbędną była pełnia sił i niezawodna sprawność organizmu i to już nie tylko dla pomyślnego wyniku wyprawy, lecz dla samego bezpieczeństwa. Gilbert był jednak głuchy na to, co mu podpowiadał instynkt.

Silniejsza była wola dokonania przedsięwzięcia i jak zwykle jej dał młodzieniec posłuch.

Nadeszła decydująca chwila. Gilbert kilkakrotnie opasał się linką i z bijącym sercem wydostał się z okna. Opartszy się mocno o ramę zrobił pierwszy krok dotknawszy nogą rynny, prowadzącej do sąsiedniego okna odległego o dwa blisko sążnie. Rynna ugięła się pod jego stopami. Trzymając się lekko rękami dachówek, co pomagało tylko do zachowania równowagi, Gilbert posuwał się w ten sposób ze dwie minuty, które wydawały mu się wiecznością.

Gilbert siłą woli zwalczył w sobie lęk. Pamiętał, że aby iść po wąskich kładkach nie wolno patrzeć na nogi, ale przed siebie i myśleć tylko o tym, że jesteśmy jak orły, które mogą szybować nad przepaścią. Gilbert niejednokrotnie miał już możliwość stosować te wskazania w swych licznych eskapadach do Nicole, tej samej Nicole, do której teraz droga prowadziła śmiało przez drzwi i bramy, a nie dachy i kominy.

Stanął więc u celu nie zadrzewszy ani razu i dumnie wśliznął się na schody.

Wszedłszy tam, zatrzymał się. Usłyszał bowiem na dole głosy Teresy i sąsiadek, rozmawiających o geniuszu pana Rousseau, jego licznych zaletach, uczonych książkach i pięknej muzyce.

Sąsiadki czytały Nową Heloizą, ale uważały ją za zbyt rozwiązłą, tak to otwarcie nazwały. W odpowiedzi na krytykę Teresa zwróciła im uwagę, że nie rozumieją filozoficznej treści tej przepięknej książki. Na to sąsiadki nie mogły znaleźć odpowiedzi, chyba przyznać się tylko, że nie znają się na tym.

Ta uczona rozmowa, która odbywała się na schodach, była niemniej gorąca niż ogień w kuchniach, przy którym gotowały się wieczerze, przyrządzane przez te dzielne gospodynie.

Tak więc Gilbert słyszał argumenty uczonej dysputy i pieczenie mięsa.

Wymienione również podczas tej rozmowy jego nazwisko przejęło go niemiłym dreszczem.

— Po wieczerzy — powiedziała Teresa — pójdę zobaczyć czy temu kochanemu chłopcu Gilbertowi nie brak czego.

To pieszczołliwe „kochanemu chłopcu” mniej sprawiło Gilbertowi przyjemności, niż napędziła strachu zapowiedź odwiedzin. Przypomniawszy sobie jednak, że Teresa lubiła w czasie wieczerzy pocieszać się butelką i wieczerza przeciągała się do późnego wieczora. Po wieczerzy — oznaczało o dziesiątej, a do tej pory zmienia się jeszcze parę razy zamiary Teresy i na pewno będzie myśleć o czym innym niż o „kochanym chłopcu”. Tymczasem jednak ku rozpaczce Gilberta czas uciekał. Z kłopotu wybawił go sprzyjający mu przypadek. Oto jednej ze sprzymierzonych pań przypaliła się pieczeń. Wydała okrzyk trwogi, który uciął rozmowę. Wszystkie pobiegły na miejsce wypadku. Gilbert skorzystał z zamieszania i przemknął po schodach. Na pierwszym piętrze znalazł hak, do którego przyczepił linę, wdrapał się na okno i zaczął się zwinnie opuszczać.

Gdy tak wisiał między niebem i ziemią, z dołu nagle doszły go odgłosy szybkich kroków.

Miał tylko czas obrócić się, aby spojrzeć kto jest intruzem, który powstrzymał go w połowie niebezpiecznej drogi.

Był to mężczyzna.

Ponieważ szedł od strony furtki, Gilbert nie wątpił, że jest to szczęśliwy wybraniec oczekiwany przez Nicole.

Przyglądał mu się bacznie.

Ze sposobu chodzenia, z profilu zakrytego w połowie trójgraniastym kapeluszem, ze sposobu noszenia kapelusza, założonego na bakier nad uchem, które zdawało się pilnie nadśluchiwać, starał się odgadnąć, kto to być może. Wydawało mu się, że rozpoznaje oficera stajennego Beausire, z którym Nicole zdążyła zawrzeć znajomość w Taverney.

Prawie natychmiast, gdy tylko Beausire się zjawił, Nicole otworzyła drzwi swego mieszkania i nie zamykając ich pobiegła, szybka i lekka jak pasterka, ku oranżerii, w kierunku której zmierzał również Beausire.

Musiała to być nie pierwsza ich schadzka, bo żadne z dwojga nie okazało najmniejszego wahania co do miejsca, w którym mieli się spotkać.

— Teraz mogę się spokojnie opuścić — pomyślał Gilbert — bo jeżeli Nicole przyjmuje o tej porze kochanka, musi mieć dużo wolnego czasu. Zatem Andrea jest sama, sama jedna, Boże drogi... W domu było zupełnie cicho. Tylko na pierwszym piętrze świeciło słabe światelko.

Gilbert bez przeszkód dotknął ziemi. Nie chcąc iść poprzez ogród, posuwał się wzdłuż muru, wpadł w gęstwinę krzaków i chyłkiem, skulony, przez nikogo nie dostrzeżony, doszedł do drzwi, które Nicole zostawiła otwarte.

Zasłonięty bluszczem patrzył w głąb przedpokoju, który był pusty.

Przedpokój był obszerny i posiadał dwoje drzwi, z których jedne były zamknięte, a drugie otwarte. Otwarte prowadziły do pokoju Nicole.

Gilbert wszedł powoli do tego pokoiku, wyciągając przed siebie ręce z obawy, aby o co nie potrącić, gdyż było zupełnie ciemno. Z końca korytarza dochodził odblask od szklanych drzwi, zasłoniętych muślinową firanką.

Idąc korytarzem, Gilbert usłyszał głos dobiegający cicho z oświetlonego pokoju.

Był to głos Andrei. Wszystkie krew zbiegła mu do serca. Odpowiedział drugi głos, głos Filipa, który troskliwie pytał o zdrowie siostry.

Gilbert ostrożnie postąpił krok naprzód i ukrył się za postumentem z umieszczonym na nim popiersiem.

Teraz mógł słuchać i patrzeć bezpiecznie, tak szczęśliwy i strwożony zarazem, że serce na przemian zamierało mu z radości i ścisnęło się boleśnie.

Ale słuchał i widział wszystko.

ROZDZIAŁ LXXIII. BRAT I SIOSTRA

Gilbert słuchał i widział.

Widział Andreę, leżącą na szezlongu, z twarzą zwróconą ku szklanym drzwiom, a więc wprost ku Gilbertowi. Drzwi były lekko przymknięte.

Mała lampa z szerokim abażurem oświetlała dolną część twarzy panny de Taverney. Obok na stoliku leżały książki stanowiące jedyną rozrywkę chorej.

Niekiedy, gdy Andrea przechylała głowę do tyłu, aby oprzeć się o wezgiłowie, światło oblewało jej białe, czyste w zarysach czoło.

Filip siedział u stóp Andrei, tyłem odwrócony do Gilberta. Rękę trzymał nieruchomo na temblaku.

Tego dnia Andrea po raz pierwszy wstała z łóżka i Filip przyszedł ją odwiedzić.

Nie widzieli się ze sobą od owej strasznej nocy. Wiedzieli tylko o sobie tyle, że każde z nich powraca powoli do zdrowia.

Rozmawiali już z sobą od kilku minut, rozmawiali zupełnie swobodnie, bowiem sądzili, że są sami.

— A więc — mówił Filip — czujesz się nieco lepiej, biedna dziewczyno?

— Tak, lepiej, ale odczuwam jeszcze lekki ból.

— A jak z powrotem do sił?

— Nie bardzo. Mimo to mogłam już dzisiaj dwukrotnie zbliżyć się do okna. Ach, jak świeże było powietrze, jakie piękne kwiaty! Zdaje mi się, że przy takim powietrzu i kwiatach niepodobna umrzeć.

— Ale ciągle jeszcze brak ci sił?

— Brak. Nic dziwnego zresztą, wstrząs był ogromny — mówiła dziewczyna z uśmiechem. — Wydaje mi się ciągle jeszcze, że upadnę.

— Więcej wiary w siebie, Andreo! Świeże powietrze i kwiaty, o których mówiłaś, przywrócą ci zdrowie. Za tydzień będziesz już mogła złożyć wizytę małżonce delfina, która tak uprzejmie dopytuje się o ciebie.

— Tak, Filipie, małżonka delfina jest bardzo dla mnie łaskawa.

To powiedziawszy, Andrea przechyliła się do tyłu, przycisnęła rękę do piersi i zamknęła piękne oczy.

Gilbert posunął się krok naprzód z rękami wyciągniętymi przed siebie.

— Cierpisz znowu? — spytał Filip biorąc siostrę za rękę.

— Tak, robi mi się ciemno przed oczyma, krew uderza mi do głowy, czuję lęk.

— To zupełnie zrozumiałe — rzekł Filip — byłaś przecież w strasznym niebezpieczeństwie, z którego tak cudownie zostałaś wyratowana.

— Tak, cudownie, to właściwe słowo, mój bracie.

— Tylko że nie mieliśmy jeszcze jakoś możliwości pomówić o tym cudownym ocaleniu — powiedział Filip i aby nadać większą wagę tym słowom, zbliżył się do siostry.

Andrea zarumieniła się i jakby odczuła przykrość. Filip nie zauważył tego albo udał, że nie zauważył.

— Myślałam — rzekła Andrea — że sprawa mego powrotu została dostatecznie wyjaśniona. W każdym razie wyjaśniona w sposób odpowiadający wymaganiom ojca.

— Oczywiście, droga Andreo. Twój wybawca wykazał w tej sprawie niezwykłą delikatność, jednakże niektóre szczegóły jego wyjaśnienia wydają się nie tyle podejrzone, co niejasne.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, mój bracie — rzekła Andrea z dziewczęcą szczerością.

— Widzisz, jest na przykład taki szczegół, nad którym się początkowo nie zastanawiałem, a który później wydał mi się bardzo dziwny: w jaki sposób zostałaś właściwie ocalona? Czy mogłabyś to powiedzieć, Andreo?

Dziewczyna zrobiła duży wysiłek, aby to sobie przypomnieć.

— Nie, Filipie — rzekła — nie potrafię tego, byłam wtedy tak bardzo przerażona.

— Powiedz chociaż to, co pamiętasz, droga Andreo.

— Mój Boże! Wiesz, że rozstaliśmy się o dwadzieścia kroków od Skarbca, widziałam jak tłum niósł cię ku ogrodom Tuilleries, mnie zaś porwał w kierunku ulicy Królewskiej. Przez chwilę widziałam cię jeszcze, na próżno starając się dostać do ciebie i wołając z wyciągniętymi rękami: Filipie, Filipie! Wtedy pochwyciła mnie nowa, silniejsza jeszcze fala ludzka i uniosła ku sztachetom, aby mnie tam rozbić. Słyszałam jęki tych, którym gruchotano kości. Pojęłam, że to są ostatnie moje chwile. I wtedy, w pół żywa i w pół obłąkana, z podniesionymi ku niebu w ostatniej modlitwie rękami i oczami, ujrzałam nad sobą wzrok człowieka, który rozkazywał tłumom...

— Był nim hrabia Balsamo, prawda?

— Tak, to był on. Ten człowiek zdaje się mieć w sobie coś nadprzyrodzonego. Oczy moje uczynił posłusznymi swoim oczom, ucho moje swojemu głosowi. Za lekkim jego dotknięciem drzę na całym ciele.

— Mów dalej, Andreo — rzekł Filip z posępnym wyrazem twarzy i ponurym brzmieniem w głosie.

— Człowiek ten zdawał się mieć władzę nad tym, co działo się dokoła, jakby straszne wydarzenia i cierpienia ludzkie nie mogły go dosięgnąć. Czytałam w jego oczach, że chce i może mnie ocalić. I wtedy stało się coś nadzwyczajnego: jakaś tajemnicza, niezwykła siła pchała mnie ku niemu i chociaż byłam bez sił, ledwie żywa, pokaleczona, czułam, jakby czyjeś ręce wyciągały mnie z tej otchłani, z tego piekła nieszczęśliwych konających w mękach. I zostałam uratowana. Jestem pewna, Filipie — mówiła Andrea gorączkowo — że to wzrok tego człowieka ciągnął mnie do niego, że chwyciłam się jego ręki i dlatego zostałam ocalona.

— Tak — westchnął z bólem Gilbert — jego tylko widziała, a mnie, mnie, który umierałem u jej stóp, mnie nie dostrzegła.

Otarł czoło, po którym spływał pot.

— A więc to tak było — powiedział Filip.

— Tak, do chwili, kiedy poczułam się wolną od niebezpieczeństwa. Później bowiem opadłam zupełnie z sił i zemdlałam.

— Jak sądzisz, o której godzinie nastąpiło omdlenie?

— Chyba w jakieś dziesięć minut po rozstaniu się z tobą, mój bracie.

— Aha — rzekł Filip — było to około północy. Jak więc to się stało, że powróciłaś do domu dopiero o trzeciej nad ranem? Wybacz mi, moja droga, wygląda to na badanie: może nawet wydaje ci się to śmieszne i jest niemile, ale ja widzę w tym głębsze przyczyny.

— Nie mam ci niczego za złe — odparła Andrea ściskając rękę brata. — Przed trzema dniami nie mogłabym ci o tym nic powiedzieć, dzisiaj jednak, choć może wyda ci się to dziwne, widzę jaśniej i czuję, jakby wola, która panuje nad moją wolą, rozkazała mi przypomnieć sobie wszystko.

— Powiedz mi jeszcze jedno, Andreo, bo to nie daje mi spokoju: czy człowiek ten wziął cię na ręce?

— Na ręce? — powtórzyła Andrea rumieniając się. — Nie pamiętam... Wiem tylko, że wyrwał mnie z tłumy. Przypominam też sobie, że omdlałam pod jego dotknięciem, podobnie jak to się stało w Taverney... A raczej zasnęłam, bo omdlenie sprawia z początku ból, a to było uczucie łagodne, dobroczynne jak sen.

— Wszystko co mówisz, Andreo, wydaje się tak nieprawdopodobne, że gdyby mówił to kto inny, nigdy bym nie uwierzył. Ale to nieważne, mów dalej, Andreo — dodał Filip starając się nie okazać zmieszania, które go ogarnęło.

A w tym czasie Gilbert pochłaniał każde słowo Andrei. On wiedział, że wszystko, co dotąd dziewczyna powiedziała, było najszczerzą prawdą.

— Kiedy wróciłam do przytomności — ciągnęła Andrea — zobaczyłam, że znajduję się w bogato urządzonym salonie, w którym przebywała pokojówka i jakaś dama. Nie objawiały żadnego zaniepokojenia, tylko uśmiechały się do mnie przyjaźnie.

— Czy wiesz, która wtedy była godzina, Andreo?

— W pół do pierwszej.

— Ach tak — rzekł Filip odetchnąwszy swobodniej — proszę, mów dalej, Andreo, mów dalej,

— No cóż, potem podziękowałam za gościnę i troskliwość, a że nie chciałam zbyt długo pozostawiać cię w niepewności, poprosiłam, aby możliwie jak najprędzej odwieziono mnie do domu. Odpowiedziano mi, że nie ma hrabiego w domu, ponieważ musiał znowu pojechać na miejsce wypadku, ale że wróci i wtedy natychmiast sam odwiezie mnie do domu. Około drugiej rozległ się na ulicy turkot powozu i jednocześnie doświadczyłam drżenia, jakie towarzyszyło zbliżaniu się do mnie hrabiego. Upadłam, odurzona, na sofę, otworzyły się drzwi, w których zdażyłam jeszcze rozpoznać mego wybawcę, i znowu straciłam przytomność. Wówczas zaniecono mnie do powozu i przywieziono tutaj. Oto i wszystko, co sobie przypominam, drogi mój bracie.

Filip obliczył czas i wynikało z tego, że siostra jego musiała być przewieziona prosto z ulicy Ecuries-du-Louvre na ulicę Coq-Heron, podobnie jak to było z przewiezieniem z placu Ludwika XV na ulicę Ecuries-du-Louvre. Serdecznie więc uściśnął rękę Andrei i rzekł swobodnym, wesołym głosem:

— Dziękuję ci, droga moja siostrze. Wszystko, co powiedziałaś, pokrywa się z tym, co myślę o tej sprawie. Jutro sam pojedę do margrabiny de Savigny i złożę jej podziękowania. Teraz tylko pozwól jedno słówko, ale to już w mniej ważnej sprawie.

— Mów.

— Przypomnij sobie, proszę, czy wśród ludzi, których widziałaś w czasie wypadków, nie spotkałaś jakiejś znajomej twarzy?

— Nie, nie przypominam sobie.

— A na przykład małego Gilberta?

— Gilberta? Zaraz... — starała się sobie przypomnieć. — Tak, kiedy się rozstaliśmy, był niedaleko nas.

— Spostrzegła mnie — szepnął Gilbert.

— Bo, widzisz Andreo, szukając ciebie, znalazłem tego biednego chłopca.

— Nieżywego? — zapytała Andrea tonem współczucia, jakie ludzie, mający się za lepszych, okazują prostakom.

— Nie, był tylko ranny. Uratowano go i zapewne przyjdzie niebawem do siebie.

— Chwała Bogu — rzekła Andrea. — A co mu się stało?

— Miał zgniecioną klatkę piersiową. Ale rzecz osobliwa, i dlatego właśnie wspomniałem o tym chłopcu, trzymał on w swojej zeszywniałej od bólu ręce strzęp twojej sukni.

— To rzeczywiście niezwykle.

— Czy nie widziałaś go w ostatniej chwili?

— W ostatniej chwili, Filipie, widziałam tyle różnych, przerażających twarzy, że być może widziałam i tego chłopca, ale nie zwróciłam na to uwagi.

— Jak więc wytłumaczyć sobie ten strzępek twojej sukni w jego ręku?

— Mój Boże, nic łatwiejszego — rzekła Andrea ze spokojem, który przeszywał bólem serce Gilberta. — Gilbert był po prostu bliska mnie, kiedy przyszedł ratunek i uczepił się mojej sukni, aby z tego ratunku również skorzystać.

— Och! — wycodził przez zęby Gilbert z ponurą pogardą, jaką wywołały w nim słowa dziewczyny. — Jakie niegodne tłumaczenie wobec mojego poświęcenia. Jak ta szlachta nisko ceni nas, prostych ludzi. Ma słuszną rację pan Rousseau twierdząc, że serca nasze są czystsze, a ręka obdarzona większą siłą.

Wtem usłyszał za sobą jakiś szmer.

— Boże drogi! — rzekł do siebie Gilbert. — Ktoś jest w przedpokoju.

I usłyszawszy kroki zbliżające się do korytarza, schował się do toalety.

— Cóż to, nie ma tu tej szelmy Nicole? — rozległ się głos pana de Taverney, który otarłszy się niemal o Gilberta wszedł do pokoju córki.

— Jest na pewno w ogrodzie — odpowiedziała spokojnie Andrea, której nie mogło przejść nawet przez myśl, że ktoś prócz nich jeszcze znajduje się w domu.

Filip powstał z uszanowaniem, baron skinął ręką, aby usiadł z powrotem, i wzięwszy krzesło, zajął miejsce obok dzieci.

— Ach, moi drodzy — zaczął rozmowę — daleko jest z ulicy Coq-Héron do Wersalu, kiedy jedzie się jednokonnym pojazdem, a nie porządną karetą dworską. No, ale przynajmniej widziałem się z małżonką delfina.

— A więc przybywasz, ojczy, z Wersalu? — zawołała z ożywieniem Andrea, — Tak, księżna była łaskawa wezwać mnie do siebie, dowiedziawszy się o wypadku mojej córki.

— Andrea ma się znacznie lepiej, ojczy — odezwał się Filip.

— Wiem o tym i zakomunikowałem to Jej Królewskiej Wysokości, która raczyła oznajmić, że jak tylko twoja siostra wróci zupełnie do zdrowia, wezwie ją do siebie, do swojej rezydencji w Małym Trianon, gdzie zajęta jest właśnie urządzaniem jej według swego gustu.

— Ja... na dworze Jej Królewskiej Mości? — zapytała Andrea bojaźliwie.

— To nie będzie dwór, moja córko. Małżonka delfina lubi życie spokojne, delfin też nie znosi przepychu i wrzawy. Będą w Trianon wieść życie podobne rodzinnemu. Ale mimo to, wnosząc z usposobienia małżonki delfina, może mieć ono poważne znaczenie. Księżna ma charakter, a delfin odznacza się głębokim umysłem.

— Zawsze będzie to jednak dwór, moja siostró — rzekł smutno Filip.

— Dwór! — syknął z hamowaną wściekłością i rozpaczą Gilbert. — Dwór to jest szczyt, na który nigdy wspiąć się nie zdołam. To przepaść, w którą jednak rzucić się nigdy nie będzie mi dane. O, Andreo, Andreo! Stracona, na zawsze dla mnie stracona!

Andrea tymczasem mówiła do ojca:

— Nie mam ani majątku, ani wykształcenia, a więc niczego, co by usprawiedliwiło moją obecność na dworze. Cóż ja, biedna dziewczyna, pocznę wśród wytwornych dam, których wygląd olśnił mnie, tak samo jak ich dowcip i błyskotliwa inteligencja. Zbyt jesteśmy prości, niestety, abyśmy mogli wejść, mój bracie, w ten wspaniały świat!...

Baron zmarszczył brwi.

— Znowu mówisz głupstwa, moja córko — rzekł. — Nie mogę doprawdy zrozumieć, dlaczego bliscy mi ludzie starają się zawsze pomniejszać to, co pochodzi ode mnie. Prostacy! Chyba rozum straciłaś, moja panno, żeby tak nas nazywać.

Panna de Taverney jest prostytutką! Któż więc jest owym człowiekiem szlachetnym, jeżeli ty nim nie jesteś? Majątek! Jestem zrujnowany, to prawda. Ale będę znowu bogaty. Czy to król nie ma dość pieniędzy, aby wynagrodzić sownie swoje wierne sługi? I czy myślisz, że wywołałoby to może rumieniec na mojej twarzy, gdyby powierzono najstarszemu synowi mojego rodu jaki regiment? Gdyby ciebie, Andreo, obdarzono posagiem, gdyby mnie dano majątek, miałbym się tego wstydzić? O, nie na pewno nie! Tylko głupcy mają przesady. Zresztą, czy to, co bym otrzymał, nie stanowi mojej własności? Ja przecież odbieram ją tylko z powrotem. Nie zaprzatajciez sobie głowy dziecinnymi skrupułami. Zostaje jeszcze do rozważenia sprawa twojej edukacji. Pamiętaj, moja panno, że żadna dama dworu nie odebrała tak starannego wychowania jak ty. Co więcej, oprócz edukacji godnej panien wysokiego rodu, pobierałaś taką naukę, jaka jest udziałem córek sędziów i bankierów. Znasz muzykę, rysujesz widoki z owocami i krowami, jakich by się sam Berghem nie powstydził. Małżonka delfina przepada za talami obrazkami. Jesteś przy tym piękna, król na pewno będzie umiał to ocenić. Umiesz tak prowadzić rozmowę, że oczarowałabyś hrabiego d'Artois lub hrabiego Prowansji. Będiesz zatem nie tylko dobrze widziana, ale wprost podziwiana, uwielbiana. Tak, tak! — prawil baron zacierając z ukontentowania ręce i zanosząc się takim śmiechem, że Filip spojrzal na ojca, nie mogąc uwierzyć, aby taki śmiech mógł wyjść z jego ust. Andrea spuściła oczy, a Filip powiedział biorąc ją za rękę.

— Wolalabyś Wersal?

— Tak, bo Trianon jest mały — rzekła Andrea dumnie i twardo, jak zwykle, gdy spotykała się z czymś uporem.

— Trianon będzie zawsze dość duży, aby znalazł się w nim pokój dla pana de Taverney. Dla człowieka takiego jak ja zawsze znajdzie się mieszkanie — dodał ze skromnością, co miało oznaczać: umie znaleźć sobie mieszkanie.

Andreę niezbyt zachwycała perspektywa bliskiego sąsiedztwa, zwróciła się z zakłopotaną twarzą w stronę Filipa.

— Ty nie będziesz należała do dworu w ścisłym znaczeniu. Małżonka delfina zamiast oddać cię do klasztoru i opłacać twój posąg, zatrzyma cię przy sobie i powierzy jakiś obowiązek. Dzisiaj etykieta nie jest już tak nieubłagana jak za Ludwika XIV. Możesz być lektorką lub panną do towarzystwa. Będziesz pozostawała pod bezpośrednią opieką małżonki delfina i to wzbudzi wokół ciebie niemało zazdrości. Ty się tego pewnie lękasz, siostrzyczko?

— Tak, mój bracie.

— Och — zawołał baron — nie smućmy się zaraz z powodu jednego czy dwóch zazdrośników... Bylebyś tylko prędko powróciła do zdrowia, będę miał przyjemność zawieźć cię zgodnie z wolą małżonki delfina do Trianon.

— Dobrze, ojczy, pojedę.

— Ale, ale... — zagadnął baron zmieniając wątek rozmowy. — Czy ty, Filipie, masz pieniądze?

— Jeżelibyś ty potrzebował, ojczy — odparł młody człowiek — to nie miałbym ich dość do ofiarowania tobie, ale jeżeli chcesz je ofiarować mnie, mogę cię zapewnić, że mam ich dosyć.

— Hm prawda, tyś jest filozof — mruknął baron drwiąco. — Czy ty także filozofujesz, Andreo, i żądasz czego ode mnie czy też nie?

— Nie ośmieliłabym się przysparzać ci kłopotu, ojczy.

— Och, moi drodzy, powinniście sobie nareszcie to zapamiętać, że nie jesteśmy już w Taverney. Król kazał mi wypłacić pięćset ludwików... A conto, raczył powiedzieć Najjaśniejszy Pan. Pomyśl o strojach, moja Andreo.

— Dobrze, ojczy, dziękuję ci bardzo — odpowiedziała dziewczyna z radością.

— Ot, i widzicie ją! — zawołał baron. — Z jednej ostateczności wpada w drugą. Najpierw nie chciała nic, a teraz gotowa zrujnować cesarza chińskiego. Ale to nic, proś o wszystko, co chcesz, dziewczyno, będzie ci bardzo do twarzy w pięknych sukniach.

Po tych słowach baron wstał, ucałował córkę czule, otworzył drzwi dzielące jego pokój od pokoju córki i zniknął burcząc do siebie:

— Że też nie ma tej przekłetej Nicole, żeby przynajmniej poświęciła.

— Czy mam zadzwonić ojczy?

— Nie trzeba, jest ze mną La Brie, tylko pewnie zasnę gdzieś na krześle. Dobranoc, moje dzieci.

Filip wstał także.

— Dobranoc, mój bracie — rzekła Andrea. — Jestem niezmiernie zmęczona. Po raz pierwszy od czasu wypadku rozmawiałam tak długo. Dobranoc, drogi Filipie.

I podała mu rękę na pożegnanie, którą pocałował po bratersku z pewnym jednak rodzajem uszanowania, jakie zawsze żywił do siostry. Po czym odszedł otarłszy się o drzwiczki, za którymi był ukryty Gilbert.

— Czy chcesz, abym wezwał Nicole? — zawołał jeszcze z daleka Filip.

— Nie, nie — odparła Andrea — rozbiore się sama, dobranoc, Filipie.

ROZDZIAŁ LXXIV. CO PRZEWIDZIAŁ GILBERT

Pozostawszy sama, Andrea podniosła się z krzesła i zaczęła się rozbierać. Ciałem Gilberta wstrząsnął dreszcz.

Dziewczyna alabastrowymi rękami sięgnęła do włosów i w chwili, kiedy wyjmowała szpilki, lekki peniuar ześliznął się z jej ramion odsłaniając piękną szyję i pulsujące piersi. Wzniesione nad głową ręce uwydatniły krągłość bioder i wdzięczne linie całej sylwetki.

Gilbert osunął się na kolana. Był odurzony. Krew napłynęła mu gorącą falą do głowy, nabrzmiwała w żyłach, zasnuwała oczy płomienistym obłokiem i szumiła w uszach. Był bliski szaleństwa. Nie panując nad sobą, gotów był wejść do pokoju wołając: „Ach, jakże jesteś piękna! Ale nie bądź tak dumna ze swojej piękności, bo i mnie ją zawdzięczasz, skoro ocaliłem ci życie!”

Nagle Andrea z niecierpliwością tupnęła nogą. Nie mogła sobie dać rady z rozsuwaniem paska. Usiadła na kanapie z gestem bezradności, jakby ta drobna przeszkoda skruszyła jej siły, i przechylając się do sznurka od dzwonka targnęła nim.

Odgłos ten przywrócił Gilberta do przytomności. Drzwi do pokoju Nicole były otwarte, a zatem za chwilę ona sama zjawi się. Żegnajcie marzenia, żegnaj szczęście! Jedno co pozostaje, to obraz, zatrzymany na zawsze w płonących oczach, odcisnięty na wieki w sercu.

Chciał wydostać się z pawilonu, ale stracił sporo czasu i nic nie wskórał, gdyż baron pozamykał drzwi od korytarza. Wpadł więc do pokoju Nicole w chwilę po jej wyjściu na wezwanie Andrei. Minęła go, nie widząc, lekka jak ptak.

Wtedy Gilbert wyszedł do przedpokoju i stąd próbował wydostać się na zewnątrz. I znowu daremnie, ponieważ Nicole zatrzasnęła drzwi i zamknęła je za sobą, zabierając klucz. Teraz pozostawało Gilbertowi już tylko okno. Podszedł bliżej i pojął natychmiast, że i ta droga jest przed nim zamknięta, gdyż okna były zakratowane.

Przycupnął w kącie, zdecydowany zmusić Nicole do otwarcia mu drzwi.

Tymczasem Nicole skończyła rozbierać Andree i ułożyła ją do łóżka. W zachowaniu się pokojówki było przesadne ugrzecznienie, w jej głosie brzmiało nieuchwytnie podniecenie, ale Andrea rzadko opuszczała górne ścieżki swoich myśli, aby zstąpić na ziemię, niczego więc nie zauważyła.

Odprawiła Nicole po krótkiej rozmowie, w której pokojówka nie żałowała przymilnych pochlebstw, jakby miała nimi zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Po wyjściu od Andrei Nicole zamknęła oszklone drzwi i poszła do swego pokoiku. Minęła ze śpiewem ukrytego w kącie i wzdychającego do wydostania się na wolność Gilberta, weszła do pokoiku i zbliżyła się do drzwi wychodzących na ogród.

Młodzieniec domyślił się jej planów i przez moment zastanawiał się, czy zamiast pertraktować z Nicole nie lepiej skorzystać z okazji, kiedy drzwi będą otwarte, i uciec. Przyszło mu jednak na myśl, że mógłby zostać dostrzeżony i wzięto by go za złodzieja, a wtedy Nicole podniosłaby krzyk i zabrakłoby mu czasu na ucieczkę. Właściwie zdążyłby uciec, ale wówczas wydałaby się jego napowietrzna podróż, a co gorsza, doszłoby do skandalu, który mógł przynieść Gilbertowi szkodę nie do powetowania.

Oczywiście, mógłby oskarżyć Nicole, ale cóżby mu z tego przyszło? Byłaby to tylko zemsta, która nie dałaby mu satysfakcji ani korzyści. Zemsta bez osiągnięcia wyraźnych korzyści była dla niego czymś gorszym niż zły postępek: była głupotą.

Postanowił pokazać się Nicole. Wyszedł nagle z cienia, który go osłaniał i stanął przed nią w świetle księżycy, wpadającym przez okno szerokim pasmem.

Nicole chciała krzyknąć, ale szybko opanowała przestrach biorąc Gilberta za kogo innego, kto widocznie nie budził w niej lęku.

— Ach, to ty! — powiedziała. — Co za nieostrożność!

— Tak, to ja — odparł półgłosem Gilbert. — Tylko nie krzycz, kiedy mnie poznasz, jak nie krzyczałabyś, gdyby tu przed tobą zjawił się kto inny.

— Gilbert! — zawołała Nicole. — O Boże!

— Prosiłem cię, żebyś nie krzyczała — upomniał ją zimno.

— Ale co pan tu robi? — spytała gniewnie Nicole.

— Dopiero co nazwałaś mnie nieostrożnym — mówił spokojnie Gilbert — a sama nie jesteś ode mnie ostrożniejsza.

— Tak, ale ostatecznie jestem chyba wspaniałomyślna, że się ciebie pytam, co tutaj robisz.

— Właśnie, co tutaj robię...

— Przyszedłeś zobaczyć pannę Andree.

— Pannę Andree? — Gilberta nie opuszczał spokój.

— Tak, pannę Andree, w której się kochasz, na szczęście, bez wzajemności.

— Doprawdy?

— Radzę ci, strzeż się! — zagroziła.

— A czego?

— Żebym cię nie wydała.

— Ty, Nicole?

— Tak, ja. I żeby cię nie wypędzono.

— Spróbuj — rzekł Gilbert z uśmiechem.

— A co będzie, jeżeli powiem panie Andrei, panu Filipowi i panu baronowi, że cię tu spotkałam?

— Co będzie to będzie, ale mnie nie wypędzą. Dzięki Bogu, jestem już ostatecznie wypędzony, więc będą mnie ścigać tylko jak dzikiego zwierza, a wypędzana będzie Nicole.

— Jak to Nicole?

— No tak, Nicole, do której rzucają kamienie przez mur. — Strzeż się — znowu zagroziła. — Na placu Ludwika XV znaleziono w twoim ręku skrawek sukni panny Andrei.

— Tak sądzisz?

— Pan Filip powiedział o tym ojcu. Niczego się jeszcze nie domyśla, ale może przy pomocy...

— Kto mu pomoże?

— Ja.

— Uważaj, Nicole! Można przecież domyślić się, że pozorując rozwieszanie koronek, zbierasz kamienie, które do ciebie rzucają przez mur.

— Nieprawda! — zawołała Nicole i dodała: — Czy to zbrodnia otrzymywać listy? Na pewno mniejsza niż zakradać się tutaj, kiedy panna Andrea rozbiera się. No i co ty na to, panie Gilbercie?

— Ja na to, panno Nicole, że zbrodnią jest także podsufianie kluczy pod furtkę ogrodu.

Nicole zadrżała.

— I jeszcze ci powiem — ciągnął dalej Gilbert — że jeżeli popełniłem zbrodnię zakradając się tutaj w trosce o bezpieczeństwo i zdrowie państwa, a przede wszystkim panny Andrei, którą starałem się ratować; że jeżeli popełniłem zbrodnię najzupełniej wybaczną zakradając się tutaj, ty popełniłaś zbrodnię nie do wybaczenia, wprowadzając do domu swoich państwa obcego człowieka, któremu szłaś na spotkanie do oranżerii, gdzie spędziłaś już z nim godzinę...

— Gilbercie!

— Oto co znaczy cnota panny Nicole. Ale... uważasz pewnie za nietakt, że jestem w twoim pokoiku, panno Nicole, podczas...

— Panie Gilbercie!

— Powiedz teraz panie Andrei, że jestem w niej zakochany, a ja powiem, że kocham się w tobie i ona uwierzy mi, bo przez swoją głupotę powiedziałaś jej o tym w Taverney.

— Gilbercie, mój przyjacielu!

— I wypędzą cię, Nicole. I zamiast jechać z panną Andream do małżonki delfina w Trianon, zamiast kokietować pięknych i bogatych panów, czego zresztą nie zaniedbasz, jeżeli pozostaniesz w domu, zamiast tego wszystkiego będziesz musiała pójść do swojego kochanka, wojaka de Beausire. Piękny wypadek, nie ma co! Jak to daleko zaprowadziła pannę Nicole jej szlachetna duma! Nicole, kochanka gwardzisty!

I Gilbert zanucił ze śmiechem:

Dans les gardes francaises J'avais un amoureux!

— Na litość boską, panie Gilbercie! — powiedziała Nicole. — Nie patrz tak na mnie złośliwie i nie śmieję się. Boję się tego twojego śmiechu.

— A więc otwórz mi drzwi — rozkazał — i ani słowa o tym wszystkim. Pamiętaj!

Nicole otworzyła drzwi z nerwowym pośpiechem, trzęsąc się jak staruszka. Gilbert wyszedł pierwszy i widząc, że dziewczyna chce go odprowadzić do furtki, rzekł:

— O, nie! Ty masz swoje sposoby wprowadzania tu mężczyzn, a ja mam swoje, aby stąd wyjść. Idź do swojego ukochanego de Beausire, który oczekuje cię niecierpliwie w oranżerii i zabaw się z nim dziesięć minut dłużej niż zamierzałaś. W nagrodę daję ci moją dyskrecję.

— Dziesięć minut i czemu to? — zapytała z drżeniem Nicole.

— Bo potrzeba mi dziesięciu minut, aby stąd odejść. No, idź już i jak żona Lota, której historię opowiadałem ci w Taverney, kiedy wyznaczyłaś mi schadzki w stogu siana, nie odwracaj się, bo może cię spotkać coś gorszego niż zamiana w słup soli. Idź już, piękna kapłanko rozkoszy. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Zgaszona i sterroryzowana rozkazującym tonem Gilberta, który całą jej przyszłość miał w swoim ręku, Nicole poszła ze spuszczoną głową do oranżerii, gdzie rzeczywiście czekał na nią wielce niespokojny pan de Beausire.

Tymczasem Gilbert z zachowaniem wszelkich środków ostrożności dotarł do muru i linki, a następnie korzystając z pnączy winnej latorośli i krzewów dosięgnął rynny na pierwszym piętrze i dalej już bez przeszkód wdrapał się do swojej izdebki.

Na szczęście nikt go nie zauważył, sąsiadki już spały, a Teresa jeszcze krzątała się przy kuchni. Sprzyjała mu także pewność siebie po odniesionym zwycięstwie nad Nicole. Pewność ta kierowała jego ruchami, gdy wspinał się po rynnie i dodawała skrzydeł jego myślom. Czuł się zdolny do przejścia po wyostrej brzytwie, choćby ta brzytwa była długa na milę. Oczywiście, na końcu tej drogi Gilbert widział Andreę.

Wróciwszy do swojej izdebki, zamknął okno i podarł list, którego nikt nawet nie dotknął, po czym z rozkoszą wyciągnął się na łóżku.

W pół godziny później zagadnęła go przez drzwi Teresa. Odpowiedział ziewając, że czuje się doskonale, ale że mu się chce spać. Pilno mu było do samotności wśród milczenia i zmroku, aby nasycić się rozpamiętywaniem i odtwarzaniem wydarzeń tego niezwykłego i trawiącego serce dnia.

Wkrótce jednak z jego oczu pierzchno wszystko: baron, Filip, Nicole, de Beausire i pozostała tylko Andrea, na pół naga, z rękami wzniesionymi ponad głową i wyjmująca szpilki z włosów.

ROZDZIAŁ LXXV. ZIELARZE

Opowiedziane wypadki rozegrały się w piątek wieczorem, a więc w dwa dni później miała się odbyć w lesie Luciennes owa przechadzka, po której Rousseau tak wiele sobie obiecywał.

Gilbert spędził cały dzień w oknie, zobojętniały na wszystko od chwili, kiedy dowiedział się o bliskim wyjeździe Andrei do Trianon. W ciągu tego dnia okno pokoju panny de Taverney było otwarte i raz czy dwa razy Andrea podchodziła osłabła i blada, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Gilbert widział ją i zdawało mu się, że nie chciałby od losu niczego innego poza pewnością, że Andrea zawsze będzie mieszkać w pawilonie, a on w izdebce na poddaszu i że będzie mógł oglądać ukochaną dwa razy na dzień.

Nadeszła wreszcie tak bardzo oczekiwana niedziela. Rousseau już w przeddzień przygotował się starannie, oczyścił buty i ku rozpaczy Teresy wydobyl z szafy szary surdut. Teresa utrzymywała, że bluza lub płócienny kitel wystarczyłyby w zupełności, ale filozof nie odpowiadał i robił swoje.

Również ubranie Gilberta zostało starannie wyczyszczone, a ponadto Rousseau zrobił młodzieńcowi niespodziankę, obdarowując go nowymi butami i pończochami.

Wygląd zielnika także został odświeżony. Rousseau nie zapomniał o kolekcji mchów, która miała odegrać swoją rolę.

Filozof, niecierpliwy jak dziecko, podchodził nieustannie do okna wyglądając karety pana Jussieu. Wreszcie doczekał się: pięknie malowana kareta, bogato przybrane konie i tęgi wypudrowany stangret stanęli przed bramą. Rousseau pobiegł natychmiast do Teresy oznajmiając o przybyciu karety i przynaglił Gilberta do pośpiechu.

— Jeżeli tak lubisz jeździć kareta — rzekła cierpko Teresa — to dlaczego nie zapracowałeś sobie na nią jak pan Wolter?

— No... — bąknął Rousseau.

— Przecież zawsze powtarzasz, że masz tyle samo talentu, co i on.

— Nic podobnego! — krzyknął Rousseau gniewnie. — Ja mówię... Ja nic nie mówię!

I cała jego radość z wycieczki pierzchnęła, jak to zdarzało się zawsze wtedy, kiedy padało nazwisko Woltera.

Na szczęście wszedł Jussieu. Był wypomadowany i upudrowany, świeży jak wiosna. Wystroił się w okazały frak z indyjskiego atłasu koloru surowego płótna, jasnoniliową jedwabną kamizelkę, białe, niezwykle cienkie pończochy. Sprzączki z gładko polerowanego złota dopełniały świetności jego ubioru.

Zaraz po jego wejściu w pokój rozszedł się mocny zapach perfum, który wprost upoił Teresę, nie tającą zresztą zachwyty.

— O, jaki pan wytworny! — rzekł Rousseau, porównując oczami swój skromny strój z eleganckim ubiorem przybyłego.

— Ależ skąd... Obawiam się upału — odparł wytworny botanik.

— A wilgoć w lesie? Cóż się stanie z jedwabnymi pończochami, kiedy będziemy zbierać zioła na bagnach?

— Och, będziemy wybierać dogodne miejsca.

— A mchy błotne? Czy zrezygnujemy dzisiaj z nich?

— Dajmy im pokój, drogi kolego.

— Można by rzec, że się pan wybrał na bal, pomiędzy panie.

— Dlaczego by nie uhonorować jedwabnymi pończochami panią Naturę? — odpowiedział nieco zakłopotany Jussieu. — Czyż nie jest ona jak kochanka, dla której warto ponosić koszty?

Rousseau dał za wygraną. On także był zdania, że niepodobna okazać Naturze zbyt wiele czci.

Gilbert obserwował pana Jussieu spojrzeniem pełnym zawiści. Odkąd zdarzyło mu się oglądać młodych wykwintnisiów, którzy odpowiednim strojem umieli podkreślać i potęgować swoje zewnętrzne walory, rozumiał użyteczność elegancji. Wyobrażał sobie, że te wszystkie atłasy, batysty i koronki dodałyby niemało powabu jego młodości i że gdyby wystroił się jak pan Jussieu i spotkał Andreeę, zwróciłby na pewno jej uwagę.

W godzinę później dojechali parą pięknych koni duńskich do Bougival, skąd udali się dalej pieszo, drogą wysadzoną kasztanami.

Trasa wycieczki, wyjątkowo dziś piękna, odznaczała się w owej epoce niemniejszą pięknnością, ponieważ część wzgórza, którą mieli przetrząsnąć nasi botanicy, była już obsadzona drzewami za Ludwika XIV i pielęgnowano ją ze szczególną troskliwością od czasu, jak monarcha upodobał sobie Marly.

Rosły tu kasztany o szorstkiej korze, grubych konarach i fantastycznych kształtach, przypominających węże i woły, porośle mchem dęby i ogromnych rozmiarów orzechy włoskie, których liście zmieniają w czerwcu barwę z żółtozieloną na niebieskozieloną. W cieniu tych starych drzew ustronie posiadało coś z uroczyska, wabiło dzikością, potęgą, pięknem i pewną melancholią. Nic tedy dziwnego, że Rousseau pogrążył się w pełnej zachwyty kontemplacji.

Na Gilberta, na którego twarzy malował się spokój, ale i ponurość, otoczenie nie wywołało i nie mogło wywołać żadnego wrażenia. Wszystkie jego myśli skoncentrowane były na jednym: Andrea opuszcza pawilon w ogrodzie i jedzie do Trianon.

Szli w kierunku wierzchołka wzgórza, na którym widniał czworokątny pawilon Luciennes. Widok tego pawilonu, z którego kiedyś uciekł, sprowadził Gilberta na ziemię i zwrócił ku wspomnieniom, niezbyt przyjemnym, ale nie budzącym, już żadnej obawy. Czul się bezpieczny widząc obydwu swoich opiekunów i wierząc, że może się spodziewać z ich strony pomocy. Patrzył więc na Luciennes jak rozbitek patrzy z portu na mieliznę, na której utknął statek.

Rousseau szedł lekko pochylony nad ziemią, gotów posłużyć się trzymaną w rękę motyczką. W ten sam sposób posuwał się Jussieu, ale gdy filozof wypatrywał roślin, wytworny botanik po prostu troszczył się o swoje pończochy.

— Cóż za piękny okaz „Lycopodium!” — zawołał w pewnym momencie Rousseau.

— Rzeczywiście — odparł Jussieu — ale idźmy dalej.

— O! „Lyrimachia Fenella!” Trzeba ją wziąć.

— Jeżeli trzeba...

— Jak to? Przecież mieliśmy zbierać zioła...

— Owszem, owszem... Ale przypuszczam, że tam w dole znajdziemy coś lepszego.

— Jeśli panu to dogadza... Chodźmy.

— Która godzina? — zapytał Jussieu. — Ubierając się z pośpiechem, zapomniałem zegarka.

Rousseau wydobył z kieszeni duży, srebrny zegarek. — Dziewiąta — poinformował.

— A może byśmy trochę odpoczęli? — zaproponował de Jussieu.

— Ależ z pana kiepski piechur — rzekł Rousseau. — Oto skutek zbierania ziół w cienkim obuwiu i jedwabnych pończochach.

— Zdaje mi się, że jestem głodny.

— Zjedzmy więc śniadanie. Ćwierć mili stąd jest wioska...

— Och, nie!

— Jak to nie? Czy ma pan swoje śniadanie w karecie?

— Niech pan tam spojrzysz. Co pan widzi? — rzekł Jussieu wyciągając rękę i pokazując jakaś odległy punkt na horyzoncie.

Rousseau wspiął się na palce i przysłonił oczy ręką.

— Nic nie widzę — powiedział.

— Jak to? A tamten nowy domek z chorągiewką?

— A tak...

— To jest kiosk. Dostaniemy tam skromne śniadanie.

— Zgoda — rzekł Rousseau i zwrócił się do Gilberta: — Czy będziesz jadł?

Gilbert nie interesował się rozmową, ścinając w zamyśleniu kwiaty i chwasty leśne.

— Jeśli pan uważa, że już pora...

— Chodźmy więc, jeśli łaska — powiedział Jussieu. — Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy po drodze zbierali zioła.

— Pana siostrzeniec — zauważył Rousseau — jest bardziej zapalonym naturalistą niż pan. Zbierałem z nim zioła w lesie Montmorency. Byliśmy tam w małym gronie. On, wyszukiwał bardzo sprawnie, zbierał i objaśniał dobrze.

— On jest młody i dorabia się dobrego imienia.

— Korzysta przecież z pańskiego, które ma swoją wagę. Oj, kolego, kolego, jakoś po amatorsku zbiera pan zioła!

— No, no, niech się pan nie dąsa, mój filozofie. O, proszę. Oto piękna „Planthago Monanthos.” Czy znalazł pan coś podobnego w Montmorency?

— Doprawdy, nie — odpowiedział Rousseau uradowany. — Wspaniała!

— Ach, jaki piękny pawilon! — zauważył Gilbert, który wysunął się nieco do przodu.

— Gilbert jest pewno głodny — rzekł Jussieu.

— O, przepraszam pana. Nie jestem niecierpliwy i poczekam na panów.

— Tym bardziej że zbieranie ziół po jedzeniu nie odgrywa żadnej roli w trawieniu. Poza tym po jedzeniu człowiek staje się ociężały. Zbierajmy więc jeszcze trochę — mówił Rousseau. — Ale jak się nazywa ten pawilon?

— „Pułapka” — poinformował Jussieu, przypominając sobie nazwę wynalezioną przez pana de Sartines.

— Co za osobliwa nazwa!

— Ot, tak, dla fantazji, jak to na wsi.

— Nie wiem dokładnie.

— Przecież pan zna właściciela, skoro pan jada tu śniadania — zauważył Rousseau zaczynając coś podejrzewać.

— Nie... a raczej znam tutaj wszystkich. Widzieli mnie tu nieraz gajowi i chętnie mi się kłaniają, dostarczają zwierzynę, próbują się przypodobać, jak to służba panom. Zna mnie także służba z okolicznych majątków. A co do pawilonu, to nie wiem, czy on należy do pani de Mirepoix czy do pani d'Egmont. Dalibóg, nie wiem. Ale najważniejsze, drogi mój filozofie, że jak się spodziewam dostaniemy tu chleb, owoce i pasztet.

Jussieu mówił tak dobrodusznie, że podejrzenia Rousseau rozwiały się. Otrzeptał się z kurzu, otarł ręce i wszedł za panem Jussieu na ścieżkę, która wiła się w cieniu kasztanów.

Gilbert powrócił na swoje miejsce z tyłu i szedł za nimi, rozmyślając o Andrei i o sposobach zobaczenia jej w Trianon.

ROZDZIAŁ LXXVI. PUŁAPKA NA FILOZOFÓW

Na wierzchołku wzgórze wznosił się drewniany domek wiejski, ozdobiony sękatymi kolumnkami, z ostrym szczytem i oknami przysłoniętymi bluszczem. Zbudowany był na modłę angielską, ściślej: tak, jak się to spotyka u ogrodników angielskich, którzy próbują naśladować w swym budownictwie naturę, albo przekształcają ją odpowiednio w oryginalną kompozycję z budulca i roślin.

Anglicy wyhodowali niebieskie róże i dążeniem ich było zawsze osiągnięcie antytezy powszechnie przyjętych idei i rzeczy. Pewnego dnia wyhodują z pewnością czarne lilie.

Pawilonik, do którego zdążali nasi botanicy, miał akurat takie rozmiary, że mieściły się tutaj stół i sześć krzesel.

Posadzka z cegieł wysłana była matami, ściany pokryte mozaiką z kamyków i muszel spoza Sekwany, ponieważ żwir z Bougival i Port-Marly nie zawierał odpowiednich muszli, zwłaszcza perłoworóżowych, jakie znajdują się w Harfleur, Dieppe lub na rafach w Sainte-Adresse.

Sufit zdobiły płaskorzeźby. Nad głowami gości zdawały się zwisać sosnowe szyszki, dziwaczного kształtu gałęzie, imitujące profile faunów i dzikich zwierząt. Przez okna o kolorowych szybach można było oglądać stąd równinę lub las Vermet, nabrzmiałe barwami burzy, to znów jaśniejące w blaskach sierpniowego słońca, wyżej zaś zimne i martwe jak w mroźne dni zimy. Wystarczyło wybrać sobie odpowiedni — fioletowy, różowy lub błękitny odcinek szyby, aby oglądać z okien widoki według upodobania.

Gilberta zainteresowało obserwowanie okolicy przez te właśnie kolorowe szyby. Przyjrzał się zwłaszcza dokładnie rozległej dolinie u stóp Luciennes, którą przecinała wstęga Sekwany.

Równie zajmującym widowiskiem było — oczywiście dla pana Jussieu — śniadanie, zastawione na drewnianym, nieheblowanym stole pośrodku pawilonu.

Nie było tu służącego, ale różnorodne potrawy czekały już na przybyłych. Były tu kielbaski z Nanterre, parujące na porcelanowym półmisku, lśniąca świeżością masło, wiejski chleb razowy, tak lubiany zazwyczaj przez jednostajnie odżywiających się mieszkańców miast, i chleb z najlepszej mąki, i wyborna śmietana z Marly, i owoce, wśród których zwracały uwagę piękne morele i śliwki z Luciennes oraz poziomki, podane w koszyczku wyłożonym liśćmi winogron.

Rousseau patrzył z podziwem na stół, a ponieważ lubił dobrze zjeść, choć jako smakosz był raczej naiwny niż wyrafinowany, nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

— Cóż to za rarytasy! Czego nam było trzeba, to chleba i owoców. Jako pracowici badacze powinniśmy szperać jeszcze w gęstwinie i przegryzać chleb śliwkami. Czy przypominasz sobie, Gilberte nasze śniadanie w Plessis--Piquet?

— Tak. Bardzo mi wtedy smakował chleb z czereśniami. — Właśnie. Takie śniadanie powinien jadać rzetelny miłośnik natury.

— Drogi mistrzu — przerwał Jussieu — jeżeli wyrzucasz mi zbytek, mylisz się. Nigdy skromniejsze...

— Och, nie lekceważ swej ucztę, panie Lukullusie! — zawołał Rousseau.

— Mojej? Skądże?! — odparł Jussieu.

— U kogo więc jesteście? — zapytał Rousseau z uśmiechem, w którym był i dobry humor, i odrobina przymusu.

— Czy to chochliki podały nam do stołu?

— Może raczej wieszczki — rzekł de Jussieu zerkając ku drzwiom.

— Wieszczki?! — zawołał Rousseau wesoło. — A więc niech będą błogosławione za tę gościnność. Jeść mi się chce. Jedzmy.

I ukrajawszy sobie sporą kromkę razowego chleba, podał chleb i nóż Gilbertowi. Następnie wgrzyżając się w miąższ chleba wybrał kilka śliwek z talerza.

Gilbert wahał się.

— No, jedźże! — namawiał go Rousseau. — Wieszczki obrażą się za twoją wstrzeźliwość i pomyslą, że gardzisz ucztą, którą przygotowały.

— Ale niegodną was, panowie — zabrzmiał w progu srebrzysty głos i do pawilonu weszły trzymając się pod rękę dwie młode i piękne kobiety, które z uśmiechem dawały panu Jussieu znaki, aby powstrzymał się z ukłonami.

Rousseau odwrócił się, trzymając w jednej ręce nadgryziony chleb a w drugiej napoczętą śliwkę. Ujrzawszy dwie boginie, bo takimi wydały mu się przybyłe, osłupiał. Skłonił się niezręcznie.

— Och, pani hrabina tutaj! — rzekł Jussieu. — Co za przyjemna niespodzianka!

— Dzień dobry, drogi botaniku — powiedziała jedna z dam z wdziękiem prawdziwie królewskim.

— Pozwoli pani, hrabino, przedstawić sobie pana Rousseau — rzekł Jussieu, biorąc filozofa za rękę, w której ten trzymał kromkę chleba.

Gilbert poznał obydwie kobiety i błady jak śmierć zerkał w stronę okna rozmyślając, czy nie wyskoczyć.

— Dzień dobry, mój mały filozofie — rzekła do struchlałego młodzieńca druga dama, uderzywszy go lekko w policzek trzema różowymi palcami.

Widząc to Rousseau omal nie zawrzał gniewem. Jego uczeń znał obydwie boginie i one go znały! Uczeń zaś stał w dalszym ciągu struchlały, choć wolałby się zapaść pod ziemię.

— Czy nie poznaje pan pani hrabiny? — spytał filozofa pan Jussieu.

— Nie, pierwszy raz, jak mi się zdaje... — wybełkotał Rousseau.

— Pani Dubarry — oznajmił Jussieu.

Rousseau podskoczył jakby stąpnał na rozpalone żelazo.

— Pani Dubarry! — wykrzyknął.

— We własnej osobie — rzekła hrabina z wdziękiem. — Jestem naprawdę szczęśliwa, że widzę u siebie jednego z najślawniejszych filozofów naszych czasów.

— Pani Dubarry... — powtórzył Rousseau nie zastanawiając się, że zbyt długie zdziwienie mogło obrazić hrabinę. — Ona! I ten pawilon należy bez wątpienia do niej i to ona poczęstowała mnie śniadaniem...

— Zgadłeś, mój drogi filozofie, to ona i jej siostra — powiedział zmieszany Jussieu, czując zbliżającą się burzę.

— Jej siostra, która zna Gilberta?

— I to bardzo blisko — wtrąciła Chon ze śmiałością, która nie liczyła się z humorem królów, ani z kapryсами filozofów.

Gilbert rozglądał się bezradnie, jakby chciał się za wszelką cenę ukryć przed pałającym spojrzeniem filozofa.

— Bardzo blisko... — powtórzył Rousseau. — I ja nie wiedziałem o tym... A zatem zdradzono mnie, oszukano...

Chon i jej siostra spoglądały na niego drwiąco.

Jussieu tarosił i w końcu rozdarł koronkę, która kosztowała czterdzieści ludwików.

Gilbert złożył ręce nie wiedząc, czy błagać Chon, aby milczała, czy uprosić Rousseau, aby się mitygował.

Tymczasem Rousseau milczał, ponieważ mówiła Chon.

— Tak — wyjaśniała — Gilbert i ja jesteśmy starymi znajomymi. Był moim gościem, nieprawdaż, mój mały?... Czyżbyś już nie był wdzięczny za konfitury w Luciennes i Wersalu?

Słowa te dobiły filozofa. Jego ręce wzniosły się do góry, jak dwie sprężyny, i opadły na biodra.

— Ach, więc to tak, nieszczęsny?! — powiedział patrząc z ukosa na Gilberta.

— Panie Rousseau... — wybełkotał młodzieniec.

— Powiedziałby kto, że żałujesz, iż cię pielęgnowano — mówiła Chon. — Nie sądziłam, że będziesz taki niewdzięczny.

— Pani! — rzekł błagalnie Gilbert.

— Wracaj, młodzieńcze, do Luciennes — odezwała się pani Dubarry. — Konfitury i Zamora czekają na ciebie i chociaż opuścicie nas w sposób dość niezwykły, będziesz dobrze przyjęty.

— Dziękuję pani — odparł sucho Gilbert. — Kiedy opuszczam jakieś miejsce, to dlatego, że mi się tam nie podoba.

— Ale dlaczego wyrzekasz się dobrodziejstw, jakie ci ofiarowują? — przerwał Rousseau cierpko. — Zakosztowałeś dostatków, trzeba, żebyś do nich powrócił.

— Ależ, przysięgam panu...

— No, no, daj spokój! Nie lubię ludzi, którzy chuchają i zarazem dmuchają.

— Ależ pan mnie nie wysłuchał! Uciekłem z Luciennes, ponieważ trzymano mnie w zamknięciu.

— To podstęp! Ja znam złośliwość i obłudę ludzką.

— Ale ja wolałem pana, skoro obrałem pana za opiekuna!

— Fałsz!

— Przecież, gdybym dbał o bogactwo, przyjąłbym propozycję tych pań!

— Panie Gilbert, mnie można oszukać jeden raz, ale nigdy dwa razy. Jesteś wolny i idź sobie, dokąd chcesz.

— Ale dokąd, na Boga?! — zawołał Gilbert zrozpaczony, że traci mieszkanie i sąsiedztwo Andrei, że zarzucono mu zdradę, że za nic mają jego samozaparcie, jego walkę z lenistwem i pożądaniami.

— Dokąd? — powtórzył Rousseau. — Ależ do tej pani, która jest tak piękną i znakomitą osobistością.

— O mój Boże! — zawołał Gilbert chwytając się za głowę.

— Nie obawiaj się, młodzieńcze — pocieszył go Jussieu, urażony, że Rousseau zachowuje się tak dziwnie wobec dam. — Będę o tobie pamiętał i to, co stracisz, będzie ci oddane.

— No, widzisz — rzekł Rousseau. — Oto pan Jussieu, uczony, przyjaciel natury, jeden z twoich wspólników obiecuje ci pomoc i dostatek. A możesz na to liczyć, bo pan Jussieu ma długie ręce!

To rzekłszy Rousseau uklonił się damom z miną daleką od wyrażenia czołobitności, potem skinął głową panu Jussieu i nie patrząc nawet na Gilberta wyszedł.

— Cóż za szkaradne stworzenie ten filozof! — rzekła Chan.

— Proś o co chcesz — zwrócił się Jussieu do Gilberta, który trzymał twarz w dłoniach.

Gilbert podniósł głowę, poprawił włosy, które pot i lzy przykleiły mu do czoła i powiedział stanowczo:

— Skoro tak, to proszę o przyjęcie mnie na ogrodnika w Trianon.

Chon i hrabina spojrzały na siebie uśmiechając się z triumfem.

— Czy da się to zrobić, panie Jussieu? — zapytała hrabina. Bardzo bym tego -pragnęła.

— Ponieważ pani tego chce, rzecz jest załatwiona. Gilbert skłonił się głęboko i położył rękę na sercu, które omal nie wyskoczyło mu z piersi, tak bardzo czuł się uszczęśliwiony, choć przed chwilą jeszcze pograżony był w rozpacz.

ROZDZIAŁ LXXVII. PRZYPOWIEŚĆ O DRZEWIE ŚLIWY

W małym gabinecie w Luciennes, gdzie byliśmy świadkami jak wicehrabia Jan pochłaniał ku niezadowoleniu pani Dubarry wielkie ilości czekolady, miała miejsce narada między uroczą gospodynią i marszałkiem Richelieu. Hrabina w pozie nader swobodnej leżała na atlasowej sofie w kwiaty i targała Zamorę za uszy, podczas gdy stary dworak co chwila wydawał okrzyki podziwu na widok tego lub owego szczegółu czarującej sylwetki damy.

— Och, hrabino — mówił wdzięcząc się jak stara kobieta — włosy się pani rozsypują! O, spinka się odpięła! Ależ, pani pantofelek spada, hrabino!

— Niech pan na to nie zważa — odpowiadała hrabina, wyrwijąc z roztargnieniem kosmyki włosów Murzynka i kładąc się coraz swobodniej, rozkoszniejsza i piękniejsza na swojej sofie niż Wenus na morskiej muszli.

Zamora, mało wrażliwy na jej pozę, wrzasnął nagle ze złości. Hrabina, aby go uspokoić, wzięła ze stołu garść cukierków i włożyła mu do kieszeni. Ale Zamora krzywiąc się wyrzucił kieszeń i wysypał cukierki na podłogę.

— To ladaco! — powiedziała hrabina wyciągając zgrabną nóżkę, jakby z zamiarem kopnięcia Murzynka.

— Zlituj się, hrabino! — zawołał stary marszałek. — Możesz go zabić.

— Mogłabym dzisiaj zabić wszystkich, których nie lubię — odpowiedziała pani Dubarry. — Czuję, że byłabym bezlitosna.

— Aż tak? — zdziwił się Richelieu. A czy i mnie pani nie lubi?

— O, nie. Pan jest moim wypróbowanym przyjacielem i mam dla pana wiele szacunku. Ale doprawdy, zdaje mi się, że zwariowałam.

— To chyba coś w rodzaju choroby, jaką, hrabino, zarazili cię ci, których doprowadziłaś do szaleństwa.

— Pochlebco! Prawi mi pan dusery, myśląc o czym innym.

— Oj, hrabino! Zaczynam wierzyć, że pani jest niewdzięczna, a nie szalona.

— Nie, nie jestem ani szalona, ani niewdzięczna. Jestem... po prostu zagniewana, mości książę.

— No honor, jest się czego gniewać?

— Między innymi z pana powodu.

— Z mojego? Hrabino!

— A tak, panie marszałku.

— Proszę mi to wyjaśnić. Jestem już za stary, żeby się poprawić, ale podejmę każdy wysiłek, abym mnie, hrabino, lubiła.

— Właśnie chodzi o to... że pan nie wie, o co chodzi.

— Zdaje mi się, że wiem: i to, że Zamora stłukł fontanną...

Hrabina uśmiechnęła się leciutko, Murzynek zaś spuścił głowę z pokorą, jakby oczekiwał kary.

— Tak, mości książę, masz słuszość — westchnęła hrabina. — Doprawdy, bardzo z ciebie przenikliwy polityk.

— Zawsze mi to mówiono — odparł Richelieu skromnie.

— A więc znalazłeś, książę, przyczynę mojego gniewu a raczej troski od razu...

— Tak, ale... to chyba nie wszystko... Przypuszczam...

— I cóż takiego pan przypuszcza?

— Że wczoraj wieczorem czekałaś, hrabino, na króla.

— Gdzie mianowicie?

— Tutaj.

— No i co dalej?

— I że Jego Królewska Mość nie raczył przybyć. Hrabina splonęła rumieńcem i unosząc się nieco na łokciu wydała lekki okrzyk.

— I oto ja — mówił dalej Richelieu — przybywam z Paryża.

— Czego to dowodzi?

— Że mógłbym nie wiedzieć, co się działo w Wersalu, a jednak...

— Drogi książę, jesteś dziś jakiś tajemniczy... Do licha! Skoro pan zaczął, trzeba kończyć, albo nie należało zaczynać.

— Łatwo tak powiedzieć, hrabino. Pozwól mi przynajmniej zebrać myśli. Na czym to się zatrzymałem?

— Na „a jednak...”

— Ach, tak, prawda... A jednak wiem nie tylko to, że Jego Królewska Mość nie raczył tu przybyć, ale jeszcze domyślałam się, dlaczego nie przybył.

— Zawsze byłam zdania, że jesteś, książę, czarnoksiężnikiem. Brakowało mi tylko dowodu.

— A więc dam pani dowód.

Przywiązując do rozmowy większą wagę, niż chciała to okazać, hrabina przestała się bawić włosami Murzynka.

— Daj, książę, słucham — powiedziała.

— Czy w obecności pana gubernatora? — zapytał Richelieu.

— Odejdź, Zamora — nakazała hrabina i uradowany Murzynek jednym susem wybiegł z buduaru.

— Nareszcie! — odetchnął Richelieu.

— Jak to, więc Zamora ci przeszkadzał, książę?

— Żeby nie skłamać: każdy obcy mi przeszkadza.

— Rozumiem, ale Zamora?

— On nie jest ślepy, ani głuchy, a więc jest kimś. Tak nazywam każdego, kto może widzieć, co robię, słyszeć lub powtórzyć, co mówiłem, kto, wreszcie, może mnie zdradzić. A teraz do rzeczy...

— O, tak, mów dalej, książę. Zrobisz mi przyjemność.

— Przyjemność? Nie sądzę, hrabino, ale... wracam do rzeczy. Król był wczoraj w Trianon i... prowadził małżonkę delfina pod rękę.

— Ach!

— A małżonka delfina, która jest czarująca, jak wiesz...

— Niestety!

— ...tak mu pochlebiała, tak często powtarzała „tatuńciu” albo „dziaduniu”, że Jego Królewska Mość, który ma złote serce, nie mógł się oprzeć, żeby nie zostać na wieczery, a potem na niewinnych grach. Wreszcie...

— Wreszcie król nie przyjechał do Luciennes — przerwała mu hrabina, blada z niecierpliwości. — To właśnie chciał pan rzec?

— Ech, mój Boże, tak!

— To wszystko bardzo proste: król napotkał tam właśnie to, co kocha.

— Ach, nie! Nie myślisz o tym, co mówisz, hrabino. Chyba napotkał tam to, co mu się podoba.

— To jeszcze gorzej, bo niech pan uważa: został na wieczyry, rozmawiał, grał. To właśnie wszystko, czego mu potrzeba. A z kim grał?

— Z panem de Choiseul. Hrabina zachnęła się z irytacji.

— Czy wolisz, hrabino, abyśmy o tym nie mówili?

— Przeciwnie, mówmy.

— Pani jest równie odważna, jak dowcipna. Chwytajmy więc byka za rogi, jak mówią Hiszpanie.

— Oto przysłowie, którego by ci książę, pani de Choiseul nie wybaczyła.

— Jednakże nie do niej zostało zastosowane. Powiedziałem więc, że pan de Choiseul grał z królem w karty i to tak szczęśliwie, tak zręcznie...

— Że wygrał?

— Nie, że przegrał i że Jego Królewska Mość wygrał tysiąc ludwików w pikietę, czyli w grę, która wystawia jego miłość własną na próbę, ponieważ gra bardzo źle.

— Och, Choiseul, Choiseul! — westchnęła hrabina. — A czy była tam pani de Grammont?

— Była, aby się pożegnać. Robi głupstwo, jak sądzą.

— Jakie?

— Widząc, że jej nie prześladowają, dąsa się i wyjeżdża dobrowolnie na wygnanie.

— Będzie intrygowała.

— Dalibóg! A cóżby na prowincji miała robić? Przed wyjazdem chciała oczywiście pożegnać małżonkę delfina, która ją bardzo lubi. To jest powód, dla którego zjawiała się w Trianon.

— Otaczając się tymi wszystkimi Choiseulami, małżonka delfina nie tai z kim zamierza trzymać.

— Nie przesadzajmy, hrabino. Przecież jutro księżna wyjedzie.

— I król bawił się, chociaż mnie tam nie było! — zawołała hrabina z oburzeniem, w którym brzmiała także obawa.

— Nie do uwierzenia, a jednak tak, hrabino. Jaki z tego pani wyciąga wniosek?

— Że jesteś, książę, dobrze poinformowany.

— To wszystko?

— Nie, nie wszystko. Wyciągam jeszcze ten wniosek, że! dobrowolnie albo siłą trzeba wyrwać króla ze szponów Choiseulów, bo inaczej zginiemy.

— Niestety!

— Przepraszam, powiedziałam „zginiemy”, ale to tylko dotyczy mojej rodziny.

— I przyjaciół. Pozwól mi się, hrabino, do nich zaliczać.

— To za mało.

— Zdaje mi się, że dałem dowody...

— To już lepiej. A czy mi pan pomoże?

— Ze wszystkich sił, ale... będzie trudno.

— Czyż to niemożliwe wykorzenić Choiseulów?

— W każdym razie głęboko zapuścili korzenie.

— A więc, jak to mówi poczciwy la Fontaine, nie ma na tego dęba ani wiatru, ani burzy...

— To wielki umysł ten minister!

— Coś podobnego! Książę mówi jak encyklopedyści. Pan!

— Czyż nie jestem członkiem Akademii?

— O tak, prawie.

— Pani ma słuszość. Mój sekretarz jest jej członkiem, a nie ja. Ale mimo to obstaję przy swoim zdaniu.

— Że pan de Choiseul jest geniuszem? W czym to się objawia?

— W tym, że tak prowadzi sprawy parlamentu i międzynarodowe, że król nie może się bez niego obejść.

— Ależ to on podburza parlament przeciwko królowi!

— Oczywiście, i to jest właśnie jego zręczność.

— Podżega Anglików do wojny!

— Właśnie, bo pokój by go zgubił.

— To nie jest genialność, tylko zdrada stanu!

— Ale skoro taka zdrada stanu udaje się, to jest w tym genialność, hrabino.

— O, jeśli o to chodzi, to znam kogoś równie zręcznego jak pan de Choiseul.

— Zaintrygowałaś mnie, hrabino.

— Czy nie znasz go, księżę?

— Dalibóg, nie

— A jednak należy on do pana rodziny.

— Czyżby w mojej rodzinie był ktoś genialny? Może pani mówi o księciu kardynale, moim stryju?

— Nie, o księciu d'Aiguillon, pana synowcu.

— Ach, d'Aiguillon, prawda! To przecież on nadał rozgłosu sprawie la Chalotais. Dalibóg, to ładny chłopak! Przykra to było sprawa. Na honor, powinnaś, hrabino, przywiązać go do siebie!

— A czy pan wie, księżę, że go nie znam? — Doprawdy?

— Nie, nigdy go nie widziałam.

— Biedny chłopiec! Zagrzebał się w Bretanii. Powinien się strzec, kiedy panią zobaczy, bo odwykł już od słońca.

— Cóż on porabia między czarnymi togami, człowiek tak rozumny i takiego rodu?

— Buntuje ich z braku lepszego zajęcia. Pani rozumie, hrabino, każdy zażywa rozkoszy tam, gdzie ją znajduje, a w Bretanii nie ma zbyt wielkich rozkoszy. To człowiek bardzo energiczny i król miałby z niego pociechę, gdyby tego chciał. Przy nim parlament nie odważyłby się na zuchwalstwa. Ach, to prawdziwy Richelieu i wobec tego pani pozwoli, żebym go przedstawił zaraz, kiedy przyjedzie.

— A kiedy się zjawi w Paryżu?

— Kto go tam wie? Może jeszcze z pięć lat wypadnie mu siedzieć w Bretanii, jak to mówi ten łotr, Wolter. A może jest już w drodze, dziesięć mil stąd albo u rogatki...

Mówiąc to marszałek śledził uważnie wrażenie swoich słów na twarzy hrabiny, która zamyśliwszy się na chwilę rzekła:

— Wróćmy może do tematu. Na czym stanęliśmy?

— Na zabawie Jego Królewskiej Mości w Trianon w towarzystwie pana de Choiseul.

— I na sprawie usunięcia pana de Choiseul.

— To znaczy, pani mówiła o jego usunięciu.

— Tak gorąco tego pragnę, że gotowa jestem umrzeć, jeżeli to nie nastąpi. Czy nie pomożesz mi pan choć trochę, drogi księżę?

— Otóż to! — rzekł Richelieu prostując się. — W polityce nazywamy to zagajeniem.

— Nazywaj, księżę, jak chcesz, ale odpowiedz stanowczo.

— Och, jakie nieładne słowa w tak małych i ślicznych ustach!

— Czy to ma być odpowiedź?

— Niezupełnie. Nazwałbym to przygotowaniem do odpowiedzi.

— A czy jest już przygotowana? — Trochę cierpliwości,

— Księżę się waha?

— Bynajmniej.

— A więc słucham.

— Co pani sądzi o apologach?

— Że to nic nowego.

— Ba! Słońce jest takie stare, a nie znaleźliśmy nic lepszego do oświetlania.

— A więc zgadzam się na apolog, byle przejrzyśty.

— Jak kryształ. Niech więc sobie pani wyobrazi, hrabino... Pani wie, że apologi wymagają gry wyobraźni?

— Mój Boże! Jaki z ciebie, księżę, nudziarz!

— Nie pomyślałaś o tym, co mówisz, hrabino, bo w przeciwnym wypadku słuchałabyś z największą uwagą.

— Niech i tak będzie. Przepraszam.

— Wyobraź więc sobie, hrabino, że przechadzasz się po swoim pięknym ogrodzie w Luciennes i trafiasz na drzewo śliwy, na jedną z renklod, które tak lubisz, bo owoce jej są złociste i purpurowe, czym przypominają ciebie.

— Mów dalej, pochlebco.

— Trafiasz więc na owoc renklody na samym końcu gałęzi i to na samym wierzchołku drzewa. Cóż więc robisz, hrabino?

— Potrząsam oczywiście drzewem.

— Tak, ale bez skutku, bo drzewo ma pień gruby i jest trudne do wykorzenia, jak powiedziałaś, hrabino, przed chwilą. Spostrzegasz to zaraz, po daremnym potrząśnięciu i po starciu naskórka z ślicznych rączek o korę. Wtedy odwracasz głowę z wdziękiem właściwym tylko tobie i kwiatom, wzdychając: „Mój Boże! Jakże bym chciała widzieć tę renklodę na ziemi!” i gniewasz się.

— To naturalne. Ale mów dalej, księżę, to zajmujący apolog.

— A więc kiedy odwracasz się wzdychając, spostrzegasz, hrabino, swojego przyjaciela, księcia Richelieu, który przechadza się rozmyślając...

— O czym?

— Co za pytanie?! Ależ o pani! Spostrzegłszy zatem zamyszonego mówisz do niego, hrabino, czarującym głosem: „Ach, księżę!...”

— To bardzo ciekawe!

— Mówisz: „Jesteś mężczyzną, jesteś silny. Zdobyłeś Mahon. Potrząśnij tym przeklętym drzewem, żebym wreszcie dostała moją renklodę!” Czy nie tak, hrabino?

— Absolutnie tak. Mówiłam sobie nawet po cichu to, co ty mówiłeś, księżę, głośno. Ale co odpowiedziałeś?

— Odpowiedziałem... „Z największą ochotą, ale przyjrzyj się, pani, jakie to drzewo grube. Ja także dbam o ręce, chociaż są starsze od twoich o pięćdziesiąt lat”.

— Ach! — zawołała hrabina. — Tak, teraz rozumiem!

— A więc, hrabino, rozwijaj dalej apolog. Cóżżeś mu powiedziała?

— Powiedziałam: „Mój drogi marszałku, przestań patrzeć obojętnie na tę renklodę i nie myśl, że ona nie dla ciebie. Zapragnij jej wraz ze mną, a jeżeli potrząsniesz drzewem jak należy i jeżeli renkloda spadnie, wtedy...”

— Wtedy co?

— Zjemy ją razem.

— Brawo! — zawołał księżę klasnąwszy w ręce,

— A zatem potrząsniesz drzewem, księżę?

— Oburącz hrabino.

— A czy na drzewie istotnie była renkloda?

— Nie ma całkowitej pewności. Wydaje mi się, że to raczej portfel wisiał na wierzchołku tego drzewa.

— Czyż ten portfel dla nas obojga?

— O, nie, dla mnie tylko. Nie zazdrość mi go, hrabino. Spadnie z nim razem wiele innych rzeczy, kiedy potrząsnę drzewem. Nie będziesz wiedziała, co wybierać, hrabino.

— A teraz, panie marszałku, czy to już wszystko?

— A czy zajmę miejsce pana de Choiseul?

— Jeżeli król zechce.

— Czyż król nie chce tego, co ty chcesz, hrabino?

— Widać nie, skoro nie chce odprawić swojego Choiseula, — Spodziewam się jednak, że król zechce sobie przypomnieć swojego starego towarzysza.

— Towarzysza broni?

— Tak. Nie zawsze największe niebezpieczeństwa czyhają na wojnie, hrabino.

— A o nic mnie pan nie prosi dla księcia d'Aiguilloin?

— Dalibóg, nie. On sam potrafi prosić.

— No dobrze. A teraz kolej na mnie. Co mi pan może dać?

— Co zechcesz, hrabino.

— Chcę wszystkiego.

— Bardzo słusznie.

— A czy otrzymam?

— Dobre pytanie! Ale czy będziesz, hrabino, zadowolona i czy tylko tego będziesz żądać ode mnie?

— Tego i czegoś więcej.

— A więc słucham.

— Czy znasz, książę, pana de Taverney?

— To mój przyjaciel od czterdziestu lat.

— Czy on ma syna?

— Tak, i córkę.

— To na razie wszystko, bo o to „coś” jeszcze będę prosić w innym czasie i w innym miejscu.

— Doskonale.

— A zatem uzgodniliśmy wszystko, czy tak, książę?

— Tak, hrabino.

— Umowa stoi?

— Lepiej jeszcze: zaprzysiężona.

— Potrząśnij więc drzewem.

— Mam na to sposoby.

— Jakie?

— Mojego synowca, jezuitów...

— No, no!

— I taki mały przyjemny plan na wszelki wypadek...

— Można wiedzieć, jaki?

— Niestety, hrabino.

— Tak, tak, pan ma słuszność.

— Pani wie, tajemnica...

— ...to połowa powodzenia, kończę pana myśl.

— Jesteś wspaniała, hrabino!

— Ale ja również chcę potrząsnąć drzewem.

— Świetnie! Potrząśnij, hrabino, nie będzie w tym nic złego.

— I mam swój sposób, zobaczysz, książę, a raczej...

— Co?

— Nie, nie zobaczysz.

I po tych słowach, jakby wracając do siebie, hrabina opuściła nagle fałdy atlasowej spódnicy, którą w dyplomatycznym zapale uniosła na podobieństwo przyływu morza.

Książę, obeznany nieco ze sprawami morza i oswojony z jego kaprysmi, roześmiał się głośno, ucałował ręce hrabiny i odgadł, że jego wizyta dobiegła końca.

— Kiedy pan zacznie obalać drzewo? — zapytała pani Dubarry.

— Jutro. A ty, hrabino, kiedy nim zaczniesz potrząsać? Wtem rozległ się turkot karet dworskich i zaraz potem zabrzmiały okrzyki „Niech żyje król!”

— Ja zacznę natychmiast — powiedziała pani Dubarry patrząc w okno.

— Brawo!
— Wyjdź, księżę, tymi małymi schodkami i czekaj na dziedzińcu. Będziesz miał moją odpowiedź w ciągu godziny.

ROZDZIAŁ LXXVIII. TA NAJGORSZA LUDWIKA XV

Król Ludwik XV nie miał zwyczaju rozmawiać o polityce codziennie. Na dobrą sprawę, polityka srodze go nudziła i kiedy był w złym humorze, odgradzał się od niej trudnym do zbitcia argumentem: „No cóż, machina pociągnie przecież tak długo, jak ja”.

Taki stosunek króla do polityki powodował, że wyjątkowo zachodziły dni, w których dobry humor lub poczucie winy czyniły go ustępliwym. Niestety, zdarzało się to rzadko i zazwyczaj trudno było trafić na moment, kiedy Ludwik XV nie skłaniał się do wykorzystywania swojego ostatecznego argumentu.

Pani Dubarry rozszyfrowała króla na tyle dobrze, że podobnie jak rybacy, którzy znają tajemnice morza, nie próbowała nigdy łowów podczas złej pogody.

Najwięcej atutów dawały hrabinie odwiedziny króla w Luciennes. Jeżeli poprzedniego dnia zawinił, wiadomo było, że nazajutrz nie trudno go będzie przyprzeć do muru.

Jednakże, chociaż zwierzyna, na którą się czatuje, wydaje się łatwowierna, pozostaje jej zawsze instynkt, o którym trzeba pamiętać. Instynkt ten zawodzi, gdy myśliwy umie go zwieść.

Do zapędzenia królewskiej zwierzyny w zastawione sieci hrabina przygotowywała się bardzo starannie.

Jak już wiemy, jej poranny strój był wielce wytworny i zdobił ją jak pasterki na obrazach Bouchera. Ponieważ Ludwik XV nie cierpiał różu, hrabina uróżowała się umiarkowanie i dyskretnie.

Skoro jednak zaanonsowano przybycie króla, pani Dubarry podskoczyła do pudełka z różem i zaczęła szybko różować policzki.

Król już w przedpokoju zauważył to.

— Fe! — rzekł wchodząc. — Złościca, szminkuje się!

— A, dzień dobry, Najjaśniejszy Panie — powitała go hrabina nie przerywając swej czynności, nawet wówczas, kiedy król pocałował ją w szyję.

— Nie oczekiwałaś mnie dzisiaj, hrabino?

— Skąd takie przypuszczenie?

— Ponieważ szpecisz swoją twarz.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie. Byłam pewna, że i ten dzień nie minie dla mnie bez zaszczytu oglądania cię.

— Och, w jaki to sposób mówisz, hrabino!

— W jaki mianowicie?

— Inny... Jesteś poważna, hrabino, jak pan Rousseau, kiedy słucha swojej muzyki.

— Bo rzeczywiście mam coś poważnego powiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

— No tak! Już zaczynasz, hrabino...

— Co zaczynam?

— Wyrzuty...

— O, bynajmniej. A dlaczego tak przypuszczasz, Najjaśniejszy Panie?

— Ponieważ nie byłem wczoraj.

— Och, Najjaśniejszy Panie, chyba oddasz mi tę sprawiedliwość i przyznasz, że nie roszczę pretensji do Waszej Królewskiej Mości.

— Joasiu, zaczynasz się gniewać.

— O, nie, Najjaśniejszy Panie. Ja już jestem zrezygnowana.

— Słuchaj, hrabino, zapewniam cię, że ciągle myślałem o tobie. A wczorajszy wieczór włókł się dla mnie w nieskończoność.

— Ależ powtarzam, Najjaśniejszy Panie, że nie chodzi mi bynajmniej o to. Wasza Królewska Mość spędza wieczory tam, gdzie mu się podoba i to nikogo nic nie powinno obchodzić.

— Spędziłem go w rodzinie, hrabino, w rodzinie.

— Nie informowałam się w tej sprawie.

— Dlaczegoż to?

— Przyczynasz, Najjaśniejszy Panie, że byłoby to z mojej strony niestosowne.

— Ale w takim razie — zawołał król — jeżeli nie masz do mnie urazy, to dlaczego jesteś zagniewana?! Przecież trzeba jakoś być sprawiedliwym na tym świecie.

— Nie mam do ciebie urazy, Najjaśniejszy Panie.

— A jednak jesteś zagniewana.

— Jestem, to prawda.

— Ale za co?

— Za to, że jestem najgorsza.

— Wielki Boże, ty?!

— Tak, ja! Hrabina Dubarry, piękna Joanna, czarująca Joasia, uwodzicielskie Joasiątko, jak mówi Wasza Królewska Mość! Tak, ja jestem ta najgorsza, ta ostatnia.

— Ale w czym?

— W tym, że mam mojego króla i mojego kochanka wtedy, kiedy pan de Choiseul i pani de Grammont już go nie chcą.

— Oj, oj, hrabino...

— Słowo daję! Mówię otwarcie to, co mam na sercu. Słuchaj, Najjaśniejszy Panie, twierdzą, że pani de Grammont często czatowała na ciebie, kiedyś wchodził do sypialni. Ja mam plan wprost przeciwny i będę czatowała przy wyjściu i pierwszy Choiseul albo pierwsza Grammont, skoro tylko nawiną mi się pod rękę... Słowo daję, będą się mieli z pyszna!

— Hrabino, hrabino!

— Cóż chcesz, Najjaśniejszy Panie, jestem kobietą źle wychowaną. Wiesz, że jestem metresą, piękną Burbonką...

— Hrabino, Choiseulowie będą się mścić.

— Cóż mnie to obchodzi! Byleby tylko mścili się za moją zemstę.

— Zmieszają cię z błotem.

— O, na pewno, ale mam świetny sposób i użyję go.

— Jaki? — zapytał król z niepokojem.

— Po prostu wyjadę. Król wzruszył ramionami.

— Nie wierzysz, Najjaśniejszy Panie?

— Dalibóg, nie.

— Bo nie zadajesz sobie trudu zastanowić się. Traktujesz mnie na równi z innymi.

— Jak to?

— A tak. Pani de Châteauroux chciała być boginią, pani de Pompadour królową, inne chciały mieć bogactwo, władzę i sposobność poniżania kobiet na dworze ogromem swoich przywilejów. Ja nie mam żadnej z tych wad.

— To prawda.

— A wiele zalet.

— I to prawda. Nikt nie jest bardziej ode mnie przekonany, ile jesteś warta hrabino.

— Niech i tak będzie. I pamiętaj, że to, co powiem, nie powinno zmienić twojego przekonania.

— Mów.

— Przede wszystkim więc jestem bogata i niczego mi nie brak.

— Czy chcesz, żebym tego żałował, hrabino?

— Następnie: nie mam w sobie ani źdźbła pychy, wynikającej z przewagi, jaką miały tamte panie, nie zabiegałam nigdy o to, czego one pragnęły. Zawsze moim pierwszym przykazaniem było kochać swego kochanka bez względu na to, czy to muszkieter czy król. Od dnia, w którym przestaję kochać, nic mnie nie obchodzi.

— Mam nadzieję, że jeszcze cię trochę obchodzę, hrabino.

— Nie skończyłam, Najjaśniejszy Panie.

— A zatem niech pani mówi dalej.

— Chcę jeszcze powiedzieć, że jestem ładna, że jestem młoda, że mam jeszcze przed sobą dziesięć lat piękności, że będę nie tylko najszcześliwszą, ale i najbardziej szanowaną kobietą na świecie od dnia, w którym przestanę być kochanką Waszej Królewskiej Mości. Uśmiechasz się, Najjaśniejszy Panie. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie zastanawiasz się, co robisz. Kiedy już miałeś ich dosyć, a lud twój aż za wiele, wypędziłeś swoje faworyty drogi mój królu, a lud twój błogosławił cię za to, przeklinając tę, która popadła w niełaskę. Ja nie będę czekać, aż mnie odprawisz. Opuzczę swoje miejsce i podam do wiadomości wszystkich, że je opuściłam. Rozdam sto tysięcy liwrow między ubogich, udam się do klasztoru na rekolekcje, a nim upłynie miesiąc we wszystkich kościołach pojawi się mój portret, jakby odpowiednik konterfektu Magdaleny pokutującej.

— Och, hrabino, nie mówisz tego serio?!

— Spójrz na mnie, Najjaśniejszy Panie, i przekonaj się, czy mówię serio. Przysięgam, że nigdy w życiu nie mówiłam bardziej serio.

— Byłabyś zdolna do takiego postępuku, Joanno? Ech, lepiej skończmy z tym droczeniem się. Dość tych targów!

— Nie, Najjaśniejszy Panie, targi byłyby wtedy, gdybym miała wybrać to albo tamto.

— Gdy tymczasem?

— Gdy tymczasem ja mówię: żegnam cię, Najjaśniejszy Panie — i to wszystko.

Król pobladł z gniewu.

— Zapominasz się, pani. Strzeż się!

— Czego, Najjaśniejszy Panie?

— Pośle cię do Bastylii.

— Mnie?

— Tak, ciebie, hrabino. A w Bastylii jeszcze bardziej nudno niż w klasztorze.

— O, jeżeli mi wyświadcysz tę łaskę, Najjaśniejszy Panie...

— Jaką łaskę?

— Że pošlesz mnie do Bastylii — spełnisz moje życzenie.

— Jak to?

— Moim najskrytszym pragnieniem było zawsze zdobyć popularność, jak pan de la Chalotais albo Wolter. Do tej popularności brakuje mi właśnie Bastylii. Trochę Bastylii i będę najszcześliwszą z kobiet. Da mi to okazję do pisania pamiętników o sobie, o twoich ministrach, o twoich córkach, o tobie samym i przekazać w ten sposób potomności wszystkie cnoty Ludwika Ukochanego. Pisz nakaz, Najjaśniejszy Panie.

To mówiąc hrabina podała królowi pióro i kałamarz, znajdujące się na jednonożnym stoliku.

Brawura hrabiny zdezorientowała króla. Zamyślił się na moment, po czym wstał i rzekł:

— Dobrze. Żegnam panią.

— Konie! — zawołała hrabina. — Żegnaj, Najjaśniejszy Panie.

Król zrobił krok ku drzwiom.

— Chon! — wezwała hrabina siostrę i gdy ta zjawiła się, zadysponowała: — Moje kufry, serwis podróżny i konie pocztowe! Już!

— Konie pocztowe! — zawołała przerażona Chon; — Miły Boże, co się stało?

— To się stało, że jeżeli nie wyjedziemy jak najprędzej, Jego Królewska Mość pošle nas do Bastylii. Nie ma więc czasu do stracenia. Pośpiesz się, Chon!

Słowa te ugodziły króla wprost w serce. Podszedł do hrabiny i ujął jej rękę.

— Przepraszam cię, hrabino, za moją popędliwość.

— A ja się dziwię, że nie zagroziłeś mi, Najjaśniejszy Panie, szubienicą.

— Och, hrabino!

— No tak. Czyż nie wieszają złodziejów?

— Jak to mam rozumieć?

— Czyż nie ukradłam miejsca pani de Grammont?

— Hrabino! Bądź sprawiedliwa. Rozjątrzyłaś mnie...

— A teraz?

Król wyciągnął ku niej rękę.

— Zawiniliśmy oboje, więc wybaczymy sobie wzajemnie.

— Czy szczerze pragniesz zgody, Najjaśniejszy Panie?

— Jak najszczerzej.

— Wyjdź, Chon.

— A co z twoim poleceniem? — spytała siostra pani Dubarry.

— Pozostaje ważne. Każ przygotować wszystko, o czym mówiłam.

— Hrabino...

— I niech wszyscy czekają na dalsze moje polecenia. Chon wyszła.

— A więc chcesz być ze mną? — spytała hrabina. — Ponad wszystko — odparł król.

— Zastanów się dobrze, Najjaśniejszy Panie.

Król zamyślił się. Nie wypadało mu się wycofywać, a w dodatku bardzo chciał się dowiedzieć, jak daleko posunie się hrabina w dyktowaniu warunków zgody.

— Mów... — powiedział.

— Zaraz. Przypominam, Najjaśniejszy Panie, że zdecydowałam się na wyjazd o nic cię nie prosząc.

— Zauważyłem to.

— Ale skoro zostaję, będę o coś prosiła.

— O co? Chodzi o to, żeby wiedzieć o co?

— Ach, wiesz dobrze!

— Nie, nie wiem.

— Owszem, wiesz, bo skrzywiłeś się.

— O odprawę Choiseula?

— Tak właśnie.

— Niemożliwe, hrabino.

— W takim razie, wzywam konie.

— Ależ szalona!...

— Podpisz nakaz uwięzienia mnie w Bastylji albo dymisja ministra.

— Jest jeszcze inne wyjście — zauważył król.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie. Jak mi się zdaje, nic nie stoi na przeszkodzie, abym wyjechała.

— Hrabino, jesteś kobietą...

— Na szczęście.

— I w sprawach polityki kierujesz się uporem i gniewem. Nie mam powodu, aby odprawić pana de Choiseul.

— Rozumiem: bożyszczce twojego parlamentu, ten, który go podtrzymuje w buntowniczych nastrojach.

— Ależ, trzeba by pretekstu...

— Pretekst jest racją słabego.

— Hrabino, de Choiseul jest człowiekiem szlachetnym, a tacy ludzie są rzadcy.

— Najjaśniejszy Panie, ten szlachetny człowiek sprzedaje cię wysokim urzędnikom, którzy rozkradają całe złoto twego królestwa.

— Nie przesadzaj, hrabino.

— A więc nie całe, ale połowę.

— Boże! — zawołał Ludwik XV z gniewem.

— Jaka ja jestem głupia! — krzyknęła hrabina. Cóż mnie właściwie obchodzi parlament, rząd Choiseulowie? Cóż mnie obchodzi sam król, u którego jestem ostatnia?

— Znowu to!

— Znowu!

— A więc daj mi, hrabino, dwie godziny do namysłu.

— Dziesięć minut. Wracam do swego pokoju i czekam na odpowiedź. Tu jest pióro i papier. Napisz odpowiedź na kartce i wsuń ją pod drzwi. Jeżeli w ciągu dziesięciu minut nie otrzymam odpowiedzi, albo otrzymam nie taką, jakiej chcę, żegnaj, Najjaśniejszy Panie i przestań o mnie myśleć. Jeżeli zaś...

— Jeżeli zaś?

— ...wtedy otworzysz zasuwkę i wejdiesz.

Aby utrzymać powagę król pochylił głowę i ucałował ręką hrabiny, która obdarzyła go prowokującym spojrzeniem.

Król pozwolił jej odejść i hrabina zamknęła się w przyległym pokoju.

W pięć minut później złożona we czworo kartka papieru prześliznęła się pod jedwabną listwą drzwi.

Hrabina przeczytała szybko odpowiedź, napisała kilka słów do pana de Richelieu i rzuciła mu kartkę.

Marszałek, który czekał niecierpliwie i w obawie, aby go kto nie dostrzegł, rozwinął kartkę, przeczytał i mimo siedemdziesięciu pięciu lat puścił się biegiem w stronę oczekującej go na dziedzińcu karety.

— Stangret! — zawołał. — Do Wersalu, piorunem! Wiadomość skreślona przez hrabinę na kartce brzmiała:

„Potrzaśnęłam drzewem, spadła teka ministra”.

ROZDZIAŁ LXXIX. JAK LUDWIK XV PRACOWAŁ ZE SWOIM MINISTREM

Następnego dnia panowało w Wersalu wielkie poruszenie. Ludzie spotykali się ściskając sobie znacząco ręce z wiele mówiącymi gestami lub mijali się ze skrzyżowanymi rękami, spoglądając w niebo na znak niepewności i zaskoczenia.

Pan de Richelieu wraz z liczną grupą swoich stronników przebywał od godziny dziesiątej w przedpokoju w Trianom.

Wicehrabia Jan, w pełnej gali i blasku, rozmawiał ze starym marszałkiem wesoło, jeśli wierzyć jego pogodnej twarzy.

Około godziny jedenastej król udał się do swojego gabinetu. Przeszedł szybko przez przedpokój nie odezawszy się do nikogo.

Pięć minut po jedenastej wysiadł z powozu pan de Choiseul i przemknął przez galerię z teczką pod pachą.

Jego pojawienie się poruszyło zgromadzonych w przedpokoju. Wszyscy odwrócili się, niby rozmawiając z sobą, ażeby nie ukłonić się ministrowi.

Książę nie zwrócił na to uwagi. Wszedł do gabinetu, w którym król wertował papiery popijając czekoladę.

— Dzień dobry, książę — powiedział król uprzejmie. — Jak się pan miewa?

— Najjaśniejszy Panie, Choiseul miewa się dobrze, ale minister jest bardzo chory i przychodzi prosić Waszą Królewską Mość o dymisję. Dziękuję królowi, że pozwolił mi na inicjatywę w tej sprawie. Jest to ostatnia łaska, za którą jestem bardzo wdzięczny.

— Jak to, dymisja? Co to znaczy, książę?

— Wasza Królewska Mość raczył podpisać wczoraj i oddać w ręce pani Dubarry nakaz o usunięciu mnie z urzędu. Wiadomość o tym rozeszła się po całym Paryżu i Wersalu. Stało się źle, jednakże nie chciałem porzucać służby bez wyraźnego nakazu Waszej Królewskiej Mości. Mianowany oficjalnie, mogę się uważać za dymisjonowanego jedynie na podstawie oficjalnego aktu.

— Jak to? — zawołał król śmiejąc się, ponieważ surowa i pełna godności postawa ministra rozśmieszyła go, ale i wzbudziła lekką obawę. — Więc ty, książę, człowiek rozumny i formalista, uwierzyłeś temu wszystkiemu?

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, podpisałeś przecież...

— Co takiego?

— List, który jest w posiadaniu pani Dubarry.

— Ach, książę, czy pan nigdy nie odczuwał potrzeby pokoju i zgody? Pan jest bardzo szczęśliwy, o czym świadczy pani de Choiseul...

Urażony minister zmarszczył brwi.

— Wasza Królewska Mość — rzekł — ma zbyt silny charakter i zbyt szczęśliwe usposobienie, aby mieszać do spraw państwowych to, co nazywa się sprawami domowymi

— Muszę ci, książę, powiedzieć coś bardzo zabawnego: czy ty wiesz, że się ciebie boją?

— Raczej nienawidzą, Najjaśniejszy Panie.

— Jak wolisz. No więc ta trzpiotka hrabina dała mi do wyboru: albo odesłać ją do Bastylii, albo podziękować ci za służbę.

— I co, Najjaśniejszy Panie?

— No i, przyznasz książę, że byłoby niepowetowaną szkodą stracić widok, jaki dzisiejszego dnia przedstawia Wersal. Od wczoraj mam uciechę obserwując liczne sztafety po ulicach i widząc, jak się wydłużają i kurczą twarze ludzi. Jakże to zabawne!

— A jakie będzie zakończenie, Najjaśniejszy Panie?

— Zakończenie, mój drogi książę, będzie takie, jak zwykle — rzekł Ludwik XV przybierając minę serio. — Znasz mnie i wiesz, że zachowuję się, jakbym ulegał, ale nie ulegam nigdy. Zgódź się, aby kobiety miały te swoje ciastka miodowe, które im rzucam od czasu do czasu jak Cerberowi, ale my żyjemy sobie spokojnie, niewzruszenie i zawsze razem. I skoro już wyjaśniamy wszystko, to wiedz, książę, i zachowaj to dla siebie, że jakiegokolwiek rozchodziłyby się pogłoski, jakiegokolwiek odebrałbyś ode mnie list... niech cię to nie zmyli i przybywaj zaraz do Wersalu. Dopóki ci, książę, będę mówić to, co mówię, będziemy dobrymi przyjaciółmi.

I król podał rękę ministrowi, ten zaś pochylił się ku niej bez wdzięczności, ale i bez urazy.

— A teraz do roboty, drogi książę.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości — odparł de Choiseul otwierając teczkę.

— Na początek chciałbym usłyszeć kilka słów o sztucznych ogniach.

— To było wielkie nieszczęście, Najjaśniejszy Panie.

— Z czego powodu?

— Burmistrza, pana Bignon.

— Czy lud bardzo hałasował? — O, bardzo!

— Może by więc złożyć tego pana Bignon z urzędu?

— Parlament już się tym zajął, może dlatego, że jeden z jego członków omal nie został zaduszony w tłumie. Ale prokurator generalny Ségnier przekonał wszystkich, w krasomówczym przemówieniu, że to nieszczęście było dziełem fatalności. Wystąpienie to przyjęto oklaskami i sprawę należy uważać za zakończoną.

— Tym lepiej. Przejdźmy teraz do parlamentu, książę... Jakże tam mają do nas żale?

— Zarzucają mi, Najjaśniejszy Panie, że nie popieram pana d'Aiguillon przeciwko panu de la Chalotais, ale kto mi to zarzuca? Przyznaj, Najjaśniejszy Panie, że to pan d'Aiguillon przekroczył swoje pełnomocnictwo w Bretanii, że jezuici rzeczywiście byli wygnani i że pan de la Chalotais miał słuszną, skoro nawet Wasza Królewska Mość uznała publicznie jego niewinność. Niepodobna tego odwołać samemu królowi! Wobec swego ministra tak, ale wobec ludu nie!

— Tymczasem parlament czuje się silny.

— Istotnie, czuje się silny. Strofuje go, prześladują i w rezultacie uznają jego rację. Nie obwinałem pana d'Aiguillon o to, że rozpoczął sprawę la Chalotais, ale nigdy mu nie przebaczę, że nie miał słuszości.

— Książę, książę, dajmy temu spokój! Stało się źle, szukajmy więc środków zaradczych. Jak poskromić tych zuchwalców?

— Niech ustaną intrygi kanclerza, niech pan d'Aiguillon zostanie pozbawiony pomocy, a gniew parlamentu zgaśnie.

— Ależ musiałbym im ustąpić!

— Czyżby więc Waszą Królewską Mość reprezentował pan d'Aiguillon... a nie ja?

Argument był nie do odparcia i król to pojął.

— Wiesz, książę, że nie lubię zrażać do siebie moich sług, nawet kiedy zbłądzą — rzekł. — Ale dajmy pokój tej sprawie, która mnie martwi, której jednak czas odda sprawiedliwość... Przejdźmy może do spraw zagranicznych... Mówi się, że czeka nas wojna?

— Najjaśniejszy Panie, jeżeli będzie wojna, to konieczna i sprawiedliwa.

— Do licha! Z Anglikami?

— Czy Wasza Królewska Mość obawia się ich? — Och, na morzu...

— Bądź spokojny, Najjaśniejszy Panie. Książę de Praslin, mój krewny a twój minister marynarki twierdzi, że ma 64 okręty nie licząc dalszych w budowie i materiałów na zbudowanie dwunastu okrętów w ciągu roku. Wreszcie mamy pięćdziesiąt fregat bojowych, co oznacza naszą wielką siłę na wypadek wojny morskiej. Co do wojny lądowej, to mamy jeszcze coś lepszego, bo Fontenoy.

— No dobrze, ale po cóż miałbym się bić z Anglikami? Ich rząd daleko mniej okrutny od twojego, książę, a rząd księcia Dubois zawsze unikał wojny z Anglikami.

— Wierzę w to całkowicie, Najjaśniejszy Panie. Książę Dubois pobierał miesięcznie sześćset tysięcy liwrow od Anglików.

— Och, książę!

— Mam na to dowody.

— Niech i tak będzie. Ale gdzie pan upatruje powody do wojny?

— Anglia chce całych Indii. Musiałem wydać oficerom bardzo surowe rozkazy... Pierwsze nieporozumienie da powód do skarg ze strony Anglii i według mojego zdania nie należy ich uwzględnić. Trzeba, żeby rząd Waszej Królewskiej Mości był szanowany dlatego, że jest silny, jak był szanowany dzięki przekupstwu.

— Ech, bądźmy cierpliwi. Któż wiedzieć będzie o tym, co się dzieje w Indiach? To tak daleko!

Książę przygryzł wargi. — Jest jeszcze casus belli bardziej konkretny — rzekł.

— Jeszcze? Co takiego?

— Hiszpanie roszczą sobie prawa do wysp Falklandzkich... Anglicy zajęli samowolnie port Egmont i Hiszpanie wygnali ich stamtąd siłą. Anglia wścieka się, grozi Hiszpanom, że nie zawaha się przed użyciem ostrych środków odwetu, jeżeli nie otrzyma zadośćuczynienia.

— No więc, jeżeli Hiszpanie zawinili, niech się sami starają wyjaśnić sprawę.

— Najjaśniejszy Panie, a układ rodzinny? Przecież Wasza Królewska Mość chciał podpisać ten układ, zobowiązujący wszystkich Burbonów w Europie przeciwko ekspansji Anglii.

Król spuścił głowę.

— Ale niech się Wasza Królewska Mość nie martwi — ciągnął dalej minister. — Mamy potężną armię, świetną flotę, pieniądze. Umiem je znaleźć bez krzyku ludności. Jeżeli wybuchnie wojna, przyniesie ona chwałę panowaniu Waszej Królewskiej Mości. Myślę, że pozwoli nam ona także rozszerzyć granice, do czego znajdzie się odpowiedni pretekst.

— W takim razie starajmy się zachować pokój wewnętrzny. Nie prowadźmy wojny wszędzie.

— Ależ wewnątrz kraju jest spokojnie, Najjaśniejszy Panie — powiedział de Choiseul udając, że nie zrozumiał intencji króla.

— Nie, widzi pan dobrze, że nie. Jesteś, książę, przywiązany do mnie i pracujesz dla mnie rzetelnie. Są jednak jeszcze inni, którzy również okazują mi wierność, ale ich postępowanie różni się od twojego. Pogódźmy te obydwa systemy. No, drogi książę, pozwól, żebym był szczęśliwy.

— Nie ode mnie będzie zależało, jeżeli twoje szczęście, Najjaśniejszy Panie, nie stanie się zupełne.

— Oto odpowiedź! A więc niech pan przyjdzie dziś do mnie na obiad.

— Do Wersalu, Najjaśniejszy Panie? — Nie, do Luciennes.

— O, bardzo żałuję, Najjaśniejszy Panie, ale moja rodzina jest zaniepokojona wczorajszymi pogłoskami. Przypuszczają, że popadłem w niełaskę. Nie mogę pozostawiać ich w niepewności.

— A ci, o których ja mówię, czy nie są niespokojni? Przypomnij sobie, książę, jak nam się żyło szczęśliwie we trójkę w zamku biednej markizy.

Książę spuścił głowę, przymknął oczy i z jego piersi wydobyło się na pół tłumione westchnienie.

— Pani de Pompadour była bardzo zazdrosna o sławę Waszej Królewskiej Mości — rzekł. — Jej idee polityczne były wysokiej rangi. Przyznaję, że jej umysł i mój charakter współdziałały ze sobą. Często rzucałem się w przedsięwzięcia, które ona inicjowała. Tak, rozumieliśmy się ze sobą...

— Ale mieszała się do spraw politycznych i wszyscy jej to zarzucali.

— To prawda.

— Ta zaś, przeciwnie: jest łagodna jak owieczka, nie zażądała jeszcze ani jednego nakazu uwięzienia, nawet wówczas, kiedy chodziło o autorów piosenek i paszkwilów. Zarzuca się jej to, co u

tamtej było okazją do pochwał. Ale to nie sprzyja poprawie sytuacji... Czy wobec tego przyjdzie pan zawrzeć pokój w Luciennes?

— Najjaśniejszy Panie, racz zapewnić panią hrabinę, że uważam ją za kobietę czarującą i godną miłości króla, ale...

— Ach, więc jest i ale...

— Ale przekonany jestem — mówił dalej minister — że jeżeli Wasza Królewska Mość jest dla Francji niezbędny, to dobry minister potrzebny jest Waszej Królewskiej Mości bardziej niż piękna kochanka.

— Nie mówmy już o tym, książę, i pozostajmy dobrymi przyjaciółmi. Ułagódź jednak panią de Grammont, niech nie intruguje więcej przeciwko hrabinie. Kobiety mogą nas pokłócić.

— Najjaśniejszy Panie, pani de Grammont za bardzo chce się przypodobać Waszej Królewskiej Mości. To jest jej przewinienie.

— Nie podoba mi się, że szkodzi hrabinie.

— Pani de Grammont wyjeżdża. Będzie o jednego wroga mniej.

— Ja nie tak to pojmuję, pan idzie za daleko. Ale... boli mnie już głowa. Pracowaliśmy tego ranka jak Ludwik XIV i Colbert, byliśmy — jak mówią filozofowie — godni „wielkiego wieku”. Ale a propos, czy ty książę jesteś filozofem?

— Jestem sługą Waszej Królewskiej Mości — odparł Choiseul.

— Pan jest nieoceniony, książę. Podaj mi rękę. Czuję się jak odurzony.

Książę podał rękę królowi skwapliwie. Wiedział, że za chwilę otworzą się drzwi i że cały dwór zobaczy go w olśniewającej zgoła sytuacji. Ucierpiawszy немало, miał teraz przyczynić się do cierpień swoich wrogów.

Odźwierny otworzył drzwi i oznajmił, że król idzie.

Ludwik XV, ciągle rozmawiając z ministrem i uśmiechając się, przeszedł wsparty na jego ręce. Nie widział lub nie chciał widzieć jak bardzo blady był Jan Dubarry i jak czerwony Richelieu.

Ale de Choiseul widział doskonale tę różnicę. Szedł prosto, z wyciągniętą szyją i błyszczącymi oczami mijając dworzan, którzy starali się podejść jak najbliżej i o tyle bliżej, o ile przed rozmową ministra z królem, odsuwali się od de Choiseula.

— Tutaj, książę, zaczekaj — rzekł król na końcu galerii. — Biorę pana ze sobą do Trianon. Proszę pamiętać o wszystkim, co powiedziałem.

— Zachowałem to w swoim sercu, Najjaśniejszy Panie — odparł minister, wiedząc doskonale, że ten zaakcentowany frazes przeszyje na wskroś jego nieprzyjaciół.

Król wszedł do swoich apartamentów.

Richelieu wystąpił z szeregu i ucisnął wychudłymi dłońmi rękę ministra.

— Od dawna utrzymuję, że de Choiseul ma duszę rogatą — rzekł.

— Dziękuję — odpowiedział książę, zdając sobie sprawę, co oznaczają słowa marszałka.

— Ale ta absurda pogłoska... — mówił dalej Richelieu.

— Jego Królewska Mość smucił się bardzo z powodu tej pogłoski — wyjaśnił książę.

— Mówiono o jakimś liście...

— To żart króla — odpowiedział de Choiseul spojrzawszy na wicehrabiego Jana, który stracił kontenans.

— Wspaniały! — dodał od siebie marszałek i odwrócił się w stronę wicehrabiego, kiedy tylko minister oddalił się na wezwanie króla.

— No i co, zadrwiono z nas! — rzekł marszałek do Jana.

— Dokąd oni jadą?

— Do Petit Trianon, wyśmiewać się z nas.

— Do tysiąca piorunów! — zaklął półgłosem wicehrabia.

— Teraz na mnie kolej — oświadczył Richelieu. — Przekonamy się, czy mój sposób będzie skuteczniejszy niż hrabiny.

ROZDZIAŁ LXXX PETIT TRIANON

Kiedy Ludwik XIV zbudował Wersal i kiedy poznał ujemne stromy wielkości, skoro ujrzał te ogromne salony pełne straży, te przedpokoje pełne dworzan, te korytarze i antresole pełne lokajów, paziów i domowników, powiedział sobie, że Wersal jest tym, czym on — król — chciał, żeby był tym czym Mansard, Le Brun i Le Nôtre uczynili go, czyli przybytkiem bóstwa, nie zaś mieszkaniem człowieka.

Wtedy wielki król, który w wolnych od pracy chwilach był zwykłym człowiekiem, kazał zbudować Trianon, jako swą prywatną rezydencję. Ale miecz Achillesa, który tegoż Achillesa znużył, musiał się stać nieznośnym ciężarem dla mirmidońskiego następcy.

Trianon, ten Wersal w miniaturze, wydał się jeszcze zbyt okazały Ludwikowi XV, który kazał architektowi Gabriel zbudować drugi, mały Trianon,

Na lewo od pałacyku wzniesiono długi, czworoboczny budynek bez określonego charakteru i bez ozdób. Znajdowało się tu dziesięć mieszkań dla gości oraz pomieszczenia dla służby.

Ten jednopiętrowy budynek, który oglądać jeszcze można dzisiaj w stanie nienaruszonym, zabezpieczony był fosą. Wszystkie okna na parterze i na piętrze opatrzone były kratami. Patrząc od strony Trianon widziało się, że okna te oświetlały długi korytarz podobny do korytarza klasztorowego.

Z korytarza wchodziło się do mieszkań, składających się z przedpokoju, dwóch gabinetów i dwóch pokojów, których okna wychodziły na wewnętrzne podwórze. Kuchnie znajdowały się na dole, a mieszkania dla służby na poddaszu.

Tak wyglądał Petit Trianon.

Dodajmy do tego kaplicę oddaloną dwadzieścia sążni od zamku, którego nie ma potrzeby opisywać, ponieważ był to zameczek jednorodzinny, jak byśmy dziś powiedzieli.

Z dużego Trianon, reprezentacyjnej siedziby Ludwika XV, przechodziło się do Petit Trianon przez ogród warzywny, który łączył obie rezydencje drewnianym mostem.

Przez ten ogród, projektowany przez La Quintinie, Ludwik XV prowadził pana de Choiseul do Petit Trianon. Po pracowitym posiedzeniu, które zostało opowiedziane, król chciał pokazać ministrowi ulepszenia, jakie wprowadził w nowym miejscu zamieszkania delfina i jego małżonki.

De Choiseul podziwiał wszystko i komentował ze zręcznością dworaka. Słuchał, jak król dowodził, że Petit Trianon staje się z każdym dniem piękniejszy, i dodawał od siebie, że jest to dla króla prawdziwy dom rodzinny.

— Małżonka delfina — mówił król — jest jak wszystkie młode Niemki jeszcze trochę dzika. Zna dobrze język francuski, ale obawia się lekkiego akcentu, który zdradza Francuzom jej pochodzenie. W Trianon słuchać będzie tylko przyjaciół i mówić wtedy, kiedy jej przyjdzie na to ochota.

— Wynika stąd, że będzie mówiła dobrze — rzekł de Choiseul. — Zauważyłem już, że Jej Wysokość jest istotą na tyle doskonałą, iż nie potrzebuje się doskonalić.

Po drodze spotkali delfina, który zainstalował się na trawniku i mierzył odległość do słońca.

De Choiseul uklonił się nisko, ale nie powiedział nic, ponieważ delfin nie odezwał się do niego.

— Ludwik jest uczonym — powiedział król wystarczająco głośno, aby go wnuk usłyszał — i źle robi, że sobie łamie głowę nauką. Jego żona będzie z tego powodu cierpieć.

— Bynajmniej — rozległ się głos kobiecy, dobiegający spoza krzewu i za chwilę do króla podeszła Maria Antonina.

— Najjaśniejszy Panie, oto pan Mique, mój architekt — powiedziała wskazując stojącego za nią mężczyznę, obładowanego papierami, cyrkłami i ołówkami.

— Ach, więc i ty, księżno, cierpisz na tę chorobę!

— Najjaśniejszy Panie, to choroba rodzinna.

— Co zamierzasz budować?

— Chcę zagospodarować ten wielki park, w którym wszyscy się nudzą.

— Mówiłaś to zbyt głośno, moja córko i delfin mógł słyszeć.

— To już, ojczy, sprawa uzgodniona między nami.

— Żeby się nudzić?

— Nie, żeby szukać rozrywki.

— I co Wasza Wysokość chce budować? — spytał de Choiseul.

— Chcę zrobić z tego parku ogród, mości księżę.

— Ach, biedny Le Nôtre! — rzekł król.

— Le Nôtre był wielkim człowiekiem w swoim czasie, ale ja lubię... naturę.

— O, to zupełnie, jak filozofowie!

— Albo jak Anglicy.

— Wspaniale! Powiedz to Choiseulowi, a spowodujesz wypowiedzenie wojny. Wyśle przeciwko tobie sześćdziesiąt cztery okręty i czterdzieści fregat pana de Praslin, swojego kuzyna.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała Maria Antonina — każę opracować plan ogrodu naturalnego panu Robert, najlepszemu specjaliście w tym zakresie.

— Cóż to jest ogród naturalny? Sądziłem, że drzewa, kwiaty i owoce, które zerwałem przechodząc, są czymś naturalnym.

— Najjaśniejszy Panie, przechadzałbyś się sto lat i zawsze oglądałbyś proste aleje, przycięte krzewy różane albo sadzawki obramowane trawnikami, rozmieszczonymi zgodnie z perspektywą lub wzdłuż alejek, wysadzanych drzewami.

— Czy to coś brzydkiego?

— To nie jest naturalne.

— Oto młoda dziewczyna, która kocha naturę! — rzekł król raczej jowialnie niż wesoło. — Ciekawe, co zrobisz z moim Trianon?

— Rzeczki, kaskady, mosty, grotty, skały, lasy, wąwozy, łąki.

— Dla lalek? — spytał król.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, dla królów takich, jakimi będziemy — odpowiedziała Maria Antonina., nie zauważywszy rumieńca na twarzy dziadka i nie orientując się, że przepowiada sobie ponurą przyszłość.

— A więc będziesz wszystko wywracać. A co zbudujesz?. — Ja zatrzymam to, co jest.

— Ach, szczęście jeszcze, że w tych lasach i tych rzekach nie każesz mieszkać swoim ludziom, jak Huronom czy Eskimosom. Prowadziliby tu życie naturalne i pan Rousseau nazwałby ich dziećmi natury... Zrób to, córko, a encyklopedyści będą cię adorować.

— Najjaśniejszy Panie, w takich mieszkaniach byłoby moim ludziom za zimno.

— Gdzież więc ich pomieścisz, przecież nie w pałacu? Tam jest tyle miejsca, że wystarczy zaledwie dla was dwojga.

— Najjaśniejszy Panie, zachowuję ten budynek taki, jaki jest — odparła Maria Antonina, wskazując okna długiego korytarza, o którym już była mowa.

— Kogo tam widać? — spytał król przykładając rękę do czoła.

— To panna de Taverney — zauważył de Choiseul, który miał bystry wzrok.

— Ach, więc masz tutaj Taverneyów? — spytał król.

— Tylko pannę de Taverney.

— Ładna dziewczyna. Do czego ją przeznaczasz?

— Będzie moją lektorką.

— Bardzo dobrze — rzekł król, nie spuszczać oka z okratowanego okna, w którym stała Andrea, blada jeszcze po chorobie i nie domyślająca się, że jest przedmiotem obserwacji.

— Jakaż ona blada! — powiedział de Choissul.

— Omal jej nie zaduszono 31 maja.

— Doprawdy? Biedna dziewczyna! — rzekł król. — Ten pan Bignon zasłużył na niełaskę.

— Czy już powróciła do zdrowia? — spytał szybko minister.

— Tak, chwała Bogu.

— O, chowa się! — zauważył król.

— Poznała Waszą Królewską Mość i jest bojaźliwa.

— Czy dawno jest tutaj?

— Od wczoraj, Najjaśniejszy Panie.

— Smutne mieszkanie dla młodej dziewczyny — stwierdził Ludwik XV. — Ten cymbał Gabriel nie wziął pod uwagę, że drzewa zasłonią budynek i że zasłonią dostęp światłu.

— Ale zaręczam, Najjaśniejszy Panie, że mieszkanie ma wygodne.

— To niemożliwe.

— Może Wasza Królewska Mość raczy się przekonać — zaproponowała Maria Antonina, chcąc za wszelką cenę przyjąć króla u siebie.

— Dobrze. Pójdzie pan, ministrze?

— Najjaśniejszy Panie, druga godzina. Mam posiedzenie za pół godziny i muszę wracać do Wersalu.

— No to idź, księżę, idź! A ty, księżno, pokaż mi swoje mieszkanie. Przepadam za życiem rodzinnym.

— Niech pan idzie z nami — powiedziała Maria Antonina do architekta. — Będzie pan miał okazję usłyszeć zdanie Jego Królewskiej Mości, który tak dobrze zna się na wszystkim.

Weszli na mały ganek, prowadzący do kaplicy, pozostawiając z boku przejście na dziedziniec. Do kaplicy wchodziło się drzwiami po lewej stronie, po prawej proste i zwyczajne schody prowadziły na korytarz.

— Kto tutaj mieszka? — zapytał król. — Jeszcze nikt.

— Tutaj jest w drzwiach klucz.

— Ach, prawda! Panna de Taverney wprowadza się dzisiaj.

— Nie wchodźmy tam więc. Pokaż mi jedno z twoich mieszkań.

Małżonka delfina wprowadziła króla do pokoju, który poprzedzały przedpokój i dwa gabinety.

Uwagę króla zwróciły ustawione już meble, klawesyn i książki, a przede wszystkim ogromny bukiet najpiękniejszych kwiatów w japońskim wazonie.

— Jakie śliczne kwiaty! — rzekł król. — A ty chcesz wprowadzać nowe porządki w ogrodzie. Kto dostarcza twoim ludziom takich kwiatów?

— Ogrodnik...

— Troszczy się o pannę de Taverney... Kto to jest?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie. Pan Jussieu podjął się dostarczać mi kwiaty.

Król obrzucił jeszcze spojrzeniem mieszkanie, wyjrzał na dziedziniec i opuścił siedzibę małżonki delfina.

Przez park powrócił do dużego Trianon. Tam oczekiwały go powozy, którymi miał się udać na polowanie o trzeciej po południu.

Delfin ciągle jeszcze zajęty był pomiarami słońca.

ROZDZIAŁ LXXXI. SPISEK ZAWIAZUJE SIĘ NA NOWO

W czasie, kiedy król przechadzał się w Trianon z ministrem, w Luciennes zgromadzili się spiskowcy, którzy zlecieli się do pani Dubarry, jak ptaki wystraszone strzałem myśliwego.

Pierwsi przybyli Jan i marszałek, obydwaj w kiepskich humorach.

Inni, którzy wiele sobie obiecywali po niełasce, jaka miała spotkać ministra, a których zatrwożyło przywrócenie go do łask, wracali do Luciennes, żeby przypatrzeć się, czy drzewo stoi jeszcze dość mocno, by można się było go trzymać jak dawniej.

Pani Dubarry, zmęczona dyplomatycznymi zabiegami i złudnym triumfem, odpoczywała, kiedy powóz marszałka zajechał z hukiem i szybkością huraganu.

— Pani Dubarry śpi — oznajmił leniwie Zamora.

Jan pchnął Murzynka na kobierzec i kopnął go. Zamora podniósł przeraźliwy wrzask, który zwabił Chan.

— Znowu bijesz tego malca, brutalu! — zawołała.

— I ciebie jestem gotów bić — odparł Jan z iskrzącymi oczami — jeżeli natychmiast nie obudzisz hrabiny.

Ale nie trzeba było budzić hrabiny. Po krzyku Murzyna i po dudniącym głosie Jana poznała, że zdarzyło się nieszczęście. Przybiegła otulona w peniuar.

— Co się stało! — zapytała przerażona widząc, że Jan rzucił się na sofę, aby ochłoniąć z gniewu, i że marszałek nawet nie pocałował jej w rękę.

— A stało się, stało! — krzyknął wicehrabia. — Do diabła, jak zwykle Choiseul!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pan Dubarry ma słuszość — odezwał się Richelieu. Hrabina wydobyła ukryty na piersi liścik od króla.

— A to co? — rzekła z uśmiechem.

— Czy dobrze przeczytałaś, hrabino? — spytał marszałek.

— Przecież umiem czytać.

— Nie wątpię. Czy pozwoli mi pani przeczytać?

— Proszę bardzo.

— Książkę wziął bilecik, rozwinął i przeczytał:

— „Jutro podziękuję panu de Choiseul za jego służbę. Zobowiązuję się do tego solennie. Ludwik”.

— Czy to jest wyraźnie napisane? — spytała hrabina.

— Najwyraźniej — odparł marszałek krzywiąc się.

— No więc jutro odniesiemy zwycięstwo. Jeszcze nic straconego — rzekła hrabina.

— Jak to jutro! Król to pisał wczoraj, a więc jutro jest dziś — wtrącił gniewnie wicehrabia,

— Przepraszam — przerwał Richelieu. — Ponieważ nie ma tu daty, upadek ministra może nastąpić zawsze jutro. Jest przy ulicy Crange-Bateliere blisko mnie szynk, który ma na szyldzie hasło: „Tu od jutra udziela się kredytu”. Jutro znaczy nigdy.

— Król zdrwił z nas! — zawołał Jan z furją.

— To niemożliwe! — szepnęła hrabina wstrząśnięta. — Taki podstęp jest niegodny...

— Ach, hrabino, król jest krotochwilny — westchnął Richelieu.

— Zapłaci mi za to! — syknęła pani Dubarry gniewnie.

— Mimo wszystko nie należy się złościć na króla, ani obwiniać go o podstęp czy zdradę. Król dotrzymał słowa.

— Obiecał podziękować Choiseulowi! — krzyknęła hrabina.

— No właśnie. Słyszałem na własne uszy, jak dziękował księciu za jego służbę. Słowo może mieć dwojakie znaczenie, a w dyplomacji każdy bierze to, które mu bardziej odpowiada. Ty, hrabino, wybrałaś swoje, i król wybrał swoje. W ten sposób „jutro” nie jest nawet przedmiotem sporu.

— Nie pora teraz na żarty, książę.

— To nie żarty, hrabino. Zapytaj Jana.

— Na Boga, przestańmy żartować! — huknął Jan. Dziś rano król ścisnął i fetował Choiseula, a teraz przechadza się z nim pod rękę w Trianon.

— Pod rękę! — powtórzyła Chon, która wśliznęła się do gabinetu, wznosząc do góry ręce na znak rozpaczliwego zdziwienia.

— Tak, zabawiono się naszym kosztem! — powiedziała hrabina. — No, ale zobaczmy... Chon, powiedz, żeby nie zaprzęgali powozu. Nie jadę na polowanie.

— Doskonale! — pochwalił ją Jan.

— Tylko, proszę, bez pośpiechu i gniewu! — zawołał marszałek. — Przepraszam, że osmielam się radzić, hrabino...

— Bez ceremonii, książę. Zdaje mi się, że tracę głowę. Widzisz co się dzieje... Mów więc.

— W obecnej sytuacji dąsy oznaczają brak rozsądku. Sprawa jest trudna. Jeżeli król trzyma się Choiseulów, jeżeli ulega wpływowi małżonki delfina i otwarcie występuje przeciwko pani, to znaczy, że trzeba, abyś się, hrabino, postarała być jeszcze bardziej godna miłości. Wiem, że to niepodobieństwo, ale w końcu niepodobieństwo to staje się w naszym położeniu koniecznością. Postaraj się więc, hrabino, osiągnąć to, co niemożliwe.

Hrabina zamyśliła się.

— Bo może się skończyć tym, że król upodoba sobie obyczaje niemieckie — ciągnął dalej książę.

— Jeżeli zechce pozostać cnotliwym! — wybuchnął Jan.

— Kto wie, każda nowość jest powabna.

— Och, w to już nie uwierzę — rzekła hrabina niepewnie.

— Zdarzały się rzeczy jeszcze bardziej niezwykłe. Pozwolę sobie też przypomnieć przysłowie o diable, który został pustelnikiem... Wynika z tego, że nie należy się dąsać.

— Ależ ja się duszę ze złości!

— Wierzę, ale niech król i Choiseul tego nie widzą. Duś się, hrabino, ze złości wobec nas, a przy nich oddychaj normalnie.

— A czy mam jechać na polowanie?

— Byłoby to posunięcie nader zręczne.

— A ty, książę?

— Ja, choćby na czworakach, pójdę.

— A więc w moim powozie! — zawołała hrabina, ciekawa, jak na to zareaguje sprzymierzeniec.

— Hrabino, to zbyt wielki zaszczyt... — zaczął książę przymilnie, ukrywając niezadowolenie.

— ...że wolisz się go zrzec, czy tak? — Ja? Broń Boże!

— Uważaj, książę, skompromitujesz się! — Nie chcę się skompromitować.

— Przyznał się! Miał czelność przyznać się! — zawołała pani Dubarry.

— Hrabino! To by mnie poróżniło z małżonką delfina.

— A więc jest pan z ministrem w dobrej komitywie?

— Hrabino! Pan de Choiseul nigdy by mi nie przebaczył!

— Może pan woli walczyć osobno, bez dzielenia się rezultatami walki? Jest jeszcze czas to uzgodnić. Nie skompromitowałeś się, książę, i możesz się jeszcze wycofać.

— Nie znasz mnie, hrabino — rzekł Richelieu całując panią Dubarry w rękę. — Czy widziałaś u mnie wahanie w dniu twojej prezentacji, kiedy chodziło o wyszukanie sukni, fryzjera, powozu? Nie, nie będę się wahał i teraz. Jestem bardziej odważny, niż to się wydaje.

— A więc sprawa załatwiona. Pojedziemy na polowanie razem i to mnie wytłumaczy, że nikogo nie będę widzieć, ani słyszeć i z nikim nie będę rozmawiać.

— Nawet z królem?

— Przeciwnie, chcę mu powiedzieć coś tak miłego, że go doprowadzę do rozpacz. — Brawo! To się nazywa walka!

— No, a ty, Janie, co zrobisz? Wyjdźże z tych poduszek!

— Hm... Ja myślę, że o tej właśnie godzinie wszyscy pieśniarze miasta i okolicy obrabiają nas na wszystkie sposoby. Że „Nouvelles a la main” krają nas jak pasztet, że „Gazetier cuirasse” celuje w naszą stronę, że „Journal des Observateurs” obserwuje nas aż do szpiku kości, że wreszcie jutro będziemy godni najwyższej litości, nawet dla Choiseula.

— I jaki z tego wniosek? — zapytał książę.

— Że trzeba, abym pojechał do Paryża kupić trochę szarpia i maści na wszystkie nasze rany. Daj mi, siostrzyczko, pieniądze.

— Ile?

— Bagatelkę, dwieście albo trzysta ludwików.

— Widzisz, książę — zwróciła się hrabina do marszałka — ja już płacę koszty wojny.

— To początek kampanii, hrabino. Zasiej dzisiaj, a jutro zbierzesz plon.

Hrabina wzruszyła ramionami i podeszła do serwantki, z której wydobyła garść banknotów. Nie licząc ich, podała bratu, ten zaś, również nie licząc, włożył je do kieszeni z głębokim westchnieniem, po czym wstał i przeciągnął się jak człowiek utrudzony.

— Ci oto ludzie — rzekł wskazując na siostrę i księcia — będą się zabawiać na polowaniu, a ja muszę galopować do Paryża. Oni oglądać będą pięknych mężczyzn i piękne kobiety, a ja będę patrzeć na szkaradne pyski gryzipiórków. Dalibóg, jestem domowym psem!

— Wiedz, książę, że on nie ma zamiaru się nami zajmować — wyjaśniła hrabina. — Odda połowę tych banknotów jakiejś dziewczce, a resztę przegra w karty. Oto co będzie jego zajęciem. I jeszcze pokrzykuje, hultaj! No, idź już sobie, wstręciuchu!

Jan opróżnił trzy bombonierki, wsypując ich zawartość do kieszeni, zabrał ukradkiem z etażerki figurkę chińską wysadzaną brylantami i wyszedł wzruszając ramionami.

— Czarujący chłopiec! — rzekł Richelieu tonem, jakim chwali się nieznośne dzieci, życząc im po cichu, żeby ich piorun spalił. — Sporo cię to kosztuje, nieprawdaż, hrabino?

— Ulokował u mnie swoje przywiązanie i to mu przynosi rocznie do czterystu tysięcy liwrow.

Zegar wybił godzinę.

— Pół do pierwszej — rzekł książę. — Całe szczęście, że pani jest ubrana. Wsiadajmy prędko do karety. Jestem pewien, że król nie zmieni planu polowania.

— Umówiliśmy się wczoraj. Król miał jechać do Marly i po drodze obiecał wstąpić do mnie. A jak wygląda twój plan, książę?

— Napisałem wczoraj do mego synowca, który zresztą jest już chyba w drodze, jeśli mam wierzyć przeczuciu.

— Pan d'Aiguillon?

— Zdziwiłbym się, gdyby mój list nie minął go w drodze. Powinien być tutaj jutro, najdalej pojutrze.

— Pan na niego liczy?

— Ach, ten człowiek ma wiele pomysłów!

— Mniejsza z tym. Jesteśmy chorzy i potrzebujemy pomocy. Być może król nawet ulegnie, ale boi się interesów.

— To znaczy?

— Że nie zgodzi się nigdy na poświęcenie Choiseula.

— Powiem ci, hrabino, otwarcie, że ja w to nie wierzę. Król zdolny jest do stu takich sztuczek, jak wczoraj, ma tyle poczucia humoru! Wynika stąd, że nie narazisz się na utratę jego miłości, trwając w uporze.

— Hm... Warto się nad tym zastanowić.

— Jak się zdaje, pan de Choiseul trwa niezniszczalny. Żeby go wyrugować, trzeba by chyba cudu.

— Tak, cudu...

— I na nieszczęście ludzie nie czynią już cudów.

— Och, ja znam człowieka, który je czynił! — Czemu o tym nie mówiłaś, hrabino?

— Pomyślałam o tym dopiero teraz.

— Czy wierzysz, że ten zuch byłby zdolny nam pomóc?

— Wierzę, że jest zdolny do wszystkiego.

— Cóż takiego działał? Powiedz coś o nim, hrabino.

— Jest to człowiek — zaczęła pani Dubarry, zniżając mimo woli głos — który przed dziesięciu laty spotkał mnie na placu Ludwika XV i powiedział, że będę królową Francji.

— To istotnie niezwykle. I ten człowiek byłby zdolny przepowiedzieć mi, że umrę jako pierwszy minister... Jak on się zwie?

— Nazwisko jego nie ma żadnego znaczenia. — Gdzie go szukać?

— Tego właśnie nie wiem.

— Nie zostawił pani swojego adresu?

— Nie. Miał sam się zjawić po odebranie nagrody.

— Co mu pani przyrzekła?

— Cokolwiek zażąda. Ale nie zgłosił się.

— No to jeszcze bardziej niezwykle, niż jego przepowiednia. Potrzeba go nam koniecznie. Jak on się nazywa?

— Ma dwa nazwiska. Pierwsze: hrabia de Foenix.

— Jak to, ten mężczyzna, którego mi pani pokazała w dniu swojej prezentacji?

— Ten sam.

— Ten Prusak?

— Tak.

— Ach, nie mam już zaufania. Wszyscy czarnoksiężnicy, których znałem, mieli nazwiska kończące się na „i”, albo na „o”.

— To się dobrze składa, bo drugie jego nazwisko kończy się tak jak pan sobie życzy: Józef Balsamo.

— A czy nie ma żadnego sposobu, żeby go odszukać?

— Pomyślę nad tym. Zdaje mi się, że wiem o kimś, kto go zna.

— Wybornie! Ale śpiesz się, hrabino, już za kwadrans druga.

— Jestem gotowa. Kareta!

W dziesięć minut potem pani Dubarry i książę de Richelieu wyjechali razem na polowanie.

ROZDZIAŁ LXXXII. POLOWANIE NA CZARNOKSIĘŻNIKA

Długi szereg karek wypełniał dróżki leśne w Marly, gdzie znajdowały się tereny polowań króla.

Polowanie, o którym będzie mowa, nazywało się poobiednim. W rzeczywistości Ludwik XV nie polował z chartami, ani nie strzelał w ostatnich latach swojego życia, kontentując się obserwowaniem polowania.

Czytelnicy Plutarcha pamiętają może kucharza Marka Antoniusza, który co godzinę brał na rożen nowego dzika, aby w każdej chwili świeżo upieczony odyniec mógł być podany na stół.

Jak wiadomo, w czasie swoich rządów w Azji Mniejszej Marek Antoniusz miał spraw bez liku, zwłaszcza sądowych, jako że Cylicjanie byli tęgimi złodziejami, co zresztą potwierdza Juwenalis. Ten nawał spraw był przyczyną niemałego trudu kucharza, który stale musiał czuwać, aby na rożnach znajdowało się pięć lub sześć pieczeni, w tym jedna gotowa do natychmiastowego podania Markowi Antoniuszowi, gdyby obowiązki sędziego pozwoliły mu na positek.

W podobny sposób organizowane były za Ludwika XV polowania. Na polowania poobiednie puszczano daniela w odstępach godzinnych tak, by król mógł rozpocząć swoją myśliwską zabawę, kiedy sobie tego życzył.

Tego dnia król wyraził życzenie, aby polowanie trwało do godziny czwartej. Oznaczało to, że wybór króla padł na daniela puszczanego w południe.

Obiecując sobie tropić daniela, król nie wiedział oczywiście, że z kolei pani Dubarry obiecywała sobie iść jego tropem. Tak już jednak bywa, że myśliwi wprawdzie wiele sobie obiecują, ale decyduje o wszystkim przypadek.

Zdarzyło się, że taki właśnie przypadek pokrzyżował piękne plany pani Dubarry.

W czasie pogoni za królem, który gonił daniela, hrabina z księciem Richelieu rozmawiając, kłaniając się i oddając ukłony spostrzegli nagle niedaleko drogi przewróconą kolaskę. Dwa koła kręciły się jeszcze w powietrzu, konie zaś gryzły opodal korę buku i mech ścielący się pod kopytami.

Świetne konie pani Dubarry, dar króla, wyprzedziły inne powozy i pierwsze zatrzymały się przy przewróconej kolasce.

— Przydarzyło się nieszczęście — rzekła spokojnie hrabina.

— Tak, rzeczywiście — potwierdził Richelieu z podobną flegmą, jako że na dworze nie było w modzie okazywać wrażliwości. — Doprawdy, ta kolaska jest pogruchohana.

— Czy tam na trawie nie widać kogoś zabitego? — zapytała hrabina. — Zobacz no, książę.

— Nie sądzę. To się rusza.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Nie wiem na pewno. Mam słaby wzrok.

— Patrz, kłania się.

— Czyli żyje — stwierdził Richelieu i na wszelki wypadek zdjął trój graniasty kapelusz.

— Ach, hrabino! Zdaje mi się... — I mnie także.

— ... że to Jego Eminencja książę Ludwik.

— Kardynał de Rohan.

— Cóż on, u licha, tu robi?!

— Zobaczmy — odpowiedziała hrabina i zwróciła się do stangreta: — Champagne, jedź do przewróconego powozu, prędko!

Kareta hrabiny skręciła z drogi i zanurzyła się między drzewa.

Istotnie był to kardynał de Rohan. Leżał na trawie, oczekując na znajomych, którzy by go wybawili z kłopotu.

Widząc zbliżającą się hrabinę Dubarry, podniósł się.

— Witam panią, hrabino — rzekł. — Jak to, kardynale, ty?

— Ja sam.

— Pieszko?

— Nie, siedząc.

— W tym stanie?

— Niech pani mi tego nie przypomina. To bydlę stangret, którego sprowadziłem z Anglii, zawrócił tak nieudolnie, kiedy mu kazałem jechać przez las, że mnie przewrócił i pogruchotał powóz.

— Nie narzekaj, kardynale — powiedziała hrabina. — Francuski stangret złamałby ci kark lub przynajmniej pogruchotał żebra.

— To może i prawda.

— I powód do pocieszenia.

— Och, mam w sobie coś z filozofa, hrabino, ale niestety zmuszony jestem czekać, a to sprawa śmiertelna.

— Jak to czekać? Książę de Rohan miałby czekać?

— Skoro trzeba.

— Na Boga, nie! Raczej sama wysiądę z karety.

— Doprawdy, pani mnie zawstydzła.

— Wsiadaj, książę.

— Nie, dziękuję pani. Czekam na księcia Soubise, który jest na polowaniu i na pewno niedługo pojawi się tutaj.

— A jeżeli udał się inną drogą? — To nieważne.

— Książę, proszę cię.

— Nie, dziękuję.

— Ale dlaczego?

— Nie chcę sprawić kłopotu.

— Kardynale, jeżeli odmówisz, każę nieść tren mojej sukni lokajowi i pobiegnę przez las jak driada.

Kardynał uśmiechnął się i przyszedłszy do przekonania, że dalszy opór mógłby zostać źle zrozumiany przez hrabinę, postanowił wsiąść do karety.

Książę Richelieu ustąpił mu swojego miejsca i sam usiadł na ławce z przodu. Kardynał zaczął się certować, ale marszałek postawił na swoim.

Wkrótce potem konie hrabiny jechały znowu drogą.

— Przepraszam, czy wolno zapytać, odkąd to Wasza Eminencja pogodziła się z polowaniem? — odezwała się hrabina.

— Przyjechałem tu do króla, a nie na polowanie. Mam pilny interes, więc przybyłem tu, ale z winy przekłętą stangreta nie tylko nie będę mógł rozmawiać z królem, ale i nie przybędę na spotkanie w mieście.

— Widzisz, hrabina — rzekł Richelieu ze śmiechem. — Kardynał przyznaje się otwarcie do schadzki.

— Która mi się nie uda — podkreślił kardynał.

— Czy to możliwe, żeby się to zdarzyło księciu de Rohan? — zapytała hrabina.

— Ba! Tylko cud może mi pomóc.

Richelieu i hrabina spojrzeli na siebie znacząco.

— Doprawdy, skoro mowa o cudach, przyznam się szczerze, że jestem bardzo rada ze spotkania z księciem kościoła — powiedziała pani Dubarry. — Chciałabym wiedzieć, czy książę wierzy.

— W ca?

— W cuda, ma się rozumieć — wtrącił Richelieu.

— Pismo święte czyni z tego artykuł wiary — odparł kardynał starając się ta mówić z przekonaniem.

— Och, nie mam na myśli dawnych cudów! — rzekła hrabina.

— A o jakich cudach pani mówi?

— O cudach współczesnych.

— Te, przyznaję, są rzadsze, chociaż... — Chociaż?

— Dalibóg, widziałem rzeczy, jeżeli nie cudowne, to na pewno bardzo niezwykle.

— Ale pani wie, hrabino — rzekł Richelieu śmiejąc się — że Jego Eminencja uchodzi za człowieka, który ma kontakty z duchami, co być może jest nie zanadto prawomyślne,

— Ale może być wygodne — zauważyła hrabina i zwróciła się do kardynała: — I cóżeś widział, książę?

— Przyrzekłem zachować tajemnicę.

— Och, och, to jakaś poważna sprawa.

— Tak jest hrabino.

— No, ale skoro książę przyrzekł dochować tajemnicy w sprawie czarnoksiężstwa, może to nie dotyczy czarnoksiężnika?

— A nie.

— Doskonale. Chcęci więc powiedzieć, kardynale, że książęci ja wybraliśmy się, aby upolować czarnoksiężnika. — Doprawdy?

— Słowo honoru.

— Weźcie więc mojego.

— Tego właśnie pragnę.

— On jest na twoje usługi, hrabino.

— Czy i na moje także? — spytał Richelieu.

— I na twoje, książę.

— Jak on się nazywa? — Hrabia de Foenix.

Pani Dubarry i Richelieu spojrzeli na siebie, poruszeni.

— To dziwne! — powiedzieli jednocześnie.

— Czy go znacie? — spytał książę kardynał.

— Nie. A czy Wasza Eminencja uważa go za czarnoksiężnika?

— Raczej tak, niż nie.

— Czy rozmawiałeś z nim, książę? — Oczywiście.

— I co o nim sądzisz?

— Że jest doskonały.

— Z jakiego powodu?

Kardynał zawahał się na moment, po czym rzekł:

— Z powodu wróżby, o którą go prosiłem.

— Czy przepowiedział trafnie?

— On mi opowiadał rzeczy z innego świata.

— A czy on nie ma innego nazwiska?

— Owszem: Józef Balsamo.

Hrabina złożyła ręce spojrzawszy na marszałka, ten zaś potarł koniuszek nosa, odwzajemniając jej spojrzenie.

— Czy diabeł jest bardzo czarny? — spytała nagle hrabina.

— Diabeł?! Ależ nie widziałem go!

— Co też mówisz, hrabino?! — zawołał Richelieu. — Ależ znalazłaś towarzystwo dla kardynała!

— Czy wróżono waszej Eminencji nie pokazując diabła? — pytała dalej pani Dubarry.

— Naturalnie — zapewnił ją kardynał. — Diabła pokazują wyłącznie ludziom z warstw niższych, a więc nas to nie dotyczy.

— Mów, książę, co chcesz, ale zawsze jest w tym trochę... diabelstwa.

— Ba! Spodziewam się.

— Zielone ognie, nieprawdaż? Widma, tygry piekielne cuchnące okropnie spalenizną, czy tak?

— Ależ skąd?! Mój czarnoksiężnik ma doskonale maniery. Jest to człowiek bardzo dystyngowany.

— Przyszuję, że umieram z ciekawości. — Czy chciałabyś go prosić, hrabino, o swój horoskop? — spytał Richelieu.

— A więc niech się pani do niego wybierze.

— No dobrze, ale dokąd? — zapytała pani Dubarry licząc, że kardynał wskaże jej adres hrabiego de Foenix.

— Do pięknie umeblowanego apartamentu. Hrabina z trudem hamowała swoje zniecierpliwienie.

— Gdzie to jest? — zapytała.

— W domu nader przyzwoitym, choć osobliwym architektonicznie.

Pani Dubarry zatrzęsała się ze złości, więc Richelieu przyszedł jej z pomocą.

— Czy Wasza Eminencja nie widzi, że pani hrabina gniewa się, nie wiedząc, gdzie mieszka ten czarnoksiężnik?

— Hm... Dalibóg... Zaraz, zaraz... Tak, to chyba w cyrkule Marais, prawie na rogu bulwaru. Ulica Saint-Francois albo Saint-Anastase... Nie... Zawsze jednak jakiegoś świętego.

— Ale jakiego? Przecież powinieneś to wiedzieć, książę.

— Skądże, raczej przeciwnie — odparł kardynał. — Ale lokaj musi wiedzieć.

— Zabraliśmy go z sobą. Zatrzymaj się, Champagne — zadysponował Richelieu, pociągnąwszy za sznur przeciągnięty do małego palca stangreta.

Kareta zatrzymała się.

— Olive — rzekł kardynał — czy jesteś tu, hultaju? — Tak jest, Wasza Eminencjo.

— Gdzie to ja byłem któregoś wieczora w Marais? Lokaj słyszał całą rozmowę, ale udał, że sobie próbuje przypomnieć.

— W Marais? — zapytał.

— Tak, blisko bulwaru.

— Którego dnia, Wasza Eminencjo?

— Kiedy powracałem z opactwa Saint-Denis. Powóz czekał, jak mi się zdaje, przy bulwarze.

— Tak, tak, Wasza Eminencjo! Jakiś człowiek rzucił nam do powozu ciężką paczkę... Przypominam sobie teraz,

— Możliwe, ale po co o tym mówisz, bydlaku?!

— Czego więc żąda Wasza Eminencja?

— Jak się nazywa tamta ulica?

— Ulica Saint-Claude, Wasza Eminencjo.

— Tak, ulica Saint-Claude! — zawołał kardynał. — Mówiłem, że jakiegoś świętego.

— Ulica Saint-Claude! — powtórzyła hrabina, rzucając na pana Richelieu spojrzenie tak znaczące, że marszałek, który lękał się nieustannie o swoje tajemnice, zwłaszcza kiedy dotyczyły one sprzysiężenia, zmienił temat:

— Patrz, hrabino, król — powiedział.

— Skręć na lewo, Champagne, na lewo, żeby nas Najjaśniejszy Pan nie zobaczył! — zawołała hrabina.

— Ależ dlaczego? — spytał zaskoczony kardynał. — Sądziłem, że mnie pani podwiezie do króla.

— Ach, prawda! Wasza Eminencja życzył sobie rozmawiać z królem.

— Po to tutaj przyjechałem.

— Wobec tego pojedziesz, kardynale, do króla.

— A pani?

— My tutaj pozostaniemy.

— Ależ, hrabino!

— Bez ceregieli, książę, proszę. Każdy ma swoje sprawy. Król jest tam, pod kasztanami. Champagne!

Stangret zatrzymał konie.

— Champagne, my wysiadziemy, a ty zawieziesz Jego Eminencję do króla.

— Jak to!? Samego jednego? — certował się kardynał.

— Będzie ci, książę, swobodniej rozmawiać.

— Ach, pani uprzejmość mnie zobowiązuje! — rzekł kardynał całując rękę pani Dubarry, po czym spytał: — A ty, hrabino, gdzie się zatrzymasz?

— Tu, pod tymi dębami.

— Król będzie panią szukał.

— Tym lepiej.

— Będzie bardzo niespokojny, gdy ciebie nie zobaczy.

— I to go zmartwi. Właśnie o to mi chodzi. — Jesteś zachwycająca, hrabino.

— Tak właśnie mówi król, kiedy go dręczę. Champagne, po odwiezieniu Jego Eminencji wracaj galopem!

— Tak jest, pani hrabino.

— Żegnaj księżę — rzekł kardynał.

— Do zobaczenia, kardynale — odpowiedział Richelieu.

I ledwie lokaj opuścił stopnie, księżę wysiadł razem z hrabiną, swobodną i lekką jak mniszka, która się wymknęła z klasztoru.

Kareta powiozła szybko kardynała w stronę wzgórza, gdzie Jego Królewska Arcy-Chrześcijańska Mość wypatrywał oczami krótkowidza złośliwej kochanki, którą wszyscy widzieli z wyjątkiem jego samego.

Tymczasem pani Dubarry wzięła księcia za rękę i zaciągnęła go w gęstwinę krzewów.

— Pan Bóg nam zesłał tego kardynała — rzekła z zadowoleniem.

— Żeby nas na chwilę od niego uwolnić, rozumiem.

— Nie, żeby nam wskazać ślad czarnoksiężnika. — Pojedziemy do niego?

— Tak przypuszczam, tylko... Przyznaję, że się boję. Jestem łatwowierna.

— O, do diabła!

— A ty, księżę, wierzysz w czarnoksiężnika.

— Nie mówię nie. Ja sam kiedyś... znałem takiego. Wyświadczył mi wielką przysługę.

— Jaką?

— Wskresili mnie. — Jak to wskresił?

— Naprawdę. Byłem martwy.

— Opowiedz mi o tym, księżę.

— Schowajmy się tylko starannie... A więc było to w Wiedniu, w czasie kiedy byłem tam posłem. Któregoś dnia wieczorem, w pobliżu latarni, ktoś mnie przebił na wylot szpadą. Była to szpada zdradzonego męża, rzecz diabelnie niezdrowa. Upadłem. Kiedy mnie podniesiono, byłem martwy.

— Jak to, umarłeś?

— Dalibóg, tak! W każdym razie coś koło tego. Trzeba trafu, że przechodził tamtędy czarnoksiężnik. Zapytał, czyje niosą ciało. Powiadomiono go, że to mnie. Kazał wówczas zatrzymać się, wpuścił trzy krople jakiegoś płynu w otwór lany i trzy krople w usta. I zaraz krew przestała upływać, wrócił mi oddech, oczy otworzyły się i wyzdrowiałem.

— Cud boski!

— To właśnie jest to, co mnie trwoży, ponieważ jestem zdania że to był cud szatański.

— To prawda. Bóg nie uratowałby szelmy twojego pokroju, księżę. Tak, tak... A czy żyje twój wybawca?

— Wątpię. Chyba, że wynalazł złoto do picia.

— A czy on był stary?

— Jak Matuzalem.

— Jak się nazywał?

— Och, nosił wspaniałe nazwisko greckie: Althotas.

— To... Ale patrz, księżę, wraca kareta. Czy jedziemy zaraz

— Jedziemy.

— Na ulicę Saint-Claude?

— Jeśli tak chcesz, hrabino... Ale król czeka!

— To właśnie przyspieszyło moją decyzję. Dręczył mnie, a więc teraz kolej na ciebie, żebyś szalał, królu Francji!

- Pomyśli, że cię porwano, hrabino, że zginęłaś. — Zwłaszcza, że mnie z tobą, księżę, widziano.
- Powiem ci, hrabino, otwarcie, że lękam się.
- Czego?
- Żebyś tego komu nie opowiedziała i żeby się ze mnie... nie śmiano.
- Śmiano by się z nas obojga, ponieważ jadę z tobą.
- To mnie przekonuje. Zresztą, jeżeli mnie zdradzisz, powiem, że byliśmy sam na sam.
- Nie uwierzą ci, księżę.
- Oj, hrabino, gdyby tam nie było króla...
- Champagne, Champagne! Jedź tu, za te krzaki, żeby nas nie zauważono! — zawołała hrabina.
- Germain, drzwiczki! Tak, dobrze. A teraz do Paryża, na ulicę Saint-Claude, piorunem!

ROZDZIAŁ LXXXIII. KURIER

Była godzina szósta wieczorem.

W pokoju przy ulicy Saint-Claude, znanym już czytelnikowi, Balsamo próbował ułagodzić oburzoną Lorenzę.

Młoda kobieta patrzyła nań krzywo, jak Dydona na odjeżdżającego Eneasza. Każde jej odezwanie się zawierało wyrzuty. Jeżeli wyciągała rękę, to tylko po to, aby odpychać.

Skarżyła się, że jest w więzieniu, że jest niewolnicą, że nie ma czym oddychać, że nie widzi słońca. Zazdrościła losu najbiedniejszym istotom, ptakom, kwiatom. Nazywała Balsamo tyranem.

Przechodząc od wyrzutów do gniewu, darła w kawałki! kosztowne materiały, ofiarowane przez męża, który chciał, przy ich pomocy wzbudzić próżność Lorenzy i oderwać ją od myśli o samotności.

Balsamo mówił do niej łagodnie i patrzył na nią z miłością. Widać było, że ta słaba i drażliwa istota zajmowała wiele miejsca w jego sercu, jeżeli nie w życiu.

— Lorenzo — mówił — dziecko kochane, skąd tyle w tobie wrogości i oporu? Czemu nie chcesz żyć ze mną jak towarzyszka, przywiązana i spokojna, przecież cię Kocham ponad wszystko? Miałabyś to, czego sobie życzysz, mogłabyś się cieszyć życiem w słońcu jak kwiaty, o których przed chwilą mówiłaś. Mogłabyś rozwijać skrzydła jak ptaki, którym zazdrościsz ich losu. Bywalibyśmy razem wszędzie. Ujrzałabyś wówczas znowu nie tylko słońce, które cię tak raduje, ale i słońce sztuczne, czyli przyjęcia, na których się gromadzą kobiety tego kraju. Byłabyś szczęśliwa na swój sposób, czyniąc i mnie szczęśliwym. Dlaczego nie chcesz takiego szczęścia? Szczęścia, które przy twojej urodzie i twoim bogactwie obudziłoby zazdrość wielu kobiet?

— Dlatego, że budzisz we mnie wstręt — odparła Lorenza dumnie.

Balsamo utkwiał w niej wzrok, pełen gniewu i zarazem litości.

— Żyj więc tak, jak sama to sobie ułożyłaś — rzekł — i ponieważ jesteś tak dumna, nie uskarżaj się.

— Nie skarżyłabym się, gdybyś mnie pozostawił samą i gdybyś mnie nie przymuszał do rozmowy z tobą. Nie pokazuj mi się na oczy, albo jeżeli przyjdiesz do mego więzienia, nie mów nic do mnie, a ja zrobię tak, jak biedne ptaki z południowych krain, które po zamknięciu ich w klatce nie śpiewają, lecz umierają.

Balsamo uczynił wysiłek, aby się opanować.

— Więcej łagodności i rezygnacji, Lorenzo. Zajrzyj choć raz w moje serce, które tyle ma dla ciebie miłości. Chcesz książek?

— Nie.

— Dlaczego? Książki cię rozerwą.

— Chcą się tak znudzić, żeby umrzeć.

Balsamo uśmiechnął się, albo raczej spróbował się uśmiechnąć.

— Jesteś szalona. Wiesz dobrze, że nie umrzesz, dopóki ja tu jestem. Będę cię leczyć i pielęgnować, gdybyś zachorowała.

— Och, nie zdołasz mnie uleczyć, kiedy mnie znajdziesz uduszoną przy oknie na tej szarfie.

Balsamo zadrżał.

— Kiedy utopię ten nóż w swoim sercu — dokończyła z uniesieniem.

Balsamo blady, oblany zimnym potem, spojrział na młodą kobietę i rzekł z groźbą w głosie:

— Masz rację, Lorenzo. Wtedy cię nie uleczę, ale wskreszę.

Młoda kobieta krzyknęła z przestachu. Nie знаła granic potęgi męża i uwierzyła w jego zapewnienie.

Balsamo był uratowany.

Lorenza zamilkła, jak gdyby zatopiona strumieniem nowej i nieznannej jej rozpaczy. Widziała się zamknięta w pełnym udręki kole bez wyjścia. Kiedy już zdawało się, że boleść odbierze jej rozum, zabrzmiał dzwonek, targnięty trzykrotnie ręką Fritza.

— To kurier — rzekł Balsamo i kiedy po chwili dzwonek powtórzył się, dodał: — W pilnej sprawie.

— Ach, więc opuszczasz mnie! — westchnęła Lorenza. Balsamo chwycił jej zimną rękę.

— Jeszcze raz, po raz ostatni, proszę cię, żyjmy w zgodzie i po bratersku — powiedział. — Związało nas przeznaczenie, może więc to przeznaczenie będzie naszym przyjacielem, a nie katem.

Lorenza nic nie odpowiedziała. Siedziała w otępieniu, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, który zdawał się ukrywać poszukiwaną i ciągle uciekającą myśl. Nie potrafiła tej myśli uchwycić, może dlatego, że zbyt pośpiesznie ją goniła, jakby nią było słońce napotkane po wyjściu z głębokiej ciemności.

Balsamo pocałował ją w rękę, ale Lorenza nawet nie drgnęła. Dopiero kiedy podszedł do kominka, zbudziła się z odrętwienia i spojrzała na niego ostro.

— Chcesz wiedzieć, kiedy wychodzę, żeby skorzystać i uciec — rzekł półgłosem. — To dlatego budzisz się i ścigasz mnie wzrokiem.

Powiedziawszy to, Balsamo przesunął ręką po czole, jakby przymuszając się do spełnienia przykrego obowiązku, a następnie wyciągając tę samą rękę ku młodej kobiecie i ciskając w nią spojrzanie wraz z gestem skierowanym niby pocisk w jej oczy, rzekł rozkazująco:

— Śpij!

Lorenza załamała się jak kwiat na łądździe. Jej głowa zakołysała się na chwilę, potem opadła na poduszkę. Matowobiałe ręce zwiotczały i ześliznęły się po jedwabnej sukni.

Balsamo podszedł blisko, urzeczony jej pięknnością, i przycisnął wargi do jej czoła.

Twarz Lorenzy natychmiast rozjaśniła się, jakby chmurę z jej czoła zwiato tchnienie samej miłości. Na wpół rozchylone usta otworzyły się, oczy napełniły łzami szczęścia. Westchnęła, jak wzdychali zapewne aniołowie, którzy w ciągu pierwszych dni stworzenia poznali miłość do człowieka.

Balsamo patrzył jeszcze przez chwilę, jak człowiek, którego nie można wyrwać z kontemplacji. Kiedy jednak dzwonek zadzwonił jeszcze raz, podszedł szybko do kominka, nacisnął sprężynę i znikł w tajemnym przejściu.

Fritz czekał na niego w salonie z mężczyzną ubranym w odzienie kuriera, w ogromnych butach z długimi ostrogami.

Pospolita twarz tego człowieka zdradzała pochodzenie gminne. Tylko oczy zdawały się tlić światłem pewnej inteligencji, jaką można nabyć w otoczeniu ludzi wyższego umysłu.

W lewej ręce trzymał krótki bat, prawą zaś dawał znaki, które Balsamo rozpoznał, odpowiadając również znakami: dotknąwszy palcem wskazującym czoła.

Wtedy karier podniósł rękę na wysokość piersi, kreśląc nowy znak, dla niewtajemniczonego podobny do gestu, jaki robimy, aby zapiąć guzik.

Na ten znak mistrz okazał przybyszowi pierścień na palcu. Symbol ten ugiął kolana wysłannika.

— Skąd przybywasz? — spytał Balsamo.

— Z Rouen, mistrzu.

— Kim jesteś?

— Jestem kurierem w służbie pani de Grammont,

— Kto cię tam skierował?

— Wola wielkiego Kopta.

— Jaki rozkaz otrzymałeś idąc na służbę?

— Nie mieć żadnej tajemnicy przed mistrzem.

— Dokąd jedziesz?

— Do Wersalu.

— Co wieziesz?

— List.

— Do kogo?

— Do ministra.

— Daj mi go.

Kurier podał list, który wydobyl ze skórzanej torby przewieszanej przez plecy.

— Czy mam czekać? — zapytał.

— Tak — odparł Balsamo i wezwawszy Fritza rozkazał: — Zaprowadź Sebastiana do kuchni.

— Zna moje imię — szepnął przybysz z zabobonnym strachem.

— On wie wszystko — powiedział Fritz prowadząc go do kuchni.

Balsamo pozostał sam. Popatrzył na nienaruszoną pieczęć listu, zamyślił się, następnie poszedł do pokoju Lorenzy.

Młoda kobieta jeszcze spała, znużona becznością. Wziął ją za rękę, którą konwulsyjnie zacisnęła, i położył na jej sercu zapieczętowany list.

— Czy widzisz? — zapytał.

— Tak, widzę, list.

— Czy możesz go przeczytać?

— Mogę.

— Czytaj więc.

Lorenza z zamkniętymi oczami i falującą piersią odczytała słowo po słowie treść listu, Balsamo zaś zapisywał:

— „Drogi bracie!

Jak przewidywałam, moje wygnanie posiada swoje dobre strony. Widziałam się dzisiaj z burmistrzem Rouen. On należy do stowarzyszenia, ale jest tchórzliwy. Nalegałam na niego w twoim imieniu, w końcu zdecydował się. Wiadomości w tej sprawie nadejdą do Wersalu w ciągu tygodnia.

Wyjeżdżam zaraz do Rennes, żeby zbudzić z drzemki Karadeuca i la Chalotais.

Nasz agent de Caudebec znalazł się w Rouen. Widziałam go. Anglia nie ma zamiaru zbroczyć z drogi. Przygotowuje ostrą notę do rządu wersalskiego.

X... pytał mnie, czy trzeba ją złożyć. Upoważniłam go do tego. Otrzymasz ostatnie pamflety Thevenota, de Morande'a i Delile'a przeciwko Dubarry. Są to petardy, które mogą wysadzić miasto.

Dotarli do mnie złe wieści. Coś o niełasce. Ale nic mi o tym nie pisałeś, więc śmieję się z tego. Jednakże nie trzymaj mnie w niepewności i przesyłaj odpowiedzi przez każdego kuriera. Pismo twoje zastanie mnie w Caen, gdzie mam spotkanie z kilkoma naszymi panami.

Żegnam cię i ściskam.

Księżna de Grammont"

Lorenza skończyła odczytywanie.

— Czy nic więcej nie widzisz? — zapytała Balsamo.

— Nic nie widzę.

— Nie ma post scriptum?

— Nie.

Balsamo zadowolony wziął do ręki list księżnej.

— Ciekawy list — rzekł. — Drogo mi za niego zapłacą. Jak można pisać takie rzeczy! W ten sposób kobiety zawsze gubią ludzi wybitnych. Nie mogła obalić tego Choiseula armia wrogów i oto kobieta przynosi mu zgubę. Tak to ginie wszyscy dzięki zdradzie i słabości kobiet... Jeżeli posiadamy serce, a w tym sercu czulą strunę, czeka nas zatracenie.

Mówiąc to Balsamo patrzył tkliwie na Lorenzę, która drżała pod jego spojrzeniem.

— Czy to, co mówię jest prawdą? — spytał.

— Nie, to nieprawda! — odpowiedziała gorąco. — Wiesz dobrze, że nazbyt cię kocham, abym miała ci szkodzić, jak te wszystkie kobiety bez serca i rozumu.

Balsamo dał się objąć ramionom swej wieszczki.

W tym momencie rozległo się podwójne uderzenie dzwonka.

— Wizyta dwóch osób — stwierdził Balsamo.

Ponowny gwałtowny dźwięk dzwonka wyrwał go z objęć Lorenzy. Wyszedł z pokoju, pozostawiając młodą kobietę w uśpieniu.

Po drodze Balsamo spotkał kuriera, który czekał na rozkazy.

— Oto list — rzekł mistrz.

— Co mam z nim zrobić?

— Oddać go według adresu. To wszystko. Kurier obejrzał kopertę i pieczęć i widząc, że list jest nienaruszony, oddał się uradowany.

— Co za pech, że nie można zatrzymać takiego pisma — rzekł do siebie Balsamo. — A to, że nie można go za pośrednictwem pewnych rąk przekazać królowi, to prawdziwe nieszczęście.

Wszedł Fritz.

— Któż tam przyjechał? — zapytał Balsamo.

— Kobieta i mężczyzna.

— Czy znasz ich?

— Nie

— Czy kobieta jest młoda.

— Młoda i piękna:

— A mężczyzna.

— Ma około sześćdziesięciu pięciu lat.

— Gdzie są?

— W salonie.

Balsamo udał się do salonu.

ROZDZIAŁ LXXXIV. WYWOŁYWANIE

Hrabina i marszałek przyjechali przebrani: pani Dubarry za mieszczkę, z twarzą zakrytą mantylą, a marszałek za sługę z dobrego domu, w stroju na wszelki wypadek szarym. Dla niepoznaki przyjechali fiakrem.

— Czy pan hrabia poznaje mnie? — zapytała hrabina.

— Doskonale, pani hrabino — odparł Balsamo. Richelieu wahał się pytać, stojąc w milczeniu.

— Pani będzie łaskawa usiąść. I pan także.

— Ten pan jest moim intendentem — wyjaśniła pani Dubarry.

— Pani się myli — rzekł Balsamo z ukłonem. — Ten pan jest marszałkiem księciem de Richelieu. Poznałem go od razu i byłoby mi przykro, gdyby on mnie z kolei nie poznał.

— Jak to? — zapytał książę zmieszany.

— Mości książę, winni jesteśmy chyba trochę wdzięczności tym, którzy nam ocalili życie.

— Ach, książę, czy słyszałeś? — zaśmiała się hrabina.

— Pan mi ocalił życie, hrabio? — zdziwił się Richelieu. — Tak, książę, w kwietniu 1725 roku, kiedy byłeś posłem.

— W 1725 roku? Ależ pana wówczas nie było na świecie! Balsamo uśmiechnął się.

— A jednak tak, ponieważ spotkałem pana umierającego, a raczej umarłego, w lektyce — rzekł. — Miałeś, książę, pierś przeszytą na wskroś szpadą i ja wpuściłem ci w ranę trzy krople mojego eliksiru... To oto w tym miejscu, które zdobią koronki, zbyt kosztowne jak na intendenta.

— Ależ hrabio, pan ma zaledwie trzydzieści, trzydzieści pięć lat — przerwał marszałek.

— Och, książę, jesteś przecież a czarnoksiężnika! — zawołała hrabina ze śmiechem. — Czy nie wierzysz w to?

— Jestem pełen zdumienia... — powiedział książę i zwrócił się do Balsamo: — Ale w takim razie pan się nazywa...

— Och, my czarnoksiężnicy, mości książę, zmieniamy nazwiska w każdym pokoleniu. W roku 1725 były modne nazwiska zakończone na „us”, „os” i „as” i nie zdziwiłoby mnie na pana miejscu, gdybym

w owej epoce miał nazwisko greckie albo rzymskie. Po tym wyjaśnieniu jestem na pani rozkazy, hrabino, i na twoje, książę,

— Panie hrabio, przyszliśmy zasięgnąć twojej rady.

— To mi przynosi wielki zaszczyt, pani hrabino.

— Twoja przepowiednia, hrabio, oszołomiła mnie, tylko wątpię, aby się sprawdziła,

— Niech pani nigdy nie wątpi w to, co mówi wiedza.

— Och, panie hrabio — rzekł Richelieu — tu nie chodzi o ranę, którą można wygoić trzema kroplami eliksiru,

— Oczywiście, że nie. Tu chodzi o ministra, którego się obali trzema słowami... — odparł Balsamo.

— Czy zgadłem?

— Zdziwiająco — powiedziała z drżeniem hrabina.

— Nie dziw się temu, hrabino — rzekł Balsamo. — Kto widzi panią Dubarry i marszałka Richelieu pełnych niepokoju, musi odgadnąć bez jasnowidzenia, dlaczego targa nimi niepokój.

— Dlatego też ukorzę się przed tobą, hrabio, jeżeli udzielisz nam rady — powiedział książę.

— Potrzebne wam lekarstwo na chorobę?

— Tak, chorujemy na Choiseula.

— I chcecie się wyleczyć?

— Oczywiście — odparł marszałek.

— Panie hrabio, chytra nam pan pomoże — wtrąciła hrabina. — Tu chodzi o twój honor.

— Jestem gotów pomóc, ale chciałbym wiedzieć, czy przed przybyciem tutaj książę powziął jakiś zamiar?

— Przyznaję się, że tak, panie hrabio... To bardzo przyjemna okoliczność, że można zwracać się do czarnoksiężnika z tytułem „hrabia”. Nie trzeba wówczas wyzbywać się swoich przyzwyczajęń.

Balsamo uśmiechnął się.

— Zobaczymy, książę — rzekł — ale proszę o szczerość.

— Na honor, tego właśnie pragnę!

— Miał pan zwrócić się do mnie o radę.

— To prawda.

— Ale skryty! — rzekła hrabina. — Nic mi o tym nie mówi!

— Nikomu nie mogłem o tym powiedzieć, tylko... hrabiemu i to w dodatku na ucho, jak najciszej...

— Dlaczego?

— Bo zarumieniłabyś się, hrabino, aż po białka oczu.

— Palę się z ciekawości! Powiedz, książę. Jestem uróżowana, nikt więc nie dojrzy rumieńca.

— No dobrze, ale na twoją odpowiedzialność, hrabino.

— Zgoda.

— A zatem... jakby tu powiedzieć...

— Ale nudziarz z tym ociąganiem się! — zawołała hrabina.

— Chcesz więc koniecznie, hrabino?

— Oczywiście, sto razy tak!

— A więc zaryzykuję. To... zasmucające powiedzieć, że Jego Królewska Mość nie jest już do zabawy. To nie moje wyrażenie, lecz pani de Maintenon.

— Nie ma w tym nic, co by mnie obrażało — zauważyła hrabina.

— Tym lepiej, będę wobec tego swobodniejszy. Otóż trzeba, aby pan, hrabio, który wytwarzasz tak znakomite eliksiry...

— ...wytworzył taki — dokończył Balsamo — który by przywrócił królowi owe zdolności do zabawy.

— Tak. Tak właśnie.

— Ach, to drobiazg, mości książę! Pierwszy lepszy szarlatan potrafi przyrządzić eliksir miłości.

— Którego skuteczność — dopowiedział książę — będzie policzona jako zasługa pani Dubarry.

— Książę! — zawołała hrabina.

— Wiedziałem, że się pani będzie gniewać, hrabino, ale sama tego chciałaś.

— Mości księżę — rzekł Balsamo — pan miał słuszność. Pani hrabina zarumieniła się. Ale dopiero co mówiliśmy, że nie o ranę tu chodzi, ani nawet o miłość. Nie eliksirem miłosnym oswobodzimy Francję od Choiseula. Bo gdyby nawet król kochał panią dziesięć razy więcej, co jest niepodobieństwem, pan de Choiseul zachowałby wpływ na niego i na jego umysł, jak pani na jego serce.

— To prawda, ale to była nasza jedyna szansa.

— Tak pan sądzi?

— No, a czy pan wskaże inną?

— Och, uważam, że to rzecz całkiem łatwa!

— Czy słyszysz, hrabino? To rzecz łatwa! Ci czarnoksiężnicy zdają się nigdy nie wątpić.

— Po co wątpić, skoro chodzi po prostu o przekonanie króla, że go pan de Choiseul zdradza, oczywiście z punktu widzenia samego króla, ponieważ minister nie wierzy w swoją zdradę, czyniąc to, co czyni.

— A cóż on takiego czyni?

— Wiesz to dobrze, jak ja, hrabio: podsycza buntownicze nastroje parlamentu przeciwko władzy królewskiej.

— To oczywista, ale w jaki sposób?

— Posługując się agentami, którzy podburzają obiecując bezkarność.

— Warto by wiedzieć, co to za agenci.

— Czy myślisz, hrabino, że taka pani de Grammont wyjechała w innym celu jak po to, aby podburzać?

— Oczywiście, że wyjechała tylko w tym celu.

— Tyle tylko, że król widzi w jej wyjeździe dobrowolne wygnanie. Jak więc przekonać go, że kryje się tu inny powód?

— Oskarżając panią de Grammont! — rzekła hrabina.

— Ach, gdyby tylko o to chodziło! — westchnął marszałek.

— Na nieszczęście chodzi o poparcie oskarżenia dowodami — dopowiedziała pani Dubarry.

— A gdyby się znalazł dowód, czy sądzi pani, że Choiseul utrzymałby się na urzędzie ministra?

— Z pewnością nie! — zawołała hrabina.

— Trzeba więc zdekonspirować zdradę ministra — mówił Balsamo tonem stanowczości — i przedstawić ją królowi z całą jasnością, dokładnością i namacalnością.

Marszałek zaczął się śmiać do rozpuku.

— Wyborne! — zawołał. — Wystarczy tylko złapać pana de Choiseul na gorącym uczynku... zdrady. I to wszystko! Tylko to, nic więcej!

Balsamo stał nieporuszony, odczekał aż Richelieu skończy, po czym rzekł:

— A teraz mówmy serio. Czy pan de Choiseul jest podejrzany o popieranie niezadowolonia parlamentu?

— Tak, ale na to trzeba dowodów.

— Czy pan de Choiseul uważany jest za podżegającego do wojny z Anglią po to, aby go uznano za człowieka niezastąpionego?

— Istotnie, ale trzeba to udowodnić.

— Wreszcie, czy pan de Choiseul jest nieprzyjacielem pani hrabiny i czy stara się wszelkimi siłami odsunąć ją od tronu, który jej kiedyś przyrzekłem?

— I to prawda — zapewniła hrabina — jednak i na to trzeba dowodów. Och, gdybym mogła!

— To nie tak trudno.

— Tak, nietrudno — rzekł ironicznie Richelieu.

— A jakby tak poufny list... — podsunął Balsamo.

— Tylko tyle, nie ma co...

— List pani de Grammont na przykład? Co pan o tym sądzi, panie marszałku? — mówił dalej Balsamo.

— Ach, dobry czarnoksiężniku, znajdź mi choć jeden taki! — zawołała pani Dubarry. — Pięć lat się o to staram, wydałam sto tysięcy liwrow i nic nie wskórałam.

— Ponieważ nie zwróciła się pani do mnie — odparł Balsamo. — Wybawiłbym cię, hrabino, z kłopotów.

— Jak to więc... pan?

— Tak, ja.

— A czy już za późno, hrabio?

— Nie — odpowiedział Balsamo z uśmiechem.

— Och, drogi hrabio, jakżebym chciała mieć jakiś list!

— List pani de Grammont? — Jeżeli to możliwe...

— Który by skompromitował pana de Choiseul?

— Oddałabym jedno oko, żeby to zobaczyć!

— To zbyt wysoka cena, hrabino. Tym bardziej że ten list... oddam ci za nic.

To mówiąc Balsamo wydobyl z kieszeni papier złożony we czworo.

— Cóż to jest? — spytała hrabina i zaraz potem marszałek.

— List, którego chcieliście.

I wśród głębokiego milczenia Balsamo przeczytał treść listu pani de Grammont. W miarę jak czytał, hrabina zdawała się słabnąć. Marszałek otworzył szeroko oczy, a gdy Balsamo skończył, rzekł cicho:

— Do licha! To oszustwo, miejmy się na baczności!

— To jest, mości książę, wierna kopia listu księżnej de Grammont, który wiezie wysłany dziś z Rouen kurier do księcia de Choiseul w Wersalu.

— Boże!... Czy pan mówi prawdę? — zawołał Richelieu.

— Ja zawsze mówię prawdę, panie marszałku,

— Więc księżna popełniłaby taką nieostrożność?

— Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć, a jednak — tak. Marszałek spojrział na hrabinę, która zdawała się nie mieć sił, aby otworzyć usta.

— Mnie tak samo, jak księciu — zaczęła wreszcie — trudno uwierzyć, bardzo pana przepraszam, panie hrabio, żeby tak rozumna kobieta, jak pani de Grammont, kompromitowała siebie i swojego brata podobnym listem... Poza tym... żeby wiedzieć o takim liście, trzeba by go przeczytać...

— Jeżeli czytałeś, hrabio ten list, chyba go zachowałeś; toż to bezcenny skarb!

Balsamo potrząsnął lekko głową.

— Och, to dobre dla tych, którzy odpieczętują listy, aby wykraść czyjąś tajemnicę — rzekł. — Ja potrafię czytać nie otwierając koperty. Cóż bym zresztą miał za interes w tym, aby gubić pana de Choiseul i panią de Grammont? Przyszłicie poradzić się, radzę. Chcieliście, abym wyświadczył przysługę, wyświadczam. Mam nadzieję, że nie traktujecie mnie jak wróżbitów z ulicy de la Ferraille, którym się płaci za wróżby?

— Och, hrabio! — zachnęła się pani Dubarry.

— A więc? Udzielam wam rady i nie przyjmujecie jej. Chcecie obalenia ministra i szukacie sposobów, aby to uczynić, ja podsuwam ten sposób, pochwalacie go i kiedy oddaję go wam w ręce, nie wierzycie.

— Bo, hrabio...

— List istnieje, skoro jestem w posiadaniu kopii.

— Ale jak się to stało? — dociekał Richelieu.

— Jak! W jednej minucie chce pan, książę, wiedzieć tyle, co ja, uczonego, pracującego w swoim fachu od trzech tysięcy siedmiuset lat!

— Ech! — westchnął Richelieu zniechęcony. — Chce pan zepsuć dobre mniemanie, jakie mam o panu.

— Nie proszę cię, książę, żebyś mi wierzył. To nie ja szukałem pana na polowaniu królewskim.

— Panie hrabio, proszę, nie bądź niecierpliwym — wtrąciła pani Dubarry.

— Kto ma czas, nigdy nie jest niecierpliwym.

— Bądź tak dobry, hrabio, i powiedz nam jeszcze, w jaki sposób uzyskałeś objawienie tych tajemnic?

— Odpowiem bez wahania — rzekł Balsamo wolno. — Tajemnicę tę wyjawiał mi głos.

— Głos, który wszystko mówi?

— Wszystko, co pragnę wiedzieć.

— I to głos powiedział, co pani de Grammont pisała do brata?

— Powtarzam: powiedział mi to głos. Czy nie można w to uwierzyć?

— Jakżeż mamy w to uwierzyć, hrabio? — rzekł Richelieu.

— A czy uwierzyłby pan, gdybym powiedział, co robi w tej chwili kurier jadący z listem do pana de Choiseul?

— Naturalnie! Uwierzyłbym, gdybym usłyszał głos. Niestety, panowie czarnoksiężnicy mają ten przywilej, że sami tylko widzą i słyszą rzeczy nadprzyrodzone.

Balsamo utkwiał w marszałku wzrok, pod którego ostrzem hrabina zadrżała, Richelieu zaś poczuł chłód w sercu.

— Tak, ja jeden widzę i słyszę rzeczy nadprzyrodzone — powiedział po dłuższym milczeniu. — Kiedy jednak mam do czynienia z osobami tej miary, co ty hrabino, i ty książę, podzielę się swoją tajemnicą. Czy chcielibyście usłyszeć głos?

— Tak, hrabio — odparł Richelieu zaciskając pięści, aby zapobiec ich drzeniu.

— Tak... — wyjąkała hrabina.

— A więc usłyszycie! Jakim językiem ma mówić?

— Jeśli można, po francusku — odpowiedziała hrabina. — Nie znam innych języków.

— A ty, mości książę?

— Podobnie jak hrabina: po francusku. Radbym powtórzyć to, co powie diabeł i przekonać się, czy mówi poprawnie językiem swojego przyjaciela Woltera.

Balsamo podszedł ku drzwiom prowadzącym do małego salonu i odwróciwszy się ku gościom, rzekł:

— Pozwólcie, żebym was zamknął. Nie chcę was zbyt narażać.

Hrabina zbladła i przysunąwszy się do marszałka schwyciła go za rękę.

Balsamo doszedłszy do schodów, które wiodły ku siedzibie Lorenzy rzekł głośno po arabsku:

— Przyjaciółko moja, czy słyszysz mnie? Jeżeli słyszysz, pociągnij taśmę od dzwonka i zadzwoni dwa razy.

W oczekiwaniu na skutek wezwania Balsamo patrzył na hrabinę i księcia, którzy z oczami i ustami szeroko otwartymi usiłowali zrozumieć, co mówi.

Kiedy dźwięk dzwonka przeszył powietrze, hrabina poruszyła się na krześle, książę zaś otarł czoło chusteczką.

— Ponieważ mnie słyszysz — mówił dalej Balsamo po arabsku — naciśnij gałkę marmurową, która znajduje się w prawym oku lwa na rzeźbie kominka. Kiedy kominek otworzy się, wejdź w otwór i schodami zejdziesz do pokoju obok salonu, w którym teraz jestem.

W chwili potem lekki szmer upewnił hrabiego, że rozkazy jego zostały zrozumiane i wykonane.

— Jaki to język? — spytał Richelieu udając spokojny. — Czy to język kabalistyczny?

— Tak, książę. Jest to język używany do wywoływania.

— Powiedział pan, że będziemy rozumieć. .

— Tak, co powie głos, a nie to, co ja będę mówić.

— A czy diabeł przyszedł?

— Któż ci mówił o diable, książę?

— Jak mi, się zdaje, wywołuje się tylko diabła...

— Wywoływać można każdego ducha, każdą nadprzyrodzoną istotę — wyjaśnił Balsamo, po czym dodał wyciągając rękę w stronę sąsiedniego pokoju: — Jest w bezpośrednim kontakcie ze mną.

— Boję się — rzekła hrabina. — A ty, książę?

— Dalibóg, wołałbym teraz być pod Mahon albo Philipsburgiem.

— Pani hrabino i ty, móści księżę, raczcie słuchać, skoro chcecie słyszeć — powiedział surowo Balsamo.

I obrócił się ku drzwiom.

ROZDZIAŁ LXXXV. GŁOS

Po chwili przytłaczającego milczenia Balsamo zapytał po francusku:

— Czy jesteś tutaj?

— Jestem — odpowiedział głos czysty i dźwięczny jak srebro, który przenikając przez drzwi zabrzmiał w uszach

obecnych raczej jak metal niż głos ludzki.

— O, do licha! To się staje interesujące — rzekł księżę. — I to wszystko bez pochodni, bez sztuczek magicznych i bez ogni bengalskich.

— To budzi grozę! — szepnęła hrabina.

— Uważaj pilnie na moje pytania — mówił dalej Balsamo. — Powiedz najpierw, ile osób znajduje się tu ze mną w tej chwili?

— Dwie: mężczyzna i kobieta.

— Przeczytaj w mojej myśli ich nazwiska. — Księżę de Richelieu i hrabina Dubarry.

Hrabina i marszałek ledwie stłumili okrzyki zdziwienia.

— Dobrze — mówił Balsamo. — A teraz przeczytaj pierwsze słowa listu, który trzymam w ręce.

Głos wykonał rozkaz, a zdziwienie hrabiny i księcia zaczęło przeradzać się w podziw.

— Co się teraz dzieje z tym listem, który przepisałem pod twoim dyktandem?

— Wiezie go człowiek ubrany w zieloną kurtkę, w skórzanej czapce i w wielkich butach.

— Jak wiezie?

— Na srokatym koniu. — Gdzie go widzisz? Nastąpiła chwila milczenia.

— Patrz! — rzekł Balsamo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Na wielkiej drodze wysadzonej drzewami. — Ale na jakiej drodze?

— Nie wiem. Wszystkie drogi są do siebie podobne.

— Jak to? Nic nie wskazuje, jaka to droga? Żaden drogowskaz, żaden słup, nie?

— Czekaj... Człowieka na koniu mija powóz... .

— Jaki to powóz?

— Ciężki pojazd, a w nim księża i wojskowi.

— Jakaś bryka — mruknął Richelieu.

— A czy na tym powozie nie ma żadnego napisu? — spytał Balsamo.

— Jest — odpowiedział głos. — Żółte i zatarte litery tworzą napis „Wersal”.

— Zostaw powóz i idź za koniem.

— Nie widzę go już, bo droga skręca.

— Skręć więc i dopędź go!

— Och, widzę! Pędzi co koń wyskoczy. Patrzy na zegarek.

— Co widzisz przed nim?

— Długą aleję, wspaniałe drzewa, wielkie miasto. — Nie spuszcza go z oka.

— Kurier ciągle przynagla konia, który oblewa się potem. Jego podkowy tłuką w bruk tak, że wszyscy się oglądają. Teraz kurier wjeżdża na ulicę, która prowadzi w dół. Skręca na prawo. Zwalnia. "Zatrzymuje się przed bramą pałacu.

— Teraz musisz śledzić go z wielką uwagą, czy słyszysz? W odpowiedzi rozległo się westchnienie.

— Jesteś znużona. Niech twoje znużenie minie, ja tak chcę!

— Ach!

— Czy widzisz kuriera?

— Tak. Wchodzi na wielkie kamienne schody. Prowadzi go lokaj w niebieskiej liberii z galonami. Przechodzi przez wielkie, złociste salony. Staje przed gabinetem. Lokaj otwiera drzwi.

— Co widzisz dalej?

— Kurier kłania się mężczyźnie, który siedzi za biurkiem, odwrócony tyłem do drzwi.

— Jak jest ubrany?

— Wytwornie, jak na bal. Widzę wstęgę błękitną na plecach.

— Popatrz na jego twarz;.

— Nie widzę... O, odwraca się!

— Jaką ma twarz?

— Oczy żywe, rysy nieregularne, piękne zęby.

— Ile ma lat?

— Pięćdziesiąt pięć albo trochę więcej.

— Książę! — szepnęła hrabina do ucha marszałkowi. Marszałek skinął głową potakująco, słuchając dalej uważnie.

— Co się dzieje teraz? — spytał Balsamo.

— Kurier oddaje mężczyźnie z błękitną wstęgą...

— Możesz mówić: księciu, bo to jest książę.

— Kurier oddaje księciu — ciągnął posłusznie głos — wyjęty ze skórzanej torby list. Książę otwiera list i czyta z uwagą.

— A potem?

— Bierze pióro, papier i pisze.

— Do licha! — nie wytrzymał marszałek szepcząc do hrabiny: — gdyby można było wiedzieć, co pisze!

— Powiedz mi, co pisze — nakazał Balsamo.

— Nie mogę.

— Bo jesteś za daleko. Wejź do gabinetu i zajrzyj przez ramię księcia. Czytaj!

— Już... Pismo jest niewyraźne, cienkie, zamaszyste.

— Czytaj, ja tak chcę!

Hrabina i marszałek wstrzymali oddech.

— „Moja siostrze — zaczęła głos z wahaniem i drżeniem — bądź spokojna. Miało miejsce przesilenie, to prawda, że poważne, ale już minęło. Czekam jutrzejszego dnia z niecierpliwością, bo jutro kolej na mnie. Mam zamiar przystąpić do działań zaczepnych i wszystko zdaje się rokować moje zwycięstwo. Co do Rouen — dobrze, to samo co do milorda X i petardy. Jutro, po widzeniu się z królem, dodam do listu post scriptum i pošlę ci go przez tego samego kuriera”.

Balsamo zdawał się z trudem wymuszać słowa, które wy- powiadał głos. Lewą ręką trzymał wyciągniętą, prawą zapisywał dyktowane słowa, które pisał w Wersalu pan de Choiseul.

— Czy to wszystko? — zapytał.

— Wszystko — odpowiedział głos.

— Co teraz robi książę?

— Składa papier, na którym pisał i kładzie do czerwonego portfela, który wyjął z lewej kieszeni. Odprawia gońca...

— Co mówi?

— Słyszałam tylko koniec zdania: „O godzinie pierwszej przy ogrodzeniu Trianon”. Kurier kłania się i odchodzi.

— Naznacza spotkanie po pracy, jak napisał w liście — zgadywał Richelieu.

Balsamo skinął ręką nakazując milczenie.

— Co teraz robi książę? — zapytał.

— Wstaje. Idzie z listem, który otrzymał, w stronę łóżka. Za łóżkiem naciska sprężynę i otwiera żelazną szkatułkę. Wrzuca list i zamyka szkatułkę.

— Och! — krzyknęli jednocześnie hrabina i marszałek. — To czary!

— Czy dowiedziałaś się, hrabino, wszystkiego o co ci chodziło? — zapytał Balsamo.

— Panie hrabio — odpowiedziała pani Dubarry, podchodząc do niego z obawą — wyświadczyłeś mi przysługę, za którą gotowa byłam dać dziesięć lat życia i za którą nie będę się mogła nigdy odwdziżyć. Żądaj ode mnie czego chcesz.

— Hrabino, przecież pani wie, że mamy z sobą porachunki.

— Mów, hrabio, czego chcesz.

— Jeszcze nie nadeszła pora.

— Kiedy nadejdzie, choćby milion... Balsamo uśmiechnął się.

— Daj spokój, hrabino! — zawołał marszałek. — Raczej tobie wypadałoby prosić pana hrabiego o milion. Czyż człowiek, który wie to, co wie i który widzi, co on widzi, nie jest w stanie odkrywać pokładów złota i diamentów we wnętrzu ziemi, podobnie jak odkrywa w sercach ludzkich myśli?

— A zatem, hrabio, korzę się bezsilna — rzekła hrabina.

— O, nie. Przyjdzie kiedyś dzień, w którym uregulujesz swój dług, hrabino. Podsunę ci sposobność.

— Hrabio, jestem zdruzgotany i zwyciężony — rzekł książę. — Chylę przed tobą czoła i oznajmiam ci, że wierzę.

— To tak, jak święty Tomasz, nieprawdaż, mości książę? To się nazywa nie wierzyć, ale zobaczyć.

— Nazywaj to, hrabio, jak chcesz, ja w każdym razie przyznaję się do winy i kiedy będzie mowa o czarnoksiężnikach, będę wiedział, co powiedzieć.

Balsamo uśmiechnął się.

— A teraz — zwrócił się do hrabiny — ponieważ mój duch się zmęczył, pani pozwoli, że go odprawię za pomocą zwykłej formuły magicznej.

— Proszę, panie hrabio.

— Lorenzo — rzekł Balsamo po arabsku — dziękuję ci. Kocham cię. Wracaj do swojego pokoju tą samą drogą, którą

-przyszłaś i czekaj na mnie. Idź, ukochana.

— Jestem bardzo zmęczona — odpowiedział głos po włosku. — Pośpiesz się, Acharacie!

— Zaraz przyjdę.

Przekonawszy się, że Lorenza wróciła do swego pokoju, Balsamo skłonił się głęboko, ale z godnością hrabinie i marszałkowi, którzy jak odurzeni, z chaosem myśli w głowach, opuścili siedzibę czarnoksiężnika.

Zdawali się podobni do ludzi pijanych raczej niż do istot obdarzonych rozumem.

ROZDZIAŁ LXXXVI. NIEŁASKA

Kiedy nazajutrz wielki zegar w Wersalu wybił godzinę jedenastą, Ludwik XV wyszedł ze swoich apartamentów i idąc galerią zawołał głosem donośnym i suchym:

— Pan de la Vrillière!

Król był błydy i wzburzony. Im bardziej starał się ukryć swoje samopoczucie, tym więcej objawiało się ono w niespokojnym wzroku i natężeniu mięśni twarzy, zwykle rozluźnionych.

Wśród dworzan trwało milczenie, zdawało się, lodowate. Książę Richelieu i wicehrabia Dubarry zachowywali się spokojnie, udając obojętność i nieświadomość sytuacji.

Książę de la Vrillière podszedł do króla, który wręczył mu list.

— Czy książę de Choiseul jest w Wersalu? — zapytał.

— Od wczoraj, Najjaśniejszy Panie. Wrócił z Paryża.

— Zanieś mu, książę, ten rozkaz.

Wśród zebranych rozległy się szepty. Dworzanie pochylili się ku sobie w grupach, jak kłosa naciskane wiatrem.

Król zmarszczył brwi, jak gdyby chciał spotęgować wrażenie chwili swoim złym humorem i wrócił sztywny do swojego gabinetu w towarzystwie kapitana gwardii i dowódcy szwoleżerów.

Oczy wszystkich skierowały się ku panu de la Vrillière, który równie jak inni pełen niepokoju szedł wolno przez dziedziniec zamkowy do pokoju księcia de Choiseul.

Zainteresowanie dworzan skupiło się teraz wokół starego marszałka, który udawał wielce zdziwionego, czemu jednak nikt nie dawał wiary, widząc jego wymuszony uśmiech.

Ledwie powrócił de la Vrilliere, wszyscy otoczyli go.

— No i co?

— Rozkaz wygnania.

— Czytałeś go, książę?

— Tak jest. Rozkaz formalny — odparł de la Vrilliere i zacytował z pamięci: — „Mój kuzynie, niezadowolone z twojej służby skłania mnie, abym cię zesłał do Chanteloup, dokąd udasz się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Zesłałbym cię gdzieś dalej, gdyby nie szacunek, jaki żywię do pani de Choiseul, której zdrowie leży mi na sercu. Strzeż się, aby twoje postępowanie nie zmusiło mnie do przedsięwzięcia innych kroków”.

Wśród zebranych zawrzało od komentarzy.

— I cóż ci na to odpowiedział, książę? — zapytał Richelieu, rozmyślnie pomijając nazwisko i tytuł ministra.

— Odpowiedział mi: „Mości książę, jestem przekonany, że -ci sprawiło przyjemność wręczenie mi tego pisma”.

— Twardo powiedziane — zauważył Jan Dubarry.

— Cóż chcesz, wicehrabio, gdy komu spadnie na głowę dachówka, trudno powstrzymać się od okrzyku.

— A co on robi, czy pan wie? — pytał dalej Richelieu.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa usłucha rozkazu.

— Hm... — mruknął marszałek.

— A oto on sam! — zawołał Jan, wyglądając przez okno.

— Idzie tutaj! — zdziwił się de la Vrilliere.

— Sam jeden?

— Tak, z teczką pod pachą.

— O mój Boże! — wyszeptał Richelieu. — Czyżby miała się powtórzyć wczorajsza scena?

— Lepiej nie mówić o tym. Cały drzę — powiedział Jan. Nie skończył jeszcze mówić, gdy u wejścia do galerii pojawił się książę de Choiseul, z podniesioną głową i pewnym siebie spojrzeniem, którym zdawał się razić przeciwników lub tych, co gotowi byli stać się przeciwnikami w wypadku jego popadnięcia w niełaskę.

Po tym co zaszło nikt się nie spodziewał, że minister przyjdzie, toteż przepuszczono go w milczeniu.

— Czy jesteś pewny, książę, żeś dobrze przeczytał? — zapytał Jan Dubarry.

— Jeszcze by też!

— A on wraca tutaj po takim liście!

— Słowo honoru, że nic nie rozumiem. — Ależ król go odeśle do Bastylii!

— To będzie niesłychanym skandalem!

— O, wchodzi do króla!

Istotnie, książę odsunął zagradzającego mu drogę odźwiernego i wszedł do gabinetu króla.

Ludwik XV ujrzawszy go krzyknął ze zdziwienia.

Książę trzymał w ręku karteczką z królewskim pismem. Pokazał je z miną pogodną, niemal uśmiechniętą.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — jak raczyłeś mnie o tym powiadomić wczoraj, odebrałem dopiero co nowy list.

— Tak — odparł król.

— I ponieważ Wasza Królewska Mość raczyłeś łaskawie oświadczyć mi, żebym nie uznawał nigdy za ważny listu, który nie będzie wyraźnie potwierdzony słowem królewskim, przychodzę prosić o wyjaśnienie.

— Będzie ono krótkie — oświadczył król. — Dzisiejszy list jest ważny.

— Ważny? List tak obrażający przywiązanego sługę?

— Przywiązany sługa nie wystawia swego pana na śmieszność.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł wyniośle minister — sądziłem, że urodziłem się wystarczająco blisko dworu, aby rozumieć jego majestat.

— Nie chcę trzymać pana w niepewności — odpowiedział król lakonicznie. — Wczoraj wieczorem w swoim pałacu przyjmował pan kuriera od pani de Grammont.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Kurier wręczył panu list.

— Najjaśniejszy Panie, czyż korespondencja między bratem i siostrą jest zakazana?

— Poczekaj książę, ja znam treść tego listu.

— O, Najjaśniejszy Panie...

— Oto jest. Przepisałem go własną ręką — rzekł król i podał ministrowi kopię listu.

— Najjaśniejszy Panie...

— Nie zapieraj się, mości książę. Schowałeś ten list do żelaznej szkatułki, która stoi za twoim łóżkiem.

De Choiseul zbladł jak upiór.

— I to jeszcze nie wszystko — dobijał go król. — Odpisałeś, książę, do pani de Grammont i treść tej odpowiedzi również znam. List ten ma pan w swojej teczce, tutaj. Czekają tylko na post scriptum, które miał pan dopisać po wyjściu z mojego gabinetu... Widzisz, książę, że jestem dobrze poinformowany.

Książę otarł czoło zlane zimnym potem, ukłonił się bez słowa i wyszedł chwiejąc się, jakby był bliski apopleksji.

Gdyby nie świeże powietrze, straciłby przytomność. Był to jednak człowiek stalowej woli. Wydostawszy się na galerię, przeszedł wśród szeregu dworzan z podniesionym czołem, a wróciwszy do swoich apartamentów odszukał i spalił różne papiery.

W kwadrans później opuścił zamek karetą.

Nielaska ministra Choiseula stała się zarzewiem, które roznieciło we Francji pożar.

Parlament, istotnie wspierany przez ministra, uznał, że kraj utracił swoje najmocniejsze oparcie. Szlachta trzymała jego stronę, duchowieństwo zawdzięczało mu życzliwość. Stronnictwo encyklopedystów albo filozofów, bardzo już liczne, a przede wszystkim silne, bo skupiające ludzi światłych i rzutkich, protestowało głośno widząc upadek ministra, który sprzyjał Wolterowi, udzielał Encyklopedii subwencji i pielęgnował tradycję pani de Pompadour, mecenas filozofów i pisarzy zgrupowanych wokół „Merkurysa”.

Racja była po stronie ludu, stykającego się z nagą i bolesną prawdą.

De Choiseul był złym ministrem i złym obywatelem, ale z drugiej strony odznaczał się nieugiętymi zasadami moralnymi i patriotyzmem. Lud żył w nędzy i głodzie, słysząc więc o rozrzutności króla, o kosztownych kapryśkach pani Dubarry i czytając ostrzeżenia w rodzaju Człowiek z czterdziestu talarami, lub rady takie, jak Umowa społeczna czy potajemnie kolportowane Wiadomości dnia i Osobliwe pomysły dobrego obywatela, obawiał się dalszego pogarszania sytuacji. Największą obawę budziła faworyta króla, „mniej godna szacunku niż żona węglarza”, jak powiedział Beauveau, i faworyci królewskiej faworytki, których wpływy zapowiadały przyszłość czarniejszą niż przeszłość. Nienawidząc możnych i obawiając się ich, lud nie żywił sympatii także i do swojego protektora — parlamentu, zaprzęgniętego w jałowe spory o swoje znaczenie. Walcząc o korzyści własne, parlament często zapominał o szerokich masach ludu, biorąc fałszywy przykład z wszechwładzy królewskiej i wyznaczając sobie rolę nowej arystokracji między szlachtą i ludem.

Lud nie cierpiał szlachty z instynktu i ze względu na pamięć krzywdy. Lękał się szpady i nienawidził kościoła. Klęska Choiseula nie ziębiła go ani parzyła, ale chętnie nasłuchiwał skarg szlachty, duchowieństwa i parlamentu. Odgłosy tych skarg i własne jego szemranie tworzyły już wrzawę, która go podniecała.

Pochodną tej sytuacji był niemal żal, jaki towarzyszył odejściu ministra i jego quasi popularność.

Dowodem tego był fakt, że cały Paryż towarzyszył aż do granic miasta wygnańcowi, zdążającemu do Chanteloup.

Wśród szpalerów stłoczonych mieszkańców znalazły się powozy członków parlamentu i tych, którzy nie mogli być przyjęci przez ministra, a pragnęli ukłonić mu się w czasie przejazdu i odebrać słowa lub znaki pożegnania.

Największy tłok panował przy rogatkach zwanych „Piekielnymi”, którędy wiedzie droga do Touraine. Zebrała się tu tak wielka ciżba pieszych, konnych i karet, że ruch przerwany był na kilka godzin.

Kiedy książę przejechał wreszcie przez rogatki, towarzyszyło mu przeszło sto karet, wieńczących jego karety jakby to była chwila triumfu.

Do jego uszu dobiegały okrzyki i westchnienia. Zbyt wiele jednak miał rozsądku i świadomości swoich walorów, by nie rozumieć, że cały ten tumult i zgiewk oznaczał nie tyle żal po nim, ile obawę przed tymi, którzy się podźwigną na jego ruinie.

Naprzeciwno pędził wóz pocztowy. Gdyby nie gwałtowny wysięk pocztyliona, białe od piany i kurzu konie wpadłyby na zaprzęg ministra.

Z powozu wychyliła się głowa mężczyzny. De Choiseul wyjrzał również ze swojej karety i w tym momencie pan d'Aiguillon, on bowiem był tym mężczyzną, uklonił się uprzejmie upadłemu ministrowi. Książę de Choiseul cofnął się szybko w głąb karety: jedna sekunda zwarzyła wawrzyny jego upadku.

Ale w tej samej niemal chwili, jakby na osłodę, ośrniokonny powóz z herbami Francji, jadący boczną drogą z Sevres do Saint Cloud, pojawił się zbiegiem okoliczności naprzeciwno.

W głębi powozu siedziała małżonka delfina z panią de Noailles, z przodu panna Andrea de Taverney.

Zarumieniony jeszcze niemal triumfalnym przejazdem przez miasto książę de Choiseul wychylił się ze swej karety i składając głęboki ukłon rzekł głosem przerywanym ze wzruszenia:

— Żegnam panią, Wasza Wysokość.

— Do zobaczenia, panie de Choiseul — odpowiedziała małżonka delfina z uśmiechem i pańską pogardą dla etykiety.

— Niech żyje pan de Choiseul — zawołał jakiś entuzjastyczny głos.

Andrea odwróciła się gwałtownie na ten głos.

— Na bok! — wołali masztalerze małżonki delfina, spychając Gilberta, bladego i z natężeniem obserwującego powóz arcyksiężniczki na skraju drogi.

Tak jest, był to nasz bohater, który wzniosł okrzyk na cześć ministra w zapale... filozoficznym.

ROZDZIAŁ LXXXVII. KSIĄŻĘ D AIGUILLON

Podczas kiedy w Paryżu i na drodze do Chanteloup widziało się wiele osób o minach skwaszonych i oczach zaczerwienionych, do Luciennes ściągali ludzie o twarzach wesołych i uśmiechniętych.

Bo w Luciennes królowała już teraz nie najpiękniejsza i najdostojniejsza ze śmiertelniczek, jak mówili dworacy i poeci, ale wręcz prawdziwe bóstwo rządzące Francją.

To było przyczyną, że wieczorem w dniu wyjazdu ministra droga z Wersalu do Luciennes zatłoczona była powozami tymi samymi, które z rana podążały za karety wygnańca. Ponadto widziano tam wszystkich stronników kanclerza, przekupstwa i protekcji, których liczba była niemała.

Pani Dubarry miała swoją policję i znała wraz z Janem nazwiska tych, którzy rzucili ostatni bukiet kwiatów na dogorywających Choiseulów. Jan donosił te nazwiska hrabinie, która bez litości stawiała nad nimi krzyżyki, wynagradzając przeciwników opinii publicznej protekcyjnym uśmiechem i demonstracją swojego bóstwa.

Richelieu, nieujawniony bohater tego dnia, czekał aż ustanie korowód odwiedzających hrabinę. Zajął z boku miejsce w jej buduarze i obserwował radość, wzajemne powinszowania, tłumione uśmiechy i entuzjastyczne gesty, które zawitały do Luciennes, jakby to miał być już zwyczaj powszedni.

— Trzeba przyznać — mówiła pani Dubarry — że hrabia Balsamo albo de Foenix, jak go chcesz, książę, nazywać, jest najwybitniejszym człowiekiem swojego czasu. Wielka byłaby szkoda, gdyby w dalszym ciągu palono czarnoksiężników.

— Tak, hrabino — zgodził się Richelieu — to wielki człowiek.

— I bardzo przystojny mężczyzna. Mam do niego pewną słabość.

— Pani wzbudza we mnie zazdrość — śmiał się marszałek i chcąc sprowadzić rozmowę na tematy poważniejsze powiedział: — Straszny to byłby minister policji ten hrabia de Foenix.

— Myślałam o tym, ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Ponieważ obnażyłby istotną wartość swoich sprzymierzeńców.

— Jak to?

— Wiedząc o wszystkim i rozpoznając wszystkie ich gry... Richelieu zarumienił się, czego nie zdołał ukryć róż na jego twarzy.

— Gdybym był jego sprzymierzeńcem — rzekł — chciałbym, żeby działał zawsze na naszą korzyść i żeby ci, hrabino, odkrywał karty: widziałabyś wtedy stałe waleta kierowego na kolanach damy i u stóp króla.

— Nikt cię nie przewyższy dowcipem, drogi książę. Ale pomówmy trochę o naszym ministerstwie... Przypuszczam, że zawiadomiłeś swojego synowca.

— D'Aiguillon? Przyjechał i to w okolicznościach, które rzymski wróżbita uznałby za najlepszą wróżbę: powóz jego spotkał się z karetą odjeżdżającego pana de Choiseul.

— Istotnie, to dobra wróżba... A więc on przyjdzie?

— Jestem zdania, że gdyby się teraz pojawił w Luciennes, mogłoby to dać powód do różnego rodzaju plotek. Prosiłem, żeby się zatrzymał na wsi, dopóki go nie wezwę, hrabino, na twój rozkaz.

— Proś go, książę, i to natychmiast, skoro jesteśmy już sami.

— Chętnie... A czy uzgodniliśmy już między sobą wszystko?

— Całkowicie... Czy chcesz, książę, ministerstwo wojny, czy skarbu? A może marynarki?

— Wolę ministerstwo wojny. Tu mógłbym być najbardziej użyteczny.

— Słusznie. Powiem o tym królowi. A czy nie będziesz miał, książę, przeciwników wśród tych, których zaproponuje król?

— Jestem człowiekiem, który bez trudności potrafi się zżyć ze swoim otoczeniem. Ale pozwolisz, hrabino, że wezwę synowca, skoro chcesz go widzieć.

To mówiąc marszałek podszedł do okna, dostrzegł w świetle zachodzącego słońca swojego lokaja i dał mu znak ręką. Lokaj oddalił się z pośpiechem.

W dziesięć minut później, gdy w apartamentach hrabiny zaczęto zapalać światło, na dziedziniec wjechał powóz. Pani Dubarry z ciekawością utkwiała wzrok w drzwiach.

Richelieu zauważył jej zachowanie. Uznał je za dobry prognostyk dla interesów pana d'Aiguillon, a więc i jego własnych.

— Podoba jej się stryj — rzekł w duchu — zaczyna się podobać synowiec. Będziemy tu rządzić.

Kiedy rozkoszował się tą chimeryczną myślą, otwarły się drzwi i lokaj zaanonsował księcia d'Aiguillon.

Był to mężczyzna przystojny i urodziwy, ubrany równie bogato, jak z elegancją i gustem. Pan d'Aiguillon przekroczył już wiek pierwszej młodości, ale należał do tych, którzy dzięki swojej sile wewnętrznej potrafili być młodzi aż do sędziwej starości.

Troski nie pomarszczyły mu czoła, a jedyna naturalna zmarszczka zdawała się być, jak u mężów stanu i poetów, świadectwem i przytulkiem wielkich myśli. Piękną głowę trzymał prosto i wyniosłe, jak gdyby wiedział, że ciąży nad nią nienawiść dziesięciu milionów ludzi, i jakby chciał pokazać, że podobny ciężar nie jest ponad jego siły.

Pan d'Aiguillon miał bardzo piękne ręce, które wydawały się białe i delikatne, szczególnie wśród koronek. Jego nogi posiadały rasowe kształty i tchnęły arystokratyczną elegancją. Łączył w sobie wrażliwość poety, szlachetność wielkiego pana, zwinność i masywność muszkietera.

Dla hrabiny był to ideał z kilku względów. Reprezentował typ mężczyzny, który działał na jej zmysły i pobudzał do miłości.

Zbieg okoliczności i taktyka pana d'Aiguillon sprawiły, że nie widzieli się jeszcze twarzą w twarz i że ich osobowości nie zetknęły się z sobą nawet na dworze, mimo niejakiego podobieństwa ich pozycji, jaką urobiła im nienawiść ogółu.

Od trzech lat d'Aiguillon przebywał w Bretanii i rzadko zjawiał się na dworze, zdając sobie sprawę, że dobrze jest wyczekać na odpowiedni moment. Chętnie godził się żyć na uboczu, pojmując korzyści, jakie daje wyłączenie się z biegu wydarzeń, aby wypłynąć we właściwym czasie z nowym obliczem.

Nad tymi jego kalkulacjami górowała jednak daleko ważniejsza racja, o charakterze romansowym.

Zanim pani Dubarry uzyskała tytuł hrabiny i korona Francji znalazła się w zasięgu jej warg, była ładnym, wesołym i lubianym stworzeniem. Była kochaną, a więc osiągnęła szczęście, na które nie mogła już liczyć, odkąd zaczęto się jej łąkać.

Wśród młodych, pięknych i bogatych mężczyzn, którzy zalecali się do Joanny Vaubernier i wśród wierszokletów, którzy rymowali „Lange” i „ange”, pierwsze miejsce zajmował kiedyś książę d'Aiguillon. Jednakże — może dlatego, że księciu nie spieszyło się albo, że panna Lange nie była dziewczyną tak łatwą, jak to twierdzili jej oszczercy, dlatego wreszcie, że miłość króla rozdzieliła dwa serca bliskie połączenia się — pan d'Aiguillon złamał swoje pióro i podarł wszystkie swoje wiersze, akrostychy słodkie i pachnące, wyjeżdżając do Bretanii, panna Lange natomiast zamknęła swoje mieszkanie przy ulicy Petits-Champs i skierowała wszystkie swoje westchnienia w stronę Wersalu, do barona de Gonesse, czyli do króla Francji.

Nagle zniknięcie pana d'Aiguillon nie zaprzętnęło początkowo uwagi pani Dubarry, ponieważ miała prawo obawiać się przeszłości. Później jednak, napotykając milczenie dawnego wielbiciela, była zaintrygowana, potem zdziwiona, a ponieważ umiała trafnie oceniać ludzi, osądziła, że książę d'Aiguillon jest człowiekiem rozsądnym.

W oczach hrabiny była to cenna zaleta, nie będąca jednak w stanie przysłonić innych zalet, na których jej zależało. Czekala więc na chwilę, kiedy książę okaże się człowiekiem z sercem.

Warto wyjaśnić, dlaczego biedna panna Lange miała swoje racje, aby obawiać się przeszłości. Pewien minister, jeden ze szczęśliwych niegdyś jej kochanków, dotarł za nią aż do Wersalu, aby zażądać od panny Lange odrobiny jej dawniejszych łask. Mimo że odszedł z kwitkiem, wydarzenie to odbiło się wstydliwym echem o ściany pałacu pani de Maintenon.

W rozmowach z panią Dubarry marszałek Richelieu ani razu nie wspomniał o swoim synowcu. To milczenie człowieka nawykłego do mówienia rzeczy najbardziej nawet drażliwych dziwiło a także niepokoiło hrabinę.

Oczekiwała więc niecierpliwie pana d'Aiguillon, żeby wyjaśnić sytuację i przekonać się, czy marszałek jest dyskretny czy też po prostu nie wie o niczym.

Wszedł książę d'Aiguillon.

Jego ukłon łączył szacunek z godnością i zarazem pewnością siebie, zawierał przy tym ów delikatny odcień, który informował, że tak się należy kłaniać królowej a nie zwyczajnej damie dworu, i który sprawił hrabinie ogromną satysfakcję.

Marszałek wziął synowca za rękę i podchodząc z nim do pani Dubarry rzekł przymilnie:

— Oto książę d'Aiguillon, hrabino. Mam zaszczyt przedstawić ci go nie jako mojego synowca, ale najgorliwszego twego sługę.

Hrabina spojrzała na księcia wzrokiem, przed którym nic nie zdoła umknąć. Zobaczyła dwie głowy, pochylone z uszanowaniem i dwie twarze, po złożeniu ukłonu spokojne i pogodne.

— Wiem, że kochasz księcia, panie marszałku — powiedziała — jesteś moim przyjacielem. A pana będę prosić, przez szacunek dla stryja, aby pan naśladował go we wszystkim, co tylko przyjemnego zrobi dla mnie.

— Taką właśnie ustaliłem sobie drogę postępowania przychodząc tutaj, pani hrabino — odparł d'Aiguillon z nowym ukłonem.

— Czy wiele pan ucierpiał w Bretanii?

— Tak, pani hrabino, i to jeszcze nie koniec.

— Przypuszczam, że jednak koniec. Oto marszałek de Richelieu, który pana skutecznie wesprze.

D'Aiguillon spojrzał na marszałka jakby zdziwiony.

— Widzę, że marszałek nie miał jeszcze czasu rozmówić się z panem — rzekła hrabina. — Musicie mieć wiele rzeczy sobie do powiedzenia, a więc pozostawiam was samych. Mości książę, czuj się tutaj, jak u siebie w domu.

To rzekłszy pani Dubarry odeszła.

Odeszła jednak niezbyt daleko. Tuż za buduaem znajdował się obszerny gabinet, w którym często przebywał król w czasie swoich odwiedzin w Luciennes. Wolał gabinet od buduaru, ponieważ tutaj miał okazję podziwiania wszelkiego rodzaju przedmiotów pochodzenia chińskiego i mógł słyszeć, co mówiono w sąsiednim pokoju.

Pani Dubarry była przekonana, że będzie słyszeć z gabinetu rozmowę marszałka z synowcem. Nie łatwo jednak było wyprowadzić w pole księcia de Richelieu. Znał on większość tajemnic siedzib

królewskich lub ministerialnych. Słuchać, kiedy prowadzono rozmowę, było jednym z jego utartych zwyczajów, mówić, kiedy słuchano, było jednym z jego forteli.

Zafrapowany jeszcze przyjęciem księcia d'Aiguillon przez hrabinę, postanowił przedstawić faworycie króla — korzystając z rzekomej jej nieobecności — wizję szczęścia i potęgi, której żadna piękna kobieta, tym bardziej kobieta ze środowiska dworskiego, nie zdoła się oprzeć.

— Widzisz, księżę, jestem tutaj zadomowiony — zagaił rozmowę.

— Tak, widzę — odpowiedział synowiec.

— Miałem szczęście pozyskać przychylność tej ślicznej kobiety, którą traktują jak królową i która nią jest faktycznie.

D'Aiguillon skłonił się w odpowiedzi.

— Mogę cię zapewnić, czego nie miałem okazji uczynić wcześniej, że pani Dubarry obiecała mi urząd ministra.

— Słusznie ci się to należy, panie marszałku.

— Nie wiem, czy mi się należy, ale tak się, wprowadzie dość późno, ma stać. A kiedy się to stanie, zajmę się tobą.

— Dziękuję, mości księżę, jesteś uczynny krewny, miałem tego już niejednego dowód.

— Jakie widzisz przed sobą perspektywy?

— Żadnych. Chyba tylko tę, żeby nie stracić tytułu księcia, o co zabiegają panowie z parlamentu.

— Czy masz zwolenników?

— Nikogo.

— Upadłbyś więc, gdyby nie obecna sytuacja?

— Jak długi.

— Sprowadziłem cię z Bretanii tak napędce, żebyś mógł tutaj odegrać ważną rolę... Czy pomyślałeś kiedy o roli, jaką w ciągu dziesięciu lat odgrywał pan de Choiseul?

— O, tak. Była to rola piękna i wielka.

— Piękna, kiedy z panią de Pompadour rządził królem i wypędził jezuitów, ale smutna, kiedy pokłócił się głupio z panią Dubarry, która jest warta stu pań de Pompadour. No i... został wypędzony w ciągu dwudziestu czterech godzin. Co ty na to?

— Słucham i zastanawiam się, do czego to zmierza.

— Masz uznanie dla roli, jaką odgrywał de Choiseul? — Istotnie, mam.

— A więc, mój drogi, ja postanowiłem odegrać teraz tę rolę.

D'Aiguillon odwrócił się nagle do stryja.

— Czy mówisz to serio? — zapytał. — Oczywiście! Dlaczegożby nie?

— Będziesz więc kochankiem pani Dubarry?

— Do licha! Szybko decydujesz co będzie, ale widzę, że mnie zrozumiałeś. De Choiseul był bardzo szczęśliwy, ponieważ rządził królem i jego kochanką. Mówią, że się kochał w pani de Pompadour. Ale do rzeczy... Przecież ja nie mogę być kochankiem, twój chłodny uśmiech o tym mówi. Patrzysz młodymi oczami na moje pomarszczone czoło, krzywe nogi i wychudłą rękę, która kiedyś była piękna. Otóż — zamiast powiedzieć: odegram rolę pana de Choiseul, powinienem powiedzieć: odegramy tę rolę.

— Stryju!

— Ależ tak! Nie mogę być przez nią kochany, mówię ci o tym bez obawy, ponieważ ona się nie dowie... Kochałbym tę kobietę ponad wszystko, ale...

D'Aiguillon zmarszczył brwi.

— Ułożyłem plan — ciągnął marszałek — w którym przewiduję, że podzielę się rolą... Ktoś z moich stronników będzie kochał panią Dubarry. Do diaska, wyborna okazja! Piękna kobieta...

I Richelieu podniósł głos.

— Nie Frousan oczywiście, bo to głupiec, tchórz i brutal... A więc, czy nie będziesz to ty?

— Ja? Oszalałeś, stryju?!

— „Oszalałeś?”... A więc jeszcze nie rzucasz się do nóg temu, który ci daje tę radę? Nie rozplywasz się z radości? Jeszcze się nie zakochałeś po tym przyjęciu? No, no, od czasów Alcybiadesa był jeden tylko Richelieu na świecie i już takich nie będzie... Widzę to dobrze.

— Mój stryju — powiedział ksiązę tonem, w którym można było wyczuć zarówno szczerść, jak i udawanie — pojmuję korzyść, jaką mógłbyś wyciągnąć z sytuacji, o której mówiłeś: rządziłbyś na podobieństwo pana de Choiseul, a ja byłbym kochankiem, który by podtrzymywał twoją władzę. Owszem, jest to plan godny najdowcipniejszego mężczyzny Francji, jednak układając go, zapomniałeś o jednej rzeczy...

— Jakiej?! — zawołał niespokojnie Richelieu. — Czyżbyś nie kochał pani Dubarry? O nieszczęsny, czy to możliwe?

— Ach nie, nie o to chodzi! — zawołał z kolei d'Aiguillon, jak gdyby wiedział, że ani jedno słowo nie pójdzie na marne. — Pani Dubarry, którą zaledwie znam, wydała mi się najpiękniejszą i najponętniejszą kobietą. Gotów jestem ją kochać do szaleństwa, ale...

— Ale co?

— Ale chodzi o to, że pani Dubarry nie będzie mnie kochać, a pierwszym warunkiem związku, który proponujesz stryju, jest miłość. Jak to możliwe, aby wśród tylu świetnych i młodych mężczyzn hrabina raczyła wybrać tego właśnie, który ma różne kłopoty i jest zmuszony do ukrywania się?

Gdybym znał panią Dubarry w czasie młodości i powodzenia, kiedy kobiety kochały we mnie wszystko, może by zachowała mnie w pamięci. Byłoby to wiele, nie ma jednak nic, co by mi dawało szansę. Trzeba się wyrzec tych planów, stryju... Tyle tylko, że zraniłeś moje serce marzeniem, tak pięknym i świetlistym...

W czasie, kiedy to mówił z uczuciem, którego by mu pozazdrościł sam Mole i co Lekain uznałby za godne przestudiowania, Richelieu przygryzał wargi, mówiąc sobie w duchu.

— Czyżby hultaj odgadł, że hrabina podsłuchuje? Do karta, jaki przebiegły! To lis, wobec którego miejmy się na ostrożności.

Marszałek miał słuszną rację: hrabina podsłuchiwała i każde słowo pana d'Aiguillon głęboko zapadło jej w serce. Upajała się jego wyznaniem, smakowała jego subtelność czując wdzięczność, że dawny jej wielbiciel nie zdradził ich wspólnej tajemnicy.

— A więc odmawiasz? — spytał Richelieu.

— Tak, stryju, ponieważ, na nieszczęście, nie widzę możliwości.

— Ale przynajmniej spróbuj! Będziesz stale blisko, codziennie zobaczysz hrabinę... Staraj się jej spodobać.

— Dla korzyści? Nie... Gdybym miał zyskać jej uczucie dla tego celu, uciekłbym na koniec świata ze wstydu przed sobą samym.

Richelieu potarł podbródek.

— Wszystko na nic — pomyślał — albo ten chłopak jest głupi.

Nagle na dziedzińcu rozległ się hałas i liczne głosy zawołały: „Król!”

— Do licha! — zawołał marszałek. — Król nie powinien mnie tu widzieć. Uciekam. Ciebie może widzieć... Zostań i, na miłość boską, wykorzystuj każdą sytuację!

To rzekłszy Richelieu wymknął się bocznym wyjściem, szepnąwszy księciu:

— Do jutra...

ROZDZIAŁ LXXXVIII. KRÓLEWSKI OBROŃCA

Książę d'Aiguillon, gdy został sam, był z początku dość zakłopotany. Doskonale rozumiał, co mu stryju powiedział: że pani Dubarry podsłuchiwała go, że człowiek roztropny musi w tych okolicznościach okazać się człowiekiem śmiałym i odegrać tę rolę, którą stary książę proponował odegrać wspólnie.

Przybycie króla nastąpiło w samą porę, gdyż pozwoliło uniknąć konieczności tłumaczenia się z powodu purytańskiego zachowania się księcia d'Aiguillon.

Marszałek nie był człowiekiem, którego można by długo oszukiwać, a nade wszystko nie dopuściłby nigdy do tego, aby czyjeś zalety błyszcząły nadmiernie kosztem jego własnych.

Ale kiedy był sam, miał dość czasu na właściwą ocenę rzeczy.

Król tymczasem rzeczywiście już nadchodził. Paziowie otworzyli drzwi do przedpokoju, a Zamora wybiegł naprzeciw królowi prosząc o cukierki. Za tę wzruszającą poufałość płacił Ludwik XV w przychylnym złego humoru szturchańcami lub targaniem za ucho, co oczywiście sprawiało młodemu Afrykańczykowi wielką przykrość.

Król zatrzymał się w gabinecie chińskim. Było to dla księcia d'Aiguillon dowodem, że pani Dubarry nie uroniła ani jednego słowa z jego rozmowy ze stryjem, gdyż teraz on słyszał również doskonale rozmowę króla z hrabiną.

Król zdawał się być znużony, jak człowiek, który dźwigał ogromne ciężary. Atlas nie był bardziej wyczerpany, kiedy przez dwanaście godzin podpierał całe niebo swoimi ramionami.

Kochanka królewska przymilała się do Ludwika XV, głaskała go i dziękowała pocałunkami. On zaś kazał opowiedzieć sobie dokładnie przebieg odprawy pana Choiseula. Ubawiło go to niezmiernie.

Wówczas pani Dubarry nabrała śmiałości. Była to dogodna pora dla jej planów. Czuła teraz w sobie odwagę, która zdolna była poruszyć z posad ziemię.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła — dokonałeś zniszczenia, to bardzo dobrze, że tak zrobiłeś, tak trzeba było, ale teraz trzeba odbudować to, co zostało zniszczone.

— Och, to już zostało zrobione — odparł król niedbale.

— Ustaliłeś już nowe urzędy ministerialne?

— Tak.

— I to tak nagle, bez zastanowienia?

— Ależ głowa!... Och, jesteś prawdziwą kobietą! Powiedz jednak, moja droga, czy przed oddaleniem kucharza, nie upatrzysz już przedtem innego na jego miejsce?

— Powiesz jeszcze może, że wyznaczyłeś już gabinet? Król podniósł się ciężko z obszernej sofy, na której leżał

raczej niż siedział, mając za poduszkę ramiona pięknej kochanki.

— Można by pomyśleć, Joasiu, widząc twoje zainteresowanie — rzekł — że wiesz już o nowych urzędach ministerialnych, że nie jesteś z nich zadowolona i masz inne propozycje.

— To nie byłoby znów taką nedorzecznością — rzekła hrabina.

— A więc masz coś jednak?

— Ty też — odparła.

— Och, to moja powinność, hrabino. Ale dobrze, proszę, przedstaw mi swoich kandydatów.

— Nie, ty zrób to wpierw.

— Proszę bardzo. Żeby ci dać dobry przykład! Pytaj.

— Najpierw marynarka. Cóż tam robi ten kochany pan de Praslin?

— A to coś nowego, hrabino. Człowiek, który nigdy nie widział morza.

— No więc kto?

— Załóżmy się, że nie zgadniesz.

— Ktoś, czyj wybór przyniesie ci popularność...

— Człowiek parlamentu, moja droga... Pierwszy prezydent parlamentu w Besançon.

— Pan de Boynes?

— Ten sam! Do licha, ależ ty jesteś mądra! Znasz tych ludzi?

— Muszę. Całymi dniami mówisz przecież o parlamencie. Ale ten człowiek nie wie nawet, co to wiośło.

— Tym lepiej. Pan de Praslin zanadto dobrze znał swoje rzemiosło i dlatego kosztował mnie tak wiele razem ze swoimi konstrukcjami okrętów.

— A komu powierzyłeś skarb, Najjaśniejszy Panie?

— O, skarb to zupełnie co innego. Wybrałem wyjątkowego człowieka.

— Finansistę?

— Nie... Wojskowego. Zbyt już długo finansisci mnie oskubują.

— Kto zatem stanie na czele ministerstwa wojny, na Boga!

— Uspokój się, moja kochana. Tu wyznaczyłem finansistę, Terraya, lubiącego grzebać się w rachunkach. Wykryje on wszystkie błędy, które popełnił w dodawaniach pan de Choiseul. Wiesz, początkowo zamierzałem powierzyć to ministerstwo, żeby przypodobać się filozofom, człowiekowi wspaniałemu, nieskazitelnemu, jak to oni powiadają.

— Aha! Komu więc? Wolterowi?

— Prawie... Kawalerowi du Muy... Prawdziwy Katon.

- Ach, Boże, przerażasz mnie.
- To było już postanowione... Przywołałem go do siebie, nominacja była już podpisana, dziękował mi. Lecz wtem dobry czy zły duch podszeptał mi, aby go zaprosić na dziś wieczorem do Luciennes.
- To straszne!
- No właśnie. Akurat dokładnie to samo, hrabino, powiedział mi pan du Muy.
- On to powiedział?
- Innymi słowami, ale ostatecznie sens był mnie] więcej ten sam. Powiedział mianowicie, że najgorętszym jego pragnieniem jest służyć królowi, lecz jest to niemożliwe, aby służył pani Dubarry.
- No, ładny ptaszek z tego twojego filozofa!
- Oczywiście zupełnie zrozumiałe, że wyciągnąłem do niego rękę, aby... odebrać mu nominację, którą podarłem w jego oczach z bardzo cierpliwym uśmiechem, na drobne kawałki, no i kawaler du Muy znikł. Ludwik XIV kazałby na pewno wrzucić tego hultaja do jakiegoś lochu w Bastylii. Ja jestem jednak Ludwik XV, mam więc swój parlament, który mnie chłoscze, zamiast żebym ja go chłostał. Oto na co mi przyszło!
- To nie ma znaczenia, Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina okrywając króla-kochanka pocałunkami. — Jesteś człowiekiem doskonałym.
- Nie wszyscy tak sądzą. Przeklęty Terray!
- Oni wszyscy tacy! A komu powierzyłeś sprawy zagraniczne?
- Temu pocziwemu Bertin, którego znasz.
- Nie.
- A więc, którego nie znasz.
- Nie widzę dotąd ani jednego ministra, który byłby coś wart.
- Powiedzmy. A jakich ty byś wybrała?
- Wymienię tylko jednego: marszałek.
- Co za marszałek? — rzekł król krzywiąc się.
- Księżę de Richelieu.
- Ten starzec? Ta zmokła kura?
- Dobrze sobie! Zwycięzca spod Mahon i zmokła kura!
- Stary rozpustnik...
- Najjaśniejszy Panie, był twoim towarzyszem.
- Pozbawiony zasad moralnych. Uciekają przed nim wszystkie kobiety.
- Cóż chcesz? To od tego czasu, odkąd nie ugania się za nimi.
- Nie wspominaj nigdy więcej o Richelieu, tym brudnym zwierzęciu. Ten zwycięzca spod Mahon oprowadzał mnie po wszystkich paryskich szulerniach. Śpiewano o nas ośmieszające piosenki. Nie, nie! Richelieu! Na samo nazwisko tracę panowanie nad sobą.
- A więc aż tak bardzo go nienawidzisz?
- Z całego serca. Wszystkich Richelieu.
- Wszystkich?
- A dlaczegożby nie? Taki, na przykład, Fronsac. Piękny z niego par i księżę. Z dziesięć razy zasłużył, aby łamano go kołem.
- Wydaję ci go chętnie. Ale są jeszcze inni Richelieu na świecie.
- Ach tak! Księżę d'Aiguillon na przykład.
- Właśnie!
- Można przypuszczać, że na te słowa gość w buduarze natężył słuch.
- Tego powinienem nienawidzić bardziej niż wszystkich innych, bo mi zwała na kark wszystkich krzykaczy z całej Francji. Ale mam do niego słabość, z której się nie potrafię wyleczyć. Jest przynajmniej śmiały i nie mam do niego odrazy.
- Przy tym człowiek rozumny — zawołała hrabina.
- I odważny, gotów bronić władzy królewskiej. To jest prawdziwy par!
- Po stokroć tak. Uczynił go więc kimś. Król spojrział na hrabinę.

— Czy to być może, hrabino, abyś proponowała mi to teraz, kiedy cała Francja domaga się ode mnie, abym go skazał na wygnanie i pozbawił godności książęcej?

Pani Dubarry również założyła ręce.

— Przed chwilą — rzekła — nazwałeś Richelieu zmokłą kurą. Ale to raczej tobie bardziej by odpowiadało to przezwisko.

— Hrabino!

— Jesteś dumny, ponieważ odprawiłeś pana Choiseula.

— To nie było łatwe.

— A jednak potrafiłeś. A teraz cofasz się przed następstwami.

— Nie rozumiem.

— No oczywiście. Bo co oznaczało usunięcie Choiseula?

— Był to policzek wymierzony parlamentowi.

— Właśnie. Zrób tak i teraz. Parlament chciał zatrzymać Choiseula, dałeś mu dymisję. Parlament chce usunąć księcia d'Aiguillon, ty go zatrzymaj.

— Przecież go nie odprawiam.

— Powinieneś go wynieść na wyższe stanowisko, nadać mu większe znaczenie.

— Czyżbyś chciała ministerstwa dla tego warchoła?

— Czemu nie? Uważam, że należy się nagroda temu, kto cię bronił narażając swój majątek i dostojeństwa.

— Powiedz raczej: swoje życie, bo niechybnie ukamienują go pewnego ranka, razem z twoim przyjacielem Maupeou.

— Bardzo byś podniósł na duchu swoich obrońców, gdyby usłyszeli, co o nich teraz mówisz.

— Odplacają mi oni pięknym za nadobne.

— Jesteś niesprawiedliwy, czyny przemawiają za nimi.

— O, zapewne. Tylko skąd u ciebie tyle zapału dla księcia d'Aiguillon?

— Zapału? Przecież ja go wcale nie znam. Widziałam go dzisiaj i rozmawiałam po raz pierwszy w życiu.

— A, to co innego. To jest więc przekonanie, a ja szanuję przekonania, nie mając sam żadnych.

— A więc uczyni coś dla Richelieu w imieniu d'Aiguillona, skoro nie możesz nic uczynić dla d'Aiguillona.

— Dla Richelieu!? O nie, nie, nic, przenigdy.

— A więc dla pana d'Aiguillon?

— Powierzyć mu ministerstwo w tej chwili, to jest niemożliwe.

— Rozumiem... Ale później?... Pomyśl tylko: to jest człowiek o olbrzymich zdolnościach, rzutki. Pozbawszy się Terraya, d'Aiguillona i Maupeou, będziesz posiadał za jednym zamachem trójgłowego Cerbera. Wreszcie nie zapominaj o tym, że te twoje ministerstwa, toż to przecież zabawa, która nie może potrwać długo.

— Mylisz się, hrabino, potrwa co najmniej ze trzy miesiące.

— Trzymam cię za słowo. A więc za trzy miesiące.

— O, hrabino, hrabino!

— Sam powiedziałaś. Potrzeba mi jednak coś na teraz. — Ale nie mam nic do obdzielenia.

— Masz swoich szwoleżerów. Pan d'Aiguillon jest oficerem, daj mu więc dowództwo nad szwoleżerami.

— Niech już będzie. Otrzyma je.

— Dziękuję! — zawołała hrabina z radosnym ożywieniem. — Dziękuję!

Książę d'Aiguillon miał możność usłyszeć w tej chwili odgłos całkiem prostackiego pocałunku, złożonego na policzku Ludwika XV.

— A teraz — rzekł król — każ podać wieszczę, hrabino.

— Nie — odparła pani Dubarry — tutaj nie możesz jej się spodziewać. Przygnębiła mnie ta polityka... Zresztą moja służba była zajęta wysłuchiowaniem mów i przyglądaniem się ogniom sztucznym, a nie kuchnią.

— Jedź więc ze mną do Marly.
 — Nic z tego, głowa mi pęka.
 — To połów się, hrabino.
 — Zamierzam właśnie to zrobić, Najjaśniejszy Panie.
 — A zatem żegnam.
 — To znaczy do zobaczenia.
 — Czuję się w skórze pana Choiseula: odprawiają mnie.
 — Odprowadzając z honorami, chwając i pieszcząc — dodała z głośnym śmiechem swawolna kobieta, popychając króla lekko ku drzwiom.
 Hrabina trzymała w ręku lichtarz oświetlając schody.
 — Byleby tylko biedny marszałek nie umarł — rzucił jeszcze na schodach król odwracając się i wstępując na stopień.
 — Dlaczego?
 — No, że ministerstwo uciekło mu sprzed nosa.
 — O, złośliwy jesteś, Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina wybuchając znowu głośnym śmiechem.
 Uradowany tym konceptem przeciwko księciu, którego rzeczywiście nienawidził z całej duszy, Jego Wysokość wyszedł od pani Dubarry wielce z siebie zadowolony.
 Gdy hrabina wróciła do buduaru, zastała tam księcia d'Aiguillon klęczącego pod drzwiami ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i z płomiennym wzrokiem utkwionym w królewskiej kochance.
 Ona zarumieniła się.
 — Nie powiodło mi się — rzekła. — Biedny ten marszałek.
 — Wiem o wszystkim — rzekł — słyszałem... Dziękuję, dziękuję ci z całego serca, o pani.
 — Sądzę, że byłam ci to winna — odpowiedziała z łagodnym uśmiechem. — Ale podnieś się, książę, bo inaczej gotowa jestem pomyśleć, że masz taką pamięć jak rozum.
 — Być może, że stryj mój powiedział ci, pani, że jestem twym żarliwym sługą...
 — Również i króla. Złożysz jutro uszanowanie Jego Królewskiej Mości. Proszę cię, wstań już...
 I podała mu rękę, którą ucałował z czcią.
 Hrabina musiała być tym bardzo wzruszona, gdyż nie rzekła więcej ani jednego słowa.
 Książę d'Aiguillon milczał także. Był zmieszany podobnie jak ona. W końcu pani Dubarry przemogła jednak wzruszenie i podniósłszy głowę rzekła:
 — Trzeba, aby biedny marszałek dowiedział się o swojej porażce.
 Książę uznał te słowa za stanowcze wezwanie do pożegnania. Złożył więc głęboki ukłon i powiedział:
 — Idę do niego, pani.
 — Ach, książę! Zła nowina niech przychodzi jak najpóźniej. Zrób coś lepszego, niż iść do marszałka. Zjedz ze mną wieczerzę.
 Księżciu krew uderzyła do głowy.
 — Nie jesteś kobietą — rzekł — jesteś...
 — Aniołem, nieprawdaż? — szepnęła jak najciszej hrabina, aby gorącymi wargami dotknąć jego ucha, i pociągnęła go z sobą do stołu.
 Tego wieczora d'Aiguillon uważał się za najszcześniejszego pod słońcem mężczyznę, zabrał urząd stryjowi i zjadł to, co się należało królowi.

ROZDZIAŁ LXXXIX. PRZEDPOKOJE KSIĘCIA RICHELIEU

Jak przystało na dworzanina, Richelieu posiadał pałac w Wersalu i Paryżu, dom w Marly i Luciennes, słowem wszędzie tam, gdzie miał rezydencje król.

Ludwik XIV zwiększając ilość miejsc swego pobytu, nakładał niejako na każdego uprzywilejowanego do udziału w wielkich czy małych przyjęciach obowiązek bogactwa, które umożliwiało dorównanie w pewnym stopniu królewskiemu trybowi życia i królewskim kaprysom.

W czasie, kiedy nastąpiło usunięcie Choiseula i Praslina, Richelieu mieszkał w swoim pałacu w Wersalu. Tu kazał się przywieźć poprzedniego dnia powróciwszy z Luciennes po przedstawieniu swego synowca pani Dubarry.

Widziano księcia de Richelieu z hrabiną w lasku Marły, widziano go potem, jak wpadł w niełaskę ministra, całemu dworowi znane było jego długie i tajemnicze posłuchanie w Luciennes. To wystarczyło, aby cały dwór, zwłaszcza po kilku niedyskretnych uwagach Jana Dubarry, czuł się w obowiązku złożyć wyrazy uszanowania księciu de Richelieu.

Stary marszałek mógł więc delectować się smakiem pochwał, pochlebstw i uniżoności, które wszyscy śpieszyli okazać nowemu bóstwu.

Richelieu nie przeczuwał jednak tego, co miało spotkać go później. Wstał tego dnia rano z mocnym postanowieniem uodpornienia się na uleganie tego rodzaju pokusom, podobnie jak Ulisses zatykał uszy woskiem, aby nie słyszeć śpiewu syren.

Ważne dla niego wydarzenie miało nastąpić dopiero nazajutrz, to jest, kiedy przewidziane było powołanie przez króla nowych ministrów.

Wielkie przeto było zdziwienie marszałka, kiedy przebudziwszy się, a raczej będąc przebudzony turkotem powozów, dowiedział się od kamerdynera, że na dziedzińcach pałacowych, w przedpokojach i salonach panuje nieopisany tłok.

— Ho, ho, widać, że narobiłem niemało hałasu — rzekł książę zrzucając żwawo szlafmycę.

— Jeszcze bardzo wcześnie, panie marszałku — powiedział kamerdyner widząc tę skwapliwość.

— Odtąd — odparł książę — nie będzie dla mnie wczesnej godziny, pamiętaj o tym.

— Dobrze, jaśnie panie.

— Co powiedziano gościom?

— Że jaśnie oświecony książę jeszcze nie wstał.

— I nic więcej? To głupio. Trzeba było dodać, że pracowałem do późnej nocy albo że... Zresztą, gdzie jest Rafté?

— Pan Rafté śpi jeszcze.

— Jak to śpi! Ależ budzić go, budzić natychmiast, nieszczęśnika!

Na , progu ukazał się w tej samej chwili rzeźki i uśmiechający się dobrodusznie staruszek.

— Oto jest i Rafté — powiedział. — Czego chcesz ode mnie, panie?

Całe zniecierpliwienie księcia znikło jak za dotknięciem ręki.

— Zaraz myślałem, że już nie śpisz.

— A gdybym nawet spał, cóż w tym dziwnego? Toż to świt ledwie.

— Ależ, kochany Rafté, widzisz przecież, że ja nie śpię!

— To co innego, jesteś ministrem... Jakżebyś mógł spać?

— O, widzicie go, będzie mi tu burczeć — rzekł marszałek strojąc miny przed zwierciadłem. — Może nie jesteście zadowoleny?

— Ja? Cóż to mnie obchodzi? Namęczysz się, a potem rozchorujesz. A z tego wynika, że to na mnie spadnie kierowanie krajem, a to wcale nie jest przyjemne, mości książę.

— O, zestarzałeś się, Rafté, i zrzędzisz.

— Jestem jednak o cztery lata młodszy od ciebie, mości książę. Ale jestem stary, o, tak, tak...

Marszałek z niecierpliwością tupnął nogą.

— Czy ktoś przechodził przez pokój?

— Tak.

— Któż tam jest?

— Wszyscy.

— Co mówią?

— Każdy powtarza, o co cię ma prosić.

— To zrozumiałe. Ale czy nie słyszałeś, co mówią o mojej nominacji?

— Wolałbym o tym nie wspominać.

— A! Już krytykują?

— I to ci, którzy ciebie potrzebują. Cóż dopiero będzie z tymi, których ty będziesz potrzebował.

— Ach, Rafté — rzekł książę z wymuszonym uśmiechem — ci, którzy powiedzą, że ty mi schlebiasz...

— Mości książę — przerwał Rafté — po cóż zaprzęgać diabła do tego pługa, który nazywają ministerstwem. Sprzykrzyło ci się już spokojne, szczęśliwe życie?

— Mój kochany, wszystkiego już zakosztowałem, prócz szczęścia...

— Do licha! Nie kosztowałeś na przykład nigdy arszeniku, dlaczego nie wypijesz go więc w czekoladzie, tak, przez ciekawość...

— Rafté, jesteś próżniak! Przewidujesz, że będziesz miał jako mój sekretarz huk roboty i dlatego jesteś temu niechętny.

Marszałek kazał się ubierać z niezwykłą starannością.

— Nadaj mi wygląd wojskowy — polecił kamerdynerowi — i przypnij ordery za zasługi wojenne.

— Zdaje się, że chodzi o sprawy wojskowe?

— Zdaje się.

— Ale — ciągnął Rafté — nie widziałem jeszcze nominacji królewskiej i to nie jest w porządku.

— Nadejdzie bez wątpienia.

— A więc „bez wątpienia” stanowi dziś słowo urzędowe?

— Ach, zrobiłeś się strasznie nudny, Rafté, starzejesz się zastraszająco. Stałeś się pedantyczny i małostkowy. Gdybym mógł to przewidzieć, nie kazałbym ci nigdy pisać dla mnie mowy na przyjęcie do Akademii. To ona z ciebie zrobiła pedanta.

— Posłuchaj mnie, mości książę, jeśli łaska. Rządy są w naszych rękach, będziemy dokładni... A to wszystko jest bardzo dziwne...

— Cóż jest w tym dziwnego?

— Pan hrabia de la Vaudraye, rozmawiając ze mną na ulicy, powiedział mi, że z tym ministerstwem to nie jest nic jeszcze pewnego.

Richelieu uśmiechnął się.

— Pan de la Vaudraye ma słuszność — rzekł. — Ale ty już wychodziłeś dzisiaj na ulicę?

— Ten przeklęty turkot karet nie pozwolił mi spać, ubrałem się więc, przyczepiłem ordery wojskowe i przeszedłem się po mieście.

— Pan Rafté żartuje sobie ze mnie...

— Niech mnie Bóg strzeże, mości książę! Przechadzając się tak, spotkałem jeszcze kogoś.

— Kogóż to?

— Sekretarza księcia Terray.

— No i co?

— No cóż, powiedział mi, że jego pan został ministrem wojny.

— O, ho, ho... — mruknął Richelieu z zagadkowym uśmiechem.

— Co z tego wnosisz, książę?

— Że jeżeli Terray jest ministrem wojny, to ja nim nie jestem. Jeżeli natomiast on nim nie jest, to może ja nim jestem.

Rafté uznał, że zrobił dość, aby mieć spokojne sumienie. Był to człowiek śmiały, niezmordowany w działaniu, ambitny i jak jego pan dowcipny, ale o wiele lepiej zaprawiony do walki, gdyż był świadomy skutków przynależności do stanu chłopskiego i wynikającej stąd zależności. Czterdzieści lat służby wyćwiczyło go w przebiegłości, zręczności umysłu i twardości postępowania. Pewność księcia Richelieu zrodziła w panu Rafté przekonanie, że i on nie ma czego się obawiać.

— Mości książę — rzekł — nie każ na siebie zbyt długo czekać, byłaby to zła wróżba.

— Jestem gotów. Ale kto przybył, pytam raz jeszcze?

— Oto lista.

I Rafté podał ją księciu, który znalazł na niej najprzedniejsze nazwiska szlachty, sędowników i finansistów.

— A gdybym tak stał się popularny, co byś powiedział Rafté, hę?

— Żyjemy w wieku cudów — odparł sekretarz. Marszałek czytał dalej listę.

— Patrz! — zawołał w pewnej chwili. — De Taverney! A ten czego chce?

— Nie wiem, mości księżę. Najwyższy czas już wyjść.

I sekretarz prawie wypchnął swego pana do wielkiego salonu.

Richelieu był z siebie bardzo zadowolony. Przyjęcie, jakie go spotkało, zrobiłoby wrażenie nawet na księciu krwi.

Ale cała ta grzeczność — pełna wyrafinowania, pochlebstw, zręczności i obłudy, tak bardzo właściwa dla owej epoki i tego środowiska, stała się czynnikiem, który przyczynił się do bezwzględności i dotkliwego rozwiania wszelkich złudzeń.

Zasady dobrego zachowania i szacunek dla etykiety nie pozwoliły tłumowi gości wymówić słowa „ministerstwo”. Odważniejsi, widząc, że Richelieu odpowiedział z zakłopotaniem, pozwolili sobie na złożenie ogólnikowych powinszowań, unikając jednak starannie wymienienia tego słowa.

Wszystkim było wiadomo, że te odwiedziny o wschodzie słońca stanowiły pewną manifestację uczuć, połączoną także z życzeniami.

W owej epoce zdarzało się dość często, że pewne zjawiska o nieuchwytnych niemal odcieniach były tak samo przez wszystkich przyjmowane i jednakowo oceniane.

Niektórzy dworzanie ośmielali się w rozmowach wyrażać swoje życzenia, nadzieje, a nawet żądania.

Ktoś wolałby, aby rząd znajdował się bliżej Wersalu. Sprawiłoby mu przyjemność porozmawiać o tym z mężem obdarzonym takim zaufaniem, jak pan de Richelieu.

Ktoś inny twierdził, że został trzykrotnie pominięty przez pana Choiseula w odznaczeniu orderem. Liczył na pana de Richelieu, który przypomni o tym zaniedbaniu Najjaśniejszemu Panu, skoro nic już teraz nie stoi na przeszkodzie w dopełnieniu sprawiedliwości i okazaniu dobrej woli króla.

Ze sto różnych próśb, mniej lub więcej natarczywych, ale kunsztownie osłoniętych niedomówieniami, dotarło do uszu uradowanego tym marszałka.

Wreszcie powoli goście rozeszli się. Nie należało bowiem, jak mówiono, przeszkadzać dłużej panu marszałkowi w pełnieniu „jego ważnych czynności.”

Jeden tylko człowiek pozostał w salonie.

Nie podchodził przedtem z innymi do księcia, o nic nie prosił, nawet się nie przedstawił.

Kiedy goście wyszli, człowiek ten zbliżył się do księcia z uśmiechem na ustach.

— A, pan de Taverney — rzekł marszałek. — Niezmiernie się cieszę.

— Czekałem na ciebie, księżę, aby móc ci złożyć prawdziwe życzenia.

— Ach tak, życzenia czego? — zapytał Richelieu.

— Chciałem powinszować ci, księżę, nowej godności.

— Nie, nie — zaproponował marszałek — nie mówmy o tym, nic jeszcze nie wiadomo, to są tylko pogłoski.

— Jednakże, mój kochany marszałku, wiele osób jest tego samego zdania co i ja, świadczył o tym ścisk w twoich salonach.

— Doprawdy, nie wiem, czemu to przypisać.

— O, ja za to wiem dobrze!

— Więc, dlaczego?

— Powiem krótko. Wczoraj miałem zaszczyt przedstawić się królowi w Trianon. Najjaśniejszy Pan mówił o moich dzieciach, a na zakończenie dodał: „Zna pan zapewne księcia Richelieu. Jemu proszę złożyć życzenia.”

— Najjaśniejszy Pan to powiedział? — rzekł Richelieu pełen dumy, jakby te słowa były urzędową nominacją, w której istnienie Rafté tak wątpił, niecierpliwiąc się, że ogłoszenie jej opóźnia się niepokojąco.

— Nic więc dziwnego, że się domyśliłem, o co chodzi. Nie było to zresztą trudne, skoro cały Wersal zjawił się tak skwapliwie, aby okazać ci swoje uczucia. Oczywiście i ja chciałem zadośćuczynić woli króla, składając ci życzenia, oraz być posłusznym szczególnemu uczuciu, jakie żywię do ciebie ze względu na naszą dawną przyjaźń.

Księżę wpadł w upojenie. Jest to wrodzona słabość ludzka, której nawet najtęższe głowy nie potrafią się ustrzec. W Taverneyu widział księżę jednego z proszących ostatniego rządu, nieboraka opóźnionego w zdobywaniu względów, należącego do ludzi, których nie warto popierać, którzy są bez

wątpienia bezużyteczni właśnie przez to, że wynurzyli się po dwudziestu latach z ciemności na światło dzienne, aby ogrzać się w słońcu pomyślności u boku tych, którym się lepiej wiedzie.

— Wiem dobrze, co to znaczy — powiedział marszałek dość ostro. — Chodzi o udzielenie pomocy.

— Właśnie, trafnie to określiłeś, książę.

— Ach tak! — rzekł Richelieu siadając, a raczej zagłębiając się w fotelu.

— Mówiłem już, że mam dwoje dzieci — podjął znowu Taverner, zwiększając swą przebiegłość, bo dostrzegł oziębłość w zachowaniu swego przyjaciela i uznał za stosowne natrzeć ze zdwojoną siłą. — Mam córkę, którą bardzo kocham i która jest wzorem cnoty i uosobieniem piękności. Znajduje się pod opieką małżonki delfina, która raczyła przyjąć ją do swoich łask. Nie o niej też chcę mówić, jej los już ułożony i zapewniony, kierunek wyznaczony, droga otwarta. Może widziałeś kiedy moją córkę? Czy ci jej nie przedstawiałem? Może coś o niej słyszałeś nawet?

— Hm... nie wiem, — rzekł niedbale Richelieu — może.

— A więc z córką jest już wszystko dobrze — ciągnął dalej. — Ja również nie potrzebuję niczego, król dał mi nienajgorszą pensję, z której się utrzymuję. Chciałbym co prawda, przynajmniej, mieć jakiś pokaźniejszy fundusz na odbudowanie Maison-Rouge, gdzie pragnąłbym urządzić swoją rezydencję. Przy twoim znaczeniu, wobec względów, jakimi cieszy się moja córka...

— Ech! — mruknął Richelieu pogrążony w rozmyśleniach o swojej wielkości słuchając z roztargnieniem wywodów pana de Taverner. Gdy jednak usłyszał słowa: moja córka, ocknął się natychmiast.

— Ta twoja córka — powiedział do siebie — wzbudza właśnie swą młodością i pięknnością podejrzenia u dobrej hrabiny. To mały skorpion, który ogrzewa się pod skrzydłami małżonki delfina, aby ukąsić kogoś w Luciennes... Nie, nie będziemy złymi przyjaciółmi i kochana hrabina, która uczyniła mnie ministrem, przekona się, że umiem być wdzięczny i okazać to w potrzebie.

A głośno rzekł dumnie do barona de Taverner:

— Proszę mówić dalej.

— Już zbliżam się do końca — zaczął baron, śmiejąc się w duchu z marszałka i gotów do wszystkiego, byle otrzymał od niego to, czego chciał. — Myślę więc jedynie o losie mojego syna Filipa, który nosi bardzo piękne imię, ale któremu nigdy nie nadarzy się sposobność podpisania się tym imieniem, jeżeli mu nikt nie dopomoże. Filip to chłopiec dzielny i rozsądny, może nawet trochę za rozsądny. Ale to jest skutek jego oślapanego położenia. Jak wiadomo, koń trzymany za krótko, prędko zwiesza głowę.

— Co mnie to obchodzi? — pomyślał marszałek, niedwuznacznie okazując znudzenie i niecierpliwość.

— Trzeba by — ciągnął dalej bezlitośnie Taverner — kogoś wysoko postawionego, jak ty, aby powierzono mu dowództwo kompanii... Małżonka delfina, wjeżdżając do Strasburga, nadała mu stopień kapitana. Tak, ale na to, żeby mieć pod rozkazami piękną kompanię w którymś z uprzywilejowanych pułków kawalerii... Wyjednaj mi to, mój wielki przyjacielu.

— Twój syn — rzekł Richelieu — to ten młody człowiek, który wyświadczył przysługę małżonce delfina, prawda?

— Wielką przysługę! — zawołał Taverner. — On zatrzymał konie dla Jej Królewskiej Wysokości, które chciał zabrać przemocą na ostatniej stacji Dubarry.

— Ach! — rzekł do siebie Richelieu. — Akurat właśnie to! Oprzeć się na kimś, kogo hrabina uważa za swego najzjadlejszego wroga... Dobrze się wybrał ten Taverner, nie ma co! Bierze za tytuł do zasług to, co jest tytułem do potępienia...

— Nie odpowiadasz mi, książę — odezwał się Taverner, rozgniewany nieco upartym milczeniem marszałka.

— To, czego żądasz, jest niepodobieństwem, mój kochany Taverner — odparł marszałek i wstał, dając tym do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

— Niepodobieństwem? Taka drobnostka niepodobieństwem? I to mi mówi stary przyjaciel?

— A dlaczego by nie? Czy to, że jesteś przyjacielem, stanowi dostateczną przyczynę, aby jeden z nas dopuścił się niesprawiedliwości, a drugi nadużył słowa przyjaźni? Nie znałeś mnie przez dwadzieścia lat, gdy byłem niczym. Teraz dopiero przypomniałeś mnie sobie.

— Panie Richelieu, pan jest niesprawiedliwy...

— Nie, mój kochany, nie chcę tylko, żebyś przesiadywał w przedpokojach. Jestem prawdziwym przyjacielem i dlatego...

— Masz na pewno jakiś ukryty powód, dla którego odmawiasz.

— Ja?! — zawołał Richelieu zaniepokojony podejrzeniem, jakie mogło powstać w panu de Taverney. — Jakiż ja mógłbym mieć powód?

— Mam nieprzyjaciół...

Księżę mógłby po prostu ujawnić swoje myśli, ale wtedy odkryłby przed baronem, że z wdzięczności oszczędza panią Dubarry, musiałby wyznać, że jest ministrem dzięki faworycyce królewskiej, a do tego marszałek nie przyznałby się za żadne skarby świata.

— Żadnych nie masz nieprzyjaciół, mój drogi przyjacielu. Natomiast ja ich mam. Udzielić tej łaski, o którą prosisz, bez zastanowienia, znaczyłoby, że idę w ślady Choiseula. A ja, mój kochany, nie chcę popełniać błędów mego poprzednika w zarządzaniu krajem. Od dwudziestu lat zastanawiam się nad wprowadzeniem reform, nad postępowaniem. Mam nadzieję je urzeczywistnić. Obdarzanie łaskami gubi Francję. Ja zajmę się zasługami. Pisma naszych filozofów to pochodnie, które nie na próżno dostrzegły moje oczy. Ciemności minionych dni rozproszyły się, a była to już najwyższa pora, aby pomyśleć o szczęściu naszego kraju... Dlatego pomyślę też o twoim synu i rozpatrzę jego sprawę tak, jak każdego innego obywatela, który by przyszedł do mnie, zgodnie z jego zasługami. Czynię niewątpliwie bolesną ofiarę z moich uczuć, ale co znaczy ofiara jednego człowieka wobec korzyści, jakie to może przynieść trzystu tysiącom innych... Jeżeli syn twój, pan Filip de Taverney, okaże się godnym względów, otrzyma to, o co prosisz, ale nie dlatego, że jest synem mojego przyjaciela, tylko dlatego, że na to sam zasłużył. Oto mój obowiązek, oto mój plan działania.

— To jest wykład filozoficzny — odpowiedział stary baron gryząc ze złości paznokcie i tłumiąc gniew ciężkim uczuciem przygnębienia, które wywołała świadomość bezcelowości całej rozmowy, kosztującej go tyle upokorzenia i małych podłostek.

— Mówisz, że to był wykład filozofii? Niech i tak będzie, cóż chcesz, piękne słowo.

— Które uwalnia od dobrych czynów, prawda, panie marszałku?

— Złym jesteś dworzaninem — rzekł Richelieu z zimnym uśmiechem.

— Ludzie o tym znaczeniu, co ja, są tylko dworzanami króla!

— Ech, ludzi o takim znaczeniu przyjmuje w moich przedpokojach pan Rafté, mój sekretarz. Przybywają z nie wiedzieć jakich dziur prowincjonalnych, gdzie nauczyli się grzeczności okazywanej domniemanym przyjaciółom, rozповідаjąc przy tym o swoich przyjaznych uczuciach i skłonności do harmonii we współżyciu.

— Naturalnie, to zrozumiałe, że Maison-Rouge, którego szlachectwo sięga wypraw krzyżowych, nie może znać się tak dobrze na harmonii jak skrzypek Vignerot.

Marszałek okazał więcej rozwagi niż Taverney, Mógł przecież rozkazać, aby wyrzucono barona przez okno. Nie uczynił tego. Poprzestał na wzruszeniu ramion i zadowolił się taką oto odpowiedzią:

— Bardzo jesteś zapóźniony, mój panie krzyżowcu. Znasz paszkwile parlamentu z roku 1720, nie zapoznałeś się z odprawą, jaką im dali książęta i parowie. Przejdź się, proszę kochany panie, do mojej biblioteki, tam Rafté da ci do przeczytania różne rzeczy, które cię niewątpliwie zainteresują.

I w ten sposób, uciekwszy się do zręcznego konceptu, wyprowadzał swego przeciwnika. Wtedy drzwi otworzyły się niespodzianie i do pokoju wszedł z hałasem mężczyzna z czerwoną twarzą, oczyma rozszerzonymi z zadowolenia i zawołał:

— Gdzie też może być ten nasz kochany książę?

Był to Jan Dubarry.

Na ten widok de Taverney cofnął się ze zdumienia, gniewu i odrazy.

Jan dostrzegł to zachowanie, poznał tę twarz i obrócił się tyłem.

— Zdaje się, że zrozumiałem — rzekł baron spokojnie. — Odchodzą. Zostawiam pana ministra w wybornym towarzystwie.

I oddalił się z godnością.

ROZDZIAŁ XC. ROZCZAROWANIE

Jan, rozgniewany tym wyzywającym zachowaniem barona, zrobił za nim kilka kroków, ale potem jakby się rozmyślił, wzruszył tylko ramionami i wrócił do marszałka.

— Przyjmujesz u siebie takie indywidua? — zapytał.

— Skądże, wypędzam!

— A czy wiesz, kto to jest?

— Niestety, tak.

— Nie, ale czy wiesz dokładnie?

— To jest Taverney.

— To jest człowiek, który chce podsunąć swą córkę królowi...

— No, no!

— Ten pan chciałby pozbyć się nas i nie przebiera w środkach prowadzących do tego celu... O, ale na szczęście jest tutaj Jan, Jan czuwa, Jan wszystko dobrze widzi.

— Czy przypuszczasz, że on chciałby...

— Czy tak trudno tego się domyślić? Partia delfina, mój drogi... Mają swojego zabijakę, który chwytą poczciwych ludzi za tydki, który zadaje cios w ramię biednego Jana...

. — Tobie? Więc to jest twój osobisty wróg, kochany hrabio? — rzekł Richelieu udając zdziwienie.

— Tak, to jest mój przeciwnik w zatargu o konie, wiesz przecież o tym...

— Hm... Ale sam powiedz, co to znaczy znać się na ludziach. Nie wiedziałem o tym, a odprawiłem go z kwitkiem. Gdybym wiedział, to bym go nie wyprosił, ale wyrzucił za drzwi. Ale możesz być spokojny. Teraz ten zawadiaka jest w moim ręku i odczuje to na własnej skórze.

— Tak, teraz możesz go oduczyć awantur, bo nareszcie jesteś...

— Tak, zdaje się, hrabio, że to już sprawa zdecydowana.

— W zupełności... Pozwól, niech cię uściskam. Tak, dalibóg, było krucho, ale wszystko głupstwo, jeżeli kończy się dobrze. Jesteś pewnie ogromnie zadowolony, co?

— Czy mogę mówić z tobą szczerze? Sądzę, że tak, bo jestem przekonany, że się przydam.

— Co do tego nie potrzebujesz mieć wątpliwości. Jednakże znajdą się tacy, którym to nie będzie się podobać.

— Czy ludzie nie są mi przychylni?

— Tobie, książę? Są ani za tobą, ani przeciw tobie. Jego za to nienawidzą.

— Jego? — spytał książę. — To znaczy kogo?

— Członkowie parlamentów są tym oburzeni. Uważają to za nawrót do sposobów rządzenia Ludwika XIV. Czują się, jakby ich wychowywano, książę! Potężny to cios dla parlamentów.

— Niewiele z tego rozumiem. Powiedz jaśniej, wytłumacz...

— Ależ to tłumaczy się samo przez się nienawiścią parlamentów do sprawcy prześladowań.

— Ach, myślisz więc...

— Jestem tego pewny, jak cała Francja. Zresztą mniejsza o to, książę, świetnie, że go sprowadziłeś, przyszło to w samą porę.

— Ale kogo, hrabio, kogo?... Stoję jak na szpilkach, nie pojmuję ani słowa z tego, co do mnie mówisz.

— Mówię przecież o panu d'Aiguillon, twoim synowcu.

— Więc co z tego?

— No, mówię, że dobrze zrobiłeś sprowadzając go tutaj.

— A, bardzo dobrze, bardzo dobrze! Chciałeś powiedzieć, że mi będzie pomagał, prawda?

— Będzie pomagał nam wszystkim... Wiesz, że jest w wielkiej zażyłości z Joasią.

— Doprawdy?

— Oczywiście. Rozmawiali już z sobą i porozumieli doskonale.

— Wiesz o tym?

— O to nie trudno. Joasia jest strasznym śpiochem. Wstaje o dziewiątej, dziesiątej, jedenastej.

— No to co z tego?

— A to, że dziś około szóstej rano widziałem w Luciennes odjeżdżający powóz księcia d'Aiguillon. Czy ci to nic nie mówi? Uznasz chyba, że aby wstać rano, dać posłuchanie o tak niezwykłej godzinie, to nie bardzo wygląda na Joasię. Jakże więc szalenie musi być ona zakochana w twoim drogim synowcu.

— Tak, tak — powtarzał Richelieu zacierając z ukontentowaniem rękę. — Już o godzinie szóstej rano. Brawo, d'Aiguillon!

— Posłuchanie zatem musiało zacząć cię o piątej... W nocy! Cudownie!

— Cudownie! — powtórzył Richelieu — doprawdy cudownie, mój drogi Janie!

W tym momencie, kiedy marszałek zacierał radośnie rękę, wszedł d'Aiguillon.

Synowiec powitał stryja z wyrazami takiego współczucia, że wystarczyło to księciu Richelieu do odgadnięcia jeżeli nie całej prawdy, to jednak dużej jej części.

Książę zbladł, jakby otrzymał śmiertelną ranę. Uświadomił sobie nagle, że na dworze nie ma przyjaciół, nie ma krewnych, są tylko ludzie, którzy myślą jedynie o własnych korzyściach.

— Co za głupiec ze mnie — powiedział do siebie. A głośno dodał tłumiąc głębokie westchnienie: — No i cóż mi przynosisz, d'Aiguillon?

— A co u ciebie słychać, panie marszałku?

— Potężny to cios dla parlamentów — Richelieu powtórzył w odpowiedzi słowa Jana.

D'Aiguillon zarumienił się.

— Wiesz o tym?

— Pan hrabia wszystko mi opowiedział, nawet o twoich odwiedzinach przed świtem w Luciennes. Twoja nominacja to triumf mojej rodziny.

— Wierz mi, panie marszałku, przyjąłem ją z wielkim żalem.

— Cóż on mówi, u licha?... — zawołał Jan założywszy rękę.

— Rozumiemy się — przerwał mu — rozumiemy doskonale.

— Ale ja was nie rozumiem... Żal? Z jakiej racji żal? Aha, już wiem... To dlatego, że zostałeś mianowany tymczasowo... słuszny żal.

— A więc będzie ministrem ad interim — rzekł Richelieu czując w głębi serca odradzającą się nadzieję, to nieodłączne uczucie ludzi ambitnych i zakochanych.

— Tak, panie marszałku.

— Ale i to jest bardzo wysoka zapłata — zawołał Jan. — Najpiękniejsza władza Wersalu.

— Och — stęknął Richelieu na nowo ugodzony — a więc to jest dowództwo?

— Pan Dubarry zapewne trochę przesadza — uspokajał marszałka książę d'Aiguillon.

— No, ale cóż to za dowództwo?

— Pod rozkazami pozostają królewscy szwoleżerowie. Richelieu uczuł znowu, że bladeść powleka jego pomarszczone policzki..

— O, tak — rzekł z uśmiechem, którego wyrazu nic oddać nie zdoła — to niewiele dla człowieka tak uroczego jak ty, książę. Ale cóż chcesz, książę, nawet najpiękniejsza na świecie dziewczyna może dać tylko tyle, na ile ją stać, choćby była kochanką króla.

Teraz z kolei bladeść pokryła oblicze księcia d'Aiguillon. Jan przypatrywał się tymczasem pięknym obrazom Murilla.

Richelieu lekko uderzył synowca po ramieniu.

— To prawdziwe szczęście, że masz obietnicę bliskiego awansu. Winszuję ci, książę, szczerze ci winszuję. Twoja zręczność i umiejętność obchodzenia się z ludźmi są równe twojemu szczęściu... No, nie zatrzymuję cię, mój drogi, mam jeszcze ważne sprawy do załatwienia. Nie zapominaj o mnie i dopuść mnie do swych łask, mój kochany ministrze.

— Stanowimy jedno, panie marszałku.

I ukloniwszy się stryjowi, wyszedł zachowując naturalną u niego godność i ratując się w ten sposób w najtrudniejszym położeniu, jakie go spotkało w życiu, tak pełnym przeszkód i przeciwności.

— Co jest niezwykłego w tym d'Aiguillon — rzekł śpiesznie po jego wyjściu Richelieu do Jana, który nie bardzo rozumiał sens prawionych sobie wzajemnie przez stryja i synowca grzeczności — co jest w nim niezwykłego, to jego prostoduszność. Jest rozumny i niewinny, zna życie dworskie, a jednocześnie pozostaje przyzwoity jak młode dziewczę.

— A przy tym kocha cię — dodał Jan.

— Jak jagnię.

— Ech, to raczej on jest twoim synem — powiedział znowu Jan — a nie pan de Fronsac.

— Doprawdy tak, hrabio...

Richelieu przechadzał się nerwowo i zdawał się być wyraźnie wzburzony. Szukał czegoś i nie mógł znaleźć.

— Oj, hrabio — rzekł do siebie cicho — zapłacisz mi za to!

— Wiesz co, kochany marszałku — rzekł Jan niefrasobliwie — urzeczywistnimy we czworo owo sławne podanie starożytności o pęku strzał, którego nikt nie mógł złamać. Przypominasz to sobie?

— Jak to we czworo? Nie rozumiem.

— Moja siostra oznacza potęgę, d'Aiguillon władzę, ty radę, ja dozór.

— Świetnie!

— I niech kto potem spróbuje zaczepić moją siostrę! Wyzywam każdego i wszystkich!

— Do licha! — burknął Richelieu, któremu wrzało w głowie.

— Niech kto teraz ośmieli się przeciwstawić rywali — wołał Jan upojony swoimi wspaniałymi planami i pomysłami.

— Och! — wykrzyknął Richelieu uderzając się w czoło.

— Co się stało, kochany marszałku?

— Zachwycony jestem twoim planem.

— No widzisz!

— I będę kurczowo trzymał się twojego zdania.

— Gratuluję.

— Czy Taverney mieszka w Trianon razem z córką?

— Nie, on mieszka w Paryżu.

— To bardzo piękna dziewczyna, prawda, panie hrabio?

— Gdyby nawet była tak piękna jak Kleopatra czy jak... moja siostra, nie obawiam się tego... skoro jesteśmy sprzymierzeńcami.

— Mówiłeś, że Taverney mieszka w Paryżu przy ulicy Saint-Honoré, jeśli się nie mylę?

— Nie mówiłem, że przy ulicy Saint-Honoré, a tylko przy ulicy Coq-Héron. Czy przypadkiem nie masz zamiaru ukarać Taverneya?

— Mam wrażenie, że tak, mój hrabio.

— Jesteś niezrównany, księżę. Opuszczam cię i znikam, aby dowiedzieć się, co mówią w mieście.

— A zatem żegnam cię, hrabio... Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, jak obsadzone są nowe ministerstwa.

— O, to przelotne ptaki: Terray, Bertin i nie wiem, kto jeszcze... Nominacja d'Aiguillona, ministra z prawdziwego zdarzenia, odroczone.

— Może na wieczne czasy — pomyślał Richelieu przesyłając Janowi jeden ze swych najuprzejmiejszych uśmiechów.

Jan odjechał. Zjawił się od razu Rafté. Wszystko słyszał i wiedział czego się trzymać. Wszystkie podejrzenia okazały się uzasadnione. Ale nie powiedział o tym ani słowa swemu panu, znał go zbyt dobrze.

Nie wezwał nawet kamerdynera, sam rozebrał księcia i poprowadził do łóżka, do którego stary marszałek wszedł szcękając zębami. Miał gorączkę. Zażył pigułkę, którą mu sekretarz podał.

Rafté zasunął firanki i wyszedł. Przedpokój był pełen lokajów, uwijających się z uprzedzającą usłużnością, gotowych na każde zawołanie.

Rafté wziął najbliższego z nich za rękę.

— Pilnuj dobrze pana marszałka — rzekł. — Jest cierpiący. Spotkała go dziś rano duża nieprzyjemność. Widocznie był nieposłuszny królowi...

— Nieposłuszny królowi!? — krzyknął kamerdyner przerażony.

— Tak. Najjaśniejszy Pan mianował dziś Jego Księżęcą Mość ministrem. Pan marszałek wiedział jednak, że stało się to za sprawą pani Dubarry i nominacji nie przyjął. Jak szlachetnie! Paryżanie winni mu za to wnieść bramę triumfalną. Ale spotkanie z królem było burzliwe i pan marszałek zachorował. Pilnuj go dobrze, bracie!

Rafté, pewny skutków tych kilku słów, skierował się do swojego gabinetu.

W kwadrans potem Wersal wiedział już o szlachetnym postępku i o wspaniałomyślnym patriotyzmie marszałka, który spał głębokim snem wśród powszechnego uznania, jakie zgotował mu jego wierny sekretarz.

ROZDZIAŁ XCI. WIECZERZA U DELFINA

Tego samego dnia panna de Taverney wyszła o godzinie trzeciej ze swego pokoju, aby udać się do małżonki delfina, która zwykła przed obiadem oddawać się lekturze.

Poprzedni lektor Jej Królewskiej Wysokości, który był księdzem, został zwolniony od pełnienia tej funkcji i mógł już do woli uprawiać wyższą politykę od czasu pewnych intryg dyplomatycznych, w których wykazał niezwykle talent zajmując się wieloma sprawami delikatnej natury.

Panna de Taverney wyszła, starannie i ładnie ubrana. Jak wszyscy mieszkańcy Trianon, musiała znosić kłopoty ludzi, którzy nie zdążyli się urządzić.

Nie miała jeszcze służby, nie sprowadziła dotąd drobnych a niezbędnych sprzętów, ubierała ją na razie pokojówka pani de Noailles, damy niezłomnych zasad, którą małżonka delfina nazywała panią Etykieta.

Andrea miała na sobie błękitną suknię z długim stanem ł wąską w pasie jak u osy. Suknia ta rozchyłała się z przodu, ukazując muślinową spódnicę z trzema haftowanymi falbanami. Miała krótkie rękawy z haftowanymi bufkami z muślinu. Haftowana chusteczka wstydliwie zakrywała dziewczęce piersi. Włosy były przewiązane skromnie błękitną wstążką, tego samego koloru co i suknia. Te włosy spadające wokół twarzy na szyję i ramiona stanowiły daleko piękniejszą ozdobę niż pióra i koronki, jakie wówczas stosowano. Dumnego i skromnego zarazem oblicza dziewczyny o matowej, delikatnej cerze nie tknął nigdy róż.

W drodze włożyła Andrea na ręce o długich, kształtnych palcach jedwabne rękawiczki, pozostawiając w piasku ogrodowej alei ślad jasnyniebieskich ałasowych pantofelków na wysokich obcasach.

W pałacu dowiedziała się, że małżonka delfina udała się na przechadzkę w towarzystwie architekta i naczelnego ogrodnika. Z najwyższego piętra dochodził turkot koła tokarki, na której delfin sporządzał zamek do swojej ulubionej szkatułki.

Andrea, chcąc odnaleźć małżonkę delfina, przeszła wzdłuż pałacu. Rosnące przy pałacu kwiaty, starannie na noc okrywane, podniosły pomimo dość późnej pory blade główki, jakby wchłaniając ostatnie promienie słońca, jeszcze bledsze niż one same. Ponieważ zbliżał się wieczór, gdyż o tej porze roku noc zaczynała się o godzinie szóstej, chłopcy zatrudnieni w ogrodzie nakładali na najdelikatniejsze rośliny szklane naczynia.

Andrea weszła w cienistą aleję, utworzoną z wiecznie zielonych drzew biegnących szpalerem i łączących się w górze, opasanych bengalskimi różami. Aleja prowadziła na łąkę. Na zakręcie Andrea spostrzegła młodego ogrodnika, który ujrawszy ją oparł się na motyce. Ukłonił się układniej, niżby to uczynił prostak.

Andrea rozpoznała Gilberta, którego ręce mimo pracy były jeszcze delikatne, czego pan de Taverney na pewno nie mógłby przeboleć.

Andrea zarumieniła się mimo woli. Wydało jej się, że spotkanie to nastąpiło szczególnym zrzędzeniem losu.

Gilbert ponowił ukłon. Tym razem Andrea odpowiedziała mu nie zatrzymując się.

Gilbert zbladł i odprowadził ją posępnym wzrokiem.

Ale Andrea była zbyt pewna i odważna, aby nie dociekać rzeczy poruszających jej uczucia i domagających się wyjaśnienia w jej żywym umyśle.

Wróciła więc i skierowała swe kroki ku Gilbertowi.

Na ten widok Gilbert ożywił się nagle i podskoczył pośpiesznie ku niej.

— Tutaj jesteś, panie Gilbercie? — zapytała oziębłe.

— Tak, pani.

— W jaki sposób?

— Człowiek musi żyć, a chce żyć uczciwie.

— Ma pan szczęście, zdaje pan sobie z tego sprawę?

— O, jakże wielkie! — odparł Gilbert.

— Jak tu się dostałeś?

— Dzięki panu Jussieu, mojemu protektorowi.

— Ach! — rzekła Andrea. — Znasz pana de Jussieu?

— To przyjaciel mojego pierwszego protektora, pana Rousseau'a.

— No, życzę pomyślności, panie Gilbercie — powiedziała Andrea zamierzając odejść.

— A czy pani czuje się lepiej? — zapytał drżącym głosem, zdradzającym wielkie wzruszenie.

— Lepiej? Cóż to ma znaczyć? — rzekła Andrea zimno.

— Myślę o wypadku...

— Ach to! Dziękuję, panie Gilbercie, czuję się znacznie lepiej. To nie było nic poważnego.

— O, nie, niebezpieczeństwo było wielkie! — zawołał Gilbert z głębokim przejęciem. — Była pani bliska śmierci.

W tej chwili Andrea uświadomiła sobie, że już najwyższy czas skończyć rozmowę z ogrodnikiem w parku królewskim.

— Bądź zdrow, panie Gilbercie — rzekła.

— Czy nie raczyłaby pani przyjąć róży? — zapytał Gilbert drżąc cały, oblany potem.

— Ależ, panie — odpowiedziała Andrea — chcesz dać mi to, co do ciebie nie należy.

Gilbert zmieszał się i nie wiedział co powiedzieć. Spuścił głowę. Andrea patrzyła na niego z pewnym uczuciem radości, że udało jej się dać mu odczuć swoją wyższość. Wtedy Gilbert ułamał gałązkę najpiękniejszej róży i zaczął obrywać płatki kwiatu z tak niewzruszonym spokojem i z wyrazem takiej godności na twarzy, że zastanowiło to młodą dziewczynę.

Była zbyt dobra i sprawiedliwa, aby nie zrozumiała, że niesłusznie obraziła człowieka niżej postawionego od siebie, który chciał jej sprawić przyjemność. Ale jak wszyscy ludzie dumni, gdy poczują się winni, nie chciała tego okazać. Odeszła więc nie powiedziawszy ani słowa, choć cisnęły się jej na usta jakieś wyrazy pożegnania czy przeproszenia.

Gilbert również zachował milczenie. Rzucił gałązkę róży i wziął do ręki motykę. Ale że z natury był dumny i chytry zarazem, zaczął więc kopać nie tylko dlatego, aby dalej pracować, lecz także aby obserwować odchodzącą.

I Andrea okazała się prawdziwą kobietą, co prawdopodobnie przewidywał Gilbert, bo na zakręcie alei nie mogła powstrzymać się od obejrzenia za siebie.

Słabość dziewczyny sprawiła Gilbertowi ogromną radość. W tej nierównej walce odniósł pierwsze zwycięstwo.

— Nie jest mocniejsza ode mnie — rzekł do siebie — będą panować nad nią. Pyszni się swoją pięknnością, imieniem, rosnącą fortuną, pewna siebie wobec mojej miłości, którą pewnie odgaduje. O, jakże bardziej biedne pożądanie biednego wyrobnika, który drży nieprzytomnie patrząc na nią! O, drzenie niegodne mężczyzny! Jakież upokorzenia znoszę z jej powodu! Ale przyjdzie chwila, że drogo mi za to zapłaci. No, dość pracy na dzisiaj! Zwyciężyłem nieprzyjaciela. Powiniennem być słabszy od niej, ponieważ kocham, a okazałem się

o wiele mocniejszy...

Powtarzał te słowa z szaloną radością i odgarnął nerwowym ruchem włosy znad rozumnego czoła. Potem wbił motykę głęboko w ziemię i rzucił się jak jeleń między szpalery cisów

i cyprysów, pobiegł lekki jak wiatr ponad szeregami roślin przykrytych szklanymi koszami, nie trąciwszy żadnego pomimo zawrotnej szybkości biegu, pędził na przełaj, aby wyprzedzić Andreę.

Znalazł się wreszcie przed nią na drodze i widział ją zbliżającą się, zamyśloną, ze spuszczonej oczami, z wyrazem jakiejś niepewności na twarzy. Kiedy przechodziła obok niego, ukrytego za gęstym krzakiem, tak blisko, że mógłby dotknąć jej ręki i od czego gwałtem musiał się powstrzymać, usłyszał jak westchnęła kilka razy.

Zapatrzony w nią szepnął:

— Jaka ona piękna!

Długo tak przypatrywałyby się uroczemu zjawisku, bo aleja była długa, a Andrea szła powoli, ale w pewnej chwili z bocznej alei wyszedł wprost na ukrytego Gilberta mężczyzna, który kroczył dostojnym i wymuszonym krokiem z wyniosłe podniesioną głową, z kapeluszem w prawej ręce i podpierając się lewą ręką na szpadzie. Miał na sobie aksamitną zarzutkę na futrze z soboli i stąpił z wielką dystynkcją, wyrzucając naprzód nogę z gracją rasowego konia.

Ujrzał z daleka Andreeę i młoda dziewczyna wydała mu się na tyle powabna, że przyspieszył kroku idąc na wskos, aby czym prędzej ich drogi się przecięły i nastąpiło upragnione spotkanie.

Gilbert spostrzegłszy tego mężczyznę wydał lekki okrzyk i uciekł jak spłoszony koń.

Tymczasem nieznajomy osiągnął to, co zamierzał. Widać było, że miał w tym wprawę. W trzy minuty dogonił Andreeę, choć dopiero co znajdował się daleko za nią.

Andrea usłyszawszy odgłos kroków zeszła nieco z drogi, aby zostawić przejście przechodniowi. Gdy ją mijał, zerknęła nań spod oka.

On także spojrzął na nią, ale natarczywie, a nawet przystanął, aby się jej lepiej przyjrzeć. Potem odwrócił się i zapytał miłym, melodyjnym głosem:

— Czy wolno zapytać, dokąd pani tak śpieszy? Proszę powiedzieć...

Na dźwięk tego głosu Andrea podniosła głowę i spostrzegła o trzydzieści kroków dwóch oficerów gwardii idących wolnym krokiem. Teraz Andrea rzuciła okiem na nieznajomego, który do niej przemówił, i pod sobolowym futrem dostrzegła błękitną wstęgę. Zbladła, przerażona niespodziewanym spotkaniem i łaskawymi słowami.

— Król! — rzekła składając niski ukłon dworski.

— Pani... — rzekł Ludwik XV zbliżając się. — Przepraszam, ale mam krótki wzrok i muszę zapytać o nazwisko.

— Panna de Taverney — odparła ledwo słyszalnym głosem dziewczyna, tak zmieszana i drżąca, że z trudem zdołała przemówić.

— Ach tak! Piękny spacer odbywasz po Trianon, pani — rzekł król.

— Przybyłam do Jej Królewskiej Wysokości małżonki delfina, która czeka na mnie — odpowiedziała Andrea, coraz bardziej zmieszana.

— Jeśli pozwolisz, zaprowadzę cię do niej, pani — zaproponował Ludwik XV. — Przyszedłem odwiedzić moją córkę. Przyjm moją rękę, pani, skoro idziemy jedną drogą.

Wzrok Andrei przysłoniła jakby chmura.

Dla biednej dziewczyny podanie ręki króla, tego najwyższego władcy wszystkich poddanych, stanowiło niesłychany zaszczyt, było łaską, której by zazdrościł cały dwór, przynosiło niespodziewaną i niewiarygodną chwałę, wyglądało na niepojęty sen.

Uczyniła dworski dyg, tak niski i pełen religijnego niemal namaszczenia, że król czuł się zmuszony oddać jej ukłon. Ilekroć Ludwik XV chciał w czymś przypominać Ludwika XIV, wyrażało się to zawsze ceremonialnością i objawami wyszukanej grzeczności. Zresztą tradycje królewskiej grzeczności sięgały jeszcze odleglejszych czasów, czasów Henryka IV.

Podał więc król rękę Andrei, a ona położyła koniuszki palających palców na obciągniętej rękawiczką ręce króla. Szli w kierunku pawilonu, gdzie miała się znajdować małżonka delfina w towarzystwie architekta i naczelnego inżyniera.

Możemy zaręczyć, że Ludwik XV, jakkolwiek nie przepadał za dłuższymi przechadzkami, tym razem jednak dla zaprowadzenia Andrei do małego Trianon wybrał najdłuższą drogę. Dwaj oficerowie, krocący w oddaleniu za królem, zauważyli to i utyskiwali z tego powodu, bo byli lekko ubrani i zaczynał im dokuczać wieczorny chłód.

Król i Andrea nie znaleźli małżonki delfina tam, gdzie spodziewali się ją zastać, ponieważ spóźnili się trochę. Maria Antonina opuściła już to miejsce, gdyż nie chciała kazać czekać na siebie delfinowi, który najchętniej spożywał wieczerę między godziną szóstą a siódmą.

A że delfin był bardzo punktualny, Jej Królewska Mość musiała się nawet nieco pośpieszyć, aby zdążyć na czas. Stał już na progu salonu, aby jak tylko zjawi się marszałek, być czym prędzej w sali jadalnej.

Stół był zastawiony na dwie osoby, to jest dla dostojnych gospodarzy. Zajmowali oni środek stołu, zostawiając zawsze, nawet kiedy byli zaproszeni goście, wolny koniec stołu na wypadek niespodziewanych odwiedzin króla.

Nakrycie królewskie na tym honorowym końcu stołu zajmowało bardzo wiele miejsca i chociaż nie liczone na przybycie króla, marszałek pełnił jednak służbę z tej strony, jakby król był obecny.

W pobliżu małżonki delfina, w odległości koniecznej dla swobodnego dostępu lokajów, siedziała pani de Noailles, sztywna i oschła, przybrawszy na twarz tyle tylko uprzejmości, ile to było potrzebne przy wieczerze.

Po obu stronach pani de Noailles siedziały inne damy, którym dane było czy to z tytułu pozycji na dworze, czy to z innych względów, zasiadać u stołu Ich Królewskich Wysokości.

Trzy razy w tygodniu pani de Noailles jadła wieczerzę przy tym samym stole co delfin i jego małżonka, w dni zaś, kiedy nie uczestniczyła w tym posiłku, nie omieszkła nigdy przypomnieć o swoim istnieniu. Był to swojego rodzaju protest przeciw pozbawieniu jej prawa udziału w wieczerzach przez wszystkie dni tygodnia.

Naprzeciw pani de Noailles, przezwanej przez małżonkę delfina panią Etykietą, siedział książę de Richelieu.

On również skrupulatnie przestrzegał konwenansów, tylko że u niego etykieta nie była dostrzegalna dla oczu innych, zręcznie zasłonięta wytwornością bycia, a często błyskotliwym dowcipem.

Z tej przeciwstawności pomiędzy pierwszym szambelanem a pierwszą damą Jej Królewskiej Wysokości małżonki delfina dochodziło do tego, że wypowiedź urwaną nagle przez księżnę de Noailles podejmował nieuchronnie książę de Richelieu.

Marszałek był gościem niemal wszystkich dworów europejskich i na każdym z nich umiał dobrać taki rodzaj wykwintnych manier, który najbardziej odpowiadał charakterowi dworu. Zachowując najwyższy umiar, delikatność i nie lada takt, wiedział znając niezliczoną ilość anegdot, które wolno opowiadać u stołu infantów, a które w doborowym gronie biesiadników u pani Dubarry.

Od razu też dostrzegł, że małżonka delfina jadła dzisiejszego wieczora z apetytem, a delfin wprost pożerał jadło. Doszedł więc do wniosku, że oboje nie będą brali udziału w rozmowie i chodziło mu teraz tylko o to, aby pani de Noailles przeżyła godzinę mąk czyścicowych.

Zaczął zatem mówić o filozofii i o teatrze, to znaczy poruszył tematy, do których dostojna księżna miała szczególną antypatię.

Opowiedział treść jednego z ostatnich pism filozofa fernejskiego, jak nazywano autora Henriady, po czym zmienił temat i wyłuszczył dokładnie wszystko, co jako szambelan dworu miał do powiedzenia o lepszej lub gorszej grze królewskich aktorek.

Małżonka delfina miała upodobania do sztuk pięknych, a nade wszystko przepadała za teatrem. Posłała nawet kiedyś pannie Raucourt kompletny kostium Klitemnstry. Słuchała więc pana Richelieu z przyjemnością.

Biedna dama honorowa, uchybiając etykietce, wiała się podczas tego opowiadania na swoim miejscu, głośno wycierała nos, trzęsła poważnie głową, nie zważając wcale na obłoki pudru, które za każdym poruszeniem otaczały jej czoło, jak welony mgły pod podmuchem wiatru opasują szczyt Mont Blanc.

Ale nie wystarczyło zająć ciekawą rozmową tylko małżonkę delfina. Trzeba było jeszcze przypodobać się delfinowi. Dlatego też Richelieu porzucił rozważania o teatrze, dla którego następcą króla francuskiego nigdy nie miał zbyt wielu względów, i zaczął mówić o filozofii wyzwolonej. Przytaczał przykłady myślicieli angielskich i użył całej swym wymowy powołując się na Rousseau, który był żarliwym wyznawcą Edwarda Bomstona.

Pani de Noailles nienawidziła Anglików na równi z filozofami.

Każda nowa myśl była dla niej niezmiernie męcząca, a każdy trud naruszał jej dobre ułożenie. Pani de Noailles, przeświadczona jak najgłębiej, że jest stworzona do ochrony starego porządku, zżymała się na nowe idee.

Richelieu miał podwójny cel w tej grze, jaką w ten sposób prowadził: dręczył panią Etykietę, czym sprawiał przyjemność małżonce delfina, i przy tej sposobności rzucał tu i ówdzie umoralniające sentencje i aforyzmy lub twierdzenia matematyczne, czym zjednywał delfina, zwolennika nauk ścisłych.

Znakomicie więc przysparzał sobie sprzymierzeńców, z natężeniem oczekując kogoś, kogo tu się spodziewał, a kogo nie znalazł, gdy wtem rozległ się na dole u wejścia donośny okrzyk, który odbił się o sklepienie, powtórzony przez dwa inne silne głosy, jeden na ganku, drugi na samych już schodach.

— Król!

Na dźwięk tego słowa, jak na czarodziejskie zaklęcie, pani de Noailles podniosła się, jakby ją wypchnęła stalowa sprężyna. Richelieu wstał jak zwykle powoli, delfin otarł śpiesznie serwetką usta i stanął przy swoim nakryciu z twarzą zwróconą ku drzwiom.

Małżonka delfina natomiast wyszła na schody, aby jak najprędzej spotkać się z królem i z honorami przyjąć go w swoim domu.

ROZDZIAŁ XCII. WŁOSY KRÓLOWEJ

Król trzymał jeszcze pannę de Taverney za rękę, kiedy wchodził na schody. W drzwiach już złożył jej głęboki i tak długo trwający ukłon, że jego grację mógł podziwiać Richelieu, pytając przy tym, dla kogo był przeznaczony.

Ciekawość jego szybko została zaspokojona. Ludwik XV wziął za rękę małżonkę delfina, która lepiej wszystko widziała i od razu rozpoznała Andreę.

— Moja córko — rzekł król — przyszedłem prosić cię po prostu o wieczerzę. Przeszedłem wzdłuż i wszerz cały park i po drodze spotkałem pannę de Taverney. Poprosiłem ją więc, żeby mi towarzyszyła.

— Panna de Taverney! — mruknął Richelieu, ogłuszony niemal tym nieprzewidzianym ciosem. — Doprawdy, zbyt wiele mam szczęścia!

— Nie będę więc czyniła wymówek pannie de Taverney, że się spóźniła — odpowiedziała z wdziękiem królowi małżonka delfina — a przeciwnie, podziękuję jej, że z jej przyczyny mamy zaszczyt widzieć u siebie Waszą Wysokość.

Andrea spłonęła rumieńcem jak czerwona wiśnia, stanowiąca ozdobę wśród kwiatów, i dygnęła.

— Do diabła! Ora rzeczywiście jest niezwykle piękna — rzekł do siebie Richelieu — i ten stary hultaj de Taverney nie przesadził chwając swą córkę.

Król tymczasem zajął już miejsce przy stole, odpowiedziawszy na ukłon delfina. Obdarzony był, podobnie jak jego dziadek, tęgim apetytem i spożywał żwawo przygotowaną na prędce wieczerzę, którą postawił przed nim marszałek.

Jedząc jednak z apetytem król zdawał się szukać czegoś, a raczej kogoś, rozglądając się dokoła.

W sali jadalnej nie było panny de Taverney. Nie posiadała ona żadnego przywileju, ponieważ jej stanowisko przy małżonce delfina nie było ściśle określone, i dlatego nie miała wstępu do sali jadalnej. Po złożeniu niskiego ukłonu w odpowiedzi królowi weszła do pokoju małżonki delfina, gdzie już dwa czy trzy razy czytała jej książkę.

Małżonka delfina w lot pojęła, że wzrok króla szuka pięknej towarzyszkii przechadzki po parku.

— Panie de Coigny — rzekła do młodego oficera stojącego za królem — proszę powiedzieć pannie de Taverney, aby zechciała tutaj przyjść. Za pozwoleniem pani de Noailles nie przestrzegamy dziś wieczorem etykiety.

De Coigny wyszedł i w chwilę potem wprowadził Andreę, która nie rozumiejąc tego nagłego napływu niezwykłych łask drżała na całym ciełe.

— Siądź, proszę, przy księżnej — rzekła małżonka delfina.

Andrea lekliwie zbliżyła się do wskazanego miejsca. Była tak onieśmielona, że usiadła o wiele za blisko pierwszej damy dworu.

Na ten nietakt dama cisnęła w nią tak piorunującym spojrzeniem, że Andrea odsunęła się od niej gwałtownie, jakby dotknęła butelki lejdejskiej, niebezpiecznie naładowanej.

Ludwik XV patrzył na to i uśmiechał się.

— Ach, to tak! — rzekł do siebie książę de Richelieu. — Ale nie ma właściwie potrzeby, abym się w to mieszał. Rzeczy pójdą same swoim torem.

Król obrócił się w stronę, gdzie siedział marszałek i spojrzął na niego. Marszałek wytrzymał wzrok króla.

— A, dobry wieczór, książę — rzekł Ludwik XV — jak tam układają się stosunki z księżną de Noailles?

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział marszałek — księżna raczy mnie ciągle jeszcze uważać za lekkoducha.

— A jeździłeś może drogą do Chanteloup, książę?

— Dalibóg nie, Najjaśniejszy Panie, zbyt jestem zaszczycony łaskawością Waszej Królewskiej Mości dla mojego domu.

Król nie spodziewał się tego pocisku. Miał zamiar zażartować z marszałka, tymczasem został uprzedzony.

— Cóż to takiego uczyniłem dla twojego domu, książę?

— Najjaśniejszy Panie, powierzyłeś dowództwo swoich szwoleżerów księciu d'Aiguillon.

— Tak, to prawda.

— Do tego potrzeba było energii i zdolności, którymi tylko Wasza Królewska Mość rozporządza. Toż to prawie zamach stanu.

Król skończył wieczerzę. Posiedział jeszcze chwilę przy stole, po czym wstał i odszedł.

Rozmowa mogła się stać dla niego kłopotliwa, ale Richelieu nie myślał wypuszczać z rąk swej ofiary. Kiedy więc król prowadził rozmowę z panią de Noailles, małżonką delfina i panną de Taverney, włączył się zręcznie i pokierował nią według swej woli.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł w pewnej chwili. — Wasza Wysokość dobrze wie, że szczęście rozzuchwała.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, księżę, że dlatego jesteś zuchwały?

— Chcę prosić Waszą Królewską Mość o nową łaskę, skoro rai już raczyłeś wyświadczyć jedną. Oto pewien z moich dobrych przyjaciół, wierny i dawny sługa Waszej Królewskiej Mości, ma syna w żandarmerii. Młodzieniec jest pełen zalet, ale ubogi. Dostojna księżna mianowała go kapitanem, ale brak mu kompanii, którą by dowodził.

— Dostojna księżna, to moja córka? — zapytał król obracając się ku małżonce delfina.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł Richelieu. — A ojcem tego młodzieńca jest baron de Taverney.

— Mój ojciec! — zawołała odruchowo Andrea. — Filip! To dla Filipa prosisz, mości księżę, o kompanię?

Potem zawstydzona takim uchybieniem etykiety, zrobiła krok do tyłu, zarumieniła się i złożyła ręce.

Król z podziwem przyglądał się temu rumieńcowi, wyrażającemu wzruszenie pięknego dziecka. Zaraz jednak powrócił wzrokiem do Richelieu, uśmiechając się uprzejmie i dobrotliwie, dając do zrozumienia dworzaniekowi, że jego prośba stała się mu przyjemna wskutek okoliczności, jakie wywołała.

— Istotnie — odezwała się małżonka delfina — ten młody człowiek jest ujmujący i postanowiłam pokierować jego losem. O, jakże nieszczęśliwi są książęta! Bóg dając im dobre chęci, odbiera pamięć lub rozsądek. Czyż nie powinnam była pomyśleć, że to młodzieniec ubogi, że nie wystarczy mu stopień oficerski, że trzeba mu jeszcze dać kompanię?

— Ach, skądże Wasza Wysokość miałaby o tym wiedzieć?

— O, ja wiedziałam o tym — odpowiedziała z żywością małżonka delfina, czyniąc przy tym taki gest, że przypomniało to Andrei biedny, opuszczony jej dom, a jednak dom szczęśliwego dzieciństwa. — Tak, wiedziałam — mówiła dalej małżonka delfina — i sądziłam, że zrobiłam wszystko nadając stopień kapitana panu Filipowi de Taverney... Ma na imię Filip, prawda, panno Andreo?

— Tak, Wasza Wysokość.

Król popatrzał na te twarze tak szlachetne i szczerze, potem zatrzymał wzrok na obliczu księcia de Richelieu, która zdawała się również promieniować odblaskiem szlachetności dostojnej sąsiadki.

— Ach, księżę — zwrócił się król półgłosem do Richelieu — pokłóć się pewnie z Luciennes.

Potem dodał żywo, skierowując te słowa do Andrei:

— Przyszaj, że sprawi ci to przyjemność.

— Ach, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedziała składając ręce — błagam cię o to.

— A zatem załatwione — rzekł Ludwik XV. — Wybierz, księżę, odpowiednią kompanię dla tego biednego młodzieńca. W razie potrzeby koszt jej utrzymania biorę na siebie.

Ten dobry uczynek napełnił wszystkich obecnych radością. Dla króla przyniósł niebiański uśmiech Andrei, księciu Richelieu podziękowanie wypowiedziane tymi ślicznymi ustami, od których, gdyby był młody, żądałby więcej, taki był chciwy i zmysłowy.

Powoli przybywali nowi goście, wśród nich kardynał de Rohan, który od czasu przybycia małżonki delfina do Trianon bezustannie zabiegał o jej względy.

Król tymczasem cały wieczór okazywał względy wyłącznie panu Richelieu. Wziął go nawet ze sobą, pożegnawszy się z małżonką delfina, wracając do Trianon. Stary marszałek drżał z radości.

Kiedy król z księciem i dwoma oficerami wchodził w ciemne aleje przylegające do pałacu, małżonka delfina odprawiła Andreę.

— Musisz czym prędzej napisać o tej dobrej wiadomości — rzekła — możesz więc już iść, moja kochana.

Za chwilę dziewczyna, poprzedzana przez lokaja z latarnią, przeszła plac stu metrów długości, oddzielający Trianon od oficyn.

Przed nią także przesuwiał się pomiędzy liśćmi krzaków cień człowieka, który śledził każde poruszenie dziewczyny płonąącym wzrokiem. Był to Gilbert.

Kiedy Andrea wchodziła już na schody ganku, lokaj wrócił do Trianon.

Wówczas Gilbert przemknął się na dziedziniec stajenny i po schodach, stromych jak drabina, wdrapał się do swojej izdebki, której okna wychodziły naprzeciw okien mieszkania Andrei.

Widział stąd, jak Andrea zawołała pokojówkę pani de Noailles, która miała swoje mieszkanie w tym samym korytarzu. Ale kiedy pokojówka weszła do pokoju Andrei, firanki zasunęły się jak nieprzenikniona zasłona między pożądanymi myślami młodzieńca a przedmiotem tych pożądań.

W pałacu został tylko książę de Rohan, który podwoił swoje starania i zabiegi wobec małżonki delfina, ona jednak odnosiła się do niego z niewzruszonym chłodem.

Kardynał zaczął się obawiać, że jego postępowanie może przekroczyć granice przyzwoitości, zwłaszcza że delfin był już nieobecny, pożegnał więc Jej Królewską Wysokość z objawami jak najgłębszego i pełnego czułości uszanowania.

W chwili, gdy wsiadał do karety, podeszła do niego pokojówka i weszła niemal do powozu.

— Proszę, oto jest.

I wsunęła mu do ręki jedwabisty kawałek papieru, który przyjął ze drżeniem.

— Jest — powtórzył z żywością i wcisnął w rękę pokojówki pękata sakiewkę, która nawet pustawa stanowiłaby nie byle jaką nagrodę.

Kardynał kazał natychmiast jechać stangretowi prędko do Paryża.

Przez całą drogę, ukryty w głębi karety, pieścił i całował otrzymany kawałek papieru jak uszczęśliwiony kochanek.

Gdy stanęli u rogatek, rzekł: — Ulica Saint-Claude.

Wkrótce potem szedł przez tajemniczy dziedziniec i trafił do małego salonu, gdzie przebywał milczący przewodnik gości, Fritz.

Książę czekał około kwadransa na Balsamo. Wreszcie ten zjawił się podając za przyczynę zwłoki późną porę, o której trudno spodziewać się odwiedzin.

Istotnie, była już blisko jedenasta w nocy.

— Słusznie, panie baronie — przyznał kardynał — i przepraszam bardzo, że przeszkadzam. Ale przypominasz sobie zapewne, coś mi powiedział któregoś dnia: że aby dowiedzieć się o pewnej tajemnicy...

— ...potrzeba mi włosów osoby, o której wówczas mówiliśmy — dokończył Balsamo dostrzegłszy już w ręku prostodusznego prałata kawałek papieru.

— Oto one... Czy to możliwe, abym po doświadczeniu odzyskał je z powrotem?

— W wypadku, gdyby nie był potrzebny ogień...

— Rozumiem — odparł kardynał. — W takim razie postarałbym się o inne. Czy mogę jednak już dzisiaj otrzymać odpowiedź? Jestem bardzo niecierpliwy...

— Trzeba najpierw dokonać próby, książę. Balsamo wziął włosy i szybko poszedł do Lorenzy.

— Znać więc będę — mówił do siebie idąc — tajemnice królowej, znane mi będą ukryte zamiary Boga.

I nim jeszcze przekroczył próg tajemniczego pokoju, w którym znajdowała się Lorenza, uśpił ją. Przywitała go więc czułym uściskiem.

Z trudem uwolnił się z jej objęć. Nie wiedział, co było, dla niego boleśniejsze: czy wyrzuty pięknej Włoszki, kiedy była świadoma, czy jej pieszczoty w stanie hipnozy.

Wyzwoliwszy się z uścisku pięknych ramion młodej kobiety, które oplatały jego szyję, rzekł wkładając jej do rąk papier, w który owinięte były włosy:

— Droga moja Lorenzo, czy możesz mi powiedzieć, czyje to włosy?

Lorenza przyłożyła je najpierw do swych piersi, potem do czoła, bo chociaż oczy miała otwarte, w czasie snu doświadczała jasnowidzenia piersiami i czołem.

— O, dostojna to głowa, której skradziono te włosy — powiedziała.

— Powiedz raczej: szczęśliwa.

— Może tak będzie...

— Patrz dobrze, Lorenzo.

— Tak, może być szczęśliwa. Nie ma jeszcze cienia na jej życiu.

— Jest przecież zamężna...

— Zamężna, drogi Balsamo, a jednak...

— A jednak? — powtórzył Balsamo. — Dokończ.

Spojrzał na Lorenzę i na jego twarzy pojawiło się głębokie zdziwienie. Młoda kobieta, mimo że spała, oblała się wstydliwym rumieńcem, zarzuciła znowu ramiona na szyję kochanka, kryjąc głowę na jego piersiach, i niespodzianie rzekła:

— A jednak... jestem dziewicą.

— I ta kobieta... królowa... też?

— Tak, więcej nawet, bo nie kocha jak ja.

— O! — powiedział cicho Balsamo. — Dziękuję ci, Lorenzo, wiem wszystko, co chciałem wiedzieć.

Ucałował ją, schował starannie włosy do kieszeni, a odciawszy Lorenzie kosmyk włosów, spalił je nad świecą, a popiół wsypał do papieru, gdzie poprzednio znajdowały się włosy małżonki delfina.

Potem wyszedł obudziwszy po drodze Lorenzę.

Kardynał czekał w wielkim niepokoju i z niecierpliwością.

— No, jak panie hrabio? — zapytał, jak tylko Balsamo wszedł.

— Wyprowadź, książę, wniosek, jaki ci się podoba. Wyrocznia powiedziała, że ta kobieta nie kocha męża.

— Powiedziała tak!? — wykrzyknął de Rohan nie mogąc opanować radości.

— Co zaś do samych włosów — dodał Balsamo — musiałem je spalić. Oto popiół, który ci oddaję, zebrawszy go skrupulatnie, jakby każdy jego pyłek wart był miliony.

— Dziękuję ci, panie, dziękuję po stokroć, nigdy nie potrafię ci się wywdziękzyć.

— Nie mówmy o tym, książę. Muszę cię tylko ostrzec przed jednym: nie wypij przypadkiem tego popiołu w winie, jak to niekiedy robią zakochani. Jest to bowiem środek niebezpieczny, który sprawiłby, że miłość twoja stałaby się nieuleczalna, a serce kochanki ostygłoby.

— Och, będę się strzegł — rzekł kardynał prawie z lękiem. — Bądź zdrow, panie hrabio, bądź zdrow.

W dwadzieścia minut później kareta Jego Eminencji minęła się na rogu ulicy Petits-Champs z powozem księcia de Richelieu, którego o mało nie wyrzuciła do dołu wykopanego na fundamenty domu.

Obaj panowie poznali się nawzajem.

— Oj, książę! — zawołał Richelieu z uśmiechem.

W odpowiedzi Ludwik de Rohan położył palec na ustach. I rozjechali się w przeciwnie strony.

ROZDZIAŁ XCIII. KSIĄŻĘ OCENIA POKOJÓWKĘ

Książę de Richelieu pojechał wprost na ulicę Coq-Heron, do pana de Taverney.

Dzięki przywilejowi, jaki dzielimy wespół z diabłem kulawym i który pozwala nam wejść do każdego domu, dowiemy się wcześniej niż Richelieu, że siedząc przy kominku z wyciągniętymi wygodnie nogami, baron łagodnie upominał Nicole, biorąc ją od czasu do czasu, mimo jej krnąbrne i pogardliwe miny, pod brodę.

Czy Nicole wolałaby pieszczoty bez strofowania, czy też strofowanie bez pieszczot, trudno nam o tym rozstrzygać.

Rozmowa, tocząca się między panem a pokojówką, dotyczyła ważnej sprawy, że Nicole o pewnej godzinie wieczorem nie przychodzi nigdy na odgłos dzwonka, że zawsze ma coś wtedy do roboty w ogrodzie lub oranżerii, i że poza tym źle pełni służbę.

Na to Nicole, przeciągając się lekko z uroczym, lubieżnym wdziękiem, miała gotową odpowiedź:

— Bo się tu nudzę. Obiecano mi, że pojedę z panną Andream do Trianon, a tymczasem...

Wtedy pan de Taverney uważał za stosowne pogłaskać dziewczynę po policzkach, zapewne aby rozerwać ją nieco.

Nicole jednak była niepokieszona i odpychała wszelką pieszczotę.

— Jesteśmy ze wszystkich stron — mówiła — otoczeni wstrętnymi murami, brak mi powietrza, nie mam towarzystwa, nie mam żadnej rozrywki, ani widoków na przyszłość.

— Czego ty właściwie chcesz?

— Do Trianon! — odpowiedziała Nicole z przejęciem. — Tam bym widziała ludzi, przepych, tam bym miała na co patrzeć i patrzono by na mnie.

— Oj, Nicole, Nicole — westchnął baron.

— A cóż to, czyż nie jestem kobietą, czy jestem mniej warta niż inne?

— Do licha! — rzekł głucho baron. — Ta ma temperament. Och, gdybym był młody i bogaty!

I nie mógł się powstrzymać od pożądliwego spojrzenia, pełnego podziwu dla młodości i jedności tej ślicznej dziewczyny.

Nicole zamyśliła się na chwilę, potem powiedziała ze zniecierpliwieniem.

— No niechże się już pan kładzie, abym i ja mogła iść spać.

— Jeszcze słówko, Nicole.

Wtem rozległ się dzwonek z ulicy. Nicole poderwała się z miejsca.

— Kto to może przybywać o wpół do dwunastej w nocy?. — zdziwił się baron. — Idź no, zobacz, moja mała.

Nicole poszła otworzyć. Zapytała o nazwisko przybyłego, a usłyszawszy je, wpuściła gościa, zostawiając drzwi od ulicy na pół uchylone.

Przez tę błogosławioną szparę wymknął się jakiś cień z podwórza, nie na tyle jednak cicho, aby nie zwrócić uwagi przybysza, którym był marszałek Richelieu. Obejrzał się i spostrzegł ucieczkę.

Nicole prowadziła go dalej z wesołą miną, trzymając w ręku świecę.

— No, no — mruknął marszałek z uśmiechem — ten stary łotr Taverney mówił mi tylko o swojej córce.

Książę należał do tych ludzi, którym wystarczy raz spojrzeć, aby w lot zrozumieć, o co chodzi.

Uciekający cień dał mu wiele do myślenia. Łatwo mu przyszło odgadnąć po zalotnej twarzyczce dziewczyny, co tu taki cień mógł robić, a widząc jej sprytnie oczy, białe zęby i wiotką kibić, nie miał wątpliwości co do jej charakteru i skłonności.

Nicole nie bez bicia serca oznajmiła u wejścia do salonu przybycie dostojnego gościa:

— Książę de Richelieu!

Widocznie nazwisku temu przeznaczone było dziś wieczorem wywoływać silne wrażenie. Na jego dźwięk baron wstał pospiesznie z krzesła i czym prędzej poszedł prosto ku drzwiom, nie wierząc uszom.

Ale nim doszedł jeszcze do drzwi, zobaczył marszałka w korytarzu.

— Książę... — wyjąkał.

— Tak, kochany przyjacielu, to ja, sam książę... — odpowiedział Richelieu słodkim głosem. — Cóż, dziwi cię to zapewne po onegdajszym spotkaniu? A jednak to najoczywistsza prawda. A teraz podaj mi rękę, mój drogi, jeśli łaska.

— Zaszczycasz mnie, książę, tymi odwiedzinami.

— Postradałeś już chyba rozum, mój kochany — rzekł stary marszałek oddając kapelusz i laskę Nicole, żeby wygodniej rozsiaść się w krześle. — Zapleśniałeś, więc pleciesz trzy po trzy. Zapomniałeś o świecie, jak mi się wydaje.

— Jednakże, miły książę — odpowiedział Taverney mocno wzruszony — twoje onegdajsze przyjęcie było tak jednoznaczne, że trudno by się pomylić.

— Słuchaj, mój stary przyjacielu — rzekł poważnie Richelieu — wczoraj ty zachowywałeś się jak student, a ja jak pedantyczny profesor. Nie wspominajmy już o tym, przejdźmy do spraw bieżących. Czy wiesz, po co tu dziś przyszedłem?

— Nie wiem.

— Przynoszę ci wiadomość o przydzieleniu przez króla twojemu synowi kompanii, o którą prosisz mnie onegdaj. Cóż, u licha, powinieneś to przecież rozumieć: onegdaj byłem niby to ministrem i nie wypadało mi o to prosić, dzisiaj jednak, kiedy odmówiłem tej godności i znowu jestem zwykłym, dawnym Richelieu, nic już nie stało na przeszkodzie, abym o to prosił. No więc poprosiłem, otrzymałem i oto przynoszę.

— Książę, czy to możliwe?... 1 ta twoja dobroć?

— Jest ona naturalnym skutkiem powinności wobec przyjaciela... Minister odmówił, Richelieu postarał się i daje.

— Ach, książę! Oczarowałeś mnie. Jesteś więc naprawdę przyjacielem?

— Możesz w to wątpić?

— Ale król, dlaczego król wyświadcza mi taką łaskę?

— Król nie bardzo sam wie, co robi... Albo też może mylę się, może wie doskonale...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że król ma na pewno jakiś powód, żeby robić na przekór pani Dubarry i raczej więcej temu, niż mojemu wpływowi winien jesteś łaskę, jakiej ci udziela.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewien. Pomagam mu przecież. To właśnie z powodu tej rozpustnicy odmówiłem mu przyjęcia urzędu.

— Słyszałem o tym, ale...

— Ale nie wierzyłeś. Mów śmiało.

— No, przyznaję...

— To znaczy, że uważałeś mnie za człowieka bez skrupułów, prawda?

— Raczej za człowieka pozbawionego przesądów.

— Mój drogi, starzeję się, a lubię ładne kobiety i do tego lubię mieć je tylko dla siebie... A przy tym mam inne jeszcze zamiary... Ale wróćmy do twojego syna. Dzielny chłopak!

— Ma na pieńku z tym Dubarry, który był u ciebie, kiedy cię odwiedziłem.

— Wiem. I dlatego właśnie nie jestem ministrem.

— Odmówiłeś przyjęcia tego urzędu z powodu mojego syna?

— Gdybym tak powiedział, nie byłoby to ściśle. Jednakże odmówiłem dlatego, że wymagania rodziny Dubarry, które zaczęły się od usunięcia twojego syna, mogłyby doprowadzić do jak najgorszych następstw.

— Poróżniłeś się więc z nimi?

— I tak, i nie. Lękają się mnie, a ja nimi gardzę. Odplacam im pięknym za nadobne.

— Poczynasz odważnie, ale nieostrożnie.

— Dlaczegoż to?

— Hrabina ma wielkie wpływy.

— Phi! — bąknął lekceważąco Richelieu.

— I ty to mówisz?

— Mówię jak człowiek, który zna słabości pozycji i jeśli trzeba, potrafi wysadzić fortecę w powietrze.

— Aha, teraz już pojmuję w czym rzecz: wyświadczyłeś mojemu synowi przysługę, aby dokuczyć tym rodzinie Dubarry.

— W dużej mierze dlatego właśnie i twoja przenikliwość nie jest bynajmniej wadą. Twój syn to jakby granat, za pomocą którego wznicią pożar... Ale, baronie, czy nie masz też i córki?

— Mam.

— Młoda?

— Ma szesnaście lat.

— Ładna?

— Piękna jak Wenus.

— Mieszka w Trianon?

— A więc znasz ją?

— Spędziłem z nią wieczór i rozmawiałem o niej całą godzinę z królem.

— Z królem? — zawołał Taverney zaczerwieniwszy się. — Król mówił o mojej córce, o Andrei de Taverney?

— Która tak mu się podoba, że pożera ją oczyma, tak, mój drogi.

— Ach! Naprawdę?

— Czy ci przykro, że to mówię?

— Nie, skąd! Król robi mi honor patrząc na moją córkę... ale...

— Ale co? — Tylko że król...

— Jest złych obyczajów, to chciałeś powiedzieć?

— Niech mnie Bóg strzeże źle mówić o Jego Królewskiej Mości, ma on prawo mieć takie obyczaje, jakie mu się podoba.

— No więc cóż miało oznaczać to twoje zdziwienie? Czy wolałbyś, aby córka twoja nie była skończoną pięknością i aby król nie spoglądał na nią okiem znawcy?

Taverney nic nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami i zamyślił się. Richelieu wbił w niego bezlitosny wzrok inkwizytora.

— Aha, odgaduję, co powiedziałaś, gdybyś wyjawiał swoje myśli — mówił dalej stary marszałek przysuwając swoje krzesło do krzesła barona. — Powiedziałaś, że król przywykł do złego towarzystwa, że się łajdaczy, jak mówią w Porcherons, że zatem nie będzie miał czystych uczuć wobec tej wstydlivej, szlachetnej dziewczyny, że nie będzie zważał na powaby jej cnoty, na jej przymioty, bo on lubi słówka swawolne, spojrzenia lubieżne i mowę gryzетки.

— Wielkim jesteś człowiekiem, księżę.

— No, dlaczegoż to?

— Bo odgadłeś to trafnie — rzekł Taverney.

— I dlatego tym łatwiej przyznasz, baronie — ciągnął Richelieu — że czas już najwyższy, aby nasz pan nie zmuszał nas, szlachty, parów i towarzyszy króla francuskiego, do całowania ręki nędznej i podlej nierządnic, że czas już, aby wrócił do naszej sfery, żeby nie zamieniał pani Chateauroux, która była margrabina, i to taką, ze mogłaby zostać księżną, na panią Pompadour, córkę i żonę oberżysty, potem pani Pompadour na panią Dubarry, którą nazywają całkiem po prostu Joasią, by wreszcie tę ostatnią zamienić na jakąś kucharkę czy wręcz chłopkę. To nas poniża, baronie, nas, co mamy koronę w herbie, uchylać głowy przed taką hołotą.

— Och, co prawda, to prawda — potwierdził Taverney. — Jest oczywiste, że źle się dzieje na dworze, odkąd panują te nowe porządki!

— Gdy nie ma królowej, nie ma i kobiet. Nie ma kobiet, nie ma i dworzan. Król utrzymuje gryzетkę, a gmin zasiadł na tronie, reprezentowany przez pannę Joannę Vaubernier, paryską szwaczkę.

— A jednak rzeczywiście tak to wygląda i...

— Widzisz, baronie — przerwał marszałek — piękne to byłoby zadanie dla rozumnej kobiety, która by zechciała teraz panować we Francji...

— Bez wątpienia — rzekł Taverney, któremu biło mocniej serce — ale na nieszczęście miejsce to jest zajęte.

— Dla kobiety — ciągnął dalej marszałek — która nie miałaby wad tych nierządnic, a posiadałaby ich śmiałość, wyrachowanie i plany, dla kobiety, która by umiała tak pokierować swoim losem, że mówiono by o niej jeszcze wtedy nawet, gdy nie istniałaby już monarchia. Czy twoja córka ma rozum... baronie?

— I jak wiele jeszcze, zwłaszcza zdrowego rozsądku.

— I piękna. Piękna tą pięknością, która tak bardzo podoba się mężczyznom, piękna niewinnością i kwiatem dziewictwa, co budzi szacunek nawet u innych kobiet. Trzeba dobrze pielęgnować ten skarb, mój stary przyjacielu.

— Mówisz z takim przejęciem...

— Czy w tym coś dziwnego? Zakochałem się w niej bez pamięci i ożeniłbym się z nią bez namysłu, gdyby nie moje siedemdziesiąt cztery lata... Ale czy aby jest ona w dobrym miejscu umieszczona, czy ma przynajmniej dostatek należny tak pięknemu kwiatu?... Pomyśl o tym, baronie. Dziś wieczorem powróciła sama jedna do siebie, bez służącej, bez strzelca, z lokajem delfina, który niósł przed nią latarnię. To wygląda, jakby była na służbie.

— Cóż chcesz, księżę, wiesz, że nie jestem bogaty.

— Bogaty czy nie bogaty, twoja córka musi mieć koniecznie przynajmniej pokojówkę.

Taverney westchnął.

— Sam wiem o tym — rzekł — ale cóż na to poradzić?

— I naprawdę nie ma rady? Baron milczał.

— No dobrze, a co to za dziewczyna, która była tu przed chwilą? — zapytał Richelieu. — Ładna, wydaje się rozgarnięta.

- Tak, ale właśnie dlatego nie mogę wysłać jej do Trianon.
- Wręcz przeciwnie, byłaby wymarzoną pokojówką.
- Hm... Przyjrzałeś się dobrze jej twarzy?
- I jak jeszcze!
- I nie doszukałeś się jej szczególnego podobieństwa? — Do kogo?
- Zaraz zobaczymy!... Nicole, chodź no tutaj!

Nicole weszła natychmiast, gdyż podsłuchiwała pod drzwiami.

Książę wziął ją za obie ręce i ścisnął swoimi kolanami kolana dziewczyny. To zuchwałe zachowanie i wyzywające spojrzenie wielkiego pana i starego rozpustnika ani na sekundą nie stropiło rezolutnej dziewczyny.

— Tak, tak, podobna... — rzekł przeciągle książę, jakby się nad czymś zastanawiając.

— Sam więc widzisz, że nie można narażać względów dla naszego domu z takiego powodu. Czy byłoby to przyjemne, gdyby ten kopciuszek, panna Nicole, okazała się podobna do najdostojniejszej damy we Francji?

— Och! — zawołała z oburzeniem Nicole wyrывая się z rąk marszałka, aby mogła lepiej odpowiedzieć panu de Taverney. — Czy aby ten kopciuszek na pewno jest tak zupełnie podobny do dostojnej damy? Czy dostojna dama ma takie kształtne ramiona, lśniąco oczy, toczono łydki i pulchne ręce jak kopciuszek? W każdym razie, panie baronie — dokończyła rozgniewana — jeżeli tak pomniejszasz moje wdzięki, to chyba tylko dlatego, aby je ocenić.

Nicole zarumieniła się ze złości, co uczyniło ją jeszcze ładniejszą.

Książę wziął ją znowu za śliczne ręce i ścisnął jej kolana swoimi, po czym patrząc na nią wzrokiem pieszczotliwym i pełnym obietnic rzekł:

— Baronie, Nicole nie ma równej sobie na dworze, przynajmniej ja tak myślę. Przyznaję, że istnieje pewne podobieństwo z dostojną damą, jednak można to tak urządzić, że jej miłość własna nie będzie narażona na szwank... Masz prześliczne jasne włosy o zachwycającym odcieniu, brwi i nos istic cesarskie. Usiądź na kwadrans przed toaletą, a to, co pan baron uważa za wadę, zniknie bezpowrotnie. Nicole, dziecko moje, czy chcesz znaleźć się w Trianon?

— Och! — Nicole zdolna tylko była wydobyć z siebie ten okrzyk, skupiając w nim wszystkie swoje najgorętsze pragnienia.

— Będiesz więc w Trianon, moja kochana. Pojedziesz, zrobisz tam karierę, nie szkodząc tym innym. Baronie, jeszcze słowo.

— Mów, proszę, kochany książę.

— Odejdź, moje śliczne dziecko — rzeki Richelieu — chcemy pomówić teraz z sobą sami.

Nicole odeszła. Książę zbliżył się do barona.

— Bardzo bym cię namawiał, abyś jednak posłał córcę pokojówkę — powiedział. — Zrobi to przyjemność królowi. Najjaśniejszy Pan niechętnie widzi biedę, a ładne twarzyczki bynajmniej go nie przestraszają. Już ja wiem, co mówię.

— Dobrze, niech więc już jedzie Nicole do Trianon, skoro twierdzisz, że sprawi to królowi przyjemność — odparł baron z zagadkowym uśmiechem.

— Ponieważ pozwalasz, zabiorę ją z sobą, pojedzie karetą.

— No, ale co będzie z podobieństwem do małżonki delfina, trzeba się nad tym zastanowić, książę.

— Już się zastanowiłem. To podobieństwo zniknie w ciągu kwadransa pod wprawno ręką Rafté'go. Ręczę ci za to... Napisz słówko do córki, baronie, zaznaczając, jaką wagę przywiązujesz do tego, aby miała pokojówkę i żeby ta pokojówka nazywała się Nicole.

— Czy uważasz za konieczne, aby nazywała się Nicole?

— Żadna inna nie potrafiłaby jej zastąpić.

— A więc napiszę natychmiast.

I za chwilę już baron wręczył księciu Richelieu list.

— A pouczenia dla Nicole, książę?

— Sarn to załatwię. Czy jest pojętna? Baron uśmiechnął się.

— Powierzasz ją więc mojej opiece, prawda? — rzekł Richelieu.

— Powierzam ci ją, zrób dla jej dobra, co tylko będzie można.

— Nicole, jedziemy — zawołał książę wstając. — Pośpiesz się.

Nie trzeba było tego Nicole dwa razy powtarzać. Nie prosząc nawet barona o pozwolenie, zebrała w ciągu pięciu minut swoje rzeczy w małe zawiniątko i lekkim krokiem jakby na skrzydłach podbiegła do książęcego stangreta.

Richelieu pożegnał się z przyjacielem, który jeszcze raz podziękował za przysługę wyświadczoną Filipowi de Taverney.

O Andrei nie padło ani jedno słowo. Znaczyło to więcej, niżby o niej mówiono.

ROZDZIAŁ XCIV. METAMORFOZA

Nicole nie posiadała się z radości. Wyjazd z Taverney do Paryża nie stanowił dla niej tak wielkiego triumfu jak wyjazd z Paryża do Trianon.

Tak była układna wobec stangreta księcia de Richelieu, że sława nowej pokojówki rozeszła się nazajutrz po wszystkich wozowniach i choćby trochę arystokratyczniejszych przedpokojach Wersalu i Paryża.

Kiedy przybyli do pawilonu hanowerskiego, Richelieu wziął dziewczynę za rękę i sam zaprowadził na pierwsze piętro, gdzie czekał na niego Rafté, piszący mnóstwo listów w imieniu księcia.

Wśród wszystkich zainteresowań pana marszałka zagadnienia wojny odgrywały najważniejszą rolę i Rafté, w teorii przynajmniej, stał się tak biegłym w arkanach sztuki wojennej, że zarówno Polibiusz, jak i kawaler de Fobard, gdyby żyli, pozazdrościliby mu niewątpliwie owych małych rozpraw o fortyfikacjach i manewrach sił wojskowych, jakie Rafté pisał, po jednej co tydzień.

Rafté był właśnie zajęty pisaniem projektu, dotyczącego prowadzenia wojny z Anglikami na morzu Śródziemnym, gdy wszedł marszałek i powiedział:

— No, Rafté, spójrz na to dziecko. Rafté spojrzał.

— Bardzo miłe, mości książę — rzekł poruszając ustami w sposób znaczący.

— Tak, ale podobieństwo, o podobieństwo chodzi, Rafté.

— Ach, do licha! Rzeczywiście!...

— Co, niezwykle?

— Rzecz nadzwyczajna... Przyniesie to jej szczęście albo zgubę.

— Zaraz zgubę! Czekaj, zaradzimy temu. Ma włosy jasne, prawda? Ale da się może coś zrobić, jak myślisz, Rafté? .

— Trzeba tylko, żeby stały się czarne, mości książę — odpowiedział sekretarz, który przywykł uzupełniać myśli swego pana, a czasem nawet całkiem myśleć za niego.

— Pójdź do mojej toalety, dziecko — rzekł marszałek — ten pan robi z ciebie najpiękniejszą i najtrudniejszą do rozpoznania pokojówkę we Francji.

I rzeczywiście, nie minęło dziesięć minut, gdy Rafté miksturą, której marszałek używał co tydzień do swych włosów pod peruką, ufarbował piękne, popielate włosy Nicole, które teraz stały się czarne jak heban. Potem przeciągnął po gęstych, jasnych brwiach osmaloną nad świecą szpilką. Nadało to pogodnej dotąd twarzy Nicole tak fantastyczny wyraz, jej oczom tyle fascynującego blasku, że wyglądała jak wieszczka wywołana zaklęciem z czarnoksiężskiego zamknięcia, w którym ją trzymał czarnoksiężnik.

— Przyjrzyj się teraz sobie, moja ślicznotko — rzekł marszałek podając zdumionej Nicole zwierciadło. — Patrz, jaka jesteś piękna, a przede wszystkim jak nie podobna do Nicole, która tu była przed chwilą. Nie potrzebujesz już obawiać się królowej i możesz zgotować sobie szczęśliwy los.

— Och, mości książę! — zawołała młoda dziewczyna.

— Tak, i dlatego chodzi tylko o to, żebyśmy się porozumieli.

Nicole zaczerwieniła się, spuściła oczy i oczekiwała słów, które Richelieu tak pięknie umiał mówić.

Książę zrozumiał to i aby nie dopuścić do jakichkolwiek niejasności, rzekł:

— Siadaj, moje kochane dziecko, tu obok pana Rafté i dobrze mnie słuchaj... Nie, nie, pan Rafté wcale nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, jeszcze nam doradzi. Słuchasz mnie?

— Tak, mości książę — wyjąkała Nicole, zawstydzona, że dała się oszukać próżności.

Rozmowa księcia Richelieu z Rafté i Nicole trwała przeszło godzinę. Potem książę odprawił dziewczynę na spoczynek do pałacowych pokojówek.

Rafté wrócił do rozprawy wojskowej, Richelieu położył się do łóżka, przeglądając listy, w których donoszono mu o przedsięwzięciach parlamentów prowincjonalnych, skierowanych przeciwko księciu d'Aiguillon i pani Dubarry.

Następnego dnia rano powóz księcia, nie oznaczony herbami, zawiózł Nicole do Trianon, wysadził ją z małym zawiniątkiem przed bramą i znikł.

Z podniesioną głową, radością w sercu i nadzieją w oczach, Nicole zakotłowała do drzwi oficyny.

Była godzina dziesiąta rano. Andrea wstała już i była ubrana. Pisała list do ojca, donosząc mu o szczęśliwym wczorajszym wydarzeniu, o którym, jak wiemy, Richelieu sam go zawiadomił.

Czytelnik zapewne pamięta, że z przedsionka kaplicy małego Trianon schody na prawo prowadzą do korytarza oświetlonego od strony ogrodu. Z korytarza tego wchodziło się do pokoiów dam do towarzystwa.

Pokój Andrei był pierwszym na lewo. Dość obszerny i widny, z oknami wychodzącymi na wielki dziedziniec stajenny, poprzedzony był małym pokoikiem, do którego przylegały dwa gabinety, jeden po prawej i jeden po lewej stronie.

Pokój ten wydawał się skromny, jeżeli porównać go ze świetnością dworu, stawał się jednak przytulnym i wygodnym schronieniem po silnych wrażeniach pełnego rozgwaru pałacowego życia. Tutaj można było odpocząć po niepowodzeniach dnia, po doznanych szyderstwach, urażających dotkliwie dumę. Mogła tu także znaleźć ukojenie w ciszy i samotności, z dala od wielkiego świata, dusza pokorna i skłonna do marzeń.

Nie ma tu od nikogo zależności, nie ma obowiązków ani tytułów, nie trzeba się zachowywać, jak nakazuje etykieta dworska. Kto tu wejdzie, tego otoczy spokój klasztorny i swoista swoboda właściwa życiu więziennemu. Niewolnik w pałacu staje się panem dla siebie w swoim pokoju w oficynie.

Łagodna i dumna Andrea przychodziła tu nie po to, aby zaznać wytchnienia po rozczarowaniach zawiedzionej ambicji czy niezaspokojonych kaprysów, ale dlatego, że mogła w tym ciasnym, ubogim pokoiku myśleć spokojniej niż w bogatych salonach Trianon, po których posadzkach noga jej stąpała z nieśmiałością podobną do strachu.

Z tego cichego zakątka, gdzie czuła się jak u siebie w domu, młoda dziewczyna spokojnie i chłodno spoglądała na te wszystkie wielkie wydarzenia dnia, które olśniły jej oczy. Wśród kwiatów, przy klawesynie, otoczona niemieckimi książkami, które są najmiłym towarzyszem dla ludzi czytających z sercem, Andrea wzywała los, aby zesłał jej troskę albo odjął radość.

Wieczorem, kiedy po wykonaniu swych obowiązków wdziewała peniuar o szerokich fałdach i mogła odetchnąć pełną piersią, mówiła do siebie:

— Posiadam tutaj niemal wszystko, co będę posiadać aż do samej śmierci. Może będę kiedyś bogatsza, nigdy jednak nie będę uboga: zawsze bowiem pozostaną mi kwiaty, muzyka i piękne książki dla pocieszenia samotnych.

Andrej wolno było jeść u siebie śniadanie według jej życzenia. Przywilej ten miał dla niej doniosłe znaczenie. Mogła dzięki temu aż do południa przebywać w swoim pokoju, chyba że małżonka delfina wezwała ją do czytania lub na poranną przechadzkę. Miała więc dużo swobody i w piękne dni wychodziła rano z książką, błądząc po wielkim lesie wiodącym z Trianon do Wersalu. Po dwóch godzinach wędrówki, rozmyślań i dumania wracała na śniadanie, nie spotkawszy przez cały czas nikogo, ani pana, ani lokaja, ani nikogo ze służby.

Kiedy upał przeciskał się nawet przez gęste gałęzie starych drzew, w pokoju Andrei było przewiewnie i chłodno, powietrze płynęło przez okno i przez drzwi. Mała sofa, pokryta perkalem, cztery krzesła z takim samym pokryciem, niepokalanie czyste łóżko, osłonięte firankami z tej samej tkaniny co pokrycie mebli, dwie chińskie wazy na kominku i czworokątny stolik na mosiężnych nogach obok klawesynu — oto z czego składał się ten mały świat, w którym Andrea zamykała wszystkie swoje nadzieje i wszystkie swoje pragnienia.

Powiedzieliśmy więc, że młoda dziewczyna siedziała w swoim pokoju i pisała list do ojca, kiedy zwróciło nagle jej uwagę lekkie, nieśmiałe pukanie do drzwi.

Podniosła głowę, zobaczyła otwierające się drzwi i wydała cichy okrzyk zdumienia. W drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz Nicole.

ROZDZIAŁ XCV. ZAWIŁE DROGI RADOŚCI I ROZPACZY

— Dzień dobry, pani, to ja .— powiedziała Nicole z pogodnym uszanowaniem, które jednak ze względu na znajomość charakteru pani nie było wolne od niepokoju.

— To ty? W jaki sposób tu się dostałaś? — odparła Andrea kładąc pióro, aby lepiej poprowadzić zaczęłą rozmowę.

— Pani zapomniała o mnie. Ja przyjechałam...

— Jeżeli zapomniałam o tobie, miałam do tego swoje przyczyny. Ale któż ci pozwolił tu przyjeżdżać?

— Pan baron oczywiście — rzekła Nicole trochę niezadowolona, marszcząc dwoje pięknych, czarnych brwi, które zawdzięczała wspaniałym umiejętnościom pana Rafté.

— Jesteś niezbędna ojcu mojemu w Paryżu, tutaj cię zupełnie nie potrzeba... Możesz więc wracać, moje dziecko.

— Och, pani mnie nie lubi — rzekła Nicole. — A ja myślałam, że potrafiłam się przypodobać... Tak, kochaj, człowieku, kochaj — dodała sentencjonalnie — ale czy ci odplacą tym samym?

I starała się daremnie wycisnąć spod powiek swych pięknych oczu choć kilka łez.

Serce Andrei było jednak dość wrażliwe, aby obudziła się w niej litość na samą tylko skargę.

— Moje dziecko — rzekła — pełnię tu tylko służbę i nie mogę sobie pozwolić na to, aby małżonka delfina miała utrzymywać jeszcze kogoś z powodu mnie.

— Czyżby rzeczywiście był to taki wielki koszt? — zapytała Nicole z przymilnym uśmiechem.

— Wszystko jedno, moja droga, ale to niemożliwe, abyś tu przebywała.

— Czy z powodu mego podobieństwa? Proszę, niech pani tylko spojrzy uważnie na moją twarz.

— Rzeczywiście, zmieniłaś się bardzo.

— Był u nas wczoraj dostoyny pan, który wyjednał stopień oficerski dla pana Filipa i widząc pana barona zmartwionego, że pozostawił cię, pani, bez pokojówki, powiedział, że nic łatwiejszego, jak zmienić mnie z białej na czarną, wziął mnie z sobą, kazał u farbować włosy i oto jestem.

Andrea uśmiechnęła się.

— Kochasz mnie więc tak bardzo — rzekła — że gotowa jesteś zamknąć się w tym więzieniu, jakim jest dla mnie Trianon?

Nicole rzuciła wokół siebie szybkie, bystre spojrzenie.

— Tak, ten pokój nie jest wesoły, ale przecież nie przebywa pani w nim ciągle?

— Ja, pewnie że nie, ale ty nie pójdziesz do salonu małżonki delfina, nie będziesz miała gier, przechadzek ani towarzystwa, będziesz siedziała tutaj kamieniem... Umrzesz z nudy!

— O, znajdę jakieś małe okienko — odparła Nicole — można będzie przyglądać się temu światu choćby przez szparę w drzwiach. Będę widziała i mnie będą widzieli... To mi wystarczy. Nie martw się o mnie, pani.

— Nie mogę cię jednak przyjąć, Nicole, bez wyraźnego rozkazu

— Czyjego rozkazu?

— Mojego ojca.

Nicole wydobyła z zanadru list barana de Tavernev.

— Proszę to, czego pani żądała — rzekła wręczając Andrei list.

List był treści następującej:

„Wiem i zwrócono na to uwagę, moja droga Andreo, że nie prowadzisz w Trianon takiego życia, jakie przynależne jest twojej pozycji towarzyskiej. Powinnaś mieć dwie służące i lokaja, tak jak dla mnie niezbędne jest dwadzieścia tysięcy liwrow dochodu rocznie. Ponieważ jednak poprzestaję na tysiącu liwrow, weź ze mnie przykład i przyjmij Nicole, która sama jedna warta jest całej potrzebnej ci służby.

Nicole jest zręczna, pojętna i przywiązana. Szybko nabierze ogłady i przyswoi sobie tutejszy sposób bycia. Będziesz musiała raczej powstrzymać ją niż zachęcać do pracy. Przyjmij ją więc i nie sądz,

*że czynię dla ciebie ofiarę. W wypadku, gdybyś tak myślała, weź zawsze pod rozwagę, że Jego Królewska Mość, który Wyświadczył nam tyle dobrodziejstw, zobaczywszy ciebie, miał się wyrazić, wiem o tym z ust dobrego przyjaciela, że zbywa ci na wielu rzeczach, przynależnych osobie twojej pozycji towarzyskiej. Zastanów się nad tym, to sprawa nader ważna.
Twój kochający ojciec."*

List ten napęłnił ją bolesnymi uczuciami.

Tak więc i tutaj ściagało ją przekleństwo ubóstwa, którego ona jedna tylko nie uważała za hańbę, gdy wszyscy inni widzieli je jako plamę.

I była już skłonna złamać w gniewie pióro i podrzeć zaczęty list, aby odpowiedzieć w zdaniach pełnych wzniosłej bezinteresowności, pod którymi, była tego pewna, podpisałaby się bez wahania Filip.

Lecz stanęła jej przed oczyma twarz barona z ironicznym uśmiechem czytającego to arcydzieło i odeszła ją ochota wykonania swego zamiaru. Zadowolona się więc w odpowiedzi na list barona dopiskiem, w którym ograniczyła się do podania wiadomości z Trianon:

„Mój ojciec — pisała więc — w tej chwili przybyła właśnie Nicole i przyjmuję ją stosownie do twojego polecenia. Ale to, co napisałeś w związku z jej przyjazdem, wprawia mnie w prawdziwą rozpacz. Bo czyż będę mniej śmieszna wśród tych możliwych dworu z wiejską pokojówką, niż byłam bez niej? Nicole będzie się martwić widząc moje upokorzenie, będzie mieć żal do mnie, gdyż lokaje są hardzi lub uniżeni w zależności od zamożności i tytułów ich panów. Co się tyczy uwagi Najjaśniejszego Pana, to pozwól sobie powiedzieć, mój ojciec, że król ma zbyt wiele rozsądku, aby mógł gniewać się na mnie, że nie mogę grać roli wielkiej damy, ma zbyt dobre serce, aby mógł zauważyć lub gorszyć się moim ubóstwem zamiast dać mi dostatek, który usprawiedliwiłby w oczach wszystkich twoje zasługi i twoje imię."

Taka była odpowiedź młodej dziewczyny i trzeba przyznać, że ta szczerą niewinność, ta szlachetna duma zdolne były oprzeć się podstępności i zepsuciu jej kusicieli.

Andrea nie mówiła więcej o Nicole. Zatrzymała ją, a Nicole, uradowana, zastała natychmiast małe łóżko w gabinecie na prawo, przyległym do przedpokoju, i stała się tak mała, tak niedostrzegalna i delikatna, jak tylko potrafiła, byleby tylko nie urazić czymkolwiek swojej pani w tym skromnym zakątku. Można by rzec, że chciała naśladować płatek róży, który uczeni perscy wrzucali do naczynia po brzegi napęlnionego wodą, dodawali jeszcze kilka kropel, a woda się nie przelewała.

Andrea wyszła do Trianon około godziny pierwszej. Nigdy jeszcze nie ubrała się tak prędko i tak ładnie. Nicole przechodziła samą siebie; była uważna, domyślna, nadskakująca, niczego nie można było jej zarzucić. Kiedy Andrea pozostawiła ją samą, Nicole poczuła się panią domu i uważała za stosowne dokonać skrupulatnego przeglądu gospodarstwa. Nie pominęła niczego: począwszy od listów aż do najmniejszych drobiazgów toalety, od kominka aż do najgłębszych kątów gabinetów — wszystko to zostało poddane jej ścisłemu badaniu.

Potem wyjrzała przez okno, aby rozejrzeć się po okolicy.

Na dole był obszerny dziedziniec, gdzie masztalerze czyścili i opatrywali paradne konie małżonki delfina. E, masztalerze! Nicole odwróciła pogardliwie głowę.

Na prawo widać było szereg okien, w których co chwila ukazywały się głowy pokojówek i służących. Nicole powiodła z niesmakiem wzrokiem po tych oknach.

Naprzeciwko odbywała się próba chóru i orkiestry. Przygotowywano mszę na świętego Ludwika.

Nicole, zajęta teraz trzepaniem, wynalazła sobie zabawę polegającą na tym, że śpiewała razem z chórem swoje melodie, siejąc zamęt wśród kapelmistrzów i muzyków.

Ale Nicole prędko się tym znudziła i rzuciła okiem na wyższe piętro. Tam jednak wszystkie okna były zamknięte, przy tym było to poddasze.

Nagle otworzyło się tam jedno z okienek i to w taki sposób, jakby otworzyło się samo, bo nikt się w nim nie ukazał.

Postanowiła jednak dowiedzieć się, kto tam mieszka, i przydybać go w oknie niespodzianie.

Udawała przeto, że nie zwraca uwagi na to okno, a co chwila zerkała skrycie w tamtą stronę. Raz wydało jej się, że ktoś uciekł, kiedy zbliżała się do okna. Drugim razem zobaczyła już na pewno znikające plecy.

Wtedy schowała się za firankę i czatowała zostawiwszy okno otwarte, aby nie budzić podejrzeń.

Czekała długo. Ale w końcu ukazały się najpierw czarne włosy, potem ostrożnie i z wahaniem wysunięte ręce, które podtrzymywały lekko przechylone do przodu ciało, wreszcie pojawiła się wyraźnie cała twarz.

Na jej widok Nicole zachwiała się i nieomal by się przewróciła. Aby to się nie stało, uczepiła się firanki, która zatrzepotała jak flaga na wietrze.

Twarz, która wywołała takie wrażenie, była twarzą Gilberta.

Gilbert zauważył poruszającą się firankę, domyślił się podstępu i nie pokazał się więcej, a niebawem zamknęło się nawet okienko na poddaszu.

Gilbert poznał więc Nicole. Chciał upewnić się co do obecności swej nieprzyjaciółki, ale sam został odkryty i uciekł, pełen lęku i gniewu.

Tak też wytłumaczyła sobie tę scenę Nicole i należy podziwiać trafność jej rozumowania.

Gilbert zaś wolałby zobaczyć samego diabła niż Nicole. Miał z nią swoje zadawnione porachunki, tysiąc obaw rodziło się w nim z powodu jej przybycia. Nie wygasło w nim jeszcze żdźbło starej zazdrości, wiedziała o jego tajemnicy w ogrodzie przy ulicy Coq-Héron.

— Cóż znaczy — mówił sam do siebie gryząc paznokcie z wściekłości — głupie odkrycie, że Nicole miała kochanka. To już minęło i nie odprawia jej stąd z tej przyczyny. Ona tymczasem wie, co robiłem przy ulicy Coq-Héron i jeżeli mnie wyda, może to sprawić, że wypędzą mnie z Trianon... Nie ja, a ona ma mnie w ręku. O, niech to wszyscy diabli!

Ugodzona dotkliwie jego miłość własna, budząc złość przemieniającą się we wściekłość, wzburzyła z niesłychaną gwałtownością jego krew.

Doznał uczucia, że Nicole, wchodząc do tego pokoju spowitego w jego marzenia, z szatańskim uśmiechem rozpędziła wszystkie szczęśliwe sny, jakie Gilbert przysyłał tam co dzień wraz z życzeniami, gorącą miłością i kwiatami.

Był pewien, że prędzej czy później dojdzie między nimi do wojny, ale Gilbert jako człowiek roztropny nie chciał, aby nastąpiło to wcześniej, niż będzie do niej należycie przygotowany.

Postanowił zatem udawać nieżywego, dopóki szczęśliwy traf nie da mu okazji do zmartwychwstania albo dopóki Nicole nie odważy się przez słabość bądź w potrzebie na taki krok, który pozbawi ją posiadanej przewagi.

Nieszczęściem dla Nicole, nie była ona wolna od rozmaitych grzeszków i dlatego, gdyby nawet teraz była chodzącą cnotą, zawsze można było znaleźć w jej przeszłości takie sprawki, które mogły zachwiać jej pozycję.

To właśnie trafiło się w niespełna tydzień potem. Gilbert, który czatował wieczorem, czatował w nocy, dostrzegł wreszcie przez sztachety znajome pióra u kapelusza, które były dla Nicole powodem roztargnienia, ponieważ należały one do pana Beausire, przybyłego w ślad za dworem z Paryża do Trianon.

Długi czas Nicole była niewzruszona i okrutna, długi czas Beausire szczął zębami z zimna lub piekł się niemiłosiernie na słońcu i ta cnotliwość Nicole wprawiała Gilberta w rozpacz. Pewnego jednak wieczoru Beausire przekroczył widocznie granice swojego mimicznego krasomównstwa i trafił do przekonania Nicole, bo skorzystała ona z chwili, kiedy Andrea była na obiedzie w pawilonie z panią de Noailles, i wyszła na dziedziniec stajenny do pana Beausire, który pomagał swemu przyjacielowi, nadzorcy stajen królewskich, tresować małego konia irlandzkiego.

Z dziedzińca przeszli oboje, Nicole i pan Beausire, do ogrodu, a stamtąd w cieniistą aleję wiodącą do Wersalu.

Gilbert postępował za nimi z dziką radością tygrysa, który wietrzy zdobycz. Liczył ich kroki i westchnienia, nauczył się na pamięć słów, które usłyszał. Można sądzić, że był zadowolony z wyniku tej wyprawy, bo następnego dnia, swobodny i wesoły, umyślnie pokazał się w okienku swojej izdebki, nie lękając się już, że go widzi Nicole, a przeciwnie, lekceważeniem odpowiadając na jej spojrzenia. Nucił przy tym wesołą piosenkę.

Powtórzyło się to kilka razy i Nicole uznała, że pożytecznie będzie rozmówić się z Gilbertem.

Gilbert spostrzegł, że Nicole go szuka. Poznawał to po lekkim jej kaszlu, który słychać było przy oknie, kiedy Nicole wiedziała, że Gilbert jest w izdebce, po częstym wychodzeniu na korytarz, kiedy przypuszczała, że Gilbert będzie tędy przechodził.

Któregoś dnia spotkała go w ten sposób. Zawołała na niego, nie odpowiedział.

Później posunęła się jeszcze dalej. Podkraśla się aż do samych drzwi jego izdebki na poddaszu i zapukała, wiedząc, że jest w domu.

Gilbert milczał.

Była to dla niego niebezpieczna pokusa. Mógł upokorzyć tę dziewczynę, przychodzącą prosić o przebaczenie. Był sam, pełen wezbranej namiętności, spotęgowanej wspomnieniem o Taverney i zmysłową pięknnością tej rozkosznej dziewczyny. Już podniósł rękę, aby otworzyć drzwi, ale się powstrzymał.

— Nie — rzekł do siebie — przyszła tylko z wyrachowania. Chce coś przez to zyskać. Kto wie, co ja mógłbym przez to stracić?

I na skutek takiego rozumowania opuścił rękę.

Nicole zapukała jeszcze ze dwa lub trzy razy i odeszła z opuszczoną głową, marszcząc brwi.

Gilbert zachował całą przewagę. Nicole podwoiła więc zabiegi, aby nie postradać ostatniej swojej szansy. Na tym na razie się skończyło.

Ale przypadek zdarzył, że spotkali się pewnego wieczoru u drzwi kaplicy.

— A, dobry wieczór, panie Gilbercie.

— Dobry wieczór, panno Nicole. Jesteś więc w Trianon?

— Jak widzisz. Jestem pokojówką panny de Taverney.

— A ja ogrodnikiem.

Nicole dygnęła układowie Gilbertowi, on ukłonił się jej z dystynkcją jak dworzanin i rozeszli się.

Gilbert udał, że wychodzi, choć wracał do domu.

Nicole wychodziła rzeczywiście. Gilbert poszedł za nią wilczym krokiem, spodziewając się, że ma schadzkę z Beausirem.

W cieniu alei istotnie widać było czekającego mężczyznę. Nicole zbliżyła się do niego. Było zbyt ciemno, aby Gilbert mógł poznać rysy twarzy Beausire'a. Jednak zaintrygował go brak białych piór na kapeluszu i to tak bardzo, że zostawił Nicole, która wracała do domu, a sam poszedł w ślad za mężczyzną, którego odprowadził aż do bram Trianon.

Stwierdził, że nie był to Beausire. Mężczyzna ten z postawy przypominał wielkiego pana i pomimo starości miał chód rzeński i pewny. Gilbert podszedł bliżej i przesunął się z zuchwałą bezczelnością tuż przed nosem mężczyzny, zaglądając mu w oczy. Poznał w nim księcia de Richelieu.

— Do kata! — rzekł. — Po podoficerze marszałek Francji. Panna Nicole pnie się szybko w górę.

ROZDZIAŁ XCVI. PARLAMENTY

Kiedy te wszystkie małe intrygi, wylęgłe pod lipami i wśród kwiatów Trianon, stanowiły treść życia tego zamkniętego świata, nad wielkim miastem zawisły groźne wydarzenia i rozpostarły szerokie skrzydła nad pałacem Temidy, jak pisał z napuszoną uciekając się do mitologicznych porównań Jan Dubarry do swojej siostry.

Parlamenty, wynaturzone szczątki dawnej opozycji francuskiej, odetchnęły nieco pod kapryśnymi rządami Ludwika XV. Ale potem odszedł ich protektor, pan Choiseul, i wtedy odczuły, że grozi im niebezpieczeństwo, starały się więc zapobiec mu wszelkimi środkami, na jakie pozwalały okoliczności.

Każdy ogólny, wielki wstrząs dziejowy ma bezpośrednią przyczynę, powodującą starcie jednostek, podobnie jak wielkie bitwy rozpoczynają się utarczkami pojedynczych wojowników.

Odkąd de la Chalotais, uosabiający walkę trzeciego stanu z feudalizmem, wyzwał księcia d'Aiguillon, opinia publiczna kurczowo uczepiła się tej kwestii i nie ścierpiałaby, aby mogła być ona zdjęta z porządku dziennego.

I wtedy król, którego parlamenty Bretanii i całej Francji załaty potopem petycji mniej lub więcej okazujących uległość i przywiązanie synowskie, król za pośrednictwem pani Dubarry opowiedział się za feudałami przeciw stanowi trzeciemu i mianował księcia d'Aiguillon dowódcą szwoleżerów.

Jan Dubarry trafnie to określił: był to policzek wymierzony członkom parlamentu.

Jak ten policzek zostanie przyjęty? — oto pytanie, które nie schodziło z ust ani dworu, ani miasta, które zadawano sobie od początku każdego poranka o wschodzie słońca.

Ludzie z parlamentu są bardzo przenikliwi i tam gdzie inni nie mogą wyjść z zamętu, oni widzą rzeczy jasno.

Zaczęli od porozumienia się co do istoty i skutków obrazy, ustalenia rozmiarów zniewagi, po czym stwierdzili, że obelga miała miejsce i postanowili, że „Parlament weźmie pod rozagę postępowanie byłego gubernatora Bretanii i wypowie się w tej sprawie”.

Ale król odparł ten cios zakazem udziału parów i książąt w jakichkolwiek bądź naradach parlamentu, dotyczących księcia d'Aiguillon. Parowie i księżęta dochowali bezwarunkowego posłuszeństwa.

Wówczas parlament postanowił sam załatwić tę sprawę i wydał wyrok, mocą którego księżę d'Aiguillon jako ciężko obwiniony i poważnie podejrzany o czyny, plamiące nawet honor, został zawieszony w obowiązkach para aż do czasu wydania wyroku przez sąd parów w formie zgodnej z przepisami prawa i ustawami królestwa, wyroku oczyszczającego księcia d'Aiguillon z zarzutów popełnienia ciężkich zbrodni oraz z podejrzeń o czyny hańbiące.

Ale nie wystarczyło wydać podobny wyrok w parlamencie w obecności zainteresowanych stron oraz zapisać go w księgach. Trzeba go było jeszcze podać do publicznej wiadomości. Trzeba było poza tym wybuchu zgorszenia i oburzenia, którego nigdy nie waha się ani lęka wzniecić piosenka francuska, co czyni tę piosenkę wszechwładną panią wypadków i ludu. Toteż trzeba było podnieść ten wyrok parlamentu do potęgi piosenki.

Paryż płonął żądzą zabawy, jakiej żer stanowi skandal. Mało przychylny królowi, mało przychylny parlamentowi, wiecznie kipiący Paryż czyhał tylko na powód do śmiechu, ten Paryż nawykły do płaczu, do którego powodu od stu lat los mu niestrudzenie dostarczał.

Wyrok tymczasem, zapadły prawomocnie, został wydrukowany w dziesięciu tysiącach egzemplarzy, które zostały rozchwywane natychmiast.

Stosownie do obowiązujących przepisów wyznaczeni przez parlament komisarze udali się z zawiadomieniem o wyroku do pałacu księcia d'Aiguillon, który wyjechał w tym czasie do Paryża na niezmiernie ważną rozmowę.

A jednocześnie dzięki Rafté'mu cały Wersal w ciągu godziny wiedział o szlachetnym oporze starego marszałka rozkazom króla, dotyczącym objęcia przez niego ministerstwa po Choiseulu. Dzięki Wersalowi dowiedział się o tym cały Paryż i Francja cała. Richelieu rósł w popularność i z jej wysokości mógł swobodnie robić polityczne wstręty zarówno pani Dubarry, jak i swojemu kochanemu synowcowi.

Sytuacja nie była pomyślna dla d'Aiguillona, już i tak bardzo nie lubianego. Marszałek, choć zniechęcony przez lud, był zawsze jednak groźny, ponieważ miał za sobą szlachtę, tak szanowaną i godną szacunku za Ludwika XV. Marszałek był tak przewrotny, że potrafił bezwzględnie i bez skrępowań rzucać się na swoją własną partię, jeżeli widział w tym swój interes i okoliczności na to pozwalały, lub jeżeli pozwoliło mu to zabłysnąć dowcipem. Richelieu był przeciwnikiem trudnym do pokonania, tym bardziej że najmocniejszą stroną jego nieprzyjaźni było to, że, jak sam mówił, zaskakiwał niespodziankami, które chował w zanadrzu.

Księżę d'Aiguillon od czasu widzenia się z panią Dubarry miał w swym pancerzu dwa słabe miejsca. Zgadując, że pod maską chłodnej uprzejmości Richelieu ukrywa głęboką urazę i płonie żądzą zemsty, zrobił to, co trzeba zrobić w czasie burzy: rozbił trąbę morską kulami armatnimi, przekonany, że niebezpieczeństwo będzie tym mniejsze, im odważniej rzuci się w jego odmęty.

Szukał więc wszędzie stryja, aby się z nim wreszcie poważnie rozmówić. Ale nie było nic bardziej trudnego, odkąd marszałek domyślił się jego życzenia.

Zaczęły się natarcia i przeciwnatarcia. Gdy tylko marszałek dojrzał z daleka synowca, przesyłał mu uśmiech i natychmiast otaczał się osobami, które czyniły poważną rozmowę niemożliwą. W ten sposób wyzywał nieprzyjaciela, znajdując się w niedostępnej fortecy.

Księżę d'Aiguillon rozbił jednak trąbę morską.

Po prostu stawił się u stryja w Wersalu.

Ale Rafté czuwając u pałacowego okienka, wychodzącego na dziedziniec, poznał księcia i uprzedził swego pana.

Księżę wszedł aż do sypialni marszałka. Znalazł tu jego sekretarza, który z uśmiechem pełnym poufalości dopuścił się niedyskrecji, wtajemniczając synowca we wstydlivy sekret, że stryj spędził noc poza domem.

Księżę d'Aiguillon przygryzł wargi i wyszedł z dobrą miną.

Powróciwszy do domu, napisał list do marszałka prosząc o posłuchanie.

Marszałek nie mógł wymówić się od odpowiedzi. Odpowiadając, nie mógł odmówić posłuchania. A udzielając posłuchania, jakże uchylić się od wyjaśnień? D'Aiguillon podobny był do tych uprzejmych i

czarujących rębaczy, którzy ukrywają złe zamiary z niebywałym wdziękiem, wyprowadzają swoją ofiarę na miejsce stracenia z wielkim respektem i tam ją zabijają bez miłosierdzia.

Miłość własna marszałka nie sięgała tak daleko, aby oszukiwać samego siebie. Znał całą siłę swojego synowca. Stawiając przed nim, d'Aiguillon będzie starał się wydrzeć od niego przebaczenie albo ustępstwa. Richelieu zaś nie przebaczał nigdy, a ustępstwa wobec wroga uważał zawsze za śmiertelny błąd w polityce.

Odebrawszy list synowca, udał, że wyjechał na kilka dni z Paryża.

Radził się w tej sprawie swojego sekretarza. Rafté powiedział:

— Jesteśmy na najlepszej drodze do zniszczenia pana d'Aiguillon. Nasi przyjaciele w parlamentach pracują. Jeżeli pan d'Aiguillon, jak się tego zresztą domyśla, uderzy w ciebie przed przełomowymi wydarzeniami, wymusi na tobie obietnicę udzielenia mu pomocy w razie nieszczęścia, ponieważ twoje uczucia są tego rodzaju, że nie możesz im dać jawnie pierwszeństwa przed względami rodzinnymi. Jeżeli zaś odmówisz, pan d'Aiguillon nazwie cię nieprzyjacielem i sprawcą jego nieszczęść. Odejdzie z uczuciem ulgi, jak to zawsze się dzieje ilekroć odnajdujemy przyczynę zła, chociaż samo zło nie zostało usunięte.

— To wszystko bardzo słuszne — przyznał Richelieu — ale jak długo jeszcze można się tak kryć? Ile dni do wybuchu?

— Sześć.

— Na pewno?

Rafté wyjął z kieszeni list radcy parlamentarnego. List zawierał zaledwie kilka wierszy:

„Postanowiono, że wyrok zostanie wydany. Zapadnie we czwartek, to jest ostatniego dnia terminu oznaczonego przez zgromadzenie”.

— A zatem nic prostszego — powiedział marszałek — jak odesłać księciu jego list wraz z twoim bilecikim takiej treści: „Mości Książę, przyjm wiadomość o wyjeździe pana marszałka do.... Tę odmianę powietrza uznał za konieczną lekarz pana marszałka, nieco zmęczonego trudami. Jeżeli, sądząc według tego, co mi raczyłeś onegdaj powiedzieć, zechcesz, Książę, mieć rozmowę z panem marszałkiem, śpieszę ci donieść, że pan marszałek, wracając z..., będzie nocować w czwartek wieczorem w swoim pałacu w Paryżu, gdzie go, Książę, będziesz mógł zastać niezawodnie”. No, a teraz — dodał marszałek — schowaj mnie gdziekolwiek do czwartku.

Rafté dokładnie i punktualnie wykonał dane mu polecenia. Bilet został napisany i wysłany, kryjówkę wynaleziono. Tylko że Richelieu, nudząc się bardzo, chciał urozmaicić sobie czas i wybrał się któregoś wieczora do Trianon, aby porozmawiać z Nicole. Na nic się nie narażał, tak mu się przynajmniej wydawało, ponieważ wiedział, że książę d'Aiguillon przebywa w tym czasie w pałacu Luciennes.

Z sytuacji, jaka się wytworzyła, wynikało, że jeżeli nawet pan d'Aiguillon domyślał się czegoś, to przynajmniej nie mógł uprzedzić ciosu, który mu zagrażał, ponieważ nie spotykał nigdzie szpady przeciwnika.

Termin czwartkowy zaniepokoił go. Wyjechał tego dnia z Wersalu w nadziei, że spotka nareszcie i będzie mógł zmierzyć się ze swoim nieuchwytnym wrogiem.

Jak wiemy, był to dzień, w którym parlament wydał wyrok.

Głuche jeszcze wzburzenie, ale już wyraźnie odczuwalne dla paryżanina, który tak dobrze zna powierzchnię falujących tłumów, panowało na głównych ulicach, którymi przejeżdżała karetka księcia d'Aiguillon.

Nie zwracano na niego uwagi, ponieważ przez ostrożność jechał w powozie bez herbów, jak gdyby na schadzki miłosną.

Widział tu i ówdzie grupki ludzi, którzy z zaciekawieniem pokazywali sobie jakiś papier, czytali go żywo gestykulując, kręcili się jak mrówki wokół odrobiny cukru, która spadła na ziemię. Ale był to czas poruszenia, nie noszącego w sobie niebezpieczeństwa. Lud skupiał się podobnie z powodu cen na zboże, z powodu artykułu Gazety Holenderskiej czy czterowersza Woltera lub piosenki przeciw pani Dubarry albo panu Maupeou.

Pan d'Aiguillon zajął wprost przed pałac księcia Richelieu. Zastał tylko Rafté'go.

— Czekamy na pana marszałka, powinien być lada chwila — rzekł Rafté. — Może poczta się opóźniła.

D'Aiguillon postanowił czekać, okazując trochę złego humoru, ponieważ przyjął nieobecność marszałka jako nową porażkę.

Sytuacja zaczęła przedstawiać się jeszcze gorzej, gdy Rafté powiedział mu, że marszałek będzie niepokieszony, skoro powróciwszy dowie się, że pan d'Aiguillon czekał. Rafté dodał, że marszałek nie będzie nocował w Paryżu, jak początkowo zamierzał, że nie będzie powracał sam i w Paryżu będzie tylko przejazdem, wpadając do pałacu jedynie na chwilę po wiadomości. A zatem pan d'Aiguillon najlepiej zrobi, gdy powróci do siebie, gdzie marszałek przejeżdżając wstąpi.

— Posłuchaj, Rafté — rzekł d'Aiguillon, bardzo się zaszępiwszy, słuchając tej wykrętnej wypowiedzi — jesteś sumieniem mojego stryja, odpowiedz więc jak uczciwy człowiek. Drwią sobie ze mnie i pan marszałek nie chce się ze mną widzieć, prawda? Nie przerywaj, Rafté, byłeś mi często dobrym doradcą, a ja mogłem być dla ciebie, czym będę jeszcze: dobrym przyjacielem. Czy trzeba, abym wracał do Wersalu, powiedz?

— Mości książę, na honor, nim upłynie godzina, będziesz miał wizytę pana marszałka.

— Ależ w takim razie równie dobrze mogę czekać tutaj, ponieważ tu przyjedzie.

— Miałem zaszczyt powiedzieć ci, książę, że może nie przyjedzie sam.

— Rozumiem... i mam twoje słowo, Rafté.

To powiedziawszy, wyszedł zadumany, ale ze szlachetnym, ujmującym wyrazem twarzy, całkowitym przeciwieństwem tego, co malowało się na obliczu marszałka, kiedy zjawił się Z gabinetu za szklanymi drzwiami po odejściu synowca.

Marszałek uśmiechnął się szkaradnie jak jeden z diabłów, którymi Callot usiał swoje Pokuszenie.

— Niczego się nie domyśla? — zapytał.

— Nie.

— Która godzina?

— Godzina nie ma znaczenia, książę. Trzeba czekać na naszego małego prokuratora z Châtelet, który przyjdzie mnie zawiadomić.

Rafté nie skończył jeszcze mówić, kiedy przez ukryta drzwiczki lokaj wprowadził dość brudnego, szpetnego i czarnego człowieka, jednego z tych pismaków, do których pan Dubarry miał tak nieprzezwyciężoną odrazę.

— Ach, to ty, panie Flageot! — rzekł Rafté idąc z uśmiechem na spotkanie temu człowiekowi, wepchnąwszy przedtem marszałka do gabinetu.

— Sługa najniższy, panie Rafté. No, sprawa załatwiona.

— Już wydrukowano?

— Pięć tysięcy egzemplarzy. Pierwsze odbitki krążą już po mieście, dalsze schną.

— Co za nieszczęście, panie Flageot, jaką rozpacz dla rodziny pana marszałka!

Pan Flageot, aby uwolnić się od odpowiedzi, to jest od kłamstwa, wydobył dużą, srebrną tabakierę i powoli zażył hiszpańskiej tabaki.

— A co potem będą robić?

— To już formalności, kochany panie Rafté. Panowie komisarze po sprawdzeniu, że egzemplarze zostały wydrukowane i rozesłane, wsiadą zaraz do karety, która czeka na nich przed drukarnią, i pojedą ogłosić wyrok księciu d'Aiguillon, który właśnie na szczęście, to jest na nieszczęście dla niego, znajduje się w swoim mieszkaniu w Paryżu, gdzie z nim będą mogli rozmawiać.

Rafté poruszył się nagle, aby wziąć ogromny plik papierów, który wręczył panu Flageot mówiąc:

— Oto są dokumenty, o których panu mówiłem. Pan marszałek ma do pana wielkie zaufanie i powierza panu tę sprawę, z której i pan winien wynieść pewne korzyści. Dziękuję za pomoc w pożałowania godnym zatargu pana d'Aiguillon z wszechwładnym parlamentem paryskim, dziękuję za cenne ostrzeżenia!

I popchnął lekko, ale z pewnym pośpiechem, pana Flageot ku drzwiom przedpokoju.

A uwalniając marszałka, powiedział:

— Prędzej, książę! Nie masz ani chwili do stracenia, jeżeli chcesz być świadkiem ogłoszenia wyroku. Staraj się, aby konie twoje wyprzedziły karetę panów komisarzy.

ROZDZIAŁ XCVII. DROGA NIE USŁANA RÓŻAMI

Konie księcia Richelieu szły prędzej niż kareta panów komisarzy, ponieważ marszałek wjechał pierwszy na dziedziniec pałacu księcia d'Aiguillon.

D'Aiguillon nie oczekiwał już stryja i gotował się do odjazdu, aby oświadczyć pani Dubarry, że nieprzyjaciel zdemaskował się, kiedy odźwierny oznajmił przybycie marszałka.

Książę wybiegł na spotkanie stryja i wziął go za rękę z wyrazem czułości równym bojaźni, która go ogarnęła.

Marszałek nie był dłużny w wylewności okazywanych uczuć. Obraz był zaiste rozrzewniający. Tylko że d'Aiguillon dążył do przyśpieszenia wyjaśnień, marszałek natomiast ociągał się, oddalając tę chwilę, jak tylko mógł, to przyglądając się obrazom i rzeźbom, bądź też użalając się na śmiertelne znużenie.

Książę przeciął jednak wreszcie odwrót stryjowi, zamknął go w krześle, podobnie jak Villars zamknął księcia Eugeniusza w Marchiennes, i zaatakował go.

— Mój stryju — rzekł — czy to możliwe, że ty, najdowcipniejszy człowiek Francji, uwierzyłeś w brednie o uszkodzeniu tobie?

Wycofać się nie było już można. Richelieu podjął wyzwanie.

— Cóż ty wygadujesz, mój drogi — odpowiedział — i na czym opierasz przekonanie, że ja myślałem o tobie dobrze albo źle?

— Gniewasz się na mnie, stryju?

— Ja? Ale z jakiegoż by powodu?

— Och, dość już tych wymijających odpowiedzi, panie marszałku. Stronisz ode mnie, kiedy ja cię potrzebuję, ot i wszystko!

— Na honor, nie rozumiem cię, mój drogi.

— A więc wytłumaczę ci. Król nie chciał mianować cię ministrem, a ponieważ ja przyjąłem dowództwo szwoleżerów, sądzisz, że cię opuściłem, zdradziłem. A ta kochana hrabina, której sercu jesteś bliski...

W tym miejscu Richelieu pilnie nadstawił ucha, lecz nie tylko na słowa synowca.

— Mówisz, że jestem bliski sercu hrabiny? — wtrącił.

— I przekonam cię o tym.

— Ależ, mój drogi, ja temu nie przeczę... Sprowadziłem cię, abyśmy wspólnie wzięli się do dzieła. Jesteś młodszy, zatem silniejszy. Gdzie tobie udaje się, tam ja chybiam. I wszystko jest w porządku. Ja doprawdy nie mogę pojąć, skąd u ciebie te wszystkie skrupuły. Jeżeli działałeś w moim interesie, stokratnie dziękuję. Jeżeli działałeś przeciwko mnie, no to ci odpłacę... I czy trzeba tu jakichś wyjaśnień?

— Doprawdy, stryju...

— Jesteś dzieckiem, mój drogi. Twoja sytuacja jest znakomita: jesteś parem Francji, księciem, dowódcą szwoleżerów, za sześć tygodni będziesz ministrem... Powinieneś być wyższy ponad te błahy sprawy. Powodzenie rozgrzesza, moje kochane dziecię. Wyobraź sobie... ja lubię przypowieści... Wyobraź więc sobie, że jesteśmy dwoma mułami z bajki... Ale co to? Co to słyhać?

— To nic, stryju, proszę mówić dalej.

— To jednak coś... Słyszę karetę wjeżdżającą na dziedziniec.

— Mój stryju, nie przerywaj sobie, proszę cię. Rozmowa z tobą ważniejsza niż wszystko. Ja też lubię bajki.

— No, mój kochany, chciałem ci powiedzieć, że gdy będzie ci się wiodło, nie spotkasz się z zarzutami, nie będziesz potrzebował lękać się gniewu zazdrosnych. Ale jak ci się potknie noga... ach, do diabła! Strzeż się. wtedy wilk rzuca się na ciebie... Ale widzisz, dobrze mówiłem, słyhać jakiś gwar w przedpokoju, zapewne przynoszą ci nominację... Dobrze musiała napracować się dla ciebie hrabina w alkowie.

Wszedł odźwierny.

— Panowie komisarze parlamentu — oznajmił z niepokojem.

— Coś podobnego!

— Komisarze parlamentu? Czego tu oni chcą? — zapytał książę, nie bardzo uspokojony uśmiechem stryja.

— W imieniu króla! — rozległ się dźwięczny głos w końcu przedpokoju.

— Och! — wykrzyknął Richelieu.

D'Aiguillon wstał blady i podszedł do drzwi salonu, aby wprowadzić komisarzy, za którymi widać było dwóch woźnych o nieruchomych obliczach, a potem w pewnej odległości gromadkę spłoszonych lokajów.

— Czego żądacie ode mnie? — zapytał księżę wzruszonym głosem.

— Czy mamy honor mówić z księciem d'Aiguillon? — zapytał jeden z komisarzy.

— Tak, panowie, jestem księżę d'Aiguillon — odpowiedział.

Wtedy komisarz, ukłoniwszy się nisko, wydobyl zza pasa akt odpowiednio sporządzony i przeczytał go głośno i wyraźnie.

Był to wyrok szczegółowy, dokładny, zupełny, ogłaszający księcia za ciężko obwinionego i podejrzanego nawet o czyny plamiące honor, i zawieszający go w obowiązkach para królestwa.

Księżę wysłuchał wyroku jak człowiek rażony piorunem. Stał nieruchomy jak posąg i nie wyciągnął nawet ręki, aby przyjąć odpis wyroku, który mu podawał komisarz parlamentu.

Marszałek przeciwnie, rzeński i ruchliwy, wziął papier z rąk komisarza, przeczytał go i ukłonił się panom komisarzom.

Komisarze byli już daleko, a księżę d'Aiguillon stał ciągle Jeszcze jak skamieniały.

— Tak, twardy to cios — rzekł Richelieu — nie jesteś już parem Francji, to poniżające.

Księżę zwrócił się w stronę stryja, jakby dopiero teraz odzyskał życie i zdolność myślenia.

— Zaskoczyło cię to? — rzekł Richelieu.

— A ciebie, stryju? — zapytał d'Aiguillon.

— Skądże można było wiedzieć, że parlament uderzy tak ostro w faworyta króla i królewską faworytkę. Ci ludzie zostaną starci w proch.

Księżę usiadł trzymając rękę przy rozpalonej twarzy.

— Bo widzisz — mówił stary marszałek jakby wpychając sztylet głębiej w ranę — jeżeli parlament pozbawia cię parostwa dlatego, że zostałeś dowódcą szwoleżerów, to może skazać cię na więzienie i przypalenie ogniem tego samego dnia, kiedy zostaniesz mianowany ministrem. Ci ludzie nienawidzą cię, d'Aiguillon, nie dowierzaj im.

Księżę zniósł to potworne naigrzanie się z godnością bohatera. Nieszczęście nadało mu wielkości, oczyściło duszę.

Richelieu wziął dumę synowca za nieczułość, sądził, że może jego słowa nie dotarły, że pewno ukłucie nie było dość głębokie.

— Nie będąc już parem — ponowił więc swoje usiłowania — mniej będziesz wystawiony na nienawiść tych pieniaczy... Ukryj się gdzieś w zaciszu na kilka lat. Przy czym, jak widzisz, to odosobnienie, które stanowi twój ratunek, nastąpi nawet bez twojego zachodu. Po pozbawieniu godności para trudniej ci będzie zostać ministrem, ale to cię wybawi z kłopotu. No, a jeżeli chcesz walczyć, mój przyjacielu, to masz za sobą przecież panią Dubarry, a to nie lada podpora.

D'Aiguillon wstał. Nie okazał nawet gniewu za wszystkie przykrości, jakie mu zgotował marszałek.

— Masz słuszność, stryju — odpowiedział spokojnie — mądrość twoja przebija i z tej ostatniej rady. Hrabina Dubarry, której raczyłeś mnie przedstawić i do której mówiłeś o mnie tak dobrze i z takim zapalem, o czym zaświadczyć mogą wszyscy w Luciennes, nie odmówi mi swej pomocy. Kocha mnie, jest śmiała i ma władzę nad Najjaśniejszym Panem. Dziękuję ci, stryju, za dobrą radę. Skorzystam z niej jak z portu ocalenia. Konie, Bourguignon! Do Luciennes!

Marszałkowi zamarł na ustach uśmiech.

D'Aiguillon ukłonił się stryjowi z uszanowaniem i wyszedł z salonu, zostawiwszy marszałka bardzo zaintrygowanego, a nade wszystko zawstydzonego, że z taką zajadłością pastwił się nad tym szlachetnym człowiekiem.

Niejaką pociechę znalazł stary marszałek dopiero wtedy, gdy widział nieokiełzaną radość paryżan, wydzierających sobie i czytających na ulicach odbity w dziesięciu tysiącach egzemplarzy wyrok na księcia d'Aiguillon.

Ale nie mógł powstrzymać westchnienia, gdy Rafté zapytał go o wynik wieczornej rozmowy.

Opowiedział mu wszystko, niczego nie zataiwszy.

— Cios zatem został odparowany?

— I tak, i nie, Rafté. Rana nie jest śmiertelna. Jest jednak coś lepszego do roboty w Trianon i bardzo sobie wyrzucam, że wyłącznie tym się nie zajmę. Goniliśmy dwa zajęcia i postąpiliśmy bardzo głupio, Rafté.

— Dlaczego? Jeżeli złapiemy jednego, i to ładną sztukę?

— Ech, mój kochany, pamiętaj, że zawsze ten, którego nie złapaliśmy, będzie wydawał się lepszy, i zawsze gotowiśmy oddać za niego tego, którego mamy.

Rafté wzruszył ramionami: a jednak Richelieu miał słuszność.

— Czy sądzisz, książę — rzekł Rafté — że d'Aiguillon się wymknie?

— A jak myślisz, głuptasie, czy król się wydostanie?

— O, król zawsze znajdzie jakąś dziurę, ale nie o króla przecież idzie, o ile mi wiadomo.

— Gdzie przejdzie król, tam przedostanie się i pani Dubarry, która tak mocno trzyma się króla, gdzie zaś prześliznie się pani Dubarry, tam i przemknie d'Aiguillon, on, który... Ale cóż ty rozumiesz z polityki, Rafté.

— Inne ma jednak o tym zdanie pan Flageot, mości książę.

— Po pierwsze, cóż to za jeden ten pan Flageot?

— Prokurator.

— No, cóż on więc mówi?

— Twierdzi on, że i król nie wyjdzie z tego cało.

— O! A któż tego dokona? Kto zdoła pokonać lwa?

— Mysz.

— Czyżby pan Flageot?

— Twierdzi, że tak.

— I ty mu wierzysz?

— Zawsze wierzę prokuratorowi, który obiecuje coś złego.

— Zobaczymy, co przedsięwzięmie pan Flageot.

— Właśnie to samo mówię, książę.

— Idź więc mój drogi na wieczerzę, a ja się położę spać. Zmartwiłem się bardzo widząc, że mój synowiec nie jest już parem Francji i że nie będzie ministrem. Jest się stryjem, Rafté, czy nim się nie jest?

Richelieu westchnął, a potem zaczął się beztrząsco śmiać.

— Ty właśnie, książę, posiadasz to, co potrzebne, aby być ministrem — powiedział Rafté.

ROZDZIAŁ XCVIII. ODWET KSIĘCIA D'AIGUILLON

Nazajutrz po wydaniu przez parlament strasznego wyroku, który taką wrzawą napełnił Paryż i Wersal, oczekujących z niecierpliwością jakie będą dalsze jego skutki, książę Richelieu, przeniósłszy się do Wersalu, rozpoczął normalne życie.

W pewnej chwili wszedł do niego z listem w ręku Rafté. Oglądał list z niepokojem, wahał i ważył, aż niepokój udzielił się i jego panu.

— Co to znaczy, Rafté? — zapytał marszałek.

— Coś nieprzyjemnego zamknięte jest tutaj, książę, jak się domyślam.

— Z czego to wnosisz?

— Ponieważ jest to list od księcia d'Aiguillon.

— A, do licha! — wykrzyknął marszałek — od mojego synowca?!

— Tak, mości książę. Woźny wręczył mi ten list do ciebie, kiedy wychodziłem z Rady Królewskiej. Od dziesięciu minut obracam ten list na wszystkie strony i nie mogę się, pozbyć myśli, że zawiera jakąś niedobłą wiadomość. Książę wyciągnął rękę.

— Daj — rzekł — nie jestem tchórzem.

— Uprzedzam cię, książę — dorzucił Rafté — że woźny wręczając mi list, roześmiał się na całe gardło.

— Do licha! Ale ci napędził stracha. Dawaj — powtórzył marszałek.

— Wręczając list, woźny dodał, żeby go natychmiast oddać panu marszałkowi.

Stary marszałek złamał zdecydowanie pieczęć zabezpieczającą list.

I zaczął czytać.

— E, widzę, że się krzywisz, książę! — rzekł Rafté obserwując pilnie marszałka z założonymi do tyłu rękami.

— Czy to możliwe! — szepnął Richelieu czytając dalej.

— O, to coś poważnego...

— Bardzo cię to cieszy?

— Oczywiście, widząc, że się nie omyliłem. Marszałek czytał dalej.

— Król jest dobry — rzekł po chwili.

— Mianował pana d'Aiguillon ministrem?

— Jeszcze lepiej.

— A to sobie dobre!

— Przeczytaj i powiedz, co o tym sądzisz.

Rafté zagłębił się w czytaniu. List był pisany własnoręcznie przez księcia d'Aiguillon i brzmiał następująco:

„Kochany Stryju .

Twoja dobra rada przyniosła dobre owoce. Zwierzyłem się z moich trosk hrabinie Dubarry, tej zacnej przyjaciółce naszego domu, która raczyła przedstawić je z kolei Najjaśniejszemu Panu. Król oburzył się na gwałty, jakich dopuszczają się wobec mnie panowie członkowie parlamentu. Jeszcze tego samego dnia na swojej radzie Jego Królewska Mość uchylił wyrok parlamentu i rozkazał mi nadal sprawować urząd para Francji.

Przesyłam Ci tę wiadomość, kochany Stryju, wiedząc, ile sprawi Ci przyjemności, wraz z odpisem postanowienia Jego Królewskiej Mości na dzisiejszej radzie. Kazałem je przepisać sekretarzowi i masz je prędzej niż ktokolwiek inny na świecie.

Racz wierzyć, kochany Stryju, w mój głęboki dla Ciebie szacunek i serdeczne przywiązanie, i udzielaj mi łaskawie swych względów i dobrych rad.

Książę d'Aiguillon".

— Drwi sobie ze mnie! — zawołał Richelieu.

— Dalibóg, sądzę, że tak, książę.

— Ale król! To ci król, co sam rzuca się w przepaść!

— Nie chciałeś temu wierzyć wczoraj, książę!

— Nie mówiłem, że się nie rzuci, panie Rafté, mówiłem tylko, że się wydobędzie. No i widzisz, wydobywa się!

— Rzeczywiście, parlament poniósł porażkę.

— Również i ja.

— Tylko chwilowo.

— Niestety, na zawsze. Przeczuwałem to wczoraj, ale ty mnie tak pocieszałeś, że uwierzyłem, i oto spotkała mnie taka nieprzyjemność.

— Książę, wydaje mi się, że za prędko upadasz na duchu.

— Mistrzu Rafté, nie bądźże naiwny. Zostałem pobity I płacę za to. Nie masz pojęcia, jakie to upokarzające być pośmiewiskiem w Luciennes. O tej właśnie porze naigrawa się ze mnie książę d'Aiguillon w objęciach pani Dubarry. Panna Chon i pan Jan Dubarry zaśmiewają się do łez i nawet mały Murzynek opychając się cukierkami drwi ze mnie. Do kata! Mam usposobienie flegmatyczne, a jednak to doprowadza mnie do wściekłości.

— Do wściekłości, książę? A więc nie trzeba było robić tego, co zrobiłeś — powiedział filozoficznie Rafté.

— Ty mnie do tego doprowadziłeś, mości sekretarzu.

— Ja? A cóż mnie to może obchodzić, czy pan d'Aiguillon jest albo nie jest parem Francji. Pytam się ciebie, mój książę? Synowiec twój w niczym mi nie przeszkadza, jak mi się wydaje.

— Rafté, jesteś impertynentem.

— Już czterdzieści dziewięć lat mówisz mi to samo, książę.

— I ciągle powtarzać będę.

— Ale nie czterdzieści dziewięć lat i to mnie przynajmniej pociesza.

— Rafté, to tak cię obchodzą moje sprawy?

— Sprawy twoich małych namiętności nie obchodzą mnie wcale, mości książę. Jesteś bardzo rozumny, książę, ale popełniasz głupstwa, jakich bym nie przebaczył takiemu jak ja chłystkowi.

— Przekonaj mnie o tym, panie Rafté, a jeśli okaże się, że jestem winien, przyznam się do tego.

— Byłeś żądny zemsty, prawda? Chciałeś poniżyć swojego synowca, chciałeś sam niejako przynieść mu wyrok parlamentu i ugodzić go nim jak sztyletem, chciałeś liczyć drgawki i agonię swojej ofiary, jak powiada pan de Crebillon syn. Ej, panie marszałku, takie widowiska grubo się opłaca, takie przyjemności kosztują drogo... Ale bogaty jesteś, płac teraz, panie marszałku, płac.

— A cóżbyś ty zrobił na moim miejscu, mędrco?

— Nic. Po prostu czekałbym nie dając znaku życia. Ale ciebie, książę, świerzbito postawić parlament przeciwko pani Dubarry od momentu, kiedy wybrała młodszego od ciebie pana d'Aiguillon.

Niewyraźny pomruk marszałka był jedyną na to odpowiedzią.

— No — mówił dalej Rafté — parlament był dość już podburzony przez ciebie, książę, aby zrobić to, co zrobił. A po zapadłym wyroku ofiarowałeś synowcowi, który niczego się nie domyślał, swoje usługi.

— Wszystko to prawda, zgadzam się, że zawiniłem, ale ty powinieneś mnie ostrzec.

— Ja miałbym zapobiec złu?! Za kogo ty mnie bierzesz, panie marszałku? Nie powtarzasz każdemu, że jestem twoim sobowtórem, że mnie sobie dobrze wychowałeś? I miałbym się nie cieszyć, kiedy przytrafi się jakieś głupstwo albo nieszczęście?! No, dajmy temu spokój!

— A więc przytrafi się nieszczęście, panie czarodzieju?

— Zapewne.

— Jakież to?

— Zapędziłeś się daleko, marszałku, a pan d'Aiguillon postara się pojednać parlament z panią Dubarry. W tym dniu zostanie on ministrem, a ty, książę, pójdiesz na wygnanie... albo do Bastylii.

Ze złości marszałek wysypał całą zawartość tabakiery na kobierzec.

— Do Bastylii! — rzekł wzruszając ramionami. — Cóż to, czy Ludwik XV stał się może Ludwikiem XIV?

— Nie, ale pani Dubarry, wsparta panem d'Aiguillon, godna będzie pani Maintenon. Strzeż się, marszałku! Nie znam dzisiaj takiej księżniczki krwi, która by zechciała przynosić ci słodczyce i pieszczoty.

— Za dużo w tym wróżb — odezwał się marszałek po długim milczeniu. — Czytasz w przyszłości, prosiłbym, abys zagłębił się bardziej w teraźniejszości, jeśli łaska...

— Pan marszałek jest zbyt mądry, aby udzielać mu rad.

— I ty także ze mnie drwisz, panie kawalerze?

— Proszę uważać, panie marszałku, mieszasz daty. Nie nazywa się już kawalerem człowieka, który przekroczył czterdziesty rok życia. A ja, jak wiesz, mam już sześćdziesiąt siedem lat.

— Mniejsza o to... Wyprowadź mnie tylko stąd, byle prędzej, prędzej!

— Czy radą?

— Ach, jak sobie chcesz!

— Jeszcze nie czas.

— Doprawdy, żarty sobie stroisz.

— Dałby Bóg, żeby to było możliwe. Żarty stroi się, gdy okoliczności temu sprzyjają... A teraz, niestety, tak nie jest.

— No, więc co to oznacza: jeszcze nie czas?

— Oznacza to, że gdyby zawiadomienie o postanowieniu króla przyszło do Paryża, wówczas uważałbym, że już pora... Czy chcesz, książę, żebyśmy wysłali kuriera do pana prezydenta d'Alligre?

— Żeby wcześniej naigrawano się z nas...

— Śmiesz taka miłość własna, panie marszałku. I święty staciłby z tobą głowę... No, ale pozwól mi wyłożyć do końca mój plan wyładowania w Anglii, a potem top się do ostatka w swojej ministerialnej intrydze, bo już do połowy ugrzęźłeś.

Marszałek znał dobrze złe humory pana Rafté. Wiedział, że skoro raz wpadnie w ten stan ducha, nie ma sposobu, aby go z niego wyciągnąć.

— No, nie gniewaj się na mnie — rzekł pojednawczo. — Jeżeli czego nie rozumiem, wytłumacz mi.

— Chcesz zatem, książę, abym nakreślił plan postępowania?

— Pewnie, skoro twierdzisz, że nie umiem postępować.

— Dobrze. A więc słuchaj, książę. Poślesz panu d'Alligre — mówił Rafté głosem przypominającym zarządzenie — list pana d'Aiguillon, załączysz do tego postanowienie króla. Zaczekasz, aż w tej sprawie zgromadzi się parlament, co nastąpi niezwłocznie. Potem wsiądziesz do karety i złożysz wizytę swojemu prokuratorowi, panu Flageot.

— Co takiego?! — zawołał Richelieu drgnąwszy podobnie jak wczoraj na dźwięk tego nazwiska. — Znowu ten nieszczęsny pan Flageot. Co on ma wspólnego z tym wszystkim, u diabła? I co ja tam będę robił u tego pana Flageot?

— Miałem zaszczyt powiedzieć ci już, książę, że pan Flageot to twój prokurator.

— Aha, no i co dalej?

— Skoro jest twoim prokuratorem, ma twoje papiery... jakieś tam akta procesu... Pojedziesz do niego, aby wywiedzieć się o tym wszystkim...

— Kiedy? Jutro?

— Tak, jutro.

— Ale to twoja rzecz to zrobić, panie Rafté.

— Otóż i nie moja! To było dobre, kiedy pan Flageot był zwykłym sobie gryziopiórkiem. Mogłem być z nim wówczas za pan brat. Ale gdy od jutra pan Flageot stanie się Attylą, ni mniej ni więcej tylko biczem królów, nie będzie to za wiele, jeżeli będzie z nim konferował książę, par i marszałek Francji.

— Czy to wszystko poważnie, czy też gramy tylko komedię?

— Najzupełniej poważnie. Zobaczysz jutro, książę, jak bardzo poważnie.

— Ale zechciej powiedzieć mi jeszcze, co mnie spotka u twojego pana Flageot?

— Byłoby mi przykro... Jutro, zresztą, znowu chciałbyś mnie, książę, przekonać, że wiedziałeś wcześniej... Dobranoc, panie marszałku. Zapamiętaj sobie dobrze: goniec do pana d'Alligre natychmiast, wizyta u pana Flageot jutro. Aha, mieszka... stangret ci powie, woził mnie tara już kilkanaście razy w ciągu ostatniego tygodnia.

ROZDZIAŁ XCIX. SPOTKANIE U PROKURATORA FLAGEOT

Czytelnik zapyta bez wątpienia, dlaczego pan Flageot, który ma odgrywać tak doniosłą rolę, nazywany był prokuratorem, a nie adwokatem. Ponieważ czytelnik ma słuszość, śpieszymy z odpowiedzią.

Od pewnego czasu powtarzały się częste przerwy w obradach parlamentu i adwokaci mieli tak mało spraw, że nie było nawet o czym mówić.

Mistrz Flageot, przewidując chwilę, kiedy już zgoła procesów nie będzie, zawarł układ z panem Guildou, prokuratorem, mocą którego pan Guildou oddał mu swoją kancelarię i klientelę za sumę dwudziestu pięciu tysięcy liwrow, płatnych jednorazowo. Takim więc sposobem pan Flageot został prokuratorem. Jeżeli teraz zapytałby kto nas, skąd pan Flageot wziął dwadzieścia pięć tysięcy liwrow, powiemy, że ożenił się on z panną Małgorzatą, która otrzymała tę sumę w spadku z końcem roku 1770, na trzy miesiące przed wygnaniem pana Choiseul.

Pan Flageot od dawna był znany jako zagorzały zwolennik partii opozycyjnej. Zostawszy prokuratorem podwoił gorliwość i ta gorliwość zjednała mu niejake wzięcie. Sława jego, ugruntowana wydaniem ognistego pisma o zatargu między księciem d'Aiguillon a panem de la Chalotais, dotarła do pana Rafté, któremu potrzebne były wiadomości o przebiegu spraw w parlamencie.

Pomimo jednak nowej godności i wzrastającego znaczenia, pan Flageot nie opuścił ulicy Petit-Lion-Saint-Sauveur. Byłoby to zbyt okrutne dla pani Małgorzaty nie słyszeć, jak sąsiadki nazywają ją panią

prokuratorową Flageot, ani nie widzieć objawów szacunku okazywanego jej przez dependentów pana Guildou, którzy przeszli do kancelarii nowego prokuratora, i jej męża.

Łatwo odgadnąć, ile musiał przecierpieć Richelieu przejeżdżając przez nudną do mdłości dzielnicę Paryża, żeby dostać się do tej cuchnącej dziury, którą paryskie władze miejskie raczyły zaszczyścić nazwą ulicy.

Podjeżdżając pod dom pana Flageot karetą księcia Richelieu została zatrzymana przez drugą karetę, która stanęła przed bramą tego domu.

Marszałek spostrzegł nakrytą głowę wysiadającej z karety kobiety, a ponieważ jego siedemdziesiąt pięć lat nie ostudziła w nim dawnej galanterii, śpiesznie wskoczył w błoto, aby podać rękę damie, która wysiadała sama, bez niczyjej pomocy.

Ale tego dnia marszałkowi wszystko szło na opak. Sucha, koścista stopa, wychylając się spod sukni, zdradziła kobietą starą. Pomarszczona, powleczone warstwą różu twarz przekonała go, że to kobieta nie tylko stara, ale wręcz zgrzybiała.

Nie wypadało się jednak cofać. Manewr księcia był już dostrzeżony, a przy tym Richelieu nie był młody. A piniaczka, bo jakaż inna kobieta mogłaby przyjechać na tę ulicę w powozie, nie zwracając uwagi na powściągliwość księcia podała mu rękę z obleśnym uśmiechem.

— Widziałem już gdzieś tę maskarę — mruknął do siebie marszałek.

A głośno zapytał:

— Czy pani także przyjechała do pana Flageot?

— Tak, książę — odpowiedziała starucha.

— O, mam więc honor być pani znajomym — zawołał książę, niemile zdziwiony, zatrzymując się na progu ciemnego korytarza.

— Któż nie zna pana marszałka, księcia de Richelieu? — brzmiała odpowiedź. — Trzeba by chyba nie być kobietą.

— Ten koczokodan myśli, że jest kobietą — syknął zwycięzca spod Mahon.

I ukłonił się z jak najbardziej wyszukaną grzecznością.

— A czy wolno nawzajem zapytać — rzekł — z kim mam honor rozmawiać?

— Jestem hrabina de Béarn, do pańskich usług — odpowiedziała dama dygając jak na przyjęciu dworskim, w czym nie przeszkadzała jej zabłocona posadzka w korytarzu ani otwarta w pobliżu piwnica, w której życzył sobie ją widzieć złośliwie marszałek po trzecim dygnięciu.

— Jestem zachwycony, pani, i wielce rad — rzekł. — Wdzięczny jestem po tysiącokroć losowi za spotkanie. Pani hrabina ma także procesy?

— Jeden tylko, książę, ale jaki! Musiałeś o nim słyszeć...

— A tak, rzeczywiście, słyszałem. Ten wielki proces, prawda! Przepraszam. Jakże, u licha, mogłem zapomnieć!

— Przeciwno panom Saluces.

— Przeciwno panom Saluces, tak, hrabino. Proces, o którym nawet ułożono piosenkę...

— Piosenkę?... Jaką piosenkę? — rzekła starucha urażona.

— Uważaj, hrabino, tutaj jest dziura — ostrzegł książę. — Proszę trzymać się poręczy, to jest tego sznura.

Hrabina weszła na stopnie. Książę szedł za nią.

Po kilku chwilach dobrnęli tak do drzwi mieszkania pana Flageot.

— Otóż i doszliśmy. Pozwól mi, pani, zadzwonić. Hrabina dała przejście księciu.

Otworzyła im pani Flageot, która chociaż została prokuratorową, nie przestała być jednak odźwierną i kucharką.

Klienci zostali wprowadzeni do gabinetu pana Flageot i zastali go tam miotającego się w złości, trzymającego pióro w zębach i dyktującego coś z wściekłością swemu pierwszemu dependentowi.

— Mój Boże, panie Flageot, co się stało? — zawołała hrabina.

Prokurator odwrócił się.

— Ach, pani, sługa uniżony! Krzesło dla pani hrabiny de Béarn! Pan przyszedł z panią? Ach! Przecież się nie mylę: książę de Richelieu u mnie! Drugie krzesło, Bernardet, drugie krzesło!

— Panie Flageot — rzekła hrabina — jak się przedstawia mój proces, proszę mi powiedzieć?

— Właśnie zajęty byłem tą sprawą.

— To bardzo dobrze, panie Flageot, bardzo dobrze.

— Będzie z tego wiele hałasu, hrabino.

— Hm, strzeż się pan...

— O, pani, nikogo już teraz nie trzeba oszczędzać...

— Jeżeli więc zajął się już pan moją sprawą, możesz teraz przyjąć księcia.

— Mości księżę, przepraszani — rzekł pan Flageot. — Jesteś jednak zbyt grzeczny, żebyś tego nie zrozumiał.

— Rozumiem, panie Flageot, rozumiem.

— Teraz jestem na rozkazy, mości księżę.

— Nie nadużyję pańskiej cierpliwości, możesz być spokojny. Wiesz pan, co mnie sprowadza.

— Papiery, które mi wręczył onegdaj pan Rafté...

— Niektóre z dokumentów dotyczą mojego procesu o... procesu o... Cóż u licha, musisz przecież wiedzieć, o jaki proces mi chodzi, panie Flageot.

— Proces o posiadłości Chapenat.

— Powiedzmy... I pan sprawi, że proces wygramy? Byłoby to bardzo uprzejmie z pana strony.

— Mości księżę, sprawa została odroczone na czas nieograniczony i wątpliwe, czy będzie wznowiona przed upływem roku.

— Dlaczego?

— Okoliczności, mości księżę, okoliczności... Zna pan wyrok Jego Królewskiej Mości?

— Zdaje się, że tak... Ale o którym pan mówi? Król wydaje wiele wyroków.

— O tym, który znosi nasz.

— Co więc dalej?

— Ano, mości księżę, odpowiemy pałac nasze okręty.

— Pałac wasze okręty, mój kochany, spalicie okręty parlamentu. A sprawa jest niejasna. Nie wiedziałem, że parlament miał okręty.

W rozmowę wtrąciła się pani de Béarn, której proces księcia Richelieu nie odrywał wcale od myśli o własnym procesie.

— Pierwsza izba odmawia może wniesienia do ksiąg? — zapytała ni stąd ni zowąd.

— Więcej.

— Druga izba także?

— W ogóle nic z tego nie będzie. Obie izby postanowiły bowiem tak długo nie rozpatrywać spraw, dopóki nie zostanie usunięty d'Aiguillon.

— To dopiero! — wykrzyknął marszałek klasnąwszy w rękę.

— Nie będą rozpatrywać mojego procesu? — zawołała pani de Béarn z przestachem, którego nawet nie chciała ukrywać. — To niegodziwość! To jest bunt przeciwko Jego Królewskiej Mości.

— Pani — odparł majestatycznie prokurator — król zapomniał się... My także się zapominamy.

— Panie Flageot, znajdziesz się w Bastylii, ja ci to powiadam.

— Pójdę ze śpiewem, pani, a wszyscy współbracia nasi będą mi towarzyszyć z palmami.

— Wściekł się! — rzekła hrabina do Richelieu.

— Wszyscy jesteście tacy — odpowiedział prokurator,

— O, to staje się ciekawe — wtrącił marszałek.

— Ale dopiero co powiedział mi pan, że zajął się moją sprawą — nacierała pani de Béarn.

— I powiedziałem prawdę. Pani jest pierwszym przykładem, jaki przytaczam w swoim przemówieniu. Oto ustępy dotyczący pani...

I prokurator wyrwał z rąk dependenta pismo, założył na nos okulary i zaczął czytać z emfazą:

„...Ich stan skazany na zgubę, ich majątek zagrożony, ich obowiązki zdeptane... Jego Królewska Mość zrozumie, ile oni musieli cierpieć... Tym sposobem mamy w ręku ważną sprawę, od której zależy los jednego z najpierwszych domów królestwa. Sprawa początkowo postępowała dobrze i prawa

znamienitej pani Angeliki Karoliny Weroniki hrabiny de Béarn miały być uznane i ogłoszone, kiedy tchnienie niezgody... wpadając..."

— Na tym stanąłem, pani — rzekł prokurator prostując się — i mam nadzieję, że przenośnia będzie piękna.

— Panie Flageot — odezwała się hrabina — czterdzieści lat temu zrobiłam oficerem twojego ojca, człowieka poczciwego. Ty znów miałeś moją klientelę i zarobiłeś z dziesięć lub dwanaście tysięcy liwrów na moich interesach. Zyskałbyś może jeszcze drugie tyle...

— Pisz, pisz wszystko — nakazał z żywością Flageot dependentowi — to jest dowód, to się zamieści w informacjach...

— Odbieram od pana moją sprawę — przerwała ostro hrabina. — Od tej chwili straciłeś pan moje zaufanie.

Pan Flageot, uderzony taką niełaską, stał przez chwilę jak rażony piorunem. Ocknął się jednak i jak męczennik wyznający prawdę rzekł:

— Niech i tak będzie! Bernardet, oddaj papiery pani ł zapisz, że występujący dał pierwszeństwo sumieniu przed majątkiem.

— Przepraszam, hrabino — szepnął marszałek do ucha pani de Béarn — ale zdaje mi się, że postąpiła pani bez zastanowienia.

— Jakżeż to?

— W jakim celu zabierasz swoje papiery od tego poczciwego człowieka?

— Aby zanieść je do innego prokuratora czy adwokata — zawołała hrabina.

Pan Flageot podniósł oczy w niebo z żalonym uśmiechem, mającym wyrazić zaparcie się siebie i stoicką rezygnację.

— I po cóż? — szeptał dalej do ucha hrabiny marszałek. — Skoro uchwalono, że sprawy nie będą rozpatrywane, cóż to pomoże, że twoją sprawą zajmie się inny prokurator?

— A więc to jest stowarzyszenie?

— Jakże by inaczej do licha! Czy pani sądzi, że pan Flageot byłby taki głupi, aby się narażać, gdyby nie był pewien pomocy współtowarzyszy?

— A jak księżę postąpi?

— Ja oczywiście zostawiam tutaj moją sprawę. Pan Flageot to zacny prokurator i zdeponowanie moich papierów u niego jest pewniejsze niż u mnie. Zostawiam mu więc, wynagradzając naturalnie tak, jakby prowadził tę sprawę.

— Słusznie mówią, panie marszałku, że jesteś człowiekiem szlachetnym i wspaniałomyślnym! — zawołał pan Flageot. — Wszędzie rozgłaszać będę twoją wielkość, księżę!

— Zaszczycasz mnie, kochany prokuratorze — odpowiedział Richelieu kłaniając się.

— Bernardet! Zamieścisz pochwałę pana marszałka! — zawołał prokurator uniesiony zapalem.

— Nie, nie, panie Flageot, proszę cię... — zaprzeczył z żywością marszałek. — A to byś, do licha, narobił! Lubię zachowywać tajemnicę w rzeczach, które nazywa się dobrymi uczynkami... Nie rób mi przykrości, panie Flageot, musiałbym zaprzeczyć, jestem bardzo drażliwy na punkcie skromności... No, cóż powiesz, hrabino?

— Powiem, że moja sprawa będzie sądzona, że potrzebuję sądu i będę go miała.

— A ja ci powiem, pani, że twoja sprawa będzie sądzona nie prędeż, aż król wyśle do wielkiej sali Szwajcarów, szwoleżerów i dwadzieścia dział — odpowiedział pan Flageot z wojowniczą miną, która do reszty zmieszała hrabinę.

— Zatem nie sądzisz pan, że król zdoła wyplątać się z tej sprawy? — spytał po cichu Richelieu pana Flageot.

— Jest to niepodobieństwem, panie marszałku, byłby to przypadek niespotykany. Gdy nie ma we Francji sprawiedliwości, to tak, jakby nie było chleba.

— A gniew króla?

— Gotowi jesteśmy na wszystko.

— Nawet na wygnanie?

— Nawet na śmierć, panie marszałku! Bo chociaż się nosi togę, ma się również serce.

I pan Flageot uderzył się mocno w piersi.

— Myślę — rzekł Richelieu do swojej towarzyszki — że ministrowie będą mieli twarde orzech do zgryzienia.

— O, tak — potwierdziła stara hrabina po chwili milczenia. — Tylko smutno mi, że ja, która zawsze stałam z daleka od tych spraw, zostałam wciągnięta w bieg wypadków.

— Moim zdaniem — rzekł marszałek — jest ktoś, kto może ci, pani, pomóc w tej sprawie, ktoś bardzo potężny... Byle tylko zechciał...

— Czy nie będzie to zbyt ciekawość, mości księżę, jeżeli zapytam o nazwisko tej potężnej osoby?

— To twoja chrzestna córka.

— Och! Pani Dubarry?

— Właśnie.

— Ależ poddałeś mi świetną myśl, księżę, doprawdy!

Księżę przygryzł wargi.

— Pojedzie pani do Luciennes? — Nie zwlekając ani chwili.

— Wątpię jednak, czy hrabina Dubarry złamie opór parlamentu...

— Powiem jej, że zależy mi bardzo, aby moja sprawa była . rozpatrzona. A ponieważ po tym, co jej wyświadczyłam, nie może mi odmówić, zwróci się z tym do króla, dając do zrozumienia, że chce tego. Król da polecenie kanclerzowi, a kanclerz ma długie ręce, mości księżę... Panie Flageot, bądź pan tak uprzejmy i rozpatrz dokładnie moją sprawę. Prędzej przyjdzie na nią kolej niż się spodziewasz, powiadam ci.

Pan Flageot pokręcił z niedowierzaniem głową, co jednak wcale nie zachwiało przekonania hrabiny.

W czasie kiedy hrabina mówiła, księżę zdawał się nad czymś zastanawiać.

— Ponieważ jedzie pani do Luciennes — rzekł, gdy skończyła — racz złożyć tam w moim imieniu najgłębsze uszanowanie.

— Bardzo chętnie, mości księżę.

— Jesteśmy towarzyszami niedoli. Twoja sprawa, pani, odwleka się, moja także. Co robisz dla siebie, robisz i dla mnie... Proszę oprócz tego oświadczyć, że te tępe głowy z parlamentu budzą we mnie najwyższy niesmak. Dodaj, proszę, również, że to ja służyłem ci radą, aby uciec się do bogini w Luciennes.

— Nie omieszkać, mości księżę... Żegnam panów.

— Niech pani pozwoli, hrabino, odprowadzić siebie do karety. Żegnam cię, panie Flageot, nie chcę przeszkadzać ci w zajęciach...

Marszałek odprowadził hrabinę do powozu.

— Rafté ma słuszną rację — rzekł do siebie — rewolucję robią tacy panowie jak Flageot. Dzięki Bogu, ułożyłem się z obiema stronami. Jestem dobrze widziany i na dworze, i w parlamencie. Pani Dubarry wda się w politykę i sama spowoduje swój upadek. Jeżeli się oprze, . znajdę ochronę w Trianon. Nie ma co, ten diabeł Raf te ma moją szkołę. Zrobię go szefem mojego gabinetu, gdy zostanę ministrem.

ROZDZIAŁ C. SPRAWY WIKŁAJĄ SIĘ CORAZ BARDZIEJ

Pani de Béarn z największą skrupulatnością korzystała z rady księcia Richelieu. Już w dwie i pół godziny po rozstaniu się z marszałkiem znajdowała się w przedpokoju Luciennes razem z panem Zamorą.

Wiele już czasu minęło od jej ostatnich odwiedzin u pani Dubarry. Jej zjawienie się wzbudziło więc wiele ciekawości w buduarze hrabiny, gdzie ją zameldowano.

Właśnie d'Aiguillon, który nie tracił czasu, prowadził poufną rozmowę z faworytą królewską, kiedy Chon przysłała prosić o posłuchanie dla pani de Béarn.

Księżę chciał odejść, ale pani Dubarry zatrzymała go.

— Wolę, żebyś pozostał tutaj — rzekła. — Przydasz się, jeżeli stara zechce pożyczyć pieniędzy: przy tobie mniej zażąda.

Księżę więc pozostał.

Pani de Béarn z wyrazem twarzy, przybranym stosownie do okoliczności, usiadła naprzeciw hrabiny na wskazanym jej krześle. Po wymianie wzajemnych grzeczności pani Dubarry zapytała:

— Czy wolno wiedzieć, jakiemu szczęściu zawdzięczam pani odwiedzinę?

— O, pani — odpowiedziała stara hrabina — wielkiemu nieszczęściu.

— Cóż się stało?

— Coś, co bardzo zmartwi Najjaśniejszego Pana... — Proszę mówić prędzej, hrabino.

— Parlament...

— Ech! — wycedził przez zęby książe d'Aiguillon.

— Książe d'Aiguillon — rzekła pośpiesznie pani Dubarry przedstawiając swojego gościa, jakby chcąc zapobiec w ten sposób możliwemu nieporozumieniu.

Ale stara hrabina była bardziej przebiegła niż wszyscy dworzanie razem wzięci i robiła pomyłki tylko wtedy, kiedy wydawało się jej to pożyteczne.

— Wiem — rzekła — o wszystkich bezceństwach tych piniaczy, którzy nie mają szacunku ani dla zasług, ani dla urodzenia.

Ten komplement, skierowany wprost do księcia, wywołał jego piękny ukłon, na który hrabina odpowiedziała wstając.

— W tym jednak wypadku nie chodzi tylko o księcia — mówiła dalej — ale o całą ludność. Parłamenty nie chcą rozpatrywać spraw.

— Doprawdy — zawołała pani Dubarry kładąc się na sofie — nie ma już sprawiedliwości we Francji... I coź będzie dalej? Jak się to wszystko zmieni?

Książe uśmiechnął się. Pani de Béarn zamiast brać rzeczy lekko, przyoblekła swoją i tak już ponurą twarz w jeszcze posępniejszy wyraz.

— Jest to wielkie nieszczęście, pani — rzekła z odcieniem bólu i zgorznienia.

— Doprawdy? — zapytała bez przekonania faworyta.

— Widać, hrabino, że miałaś szczęście uniknąć procesów.

— Hm... — mruknął d'Aiguillon, aby zwrócić uwagę pani Dubarry na niezręczność w jej zachowaniu. Ta ostatnia teraz dopiero zrozumiała sens słów pani de Béarn.

— Niestety, pani — odparła natychmiast okazując jak najżywsze zainteresowanie. — Ale to mi tym bardziej każe pamiętać, że pani ma bardzo ważną sprawę w sądzie.

— O tak, pani... i wszelka zwłoka jest dla mnie zgubą.

— Biedna!...

— Mogłoby temu zaradzić jedynie postanowienie królewskie.

— Och, Jego Królewska Mość łatwo da się do tego skłonić. Skaże panów radców parlamentu na wygnanie i sprawa załatwiona.

— Tak, ale wtedy sprawa ulegnie odroczeniu na czas nieograniczony.

— Jaką więc widzisz radę, hrabino? Proszę nam wskazać. Pani de Béarn ukryła twarz za zasłoną stanowiącą część nakrycia głowy, jak konający Cezar pod swoją togą.

— Znalazłby się środek — odezwał się d'Aiguillon — ale Jego Królewska Mość będzie się pewnie obawiał go użyć.

— Jakiż to środek? — zapytała pani de Béarn gorączkowo.

— Zwyczajny sposób, kiedy już nazbyt postponują władzę królewską. Należy wtedy odbyć sąd królewski i powiedzieć: „Ja chcę”, gdy cała opozycja myśli: „Ja nie chcę”.

— Wyborny pomysł! — zawołała pani de Béarn z zachwytem i ogromnym przejęciem.

— Ale nie należy tego rozgłaszać — dodał z wyrazem przebiegłości d'Aiguillon, wzmacniając słowa gestem, który był dla pani Béarn jasny i zrozumiały.

— O, pani — zwróciła się wtedy stara hrabina do pani Dubarry — ty, która tyle możesz wyjednać u Jego Królewskiej Mości, spraw, aby wyrzekł jedno słowo: „Chcę”, aby sądzono sprawę pani de Béarn. Zresztą, jak pani wie, jest to rzecz od dawna obiecana.

D'Aiguillon przygryzł wargi, pożegnał wzrokiem panią Dubarry i wyszedł z buduaru. Z podwórza dobiegł go turkot karety królewskiej.

— Król! — rzekła pani Dubarry wstając, żeby pożegnać hrabinę de Béarn.

— O, pani, czemuż miałabyś nie pozwolić mi rzucić się do nóg Jego Królewskiej Mości.

— Żeby prosić o sąd królewski? Dobrze — rzekła z żywością pani Dubarry — zostań tu, pani, ponieważ tego chcesz.

Ledwo pani de Béarn zdążyła poprawić nakrycie głowy, wszedł król.

— A — rzekł — masz wizytę, hrabino?

— Pani de Béarn, Najjaśniejszy Panie.

— Najjaśniejszy Panie, sprawiedliwości! — zawołała stara dama, składając jak tylko mogła jak najniższy dyg.

— Oo! — zawołał Ludwik XV ,z drwiną, nieuchwytną dla tych, którzy go nie znali. — Czy kto skrzywdził panią?

— Najjaśniejszy Panie, błagam o sprawiedliwość.

— Przeciw komu?

— Przeciw parlamentowi.

— To świetnie! — rzekł król klasnąwszy w dłonie. — Skarżysz się na parlament, to bądź tak dobra i naucz go rozumu! Ja także skarżę się na niego i ciebie także proszę o sprawiedliwość — dodał naśladowując ukłon starej hrabiny.

— Najjaśniejszy panie, przecież jesteś królem.

— Królem! Nie zawsze...

— Najjaśniejszy Panie, daj wyraz swej woli.

— To właśnie robię każdego wieczora, pani, a oni każdego rana wyrażają swoją wolę. A ponieważ są to wole zupełnie sobie przeciwne, więc dzieje się tak, jak z ziemią i księżycem, które krążą obok siebie i nigdy spotkać się nie mogą.

— Najjaśniejszy Panie, twój głos jest dość potężny, aby zagłuszył wszystkie wrzaski tych ludzi.

— Otóż mylisz się! Nie jestem adwokatem, a oni są adwokatami. Ach, gdybyś znalazła środek, aby przeszkodzić im powiedzieć: „Nie” kiedy ja mówię: „Tak” wszedłbym z tobą w przymierze.

— Najjaśniejszy Panie, mam taki środek.

— Wskaż go, wskaż go mi natychmiast!

— Najjaśniejszy Panie, odbądź sąd królewski.

— Ba! I nowy kłopot — rzekł król. — Sąd królewski! Czy zastanowiłaś się, hrabino, nad tym? Toż to jakby rewolucja.

— To jest środek powiedzenia w oczy buntownikom, że jesteś panem. Wiesz przecież, Najjaśniejszy Panie, że kiedy król w taki sposób objawia swoją wolę, to on tylko ma prawo mówić, inni muszą milczeć. Kiedy powiesz im: „Ja tak chcę”, opuszczą głowy...

— Trzeba przyznać — rzekła hrabina Dubarry — że myśl jest olśniewająca.

— Być może — odparł Ludwik XV — ale nie jest dobra.

— Byłoby to jednak niezwykle piękne — podjęła ponownie pani Dubarry z zapalem — orszak, szlachta, parowie, rada wojenna króla, potem ogromne tłumy ludu i łożo sprawiedliwości, które tworzy pięć poduszek w lilie złotem haftowane... Piękna to byłaby ceremonia.

— Tak myślisz? — rzekł król, zachwiany nieco w swoim przekonaniu.

— I wspaniałe strój królewski: płaszcz podbity gronostajami, korona z diamentami, złote berło, cały ten blask i przepych, który przystoi wzniosłemu i pięknemu obliczu. Och, jakbyś jaśniał wielkością, Najjaśniejszy Panie!

— Bardzo już dawno nie widziano sądu królewskiego — stwierdził z udaną obojętnością Ludwik XV.

— Od czasu lat dziecińczych Waszej Królewskiej Mości — przypomniała pani de Béarn. — Pamięć zachwycającej twej piękności pozostała do dziś w sercach wszystkich.

— A przy tym byłaby to dobra okazja dla pana kanclerza do wygłoszenia mowy, w której by ostro i dobitnie siłą prawdy, godności i autorytetu potępił tych knujących buntowników.

— Muszę poczekać na pierwsze lepsze przewinienie parlamentu — rzekł Ludwik XV — a wtedy zobaczymy.

— Czegóż więcej potrzeba niż tego, co już zrobił?

— A cóż takiego zrobił?

— To nie wiesz, Najjaśniejszy Panie?

— Phi, trochę poróżnił się z panem d'Aiguillon, ale przecież za to nie karze się zaraz szubienicą... nawet... — dodał król spoglądając na panią Dubarry — nawet jeżeli ten kochany książę jest moim przyjacielem. Jeżeli więc parlamenty dokuczyły księciu, a ja ich złośliwość naprawiłem, dobrze nie pamiętam, wczorajszym czy, przedwczorajszym postanowieniem, to jesteśmy skwitowani.

— Zapewne, Najjaśniejszy Panie — powiedziała z ożywieniem pani Dubarry — tylko że pani hrabina przybyła z oznajmieniem, że tamci panowie spisali się znów dziś rano nienajgorzej.

— Jak to?

— Mów, pani, król zezwala — zachęciła faworyta.

— Najjaśniejszy Panie, panowie radcy postanowili nie zasiadać w sądzie parlamentu, dopóki Wasza Wysokość nie przyzna im słuszności w sporze.

— Co takiego? — zapytał król. — Pani się mylisz. To oznaczałoby bunt, a mój parlament nie odważy się podnieść buntu, jak sądzę.

— Najjaśniejszy Panie, ja zaręczam...

— Ach, to są tylko pogłoski!

— Wasza Królewska Mość raczy mnie wysłuchać.

— Słucham. Mów, proszę, hrabino.

— Mój prokurator zwrócił mi dziś rano dokumenty dotyczące mojej sprawy. Nie może w niej występować, bo nie ma sądów.

— To plotki, powiadam, próba zastraszenia.

To mówiąc, król przechadzał się po buduarze, mocno wzburzony.

— Może Wasza Królewska Mość uwierzy raczej panu de Richelieu? Jego spotkało to samo.

— Ktoś puka do drzwi — powiedział król, żeby zmienić temat rozmowy.

— To Zamora, Najjaśniejszy Panie. Zamora wszedł z listem w rękę.

— Czy pozwolisz, Najjaśniejszy Panie? — zapytała hrabina.

Wzięła list, aby go przeczytać.

— Ach, mój Boże! — zawołała nagle.

— Co się stało?

— List od pana kanclerza, Najjaśniejszy Panie. Pan de Maupeou wiedząc, że Wasza Wysokość raczył mnie odwiedzić, prosi, abym mu wyjednała króciutkie posłuchanie.

— Cóż takiego znowu?

— Prosić pana kanclerza — rzekła pani Dubarry. Hrabina de Béarn wstała i chciała się pożegnać.

— Nie jest pani tu zbyt cenną osobą — zwrócił się do niej król. A następnie powiedział do kanclerza: — Dzień dobry, panie Maupeou. Cóż nowego?

— Najjaśniejszy panie — odparł kanclerz kłaniając się — parlament ci przeszkadzał i nie ma już parlamentu.

— Jak to? Wymarli? Najedli się arszeniku?

— Dałby Bóg! Nie, Najjaśniejszy Panie, żyją, ale nie chcą zasiadać w parlamencie i żądają dymisji. Przyjąłem.

— Radców?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, dymisję.

— Mówiłam, Najjaśniejszy Panie, że sprawa jest poważna — powiedziała półgłosem hrabina.

— Bardzo poważna — burknął niecierpliwie Ludwik XV. — No, panie kanclerzu, i co dalej?

— Przyszedłem po rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Ześlijmy na wygnanie tych ludzi, Maupeou.

— Najjaśniejszy Panie, na wygnaniu też nie będą chcieli zasiadać w sądach.

— To nakażemy im sądzić! Ba, kiedy nakazy nie odnoszą już skutku...

— Tym razem trzeba okazać swoją wolę, Najjaśniejszy Panie.

— Masz słuszność.

— I trzeba okazać się wreszcie władcą, zbyt często dotąd Występując jako ojciec! — zawołała pani Dubarry.

— Kanclerzu — rzekł powoli król — znam tylko jeden sposób: jest krańcowy, ale za to skuteczny. Chcę odbyć sąd królewski. Trzeba, żeby ci ludzie raz wreszcie naprawdę zdrżeli.

— Ach, Najjaśniejszy Panie — zawołał kanclerz — to są wielkie słowa. Niech się ugną lub będą złamani.

— Pani — dodał król zwracając się do hrabiny de Béarn — jeżeli twoja sprawa nie jest sądzona, widzisz, że nie moja to wina.

— Najjaśniejszy Panie, jesteś największym królem na świecie.

— O tak!... — zawołali z zachwytem pani Dubarry, Chon i kanclerz.

— Nie tak jednak ten świat mówi — mruknął do siebie król.

ROZDZIAŁ CI. SĄD KRÓLEWSKI

Przyszedł więc czas na ów głośny sąd królewski z całym ceremoniałem, którego wymagała i godność króla, i intrygi, które pchnęły władcę do tego ostatecznego kroku.

Dla ochrony kanclerza, który narażał swoją osobę dla zapewnienia triumfu królewskiego, stanęła pod bronią służba dworska, łucznicy, żołnierze i agenci policji.

Kanclerza otaczała powszechna nienawiść. Wiedział o tym i próżność podsuwała mu przypuszczenie, że chętnie by go zamordowano. Co jednak zawsze mogło go spotkać, to wyszukane obelgi albo przynajmniej złowrogie okrzyki.

Podobne owacje miał zapewnione pan d'Aiguillon, do którego lud, zaprawiony w dysputach parlamentarnych, miał instynktowną odrazę i był z gruntu usposobiony bardzo wrogo. Król udawał wesołość. Nie był jednak spokojny. Nie przeszkadzało mu to wcale podziwiać wspaniały strój królewski i zrobił nawet uwagę, że nic tak nie ochrania jak majestat królewski.

Mógłby dodać: i miłość ludu. Ale frazes ten powtarzano mu tyle razy podczas choroby w Metz, że powtórzenie go uważałyby za plagiat.

Małżonka delfina, dla której widowisko to było nieznanne i która być może chciała je zobaczyć, miała przez cały czas minę tak żalowaną, że zjednało to jej wielką przychylną opinię publiczną.

Pani Dubarry była odważna. Młodość i piękność dały jej pewność siebie. A przy tym, czy nie powiedziano o niej już wszystkiego? Cóż jeszcze można było dodać? Ukazała się promieniejąca radością, jakby na nią jedną tylko spadł odbłask wspaniałości królewskiej.

Księżę d'Aiguillon szedł śmiało między parami, którzy poprzedzali króla. Twarz jego pełna szlachetności i siły charakteru nie miała w sobie ani śladu zatroskania czy niezadowolenia. Nie niósł głowy jak triumfator. Patrząc na niego, nikt by nie odgadł, ile bojów stoczyli o niego król i parlament.

Gdy szedł, pokazywano go sobie wśród tłumu palcami. Ciskano na niego nienawistnymi spojrzzeniami z szeregów członków parlamentu.

Wielka sala pałacu była przepelniona. Ponad trzy tysiące osób zajęło miejsca.

Z zewnątrz nacierał tłum powstrzymywany laskami woźnych i czekanami łuczników. Szumiał tym osobliwym gwarem, który przecież nie jest głosem, a składa się z głosów ludzkich i który dość trafnie można by nazwać szumem fal ludu.

Kiedy ustało stąpanie rozbieganych kroków ludzkich i każdy zajął swoje miejsce, a król, majestatyczny i posępny, rozkazał zabrać głos kanclerzowi, zapadło głucho milczenie.

Członkowie parlamentu wiedzieli zawczasu, co im gotuje sąd królewski. Ale nie tego się bali. Znali powolność i lękliwość króla. Jeżeli więc obawiali się czego, to raczej skutków sądu królewskiego.

Kanclerz zabrał głos. Umiał pięknie mówić. Początek jego mowy był uczony i kwiecisty, i amatorom takiego stylu dawał pełne zadowolenie.

Jednakże niebawem mowa przemieniła się w tak cierpkie strofowanie, że wywołała uśmiech na ustach szlachty, a dla członków parlamentu stała się wprost nieznośna.

Król rozkazywał ustami kanclerza skończyć natychmiast ze wszystkimi sprawami Bretanii, których miał już dość.

Rozkazywał parlamentowi pojednać się z księciem d'Aiguillon, którego służba odpowiada mu bardzo. Zabraniał uchylania się od udziału w organach wymiaru sprawiedliwości. Jeżeli wszystkie żądania królewskie zostaną przyjęte, wszystko wróci do błogosławionego stanu złotego wieku, kiedy rzeki płynęły szemrząc przemowami na podobieństwo mów doradców sądowych, a drzewa uginały się

pod ciężarem plików dokumentów procesowych, zwisających ku panom adwokatom i prokuratorom, którzy mieli prawo je zrywać jak owoce.

Te ponętne obietnice nie pojednały parlamentu z panem de Maupeou, a tym więcej z księciem d'Aiguillon. Ale wyzwanie zostało rzucone, trzeba było na nie odpowiedzieć.

Członkowie parlamentu przyjęli z godną podziwu jednomyślnością postawę obojętności, która bardzo uraziła Jego Królewską Mość i arystokrację na trybunach.

Małżonka delfina zbladła z gniewu. Pierwszy raz znalazła się twarzą w twarz z oporem ludu. Zimno oceniła jego potęgę.

Uznała, że kanclerz jest słaby, a członkowie parlamentu zbyt zuchwali.

Ludwik XV rzucił okiem dokoła siebie, aby przekonać się, jakie wrażenie wywarła jego wola wyrażona słowami, które uważał za dosyć kwieciste.

Bladość i zacięte usta małżonki delfina pozwoliły mu bez trudu odgadnąć, co działo się w jej duszy.

Spojrzał na panią Dubarry. Zamiast zwycięskiego uśmiechu, jakiego się spodziewał, zobaczył gorączkowo utkwiony w siebie wzrok, od dawna już na niego skierowany, w którym tała się żądza, wyczytania tego, co on myśli.

Nic bardziej nie łamie umysłów chwiejnych i słabych jak świadomość, że wyprzedziła ich cudza myśl lub wola. Jeżeli czują na sobie czyjś wzrok po zapadłym już postanowieniu, wydaje im się, że nie uczyniły tego, co było konieczne, że będą lub były przez to śmieszne, że inni mają prawo wymagać od nich więcej, niż dokonały. Wówczas wpadają w ostateczność. Z bojaźliwości wpadają w nieprzytomną odwagę i ten wybuch energii zdradza, że bojaźń została tylko zamieniona na lęk mniej silny.

Król nie potrzebował dodawać ani jednego słowa do słów kanclerza. Nie było to zgodne z etykietą, nie było nawet konieczne. Ludwik XV jednak dał znak ręką, że chce mówić.

Uwaga przerodziła się nagle w zdumienie.

Wszystkie głowy członków parlamentu obróciły się w stronę króla jak głowy żołnierzy na wydany rozkaz.

Książęta, parowie, wojskowi doznali niezwykłego wzruszenia.

Richelieu, który dotąd stał umyślnie z dala od synowca, zbliżył się teraz ku przywódcom opozycji parlamentarnej, jeszcze bardziej manifestując tę bliskość wymownymi spojrzeniami.

Ale wzrok jego, nabierający jakby buntowniczych błysków, napotkał jasne spojrzenie pani Dubarry. Nikt nie dorównywał księciu Richelieu w sztuce błyskawicznego przerzucania się z jednej krańcowości w drugą, od gryzącej ironii do ślepego uwielbienia. Marszałek wybrał piękną hrabinę za punkt przecięcia się tych krańcowości.

Przesłał więc pani Dubarry przelotne spojrzenie wyrażające podziw i gorące powinszowania sukcesu. Nie dała się ona jednak zwieść tej grze, zwłaszcza że książe zmuszony był nadal prowadzić mimiczną korespondencję z członkami parlamentu i księżącą opozycją, żeby nie wyszło na jaw, z kim jest rzeczywiście w sojuszu.

Ileż zjawisk w kropli wody, tym oceanie dla bystrego badacza, ileż wieków w sekundzie, tej nieokreślonej wieczności! Albowiem wszystko to, o czym wspomnieliśmy przed chwilą, działo się w czasie, który użył Jego Królewska Mość Ludwik XV na przygotowanie się do przemówienia, aż do otwarcia ust.

— Słyszeliście — rzekł on mocnym głosem — wolę moją, którą objawił wam mój kanclerz. Pamiętajcie, aby ją wykonywać, bo to moje postanowienie, którego nie zmienię nigdy!

Ludwik XV wyrzekł ostatnie słowa z gwałtownością i donośnością pioruna.

Toteż zgromadzeni zachowali się jak rażeni piorunem.

Dreszcz lęku przebiegł przez wszystkich członków parlamentu, przeniósł się natychmiast na tłum, jak iskra elektryczna przebiegająca na koniec przewodu. Dreszcz ten dotknął też lekko i stronników króla. Podziw i uwielbienie jaśniało na wszystkich czołach i we wszystkich sercach.

Małżonka delfina podziękowała królowi gorącym błyskiem swych pięknych oczu, jakby przymuszona jakąś nieodpartą siłą.

Pani Dubarry, niezwykle podniecona, gotowa była wstać i klaskać, gdyby nie lękała się, że może tym uchybić przyzwoitości i ściągnąć na siebie nową powódź piosenek, jedną rozwzięlejszą od drugiej.

Od tej chwili Ludwik XV mógł się do woli cieszyć swoim triumfem.

Członkowie parlamentu schylili czoła, wszyscy z tą samą uległością.

Król podniósł się z poduszek haftowanych w złote lilie.

Za nim wstał dowódca gwardii, komendant garnizonu i cała szlachta.

Uderzono w bębny, trąby zabrzmiały na zewnątrz. Słaby gwar tłumu w czasie przybycia króla przemienił się teraz w ryk niktający w oddaleniu pośród napierających tłumów, powstrzymywanych przez żołnierzy i łuczników.

Król dumnie kroczył przez salę widząc wokół siebie tylko pochylające się głowy.

Książę d'Aiguillon poprzedzał Jego Królewską Mość nie okazując jednak oznak swego zwycięstwa.

Kanclerz, który z daleka widział kołyszący się tłum i słyszał głuchy pomruk, dochodzący do niego mimo znacznej odległości, zląkł się i przed wyjściem z sali rzekł do łuczników:

— Dać eskortę.

Richelieu, któremu nisko ukłonił się książę d'Aiguillon, rzekł do synowca:

— Bardzo nisko schyliły się dzisiaj czoła, książę. Mogą one kiedyś podnieść się diabelnie wysoko. Strzeż się!

Usłyszała to pani Dubarry, która przechodziła właśnie korytarzem z bratem, panią Mirepoix i wielu damami. Ponieważ miała ochotę odpowiedzieć marszałkowi, rzekła:

— Nie ma się czego lękać, panie marszałku. Czyżbyś nie słyszał słów Najjaśniejszego Pana? Powiedział, jak mi się zdaje, że nigdy się nie zmieni.

— Straszne słowa — odparł stary marszałek z uśmiechem — tylko że ci biedni ludzie z parlamentu na szczęście dla nas nie zauważyli, że mówiąc o tym, król patrzył na ciebie, pani.

I zakończył to krągłe zdanie ukłonem nie do naśladowania, którego w teatrze nawet dziś powtórzyć nie umieją.

Pani Dubarry była kobietą, nie politykiem. Widziała tylko komplement tam, gdzie d'Aiguillon dostrzegał doskonale kpinę i pogroźkę.

Ona odpowiedziała zatem uśmiechem, on zaś przygryzł wargi i pobladł wobec gniewu stryja.

Przebieg i skutki sądu królewskiego nadały sprawom pomyślny obrót. Ale często potężny cios ogłusza tylko i trzeba dobrze uważać, bo po ogłuszeniu krew krąży z większą gwałtownością i żarem.

Taki przynajmniej pogląd został wyrażony przez trzech ludzi, ubranych zwyczajnie, którzy przypatrywali się odjazdowi króla -w otoczeniu okazałego orszaku na skrzyżowaniu ulicy de la Barillerie z nadbrzeżem Kwiatów.

Sprowadził ich tu przypadek. Stąd z ciekawością przyglądali się zmiennym przeżyciom tłumu. Nie znając się, na podstawie kilku wypowiedzianych zdań przewidzieli wynik tego, co zaszło, wcześniej nim się to wszystko zakończyło.

— Namiętności dojrzały — rzekł jeden z nich, starzec o błyszczących młodzieńczo oczach, twarzy łagodnej i zacnej. — Sąd królewski to wielkie dzieło.

— Tak — przyznał uśmiechając się gorzko młody człowiek — jeżeli dzieło jest wiernym urzeczywistnieniem słów.

Starzec odwrócił się do mówiącego.

— Zdaje się, że ja pana znam, widziałem już gdzieś pana...

— W nocy trzydziestego pierwszego maja, tak, nie omylił się pan, panie Rousseau.

— A, teraz i ja sobie przypominam... Jesteś pan owym chirurgiem... Pan Marat, mój ziomek.

— Do usług.

Uklonili się sobie wzajemnie.

Trzeci nie zabierał dotąd jeszcze głosu. Był to również mężczyzna młody, o szlachetnej twarzy, który przez cały czas ceremonii przyglądał się zachowaniu tłumu.

Młody chirurg opuścił ich w pewnej chwili. Zmieszał się z tłumem, który mniej wdzięczny niż Rousseau zapomniał już o nim, ale pamięci którego miał się jeszcze przypomniać.

Pozostały młody człowiek jakby czekał na odejście tamtego. Zwrócił się teraz do Rousseau:

— A pan nie idziesz dalej?

— Stary jestem, gdzież mi w taką ciżbę...

— W takim razie — rzekł nieznajomy zniżając głos — dziś wieczorem przy ulicy Plâtrière, panie Rousseau. Nie zapomnij...

Filozof zadrżał, jakby przed nim stanęło widmo. Twarz jego, zwykle blada, stała się sina. Chciał odpowiedzieć temu człowiekowi, ale tamten zniknął.

ROZDZIAŁ CII. O WPŁYWIE SŁÓW NIEZNAJOMEGO NA JANA JAKUBA ROUSSEAU

Usłyszawszy te dziwne słowa nieznajomego, Rousseau, drżąc z przerażenia i przejęcia, zapomniał, że jest stary i wszedł w tłum przebijając się przezeń z trudem. W końcu dotarł do mostu Panny Marii i ciągle rozmyślając i zadając sobie najrozmaitsze pytania minął okręg la Greve, skąd było najbliżej do okręgu, w którym zamieszkiwał.

— Tak więc — rzekł do siebie — tajemnica, której każdy spiskowiec strzeże z narażeniem własnego życia, została wydana pierwszemu lepszemu przechodniowi. Oto, co zyskują tajne stowarzyszenia, kiedy przejdą przez sito ludu... Zna mnie człowiek, który wie, że będę jego współtowarzyszem, a może nawet współnikiem. To nierozsądny i nie mogący trwać dłużej stan rzeczy.

Mówiąc te słowa, on, tak zwykle ostrożny, a zwłaszcza od czasu swojej przygody przy ulicy Ménil-Montant, szedł bardzo szybko i bez obawy.

— Tak więc — mówił dalej filozof — zapragnąłem poznać plany odrodzenia ludzkości, jakie niektórzy snują w swych głowach. Popełniłbym głupstwo, sądząc, że dobre pomysły mogą przyjść z Niemiec, kraju piwa i mgły. Skompromitowałbym moje imię wiążąc je z kilkoma szaleńcami czy intrygantami, którzy chcą go użyć dla osłonięcia swych niedorzecznych poczynań. O, tak źle nie będzie! Błyskawica ukazała mi przepaść, nie rzucę się w nią!

I Rousseau odetchnąwszy nieco, stanął nieporuszony na środku ulicy, oparty o laskę.

— Były to jednak piękne marzenia — mówił dalej filozof — tak piękne, że uwierzyłem i zbłądziłem.

Znowu przystanął, ale zaczął iść dalej na widok agentów pana de Sartines snujących się tu i ówdzie z rozbieganymi oczyma. Tak go to zatrwożyło, że zniknął w cieniu kolumn, pod którymi szedł.

Do ulicy Plâtrière było stąd już niedaleko. Rousseau przebiegł tę drogę jak jeleń, wszedł zdyszany na piętro i upadł w swoim pokoju na krzesło, nie mogąc odpowiedzieć ani słowem na natarczywe pytania Teresy.

Kiedy powiedział wreszcie o przyczynach swojego wzruszenia, Teresa uznała, że nie jest to wystarczający powód, aby obiad stygł i że mężczyzna nie powinien lękać się byle jakiego wydarzenia.

Rousseau milczał, gdyż przypomniał sobie, że nieraz, choć innymi słowami, głosił podobne twierdzenie.

Po obiedzie Rousseau nie zasiadł jak zwykle do klawesynu, tylko chodził bez przerwy po pokoju, ciągle wyglądając oknem, jakby chciał zbadać, co się dzieje na ulicy Plâtrière.

Teresą ogarnęło coś w rodzaju zazdrości, jak to często zdarza się ludziom swarliwym, to jest najbardziej zazdrosnym na świecie.

Dla Teresy — Rousseau był stary, brzydki, chorowity i nie przypuszczała, aby jakkolwiek kobieta chciała na niego spojrzeć. Ponieważ jednak dla kobiety najsłodszą przyjemnością jest zadawanie tortur przez robienie scen zazdrości, Teresa częstowała tym niekiedy pana Rousseau.

— Aha, masz więc schadzki? — powiedziała.

— Co ty wygadujesz, przecież to śmieszne — odparł Rousseau zrozumiawszy, że przemawia przez nią zazdrość.

— Wiem, że to śmieszne, ale ty jesteś zdolny do wszystkiego, ty libertynie!

Rousseau zaczerwienił się, jakby usłyszał prawdę lub komplement.

Schronił się do gabinetu.

Tutaj oddał się rozmyśleniom nad sprawami, które go tak gnębiły od czasu spotkania z nieznajomym.

— Gdybym nie zjawił się na zgromadzeniu — rozważał — niechybnie naraziłbym się na niebezpieczeństwo. Jeżeli są kary na tych, którzy wydają tajemnicę, są na pewno i na tych, którzy ją znają, a okazują obojętność. Niczym są wielkie niebezpieczeństwa, lecz małych przeciwności trzeba się wystrzegać. Spiskowcy gotowi cisnąć we mnie kamieniem lub rozciągną sznurek na schodach, przewrócę się i wybiję sobie ostatnie zęby. Co gorsza, mogą o mnie pisać niestworzone rzeczy, wystawiając mnie na pośmiewisko całego Paryża...

Ale teraz nawiedziły go znowu inne myśli.

— Gdzie odwaga, gdzie honor? — pytał siebie w emfazie. — Czyżbym lękał się samego siebie? Mam potem widzieć w zwierciadle twarz tchórza i nikczemnika? O, nie, do tego nie dojdzie! Zawsze

wierzyłem w rzeczy wzniosłe. Któż wie, czy nie będę odnowicielem rodzaju ludzkiego? Miałbym cofać się przed urzeczywistnieniem mych teorii w praktyce?

Rousseau ożywił się.

Usiadł przy klawesynie i zaczął grać zapamiętałe.

Nadeszła noc. Teresa spała na krześle zmęczona daremnym dręczeniem swojej ofiary. Rousseau, któremu serce waliło jak młotem, włożył odświętne ubranie i wysliznął się z pokoju.

Na ulicy nie było żadnego powozu. W zamian roilo się od próżniaków gapiących się na siebie lub przekomarzających się z co ładniejszymi pannami sklepowymi.

W tym zgiełku i ciżbie Rousseau utonął niepostrzeżony.

Przed domem, który miał wskazany, stał grajek fałszujący, niemiłosiernie jakąś melodię. Wokół niego tłoczyła się gromada słuchaczy. Wmieszawszy się między nich, czekał na pierwszą osobę, która wejdzie do bramy.

Niedługo czekał. Za chwilę zniknął w głębi ciemnego korytarza.

Po kilku sekundach spostrzegł światło, przy którym siedział spokojnie człowiek podobny do kupca, odpoczywającego po skończonej sprzedaży. Czytał gazetę albo udawał, że czyta.

Na odgłos kroków podniósł głowę i przyłożył w widoczny sposób palec wskazujący do swych piersi, oświetlonych lampą.

Rousseau odpowiedział na ten umówiony gest przyłożeniem palca do ust.

Nieznajomy wstał i otworzył niewidoczne drzwi, wycięte w drewnianej ścianie, przy której siedział, po czym wskazał schody wiodące pod ziemię.

Rousseau wszedł, drzwi zamknęły się za nim szybko i bezgłośnie.

Schody były bardzo strome i Rousseau zstępował po nich bardzo ostrożnie wspierając się laską. Miał za złe stowarzyszeniu, że od razu wystawiono go na próbę grożącą złamaniem karku i nóg.

Ale schody, choć strome, miały tylko siedemnaście stopni. Kiedy już przebrnął przez nie, uczył wilgotne ciepło, które owionęło mu twarz i oczy. To ciepło wytwarzały oddechy ludzi zgromadzonych w podziemiu.

Ściany lochu zawieszono były czerwoną i białą tkaniną, na której widać było rysunki wyobrażające różne narzędzia pracy. Wisząca u sklepienia lampa rzucała ponure światło na twarze, które jednak miały przeważnie poczciwy wyraz. Zebrani rozmawiali z sobą po cichu siedząc na drewnianych ławkach. Na ziemi rozpostarta była gruba mata z sitowia, tłumiąca odgłos kroków.

Wejście Rousseau nie zwróciło niczyjej uwagi.

Przed pięcioma minutami Rousseau nie pragnął właśnie bardziej niczego innego jak takiego wejścia, teraz zżymał się, że poszło to tak gładko.

Spostrzegł nie zajęte miejsca na jednej z ostatnich ławek. Usiadł, jak mógł najskromniej, za plecami innych.

Naliczył trzydziestu trzech obecnych. Z przodu, na podwyższeniu, stał stolik oczekujący na przewodniczącego zebrania.

ROZDZIAŁ CIII. ŁOŻA WOLNOMULARSKA

Rousseau zauważył, że rozmawiano po cichu i że wymiana zdań była krótka.

Niektórzy milczeli zupełnie i starali się nawet ukrywać swoje twarze, co nie było zbyt trudne ze względu na panujący tu mrok. Szczególnie lękliwi schowali się za podwyższenie, rzucające gęsty cień.

Byli jednak i tacy, którym jakby zależało na tym, aby byli rozpoznani. Chodzili w tę stronę i z powrotem, dużo rozmawiali z sobą i od czasu do czasu znikali za drzwiami zawieszonymi czarną zasłoną, malowaną w czerwone płomienie.

W pewnej chwili rozległ się dzwonek. Z jednej z ostatnich ławek wstał mężczyzna i zajął miejsce na podwyższeniu.

Po kilku znakach rękami i palcami, które powtórzyli wszyscy obecni, oświadczył on, że posiedzenie jest otwarte.

Rousseau nie znał zupełnie tego człowieka. Był to wielki ofiarник tajemnic egipskich.

Mowa jego była jasna i zwięzła. Oświadczył, że towarzystwo niewidzialnych zgromadziło się dla przyjęcia nowego brata.

— Nie dziwcie się — rzekł — że zgromadziliśmy was w tym miejscu, gdzie nie mogą się odbywać próby zwyczajne. Próby wydały się mistrzom niepotrzebne. Brat, o którego przyjęciu do towarzystwa niewidzialnych mowa, jest jedną z pochodni współczesnej filozofii. Jest to umysł głęboki, który będzie nam oddany z przekonania, nie przez bojaźń. Kto zgłębił tajemnice przyrody i serca ludzkiego, nie powinien podlegać takim próbom, jak zwykły śmiertelnik, od którego żądamy pomocy jego rąk, woli, majątku. Wystarczy nam jego obietnica i współdziałanie.

Wielki ofiarnik skończył i rozejrzał się dokoła, aby przekonać się, jakie wywarł wrażenie.

Na Rousseau wywarło to wrażenie jak czarodziejskie zaklęcie. Znał on wstępne tajemnice egipskiego towarzystwa niewidzialnych. Miał do nich pewnego rodzaju wstręt, rozumiały u ludzi świątłych. Raziły go wymagania ślepej, niedorzecznej uległości od nowoprzyjmowanych, zastraszenie, kiedy wiedzano, że nie ma się czego lękać — to wszystko wydawało mu się dziecinadą i zabobonem.

Co więcej, ten lękliwy i przeciwny publicznym wystąpieniom filozof czułby się nieszczęśliwy, gdyby miał wystawiać swoją osobę na widowisko ludziom, których nie znał i którzy, był tego pewien, nadużywali jego łatwowierności w mniej lub więcej dobrej wierze.

Poza tym schlebiało mu, że dla niego właśnie zrobiono wyjątek w surowych przecież rygorach wolnomularskich.

Przygotowywał się już, aby odpowiedzieć kilkoma uprzejmymi słowami na mowę przewodniczącego, gdy odezwał się głos kogoś z zebranych:

— Jeżeli już nowoprzyjmowany uwolniony został od prób fizycznych, to przynajmniej spodziewamy się, że wielki ofiarnik nie dopuści nieznanego do tajemnic, nie zapytawszy go zgodnie z ustawą o przekonania.

Rousseau spojrział na mówiącego, którego głos był ostry i dźwięczny, i ze zdziwieniem poznał w nim młodego chirurga, którego spotkał jeszcze dziś rano na nadbrzeżu Kwiatów.

— Czy słyszałeś? — zapytał wielki ofiarnik filozofa.

— Słyszałem — odparł Rousseau z drżeniem, nie mogąc poznać własnego głosu, który zabrzmiał głucho pod sklepieniem lochu. — Dziwi mnie, że człowiek, którego powołaniem jest walczyć przeciwko temu, co nazywamy cierpieniem fizycznym, opowiada się tutaj za stosowaniem cierpień fizycznych.

— Twierdzą nadal — zawołał stanowczo młody człowiek — że wielki ofiarnik uchybił prawom czyniąc wyjątek nakazom...

— Bracie — rzekł z powagą do młodego człowieka wielki ofiarnik — zachowaj milczenie, gdy przemawia głowa niewidzialnych. Wiesz, że jego postanowienia nie podlegają twojej krytyce. Próby ustanowione są dla nieznanomych, a nowoprzyjmowany jest nam wszystkim dostatecznie znany. Ale że sam on miłuje prawdę, proszę, aby odpowiedział na to pytanie, które zadaję dla formy... — Tu wielki ofiarnik zwrócił się do Rousseau. — Czego szukasz w towarzystwie niewidzialnych?

Rousseau postąpił dwa kroki naprzód.

— Szukam prawdy... Szukam, czego tu nie znajduję... Zgłębiłem ciało, sięgnąłem w głąb duszy... Jeżeli zgodziłem się przyjść do was, kiedy mnie zapraszano — powiedział to słowo z naciskiem — to dlatego, że spodziewałem się być użyteczny Daję więc, a nie biorę.

— Mylisz się, dostojny bracie — odezwał się świeży i słodko brzmiący głos — więcej niż sądzisz jest do znalezienia w towarzystwie niewidzialnych, do którego chcesz wstąpić. Tu jest przyszłość świata. Tu jest całkowite poznanie prawdy.

Rousseau rozpoznał w mówiącym drugiego z młodych ludzi, z którymi spotkał się dziś rano w związku z sądem królewskim.

Mężczyzna ten, czarno i z wyróżniającą go korzystnie elegancją ubrany, opierał się o boczną ścianę podwyższenia, a twarz jego, oświetlona łagodnym światłem, jaśniała pięknnością i prostotą.

— Ach, poznanie prawdy — rzekł Rousseau — przepaść bezdena. Jeden z was mówi mi o nauce, o prawdzie, drugi o materii, o cierpieniach... Komu wierzyć? Działoby się więc to samo wśród braci niewidzialnych, co między żarłocznymi wilkami w świecie, który burzy się nad naszymi głowami?, W moich książkach starałem się...

— W twoich książkach — przerwał mu porywczo Marat — wskazujesz dobro, ale dobro niedościgłe. Podobny jesteś do tego, kto chciałby karmić zgłodniałe rzesze bańkami z mydła, odbijającymi barwami tęczy promienie słońca.

— A ty chcesz — odparł Rousseau spokojnie — abym odrodził świat czynami? Czy to możliwe? Chcieć odrodzenia natychmiast, to znaczy gwałcić naturę.

— A więc — zawołał gwałtownie młody chirurg — nie chcesz prawdy?

— Chcę bardzo! Ale przez wychowanie, przez wykształcenie każdego człowieka w zgodzie ze światem, jednostki ze społeczeństwem.

Na ustach Marata przemknął pogardliwy uśmiech.

— Tak — rzekł — marzy ci się kraina płynąca mlekiem i miodem.

Rousseau milczał. Wstał wielki ofiarnik.

— Czy słyszeliście? — zapytał obecnych.

— Tak — odpowiedzieli.

— Czy obecny tutaj nowoprzyjmowany zdaje się wam być godnym wejścia do towarzystwa niewidzialnych i powierzenia mu wielkich tajemnic Egiptu?

— Tak — zawołali zgromadzeni, lecz nie jednogłośnie.

— Złóż przysięgę — zwrócił się wielki ofiarnik do Jana Rousseau.

— Nie mogę należeć do waszego towarzystwa. Więcej zrobię z dala od was, niż gdybym wykonywał pilnie wasze nakazy...

— Odmawiasz więc złożenia przysięgi? — zapytał Marat z pewnym wzruszeniem.

— Odmawiam.

— Bracie — rzekł jeden z obecnych pojednawczo — nie daj się powodować chwilową urazą, uczyni ofiarę ze swej dumy... Twoja rada, twoja myśl, twoja obecność są światłem. Nie odbieraj nam tego światła.

— Niczego wam odbierać nie mogę, bo wszystko, co mam, dałem już w moich książkach, i dałem wszystkim... Jeżeli chcecie moich myśli, mojego nazwiska...

— Chcemy! — zawołało wiele głosów.

— ...to weźcie zbiór moich dzieł, połóżcie na stole przewodniczącego, a kiedy zabierać będziecie głos i przyjdzie kolej na mnie, otwórzcie moją książkę, znajdziecie moje zdanie.

Rousseau zrobił krok ku wyjściu.

— Jeszcze chwila — powstrzymał go Marat. — Wszyscy tu są wolni i równi, ale niezgodne to z naszym obrządkiem, aby wychodzić stąd nie związanym dochowaniem tajemnicy.

— Żądasz więc ode mnie przysięgi na zachowanie tajemnicy?

— Tak jest.

— Gotów jestem ją złożyć.

I już wielki ofiarnik miał odczytać słowa roty, gdy jeden z obecnych, który z uwagą słuchał przebiegu sporu, zbliżył się do przewodniczącego i powiedział mu coś do ucha.

— Prawda — rzekł wielki ofiarnik, a zwracając się do Rousseau dodał:

— Nie jesteś bratem, ale jesteś człowiekiem honoru, w podobnym położeniu jak my. Wyrzekamy się więc wobec ciebie postępowania, jakiego wymaga nasz obrządek, żądając tylko prostego słowa honoru, że zapomnisz o wszystkim, co się działo między nami.

— Zapomnę jak o śnie nad ranem, przysięgam na honor — odparł Rousseau wzruszony.

To powiedziawszy wyszedł, a za nim wielu członków towarzystwa niewidzialnych.

ROZDZIAŁ CIV. SPRAWOZDANIE

Po odejściu członków drugiego i trzeciego stopnia pozostało tylko siedmiu braci. Byli to sami mistrzowie łóż.

Drzwi zostały zamknięte na klucz.

Wielki mistrz objawił się przez okazanie pierścienia, na którym wryte były tajemnicze litery L. P. D.

Był nim Balsamo.

Najpierw zapoznał zebranych z najważniejszymi listami, jakie nadeszły od mistrzów ze Szwajcarii, Rosji, Ameryki, Szwecji, Hiszpanii i Włoch.

Jeden z nich zawierał niepokojące wiadomości. Przybył ze Szwecji, od Svedenborga.

Ostrzegał on, że pojawił się zdrajca, który może ich zgubić.

Wśród zebranych zapanowało przygnębienie.

Nawet Balsamo nie mógł otrząsnąć się z przykrego wrażenia.

— Bracia — rzekł — walka się wzmagą. Wróg jest silny. Nie zapominajcie, że ma on płatnych zdrajców, którzy są bardzo groźni.

— Dziecinne wydają mi się te obawy — odezwał się głos jednego z obecnych. — Z każdym dniem wzrastają nasze siły i kierują nami ludzie o wielkich umysłach i mocnych rękach.

Balsamo skłonił się dziękując pochlebcy.

— Tak, ale zdrada zdolna jest wcisnąć się wszędzie — odezwał się inny z zebranych, którym był nie kto inny jak Marat. — Jeżeli pan de Sartines za worek miedziaków może kupić jednego z naszych braci niższego stopnia, to dlaczego za milion albo obietnice wysokich godności nie zdołałby przekupić któregoś z braci najwyższego stopnia? Tylko że bracia niewtajemniczeni nic nie wiedzą... Godna podziwu jest nasza organizacja, ale jest ona na wskroś arystokratyczna. To nie jest słuszne. Uważam, że wszyscy ludzie są równi, że jeden człowiek jest tyle wart, co i drugi. Bez robotnika nic by nie zrobił architekt. Każdy tak samo dźwiga swój los, każdego może uderzyć padający kamień, każdy może spaść z walącego się rusztowania...

— Muszę ci przerwać, bracie — rzekł Balsamo — bo to nie są sprawy, którymi mamy się dziś zajmować. Twoją wadą jest przesada i pochopne uogólnienia. Nie, ludzie nie są równi. Robotnik nie jest równy architektowi, mózg nie jest równy ramieniu.

— Ale któryś z braci niższego stopnia, wtrącony do Bastylli, nie będzie mniej cierpiał niż ty i ja? — wykrzyknął z ogniem Marat.

— Zgoda. Lecz będzie to tylko szkoda wyrządzona jednemu człowiekowi, a nie stowarzyszeniu, któremu jesteśmy winni oddać wszystko. Bracia, strzeżcie więc naszych przywódców!

— Dobrze, lecz niech oni czuwają nad nami.

— To ich obowiązek.

— Ich błędy winny być karane z podwójną surowością.

— Jeszcze raz upominam cię, bracie, że sprzeniewierzasz się ustawom naszego stowarzyszenia. Zapominasz, że jedna jest dla wszystkich przysięga, która wszystkich wiąże, i że wobec wszystkich stosuje się te same kary.

— Wielcy zawsze się od nich uchylają.

— To nie jest punkt widzenia wielkich, bracie.

— A więc — podjął z uporem Marat — powtórzmy przysięgę, która nas wiąże, i stosujmy ją ściśle, wtedy okaże się, kto zdradza albo kto jest przyczyną zdrady.

Balsamo skupił się przez chwilę, po czym podniósł się ze swego miejsca i głosem powolnym, groźnym i uroczystym wypowiedział słowa przysięgi.

— A teraz — rzekł, kiedy skończył — nie mieszajmy już tego rodzaju rzeczy ze sprawami, o których mamy dyskutować. Przystępuję do sprawozdania dotyczącego najważniejszych wydarzeń tego roku.

Ze sprawozdania, pełnego poetyckich zwrotów i symbolicznych znaczeń, wynikało, że wszystko zło w Europie pochodzi z rozkładu, jakiemu podlega Francja, która jest jej sercem.

Scharakteryzowana była osoba Choiseula, w swoim czasie pierwsza po królu, i jego upadek. Ale cała Francja żądała powrotu Choiseula. Parlamente wykorzystały jedyne prawo, jakim rozporządzały: przestały działać. Gdy parlamente nie działają, lud nie może żyć. Trzeba zwrócić się przeciw ludowi. Lecz kto będzie walczył przeciw niemu? Armia, córka tego ludu, którą lud żywi? Cóż zdziałają pięści karłów, gdy olbrzym powstanie?

— Niech powstanie! — podniosły się okrzyki, które przerwały przemówienie Balsamo.

— Do dzieła! — wykrzyknął Marat.

— Młody człowieku, nie pytałem cię jeszcze o radę — rzekł zimno Balsamo i przystąpił do dalszego omawiania sytuacji.

— Wzburzenie — mówił — przeobraziło masy w wielką potęgę. Lud nie zawiódł. Ale choć mocny, jest jeszcze nieświadomy, choć zniecierpliwiony, jednak nie ma nienawiści. Lud nie dojrzał. Nie dojrzał do powstania. Brak mu wskazówek, co robić, gdy przyjdzie jego dzień, brak mu wiedzy własnych doświadczeń.

— Oto plan, jaki sobie rozważyłem — kończył Balsamo. — Bezustannie ponawiać próby, które nieuchronnie zbliżają do celu, aż go wreszcie osiągniemy.

Balsamo umilkł. Rozejrzał się po zebranych, w których burzyły się wszystkie namiętności młodych i niedoświadczonych serc.

— Mów, bracie — zwrócił się do Marata, który wydawał się bardziej wzburzony od innych.

— Powiem krótko. Próby uspią lud, tak jak nam odebrały odwagę. Próby, to teoria pana Rousseau, wielkiego poety, ale człowieka o powolnym i nieśmiałym umyśle. Czekać! Ciągłe czekać! Pan Rousseau każe nam czekać. Ale policzcie tylko pokolenia, które zginęły marnie, czekając. Rewolucja konieczna jest zaraz. Rewolucja oświeca umysły lepiej niż tysiące lat wychowania, lepiej niż wieki dobrych przykładów. Rewolucja oświeca królów albo ich obalą. Dość czekania!

Można było usłyszeć pomruk uznania.

— Wyrwać razem z korzeniami starożytny dąb monarchii! — dodał w uniesieniu Marat.

— A dąb, padając, zmiażdżyłby cię jak karła! — zawołał Balsamo donośnym głosem. — Wyśmiewałeś poetów, a sam używaś przenośni bardziej poetyckich niż oni. Bracie! Oszczędź nam tych frazesów, które znaleźć można w twoich powieściach kleconych na mansardzie.

Marat zaczerwienił się.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co to jest rewolucja? Przez całe dzieje ludzkości rewolucje nie przyniosły nic. Dlaczego? Dlatego, że ci, którzy wzniesli rewolucje, opętani byli nienienawiścią. Dobrze, przewalajcie dąb, przewalajcie. Ale strzeżcie się, abyście sami nie zginęli pod nim. Chcecie zniszczyć monarchię? Chcecie zniszczyć lilie? Nasze hasło brzmi: Lilia pedibus destrue. Ale aby zniszczyć monarchię na zawsze, trzeba nie dopuścić, aby kwiat świętego Ludwika znowu zakwitł, trzeba osłabić jej autorytet, aby monarchia przestała uchodzić w oczach ludu za coś boskiego, bo to stanowi zaporę, której lud nigdy nie ośmielił się złamać. Sam los idzie nam z pomocą. Małżonka delfina, powołana po to, aby utrzymać ród królewski, od roku zamężna z następcą tronu Francji... Zbliżcie się, panowie, gdyż obawiam się, że głos mój mógłby przekroczyć wasz krąg...

Sześciu mistrzów zbliżyło się słuchając w napięciu.

— A więc, panowie, małżonka delfina nie jest jeszcze brzemienna. To znaczy, że albo jest bezpłodna, albo jeśli zostanie matką, następca tronu będzie pochodził z nieprawego łoża. Mając w ręku tak straszną tajemnicę, czyż potrzeba rozpętywać niewczesne namiętności ludu?

Balsamo zakończył spotkanie wezwaniem do propagowania dobroci, wiary, wiedzy i sztuki, ponieważ to tylko czyni ludzi wielkimi.

Po czym wtajemniczeni wychodzili cicho, każdy z osobna, aby nie budzić podejrzeń.

ROZDZIAŁ CV. CIAŁO I DUSZA

Ostatnim, który pozostał przy wielkim ofiarniku, był Marat.

Zbliżył się pokornie, bardzo blady, do strasznego mówcy, którego potęga była nieograniczona, i zapytał:

— Mistrzu, czy istotnie dopuściłem się błędu?

— Wielkiego, panie — rzekł Balsamo — ale co gorsza, nie wierzysz, że go popełniłeś.

— Tak, przynajmniej, nie tylko nie wierzę, że popełniłem błąd, ale jestem przekonany, że miałem słuszność.

— Pycha, pycha! — rzekł cicho Balsamo. — Ludzie chcą leczyć choroby, a pozwalają zapuścić pysze tak głębokie korzenie w sercu, że nie potrafią ich wyrwać.

— Bardzo złe masz o mnie wyobrażenie, panie — rzekł Marat. — Czy rzeczywiście jestem tak marny, że nie mogę stanąć w rzędzie tobie podobnych? Czy tak źle pracowałem nad sobą, że nie jestem teraz zdolny powiedzieć nic, co by nie było głupstwem? Czy jestem tak obojętny, że moje przekonania budzą podejrzenia? Za kogokolwiek bym jednak uchodził, poświęciłem całe swoje życie, wszystkie swoje siły sprawie ludu.

— Dlatego właśnie — odparł Balsamo — że w sercu twoim toczy się jeszcze walka między dobrem a złem, postaram się pomóc ci i przywieść cię do dobra. Jeżeli jeszcze pycha nie wzięła góry nad wszystkimi uczuciami, mam nadzieję, że mogę to uczynić szybko, może nawet w ciągu jednej godziny.

— W ciągu jednej godziny? — zapytał Marat.

— Tak. Czy chcesz mi poświęcić tę godzinę?

— Bardzo tego pragnę.

— Gdzie mogę zobaczyć się z tobą?

— Panie, do mnie należy przyjść na miejsce, które mi, wskażesz.

— Przyjdę do ciebie.

— Panie, mieszkam na poddaszu przy ulicy des Cordeliers.

Na poddaszu... — powtórzył, chcąc popisać się swoją prostotą i biedą, co nie uszło uwagi Balsamo.

— Przyjdę na twoje poddasze.

— Kiedy, panie?

— Jutro.

— O której godzinie? — Rano.

— O świcie idę do prosektorium, a stamtąd do szpitala.

— Tego mi właśnie trzeba. Gdybyś sam nie powiedział, prosiłbym, abyś mnie tam zaprowadził.

— Ale to o świcie, panie. Ja śpię mało.

— Ja nie śpię wcale. A więc o świcie.

— Czekam.

Rozstali się, gdy doszli do drzwi wychodzących na ulicę, przy których było teraz ciemno i cicho.

Balsamo dotrzymał słowa. Następnego dnia o szóstej rano stawił się u chirurga. Stanął w długim, podzielonym na dwie połowy korytarzu o sześciu drzwiach.

Marat pragnął przyjąć dostojnego gościa jak najgodniej. Ubogie łóżko i porysowana komoda z orzechowego drzewa lśniła nadanym jej dopiero co przez dzielną gospodynię połyskiem.

Sam Marat pomagał jej podlewając blade i zwiędłe kwiatki w niebieskich, fajansowych doniczkach, stanowiące jedyną ozdobę izdebki.

Trzymał jeszcze ścierkę pod pachą, co znaczyło, że poprzednio ścierał kurze.

Ponieważ klucz tkwił w zamku i Balsamo wszedł bez pukania, zastał chirurga przy tych czynnościach gospodarskich.

Ujrawszy wielkiego ofiarnika, Marat zarumienił się bardziej, niż przystało prawdziwemu stoikowi.

Rzucił ukradkiem ścierkę za firankę i bąkał niewyraźnie, zmieszany, jakby się usprawiedliwiał:

— Pomagam tej biednej kobiecie... Może to nie jest akurat robota dla prawdziwego plebejusza, ale też i nie dla wielkiego pana...

— Biedny, młody człowiek, który lubi czystość, powinien tak postępować — rzekł oziębłe Balsamo — i nic w tym dziwnego. Czy jesteś pan gotów? Wiesz, że czas mój jest ograniczony.

— Już idziemy, tylko włożę frak... Grivette, podaj frak... Jest to moja odzwierna, lokaj, kucharka, marszałek dworu w jednej osobie i płacę jej tylko talara na miesiąc.

— Oszczędność jest bogactwem ubogich i mądrością bogatych — powiedział na to sentencjonalnie Balsamo.

— Kapelusz, laskę... — zawołał Marat do niewidocznej służącej.

— Wyciągnij tylko rękę — rzekł Balsamo — ten kapelusz i laska są obok.

— O, przepraszam, panie, jestem taki zmieszany.

— Czy jesteś gotów?

— Już, panie. Grivette, zegarek.

— Niepotrzebny panu zegarek. Chodźmy, bo się spóźnimy.

— Dokąd idziemy?

— Do prosektorium. Chcę zobaczyć przypadek po ostrym zapaleniu opon mózgowych. Wejdę z panem. Opisz mi pan ten przypadek.

— Odkąd był człowiekiem?

— Nie, odkąd jest trupem.

— Nareszcie będę miał nad panem przewagę — powiedział niby żartem Marat. — Znam się na tym i powiadają, że jestem niezłym chirurgiem.

— Ciągle pycha — mruknął Balsamo.

— Co pan mówi? — zapytał Marat.

— Mówię, że zobaczymy. Wejdźmy.

Marat wszedł pierwszy. Znaleźli się w ciemnym korytarzu. Doszli nim do długiej, wąskiej sali, gdzie na marmurowym stole leżały dwa trupy, jeden kobiety, drugi mężczyzny.

Kobieta była młoda, mężczyzna stary i łysy. Liche prześcieradło okrywało ich ciała, odsłaniając tylko górną część ich twarzy.

Zwłoki dwojga ludzi, którzy za życia nigdy się nie widzieli, spoczywały teraz zgodnie obok siebie na zimnym łożu. Dusze ich, unosząc się w wieczność, zdziwiłyby się zapewne temu sąsiedztwu ich śmiertelnych powłok.

Marat podniósł i rzucił na bok grube prześcieradło, okrywające dwoje nieszczęśliwych, których śmierć zrównała pod nożem chirurga.

Trupy były nagie.

— Czy nie odczuwa pan wstrętu patrząc na umarłych? — zapytał Marat z odcieniem chępliwości w głosie.

— Doznaję smutku — odpowiedział Balsamo.

— To brak przyzwyczajenia — rzekł Marat. — Patrząc na to codziennie, nie odczuwam ani wstrętu, ani smutku. My, chirurdzy, przestajemy ciągle z trupami, lecz to nie przeszkadza nam w zwyczajnych czynnościach życiowych.

— To smutny przywilej waszego zawodu.

— Zresztą — dodał Marat — dlaczego miałbym odczuwać smutek czy wstręt? Od pierwszego chroni mnie rozsądek, od drugiego przyzwyczajenie.

— Proszę mi to wyjaśnić, nie bardzo zrozumiałem. Może najpierw o rozwadze...

— Dobrze. Czegóż się bać? Bezwładnego ciała, posągu z mięsa i kości zamiast z kamienia, marmuru czy granitu?

— Więc w trupie nie ma nic poza tym?

— Zupełnie nic.

— Jesteś tego pewien?

— Najzupełniej.

— A w żywym ciele?

— Jest ruch — rzekł dumnie Marat.

— I nic więcej? A dusza?

— Nigdy jej nie widziałem, mimo że gmerałem moim, skalpelem w tyłu ciałach.

— Bo gmeraleś w trupach.

— Operowałem i żywych.

— I nic nie znalazłeś?

— Owszem, uczucie bólu. Czy ból nazywa pan duszą?

— Nie wierzysz w duszę?

— Wierzę, gdyż jeżeli zechcę, mogę ją nazwać ruchem.

— Doskonale. Wierzysz w duszę, oto jest wszystko, czego od pana chciałem. Cieszę się z tego, że wierzysz.

— Powoli, mój panie, starajmy się zrozumieć, a nade wszystko nie przesadzajmy — rzekł Marat z jadowitym uśmiechem. — My, lekarze, jesteśmy materialistami.

— Ciała te są bardzo zimne — powiedział Balsamo w zamyśleniu — a kobieta była bardzo piękna.

— Tak, ale cóż stąd?

— Piękna dusza mieszkała zapewne w tym pięknym ciele.

— Ach, co za pomyłka! Piękna pochwa, nędzna klinga. To jest ciało nierządnicy, która wyszedłszy z więzienia świętego Łazarza umarła na zapalenie mózgu w szpitalu Hôtel-Dieu. Historia jej długa i dość brudna.

— Duszę tę należało leczyć — rzekł Balsamo. — Zginęła dlatego, że nie spotkała lekarza duszy.

— Niestety, panie, są tylko lekarze ciała — odparł Marat z gorzkim uśmiechem. — I ty uśmiechasz się przypomniałszy sobie słowo, które tak często pojawia się w komediach Molièra.

— Nie — zaprzeczył Balsamo — mylisz się i nie możesz wiedzieć, dlaczego się uśmiecham. W tej chwili jednak wyprowadzamy wniosek, że ciała te są puste, prawda?

— I nieczułe — dodał Marat podnosząc głowę młodej kobiety i opuszczając ją tak, że głośno uderzyła o marmur, a ciało pozostało nieruchome.

— Dobrze — rzekł Balsamo — pójdźmy teraz do szpitala.

— Zaraz, tylko jeśli pozwolisz, chciałbym odciąć głowę, która była siedliskiem ciekawej choroby.

Balsamo skinął głową.

Marat otworzył futerał, wyjął potrzebne narzędzia, pod niósł leżący w kącie drewniany młotek splamiony kroplami krwi i śmiałym, wprawnym ruchem oddzielił mięśnie szyi. Doszedłszy do kości, zapuścił bistur między dwa stawy kości pacierzowej i uderzył mocno młotkiem w narzędzie.

Głowa odskoczyła na stół, a ze stołu potoczyła się na ziemię. Marat podniósł ją wilgotnymi rękami.

Balsamo odwrócił się, aby nie dać chirurgowi powodu do zbytnej radości.

— Przyjdzie zapewne czas — rzekł Marat, któremu się zdawało, że wielki ofiarnik uległ słabości — że jakiś dobroczyńca zajmie się śmiercią, jak inni zajmowali się życiem, i wymyśli maszynę, która za jednym zamachem odetnie głowę od kadłuba. Śmierć nastąpi wówczas natychmiast. Człowiek nie odczuje tego przejścia od życia do śmierci, jak na przykład przy łamaniu kołem, ćwiartowaniu czy wieszaniu.

— Zgadza się z panem. Ale jak powinna wyglądać według pana ta maszyna?

— Winna być nieruchoma i zimna jak samo prawo. Człowiek, któremu każą karać podobnego sobie człowieka, sam cierpi, ręka mu drży, cios chybia, jak to się zdarzyło z Chalais i księciem Montmouth. Nie zdarzy się to, gdy maszyna będzie zaopatrzona w dwie dębowe ręce, które by poruszały na przykład siekiere.

— Sądzisz więc, że gdy siekiera przemknie lotem błyskawicy między karkiem a głową, śmierć będzie natychmiastowa, a ból jak mgnienie?

— Oczywiście, ponieważ ostrze przetnie jednym, nagłym ciosem nerwy, które przenoszą bodźce z mózgu i do mózgu. Ból byłby chwilowy, jak iskra, ponieważ ostrze oddzieliłoby mózg, siedlisko uczuć, od serca, ogniska życia.

— Kara ścięcia głowy stosowana jest w Niemczech — zauważył Balsamo.

— Tak, ale mieczem. A ręka ludzka może zdrześć.

— Podobna maszyna jest we Włoszech, nazywa się mannaja.

— Ach, tak?

— No cóż, widziałem przestępców, których ścinali kaci, wstających bez głowy ze stołka, na którym siedzieli, i idących chwiejnym krokiem dziesięć kroków. Podejmowałem głowy, co spadały z maszyny, jak ta głowa, którą trzymasz za włosy i która spadła przed chwilą z marmurowego stołu. Brałem je niekiedy w ręce i wymawiałem do ucha ich nazwisko, które słyszeli za życia. Oczy się otwierały i obracały, starając się widzieć tego, kto wołał z ziemi podczas ich przejścia od czasu do wieczności.

— Odruchy nerwowe, nic więcej.

— Czy nerwy nie są organami czucia?

— Jaki stąd chce pan wyciągnąć wniosek?

— Że zamiast wyszukiwać maszynę do zabijania ludzi, lepiej by znaleźć karę bez uciekania się do pozbawiania życia. Społeczeństwo, które znajdzie taki środek, będzie najszczęśliwszym i najbardziej oświeconym ze wszystkich na świecie.

— Utopia — burknął Marat.

— Tym razem może i masz słuszność — zgodził się Balsamo. — Z czasem jednak może staniemy się mądrzejsi... No, ale mieliśmy iść do szpitala. Chodźmy więc.

Marat włożył głowę młodej kobiety w chustkę, której końce związał ostrożnie.

— Teraz przynajmniej jestem pewien — powiedział Marat, kiedy wychodzili — że moim towarzyszom dostaną się tylko resztki.

Metafizyk i materialista poszli razem do szpitala Hôtel-Dieu.

— Czy większą masz litość dla żywych niż dla umarłych? — zapytał Balsamo w drodze.

— Nie, ponieważ byłoby to tą samą wadą, co wzruszenie u kate. Można zabić równie dobrze człowieka źle amputując mu nogę, co dobrze odcinając głowę. Dobry chirurg wykonuje operację ręką, nie sercem, chociaż wie, że zadając chwilowe cierpienie, przywraca zdrowie i życie. To jest piękna strona naszego zawodu.

— W żywych jednak spotykasz chyba duszę?

— Tak, ale jest ona bardzo uciążliwa, gubi więcej chorych niż mój skalpel.

Stanęli w progu szpitala Hôtel-Dieu. Weszli do środka. Marat prowadził nie pozbywając się swojego zawiniątka.

Weszli niebawem do sali operacyjnej, gdzie zastali naczelnego chirurga i jego asystentów.

Pielęgniarze przynieśli młodego człowieka, którego przed kilku dniami przejechał wóz i zgruchotał mu nogę. Pierwsza operacja, zrobiona naprędce na kończyźnie odrętwiałej z bólu, okazała się niezadowolająca. Nieunikniona była amputacja nogi.

Nieszczęśliwy leżał na łóżku i z przerażeniem rozglądał się dokoła. Mający go operować z niecierpliwością oczekiwali chwili jego męki, może nawet śmierci, pilno im było do zgłębienia zadziwiającego zjawiska życia, za którym kryje się ponure zjawisko śmierci.

Zdawało się, że nieszczęśliwy prosi pociechy, uśmiechu, zachęty i współczucia, a czuł wszędzie obojętność i widział stal.

Ostatek odwagi i dumy nakazywał mu milczenie. Zachowywał resztki sił do krzyku, jaki wkrótce miał się z niego wydobyć pod wpływem bólu.

Kiedy jednak uczył na swoim ramieniu ciężką rękę posługacza, kiedy jego pomocnicy okręcili go swymi rękami jak węże Laokoona i usłyszał głos operatora, który go uspokajał, wtedy nieszczęśliwy ośmielił się przerwać milczenie i zapytał żalonym głosem:

— Czy bardzo będę cierpiał?

— Nie, bądź spokojny — odpowiedział Marat z uśmiechem, który był miły choremu, a doktorowi Balsamo wydał się ironiczny.

Marat spostrzegł, że Balsamo rozumie powagę sytuacji. Zbliżył się do niego i rzekł po cichu:

— Okropna operacja, kość pogruchotana i tak czuła na ból, że aż mi żal nieboraka. Umrze nie z urazu, a z bólu.

— Po co więc robicie operację? Dajcie mu spokojnie umrzeć.

— Nie. Obowiązkiem lekarza jest ratować, nawet wtedy, gdy wydaje się mu to niepodobieństwem.

— I będzie cierpiał?

— Ogromnie.

— Z powodu duszy?

— Z powodu duszy, która za bardzo kocha swoje ciało.

— Dlaczego w takim razie nie działać na duszę? Jej spokój może mieć zbawienny wpływ na ciało.

— Zrobiłem to, kiedy wiązano chorego.

— Przygotowałeś jego duszę?

— Tak.

— Jak?

— Przemówiłem do niego. Pocieszyłem. Powiedziałem mu: nie będziesz cierpiał. Niech teraz dusza nie cierpi. Jej rzecz. To jedyne dotąd znane lekarstwo. Wszystko inne to kłamstwo. Po cóż ta dusza tak przywiązuje się do ciała? Dopiero co ścinałem tę głowę, ciało nic nie rzekło. Operacja była jednak bardzo ważna. Ale co pan chce? Ruch ustał, czułość zgasła i dusza uleciała. Owóż dlaczego wówczas ta głowa nic nie powiedziała, gdy tymczasem to ciało, w którym dusza jeszcze jest, będzie okropnie wrzeszczało. Zatkaj sobie dobrze uszy, panie.

— To dla mnie zbędne. Umiem odłączyć duszę od ciała, nie zabijając.

— Czyżby? Spróbuj więc — zachęcał Marat — sposobność wprost wymarzona.

— Istotnie. Spróbuję. Nie chcę, aby ten młody człowiek cierpiał.

— Jesteś wielkim ofiarnikiem, ale nie jesteś Bogiem. Nie zdołasz tego zucha wybawić od cierpień.

— Czy jeśli nie będzie cierpieć, wyzdrowieje?

— Można mieć nadzieję. Ale to nie jest pewne. Balsamo rzucił na Marata niezwykle spojrzenie, po czym stanął przed młodym człowiekiem, którego wzrok mąciło już potworne przerażenie.

— Spij! — rzekł Balsamo nie tylko ustami, ale i wzrokiem, wolą.

W tym samym czasie naczelnny chirurg zaczął dotykać chorej nogi, opisując stan rzeczy swym asystentom.

Kiedy Balsamo powiedział: „Spij”, młody człowiek uniósł się nieco, po czym nagle zachwiał się, zwiesił głowę i oczy mu się zamknęły.

— Omdlał — stwierdził Marat.

— Nie, on śpi.

Wszyscy spojrzeli na osobliwego lekarza, którego zaczęli poczytywać za niespełna rozumu.

Na ustach Marata zastygł uśmiech niedowierzania.

— Czy można mówić podczas omdlenia? — zapytał Balsamo niewzruszony.

— Nie.

— Więc zapytaj go, może odpowie.

Marat zawahał się. Ale zdecydował się zaraz.

— Słuchaj, młody człowieku! — zawołał.

— Nie tak głośno. Mów zwyczajnym głosem.

— Powiedz... powiedz, co się z tobą dzieje? — ponowił próbę Marat.

— Kazano mi spać... Śpię... — powiedział chory.

Głos był zupełnie spokojny i można było poznać, że to ten sam głos, który słyszano przed kilku minutami.

Spoglądano na siebie, nic nie rozumiejąc.

— Rozwiążcie go — polecił Balsamo.

— To niemożliwe — zaproponował naczelny chirurg. — Poruszy się i operacja może się nie udać.

— Nie poruszy się.

— Któż to może zaręczyć?!

— Ja i on. Zapytajcie go.

— Czy można cię rozwiązać, przyjacielu?

— Będziesz leżał spokojnie?

— Będę, jeżeli rozkażesz.

— Rozkazuję.

— Doprawdy, mówi pan z takim przekonaniem — rzekł naczelny chirurg — że nie mogą oprzeć się pragnieniu, aby dokonać próby.

— Proszę nie lękać się niczego. Chirurg był zdecydowany.

— Rozwiążcie go — zarządził. Polecenie wykonano.

Balsamo stanął za głową chorego.

— Nie poruszaj się odtąd — rzekł.

Młody człowiek leżał nieruchomo jak marmurowa statua na grobowcu.

— Proszę zacząć operację — odezwał się znów Balsamo — chory gotów.

Chirurg wziął bistur, lecz zawahał się.

— Zaczynaj, zaczynaj — ponowił swoje wezwanie Balsamo głosem jak w natchnieniu.

Chirurg dotknął ciała chłodną stalą.

Rozległ się chrzęst rozwieranego ciała. Chory nie zrobił najmniejszego poruszenia, nawet nie westchnął.

— Skąd jesteś, przyjacielu? — zapytał go Balsamo.

— Z Bretanii — odpowiedział chory z uśmiechem.

— Kochasz swój kraj?

— O, panie, jak można by nie kochać tak pięknego kraju. Chirurg tymczasem za pomocą kilku cięć odstłonił kość.

— Kiedy opuścisz swój kraj? — pytał dalej Balsamo.

— Miałem dziesięć lat, panie. Chirurg zbliżył piłę do kości.

— Przyjacielu — mówił wciąż łagodnie Balsamo — zaśpiewaj mi piosenkę, którą śpiewają robotnicy w Batz, powracając wieczorem do domu po całodziennej pracy przy soli.

Słychać było chrobot piły przesuwającej się po kości.

Na wezwanie Balsamo chory uśmiechnął się i zaczął śpiewać, melodyjnie, powoli, w uniesieniu, jak poeta lub kochanek.

Noga upadła na łóżko, a chory jeszcze śpiewał.

ROZDZIAŁ CVI. DUSZA I CIAŁO

Wszyscy patrzyli na pacjenta ze zdziwieniem, na lekarza z podziwem. Byli tacy, którzy utrzymywali, że obydwa są obłąkami.

Marat powiedział o tym na ucho hrabiemu Balsamo.

— Strach pozbawił nieboraka rozumu, dlatego nie cierpiał.

— Nie sędzę — odparł Balsamo. — On nie tylko nie zwariował, ale pewny tego jestem, że gdy go zapytam, poda nam dzień swojej śmierci, jeżeli ma umrzeć i powie, jak długo trwać będzie jego rekonwalescencja, jeżeli ma powrócić do zdrowia.

Marat był teraz gotów przychylić się do opinii wszystkich i uwierzyć, że Balsamo jest takim samym szaleńcem jak pacjent.

Tymczasem chirurg spiesznie przewiązywał arterie, z których krew lała się strumieniami.

Balsamo wyjął z kieszeni flaszeczkę, wylał kilka kropel na szarpie i podając chirurgowi prosił o ich przyłożenie do arterii.

Naczelny chirurg zgodził się, okazując pewne zainteresowanie.

Był to jeden z najstydniejszych w owym czasie lekarzypraktyków, rozmiłowany w nauce, której tajemnic nigdy nie odrzucał. Tylko w momentach wątpliwości godził się na rolę przypadku, jako ostateczność.

Podane szarpie przyłożył do arterii i w chwilę potem upływ krwi ustał. Teraz było już łatwo zawiązać arterie.

Balsamo triumfował. Zasypano go pytaniami, gdzie się uczył i w jakiej szkole studiował.

— Studiowałem medycynę w Getyndze, w Niemczech — wyjaśnił. — Zastosowany dopiero co środek, któryście panowie widzieli, spreparowałem sam. Proszę was jednak, abyście panowie zachowali to w tajemnicy, ponieważ obawiam się stosu, a sądy mogą jeszcze mieć przyjemność skazywania czarowników na spalenie.

Chirurg zamyślił się, zanim jednak odpowiedział, uprzedził go Marat.

— Powiedział pan — rzekł — że jeżeli pan zapyta tego chorego o skutki operacji, odpowie on dokładnie na to pytanie, chociaż skutek operacji jest sprawą przyszłości.

— Tak, i podtrzymuję to — odparł Balsamo.

— A więc przekonajmy się.

— Dobrze. Jak się nazywa pacjent?

— Havard.

Balsamo zwrócił się w stronę chorego, z którego ust wydobywały się jęki.

— Uważaj, przyjacielu — rzekł do niego — co myślisz o stanie tego biedaka, Havarda?

— Co myślę o jego stanie? — odpowiedział pacjent. — Poczekaj, niech no wrócą z Bretanii, gdzie teraz jestem, do szpitala Hôtel-Dieu, w którym on się znajduje.

— Dobrze. Wejdz więc tutaj, popatrz na niego i powiedz mi całą prawdę.

— Ach, on jest chory! Bardzo chory! Amputowano mu nogę.

— Czy operacja udała się?

— Jak najbardziej, ale... — twarz chorego zasepiła się. — Ale będzie miał wysoką gorączkę — dokończył.

— Kiedy?

— Dzisiaj wieczorem o godzinie siódmej. Obecni spojrzeli na siebie zdumieni.

— A czy wytrzyma tę gorączkę? — pytał dalej Balsamo.

— Wytrzyma pierwszy jej paroksyzm.

— A potem, czy będzie ocalony?

— Niestety, nie — odparł chory z westchnieniem. — Czy gorączka powróci?

— Och, bardziej wyniszczająca niż pierwszym razem! Biedny Havard, ma żonę i dzieci!

I oczy pacjenta napełniły się łzami.

— A zatem jego żona będzie wdową, a dzieci sierotami? — zapytał Balsamo.

— Czekaj... Nie, nie...

Złożył ręce i twarz jego rozjaśniła się.

— Nie, jego żona i dzieci tak gorąco się modliły, że wyjednały dla niego boską łaskę.

— A więc powróci do zdrowia?

— Tak.

— Słyszeliście, panowie? — Balsamo zwrócił się do obecnych. — Powróci do zdrowia.

— Trzeba go zapytać, za ile dni to nastąpi — rzekł Marat.

— Dobrze, miałem ten zamiar — powiedział Balsamo i zapytał: — Czy Havard prędko powróci do zdrowia?

— O, jego rekonwalescencja będzie trwała długo. Czekaj: miesiąc, sześć tygodni, dwa miesiące... Przybył tu przed pięcioma dniami, a wyjdzie po dwóch i pół miesiącach.

— I wyjdzie zdrów?

— Tak.

— Ale niezdalny do pracy, a więc bez możliwości wyżywienia swojej żony i dzieci — wtrącił Marat. Havard znowu złożył ręce.

— Och, Bóg jest dobry, nie opuści ich!

— W jaki sposób? — nie dowierzał Marat. — Ponieważ uczę się, chciałbym się dowiedzieć wszystkiego.

— Bóg zesłał do jego łóżka człowieka miłosiernego, który się nad nim ulitował i powiedział mu, że chce, aby biednemu Havardowi na niczym nie zbywało.

Balsamo uśmiechnął się.

— Jesteśmy świadkami osobliwego zjawiska — odezwał się chirurg, biorąc chorego za rękę i dotykając jego piersi i czoła. — Ten człowiek bredzi.

— Tak pan myśli? — spytał Balsamo, po czym rzucił na chorego władcze i przenikliwe spojrzenie: — Przebudź się, Havard! — rzekł.

Młody człowiek z trudnością otworzył oczy i spojrzał na zebranych z ogromnym zdziwieniem.

— A więc jeszcze mnie nie operowano — rzekł z bólem. — Znowu będą mnie męczyć?

Balsamo przerwał mu w obawie, aby wzruszenie nie zaszkodziło pacjentowi.

— Uspokój się, przyjacielu — powiedział. — Chirurg wykonał operację twojej nogi jak można było najlepiej. Jesteś nazbyt bojaźliwy, ponieważ omdlałeś na samym początku operacji.

— O, to dobrze! — ucieszył się Bretończyk. — Nic nie czułem i spałem tak smacznie! Sen pokrzepił moje siły. Co za szczęście, że nie utną mi nogi!

W tej chwili jednak biedak spojrzał na siebie. Zobaczył pościel zbrozoną krwią i odjętą nogę, krzyknął i omdlał naprawdę.

— Niech go pan teraz o co spyta — rzekł Balsamo do Marata chłodno. — Zobaczy pan, czy odpowie.

Pielęgniarze wynieśli nieszczęsnego pacjenta, Balsamo zaś odprowadził chirurga na bok i spytał:

— Czy pan słyszał, co powiedział ten biedny chory?

— Tak, że powróci do zdrowia.

— Powiedział także, że Bóg się nad nim ulituje i dopomoże mu, aby miał na utrzymanie żony i dzieci.

— A więc?

— A więc powiedział prawdę. Niech się pan tylko zgodzi być pośrednikiem między miłosiernym Bogiem a chorym. Oto brylant wartości około dwudziestu tysięcy liwrów. Kiedy Ha-ward wyzdrowieje, sprzeda pan brylant i wręczy mu pieniądze. A tymczasem, ponieważ dusza ma wielki wpływ na ciało, jak to mądrze powiedział pana uczeń, Marat, zechciej pan oświadczyć Havardowi, że los jego rodziny został zabezpieczony.

— A jeżeli nie wyzdrowieje? — spytał z wahaniem chirurg.

— Wyzdrowieje.

— Dam więc panu pokwitowanie.

— A to po co?

— Tylko pod tym warunkiem przyjmę klejnot tej wartości.

— Jak pan chce. Moje nazwisko hrabia de Foenix.

Chirurg wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdy tymczasem Marat, zmieszany i zawstydzony, ale opierający się jeszcze temu, co zaszło, podszedł do Balsamo.

W pięć minut później chirurg przyniósł pokwitowanie następującej treści:

„Ja, niżej podpisany, otrzymałem od hrabiego de Foenix brylant wartości dwudziestu tysięcy liwrów, biorąc według szacunku hrabiego. Pieniądze, uzyskane ze sprzedaży tego klejnotu, zobowiązuję się doręczyć człowiekowi nazwiskiem Havard, gdy ten opuści szpital Hôtel-Dieu. Dnia 15 września, 1771 roku. Guillotin, doktor medycyny”.

Balsamo schował pokwitowanie, skłonił się chirurgowi i wyszedł z Maratem.

— Zapomniał pan zabrać głowę — rzekł Balsamo, dla którego roztargnienie młodego adepta chirurgii było prawdziwym triumfem.

— Ach, tak! — odpowiedział Marat i zabrał ponure zawiniątko.

Wyszli szybko, idąc w milczeniu. Na ulicy des Cordeliers wdrapali się na kręte schody wiodące do izdebki Marata.

Młody człowiek nie zapomniał swoim zegarku, zatrzymał się więc przed brudną dziurą, w której mieszkała Grivette.

Blady i chudy chłopiec ośmioletni poinformował Marata, że matki nie ma i że jest dla niego list.

— Nie, mój mały — rzekł Marat. — Powiedz, żeby mi matka sama go przyniosła.

— Dobrze, panie — odpowiedział chłopiec.

Weszli do izdebki Marata. Młody człowiek podsunął gościowi krzesło i powiedział:

— Widzę, że mistrz posiada znajomość tajemnic natury i życia.

— Dlatego, że bardziej niż ktokolwiek zbliżyłem się do natury i do Boga — odparł Balsamo.

— Och! — wykrzyknął Marat. — Jak dobitnie o potęgze człowieka przekonuje nauka! Być człowiekiem, to powód do dumy!

— Dodać trzeba: i być lekarzem.

— Dlatego dumny jestem z ciebie, mistrzu.

— A jednak jestem tylko biednym lekarzem dusz — powiedział z uśmiechem Balsamo.

— O, nie mówmy o tym. Widziałem, jak pan wstrzymał upływ krwi środkami materialnymi

— A ja sądziłem, że działałem więcej, kiedy ulżyłem choremu w cierpieniu. To prawda, jak mi pan dowodził, że ten człowiek zwariował. Co pan nazywa obłąkaniem? Czy nie jest ono odejściem duszy?

— Albo rozumu — rzekł Marat.

— Nie sprzecajmy się. Termin „dusza” umożliwia mi znalezienie tego, czego szukam, a skoro znalazłem to, czego szukam, jest mi obojętne, jak się to nazywa.

— Tu się więc różnimy! Powiada pan, że znalazł pan rzecz i nie szuka jej nazwy. Ja zaś twierdzę, że szuka pan i jednego i drugiego, to znaczy rzeczy i jej nazwy.

— Wrócimy zaraz do tej kwestii. Jak mi się zdaje, pan powiedział, że obłąkanie nie jest niczym innym, jak tylko chwilowym odejściem rozumu.

— Oczywiście. Widziałem w Bicêtre wariata, który gryząc żelazną kratę krzyczał: „Kucharzu, twoje bażanty są delikatne, ale ile przyrządzone!”

— Ale czy pan nie przypuszcza, że obłąkanie to jakby chmura, która przysłania rozum, a kiedy chmura odejdzie, rozum zaczyna znów sprawnie funkcjonować?

— To się prawie nigdy nie zdarza.

— A przecież widział pan naszego pacjenta normalnego i po wariackim śnie.

— Widziałem, ale tego nie rozumiałem. Był to wypadek wyjątkowy w rodzaju tych, które Hebrajczycy nazywali cudami.

— Nie, to nie było nic innego, jak tylko odejście duszy, rozłączenie się materii i ducha. Materii, bezwładnego ciała, prochu, co się w proch obróci i duszy, iskry bożej, zamkniętej na chwilę w latarence, którą nazywamy ciałem; duszy, która zstąpiła z nieba i wróci do nieba po upadku ciała.

— A więc wywołał pan na moment duszę z ciała?

— Tak, rozkazałem jej opuścić ciało. Wyrwałem ją z otchłani cierpień, w której ją zatrzymywał ból, dałem jej skrzydła, aby wzleciała w rejony jasne i czyste. Co wtedy zostało chirurgowi? To, co pod pana skalpelem, kiedy pan odciął tą głowę kobiety, to znaczy nic, tylko materia, glina.

— A w czyim imieniu opanował pan tę duszę?

— W imię Tego, który jednym tchnieniem stworzył te wszystkie dusze, dusze światów i dusze ludzi: w imię Boga.

— Czyli odrzuca pan wolną wolę? — spytał Marat.

— Ja? A cóż ja robię w tym momencie? Ukazuję panu z jednej strony wolną wolę, z drugiej abstrakcję. Przedstawiam umierającego, który bardzo cierpi. Człowiek ten ma stoicką duszę, sam prosi o operację, wytrzymuje ją, ale cierpi. Oto wolna wola. Ale kiedy litując się nad cierpieniami bliźniego, mocą daną mi od Boga, wyprowadzam duszę z bezwładnego, nieczulego ciała istoty cierpiącej, ciało to staje się dla duszy widowiskiem, na które patrzy ona z wysokiej swojej sfery, pełna świętości i miłosierdzia. Czyż nie słyszał pan słów Havarda? Mówił o sobie: „Ten biedny Havard!” Bo w rzeczy samej jego dusza znajdowała się w połowie drogi do nieba i nie miała już żadnego związku z ciałem.

— Ależ z tego wynika, że człowiek jest niczym — powiedział Marat — i że nie mogę powiedzieć tyranowi: „Masz władzę nad moim ciałem, ale nie możesz nic zrobić z moją duszą”.

— Ach, znowu pan przechodzi z zagadnienia prawdy na sofizmaty! Mówiłem już, że to pana zasadniczy błąd. Bóg daje ciało duszy. Dopóki dusza posiada ciało, istnieje między nimi związek i wpływ jednej na drugie, władza materii nad myślą albo myśli nad materią, stosownie do woli Opatrzności, która dla niewiadomych przyczyn pozwoliła, aby ciało było królem albo dusza królową. Ale nie ma w tym mniej prawdy, że tchnienie, które ożywia żebraków, jest równie czyste jak to, które przynosi śmierć królom. Oto dogmat, który pan musi głosić jako apostoł równości. Niech pan udowodni równość dwóch istot duchowych, ponieważ, tę równość może pan zaprowadzić z pomocą tego wszystkiego, co jest na świecie uświęcone: Pisma świętego i tradycji, nauki i wiary. Cóż pana obchodzi równość dwóch materii?! Z równością ciała nie wzniesie się pan do Boga. Widział pan niedawno tego nieszczęsnego pacjenta, ciemnego prostaka, który powiedział o swojej chorobie to, czego by żaden lekarz nie odważył się powiedzieć. Dlaczego? Dlatego, że jego dusza, wyzwolona na chwilę z cielesnych swych więzów, uniosła się nad ziemię. Z góry ujrziała tajemnicę, której nie możemy widzieć z powodu ślepoty naszych cielesnych oczu.

Marat obracał na stole odciętą głowę, na próżno starając się znaleźć odpowiedź.

— Tak, jest w tym coś nadprzyrodzonego — rzekł na kopiec cicho.

— Przeciwnie, coś naturalnego. Niech pan nie nazywa nadprzyrodzonym tego, co wynika z właściwości duszy. Wszystko to jest rzeczywiste, a że nieznanne, to inna sprawa.

— Nieznane nam, to prawda, mistrzu, ale dla ciebie nie powinno być tajemnicą. Nie znany Peruviańczykom koń, był dobrze znany Hiszpanom, którzy umieli go oswoić.

— Okazałbym pychę, gdybym powiedział: wiem. Nie jestem tak zuchwały i mówię: myślę.

— I co pan myśli?

— Że najważniejszą i pierwszą sprawą w życiu jest postęp. Myślę, że Bóg stworzył wszystko w dobrym i moralnym celu. Ponieważ jednak życie jest na tym świecie nieskończenie różnorodne, dlatego postęp jest powolny. Nasza planeta liczyła sześćdziesiąt wieków, kiedy pojawiła się sztuka drukarska, jak latarnia morska rozjaśniająca przeszłość i oświetlająca przyszłość. Ze sztuką drukarską skończyły się ciemności i zapomnienie: jest ona pamięcią świata. Wynika stąd, że Gutenberg wynalazł druk, a ja odnalazłem zaufanie.

— Może pan dojdzie do tego, że będzie czytał w sercach ludzkich? — rzekł ironicznie Marat.

— Dlaczegoż by nie?

— Zrobi pan w piersiach człowieka okienko, przez które tak bardzo chcieli popatrzeć starożytni?

— To niepotrzebne. Odłączę tylko duszę od ciała i dusza, czysta córka nieba, opowie mi o wszystkich bezecnościach śmiertelnej powłoki, którą zmuszona jest ożywiać.

— A zatem odkryje pan tajemnicę materii?

— Dlaczegoż by nie?

— Odgadnie pan, na przykład, kto mi ukradł zegarek?

— Pan poniża naukę, ale mniejsza o to. Ziarnko piasku tak samo dowodzi wielkości Boga, jak góra, tak samo pierwotniak, jak i słoń. Otóż powiem, kto panu ukradł zegarek.

W tej samej chwili ktoś zapukał nieśmiało. Była to gospodyni Marata, która zgodnie z jego żądaniem przyniosła mu list.

ROZDZIAŁ CVII. GOSPODYNI MARATA

Drzwi otworzyły się i weszła Grivette.

Nie mieliśmy jeszcze okazji do bliższego przedstawienia tej kobiety, ponieważ była to jedna z tych figur, które malarz komponuje zwykle na ostatnim planie, gdy mu jest potrzebna. Kobieta ta przesuwając się obecnie w ruchomym obrazie naszej opowieści do przodu i prosi o miejsce w rozległej panoramie, która miała być pokazana czytelnikowi. Gdyby zdolności dorównywały zamiarom autora, w panoramie ukazałoby się wszyscy, począwszy od żebraka a na królu skończywszy, od Kalibana aż do Ariela i od Ariela aż do Boga.

Spróbujmy więc przedstawić panią Grivette, która wyłania się z cienia i zbliża ku nam.

Było to stworzenie wysokie i chude, lat około trzydziestu, żółte, z głęboko osadzonymi, niebieskimi oczami otoczonymi czarną obwódką — piętnem wyniszczenia, jakie dosięga w warunkach nędzy fizycznej i moralnej Istoty stworzone przez Boga bez skazy, które w odpowiednio sprzyjających okolicznościach życiowych mogłyby się wspaniale rozwinąć, gdyby nie zatruto ich życia nieustanną męczarnią, trudem i głodem.

Gospodyni Marata byłaby kobietą piękną, gdyby od piętnastego roku życia nie mieszkała w ciemnej i wilgotnej norze. Jej długie i chude ręce były czerwone, szorstkie i popękane, ale bardzo kształtne.

To prawda, że biedne ciało człowieka jest tylko legitymacją jego zawodu.

Widać było, że w tej kobiecie duch był silniejszy od ciała, a zatem dłużej mógł walczyć z przeciwnościami. Duch ten palił się jeszcze jak lampa i przenikał ciało odblaskiem. Niekiedy w zamglonych i bez wyrazu oczach błyskał promieniem rozumu, piękna, młodości i miłości, wszystkim, co jest wzniosłe i piękne w naturze człowieka.

Balsamo przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę. Zaciekawiał go od pierwszego wejścia.

Weszła z listem w rękę i podając go Maratowi powiedziała łagodnie głosem starej kobiety:

— Oto list, który miałam panu przynieść.

— Na liście mi nie zależy, chciałem, żebyś tu przyszła.

— Rozkazuj, panie, jestem twoją służką... Co pan rozkaże?

— Chcę wiedzieć, co się stało z moim zegarkiem.

— Naprawdę, nie wiem, co się z nim stało. Wczoraj widziałam przez cały dzień, jak wisiał na gwoździu przy kominku.

— Nieprawda, cały dzień miałem go w kieszeni, tylko o szóstej wieczorem, wychodząc do miasta, położyłem go pod lichtarzem, żeby mu było bezpieczniej niż w tłumie na ulicy.

— Jeżeli go pan położył pod lichtarzem, to musi tam być.

I z udaną naiwnością podeszła do kominka i podniosła ten właśnie lichtarz, pod którym Marat schował zegarek.

— Widzę doskonale, że to lichtarz, ale gdzie jest zegarek?. — spytał młody chirurg.

— Nie ma go tutaj. Czy nie położył go pan tam?

— Ale kiedy ci mówię...

— Niech pan dobrze poszuka.

— Szukałem — odparł Marat gniewnie.

— A więc zgubił go pan.

— Ale powiadani ci, że wczoraj wieczorem sam go położyłem tam...

— Musiał tu więc ktoś być — powiedziała Grivette. — Tyle się tu kręci ludzi nieznanomych!

— Bajki! — zawołał Marat. — Wiesz dobrze, że nikt tutaj od wczoraj nie przychodził. Nie, to chyba zegarek odszedł, tą samą drogą, którą odbyła laska ze srebrną gałką, srebrna łyżka i scyzoryk o sześciu ostrzach. Ktoś mnie okrada, moja pani Grivette. Wiele znosiłem, ale tego już nie. Strzeż się!

— Czy to znaczy, że pan mnie obwinia?

— Twoim obowiązkiem jest pilnować moich rzeczy.

— Przecież nie ja jedna mam klucz.

— Jesteś odźwierną.

— Płaci mi pan tylko talara na miesiąc, a wymaga, żebym służyła za dziesięć.

— Mało mnie to obchodzi, kiedy jestem źle obsłużony, ale bardzo mnie obchodzi, kiedy jestem okradany.

— Jestem uczciwą kobietą, proszę pana!

— Ja tę uczciwą kobietę oddam policji, jeżeli za godzinę nie znajdzie się mój zegarek.

— Policji? Taką uczciwą kobietę jak ja?

— Tak, taką uczciwą kobietę... Dosyć tego!

— Ach, domyślałam się, że pan mnie podejrzewał już...

— Podejrzewam cię od czasu, kiedy mi zginęła laska.

— No to panu coś powiem, panie Marat.

— Co takiego?

— Że radziłam się sąsiada w sprawie pana podejrzeń.

— Przecież dopiero teraz mówię, że podejrzewam.

— Ale ja to przeczuwałam.

— I co na to sąsiedzi? Jestem bardzo ciekaw.

— Powiedzieli, że jeśli pan mnie podejrzewa i powiedział komu o tym podejrzeniu, to będzie pan musiał dowieść, że zegarek ukradli...

— Ma się rozumieć, że zegarek został ukradzony, bo go nie ma!

— Ale czy pan nie rozumie, że trzeba mi dowieść kradzieży? Na słowo nie uwierzą, bo nie jest pan kimś lepszym niż my.

Balsamo przypatrywał się scenie spokojnie. Zauważył, że chociaż Marat obstawał przy swoim zdaniu, ton jego głosu złagodniał.

— Tak. Jeżeli pan nie przyzna, że jestem niewinna i nie cofnie swoich podejrzeń, to sama pójde do komisarza policji, jak mi radzili.

Marat przygryzł wargi. Wiedział, że sprawa może przyjąć niepożądany dla niego obrót. Grivette miała poparcie u właściciela domu, który przed laty opiekował się nader gorliwie odźwierną. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja Marata z punktu widzenia policji, ponieważ utrzymywał stosunki z podejrzanymi ludźmi. Wiedział, że gdyby sprawa się skomplikowała i dotarła do pana de Sartines, byłoby z nim źle. To było przyczyną, że w rozmowie z Grivette spuścił z tonu. Ale w miarę, jak łagodził głos, odźwierną podnosiła go coraz bardziej. Jej słowa stopniowo stawały się ostrzejsze, zabarwione histerią i w końcu Grivette wybuchnęła przekleństwami i płaczem.

Balsamo uznał, że nadeszła pora jego interwencji. Podeszedł do Grivette i popatrzył na nią groźnie, wyciągnął dwa palce w stronę jej piersi, wypowiadając oczami i myślą swoją wolę.

Odźwierną natychmiast umilkła, zachwiała się i tracąc równowagę padła z otwartymi, oczyma na łóżko.

W chwilę potem oczy jej zamknęły się i zaraz otworzyły, tak jednak, że nie było widać źrenic. Język poruszał się w jej ustach konwulsyjnie i ręce drżały jak w febrze, choć tułów był nieruchomy.

— Och, z mą dzieje się to samo, co z Havardem w szpitalu? — zawołał Marat.

— Tak. A teraz niech pan słucha. Nadeszła chwila, w której przestanie pan wątpić. Niech pan podniesie list, który upuściła padając ta kobieta.

— I co dalej? — spytał podniósłszy list.

— Zaraz — powiedział Balsamo i biorąc list z ręki młodego człowieka zapytał uśpioną: — Czy wiesz, od kogo ten list?

— Nie wiem — padła odpowiedź. Balsamo podsunął jej list bliżej.

— Przeczytaj ten list do pana Marata, który chce wiedzieć, co jest w nim napisane.

— Ona nie umie czytać — wtrącił Marat.

— Tak, ale pan umie czytać, niech więc go pan czyta i ona będzie czytać w miarę jak słowa tego listu będą się zapisywać w pana pamięci. Proszę, niech pan zaczyna.

Marat od pieczętował list i zaczął go po cichu czytać, Gri-vette zaś z drzeniem powtarzała słowo po słowie:

„Kochany Hippokratesie! Apelles tylko co skończył swój pierwszy portret. Sprzedał go za pięćdziesiąt franków. Przejadamy je dzisiaj w traktierni przy ulicy Saint-Jacques. Czy będziesz tam? Ma się rozumieć, że część sumy przepijemy. Twój przyjaciel, L. David”.

Marat upuścił papier..

— A więc widzi pan, że Grivette ma także duszę i że ta dusza czuwa w czasie snu — odezwał się Balsamo.

— Tak, i to duszę niezwykłą — zgodził się Marat. — Duszę, która umie czytać, podczas kiedy ciało tego nie potrafi.

— Bo dusza umie wszystko. Niech pan namówi ją, żeby przeczytała list, kiedy się obudzi, to jest kiedy ciało przyoblecze jej duszę cieniem, a zobaczy pan, czy potrafi tego dokonać.

Marat milczał. Cała jego materialistyczna filozofia burzyła się w nim, ale nie znajdowała odpowiedzi.

— A teraz przejdźmy do tego, co pana interesuje najbardziej — mówił dalej Balsamo i zwrócił się następnie do Grivette: — Grivette, kto wziął zegarek pana Marata?

Zahypnotyzowana uczyniła gwałtowny gest przeczenia.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Wiesz bardzo dobrze — zaoponował Balsamo z naciskiem. — Musisz koniecznie powiedzieć. Kto wziął zegarek pana Marata, pytam?

— Grivette nie ukradła zegarka pana Marata.

— Jeżeli ona nie ukradła, to powiedz, kto to zrobił?

— Nie wiem.

— Widzi pan — odezwał się Marat — sumienie jest nieprzeniknioną kryjówką.

— A więc, ponieważ żywi pan jeszcze tę tylko wątpliwość, wobec tego będzie pan wkrótce przekonany — oświadczył Balsamo.

Potem zwrócił się do Grivette.

— Mów, kto wziął zegarek! Ja tak chcę!

— Ależ niech pan nie żąda rzeczy niemożliwych! — wtrącił Marat.

— Słyszałaś?! Powiedziałem: ja tak chcę! — powtórzył Balsamo.

Pod wpływem jego żelaznej woli nieszczęśliwa kobieta załamała ręce i zaczęła się rzucać na wszystkie strony jak szalona. Epileptyczny dreszcz przebiegł po jej ciele, usta zeszepecił grymas strachu. Przewróciła się na wznak, wyprężyła konwulsyjnie i opadła.— Nie, nie! — zawołała. — Wolę umrzeć!

— Umieraj, ale mów! — krzyknął gniewnie Balsamo i oczy jego zaiskrzyły się. — Twój upór dowodzi, że popełniłaś przestępstwo, ale potrzebne są dowody nie do odparcia. Mów, ja tak chcę!

Naprężenie doszło do najwyższego stopnia. Wszystko w uśpionej buntowało się przeciwko woli Balsamo. Nieartykułowane dźwięki wydobywały się z piersi Grivette, na jej usta wystąpiła różowa piana.

— Nabawi się epilepsji — zauważył Marat.

— Niech się pan nie obawia. Siedzi w niej szatan kłamstwa i nie chce wyjść.

Potem odwrócił się ponownie do leżącej kobiety i rzucając jej cały fluid, jakim przekazywał swą wolę, powtórzył nakaz:

— Mów, kto ukradł zegarek!

— Grivette — odpowiedziała odźwierna niewyraźnie.

— Kiedy go wzięła?

— Wczoraj wieczorem. — Co z nim zrobiła?

— Zniosła na ulicę Saint-Jacques pod numer 29.

— Do kogo?

— Do czeladnika szewskiego, Simona.

— Co to za jeden?

— Jej kochanek — odpowiedziała Grivette słabym głosem i po momencie wahania.

Marat wydał lekki okrzyk zdziwienia.

— Cicho, niech mówi tylko jej sumienie — powiedział Balsamo i pytał Grivette dalej.

- Kto jej doradził ukraść zegarek?
- Nikt. Podniosła przypadkiem lichtarz i zły duch ją skusił.
- Czy potrzebowała to uczynić?
- Nie, bo Grivette nie sprzedawała zegarka.
- Darowała go więc?
- Tak, Simonowi — odpowiedziała Grivette z wysiłkiem i załką.

Marat przypatrywał się przykremu widowisku z otwartymi oczami. Balsamo odezwał się do niego tonem wyjaśnienia:

— Widzi pan wreszcie walkę duszy z ciałem. Widzi pan, że sumienie zostało pokonane, że Bóg nie zapomniał o niczym i że wszystko zawiera się we wszystkim. Niech pan nie odrzuca sumienia, ani wiary, która daje wielką moc, a ponieważ jest pan ambitny, radzę się uczyć. Niech pan mało mówi, wiele myśli i nie sądzi lekkomyślnie starszych od siebie. Żegnam pana. Otworzyłem przed panem szerokie pole, warto je uprawiać, bo mieszczą się w nim skarby. Będzie pan szczęśliwy, i jeżeli przewycięży pan w sobie ducha niewiary, podobnie jak ja przewyciężyłem w tej kobiecie ducha kłamstwa.

Marat zarumienił się, ale zanim pomyślał o przeproszeniu gościa, Balsamo wyszedł.

Po pierwszym jednak osłupieniu Marat spostrzegł, że Grivette była w dalszym ciągu uśpiona. Sen ten wydał mu się okropny. Wolałby patrzeć na trupa niż na tę kobietę.

Popatrzył na przewrócone oczy odźwiernej, na jej konwulsyjne drżenie i zląkł się. Jego strach zmienił się w przerażenie, kiedy żyjący trup wstał z łóżka, wziął go za rękę i rzekł:

- Niech pan ze mną idzie, panie Marat.
- Dokąd?
- Na ulicę Saint-Jacques. On mi rozkazuje, żebym tam pana zaprowadziła.

Marat wstał z krzesła, Grivette otworzyła drzwi i zeszała ze schodów jak ptak albo kot, nie dotykając prawie stopni. Młody człowiek bał się, żeby nie upadła, ale nic takiego nie nastąpiło.

Wyszli na ulicę i Grivette zaprowadziła go na poddasze, gdzie mieszkał Simon.

Zapukała do drzwi. Serce Marata biło tak gwałtownie, że zdawało mu się, iż słyhać je.

Drzwi otworzyły się i przed Maratem stanął mężczyzna dwudziestopięcioletni. Spostrzegłszy przybyłych, Simon cofnął się.

Grivette jednak bez namysłu podeszła prosto do łóżka i wsunęła rękę pod poduszkę. Wyjęła zegarek i oddała Maratowi, po czym dotknęła jego ręki, westchnęła i powiedziała po cichu:

— Budzi mnie.

Mięśnie jej rozluźniły się, oczy zabłysły żywym blaskiem. Ujrawszy Marata z zegarkiem w ręce, niezaprzeczoną dowodem swego przestępstwa, Grivette zachwiała się i upadła bez zmysłów.

— Czyżby sumienie rzeczywiście istniało? — pytał siebie Marat wychodząc z izdebki szewca, pełen wątpliwości w sercu. i zamyślenia w oczach.

ROZDZIAŁ CVIII. CZŁOWIEK I JEGO DZIEŁA

W czasie, kiedy Marat oddawał się myślom filozoficznym na temat sumienia i podwójnego życia, inny filozof, przy ulicy Plâtrière, wspominał szczegóły wieczoru poprzedniego dnia i zadawał sobie pytanie, czy istotnie jest występny. Oparty o stół, z głową na lewym ramieniu, Rousseau intensywnie rozmyślał.

Przed nim leżały otwarte jego dzieła filozoficzne Emil i Umowa Społeczna.

Od czasu do czasu nachylał się nad księgami i wertował je, chociaż nie było tu nic, czego by dokładnie nie pamiętał.

— Ach, mój Boże! — westchnął odczytując jeden z rozdziałów Emila traktujący o wolności sumienia. — Nie ma co, cóż to za filozofia! Czyż można wypisywać takie rzeczy!? Czy naprawdę uczyłem takich zasad? Teraz nie dziwię się, że z moich sofizmatów wylęgły się różne dziwne i ponure namiętności. Moi czytelnicy zbłądzili na drodze, którą obsiałem kwiatami retoryki. Byłem wichrzycielem.

Wstał i wzburzony obszedł kilka razy pokoik.

— Złorzeczyłem i spotwarzałem tych, którzy mieli obowiązek prześladować pisarzy — mówił. — A oni mają słuszość, całkowitą słuszość... Jakimż jestem głupcem! Po prostu najbardziej szkodliwy i niebezpieczny dla społeczności człowiek! Słowa, które rzuciłem w tłum, aby go oświecić i wskazać drogę doskonalenia, prowadzą do upadku moralności albo do pogrążenia się w ciemności. Och, jaki ze mnie zbrodniarz! Jestem potworem!

Podszedł do stołu i przeczytał jeszcze stronicę, dzieła Vicaire Savoyard.

— Tak, to właśnie to! „Zwierajmy szeregi, aby się zająć naszym szczęściem"... I ja to napisałem! „Dodawajmy naszym cnotom siły, którą inni dodają swoim wadom". I to jeszcze napisałem!...

I Rousseau wpadł w rozpacz.

— Oto mój błąd. Być może policja dostała w swe ręce moich braci, zbuntowanych bredniami o doskonaleniu się rodzaju ludzkiego. Może się znajdzie wśród nich odważny, wyjmie z kieszeni moją książkę i powie: „Cóżżeśmy zawinili? Jesteśmy uczniami Rousseau, studiuujemy filozofię". Och, jak się wtedy będzie ze mnie śmiał Wolter!

Myśl ta zapaliła w duszy genewskiego filozofa gniew.

— Nazwą mnie wichrzycielem — mruzczał. — Mnie, mistrza, nauczyciela rodzaju ludzkiego! Nie ma co, wyborny ze mnie nauczyciel! Zupełnie zdziecinniałem.

Zamyślił się tak głęboko, że nie spostrzegł Teresy, która weszła do pokoju niosąc śniadanie.

Postawiła brutalnie kubek gorącego mleka na książce filozofa Réveries d'un solitaire i powiedziała:

— Ach, oto mój pan przegląda się w swoim zwierciadle!

— Zostaw mnie, Tereso. Nie mam ochoty do śmiechu.

— Prawda, że to świetne książki? — szdyziła. — Rozpływasz się nad tymi cudownościami! Autorzy są tak bardzo próżni i tyle mają słabości, a tak mało pobbłażają biednym kobietom! Dlaczego? Niech tylko odważę się spojrzeć w moje zwierciadło, pan Rousseau natychmiast mnie beszta i nazywa, zalotnicą.

W czasie kiedy Teresa gderwała, Rousseau pił mleko i rozmyślał.

— Znowu zacząłeś marzyć — mówiła Teresa. — Pewnie napiszesz jakąś nową, pełną obrzydliwości książkę.

Rousseau zadrżał.

— Rozmyślasz o swoich idealnych kobietach, a pisesz takie książki, których nie mają śmiałości czytać młode panny, albo takie bezeceństwa, które kat będzie palił na stosie.

Męczennik znowu zadrżał. Teresa ugodziła go wprost w serce.

— Nie, nie będę pisał nic, co by mogło budzić złe myśli — powiedział. — Przeciwnie, chcę napisać książkę, którą by wszyscy ludzie uczciwi czytali z uniesieniem radości.

— To niemożliwe! — sprzeciwiła się Teresa. — Masz głowę nabitą samymi szkaradziejstwami. Słyszałam niedawno, jak czytałeś głośno jakiś fragment... Rozpływałeś się nad kobietami, które ubóstwiasz. Ty satyrze, ty czarowniku!

Termin „czarownik" należał do najstraszliwszych w słowniku Teresy i kiedy go używała, filozofem wstrząsał dreszcz.

— Zobaczysz, przyjaciółko — odezwał się — że tym razem będziesz ze mnie zadowolona. Napiszę, że odkryłem sposób przekształcenia świata; tak, ja dobrze się zastanowię nad tym... Żadnych rewolucji, moja dobra Tereso, tak, żadnych rewolucji!

— Zobaczymy — nie dowierzała Teresa. — Ach, ktoś dzwoni.

Pobiegła ku drzwiom wejściowym i wpuściła młodego, przystojnego mężczyznę. Poprosiła go, żeby zaczekał i pobiegła do filozofa.

— Schowaj szybko te okropieństwa! Ktoś chce z tobą mówić.

— Kto taki?

— Jakiś pan.

— Nie powiedział ci, jak się nazywa?

— Przecież nie wpuściłabym nieznanego. To pan de Coigny.

— Dworzanin Jego Wysokości delfina! — zawołał Rousseau.

— Możliwe. Czarujący chłopiec, bardzo miły mężczyzna.

— Zaraz przychodzę.

I Rousseau przejrzał się w lustrze, poprawił włosy, otrzepał z ubrania kurz, przeczyścił znoszone trzewiki i wszedł do pokoju, w którym oczekiwał go pan de Coigny.

Usłyszawszy otwierane drzwi, przybysz odwrócił się i składając uprzejmy ukłon spytał:

— Czy mam honor mówić z panem Rousseau?

— Tak, panie — odparł sucho filozof, nie tając zresztą podziwu dla niepospolitej urody i wytwornego obejścia młodego dworaka.

Pan de Coigny był w rzeczy samej jednym z najbardziej urodziwych i lubianych młodych ludzi we Francji. Niewątpliwie to dla niego tylko obmyślono ówczesny strój, aby wykazać smukłość jego nóg, zgrabną sylwetkę, szerokie ramiona i piersi, wspaniale osadzoną głowę i oslepiającą biel pięknych rąk.

Rousseau, jak prawdziwy artysta, przyjrzał mu się z zachwytem.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał.

— Przychodzę do pana w imieniu Jej Wysokości małżonki delfina.

Rousseau ukłonił się i zaczerwienił. Stojąca w progu Teresa przyglądała się pięknemu młodzieńcowi, wysłannikowi najznakomitszej księżnej Francji, z uwielbieniem.

— Jej Wysokość mnie potrzebuje? — zapytał Rousseau. — Ale proszę pana, pan będzie łaskaw usiąść.

I Rousseau sam usiadł, gość zaś poszedł za jego przykładem.

— Sprawa przedstawia się następująco — zaczął pan de Coigny. — Jego Królewska Mość w czasie ostatniego obiadu w Trianon oświadczył, że pańska rzeczywiście piękna muzyka bardzo mu się podoba. Król sam nucił arie. Małżonka delfina, z chęci przypodobania się Najjaśniejszemu Panu, pomyślała, że zrobi mu przyjemność przedstawiając w Trianon jedną z pańskich oper komicznych...

Rousseau poruszył się na krześle.

— To dla mnie nadzwyczajny zaszczyt — rzekł — i bardzo pana proszę, aby pan pan pokorniej podziękował Jej Wysokości małżonce delfina.

— Ale to nie wszystko — odparł pan de Coigny z uśmiechem. — Wprawdzie zespół teatralny w Trianon jest lepszy; niż inne, ale nie dość przygotowany. Potrzeba mu wskazówek mistrza, aby wykonanie było godne widzów, którzy zasiądą w łoży królewskiej, i godne świetnego autora.

Rousseau wstał i ukłonił się. Tym razem komplement wzruszył go.

— W tym celu — mówił dalej de Coigny — Jej Wysokość prosi pana o przybycie do Trianon na próbę generalną opery.

— Och! Czy to możliwe? — zdziwił się Rousseau. — Czy; Jej Wysokość dobrze to obmyśliła? Ja w Trianon!

— Cóż w tym dziwnego? — zapytał pan de Coigny.

— Pan jest człowiekiem wykwinym i rozsądnym — tłumaczył filozof. — Jest pan bardziej taktowny niż inni. Niech pan powie szczerze, czy to nie będzie śmieszne, kiedy Rousseau, filozof, wygnaniec i mizantrop pokaże się na dworze? Wszyscy moi przeciwnicy będą pękali ze śmiechu.

— Nie rozumiem, co w tym może być śmiesznego — odparł chłodno de Coigny. — Czyż głupcy, co pana prześladowają, są w stanie zakłócić sen tak miłego człowieka i pierwszego pisarza w królestwie? Jeśli cierpi pan na tę słabość, proszę ją ukrywać troskliwie, ponieważ to z niej można by się śmiać. Zapewniam pana, że nikt się na to nie odważy wobec tego, że tu chodzi o rozrywkę i spełnienie prośby osób tak dostojnych, jak Jej Wysokość małżonka delfina, następczyni tronu francuskiego.

— Zapewne, zapewne...

— Czyż nie są to resztki fałszywego wstydu? — ciągnął dalej z uśmiechem młody człowiek. — Nieco za ostro osądził pan króla i może dlatego obawia się pan poniżenia... Ach, panie Rousseau, udzielał pan rad rodzajowi ludzkiemu, ale przypuszczam, że nie czuł pan do niego nienawiści?... Zresztą, wystąpi pan wyłącznie wobec dam krwi cesarskiej.

— Pan mnie namawia tak czarująco, ale proszę się zastanowić nad moim położeniem: żyję z dala od świata, samotny, nieszczęśliwy...

— Ach, nieborak! — skrzywiła się Teresa. — Trudno mu dogodzić.

— Na mojej twarzy i w moim zachowaniu się znać ślady cierpień, niezbyt przyjemne dla oczu króla i księżniczek, którzy oczekują radości i rozrywki. Cóż ja tam będę robił?

— Można by rzec, że pan zwątpił w siebie. Ale ten, kto stworzył Nową Heloizę i Wyznania czyż nie ma więcej rozumu, żeby odpowiednio wystąpić, niż my wszyscy razem?

— Zapewniam pana, że to niemożliwe.

— Słowa tego nie używa się na dworze, panie Rousseau. — I oto dlaczego pozostanę w domu.

— Jestem przekonany, że nie zechce mi pan utrudniać położenia. Zobowiązałem się wobec małżonki delfina, że spełnię jej życzenie, przypuszczam więc, że nie każe mi pan wracać do Wersalu z niczym. Niech mnie pan posłucha, drogi panie Rousseau, niech pan spełni prośbę człowieka, który ma głębokie uznanie dla wszystkich pana dzieł.

— Pana argumenty są nie do pokonania, pana ujmujące słowa i głos wzruszają mnie do głębi...

— Zgadza się pan?

— Nie, nie mogę. Moje zdrowie nie pozwala mi puszczać się w daleką drogę.

— W drogę! Ależ panie Rousseau, czyż można nazwać drogą pięć kilometrów jazdy?!

— Tak, dla was i dla waszych dzielnych koni, to nic...

— Ale przecież wszystkie konie dworskie są na pana rozkazy! Małżonka delfina poleciła mi także oświadczyć, że kazała przygotować dla pana pokoje w Trianon, bo nie życzy sobie, aby pan zbyt późno powracał do Paryża. Również delfin, który wszystkie dzieła pana zna na pamięć, mówił wobec dworu, że chciałby pokazywać w swoim pałacu pokój, który zajmował pan Rousseau.

Teresa krzyknęła z podziwu, oczywiście nie dla filozofa, lecz dla dobrego księcia.

Rousseau nie mógł się już dłużej opierać uprzejmym naleganiom.

— Muszę się poddać — powiedział — ponieważ nigdy nie byłem tak bardzo przyparty do muru.

— Zosta! pan pokonany sercem — rzekł de Coigny — gdyż rozumem niepodobna byłoby pana zwyciężyć.

— A zatem przystaję na życzenie Jego Królewskiej Mości.

— Niech pan przyjmie moje osobiste podziękowanie. Co się tyczy podziękowania Jej Wysokości małżonki delfina, nie śmiem wystąpić w jej imieniu: sama zechce okazać panu swoją wdzięczność. Zresztą pan wie, że to do mężczyzny należy podziękować młodej i pięknej kobiecie za jej względy.

— To prawda — odparł Rousseau z uśmiechem — jednakże starzy zyskują przywileje kobiet: ich właśnie proszą.

— Pan będzie łaskaw wyznaczyć godzinę, na którą przyślę swoją kareta albo raczej o której sam przyjadę.

— Nie, na to się nie zgadzam — oświadczył Rousseau. — Przyjadę do Trianon, ale pan pozwoli, że zrobię tak, jak zechcę. Od tej chwili proszę nie troszczyć się o mnie. Przyjadę i na tym koniec. Proszę mi tylko wyznaczyć godzinę.

— Jak to? Nie chce pan, abym pana przedstawił? Prawda, nie jestem godny tego zaszczytu, bo imię pana nie potrzebuje przecież zameldowania.

— Zdaję sobie sprawę, że ma pan na dworze więcej znaczenia, niż ja gdziekolwiek indziej... Nie odrzucam pańskich zaprosin, ale lubię spokój. Chcę się udać do Trianon, jak na spacer. Zresztą to jest moje ultimatum.

— Wobec tego ustępuję, nie chciałbym w czymkolwiek przeszkodzić panu. Próba rozpocznie się o szóstej wieczorem, dzisiaj.

— Dobrze. Będę w Trianon za kwadrans szósta.

— Tak, ale czym pan przyjedzie?

— To moja rzecz. A oto moja kareta.

To rzekłszy Rousseau wskazał swoje nogi, jeszcze dosyć zgrabne, obute zawsze starannie, a nawet z lekka pretensjonalnie.

— Pięć mil! — zdziwił się de Coigny. — Ależ pan się zmęczycie! Nie będzie pan mógł tego znieść bez skutków, a wieczór potrwa długo.

— Wobec tego ja mam także kareta i konie. Kareta należy zarówno do mnie, jak i do sąsiada, podobnie jak powietrze, woda i słońce. Zawiezie mnie za piętnaście sous.

— Czy nie przypadkiem bryczka? Ach, dreszcz mnie przejmuję!

— Ławki dla pana zbyt twarde są dla mnie niby łoża sybaryty wymoszczone łabędzim puchem i liśćmi róży. Do zobaczenia, dzisiaj wieczorem

Pan de Coigny po tysięcznych podziękowaniach, komplementach i ukłonach pożegnał się z filozofem, który odprowadził go do sieni, podczas gdy Teresa aż do połowy piętra.

Wysłannik małżonki delfina wsiadł do karety, która czekała nań na ulicy, i uśmiechając się ukradkiem odjechał do Wersalu.

Teresa wróciła do mieszkania, trzasnąwszy drzwiami z impetem, który przepowiadał filozofowi burzę.

ROZDZIAŁ CIX. TOALETA PANA ROUSSEAU

Po odjeździe pana de Coigny, który swoją wizytą przerwał filozofowi rozmyślania, Rousseau siadł na krześle i głęboko westchnąwszy rzekł na pół sennie:

— Ach, co za nuda! Jak ci ludzie się naprzykrzają! Usłyszała to Teresa, która weszła właśnie do pokoju. Stanąwszy naprzeciwko męża powiedziała:

— Jesteś napęczniały pychą!

— Ja? — zdziwił się Rousseau.

— Tak, ty! Jesteś próżny i hipokryta. Cieszysz się, że jedziesz do Trianon i ukrywasz swoją radość pod płaszczkiem, obojętności.

— Ach, mój Boże! — westchnął Rousseau, wzruszając ramionami i ukrywając wstyd, że został zdemaskowany.

— Może chcesz mnie przekonać, że nie uważasz za wielki zaszczyt podrażnić uszy dworu swoimi arietkami, które wybrzdąkujesz tutaj jak próżniak na szpince? Rousseau spojrzał gniewnie na żonę.

— Jesteś niemądra — rzekł. — Co za zaszczyt dla takiego jak ja być przedstawionym na dworze? Król zawdzięcza swój tron kaprysowi natury, a ja zawdzięczam wszystko samemu sobie i godzien jestem zaszczytów, bo zasłużyłem na nie swoją pracą i swoim talentem.

Ale Teresa nie miała zamiaru ustąpić.

— Chciałabym, żeby pan de Sartines to usłyszał. Przygotowałby zaraz dla ciebie pokój w Bicêtre albo w Charenton.

Rousseau zaszepił się.

— Wiesz, że moi wrogowie cieszyliby się z mojego nieszczęścia — rzekł z westchnieniem.

— A dlaczego masz wrogów? Bo jesteś złoźnik i napadasz na wszystkich. Co innego Wolter, ten ma przyjaciół.

— To prawda — odpowiedział Rousseau z uśmiechem pełnym słodyczy.

— Ale też Wolter jest szlachcicem, przyjaźni się z królem pruskim, ma zamek w Ferney, utrzymuje konie i w ogóle jest panem całą gębą... I wszystko to zawdzięcza swoim talentom! Dlatego, kiedy bywa na dworze, nie krzywi się paskudnie, ale czuje się jak u siebie w domu.

— Czy myślisz, że ja się tam nie będę czuł jak u siebie w domu? — zapytał Rousseau. — Sądzisz, że nie potrafiłbym zdobyć bogactwa i wykorzystać go, gdybym tylko chciał? Ach, Tereso! Zawsze pojmujesz wszystko opacznie. Jeżeli się paskudnie krzywię, to dlatego, że naprawdę gardzę zbytkiem, dworzan, który narodził się z kradzieży.

— Z kradzieży? — zawołała Teresa z oburzeniem.

— A tak, z kradzieży! Z okradania ciebie, mnie i całego świata! Wszystko złoto, którym dysponują na swoje stroje, rozchodzi się kosztem nieszczęśników nie mających na chleb. Oto dlaczego pojedę tam z odrazą.

— Nie twierdzą, że lud jest szczęśliwy — rzekła Teresa. — Ale ostatecznie król, to król.

— No więc jestem mu posłuszny. Czego chcesz więcej?

— Ach, jesteś posłuszny, bo się boisz! W takim razie jesteś zwyczajnym tchórzem albo hipokrytą. Nie uważaj się za odważnego i nie mów, że nie chcesz jechać do Trianon, skoro właśnie tego pragniesz.

— Niczego się nie boję! — rzekł Rousseau z dumą.

— Idź i powiedz królowi choćby czwartą część tego, co mnie tu mówiłeś!

— Gdyby mnie do tego zmusił honor, uczyniłbym tak.

— Ach, dosyć tej gadaniny! Ty nie miałbyś nawet odwagi odebrać kości kotu w obawie, aby cię nie udrapnął. No, nie ma o czym gadać! Znam cię przecież na wylot, jakbym była twoją rodzoną matką... Zaraz zaczniesz golić się, pomadować, mizdrzyć przed lustrem... Przymrużysz przymilnie oczy, bo masz małe i okrągłe. Gdybyś patrzył zwyczajnie, wyszłoby na jaw, że masz małe, a kiedy

przymrużysz, wydają się duże. Włóżysz jedwabne pończochy, czekoladowy frak ze stalowymi guzikami, nową perukę i pojedziesz fiakrem do Trianon. Tam mojemu filozofowi będzie się zdawać, że wszystkie damy kochają się w nim do szaleństwa. A jutro wrócisz zachwycony, rozróżniony, zakochany. Usiądziesz przy stole i wzdychając będziesz pisał piosenki, które oblejesz łzami. Och, znam cię dobrze!

— Mylisz się, moja droga — rzekł Rousseau. — Owszem, pojedę, ale dlatego, że chcę uniknąć skandalu. A co do strojenia się, to bardzo się mylisz...

— Jak to, więc nie ubierzesz się, nie weźmiesz nowej peruki?

— Nie.

— Nie będziesz przymrużał swoich małych oczu?

— Powiadam ci, że pojedę tak, jak stoję, jakbym udawał się do teatru albo na przechadzkę. Wszystko mi jedno, jakim się wydam...

Przynajmniej powinieneś się ogolić, masz brodę na pół łokcia.

— Powtarzam, że pojedę tak, jak stoję!

Teresa zaczęła się głośno śmiać, a Rousseau wyszedł do drugiego pokoju.

Ale Teresa nie miała zamiaru dać mu spokoju. Znała wiele sposobów, aby mu dokuczyć.

Wydobyła z szafy świąteczne ubranie, czystą bieliznę i trzewiki posmarowane jajkiem. Rozłożyła to wszystko na łóżku i krzesłach.

Jednakże Rousseau nie wrócił do swojego pokoju, więc Teresa poszła do niego.

— Już czas się ubierać — powiedziała. — Nie zdążysz do Wersalu na wyznaczoną godzinę.

— Powiedziałem ci już, że nie będę się przebierał.

— Przestań dziwaczyć — perswadowała żona — i nie rób głupstwa. Ubranie twoje przygotowane, brzytwa naostrzona, wszystko gotowe. Trzeba tylko posłać po golibrodę.

— Dziękuję, moja droga. Wyczyszczę tylko ubranie i włożę, trzewiki, ponieważ w pantoflach wyjść nie wypada.

— Czyżby on przypadkiem miał silną wolę? — spytała się w duchu Teresa.

Zaczęła go znowu namawiać, próbując pochlebstwa, kokieterii i złośliwego szyderstwa. Ale Rousseau znał ją, przewidywał podstęp i nie miał zamiaru ustąpić. Nie spojrział nawet na ubranie.

Teresa jednak śledziła każde jego poruszenie. Miała jeszcze nadzieję, że Rousseau nie zrezygnuje z przejrzania się w lustrze, co było zawsze jego zwyczajem, kiedy wychodził z domu.

Ale Rousseau miał się na baczności i spostrzegłszy badawczy wzrok Teresy, odwrócił się tyłem do lustra.

Wreszcie nadeszła pora odjazdu. Rousseau zdążył już obmyśleć wszystko, co chciał powiedzieć królowi, a co miałyby charakter niezbyt przyjemnych sentencji.

Zapinając sprzączki trzewików, powtórzył w myśli kilka tych sentencji, wziął kapelusz, laskę i korzystając, że w tym momencie Teresa nie mogła go widzieć, wygładził szybko fałdy fraka i kamizelki.

Teresa podała mu chusteczkę do nosa, którą włożył do obszernej kieszeni, potem odprowadziła go do wyjścia.

— Bądź rozsądny, Jakubie — powiedziała, — Wróć się. Wyglądasz okropnie i masz minę zbrodniarza.

— Bywaj zdrowa — rzekł w odpowiedzi Rousseau.

— Doprawdy, podobny jesteś do rzezimieszka. Miej się na ostrożności.

— Miej się na ostrożności z ogniem — odparł filozof. — Nie ruszaj moich papierów.

— Ależ ty masz minę najgorszego łotra! — zawołała zrozpaczona Teresa.

Rousseau nie odpowiedział i nucąc szedł po schodach. Korzystając jednak z ciemności, gładził kapelusz rękawem, poprawiał żabot i w ten sposób improwizował naprędce swoją toaletę.

Żeby nie zabłocić trzewików na ulicy Plâtrière, dotarł do Pól Elizejskich na palcach. Stały tam pocziwe pojazdy, które nazywają się „pataches” i które jeszcze przed dwudziestu laty woziły a raczej wytrząsały z Paryża do Wersalu pasażerów liczących się z groszem.

ROZDZIAŁ CX. TEATR W TRIANON

Podróż miał Rousseau mało ciekawą, przyjechał do Trianon około pół do szóstej. Dwór zaczął się już gromadzić w oczekiwaniu na króla. O autorze nikt nawet nie pomyślał.

Kilkanaście osób wiedziało, że pan Rousseau z Genewy ma dyrygować próbą, nikt jednak nie był tym specjalnie zachwycony, jako że Rousseau nie wydawał się kimś bardziej interesującym niż na przykład Rameau czy Marmontel lub inni, których przyjmowano w salonach albo w rezydencjach zamiejskich.

Powiadomiony o przybyciu filozofa, zjawił się natychmiast pan de Coigny. Jak zwykle uprzejmy, powitał gościa z dworską grzecznością. Rzuciwszy jednak na niego okiem, zdumiał się; i mimo woli zaczął go lustrować wzrokiem.

Rousseau przybył zakurzony, brudny, blade i do tego wszystkiego z brodą jak pustelnik. Z podobną brodą nikt jeszcze nie przeglądał się w lustrach Wersalu.

Pełne zdziwienia spojrzenie pana de Coigny zmieszało filozofa. Jeszcze bardziej się zmieszał, kiedy wszedł na salę teatralną, na której ujrzał paradnie ubranych kawalerów i damy strojne w koronki, klejnoty, błękitne wstęgi. Na tle złocistych ścian sali strojni dworzanie podobni byli do bukietów kwiatnych w koszu.

Nieswojo było filozofowi, kiedy zanurzył się w tę pachnącą, delikatną i upajającą jego plebejskie zmysły atmosferę. Jednakże trzeba było iść dalej, brnąć odważnie wśród licznych spojrzeń.

De Coigny zaprowadził go do orkiestry i tu Rousseau nieco odetchnął, ale kiedy orkiestra zaczęła grać i na scenę wyszła Maria Antonina, poczuł, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Małżonka delfina wyszła w kostiumie Colette. Czekala na swojego Colina, którym miał być de Coigny, wkładający kostium w łoży.

Król zjawił się wkrótce potem. Szedł z uśmiechem pośród pochylonych głów i zdawał się być w dobrym humorze. Towarzyszyli mu delfin i hrabia Prowansji.

Na skinienie króla pięćdziesiąt osób zebranych na sali zajęło swoje miejsca. Próba jednak nie mogła się jeszcze rozpocząć, ponieważ pasterki i pasterze nie byli gotowi.

— Można przecież zrobić próbę bez kostiumów — zauważył król.

— Najjaśniejszy Panie .— odpowiedziała ze sceny Maria Antonina — chcemy wypróbować kostiumy przy świetle.

— Słusznie. To ja się tymczasem przejdę — rzekł Ludwik XV i wstał. Był zaniepokojony, że nie zjawiała się jeszcze pani Dubarry.

Po jego wyjściu sala opustoszała i Rousseau poczuł się osamotniony. Przyjęcie, jakiego doznał, zabolowało go. Wyobrażał sobie, że skoro tylko zjawi się, wszyscy rozstąpią się przed nim, że ciekawość dworu będzie silniejsza niż ciekawość paryżan. Obawiał się pytań, pretensji, a tymczasem nikt na niego nie zwracał uwagi. Już wydawało mu się, że postąpił rozsądnie ubierając się w powszednią odzież i nie gołąc się, gdy podszedł do niego oficer i oznajmił, że chce z nim rozmawiać małżonka delfina.

Czekala na niego, trzymając w rękę partyturę arii. Spozrzegłszy filozofa, podeszła zaraz ku niemu.

Skłonił się nisko, nieco poruszony, ona zaś była na tyle delikatna i uprzejma, że potraktowała go jak arystokratę.

Prosiła go o radę w sprawie interpretacji fragmentu arii. Rousseau zaczął zawile i obszernie tłumaczyć, gdy powrócił król.

Ujrzawszy filozofa, Ludwik XV nie taił zaskoczenia na widok jego zaniedbanego ubioru. Patrzył na niego dość długo, ponieważ nie znał filozofa i dopiero interwencja Marii Antoniny wyprowadziła Rousseau z nieprzyjemnej sytuacji.

Spojrzenie króla, pełne powagi i śmiałe, uczyniło na filozofie szczególne wrażenie. Poczuł się niepewnie, rozejrzał się, jakby miał zamiar zrejterować.

— Wasza Królewska Mość pozwoli sobie przedstawić naszego autora — powiedziała małżonka delfina.

— Waszego autora? — zdziwił się król.

Rousseau stał jak na rozżarzonych węglach, czując na sobie wzrok króla. Nie wiedział, jak się zachować i nie drgnął nawet, gdy Maria Antonina przedstawiła go z nazwiska.

— Ach, pan Rousseau — powiedział król. — Witam.

I nie przestawał lustrować filozofa, który zastanawiał się, jaki ma złożyć ukłon. Zamiast ukłonu stał jednak niezdecydowany i mimo że król zagadnął go, milczał. W jednej chwili zapomniał frazesu, który sobie przygotował na wypadek rozmowy z królem.

— Panie Rousseau — mówił Ludwik XV, patrząc na jego brudny żabot, przekrzywioną perukę i brodę filozofa — śliczną skomponowałaś operę. Dała mi ona wiele przyjemności.

I nie czekając na odpowiedź, zaśpiewał fałszywie fragment arii, następnie pochwalił go i znowu zaśpiewał.

Chociaż filozofowi pochlebiał ten śpiew, czuł się wprost obrażony okropnym wykonaniem arii. Słuchając jej podobny był do gryzącej cebulę małpy, która jednocześnie śmieje się i płacze.

Maria Antonina milczała, przybierając obojętną minę, król zaś śpiewał dalej.

Rousseau poczuł, że go oblewa rumieniec.

— Niech mi pan powie — rzekł król po odśpiewaniu dalszego fragmentu — czy to prawda, że przebiera się pan czasem za Ormianina?

Rousseau spłoszył, ale język jego przykleił się do podniebienia, więc nic nie odpowiedział. Na szczęście król nie czekał na odpowiedź i zaśpiewał ponownie, po czym zapytał:

— Pan zdaje się mieszka na ulicy Plâtrière?

Rousseau skinął potakująco głową, ale był już u kresu sił. Nigdy ich tyle nie potrzebował, co w tej chwili.

Król tymczasem jeszcze nie skończył śpiewu. Zanucił krótki fragment, po czym zapytał:

— Mówią, że pan jest w nieprzyjaznych stosunkach z Wolterem, czy to prawda?

Rousseau zupełnie stracił głowę, król jednak i tym razem nie czekał na odpowiedź, pozostawiając filozofa samego, ponieważ Maria Antonina poszła kończyć toaletę.

Ledwie trzymając się na nogach, filozof wyszedł na korytarz i zaraz wpadł na iskrzącą się brylantami, koronkami i kwiatami parę. W jaśniejącej jak gwiazda damie Rousseau rozpoznał panią Dubarry, a ponieważ uznał ją za piękną, stosownie do swego zwyczaju obserwowania jednego tylko obiektu, nie zwrócił uwagi na jej towarzysza.

Młodym, wysokim i delikatnym człowiekiem w błękitnej wstędze był hrabia d'Artois. Rozmawiał z panią Dubarry swobodnie, szepcząc jej niekiedy do ucha słowa, które ją śmieszyły.

Korytarz był wąski i młoda para musiała zastąpić drogę filozofowi. Pierwsza zobaczyła go pani Dubarry. Widząc szarą postać wydała lekki okrzyk.

— Co takiego? — spytał hrabia d'Artois i dostrzegłszy filozofa wyciągnął rękę, aby zrobić przejście dla towarzyszki.

— Pan Rousseau! — zawołała hrabina.

— Rousseau z Genewy? — spytał hrabia d'Artois tonem studenta na wakacjach i zwrócił się do filozofa. — Jak się pan ma, panie Rousseau. Zaraz będziemy słuchać pańskiej muzyki.

— Panie... — wyjąkał filozof.

— I to muzyki pięknej, godnej serca i umysłu autora — dodała hrabina.

Rousseau podniósł głowę i napotkał pełne blasku spojrzenie.

— Pani... — wydukał.

— Spróbuję odegrać rolę Colina — odezwał się młody człowiek — a ty, hrabino, zagraj Colette.

— Z całego serca, ale nie odważyłabym się nigdy profanować muzyki takiego mistrza, nie będąc artystką.

Rousseau dałby życie, żeby móc jeszcze raz spojrzeć na hrabinę, ale bał się podnieść oczy. Chciał uciekać, ale hrabia d'Artois zastąpił mu drogę.

— Panie Rousseau — rzekł — chciałbym, żeby mnie pan nauczył roli Colina.

— A ja nie odważę się prosić pana Rousseau o radę — powiedziała hrabina udając nieśmiałość, która do reszty zawojowała filozofa.

Podniósł głowę i zapytał wzrokiem: dlaczego?

— Pan Rousseau mnie nie cierpi — mówiła dalej hrabina.

— Ciebie, hrabino? — zdziwił się jej towarzysz. — Niemożliwe!

— A jednak tak jest.

Rousseau westchnął głęboko, jakby wydobywał z siebie ostatnie tchnienie i wymknął się wreszcie wesolej parze, która nie dała jednak za wygraną, wołając za nim.

Ich okrzyki zwróciły uwagę dwóch mężczyzn. Młodszy miał na sobie błękitną wstęgę, starszy ubrany był w czerwony frak, od którego odbijała bladość surowej twarzy.

Usłyszeli okrzyki i zatrzymali się.

— Przytrzymaj, bracie, pana Rousseau — wołał hrabin d'Artois ze śmiechem. — Trzymaj go, panie de La Vauguyon!

Rousseau pojął, że natknął się na hrabiego Prowansji i guwernera dzieci królewskich.

— Dzień dobry panu — rzekł hrabia Prowansji głosem napuszonym, zastępując filozofowi drogę.

Zmieszany Rousseau uklonił się niezręcznie.

— Bardzo jestem rad, że pana spotykam — mówił dalej hrabia Prowansji tonem nauczyciela, który przyłapał swawolnego ucznia.

— Znowu te absurdalne komplementy — pomyślał Rousseau. — Jakże ci wielcy ludzie są nieznosni!

— Czytałem pańskie tłumaczenie Tacyta. To trudny do przetłumaczenia autor — zagadnął hrabia Prowansji.

— Napisałem o tym w krótkiej przedmowie — odpowiedział Rousseau, przypominając sobie, że hrabia Prowansji uchodzi za uczonego.

— Wiem. Mówi pan tam, że zna miernie łacinę. Po co więc pan go tłumaczył?

— Dla wprawy w stylu.

— Ach, panie Rousseau, pan się pomylił tłumacząc „imperatoria brevitare” jako „mowę poważną i treściwą”.

Zaniepokojony filozof próbował sobie to przypomnieć, hrabia Prowansji zaś ciągnął dalej:

— Jest to rozdział, w którym Tacyt opowiada jak Pison miał mowę do żołnierzy. Co do „imperatoria brevitare”, to znaczy to „ze stanowczością wodza”. Nieprawdaż, panie de La Vauguyon?

— Tak, mości książę — odparł guwerner. Rousseau milczał, ale po chwili książę natarł znowu:

— Oprócz tego błędu w rozdziale o Caecynie Tacyt powiada „cito sermone”, co pan tłumaczy „mówiący dobrze”, gdy tymczasem znaczy to „mówiący prędko”, czyli z łatwością.

Rousseau próbował dyskutować, ale za chwilę książę podał jeszcze jeden przykład, uzasadniając, na czym polegają błędy tłumaczenia filozofa, po czym nagle zapytał:

— Pan jest podobno bardzo mocny w filozofii, czy tak? Rousseau, spotniały i zgnębiony, w odpowiedzi skłonił się.

— Tylko że pański Emil, to książka niebezpieczna dla niższych klas, które mogą przesiąknąć fałszywymi wyobrażeniami.

— Mości książę, rozumienie mojej książki rozpoczyna się od momentu, gdy mężczyzna staje się ojcem — odparł Rousseau.

— A proszę mi powiedzieć — przerwał dalsze wywody filozofa złośliwy młodzieniec — czy dużo ma pan dzieci?

Rousseau zbladł, spoglądając na nieubłaganego księcia ze zdumieniem i gniewem. Ten zaś, nie doczekawszy się odpowiedzi, odszedł wraz ze swym nauczycielem, nie przerywając złośliwych komentarzy na temat dzieł Rousseau.

Filozof pozostał sam, wkrótce jednak potem do jego uszu dobiegły dźwięki orkiestry. Rousseau poszedł na scenę, usiadł i przeżuwał rozmowę z hrabią Prowansji. Tym razem przykrości filozofa zostały przygłuszone przykrościami, jakie przyniosła mu muzyka. Po udręczeniu serca przyszła kolej na uszy.

ROZDZIAŁ CXI. PRÓBA GENERALNA

Z chwilą, kiedy na scenę weszła małżonka delfina i pan de Coigny, o Rousseau zupełnie zapomniano.

Teraz on miał okazję do krytyki. Słuchał, jak przebrani za pasterzy panowie śpiewali fałszywie, i widział jak damy w ubiorze dworskim umizgały się jak pasterki.

Maria Antonina śpiewała dobrze, ale była kiepską aktorką, przy tym głos jej był tak słaby, że ledwie go można było słyszeć. Aby ośmielić aktorów, król schował się w głębi ciemnej łoży.

Delfin był suflerem przedstawienia, które przebiegało po królewsku źle.

Rousseau postanowił nie słuchać, ale okazało się to niepodobieństwem. Poza tym, przypatrując się scenie, dostrzegł jedną z pasterek, odznaczającą się nie tylko świetną urodą, ale i pięknym głosem. Filozof aż wspiął się na palce, aby ją lepiej zobaczyć.

Tymczasem małżonka delfina dostrzegła jego zachowania się i przekonana, że Rousseau zadowolony jest z jej wykonania, podeszła do pulpitu i spytała z odrobiną kokieterii:

— Czy bardzo źle śpiewamy, panie Rousseau?

Rousseau jednak nie odpowiedział słuchając śpiewu pasterki.

— Ach, zdaje mi się, że to pomyłka — rzekła Maria Antonina. — Pan nie chce powiedzieć prawdy...

Ale filozof nie spuszczał wzroku z pięknej śpiewaczki, która zresztą nie zauważyła, że jest przedmiotem jego zainteresowania.

— A więc to panna de Taverney pomyliła się — powiedziała Maria Antonina, idąc spojrzeniem za wzrokiem filozofa.

Andrea zarumieniła się widząc, że oczy wszystkich zwróciły się na nią.

— Nie, nie! — zapewnił z pośpiechem Rousseau. — To nie ta pani. Ta śpiewa jak anioł.

Na te słowa pani Dubarry rzuciła na filozofa spojrzenie ostre jak włócznia. Natomiast pan de Taverney uśmiechnął się w stronę filozofa, niezmiernie zadowolony.

— Jak ci się, Najjaśniejszy Panie, podoba głos tej panny? — spytała pani Dubarry króla.

— Nie potrafię go rozróżnić w chórze. Nie jestem muzykiem.

Tymczasem próba przebiegała dalej, Rousseau dyrygował 1 chór śpiewał.

Pani Dubarry traciła coraz bardziej humor. Dwa razy zdarzyło się, że król nie dostyszał jej czułości, zapatrzony w to, co się działo na scenie. Nie ulegało wątpliwości, że przedmiotem jego zainteresowania jest Andrea. Na domiar złego Richelieu niepokojąco nadskakiwał Marii Antoninie.

— Panna de Taverney ma piękny głos — mówił do małżonki delfina.

— Prześliczny i gdybym nie była egoistką, oddałabym jej rolę Colette.

— To doskonała artystka — odezwał się Rousseau.

— Tak, to prawda — potwierdziła Maria Antonina. — Muszę przyznać, że to ona uczyła mnie roli, przy tym bardzo ładnie tańczy.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiła ta rozmowa na królu, pani Dubarry i na całej rzeszy ciekawskich, plotkarzy, intrygantów i zazdrośników. Jedni cieszyli się z niepokoju i porażki drugich. Z wyjątkiem Andrei nie było na sali nikogo, kogo by ta rozmowa nie zainteresowała osobiście.

Podniecenie zebranych wzmożło się, kiedy Maria Antonina poprosiła, za namową marszałka, aby Andrea odśpiewała romancę z opery.

Słuchając jej śpiewu, król nie ukrywał swojego uznania. Poruszał w takt głową i zdawał się być wniebowzięty. Siedzącej obok hrabinie róż zaczął odpadać z twarzy jak farba ze ściany.

Richelieu upajał się słodyczą zemsty. Podszedł do barona de Taverney, aby z nim porozmawiać. Obydwaj starcy podobni byli do posągów, z których jeden można było nazwać Hipokryzją, a drugi Zepsuciem.

Im bardziej pani Dubarry marszczyła czoło i dawała wyraz niezadowoleniu, tym radość starców była żywsza. Wreszcie faworyta rozgniewała się na dobre i zapominając o etykiecie wstała z miejsca, kiedy król jeszcze siedział.

Zwolna próba generalna traciła swój artystyczny sens. Nie chodziło już o Colette i Colina, lecz o obecnych i o ich wzajemne stosunki.

— Widzisz, jakie powodzenie ma twoja córka — rzekł marszałek do ucha baronowi de Taverney.

I wzięwszy go pod rękę, pociągnął na korytarz. Otwierając drzwi potracił jakiegoś ciekawskiego, który zapewne obserwował spektakl przez oszklone drzwi.

— Hultaj! — mruknął Richelieu widząc, że potracony był robotnikiem zamkowym.

Był to ogrodnik z koszykiem kwiatów w ręce. Odepchnięty od drzwi, omal się nie przewrócił, wypuszczając z rąk koszyk.

— Ależ ja znam tego hultaja! — rzekł de Taverney, po czym zwrócił się do ogrodnika: — Co tutaj robisz, łotrze?

Gilbert, ponieważ to był on, odpowiedział hardo:

— Widzi pan, że patrzę.

— Zamiast zajmować się robotą! — ofuknął go Richelieu.

— Robotę moją już skończyłem — odparł Gilbert, zwracając się do księcia i nie patrząc na barona.

— Czyż wszędzie będę spotykał tego próżniaka? — rzekł baron.

— O, proszę pana, powoli... — wtrącił ktoś. — Mój mały Gilbert jest dobrym pracownikiem i botanikiem.

De Taverney obejrzał się i zobaczył pana Jussieu. Rozgniewany, dał jednak za wygraną i oddalił się.

— Nicole jest także tutaj — rzekł do niego Richelieu, kiedy szli dalej. — O, tam na górze... Nie traci czasu, filutka.

Istotnie wśród służby pałacowej w Trianon widać było śliczną główkę Nicole, iskrzącą się oczami pełnymi radości i podniecenia.

Gilbert dostrzegł ją i umknął natychmiast.

— Chodźmy — rzekł książę do barona. — Zdaje mi się, że król chce z tobą mówić... Szuka kogoś, czy nie ciebie?

Skierowali się ku łożu królewskiej. Niedaleko stała pani Dubarry rozmawiając z księciem d'Aiguillon, który nie spuszczał oczu z marszałka.

Rousseau w dalszym ciągu wpatrywał się w Andreę. Pozostawiony sam sobie zachowywał się tak, jakby za chwilą miał się zakochać w ślicznej dziewczynie.

Wysoko urodzeni aktorzy rozeszli się do swych łóż, aby się przebrać.

De Taverney stał czekając na korytarzu i patrzył z nadzieją w oku na marszałka, który podszedł do króla. Serce barona waliło jak młotem. Wreszcie marszałek wrócił do przyjaciela i położył palec na ustach.

Baron zbladł z radości i dał się poprowadzić tuż pod łożę królewską.

Tutaj usłyszeli coś, co niewiele osób mogło słyszeć. Pani Dubarry mówiła do króla:

— Czy mam czekać na Waszą Królewską Mość z wieczerzą?

— Wybacz, hrabino, czuję się zmęczony — odpowiedział król.

W tej samej chwili do łożu wszedł delfin, nadepnąwszy niemal na nogę hrabiny, co miało oznaczać, że jej nie zauważył, i co oznaczało, iż nie chciał jej zauważyć.

— Przychodzę prosić Waszą Królewską Mość, żebyś raczył zostać w Trianon na wieczerzy — oznajmił.

— Nie, mój drogi. Tylko co powiedziałem hrabinie, że czuję się zmęczony. Będę wieczerzał sam.

Delfin ukłonił się i odszedł. W chwilę potem uczyniła to samo pani Dubarry. Oddaliła się drżąc z gniewu. Wówczas król skinął na marszałka i rzekł:

— Książę, mam do ciebie pewną sprawę... Będę sam wieczerzał, może byś mi towarzyszył?

I dostrzegając barona de Taverney, król dodał:

— Znasz się podobno, książę, z tym panem?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Ach, to jest ojciec tej ładnej śpiewaczki!

I król nachylił się do ucha marszałka, mówiąc coś po cichu.

Żeby nie okazać podniecenia i niecierpliwości, baron wpił paznokcie w ciało. Dopiero jednak po dłuższej chwili marszałek podszedł do niego, a raczej przeszedł obok, mówiąc półgłosem:

— Idź za mną tak, żeby to było niezauważone.

Baron podążył za nim w odległości dwudziestu kroków i tak dotarli do apartamentów króla.

Richelieu wszedł do środka, de Taverney zatrzymał się w przedpokoju.

ROZDZIAŁ CXII. KLEJNOT

Baron nie czekał długo na marszałka i wkrótce Richelieu wrócił do przedpokoju, trzymając w ręce jakiś przedmiot.

Obaj poszli w stronę galerii i marszałek nie chcąc dłużej wystawiać cierpliwości przyjaciela na próbę powiedział:

— Jak mi się zdaje, wąpiłeś kiedyś w moją przyjaźń?

— Może dawniej... Teraz nie!

— A zatem nie wierzyłeś w odmianę swego losu i w szczęście dzieci?

— Och, tak, nie wierzyłem.

— A więc nie miałeś racji. Szczęście twoje i twoich dzieci rośnie tak szybko, że może cię doprowadzić do zawrotu głowy.

— Powiadasz, że szczęście moich dzieci rośnie szybko, ale jak? Nie widzę...

— Syn twój jest już kapitanem...

— To prawda, ale to twoja zasługa.

— Następnie twoja córka zostanie wkrótce markizą...

— W jaki sposób? Ech, czy to możliwe?

— Posłuchaj, król ma gust. Uroda, wdzięk i cnota, zwłaszcza kiedy im towarzyszy talent, zachwycają go. A ponieważ panna de Taverney posiada te wszystkie przymioty... Król jest zachwycony.

— Książę — odpowiedział baron przybierając postawę pełną godności, w oczach marszałka więcej niż groteskową — jak mi wytłumaczysz to „zachwycony”?

Richelieu nie lubił udawania, odparł więc sucho:

— Baronie, nie jestem biegły w językoznawstwie, a nawet słabo znam ortografię. Według mnie, „zachwycony” znaczy: bardziej niż zadowolony, nadzwyczajnie zadowolony i to wszystko. Jeśli nie podoba ci się, że król ceni zalety twoich dzieci, rzeknij słowo, a ja pójdę do Jego Królewskiej Mości...

I marszałek zrobił zwrot na pięcie z młodzieńczą lekkością.

— Książę, źle mnie zrozumiałeś! — zawołał baron, zatrzymując marszałka. — Ależ z ciebie gorączka!

— Po co więc mówiłeś, żeś niezadowolony?

— Ależ ja tego nie powiedziałem!

— Żądasz ode mnie wyjawienia myśli i życzeń króla. Cóż za głupota!

— Ależ zmiłuj się! Ja nawet nie otwierałem ust. Ma się rozumieć że jestem zadowolony ze wszystkiego.

— Jesteś zadowolony... Któż więc będzie niezadowolony, może twoja córka?

— Ee...

— Mój drogi, wychowałeś swoją córkę jak dzikuskę.

— Nie, przyjacielu, moja córka sama się wychowywała. Rozumiesz chyba, że nigdy bym nie wziął na siebie takiego ciężaru... Dość już było dla mnie, że musiałem żyć w tej dziurze Taverney... Przymioty Andrei zrodziły się same.

— Ale mówią, że ludzie wsi umieją pienieć zielsko. Krótko mówiąc: twoja córka jest skromniwą.

— Mylisz się, to gołąbka. Richelieu skrzywił się.

— Z tego wynika, że takiej jak ona pozostaje tylko szukać dobrego męża, bo z jej wadą nie znajdzie bogatego.

De Taverney spojrział na marszałka z niepokojem.

— Na jej szczęście — ciągnął książę — król jest tak bardzo zakochany w pani Dubarry, że nigdy na serio nie zainteresuje się innymi kobietami.

Niepokój barona zamienił się w przestrach.

— Dlatego ty i twoja córka możecie być spokojni. Przedstawię Jego Królewskiej Mości sytuację i król natychmiast wyrzeczy się wszystkiego.

— Dobry Boże, czego wyrzeczy się?! — zawołał baron, chwytając marszałka za ramię.

— Małego podarunku dla panny Andrei, drogi baronie.

— Podarunku? Jakiego? — w oczach barona zabłysła nadzieja i chciwość.

— Ot, drobiazg — rzucił niedbale Richelieu. — Patrz... To mówiąc marszałek otworzył trzymany w ręku przedmiot, który okazał się szkatułką.

— Klejnot?

— Bagatela... Naszyjnik wartości kilkuset tysięcy liwrów. Królowi sprawiło przyjemność, że twoja córka zaśpiewała jego ulubioną romancę i na dowód wdzięczności przysłała ten naszyjnik. No, ale ponieważ twoja córka taka surowa... Nie ma o czym mówić!

— Ależ to byłaby obraza króla! Nie oddawaj... Córka nie jest taka nierozsądna...

Długo jeszcze marszałek przekomarzał się z baronem, wreszcie postanowił zakończyć.

— Drogi przyjacielu — rzekł klepiąc barona po ramieniu i uśmiechając się diabelsko — kiedy przychodzę do gołąbki, jak mówiłeś o córce, nie jestem krukiem, kiedy zostałem delegowany do panny, rozmawiam z ojcem... Rozmawiam z tobą i oddaję ci ten klejnot, abyś go sam wręczył córce. Bierzesz?

— Ale powiedz, że to ja zostałem upoważniony przez króla, żeby doręczyć podarunek, że ten podarunek jest całkowicie uczciwy i ojcowski...

— Ach, więc ty podejrzewasz króla o złe intencje? — Uchowaj Boże! Ale świat, to jest, moja córka...

— Bierzesz, czy nie? — przerwał mu baron stanowczo, wyciągając rękę z podarunkiem.

Baron dał za wygraną. Wziął szkatułkę z rąk przyjaciela i rzekł z przekonaniem:

— Moja córka przyjmie ten prezent.

— Źródło i początek szczęśliwego losu, o którym mówi liśmy przed chwilą, prowadząc nudną rozmowę na temat cnoty.

— Dziękuję ci, książę, z całego serca.

— Jeszcze słówko — rzekł marszałek. — Nie rozgłaszaj tego, a raczej zatrzymaj to w tajemnicy zwłaszcza przed przyjaciółmi pani hrabiny Dubarry, która gotowa opuścić króla i uciec.

— Bądź spokojny. Król mógłby się na nas rozgniewać, a i tobie przysporzyłbym kłopotów. Nie lękaj się niczego. I zanieś Jego Królewskiej Mości moje najuniżeńsze podziękowania.

— Wraz z podziękowaniami twojej córki. Spełnię tę prośbę... A teraz chcę ci powiedzieć, że i ciebie spotkała łaska, ponieważ król zaprosił cię na wieczerzę.

— Mnie?

— Tak, ciebie, barona de Taverney. Porozmawiamy przyjaźnie o różnych sprawach i o cnotie twojej córki. Bądź zdrow. Pamiętaj!

To rzekłszy książę oddalił się, pozostawiając barona ze szkatułką, podobnego do chłopca, który przebudził się i znalazł po przebudzeniu zabawkę gwiazdkową w swoim ręku.

ROZDZIAŁ CXIII. WIECZERZA U KRÓLA

W małym salonie marszałek zastał króla i kilku dworzan, którzy jednak wkrótce odeszli, ponieważ Ludwik XV oświadczył, że nie będzie jadł wieczerzy, lub jeśli nawet ją spożyje, to sam jeden.

Po wyjściu dworzan król zajął się obserwacją karety pani Dubarry, stojącej przed bramą.

Wkrótce hrabina ukazała się w bramie w towarzystwie księcia d'Aiguillon, który prowadził ją pod rękę. Z szybkości kroków pani Dubarry można było wnioskować, że jest w złym humorze. Było jasne, że straciła głowę po niefortunnym szarżowaniu śmiałością w czasie próby generalnej.

Jan Dubarry szedł za nią posępny, ponieważ delfin zapomniał go zaprosić do teatru, mimo że jak lokaj oczekiwał na to w przedpokoju następcy tronu.

Król stał w oknie zasłonięty firanką i widział, jak rozdrażnione rodzeństwo wchodziło do karety, która zaraz odjechała.

— Oho, hrabina rozgniewała się nie na żarty! — pomyślał król i rzekł głośno: — Hrabina szaleje!

Richelieu podchwycił słowa króla i spróbował skomentować postępowanie hrabiny:

— Szaleje, Najjaśniejszy Panie, ale dlaczego? Dlatego, że Waszej Królewskiej Mości spodobało się zabawić. To błąd hrabiny.

— Ja się nie bawię, książę — odparł Ludwik XV — raczej szukam wytchnienia. Muzyka mnie męczy. Gdybym zaś pojechał do Luciennes, musiałbym jeść i pić, a wino u hrabiny mocne... Przypuszczam, że w domu będzie daleko przyjemniej. Myślę zresztą, że hrabina będzie miała dość rozrywki i beze mnie.

— O, tym razem Wasza Królewska Mość nie ma racji — zaoponował Richelieu.

— Ależ tak, książę, starzeję się...

— Hrabina wie, Najjaśniejszy Panie, że nie znajdzie dla siebie lepszego towarzysza i to ją właśnie doprowadza do szału.

— Dalibóg, nie wiem, jak ty to robisz, książę, że wodzisz za nos wszystkie kobiety, jakbyś miał dwadzieścia lat... Tak, kobieta nie może kochać mężczyzny w moich latach, może tylko z różnych względów na niego liczyć.

Marszałek roześmiał się.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość myśli, że hrabina znalazła rozrywkę, to tym lepiej — powiedział.
— My także możemy się rozerwać.

Król wstał z lekka podekscytowany i spytał:

— Kto tam jeszcze został na sali?

— Służba, Najjaśniejszy Panie. Król zamyślił się na moment.

— A ty, książę, nie wzięłeś... kogo z sobą?

— Wziąłem. Jest ze mną Rafté. Co mu rozkazać?

— Każ mu się dowiedzieć, czy pani Dubarry rzeczywiście pojechała do Luciennes.

— Ba! Gdzieżby miała jechać?

— Kto wie... Ona z zazdrości traci rozum.

— A czy to nie przypadkiem Wasza Królewska Mość zazdrości? — ośmielił się zauważyć marszałek.

— Ja? — zdziwił się z wymuszonym uśmiechem król. Richelieu nie myślał tak naprawdę, raczej przypuszczał, że król chciał wiedzieć, czy hrabina znajduje się w Luciennes, aby mieć pewność, że nie powróci do Trianon.

— Stało więc na tym, że posyłam pana Rafté — powiedział, unikając odpowiedzi na pytanie króla. — A co Wasza Królewska Mość ma zamiar robić przed wieczerzą?

— Nic, zaraz siadamy do stołu. Gdzie jest ten twój znajomy, książę?

— Czeka w przedpokoju. Jest bardzo zadowolony.

— A córka?

— Jeszcze z nią nie rozmawiał.

— Przypominam ci, książę, że pani Dubarry jest zazdrosna i może tu wrócić.

— To byłoby nieprzyjemne, ale nie przypuszczam, żeby hrabina poniżyła się tak dalece.

— W podobnych wypadkach jest zdolna do wszystkiego — oznajmił król — zwłaszcza, kiedy z zazdrością występuje u niej nienawiść. Ona ciebie, książę, nienawidzi.

— To dla mnie zaszczyt, Najjaśniejszy Panie — powiedział Richelieu z ukłonem.

— Nienawidzi też barona de Taverney.

— Nienawidzi też i trzecią osobę, więcej niż mnie i barona.

— Kogo?

— Pannę Andreę.

— To naturalne... ale trzeba się strzec. A więc cyt!... Idź, książę, wydaj polecenie swojemu Rafté i przychodź do sali jadalnej, wiesz z kim.

W pięć minut później Richelieu z baronem zjawili się na wieczerzę.

Król uprzejmie powitał gości i zaprosił do stołu. Był wesołym i miłym współbiedniakiem, jadł z apetytem, dbał o gości i w końcu rozpoczął rozmowę o muzyce.

— Muzyka godzi mężczyzn — podchwycił temat Richelieu. — Czy da się to samo powiedzieć o kobietach?

— Och, nie mówmy o kobietach — rzekł król. — Od wojny trojańskiej do czasów obecnych kobiety przyczyniały się do wszystkiego, co było przeciw muzyce. Zwłaszcza ty, książę, nie powinieneś mówić o kobietach, bo zbyt wiele masz zaległości w licznych z nimi sprawach.

— Wasza Królewska Mość myśli zapewne o hrabinie, ale... Czy jest w tym moja wina?

— Oczywiście.

— Proszę o wyjaśnienie, Najjaśniejszy Panie.

— Z przyjemnością ci to, księżę, wyjaśnię. Otóż ona ci ofiarowuje ministerstwo, a ty odrzucasz motywując tym, że protektorka jest nie dość wysokiego rodu. Tak przynajmniej mówią...

Richelieu zarumienił się, ale umiał wybrnąć z opałów.

— Przyznaję, Najjaśniejszy Panie, że tym razem niezupełnie kłamiał. W każdym razie jest w pogłoskach o tej sprawie coś podobnego do prawdy.

— I rzeczywiście odmówiłeś, księżę, ministerstwa? Marszałek musiał manewrować w rozmowie tak, aby nie narazić się królowi i aby nie utracić zaufania barona, zaproponował więc rozważenie przyczyn, które skłoniły go do zrezygnowania z urzędu ministra.

— Och, księżę, ta przyczyna nie jest przecież tajemnicą stanu — zauważył ze śmiechem król.

— Zwłaszcza dla ciebie, Najjaśniejszy Panie, wobec którego nie mam nigdy tajemnic.

— No, zobaczymy. Mów, księżę.

— Najjaśniejszy Panie — rozpoczął marszałek — we Francji są dwie potęgi, którym minister musi podlegać: twoja królewska wola i wola tych, których Wasza Królewska Mość zaszczyca swoją łaską. Pierwszej nikt, a więc i ja, nie zamierza i nie powinien się opierać. Druga nakłada obowiązki, rzecz można, serca. Żeby jej ulegać, minister powinien kochać tych, których król obdarza swoimi względami. Ośmielam się stwierdzić, że nie mogę i nie chcę ulegać woli pewnej osoby, to jest pani Dubarry.

Ludwik XV nic nie odpowiedział, z czego skorzystał baron i wyraził podziękowanie za podarunek dla Andrei.

— Nie masz za co dziękować, baronie — odpowiedział król. — Panna Andrea ujęła mnie wdziękiem i skromnością. Szkoda, że dwór moich córek jest już pełny, bo pana córka znalazłaby się pierwsza na liście. Przyjmij jednak, baronie, moje zapewnienie, że panna Andrea zostanie pod moją opieką. Przypuszczam, że ma niewielki posag?

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, żadnego.

— No to ja się postaram wydać ją za męża. Ale, jak mi się zdaje, jest bardzo młoda, nic pilnego więc.

— Tym mniej pilnego, że moja córka ma wstręt do małżeństwa — powiedział de Taverney.

— No, no — bąknął król, spoglądając na marszałka zadowolony. — W każdym razie pamiętaj o mnie, baronie, jeśli będziesz miał kłopoty.

To rzekłszy, król wstał i zwrócił się do marszałka:

— Czy mała zadowolona z klejnotu?

— Niech Wasza Królewska Mość wybaczy, że mówię cicho, ale ojciec słucha. Mała ma wstręt do małżeństwa, ale nie ma wstrętu do Waszej Królewskiej Mości.

I marszałek podążył za baronem, który cofnął się aż do wyjścia na galerię, i razem wyszli z pałacu.

Wieczór był piękny. Okna Trianon jaśniały jeszcze światłem i przez szyby widać było cienie gości bawiących u Marii Antoniny. Muzyka grała menueta, ponieważ po wieczery jeszcze tańczono. Pachniały kwiaty, które skubali idący przed obydwojma przyjaciółmi lokaje z pochodniami.

Wśród gęstych krzewów bzu ukryty był Gilbert, zapatrzony w grę cieni przesuwających się za firankami okien w apartamentach małżonki delfina. Gdyby niebo spadło w tej chwili pod stopy młodzieńca upojonego widowiskiem, nie zauważyłby tego.

Zauważył jednak, a raczej usłyszał rozmowę przechodzącego marszałka z baronem.

Opierając się na ramieniu przyjaciela marszałek mówił:

— Żal mi cię, baronie, ale zważywszy na wszystko, co się stało, jestem zdania, że córkę twoją trzeba co prędzej oddać do klasztoru.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że król zakochał się w pannie de Taverney bez pamięci — odpowiedział Richelieu. — Gotów jestem się założyć...

Gilbert zbladł i osunął się na ziemię bez zmysłów.

ROZDZIAŁ CXIV. PRZECZUCIA

Nazajutrz w południe Nicole zameldowała Andrei przyjazd Filipa de Taverney.

Uradowana Andrea pobiegła na spotkanie brata i spotkała go na schodach, witając serdecznym uściskiem.

Weszli wraz z Nicole do pokoju i teraz dopiero Andrea spostrzegła, że Filip był poważniejszy niż zwykle. Z uśmiechu jego przebił smutek.

— Co ci jest? — spytała ze współczuciem i niepokojem.

— Odebrałem dziś rozkaz, żebym wyjechał do pułku — odpowiedział Filip.

— Och! — krzyknęła Andrea i oparła się o brata.

— Czyż mój wyjazd tak bardzo cię zasmucił? — spytał zdziwiony Filip. — Przecież w życiu żołnierza to sprawa zwyczajna.

— Tak... A dokąd jedziesz?

— Do Reims. Przychodziem pożegnać się z tobą. — Pożegnać się...

— Co z tobą, Andreo? — zatrwożył się Filip, podejrzewając, że siostrę dręczy jakaś inna sprawa, ponieważ nie wydało mu się to możliwe, aby jego wyjazd był jedynym powodem egzaltowanego zachowania się Andrei.

Panna de Taverney odgadła jego myśli i jednocześnie zauważyła zdziwienie obecnej w pokoju Nicole, gdyż zarzuciła na ramiona mantylę i wzięwszy brata pod rękę wyprowadziła go do ogrodu.

Niespokojny wzrok Filipa śledził każde jej poruszenie. Kiedy zagłębili się w aleje ogrodu, Andrea przechyliła głowę na jego ramieniu i zasłochała.

— Na Boga, co się z tobą dzieje?! — zawołał Filip przerażony.

— Kochany mój — odpowiedziała po chwili Andrea — wyjeżdżasz i pozostawiasz mnie samą... Przecież byłeś zawsze moim powiernikiem i towarzyszem od dzieciństwa, i teraz pytasz, co mi jest... A kto mnie bronił, kto bawił się ze mną, kto mnie pocieszał? Powiesz, że wszyscy mnie lubią, że małżonka delfina jest dla mnie łaskawa; to prawda, ale to nie znaczy, że się do niej czy do kogokolwiek przywiązałam. Przywiązanie jest jedną z potrzeb serca, których nie mam z kim podzielić. Wiesz sam, jaki jest ojciec! Nie może mi być przyjacielem, a ja nawet... obawiam się go. Dlaczego tak jest, nie wiem, ale czuję się jak ptak przed burzą. Od pewnego czasu obserwuję, że powodzi nam się coraz lepiej, ojciec wczoraj jadł wieczerzę u króla, ale wszystko to trudniej mi znieść niż nasze biedne życie w Taverney.

— A przecież byłaś tam sama. beze mnie.

— Tak, ale przynajmniej sama jedna, w swoim domu, gdzie tyle przeżyłam...

— Pamiętaj jednak, że jesteś pod potężną opieką i że czeka cię piękna przyszłość.

— Toteż codziennie zanoszę modły dziękczynne do Stwórcy za dobrodziejstwa, ale za każdym razem zdaje mi się, że głos z wysokości ostrzega mnie.

— Przed czym? Czy przeczuwasz jakie nieszczęście?

— Nie wiem, Filipie. Czuję się jak po przebudzeniu, po śnie, w którym znalazłam się nad skrajem przepaści. Och, czuję, że w nią spadnę i zginę!

— Najdroższa siostrzyczko! — zawołał coraz bardziej przerażony Filip. — Odrzuć te okropne myśli i pociesz się, że wyjeżdżam na krótko, a w razie czego daj mi znać. I proszę cię, nie lękaj się niczego.

— A dlaczego ty, mężczyzna, jesteś też smutny i przygnębiony?

— To zrozumiałe — odparł Filip. — Jesteśmy rodzeństwem i rozstanie jest dla mnie bolesne. Ale smutny jestem nie na długo. Nie wierzę w nieszczęście i dlatego nie żegnam cię, lecz tylko mówię: do zobaczenia.

Na wszystkie te pocieszające słowa Andrea odpowiedziała jeszcze gwałtowniejszym płaczem.

— Najukochańsza siostrzo! — krzyknął Filip tuląc ją do siebie. — Ty coś ukrywasz! Powiedz, na Boga, co ci jest!

— Przysięgam ci, że wiesz o wszystkim — odpowiedziała Andrea. — Ach, jestem chyba szalona, ale nigdy przecież nie byłam zbyt rozsądna. Masz słuszość, Filipie, mnie tutaj dobrze. Wybacz mi, już nie płaczę, uśmiecham się.

To mówiąc dziewczyna rzuciła się bratu na szyję, całując go. Filip popatrzył na nią z czułością.

— Bądź taka zawsze, jak w tej chwili — powiedział. — Odjeżdżam, ale co tydzień będę do ciebie pisał. I ty pisz do mnie.

— To będzie moim jedynym szczęściem. A czy uprzedziłeś ojca o swoim wyjeździe?

— Ojciec sam przyniósł mi rozkaz wyjazdu. On nie taki jak ty i może żyć beze mnie, a nawet zdawało mi się, że rad był z tego, że wyjeżdżam.

— Ojciec rad... Czy nie mylisz się, Filipie?

— Zostajesz z nim, siostrzyczko, a to dla niego pociecha — odpowiedział wymijająco Filip.
— Czy tak myślisz? — pytała dalej z lekkim zamyśleniem Andrea. — Przecież my się nie widzimy.
— Powiedział, że dziś będzie w Trianon. Wierz mi, Andreo, że on cię kocha po swojemu.
— Znowu mi się zdaje, że jesteś zasmucony, Filipie.
— Bo muszę już odjeżdżać. A więc...

— Bądź zdrow, braciszku — powiedziała Andrea spokojnie.

Filip uściskał ją po raz ostatni i przypominając siostrze, aby pisała co tydzień, oddalił się.

Andrea, wstrzymując westchnienie, przeprowadziła go oczyma aż do momentu, kiedy wsiadł na konia uwiązane u krat ogrodu. Gdy znikł z jej oczu, pobięła w gęstwinę i z rozdzierającym łkaniem padła na ławkę.

— O Boże, Boże! — zawołała. — Czemu mnie pozostawiasz samą na świecie?!

W tej chwili usłyszała szelest i zaraz potem westchnienie. Przelękniona, odwróciła się i ujrzała przed sobą ponurą twarz Gilberta.

ROZDZIAŁ CXV. ROMANS GILBERTA

Gilbert był podobnie jak Andrea zasmucony i zropaczony. Kiedy panna de Taverney zauważyła go, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Dumna dziewczyna spiesznie otarła łzy i przybrała obojętną minę.

— Znowu pana widzę! — rzekła nieprzyjaźnie.

Młody człowiek nie odpowiedział, nazbyt wstrząśnięty.

— Co się z tobą stało, panie Gilbercie? Dlaczego jesteś taki smutny? — pytała Andrea nie kryjąc ironii.

— Smuć mnie pani cierpienia.

— Któż ci powiedział, że cierpię?

— Widzę... — odpowiedział Gilbert i nie mogąc się powstrzymać od pełnej pokory szczerości wyznał: — Przepraszam panią, słyszałem pani żale przypadkiem...

— Podśluchiwałaś mnie! A to sobie dobre! A dlaczego to zasmuciły cię moje żale?

— Nie mogę patrzeć na łzy kobiety.

— Czyż ja jestem dla Gilberta kobietą? — spytała dumnie. — Nie potrzebuję niczyjej litości, a tym bardziej Gilberta.

— Niepotrzebnie pani odrzuca moje współczucie. Nie ma w nim nic obrażającego. Mówiła pani, że pozostaje sama na świecie... Och, nie, bo ja tutaj jestem! Przysięgam, że dopóki będę myślał i dopóki moje serce będzie bić, panna de Taverney nie będzie sama na świecie.

W tym momencie Gilbert był piękny. Twarz jego tchnęła siłą, szlachetnością i poświęceniem, chociaż jego słowa były proste i wypowiedziane z szacunkiem.

Ale na nieszczęście Gilberta, wszystko, cokolwiek by zrobił i powiedział, budziło w Andrei niechęć i obrażało ją. Każde jego spojrzenie przerażało ją. Chciała wstać, aby ostro i stanowczo rzucić mu wzgardliwą odpowiedź, ale obawiając się, by jej nie dostrzeżono w rozmowie z ogrodnikiem, pozostała na ławce.

— Zdaje mi się, że już raz ci powiedziałam, panie Gilbercie — oświadczyła — że głos twój mnie gniewa i że nienawidzę twojej filozofii. Po cóż więc naprzykrzasz mi się rozmową?

— Pani — rzekł Gilbert hamując gniew — uczciwą kobietę nie może rozgniewać współczucie i sympatia. A ja, którego tak okrutnie pani poniża, zasługuję na sympatię.

Panna de Taverney spojrzała ze zdziwieniem i wzgardą, po czym powiedziała:

— Sympatia między mną a Gilbertem! Myślałam, że jesteś zuchwały, ale teraz widzę, że jesteś po prostu głupi!

— Nie jestem ani zuchwały, ani głupi — odparł Gilbert z zimną krwią. — Nie ma pani prawa mnie tak krzywdzić, skoro natura uczyniła nas równymi sobie, a przypadek zrządził, że jesteś moją dłużniczką.

— Przypadek! — zachnęła się Andrea z szyderstwem.

— Pomyliłem się, powinienem powiedzieć: Opatrzność. — Ja dłużniczką Gilberta! Tak pan zdaje się powiedział?

— Wstydzę się pani niewdzięczności. Bóg dał pani sporo wad i pewnie dlatego wyrównał je urodą. Andrea wstała.

— Och, przebacz mi, pani — rzekł pośpiesznie Gilbert. — Niekiedy jątrzysz mnie tak bardzo, że zapominam o współczuciu.

Andrea parsknęła śmiechem, ale ku jej zdumieniu Gilbert opanował się i złożony ręce na piersi rzekł zimno:

— Może mi pani raczy odpowiedzieć na jedno pytanie: czy ma pani szacunek dla ojca?

— Zdaje mi się, że chce mnie pan indagować!

— Pani szanuje ojca dlatego tylko, że dał pani życie — mówił dalej Gilbert. — Na nieszczęście, nie zawsze zasługuje on na szacunek, o czym pani powinna wiedzieć. A teraz zapytam jeszcze panią, za co mnie krzywdzisz? Za co mnie nienawidzisz? Czy za to, że ocaliłem ci życie, które zawdzięczasz ojcu?

— Ty mnie ocaliłeś życie?! — zawołała Andrea.

— Wkrótce minie rok, jak się to stało. Ocaliłem pani życie narażając swoje.

— Może mi pan raczy powiedzieć, kiedy i gdzie?

— Wtedy, kiedy sto tysięcy ludzi dusiło się, uciekając przed spłoszonymi końmi, w dniu 31 maja.

— Nie wiedziałam, że jesteś baronem Balsamo — powiedziała Andrea z szyderstwem w głosie.

— Nie, nie jestem baronem Balsamo — odpowiedział Gilbert drżącymi ustami i z pałającymi oczami. — Jestem po prostu Gilbertem, biednym synem ludu, który na nieszczęście kocha cię jak szaleniec. To ja, kochając jak szaleniec, unosiłem cię, kiedy padałaś w tłumie, i podtrzymywałem, dopóki starczyło mi sił. To ja przekazałem cię baronowi Balsamo, a sam zatrzymałem skrawek sukni, aż mnie zalała tocząca się masa ludzka i strątała.

Mówiąc te słowa Gilbert obnażał całą swoją duszę i charakter: wzniosłość, dzikość i prostoduszność. Andrea patrzyła na niego ze zdziwieniem, co spostrzegłszy młodzieniec sądził, że ją przekonał. Niestety, zapomniał, że pycha nie pozwala wierzyć w uczucia przeciwnika.

Przez chwilę panowało przykre milczenie, które zmieszało Gilberta.

— Postaraj się pani wykorzenić ze swego serca nienawiść, która cię czyni niesprawiedliwą, a nawet niewdzięczną.

— Panie Gilbert, niech pan mi powie — zaczęła Andrea obojętnym i zarazem okrutnym tonem — jak długo uczyłeś się u pana Rousseau?

— Trzy miesiące, wyjąwszy tydzień mojej choroby po wypadkach 31 maja.

— Twoja choroba mnie nie obchodzi. Chodzi mi o to, że przez trzy miesiące bardzo wiele skorzystałaś. Uczeń od razu tworzy romanse, prawie tak jak jego mistrz.

Młodzieniec sądził, że usłyszy poważną odpowiedź, toteż szyderstwo Andrei wzburzyło go.

— Pani nazywa romansem to, co powiedziałem?

— Tak, i jeszcze raz powtarzam, że to romans. Wdzięczna jestem, że nie kazałaś mi go przeczytać. Nie mogę ci jednak, panie Gilbercie, za niego zapłacić tyle, ile on wart, gdyż jest to romans nieoceniony.

To rzekłszy Andrea odepchnęła Gilberta i odeszła aleją, na końcu której ukazała się Nicole.

Pokojówka nie poznała z daleka, z kim rozmawiała Andrea. Kiedy podeszła bliżej, pożałowała, że nie mogła podsłuchać rozmowy.

— Co takiego? — spytała ją Andrea.

— Przyjechali z wizytą pan baron de Taverney i książę de Richelieu — oznajmiła Nicole.

Andrea oddaliła się, Nicole zaś spojrzała na Gilberta szyderczo. Młodzieniec stał bez czucia, bez tchu, jak osłupiały. Opanowało go nie wzburzenie, lecz szaleństwo, nie gniew, ale wściekłość. Zaciśnął pięści i wyciągając ręce w kierunku, w którym odeszła Andrea, rzekł półgłosem:

— O, istoto bez serca i duszy! Ocaliłem ci życie, ofiarowałem miłość, nakazałem milczenie uczuciom, które by cię mogły obrazić, gdyż byłaś dla mnie jak święta. Teraz przekonałem się, że jesteś tylko kobietą, a ja mężczyzną... Och, zemścę się kiedyś! Dwa razy miałem cię w ręku i dwa razy oszczędziłem, strzeż się trzeciego razu, Andreo!

I oddalił się, przedzierając się przez krzewy jak zraniony wilk, który ucieka i odwracając się pokazuje ostre kły i krwawe ślepia.

ROZDZIAŁ CXVI. OJCIEC I CÓRKA

Gdy Andrea podeszła do marszałka i ojca, przyjaciele gawędzili z sobą przyjaźnie trzymając się za ręce jak Orestes i Pylades. Na widok Andrei jeszcze bardziej ożywili się, chwając jej urodę, którą gniew po rozmowie z Gilbertem zdawał się podkreślać.

Książę ukłonił się pannie de Taverney jakby była już faworytą króla. Barona ucieszyło to niezmiernie, Andrea jednak odpowiedziała ceremonialnym dygnięciem, w którym było wiele chłodu, po czym zaprosiła obydwu panów do swego pokoju.

Marszałek był zachwycony czystością i elegancją tego pokoju. Usiadł na krześle i obejrzał z przyjemnością ściany i sprzęty.

— Panno de Taverney — zagał rozmowę — przyjechałem w imieniu Jego Królewskiej Mości, aby podziękować za przyjemność, jaką mi zrobiłaś swoim śpiewem. Król zachwyca się pani talentem i przekazuje słowa szacunku i wdzięczności. Lękając się zazdrośników, król nie chciał głośno okazać swojego ukontentowania i dlatego polecił mi wyrazić swoją wdzięczność.

Andrea zarumieniała się i była tak piękna w tym momencie, że marszałek mówił już dalej od siebie.

— Król oznajmił, że nie było jeszcze na dworze osoby, która by łączyła w sobie w tak doskonały sposób talent i urodę.

— Zapominasz o przymiotach serca — wtrącił baron, napęczniały dumą. — Andrea jest najlepszą z córek.

— Ach, serce! — zawołał marszałek. — Ty jeden możesz wiedzieć o miłości, jaka kryje się w sercu panny Andrei. Gdybym miał dzisiaj dwadzieścia pięć lat, złożyłbym u jej stóp moje życie i moją fortunę.

Andrea nie umiała słuchać podobnych słów obojętnie. Zamiast odpowiedzieć mruknęła coś z zażenowaniem.

— Król prosi cię, pani — mówił dalej Richelieu — abys mu pozwoliła złożyć dowód ukontentowania, który wręczy pan baron. Co mam odpowiedzieć Jego Królewskiej Mości?

— Panie marszałku, proszę wyrazić Jego Królewskiej Mości moją najgłębszą wdzięczność — rzekła powściągliwie Andrea. — Raczy pan powiedzieć królowi, że nie godna jestem łaski tak potężnego monarchy.

Marszałek zachwycony był jej odpowiedzią. Ucałował rękę Andrei z uszanowaniem i pozerając dziewczynę oczami powiedział:

— Taką rączkę miewają tylko królowe! A nóżka... jak u wieszczki!... Co za rozum, skromność! Baronie, twoja córka to skarb!

To powiedziawszy, książę uścisnął rękę barona, ukłonił się Andrei i odszedł.

Baron pozostał sam na sam z Andrea. Był nieco zakłopotany, ponieważ dziewczyna spoglądała nań przenikliwie, okazując niewzruszony spokój.

— Zdaje mi się, ojczu, że marszałek mówił o wręczeniu mi dowodu łaski królewskiej. Cóż to takiego?

— Hm!... — mruknął baron i pomyślał: — Interesowna... Nie przypuszczałem, ale to tym lepiej.

Wyjął z kieszeni szkatułkę; i podał córce, która otworzyła ją wydając lekki okrzyk.

— Czy podobają ci się te klejnoty? — zapytał baron.

Była to piękna kolia z pereł łączonych dwunastu brylantami, kolczyki i diadem brylantowy na głowę. Całość warta była z pewnością trzydzieści tysięcy talarów.

— Ach, mój Boże! — zawołała Andrea. — Król chyba omylił się. Wstydziłabym się nosić coś takiego, nie mając odpowiednich sukien... Te klejnoty są dla mnie zbyt piękne!

— Ofiarowawszy ci takie klejnoty, król nie zostawi cię bez sukien — zauważył baron.

— Ależ ojczu...!

— Czyż myślisz, że moje zasługi nie godne są takiej łaski króla?

— Przepraszam cię, ojczu. — odpowiedziała Andrea spuszczać oczy i dodając po chwili: — Nie będę nosiła tych brylantów.

— Dlaczego? — zaniepokoił się de Taverney.

— Dlatego, że ty, ojczec, i Filip cierpicie na niedostatek, a mnie zbytek kłuje w oczy.

Baron uśmiechnął się z ulgą.

— Nie martw się o to — powiedział. — Jesteśmy wszyscy w łaskach. Jeżeli nie pokażesz się w tych klejnotach, król mógłby pomyśleć, że jesteś niewdzięczna.

— A więc będę je nosić.

— Powinnaś. A czy wiesz, że same perły w koliai warte są pięćdziesiąt tysięcy liwrow?

— Doprawdy, to dziwne, że król przysłał mi taki podarunek — zastanawiała się Andrea.

— Nie rozumiem cię — rzekł sucho baron.

— Wszyscy będą się dziwić, kiedy włożę te klejnoty.

— Dlaczego? Nie powinnaś mieć skrupułów — mówiąc to baron spojrzął na córkę zimno i ostro. — Jesteś śmieszna. Niech żyją niewinne, niedoświadczone dziewice! Niech żyją dziewice, które widzą zło, gdzie go nikt nie dostrzega! Niech żyje dziewica, która wywołuje rumieniec na twarzy mężczyzn starszych ode mnie!

Zawstydzona Andrea ukryła twarz w dłoniach westchnąwszy:

— Och, bracie, czemu jesteś tak daleko?!

Baron odgadł czy też może usłyszał te słowa, bo zmienił natychmiast postępowanie i wzięwszy Andreę za rękę rzekł łagodnie:

— Jakie z ciebie dziecko! Myślisz, że cię nie kocham? Andrea rozchmurzyła się, baron zaś mówił dalej.

— Czyż nie jestem twoim ojcem i przyjacielem? Czy cię nie cieszy, że przyczyniasz się do szczęścia brata i ojca?

— Och; tak...

— Andreo — mówił baron z tkliwością — będziesz królową w Trianon, jak powiedział Richelieu. Król zwrócił na ciebie uwagę i małżonka delfina także. Będąc w takich łaskach, zapewnisz nam przyszłość, a im przyjemność. Cóż za sława, być przyjaciółką małżonki delfina i... króla! Bóg jest dla ciebie szczodry, czy to doceniasz? Czy pamiętasz historię dziewczyny, która osłodziła ostatnie chwile życia Karola VI? Cała Francja błogosławiła ją... Czy zapomniałaś o Agnieszce Sorel, która przywróciła honor i sławę tronowi Francji? Andreo, ty będziesz łaską starości i podporą naszego potężnego monarchy. Będzie cię kochał jak córkę i będziesz królowa -we Francji.

Andrea patrzyła na ojca ze zdumieniem, ten zaś mówił dalej.

— Jednym spojrzeniem i obecnością swoją wypędzisz z pałacu zło i niemoralność, córko moja. Możesz i powinnaś być gwiazdą odrodzenia Francji i wieńcem sławy naszego rodu.

— Ale cóż ja powinnam robić wobec tego? — spytała Andrea, pełna osłupienia.

Baron zamyślił się na moment, po czym rzekł:

— Często mówiłem ci, że na tym świecie trzeba przymuszać ludzi do cnoty. Kiedy cnota przybiera formę chłodną i surową, wszyscy od niej stronią. Nadaj swojej cnotcie powab zalotności.

— Nie pojmuję tej nauki.

— Zaufaj mi i słuchaj moich rad. Ale żeby wypełnić pierwszy punkt tych rad, masz tu sto ludwików i przygotuj sobie toaletę godną pozycji, jaką zajmiesz. Daleko zajdziesz, odkąd król uczynił nam zaszczyt zwracając na nas uwagę.

De Taverney podał córce pieniądze, pocałował ją w rękę i wyszedł z pokoju.

Idąc śpiesznie aleją, nie zauważył Nicole, która rozmawiała w altance z jakimś mężczyzną, szepczącym jej coś do ucha.

ROZDZIAŁ CXVII. CZEGO POTRZEBA BYŁO ALTHOTASOWI DO ELIKSIRU ŻYCIA

Nazajutrz o godzinie czwartej po południu Balsamo siedział w swoim gabinecie i czytał list, który mu przyniósł Fritz.

List był bez podpisu, pisany z mnóstwem błędów ortograficznych pismem podłużnym i nieregularnym.

„Panie hrabio. Osoba, która zasięgnęła pańskiej rady przed upadkiem ostatniego ministerstwa i która radziła się pana już dawniej, przyjdzie pana prosić o nową radę. Czy zechce pan przyjąć ją na pół godziny między godziną czwartą a piątą wieczorem?”

— Nie warto się pytać Lorenzy o taką drobnostkę — pomyślał Balsamo po przeczytaniu listu. — To na pewno Richelieu. Oczywiście poświęcę ci, księżę, pół godziny czasu, a choćby i rok!

W tej samej chwili rozległ się głos dzwonka.

— Co się stało? Wzywa mnie Lorenza. Czyżby znowu się buntowała? — rozmyślał Balsamo. — Wczoraj była zadumana, łagodna, pokorna, taka, jaką chciałbym ją widzieć zawsze. Zobaczmy, czego chce.

Zapiął haftowaną koszulę, schował koronkowy żabot pod szlafrok, przygładził włosy i poszedł do pokoju żony.

Jak zwykle, zatrzymał się przed drzwiami, złożył ręce i obrócił się w stronę, gdzie prawdopodobnie siedziała Lorenza i nakazał jej usnąć. Następnie zajrzał do pokoju przez szparę w drzwiach.

Młoda kobieta spała na kanapie w pozycji, którą malarz uznałby za piękną i pełną poezji. Znużona i ledwie dysząca pod wpływem magnetycznego fluidu męża, Lorenza podobna była do Ariadny mistrza Vanloo.

Balsamo wszedł i zatrzymał się przed Lorenzą, żeby popatrzeć na nią. Jednak obudził ją zaraz, ponieważ wydała mu się zbyt ponętna w pozie, w jakiej ją zastał.

Ledwie otworzyła oczy, jej źrenice trysnęły błyskawicami. Przygładziła włosy, wytarła zwilgotniałe wargi i zaczęła rozpamiętywać wrażenia krótkiego snu.

Balsamo patrzył na nią z obawą. Zazwyczaj Lorenza przyjmowała go atakami gniewu, dzisiaj zachowała się spokojnie, co zapowiadało coś poważniejszego.

— Siadaj przy mnie — poprosiła, kierując nań aksamitny wzrok.

Balsamo zadrżał, ponieważ jej głos pełen był niezwyklej łagodności.

— Ty wiesz, droga Lorenzo, że pragnę swoje życie spędzić u twoich stóp — powiedział.

— Proszę cię, siadaj. Będę z tobą mówić niedługo, ale zdaje mi się, że lepiej się wystowię, kiedy usiądziesz.

Siadł naprzeciwko niej i czekał, co mu powie.

— Chcę cię prosić o łaskę — powiedziała, spoglądając na niego wielkimi, pełnymi wyrazu oczami.

— Mów czego chcesz, Lorenzo, a wszystko spełnię.

— Proszę cię o jedną tylko rzecz, która cię nic nie będzie kosztować, chyba tylko minutę czasu.

— Mów — powtórzył Balsamo z uśmiechem pełnym miłości, próbując domyślić się, o co go będzie prosić.

— Widzisz, że umieram ze smutku i nudy — zaczęła Lorenza. — Młodość moja przemija marnie, dni upływają mi na płaczu, a noce w lęku. Starzeję się w samotności.

— To twoja wina — rzekł Balsamo. — Sama niszczysz swoje życie.

— To prawda. I dlatego udaję się do ciebie... Mówiłeś, że jesteś prawdziwym chrześcijaninem, skoro więc jestem dla ciebie nieużyteczna, daj mi...

Urwała, badając, jakie wrażenie sprawiły na nim jej słowa, napotkała jednak tylko chłodne spojrzenie i zmarszczone brwi.

— Daj mi — powtórzyła — nie wolność, ale sposób, który by mi umożliwił oglądanie ludzkich twarzy i słyszenie, co mówią. Pozwól mi wyjść, chodzić, działać, czuć, że żyję.

— Przewidziałem to żądanie, Lorenzo — odparł Balsamo, biorąc ją za rękę — i wiesz, że od dawna tego pragnę. Ale wiesz także, że Althotas wynalazł kamień filozoficzny i pracuje nad eliksirem życia, że ja i moi przyjaciele chcemy odnowić i zreformować ludzkość. Za jedną z tych naszych tajemnic mogą mnie spalić na stosie jako czarnoksiężnika, a ty zagroziłaś, że użyjesz wszelkich środków, aby odzyskać wolność, i że skoro tylko ją odzyskasz, oskarżysz mnie przed panem de Sartines.

— Niekiedy nie panuję nad sobą — tłumaczyła się Lorenza.

— Jeżeli dam ci wolność, czy znajdę w tobie przywiązaną i uległą żonę, co jest moim gorącym życzeniem?

Młoda kobieta milczała.

— Czy będziesz mnie kochać? — spytał z westchnieniem.

— Nie chcę przyrzekać tego, czego nie mogę dotrzymać — odpowiedziała. — Miłość i nienawiść nie zależą od woli człowieka. Mam nadzieję, że Bóg pozwoli mi zastąpić nienawiść miłością w zamian za szlachetny postępek wobec mnie.

— Na nieszczęście, żeby ci zaufać, nie wystarczy obietnica — powiedział Balsamo. — Potrzeba mi świętej przysięgi. Czy chcesz ją złożyć pod groźbą krzywoprzysięstwa?

Lorenza zakryła twarz dłońmi, piersi jej zafalowały szybko.

— Wykonaj tę przysięgę i będziesz wolna. Przysięgnij, że . nie powiesz nikomu o tym, coś wypatrzyła z nauki Althotasa.

— Dobrze.

— Przysięgnij, że nigdy nie wyjawisz naszych tajnych zebrań.

— I na to się zgadzam. Czy to już wszystko?

— Nie, przysięgnij, i to jest najważniejsze, że nigdy mnie nie porzucisz ani z własnej, ani z cudzej woli.

Lorenza zadrżała jak pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— W jaki sposób mam wykonać tę przysięgę? — zapytała.

— W kościele, po przyjęciu komunii świętej. Wymienisz w słowach przysięgi to, co ci teraz podałem, a ja przysięgnę, że uczynię cię szczęśliwą.

— Nie, taka przysięga byłaby świętokradztwem. Nie chcę, lękam się, że zgubię duszę.

— A więc bądź cierpliwa, Lorenzo — rzekł Balsamo bez gniewu, ale z głębokim smutkiem.

Lorenza zasępiła się.

— A więc odmawiasz mi? — zapytała.

— Ty sama nie chcesz tego.

Nerwowe poruszenie Lorenzy zwiastowało rosnący gniew i zniecierpliwienie.

— Mogę coś dla ciebie zrobić — uprzedził ją.

— Mów, zobaczymy, jak bardzo jesteś wspaniałomyślny.

— Bóg, przypadek czy fatalność powiązali nas nierozzerwalnymi więzami — zaczął. — Nie próbujmy ich rozrywać, ponieważ tylko śmierć może tego dokonać...

— Przecież wiem o tym — przerwała mu z niecierpliwością.

— A więc mogę zrobić dla ciebie to, że za tydzień będziesz miała tutaj towarzyszkę.

— Tutaj! Za kratami i zamkniętymi drzwiami! Och, sam nie wiesz, co mówisz!

— To jednak wszystko, co mogę zrobić dla ciebie — powtórzył. — Zastanów się dobrze.

— Do tej pory cierpiałam własnym cierpieniem — odpowiedziała Lorenza. — Teraz chcesz mi dodać jeszcze jedną męczarnię; przyprowadzisz jeszcze jedną ofiarę, która zacznie schnąć, blednąć i umierać, rozpaczać i miotać się jak w więzieniu, łamać paznokcie o ściany. A kiedy wypłacze oczy i będziesz miał dwa trupy zamiast jednego, powiesz z diabelską dobrocią, że to dzieci rozmawiają z sobą, bawią się i są szczęśliwe. Nie! Nigdy nie zgodzę się na to! — dokończyła z gniewem.

— Posłuchaj mnie, Lorenzo. Bądź spokojna — perswadował.

— Żądasz ode mnie spokoju jak kat od skazańca.

— Wymagam spokoju, ponieważ twój gniew nie odmieni naszego przeznaczenia. Przyjmij moją propozycję, proszę cię. Niczego więcej nie mogę ci ofiarować.

— A więc chcesz zamknąć ze mną niewolnicę, której przedstawiśz mnie jako chorą wariatkę!

— Lorenzo!

— Jestem wariatka, jestem ciemna, ale o to właśnie ci chodzi.

— Błagam cię, spójrz głębiej w moje serce! Chcę odpędzić od ciebie nudę.

— Ty to nazywasz nudą! — krzyknęła Lorenza śmiejąc się dziko.

— Masz słuszność, powinienem powiedzieć: cierpienie. Ale miej cierpliwość, wkrótce nadejdzie kres twoich cierpień.

— Pozwól mi przynajmniej iść do klasztoru. Będę się modliła za ciebie i za siebie. Przysięgnę na wszystko, co zechcesz, ale puść mnie!

— Nie możemy się rozstać, Lorenzo. Jesteśmy związani na zawsze — powiedział Balsamo dobitnie i Lorenza przestała nalegać.

— A więc nie chcesz? — spytała w rozpacz.

— Nie mogę.

— Wobec tego poproszę cię o co innego — rzekła z uśmiechem.

— O, uśmiechaj się, Lorenzo, jeszcze raz uśmiechnij się. Za taki uśmiech zrobię, co zechcesz.

— Tak, zrobisz, co zechcę, bylebym ja robiła wszystko to, co ci się podoba. No, ale dobrze. Powiedziałeś, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym znów będę wolna i szczęśliwa.

— Tak powiedziałem i przysięgam, że czekam na ten dzień z niecierpliwością.

— Cóż przeszkadza, żeby to nastąpiło zaraz? — spytała łagodnie i niemal pieszczotliwie. — Widzisz, że jestem znużona, że tyle się nacierpiałam... Daj mi ten dzień zaraz.

Balsamo przestraszył się.

— Mów, najmilsza — powiedział.

— Często myślałam o twoich doświadczeniach ze zwierzętami. Mówiłeś, że są one potrzebne dla dobra ludzkości. Myślałam też, że znasz tajemnicę śmierci, że możesz oswobodzić od życia jedną kroplą trucizny działającej łagodnie, ale szybko jak piorun... Na krew Zbawiciela, na duszę twojej matki, na wszystko, co święte zaklinam cię, zabij mnie, a w chwili, kiedy moja dusza rozstanie się z ciałem, ujrzysz na moich ustach promienny uśmiech.

— Lorenzo! — zawołał Balsamo, obejmując ją. — Jesteś szalona! Jakże mógłbym zabić ciebie, moją miłość i moje życie?

Lorenza zsunęła się przed nim na kolana.

— Nie ustąpię — błagała — dopóki nie spełnisz mojej prośby. Zabij mnie bez bólu, tylko uwolnij od przebudzenia się i od rozpacz.

— O Boże!... Czy nie widzisz, Lorenzo, jak okrutnie dręczysz moje serce? Czy aż tak jesteś nieszczęśliwa i aż tak bardzo mnie nienawidzisz?!

— Nienawidzę przymusu, niewoli i samotności, a ponieważ zrobiłeś mnie niewolnicą, nieszczęśliwą i samotną, nienawidzę cię!

— Ale ja ciebie kocham, zbyt kocham, abym cię mógł zabić. Nie umrzesz, gotów jestem sprawić, żebyś pokochała życie i

— Niemożliwe. Zmusisz mnie, abym pokochała śmierć.

— Lorenzo, na litość boską, przysięgam ci...!

— Życie albo śmierć! — krzyknęła młoda kobieta z gniewem. — Dziś musisz mi dać odpowiedź.

— Życie, najdroższa Lorenzo.

— A więc dajesz mi wolność? Balsamo milczał.

— A więc śmierć i spokój zupełny?

— Życie i cierpliwość, Lorenzo.

Młoda kobieta zaśmiała się strasznie, odskoczyła od niego i wydobyła z fałd sukni mały, cienki sztylet. Zanim Balsamo zdążył chwycić ją za rękę, ostrze sztyletu dosięgło już jej piersi. Krzyknął z rozpaczą i chwycił sztylet za ostrze, uprzedzając ponowienie ciosu. Krew trysnęła z jego palców, ale Balsamo nie zważając na to wyciągnął rękę i rzekł drżącym głosem:

— Śpij! Ja chcę, żebyś usnęła, Lorenzo!

Ale widocznie wzburzenie Lorenzy było tak silne, że trudno ją było zmusić do posłuszeństwa. Dopiero za drugim razem Balsamo uczyniwszy ogromny wysiłek woli, zdołał przełamać jej opór.

Lorenza zachwiała się i padła na kanapę. Balsamo szybko obejrzał ranę na jej piersi, która na szczęście okazała się niegroźna, chociaż krew płynęła obficie.

Balsamo podbiegł do kominka, przycisnął oko lwa i tajemnymi schodkami pobiegł do Althotasa.

— Ach, to ty, Acharacie — powitał go starzec. — Czy wiesz, że za tydzień kończę sto lat? Do tego czasu potrzeba mi krwi dziecka albo dziewczyny.

Ale Balsamo nie słuchał go. Dopadł szafki z balsamami, chwycił jeden ze słoików i pędem wybiegł na schody.

Althotas próbował go zatrzymać, a następnie zaczął za nim krzyczeć donośnie:

— Czy słyszysz?! Jeżeli za tydzień nie będę miał krwi dziecka albo dziewczyny, potrzebnej mi do eliksiru, umrę!

Balsamo odwrócił się i spojrzał w pałające oczy starca.

— Tak, wiem. Bądź spokojny — rzekł. — Będziesz miał wszystko, czego ci potrzeba.

I nacisnął sprężynę, która uniosła schody do góry. Rzucił się do pokoju Lorenzy w tym samym momencie, kiedy zabrzmiał głos dzwonka.

— Richelieu — rzekł do siebie Balsamo. — Na Boga! Poczeka sobie, chociaż to księżę i par Francji.

ROZDZIAŁ CXVIII. DWIE KROPLE WODY KSIĘCIA RICHELIEU

Księżę Richelieu wyszedł z domu przy ulicy Saint-Claude o godzinie pół do piątej.

Po co przychodził do hrabiego de Foenix, wyjaśni się niebawem w toku dalszej opowieści.

Baron de Taverney jadł obiad u córki, gdy wszedł marszałek. Księżę był zawsze zwiastunem przyjemnych wiadomości, tym razem przychodził więc również z nowinkami, a raczej z dobrą nowiną. Oto Filip de Taverney, jak oświadczył marszałkowi król, otrzyma nie kompanię, ale cały pułk.

Baron głośno wyraził swoją radość, Andrea dziękowała marszałkowi z wylaniem. Rozmowa ożywiła się zaraz, z tym, że księżę nie przestawał mówić o królu, Andrea o bracie, a baron o Andrei.

W trakcie tej rozmowy Andrea wyjawiała, że ma dzień wolny od służby dworskiej, ponieważ Maria Antonina gościła dwóch księżąt niemieckich i chciała spędzić z nimi dzień bez towarzystwa dworu.

Baron wyraził zadowolenie, że Andrea ma wolny dzień, ponieważ, jak powiedział, musi porozmawiać z córką o interesach.

Marszałek był wymowny jak nigdy. Mówił o poniżeniu szlachty francuskiej, która musi dźwigać haniebne jarzmo faworyt plebejskiego pochodzenia, zamiast kłaniać się kobietom dobrze urodzonym i spełniającym na dworze rolę wynikającą z przymiotów ich pięknych dusz i niemniej pięknych zalet zewnętrznych.

Andreę uderzyło podobieństwo sądów marszałka do sądów, które jej od kilku dni powtarzał ojciec. Nie miała jednak czasu o tym pomyśleć, ponieważ Richelieu prawił już na temat cnoty i to tak dowcipnie, a zarazem tak po pogańsku, że Andrea zwątpiła w swoją cnotliwość. Według zdania marszałka najcnotliwszymi kobietami były panny de Châteauroux, de Lavalliere i de Fosseuse.

Od wywodów wymownego gościa w głowie Andrei powstał zamęt i trwał aż do godziny siódmej, kiedy to marszałek oznajmił, że musi jechać do króla.

Szukając kapelusza, księżę spostrzegł Nicole, która już nie po raz pierwszy nawinęła się niby przypadkiem.

— Słuchaj no, mała — zagadnął ją księżę klepiąc po ramieniu — może zaniesiesz bukiet, który pani de Noailles chce posłać hrabinie Egmont?.

Nicole dygnęła jak pasterki w operach komicznych Rousseau.

Marszałek tymczasem pożegnał się z baronem i Andrea, nie zapomniawszy spojrzeć na przyjaciela znacząco, ! wyszedł.

Nicole poszła za nim.

Zszedłszy ze schodów, marszałek zatrzymał się i patrząc przenikliwie w oczy Nicole zapytał zniienacka:

— No, mała, więc ty masz kochanka?

— Ja? — zawołała zarumieniona dziewczyna cofając się. — Wszak jesteś Nicole Legay, a panna tego nazwiska ma kochanka. Co ty na to?

— Nieprawda.

— Mówią, że wcale przystojny i że panna Nicole przyjmowała go w domu przy ulicy Coq-Heron, a on udał się za nią aż do Wersalu.

— Mości księżę, przysięgam...

— Zdaje się, że wojskowy... Czy chcesz, żebym ci powiedział, jak on się nazywa? . — Bardzo proszę, jeśli to sprawi księciu przyjemność.

— Doskonale. Otóż kochanek Nicole Legay nazywa się Beausire.

Nicole udała zdziwienie, ale nie udało jej się wyprowadzić marszałka w pole.

— Zdaje się, że wyznaczasz mu schadzki w Trianon, w królewskim zamku. Wiesz czym to pachnie? Pan de Sartines zsyła za to miłe przewinienie do Salpetrière.

— Jestem niewinna, przysięgam! — zawołała strwożona Nicole.

— Temu nie przeczę, ale czy miewałaś z nim schadzki?

— To nie dowód, mości książę.

— A więc miewałaś, to bardzo dobrze. Nie winię cię za to, lubię zresztą ładne dziewczęta, które się nie ukrywają ze swoją urodą i chętnie im pomagam. I ciebie, jak przyjaciel i protektor, ostrzegam.

— Czy mnie kto widział?

— Oczywiście, ponieważ wiem o tym. Chodzą pogłoski... więc czuję się w obowiązku powiedzieć o tym panu baronowi.

— Ach, mości książę, to oznacza moją zgubę! Chociaż jestem niewinna, wypędzą mnie już za samo podejrzenie.

— Cóż robić, skoro wie już o tym pani de Noailles.

— Boże wielki!

— Wielkie to dla ciebie nieszczęście, rozumiem to.

— Tylko co powiedział pan, książę, że jest moim protektorem. Czyż więc nie będzie mnie pan bronił? — spytała chytrze Nicole.

— Ma się rozumieć. Mogę, ale nie chcę.

— O, książę...!

— Ja naturalnie wiem, że jesteś bardzo ładna i masz wielce obiecujące oczy, ale robię się już ślepy.

— Przecież woził mnie pan, książę, do hanowerskiego pałacu.

— Och, wypominać mi to nie ma sensu! Zwłaszcza że przysłużyłem ci się niemało i dzięki mnie dostałaś się do Wersalu. No, ale wracając do rzeczy, po co, u licha, miewałaś schadzki z panem Beausire i do tego przy stajniach?

— A więc i to pan wie!

— Wiem o wszystkim i pani de Noailles także wie. Co więcej, wiem, że dziś wieczorem masz znowu schadzkę.

— Tak, ale dam słowo, że nie pójdę — oświadczyła Nicole, zdając się na łaskę i niełaskę marszałka.

— Ty nie pójdziesz, ale on pójdzie i złapią go, no a jak go wezmą na spytki, powie, że przyszedł na schadzkę z piękną Nicole.

— Ostrzegę go.

— W jaki sposób? Jeszcze bardziej pograżysz się. Żal mi cię.

Nicole zakryła twarz rękami tak jednak, aby widzieć między palcami każde spojrzenie i każdy gest księcia.

— Naprawdę, jesteś zachwycająca — stwierdził książę, który zauważył manewr dziewczyny. — Ach, czemu nie jestem młodszy! Ale mniejsza o to. Nicole, chcę cię wybawić z kłopotów.

— Och, książę, jeśli to uczynisz, wdzięczność moja...

— Nie mam tego na myśli, Nicole. Uratuję cię bezinteresownie.

— To szlachetnie, książę. Dziękuję z całego serca.

— Poczekaj! Co się tak spieszysz z podziękowaniem? Dowiedz się najpierw, o co chodzi.

— Za wszystko będę wdzięczna, byleby mnie panna Andrea nie wypędziła.

— A więc tak bardzo chcesz zostać w Trianon... No, musisz się tego wyrzec.

— Ale jeżeli o moich schadzkach nikt prawie nie wie?

— Nic z tego. Nie możesz tu zostać. Jeżeli pani de Noailles wie o twoich schadzkach, nie spodziewaj się litości. Będę cię musiał stąd wyprawić.

— Och, nic nie rozumiem! Jakże to? Przecież powiedział pan, że jest moim protektorem!

— Tak, i ponieważ chcę cię ratować, zamiast dopuścić do uwięzienia, zamierzam uczynić cię wolną i bogatą.

— Cóż mam zrobić, żeby to uzyskać?

— Drobiazg...

— A czy to będzie z korzyścią dla mnie, czy dla pana?

— Chytra dziewczyna! — pomyślał Richelieu i rzekł głośno: — To będzie z korzyścią dla ciebie. Ale teraz słuchaj: Beausire ma przyjść o pół do ósmej, czy tak?

— Tak, książę. Zwykle o tej godzinie przychodzi.

— Jeżeli zechcę, natychmiast go złapią, ale nie zechcę, a ty pójdziesz do niego i powiesz... Najpierw jednak powiedz, czy go kochasz?

— Gdybym nie kochała, nie miałabym z nim schadzek.

— To jeszcze nie dowód. Może tylko chcesz wyjść za niego za męża?

— Ja za męża! Ha, ha, ha! — zaśmiała się Nicole. Richelieu osłupiał. Nie spodziewał się, że znajdzie w Nicole

na tak cyniczną dziewczynę.

— No dobrze, nie chcesz wyjść za męża, ale kochasz go. To nawet lepiej.

— Niech i tak będzie: Kocham go. I co dalej?

— Powinnaś z nim uciekać.

— Dobrze, jeśli trzeba. Czekam na pana rozkazy, książę.

— No więc idź i powiedz mu, że wasze schadzki wykryto, że grozi wam więzienie. I jedźcie w drogę.

Nicole spojrzała na marszałka z odrobiną niedowierzania, zawodu i jednocześnie nadziei.

— Jak to, jedźcie? — spytała.

Richelieu zrozumiał jej spojrzenie i odparł:

— Naturalnie dam ci na drogę.

Nicole nie miała już więcej pytań i marszałek stwierdził, że dziewczyna właściwie triumfowała w tej rozmowie, w której on miał zwyciężyć. Po chwili milczenia zagadnął znowu:

— A co będzie, jeżeli w momencie ucieczki twoja pani obudzi się i spowoduje twoje schwytywanie?

— To pozostanę tutaj — rzekła dziewczyna spokojnie.

— A jeżeli schwytają Beausire'a?

— Niech sobie chwytają.

— A jeżeli się do wszystkiego przyzna?

— Niech się przyznaje. Panna Andrea ujmie się za mną. Marszałek przygryzł wargę niezadowolony.

— Jesteś niemądra, Nicole — powiedział. — Panna de Taverney nie ma żadnego wpływu na króla, musisz mnie więc słuchać, bo w przeciwnym razie każę cię porwać. Czy mnie rozumiesz, zmijko?

— Czemu miałabym nie rozumieć? Robię tylko uwagi...

— Dobrze. Idź więc i przygotuj się do ucieczki z twoim Beausire.

— Ale jak, skoro sam pan powiedział, książę, że pani może się zbudzić i spowodować złapanie mnie. Dobrze, że mnie książę uprzedził, bo o tym nie pomyślałam.

Richelieu znowu zagryzł usta.

— Pomyślałem i o tym, aby temu zapobiec — rzekł. — Trzeba przeszkodzić, aby twoja pani się przebudziła.

— Ona budzi się dziesięć razy na noc.

— To tak, jak ja. Cierpi na bezsenność, powinna więc brać lekarstwo, a jeżeli nie zechce, ty powinnaś ją wyleczyć.

— Jakie to lekarstwo?

— A co pije twoja pani przed snem: oranżadę, lemoniadę czy może wodę melissową?

— Tylko czystą wodę, czasem słodzoną albo z kroplami fleur d'orange.

— To bardzo dobrze — ucieszył się Richelieu — zupełnie jak ja. A moje lekarstwo zaraz jej pomoże. Trzeba domieszać kilka kropel i śpi się całą noc jak zabity.

Nicole zamyśliła się. Była pewna, że marszałek coś knuje i chciała go przejrzeć.

— Czemu nic nie mówisz? — spytał marszałek.

— Myślę, że moja pani nie ma tego lekarstwa pana, książę.

— Dam ci te krople. Wystarczą dwie do szklanki z wodą, a zaśnie na całą noc i będziesz mogła uciec.

— Och, to nietrudne! — odpowiedziała Nicole nareszcie zaczynając rozumieć, na czym polega plan księcia.

— Przrzekasz więc, że wlejesz dwie krople?

— Niech pan będzie spokojny, książę. Przecież mam w tym swój interes. A poza tym jeszcze ją zamknę.

— O, nie! — powiedział z żywością Richelieu. — Tego nie rób. Zostaw drzwi otwarte.

Nicole nie mogła powstrzymać okrzyku triumfu. Nareszcie zrozumiała! Richelieu odgadł to.

— A teraz idź i powiedz swemu kochankowi, aby się zbierał w drogę — oznajmił.

— Ale książę raczył powiedzieć, że...

— Ile chcesz? — zapytał Richelieu.

— Za wlanie dwóch kropel lekarstwa do szklanki nic, bo to w moim interesie, ale za niezamknięcie drzwi trzeba będzie grubo zapłacić.

— No, powiedzże ile?

— Dwadzieścia tysięcy franków. Marszałek zatrząsł się, usłyszawszy to.

— Ach, Nicole, ty zajdziesz daleko! — rzekł z westchnieniem. — Idź i uprzedź Beausire'a, a potem wyliczę ci pieniądze.

— Mości książę, Beausire nie uwierzy bez dowodów. Richelieu wyjął w odpowiedzi plik banknotów i odliczył

sumę żadaną przez Nicole.

— Przelicz to — powiedział.

— Nie potrzeba — odparła Nicole. — A teraz proszę o krople.

— Zawsze noszę je przy sobie, żeby użyć na wszelki wypadek.

— Poza tym nie mam kluczy, aby wyjść z Trianon. — Dostaniesz wszystko. O, masz!

— Jak to się wszystko szczęśliwie składa — zauważyła Nicole — jakby cudem, w samą porę. A teraz żegnam cię, mości książę.

— Jak to żegnam?

— Przecież się już nie zobaczymy, bo zaraz po zaśnięciu panny Andrei muszę uciekać.

— Prawda. A więc żegnam cię — powiedział Richelieu i gdy dziewczyna znikła wśród ciemności, rzekł do siebie: — Znowu mi się udało, ale doprawdy robię się za stary... Ta szelma zadała mi bobu. Ale mniejsza z tym, i tak wszystko to sobie odbiję.

ROZDZIAŁ CXIX

UCIECZKA

Nicole była dziewczyną sumienną, więc po otrzymaniu pieniędzy od księcia postanowiła nie zawieść jego zaufania.

Pobiegła na miejsce spotkania z panem Beausire, który już na nią czekał.

W tym samym mniej więcej czasie baron de Taverney pożegnał Andreę, która została w mieszkaniu sama.

Gilbert patrzył z okna swojej izdebki w kierunku mieszkania Andrei aż do momentu, kiedy panna de Taverney zasłoniła okna. Nie mając możliwości ujżenia ukochanej, Gilbert zwrócił wzrok w inną stronę i dostrzegł pana Beausire, a wkrótce potem Nicole.

Pokojówka powiedziała parę słów do kochanka, który oddalił się niezwłocznie, a sama powróciła do mieszkania.

— Ach tak — rzekł do siebie Gilbert. — Pan żołnierz i panna pokojówka mają jakieś sekrety i lękają się świadków. Świetnie!

Młodzieniec nie był ciekawy spraw Nicole, ponieważ jednak dziewczyna była jego wrogiem, starał się zbierać przeciwko niej dowody na wypadek, gdyby ta próbowała mu zaszkodzić. Gilbert domyślał się, że atak Nicole może nastąpić lada chwila, więc jak doświadczony strateg przygotowywał środki obrony.

Sam fakt schadzki dziewczyny z oficerem nie był wystarczającym dokumentem, świadczącym przeciwko Nicole, dlatego Gilbert postanowił podsłuchać, o czym kochankowie rozmawiają.

W tym celu ukrył się za drzewem, w pobliżu miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć pokojówkę. Miał szczęście, gdyż po chwili ujrzał ją ze swoim kochankiem, liczącą pieniądze.

— Kilka razy mówiłeś mi, mój panie, że chcesz mnie wykraść — powiedziała pokojówka do pana Beausire, który błyszczącymi oczami pożerał pieniądze.

— I nawet ożenić się z tobą — dopowiedział z zapalem kochanek.

— Och, o tym pomówimy później. Teraz musimy uciekać. Czy możesz być gotów za dwie godziny?

— Za dziesięć minut, jeżeli zechcesz.

— Nie potrzeba, bo ja muszę jeszcze coś przygotować, a to zajmie mi dwie godziny.

— Jestem na twoje rozkazy, kochana przyjaciółko.

— Dobrze. Weź te pięćdziesiąt luidorów. — Nicole odliczyła mu pieniądze i dodała: — Za półtorej godziny bądź tutaj w karcie i czekaj...

— Ale...

— Bez żadnego ale, albo oddaj pieniądze.

— Ja się nie cofam, tylko... Obawiam się o... ciebie, że będziesz może żałowała Trianon...

— Ależ z ciebie subtelny człowiek! No, ale dosyć, nie miej żadnych skrupułów, a tu w sakiewce znajdzie się jeszcze coś dla ciebie.

Beausire dał się łatwo przekonać i po kilku słowach wyrażających oddanie i miłość oddalił się. W chwilę potem powrócił zmieszany.

— Nicole, a krata? — zapytał. — Przejdziesz przez nią?

— Jaki głupi! — szepnęła Nicole o kilka kroków od Gilberta, a potem rzekła głośno: — Mam klucz. Idź już.

Nicole wróciła do mieszkania Andrei. W ogrodzie został sam Gilbert.

Młodzieniec starał się odpowiedzieć sobie na cztery pytania: dlaczego Nicole ucieka z Beausire, którego nie kocha; skąd Nicole ma tyle pieniędzy; jak to się stało, że Nicole ma klucz od ogrodu; dlaczego Nicole wróciła do Andrei, skoro mogła uciekać przedtem?

Na drugie pytanie Gilbert znalazł wkrótce odpowiedź, nie mógł jednak znaleźć na pozostałe.

Wrodzona ciekawość i rozdrażnienie, że nie może rozwiązać zagadek, zdecydowały o jego postanowieniu, aby bez względu na zimno wyczekać aż do momentu, kiedy wszystko się wyjaśni.

Około godziny pół do dziewiątej Andrea wróciła do domu po odprowadzeniu ojca i po drodze spotkała Nicole. Obydwie weszły do mieszkania.

Noc tego dnia nadeszła wcześniej niż zwykle. Przyśpieszyła ją wielka, ciemna chmura, pokrywająca niebo na wielkiej przestrzeni. Ciężki i duszący wiatr pochylał łodygi kwiatów, oczekujących na deszcz.

Nadchodząca burza nie przynagliła Andrei. Szła wolno, zamyślona, jakby z żalem decydując się na powrót do samotnego mieszkania. Zniecierpliwiona Nicole szła za nią mrużąc pod nosem przekleństwa na tę opieszałość.

Wreszcie Andrea weszła do pokoju, osunęła się raczej niż siadła na krześle i kazała Nicole zamknąć okno.

Pokojówka wykonała polecenie i podeszła do Andrei z miną współczującą.

— Ma pani podkrążone oczy i źle wygląda. Może się pani już położy?

— Tak myślisz? — odpowiedziała Andrea i machinalnie wyciągnęła nogi.

Nicole wzięła ten ruch za sygnał do rozbierania i zaczęła śpiesznie odpinać spinki i haftki. Podczas rozbierania Andrea nie odezwała się ani słowem, chociaż Nicole w pośpiechu kilka razy pociągnęła ją za włosy.

Po skończeniu wieczornej toalety Andrea wydała rozkazy na następny dzień. Poleciała Nicole pójść po książki, jakie miał jej przysłać Filip, a następnie sprowadzić stroiciela klawesynu.

Pokojówka odpowiedziała spokojnie, że jeśli jej nie rozbudzą w nocy, wstanie skoro świt i nim się pani obudzi wszystkie jej polecenia zostaną wykonane.

— Jutro także napiszę list do Filipa. To mi przyniesie ulgę — powiedziała Andrea, już do siebie samej.

Nicole odpowiedziała w ten sam sposób, tylko po cichu:

— W każdym razie nie ja zaniósę ten list.

Na tę myśl Nicole zrobiło się nieoczekiwanie smutno. Po raz pierwszy rozstawała się z Andrea, która była dla niej zawsze dobra i z którą wiązało się wiele wspomnień.

Czas jednak uciekał i na ściennym zegarku Andrei wybiła godzina dziewiąta.

Po rozebraniu Andrei Nicole nie potrzebowała wyczekiwać sposobności do przygotowania wody z owymi dwiema kroplami lekarstwa, które jej dał Richelieu. Panna de Taverney była zamyślona, nie ruszała się z miejsca i nie interesowała się, co robi pokojówka. Nicole więc spieszenie nalala wody do szklanki, bez wahania wpuściła dwie krople lekarstwa i odezwała się do Andrei:

— Łóżko już gotowe, lampa zapalona, woda przygotowana. Czy mogę już odejść?

— Dobrze — zgodziła się Andrea z roztargnieniem.

Nicole spojrzała na nią, westchnęła i wyszła. Zamiast jednak iść do alkierza wybiegła na korytarz, nie zamykając za sobą drzwi w myśl umowy z marszałkiem.

Następnie na palcach zeszła po schodach, przebiegła ganek i pospieszyła na spotkanie kochanka.

Gilbert nie opuszczał swego stanowiska i widział, jak Nicole dobiegła do bramy, podała przez kraty klucz, którym Beausire szybko otworzył bramę i po chwili pokojówka znalazła się poza obrębem Trianon.

Tuż obok Gilberta spadł klucz, który kochankowie wyrzucili. Młodzieniec zapamiętał sobie to miejsce, ale nie ruszał się, obserwując, a raczej słuchając, co będzie dalej. Do jego uszu dobiegł tętent kopyt końskich, co oznaczało, że Beausire nie posłuchał czy też nie mógł posłuchać Nicole, która zażądała karety. Wkrótce wszystko ucichło i Gilbert odetchnął.

Młodzieniec uwolnił się od swojej nieubłagalnej nieprzyjaciółki i oto Andrea pozostała sama jedna. Gilbert zapragnął, aby drzwi do jej mieszkania były otwarte i natrętna myśl ta rozjaśniła go tak bardzo, że zapomniał o całym świecie, oddając się jej z całym szaleństwem obawy i niepewności, ciekawości i pożądania.

W chwilę potem tą samą drogą, którą niedawno odbyła Andrea z Nicole, pobiegł do mieszkania samotnej dziewczyny.

ROZDZIAŁ CXX. PODWÓJNE ŻYCIE

Po odejściu Nicole Andrea otrząsnęła się z odrętwienia i klękawszy zaczęła się modlić za Filipa, jedyną istotę, którą kochała prawdziwie, czule i głęboko.

Od czasu wyjazdu brata opanował ją smutek i nieokreślone jakieś uczucie, któremu nie umiała dać nazwy. Było to coś podobnego do przecucia, obawy przed nieuniknionym nieszczęściem, niepokojem, jakiego przysparza nie zagojona rana.

Andrea nawet nie starała się analizować swoich uczuć. W modlitwie bez słów wpadała jakby w kontemplację, w której wszystkie jej myśli skupiały się wokół brata, poruszając młode serce.

Po modlitwie wzięła z niewielkiej biblioteczki książkę, postawiła na stoliku przy łóżku świecę i położyła się.

Książka, którą wybrała do lektury, był słownik botaniczny, nic więc dziwnego, że wkrótce dziewczynę zmorzył sen. Przez chwilę walczyła z nim, próbowała rozjaśnić zamazujące się w głowie myśli, wreszcie dała za wygraną. Podniosła się, aby zgasić świecę i zobaczyła szklankę z przygotowaną przez Nicole wodą. Wyciągnęła rękę, zamieszała w szklance nie dość rozpuszczony cukier i podniosła ją do ust.

Nagle ręce jej zadrżały, gorący i wilgotny ciężar spłynął na jej głowę, nieokreślony wstrząs targnął całym jej ciałem i Andrea poczuła z przerażeniem, że znowu dosięga ją czyjaś wszechwładna wola.

Z ust jej wyrwało się westchnienie i zaledwie postawiła szklankę na tacy ogarnęło ją obezwładnienie. Przestała widzieć i słyszeć, straciła głos i jak rażona piorunem padła na łóżko.

Ale to obezwładnienie było chwilowe, ponieważ Andrea zaraz wstała, otworzyła ciężkie powieki i jak marmurowa statua zstępująca z grobowca zeszła z łóżka na podłogę.

Nie ulegało wątpliwości, że Andrea znajdowała się w dziwnym stanie snu, który już nieraz przerywał jej rzeczywiste życie.

Przeszła sztywno przez pokój, otworzyła szklane drzwi i bez wahania zanurzyła się w mroku schodów. Na dole minęła Gilberta, który cofnął się w krzaki. Przypomniał sobie, że widział już Andree w podobnym stanie w Taverney.

Andrea tymczasem przeszła obok niego. Młodzieniec odurzony upadł na kolana. Zląkł się. Nie wiedział, czemu przypisać to nieoczekiwane wyjście Andrei z mieszkania. Patrzył za nią mętnymi oczami, krew uderzała mu do głowy i podobny był do szaleńca raczej niż do wnikliwego obserwatora.

Nagle przeszła go kłująca myśl: Andrea z pewnością szła na umówione spotkanie.

Niebo przecięła błyskawica i w jej świetle Gilbert spostrzegł mężczyznę stojącego w lipowej alei. Andrea szła prosto ku niemu i zatrzymała się przed nim o dwa kroki. Gilbert podniósł się, aby lepiej widzieć, w tym samym jednak momencie rozbłysła nowa błyskawica i młodzieniec poznał w mężczyźnie barona Balsamo.

Balsamo wziął Andreę za rękę i zapytał:

— Czy widzisz?

— Widzę — odparła dziewczyna z drzeniem — ale przywołując mnie w ten sposób mógł mnie pan zabić.

— Przebacz mi — odpowiedział Balsamo. — Straciłem głowę i zdaje mi się, że umieram. Cierpię, i ty jedna możesz mnie ocalić. Czy możesz pójść do mojego domu?

— Mogę, jeżeli zostaną przeprowadzona myślą.

— Chodźmy więc.

— Ach, wchodzimy do Paryża w ciemną ulicę, którą oświetla jedna tylko latarnia. Dochodzimy do domu, jesteśmy w przedpokoju. Na prawo schody... A oto ściana otwiera się, widać znowu schody.

— Chodźmy — przynaglał Balsamo — trzeba nam wejść tędy.

— Jesteśmy teraz w pokoju wysłanym skórami lwimi, na ścianach wisi broń... Och, blacha od kominka otwiera się!

— Chodźmy! Gdzie teraz jesteś?

— W dziwnym pokoju bez drzwi, z zakratowanymi oknami...

— Czy nie ma tam nikogo?

— Nikogo.

— A czy możesz zobaczyć osobę, która tu mieszkała?

— Tak, jeżeli zobaczę jakąś jej rzecz albo to, czego dotykała.

— Oto są jej włosy.

Andrea wzięła do ręki włosy i po chwili zaczęła znowu mówić.

— Poznaje ją. Widziałam już tę kobietę, kiedy uciekała do Paryża...

— Czy możesz powiedzieć, co ona robiła przed dwiema godzinami i w jaki sposób uciekła?

— Zaraz... Ona leżała na sofie. Miała na piersiach ranę, spała i przebudziła się... Wyjęła chustkę, stanęła na krześle, przywiązała chustkę do kraty żelaznej... Och, Boże!

— Chce więc naprawdę umrzeć?

— Tak, ale boi się śmierci... Zostawia chustkę na kracie, płacze, biedna kobieta... Szuka rogu ściany, żeby uderzyć głową.

— Boże, Boże! — jęknął cicho Balsamo.

— Ach, rzuca się do kominka! Chce roztrzaskać głowę o czoło lwa, ale zatrzymuje się i patrzy... Spostrzegła krew

na oku lwa. To nie jej krew, to krew twoja!...

— Moja?! — zawołał z szaleństwem w oczach Balsamo.

— Tak... Skaleczyłeś palce sztyłem i dotknąłeś oczu lwa... O, widzę też ciebie...

— To prawda... Ale w jaki sposób uciekła?

— Czekaj... Widzę, jak ona przypatruje się oku lwa, zastanawia się, kładzie palec na to miejsce, gdzie naciskał twój palec. Ach, oko usuwa się, blacha w kominku otwiera się!

— O, ja szalony i nieszczęśliwy! — zawołał Balsamo. — Sam zdradziłem mą tajemnicę.

Andrea umilkła.

— Czy ona uciekła? — pytał niecierpliwie Balsamo.

— Zatrzymuje się na chwilę w pokoju wysłanym skórami, widzi na stole szkatułkę, która zwykle stoi w szafie, poznaje ją i bierze...

— Co jest w szkatułce?

— Twoje papiery, zdaje mi się...

— A więc zabrała! — rzekł Balsamo z gniewem.

— Teraz schodzi do przedpokoju, otwiera drzwi, potem ciągnie łańcuch bramy i wychodzi na ulicę...

— Która jest godzina?

— Musi być późno, bo już noc.

— Tym lepiej. Wyszła prawie kilka minut przed moim powrotem do domu. Może ją dogonię... Idź za nią, Andreo!

— Biegnie ulicą nie zatrzymując się...

— W którą stronę?

— W kierunku Bastylli.

— Widzisz ją jeszcze?

— Tak. Biegnie jak szalona, potrąca przechodniów. Zatrzymuje się, wypytuje... Wypytuje czarno ubranego mężczyznę...

— O co go pyta?

— Gdzie mieszka minister policji.

— Ach! Więc nie na próżno groziła... Czy powiedziano jej, gdzie mieszka?

— Tak. A ona wraca, idzie, wychodzi na wielki plac...

— Co zamierza robić?

— Och, pośpiesz się! Ona ciebie zaskarży. Jeżeli cię uprzedzi i zobaczy się z panem de Sartines, jesteś zgubiony.

Balsamo krzyknął, rzucił się na przełaj przez krzaki, wyskoczył przed furtkę i dopadł stojącego Dzerida, który nań czekał, uderzając kopytami o ziemię.

Poczuwszy na siodle jeźdźca, koń puścił się jak strzała drogą do Paryża.

Andrea przez chwilę stała blada i nieruchoma, potem zachwiała się i upadła, jak gdyby Balsamo odjeżdżając zabrał jej życie z sobą.

Goniąc za Lorenzą, Balsamo zapomniał ją obudzić.

ROZDZIAŁ CXXI. KATALEPSJA

Gilbert nie słyszał rozmowy Andrei z baronem Balsamo. Obserwował ich, wychylony, z zapartym oddechem, ze sprzecznymi myślami. Podobnie jak w Taverney, Andrea była posłuszna nakazom czarnoksiężnika, który posiadał tak wielką i okropną nad nią władzę. Jeżeli nie był kochankiem Andrei, to z pewnością ona się w nim kochała, skoro spotykała się z nim w nocy.

Chociaż oboje rozmawiali po cichu, Gilbertowi zdawało się, że się kłóca. Uciekającego, zrozpaczonego czarnoksiężnika można było wziąć za nieszczęśliwego kochanka, a bezwładną i bez życia Andreę za opuszczoną kochankę.

Nie będąc w stanie otrząsnąć się z hipnotycznego uśpienia, Andrea straciła równowagę i jęknąwszy, osuwała się na ziemię, ale nie upadła, ponieważ Gilbert skoczył ku niej i wziął ją na ręce.

Zaniósł ją do pokoju, w którym jeszcze paliła się świeca i położył na kanapie.

Wszystko w nim kipiało, gdy dotykał bezwładnego ciała dziewczyny. Pierwsza jednak jego myśl była czysta: należało Andreę przywrócić do życia. Obejrzał się za karafką z wodą, w tym samym jednak momencie usłyszał skrzypnięcie schodów, wiodących do pokoju Andrei.

Gilbert osądził błyskawicznie, że nie mogła to być ani Nicole, ani Balsamo, a zatem był to ktoś obcy. Oznaczało to, że jeżeli go zastaną w pokoju Andrei, zostanie wypędzony ze służby.

Tymczasem stąpienie zbliżało się, Gilbert więc nie namyślając się dłużej zdmuchnął świecę i pobiegł do izdebki Nicole, skąd przez szklane drzwi mógł obserwować, co się dzieje w pokoju panny de Taverney i w przedpokoju.

Nie zdążył zgasić nocnej lampy na stoliku w przedpokoju, ponieważ ktoś już wchodził na korytarz. W chwilę potem Gilbert usłyszał ciężki oddech i w drzwiach ukazała się postać nieznanego mężczyzny, który zaraz po wejściu do przedpokoju zamknął za sobą drzwi na klucz.

Na świecie szalała burza, ulewny deszcz tłukł w okna pokoju Andrei, jakieś na w pół otwarte okno na korytarzu skrzypiało na zardzewiałych zawiasach i wiatr dzwonił w rynnach, napierając na mokre szyby i hucząc w korytarzu.

Ale Gilbert nie słyszał odgłosów burzy. Cała jego dusza skoncentrowała się we wzroku utkwionym w nieznanego.

Mężczyzna zaś przeszedłszy przedpokój, wszedł bez wahania do pokoju Andrei, dotarł po omacku do łóżka dziewczyny i znalazłszy je próżne odwrócił się zaskoczony, potrącając lichtarz. Świeca upadła z łoskotem i kryształowa profitka rozbiła się o marmurowy stół.

Wówczas nieznanomy zawołał przytłumionym głosem:

— Nicole! Nicole!

— Jak to Nicole? — zdziwił się w duchu Gilbert. — Dlaczego ten człowiek zamiast Andrei woła Nicole?

Tymczasem nieznanomy, nie doczekawszy się odpowiedzi na wołanie, podniósł świecę, wyszedł na palcach do przedpokoju i zapalił ją od lampy.

Gilbert spojrzał na nieznanego i zadrżał.

W nocnym gościu rozpoznał tego, którego imienia nie śmiał wymówić nawet po cichu.

Teraz dopiero wyjaśniło mu się wszystko: ucieczka Nicole, pieniądze, które dzieliła z kochankiem, rozmowa marszałka z baronem i w ogóle cała ponura intryga, której ofiarą była Andrea.

Gilbert zrozumiał także, dlaczego gość wołał Nicole, która tak zdradziecko sprzedała swoją panią. Gdy jednak pomyślał, w jakim celu przybysz wszedł do pokoju Andrei i co ją tam czeka, zdawało mu się, że oszaleje.

Chciał krzyknąć, ale strach przykuł mu język do podniebienia.

Nocny gość wrócił tymczasem ze świecą do pokoju i ujrzał leżącą na kanapie Andreę. Głowa jej oparta była na poręczy, jedna noga leżała na poduszce, druga zaś zwiisała nad kobiercem. Ciało dziewczyny otulał biały szlafrok.

Mężczyzna uśmiechnął się. W świetle świecy był to uśmiech ponury, taki sam niemal, jaki jednocześnie wykwił na wargach Andrei.

Nieznanomy wyszeptał kilka słów mających wyrażać miłość i pożądanie, postawił świecę na stole i uklękawszy przed Andreą pocałował ją w rękę.

Na twarzy Gilberta wystąpiły krople potu.

Ale nocny gość poczuł, że ręka dziewczyny jest zimna. Wziął ją w swoje ręce i próbował ogrzać, potem objął Andreę, nachylił się i zaczął szeptać do ucha słodkie słowa miłości. Twarz jego dotknęła twarzy dziewczyny: była równie zimna jak ręce. Wówczas mężczyzna wstał, spojrzał na leżącą i ujrawszy małą stopę Andrei wziął ją w ręce i puścił. Noga dziewczyny była zimna jak marmur.

Nieznanomy stał zdziwiony. Tak głęboki sen był dlań niezrozumiały, zimne odrętwienie niepokoiło go. Przez myśl przeszło mu, żeby sprawdzić, czy dziewczynie bije serce, skoro jej członki obezwładniło zimno.

Drżącą ręką dotknął jej dziewiczej piersi.

Wtedy Gilbert zgrzytnął zębami, otworzył drzwi i stanął w nich rozjuszony. Jego oczy pałały płomieniem.

W tej chwili straszliwy łoskot piorunu zatrzęsł domem i sina błyskawica oświeciła twarz Andrei tak śmiertelnym i niesamowitym ogniem, że nieznanomy cofnął się z przestachem.

— Przebóg! Ona umarła... — rzekł półgłosem.

Zimny pot wystąpił mu na czoło. Wzdrygnął się na myśl, że dopiero co przyciskał do swego serca trupa. Wziął świecę i zaczął się wpatrywać w twarz Andrei. Ujrawszy zsiniałe wargi, czarne cienie koło oczu, rozrzucone włosy i nieruchome piersi, krzyknął, upuścił świecę i na óslep wypadł z pokoju.

Za chwilę jego kroki słychać było na schodach, potem w ogrodzie, wreszcie wszystko zagłuszył wiatr szalejący za oknami.

Wówczas Gilbert wyszedł z pokoju Nicole i zatrzymał się na progu, patrząc ponuro na Andreę. Chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, potem zamknął je na klucz, zgasił lampę w przedpokoju i wszedł z powrotem do pokoju Andrei, gdzie zgasił palącą się wciąż świecę, rzucającą osobiwe błyski na nieruchomą nogę Andrei.

— Andreo — powiedział młodzieniec cicho — dwa razy ci przebaczyłem, ale trzeci raz nie przebaczę. Uprowadziłem cię o tym, nic więc cię nie zdoła ocalić. Mówiłaś, że tworzę straszny romans, trzeba zatem dać mu straszne zakończenie.

I wyciągnąwszy ręce podszedł ku leżącej bezwładnie i bez czucia Andrei.

ROZDZIAŁ CXXII. WOLA

Dżerid unosił swojego jeźdźcę z szybkością błyskawicy. Blady z niecierpliwości i strachu, Balsamo niemal leżał na rozwiewanej wiatrem grzywie rumaka i chwycił otwartymi ustami powietrze, przecinane szerokimi piersiami Dżerida niby wiosłem pływaka.

W mgnieniu oka przelecieli przez Wersal. Spóźnieni przechodnie widzieli tylko strumień iskier ponad brukiem.

Po przejechaniu dwóch mil Balsamo wstrzymał nagle Dżerida. Rumak stanął jak wryty na swych stalowych sprężystych nogach, Balsamo zaś podniósł głowę, otarł pot z twarzy i rzekł do siebie:

— Biedny szaleńcze! Ani szybki bieg twego konia, ani twoje chęci nie są w stanie zatrzymać piorunu czy iskry elektrycznej. Potrzeba ci szybkiego działania. Musisz zadać cios nagły i mocny, taki, który by sparaliżował nogi i unieruchomił język. Nieposłuszną niewolnicę należy schwytać zwycięskim snem... Och, jeżeli znowu wpadnie w moje ręce...!

I Balsamo zgrzytnął zębami.

— Daremnie chcesz ją zatrzymać — zawołał do siebie gniewnie. — Lorenza już jest tam! Chce mówić i może mówić, przeklęta! Och, wszystkie męki będą zbyt słabe w porównaniu z twoją zbrodnią! Ale zobaczymy. Spróbujmy, co potrafię... Lorenzo! Lorenzo! Rozkazuję ci, abyś usnęła! Gdziekolwiek się znajdujesz, śpij! Ja tak chcę!... Och, nie, ja w to nie wierzę, nie śmiem wierzyć, a przecież wola jest wszystkim... Ale zażądam jeszcze raz, z całą moją siłą. Przeszyj powietrze, wolo moja, przebij mury jak kula armatnia! Gdziekolwiek jest Lorenza, ścigaj ją, uderzaj i łam! Lorenzo, Lorenzo, chcę, żebyś usnęła! Lorenzo, chcę, żebyś milczała!

Wypowiedziawszy rozkaz, Balsamo skierował swoją myśl w stronę, w której powinna się znajdować Lorenza. Zęby i dłonie miał jeszcze zaciśnięte, wyglądał przy tym, jakby chciał przekonać samego siebie.

Dżerid szedł wolno, ponieważ Balsamo popuścił cugli. Szlachetny rumak stawiał nogi ze szczególnym wdziękiem, lekko, muskając tylko ziemię kopytami.

Tak dojechali do ulicy Sevres i Balsamo zatrzymał niebawem Dżerida przy bramie parku. Rozejrzał się, jakby kogoś oczekując.

W tym samym niemal momencie w bramie ukazał się jakiś człowiek.

— Czy to ty, Fritz? — zapytał Balsamo.

— Ja, panie.

— Czy dowiedziałeś się, gdzie jest pani Dubarry?

— Tak. W Paryżu.

— W jaki sposób tu przyjechałeś?

— Na Sułtanie.

— Gdzie on jest?

— Czeka osiodłany na dziedzińcu oberży.

— Dobrze, bądź w pogotowiu.

Fritz poszedł po konia i po chwili powrócił. Balsamo pisał coś przy świetle latarni.

— Jedź i oddaj tę kartę pani Dubarry — powiedział do Fritza. — Daję ci na to pół godziny czasu. Po doręczeniu jej tej kartki do rąk własnych wracaj do domu i czekaj, aż powróci signora Lorenza. Wpuść ją i nie rozmawiaj z nią. Idź teraz i pamiętaj, że masz pół godziny czasu.

Fritz odjechał, Balsamo zaś, stopniowo uspokajając się, pojechał wolno do Paryża i kiedy po trzech kwadransach przybył na miejsce, był już odmieniony, niemal pogodny.

Jak się okazało, Balsamo miał słuszność przewidując, że tylko jego wola zdolna była dogonić Lorenzę.

Dotarłszy w okolice Bastylji, Lorenza przystanęła, ponieważ nie знаła miasta, pozostając zawsze zamknięta w domu przy ulicy Saint-Claude. Pierwszym jej celem było uciec z nienawistnego więzienia, a dopiero drugim — zemsta.

Dotarła do przedmieścia Saint-Antoine, gdy nagle zatrzymał ją młody człowiek, który od pewnego czasu szedł za nią.

Nie należało się temu dziwić, ponieważ Lorenza nie miała i, w izolacji od świata, nie mogła mieć pojęcia o ubiorach kobiet. Ubierała się raczej jak kobieta wschodu, a więc okazała, bogato i barwnie, nie przypominając w niczym owych ładnych lalek, ściśniętych jak osy gorsetami, w zwiewnych materiałach, pod którymi trudno było znaleźć ciało, tak bowiem bardzo pragnęły one prezentować się eterycznie i niemal niematerialnie.

Z ówczesnego stroju francuskiej kobiety Lorenza nosiła tylko trzewiki na dwucalowych korkach. Było to obuwia niewygodne, wykręcające nogą ł nieprzydatne, kiedy się. chciało iść prędko.

Mężczyzna, który szedł za Lorenzą, wziął ją za przebraną kobietą, śpieszącą na maskaradę lub na miłosną schadzkę. Podeszedł do Lorenzy i zdjąwszy kapeluszek rzekł:

— Przepraszam panią, ale zdaje mi się, że trudno będzie zejść daleko w takich trzewikach. Może pani zechce oprzeć się na moim ramieniu... Jeśli spotkamy karetę, będę miał zaszczyt odprowadzić panią, dokąd pani zechce.

Lorenza popatrzyła na niego czarnymi, przenikliwymi oczyma i zgodziła się.

Młody człowiek szarmancko podał jej ręką i zapytał ją:

— W którą stronę idziemy?

— Do ministerstwa policji.

— Do pana de Sartines? — spytał z drzeniem młody człowiek.

— Nie wiem, czy on się tak nazywa, ale chcę rozmawiać z ministrem policji.

Towarzysz Lorenzy zawahał się. Ta młoda, piękna kobieta w osobliwym stroju, ze szkatułką w ręce, biegnąca sama ulicą późnym wieczorem i pytająca o ministra policji, wydała mu się podejrzana.

— Pani wybrała zły kierunek — powiedział. — Minister mieszka na przedmieściu Saint-Germain.

— A którędy się tam idzie?

— Tędy — wskazał jej kierunek chłodno, ale grzecznie. Na bulwarze spotkali fiakra i młody człowiek zatrzymał go.

— Do pałacu pana de Sartines — zadysponował, gdy fiakier podjechał.

Otworzył drzwiczki, ulokował w powozie Lorenzę i pożegnał ją grzecznym ukłonem. Poczekał, aż odjechała, kręcąc głową jak ktoś, kto nie bardzo dowierza swoim zmysłom.

W tym samym momencie Andrea wskazała baronowi Balsamo miejsce, w którym znajdowała się Lorenza i Balsamo puścił się w pogoń.

W dwadzieścia minut później Lorenza znalazła się na podjeździe pałacu pana de Sartines.

— Czy mam na panią czekać? — zapytał ją stangret.

— Tak — odparła machinalnie Lorenza.

I lekko wbiegła po schodach wspaniałego pałacu.

ROZDZIAŁ CXXIII. W PAŁACU PANA DE SARTINES

Dotarłszy do dziedzińca, Lorenza została otoczona przez policjantów i żołnierzy. Poprosiła któregoś z nich, aby ją zaprowadził do ministra policji. Żołnierz odesłał ją do szwajcara, ten zaś, widząc, że Lorenza nie wygląda na zwyczajną interesantkę, uznał za stosowne i pożyteczne wysłuchać jej prośby.

Na wszystkie jego pytania Lorenza odpowiadała niezmiennie pytaniem: „Czy pan jest ministrem de Sartines?” Zdumiony woźny zachodził w głowę, jak można jego czarny mundur pomylić z ubiorem ministra, ale że porucznik nie gniewa się nigdy, kiedy go tytułują kapitanem, potraktował Lorenzę uprzejmie, zwłaszcza że młoda kobieta nie wyglądała na wariatkę, jak w pierwszej chwili sądził.

Pan de Sartines, jak każdy minister policji, narażony na zamachy, obwarowany był całym łańcuchem środków bezpieczeństwa, toteż Lorenza musiała odpowiedzieć na wiele pytań, zadawanych przez wiele osób, zanim jej powiedziano, że ministra nie ma i że musi na niego zaczekać.

Zaraz jednak po jego przybyciu wezwano ją do gabinetu. Lorenza przeszła przez dwie sale, w których napotkała mnóstwo postaci podejrzanej powierzchowności, i dotarła do wielkiego, ośmiokątnego gabinetu, oświetlonego wielką liczbą woskowych świec.

Za wysokim biurkiem siedział mężczyzna koło pięćdziesięciu lat, w szlafroku, w ogromnej upudrowanej peruce. Górna część ministerialnego biurka, podobna do szafy, posiadała lustrzane drzwiczki, w których minister mógł nie wstając z miejsca i nie odwracając się widzieć wchodzących do gabinetu. Pozwalało to przypatrzeć się ich twarzom, zanim rozmowa czy indagacja zmieniała wyraz twarzy. Dolna część biurka zaopatrzona była w szuflady z ukrytymi zamkami. De Sartines chował w nich swoje dokumenty w większości pisane szyfrem, którego nikt nie znał i który by po śmierci ministra uczynił dokumenty zwykłymi świstkami papieru, gdyby nie znaleziono klucza do odczytania szyfru.

Skomplikowane biurko kazał zrobić regent, książę orleański. Ukrywał tu swoje chemiczne i polityczne tajemnice, zanim biurko otrzymało nowego właściciela, a raczej użytkownika w osobie pana Dubois, który z kolei pozostawił je panu Dombreal, poprzednikowi ministra de Sartines.

Tak więc biurko ministra de Sartines posiadało niemałą sławę. Niechętni, a było ich wielu, powiadali, że gdyby można było czytać poprzez drzewo, to niezawodnie w biurku ministra znalazłyby się słynne kontrakty, na mocy których Ludwik XV zabierał całe państwowe zboże i sprzedawał je następnie po wygórowanej cenie za pośrednictwem wiernego agenta, to jest właśnie pana de Sartines.

Lustrzana część biurka pozwoliła ministrowi zobaczyć bladą i zafrasowaną twarz Lorenzy, która zbliżała się do niego ze szkatułką w ręku.

— Kto pani jest i czego pani chce? — zapytał ją, nie odwracając się.

— Czy pan jest ministrem policji, panem de Sartines?

— Tak — odpowiedział krótko.

— Czym mnie pan o tym przekona? De Sartines odwrócił się.

— Jeżeli panią odeślę do więzienia, czy to będzie dostateczny dowód, że jestem rzeczywiście tym, którego pani szuka?

Lorenza nic nie odpowiedziała, rozglądając się z godnością za krzesłem, którego jej pan de Sartines nie ofiarował. Minister zrozumiał i ponieważ był człowiekiem dość dobrze wychowanym, poprosił ją, aby usiadła.

— Proszę mówić, z jaką sprawą pani przyszła, bo nie mara czasu czekać.

— Przyszedłam pana prosić o opiekę — odparła młoda kobieta.

Minister spojrzął na nią chytrze.

— Przyszedłam prosić o opiekę przed tyranem, który porwał mnie z rodzicielskiego domu, zamknął i podstępnie poślubił, a potem poddał mnie swojej straszliwej woli. Już trzeci rok dręczy mnie. Tonę we łzach i samotności, usycham...

Jej dźwięczny i przyjemny głos zastanowił ministra. Spojrzął na jej piękną i szlachetną twarz i zapytał:

— Jakiej narodowości jest pani?

— Jestem rzymianką.

— Nazwisko?

— Lorenza Feliciani.

— Nie znam tego nazwiska. Czy pani jest szlachcianką?

— Tak jest.

— Z jaką sprawą pani przyszła?

— Żądam sprawiedliwości.

— To do mnie nie należy. Czy pani jest jego żoną?

— Nie wiem. On twierdzi, że tak.

— Jak to, twierdzi?

— Nie pamiętam, żeby nam dawano ślub, chyba w czasie snu...

— Tęgi sen musi pani mieć. Z taką sprawą trzeba iść do prokuratora i wytoczyć sprawę. Nie lubię się mieszać w sprawy rodzinne.

To rzekłszy de Sartines uczynił gest, który oznaczał, że uważa posłuchanie za skończone.

Lorenza nie poruszyła się z miejsca.

— A więc? — minister spojrział na nią zdziwiony.

— Ja jeszcze nie skończyłam — powiedziała Lorenza. — Pan pewnie zrozumiał, że przyszedłam skarżyć się na ciemiężcę. My, Włoszki, nie skarżymy się, ale mścimy.

— Wobec tego niech pani mówi, o co chodzi, tylko prędszej, bo czas jest drogi.

— Powiedziałam już, że przyszedłam prosić pana o opiekę przeciwko człowiekowi, na którym chcą wyrzeć zemstę.

— A więc to musi być jakiś potężny człowiek, czy tak?

— Potężniejszy od pana.

— Niechże pani wreszcie wytłumaczy, o co chodzi. Na co przyda się moja opieka, skoro on jest potężniejszy ode mnie, i to w sprawie zemsty. Jeżeli pani chce zemsty, to proszę bardzo, ale to się może skończyć zbrodnią, co już do mnie należy. Jeżeli dopuści się pani zbrodni, czeka panią więzienie, a potem... zobaczymy.

— Nie, nie każże mnie pan uwięzić, bo zemsta moja przyniesie korzyść królowi i całej Francji. Ja mścić się wydając tajemnice tego człowieka.

— Ach, więc ten człowiek ma tajemnice? — spytał minister z mimowolnym zainteresowaniem.

— I to bardzo ważne. Polityczne.

— Proszę mówić.

— Ale czy wreszcie mogę liczyć na pańską opiekę?

— Jakiego rodzaju opieki pani żąda? — spytał de Sartines z chłodnym uśmiechem.

— Proszę, aby mi pan pomógł dostać się do klasztoru, gdzie się chcę zamknąć do końca życia. Niech klasztor będzie moim grobem, ale ja chcę, żeby nikt się nie dotknął mego grobu.

— Niewiele pani wymaga. Dobrze, będzie pani przyjęta do klasztoru. A teraz proszę mówić.

— Daje pan na to słowo?

— Zdaje mi się, że już dałem.

— Niech więc pan weźmie tę szkatułkę — powiedziała Lorenza. — Znajdują się w niej tajemnice, które pana zaniepokoją o los króla i królestwa.

— A zatem pani wie o tych tajemnicach.

— Niezupełnie. Ale wiem, że są.

— Tajemnice polityczne, mówi pani?

— Tak. Czy pan słyszał o stowarzyszeniu Wolnych mularzy?

— Słyszałem, ale nie wierzę temu.

— Gdy pan otworzy szkatułkę, uwierzy pan.

— Zobaczymy — rzekł de Sartines i wziął szkatułkę z rąk młodej kobiety.

Nieoczekiwanie jednak zawahał się i postawił szkatułkę na biurku.

— Niech pani sama otworzy.

— Nie mam klucza.

De Sartines pomyślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Mamy tu rozmaite klucze — podał jej cały pęk. — Proszę sama otworzyć.

Lorenza wzięła klucze i de Sartines dotknął jej ręki: była zimna jak lód.

— Kim jest właściciel szkatułki potężniejszy niż ja?

— Nikt nie może wiedzieć, kim on jest i ile lat przeżył. Jeden tylko Bóg widzi jego sprawy.

— Ale przecież jakoś się nazywa!

— Dziesięć razy zmieniał nazwisko.

— Niechże pani powie chociaż to, którego pani używa,

— Acharat.

— Gdzie on mieszka?

— Przy ulicy Saint...

Nagle Lorenza zadrżała, szkatułka i klucze wypadły z jej rąk. Chciała dopowiedzieć do końca nazwę ulicy i nie mogła. Jej usta wykrzywiły się konwulsyjnie. Chwyliła się za gardło, jak gdyby ją

dusiły jej własne słowa. Wreszcie nie mogąc wydobyć z siebie głosu, podniosła w górę obydwie ręce i upadła na dywan.

— Biedna — pożałował ją de Sartines. — Ale cóż się, u licha, z nią dzieje? Dalibóg, bardzo ładna! Zdaje mi się, że ta jej zemsta ma u podłoża zazdrość.

Zadzwoił i sam podniósł młodą kobietę. Wargi miała spopieliałe, oczy nieruchome. Wyglądała jak nieżywa.

Weszli dwaj lokaje.

— Weźcie ostrożnie tę panią — rzekł minister — i zanieście do sąsiedniego pokoju. Starajcie się przywrócić ją do przytomności. Idźcie.

Lokaje wynieśli Lorenzę.

ROZDZIAŁ CXXIV. SZKATUŁKA

Pan de Sartines oglądał szkatułkę ze wszystkich stron, jak człowiek doceniający ważne odkrycie.

Podniósł klucze, które upuściła Lorenza i próbował otworzyć szkatułkę, żaden jednak nie pasował. Tak samo daremne były próby otwarcia szkatułki przy pomocy innych kluczy, wydobytych przez ministra ze schowków w biurku.

Wówczas pan de Sartines wyjął dłuto i młotek. Ostrożnie podważył wieczko szkatułki, ale zamiast maszyny piekielnej lub trucizny, której sam zapachy mógł pozbawić Francję jak najbardziej potrzebnego i pożytecznego urzędnika, wewnątrz znajdował się tylko plik papierów.

Zaraz na wierzchu minister zauważył kartkę, zapisaną foremnym charakterem pisma. Pierwsze zdanie brzmiało: „Wielki już czas porzucić nazwisko Balsamo! L.P.D.”

— Hm... — mruknął pan de Sartines. — Chociaż nie znam. pisma, nazwisko wydaje mi się znajome. Poszukajmy pod literą B.

Otworzył jedną z dwudziestu czterech szuflad i wydobył mały rejestr, obejmujący przeszło czterysta nazwisk według alfabetu.

— Ho, ho! Jest co czytać o tym panu Balsamo! — ucieszył się czytając.

Następnie zaczął szperać w szkatułce i przeczytawszy kilka papierów zdawał się być poruszony. Najciekawszy wydał mu się papier zapisany dokładnie nazwiskami i cyframi, nawet na marginesach. Pan de Sartines zadzwonił na służącego i kazał mu wezwać adiunkta z kancelarii.

W dwie minuty urzędnik zjawił się. Miał w ręku duży rejestr. Minister popatrzył nań w lustrze i podał przez ramię papier.

— Odszyfruj mi to — nakazał. — Tak jest, panie — odparł urzędnik.

Był to człowieczek chudy, blady, z ostrym podbródkiem i odchylonym do tyłu czołem, pod którym lśniły głęboko wpadłe i dziwnie martwe oczy. De Sartines nazywał go Kuną.

Adiunkt siadł skromnie na taborecie i z obojętnym wyrazem twarzy zaczął czytać, wertując trzymany na kolanach słownik szyfrów lub posługując się pamięcią.

W ciągu pięciu minut odczytał i zapisał w punktach:

§

„Rozkaz o zgromadzeniu w Paryżu trzech tysięcy zaprzysiężonych”.

§

„Rozkaz o wytypowaniu trzech okręgów i sześciu świątyń”.

§

„Rozkaz o ustanowieniu straży wielkich tajemnic egipskich i przygotowaniu dla głównego przewodniczącego czterech lokali, w tym jednego w pałacu królewskim”.

§

„Rozkaz o wręczeniu przewodniczącemu pięciuset tysięcy franków na wyposażenie jego policji”.

§

„Rozkaz o zwerbowaniu do pierwszego okręgu paryskiego I głównych przedstawicieli literatury i filozofii”.

§

„Rozkaz o przekupieniu władz sądowych i wykonawczych oraz o inwigilowaniu ministra policji, który w razie wypadku ma być porwany siłą, za pomocą przekupstwa lub podstępem”.

Adiunkt skończył stronę i pan de Sartines wyrwał mu z niecierpliwością papier. Zaczął szybko czytać i gdy doszedł do ostatniego paragrafu, twarz jego pokryła się bladością.

Zatrzymał papier i podał urzędnikowi nowy arkusz, ten zaś zabrał się znowu do roboty. Pan de Sartines nie czekał, aż skończy i czytał przez ramię:

— „W Paryżu zmienić nazwisko Balsamo, które zaczyna być głośne i przybrać nazwisko hrabiego de Foe...”

Głos dzwonka przerwał ministrowi czytanie. Wszedł lokaj i zameldował:

— Hrabia de Foenix.

De Sartines odesłał czym prędzej adiunkta bocznym wyjściem i kazał lokajowi poprosić hrabiego.

W chwilę potem minister ujrzał w lustrze regularnie zarysowany profil hrabiego, którego zresztą już raz widział w dniu prezentacji hrabiny Dubarry. Balsamo wszedł śmiało, bez wahania.

Minister wstał, uklonił się chłodno i od razu odgadł przyczynę i cel wizyty, widząc, że oczy hrabiego utkwione są w otwartą i na pół opróżnioną szkatułkę.

— Czemu mam przypisać odwiedzinę pana hrabiego? — zapytał de Sartines.

— Miałem zaszczyt przedstawić się wszystkim monarchom europejskim, ministrom i posłom — odpowiedział Balsamo — ale nie znalazłem nikogo, kto by mnie przedstawił panu. Przychodzę więc sam się przedstawić.

— W porę pan przychodzi — powiedział strażnik porządku. — Gdyby pan nie przybył, miałbym zaszczyt prosić pana do siebie.

— A zatem rad jestem, że uprzedziłem pańskie życzenie. Minister skłonił się w odpowiedzi z szyderczym uśmiechem.

— Czy będę miał szczęście być w czymkolwiek panu użyteczny? — zapytał Balsamo. Powiedział to tak naturalnie, bez cienia niepokoju i z uśmiechem, że de Sartines z trudem ukrył zdziwienie.

— Pan wiele podróżował, czy tak? — zagadnął.

— Bardzo dużo. A może panu potrzebne jakie wyjaśnienia geograficzne? Człowiek z pańskimi horyzontami nie ogranicza się zapewne do Francji, ale ogarnia Europę i cały świat...

— Potrzeba mi wyjaśnień nie geograficznych, ale natury policyjnej, hrabio.

— Zawsze jestem gotowy na usługi.

— A więc szukam człowieka bardzo niebezpiecznego i szkodliwego dla społeczeństwa.

— Doprawdy?

— Człowieka spiskującego i fałszującego pieniądze.

— Ho, ho!

— Krzywoprzysięcę, zdrajcę, czarnoksiężnika, szarlatana, przywódcę podejrzanej sekty. Jego historia znajduje się w tej oto szkatułce.

— Rozumiem — rzekł Balsamo — zna pan jego historię, ale nie może go pan odnaleźć, co jest oczywiście ważniejsze.

— Bez wątplenia, ale zobaczy pan, że zaraz go schwytały. Pewny jestem, że nawet Proteusz nie zmieniał tak często kształtów, Jowisz nazwisk, jak ten tajemniczy podróżny. W Egipcie nazywał się Acharat, we Włoszech Balsamo, na Sardynii Somini, na Malcie margrabia d'Anna, na Korsyce margrabia Pellegrini, na koniec hrabia de...

— Hrabia de...? — zapytał Balsamo.

— Nazwiska tego nie mogłem właśnie odczytać, ale pewny jestem, że mi pan pomoże. Na pewno go pan spotkał w licznych podróżach.

— Niech mi pan udzieli jakichś objaśnień — zaproponował spokojnie Balsamo.

— Dobrze, podam panu jego rysopis — odparł de Sartines spoglądając na hrabiego wzrokiem inkwizytorskim. — Otóż jest on pańskiego wieku, ma pana wzrost i pana budowę. Niekiedy bywa wielkim panem i sypie złotem, niekiedy zaś jest szarlatanem, tropiącym tajemnice przyrodzenia. Czasami także dyryguje jakimś tajemniczym sprzysiężeniem, które ma wywołać straszliwe wstrząsy, bunty i inne okropności.

— Niezbyt precyzyjnie — rzekł Balsamo. — Spotykałem wielu podobnych i dlatego potrzebniejszy mi wizerunek bardziej dokładny. Przede wszystkim czy pan wie, gdzie on zwykle przebywa?

— Wszędzie, a teraz we Francji.
 — I co robi we Francji?
 — Kieruje wielkim spiskiem przeciwko ludzkości.
 — A, to co innego. Teraz go będzie łatwiej odnaleźć. Ale jeżeli pan wie o nim tak dużo, po co mnie pan pyta o radę?
 — Bo nie mogę się zdecydować, czy go aresztować.
 — Nie pojmuję. Jakże można na pana stanowisku wahać się z aresztowaniem?
 — A jeśli on nosi znakomite nazwisko, posiada tytuły, które go osłaniają przed sprawiedliwością?
 — Rozumiem. A pan nie zna jego nazwiska...
 — Gdybym znał, kazałbym go aresztować natychmiast.
 — A więc, drogi panie de Sartines, powiedział pan trafnie, że przybyłem w porę, gdyż spodziewam się wyświadczyć panu usługę.
 — Powie mi pan jego nazwisko?
 — Tak. Znam go doskonale. Nazywa się hrabia de Foenix. — Jak to? Nazwisko, pod którym pan został zameldowany?
 — Tak jest. To moje nazwisko i tamte, które pan bez pomyłki wyliczył, to także moje.
 De Sartines osłupiał. Podobna bezczelność przechodziła jego wyobrażenie.
 — A więc odgadłem, że Balsamo i hrabia de Foenix to jedna i ta sama osoba — powiedział jakby do siebie.
 — Och, przyznaję, że pan jest wielkim ministrem.
 — A pan człowiekiem nieostrożnym — odparł minister podchodząc do dzwonka.
 — Dlaczego jestem nieostrożny?
 — Powiem potem, a teraz każę pana aresztować.
 — Ależ to dziecinada! — rzekł Balsamo, zagrządzając ministrowi drogę. — Czyż można mnie aresztować?
 — Dlaczego nie? Zaraz się pan przekona.
 — Chyba się nie przekonam — odpowiedział Balsamo i szepnął ministrowi na ucho kilka słów, wśród których znalazły się takie, jak „spekulacja” i „zboże”.
 De Sartines zesztyniał i zbladł.
 — No i co? Chce pan ze mną walczyć? — zapytał go Balsamo.

ROZDZIAŁ CXXV. ROZMOWA

Minister otarł pot z czoła i powiedział z determinacją:

— Dobrze, będziemy walczyć... To mi nie przeszkodzi wypełnić obowiązku ministra policji. Pan ma dowody przeciwko mnie, a ja przeciwko panu. Niech pan zachowa swoją tajemnicę, a ja zachowam pana szkatułkę.

— Doprawdy, dziwię się, jak pan może się tak mylić, Szkatułka ta nie może przecież zostać w pana ręku.

— Ho, ho! — zawołał de Sartines z szyderczym uśmiechem. — Zapomniałem, że pan hrabia de Foenix należy do stowarzyszenia rycerzy-bandytów, którzy nie oszczędzają starych ani młodych...

— Dość! Nie myśli pan chyba, że zamierzam odebrać szkatułkę pogroźkami czy siłą? Nie spodziewam się też, abym po wyjściu stąd miał być schwytany jak złodziej. Nie jestem źle wychowany, ani nierozsądny. Kiedy mówię, że mi pan odda szkatułkę, to znaczy, że mi ją pan sam wręczy z grzecznym, uśmiechem.

— Ja?! — zawołał de Sartines, kładąc na szkatułce rękę. — Może się pan śmiać, ale szkatułki mi pan nie odbierze, chyba razem z życiem, które nie raz już ryzykowałem. Nie pomogą panu nawet potęgi piekielne!

— Wcale ich nie będę prosił o pomoc. Wystarczy mi pomoc osoby, która właśnie wchodzi do pańskiego pałacu.

W sekundę później dało się słyszeć na dziedzińcu kołatanie.

— Która w tej chwili wjeżdża na dziedziniec — ciągnął Balsamo.

— Zapewne to jakiś pana sprzymierzeniec. Czy myśli pan, że oddam szkatułkę?

— Jestem tego pewny, drogi panie de Sartines.

Na twarzy ministra pojawił się wyraz dumnej wzgardy, ale w tej samej chwili lokaj spiesznie otworzył drzwi i zameldował panią Dubarry.

De Sartines zadrżał i spojrzął na Balsamo z przestraczem. Ten zaś miał minę, jakby powstrzymywał się od śmiechu.

Pani Dubarry weszła do gabinetu lekka jak wałka i pachnąca perfumami. Minister skłonił się, ściskając szkatułkę oburącz.

— Jak się masz, panie de Sartines — powitała go hrabina z wesołym uśmiechem i zwróciła się do hrabiego; — Dzień dobry panu.

Balsamo pocałował jej rękę ze swobodą i szepnął jej do ucha coś, czego minister nie dosłyszał,

— Ach, moja szkatułka — zawołała hrabina.

— Pani szkatułka! — wyjąkał de Sartines.

— Oczywiście, że moja! Ale widzą, że jest otworzona. Postępuje pan bez ceremonii z moją własnością!

— Ależ, hrabino...

— Właśnie miałam przecucie... Skradziono mi szkatułkę, kazałam więc zaprząć do karety i powiedziałam sobie, że pojedę do pana de Sartines, który mi odnajdzie szkatułkę. Uprzedził pan moją prośbę, dziękuję panu.

— Mam dla pani wielki szacunek — rzekł minister policji — ale obawiam się, że pani padła ofiarą mistyfikacji...

— Czy to przypadkiem nie stosuje się do mnie? — spytał Balsamo.

— Ja wiem swoje — odpowiedział de Sartines.

— Ale ja nic nie wiem — rzekła hrabina do Balsamo po cichu. — Co się stało? Stawiłam się, bo umiem dotrzymywać słowa, ale czego pan chce ode mnie?

— Pani hrabino — odpowiedział głośno Balsamo — przed kilku dniami powierzyła mi pani szkatułkę ze wszystkim, co się w niej znajdowało.

— Ależ oczywiście — potwierdziła hrabina.

— Jak to? Pani mówi: oczywiście? — zawołał de Sartines.

— Zdaje mi się, że hrabina powiedziała to wyraźnie i żąda zwrotu szkatułki. Niech więc ją pan odda.

— Ale przynajmniej niech się pani dowie... Balsamo spojrzął na hrabinę.

— Nie mam się czego dowiadywać — rzekła pani Dubarry. — Wszystko wiem i proszę o zwrot szkatułki.

— W imieniu Jego Królewskiej Mości błagam cię, hrabino...

— Proszę mi oddać szkatułkę albo nie, ale radzę się panu zastanowić.

— Jak pani chce — rzekł z rezygnacją minister i podał hrabinie szkatułkę, do której Balsamo włożył część papierów porzucanych na biurku.

Pani Dubarry zwróciła się do niego:

— Bądź łaskaw, hrabio, odnieść tę szkatułkę do mojej karety i przeprowadź mnie przez te pokoje, wypełnione tak szkaradnymi postaciami. Dziękuję panu, de Sartines.

Balsamo wziął szkatułkę i podszedł z hrabiną do drzwi, gdy wtem spostrzegł, że minister sięga do dzwonka.

— Hrabino — rzekł Balsamo przystając — bądź tak dobra i racz powiedzieć panu de Sartines, który się na mnie gniewa, żeby nie próbował mi robić wstrętów, bo mu tego nie przebaczysz.

— Czy pan słyszy, panie de Sartines? — powiedziała hrabina z uśmiechem. — Pogniewam się śmiertelnie, jeżeli pan wyrządzi mojemu przyjacielowi przykrość. Żegnam.

Wyszli. Balsamo spodziewał się, że minister wpadnie w gniew, ten jednak popatrzył za odchodzącymi z miną obojętną.

— Doskonale! Idź sobie — mruknął. — Ty masz swoją szkatułkę, a ja mam twoją żonę.

Żeby na kimkolwiek wyrzucić swój gniew, tak silnie targnął sznur dzwonka, że mało go nie urwał.

ROZDZIAŁ CXXVI. DE SARTINES ZACZYNA WIERZYĆ, ŻE BALSAMO JEST CZARNOKSIĘŻNIKIEM

Na odgłos dzwonka do gabinetu pana de Sartines wszedł woźny.

— No i co? Czy lepiej tej pani? — spytał minister.

— Jakiej pani, tej, co omdlała? Już zupełnie zdrowa.

— Przeprowadź ją tutaj do mnie.

— Dokąd mam pójść po nią, proszę pana?

— Jak to? Do pokoju, w którym ją cuciliście.

— Ale jej tam nie ma.

— Gdzież więc się podziała? — Nie wiem. Wyszła.

— Ależ ona ledwie stała na nogach!

— Tak, ale kiedy hrabia de Foenix wszedł do gabinetu, wróciła do siebie, wstała i ponieważ pan nie kazał jej zatrzymywać, wyszła.

— O, bydlaki! — krzyknął de Sartines. — Wszystkich was wsadzę do Bicêtre! Biegnij do mojego asystenta!

Woźny wypadł z gabinetu, minister zaś westchnął z rezygnacją:

— Nie ma co z nim wojować. Z pewnością to czarownik. Ja jestem ministrem policji, a on ministrem diabła.

Jak się łatwo domyślić, wyjście Lorenzy było zasługą Balsamo, który nakazał jej wysiłkiem woli, aby wróciła do domu.

De Sartines niemal odchorował całe zdarzenie i lekarz musiał mu wieczorem puszczać krew.

Tymczasem Balsamo wracał z hrabiną jej karetą, Dżerid zaś szedł obok uwiązany.

— Widzisz, hrabio, jaka jestem rzetelna — mówiła pani Dubarry. — Wybierałam się do Luciennes, gdzie miał przyjechać król, ale kiedy otrzymałam od ciebie list, rzuciłam wszystko i przybiegłam na ratunek.

— Droga hrabino — odpowiedział Balsamo — odpłaciłaś mi sownie drobną przysługę, jaką ci okazałem. Umieć być wdzięczny, ale nie sądz, że jestem spiskowiec i zbrodniarz, jak mówił de Sartines. Minister otrzymał moją szkatułkę z zapiskami chemicznymi i tajemnicami, którymi się pragnę podzielić z tobą, hrabino, abyś zachowała swoją urodę i nieśmiertelną młodość. Minister wezwał specjalistów, którzy odczytywali formułki i cyfry po swojemu, a jak pani wiadomo chemia kryje dla nich niebezpieczeństwa, bo to umysły średniowieczne. Jednym słowem, wybawiłaś mnie, hrabino, wobec tego dziękuję ci, obiecując wdzięczność.

— A co by zrobił de Sartines, gdybym w porę nie nadeszła?

— Osadziłby mnie w więzieniu. Oczywiście, wyszedłbym stamtąd, bo umiem tchnieniem rozpuszczać kamienie, ale straciłbym szkatułkę, w której, jak mówiłem, znajduje się wiele ciekawych formuł, wydartych przez naukę przyrodzie.

— Uspokoileś mnie, hrabio. A czy przyrzekasz mi eliksir młodości? — powiedziała hrabina.

— Przyrzekam, ale jeszcze nie zaraz. Potrzebny ci będzie, hrabino, za lat dwadzieścia. Nie sądzę, abyś chciała teraz zostać dzieckiem. — Dziwny z ciebie człowiek, hrabio. Ale jeszcze jedno; mówił pan, że ktoś dostarczył szkatułkę ministrowi; to naturalnie nie pan, a więc jakiś zdrajca. Któż to taki?

— Kobieta. Kobieta podżegana zazdrością.

W chwilę potem hrabina kazała zatrzymać karetę i zapytała:

— Czy pan chce tutaj wysiąść, czy mam pana odwieźć do domu?

— Tutaj wysiądę. Mam przecież Dżerida.

— Ach, to ten śliczny koń, o którym mówią, że jest szybszy niż wiatr?

— Widzę, że się pani podoba, hrabino, a więc pozwól mi go sobie ofiarować.

— Dziękuję, ale nie mogę przyjąć takiego подарunku. Wiem, że jesteś, hrabio, do niego przywiązany, a sama nie Jeżdżę konno. Wiedz też, że doceniam wartość twojego подарunku. A teraz żegnam pana i przypominam o obietnicy dostarczenia mi eliksiru za dziesięć lat.

— Powiedziałem, że za dwadzieścia lat.

— Nie można wiedzieć, co się przytrafi, a lepiej dziś niż jutro. Nie sprzeciwię się, jeżeli otrzymam eliksir za pięć lat...

— Jak zechcesz, hrabino, jestem na twoje rozkazy.

— I jeszcze jedno, drogi hrabio. Mam do ciebie zaufanie i... Podobno królowi podoba się ta mała de Taverney...

— Czy to możliwe?

— Tak wszyscy mówią. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, błagam cię, hrabio.

— Zrobię dla pani więcej, hrabino — odparł Balsamo — bo mogę panią zapewnić, że Andrea de Taverney nigdy nie będzie kochanką króla.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Dubarry.

— Dlatego, że ja tak chcę. Czy pani wątpi?

— Przecież trudno mi tego zabronić.

— Niech pani nie wątpi w naukę, nigdy, hrabino.

— Czy zatem może pan zniweczyć wolę... króla? Balsamo uśmiechnął się.

— Mogę wzbudzić sympatię, co oznacza, że potrafię także wzbudzić wstręt. Uspokój się więc, hrabino, ja czuwam.

— Działajmy więc wspólnie, hrabio. Proponuję ci przymierze.

— Zgoda — rzekł Balsamo całując ją w rękę.

W pięć minut później Balsamo zjawił się w swoim domu.

— Powróciła? — zapytał Fritza.

— Tak. Jest zmęczona, biegła tak prędko, że nie mogłem za nią nadążyć. Leży na skórze lwa.

Balsamo spiesznie pobiegł na górę. Nie wyzwolona jeszcze z hipnozy, Lorenza leżała osłabła i jęcząca, jakby na jej piersiach spoczywała góra cierpienia.

Popatrzył na nią przez chwilę i wzrok jego zabłysnął gniewem. Porwał Lorenzę w ramiona i zaniósł ją do jej pokoju, zamknąwszy za sobą tajemne przejście.

ROZDZIAŁ CXXVII. ELIKSIR ŻYCIA

Balsamo zamierzał obudzić Lorenzę, aby ją obsypać wyrzutami i ukarać. Kiedy jednak położył ją na sofie, rozległo się kołatanie od strony sufitu, znak, że Althotas chce z nim mówić.

W obawie, aby Lorenza się sama nie obudziła, Balsamo nakazał jej jeszcze głębszy sen i poszedł do swego mistrza.

Althotas w oczekiwaniu na niego wyjrzał ze swojego pomieszczenia. Jego twarz była straszna i odrażająca. Chude i kościste ręce przypominały szkielet, zapadłe oczy pałały dzikim płomieniem. Drżał i w nieznanym języku miotał okropne przekleństwa.

Kiedy wszedł Balsamo, starzec zawołał:

— Nareszcie jesteś, próżniaku i niewdzięczniku! Balsamo zawsze okazywał wobec swojego nauczyciela cierpliwość i łagodność, toteż odpowiedział spokojnie:

— Zdaje mi się, że zaraz przyszedłem na twoje wołanie.

— Ty wyrodku, opuściłeś mnie, głodem morzysz, zabijasz... — Uspokój się, mistrzu, gniew ci może zaszkodzić.

— Stale mam wrażenie, że drwisz ze mnie. Czy ja kiedy chorowałem? Czy zapomniałeś, że ja, Althotas, leczę innych?

— Przyszedłem na twoje wezwanie, nie traćmy więc czasu...

— Właśnie! Radzę ci przypomnieć sobie o czasie, który ulata i ginie. Takim się staje też i mój czas, który powinien być wieczny.

— Przestań narzekać, mistrzu — powiedział z niezachwianym spokojem Balsamo. — Powiedz, czego potrzebujesz? Powiedziałeś, że morzę cię głodem, ale to ty sam przecież nakazałeś sobie czterdziestodniowy post.

— Oczywiście. Już trzydzieści dwa dni, jak się zaczęło dzieło odrodzenia.

— Czemu więc się użalas?

— Czy myślisz, że mogę sam jeden dokonać dzieła odmłodzenia i przeobrażenia? Nie mam sił stworzyć eliksiru życia, pijąc tylko ocukrzoną wodę. Potrzebna mi jest rześkość ciała i duszy, a nade wszystko pomoc przyjaciela.

— Tak, wiem o tym — rzekł Balsamo. — Ale nie widzę, żeby ci tu czego brakowało. Jest woda destylowana, sucharki jęczmienne i z sezamu, białe krople...

— Ale eliksir jeszcze nie przygotowany! — krzyknął Althotas. — Ty tego nie pamiętasz, ale kiedyś przygotowywałem eliksir i udałem się na górę Ararat. Kupiłem od jednego Żyda chrześcijańskie niemowlę i wypuściwszy z niego według przepisu krew wziąłem ostatnie trzy krople i w ciągu godziny eliksir był gotów. Dlatego też moje ostatnie pięćdziesięcioletnie odrodzenie przeżyłem jak najlepiej. Prawda, że mi powypadały zęby i włosy, ale potem odrosły. Teraz zaś postarzałem się znowu i jeżeli eliksir nie będzie gotów, nauka całych stu lat zginie wraz ze mną. Och, strzeż się mnie wtedy, Acharacie! Gniew mój będzie straszny!

I starzec dostał ze wzburzenia konwulsji, które następnie przeszły w gwałtowny kaszel. Balsamo pomagał mu przyjść do siebie i gdy to nastąpiło, zapytał:

— Powiedz teraz, mistrzu, czego żądasz?

— Brakuje mi ostatnich trzech kropel krwi... Balsamo zatrząsł się ze wstrętu.

— Nie będziemy mówić o dziecku, bo to dla ciebie za trudne — mówił dalej Althotas. — Przyjemniej siedzieć ci z kochanką w zamknięciu.

— Wiesz dobrze, że Lorenza nie jest moją kochanką.

— Och, mówisz tak i myślisz, że mnie oszukasz. Chcesz, żebym wierzył w czystość męczyzny.

— Przysięgam, że Lorenza jest nie pokalana jak anioł. Przysięgam, że poświęciłem miłość, żądze i rozkosze ziemskie, aby się odrodzić. Między nami jest tylko ta różnica, że ty myślisz jedynie o sobie, a ja o całej ludzkości, ponieważ ja także chcę odrodzić ród ludzki.

— Biedny głupcze! — zawołał Althotas. — Znowu zaczynasz o swoich mozolnych przemianach, kiedy ja mówię o życiu wiecznym, wiecznej młodości, wiecznym szczęściu...

— Które osiągnąć można przy pomocy okropnej zbrodni... Jeżeli zrzekasz się niemowlęcia, powiedz mi, czego potrzebujesz?

— Trzeba mi istoty niewinnej, najlepiej dziewicy. Pospiesz się, gdyż mam tylko jeszcze jeden dzień czasu.

— Dobrze, mistrzu, poszukam — odparł Balsamo. W oczach starca błysnęła krwawa iskra.

— Poszukasz! — zawołał. — To twoja odpowiedź... W oczach twoich widzę zakłopotanie, chcesz kłamać przede mną, ale nic się przed Althotąsem nie ukryje! Czyta on w sercu Acharata i gotów jest sądzić go i ścigać.

— Ja zawsze mówię prawdę. Postaram się i może będę mógł ci dostarczyć tego, czego chcesz, ale nie biorę odpowiedzialności za podobną zbrodnię. Oto wszystko, co ci mogę powiedzieć.

— O, jakie masz czułe serce! — zawołał Althotas i podniósł się z trudem. — Tak, czy nie? — zapytał ostro.

— Tak, jeżeli znajdę, nie, jeżeli nie znajdę, mistrzu.

— A więc gubisz mnie, nikczemniku. Ale posłuchaj: będę czekał i jeżeli nie spełnisz mej woli, sam ją spełnię! Idź teraz.

Balsamo powoli odszedł, nie dostrzegając złośliwego uśmiechu starca, który wykrzywił swoją ohydłą twarz jeszcze wówczas, gdy jego uczeń znalazł się w pokoju Lorenzy.

ROZDZIAŁ CXXVIII. WALKA

Balsamo stał przed kanapą, na której spoczywała Lorenza i rozmyślał.

— Oto pozostałem sam jeden — mówił sam do siebie. — Lorenza nienawidzi mnie: odgrażała się, że zdradzi i zdradziła. Tajemnica moja nie należy już do mnie, zostawiłem ją w ręku tej kobiety. Walał się w gruzy nadzieje moje w tym kraju, a zatem na całym świecie, którego duszą jest Francja. I pomyśleć, że zawdzięczam to tej pięknej, słodko uśmiechniętej pani... Oto zło zwyciężyło dobro... Lorenza już niepotrzebna... Spij, żmijo, a gdy się obudzisz będę cię musiał zabić...

I uśmiechając się ponuro, Balsamo zbliżył się do Lorenzy, która patrzyła na niego wzrokiem pełnym tęsknoty.

— Oto zmuszony jestem zamknąć na zawsze te czułe i te gniewne zarazem dla mnie oczy! — zawołał Balsamo. — Ale... zabijając tę, która mnie nienawidzi, zabiję także tę, która mnie kocha...

Serce jego napełniło się bólem, ciało przeniknął strumień pożądania.

— Nie, nie mogę jej zabić — monologował dalej. — Nie zabiję jej, ale i nie obudzę. Niech żyje tym sztucznym życiem, skoro prawdziwe jest dla niej męczarnią. Czemu nie umiałem uczynić ją szczęśliwą! Ale... już za późno...

Napotyając na tkliwe spojrzenie Lorenzy, dotknął dłońmi jej głowy. Młoda kobieta westchnęła i podnosząc się leniwie położyła mu na ramionach białe, długie ręce i zbliżyła swoją twarz do ust Balsamo.

— O, nie! Nie mogę dłużej walczyć z tą kusicielką. Żegnaj sławo, potęgo, nieśmiertelności! Nie, nie, ona musi się obudzić, ja tak chcę...

Miał jeszcze tyle siły, aby ją odepchnąć. Lorenza opuściła ręce i osunęła się na kanapę w pozie, której nie mogłaby wymyślić najbardziej wyuzdana kochanka.

Na pół przytomny, Balsamo zdobył się na wysiłek i odszedł kilka kroków; na nieszczęście odwrócił się i to go zgubiło.

— Jeżeli ją przebudzę — rozmyślał — walka zacznie się na nowo: ona zabije siebie albo mnie, lub zmusi mnie, abym ją zabił. O, biada mi!

Miłość i śmierć, życie i miłość! Pojęcia te przewalały się w jego sercu i doprowadzały go do szaleństwa.

Lorenza tymczasem podniosła się znowu, wstała, podeszła do niego i padając na kolana spojrzała promiennym wzrokiem. Chwyliła jego rękę, przycisnęła do serca i błyszczącymi wargami wyszeptła gorąco:

— Miłość i śmierć!

Balsamo odrzucił głowę do tyłu, zakrył oczy i cofnął się. Ale Lorenza powlokła się za nim, kusząc powtarzaniem tych samych słów. Balsamo nie mógł się opierać dłużej. Gorący obłok ogarnął całą jego istotę.

— Och, dość tej walki! — zawołał. — Jestem człowiekiem, a nie aniołem. Zbyt długo tłumilem namiętności, aby nacieszyć egoizm i dumę. Nie mam prawa walczyć przeciwko miłości! Kocham ją i miłość moja zdręcza ją bardziej niż nienawiść. Dość okrucieństwa i fałszywej pychy, za którą trzeba będzie odpowiedzieć przed Bogiem... Lorenzo, wiem, że kochając się, unicestwiam swoją przyszłość, ale... czy chcesz tego, ukochana?

— O, ukochany! — westchnęła. — Błagam cię o to! Takie życie jest dla mnie szczęściem!

— A czy poprzestaniesz na tym życiu? Ja cię tak kocham!

— Wiem, bo widzę, co jest w twoim sercu.

— Boję się, Lorenzo, żebyś mnie potem nie obwiniała wobec ludzi i Boga, żebyś nie mówiła, że cię przymusiłem.

— Będzie to jedyne szczęście w moim życiu!

— A więc nigdy nie uniesiesz się w jasną przestrzeń, nigdy nie powiesz mi o przyszłości. Nie będę mógł za twoim pośrednictwem rozkazywać ludziom, nie usłyszę więcej twojego głosu odpowiadającego na moje wezwania. Byłaś mi pośredniczką między niebem a mną, teraz pozostajesz mi tylko jako ukochana kobieta...

— Będę cię kochać zawsze, jedyny!

— Niech więc się stanie — powiedział Balsamo, ocierając czoło. — Czyż zresztą ona jedna posiada dar jasnowidzenia? Nie i dopóki sycić się będę w jej ramionach, moim pośrednikiem będzie Andrea. Nie kocham jej, a przecież jest mi uległa. Ona będzie moją ofiarą, służyć mi będzie w działaniu moim. Ona będzie sługą, a ty, Lorenzo, kochanką. Od tej chwili moje życie stanie się pełnią, posiadę szczęście i zabraknie mi tylko nieśmiertelności, aby stać się bogom równy. Lorenzo, pójdź!

Pochylił się nad Lorenzą, która przytuliła się do niego, a potem, ogarniając go wzrokiem pełnym miłości i oddania, owinęła się wokół niego jak bluszcz wokół pnia dębu.

ROZDZIAŁ CXXIX. MIŁOŚĆ

Balsamo rozpoczął nowe życie.

Już od trzech dni głowy jego nie zaprzętały sprawy polityczne ani publiczne, nie odczuwał gniewu, obaw ni zazdrości. Jego burzliwy, niespokojny charakter doznał uciszenia, oładnęła nim całkowicie miłość. Zapomniał o całym świecie i ani na chwilę nie odstępował Lorenzy. Zanurzył się w uniesienia miłosne, niepomny na wszystko, co było poza miłością.

Upojenie nie odebrało mu tylko świadomości, że stany miłosne, jakich doświadczał, obracały się w sferze jakby widmowej. Kochał Lorenzę normalną i uśpioną, ale był kochany wyłącznie przez Lorenzę uśpioną. Wiedział, że jedno słowo może przekształcić ją w nieubłaganego wroga.

W ciągu trzech dni, rzadko przytomniejąc w swoim letargu miłosnym, Balsamo patrzył na uśmiechniętą kochankę, szczęśliwą i rojącą o swoim tajemniczym szczęściu. W chwilach takich zastanawiał się, czy przypadkiem Bóg się na niego nie pogniewał i nie podpowiedział kochance, aby go oszukała, aby jego tajemnicy nie pochwyciła i nie wystąpiła jako mściwa Eumenida.

Takie nawroty czujności szybko się jednak wyczerpywały i Balsamo na nowo zapadał w otchłań namiętności.

— Gdyby Lorenza udawała — myślał — znalazłaby okazję, aby mnie pozostawić samego. Tymczasem jej ramiona są jak nierozzerwalne łańcuchy, spojrzenie jej mówi: nie odchodź...

I znowu zaczynał Balsamo wierzyć w naukę i w siebie samego. Znowu nabierał pewności, że jego potęga nie jest chimera, uśpioną w miłosnym letargu.

Lorenza odgadywała natychmiast wszystkie jego myśli i uczucia. Należało tylko jeszcze przekonać się, czy jej zdolność jasnowidzenia trwa, czy też zwolna zanika pod wpływem miłosnego szczęścia. Balsamo nie śmiał jednak wystawiać tej jej zdolności na wyczerpującą próbę.

Niekiedy Lorenza mówiła doń ze słodką melancholią:

— Acharacie, ty myślisz o innej kobiecie, blondynce z błękitnymi oczami. Widzę to wyraźnie, jak w zwierciadle.

— Powinnaś więc wiedzieć, czy ją kocham.

— Wiem, że jej nie kochasz, ale myślisz o niej...

— Ach, nie, myślę tylko o tobie, ukochana — zapewniał ją Balsamo. — Przecież widzisz, że od dnia, w którym rozpoczęło się nasze szczęście, o wszystkim zapomniałem, porzuciłem politykę, naukę i pracę...

— To źle, bo ja mogłabym ci być we wszystkim użyteczna. Czemu nie mogłabym wesprzeć twojej potęgi, jak ustokrotniam twe szczęście?

— Bo chociaż jesteś piękna, nie poznałaś nauki. Niebo obdarza nas pięknem i miłością, ale wiedzy dostarcza tylko nauka.

— Dusza doświadcza wszystkiego i wszystko wie.

— Widzisz więc wszystko oczami duszy?

— Widzę i potrafię ci pomóc.

— I możesz doprowadzić mnie do odkrycia kamienia filozoficznego, ukochana?

— Tak, wierzę w to.

Wówczas Balsamo zaprowadził ją do swego laboratorium, nieczynnego od wielu dni.

Lorenza patrzyła bez zdziwienia na przedziwne przyrządy i urządzenia dogorywającej już alchemii i czyniła wrażenie, że знаła wszystko.

— Chcesz wytwarzać złoto? — zapytała z uśmiechem.

— Tak, ale zaprzestałem doświadczeń i nie żałuję tego.

— I masz słuszność, ponieważ nie można wytworzyć złota.

— A jednak Daniel z Siedmiogrodu sprzedał Kosmie I receptę na zamianę metali.

— To było oszustwo.

— A Sas Payken, alchemik, który zamienił sztabę ołowiu w złoto, z którego wykuto monety i medal ku jego czci?

— I ten był tylko zręcznym szarlatanem, który użył do swojej sztuczki prawdziwego złota. Ty, Acharacie, masz pewniejszy sposób wytwarzania złota: przetapiać na sztaby bogactwo, które ci znoszą niewolnicy z całego świata.

Balsamo zamyślił się.

— A więc przemiana metali jest niepodobieństwem? A wytwarzanie diamentów?

— To co innego, bo wytwarzając diament nie zmienia się jednego tworzywa w drugie. Zmienia się tylko jego właściwości.

— Czy wiesz, czym jest diament?

— Wiem: skryształizowanym czystym węglem. Balsamo osłupiał. Nieoczekiwane światło olśniło go.

— O Boże! — zawołał. — Znadto jesteś dobry! Dostyć! Czy nie zagraża mi jakieś niebezpieczeństwo?

— Jestem twoja, ukochany, rozkazuj mi — podpowiadała Lorenza.

Balsamo wyprowadził ją z laboratorium, nie słysząc skrzypienia dochodzącego od strony sufitu.

— Czy zadowolony jesteś ze mnie? — spytała Lorenza, gdy znaleźli się w jej pokoju.

Balsamo odpowiedział twierdząco i popatrzył na Lorenzę z pewną obawą.

— O Boże! Omal nie zamordowałem tego anioła! — pomyślał. — Nie wierzyłem, że można być szczęśliwym i jednocześnie potężnym. Zapomniałem, że granice prawdopodobieństwa przekraczają horyzonty wytyczone stanera obecnej nauki. Myślałem, że to chimera, że nic nie umiem, gdy tymczasem nic nie umiałem...

Lorenza patrzyła na niego i uśmiechała się pogodnie.

— Lorenzo! — powiedział Balsamo. — Spełniło się więc tajemnicze przeznaczenie i oto stanowimy jedwo. Boże, uginam się pod ciężarem Twoich dobrodziejstw!

Upadł na kolana przed Lorenza, objął ją i mówił dalej:

— Nie rozstaniemy się już nigdy. Będziesz mi pomagała w moich pracach. Z twoją pomocą ujrzę nie odkryte jeszcze tajemnice przyrody i nauki. O, jaki jestem szczęśliwy!

Lorenza ciągle uśmiechała się i odpowiadała na słowa kochanka płomiennymi pieszczotami.

— A jednak jeszcze wątpisz — mówiła cicho. — Wątpisz, abym mogła wyjść poza krąg naszej miłości i abym mogła widzieć poprzez przestrzenie. Pocieszasz się myślą, że jeżeli nie będę widzieć, zastąpi mnie ta blondynka, Andrea.

— Zgadłaś, jedyna — ustąpił Balsamo. — Czytasz moje myśli... Ale mam jeszcze jedną wątpliwość... Chciałbym wiedzieć, czy widzisz poprzez przeszkody materialne?

— Spróbuj, najdroższy.

— Daj mi więc rękę i chodźmy.

Wyprowadził ją w myśli poza mieszkanie i zapytał:

— Gdzie teraz jesteśmy?

— Na górze. Przed nami szeroka dolina przecięta rzeką, która płynie u podnóża zamku.

— Tak — potwierdził z radością Balsamo — tak, Lorenzo. To zamek des Maisons. Wejdzmy teraz do pawilonu, który zostawiliśmy po drodze. Co tam widzisz?

— W przedpokoju siedzi Murzynek dziwnie ubrany i zajada słodczyce, obok salon. Nie ma w nim nikogo.

— Tak, to był Zamora. Chodźmy do buduaru.

— Buduar obity jest błękitnym atłasem w kwiaty... Leży tu na sofie kobieta.

— Czy znasz ją?

— Tak, to hrabina Dubarry.

— Ach, Lorenzo! Rozum tracę, to doprawdy ona. Co robi?

— Myśli o tobie. Coś jej obiecałeś...

— Co obiecałem?

— Elixir piękności, którą Afrodyta dała Faonowi mszcząc się nad Safoną.

— To prawda. I co ona zamierza?

— Czekaj... Dzwoni... Wchodzi niewysoka brunetka. Hrabina każe jej zaprzęgać do karety.

— To jej siostra. Dokąd wybiera się hrabina?

— Do ciebie. Za dwie godziny będzie tutaj. Balsamo upadł na kolana i zawołał:

— O, jeśli to się sprawdzi, nie będę miał już o co prosić Boga! Chyba tylko o utrwalenie mojego szczęścia.

— Lękałeś się więc, ukochany... Niepotrzebnie. Miłość obejmuje nie tylko byt fizyczny, ale i duchowy, zbliża nas ku Bogu, jak każda szlachetna namiętność.

Balsamo był jak odurzony. Pozostawało mu tylko czekać, aby poznać ostateczny dowód jasnowidzenia Lorenzy.

Dwie godziny minęły szybko. Lorenza podawała mu co jakiś czas, gdzie w danym momencie znajduje się karetą z panią Dubarry i wreszcie dał się słyszeć głos dzwonka. Lorenza podprowadziła kochanka do drzwi.

— Nie wyjdiesz z tego pokoju? — zapytał Balsamo.

— Będę tu na ciebie czekać. Idź już. Balsamo jeszcze się wahał.

— Czyż nie widzisz mojej duszy, jak ja widzę twoją? — spytała Lorenza.

— Niestety, nie.

— Jeżeli jeszcze wątpisz, każ mi nie ruszać się z kanapy.

— Dobrze więc, Lorenzo. Czekaj na mnie i śpij. Lorenza od razu poczuła się senna. Podeszła do Balsamo,

przygłnęła doń całym ciałem i wpiła się w jego usta ostatnim, pocałunkiem. Potem położyła się na kanapie i szepnęła:

— Do widzenia, najdroższy. Do widzenia, nieprawdaż? Balsamo posłał jej ręką pocałunek i gdy zasnęła, podszedł

jeszcze do niej i całował ją. Dalsze dzwonki przywróciły go do rzeczywistości, wstał więc i wyszedł.

W chwilę potem wśród mroków snu Lorenza ujrzała, jak dębowy sufit otwiera się i w otworze ukazuje się jakaś maskara. Potwór zbliżał się do młodej kobiety, patrząc na nią okropnymi oczyma i wyciągając kościste ręce.

Lorenzę ogarnął duszący strach. Daremnie próbowała wstać i uciekać. Nie pojmowała, jakie jej zagraża niebezpieczeństwo. Ujrzała dwa ruchome, straszliwe kleszcze, których końce uczępiły się jej białej sukni i uniosły ją całą. Młoda kobieta poczuła, że unosi się do góry ku sufitowi. Makabryczny, trzeszczący w jej uszach śmiech maskary towarzyszył jej w powolnym unoszeniu się do góry, aż do wszechogarniającej ciemności.

ROZDZIAŁ CXXX. NAPÓJ MIŁOSNY

Balsamo wszedł do salonu, w którym czekała pani Dubarry, z twarzą jaśniejącą szczęściem. Ukłonił się jej z uśmiechem i powiedział:

— Przepraszam cię, hrabino, że czekałaś na mnie, ale nie wziąłem pod uwagę szybkości twoich koni. Sądziłem, że jeszcze jedziesz placem Ludwika XV.

— Jak to? — zdziwiła się pani Dubarry. — Pan wiedział, że przyjadę?

— Tak, hrabino. Przed dwiema godzinami widziałem panią w jej błękitnym buduarze w kwiaty. Leżała pani na sofie i myślała, żeby pojechać do hrabiego de Foenix. Zadzwoiła pani i...

— I kto wszedł? — spytała zdumiona wciąż hrabina.

— Weszła siostra twoja, hrabino.

— Doprawdy, hrabio, jesteś czarownikiem. Czy pan często patrzy, co się dzieje w moim buduarze? Na przyszłość dobrze byłoby uprzedzić mnie o tym...

— Och, hrabino! Ja patrzę tylko przez drzwi otwarte.

— Trudne do uwierzenia... A teraz, hrabio, pozwól, że ci powiem, co dla ciebie zrobiłam.

— O nie, proszę najpierw mówić o sobie.

— Dobrze, ale zacznijmy od tego, że kiedy tu jechałam, poznałam jednego ze sług marszałka, który jechał za moją karetą.

— Jak pani sądzi, w jakim celu księżę panią śledzi?

— Aby mi zaszkodzić. Wie, że nasze wzajemne stosunki nie mogą się podobać królowi...

— Księżę nie może pani zaszkodzić

— On już zaszkodził — odparła hrabina. — Mało co przecież nie padłam ofiarą jego intrygi, w której i pan był trochę zamieszany.

— Ja przeciwko pani?

— Czy nie dawał pan księżciu eliksiru?

— Nie, eliksir ma księżę swój, według własnych recept. Ode mnie brał tylko krople na sen.

— Którego dnia przyjeżdżał po te krople? — Ubiegłej soboty.

— Ach, teraz rozumiem! Król był wtedy u panny de Ta-verney.

— Jeżeli więc pani rozumie, tedy wie pani, że dałem tylko te usypiające krople.

— One nas ocaliły, za co panu dziękuję. Och, hrabio, mówiąc przenośnie, byłam bardzo chora i teraz wprost nie mogę uwierzyć, że wyzdrowiałam. Doskonały z pana doktor.

— Może mi pani raczy podać symptomy tej choroby?

— Z chęcią. Otóż w wigilię odwiedzin króla u panny de Taverney, księżę i baron de Taverney byli na wieczerzy u króla. Andrea zaczęła się podobać królowi, więc marszałek i baron włali jej do wody napoju miłosnego...

— No i co?

— Napój poskutkował i to wszystko. Byli tacy, co widzieli, że król szedł do mieszkania panny Andrei. A potem, w czasie burzy, wrócił rozgorączkowany...

— Myśli pani, że nie od samej burzy dostał gorączki?

— Nie, bo kamerdyner słyszał, jak król wołał: „Umarła!”

— Och! — zdziwił się Balsamo.

— Były to jednak krople usypiające...

— Tak, tak — rzekł Balsamo, teraz dopiero przypomniał sobie, że tego wieczora nie obudził Andrei. — A co było potem?

— Potem król w ciągu dnia przyszedł do siebie, a wieczorem był u mnie w Luciennes, gdzie przekonałam się, że marszałek jest prawie tak samo wielkim czarownikiem, jak pan.

Triumfująca i uśmiechnięta twarz hrabiny upewniła Balsamo, że faworyta posiada jeszcze nad królem władzę.

— A teraz kolej na ciebie, hrabio — powiedziała pani Dubarry. — Ocaliłeś mnie od niebezpieczeństwa, ale i ja wybawiłam cię od wielkiej biedy.

— Mnie? Powiedz, hrabino, w jakiej sprawie?

— W sprawie szkatułki. Były, tam papiery z szyframi. Zostały one przetłumaczone i dziś rano de Sartines był u króla i przywiózł przetłumaczone teksty.

— I co powiedział król?

— Z początku dziwił się, potem przestraszył. Pan de Sartines chciał, żebym wyszła, ale ja pozostałam przy rozmowie, czego zresztą chciał też król. A potem de Sartines oskarżał pana, zaczął napadać na Prusy i mówić o spiskach wielu osób i o tym, że są winni...

— Winni czego?

— Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, bo to jest tajemnica stanu...

— A więc i nasza. Nie masz się czego lękać, hrabino. Przecież powinienem, milczeć we własnym interesie.

— Tak, hrabio... Więc de Sartines chciał dowieść, że liczna i potężna sekta podkopyje ustrój i zagraża Francji.

— I co król na to odpowiedział?

— Jak zwykle żarciem: żeby nie podkopywali ustroju, trzeba ich zamknąć w Bastylii.

Balsamo zadrzał, ale nie dał tego znać po sobie. — I co potem? — zapytał z uśmiechem.

— Potem król spojrzął na mnie, a ja powiedziałam, że takie małe, czarne cyferki nie mogą mnie przekonać, że we Francji jest zły monarcha. De Sartines na to powiedział, że nie mam racji, a król, że obydwójce mamy rację. A potem minister podsunął różne papiery do podpisu, wśród nich jeden przeciwko panu, ale ja zaprotestowałam. De Sartines przekonywał króla i powiedział nawet, że ja żądam łaski dla złoczyńców- wówczas, kiedy życie króla jest w niebezpieczeństwie. Król zdenerwował się, zbladł i już myślałam, że przegraliśmy. Wtedy powiedziałam do niego, że jeżeli wierzy w to, co przeczytali urzędnicy, to i ja wobec tego należę do spisku. I wyszłam do drugiego pokoju, ale król pobiegł za mną przepaszając i na moje życzenie przepędził ministra. Kazał mu iść precz i de Sartines stracił zupełnie głowę. Podeszedł do mnie, przeprosił mnie i powiedział, że gubię kraj i że ja będę żałować wstawiennictwa w twojej, hrabio, sprawie. Balsamo zamyślił się.

— Jak to, hrabio? Nie dziękujesz mi, że uwolniłam cię od przejażdżki do Bastylii? — zdziwiła się hrabina.

Balsamo wyjął w odpowiedzi mały flakonik z czerwonym jak krew płynem i podając go pani Dubarry rzekł:

— Za wolność, którą potrafiłaś dla mnie utrzymać, daję ci, hrabino, dwadzieścia lat młodości.

Pani Dubarry schowała flakonik za gors i odjechała wielce zadowolona.

— Gdyby nie próżność tej kobiety — pomyślał Balsamo — może by się uratowali. Ale mała nóżka hrabiny popycha ich na skraj przepaści.

ROZDZIAŁ CXXXI. KREW

Powróciwszy do pokoju Lorenzy, Balsamo zastał kanapę pustą. Przerażony, zaczął gorączkowo zastanawiać się, dokąd poszła młoda kobieta i skoczył na poszukiwania do laboratorium.

Mimo jednak dokładnych poszukiwań nie znalazł jej tu. Nie było jej także w innych pokojach i wówczas bolesna myśl, że Lorenza uciekła, przyczepiła się go nieustępliwie i nie odstępowała. Pomyślał, że Lorenza uspiła po prostu jego czujność i korzystając, że go nie było jakiś czas, uciekła.

Zupełnie roztrzęsiony, jeszcze raz obszukał wszystkie kąty, wreszcie zawezwał Fritza, który stwierdził, że Lorenza nie wychodziła z domu.

Wówczas Balsamo wpadł w rozpacz. Biegał po pokojach, krzyczał nieprzytomny i wołał Lorenzę całą mocą swojego uczucia i swojej woli. Przez kilka minut zdawało mu się, że oszaleje, wreszcie, kiedy osłabł, zmoczył sobie skronie zimną wodą i na nowo zaczął rozmyślać nad sytuacją.

Odrzucił przypuszczenie, że Lorenza schowała się dla żartu i wtedy przyszło mu na myśl, że to może Fritz go zdradził. Uznał to za prawdopodobne i owładnięty żądzą działania postanowił udać się do Andrei de Taverney.

— Tak, od Andrei dowiem się o zdradzie Lorenzy i o zdradzie Fritza — mówił do siebie. — Och, tym razem będę bez miłosierdzia! Skoro miłość i wierność okazały się wiarołomstwem, wyruguję ze swego serca wspaniałomyślność i zemszczę się!

Porwał kapelusz i rzucił się ku drzwiom, ale zatrzymał się nagle. W paroksyzmie rozpacz zapomniał zupełnie o starcu, który przecież żądał i potrzebował od niego pomocy, nazywając go nawet niewdzięcznikiem.

Czym prędzej udał się tajemniczymi schodkami do pokoju Althotasa. Spodziewał się, że starzec przyjmie go z gniewem i wyrzutami, ale ten przyjął go uprzejmie i pogodnie.

Balsamo spojrzał na swego nauczyciela ze zdziwieniem.

Starzec siedział w dużym krześle i oddychał głęboko, z przyjemnością. Oczy jego gorzały dzikim ogniem, twarz promieniała uśmiechem.

Balsamo z wysiłkiem stłumił w sobie ból i rozpacz, aby Althotas, tak surowy dla słabości ludzkich, nie odgadł, w jakim stanie znajduje się jego uczeń.

Opanowawszy się, Balsamo poczuł ciężki, mdły zapach, unoszący się w pokoju jak zgęstniała para. Zrobiło mu się niedobrze, czuł, że może zemdleć.

— Mistrzu — rzekł do starca — nie możesz tutaj mieszkać, bo nie ma tu czym oddychać.

— A ja przecież oddycham swobodnie i żyję, jak widzisz — odparł z zadowoleniem Althotas.

— Pozwól mi otworzyć okno. Duszno tu i zdaje mi się, że czuję zapach krwi...

— Krew? — zawołał Althotas ze śmiechem. — Tak ci się zdaje? Ach, tak, rozumiem. Dawno już spostrzegłem, Acharacie, że masz czułe serce i bardzo wrażliwą głowę.

— A co znaczą twoje ręce we krwi? — zapytał Balsamo. — Na stole także krew i wszędzie, nawet w twoich oczach, które pałają tak dzikim płomieniem.

— I cóż jeszcze? — rzekł spokojnie starzec. — Czy pierwszy raz poczułeś ten zapach? Czy nigdy nie robiłeś doświadczeń?

— Ale tu czuć krew ludzką! — zawołał Balsamo, chwytając się oburącz za głowę.

— Twoje powonienie stało się delikatne jak nigdy — zauważył Althotas. — Nie sądziłem, że można rozróżnić krew zwierzęcia od krwi ludzkiej.

Balsamo był tak bliski omdlenia, że zachwiał się. Rozejrzył się, gdzie by mógł się oprzeć i spostrzegł ogromną mosiężną miednicę, pełną świeżej krwi.

Odskoczył z przerażeniem i nagle krzyknął nieludzko.

Rzucił się jak szalony w kąt pokoju, gdzie leżała jedwabna; haftowana srebrem wstążka. Podniósł ją i dostrzegł długi, czarny warkocz. Twarz jego pokryła się sinością.

— Cóż to znaczy? — szepnął ochryple.

— Wstążka jedwabna i włosy — rzekł Althotas. — Cóż, może być innego?

— Ale te włosy... W czyjej krwi zbroczone?

— Ależ w tej, która była mi potrzebna do eliksiru! Nie chciałeś mi jej dostarczyć, musiałem więc sam się o nią postarać.

— Ale te włosy i tę wstążkę... skąd wzięłeś? Przecież dziecko nie może mieć takich długich włosów.

— Do eliksiru potrzebowałem krwi dziecięcia albo krwi dziewicy — przypomniał starzec.

To mówiąc sięgnął ręką do stołu i wziął flaszczykę, z której napił się z lubością, po czym rzekł tonem swobodnym i naturalnym:

— Dziękuję ci, Acharacie, że pamiętałeś o mnie i przygotowałeś tę kobietę... Wystarczyło tylko wyciągnąć ręce, leżała tuż pod podłogą mojego pokoju. No tak, nie ty mi ją wydałeś, ale sam ją wzięłem, bo inaczej umarłbym. Dziękuję...

Urwał, gdyż w oczach ucznia zamigotało straszliwe światło. Balsamo patrzył na ogromny stół marmurowy, zastawiony zwykle roślinami, książkami i flaszczykami. Stojąca na nim lampa rzucała cienie wokół podłużnego kształtu, który dopiero teraz Balsamo zauważył.

Podszedł i zerwał nakrycie z podłużnego kształtu. Włosy mu się zjeżyły, w gardle zabulgotał nieludzki ryk.

Na stole leżała Lorenza, martwa, sina, z głową zwieszoną i wykrzywioną uśmiechem twarzą. Na jej piersiach czerniała ogromna rana, z której krew przestała się już sączyć.

— Tak, trzeba mi było ostatnich trzech kropel krwi dziecka albo dziewicy — rzekł Althotas i znowu napił się z flaszczyki.

— Umieraj więc, nędzniku! — zawył Balsamo w najwyższej rozpacz. — Ona od trzech dni była moją żoną! Zamordowałeś ją niepotrzebnie, nie była już dziewicą!

Na te słowa oczy Althotasa stanęły w ślup, młasnęły bezzębne jego dziąsła i upuszczona flaszczyka potoczyła się na podłogę. Jak ugodzony w samo serce, starzec zwałił się ciężko.

Balsamo z rozdzierającym łkaniem pochylił się nad zwłokami Lorenzy i zanurzywszy usta w jej zbroczone krwią włosy, omdlał.

ROZDZIAŁ CXXXII. CZŁOWIEK I BÓG

Czas, ulatujący tak szybko szczęśliwym i tak leniwie nieszczęśliwym, zatrzymał się nad żalobnym pokojem, pełnym żalu i bezgranicznej rozpacz.

Balsamo nie wyrzekł ani jednego słowa po rozdzierającym okrzyku i nie poruszył się od momentu, gdy jego wyznanie zdruzgotało Althotasa.

Starzec leżał z oczyma wpatrzonymi w rozbitą flaszczykę, obraz unicestwienia jego nadziei. Wydawał się jak człowiek wyrzucony w nową zupełnie rzeczywistość, rzeczywistość straszną, na pół martwą, bez możliwości dla potęgi rozumu i nauki.

— Czyż to możliwe — mówiły jego krwawe oczy — aby wszystkie nieszczęścia pochodziły od tego człowieka, leżącego u stóp tak nieważnego przedmiotu, jak ta martwa kobieta? Czyż nie jest to potwornością, żeby ziarno piasku wstrzymało koła pysznego powozu nauki i rozumu?

Balsamo podobny był do nieszczęśliwych, których powódź złapała w czasie snu i którym śni się, że toną, potem budzą się i widzą wzburzone wody, a nie mając nawet czasu krzyknąć, przechodzą z jednego życia w drugie.

Nie płakał, nie jęczał i nie wierzył, by tak okropne nieszczęście mogło spaść na jego głowę. Nie było w nim nienawiści, ani uczucia zemsty.

Nie było już życia, miłości i nie było już nic. Nie było Lorenzy...

W przerażającej ciszy nagle dał się słyszeć głos dzwonka. Balsamo nie podniósł nawet głowy. Minęła długa chwila, w czasie której dzwonek dzwonił już bez przerwy, zanim Balsamo ocknął się. Spojrzył przytomniej i wyjął swoją dłoń ręki trupa. Nastawił uszu i stwierdził, że sygnał dzwonka oznaczał ważną wiadomość albo wielkie niebezpieczeństwo.

Powoli wstał i opuścił żalobny pokój.

Fritz czekał na niego już na schodach. Przeraził się ujrzawszy swego pana i podprowadził do lustra.

Balsamo spojrział na swoje odbicie i zadrżał. W ciągu jednej godziny postarzał się o dwadzieścia lat. W oczach nie było już blasku, na sinych wargach wykrzywionych bólem czerwieniła się piana, białą batystową koszulę pokrywały plamy krwi.

Balsamo odwrócił się od lustra i zapytał Fritza:

— Po co wzywałeś mnie?

— Oni przyszli, mistrzu.

— Oni? Któż to?

— Pięciu przywódców... Balsamo zadrżał.

— Gdzie są? — zapytał.

— Tam. Każdy z przywódców ma zbrojnego sługę.

— Czy przybyli razem?

— Tak, mistrzu, i czekają niecierpliwie. Dlatego dzwoniłem tak często i tak długo. Są w salonie.

Balsamo zaczął schodzić do salonu bez słowa, nie zatroszczywszy się o zakrwawione ubranie. Na dole Fritz zapytał:

— Czy pan hrabia nie ma jakich rozkazów dla mnie?

— Żadnych.

— Mistrzu... — odezwał się z wahaniem służący. — Idziesz tak... bez broni?

— Na co mi broń?

— Nie wiem. Myślałem... Bałem się...

— Dobrze, odejź, Fritz.

Fritz odwrócił się, potem powiedział jeszcze: — Mistrzu, twoje pistolety leżą w hebanowej szkatule, na okrągłym stoliku.

— Powiedziałem ci, odejź — powtórzył Balsamo. I wszedł do salonu.

ROZDZIAŁ CXXXIII. SĄD

Niepokój Fritza był uzasadniony: goście przyjechali uzbrojeni i bynajmniej nie w zamiarach towarzyskich.

Podczas gdy pięciu mistrzów czekało w salonie, na dziedzińcu znajdowało się pięciu zbrojnych, którzy zamknęli bramy i wspólnie ze stangretami tworzyli znaczną siłę. Fritz wpuścił ich zdając sobie sprawę, że jest świadkiem obmyślanego najścia, ponieważ wszystkie wejścia zostały zaraz obstawione. Nie mógł się także opierać i dlatego, że przybyli dawali znane mu znaki swojej władzy.

Balsamo wszedł do salonu i skłonił się uprzejmie. Przybyli podnieśli się z miejsc i oddali mu ukłon.

Balsamo usiadł i nie spostrzegł nawet osobliwego ustawienia krzeseł. Pięć stało półkolem, jak w trybunale sądowym, przeznaczonych jakby dla przewodniczącego i asesorów, szóste, naprzeciwko tamtych, zajmował on sam, jak oskarżony.

— Zająłeś, bracie, miejsce obwinionego — rzekł siedzący pośrodku przewodniczący.

— Nie rozumiem — odparł Balsamo wzruszywszy ramionami.

— Wytłumaczmy ci i wtedy nas zrozumiesz. Nie będzie to trudne, sądząc po twojej bladej twarzy, przygasłym wzroku i drżącym głose. Czy słyszysz?

— Słyszę — odpowiedział Balsamo.

— Czy pamiętasz, że niedawno zawiadomiono cię o zdradzie jednego z filarów stowarzyszenia?

— Być może... Nie zaprzeczam.

— Odpowiadasz jak człowiek, którego sumienie nie jest czyste. Nie rozpaczaj i odpowiadaj wyraźnie, jak ci nakazuje twoje straszne położenie. Nie mamy przeciw tobie uprzedzenia, ani gniewu. Reprezentujemy prawo, które przemawia wtedy, kiedy sędzia już wysłuchał obwinionego.

Balsamo milczał.

— Powtarzam ci: broń się. Czy słyszysz?

Balsamo skinął głową potakująco, przewodniczący zaś mówił dalej:

— Dałem ci do poznania, w jakim przybyliśmy celu. A teraz miej się na baczności: przystępuję do badania. Zawiadomiwszy cię o zdradzie jednego z naszych, stowarzyszenie wysłało do Paryża pięciu braci, aby pilnowali kroków zdrajcy. Wiesz dobrze, że wszystko wiemy, wszędzie mamy agentów. Zaczęliśmy cię śledzić.

Balsamo słuchał z miną otepiąłą, jakby nic nie rozumiał.

— Niełatwo pilnować człowieka takiego jak ty — ciągnął przewodniczący. — Bywasz wszędzie, gdyż tak ci nakazują twoje obowiązki. Bóg obdarzył cię wszelkimi talentami, abyś mógł odnosić zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi. Miałaś więc do dyspozycji potężne środki. Widzieliśmy twoje stosunki z takimi wrogami, jak Richelieu, Dubarry i de Rohan. Twoje postępowanie wobec nich i to, co do nich mówiłaś, pochlebiamy tym rozwiązanym ludziom, skłaniało nas do mniemania, że właściwie postępujesz. Niestety, omyliliśmy się. Przez jakiś czas nie żądaliśmy od ciebie sprawozdania, spodziewając się szczęśliwego zakończenia działań, nastąpił jednak kres oczekiwania, zasłona spadła nam z oczu...

Balsamo ani drgnął i przewodniczący zaczął tracić cierpliwość.

— Przed trzema dniami de Sartines wyjednał u króla podpis na rozkazie uwięzienia pięciu naszych wiernych agentów, mieszkających w Paryżu. Zostali zamknięci w Bastylii, w Vincennes i w Bicetre. Czy wiedziałeś o tym?

— Nie — odparł Balsamo.

— Trudno uwierzyć, żebyś o tym nie wiedział, mając tak rozgałęzione stosunki wśród arystokracji. A teraz odpowiedz, w jaki sposób de Sartines dowiedział się o naszych agentach, których nazwiska zostały przesłane do Paryża szyfrem?

— Co dalej? — rzekł obojętnie Balsamo. — A więc przyznajesz się?

— Do wszystkiego, czego chcecie.

— W tym samym piśmie, w którym wymienieni byli szyfrem agenci, znajdowało się jeszcze szóste nazwisko: hrabia de Foenix.

— Zgadza się — powiedział Balsamo.

— Zgadza? Dlaczego więc bracia nasi siedzą w więzieniu, a ciebie łaskawie przyjmują nawet na dworze? Co na to odpowiesz?

— Nic.

— Powiesz pewnie, że policja musiała szanować twoje imię i...

— Nic nie powiem.

— Pycha jest silniejsza od twojego honoru. Czy te papiery, schowałeś do szkatułki?

— Tak.

— Pewnego dnia nasi agenci widzieli, że z twojego domu wybiegła jakaś kobieta ze szkatułką. Mogliśmy ją zatrzymać i zapobiec nieszczęściu, ale myśleliśmy, że to jakiś twój tajemniczy środek. Ta kobieta oddała szkatułkę ministrowi policji, czy tak?

— Tak. Przewodniczący wstał.

— Kim była ta kobieta, kochana przez ciebie? Lorenza Feliciani.

Krzyk rozpaczony wyrwał się z piersi Balsamo.

— Jeszcze nie skończyłem — mówił przewodniczący. — W kwadrans po przybyciu Lorenzy do policji ty także tam przyjechałeś. Ona posiała ziarno zdrady, ty zjawiłeś się, aby zebrać plon. Lorenza wyszła z policji sama, ty w towarzystwie pani Dubarry, aby zmylić ślady. Szkatułkę zostawiłeś... Na szczęście, dostrzeżliśmy wszystko w porę.

Balsamo spuścił głowę w milczeniu.

— A teraz wnioski — rzekł przewodniczący. — Doniesiono zakonowi o zdradzie twojej i twojej współpracownicy, która wydała nasze tajemnice, chociaż jest niewinna. Czy to ty, Balsamo, mistrz i wielki ofiarnik naszych tajemnic?

Balsamo podniósł powoli głowę i oczy jego zaiskrzyły się.

— Czemu ją obwiniacie? — zapytał.

— Ach, widzieliśmy, że będziesz ją bronił, bo przedkładasz ją nad wszystko w świecie. Wiemy o wszystkim. W niej zamykają się dla ciebie wszystkie skarby nauki i mądrości. Ugodzimy w ciebie poprzez twoją kochankę.

— Kończ...

— A oto wyrok: „Zdrajca Józef Balsamo złamał daną przysięgę, jednak dorobek jego nauki przynosi korzyści stowarzyszeniu. Balsamo zatem winien żyć dla tych, których zdradził, należy do braci, których się zaparł...”

— Ach! — przerwał Balsamo z ponurym gniewem.

— „Wieczne więzienie czeka zdrajcę — czytał dalej przewodniczący — aby zakon był bezpieczny i aby mógł korzystać z jego nauki, czego zakon ma prawo wymagać od każdego ze swoich członków. Co zaś dotyczy Lorenzy Feliciani...”

— Poczekajcie — przerwał znowu Balsamo. — Zapomnieliście o jednym: powinniście wysłuchać obwinionego. Dosyć mi będzie jednego słowa, jednego dowodu. Nie wydawajcie wyroku, dopóki wam nie złożę tego dowodu.

Przybyli spojrzeli na siebie niepewnie.

— Ha! Myślicie, że chcę sobie odebrać życie — powiedział Balsamo z gorzkim uśmiechem. — Nie lękajcie się. Gdybym chciał to zrobić, zrobiłbym na waszych oczach. W moim pierścieniu znajduje się tyle trucizny, że starczyłoby jej na otrucie was wszystkich. Lękacie się, żebym nie uciekł, niech kto pójdzie ze mną.

— Idź! — zdecydował przewodniczący.

Balsamo wyszedł i wkrótce potem przybyli usłyszeli jego kroki, ciężkie, jakby dźwigał jakiś ciężar. Otworzyły się drzwi i Balsamo wszedł, niosąc na ramionach zwłoki Lorenzy.

— Oto ona! — zawołał. — Kobieta przeze mnie ubóstwiana, jedyny mój skarb, dobro moje, życie moje... Przypatrzcie się! Powiadacie, że zdradziła was... Bóg ją już ukarał za to. Weźcie ją i ukarście teraz wy!

I zsunął zwłoki z ramion, rzucając je pod nogi sędziów. Włosy zmarłej i sztywne ręce dotknęły ich nóg.

— Wydajcie teraz wyrok! — zawołał Balsamo. Przerażeni sędziowie poderwali się ze swoich miejsc i nie tając strachu, z krzykiem, wybiegli bezładnie z pokoju.

W chwilę potem z dziedzińca dobiegły odgłosy turkotu kół, skrzypienia bramy i stukotu kopyt. Wkrótce wszystko uciszyło się i zapanowała głucha cisza.

Obok śmierci i rozpaczy zasiadło znów uroczyste milczenie.

ROZDZIAŁ CXXXIV. BÓG I CZŁOWIEK

Widząc, jak Balsamo wziął zwłoki Lorenzy i zszedł na dół, Althotas przestraszył się i myślał, że jego uczeń już nie powróci, że to już pożegnanie z najbliższym człowiekiem, którego serce tak okrutnie zranił. Althotas bał się samotności i śmierci, której tak bardzo chciał uniknąć. Zaczął wzywać ucznia.

Ale Acharat oddalił się bez słowa i Althotas znowu wpadł w gniew, jak to mu się często zdarzało.

— Ach ty, niewdzięczniku! — wołał. — Zwierzu ślepy! Wracaj! Daremnie przedkładasz nikczemny przedmiot zwany kobietą nade mnie, ułamek życia nad nieśmiertelnością! Oszukałeś mnie, zdradziłeś, bo zląkłeś się, bym nie żył dłużej, bo przewyższam cię w nauce! Strzeż się! Wiesz, że znam zaklęcia, które wywołują ogień.

Ale nie słychać było żadnej odpowiedzi i starzec wpadł z wolna w rozpacz.

— Czyż nie wiesz, że siły mnie opuszczają, nieszczęsny? — mówił głosem stłumionym. — Przychodzi po mnie śmierć, jak po zwyczajne stworzenie. O, wracaj, Acharacie! Przysięgam, że nic ci złego nie zrobię, rzekam się zemsty... Nie opuszczaj mnie, pomóż, a nauczę cię wszystkiego, co umiem...

Zamilkł i przysłuchiwał się przez chwilę. Siły opuszczały go coraz bardziej.

— Nie wracasz... Myślisz, że w ten sposób mnie zabijesz... O, nierozumny! Nie zdołasz przejąć mojej wiedzy, tak długo gromadzonej, nie będziesz moim następcą. Acharacie, wracaj, chcę, żebyś był chociaż świadkiem ruiny tego domu!

Nie było żadnej odpowiedzi. Starzec wpadł we wściekłość.

— Nie wracasz, gardzisz mną! Ale zobaczysz! Ognia! Ognia! Jego wycie obudziło wreszcie ucznia z odrętwienia. Wstał i zaniósł ciało Lorenzy do jej pokoju, potem zjawił się u Althotasa.

— Ach, jesteś! — krzyknął starzec z radością. — Dobrze, że przyszedłeś, gdyż za chwilę podpaliłbym ten pokój.

Balsamo spojrział na niego bez słowa.

— Pali mnie pragnienie — zawołał Althotas — daj mi pić!

Balsamo nie poruszył się nawet. Patrzył na konającego jakby chciał być uważnym świadkiem jego śmierci. — Czy słyszysz, Acharacie?! Wody, wody...

Nie było już w oczach starca ognia, tylko złowieszcze płomyki, nie było oddechu w jego ustach, nie ruszał się. Tylko ręce kościste jeszcze drgały, wiotkie jak macki polipa.

— Ach, więc chcesz mnie zabić pragnieniem! Pożerasz oczami moje pisma i moje skarby. Myślisz, że to już twoje. Poczekaj...

I ostatkiem sił wyjął spod poduszki krzesła flaszeczkę. Kiedy ją otworzył, ze środka buchnął ogień. Althotas rozlał płomień wokół siebie.

W jednej chwili ogień ogarnął cenne rękopisy i zwoje dokumentów, zdobytych w Egipcie i w Pompei. Potok płomieni rozlał się po podłodze i dotarł do starca, który sądził, że Balsamo zacznie ratować wszystkie skarby.

Ale Balsamo ciągle patrzył na starca nie poruszony. Paliło się już krzesło pod konającym, a on stał i patrzył.

Kiedy płomień ogarnął Althotasa, twarz starca wypogodziła się, jakby radował się, że duch jego odchodzi w wyższe sfery. Oczy jego odzyskały żywy blask.

— Umieram bez żalu — rzekł. — Wszystko miałem, wszystko poznałem, osiągałem już nieśmiertelności.

Balsamo zaśmiał się dziko.

— Tak, masz słuszność — powiedział Althotas — zapomniałem tylko o Bogu...

Były to jego ostatnie słowa. Oddał Bogu ostatnie tchnienie, które usiłował Bogu odjąć.

Balsamo westchnął i wyszedłszy zasunął przejście do pokoju Althotasa, nie bacząc, że szaleje w nim pożar. Wbrew jednak oczekiwaniom ogień strawił wszystko, co było dziełem starca, i wszystkie meble, ale w końcu zamarł.

Ostatni jego syk usłyszał Balsamo siedząc przy zwłokach Lorenzy, nieczuły na nic, nawet na niebezpieczeństwo śmierci.

ROZDZIAŁ CXXXV. POWRÓT NA ZIEMIĘ

Książę de Richelieu siedział w sypialni i popijał czekoladę, podczas gdy jego sekretarz sporządzał rachunki.

Nagle w przedpokoju rozległo się czyjeś stąpanie. Książę wypił szybko resztę czekolady i w chwilę potem kamerdyner oznajmił pana de Taverney.

Richelieu miewał w ciągu dnia chwile, w których nie lubił gości. Chwila taka miała miejsce właśnie teraz, ale niepodobieństwem było nie przyjmować barona, zwłaszcza że ten, zaraz po zameldowaniu przez kamerdynera wtargnął do pokoju.

— Co nowego? — zagadnął go książę. — Widzę, że jesteś smutny.

Baron westchnął, ale nic nie odpowiedział, patrząc znacząco w stronę sekretarza księcia. Rafté zrozumiał to natychmiast, ponieważ dostrzegł spojrzenie barona w lustrze, wstał więc i wyszedł.

— Ja nie jestem smutny, ale śmiertelnie zaniepokojony — rzekł baron po wyjściu sekretarza.

— E...

— Nie udawaj zdziwionego. Zwodzisz mnie już cały miesiąc: a to, że się nie widziałeś z królem, a to, że król się gniewa na mnie. Czy tak się godzi postępować z przyjacielem?!

Marszałek wzruszył ramionami.

— Cóż, u licha, chcesz, żebym ci odpowiedział?

— Prawdę! Czy chcesz mnie przekonać, że ty, książę, par Francji, marszałek, wielki szambelan, tak długo nie widziałeś się z królem? Czy mogę w to uwierzyć, skoro każdego ranka asystujesz przy toalecie króla?

— To prawda, że trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Trzy tygodnie, dzień w dzień, jestem przy toalecie króla i on...

— I król z tobą nie rozmawia — przerwał baron. — Chcesz, żebym w to uwierzył!

— Zaczynasz być arogancki, baronie. Mówisz tak, jakbyśmy mieli czterdzieści lat mniej i mogli się rozprawić z bronią w ręku.

— Ależ tu oszaleć można!

— Szalej wobec tego. Ja też zaczynam, bo nie dosyć, że król ze mną nie rozmawia, ale jeszcze odwraca się tyłem. Już mi się sprzykrzyło jeździć do- Wersalu.

— Wie nie rozumiem — rzekł de Taverney, gryząc paznokcie. — Można by pomyśleć, że król bawi się twoim zmartwieniem.

— Ja także odnoszę takie wrażenie...

— Trzeba się zastanowić, co robić.

— Chcesz, to ci powiem, co myślę?

— Mów.

— No więc, ja wątpię...

— Co? — zawołał dumnie baron.

— No widzisz, już się gniewasz. Wpadasz w monomanię, a więc strzeż się...

— Wszystkie nasze plany spaliły na panewce. Patrz, tu jest list od mojego syna.

— A, pułkownika?

— Jakiego tam pułkownika! Już miesiąc czeka w Reims na awans, a pułk za dwa dni wychodzi do Strasburga.

— Czyli, jeżeli Filip za dwa dni nie odbierze nominacji...

— Za dwa dni Filip będzie tutaj.

— Tak... Zapomniano widać o nieboraku. Piękne porządki w biurze nowego ministra, nie ma co!

— Hm... A ja nie wierzę w ani jedno twoje słowo. — Jak to, nie wierzysz?

— Gdybyś ty był ministrem, posłałbyś Filipa do stu diabłów.

— Och!

— I jego ojca także. A siostrę jeszcze dalej.

— Jesteś dowcipny i rozkosz z tobą rozmawiać, baronie, ale skończmy już.

— Chętnie. Trzeba się koniecznie widzieć z królem! i mówić z nim.

— Trudno z nim mówić, jeżeli on nie mówi.

— A więc muszę się rozmówić z córką, bo to wszystko staje się jakieś dziwne.

Słowa te wywarły niespodziewany skutek. Richelieu obawiał się porozumienia barona z córką, wietrząc w tym możliwość swojej niełaski u króla.

— No, nie gniewaj się — powiedział. — Spróbuję porozmawiać z królem. Potrzebuję tylko pretekstu.

— Nic łatwiejszego. Przecież król obiecał synowi...

— Istotnie, można to wykorzystać. Daj mi ten list. Baron podał list od Filipa, książe zaś zadzwonił i zaraz kazał zaprzęgać karetę.

— Czy chcesz być przy mojej toalecie? — zapytał barona. De Taverney zrozumiał i postanowił odejść.

— Mam jeszcze kilka spraw... — rzekł. — Gdzie moglibyśmy zjeść razem obiad?

— W zamku. Trzeba, żebyś się także widział z królem.

— Tak myślisz? — spytał z radością baron.

— Nawet wymagam tego. Chcę, żebyś się przekonał, że mówiłem prawdę. Czekał na mnie o jedenastej w galerii lustrzanej.

— Dobrze. Bądź zdrow.

— I nie gniewaj się na mnie — rzekł pojednawczo marszałek.

Baron odjechał i punktualnie o jedenastej stawił się w umówionym miejscu.

Widział, jak marszałek przyjechał, jak oficerowie kłaniali mu się i jak kamerdynerzy wprowadzali go do pokoju.

Serce barona biło gwałtownie. Zamiast planowanej przechadzki postanowił czekać jak najbliżej drzwi, w tłumie interesantów. Zdecydował się na to z westchnieniem, nie mogąc opanować niecierpliwości i licząc na to, że łatwiej dostrzeże marszałka, gdy ten wyjdzie od króla.

Była to w jego mniemaniu konieczność nader przykra, czemu dał wyraz mruczając pod nosem:

— Ja mara tutaj stać z tymi brudnymi szlachetkami, ja, który przed kilku tygodniami jadłem wieczerzę z samym królem!

ROZDZIAŁ CXXXVI. PAMIĘĆ LUDWIKA XV

Richelieu spełnił daną przyjacielowi obietnicę i odważnie stanął przed monarchą, w chwili gdy książę de Condé podawał mu koszulę.

Król spostrzegłszy marszałka tak zwawo się odwrócił od niego, że koszula o mało nie upadła na posadzkę.

Zdziwiony książę de Condé odskoczył.

— Przepraszam, mon cousin — rzekł Ludwik XV dając w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, że odruch nie ma nic wspólnego z osobą Kondeusza.

Richelieu od razu zrozumiał, że to on jest przyczyną irytacji Najjaśniejszego Pana. Ale że marszałek przyszedł z mocnym postanowieniem pobudzenia Ludwika do gniewu, jeśli to się okaże potrzebne, aby uzyskać wiadome informacje, natychmiast zmienił plan, podobnie jak niegdyś pod Fontenoy, i stanął przy drzwiach gabinetu, przez które król musiał przechodzić.

Król widząc, że marszałek się oddalił, wpadł w nieco lepszy humor i zaczął dość łaskawie rozmawiać z otoczeniem, potem ubrał się, zarządził polowanie w Marly i długo konferował w tej sprawie z kuzynem, jako że rodzina Kondeuszów od dawna słynęła z biegłości w sztuce łowieckiej.

Gdy wszyscy odeszli, król udał się do gabinetu i raptem spostrzegł marszałka pochylonego w niezwykle precyzyjnym ukłonie, godnym samego Lauzuna, niezrównanego mistrza reweransu.

Król zatrzymał się cokolwiek zmieszany.

— I znowu pan, panie de Richelieu? — rzekł.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie; jestem gotów na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Czyż waść nigdy nie wyjeżdżasz z Wersalu?

— Od lat czterdziestu Najjaśniejszy Panie niezmiernie rzadko oddalałem się stąd w innym celu jak dla służenia Waszej Królewskiej Mości.

Król zatrzymał się przed marszałkiem.

— Aha! — rzekł. — Chcesz mnie zapewne o coś prosić, czy tak?

— Ja, Najjaśniejszy Panie? — odpowiedział z uśmiechem Richelieu. — Ach nie.

— Ależ prześladujesz mnie, książę, przecież widzę.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, prześladuję cię moim prawdziwym przywiązaniem i najgłębszą czcią. Dzięki ci, Najjaśniejszy Panie, żeś raczył zwrócić na to uwagę.

— Proszę cię, nie udawaj, że mnie nie rozumiesz, kiedy wiem, że rozumiesz doskonale. A więc dowiedz się, panie marszałku, że ja ci nic nie mam do powiedzenia.

— Nic, Najjaśniejszy Panie?

— Absolutnie nic.

Richelieu uzbroidł się w niewzruszoną obojętność.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział patetycznie — z otwartą duszą i czystym sumieniem mogę oświadczyć, że kochałem cię całkowicie bezinteresownie, nie prosząc nigdy o nagrody i zaszczyty. Żaden zazdrośnik nie mógłby przyznać, że w ciągu swej czterdziestoletniej służby książę de Richelieu wyjednał u króla cośkolwiek dla siebie.

— Ech, książę, więc proś o coś dla siebie, jeżeli czego tam potrzebujesz, tylko prędko...

— Dla siebie nie proszę o nic, chciałem jedynie błagać Waszą Królewską Mość...

— O co?

— Żebyś raczył pozwolić podziękować.

— Komu?

— Temu, Najjaśniejszy Panie, który wielce jest zobowiązany swemu monarsze.

— No więc komu?

— Człowiekowi, któremu Wasza Królewska Mość uczynił wysoki zaszczyt... Ach, kto choćby raz w życiu miał szczęście zasiadać u stołu Waszej Królewskiej Mości, napawać się słodyczą dowcipnej, błyskotliwej rozmowy, jego przemiłej i uprzejmej wesołości — ten nigdy nie zapomni o owym szczęściu tak wielkim, że łatwo doń przywyknąć, lecz z pamięci usunąć niepodobna.

— Ależ z waści tęgi krasomówca, panie de Richelieu.

— Och, Najjaśniejszy Panie!

— No, o kimże chcesz mówić?

— O moim przyjacielu de Taverney.

— O przyjacielu? — zakrzyknął król. — Przebacz, Najjaśniejszy Panie.

— Taverney! — powtórzył król z jakimś zażenowaniem i wstrętem, co mocno zdziwiło marszałka.

— No cóż, Najjaśniejszy Panie, stary komiliton. — Po chwili dodał: — Służyliśmy razem pod Villarsem.

I znów stracił wątek.

— Wiesz, Najjaśniejszy Panie, że na dworze zwykło się nazywać przyjacielem każdego, o kim wiadomo, że nie jest jawnym wrogiem. Grzeczne to słówko, ale prawie nic nie znaczy.

— Użycie tego słówka każe sądzić o człowieku — zauważył cierpko król — nie należy nim zbyt szafować.

— Rady Waszej Królewskiej Mości są prawidłami mądrości. Pan de Taverney więc...

— Pan de Taverney jest człowiekiem wyzutym z jakiegokolwiek moralności."

— Ach tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł Richelieu — słowo szlacheckie, że domyślałem się tego.

— To człowiek bez jakiegokolwiek delikatności, panie marszałku.

— Co się tyczy jego delikatności, Najjaśniejszy Panie, nie mam na ten temat nic do zakomunikowania Waszej Królewskiej Mości. Ręczę tylko za to, co wiem.

— Jak to? Nie ręczysz za delikatność swego przyjaciela, starego kompaniona, z którym służyłeś pod Villarsem, wreszcie za człowieka, którego mi przedstawiłeś? Przecie powinieneś go znać?

— Oczywiście, że go znam, ale nie znam jego delikatności. Sully mówił niegdyś do przodka Waszej Królewskiej Mości, Henryka IV, iż widział jak trawiąca go gorączka opuściła sypialnię w zielonej sukni, ja zaś muszę wyznać ze wstydem, że nigdy nie widziałem jaki strój nosi delikatność Taverney'ów.

— Krótko mówiąc, panie marszałku, oświadczam ci, że Taverney to nikczemnik i że zagrał rolę nad wyraz nieładną.

— Ach, jeśli Wasza Królewska Mość jest tego zdania...

— Takie jest moje zdanie.

— W takim razie — odpowiedział Richelieu — niezmiernie rad jestem, że Wasza Królewska Mość raczyłeś mi je wynurzyć, gdyż ja sam również niewiele żywię dla niego szacunku, lecz nie śmiałem powiedzieć o tym otwarcie w obawie, by to zwierzenie nie ściągnęło na mnie niemiłych następstw. Tak, przyznaję, że Taverney nie może chlubić się delikatnością w postępowaniu, lecz dopóki nie znałem pod tym względem opinii Waszej Królewskiej Mości...

— Oto ją więc masz: ja go nienawidzę.

— Ach, więc wyrok zapadł. Szczęściem dla nieszczęśliwca — ciągnął dalej Richelieu — jest to, że ma on potężną opiekunkę przy osobie Waszej Królewskiej Mości.

— Co to ma znaczyć?

— Jeżeli ojciec miał nieszczęście wyrzucić na królu niekorzystne wrażenie..

— I to bardzo niekorzystne.

— Nic nie mam w tej sprawie do powiedzenia.

— Cóż masz więc mi do powiedzenia?

— Mówię tylko, że anioł, który ma jasne włosy i błękitne oczęta...

— Nie rozumiem cię, mości książę.

— Ależ to łatwo zrozumieć, Najjaśniejszy panie.

— Jednakże, przyznam się, chciałbym cię wreszcie zrozumieć.

— Czyliż ja, nędzny profan, mogę podnosić zasłonę, za którą kryje się tyle uroczych tajemnic miłości? Nie godzien jestem, Najjaśniejszy Panie... ale zawsze powtarzam: jakżeż ten Taverney

powinien kochać i składać dzięki tej, która odwraca od niego nienawiść i łagodzi gniew Waszej Królewskiej Mości. Tak, panna Andrea to prawdziwy anioł.

— Nie! — wykrzyknął król. — Panna Andrea jest takim samym potworem pod względem fizycznym, jak jej ojciec — pod względem moralnym.

— Ha — zawołał Richelieu osłupiawszy ze zdumienia — więc pomyliliśmy się wszyscy, i ta niezwykła uroda...

— Nie mów mi nigdy o tej dziewczynie, książę! Na samą myśl o niej zbiera mi się na mdłości.

Richelieu złożył ręce jak do modlitwy.

— Ach, mój Boże! Któż by pomyślał... Gdybym to usłyszał z ust kogo innego, nie zaś od Waszej Królewskiej Mości, światłego znawcy wszystkiego, co piękne, słowo szlacheckie, że nie uwierzyłbym temu. No, któż by mógł przypuszczać, spoglądając na piękną Andree, żeby miała w sobie coś tak dalece potwornego...

— Gorzej, mój panie!... Ma okropną chorobę... okropną... Była to zasadzka na mnie. Ale na miłość Boską, ani słowa więcej o Andrei, bo skonam.

— Nie daj Boże! — zawołał Richelieu. — Nie wspomną o niej ani słówkiem. Wasza Królewska Mość miałby skonać! Ależ to straszne! Cóż to za rodzina! Biedny chłopiec!

— O kimże znów waść mówisz?

— Och, tym razem o wiernym i najoddańszym słudze Waszej Królewskiej Mości. Oto wzór do naśladowania dla młodych ludzi i ty, Najjaśniejszy Panie, z miejsca go ocenileś i wynagrodziłeś, tak, jak na to zasługuje.

— Ale o kim mówisz? Kończże szybciej. Spieszę się i nie mam chwili czasu.

— Mówię, Najjaśniejszy Panie — deklamował Richelieu — o synu pierwszego i bracie drugiej, mówię o Filipie de Taverney, o zacnym i śmiałym młodzieńcu, któremu Wasza Królewska Mość raczyłeś dać pułk.

— Ja? Kiedy? Komu ja dałem pułk?

— Ależ tak, Najjaśniejszy Panie, przecież dałeś pułk Filipowi de Taverney, który co prawda dotąd czeka na niego, ale przecież mu dałeś.

— Ja?

— Tak, Wasza Królewska Mość, przynajmniej tak mi się wydawało...

— Czyś waść oszalał! — Ach.

— Niczego mu nie dawałem, marszałku.

— Czyż możliwe?

— Ale po cóż, do kroćset diabłów, mieszasz się w te sprawy?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, ale...

— I co cię to właściwie obchodzi?

— Ależ broń Boże!

— Więc po cóż mi się naprzykrzasz, nieznośniku?

— Racz wybaczyć, Najjaśniejszy Panie, lecz wydawało mi się — teraz już widzę, że się pomyliłem — lecz wydawało mi się wówczas, że Wasza Królewska Mość przyrzekłeś mu...

— To nie moja rzecz, mości książę. Od tego mam ministra wojny. Ja nie przydzielam pułków. Też sobie uroił... pułk... Jakże można wierzyć w podobne brednie! Jak widzę, waćpan wzięłeś pod swe opiekuńcze skrzydła całe gniazdo tych Taver-ney'ów. Miałem rację mówiąc, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Krew mnie zalewa.

— Och! Najjaśniejszy Panie...

— Tak, jestem pewny, że nie będę miał dzisiaj apetytu i będę miał zatwardzenie. Niech diabli porwą takich orędowników!

To powiedziawszy król wykręcił się plecami do Richelieu i rozsierdzony wszedł do gabinetu w najgorszym usposobieniu.

Zostawszy sam Richelieu otrząsnął chustką puder, który osypał mu się z peruki w ferworze rozmowy i rzekł cicho sam do siebie.

— Ha! Teraz już wiem dokładnie, czego się trzymać.

Richelieu wszedł do sali zwierciadlanej, gdzie już z niepohamowaną niecierpliwością oczekiwał go przyjaciel. Ledwie marszałek stanął we drzwiach, gdy baron na kształt pająka, rzucającego się na muchę, podbiegł doń z rozkrzyżowanymi ramionami i spytał jednym tchem:

— No i co nowego?

Richelieu wyprostował się i spojrzawszy z pogardą w stronę barona rzekł przez zaciśnięte zęby:

— To, mój panie, żebyś odtąd ze mną nie rozmawiał. Taverney spojrzął na Richelieu z bezgranicznym zdumieniem.

— Tak jest, nie wywarłeś pan na Jego Królewskiej Mości korzystnego wrażenia — dodał Richelieu — a kto się Najjaśniejszemu Panu nie podoba, ten mnie obraża.

Taverney zdrętwiał, stał bez ruchu, jakby mu nogi wrosły w posadzkę.

Richelieu wyminął go i doszedłszy do drzwi galerii, gdzie już czekał na niego lokaj, zawołał:

— Do Luciennes!

I zniknął.

ROZDZIAŁ CXXXVII. MDŁOŚCI PANNY ANDREI

Taverney wróciwszy do równowagi i zastanowiwszy się nieco nad tym, co nazywał „swoim nieszczęściem”, zrozumiał, że nadeszła chwila stanowczego rozmówienia się z główną przyczyną tylu utrapień. Pełen oburzenia i gniewu udał się do mieszkanka Andrei.

Dziewczyna właśnie kończyła ubierać się; uniosła śliczne ręce starając się zarzucić za ucho dwa puszyste, tak zawsze niesforne loczki. Wreszcie uporała się z nimi, wzięła książkę i już kierowała się ku drzwiom, gdy wtem usłyszała kroki ojca.

— Dzień dobry Andreo! Czy wychodzisz? — rzekł Taverney.

— Tak, ojcze.

— I sama?

— Jak widzisz, ojcze.

— I zawsze jesteś sama?

— Od czasu jak Nicole zniknęła, nie znalazłam jeszcze pokojówki.

— Sama nie możesz się ubierać. Spójrz, jak to wszystko na tobie źle leży. Jeśli będziesz tak mało o siebie dbała, nigdy nie zrobisz furory na dworze. Przecież ci tłumaczyłem, zalecałem, Andreo...

— Przepraszam cię, ojcze, ale Jej Królewska Mość czeka na mnie.

— Zaręczam ci, Andreo — zawołał Taverney, zapalając się w miarę, jak mówił — zaręczam ci, moja panno, że przy takiej abnegacji staniesz się pośmiewiskiem dworu.

— Mój ojcze...

— Śmieszność niebezpieczna jest wszędzie, lecz na dworze bardziej niż gdziekolwiek.

— Postaram się poprawić, ale Jej Wysokość oceni inaczej prostotę mego stroju: dowodzi bowiem pośpiechu i gorliwości w służeniu jej.

— Idź i szybko powracaj, jak tylko będziesz wolna. Chcę z tobą pomówić o pewnej wyjątkowo ważnej sprawie.

— Dobrze, ojcze — rzekła Andrea i wyszła na korytarz, . Baron obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

— Poczekaj, poczekaj! Tak nie możesz wyjść: zapomniałaś nałożyć różu na policzki; jesteś blada aż patrzeć niemiło.

— Ja? Mój ojcze? — zdziwiła się Andrea.

— Chciałbym bardzo wiedzieć, o czym ty właściwie myślisz przeglądając się w lustrze? Blada jak wosk, sińce pod oczyma! Ej, tak się nie wychodzi, moja panno. Ludzi nastraszysz.

— Ależ ojcze, przecież już nie mam czasu zmieniać toalety.

— Szkaradnie, doprawdy szkaradnie — zawołał Taverney wzruszając ramionami — jak żyję nie widziałem takiej kobiety. I to ma być moja córka? Co za przyszłość! Oj, Andreo... Andreo...

Ale Andrea była już na dole. Odwróciła się.

— Powiedz przynajmniej — wołał za nią Taverney — że masz migrenę; bądź interesująca, do diaska! Jeśli nie chcesz dbać o urodę.

— Ach, to mi ojciec nawet dość łatwo przyjdzie i wcale nie skłamię, bo istotnie jestem trochę cierpiąca.

— Patrzcie no ją — zamruczał baron. — Dobre sobie! Chora! Potem syknął przez zaciśnięte zęby:

— Uf, co za skromnisia!

I zawrócił do pokoju córki, gdzie przejrzał wszystko jak najstaranniej, żeby znaleźć jakikolwiek dowód, który by go utwierdził w domysłach.

Tymczasem Andrea minęła dziedziniec i weszła do ogrodu.

Od czasu do czasu podnosiła głowę, starając się głęboko oddychać orzeźwiającym powietrzem, ponieważ woń kwiatów zbyt silnie działała jej na nerwy i zdawało się, że przenika każdą komórkę mózgu. Czuła, że zbiera się jej na mdłości. Ledwo doszła do sieni Palais, gdzie już pani Noailles, stojąc w progach gabinetu Madame Dauphine, dawała jej wyraźnie do zrozumienia, że czas najwyższy i że na nią czekają.

W rzeczy samej ksiądz... lektor Marii Antoniny, jadł śniadanie przy stole Jej Królewskiej Wysokości, która niekiedy udzielała tego zaszczytu osobom z najbliższego otoczenia.

Ksiądz zachwalał maślane bułeczki, które niemieckie gosposie układają z takim wdziękiem obok filiżanek kawy ze śmietanką; i zamiast czytać, komunikował ostatnie nowiny z Wiednia zaczerpnięte od dyplomatów i gazeciarzy.

W tej epoce bowiem zawile arkana polityki rozwiązywano na świeżym powietrzu równie precyzyjnie, jak i w zakamarkach tajnych kancelarii i nierzadko zdarzało się usłyszeć w ministerium „najświeższe” wiadomości, które ci panowie z Palais-Royal i z Alei Wersalskiej odgadli, o ile nie wymyślili, grubo wcześniej.

Ksiądz opowiadał właśnie o ostatnich zaburzeniach związanych z drożyzną zboża, które pan de Sartines gracko uśmierzył, pakując do Bastylli pięciu największych spekulantów.

Jej Królewska Wysokość miewała czasem przyływy złego humoru; przy tym rewelacje księdza tak ją zainteresowały, że nie miała chęci na lekturę. Toteż kiedy Andrea zjawiła się, księżna ją ofuknęła, że nie przyszła o przepisowej porze.

Andrea czuła się dotknięta niesprawiedliwością wyrzutu. Nie odezwała się ani słowem, choć przecież mogła powiedzieć, że to ojciec ją zatrzymał, a przy tym czując się słaba, zmuszona była iść powoli i przystawać.

Nagle zachwiała się, spuściła głowę i straciła równowagę.

Gdyby nie księżna de Noailles, byłaby upadła.

— Stójże prosto, moja panno — szepnęła księżna de Noailles — jak ty się zachowujesz!

Andrea nic nie odpowiedziała.

— Ależ księżno, ona mdleje! — zawołała Maria Antonina i pospieszyła jej na pomoc.

— Nie, nie! — odpowiedziała szybko Andrea i w oczach jej pojawiły się łzy. — To nic, Wasza Królewska Wysokość, już mi jest zupełnie dobrze, naprawdę lepiej.

— Ależ ona biała jak chustka, mości księżno! Spójrz! To moja wina, bo ja ją wytajałam. Siadaj, biedaczko, siadaj!

— Wasza Królewska Wysokość...

— No, no!... Gdy ja rozkazuję!... Podaj jej swoje krzesło, księżo kapelanie.

Andrea usiadła i pod wpływem tej ujmującej serdeczności twarz jej zaczęła powoli odzyskiwać rumieńce.

— No, moja panno, czy teraz już możesz czytać? — zapytała Maria Antonina.

— Tak, Wasza Królewska Wysokość, mogę. Zdaje się, że mogę.

Andrea otworzyła książkę w miejscu, w którym wczoraj przerwała i zaczęła czytać, jak umiała najwyraźniej, starając się nadać głosowi możliwie przyjemną barwę.

Zaledwie jednak przeczytała dwie czy trzy stronicę, czarne punkciki zaczęły skakać jej przed oczyma, tańczyć, wreszcie zamazały się i stały nieczytelne.,

Andrea znów silnie pobladła; zimny pot wystąpił jej na piersiach, potem na czole, ciemne sińce pod oczyma, które doprowadziły niedawno do takiej irytacji starego Taverney, powiększyły się...

Maria Antonina zdziwiona nagłą ciszą uniosła głowę i zawołała:

— Znowu?... Ach, księżno, to dziecko doprawdy jest chore, mdleje.

Jej Królewska Wysokość chwyciła flakonik z solami trzeźwiącymi i własnoręcznie przytknęła do nosa Andrei. Dziewczyna przysłała do siebie i znowu chciała podnieść książkę, lecz nadaremnie: nerwowe drżenie rąk nie ustawało przez kilka minut.

— Andrea jest rzeczywiście chora — orzekła Jej Wysokość — gdyby tu pozostała dłużej, mogłoby się jej pogorszyć.

— Panna de Taverney powinna jak najprędzej iść do domu — powiedziała z naciskiem księżna de Noailles.

— Dlaczego? — spytała Maria Antonina.

— Dlatego — odpowiedziała księżna z głębokim dygiem — że to mogą być objawy ospy.

— Ospy?

— Tak, ospa właśnie zaczyna się od wymiotów, zawrotu głowy i dreszczy.

Jeszcze nie skończyła zdania, gdy ksiądz obawiając się zarażenia, wstał i wymknął się na palcach tak dyskretnie, że nikt tego nie zauważył.

Kiedy Andrea powróciła do przytomności, ujrzała, że głowa jej spoczywa na rękach Marii Antoniny. Zażenowanie, że stała się przyczyną niepokoju osoby tak wysoko postawionej, dodało jej sił, a raczej odwagi; wstała i podeszła do okna w nadziei, że ją świeże powietrze orzeźwi.

— Nie ma rady, moja kochana — rzekła Maria Antonina — idź do domu. Każę cię odprowadzić.

— Zaręczam Waszej Królewskiej Wysokości, że czuję się daleko lepiej — i jeśli Wasza Królewska Wysokość pozwala mi się oddalić, pójdę sama.

— Idź już, idź i nie martw się — rzekła Maria Antonina — nie będę cię więcej strofowała, kiedyś taka niedotykańska, moja ty mała filutko.

Andrea rozrzewniona jej dobrocią, pocałowała następczynię tronu w rękę i wyszła z pokoju.

Księżna z niepokojem odprowadzała ją wzrokiem. Gdy Andrea zesza ze schodów, zawołała przez okno:

— Nie wchodź jeszcze do mieszkania, pospaceruj trochę po słońcu, to ci dobrze zrobi.

— O Boże, jaka ona dobra — pomyślała ze wzruszeniem Andrea.

— I bądź tak uprzejma, przyślij do mnie księdza-botanika, znajdziesz go w kwaterze holenderskich tulipanów.

Żeby odnaleźć księdza, Andrea musiała obejść cały park. Szła z pochyloną głową, niezupełnie jeszcze przytomna i nie zwracała najmniejszej uwagi na ptaki, które szczebiocząc przelatwały w radosnych gonitwach z gałązki na gałązkę, ani na pszczoły brzęczące w kwiatach bzu i tymianku. Nie spostrzegła nawet, że o dwadzieścia kroków stoi dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Jeden z nich spoglądał na nią badawczo, a w jego oczach malowało się jakieś zmieszanie i niepokój.

Byli to: Gilbert i pan de Jussieu. Pierwszy, oparty na motyce, słuchał uczonych wywodów profesora tłumaczącego, jak należy podlewać rośliny, które lubią suchy grunt tak, aby woda, przeciekając przez ziemię, nie zatrzymywała się w niej.

Można było sądzić, że Gilbert słuchał z najwyższym zainteresowaniem objaśnień uczonego. Pan Jussieu uważał taki zapał do wiedzy za najzupełniej naturalny, gdyż komentarze na tym poziomie, wyłożone podczas publicznej prelekcji, wywołałyby burzliwe oklaski. Toteż dla biednego ogrodniczka możliwość wysłuchania tak wspaniałego wykładu, wyłożonego w obliczu samej natury przez męża tak światłego, powinna być szczęściem nadzwyczajnym.

— Zważ tylko, moje dziecię. Masz przed sobą cztery gatunki gleby — pouczał pan de Jussieu. — Gdybym chciał, mógłbym wskazać jeszcze dziesięć innych odmian, powstałych wskutek mieszania się owych czterech głównych, lecz dla skromnego ogrodniczka owe dyferencje byłyby nadto subtelne. Wszelako, kto krząta się wokół kwiatów, powinien kosztować ziemię, podobnie, jak dobry ogrodnik kosztuje owoce. — Czy pojąłeś, mości Gilbertcie?

— Pojąłem, panie — odpowiedział Gilbert. Nagle usta otworzył i zagapił się na bok, bowiem w tej chwili zauważył

Andree; a że pan Jussieu stał tyłem do Andrei, Gilbert mógł na nią patrzeć, nie budząc podejrzeń profesora.”

— Żeby skosztować ziemię — wyjaśniał dalej pan de Jussieu — należy wziąć garść jej małą, włożyć w naczynie i wlać powoli kilka kropel wody; gdy woda precedzi się, wystarczy jedynie skosztować owe parę kropel, a już poznamy przymioty ziemi — według smaku — smak bowiem może być słony, ostry, kwaśny, już to przejęty odorem pewnych esencji rośliny, którą zamierzasz

pielęgnować; albowiem wszystko w przyrodzeniu, jak uczy pan Rousseau, twój dawny opiekun, odpowiada sobie wzajem, sympatyzuje i dąży do zjednoczenia się...

— Ach, mój Boże! — wykrzyknął raptem Gilbert wyciągając ręce.

— Co się stało?

— Ona mdleje, panie, ona mdleje! — Co za ona? Oszalałeś!

— Ona, ona!

— Co za ona?

— Jakaś pani! — odparł skwapliwie Gilbert. Przestrach, bladość chłopca oraz słowo „ona” zdradziłyby tajemnicę młodego człowieka, gdyby właśnie Jussieu nie odwrócił się i nie spojrział tam, gdzie Gilbert wskazywał ręką.

Spojrzawszy, poznał Andreę, która z najwyższym wysiłkiem doszła do ławki za szpalerem i opadła na nią bezwładnie.

O tej właśnie godzinie król miał zwyczaj składać wizytę następczyni tronu.

I rzeczywiście, wyszedł po chwili z bocznej alei, która przebiegała między Grand a Petit Trianon. Pośpiech, z jakim Jussieu podbiegł do Andrei, której król przy słabym wzroku w pierwszej chwili nie poznał, stłumiony okrzyk Gilberta, wyrażający najwyższe przerażenie, sprawiły, że Ludwik XV przyspieszył kroku.

— Co tu się dzieje? Co się stało? — zbliżywszy się do ławki zapytał.

— Najjaśniejszy Pan! — zawołał Jussieu podtrzymując Andreę rękoma.

— Najjaśniejszy Pan — powtórzyła z przerażeniem Andrea i zemdląła.

— Cóż to takiego? — rzekł Ludwik XV. — Ha, kobieta! Co się tej kobiecie stało?

— Omdlała, Wasza Królewska Mość — powiedział nieśmiało Gilbert.

— Zobaczmy — rzekł król.

— Straciła przytomność, Najjaśniejszy Panie — dodał Jussieu, wskazując na zeszywniałą, nieprzytomną dziewczynę, którą ułożył tymczasem na ławce.

Król zbliżył się... nagle poznał Andreę i zawołał trzęsąc się cały:

— Znowu. Och, to okropne!

Potem zaś dodał: kto ma taką chorobę, powinien w domu siedzieć, a nie umierać na każdym kroku, na oczach wszystkich. To niesmaczne, w najwyższym stopniu, niesmaczne.

I Ludwik XV ruszył znowu w stronę rezydencji następczyni tronu, besztając przez zaciśnięte usta biedną Andreę.

Jussieu, rzecz jasna, nie wiedział, co zaszło niedawno między królem a Andreą, toteż oniemiał ze zdziwienia. Za czym odszukał wzrokiem swego niedawnego rozmówcę, który cofnął się o jakie dziesięć kroków przestraszony i bardzo niespokojny, zawołał:

— Hej! Gilbertcie, chodź tu! Mocny jesteś; zaniesiesz pannę de Taverney do domu.

— Ja? — zawołał Gilbert dygocąc — ja, dotykać jej! Ona by mi tego nie wybaczyła! Nie, nigdy!...

I popędził przed siebie jak szalony, wołając o ratunek.

ROZDZIAŁ CXXXVIII. DOKTOR LOUIS

Nie opodal miejsca, gdzie Andrea zemdląła, pracowało dwóch młodych ogrodników. Nadbiegli oni na krzyk Gilberta i stosownie do rozkazu pana de Jussieu ponieśli dziewczynę do jej mieszkania. Gilbert stał z dala, z głową zwieszoną, co sprawiało wrażenie, jakby zabójca szedł za marami swej ofiary.

Gdy stanęli na ganku oficyny, Jussieu polecił ogrodniczkom posadzić Andreę, która właśnie w tej chwili ocknęła się i otworzyła oczy. Gwar i odgłos kroków wywabily pana de Taverney z pokoju Andrei.

— Co się stało? — zawołał wybiegając na schody.

— Ech, nic ojcze, miałam migrenę i zrobiło mi się słabo — wyszeptwała Andrea.

— Czy to córka pańska? — rzekł Jussieu kłaniając się baronowi.

— Tak, panie.

— Nie mógłbym więc zostawić jej chyba pod lepszą opieką, ale na miłość boską, wezwij pan lekarza.

— Ależ nic mi nie jest — wyszeptwała Andrea. Taverney powtórzył:

— Ależ naturalnie, nic jej nie jest.

— Dałby Bóg, dałby Bóg! — powiedział Jussieu. — Ale panienka jest przeraźliwie blada.

I podtrzymując Andreę odprowadził ją aż na piętro, pożegnał się z ojcem i córką i odszedł.

Pozostali sami.

Czas nieobecności Andrei poświęcił Taverney roztropnym a przede wszystkim owocnym medytacjom. Teraz wziął ją za rękę, podprowadził do sofki, posadził i usiadł obok.

— Bardzo cię przepraszam, ojczy — rzekła Andrea — ale bądź łaskaw otworzyć okno; brak mi powietrza.

— Chciałbym pomówić z tobą na serio, Andreo, a w tej klatce, którą ci dali na mieszkanie, nie można się nawet rozmówić swobodnie; w każdej chwili może ktoś podsłuchać. Ale cóż, trudno. Będę się starał mówić cicho — westchnął baron i otworzył okno. Po czym pokiwał głową i siadł z powrotem obok córki.

Co tu dużo mówić — ciągnął dalej — król, który początkowo był dla nas tak łaskaw, okazywał wyjątkowe względy, nie może się dziś poszczycić zbyt dużą szczodrobliwością, ot, na przykład pozwala, żebyś mieszkała w takiej dziurze.

— Ależ ojczy — odpowiedziała Andrea — w Trianon jest niezwykle ciasno; wiesz przecież, że to jest główna wada tej rezydencji.

— Rozumiem, że może być skąpo miejsca dla innych, doskonale rozumiem, ale żeby nie było miejsca dla ciebie... to rai się w głowie nie mieści.

— Zanadto dobrą masz o mnie opinię, ojczy — odpowiedziała uśmiechając się słabo Andrea — lecz, niestety, nie wszyscy dzielają ją w tej samej mierze.

— Ależ to przecież jest zdanie wszystkich, co cię znają, moja córko.

Andrea lekko skinęła głową, jakby dziękowała za komplement komuś obcemu. Przesadne uprzejmości ojca zaczęły ją wyraźnie niepokoić.

— Tym bardziej nierycersko z jego strony, że zna ciebie, Andreo. Wszakże ciebie zna, córko moja? — zapytał baron utkwivszy w Andrei przenikliwy wzrok.

— Przede wszystkim, król mnie prawie wcale nie zna — odpowiedziała Andrea zupełnie naturalnym głosem — a poza tym, po cóż ma król troszczyć się o taką nic nie znaczącą dziewczynę, jak ja.

Taverney aż podskoczył na te słowa.

— Nic nie znaczy! Nic! — zawołał. — Doprawdy zupełnie cię nie rozumiem, moja panno. Też sobie wykonypowała! Nic nie znaczy! Więc już żadnej wartości nie przywiązujesz do swojej osoby, jak z tego wynika?

Andrea ze zdumieniem spojrzała na ojca.

— Ach tak, tak — rzekł baron — mówię ci i jeszcze raz powtarzam, że skromność twoja doprowadza cię aż do zapomnienia o własnej godności.

— Jak ty, ojczy, we wszystkim przesadzasz. Prawda, że Najjaśniejszy Pan zainteresował się naszą rodziną i że coś niecoś nawet dla nas zrobił; ale racz pamiętać, że nie tylko my jesteśmy na świecie, że koło tronu tylu nieszczęśliwych, że z rąk Jego Królewskiej Mości spływa codziennie tyle dobrodziejstw... iż nie byłoby w tym nim dziwnego, gdyby raz zaszczyciwszy łaską, zapomniał o nas.

Taverney bystro popatrzał na córkę, ciesząc się w duszy z jej nieprzeniknionej skrytości.

— Zobaczmy, zobaczymy — rzekł baron zbliżając się do córki — jak to ty będziesz przyjmować suplikantów, kochana Andreo; pierwszym będzie niewątpliwie twój ojciec. Spodziewam się, że mi nie odmówisz.

Teraz Andrea spojrzała na barona, jakby prosząc, by mówił jaśniej, ponieważ zupełnie nie wie, o co mu chodzi.

— My wszyscy ciebie prosimy — ciągnął Taverney — wstaw się za nami, zrób cokolwiek dla swojej rodziny...

— Ale z jakiego powodu mówisz mi to, ojczy? Co chcesz, żebym uczyniła? — zawołała Andrea do głębi zdumiona tonem i słowami barona.

— Czy gotowa jesteś poprosić o coś dla mnie i dla brata? Odpowiedz: tak czy nie?

— Jeśli każesz, uczynię wszystko, co zechcesz; obawiam się jednak, że byłoby to ogromną niedelikatnością z naszej strony.

— Król ofiarował mi już klejnoty, które jak sam przecież mówiłeś, warte są ponad sto tysięcy liwrow; ponadto obiecał dla brata pułk; a więc i tak większa część łask dworu spadła przecież na nas.

Baron nie mógł się powstrzymać od rubasznego i pogardliwego śmiechu.

— Uważasz więc, moja panno, że już dosyć zapłacono?

— Ależ wiem, ojczu, że twoje zasługi warte są daleko więcej — odpowiedziała Andrea.

— Ech — zawołał Taverney zniecierpliwiony — a któż tu mówi, u diaska, o moich zasługach.

— O czymże więc mówisz, panie ojczu?

— Doprawdy, zupełnie nie pojmuję przyczyny, dla której ukrywasz to przede mną.

— Mój Boże! A cóż bym mogła ukrywać — wykrzyknęła Andrea.

— Ja o wszystkim wiem.

— Wiesz?

— O wszystkim, na parol.

— Ale co o wszystkim? — spytała Andrea. I nagle twarz jej pokryła się szkarłatnym rumieńcem, gdyż pojęła niesmaczną, aluzję, uwłaczającą jej wstydomu dziewczęcemu.

Szacunek ojca dla własnego dziecka wstrzymał Taverney'a na pochyłości, z której każda próba dalszych badań goziła ześliznięciem.

— A więc niech już będzie jak chcesz — rzekł baron. — Chcesz się z tym kryć, zachowywać tajemnicę. A więc dobrze, zostaw ojca i brata w nędzy i poniewierce. Cóż, taka jest twoja wola; ale zapamiętaj to sobie dobrze: jeżeli od samego początku nie weźmiesz go w garść, nigdy nad nim nie będziesz mieć władzy.

— Nad kim? Jakiej władzy? Nie rozumiem cię, ojczu.

— No cóż, ty nie rozumiesz, ale ja doskonale rozumiem.

— To jednak trochę mało, kiedy rozmowę prowadzą dwie osoby.

— No więc, ja ci dokładnie wyjaśnię... Dopóki służy uroda, użyj całej swej przebiegłości, która stanowi wrodzoną cechę naszego rodu i wykorzystaj ją dla szczęścia twojej rodziny i własnego; a zatem przy najbliższym spotkaniu z Najjaśniejszym Panem nie omieszkaj przypomnieć mu, że twój brat czeka na nominację i- że ty nabawisz się suchot w tej ciasnej i ciemnej komórcie — słowem, nie bądź taka głupia, żeby obdarzać miłością bezinteresownie. Taka jest moja ojcowska i przyjacielska rada.

— Ależ ojczu!

— To właśnie powiedz dziś wieczorem królowi.

— Ale jakże chcesz, żebym przystąpiła dziś do Najjaśniejszego Pana?

Kiedy Taverney już zamierzał brutalniejszymi słowami wyjawić jej swe sekretne przypuszczenia, dały się słyszeć czyjeś kroki na schodach. Baron otworzył drzwi, by zobaczyć, kto nadchodzi. Andrea spostrzegła ze zdziwieniem, że baron stanął nagle pod ścianą i wyprostował się w postawie pełnej szacunku.

W tej samej chwili weszła następczyni tronu i tuż za nią czarno ubrany mężczyzna podpierający się wysoką laską.

— Wasza Królewska Wysokość! — zawołała Andrea, zebrawszy wszystkie siły, żeby wstać i złożyć ukłon.

— Tak jest, moja mała pacjentko — powiedziała z uśmiechem następczyni tronu — prowadzę ci lekarza. Zbliź się doktorze. Ach, baron de Taverney! — mówiła dalej księżna poznawszy starca. — Córnica pańska jest bardzo słaba; mało się o nią troszczysz.

— Wasza Królewska Wysokość — wyjąkał Taverney.

— Zbliź się, doktorze — powtórzyła Madame Dauphine z właściwą jej serdeczną bezpośredniością — zbliź się, zbadaj puls, spojrzij w te smutne oczęta i powiedz, co dolega mojej drogiej Andrei.

— Ach, ileż dobroci! Ileż łaski!... — wyszeptwała dziewczyna — tak mi przykro, że stałam się przyczyną niepokoju Waszej Królewskiej Wysokości i muszę przyjmować ją...

— W takiej norce, chciałaś powiedzieć, moja kochana, tym gorzej, tym sroższy wstyd dla mnie, że cię tak kiepsko umieściłam, ale zaraz obmyślimy co innego; tymczasem daj rękę doktorowi i strzeż się, moja Andreo, bo pan Louis, filozof i medyk, jednocześnie widzi i odgaduje.

Andrea uśmiechnęła się i podała doktorowi rękę.

Doktor Louis był jeszcze człowiekiem młodym. Jego rozumne oblicze wyrażało to wszystko, co o nim przed chwilą Maria Antonina powiedziała. Od momentu wejścia do mieszkania przez cały czas badawczo przyglądał się chorej, potem umeblowaniu, potem osobliwej figurce ojca, w którego zachowaniu, jak pewnie zwróciliśmy uwagę, znać było zakłopotanie, ale nie obawę o dziecko.

Uczony widział, filozof być może już odgadł.

Doktor Louis długo badał puls chorej, a potem zaczął ją wypytywać o charakter dolegliwości.

— Zupełny wstręt do jedzenia, zawroty głowy, nagłe mdłości, spazmy, bicie serca, rozdrażnienie.

W miarę uzyskiwanych odpowiedzi, twarz doktora posępniała; wreszcie puścił rękę dziewczyny i odwrócił się.

— No i cóż, doktorze? — spytała Maria Antonina — quid? jak powiadacie zwykle podczas konsylium. Jak znajdujesz chorą? Czy to coś poważnego? Czy można się spodziewać rychłej rekonwalescencji?

Doktor jeszcze raz skierował wzrok na pacjentkę i obserwował ją w milczeniu.

— Wasza Królewska Wysokość, to jest bardzo pospolita choroba.

— Czy niebezpieczna?

— Nie zawsze — odparł lekarz z lekkim uśmiechem.

— Chwała Bogu — zawołała Maria Antonina — w takim razie nie zamęczaj jej zbyt wielką ilością lekarstw.

— Nie, wcale jej nie zamierzam męczyć, Wasza Królewska Wysokość.

— Jak to, nie wypiszesz żadnej recepty?

— Przy tego rodzaju chorobach jest to najzupełniej zbyteczne.

— Doprawdy?

— Tak jest, Wasza Królewska Wysokość.

— Zbyteczne?

— Zupełnie zbyteczne.

To rzekłszy doktor, jakby chcąc uniknąć dalszych wyjaśnień pożegnał madame Dauphine pod pretekstem, że czekają nań inni chorzy.

— Ach, doktorze, doktorze! — przywołała go ze schodów.— Jeżeli to wszystko powiedziałeś, żeby mnie uspokoić, to znaczy, że ja jestem bardziej chora niż panna de Taverney, więc nie zapomnij przynieść mi dziś wieczorem cukierków nasennych, jak to przyrzekłeś.

— Sam je sporządzę, gdy wrócę do domu, Wasza Królewska Wysokość — odpowiedział Louis, skłonił się i odszedł.

Następczyni tronu jeszcze chwilę została.

— Bądź dobrej myśli, moja kochana Andreo — powiedziała pogodnie — to nie musi być choroba niebezpieczna, skoro doktor Louis odszedł, niczego nie zapisawszy.

— Ogromnie się cieszę, Wasza Królewska Wysokość, bo nie przeszkodzi mi ona pełnić służby przy Waszej Wysokości, a tego właśnie obawiałam się najbardziej. Ale mimo zapewnień lekarza, przysięgam, że naprawdę bardzo cierpię.

— Nie muszą to być jednak aż tak srogie cierpienia, kiedy doktor stroi sobie z nich żarciki. Śpij spokojnie, moja dziecino, przyślę ci kogoś, by się tobą zaopiekował; widzę, że jesteś zupełnie sama. Proszę mnie odprowadzić, baronie de Taverney. — Podała Andrei dłoń do ucałowania i odeszła dodawszy jej otuchy, tak jak sobie postanowiła.

ROZDZIAŁ CXXXIX. GRA SŁÓW KSIĘCIA DE RICHELIEU

Książę de Richelieu — jak już wiemy — zdecydował się natychmiast na podróż do Luciennes, z przytomnością umysłu i rzutkością, które stanowiły znamiennej cechę charakteru ambasadora wiedeńskiego i zwycięzcy spod Mahon.

Dotarłszy w wesołym i krotowilnym nastroju do celu podróży, wbiegł na schody jak młodzieniaszek, pociągnął za ucho Zamorę, jak za czasów najbardziej zażyłych stosunków.

z tym domem i nie czekając na zezwolenie, wdarł się do wybitego błękitnym atłasem słynnego buduaru, w którym niegdyś biedna Lorenza widziała, jak pani Dubarry wybierała się na ulicę Saint-Claude. Hrabina, spoczywając na sofce, wydawała ranne polecenia księciu d'Aiguillon.

Usłyszawszy skrzyp pantofli oboje obejrzeni się i osłupieli na widok marszałka.

— Ach, książę! — zawołała pani Dubarry.

— Ach, wujaszek! — zakrzyknął d'Aiguillon.

— Owszem, to ja, hrabino, to ja, mój siostrzeńcze.

— I to ty, książę, naprawdę?

— We własnej osobie, hrabino.

— Lepiej-późno, niż wcale — odpowiedziała hrabina.

— No cóż, na stare lata, hrabino, człowiek rządzi się kaprysem.

— Ach, więc to jest właśnie przyczyną, żeś zawitał do Luciennes.

— Tak jest, gorący afekt, który mnie opuścił jedynie z powodu chwilowego kaprysu. Świetnie, hrabino, odgadłaś i doprzedłaś moją myśl do końca tak wspaniale, jak to tylko ty potrafisz.

— A zatem powróciłeś?

— Jak widzisz, moja hrabino — rzekł Richelieu rozsiadając się wygodnie na z góry upatrzonym fotelu.

— Och, a może skłoniły cię do przyjazdu — rzekła hrabina — zupełnie inne powody, których wyjawić nie chcesz... Kaprys, panie marszałku, został stworzony dla trochę innych ludzi niż pan.

— Krzywdzisz mnie podobną napaścią, hrabino. Nie jestem tak przewrotnym człowiekiem, jak to głosi fama, i jeśli przybyłem tu do ciebie, jak pani widzi, to dlatego że usłuchałem głosu...

— Głosu? — przerwała hrabina.

— Głosu serca.

Książę d'Aiguillon i hrabina parsknęli śmiechem.

— Jakże się cieszymy, że mamy choć szczyptę inteligencji — rzekła hrabina — przynajmniej jesteśmy w stanie pojąć cały bezmiar twojej.

— Co pani przez to rozumie?

— Tak jest. Przysięgam na honor rodu Dubarry, głupcy niczego by nie pojęli i błąkali by się w domysłach, szukając wszędzie na próżno istotnej przyczyny twojej wizyty. Doprawdy, drogi książę, tylko ty potrafisz tak uroczo wchodzić i wychodzić. Mole, sam wielki Mole byłby przy tobie tylko nędznym, drewnianym aktorzyną.

— A więc nie wierzysz mi pani, że przybyłem tu wyłącznie powodowany głosem serca?

Hrabina śmiała się do rozpuku.

— Dobrze. Bijcież mnie, bijcie — rzekł książę pochylając plecy — niestety, jestem już tak stary i zgrzybiały, że nie mogę się bronić. Więc korzystaj, hrabino, korzystaj z mej słabości. Jestem bezbronny i nie mam nikogo, kto by się za mną ujął.

— Masz rację, hrabino — rzekł d'Aiguillon. — Jeśli wuj jeszcze raz wspomni o słabości — zgineliśmy. Tak, mości książę, poddajemy się z góry, ponieważ mimo całej twej domniemanej słabości odpłaciłbyś nam z lichwą za zadawane ciosy. A teraz, mówiąc już na serio, niezmiernie się cieszymy z twego powrotu.

— Tak — rzekła figlarnie hrabina — i dla uczczenia tego powrotu urządzimy dziś wieczorem fajerwerki, puścimy szmermele. A wiesz książę?...

— Nic jeszcze nie wiem, hrabino — rzekł marszałek z dziecinną dobroduszością.

— Wiesz, że podczas fajerwerków zawsze osmali się kilka peruk lub też race przebiją kilka kapelusików.

Marszałek złapał się za perukę i zerknął z udanym przestraczem na kapelusz.

— No, cóż, mości książę — rzekła Dubarry — najważniejsze, że powróciłeś. Co do mnie, to i ja nie mogę przyjść do siebie z radości. A czy wiesz, dlaczego?

— Ej, hrabino, hrabino! Znowu zamierzasz powiedzieć coś złośliwego.

— Tak, ale przyrzekam, że to już ostatni raz.

— Mów pani, proszę.

— Szczerze się cieszę, ponieważ twój powrót zapowiada piękne, słoneczne dni.

Richelieu skłonił się z galanterią.

— Ty — mówiła dalej hrabina — przypominasz mi pewnego poetycznego ptaka, którego pojawienie się zapowiada ciszę na morzu. Panie d'Aiguillon, jak się ten ptak wabi? Pan jako poeta musisz niewątpliwie o tym wiedzieć.

— Zimorodek, pani hrabino.

— Ach, tak, tak, rzeczywiście. Nie pogniewasz się chyba, panie marszałku, że cię przyrównałam do ptaka, który posiada tak interesującą nazwę.

— Tym bardziej nie pogniewam się, o pani — rzekł Richelieu z tym jego charakterystycznym grymasem, który zdradzał zawsze wewnętrzne zadowolenie, a zadowolenie Richelieu zwykle przepowiadało jakąś złośliwość — tym bardziej nie pogniewam się, że paralela jest uderzająco trafna.

— A więc widzisz.

— Tak, przywożę wspaniałe nowiny.

— Ach! — zawołała hrabina.

— Jakie? — spytał niecierpliwie d'Aiguillon.

— Cóż ci tak u licha pilno, drogi książę? — rzekła hrabina. — Daj no czas panu marszałkowi, żeby je wymyślił.

— No, niech mnie diabli porwą, mogę je powiedzieć natychmiast; są gotowe, a nawet już dość starej daty.

— Marszałku, po cóż więc nam przywozisz starzyznę?

— Cóż — rzekł marszałek — można brać, można nie brać. — No, niech tam już stracę — bierzemy.

— Odniosłem, hrabino wrażenie, że Jego Królewska Mość wpadł w zasadzkę.

— W zasadzkę?

— Istotnie, hrabino — w zasadzkę.

— Ale w jaką zasadzkę?

— W tę, którą na niego zastawiłaś.

— Ja zastawiłam na króla zasadzkę?

— Ależ naturalnie, hrabino, wiem o tym doskonale.

— Słowo honoru, że nie wiem o czym mówisz.

— Ach, hrabino, naprawdę nieładnie jest tak mnie mistyfikować.

— Wierz mi, marszałku, że o niczym nie wiem i błagam cię, mów trochę jaśniej.

— Tak, tak, wujaszku — rzekł d'Aiguillon, zdając się czegoś domyślać ze złośliwego, dwuznacznego uśmiešku marszałka — racz mówić trochę jaśniej, przecież hrabina jest wysoce zaniepokojona.

Stary książę zwrócił się do siostrzeńca:

— Byłoby naprawdę komiczne, kochany d'Aiguillon, gdyby hrabina nie dopuściła cię do swej tajemnicy. Ach, a więc w takim razie sprawa jest jeszcze poważniejsza, niż sądziłem.

— Mnie — wujaszku?

— Jego?

— Rzecz jasna, że o ciebie tu chodzi. No, hrabino, bądźmy szczerzy; możesz mi ufać. Powiedz, czy on również należał do tego małego sprzysiężenia przeciw Najjaśniejszemu Panu? — Biedny książę, sam nie wie jak odpowiedzialną zagrał rolę.

Pani Dubarry zaczerwieniła się.

Marszałek przyjechał tak wcześnie, że nie zdążyła jeszcze ani się uróżować, ani poprzyklepać muszek — więc rzeczywiście mogła się zaczerwienić.

Lecz taki rumieniec był bardzo niebezpieczny. — Dlaczego patrzycie na mnie z takim zdziwieniem? — rzekł Richelieu. — Czy rzeczywiście muszę wam tak szczegółowo opowiadać o sprawach doskonale wam znanych?

— Opowiadaj, opowiadaj, mości książę — zawołali oboje jednocześnie.

— Wiedzieć więc, że dzięki swej niezrównanej przenikliwości nasz Najjaśniejszy Pan dowiedział się o wszystkim i przeraził się nie na żarty.

— O czym się dowiedział? Co go tak przeraziło? — śpiesznie zapytała hrabina Dubarry. — Doprawdy, panie marszałku, umieram z ciekawości.

— Jak to o czym? O twej udawanej miłości, hrabino, do mego urodziwego siostrzeńca.

D'Aiguillon pobladał i spojrział na hrabinę, jakby chciał powiedzieć: widzisz, byłem pewny, że trzyma w zanadru jakąś złośliwość.

Kobiety są z natury śmiałe i w podobnych sytuacjach daleko śmielsze od mężczyzn, toteż hrabina natychmiast podjęła rękawicę:

— Książę — rzekła — kiedy bierzesz na się rolę sfinksa, obawiam się zagadek; przewiduję bowiem, że będę prędzej czy później pożarta. Dlatego nie przedłużaj mego niepokoju. A jeśli to jest żart, mości książę, to pozwól sobie powiedzieć, że jest on trochę zbyt trywialny.

— Trywialny, hrabino? Ależ przeciwnie — przewyborny — zawołał Richelieu. — Rzecz jasna, nie mój żart, tylko twój, hrabino.

— Nie mam w nim żadnego udziału — rzekła pani Dubarry, przygryzając wargi z niecierpliwości, którą wyraźniej jeszcze zdradzały nerwowe poruszenia drobnej nóżki.

— Nie przekomarzaj się, hrabino, nie przekomarzaj — mówił dalej Richelieu — odłóż na chwilę na bok miłość własną i przyznaj się, że byłaś w strachu, iż król zbyt silnie się przywiąże do panny de Taverney. Nie chciej zaprzeczać; to jest tak oczywiste, jak to, że dwa razy dwa równa się cztery.

— Prawda. Tego nie taję.

— Ponieważ więc twoja miłość własna była trochę zadraśnięta, tyś, hrabino, chciała ze swej strony leciuteńko ukłuć Jego Królewską mość.

— Nie przeczę. I cóż dalej?

— Nie śpiesz się tak, hrabino. Zbliżamy się do końca. — No przecież! Nareszcie!

— Ale żeby ukłuć Jego Królewską Mość, który skórę ma trochę zbyt grubą, trzeba by mu dać lekkiego szturchańca. Ach, co za niezgrabna gra słów. Przepraszam, hrabino. Tak mi się wymknęło mimo woli. Czy teraz, pani, rozumiesz?

I marszałek zaczął się śmiać albo raczej udawał, że się zaśmiewa do łez, obserwując przy tym spod oka niewyraźna miny swych ofiar.

— Gdzie tu znajdujesz grę słów, mój wuju? — spytał d'Aiguillon, ochłonawszy nieco i udając, że nie rozumie marszałka.

— Nie zrozumiałeś? — zdziwił się marszałek. — Ach, to tym lepiej, bo to była szkaradna gra słów. Chciałem po prostu powiedzieć, że hrabina, celem obudzenia zazdrości w królu, wybrała sobie dla tego zamierzenia przystojnego i dowcipnego młodzieńca, słowem — cud świata.

— Któż takie plotki rozsiewa? — zawołała hrabina z gniewem, podobnie jak wszyscy wielcy tego świata, kiedy poczuwają się do winy.

— Któż? Wszyscy, pani hrabino.

— Wszyscy, to znaczy nikt. Wiesz przecież o tym, książę, doskonale.

— Przeciwnie, hrabino. Jeśli ja mówię: wszyscy, to znaczy, że w samym Wersalu mówi o tym sto tysięcy osób; w Paryżu sześćset tysięcy, we Francji dwadzieścia pięć milionów. Jak widzisz, pani, nie liczyłem jeszcze Hagi, Hamburga, Hotterdamu, Londynu i Berlina, gdzie tyle wychodzi gazet, ile nowin obiega codziennie Paryż. Powiadają, że jesteś najdowcipniejszą i najpiękniejszą -kobietą w Europie; powiadają również, żeś spożytkowując swą głęboką inteligencję, posłużyła się podstępem, polegającym na stworzeniu pozorów, jakobyś poszukała sobie kochanka.

— Kochanka? I na czymże opiera się to niemądre oskarżenie?

— Oskarżenie? Jak możesz tak mówić hrabino? — Nie oskarżenie, a wyrazy uznania, uwielbienia. Wszyscy przecież zdają sobie doskonale sprawę, że to jest tylko na niby i wszyscy uwielbiają cię za twoją taktykę, hrabino. Chcesz wiedzieć trochę dokładniej, co w tym wszystkim szczególnie wzbudza owo uwielbienie, ba, entuzjazm? — twoje oparte o przenikliwą inteligencję zdolności przewidywania. Wszyscy uwielbiają cię, że tak świetnie, z takim, rzecz można, artyzmem, potrafiłaś stworzyć pozory, żeś pozostała samotna tej nocy, pamiętasz tej nocy, kiedy to bawiłem u ciebie, a był wtedy i Najjaśniejszy Pan i d'Aiguillon — tej nocy właśnie, kiedy to ja wyszedłem pierwszy, Jego Królewska Mość drugi, a d'Aiguillon dopiero trzeci...

— No, kończże już pan wreszcie.

— Dałaś do zrozumienia, żeś pozostała sam na sam z księciem d'Aiguillon, jakby był on twoim kochankiem i że z samego rana dyskretnie wyprowadziłaś go z Luciennes, co miało znaczyć, że to niby naprawdę twój kochanek. A wszystko uczyniłaś w tym celu, żeby dwóch, czy trzech gapiów, ot, takich, jak ja, na przykład, dostrzegło to i roztrąbiło nowinę na wsze strony; tak, aby król, gdy to dojdzie do jego uszu, przeraził się i nie chcąc cię utracić, czym prędzej porzucił tę małą de Taverney.

Pani Dubarry i d'Aiguillon zupełnie nie wiedzieli, jak się mają zachować podczas tego całego monologu. Atoli księżę de Richelieu, ani trochę nie zmieszany ich wyrazem twarzy i gestami, zdawał się nie dostrzegać niczego; całą jego uwagę zaprzętała tabakierka i żabot.

— Na skutek tego manewru — rzekł Richelieu, otrzepując starannie niewidzialny pył z żabotu — jest rzeczą absolutnie pewną, że król porzucił małą de Taverney.

— Księżę, oświadczam ci — rzekła Dubarry — że nic nie rozumiem z tych twoich relacji i jestem niezbitnie przekonana, że król także by nic nie zrozumiał, gdyby mu o tym powiedziano.

— Doprawdy? — zdziwił się księżę.

— Doprawdy. Przypisuje mi pan daleko więcej wyobraźni, niż jej rzeczywiście posiadam. Nigdy nie chciałam budzić zazdrości króla tego rodzaju środkami, jakie wymieniłeś.

— Hrabino!

— Przysięgam na to.

— Prawdziwi dyplomaci — a nie ma lepszych dyplomatów niż kobiety — prawdziwi dyplomaci, mówię, nigdy nie przyznają się, że posłużyli się przebiegłością nadaremnie. W polityce bowiem panuje pewna żelazna zasada — do moich obowiązków jako byłego ambasadora należało ją znać — zasada następująca: nigdy nie ucz nikogo sposobu, który już raz okazał się niezawodny, ponieważ sposób ten może ci się z równie pomyślnym powodzeniem przydać po raz drugi.

— Ależ księżę...

— Gra udała się i to najważniejsze. Król patrzeć nie może na rodzinę de Taverney.

— Czy rzeczywiście, księżę? Skąd ty to wszystko wiesz?

— Ach, hrabino, czyż uważasz za rzecz zupełnie niemożliwą, że król może nie lubić rodziny de Taverney? — rzekł Richelieu, aby uniknąć bliższych wyjaśnień.

— Wcale nie to miałam na myśli. Richelieu starał się ująć hrabinę za rękę.

— Ładny z ciebie ptaszek, hrabino — rzekł. — A z ciebie gadzina, księżę.

— Dobrze. Na drugi raz nie przyjdzie mi ochota jeździć do ciebie, hrabino, z dobrymi nowinami, aby otrzymać podobną nagrodę.

— Uspokój się, wuju — rzekł żywo d'Aiguillon, który pojął wreszcie właściwy cel odwiedzin Richelieu. — Nikt chyba nie ceni cię bardziej od hrabiny. I o tym właśnie mówiliśmy, kiedy nam zaanonsowano o twoim przybyciu.

— Oto, jak mają się sprawy, hrabino — rzekł marszałek. — Nikt tak jak ja nie ceni przyjaźni i przyjaciół. Dlatego natychmiast pośpieszyłem do was. Chciałem ci pierwszy powinszować i donieść o twoim tryumfie. Wiesz przecież, że Taverney spodziewał się względów króla.

— Zdaje się, że je nawet uzyskał — wtrąciła pani Dubarry.

— Och, hrabino, cóż to za przebiegły człowiek. On to właśnie prawdziwy gad. Wyobraź sobie, hrabino, że byłem tak nierozumny, iż uwierzyłem jego banialukom, gdy mnie zaczął durzyć słowami o przyjaźni, o wspólnych bojach. Mnie zawsze łatwo ująć za serce. To jest właśnie moje nieszczęście. Ale nie ma na to rady... Przy tym, komu mogło przyjść do głowy, że ten prowincjonalny Arystydes będzie próbował podstawić nogę Janowi de Dubarry, najdowcipniejszemu, najzacniejszemu z ludzi!

Ach, trzeba tak cię kochać, hrabino, jak ja kocham, by rozwikłać te wszystkie intrygi. Słowo szlacheckie, że o niczym. z początku nie wiedziałem i nic nie pojmowałem.

— A więc jest już po wszystkim? — spytała pani Dubarry.

— Tak, już po wszystkim. Ręczę za to. Tak gracko odprawiłem tego „patrem familias”, że już po raz wtóry nie zbliży się do mnie. Teraz już wiemy, hrabino, co pozostaje do zrobienia. Zdaje się, że nasi góra.

— No, a król?

— Król?

— Tak, król.

— Wybadałem opinię Jego Królewskiej Mości w trzech kwestiach.

— Primo?

— Co sądzi o ojcu.

— Secundo?

— O córce.

— Tertio?

— O synu. Najjaśniejszy pan raczył nazwać barona stręczycielem, córkę — skromnisią, a syna niczym nie nazwał z tej prostej przyczyny, że Jego Królewska Mość zupełnie o nim zapomniał.

— Wybornie! A więc pozbyliśmy się tej całej sfory.

— Sądzę, że tak.

— Czy nie warto by zapędzić ich z powrotem do ich dziury?

— Nie wydaje mi się. Spróbowali, nic z tego nie wyszło i zapewne dadzą spokój.

— A wspomniałeś, marszałku, o synu, któremu król obiecał pułk...

— Ach, hrabino, ty masz daleko lepszą pamięć od króla. Prawda, że pan Filip jest niezwykle przystojnym mężczyzną i przesyłał ci swego czasu najczulsze, mordercze spojrzenia... Lecz w tej chwili jest już niczym...

— Jak to niczym?

— Tak, niczym. Dotychczas spodziewał się zostać pułkownikiem! bratem faworyty, a teraz już stracił wszelką nadzieję... Ach, że też zapomniałam! Chociaż stracił nadzieję, to zostało mu jednak tamto wspomnienie, radość, że zwróciłaś na niego uwagę, hrabino.

Tym ostatnim zwrotem Richelieu spróbował zadrasnąć szponami zazdrości serce siostrzeńca.

Ale rozmyślania księcia d'Aiguillon szły zupełnie w innym kierunku. Starał się przeniknąć zamiary marszałka i odgadnąć prawdziwą przyczynę jego powrotu.

Rozważywszy całą rzecz dokładnie, doszedł do słusznego wniosku, że to jedynie tylko zmienny wiatr łaski monarszej przypędził marszałka do Luciennes.

D'Aiguillon dał skrycie znak hrabinie Dubarry, która zrozumiała i zaprosiła księcia Richelieu na filiżankę czekolady. Marszałek poprawiając perukę przechwycił ten właśnie znak w zwierciadle.

D'Aiguillon pożegnał hrabinę, po wielokroć ucałował wuja, który odwzajemnił mu się równą serdecznością — i wyszedł.

Richelieu usiadł z hrabiną przy stoliku, na którym Zamora wnet postawił czekoladę.

Stary marszałek, doznając w tej chwili tak nadzwyczajnych względów ze strony faworyty monarszej, pomyślał sobie:

— Przed dwudziestu laty spojrzalbym w tej chwili na zegar i powiedziałbym: za godzinę muszę być ministrem i... byłbym ministrem. Oj, głupie, głupie to życie ludzkie — rozmyślał dalej — w pierwszej jego połowie umysł rządzi ciałem, w drugiej — ten sam umysł, który szczerze mówiąc tylko sam jeden przeżył burze lat bez uszczerbku, staje się niewolnikiem ciała. Cóż za brak logiki.

— Kochany marszałku — rzekła hrabina, przerywając monolog wewnętrzny gościa — więc teraz, kiedy znowu jesteśmy przyjaciółmi, a zwłaszcza, gdy już jesteśmy sami, powiedz mi szczerze, z ręką na sercu, dlaczego zadawałeś sobie tyle kłopotów, aby zbliżyć króla z tą błazną?

— Hrabino — odpowiedział na to Richelieu dotykając ustami dymiącej czekolady — sam właśnie o to siebie zapytywałem. Dalibóg, że zupełnie nie rozumiem.

ROZDZIAŁ CXL. POWRÓT

Richelieu wiedział dobrze, co mówić o Filipie i miał prawo oznajmić o jego powrocie, ponieważ rankiem jadąc z Wersalu do Luciennes, spotkał go na głównym trakcie, gdy ten jechał do Trianon. Minęli się w tak bliskiej odległości, że marszałek mógł zupełnie wyraźnie dostrzec w twarzy Filipa wyraz smutku, i zaniepokojenia. Były po temu powody. Filip zapomniany w Reims przeszedł przez wszystkie stopnie łaski, a potem obojętności i zapomnienia; najpierw psuty oznakami przyjaźni ze strony oficerów, zazdroszczących mu awansu, potem zaś — względami samych zwierzchników, ten Filip, w miarę jak tchnienie niełaski przyćmiło widoki na świetną karierę, zniechęcił się widząc, jak przyjaźń powoli zmienia się w obojętność, względy — w niechęć.

We wrażliwej duszy młodzieńca zdrażniona miłość własna przekształciła się w wyraźny żal do świata.

Żałował więc swego porucznikostwa w Strasburgu, czasów, gdy Madame Dauphine przybywała do Francji; żałował szczerych i oddanych przyjaciół, równych mu stopniem i nazwiskiem, towarzyszy broni; nade wszystko zaś żałował spokoju i nie zakłóconej ciszy rodzinnego domu, którego La Brie był arcykapłanem.

Tam wszelkie troski znajdowały ukojenie w milczeniu i zapomnieniu o reszcie świata — w owym śnie czynnych umysłów.

Przy tym samotność zamku Taverney, upadek świetnej budowli, świadczący o ruinie ambicji życiowych miały w sobie jakiś sens filozoficzny, który przemawiał potężnym głosem młodego serca.

Nade wszystko jednak żałował Filip, że nie mógł w takich chwilach prowadzić pod rękę siostry, zwierzać jej się i słuchać jej rad, tak zdumiewająco trafnych, jakkolwiek były jedynie skutkiem wrodzonej szlachetności uczuć i dumy, nie zaś doświadczenia życiowego. Dusze bowiem szlachetne posiadają jakąś szczególną właściwość, która sprawia, że mimo woli wybiegają wysoko ponad ciżbę i często dzięki własnej wzniosłości unikają zadraśnięć, ran i zasadzek, od których owad ludzki, jakkolwiek nawykły do wykrętów, chytrłości i wszelkiej babraniny w swym bagienku, nie zawsze potrafi się uchronić.

Gdy oczekiwanie na nominację niespodzianie się przedłużało, Filipa zaczęła nękać nuda i uczucie zniechęcenia.

Młodzieniec czuł się w swym miejscu odosobnienia tak nieszczęśliwy, że nie mógł sobie wprost uświadomić, że Andrea, ta druga połowa jego duszy, może czuć się w Wersalu dobrze i spędzać czas na niefrasobliwych rozrywkach, gdy on tak okrutnie w tej chwili cierpi.

Wysłał więc do barona list — o czym już wiemy — i oznajmił o swym rychłym powrocie.

List ten nie zdziwił nikogo, zwłaszcza — barona. Wprost przeciwnie, baron zdumiewał się, jak Filip potrafi tam tak cierpliwie czekać, kiedy on — baron — siedzi tutaj jak na rozżarzonych węglach i cd dwóch tygodni na próżno błaga Richelieu, ilekroć go spotka, żeby szybciej doprowadził sprawę do końca.

Filip, nie otrzymawszy nominacji w terminie, jaki sam sobie wyznaczył, pożegnał się ze swymi kolegami z pułku, nie dając po sobie poznać, że widzi ich szyderstwo i wzgardę, z lekka tylko przysłonięte maską grzeczności, która w tamtej epoce stanowiła powszechną cechę Francuzów, oraz odrobiną naturalnego szacunku, jaki zawsze budzi wobec siebie człowiek śmiały.

Zatem o godzinie, którą sam sobie wyznaczył jako ostateczny termin, do którego winien był czekać na nominację — a której to godziny od pewnego czasu oczekiwał już raczej z niepokojem, niż z pragnieniem, by się wszystko skończyło pomyślnie — dosiadł wierzchowca i pojechał do Paryża.

Trzy dni podróży dłużyły mu się niewymownie. Czym bliżej był stolicy, tym bardziej uporczywe milczenie ojca oraz brak listów od siostry, która święcie przyrzekła pisywać do niego przynajmniej dwa razy w tygodniu, kazały mu malować to, co niebawem ujrzy w Paryżu, w jak najczarniejszych barwach.

Filip dotarł, jak to już powiedzieliśmy, około południa do Wersalu, w tym samym mniej więcej czasie, gdy Richelieu stamtąd wyjeżdżał. A że na jazdę zarwał tęgi kawał nocy i spał tylko dosłownie parę godzin w Melun, był tak osowiały i zamyślony, że nie poznał Richelieu w powozie i nie spostrzegł nawet jego liberii.

Przybywszy na miejsce, skierował konia w stronę okratowanego parku, w którym żegnał się z Andrea w dniu odjazdu, a kiedy to młodą dziewczynę bez żadnej istotnej przyczyny — bo przecież naówczas przyszłość całej rodziny zdawała się układać jak najlepiej — ogarnął jakiś niewypowiedziany smutek, jakby przecucie czegoś, co -niebawem nastąpi.

Ten nastrój Andrei udzielił mu się wtedy z całą mocą, ale w ciągu następnych dni i tygodni młodzieniec powoli przyszedł do siebie i zupełnie otrząsnął się spod jego wpływu. Czemuż to właśnie teraz, przez jakieś szczególne zrządzenie losu, on Filip, bez żadnej widomej przyczyny wraca w to samo miejsce ogarnięty podobną trwogą i, co gorsza, nie znajduje, nawet w myślach, jakiegokolwiek pociechy, która by go wyrwała z tego bezbrzeżnego smutku? W chwili, gdy jego wierzchowiec, nie czując cugli, kłusował swobodnie po wyżwirowane bocznej alei, sypiąc iskry spod podków, ktoś, zapewne posłyszawszy tętent, wyszedł zza szpaleru.

Był to Gilbert; w rękę trzymał nóż ogrodniczy. Młody ogrodnik poznał od razu swego dawnego pana, Filip poznał Gilberta. Gilbert objął się bez celu od miesiąca i jak dusza potępiona dosłownie nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Zręczny jak zawsze w wykonywaniu swych zamierzeń, w istocie zajmował się jedynie tylko wyszukiwaniem punktów obserwacyjnych w alejach, z których mógłby widzieć najdogodniej pawilon oraz okno pokoiku Andrei i wpatrywać się w nie godzinami, lecz tak, aby niczyje oczy nie dostrzegły jego osobliwego zajęcia, wzruszeń i westchnień.

Z nożem ogrodniczym w rękę, dla nadania pozorów, że jest zaprzątnięty pracą, obchodził rzędy krzaków i kwatery, obcinając tu i ówdzie gałęzie osypane kwiatem jako rzekome dziczki, to znów zdzierając zdrową korę z młodych lip pod pretekstem, że zbiera sączący się sok, a w istocie rzeczy nieustannie podsłuchując, śledząc, pożądając i bolejąc.

Młodzieniec wyraźnie pobladł w ostatnich miesiącach.

Trudno by dziś było z jego twarzy wyczytać młodość, chyba tylko z dziwnego żaru w oczach i z matowo białej cery; gdyż ściśnięte, nieszczerze usta, spojrzenia rzucane jakoś spode łba, jak również ruchliwa gra mięśni twarzy — wszystko to stanowiło już znamiona posępnej szych lat dojrzałego wieku.

Gilbert poznał, jak wspomnieliśmy, Filipa, a poznawszy, chciał się czym prędzej zaszyć w krzaki.

Jednakże młody oficer skierował w tamtą stronę konia, wołając: Gilbercie, hej, Gilbercie!...

Pierwszym odruchem Gilberta była chęć ucieczki, jeszcze sekunda, a o władnąłby nim ów chorobliwy napad lęku — którego przyczynę trudno wytłumaczyć, a który starożytni przypisywali bożkowi, imieniem Pan — o władnąłby i popchnął jak oszalałego w aleje, w krzaki, w szpalery, czy nawet w wodę. Szczęściem, że zdziwały chłopiec usłyszał w tym momencie słowa łagodnej i przyjaznej perswazji Filipa.

— Cóż to, Gilbercie, nie poznajesz mnie? Gilbert opanował się i zatrzymał.

Potem zawrócił, lecz szedł powoli, jakby nieufnie.

— Nie, panie — rzekł młodzieniec cały drżący — nie poznałem panicza, wziąłem cię za jednego ze strażników, a ponieważ nie stanąłem do roboty, więc lękałem się, by mnie nie poznano i nie doniesiono o tym celem ukarania.

Filip poprzestał na tym tłumaczeniu, zsiadł z konia, wziął cugle w dłoń i oparłszy wolną rękę na ramieniu Gilberta, który zatrzęsł się. wyraźnie, spytał:

— Cóż ci jest, Gilbercie?

— Ej, nic, paniczu — mruknął chłopiec. Filip uśmiechnął się smutno.

— Jednak ty nas nie lubisz, Gilbercie, prawda? Chłopcu znów zaczęły się jakoś dziwnie trząść ramiona.

— Tak, może to i zrozumiałe — mówił dalej Filip — mój ojciec obchodził się z tobą srogo i niesprawiedliwie, ale ja...

— Oj, paniczu — szepnął.

— Przecież ja ciebie bardzo lubiłem... broniłem cię...

— Tak, to prawda.

— Więc zapomnij o tym, co złe, a pamiętaj o dobrym. Siostra też była dla ciebie dobra...

— Oj, co to, to nie! — przerwał z nieoczekiwaną żywością Gilbert.

Ten okrzyk był jakiś dziwnie niezrozumiały, gdyż zawierał w sobie i jakby oskarżenie Andrei, i wyrzut sumienia. Brzmiała w nim upokorzona miłość własna i przejmujący żal.

— Tak, rozumiem cię — odrzekł Filip — Andrea była może cokolwiek za dumna, ale w gruncie rzeczy to bardzo poczciwa dziewczyna.

Po chwili milczenia — gdyż powodowany złym przecuciem całą rozmowę przedłużał jakby umyślnie, aby odwlec moment widzenia się z siostrą — zapytał niepewnie:

— A czy przypadkiem nie wiesz, gdzie mogę teraz znaleźć moją drogą Andreę?

Imię to boleśnie ugodziło serce Gilberta. Odpowiedział zmienionym, jakby przytłumionym głosem.

— Jest u siebie, paniczu. Tak mi się wydaje. Ale naprawdę to skąd ja mogę, paniczu, wiedzieć...

— Jak zwykle sama! I nudzi się biedactwo? — przerwał Filip.

— Tak, paniczu, samiuteńka... to jest... tak sobie myślę, że sama, bo od czasu ucieczki panny Nicole...

— Jak to? Więc Nicole uciekła?

— A tak, paniczu, uciekła z tym swoim kochankiem.

— Z kochankiem?

— Tak sobie właśnie miarkuję, że chyba z kochankiem — tłumaczył się Gilbert, spostrzegłszy, że zbyt szybko się zagalopował.

— Cóżżeś dziś taki niemowny! Każde słowo trzeba z ciebie wrywać! — zniecierpliwiał się Filip nie na żarty. — Bądźże trochę grzeczniejszy. Rozumu ci nie zbywa, posiadasz sporo wrodzonej inteligencji, nie psuj tych pięknych przymiotów udawaną dzikością i grubiaństwem. Nie pasuje to do twego chudopacholskiego stanu i jak sądzę, do żadnego.

— Ale kiedy ja naprawdę nic nie wiem z tych rzeczy, o które mnie panicz pyta i kiedy to sobie panicz dobrze w myślach wymiarkujesz, to i sam przyznasz: skądże ja mogę wiedzieć; haruję cały dzień w ogrodach, a co tam porabiają panie i panowie z zamku, to mi nic do tego.

— Ej, Gilbercie, Gilbercie! Sądziłem, że masz przecież oczy?

— Oczy?

— Tak... I że ciebie obchodzą sprawy tych, którzy noszą, moje nazwisko. Mówiąc między nami, jakkolwiek nie zawsze było ci najlepiej pod dachem Taverney, zawszeć był to twój dach nad głową.

— Dlatego też ty, panie Filipie, ty obchodzisz mnie mocno — powiedział Gilbert ściszone, ochryplym głosem, gdyż serdeczność Filipa i inne jeszcze uczucia, których ten ostatni nie mógł odgadnąć, zmiękczyły zdziczałe serce ogrodniczka. — Tak, ja ciebie, panie, kocham i dlatego powiem ci, że twoja siostra bardzo chora.

— Chora? Moja siostra! — krzyknął Filip łamiącym się głosem. — Bardzo chora, bardzo chora! — powtarzał w kółko. — Dlaczegoś mi tego od razu nie powiedział?

Raptownie przyspieszył kroku.

— Na miłość boską, co jej jest?

— Ba, nie wiadomo — odparł Gilbert. — Ale przecież?...

— Dzisiaj trzy razy zemdląca w ogrodzie i nawet był u niej ten doktor Delfinowej, a zachodził też pan baron.

Lecz Filip już nie słuchał. Jego przeczucia ziściły się i w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa odzyskał całą śmiałość i energię.

Rzucił cugle Gilbertowi i popędził co tchu do oficyny.

Gilbert pozostawszy sam, spieszenie zaprowadził konia do stajni i uciekł, jak ptaki dzikie albo złośliwe, które nie chcą przebywać w pobliżu człowieka.

ROZDZIAŁ CXLI. BRAT I SIOSTRA

Filip zastał siostrę leżącą na sofie, o której mieliśmy okazję już mówić.

Wchodząc do mieszkania młodzieniec zauważył, że Andrea skrzętnie usunęła z pokoju wszystkie kwiaty — ona, która je tak zawsze lubiła. Od czasu choroby zapach kwiatów sprawiał jej niewymowne katusze. Dziewczyna wszystkie dolegliwości, jakie ją trapiły kolejno od dwóch tygodni, przypisywała podrażnieniu komórek mózgowych.

Kiedy Filip wszedł, Andrea pogrążona była w rozmyślaniu. Pochylone, piękne czoło ocieniał smutek, w oczach taił się bolesny niepokój; ręce opadły bezwładnie, a chociaż właśnie w takim położeniu powinny nabiec krwią, przypominały swą białością ręce figur woskowych.

Filip wbiegł do sieni mocno zadyszany, lecz tu zatrzymał! się i opanował; po schodach wdrapywał się już powoli, z rozwagą i do mieszkania siostry wszedł tak cicho, jakby był sylfem.

Z troskliwością istot kochających chciał sam dokładnie zdać sobie sprawę z objawów choroby, a wiedział dobrze, że Andrea, zawsze czuła i pocziwa, gdy go tylko spostrzeże i usłyszy, będzie się starała tak zachowywać, by go broń Boże, nie przerazić.

Po cichu otworzył szklane drzwi... zamiar powiódł się nadspodziewanie... stał już pośrodku pokoju, a Andrea jeszcze nie zauważyła jego obecności.

Filip miał więc czas przyrzeć się chorej; dostrzegł jej bladość, bezwład, osłabienie; przykro zdziwił go również wyraz jej oczu: patrzyły nieruchomo w jakiś punkt przestrzeni i zdawały się niczego nie widzieć.

Spiesząc do oficynki, Filip zdawał sobie sprawę, że choroba musi być poważna, mimo to jednak, to co zobaczył, zatrwożyło go. Na pierwszy rzut oka zorientował się także, że w cierpieniach jej znaczny udział ma strona duchowa.

Serce zatrzepotało mu w piersiach, poruszył się.

Andrea podniosła oczy i z radosnym okrzykiem wstała, podbiegła zdyszana do brata i rzuciła mu się na szyję.

— To ty Filipie? — szepnęła... Nagle siły ją opuściły i nie mogła słowa wydobyć.

Zresztą cóż mogła powiedzieć więcej, przecież przez cały czas myślała o nim.

— Tak, to ja — odpowiedział Filip, całując ją serdecznie i podtrzymując, gdyż nagle uczył, że ślania mu się w ramionach i może upaść. — Ja powróciłem, a ty chorujesz? Co ci jest, biedna siostrzyczko?

Andrea roześmiała się nerwowo. Śmiech ten zamiast uspokoić Filipa, jak tego pragnęła, przeraził go jeszcze bardziej.

— Co mi jest? A czyż ja wyglądam na chorą, Filipie?

— Ach, Andreo, taka jesteś blada! Drżysz cała!

— Ale skąd ci to przyszło do głowy, mój bracie? Nie jestem ani nawet trochę słaba. Któż ci takich głupstw naopowiadał? Doprawdy, nie rozumiem, o co ci chodzi! Czują się naprawdę świetnie. Mam tylko lekkie mdłości, ale to przejdzie.

— Taka jesteś blada, Andreo.

— Przecież nie byłam nigdy rumiana.

— Tak, ale byłaś zawsze pełna życia... — Zdaje ci się, braciszku.

— Ach, patrz, patrz... te twoje ręce... dopiero co były gorące, a teraz jak lód.

— Ach, to zupełnie naturalne, Filipie: kiedy zobaczyłam, żeś wszedł...

— To co?

— To tak się strasznie ucieszyłam, że wszystka krew napłynęła mi do serca...

— Ależ ty się ślaniasz, Andreo. Gdybym cię nie trzymał, to byś upadła.

— Nie — ja chcę tylko jeszcze raz cię uściskać. Czy nie chcesz bym cię uściskała?

— Och, najukochańsza, biedna moja Andreo! I przycisnął siostrę do serca.

W tej chwili Andrea uczuła, że znowu ją siły opuszczają, na próżno starała się utrzymać ramiona na szyi brata. Ręce ześliznęły się, zeszytwniały i opadła na sofkę, bielsza od muślinowych firanek, na których zarysował się w tym momencie jej śliczny profil.

— No widzisz, widzisz, że mnie oszukujesz! — zawołał Filip. — Ach, siostrzyczko, ty przecież... mdlejesz!

— Flakonik, flakonik! — wyszeptała z wysiłkiem Andrea, zmuszając twarz do uśmiechu, który jej towarzyszył nawet i w minucie śmierci. Zmatowiałymi oczyma i pół uniesioną ręką wskazała Filipowi małą toaletkę pod oknem, na której stały sole orzeźwiające.

Filip podskoczył ku oknu, nie spuszczając oka z siostry.

Otworzył błyskawicznie okno i podsunął jej pod nos flakonik.

— Tak, tak — szepnęła wciągając w płuca głębokimi oddechami powietrze i życie. — Widzisz, że odżyłam, a tyś pewnie pomyślał, że ja jestem naprawdę chora, powiedz? Ale Filip nic nie mówił, tylko wciąż patrzył na siostrę. -Dziewczynie powoli powracały siły. Uniosła się na sofce, ujęła w wilgotne dłonie drżącą rękę Filipa i gdy jej wzrok łagodniał, a leciuteńkie kolorki pojawiły się na policzkach, piękniejsza była, niż kiedykolwiek.

— Ach, mój Boże! — zawołała. — Widzisz przecież, Filipie, że już mi jest zupełnie dobrze. Ręczę ci, że gdyby nie niespodzianka, jaką mi w najlepszych intencjach sprawiłeś, spazmy by się już nie powtórzyły i byłabym zdrowiuteńka, ale... rozumiesz: przybywać tak nieoczekiwanie, nie napisawszy wprzód ani słowa, i to do mnie, co cię tak kocham... i to ty, mój jedyny opiekun... to przecież mogłoby mnie zabić, nawet gdybym była najzdrowsza w świecie.

— Wszystko to bardzo piękne, siostrzyczko, ale najpierw mi powiedz, jaka jest przyczyna twojej choroby?

— Bo ja wiem?... Może wiosna, może kwiaty... Wiesz przecież, jaka jestem nerwowa. Wczoraj odurzył mnie nawet zapach perskiego bzu. Nie trzeba ci przecież tłumaczyć, jaki oszalamiający zapach wydają te wspaniałe kiście kwiatów w początkach wiosny, zwłaszcza, gdy leciutki powiew zakołysze gałązkami. Otóż wczoraj, wczoraj... och, mój Boże, Filipie, nie chcę nawet myśleć o tym, bo zdaje mi się, że znów słabość powróci.

— Tak, może masz słuszość — kwiaty potrafią być niebezpieczne. Czy przypominasz sobie, jak ja, będąc dzieckiem, wpadłem na niemądry pomysł, żeby przybrać moje łóżeczko girlandami bzu? Wyglądało to tak ładnie, jak jakaś altanka... i tak nazwaliśmy wtedy oboje to łóżeczko. Ale nazajutrz rano nie obudziłem się. Wszyscy myśleli, że umarłem — wszyscy, z wyjątkiem ciebie. Nie mogłaś po prostu pojąć, żebym mógł w taki sposób cię opuścić, nie pożegnawszy się z tobą. I ty jedna, moja mała — miałaś wtedy całe sześć lat — ty jedna ocuciłaś mnie pocałunkami i łzami.

— Nie tylko. I świeże powietrze, Filipie. Bo świeże powietrze w takich wypadkach jest najlepszym lekarstwem. Ja ciągle odczuwam brak powietrza.

— Ach, siostrzyczko, siostrzyczko. Zapomniałaś o tym wydarzeniu i pewnie kazałaś przynieść dużo kwiatów do pokoiku.

— Nie, Filipie, od dwóch tygodni nie znalazłbyś tu nawet jednego mizernego fiołka. Śmieszna rzecz; bo przecież tak bardzo lubiłam kwiaty, a teraz czuję do nich wyraźny wstręt. Ale dajmy już spokój

kwiatom. Miałam, wiesz, migrenę. Panna de Taverney miała migrenę, kochany Filipie. A jaka szczęśliwa jest ta panna de Taverney — ta migrena, chociaż pociągnęła za sobą króciutkie omdlenia, zwróciła na nią uwagę całego dworu, miasta...

— Jak to?

— A tak. Sama Jej Królewska Wysokość raczyła mnie odwiedzić. Och, Filipie, jaka to wspaniała opiekunka! Jaka tkliwa, wyrozumiała, serdeczna. Wiesz, że pieściła mnie, tuliła, sprowadziła do mnie swego najlepszego lekarza. I kiedy ta poważna persona, której wyroki są nieomyślne, wzięła mnie za puls, popatrzyła głęboko w oczy i kazała pokazać język, wiesz jakie szczęście mnie spotkało?...

— Nie.

— Po prostu okazało się, że ja wcale nie jestem chora. Doktor Louis nie zapisał mi ani jednego dekoktu, ani jednej pigułki — on, co każdego dnia urzyna ręce i nogi — brr... aż skóra cierpnie ze strachu, kiedy o tym wspomnieć!... Więc widzisz, Filipie, że jestem zupełnie zdrowa. A teraz powiedz, kto ci naopowiadał takich głupstw, zęby cię nastraszyć?

— Ten głuptas Gilbert.

— Gilbert? — spytała Andrea z widocznym wstrętem. — Tak, powiedział mi, że jesteś bardzo chora.

— I ty uwierzyłeś temu półgłówkowi, temu wałkoniowi, który umie tylko źle robić i źle o kimś mówić.

— Andreo, Andreo!

— Słucham..

— Ty znowu bledniesz.

— Ach, nie, to przez tego Gilberta, stale mi się naprzykrza. Nie dość, że go wszędzie spotykam, gdzie się tylko ruszę... Me! To nie do zniesienia, żebym jeszcze musiała o nim słuchać, kiedy go szczęśliwie nie ma!

— Oj, znowu mdlejesz!

— Och, tak, tak! Mój Boże!... bo też że... I usta Andrei zbieleły, głos umilkł.

— Cóż to za dziwna historia — wyszeptał sam do siebie Filip.

Andrea opanowała się jednak najwyższym wysiłkiem woli.

— Nie, nie, to nic. Już dobrze. Nie zważaj na te wszystkie babskie mdłości i wapory. Stoję już zupełnie pewnie. Słuchaj, Filipie, chodźmy razem na przechadzkę, a za dziesięć minut będę wyleczona, zobaczysz.

— Zdaje mi się, że zanadto ufasz swym siłom, Andreo.

— Ależ nie, gdy mój Filip powrócił, zaraz wróci i zdrowie, choćbym była umierająca. Chodźmy, Filipie, chyba, że nie masz ochoty?

— Zaraz, droga Andreo — powstrzymał ją Filip wyciągając rękę. — Jeszcześ mnie niezupełnie uspokoiła. Odpocznij trochę.

— Jeśli sobie życzysz...

Andrea opadła na sofę, pociągnawszy za sobą Filipa, którego trzymała za rękę.

— Dlaczego — powróciła znów do tego samego tematu — zjawileś się tak niespodziewanie, nie dając przedtem znać?

— Ale najpierw powiedz mi, siostrzyczko, dlaczego ty przestałaś zupełnie do mnie pisać?

— Tak, to prawda. Ale dopiero od kilku dni.

— Prawie od dwóch tygodni, Andreo. Dziewczyna spuściła głowę.

— Niedobra — powiedział Filip z łagodną wymówką.

— Cierpiąca, Filipie. Masz słuszność. Przyznaję, że słabość moja zaczęła się właśnie tego dnia, kiedy przestałaś odbierać moje listy. Od tego dnia najmilsze dla mnie dotychczas zajęcia zaczęły budzić szybkie znużenie, niechęć...

— Nie gniewam się. Jestem ogromnie kontent z tego, coś mi niedawno mówiła.

— Z czego?

— Że jesteś bardzo szczęśliwa, że cię tu wszyscy kochają, troszczą się. Ze mną rzecz ma się zupełnie inaczej.

— Z tobą?

— Tak, ze mną. Wszyscy zapomnieli o mnie, nawet siostra.

— Och, Filipie.

— Czy uwierzysz, że od czasu wyjazdu, do którego mnie tak naglono, nie otrzymałem najmniejszej wiadomości, o rzekomym pułku, dla którego objęcia mnie wysłano? A Najjaśniejszy Pan, który obiecał mi za pośrednictwem księcia de Richelieu i naszego ojca...

— Och, to mnie wcale nie dziwi — przerwała Andrea.

— Jak to? Nie dziwi ciebie?

— Nie. Gdybyś ty wiedział, Filipie. Pan de Richelieu i nasz ojciec chodzą zupełnie jak błędni, jak dwa ciała bez duszy. Nic zgoła nie rozumiem z życia tych wszystkich ludzi i tutejszych zwyczajów. Z rana ojciec nasz goni za „swoim starym przyjacielem” — jak go nazywa — wysłał go do Wersalu, do króla. Potem wraca, czeka tutaj u mnie na niego, spędzając czas na zadawaniu mi pytań, których nie mogę pojąć. Dzień upływa. Nikt o niczym nie wie. Wtedy pan de Taverney wpada w pasję: „Książę go zwodzi — krzyczy — przyjaciel go zdradza!”

— Kogo książę zdradza? — Może ty się domyślisz, bo ja zupełnie nic nie wiem i, prawdę mówiąc, nawet nie chcę tak bardzo wiedzieć.

Nasz papa, pan de Taverney, zupełnie jak dusza czyścicowa, stale na coś czeka: a to na jakąś rzecz, której mu nie przynoszą; a to na kogoś, kto wcale nie przychodzi.

— Ale król, Andreo, król?

— Co król?

— Król tak przecież łaskawy dla nas. Andrea z lękiem rozejrzała się dokoła. — Co się stało?

— Słuchaj! Król... — ale mówmy, proszę cię, ciszej... — Król, jak mi się zdaje, jest bardzo kapryśny. Najjaśniejszy Pan, jak wiesz, początkowo był bardzo łaskawy, dla mnie, dla ciebie, dla naszego ojca i całej naszej rodziny. Ale nagle łaska Jego Królewskiej Mości odwróciła się od nas zupełnie, w głowę zachodzę dlaczego. Widzę tylko, że Najjaśniejszy Pan nie może na mnie patrzeć; tyłem się odwraca gdy mnie spotka, a wczoraj, kiedy zemdlalam w parku...

— Ach, widzisz, więc Gilbert miał słuszność? Więc tyś zemdlala, Andreo?

— Po co ci ten hultaj o tym mówił? Może wszystkim to rozpowiada? Cóż go to obchodzi, czy ja mdleję, czy nie? To nie jego sprawa! Wiem dobrze, kochany Filipie — dodała Andrea — że to nieprzyzwoicie zemleć w rezydencji królewskiej, ale przecież nikt nie mdleje dla przyjemności i ja nie uczyniłam tego umyślnie.

— Ale któż cię za to gani, siostrzyczko?

— Król... tak. Najjaśniejszy Pan wychodził z Grand Trianon i szedł przez gaik właśnie w tej chwili fatalnej. Nieprzytomna i sztywna jak kawał drewna leżałam na ławce w objęciach pocziwego pana de Jussieu, który cucił mnie jak umiał, i król to spostrzegł. Wiesz, Filipie, że omdlenie nie odbiera człowiekowi całkowitej świadomości. Częściowo zdaje sobie sprawę z tego, co się dokoła niego dzieje. A więc, chociaż pozornie wydawało się, że leżę bez zmysłów, widziałam zupełnie wyraźnie, jak król zmarszczył brwi, gdy mnie zobaczył; widziałam jego gniewny wzrok i dosłyszałam kilka słów na mój temat — niezbyt przyzwoitych, wypowiedzianych przez zęby, a potem Najjaśniejszy Pan szybko się oddalił, mocno zgorzony, że pozwoliłam sobie zemleć w jego ogrodach. Naprawdę, kochany Filipie, to nie była wcale moja wina.

— Biedna, droga Andrea — rzekł Filip, czule ściskając rękę dziewczyny — przecież wierzę, że w tym nie było twojej winy. No i cóż dalej?

— To już właściwie wszystko, Filipie, i pan Gilbert powinien mnie wreszcie uwolnić od swych interesujących komentarzy.

— Znowu pastwisz się nad tym chłopakiem. — Och, broń go, broń, też masz kogo!

— Andreo, nie bądź tak bezwzględna wobec tego chłopca. Przecież ty go krzywdzisz, obrażasz!... O mój Boże! Andreo, Andreo! Co tobie znów?

Teraz Andrea opadła na sofkę, nie wypowiedziawszy ani słowa; nawet flakonik nie pomógł. Musiał czekać aż omdlenie samo minie i krew zacznie normalnie krążyć.

— Rzeczywiście, moja siostró — rzekł cicho — twój stan jest taki, że może przerazić nie na żarty ludzi stokroć odważniejszych ode mnie; mów, co chcesz, ale twojej słabości nie można traktować tak lekko, jak to usiłujesz przedstawić.

— Ale Filipie, przecież doktor powiedział...

— Doktor mnie nie przekonał i nigdy nie przekona. Muszą się sam z nim rozmówić! Gdzie się można widzieć z tym lekarzem?

- Co dzień przychodzi do Trianon.
- Ale o której godzinie, czy rano?
- I rano i wieczorem; wtedy ma służbę.
- Czy dzisiaj też jest na służbie?
- Tak, mój drogi braciszku: punktualnie o siódmej wieczór, ponieważ jest strasznym pedantem, wchodzi na taras prowadzący do apartamentów Jej Królewskiej Wysokości.
- Dobrze — rzekł Filip nieco spokojniejszym głosem — poczekam u ciebie.

ROZDZIAŁ CXLII. OMYŁKA

Filip w dalszym ciągu zabawiał siostrę pogodną pogawędką, od czasu do czasu rzucając na nią z boku badawcze spojrzenia.

Andrea starała się jak mogła przewyciężyć mdłości, by go więcej nie niepokoić.

Rozmawiali o dziwnym roztargnieniu króla, o niestałości pana de Richelieu, o niepowodzeniach Filipa w służbie wojskowej. Gdy wybiła siódma, młody oficer śpiesznie wyszedł.

Udał się w stronę pałacyku Marii Antoniny i przystanął w odległości na tyle znacznej, by nie intrygować swoją osobą szwajcarów królewskich, na tyle jednak bliskiej, by móc przyjrzeć się dokładnie każdemu, kto będzie wchodził do rezydencji.

Nie minęło pięć minut, gdy spostrzegł zbliżającego się mężczyznę, o surowej, niemal majestatycznej twarzy. Postać jego zgadzała się z rysopisem podanym przez Andreę. Zmierzył już zapadał, lecz mimo słabej widoczności czcigodny doktor przerzucał karty świeżo wydanego w Kolonii traktatu o przyczynach i skutkach paraliżu żołądka. Robiło się coraz ciemniej, doktor zgadywał już raczej niż czytał, gdy wtem jakiś czarny, ruchomy cień odciął go całkowicie od źródła światła. Lekarz podniósł głowę i spostrzegł stojącego tuż przed nim młodzieńca.

- O co chodzi? — zapytał.
- Przepraszam pana, czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Louis?
- Tak jest, panie — odpowiedział lekarz zamykając książkę.
- A więc proszę mnie wysłuchać — rzekł śpiesznie Filip.
- Pan wybaczy, ale obowiązki służbowe każą mi się udać obecnie do pałacu i byłoby co najmniej niewłaściwe, gdyby tam na mnie czekano.
- Filip uprzejmie, lecz stanowczo zagroził doktorowi drogą.
- Panie, osoba, dla której proszę o pańską pomoc, należy również do dworu Jej Królewskiej Wysokości i jest mocno cierpiąca, gdy tymczasem madame Dauphine, o ile wiem, czuje się dobrze.
- O kimże pan mówisz?
- O osobie, do której zaprowadziła pana onegdaj sama następczyni tronu,
- Czy przypadkiem nie o pannie Andrei de Taverney
- Tak jest, panie, właśnie o niej.
- Ach, tak! — zawołał doktor przyglądając się badawczo młodemu człowiekowi.
- Jest bardzo słaba.
- Tak, spazmy, prawda?
- Ciągłe mdleje, doktorze. Dziś w ciągu kilku godzin mdlała trzy czy cztery razy na moich rękach.
- Czy młoda osoba czuje się obecnie gorzej?
- Niestety, trudno mi na to odpowiedzieć, ale pan rozumie, doktorze, że kiedy się kogoś kocha...
- Ach, pan kochasz pannę Andreę de Taverney?
- Och, nad życie, panie doktorze.
- Filip wypowiedział to z takim przejęciem, że doktor Louis pomylił się co do znaczenia tych słów.
- Ach, więc to pan jesteście jej... Doktor zawahał się przez chwilę.
- Co pan chce powiedzieć? — zapytał Filip.
- Więc to pan jesteście... — Kim jestem, panie?
- Ech, do licha... kim? Dobrze sobie... no, jej kochankiem? — zniecierpliwiał się lekarz.

Filip cofnął się o dwa kroki w tył, podniósł rękę do czoła, zbladł jak ściana.

— Panie — rzekł — miej się na baczości! Krzywdzisz moją siostrę!

— Twoją siostrę? Więc panna Andrea de Taverney to pańska siostra?

— Tak, panie. I sądzę, że nie powiedziałem niczego, co mogłoby dać powód do tak... osobliwej pomyłki.

— Najmocniej pana przepraszam. Godzina, o której zastąpiłeś mi drogę, ta pewna tajemniczość, jaką nadałeś od początku rozmowie... Przypuszczałem więc, że wypowiadasz pan uczucia gorętsze od miłości braterskiej.

— Och, panie! Kochanek, czy mąż nie będzie kochał mojej siostry miłością większą niż moja.

— Bardzo słusznie. W takim razie pojmuję, że moje przypuszczenie obraziło pana i dlatego przepraszam. A teraz za pozwoleniem...

I doktor znów chciał odejść.

— Doktorze — nalegał Filip — błagam cię, nie odchodź, nie uspokoiwszy mnie wpierv co do stanu mej siostry.

— Ale cóż wzbudza w panu taki nadzwyczajny niepokój?

— O mój Boże, przecież sam widziałem. — Widziałeś symptomy zapowiadające słabość...

— Czy to stan poważny?

— To zależy.

— Słuchaj, doktorze, w tym wszystkim jest coś zagadkowego. Odnoszę wrażenie, że nie chcesz... że coś przede mną ukrywasz...

— Odnieś pan raczej wrażenie, że jestem zniecierpliwiony i że chcę jak najszybciej udać się do Jej Królewskiej Wysokości.

— Doktorze, doktorze — rzekł Filip ocierając ręką pot z czoła — wzięłeś mnie przecież za kochanka panny de Taverney?

— Tak, ale pan mnie wyprowadziłeś z błędu.

— Czy myślisz, że panna de Taverney ma kochanka?

— Przepraszam, panie, ale nie mam obowiązku tłumaczyć się ze swych myśli.

— Doktorze, na miłość Boską, miej litość nade mną! Doktorze, wymknęło ci się z ust okropne słowo. To słowo utkwilo mi w sercu jak odłamek sztyletu... Doktorze, nie dręcz mnie, porzuć tę delikatność i niedomówienia. Co to za choroba, którą skłonny byłeś wyjawić kochankowi, a ukrywasz przed bratem? Błagam cię, odpowiedz!

— To ja pana proszę, żebyś mnie uwolnił od odpowiedzi, gdyż z pańskich natarczywych pytań wnoszę, że nie panujesz nad sobą.

— Ach, Boże, czyż pan nie rozumie, że każde jego słowo spycha mnie coraz bardziej ku przepaści, w którą lękam się spojrzeć?

— Panie!

— Doktorze — zawołał gwałtownie Filip — to znaczy, że masz mi do zakomunikowania tak straszną tajemnicę, że wysłuchanie jej wymagałoby całej mojej męskiej odwagi, niezwykłego opanowania, zimnej krwi.

— Nie wiem, z czego pan takie przypuszczenia wysnuwasz, panie de Taverney? Nic takiego nie powiedziałem.

— Właśnie stokroć więcej pan mówisz, przemilczając. Budzisz domysły. Pan źle pojmujesz miłosierdzie, doktorze. Widzisz, że rozdieram przed tobą serce, że proszę, błagam. Więc powiedz, powiedz. Przysięgam, że mam zupełnie zimną krew, że mam odwagę... Ta choroba, ta może... hańba... o Boże, o Boże!

— Panie de Taverney, nie powiedziałem nic, ani Jej Królewskiej Wysokości, ani twemu ojcu, ani tobie. Niczego więcej ode mnie nie żądaj.

— Tak, tak... ale widzisz, jak tłumaczę twoje milczenie, widzisz, że krocę w ślad za twoją myślą po ciemnej i fatalnej drodze. Zatrzymaj mnie przynajmniej, jeśli się błąkam.

— Żegnaj pana — oznajmił doktor wzruszonym głosem.

— Och, nie porzucisz mnie pan, nie powiedziawszy: tak albo nie. Słowo, tylko jedno słowo — oto wszystko, o co cię proszę.

Doktor zatrzymał się.

— Panie — powiedział — przed chwilą, i to było przyczyną fatalnej pomyłki, na skutek której poczułeś się obrażony...

— Nie mówmy już o tym, doktorze.

— Przeciwnie — mówmy. Przed chwilą, może trochę zbyt późno, oświadczyłeś mi, że panna de Taverney jest twoją siostrą. Ale przedtem jeszcze z egzaltacją, która się stała przyczyną nieporozumienia, powiedziałeś, że kochasz pannę Andreę nad życie.

— Tak, prawda.

— Jeżeli zatem miłość twoja do niej jest tak wielka, odplacać ją powinna wzajemnością?

— Och, panie, Andrea kocha mnie jak nikogo w świecie.

— W takim razie wracaj do niej i zapytaj ją sam o wszystko, a jeśli ciebie równie kocha, jak ty ją, odpowie na pewno. Wiele jest tajemnic, które o wiele łatwiej powierza się przyjacielowi, niż zdradza przed lekarzem. Może więc zgodzi się powiedzieć ci to, czego ja za żadne skarby świata wyjawić nikomu nie mogę. Żegnam pana.

I doktor skierował się w stronę pałacu.

Lecz Filip nie ustępował.

— Och, nie, nie, to niemożliwe! — zawołał, niemal odchodząc od zmysłów. Głos mu się załamywał i co chwila przechodził w szloch. — Nie, doktorze, ja się chyba przesłyszałem. Tyś nie mógł tego powiedzieć?

Doktor zatrzymał się i rzekł głosem pełnym współczucia.

— Zrób pan, co panu zaleciłem, młody człowieku i wierz mi, że to jest jedyne, co możesz w tej chwili zrobić.

— Och, zastanów się, doktorze. Uwierzyć w to, czego mi się każesz domyślać, to złamać wiarę całego życia, obwinąć anioła, sprzeniewierzyć się Bogu. Doktorze, jeśli chcesz, żebym ci uwierzył, to mnie przynajmniej przekonaj, doktorze!...

— Żegnam pana, bądź zdrów.

— Doktorze! — zawołał za nim z rozpaczą.

— Ostrzegam, że jeśli będziesz pan mówić w sposób tak podekscytowany, to rozgłosisz całemu światu to, co chciałbym ukryć nawet przed tobą.

— Tak, masz słuszość, doktorze — rzekł Filip głosem tak cichym, jakby mu słowa zamierały w gardle — ale przecież nauka też się czasem myli i zgodzisz się pan ze mną, że i tobie zdarzało się postawić mylną diagnozę.

— Rzadko, mój panie. Jestem człowiekiem wiedzy ścisłej i nie powiem nigdy: tak — dopóki tego nie stwierdzą oczy i głowa. Ale niewątpliwie masz pan rację. Mogłem się pomylić. Każdy człowiek jest omylny. Choć w tym wypadku jest to wyjątkowo mało prawdopodobne. No, mój panie, proszę się uspokoić i rozstańmy się.

Ale Filip jeszcze nie rezygnował. Położył rękę na ramieniu doktora, a w jego spojrzeniu było coś tak błagalnego, że doktor znów się zatrzymał.

— Błagam pana o ostatnią, o wielką przysługę. Widzisz, co się ze mną dzieje; czuję, że bliski jestem szaleństwa. Abym wiedział czy mam żyć, czy umrzeć, muszę mieć potwierdzenie tej groźby, która zawisa nad naszym nazwiskiem. Teraz wrócę do siostry, ale rozmówię się z nią dopiero wtedy, gdy ją jeszcze raz zbadasz. Zastanów się, doktorze.

— Sam się, panie, zastanów. Nie mogę, niestety, niczego dodać, ni ująć, od tego, co już powiedziałem.

— Panie, przyrzeknij mi! To jest prośba, której by kat nie odmówił swojej ofierze. Przyrzeknij mi, że wstąpisz do siostry powracając od Jej Królewskiej Wysokości. W imię Boga Najwyższego, przyrzeknij!

— To się na nic nie przyda, ale cóż, moim obowiązkiem jest uczynić zadość takiemu żądaniu. Dobrze, wstąpię do pańskiej siostry.

— Och, dziękuję, dziękuję stokrotnie. Przyjdź, a na pewno stwierdzisz, że się pomyliłeś.

— Pragnę tego z całego serca i jeśli okaże się, że się pomyliłem, przyznam się do tego z radością. Żegnam.

I doktor uwolniony się wreszcie od Filipa, wszedł do pałacu. Młodzieniec, trzęsąc się jak w febrze, złany zimnym potem, stał jak nieprzytomny. Przestał sobie uświadamiać, gdzie się znajduje, z kim rozmawiał, jakiej strasznej tajemnicy się dowiedział. Przez kilka minut patrzył niewidzącymi oczyma w

niebo, na którym zapalały się pierwsze gwiazdy, i na pawilon, który świecił w ciemności blaskiem coraz liczniejszych światel.

ROZDZIAŁ CXLIII BADANIE

Oprzytomniawszy nieco i usiłując zapanować nad sobą, Filip pośpieszył do mieszkanek Andrei. W miarę jak zbliżał się do oficyny, obawy rozpraszały się. Wydawało mu się, że to był tylko przykry sen, z którego się obudził. Im więcej minut upłynęło od widzenia się z lekarzem, tym bardziej wąpił w słuszność jego diagnozy.

— Tak, tak — rozmyślał — tym razem pomylił się pan doktor Louis. Toż, gdyby miał niezbite przekonanie, nie obiecałby, że zbada Andreę jeszcze raz.

Gdy jednak znalazł się przy boku siostry, był tak blady i zmieniony, że ją z kolei ogarnął niepokój o Filipa i zaczęła się gorączkowo dopytywać, co mu się mogło przytrafić.

Jeden mógł być tylko powód takiego przerażenia. — O Boże! Braciszku, więc ja naprawdę jestem aż tak chora?

— Dlaczego tak mówisz, Andreo?

— To na pewno rozmowa z doktorem Louis tak cię zdenerwowała.

— Nie, siostro — odparł Filip — doktor jest zupełnie spokojny o stan twego zdrowia. Nie masz pojęcia, z jakim trudem udało mi się go nakłonić, aby zechciał cię dziś jeszcze odwiedzić.

— Ach, więc przyjdzie?

— Przyjdzie. Czy to ci może sprawia przykrość? Mówiąc to patrzył jej badawczo w oczy.

— Ach, nie! — odpowiedziała z prostotą. — Byle to cię tylko trochę uspokoiło. Ale powiedz wreszcie, dlaczego jesteś taki blady?

— Czy cię to niepokoi, Andreo?

— I ty się jeszcze pytasz?

— Więc naprawdę mnie kochasz?

— O co ci właściwie chodzi? — spytała dziewczyna.

— Pytam się ciebie, Andreo, czy mnie równie kochasz jak dawniej, jak na przykład, w latach dzieciństwa?

— Och, Filipie, Filipie, jak możesz w to wąpić!

— A więc jestem dla ciebie i teraz najbliższym człowiekiem na świecie?

— Alez tak, najbliższym, najdroższym, jedynym — odpowiedziała żywo, po czym rumieniąc się dodała z wyraźnym zażenowaniem:

— Przepraszam cię, Filipie, zapomniałam...

— O kim?

— O naszym ojcu.

Filip wziął ją za rękę i popatrzył czule w oczy.

— Andreo, nie myśl, że ja bym cię kiedykolwiek ganił, gdyby w twym sercu obudziło się nagle uczucie, które nie jest ani miłością siostry do brata, ani córki do ojca.

Potem objąwszy ją ręką:

— Jesteś już w tym wieku, siostrzyczko, kiedy serca dziewcząt zaczynają bić żywiej — żywiej niżby one same pragnęły; a wiesz przecież, że przykazanie boskie nakazuje kobiecie opuścić rodziców i rodzeństwo i odejść do małżonka.

Andrea spojrzała na niego w taki sposób, jakby brat mówił do niej jakimś obcym, niezrozumiałym językiem, i wybuchnąwszy śmiechem odpowiedziała mu:

— Mój małżonek? Czyż ci kiedy wspominałam o nim? Na pewno się jeszcze nie narodził, nikogo takiego nie znam.

Filip pogłaskał ją po rękę i opanowawszy wzruszenie, jakie wywołało w nim to szczere zaprzeczenie, tłumaczył dalej:

— Zanim, moja pocziwa Andreo, młoda dziewczyna zdobędzie sobie małżonka, posiada wprawdzie narzeczonego kochanka.

Mówiąc to wszystko Filip nie spuszczał z niej oczu.

— Siostrzyczko, od twego przyjścia na świat miałaś we mnie najbardziej oddanego przyjaciela i powiernika, i ty także byłaś moją jedyną przyjaciółką. Nigdy cię, o ile pamiętasz, nie opuściłem dla zabaw z rówieśnikami. Wychowywaliśmy się razem, panowała między nami zupełna harmonia. Każde z nas miało do drugiego ślepe zaufanie. Więc dlaczego od pewnego czasu — bo ja nie dałem ci chyba swoim zachowaniem po temu żadnego powodu — twój stosunek do mnie tak się zmienił?

— Zmienił się? Ja się zmieniłam w stosunku do ciebie? Filipie, o czym ty mówisz? Ja z tego nic nie rozumiem. Zrobiłeś się taki dziwny po tej rozmowie z doktorem!

— Tak, tak, Andreo — mówił młodzieniec przyciskając ją do piersi — po uczuciach lat dzieciennych odezwały się w tobie, miła siostrzyczko, namiętności wieku dziewczęcego. A tyś uznała, że nie jestem na tyle godny zaufania i na tyle ci oddany, aby mi się zwierzyć z tajemnic twego serca, zajętego obecnie przez miłość.

— Bracie mój, przyjacielu — odpowiedziała coraz bardziej zdziwiona — o czym ty mówisz? O jakiej miłości?

— Andreo, a więc muszę w takim razie pomówić z tobą otwarcie, muszę porozmawiać o sprawach ogromnie dla ciebie niebezpiecznych, a mnie napawających wielkim niepokojem. Wiem, że prosić, a raczej wymagać w tej chwili od ciebie takich zwierzeń, to stracić resztę twego przywiązania. Ale wolę już, choć rozumiesz, z jaką trudnością przechodzi mi to przez gardło, wolę już żebyś mnie mniej kochała, niż żebyś była wydana na pastwę nieszczęść, które ci zagrażają, i to nieszczęść, moja Andreo, poważnych. Nie będę cię mógł od nich w porę uchronić, o ile trwać będziesz nadal w tym uporczywym milczeniu, które mnie boli i na które, jako twój brat i, jak sądzę, przyjaciel, nie zasłużyłem.

— Filipie, przysięgam, że nie rozumiem tych wyrzutów. — Andreo, czyż mam mówić wyraźniej?

— Ależ tak, naturalnie, mów, proszę.

— I w takim razie, jeśli, upoważniony zresztą przez ciebie, będę mówić ze zbyt brutalną dokładnością i wywołam rumieńce zawstydzienia na twej twarzy, gniewaj się tylko na siebie, bo to ty właśnie przez upór i brak zaufania zmuszasz mnie do szperania w twym sercu i wygrzebywania tajemnicy...

— Słucham cię, Filipie i przyrzekam, że nie będę się na ciebie gniewać.

Filip spojrział na nią, nagle wstał i nerwowymi krokami zaczął chodzić po pokoju.

Między oskarżeniem, jakie sobie w myślach układał, a spokojem dziewczyny była tak uderzająca sprzeczność, że nie wiedział od czego zacząć.

Andrea patrzyła na niego w osłupieniu, zmrożona jego uroczystym, jakby oficjalnym zachowaniem, tak różnym od zwykłej u niego serdecznej powagi starszego brata.

Nim zdobył się na pierwsze słowo, wstała i wzięła go pod rękę.

— Słuchaj Filipie, spójrz mi w oczy.

— O, tak, tego właśnie chciałem — odparł Filip, utkwivszy w niej rozgorączkowane spojrzenie — co mi powiesz?

— Chcę ci powiedzieć, Filipie, że byłeś zawsze trochę zazdrosny o moje uczucia. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo i ja także chciałabym twoje serce i myśli zachować wyłącznie dla siebie. No, patrz mi w oczy, jak prosiłam.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Czy widzisz w moich oczach coś, co przed tobą chciałabym ukryć?

— Tak, widzę, Andreo: ty kogoś kochasz?

— Ja?! — wykrzyknęła dziewczyna z tak naturalnym zdziwieniem, że najbieglejsza komediantka, nie potrafiłaby naśladować tonu, z jakim to wyrzekła. I. zaczęła się śmiać. — Ależ ja nikogo nie kocham.

— A więc ciebie ktoś kocha.

— Doprawdy? Ach, to tym gorzej, bo ponieważ ja tej osoby nie znam, więc nie miała nigdy okazji wyjawić mi swoich uczuć, a więc to jest miłość bez wzajemności.

Filip widząc siostrę śmiejącą się z taką swobodą i szczerością, widząc czysty lazur jej spojrzenia i naturalność zachowania się, czując równe, spokojne bicie jej serca przy swym sercu, pomyślał sobie, że miesiąc nieobecności nie mógł wywołać takiej zmiany w prawym dotąd charakterze młodej dziewczyny, że niesłusznie ją posądzono, a wiedza lekarska w tym wypadku pobłądziła.

Próbował sam przed sobą tłumaczyć doktora Louis, który, nie znając charakteru Andrei, mógł ją oceniać na równi z innymi dziewczętami wielkiego świata, co pociągnięte złym przykładem lub na skutek przedwczesnej pobudliwości zrękały się swego dziewictwa bez żalu, nawet bez zażenowania.

Ostatnie spojrzenie rzucone na Andree umocniło Filipa w przekonaniu o pomyłce doktora i uczył się naraz tak szczęśliwy, że serdecznie siostrę wycalował.

Właśnie w tej samej chwili dały się słyszeć kroki doktora Louis, który przybywał czyniąc zadość przyrzeczeniu.

Andrea zadrżała. Wszystkiego się ostatnio lękała.

— Kto tam idzie? — zapytała.

— Zapewne doktor Louis — odpowiedział.

Drzwi otworzyły się i oczekiwany przez Filipa z takim niepokojem doktor stanął w progu mieszkanca.

Był to człowiek poważny i nad wyraz szlachetny. Naukę traktował jako coś w rodzaju kapłaństwa. Jej tajemnice studiował ze czcią niemal religijną.

W owej epoce materializmu doktor Louis był postacią zgoła wyjątkową. W każdej chorobie doszukiwał się przyczyn głębszych — duchowych; po raz obranej drodze szedł śmiało i zdecydowanie, nie zrażając się przeciwnościami, licząc się ściśle z czasem — tym majątkiem ludzi pracowitych; wskutek tego nierzadko był opryskliwy dla gadułów i próżniaków. Dlatego tak ostro potraktował Filipa przy pierwszym spotkaniu. Wziął go po prostu za jednego z owych fircyków dworskich, co to przychodzą z pochlebstwami, aby uzyskać od lekarza możliwość okrycia tajemnicą ich miłosnych podbojów i dumni są, że mogą sobie pozwolić na opłacenie dyskrecji. Ale z chwilą, gdy zamiast mniej czy więcej zakochanego franta ujrzał przed sobą zrozpaczonego brata, gdy zamiast skandalu, posłyszał o wielkim nieszczęściu, filozof-praktyk, przy tym człowiek o bardzo dobrym sercu, poczuł się wzruszony i pomyślał w duchu:

— Nie tylko mogłem się omylić, ale bardzo bym chciał, żeby tak było w istocie.

Dlatego, nawet bez nalegań Filipa, odwiedziłby Andree, by ją zbadać dokładniej i jeszcze raz ustalić właściwą przyczynę jej dolegliwości.

Wszedł więc i już na progu utkwiał w Andrei badawcze spojrzenie.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę.

Dziewczyna, czy to z powodu wrażenia spowodowanego wizytą lekarza, czy wyłącznie z przyczyn naturalnych związanych z jej stanem zdrowia, dostała właśnie jednego z owych ataków, które tak przerażały Filipa. Zachwiała się, przyciskając chusteczkę do zaciśniętych warg. Filip zaabsorbowany gościem nawet tego nie zauważył,

— Witam cię, doktorze. Wybacz mi, proszę, że tak obcesowo podszedłem i zabrałem twój cenny czas. O ile jednak przed godziną widziałeś mnie wzburzonym, teraz jestem zupełnie uspokojony.

Doktor oderwał na chwilę wzrok od Andrei i spojrzał na młodzieńca, zastanawiając się nad przyczyną jego rozpogodzenia się i uśmiechu.

— Czyś pan rozmawiał z siostrą, tak jak radziłem?

— Tak, doktorze, tak.

— I ta rozmowa uspokoiła pana?

— Ach, doktorze, niebo mam w sercu. Doktor ujął rękę Andrei i długo badał puls.

Filip patrzył to na lekarza, to na siostrę i zdawał się mówić: Badaj sobie, badaj, doktorze. Nie boję ja się twojej diagnozy.

— No i jak pan ją znajdujesz? — rzekł z odcieniem tryumfu w głosie.

— Proszę mnie zostawić samego z pańską siostrą — usłyszał zamiast oczekiwanej odpowiedzi.

Słowa te osłabiły mocno pewność siebie Filipa.

— Jak to... jeszcze? — zapytał. Doktor skinął potakująco głową.

— Dobrze, zostawiam was samych — powiedział ponuro i zwróciwszy się do Andrei dodał:

— Bądź zupełnie szczerą z panem doktorem. Dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby nie rozumiejąc, czego od niej chce. Filip dodał jeszcze:

— Ja na razie przejdę się po parku, a potem, ponieważ zostanie jeszcze sporo czasu do godziny, na którą kazałem podprowadzić konia, pogawędzimy trochę, siostrzyczko.

Uścisnął rękę Andrei, starając się uśmiechnąć.

Panna de Taverney wyczuła jednak w tym uśmiechu coś przymuszonego i rozpaczliwego. Doktor odprowadził Filipa do drzwi, zamknął je starannie, po czym usiadł na sofce obok Andrei.

ROZDZIAŁ CXLIV. KONSULTACJA

Dookoła panowało głębokie milczenie. Nie przerywał go ani jeden podmuch wiatru, ani jeden głos ludzki.

Koniuchowie, kuchciki, służba pałacowa — cały dwór usunął się już do swych mieszkańek. Petit Trianon opustoszał.

Andrea odczuwała pewne zdenerwowanie z powodu choroby, której niezwykłość dawali jej odczuć brat i lekarz. Dziwiło ją również ponowne przyjście doktora, który dziś rano uznał jej chorobę za zupełnie błahą i wszelkie leki za zbyteczne. Ale na skutek swej dziewczęcej niewinności i niezepscia, nie umiała zupełnie sobie uprzytomnić ich podejrzeń.

Doktor obróciwszy światło lampy na pacjentkę, ujął ją za rękę, ale nie jak lekarz badający puls, lecz jak przyjaciel lub spowiednik.

— Panno Andreo, czy pani sobie życzyła, żebym przyszedł, czy też to było tylko życzenie pani brata?

— Brat mój, powróciwszy, oznajmił mi, że pan przyjdzie, gdyż po tym, co miałam zaszczyt usłyszeć od pana dziś rano, nie śmiałabym jeszcze raz go fatygować.

Doktor skłonił uprzejmie głowę.

— Brat pani musi być człowiekiem bardzo gwałtownym, wyjątkowo drażliwym na punkcie honoru i nie odstępującym nigdy od pewnych żelaznych zasad, skoro nie chciała mu się pani zwierzyć.

Andrea spojrzała na doktora Louis z tym samym wyrazem nieopisanego zdumienia, z jakim patrzyła przed chwilą na Filipa.

— I pan także! — rzekła wyniośle.

— Wybacz, pani i pozwól mi dokończyć. Andrea uczyniła gest raczej rezygnacji niż zgody.

— Jest to zatem zupełnie naturalne, że widząc ból i przeczuwając gniew tego młodego człowieka, uparcie ukrywałaś przed nim swą tajemnicę. Ale ze mną, który jestem lekarzem i to lekarzem zarówno ciała, jak i cierpień duszy — ze mną, który te sprawy widzę we właściwym świetle i mogę pani zaoszczędzić połowy wyznań — ze mną, mam nadzieję, będzie pani zupełnie szczerą.

— Gdybym nie widziała wyrazu prawdziwego bólu na twarzy brata, gdybym nie znała poważnej opinii, jaką się pan powszechnie cieszysz, przypuszczałabym, żeście się zmówili i odgrywacie jakąś komedię, żeby strachem i groźbą przysposobić mnie do zażycia jakiegoś wstrętnego i gorzkiego lekarstwa. Doktor zmarszczył brwi.

— Panno Andreo, błagam panią, skończże z tym udawaniem.

— Z udawaniem? — zawołała dziewczyna.

— Z hipokryzją, jeśli pani ten termin bardziej odpowiada.

— Pan mnie obraża!

— Powiedz, pani, że obnażam twą taktykę. — Panie! — i Andrea szybko wstała, ale doktor zmusił ją delikatnie do pozostania na miejscu.

— Nie, nie moje dziecko, ja cię nie obrażam, ja cię chcę przekonać, chcę ocalić i dlatego ani niechętnie spojrzenia, ani udane oburzenie nie cofną mnie z tej drogi.

— Ale czego pan chcesz ode mnie, na litość boską?

— Przyznaj się, pani, albo, na honor, wydasz mi o sobie najgorszą opinię.

— Panie, nie ma w tej chwili brata, aby stanął w mojej obronie, a pan mi ubliżasz. Mówię panu z zupełną szczerością, że nic a nic nie rozumiem i proszę wytłumaczże mi wreszcie jasno i otwarcie, na co choruję.

— Ostatni raz pytam cię, pani, czy chcesz mi oszczędzić konieczności wywołania rumieńca na twej twarzy?

— Nie rozumiem, nie rozumiem, nie rozumiem! — wykrzyknęła jednym tchem patrząc wyzywająco i niemal groźnie na doktora.

— A ja rozumiem panią. Sądziś, że uda ci się stan twój ukryć przed światem i nawet — przede mną, ale ja jednym słowem obalę to fałszywe przekonanie: jesteś w ciąży!

Andrea krzyknęła przeraźliwie i padła nieprzytomna na sofę. Jednocześnie drzwi rozwarły się z trzaskiem i do pokoju wpadł Filip ze szpadą w ręku, z oczyma nabiegłymi krwią.

— Hultaju! — wrzasnął. — Kłamco!

Doktor zwrócił z wolna głowę w kierunku młodzieńca, trzymając dłoń na zamierającym pulsie Andrei.

— Jest tak, jak powiedziałem i pańska szpada nie zmusi mnie do kłamstwa.

— Doktorze! — zawołał Filip rozpaczliwie opuszczając szpadę.

— Chciałeś pan, abym zbadał siostrę powtórnie. Zbadałem i mam teraz niezbitą pewność. Przykro mi tylko, bo wzbudziłeś pan we mnie tyleż sympatii, ile wstrętu ta młoda osoba kłamiąca z tak zaciekłym uporem.

Andrea w dalszym ciągu leżała nieruchoma, Filip zamachał rękami.

— Jestem ojcem rodziny, łaskawy panie — mówił dalej doktor — i rozumiem dobrze, jak w tej chwili cierpisz. Służę panu swą pomocą i absolutną dyskrecją. Słowo moje jest święte i cenię je nad życie.

— Ach, doktorze, to nie do wiary!

— Nie wiem, czy nie do wiary, ale wiem, że prawdziwe. Żegnam cię, panie de Taverney.

I doktor z tym samym spokojem i powagą skierował się do drzwi, rzuciwszy jeszcze od progu spojrzenie pełne współczucia na młodego człowieka, który załamywał ręce z rozpaczą i gdy drzwi się zamknęły, upadł bezwładnie na krzesło obok Andrei.

Po chwili wstał, pozamykał starannie drzwi i okna, i podszedł do Andrei, która wodziła w ślad za jego poruszeniami błędnymi oczyma.

— Postępowałaś ze mną niecznie i głupio; niecznie, bo jestem twoim bratem, bo kochałem cię i szanowałem nade wszystko i powinnaś mi się odplacać wzajemnością; głupio, bo hańbiąca tajemnica jest dziś w ręku osoby trzeciej, bo gdybyś mi od razu wyjawiała stan, w jakim się znajdujesz, byłbym zaoszczędził ci wstydu, jeśli nie przez miłość braterską, to przez poczucie własnej godności, aby jej nie narazić na szwank. Twój honor, póki nie jesteś zamężna, jest honorem nas wszystkich, których nosisz — to jest, których obecnie zbrukalaś — nazwisko. Od tej chwili nie jestem już twoim bratem. Samaś wyrzekła się brata. Jestem li tylko człowiekiem zainteresowanym, który musi wyrwać twą tajemnicę, by siostrę pomścić. Powtarzam ci zatem, ponieważ byłaś aż tak podła, że dopuściłaś się czynu haniebnego, zostaniesz ukarana jak człowiek podły. Wyznaj mi twój występki, albo...

— Grozisz! — odrzekła wyniośle Andrea. — Grozisz kobiecie!

Wstała blada, z podniesioną dumnie głową.

— Grozisz mi — mnie, która nic nie wie o niczym; mnie, która nic z tego wszystkiego nie rozumie i patrzy na was, jak na krwawych szaleńców, co postanowili, bym umarła z rozpaczą, jeśli nie ze wstydu.

— Dobrze, więc umieraj, jeśli nie przyznajesz się do winy. Niech Bóg cię osądzi, bo ja zabijam.

I szpada, jak błyskawica, dotknęła ostrzem piersi Andrei.

— Zabij mnie! Zabij... — zawołała i z wybuchem strasznej rozpaczą i bólu rzuciła się na ostrze, które przeszłyoby ją na wylot, gdyby Filip w ostatniej chwili nie cofnął gwałtownie ręki, przerażony widokiem kropel krwi, które pociekły po białym muślinie zarzuconym wokół szyi dziewczęcia.

Gniew i siły opuściły młodego człowieka.

Odstąpił o krok, wypuścił z rąk żelazo i rzucając się z płaczem na kolana, objął siostrę rękoma.

— Nie, nie Andreo, to nie ty, lecz ja powinienem umrzeć. Nie kochasz mnie już, wyparłaś się mnie zupełnie. Więc cóż mi po życiu. Kochasz kogoś innego aż tak bardzo, że wolisz śmierć niż wyznać mi jego nazwisko. Och, Andreo!...

I poderwał się z miejsca, jakby chciał uciekać. Andrea pochwyciła go obu rękoma za szyję, całując gwałtownie i zalewając się łzami.

— O, nie, Filipie. Miałaś słuszość. Zabij, zabij, skoro mówicie, że jestem winna. Tyś taki szlachetny, prawy, dobry, ciebie nikt nie oskarża. Ty nie możesz odbierać sobie życia. Tylko, proszę, lituj się nade mną, a nie złorzecz.

— Siostro, na miłość Boga, na dawną naszą przyjaźń, błagam cię, nie lękaj się niczego, ani o siebie, ani o tego, którego kochasz. On będzie dla mnie kimś świętym, nietykalnym, bez względu na to kim jest, choćby to był mój najzaciętszy wróg, choćby ostatni nędzarz. Ale przecież ja nie mam wrogów, a twoje serce i duszyczka są za szlachetne na to, by nie wybrać godnego siebie kochanka. Odszukam go, będę dla niego bratem.

Nic mi nie mówisz, może małżeństwo wasze jest niepodobieństwem? Jeśli tak, to zamknę cały ból w sobie, każę milczeć honorowi, upominającemu się o krew. Nie żądam od ciebie niczego. Nie żądam nawet nazwiska tego człowieka. Opuścimy Francję. Wyjedziemy oboje. Król cię obdarzył, jak słyszałem, bardzo hojnie. Sprzedamy klejnoty. Połowę sumy oddamy ojcu, za drugą będziemy żyć spokojnie w jakimś cichym ustroniu. Ja ci zastąpię wszystkich, Andreo. I ty będziesz dla mnie wszystkim, moja najdroższa w świecie. Nikogo, oprócz ciebie, nie kocham. Możesz na mnie polegać, siostrzyczko. Nie odmawiaj mi swego zaufania po tym, co ci powiedziałem. Andreo, czy nie jestem już dla ciebie bratem?

Andrea słuchała słów Filipa jak skamieniała. Tylko bicie serca wskazywało, że żyje i oczy, że rozumie, co do niej mówi.

— Filipie — odpowiedziała po długim milczeniu — więc ty naprawdę myślałeś, że ciebie przestałam kochać i że kocham kogoś innego, i czy naprawdę myślałeś, że zapomniałam o honorze, ja, córka znakomitego- rodu, ja, co dobrze chyba pojmuję godność i cześć kobiety i szlachcianki. Przebaczam, ci, żeś mnie niesłusznie nazwał pohańbioną i nikczemną. Przebaczam i nie mam o to do ciebie żalu, ale nie wybaczyłabym nigdy, gdybyś mnie uznał za zdolną do krzywoprzysięstwa.

Przysięgam ci teraz na Boga, który to słyszy, na pamięć naszej matki, która niestety, mnie nie ustrzegła. Przysięgam na mą miłość do ciebie, że ani przez chwilę nie kochałam obcego mężczyzny, że nigdy mi nikt obcy nie powiedział: „kocham” i niczyje usta nie dotknęły mej dłoni. Jestem czysta, jak w dniu mych narodzin. A teraz, Filipie, moja dusza jest w ręku Boga, w twoim — ciało.

— Dobrze — rzekł Filip po długim milczeniu — dzięki ci, Andreo. Czytam teraz jasno w twojej duszyczce. Jesteś czysta, niewinna. Widzę, że padłaś ofiarą. Słuchaj, są trunki magiczne, napoje usypiające, eliksiry miłosne. Ktoś podły siadła na ciebie zastawił. To, co przytomnej mógł tylko wraz z życiem wydrzeć, zdobył podstępem, we śnie. Tak, Andreo, padłaś widocznie ofiarą nikczemnego podstępku, ale teraz już jesteśmy pojednani i jesteśmy silni. Więc, prawda, Andreo, składasz w moje ręce twój honor, a więc i zemstę? Czy tak?

— Dobrze — odpowiedziała z ponurym blaskiem, w źrenicach — pomścij mnie, to będzie pomsta za zbrodnię.

— A więc, droga moja, dopomóż mi. Szukajmy wspólnie, przyjrzyjmy się, godzina po godzinie, ubiegłym dniom, posilkujmy się pamięcią, a może rozwiążemy węzeł tej czarnej intrygi.

— Szukajmy, Filipie, szukajmy!

— Czy nie spostrzegłaś, że cię ktoś śledził, czatował, chodził za tobą?

— Nie.

— Nikt do ciebie nie pisał!

— Nikt.

— Nikt ci nie objawiał miłości?

— Nigdy.

— Kobiety mają pod tym względem jakieś dziwne wyczucie — czyś nigdy nie odczuwała, mimo braku liścików i wyznań, że cię ktoś pragnie posiadać?

— Nigdy nic takiego nie dostrzegłam.

— Andreo, poszukaj no w szczegółach twego życia, poszukaj w okolicznościach...

— Pomóż mi, mój drogi.

— Czyś nie wychodziła kiedy na samotną przechadzkę?

— Nigdy nie chodzę sama, jedynie tylko do pałacyku Jej Królewskiej Wysokości.

— A jeśli chciałaś przejść się po parku czy po lesie? — Chodziłam zawsze w towarzystwie Nicole.

— Czy ona. cię opuściła?

— Tak.

— Kiedy?

— W dniu twego odjazdu.

— Zdaje mi się, że to była dziewczyna podejrzanych obyczajów. Czy znasz powody jej ucieczki? Pomyśl dobrze:

— Wiem tylko, że uciekła z jakimś młokosem, którego podobno kochała.

— Jak się zachowywała w ostatnich chwilach przed ucieczką?

— Wieczorem, około dziewiątej, przysłała, jak zwykle, do mego pokoju, rozebrała mnie, postawiła mi na stolczku szklankę z wodą i wyszła.

— Nie zauważyłaś, czy nie przymieszała czego do wody?

— Nie, przypominam sobie tylko, że w chwili, gdy podniosłam szklankę do ust, doznałam jakiegoś osobliwego wrażenia.

— Jakiego?

— Takiego samego, jak kiedyś w Taverney.

— W Taverney?

— Tak, kiedy przyjeżdżał ów cudzoziemiec.

— Jaki cudzoziemiec? — Hrabia Balsamo.

— Hrabia Balsamo? A jakież to było wrażenie?

— Coś jakby zawrót głowy, potem nagły dreszcz i raptem bezwład.

— I mówisz, żeś już tego w Taverney doznała?

— Tak.

— W jakich okolicznościach?

— Siedziałam przy fortepianie, nagle uczułam, że robi mi się słabo. Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam twarz hrabiego w lustrze. Od tego momentu nie przypominam sobie już niczego, tylko to, że obudziłam się na tym samym miejscu i nie mogłam sobie zdać sprawy, jak długo pozostawałam we śnie.

— Czy tylko jeden jedyny raz doznałaś czegoś podobnego?

— Nie. I jeszcze tego dnia, a raczej tej szalonej nocy, kiedy puszczano fajerwerki. Tłok, ścisk, rwetes. Tłum mnie porwał ze sobą. O mało nie zostałam zaduszona. Skupiłam wszystkie siły, aby się oprzeć. Naraz poczułam, że mi ręce sztywnieją, jakaś mgła przesłoniła mi oczy i w tej mgle ujrzałam tę samą twarz.

— Hrabiego Balsamo?

— Tak.

— I zapadłaś w sen?

— Tak. Usnęłam czy zemdlałam, trudno mi sobie zdać sprawę. A wtedy, wiem, że on mnie zabrał i odwiózł ojcu.

— Tak, tale... A tamtej nocy, kiedy Nicole uciekła, także go widziałaś?

— Nie, ale doznałam tych wszystkich objawów, które dowodziły jego obecności: i to dziwne wrażenie, i wstrząs, bezwład członków i jakby sen letargiczny.

— Sen letargiczny — mówisz?

— Ten sen, poprzedzony zawrotem głowy, jakieś oszołomienie, które wszelkimi siłami chciałam zwalczyć i jakieś tajemnicze fluidy...

— Mocny Boże — krzyknął Filip — i cóż potem?

— Potem usnęłam.

—A gdzie?

— Na moim własnym łóżku. Tego jestem, zupełnie pewna. Jednakże kiedy się obudziłam, spostrzegłam, że leżę na podłodze, na kobiercu, obolała, zdrętwiała, jak umarły, który wraca do życia. Zawołałam Nicole, ale już jej nie było.

— A sen? Czy był taki sam jak te dwa poprzednie?

— Zupełnie taki sam.

— I w obu pierwszych wypadkach, nim zasnęłaś, widziałaś owego Józefa Balsamo hrabiego de Foenix?

— Tak.

— A za trzecim razem już go nie widziałaś?

— Nie — odpowiedziała z przerażeniem, bo zaczęła nagle się czegoś domyślać — nie, ale obecność jego odczuwałam.

— Dobrze. Bądź teraz spokojna i dumna, siostrzyczko. Odkryliśmy tajemnicę. Dzięki ci, Andreo, jesteśmy ocaleni.

I Filip pochwycił ją w objęcia, przycisnął czułe do serca i porwany jakimś nagłym postanowieniem wybiegł z pokoju, nie chcąc nic już więcej słyszeć.

Pobiegł prosto do stajni dworskich, osiodłał konia, dosiadł i ruszył galopem w stronę Paryża.

ROZDZIAŁ CXLV. SUMIENIE GILBERTA

Wszystko, cośmy wyżej opisali, uderzyło w Gilberta jak grom z jasnego nieba. Zagadkowa wrażliwość chłopaka została wystawiona na ciężkie próby, gdy z kryjówki, jaką zawsze sobie umiał wynaleźć w zakątkach ogrodu, widział codzienny postęp choroby na twarzy i w ruchach Andrei.

Gdy panna de Taverney skoro świt siadała przy oknie, aby popatrzeć na pierwsze promienie wschodzącego słońca, bladej jej twarzy, która niepokoiła go wczoraj, dziś wydawała mu się jeszcze bardziej przeraźliwa. Ktokolwiek by w takiej chwili zobaczył Gilberta, dostrzegłby w jego wzroku wszystkie te charakterystyczne cechy wyrzutów sumienia, jakie przedstawiali w swych personifikacjach artyści starożytności.

Gilbert uwielbiał urodę Andrei, a jednocześnie jej nienawidził. Ta właśnie królewska uroda i tyle innych przymiotów, którymi nad nim górowała, były czymś, co wytyczało niejako linię demarkacyjną. A jednak ta uroda wydawała mu się teraz skarbem do zdobycia.

Takie więc były powody jego miłości, nienawiści, pożądania i wzdargy.

Ale od dnia, gdy spostrzegł, że uroda jej zaczyna przygasać, a na twarzy maluje się cierpienie i zakłopotanie, od dnia wreszcie, gdy stan jej mózgu już obudził podejrzliwość otoczenia, co z kolei groziło żywym niebezpieczeństwem zarówno dla Andrei, jak i dla niego, Gilbert, chłopiec bystry i inteligentny, zaczął zapatrywać się na całą sprawę zupełnie inaczej.

Oddajmy mu sprawiedliwość:

Pierwszym uczuciem, jakie przyszło teraz do głosu, był głęboki żal i smutek.

Nie mógł patrzeć bez bólu na więdnącą urodę i podupadające zdrowie swej pani. Jednocześnie jednak doświadczał pewnej złośliwej satysfakcji, że oto współczuje dziewczynie tak dumnej, niedostępnej i zawsze traktującej go z góry; że odpłaca jej litością za wszystkie przykrości, jakie mu wyświadczyła.

Nie tu jednak szukajmy dla Gilberta jakichś okoliczności łagodzących. Wygórowanej miłości własnej nic nie jest w stanie usprawiedliwić. A ta przecież dominowała w jego charakterze i obecnym stanie ducha.

Ileokroć ujrzał pannę de Taverney, bladą, cierpiącą, pochyloną, jak cień przesuwającą się przed jego oczyma, odczuwał jakiś skurcz serca, krew uderzała mu do głowy, do oczu cisnęły się łzy.

— Ja ją zgubiłem — szeptał.

Wtedy biegł, gdzie go oczy poniosą, unosząc ze sobą pamięć jej jęków i westchnień.

Doświadczał wówczas jednego z najdotkliwszych cierpień, jakie jest-dane znieść człowiekowi.

O, ileż by dał za to, żeby mieć prawo paść przed Andreą na kolana, pieścić jej rękę w swej dłoni, pocieszać, przywracać życiu, gdy omdleje! Jego bezsilność w takich wypadkach stawała się męczarnią, jakiej żadne pióro na świecie opisać nie zdoła.

Przez trzy dni znosił Gilbert takie udręki.

Pierwszego dnia, obserwując ją, stwierdził jedynie lekkie osłabienie.

Nikt jeszcze na to uwagi nie zwrócił, ale on — sprawca — widział już, odgadywał, komentował, więcej nawet — roztrząsając wszystkie okoliczności, wyliczył wcale dokładnie moment, kiedy nastąpi przesilenie.

Dzień jej mdłości upłynął mu na ustawicznym strachu, poceniu się, wałęsaniu po próżnicy — niewątpliwych oznakach niespokojnego sumienia.

Owo wałęsanie się i nieustanne zmiany wyrazu twarzy, na której już to rysowała się zupełna obojętność, już to nadzwyczajna gorliwość i zapał, już to szyderstwo, uważał Gilbert za arcydzieła taktyki i przebiegłości. Nie zdawał sobie biedak sprawy, że to osobliwe zachowanie się rozszyfrowałby natychmiast nawet najniższy rangą dozorca więzienia Saint-Lazare, podobnie jak ów Kuna pana de Sartines, który odczytywał i przepisywał korespondencję pisaną szyfrem.

Gdy ujrzymy człowieka, który biegnie jak oszalały i nagle zatrzymuje się wydając z siebie ni to nieartykułowane dźwięki, ni to słowa i po chwili znów zapada w melancholię; gdy zobaczymy, jak

wsluchuje się przez czas dłuższy w obojętny gwar przyrody, by za chwilę kopać ziemię czy obcinać gałęzie z gorliwością przypominającą nagły atak szału — zatrzymamy się i powiemy:

„Jest to albo szaleniec, albo zbrodniarz.”

Po pierwszym wybuchu wyrzutów sumienia w Gilbertcie odezwał się egoizm. Zaczął myśleć prawie wyłącznie o sobie.

Pojął, że częste mdłości Andrei nie wszystkim wydadzą się dolegliwością naturalną i że wnet zaczną się doszukiwać innych, istotniejszych przyczyn jej złego stanu zdrowia.

Gilbert przypomniał sobie, co mu kiedykolwiek opowiadano o brutalnych, a przy tym niesłychanie skutecznych metodach śledztwa, o badaniach, tropieniach, o owych tajemnych sposobikach nieznanymi reszcie świata, dzięki którym przebiegli inkwizytorzy wyciągali prawdę od złodziejasków i wszelkich innych przestępców.

A przecież nie miał ani cienia wątpliwości, że zbrodnia, jakiej się dopuścił, jest jedną z najszkaradniejszych i najbardziej godnych przykładnego ukarania.

Toteż żył w nieustannym strachu. Zachowaniem swym przypominał owego przestępcę ze znanego obrazu, którego ściga z zapaloną pochodnią anioł zemsty, ów zaś, uciekając, rzuca na wszystkie strony nieprzytomne spojrzenia. Gilbert bezustannie wszystkich śledził i obserwował. W każdym słowie wymówionym w jego obecności, choćby było to słowo najbłahsze, nic absolutnie nie znaczące, doszukiwał się jakichś niebezpiecznych dla niego i dla panny de Taverney treści.

Widział, jak pan de Richelieu szedł do króla, a z kolei pan de Taverney śpieszył do córki. Tego dnia nastrój oficyny wydawał mu się jakiś podejrzany i niezwykły. Cóż dopiero, gdy ujrzął lekarza następczyni tronu, zmierzającego do mieszkanek Andrei.

Gilbert był swego rodzaju sceptykiem. Ludzie i niebo mało go obchodzili. Wierzył jednak w potęgę nauki.

Zdarzało się, że gotów był zaprzeczyć nieomyślności i wszechwiedzy Istoty Najwyższej, nigdy jednak nie zwątpił w trafność lekarskiego wyroku.

Wizyta doktora Louis u panny de Taverney była dla niego ciosem ostatecznym.

Nie było czasu do stracenia. Grunt mu się palił pod nogami. Trzeba było coś natychmiast postanowić. Gilbert uczeplił się tej myśli i to przyniosło pewną ulgę chłopcu osaczonemu wątpliwościami, o usposobieniu, z powodu wrodzonej wrażliwości, skłonny do wahań.

Ale cóż dalej? Co postanowić? Każdy nierozważny krok w tej sytuacji jest równoznaczny z przyznaniem się do winy.

— Ucieczka? Ach, tak, ucieczka, z całą energią młodości i z tym rozpaczliwym męstwem przerażenia i rozpacz, które podwoją siły i sprawią, że jeden człowiek może sprostać całemu oddziałowi... Ukrywać się za dnia, a iść nocą i wreszcie dostać się... Ale dokąd?

— Czyż jest takie miejsce, gdzie można się ukryć przed karzącą ręką sprawiedliwości królewskiej?

Gilbert znał wiejskie obyczaje.

Co sobie pomyślał w stronach odludnych i prawie dzikich — bo o miastach nie ma tu nawet co myśleć — o obcym, który przychodzi zebrać o chleb, a przecież równie dobrze może go i ukraść?

Zresztą wiedział, że ma twarz bardzo charakterystyczną i gdy na dodatek wyciśnie na niej piętno jego okropna tajemnica i strach, zwróci na siebie uwagę pierwszego lepszego przechodnia.

Trzeba znaleźć coś innego. Uciekać niebezpiecznie.

Lecz skołatany umysł nie miał już sił, by podsunąć jakiś inny sposób ratunku, pozostawała myśl o śmierci.

Jej posępny cień nie wywołał w nim uczucia lęku.

— Zawsze będzie na to czas, gdy inne sposoby zawiodą — rozważał sobie w duchu. — Poza tym pan Rousseau wyraźnie przecież mówił, że odebranie sobie życia jest tchórzostwem, zaś cierpienie uszlachetnia.

Doszedłszy do takiego wniosku rozpoczął znowu swą bezcelową łazęgę po ogrodzie. Już się uspokajał, gdy raptem widok nadjeżdżającego Filipa wstrząsnął nim i pogrążył znowu w odmęt niepokoju.

— Brat! Brat! Wezwano go! Rodzina będzie niby to milczeć, ale poprowadzi śledztwo z całym wyrafinowaniem, przypominającym wszystkie znane Gilbertowi opisy tortur w Conciergerie, Châtelet i Tournelle.

Za chwilę powloką go do Andrei, każą mu klęknąć i pokornie wyznać popełnioną zbrodnię, potem zabiją go jak psa kijami albo nożem.

Król Ludwik XV był w takich wypadkach bardzo tolerancyjny wobec szlachty.

Przy tym Filip był najgroźniejszym mścicielem, jakiego panna de Taverney wezwać sobie mogła na pomoc. Filip, jeden jedyny z całej rodziny, który obchodził się z nim i traktował po ludzku, prawie jak równego sobie — ten Filip może go zabić, nawet nie żelazem, ale jednym jedynym zdaniem, jeśli to zdanie będzie brzmiało: „Gilbercie, jadłeś nasz chleb, a odpłaciłeś nam hańbą”.

Widzieliśmy, jak Gilbert przy pierwszym spotkaniu z Filipem próbował ucieczki i dopiero wtedy zmienił zamiar, gdy instykt samozachowawczy ostrzegł go, że w ten sposób może ściągnąć na siebie podejrzenie.

Po tym spotkaniu zaczął z kolei śledzić Filipa. Widział, jak rozmawiał z doktorem Louis i pojął wszystko. Rozumiał rozpacz. Był niemal świadkiem narodzin i stopniowego potęgowania się bólu Filipa. Okropną scenę z Andreą odgadł po cieniach na firance.

— Jestem zgubiony — pomyślał. W głowie zaczęło mu się mącić, chwycił nóż, by zabić Filipa, który niebawem wpadnie do jego izdebki, albo... odebrać sobie życie, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Tymczasem, o dziwo — zobaczył rodzeństwo w największej zgodzie. Filip klęczał przed siostrą i całował jej ręce.

Znów mu zaświeciła nadzieja. Skoro Filip dotychczas jeszcze nie wybiegł z krzykiem furii, by szukać Gilberta — znaczy, że Andrea nie umie wskazać winowajcy. Jeśli tak, to któż inny może ją w tym wyręczyć? Jeżeli natomiast — przeciwnie — Andrea wie, kto to był, a nie zdradza — ach, to coś dużo więcej niż ratunek, to jest szczyt szczęścia, triumf prawdziwy!

Nabrawszy takiego przekonania Gilbert znacznie poweselał. — Bo i gdzie są przeciwko mnie dowody? — zapytywał sam siebie. — I o co by mnie właściwie oskarżała? O skutki, czy o czyn? Nie czyniła mi zresztą w ciągu tych trzech tygodni żadnych wymówek. Nic nie wskazuje na to, by czuła do mnie większą niż dotychczas niechęć i żeby mnie bardziej niż zwykle unikała? Jeśli nie wie, kto to był — dlaczego by miała mnie oskarżyć o przyczynienie się do jej obecnego żalosego stanu — mnie, nie zaś kogo innego? Wszak widziałem na własne oczy króla w pokoju Andrei. Oświadczę to jej bratu i uwierzy mi mimo wszelkich zaprzeczeń Jego Królewskiej Mości.

...Tak, ale to właśnie będzie najniebezpieczniejsze. Król ma wiele sposobów, by dowieść swej niewinności, a mnie zmiażdży. Pominąwszy jednak króla, na którego nie wolno rzucać oskarżeń bez narażenia się na śmierć lub dożywotnie więzienie, czyż nie można wskazać na owego nieznajomego, który tej nocy sprowadził pannę de Taverney do ogrodu? Jak on się obroni? Ale w jaki sposób dowiedzą się, co on za jeden i jak go odszukają? To musi być sobie zwykły człeczyzna, z którym śmiało mogę się równać. Z pewnością nawet o mnie nie pomyślano. Jeden Bóg tylko mnie widział. Ale ten Bóg, co tylekroć patrzył na moje łyzy i cierpienia i nie odezwał się, dlaczego miałby być aż tak okrutny, aby mnie wydać za pierwszą w moim życiu chwilę szczęścia. Zresztą pan Voltaire obszernie wyjaśnia, że nie ma cudów. A więc jestem ocalony. Ja tylko jestem panem tej tajemnicy.

Po tych rozmyślaniach czy raczej układach z własnym sumieniem, Gilbert złożył narzędzia ogrodnicze i poszedł wieszczerzać z towarzyszami.

Był wesół, niefrasobliwy, zachowywał się niemal wyzywająco. Mimo wszystko odczuwał wyrzuty sumienia i lęk — dwie dolegliwości, jakie człowiek myślący, filozof, winien skwapliwie usuwać ze swego życia.

Próbował tego i Gilbert, ale nie spytał sumienia.

Tej nocy Gilbert spał źle.

ROZDZIAŁ CXLVI. DWOJAKIE CIERPIENIA

Gilbert właściwie ocenił sytuację, gdy pomyślał o nieznajomym, którego przyłapał w parku owego pamiętnego wieczora, który miał się dla panny de Taverney zakończyć tak tragicznie.

Jak go odszukają?

Istotnie, Filip nie miał pojęcia, gdzie mieszka Józef Balsamo, hrabia de Foenix.

Przypomniał sobie jednak ową damę, markizą de Savigny, do której 31 maja odprowadzono Andreę po fatalnym wypadku. Nie było jeszcze aż tak późno, aby nie można było złożyć wizyty owej osobie, która mieszkała przy ulicy Saint-Honore. Filip zapanował nad sobą i udał się pod wspomniany adres; pokojówka objaśniła go tam, że znajdzie hrabiego Balsamo przy ulicy Saint-Claude w Marais.

Filip udał się tam natychmiast.

Nie bez wzburzenia i gniewu stanął przed bramą tego złowrogiego domu, w którego murach, jak sądził, pogrzebane były raz na zawsze — szczęście i honor biednej Andrei. Lecz przywoławszy całą wolę na pomoc opanował się, chcąc zachować wszystkie siły na zbliżającą się rozmowę. Uderzył pięścią w bramę, brama według przyjętego w tych stronach zwyczaju sama się otworzyła — i wszedł na dziedziniec prowadząc konia za uździenicę. Ale nie uczynił jeszcze czterech kroków, gdy z przysionka na szczycie schodów wyrżał Fritz i głośno spytał:

— Czego pan sobie życzysz?

Filip spiorunował Niemca spojrzeniem, marszcząc brwi, tak jakby Fritz nie czynił nic innego ponad zwykle obowiązki służącego.

— Chcę mówić z panem domu, hrabią de Foenix — odpowiedział przywiązując cugle do kołka i wchodząc do mieszkania.

— Pana nie ma w domu — oznajmił Fritz, przepuszczając gościa przed siebie z grzecznością znającego formy kamerdynera.

Dziwna rzecz. Filip wszystko, zdawało się, przewidział, prócz tej jednej jedynej okoliczności.

Przez dłuższą chwilę stał jak ogłuszony.

— A gdzie pana w tej chwili można znaleźć?

— Nie wiem.

— Przecież musisz wiedzieć?

— Proszę wybaczyć, ale mój pan nie tłumaczy się przede mną ze swych czynności.

— Słuchaj, ja muszę jednak koniecznie rozmówić się z twoim panem jeszcze dzisiaj.

— Wątpię, żeby to mogło nastąpić.

— Muszę, jest to sprawa najwyższej wagi. Fritz skłonił się w milczeniu.

— Wyszedł więc? — spytał znów Filip.

— Tak, panie.

— Zapewne powróci?

— Nie sądzę.

— Ach, nie sądzisz?

— Nie.

— Bardzo pięknie — rzekł Filip, czując, że go ogarnia wściekłość — tymczasem pójdź i powiedz swemu panu...

— Ale miałem zaszczyt już oznajmić — odpowiedział nieustępliwy Fritz — że pana nie ma w domu.

— Mój kochasiu, ja wiem, co znaczą takie rozkazy — rzekł Filip — i szanuję ten, jaki odebrałeś, ale nie może on odnosić się do mnie, gdyż pan twój nie mógł przewidzieć moich odwiedzin, a ja przybywam w sprawie wyjątkowo ważnej.

— Rozkaz odnosi się do wszystkich — odrzekł Fritz, mimo woli zdradzając się.

— A więc skoro hrabia dał ci taki rozkaz, to musi znajdować się w domu?

— A gdyby nawet się znajdował, to co? — odpowiedział famulus, którego natarczywość Filipa zaczęła już wyprowadzać z równowagi.

— To tu na niego zaczekam.

— Pana nie ma w domu — rzekł Fritz — niedawno był u nas pożar i w tym domu nikt już nie mieszka.

— Przecież ty w nim mieszkasz? — zauważył Filip trochę niezupełnie do rzeczy.

— Ja pilnuję domu.

Filip wzruszył ramionami, jak ktoś, kto ani słowu nie wierzy z tego, co do niego mówią.

Fritz był już mocno zirytowany.

— Zresztą — dodał — czy pan jest, czy wyjechał, nie ma takiego zwyczaju, żeby do niego włączyć przemocą i jeśli pan tego nie weźmiesz pod uwagę, to będę musiał...

Fritz zatrzymał się.

— Co? — spytał Filip siniejac.

— Powiedzieć panu: fora ze dwora! — odpowiedział Fritz.

— Ty? — ryknął Filip.

— Ja! — odparł Fritz, przybierając jak każdy Niemiec maskę pozornego spokoju w miarę, jak w nim narasta gniew. I postąpił o krok w stronę młodzieńca, który nie panując już nad sobą wyrwał z pochwy szpadę.

Fritz wcale niewzruszony widokiem żelaza i nie wzywając nikogo na pomoc — może rzeczywiście był sam — wyciągnął z szafy, w której znajdowała się kolekcja starodawnej broni, jakiś długawy oręż przypominający halabardę i młóćąc nim raczej jak cepem, niż stosując założenia szermiercze, jednym uderzeniem złamał szpadę młodego oficera przy samej gardzie.

Filip z okrzykiem wściekłości skoczył ku nagromadzonym rynsztunkom, lecz w tej samej chwili otworzyły się sekretne drzwiczki nad schodami i w półmroku zamajaczyła jakaś postać.

— Co tu się dzieje, Fritz? — spytał hrabia.

— Ech, nic takiego, panie. — Fritz opuścił halabardę ostrzem ku ziemi zasłaniając jednocześnie hrabiego swą postacią jak żywą tarczą.

— Panie hrabio de Foenix — rzekł Filip — czy to w pańskiej ojczyźnie lokaje zwykli przyjmować szlachtę z dragiem w ręku, czy też jest to tylko specjalnością tego domu?

— Fritz, zatrzymaj się!

Fritz posłusznie odstawił oręż do kąta.

— Kto pan jesteś? — spytał hrabia, nie mogąc dojrzeć twarzy Filipa w nikłym blasku lampy oświetlającej się.

— Ktoś, kto chce koniecznie z panem mówić.

— Kto chce?

— Tak.

— To słowo usprawiedliwia służącego, mój panie, bo ja nie chcę z nikim mówić i kiedy jestem u siebie w domu, nikomu nie przyznaję prawa chcieć koniecznie mówić ze mną. Jesteś więc pan względem mnie cokolwiek nieuprzejmy. Wybaczam ci to, prosząc, żebyś zechciał odejść i pozostawić mnie w spokoju.

— Dobre sobie, pan żądasz, żebym cię zostawił w spokoju, pan, który mi spokój wydarłeś!

— Ja panu wydarłem spokój?

— Jestem Filip de Taverney! — krzyknął młodzieniec w przekonaniu, że podanie nazwiska wyjawia dokładny cel przybycia hrabiemu, który ma nieczyste sumienie.

— Ach, pan Filip de Taverney?... Panie, byłem kiedyś bardzo uprzejmie przyjęty przez pańskiego ojca, winienem ci więc wzajemność.

— Jestem bardzo zobowiązany — mruknął z przekąsem Filip.

— Proszę za mną.

Balsamo zamknął sekretne drzwiczki i poprowadził Filipa do salonu, w którym rozgrywały się, jak pamiętamy, niektóre wydarzenia niniejszej historii, a ostatnio owo spotkanie pięciu starszych.

Salon był rzęście oświetlony, jakby kogoś oczekiwano, lecz to — wiemy już — należało do zbyt zwyczajnych zwyczajów tego dziwnego domu.

— Witam pana, panie de Taverney — rzekł Balsamo głosem łagodnym, lecz tak smutnym, że Filip mimo woli podniósł nań wzrok i nagle cofnął się o krok.

Hrabia był cieniem samego siebie. W zapadłych oczach nie tliło się "najniklejsze światło. Głębokie bruzdy wychudłych policzków obrzeżały sine usta, a nagie i kościste czoło nadawało głowie kształt trupiej czaszki.

Balsamo spostrzegł przerażenie Filipa i uśmiech bezbrzeżnego bólu pojawił się na jego wargach.

— Panie — rzekł — przepraszam cię za mego służącego, ale istotnie spełniał on jedynie mój rozkaz i pozwól sobie powiedzieć, że wina jest po twojej stronie.

— Panie — odpowiedział Filip — wiesz, że bywają nieraz w życiu okoliczności nadzwyczajne i jedna z takich właśnie sprowadza mnie do twego domu.

Balsamo milczał.

— Chciałem widzieć się z panem, chciałem mówić z panem i dałbym się na śmierć zarębać, byleby się do ciebie dostać,

Balsamo milczał, zdawało się, że czekał na bliższe wyjaśnienia, nie mając ani siły, ani ochoty przyspieszać ich pytaniami.

— Dostałem się przecież do pana, wreszcie dostałem się, więc rozmówmy się, jeśli łaska. Zechciej pan tylko oddać tego, człowieka. — I palcem wskazał na Fritza, który uchylił kotarę w drzwiach i stał jakby oczekując na dalsze rozkazy odnośnie osoby nieproszonego gościa.

Balsamo utkwiał wzrok w twarzy Filipa, jakby chciał przeniknąć jego zamiary, lecz Filip odkąd znalazł się w obecności człowieka równego urodzeniem, odzyskał spokój i opanowanie, więc twarz jego była niełatwa do odczytania.

Balsamo skinieniem głowy, a raczej poruszeniem brwi, odprawił Fritza.

Dwaj panowie usiedli naprzeciw siebie. Filip obrócony tyłem do kominka, Balsamo opierając się łokciem o blat okrągłego stolika.

— Mów pan, proszę, jasno i zwięźle — odezwał się hrabia — gdyż słucham pana powodowany jedynie szczerą ku niemu życzliwością. Uprzedzam jednak, że jestem obecnie tak wyczerpany, iż o ile relacje pańskie przeciągną się nadmiernie, nie będę w stanie poświęcić im uwagi.

— Mówić będę tak długo, jak tego wymaga moja sprawa i tak długo, jak to sam uznam za stosowne. Proszę wybaczyć, że zacznę od pytania.

Na te słowa spod straszliwie zmarszczonych brwi hrabiego błysnęło coś na kształt iskry elektrycznej. Nasunęły mu one takie wspomnienia, że Filip by zadrżał, gdyby wiedział, jak złowrogą struną targnął w duszy tego człowieka. Nastąpiła chwila długiego, męczącego milczenia. Balsamo opanował się. — Pytaj pan.

— Panie — powiedział Filip — nigdy nie zdałeś mi szczegółowej relacji z tego, co porabiałeś owej pamiętnej nocy dnia 31 maja, poczynsz od chwili, gdy wyniosłeś moją siostrę spomiędzy stratowanych i zaduszonych na Placu Ludwika XV.

— Do czego pan zmierzasz?

— Zmierzam do tego, hrabio, by ci oznajmić, że całe twoje postępowanie owej nocy było i jest bardziej niż kiedykolwiek podejrzane.

— Podejrzane?

— Tak i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie było. Ono postępowaniem człowieka honoru...

— Panie — odrzekł Balsamo — nie rozumiem cię i proszę, byś wziął pod uwagę, że umysł mam niezmiernie przemęczony i że łatwo z tego powodu ulegam zniecierpliwieniu.

— Panie! — zawołał Filip, urażony do żywego, wyniosłym a jednocześnie spokojnym zachowaniem się hrabiego.

— Panie — mówił dalej Balsamo — od czasu, jak miałem zaszczyt widzieć się z panem, doznałem niezwykle ciężkich nieszczęść. Część mego domu spłonęła i wraz z nią różne bezcenne rzeczy, rozumiesz, bezcenne, stracone zostały dla mnie bezpowrotnie. Przejścia te wywołały jakby lekkie przyćmienie moich sił umysłowych, mów pan zatem krótko a zwięźle, inaczej zmuszony będę pana pożegnać.

— Och, nie, panie! — rzekł Filip. — Nie pożegnasz się ze mną tak łatwo, jak przypuszczasz. Szanować będę pańskie zmartwienia, o ile nawzajem zechcesz odczuć moje nieszczęście, stokroć większe niż wszystkie pańskie kłęski razem wzięte.

Balsamo uśmiechnął się tym uśmiechem rozpaczony, jaki Filip zauważył na jego ustach już poprzednio.

— Ja, panie, straciłem honor rodziny.

— To przykre — odpowiedział Balsamo — lecz cóż ja na to mogę panu poradzić?

Filipowi zaiskrzyły się oczy.

— Co możesz poradzić? — wykrzyknął.

— Właśnie?

— Możesz mi zwrócić to, co straciłem!

— Pan oszalałeś, drogi panie — stwierdził spokojnie Balsamo i sięgnął po dzwonek, ale ruch ten był tak powolny i opieszwały, że Filip z łatwością zatrzymał jego rękę.

— Ja oszalałem? — rzekł głosem załamującym się z rozpaczony. — Czyż nie rozumiesz, że chodzi tu o moją siostrę, którą niosłeś omdłą w ramionach w ostatnim dniu maja — o moją siostrę, którą uprowadziłeś do tamtego domu, zdaniem twoim — bardzo zacnego, według mnie — bezecnego; o moją siostrę, o której honor dopominam się teraz z orężem w ręku!

Balsamo wzruszył ramionami.

— Mój Boże, po co ten cały potok słów dla oświadczenia mi rzeczy tak prostej.

— Nieszczęsny! — zawołał Filip.

— Ach, jakież nieznośny masz głos, mój panie — rzekł Balsamo jakby z wyrzutem — zagłuszasz mnie po prostu. Czy przypadkiem nie posądzasz mnie o odarcie z honoru panny de Taverney?

— Tak, nikczemniku!

— Znowu krzyk, znowu obelgi bez żadnego uzasadnienia. A skąd panu, do licha ciężkiego, przyszło do głowy, że to ja mu skrzywdziłem siostrę?

Filip wahał się. Ton, jakim powiedział to Balsamo, wprowadził go w osłupienie: świadczył on albo o niezwyklej już bezczelności, albo o czystym sumieniu.

— Kto mi to powiedział? — powtórzył młodzieniec.

— Tak, chcę wiedzieć.

— Siostra moja.

— W takim razie, siostra pańska, panie...

— Co pan chcesz powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć, że wystawiasz pan siostrze i sobie doprawdy nieszczęśliwą opinię. Nie ma nic równie odrażającego, niż spekulacje, jakie uprawiają niektóre kobiety na swojej niesławie.

Przybyłeś, jak owi śmieszni brodacze z komedii włoskiej, z groźnym marsem na czole, ze szpadą w rękę, żeby mnie zmusić albo do zaślubienia twej siostry, co dowodzi, że jej pilno wyjść za mąż, albo do odprawy pieniężnej, ponieważ wiesz, że umiem wyrabiać złoto. Nie, panie, pomyliłeś się. Czuję się w obowiązku uprzedzić go, że ani nie uzyskasz pieniędzy, ani też pańska siostra nie znajdzie we mnie męża.

— A więc ja znajdę krew w pańskich żyłach!

— Nie, nawet i tego nie, panie.

— Jak to?

— Krew, którą mam, chowam dla siebie i gdybym chciał ją przelać, miałbym sposobność daleko ważniejszą niż ta, którą mi ofiarowujesz. A zatem bądź pan łaskaw pójść sobie do domu, a jeśli byś miał ochotę pohłasować, ponieważ od hałasu pańskiego boli mnie już głowa, zawołam Fritza i ten na moje skinienie złamie cię na pół jak trzcinę. Wychodź pan.

Tym razem Balsamo rzeczywiście ujął dzwonek; a że Filip chciał mu w tym przeszkodzić, otworzył hebanową szkatułkę, która leżała na gerydonie, wyjął z niej dwururkowy pistolet i odciągnął kurek.

— Masz rację! — zawołał Filip. — Zabij mnie pan, błagam!

— Dlaczego miałbym pana zabijać?

— Boś mnie odarł z honoru!

W słowach młodzieńca zadrgała taka szczerłość i rozpacz, że Balsamo popatrzał na niego i rzekł łagodnie:

— Czyż podobne, abyś pan postępował w dobrej wierze?

— Pan wątpisz, wątpisz słowu szlachcica?

— W takim razie — ciągnął Balsamo — przypuszczam, że panna de Taverney sama powzięła ten niegodny zamiar i przysłała cię tutaj; wobec tego chcę ci dać satysfakcję. Przysięgam na honor, że na postępowaniu moim wobec pańskiej siostry w nocy z dnia 31 maja nie było żadnej skazy; że ani sąd świecki, ani sprawiedliwość boska nie mogą w nim znaleźć nic, co by nie zgadzało się z kodeksem honoru i ludzką uczciwością. Czy teraz mi pan wierzysz?

— Panie! — zawołał młodzieniec w najwyższym stopniu zdziwiony.

— Wiesz, że nie obawiam się pojedynku. Nie wyglądam na tchórza, prawda? Co zaś do mego osłabienia, to nie miej pan złudzeń, jest ono tylko pozorne. Mało mam krwi w twarzy, to prawda, ale ręce jeszcze mi służą. Chcesz się przekonać, o, patrz...

I Balsamo podniósł jedną ręką bez wysiłku ogromną wagę z brązu, która stała na rzeźbionym stole roboty Boule.

— Zgadzam się, panie. Wierzę ci, co do 31 maja. Jednakże jest to tylko odparowanie wytoczonego argumentu. Wszak widywałeś się z moją siostrą i później.

Tym razem Balsamo zawahał się.

— Prawda, widywałem ją — przyznał i czoło rozpogodzone przed chwilą znowu pokryło się chmurą.

— Ach, więc przyznajesz pan!

— Fakt widywania pańskiej siostry niczego nie dowodzi...

— Dowodzi tego, że trzy razy pograżałeś ją w niewytłumaczalnym śnie i nadużywałeś jej znieczulenia dla osłonięcia twej zbrodni tajemnicą.

— Znowu pan zaczyna. Któż to ci powiedział?

— Moja siostra.

— Skądże ona może wiedzieć, jeśli spała?

— Ach, więc przyznajesz pan, żeś ją widywał śpiącą.

— Więcej — przyznaję, że ją uśpiłem.

— Uśpiłeś?

— Tak.

— W jakim celu, jeśli nie dlatego, by ją pohańbić?

— W jakim celu?... niestety!... Balsamo opuścił głowę na piersi.

— Mów, mów!

— Żeby wyjawiała tajemnicę droższą mi nad życie... — Wykręty, panie, wykręty!

— I tej nocy — ciągnął dalej Balsamo, rozwijając wątek swej myśli i jakby nie słysząc obelżywych uwag Filipa — tej nocy... siostra twoja...

— Tak, panie, została zhańbiona.

— Zhańbiona?

— Moja siostra będzie matką. Nagle Balsamo wykrzyknął:

— Ach, prawda, prawda! Przypominam sobie... Odjeżdżając nagle, zapomniałem jej obudzić.

— A więc przyznajesz się, przyznajesz!

— Tak i najwidoczniej jakiś łotr... podczas tej strasznej nocy... Och, strasznej dla nas wszystkich... jakiś łotr wykorzystał to.

— Drwiesz ze mnie!

— Nie... ja ci wyjaśniam, przekonuję.

— Nie łatwo ci się uda.

— Gdzie jest twoja siostra?

— Tam, gdzie ją tak chytrze odnalazłeś.

— W Trianon?

— Tak.

— Jadę z tobą, panie, do Trianon. Filip osłupiał ze zdziwienia.

— Popełniłem błąd, panie; zostawiłem twą siostrą uśpioną snem magnetycznym; ale, ale, tamta zbrodnia mego sumienia nie obciąża. Aby naprawić ten błąd, który mi musisz, niestety, wybaczyć, wskażę ci nazwisko winowajcy.

— Wskaż, wskaż!

— Nie znam go jeszcze — odrzekł Balsamo.

— A któż je zna? — Twoja siostra.

— Przecież nie chciała mi go powiedzieć.

— Być może, panie, mnie jednak powie.

— Moja siostra?

— Jeśli twoja siostra wskaże nazwisko zbrodniarza, czy jej uwierzysz?

— Tak, panie, moja siostra jest aniołem czystości. Balsamo zadzwonił i natychmiast zjawił się Fritz.

— Zaprzągaj do karety! Żwawo!

Filip przechadzał się po sali jak obłąkany.

— Zbrodniarza? — pytał. — Przyrzekasz mi wyjawić nazwisko zbrodniarza?

— Panie — rzekł Balsamo — twoja szpada została złamana w utarczce, pozwól mi ofiarować ci nową.

I wziął z krzesła okazałą szpadę z suto wyzlacaną rękojeścią i przypiął ją Filipowi.

— A pan? — spytał młodzieniec.

— Mnie broń niepotrzebna. Moim obrońcą będziesz, panie, sam, gdy twoja siostra przemówi.
Nie minął kwadrans, a już siedzieli w karecie i Fritz puszczając w cwał pyszne rumaki, wioził ich w stronę Wersalu.

ROZDZIAŁ CXLVII. DROGA DO TRIANON

Jazda i powyższa rozmowa zabrały w sumie sporo czasu, toteż była już druga nad ranem, gdy wyjechali z ulicy Saint-Claude.

Godzinę i kwadrans trwała jazda do Wersalu, dziesięć minut z Wersalu do Trianon. Więc dopiero o pół do czwartej stanęli na miejscu przeznaczenia.

Byli w połowie drogi, gdy przebudziła się jutrzienka i zabarwiła różanym blaskiem ożywczo pachnące lasy i wzgórze Sevres. Zdawało się, że jakaś niewidzialna zasłona uniosła się powoli przed ich oczyma. Na podobieństwo zwierciadeł zamigotały stawy Ville d'Avray i odległego Buc.

Wkrótce potem błysnęły kolumnady i dachy Wersalu pokryte promiennym szkarłatem niewidzialnego jeszcze słońca.

To tu, to tam zaświeciła szyba w zetknięciu się z promieniem słonecznym, który się przebił przez fiołkowy zawój porannej mgły.

Gdy dostali się do krańca alei wiodącej z Versailles do Trianon, Filip kazał Fritzowi stanąć i zwracając się do towarzysza, który przez całą drogę zachowywał głębokie milczenie, rzekł:

— Obawiam się, panie, że przyjdzie nam trochę poczekać. Bramy Trianon otwierają się dopiero o godzinie piątej, zaś niestosowanie się do przepisów mogłoby obudzić podejrzenie straży pałacowej i dozorców.

Balsamo nie odpowiedział, jedynie skinieniem głowy dał znak, że się zgadza.

— Przy tym, panie, zwłoka pozwoli mi podzielić się z panem niektórymi uwagami, jakie mi się nasunęły w czasie jazdy.

Balsamo podniósł na Filipa matowe źrenice, w których odbijało się znudzenie i obojętność.

— Jeśli taka twoja wola, panie, mów, słucham.

— Powiedziałeś mi, że w nocy z dnia 31 maja zostawiłeś moją siostrę u markizy de Savigny?

— Sam przekonałeś się o tym, czego dowodem było, że złożyłeś owej damie wizytę, by jej podziękować.

— Ponadto oświadczyłeś, że ponieważ masztalerz stajni królewskiej towarzyszył ci z pałacu markizy do naszego domu, to jest na ulicę Coq-Heron, nie byłeś z nią ani chwili sam na sam. Uwierzyłem ci panie, tym bardziej że dałeś słowo szlacheckie.

— I dobrze uczynił.

— Ale przenosząc się myślą do wydarzeń późniejszych zmuszony jestem stwierdzić, że w Trianon tej nocy, gdy znalazłeś sposób przedostania się do ogrodów, musiałeś niezawodnie wejść do jej mieszkania.

— Nigdy nie wchodziłem do mieszkania twej siostry, w Trianon.

— Posłuchaj jednak!... Zanim staniemy przed Andrea, musimy sobie wszystko wyjaśnić.

— Tego przecież i ja pragnę i właśnie dlatego tu przyjechaliśmy.

— Tegoż właśnie wieczoru — uważaj, proszę, dobrze zastanów się nad odpowiedzią, bo to co powiem jest faktem niezbitym i dowiedziałem się o tym z ust siostry — tegoż, powiadam, wieczoru, siostra moja położyła się wcześniej. A zatem zastałeś ją w łóżku?

Balsamo potrzęsnał przecząco głową.

— Zaprzeczasz? Strzeż się, panie!

— Nie zaprzeczam. Pytasz mnie, więc odpowiadam.

— Pytam dalej, więc proszę mi dalej odpowiadać:

Na twarzy Balsamo nie widać było gniewu; spokojnie skinął głową na znak, że czeka.

— Kiedy wszedłeś do pokoju siostry — ciągnął Filip zapalając się coraz bardziej — by ją zdradziecko uspić twą piekielną mocą, Andrea leżała i czytała książkę; nagle poczuła owo odrętwienie, jakie zawsze obecność twa na nią sprowadza i straciła przytomność. Twierdzisz, że zadawałeś jej pytania, nic ponad to nie czyniąc; dodajesz, żeś odchodząc zapomniał ją obudzić, a

jednak — Filip chwycił ręką Balsamo, ściskając ją kurczowo — a jednak, gdy doszła do przytomności, nie leżała w łóżku, lecz na kobiercu przy sofce i była na pół naga. Odpowiadaj mi na to, panie, nie wykręcaj się sianem!

Podczas tej indagacji Balsamo czynił wrażenie człowieka przebudzonego ze snu. Odpędzał jakieś czarne myśli, które zasępiły mu czoło.

— Doprawdy, panie — rzekł — nie powinieneś ustawicznie powracać do tej sprawy i szukać ze mną kłótni. Przyjechałem tu z grzeczności i współczucia dla ciebie. Jesteś młokosem i masz oficerski nałóg mówienia głośno i łapania co chwila za szpadę. Wszystko to sprawia, że rozumiesz fałszywie w kwestiach dość zasadniczych. Zrobiłem więcej niż powinienem był uczynić dla przekonania ciebie i uspokojenia. Strzeż się, bo jeśli mnie znużysz, zasnę w otchłani moich cierpień, wobec których twoje, panie, wierz mi, są bagatelką, a kiedy już zasnę, biada temu, co mi sen przerywa. Nie wchodziłem do mieszkania twojej siostry — oto wszystko, co ci mogę powiedzieć. Siostra twoja, co stało się, wyznaję, wskutek rozkazu mej woli, sama zeszła do mnie do ogrodu.

Filip zachnął się, lecz Balsamo wstrzymał mu znacząco dłoń.

— Przyrzekłem dać dowód i dam go. Wołałbym zaraz. Wejźmy lepiej do Trianon, a nie traćmy czasu po próżnicy. Jeśli wolisz czekać, czekajmy, ale w milczeniu i bez harmideru, jeśli łaska.

Po tych słowach Balsamo znowu pogrążył się w zadumie.

Filip ryknął jak drapieżnik: rzucający się do skoku, ale natychmiast się opanował. Takiego człowieka — pomyślał — trzeba albo przyprzeć do muru faktami, albo czymkolwiek bądź go przewyższyć. Ani na to, ani na tamto nie mam danych i umiejętności, więc bądźmy cierpliwi.

Ale nie starczyło mu tej cierpliwości na długo. Wyskoczył z karety i zaczął się nerwowo przechadzać po alei.

Po dziesięciu minutach uczul, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Wolał więc zażądać otworzenia kraty przed oznaczonym czasem, chociaż mogło to grozić obudzeniem podejrzeń.

— Zresztą — rozważał sobie w duchu schlebając myśli, która mu się już kilkakrotnie nastęrczała — zresztą jakie podejrzenia mogą powstać w głowie szwajcara, gdy mu powiem, że stan zdrowia siostry zmusił mnie do sprowadzenia o tak wczesnej godzinie lekarza z Paryża?

Uchwyciwszy się tej myśli, która tym mniej nasuwała obaw, im bardziej pragnął jej urzeczywistnienia, pobiegł do powozu.

— Tak, panie, miałeś słuszość. Nie ma co czekać dłużej. Chodźmy!

Ale musiał powtórzyć wezwanie, dopiero za drugim razem Balsamo zrzucił płaszcz, zapiął czarny surdut na stalowe guziki i wysiadł z karety.

Filip ruszył w stronę kraty parkowej starając się, jak tylko to możliwe, skracać drogę.

— Idźmy prędzej — rzekł do Balsamo.

I rzeczywiście szedł tak spiesźnie, że hrabia de Foenix ledwie mógł nadażyć.

Kratę otwarto, Filip opowiedział się szwajcarowi i obaj weszli do parku. Gdy krata zawarła się za nimi, Filip raz jeszcze zatrzymał się:

— Panie — rzekł — ostatnie słowo. Jesteśmy u celu. Nie wiem, jakie chcesz zadawać pytania siostrze, ale proszę, oszczędź jej przynajmniej szczegółów ostatniej sceny, jaka zajęć mogła podczas snu. Oszczędź czystość jej duszy, kiedy już zginęło dziewictwo ciała.

— Słuchaj mnie dobrze, panie — powiedział Balsamo. — Nigdy nie zachodziłem dalej, niż do tych drzew, które tam widzisz, naprzeciw domu, gdzie mieszka pańska siostra. Nigdy więc nie udawałem się do pokoju panny de Taverney, jak to miałem zaszczyt ci oznajmić. Co się tyczy opowiedzenia tamtej sceny, czego obawiasz się ze względu na wrażliwość i niewinność siostry, zważ pan, że opowiedzenie jej sprawy wrażenie jedynie na nas, bowiem już za chwilę uśpię pannę de Taverney snem magnetycznym.

Balsamo zatrzymał się, skrzyżował ręce na piersiach, zwrócił twarz w stronę oficynki i stał przez chwilę bez ruchu z namarszczonymi brwiami i z wyrazem wszechwładnej woli malującym się na twarzy.

— Panna de Taverney — oznajmił opuszczając ręce — w tej chwili już zasnęła.

Na twarzy Filipa odbiło się niedowierzenie.

— Nie wierzysz mi, więc czekaj. Żeby cię przekonać, że nie miałem potrzeby wchodzić do jej pokoju, rozkażę śpiącej, żeby w tej chwili zeszła do nas na dół, tam, gdzie z nią rozmawiałem owej pamiętnej nocy.

— Dobrze — rzekł Filip — kiedy to zobaczę, uwierzę ci.

— Dojdźmy do tamtej alei i zaczekajmy za szpalerem. Filip i Balsamo zajęli wskazane miejsce.

Hrabia wyciągnął rękę ku mieszkaniu Andrei. W tej samej chwili zwrócił jego uwagę lekki szelest.

— Człowiek jakiś — rzekł Balsamo — trzeba się mieć na ostrożności.

— Gdzie? — zapytał Filip rozglądając się wokół.

— O, tam, w krzakach, na lewo.

— Ach, tak, to Gilbert, nasz dawny służący.

— Czy masz jakieś powody do obawiania się tego młodzieńca?

— Nie sądzę; ale zatrzymaj się pan, jeżeli Gilbert już wstał, to i inni mogli to samo uczynić.

Tymczasem Gilbert uciekał co sił, bowiem ujrzawszy Filipa wraz z Balsamo instynktownie przeczuł, że jest zgubiony.

— Więc jak, panie, decydujesz się?

— Panie — rzekł Filip doznając jakiegoś niesamowitego uczucia i domyślając się, że i on podlega w jakiejś mierze działaniu sił magnetycznych, które wyzwał Balsamo — panie, jeżeli rzeczywiście posiadasz taką władzę, że możesz sprowadzić moją siostrę, to okaż tę władzę jakimś znakiem, ale nie każ przychodzić jej aż tutaj, gdzie pierwszy lepszy ogrodnik może się zjawić i usłyszeć pytania i odpowiedzi.

— Spójrz! — rzekł Balsamo, biorąc Filipa za rękę i wskazując na okno oficyny, w którym widać było przesuwaną się Andreę. Szła w bieli, dziwnie sztywno; twarz miała skupioną, poważną, wyszła na korytarz i już miała zstępować po schodach.

— Zatrzymaj ją, na litość boską, zatrzymaj! — zawołał Filip wstrząśnięty i zdziwiony jednocześnie.

— Dobrze — rzekł hrabia i wyciągnął rękę w kierunku śpiącej, która natychmiast zatrzymała się.

Potem jak posąg, co przybywa na ucztę w „Don Juanie”, odwróciła się i powoli zawróciła do mieszkania.

Filip rzucił się w jej kierunku, Balsamo podążył za nim.

Filip wpadł do pokoju i objawszy siostrę obu rękoma posadził ją na krześle. W chwilę później wszedł Balsamo i przekręcił klucz w zamku.

Ale chociaż wszystko to odbyło się błyskawicznie, ktoś trzeci nie zauważony zdążył prześliznąć się między obu mężczyznami i skryć się w dawnej izdebce Nicole, rozumiejąc, że w tej chwili waży się jego życie.

ROZDZIAŁ CXLVIII. WYJAŚNIENIE

Balsamo zamknął za sobą drzwi i stanąwszy w progu w chwili, gdy Filip wpatrywał się w siostrę z jakąś lękliwą ciekawością, spytał:

— Czyś gotów?

— Tak, panie — wyjąkał trzęsąc się młodzieniec.

— Możemy więc zaczynać?

— Proszę, zacznij pan — powiedział Filip starając się opanować skurcz gardła.

— Ale najpierw przypatrz się pan dobrze siostrze.

— Widzę ją, panie.

— Czy masz niezbitą pewność, że śpi?

— Tak, panie.

— I że nic nie wie, co się wokół niej dzieje?

Filip nic nie odpowiedział, ale uczynił niewyraźny gest powątpiewania.

Balsamo podszedł do kominka, zapalił świecę i przybliżył do oczu Andrei. Nie zmrużyła wcale powiek.

— Tak, tak, śpi! Co za dziwny sen, mój Boże!

— A więc przystępuję do pytań. Prawda, wyraziłeś obawę, że mogę jej zadać jakieś niestosowne pytanie. Pytaj więc pan sam.

— Przed chwilą mówiłem do niej, dotykałem jej, ale ona mnie nie słyszy i nie czuje.

— Bo nie jesteście zespoleni łańcuchem magnetycznym, teraz oto was zespałam.

I Balsamo ujął dłoń Filipa i złączył ją z dłonią Andrei. W tej samej chwili dziewczyna smutno uśmiechnęła się i zaszepotała:

— Ach, jesteś, braciszku?

— Widzisz — rzekł Balsamo — że cię poznaje.

— Tak, to zadziwiające.

— Teraz pytaj, a odpowie.

— Przecież niczego nie pamiętała na jawie, więc jakżeż może sobie przypomnieć we śnie?

— To jest jedna z tajemnic mojej nauki.

I Balsamo westchnąwszy siadł na krześle w rogu pokoju.

Filip stał bez ruchu, trzymał w dłoni dłoń siostry i na próżno wyteżał umysł, by ułożyć to jedyne pytanie, która przyniesie mu rozwiązanie strasznej zagadki.

Na twarzy Andrei malował się bezgraniczny spokój, jakiś zachwyt i uczucie błogości.

Ale w miarę jak rozmyślał o niedawnych wydarzeniach, twarz jej chmurzyła się i posępniała. Przemówiła pierwsza:

— Tak, masz słuszność, bracie, to straszne nieszczęście dla naszej całej rodziny.

Czytała więc w jego myślach.

Filip drgnął. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie spodziewał się takiego początku.

— Jakie nieszczęście? — spytał trochę bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, co mówi.

— Ach, bracie, przecież wiesz dobrze.

— Zmusz ją, panie, żeby mówiła.

— Jak ja ją do tego zmuszę?

— Mocno chciej, żeby mówiła i to wszystko. Filip popatrzył jej w oczy i skupił całą swą wolę, Andrea zarumieniała się.

— Och, jak ty możesz nawet przypuszczać, Filipie, że twoja Andrea cię okłamała?

— Więc nikogo nie kochasz?

— Nikogo.

— A zatem muszę ukarać nie współgrzesznika, lecz złoczyńcę?

— Nie rozumiem cię, bracie.

Filip spojrział bezradnie na Balsamo, jakby prosząc go o pomoc.

— Nalegaj, mocno nalegaj.

— Nalegać?

— Tak, pytaj zupełnie otwarcie.

— I mam nie uszanować wstydlivosti tego dziecka?

— Nie obawiaj się, po przebudzeniu nie będzie pamiętała o niczym.

— Ale czy mi odpowie?

— Czy dobrze widzisz? — zapytał Balsamo śpiącej. Andreę przebiegł dreszcz; zwróciwszy nie widzące oczy

w stronę, skąd nadbiegł głos, odpowiedziała z dziwną pokorą:

— Nie tak dobrze, jak przy twoich pytaniach, ale jednak widzę.

— Jeżeli więc widzisz, siostrzyczko, opowiedz mi szczegółowo, co się zdarzyło tej nieszczęsnej nocy, kiedy to nagle straciłaś przytomność.

— Czemu nie zaczynasz, panie, od nocy 31 maja? Twoje podejrzenia, jak mi się zdaje, sięgają aż do tej daty. Nadeszła chwila, żeby i to zarazem wyjaśnić.

— Nie, panie — spokojnie odpowiedział Filip — nie trzeba. Już teraz wierzę twemu słowu. Ten, kto posiada taką władzę, jaką ty masz, nie używa jej do osiągnięcia celów tak nieszlachetnych.

— Siostro! — powtórzył jeszcze raz. — Opowiedz mi wszystko, co się działo tej nocy, kiedyś omdlała.

— Nie pamiętam — zaszepotała. Andrea.

— Słyszysz, hrabio?

— Musi sobie przypomnieć. Rozkaż jej.

— Przecież spała?

— Dusza nie spała.

Po tych słowach Balsamo wstał, wyciągnął rękę w kierunku Andrei i zmarszczył surowo brwi

— Przypomnij sobie. Ja tak chcę — rozkazał.

— Przypominam — powiedziała nagle Andrea. — Och! — zawołał Filip ocierając pot z czoła. — Co chcesz wiedzieć?

— Wszystko.

— Od jakiego czasu?

— Od czasu, kiedy położyłaś się do łóżka.

— Czy widzisz siebie samą?

— Tak, widzę; trzymam w ręku szklankę z limoniadą, którą mi przygotowała Nicole... Och! Mój Boże!

— Co? Co takiego?

— Och, nikczemna! Szklanka zawiera niebezpieczny napój. Jeśli go wypiję, będę zgubiona.

— Niebezpieczny napój! — zawołał Filip. — W jakim celu?

— Poczekaj, poczekaj, podnoszę go do ust, ale w tej chwili...

— Co? Mów!

— On mnie zawołał.

— Kto?

— On — rzekła Andrea, wskazując ręką hrabiego.

— A wtedy?

— Wtedy postawiłam szklankę z powrotem... i usnęłam.

— A potem, potem? — dopytywał się coraz gwałtowniej Filip.

— Wstałam i poszłam do niego.

— Gdzie był hrabia Balsamo?

— Pod lipami, naprzeciw mego okna.

— Czy hrabia nigdy nie wchodził do twego pokoju?

— Nie, nigdy.

Balsamo spojrział ze smutnym uśmiechem na Filipa.

— Więc poszłaś do hrabiego?

— Jestem posłuszna, gdy woła.

— Co chciał hrabia od ciebie? Andrea zawahała się.

— Mów — zawołał Balsamo — ja słuchać nie będę.

I ciężko opadł na krzesło, ściskając obu rękoma głowę, jakby chciał zasłonić się przed jej głosem.

— Chciał dowiedzieć się ode mnie...

Znów się zatrzymała, jakby obawiała się, że hrabiemu serce pęknie.

— Mów, siostrze, mów! — nalegał Filip.

— Chciał dowiedzieć się o osobie, która uciekła z jego domu... i która potem... — Andrea zniżyła głos — która potem umarła.

Choć Andrea powiedziała to niezmiernie cicho, Balsamo usłyszał czy odgadł, bo nagle z ust wyrwał mu się głuchy, stłumiony jęk.

Filip przestał pytać. Nastąpiła chwila długiego milczenia. ”

— Mów dalej, mów — rzekł ciężko oddychając Balsamo — twój brat, pani, chce o wszystkim wiedzieć i trzeba, żeby wiedział o wszystkim. Mów, co zrobił ten człowiek, gdy dowiedział się o wszystkim?

— Bardzo szybko odjechał. Nie obudził mnie nawet. Siłą, która mnie podtrzymuje w jego obecności, zabrał ze sobą... Upadłam na ziemię.

— W omdleniu?

— Nie, w śnie twardym jak kamień.

— Czy możesz sobie przypomnieć, co się zdarzyło w czasie twego snu?

— Ktoś wysunął się z krzaków, wziął mnie na ręce i zaniósł.

— Dokąd?

— Tu, do mego mieszkania. .

— Ach, czy widzisz tego człowieka?

— Poczekaj... tak... tak... Och — mówiła dalej z uczuciem niesmaku i jakby obrzydzenia. — Och, to znowu ten mały Gilbert!

— Gilbert?

— Tak.

— Co robi?

— Kładzie mnie na sofę.

— A potem? — Poczekaj...

— Patrz, patrz — rzekł twardo Balsamo — ja każę, żebyś widziała.

— Nasłuchuje... biegnie do drugiego pokoju... cofa się przestraszony; chowa się do pokoiku Nicole... Boże Najświętszy! Boże!

— Co się stało?

— Ktoś wchodzi za nim, a ja?... ja nie mogę wstać, nie mogę bronić się. Nie mogę krzyczeć, ja śpię!

— Któż to taki?

— Mój bracie, mój bracie!

I ogromny smutek okrył twarz Andrei.

— Mów, kim jest ten człowiek — rzekł Balsamo — ja ci każę!

— Najjaśniejszy Pan! Filip zadrzał.

— Ach — szepnęła Balsamo — domyślałem się tego.

— Zbliża się do mnie, przemawia czule... obejmuje rękoma... całuje. Och, mój bracie, mój bracie!

Łzy zakreśliły się w oczach Filipa, ręka konwulsyjnie ścisnęła rękę szpady, którą mu podarował Balsamo.

— Mów, mów! — rzekł hrabia tonem coraz bardziej rozkazującym.

— Och, co za szczęście! Jest zmieszany... cofa się o krok... patrzy na mnie... lęka się... ucieka... Andrea jest ocalona.

Filip nachylił się tuż nad nią, jakby chciał jej wyrwać każde słowo z ust.

— Ocalona, Andrea ocalona! — powtórzył machinalnie.

— Poczekaj, bracie, poczekaj!

I młoda dziewczyna, jakby chcąc się oprzeć, szukała po omacku ręki Filipa.

— Co dalej, co dalej? — krzyczał Filip.

— Zapomniałam... — O czym?

— Że tam w pokoiku Nicole stoi z nożem w ręku. — Z nożem w ręku?

— Widzę go, blady jak śmierć.

— Kto?

— Gilbert.

Filip wstrzymał oddech.

— Idzie za królem — szeptała dalej Andrea — zamyka drzwi, nogą gasi świecę, która spadła na kobierzec; zbliża się ku mnie... Och!

Dziewczyna wyprostowała się w objęciach brata, każdy jej mięsień naprężył się tak silnie, jakby miał za chwilę pęknąć.

— Och, nikkzemnik! — szepnęła wreszcie i upadła bez sił. Miłosierny Boże! — mówił do siebie Filip, nie śmiejąc przerywać.

— To on, to on! — rzekła głucho.

Potem nachylając się do ucha brata, szepnęła z roziskrzonymi oczyma:

— Ty go zabijesz, Filipie, prawda?

— Ach, tak! — krzyknął młodzieniec, porywając się z miejsca jak oszalały. Tracił nieostrożnie gerydon z porcelaną.

W tej samej chwili w głuchy łoskot, szcęk tłukących się cacek wmieszał się jakiś inny hałas: tupot nóg, zgrzyt klucza i raptowne trzaśnięcie drzwiami.

Nad tym wszystkim górował spazmatyczny krzyk Andrei.

— Co się stało? — spytał Balsamo. — Ktoś drzwi otworzył.

— Podśluchiowano nas? — zawołał Filip, obnażając szpadę.

— To on, to on! — krzyczała Andrea.

— Ale kto?

— Gilbert, Gilbert! Ach, zabijesz go Filipie? Prawda, zabijesz?

— Och, tak, tak, tak!

I Filip rzucił się do przedpokoju ze szpadą w rękę. Andrea osunęła się bezwładnie na sofkę.

Balsamo doskoczył do Filipa i schwycił go za rękę.

— Wróć, panie, uważaj, by to, co ma zostać tajemnicą, nie stało się za chwilę wiadome wszystkim. Jest już dzień, a ściany pałaców królewskich mają czułe i nadzwyczaj ciekawe uszy.

— Och, Gilbert, Gilbert — szeptał zdławionym głosem Filip — on tu się ukrywał, podśluchiwał nas. Mogłem go zabić. Och, biada łotrowi!

— Tak, ale masz milczeć. Odnajdziesz i tak tego człowieka. Teraz musisz zająć się siostrą. Potrzebuje twojej opieki. Spójrz, jak ją to wyczerpało.

— Boże, jak ona musi cierpieć. Cóż za okropne nieszczęście! Och, panie, ja nie wytrzymam, ja się zabiję!

— Przeciwnie, będziesz żył dla niej. Biedaczka ma tylko ciebie. Kochaj ją i opiekuj się. A teraz — odezwał się po dłuższej chwili milczenia — już ci chyba nie jestem potrzebny?

— Nie, hrabio, wybac mi moje podejrzenia i zachowanie. A jednak mimo wszystko, twoja w tym wina!

— Nie myślę się usprawiedliwiać, lecz przypomnij sobie, co powiedziała siostra.

— Co powiedziała? Ja już głowę tracę.

— Gdybym nie przyszedł, wypiłaby napój przygotowany przez Nicole, a wówczas dokonałby tego król. Czy uważasz, że nieszczęście byłoby wtedy mniejsze?

— Takie samo. Tak, teraz widzę jasno; była już zgubiona... Panie, obudź moją siostrę.

— Nie w tej chwili. Zobacz mi i zrozumie, co zaszło. Obudzę ją, podobnie jak uspiłem, z pewnej odległości.

— Dzięki ci, panie, dzięki! — Bądź zdrow, panie.

— Jeszcze tylko jedno. Hrabio, jesteś człowiekiem honoru!...

— Chyba nie chcesz mi przypominać o dyskrecji?

— Och, hrabio!...

— Nie wspominaj, panie. Po pierwsze: jestem, jak raczyłeś wspomnieć, człowiekiem honoru. Ponadto, postanowiłem sobie nie mieć z ludźmi żadnej styczności, zapomnę więc i tak o ludziach i ich tajemnicach. Mimo to jednak liczę na mnie, panie, jeślibym mógł ci być w przyszłości w czymkolwiek użyteczny. Ale, nie, nie. Nie, ze mnie już nie będzie pożytku. Jestem już niczym. Bądź zdrow, panie.

I skłoniwszy się Filipowi, spojrział jeszcze raz na Andreę, która leżała nieruchomo z głową odgiętą do tyłu, z wszelkimi objawami ostatecznego wyczerpania.

— O, nauko — szepnął do siebie w zamyśleniu — ileż to ofiar za jeden błahy wypadek!

Szybko wyszedł.

Po chwili Andrea zaczęła powracać do przytomności, otworzyła oczy, z trudem podniosła ciężką jak ołów głowę i spojrzawszy na brata ze zdziwieniem zapytała:

— O, jesteś Filipie? Co się stało?

Filip dusił się od płaczu. Teraz opanował się, a nawet zdobył na uśmiech.

— Nic, nic, siostrzyczko.

— Nic?

— Tak, nic.

— A wiesz, zdawało mi się, że zaszło ze mną coś dziwnego. Miałam chyba jakieś halucynacje. Och, doktor Louis, doktor Louis! Filipie!

— Andreo! — rzekł Filip gładząc jej rękę. — Jesteś czysta jak jutrzienka. Ale pozory są przeciwko tobie. Rozwiązałem tę straszną tajemnicę. Zaraz udam się do doktora Louis. Musi powiedzieć następczyni tronu, że jesteś poważniej chora, niż sądził poprzednio, że doszła melancholia, tęsknota do rodzinnych stron, że tylko pobyt w Taverney może cię uleczyć. A potem pojedziemy sobie do Taverney lub do jakiejś innej miejscowości i zamieszkamy samotnie; zobaczysz, że będzie nam dobrze...

— Ale przecież mówiłeś, braciszku, że nic się nie stało; że jestem niewinna?...

— Potem ci to wszystko wytłumaczę, teraz szykuj się do odjazdu.

— Ale nasz ojciec?

— Ojciec — odparł niechętnie Filip — ojca ja biorę na siebie, przygotuję go dzisiaj.

— Czy pojedzie z nami?

— Ojciec? Nie, to niemożliwe, Andreo, niemożliwe, tylko my sami, we dwoje.

— Przerażasz mnie, Filipie. Ileż ja się wycierpię!

— Bóg czuwa nad nami, więc nie lękaj się niczego. A teraz śpiesz do doktora. Musisz być silna; chodzi o honor nas obojga.

Filip śpiesznie uściskał siostrę, podniósł z podłogi szpadę,
wcisnął drżącą ręką w pochwę i wybiegł na schody.

W kwadrans potem pukał do drzwi doktora Louis, który przez okres pobytu dworu w Trianon mieszkał w Wersalu.

ROZDZIAŁ CXLIX. OGRÓDEK DOKTORA LOTOS

Doktor Louis, przed którego drzwiami stanął teraz Filip, przechadzał się po swym niewielkim ogródku obrzeżonym dokoła wyniosłymi murami byłego klasztoru Urszulanek. "W tych czasach był już tam tylko skład furazu nadwornej dragonii J.K.M.

Doktor Louis spacerując przeglądał korektę swego nowego dziełka, które miało opuścić niebawem oficynę drukarską. Od czasu do czasu pochylał się, aby wyrwać ze ścieżki czy z zagonku jakieś paskudne ziele urażające jego zamiłowanie do symetrii i porządku.

Miał tylko jedną służącą, trochę jędzę, jak często bywa u ludzi pracowitych, którzy nie lubią, by im przeszkadzano. Zajmowała się małym gospodarstwem lekarza.

Na odgłos brązowego młotka, którym zakolała Filip, uchyliła szparkę drzwi, lecz młodzieniec zamiast opowiedzieć się służącej, drzwi rozepchnął i wszedł do korytarza. Stamtąd dojrzał ogród, a w ogrodzie doktora.

Nie zważając na ostre wymówki i krzyki czujnego cerbera, w te pędy pobiegł do ogrodu.

Usłyszawszy jego kroki, doktor uniósł głowę.

— A, to ty, panie?

— Przepraszam, doktorze, wybacz, że wtargnąłem tu z takim hałasem i naruszyłem twoją samotność, ale chwila, o jakiej wspominałeś, nadeszła. Potrzebny mi jesteś, doktorze i przychodzę prosić cię o pomoc,

— Przyrzekłem ci ją, panie i słowa nie cofam.

Filip skłonił się zbyt podniecony, by zacząć od razu rozmowę.

Doktor odczuł jego zakłopotanie.

— Jak się miewa chora? — spytał spostrzegając bladość młodzieńca, zaniepokojony, czy nie doszło do jakiej katastrofy w dalszym rozwoju tego dramatu.

— Doskonale, doktorze, doskonale! To taka pocziwa i szlachetna dziewczyna, że chyba Bóg byłby niesprawiedliwy, gdyby zesłał na nią w jej obecnym stanie jakieś dodatkowe dolegliwości i komplikacje.

Doktor popatrzył bystro na Filipa; te słowa wydały mu się zaprzeczeniem wczorajszych nastrojów.

— A więc — rzekł — padła ofiarą jakiegoś podstępu bądź zdrady?

— Tak, doktorze, niesłychanego podstępu i bezczelnej wprost zdrady.

Doktor ręce załamał.

— Niestety, żyjemy w strasznych czasach obecnie. Wydaje mi się, że potrzebni są dziś lekarze narodów, tak jak od niepamiętnych czasów nieodzowni byli lekarze pojedynczych osób.

— Doktorze, niech przychodzą. Nikt ich nie powita z większą radością niż ja, ale tymczasem...

Tu Filip uderzył znacząco dłonią po rękoności szpady.

— Ach! — rzekł doktor. — Widzę, że należysz pan do grona tych, którzy utrzymują, że plamę na honorze zmyje jedynie strumień krwi.

— Tak, doktorze, należę do ich grona.

— Pojedynek — powiedział cicho doktor — pojedynek, który nie usunie krzywdy wyrządzonej siostrze, jeżeli winowajcę zabijesz, a pogrąży ją w rozpacz, jeśli sam zginiesz. Ech, panie! Sądziłem, że jesteś człowiekiem rozumnym i uczuciowym, i przecież życzyłeś sobie, żeby ta sprawa nie ujrzała światła dziennego.

Filip oparł dłoń na ramieniu lekarza.

— Panie, niesłusznie tak o mnie sądzisz. Rozumu mi nie brak, mam ponadto głębokie przeświadczenie, że postąpię słusznie. Ja nie chcę sobie wymierzać sprawiedliwości, a tylko wymierzyć sprawiedliwość. Nie skażę siostry na poniewierkę i śmierć, a tak by się stało, gdybym zginał. Chcę ją pomścić, zabijając nikczemnika.

— Zabijając? Pan — szlachcic, chcesz popełnić morderstwo?

— Doktorze, gdybym go zobaczył na minutę przed zbrodnią, kiedy zakradał się po złodziejsku do jej pokoju — do pokoju, gdzie nie powinna stąpić nawet noga człowieka tak nikczemnego stanu — gdybym go wówczas zabił — czy jest ktoś taki na świecie, kto by powiedział, że uczyniłem niesłusznie? Dlaczego mam więc oszczędzać go teraz? Czyż zbrodnia uczyniła go nietykalnym?

— A więc ten krwawy zamiar głowa uchwaliła, a serce podpisało?

— Uchwaliłem, podpisałem. Znajdę go prędzej czy później, choć się ukrywa, a wtedy, panie, bez litości, bez najmniejszych skrupułów zabiję go jak psa.

— Czyniąc tak — odpowiedział doktor — popełnisz zbrodnię równą tamtej, jaka została popełniona, może nawet ohydniejszą. Któż może przewidzieć, dokąd jakieś nieroztropne słówko, kokietyjny gest, jaki kobieta uczyni nawet bezwiednie, popchnie rozbudzone żądze i skłonności fizyczne człowieka? A przecież masz inne środki naprawy krzywdy, na przykład — małżeństwo.

Filip podniósł głowę.

— Czy acan nie wiesz, że ród Taverney Maison-Rouge sięga czasów wojen krzyżowych i klejnot rodowy mojej siostry świeci tym samym blaskiem, co klejnoty infantek i arcyksiężniczek?

— Tak, rozumiem... A winowajca nie jest szlachcicem, jest to kmiotek-ladaco, cham — jak wy nazywacie, panowie, innej rasy. Prawda, prawda. Bóg stworzył tych ludzi z innej, kiepskiej gliny po to, by byli zabijani przez tych stworzonych z lepszego materiału.

I doktor odwróciwszy się do Filipa tyłem, zaczął pilnie wyrywać zielsko z grządki.

— Wysłuchaj mnie, doktorze — zawołał Filip — ani to nie był uwodziciel, któremu zalotna dziewczyna zrobiła jakąś tam nadzieję, ani skokietowany poczciwiec. Mówiłem o nikczemniku, który wychowywał się w naszym domu, przez dwadzieścia lat jadł nasz chleb i naraz w nocy, wykorzystując podstępnie sztuczny sen, omdlenie czy letarg — nie wiem, jak to nazwać — zbezczeszczył najniewinniejszą z dziewcząt, której w jasny dzień nie odważyłby się w oczy spojrzeć. Sąd skazałby tego zbrodniarza niezawodnie na śmierć. Ha, ja go osądzę również bezstronnie!

— Powiedziałeś pan — spytał nagle doktor w zamyśleniu, jakby nie słysząc ostatnich słów Filipa — powiedziałeś pan, że winowajca uciekł?

— Tak, doktorze. Odgadł, co się święci, słyszał, że go oskarżają i wziął nogi za pas.

— Aha, dobrze... Oznajmiłeś pan — powiedział po chwili, jakby przypominając sobie — że potrzebujesz mnie. W czym mogę być pomocny?

— Musisz pomóc siostrze wydostać się z Trianon, aby ukryć przed oczyma ludzkimi naszą tajemnicę.

— Pozwolisz, że postawię warunek? Filip zaperzył się.

— Nie przerywaj pan — rzekł doktor z naciskiem, ruchem ręki nakazując spokój. — Lekarz — filozof i chrześcijanin, skoro go uczyniłeś spowiednikiem twego nieszczęścia, musi ci postawić

warunek, bo taki jest imperatyw sumienia. Miłość bliźniego, uczucia humanitarne, to, mości panie, nie cnota ewangeliczna, ale twardy obowiązek. Powiedziałaś, że chcesz zabić człowieka, więc ja z kolei muszę ów zamysł wszelkimi środkami, jakie mi są dostępne, udaremnić — podobnie jak nie dopuściłbym, nawet środkami przemocy, do dokonania tamtej zbrodni na twojej siostrze. Zaklinam cię, panie, przysięgnij.

— Nigdy!

— Przysięgniesz! — zawołał doktor porywczo. — Przysięgniesz, człowieku niesyty krwi! Musisz uznać we wszystkim, palec Boży. Nigdy nie tłumacz fałszywie jego wyroków. Sam przecież mówisz, że winowajcę miałeś niemal w ręku.

— Tak, doktorze, był za drzwiami. Gdybym wiedział, że tam stoi, schwytałbym go natychmiast.

— A więc uciekł; drży, kara jego już się zaczyna. Ach, uśmiechasz się; to, co Bóg czyni, wydaje ci się słabe; wyrzuty sumienia — zabawką! Poczekaj jeszcze, przekonasz się. A jeśli go sam spotkasz, to znaczy, jeśli Bóg ci go wyda, to... No, cóż, ja też jestem człowiekiem — zobaczmy.

— Drwisz ze mnie, mój panie! Przecież on będzie zawsze trzymał się ode mnie z daleka.

— Kto wie! Kto wie! Mój Boże! Morderca ucieka, morderca szuka kryjówek, morderca drży przed szafotem, a przecież jak magnes, żelazo sprawiedliwości przyciąga tego zbrodniarza, który z jakimś dziwnym fatalizmem kładzie głowę pod topór mistrza. A ty chcesz teraz jednym zamachem dłoni popsuć to, co sam tak pracowicie ułożyłeś. Dla nierozumnych prawideł świata, w którym żyjesz i któremu nie możesz wytłumaczyć niewinności twojej siostry, dla wszystkich tych ciekawych próżniaków zabijesz człowieka i... i po dwakroć nasycisz ich ciekawość: po pierwsze — rozgłoszeniem występku, po wtóre — gorszącym samosądem. Niemnie! Wierz mi, masz milczeć i zagrzebać nieszczęście w tajemnicy.

— Ale kto będzie wiedział, że zabiłem tego nędznika z powodu siostry?

— Przecież będziesz musiał wyjaśnić przyczynę tej zbrodni.

— Cóż, doktorze. Widzę, że muszę ci być posłuszny. Nie będę szukał zbrodniarza, ale chyba Bóg sprawiedliwy użyje, tej bezkarności jako przynęty i da mi go w ręce.

— Będzie to znaczyło, że Bóg go potępił. Podajmy sobie ręce na zgodę.

— Oto moja ręka.

— A teraz powiedz, co mam uczynić dla panny de Ta-verney.

— Musisz, doktorze, jakoś wytłumaczyć Madame Dauphine konieczność wyjazdu Andrei; powiesz, że powietrze tutejsze jej nie służy, tęsknota do rodzinnych stron, migreny, dieta, czy co tam chcesz.

— To nic trudnego.

— A ja wywiozę Andreę w jakikolwiek zakątek Francji, może nawet do Taverney, a w każdym razie daleko od świata i jego argusowych oczu.

— Nie, panie, uczyniłbyś niedobrze. Biedne dziecko potrzebuje opieki lekarskiej i troskliwej pielęgnacji. Pozwól mi wyszukać jej niedaleko stąd, w okolicach dobrze mi znanych ustronie, o wiele bardziej nadające się do ukrycia niż Ta-verney.

— Czy tak będzie lepiej?

— Tak, panie. Podejrzenie kieruje się zawsze gdzieś na zewnątrz, podobnie, jak kręgi na wodzie, które się rozchodzą i oddalają, gdy ciśniesz kamień. A kamień... cóż... wcale się nie oddala, po prostu spada na dno i kiedy drganie wody ustaje, żadne oko nie odgadnie przyczyny, która została zamknięta w głębi wód.

— A więc, doktorze, zajmiesz się tym, prawda?

— Jeszcze dzisiaj.

— I zechcesz uprzedzić Jej Królewską Wysokość?

— Już zaraz.

— A reszta?

— W ciągu dwudziestu czterech godzin dam ci odpowiedź.

— Och, jakże ci się odwdzięczę! Doktorze, jesteś dla mnie aniołem.

— No, młodzieńcze, kiedyśmy już zawarli układ, maszeruj śmiało do siostry, pociesz ją, pielęgnuj...

— Bądź zdrow, doktorze.

Louis odprowadził Filipa do bramy i długo patrzył w ślad za odchodzącym oficerem.

Gdy mu już znikł z oczu, powrócił do swego ogródka i podjął przerwana przechadzkę, połączoną z czytaniem korekty i plewieniem chwastów.

ROZDZIAŁ CL. OJCIEC I SYN

Gdy Filip wrócił, zastał Andreę dziwnie niespokojną i podnieconą.

— Braciszku — powiedziała — rozmyślałam podczas twojej nieobecności nad wszystkim, co mi się ostatnio przydarzyło. Jest to jakaś otchłań, w której giną resztki mego rozsądku. Czy widziałeś się z doktorem Louis?

— Wracam od niego, Andreo.

— Rzucił na mnie straszne oskarżenie. Czy miał rację?

— Niestety, siostrzo.

Andrea zbladła, palce jej, tak delikatne i białe, zacisnęły się kurczowo.

— Jak się nazywa — spytała nerwowo, z trudem dobierając słowa — jak się nazywa ten nędznik, który mnie zgubił?

— Tego się nigdy, Andreo, nie dowiesz.

— Och! Filipie, nie chcesz mi powiedzieć prawdy, kłamiesz przed własnym sumieniem. Muszę wiedzieć, jak się nazywa. Jestem słabą kobietą i jedyną moją bronią jest modlitwa. Chcę modlitwami ściągnąć na tego człowieka straszny gniew Boski. Jak się nazywa ten człowiek, Filipie?

— Siostrzyczko, nie poruszajmy tego tematu. Andrea wzięła go za rękę i spojrzała w oczy.

— Och! Tak mi odpowiadasz, i ty nosisz u boku szpadę? Filip zbladł zaskoczony jej wybuchem; opanowawszy się odpowiedział:

— Andreo, nie mogę ci wyjawić tego, czego sam nie wiem. Prześladowające nas fatum sprawiło, że pozostaje to dla mnie i dla ciebie tajemnicą, a opatrność Boska — że jest to również tajemnicą dla tych, którzy pragnęliby rozgłosu dla hańby naszego domu.

— Prócz jednego człowieka, Filipie... człowieka, który śmieje się z nas, który drwi!... O Boże! — człowieka, który, być może, szyderczo z nas się naigrawa w swej ciemnej kryjówce?

Filip zacisnął pięści, spojrzał w górę i nic nie odrzekł.

— Człowiek ten! — zawołała Andrea z jeszcze większym gniewem i oburzeniem. — Ja chyba znam tego człowieka... Proszę cię, Filipie, sprowadź go do mnie; już ci mówiłam o jego dziwnym, tajemniczym wpływie. Ja cię przecież do niego posłałam...

— Moja droga, ten człowiek jest niewinny, widziałem go; mam na to dowody. Proszę cię, Andreo, nie pytaj mnie więcej.

— Filipie, w takim razie sięgnijmy wyżej, ponad tego człowieka... aż do najwyższych stopni wśród możliwych tego królestwa. Udajmy się do króla.

Filip objął czule biedne dziecko, tak szlachetne w swej nieświadomości i oburzeniu.

— Siostrzo — rzekł — wszystkich, których wymieniłaś na jawie, wymieniłaś również i przez sen. Wszystkich, których wymieniłaś z zapalczywością istoty niewinnej, usprawiedliwiłaś, patrząc, że tak powiem, powtórnie na wypadki tej strasznej nocy.

— A więc wymieniłam zbrodniarza? — rzekła z roziskrzonymi oczyma.

— Nie pytaj, Andreo — uspokajał ją łagodnie. — Rób to, co ja. Po prostu poddaj się wyrokowi losu. Nieszczęście, któremu nie jesteśmy w stanie zapobiec, podwójnie boli przez to właśnie, że zbrodniarz jest bezkarny. Ale nie trać nadziei. Bóg jest wszechmocny. Bóg zachowuje dla nieszczęśliwych tę smutną radość, którą nazywamy zemstą.

— Zemstą? — powtórzyła cicho, przestraszona tonem, jakim wymówił to słowo.

— A teraz odpocznij po tylu przejściach, po tylu udrękach, po wstydzie. Gdybym wiedział, ach! Gdybym wiedział!...

I z przejmującą rozpaczą zakrył twarz. Nagle wstał i rzekł z bladym uśmiechem:

— Nie upadajmy na duchu. To do niczego nie doprowadzi. Siostrzyczka jest niewinna, kocha mnie; nigdy nie nadużyła mego zaufania. Jesteśmy młodzi, niezspsuci. Będziemy sobie żyć razem, razem zestarzejemy się. Jesteśmy silni. Cóż nam może zrobić świat?

Lecz w miarę jak ją młodzieniec pocieszał, Andrea stawała się coraz smutniejsza. Pochyliła blade czoło, wzrok jej wyrażał zupełną rozpacz.

— Mówiłeś tylko o nas dwojgu — powiedziała utkwivszy w nim badawczo błękitne źrenice.

— O kim chcesz, abym jeszcze wspomniał, Andreo?

— Ależ... my mamy ojca. Jak on to przyjmie?

— Mówiłem ci wczoraj — odrzekł z naciskiem Filip — żebyś starała się zapomnieć o wszelkich troskach, wyzbyła się wszelkich obaw, żebyś odtrąciła — podobnie jak wiatr roztrąca poranne opary, wszelkie wspomnienia i sentymenty; rodzinne. Niech ci się zdaje, że masz tylko mnie. Bo naprawdę, moja Andreo, oprócz mnie nikt ciebie nie kocha. I ty też — kochasz tylko mnie. Po cóż więc, porzucone sieroty, mamy dźwigać jarzmo wdzięczności czy uczuć rodzinnych? Czy doznaliśmy jakiejś opieki ze strony ojca?. Ach! — dodał z gorzkim uśmiechem. — Znasz przecież dokładnie moje myśli i stan mego serca... Gdyby ten, o kim myślisz, zasługiwał na miłość, powiedziałbym ci: kochaj go, Andreo! Ale ja milczę, a więc...

— Muszę ci wierzyć, braciszku.

— Andreo, w chwilach wielkich nieszczęść człowiek mimo woli przypomina sobie słowa, których nie rozumiał w dzieciństwie: „Lękaj się Boga”!... Ach, Bóg okrutnie przypomniał się naszej pamięci: „Czuj ojca swego”; Och, siostrzyczko! Najwyższy szacunek, jaki możesz w tej chwili ojcu okazać, to wymazanie go z pamięci.

— Prawda — szepnęła Andrea osuwając się na krzesło. Na twarzy jej malował się bezbrzeżny smutek.

— Najukochańsza, nie traćmy czasu na rozmowy. Zbierz wszystkie swoje fatalaszki. Doktor Louis pójdzie dziś do Jej Wysokości i uprzedzi o twoim wyjeździe. Wiesz, jakie poda przyczyny: potrzebna zmiana powietrza, otoczenia, niewytłumaczalne cierpienia. Więc przygotuj rzeczy.

Andrea wstała.

— A meble? — spytała.

— Och nie, tylko bieliznę, suknie, kosztowności.

Andrea zaczęła posłusznie wyciągać pudła z szaf, suknie z garderoby — w której ukrywał się dziś w nocy Gilbert; potem wyjęła kilka klejnotów i chciała je włożyć do pudełka.

— Cóż to takiego? — spytał Filip.

— To właśnie te klejnoty, które Najjaśniejszy Pan raczył mi podarować po mym przedstawieniu się w Trianon.

Filip pobladł na widok tak kosztownego podarunku.

— Za te precjoza — rzekła Andrea — będziemy mogli żyć zupełnie dostatnio. Podobno same perły warte są sto tysięcy liwrow.

Filip zamknął kasetkę.

— Rzeczywiście, niezwykle kosztowne — i wyjmując kasetkę z rąk Andrei dodał:

— Siostrzyczko, zdaje mi się, że masz jeszcze inne klejnoty.

— Och, braciszku, nie można ich nawet porównywać z tymi, które nosiła niegdyś nasza najdroższa mateczka. Jest jeszcze zegarek, bransoletki, kolczyki z brylancikami. Mam też miniaturkę. Ojciec chciał to wszystko sprzedać, ponieważ, jak mówił, są to rzeczy staroświeckie i dawno już wyszły z mody.

— A jednak one tylko nam zostały. I to jest nasz cały majątek, Andreo. Złote drobiazgi każemy przetopić; kamyki od miniatury sprzedamy. Będzie w sumie jakieś dwadzieścia tysięcy liwrow i to zupełnie wystarczy, jak na dwoje nieszczęśliwców.

— Ale... te perły są także moje — przypomniała nieśmiało Andrea.

— Tych pereł nie dotykaj, dziecko. One parzą. Każda z nich posiada zadziwiającą właściwość: wywołuje plamy na czole, którego dotknie.

Andrea wzdrygnęła się.

— Wezmę je, siostrzyczko, i oddam temu, do kogo należą. Mówię ci: to nie nasze perły i my ich nie chcemy. Prawda?

— Jak uważasz Filipie — odpowiedziała Andrea z zażenowaniem.

— No cóż, siostrzyczko, ubierzesz się teraz najładniej i pójdziesz do Jej Wysokości. Bądź spokojna, onieśmielona; sprawiaj wrażenie stroskanej, że musisz opuścić tak szlachetną opiekunkę.

— Ja naprawdę jestem tym ogromnie zmartwiona — szepnęła z jakimś rozrzewnieniem — rozłąka z nią to jeszcze jeden smutek więcej...

— Jadę teraz do Paryża, siostrzyczko; wrócę pod wieczór i zaraz wyjedziemy. Tymczasem zapłać wszystko, co tam jesteś winna.

— Nie jestem nikomu nic winna. Miałam Nicole... uciekła. Ach, zupełnie zapomniałam o młodym Gilbertcie.

Filip drgnął, oczy mu się zaiskrzyły.

— Cóż jesteś winna Gilbertowi?

— Codziennie przynosił mi kwiaty — odpowiedziała zupełnie naturalnym głosem — a ponieważ, jak to i sam przyznałeś, byłam dla tego chłopca jakaś szorstka i niesprawiedliwa, a on przecież tak pocziwy... Trzeba by go jakoś wynagrodzić.

— Gilberta zostaw w spokoju i nie szukaj go — powiedział z naciskiem Filip.

— Dlaczego? Przecież musi gdzieś być w ogrodzie. Poślą po niego.

— Nie, nie! Nie trać czasu na drobiazgi. Ja sam to załatwię;. Gdy będę szedł przez aleję, spotkam go i zapłacę.

— Jak uważasz.

— Więc bądź zdrowa. Wrócę wieczorem.

Filip ucałował dłoń dziewczyny, która rzuciła mu się na szyję. Delikatnie uściśnął ją i ruszył w drogę.

W Paryżu zatrzymał się przed bramą pałacyku przy ulicy Coq-Héron. Wiedział, że zastanie tam ojca.

Starzec po niezrozumiałych dlań afrontach księcia Richelieu, uznał dalszy swój pobyt w Wersalu za zbyt kłopotliwy i, podobnie jak wszyscy ludzie o czynnym usposobieniu, starał się oszukać ogarniające go przygnębienie ruchem i zmianą miejsca pobytu.

Gdy Filip pociągnął za dzwonek u bramy, baron właśnie przechadzał się, klnąc na czym świat stoi, po ogródku i przylegającym doń dziedzińcu. Na dźwięk dzwonka drgnął i poszedł żwawo sam otworzyć. Ponieważ nikogo nie spodziewał się, czyjeś nagłe odwiedziny dawały niejasną nadzieję. Nieszczęśliwy, upadając, chwytając się lada gałązki. Toteż powitał Filipa z uczuciem rozczarowania, niechęci i zarazem zamaskowanej ciekawości. Skoro jednak spojrzał nań uważniej i dostrzegł złowrogą bladość twarzy, wyostrome rysy i zaciśnięte usta, odeszła go chęć jakichkolwiek pytań.

— Ach, to ty? — powiedział tylko. — Cóż to cię do mnie sprowadza?

— Będę miał za chwilę zaszczyt wynurzyć panu powód mego przybycia.

— Ba, a więc jakieś ważne przyczyny?

— Dość istotne.

— Że też ty, chłopcze, lubisz zawsze robić takie ceremonialne wstępy, które mnie tylko niepokoją. Powiadaj, co przynosisz: szczęście, czy nieszczęście?

— Nieszczęście — odparł poważnie Filip. Baron zachwiał się.

— Czy jesteście tu sami? — spytał Filip.

— Tak, sami.

— Czy nie miałyby pan nic przeciwko temu, żebyśmy wstąpili do pałacu?

— A dlaczego nie chcesz tu, na świeżym powietrzu, w cieniu drzew?

— Ponieważ zaszły pewne okoliczności, o których nie powinno się mówić przy świetle słonecznym.

Baron spojrzał na syna, zastosował się do jego milczącego gestu i starał się zachować możliwie obojętnie, a nawet uśmiechnął się.

Udali się do salonu na parterze i zamknęli starannie drzwi. Filip czekał przez chwilę na znak ojca, że można zacząć rozmowę, a gdy baron rozparł się wygodnie na najlepszym krześle, rzekł:

— Przyszedłem, aby w imieniu siostry i własnym pożegnać pana.

— Jak to! — zawołał ze zdumieniem baron. — Odjeżdżasz, a służba?

— Podąłem się do zwolnienia. Wiesz przecież, że obietnice królewskie nie ziściły się, na szczęście.

— Nie rozumiem, dlaczego „na szczęście”?

— Panie ojcze...

— Tłumacz się asan jaśniej, jak możesz uważać za szczęście, że nie zostałeś pułkownikiem wyborowego pułku. Nadto daleko posuwasz swą filozofię.

— Wystarczająco daleko, by nie przedkładać kariery nad hańbę, lecz nie wdawajmy się w tego rodzaju dysputy, bardzo pana proszę.

— Wprost przeciwnie — pofilozofujmy.

— Bardzo cię proszę — przerwał stanowczo Filip, co miało oznaczać: nie życzę sobie.

Baron zmarszczył brwi.

— A twoja siostra? Czy także zapomina o swych obowiązkach? Jej służba przy następczyni tronu...

— Z obowiązków tych, niestety, musi zrezygnować wobec innego obowiązku.

— Jakiegoż to, jeśli łaska?

— Bezwzględnej konieczności. Baron powstał.

— Bardzo to niewydarzony gatunek ludzi — mruknął — którzy zamiast tłumaczyć, prawią zagadki.

— Czy mam to rozumieć w ten sposób, że wszystko, co ci mówię, stanowi dla ciebie zagadkę, ojcze?

— Naturalnie — odrzekł baron z powagą, która nieco zdziwiła Filipa.

— W takim razie całą sprawę wyłożę jaśniej: siostra moja zmuszona jest oddalić się na pewien czas ze dworu, aby uniknąć hańby.

Baron roześmiał się nerwowo.

— Przebóg! Jakież wzorowe mam dzieci! Syn rezygnuje z perspektywy uzyskania regimentu, ponieważ obawia się hańby; córka porzuca już uzyskany taburet, także w strachu przed hańbą. Doprawdy, żyję obecnie w czasach Brutusa i Lukrecji. Za moich czasów, złych niewątpliwie, nie umywających się do dzisiejszej wspaniałej ery rozkwitu filozofii, kiedy szlachcic z daleka dojrzał hańbę i, tak jak ty, nosił broń u boku, a przy tym pobierał lekcje u kilku niezłych fechtistrzów, nadziewał po prostu ową hańbę na ostrze szpady. Filip wzruszył ramionami.

— Tak, wiem, jest to sprawa nad wyraz przykra dla filantropa, którego razi widok krwi. Ale, jak sądzę, oficerowie rodzą się nie po to, aby być, do kroćset diabłów, filantropami.

— Panie! Rozumiem równie dobrze, jak pan, czego wymaga honor, ale nie zawsze hańbę zmywa się krwią.

— Frazesy, frazesy imci filozofa — zawołał starzec, rozsierdzony do tego stopnia, że stał się niemal majestatyczny — to jest chciałem powiedzieć... tchórza!

— Dobrze więc, że tego pan nie powiedział. — Filip pobałdł i nozdrza zaczęły mu drgać.

Baron hardo wytrzymał zacięty i groźny wzrok syna.

— Mówiłem ci — ciągnął dalej — i mój wywód logiczny nie jest tak błędny, jak mi usiłują niektórzy wmówić — mówiłem ci, że wszelka hańba na tym świecie pochodzi nie z czynów, lecz ze słów. I tak jest właśnie. Dopuszcz się hańbiącego czynu w przytomności głuchych, ślepców albo niemow — czy będziesz zhańbiony? Odpowiesz mi na pewno tym niedorzecznym wierszem:

Zbrodnia, a nie deski szafotu, hańbę przynosi

To wszystko dykteryjki dobre dla dzieci i kobiet, lecz mężczyźni przemawiają nieco innym językiem. Weźmiesz rai, waszcę, szpadę w dłoń, pierwszemu wykolesz oczy, drugiemu obetniesz ucho, a trzeciemu oderzniesz jęzor. Tak właśnie odpowiada na hańbę szlachcic, który nosi nazwisko Taverney-Maison-Rouge.

— Szlachcic tego nazwiska, panie, wie, że spośród wszystkich rzeczy, jakie powinien lub nie powinien przedsiębrać, pierwszą jest nie popełnić hańbiącego czynu. Owoż właśnie dlatego nie odpowiem na twoje argumenta. Zdarza się przecie, że hańba rodzi się z nieprzewidzianego nieszczęścia: jest to właśnie przypadek, który w tej chwili stał się udziałem moim i siostry.

— Przechodzę teraz do sprawy twojej siostry. O ile, według mego poglądu, mężczyźni nie wolno nigdy uciekać w obliczu przeciwności, z którą może walczyć i zwyciężyć, kobieta powinna również nie oddalać się, lecz czekać jej śmiało z podniesionym czołem. Cóż po cnotce, mości filozofie, jeśli nie ma odwagi przeciwstawić się napaści występku? Gdzież tryumf takiej cnoty, jeśli nie w pokonaniu wszeteczności?

I Taverney zaczął się śmiać.

— Panna de Taverney obawiała się srodze, prawda? Czuła się słaba... w takim razie...

Filip podszedł o krok do ojca i rzekł spokojnie:

— Panna de Taverney była słaba; obecnie została zwyciężona, uległa, wpadła w zasadzkę.

— Wpadła w zasadzkę?

— Tak jest. Zachowaj teraz, panie, proszę, coś niecoś z tego zapachu, który cię przed chwilą tak mocno rozplomieniał, gwoli skarcenia nikczemników, co uknuli niecny spiszek, na zrujnowanie tego nieskażonego honoru.

— Nie rozumiem.

— Za chwilę zrozumiesz, panie... Ktoś podły wprowadził kogoś do mieszkania panny de Taverney... Baron zbladł.

— Ktoś podły — ciągnął Filip — postanowił, by nazwisko rodowe Taverney... moje...i twoje, panie, zbrukane zostało plamą niezatartą. Ha! Gdzie jest twoja szpada dziarskiego junaka? Czyż sprawa nie woła o krew?

— Mości Filipie!...

— Ach, nie miej obaw, ojczu. Nie oskarżam nikogo; nie wiem, kto to zaczął. Zbrodnia uknuta została w ciemności, dopuszczono się jej w ciemności i skutek jej również w ciemnościach zniknie. Ja tak chcę! I tak pojmuję czystą tarczę herbową naszego domu.

— Ale skąd wiesz? — zawołał baron ochłonałszy ze zdumienia. — Z czego wnosisz?

— Nikt o to nie zapytał z liczby tych, którzy będą mogli ujrzeć ponownie moją siostrę, a twoją córkę, za kilka miesięcy, panie baronie!

— A więc, Filipie — zawołał starzec z oczyma pełnymi radości — a więc fortuna i sława naszego domu nie pójdą wniwecz, a więc tryumfujemy?

— A więc... ty jesteś bezwarunkowo tym człowiekiem, którego miałem na myśli — rzekł Filip z najwyższym wstrętem — sam się zdradziłeś; zabrakło ci koniecznej roztropności w obliczu sędziego, jak pierwemu — zabrakło serca w obecności syna.

— Zuchwalcze!

— Dość już — rzekł podniesionym głosem Filip — strzeż się, byś nie przebudził swym krzykiem cienia mojej matki, która, gdyby żyła, czuwałaby nad swoją córką.

Baron odwrócił głowę nie mogąc wytrzymać spojrzenia roziskrzonych oczu Filipa.

— Córka moja — rzekł po dłuższej chwili — nie opuści mnie bez mojej woli.

— Siostra moja — odrzekł Filip — nie zobaczy cię już nigdy w życiu, ojczu.

— Czy mówisz mi to w jej imieniu?

— Tak jest, przysłała mnie, bym ci to właśnie oświadczył. Baron otarł drżącą dłonią zsiniałe i wilgotne wargi.

— Więc dobrze. Niech będzie, jak chcecie. — Potem zaś, wzruszając ramionami, zawołał:

— Nie poszczęścił mi Bóg w dzieciach: jedno — głupie, drugie — bydlę.

Filip nic nie odpowiedział.

— Dobrze już, dobrze — ciągnął Taverney — nie potrzebuję was; idźcie sobie — chyba że jeszcze nie wyrecytowałeś lekcji do końca?

— Tak, mam jeszcze dwie sprawy.

— Mów.

— Pierwsza taka: król dał tobie, panie baronie, kosztowności...

— Raczej twojej siostrze.

— Tobie, panie... Zresztą, mniejsza o to. Siostra moja nie nosi tego rodzaju klejnotów. Panna de Taverney nie jest nierządnicą; prosi cię więc, żebyś je zwrócił temu, który je podarował, bądź to, ponieważ — jak sądzę — będziesz się lękał urazić majestat Jego Królewskiej Mości, który tyle dobrodziejstw wyświadczył dla naszego rodu — ażebyś zatrzymał je dla siebie.

Filip wręczył ojcu szkatułkę.

Baron otworzył ją, rzucił okiem na perły, po czym położył pudełko na szyfonierce.

— Co jeszcze? — spytał.

— Ponieważ nie jesteśmy bogaci, gdyż zadłużyłeś nas a nawet roztrwoniliśmy majątek naszej matki, za co ci — Boże broń — nie czynię wyrzutów...

— Lepiej byłoby, gdybyś czynił — przerwał baron zgrzytając zębami.

— Ponieważ posiadamy jedynie Taverney, pochodzące z tej ubogiej sukcesji, przeto prosimy cię, abyś raczył wybrać między Taverney a pałacykiem, w którym się w tej chwili znajdujemy. Mieszkaj w jednym, my zaś przeniesiemy się do drugiego.

Baron pogniótł ze złości koronkowy żabot; drżenie palców, krople potu na czole i zaciśnięte usta zdradzały ogromne zdenerwowanie. Lecz Filip nie zwracał na to uwagi i odwrócił głowę.

— Wolę Taverney — rzekł krótko baron.

— W takim razie — my bierzemy pałacyk.

— Jak sobie chcecie.

— Kiedy go opuścisz, panie?

— Dziś wieczorem... Nie, nawet zaraz. Filip skłonił się.

— W Taverney — mówił jakby do siebie baron — wydaje się królem, kto posiada trzy tysiące liwrow dochodu rocznego. A ja będę królem podwójnym...

Zdjął z szyfionierki szkatułkę z klejnotami i wsadził sobie do kieszeni, po czym skierował się ku drzwiom. Nagle odwróciwszy się, rzekł ze zjadliwym uśmiechem:

— Filipie, zezwalam ci podpisać naszym rodowym nazwiskiem pierwszy traktat filozoficzny, jaki ogłosisz. Andrei zaś poradź, by pierwsze swoje dzieło nazwała Ludwikiem, bądź też Ludwiką. Imię to przynosi szczęście...

I wyszedł naigrawając się. Filip z oczyma nabiegłymi krwią, z rozpalonym czołem ścisnął rękojeść szpady, szepcząc do siebie: — Boże! Użyc mi cierpliwości, użyc zapomnienia!

ROZDZIAŁ CLI. WYRZUTY SUMIENIA

Przepisawszy z właściwą mu drobiazgową starannością kilka stronic swych Marzeń samotnika w czasie przechadzki, Rousseau zasiadł do skromnego śniadania.

Chociaż pan de Girardin ofiarował mu rezydencję w rozkosznych ogrodach Ermenonville, Rousseau, nie mogąc zdecydować się na oddanie w niewolę arystokratów, jak mawiał w swej mizantropicznej monomanii, zajmował jeszcze małe mieszkanie przy ulicy Plâtrière, które znamy.

Teresa, skończywszy porządki domowe, wzięła koszyk i wybierała się do miasta po zakupy.

Była godzina dziewiąta rano.

Teresa, jak to miała w zwyczaju, zapytała Rousseau, co chciałby dzisiaj na obiad.

Rousseau ocknął się z zadumy, powoli podniósł głowę i popatrzył na Teresę niezupełnie jeszcze przytomnie, jak człowiek wyrwany ze snu.

— Wszystko jedno — powiedział — byleby tylko były wiśnie i kwiaty.

— Zobaczymy — rzekła ponuro Teresa — jeśli tylko nie będą zbyt drogie.

— Ależ oczywiście — przytaknął Rousseau.

— Bo właściwie — ciągnęła dalej Teresa — ja nie wiem, czy to, co teraz piszesz, jest licha warte, ale widzi mi się, że nie płacą ci już tak jak dawniej.

— Mylisz się, moja Tereso, płacą mi tak samo. Ale mniej się teraz morduję, nie tak znów wiele piszę, poza tym należy mi się od księgarza za pół tomu.

— Będziesz je widział, na pewno znów zbankrutuje.

— Sądzę, że nie. To człowiek nad wyraz uczciwy.

— Uczciwy, uczciwy!... kiedy tak powiedziałeś, to zdaje ci się, żeś już wszystko powiedział.

— Przynajmniej bardzo dużo — rzekł z uśmiechem Rousseau. — Niestety, nie mogę mówić w ten sposób o wszystkich.

— Nie dziwno mi. Jesteś teraz taki gbur.

— Tereso, odbiegamy od tematu.

— A tak, wisien mu się zachciewa, ty łakomczuchu! Kwiatków ci się zachciewa, wałkoniu!

— Co robić, moja dobra gosposiu — odrzekł Rousseau z anielską cierpliwością — serce szwankuje, głowa niedomaga, chodzić nie mogę. Niechże się więc oczy trochę zabawią, spoglądając na to, co dobry Stwórca rozsypuje swą szcudrobliwą dłonią mieszkańcom siół.

Rousseau rzeczywiście był błydy, przygarbiony, a leniwe ręce przerzucały kartki książki, której oczy nie chciały jakoś dzisiaj czytać.

Teresa pokręciła głową.

— Dobra już, dobra. Wychodzę na godzinę. Pamiętaj, że kładę klucz pod słomianką i kiedy będziesz potrzebował...

— Och, przecież nie wyjdę z domu.

— Ma się rozumieć, że nie wyjdiesz, bo przecież już ledwie kuśtykasz, ale mówię dlatego, żebyś trochę uważał na ludzi, co tu mogą przyjść. Gdy usłyszysz dzwonek, bądź pewny, że to nie ja.

— Dziękuję, pocziwa Tereso, dziękuję ci, bądź zdrowa. Teresa wyszła, jak zwykle burcząc coś pod nosem, a odgłos jej ciężkich, ślamazarnych kroków długo jeszcze dochodził z sieni.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Rousseau skorzystał z chwili samotności, by rozkosznie wyciągnąć się na szerokim krześle i popatrzeć na ptaki, co właśnie dziobały na parapecie garstką okruszyn. Poddawał się łagodnej pieszczocie promieni słonecznych, które zdołały się wcisnąć w szczelinę między kominami sąsiednich domostw.

Myśl młoda i żwawa ledwie uczuła swobodę, natychmiast rozwinęła skrzydła, jak wróble po wesołym posiłku...

Nagle zaskrzypiały zawiasy drzwi wejściowych i wyrwały filozofa z błęgiego zamyślenia.

— I cóż — pomyślał — tak szybko wróciła. Czy ja zasnąłem? Przysiągłbym, wydawałoby się, że się tylko tak zamyśliłem.

Drzwi gabinetu uchyliły się z wolna. Rousseau, przeświadczony, że to Teresa, nawet nie podniósł oczu.

Nastąpiła chwila ciszy.

Raptem zabrzmiał tuż nad nim czyjś obcy głos. Filozof drgnął.

— Ja bardzo pana przepraszam...

Rousseau szybko odwrócił się w stronę przybysza.

— To ja, Gilbert. Jeszcze raz uniżenie przepraszam, panie Rousseau.

Gilbert był blady, włosy miał rozczochrane, odzież uwalaną i pomiętą, ręce drżące i wychudłe.

Widząc go w takim stanie Rousseau wydał okrzyk, w którym brzmiała litość i jednocześnie zaniepokojenie.

Oczy Gilberta patrzyły nieruchomo, ostro i przenikliwie i podobne były w tym do źrenic zgłodniałego drapieżnego ptaka; uśmiech sztucznej pokory jaskrawo kontrastował z takim spojrzeniem. Zupełnie tak, jakby górna część głowy orła uzupełniała dolną część szyderczego pyska lisa czy wilka.

— Po coś przyszedł? — zawołał nerwowo Rousseau, który nie cierpiał niechłujstwa i takie właśnie zaniedbanie w stroju innych uważał za widomy znak podejrzanych zamiarów.

— Panie — odparł Gilbert — jestem głodny. Rousseau wzdrygnął się usłyszawszy owo najokropniejsze

słowo w języku ludzkości.

— Jak się tu dostałeś, skoro drzwi zamknięte?

— Wiem, że pani Teresa ma zwyczaj chować klucz pod słomiankę, Czekałem, aż pani Teresa wyjdzie, bo nie cierpi mnie i z pewnością by mnie nie puściła. Wiedząc, że pan na pewno przebywasz w domu, wyjąłem klucz i oto jestem.

Rousseau uniósł się, wsparłszy łokciami na poręczach krzesła.

— Wysłuchaj mnie pan, panie Rousseau — rzekł Gilbert — chwila, małeńka chwilka... a przysięgam panu, że to, co powiem, zasługuje, abyś wysłuchał,

— Słucham — powiedział Rousseau, patrząc ze zdumieniem i zgrozą na nieoczekiwanego gościa, którego oblicze nie odzwierciedlało w tej chwili ani jednego ludzkiego uczucia.

— Zanim powiem coś więcej, muszę panu wyjawić, że jestem doprowadzony do takiej ostateczności, że sam nie wiem, czy mam kraść, czy własną ręką się zarznąć, czy zrobić jeszcze coś gorszego?

Rousseau zerwał się i zasłonił biurkiem.

— Och, nie bój się, mój mistrzu i opiekunie — rzekł Gilbert łagodnym tonem — bo, rozważywszy wszystko dokładnie, doszedłem do przekonania, że nie powinienem odbierać sobie życia. J tak lada dzień zdechnę, ponieważ od tygodnia, kiedy to uciekłem z Trianon, tułam się po lasach i po polach, nic zgoła nie jedząc, oprócz roślin surowych i dzikich owoców leśnych. Zesłałem... Umieram z głodu i zmęczenia. Jeśli zechcę kraść, to nie u ciebie. Zanadto kocham ten dom, panie Rousseau. A co zaś do trzeciego zamiaru, który wymieniłem, to do spełnienia go...

— No? — przerwał Rousseau.

— Trzeba mi mocnego postanowienia i chcę właśnie, żebyś pan mnie w nim utwierdził.

— Zwariowałeś?

— Nie, panie, ale jestem bardzo nieszczęśliwy, W czarnej rozpacz... i dziś rano wskoczyłbym do Sekwany, gdyby mi nie przyszło na myśl zdanie...

— Jakie zdanie?

— To, które pan napisałeś; że samobójstwo jest kradzieżą, wyrządzoną rodzajowi ludzkiemu.

Rousseau spojrział na młodego człowieka w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: czyż jesteś aż takim zarozumiałcem, że sądzisz, iż pisząc te słowa miałem ciebie na myśli?

— Ach, rozumiem — szepnął Gilbert.

— Nie sądzę — odparł Jan Jakub.

— Chcesz pan powiedzieć: czyż twoja śmierć, nędzny robaku, co jesteś niczym, co nic nie posiadasz i z niczym nie jesteś związany, jest jednym właśnie z takich wypadków?

— Nie o to chodzi — odparł Rousseau zawstydzony, że przejrano jego myśli — ale sądzę, że jesteś głodny.

— Tak, wspominałem o tym.

— No, ponieważ świetnie wiesz, gdzie kładziemy klucz, wiesz także, gdzie jest chleb. Podejź do szafy, weź bochen i idź sobie.

Gilbert nie ruszył się z miejsca.

— Jeśli więc nie potrzebujesz chleba, tylko pieniędzy, a nie sądzę, żebyś był tak złośliwy, by skrzywdzić starca, co ci był opiekunem, w domu, w którym ci dał przytułek — poprzestań na tej drobnej kwocie... Masz, bierz!

I sięgnąwszy do kieszeni podał mu kilka monet. Gilbert powstrzymał ruch jego ręki.

— Och — rzekł z przejmującym bólem — nie chodzi mi ani o pieniądze, ani o chleb. Nie zrozumiałeś, co chciałem powiedzieć, wspomniawszy o samobójstwie.

Jeśli nie odebrałem sobie życia, to właśnie dlatego, że odtąd moje życie może być dla kogoś użyteczne, że moja śmierć byłaby teraz okradzeniem kogoś drugiego. Pan, który znasz wszystkie prawa społeczności i wszystkie obowiązki naturalne, powiedz pan, czy jest na świecie węzeł mogący związać z życiem człowieka, co chce umrzeć?

— O, jest ich sporo — odrzekł Rousseau.

— Czy ojcostwo — rzekł cicho, z naciskiem Gilbert — jest takim właśnie węzłem? Patrz pan na mnie odpowiadając. Chcą nie tylko słyszeć, ale i widzieć odpowiedź w twoich oczach.

— Tak — wyjąkał Rousseau — ach, tak... bez wątpienia. Cóż za pytanie.

— Panie, słowa twoje są dla mnie wyrokiem — rzekł Gilbert — zastanów się jeszcze trochę, błagam cię. Jestem tak strasznie nieszczęśliwy, że chciałem sobie życie odebrać, ale... ale... Panie, ja mam dzieciątko.

Rousseau aż poderwał się na krześle ze zdumienia.

— Ach, nie drwij pan ze mnie — rzekł z pokorą Gilbert — sądzisz, że tym tylko zadraśniesz moje serce, a ty je przebijasz sztyletem. Mówię ci jeszcze raz, mam dziecko.

Rousseau patrzył na niego, nie mówiąc ni słowa.

— Gdyby nie to, już bym nie żył — powtórzył znowu Gilbert — ale powiedziałem sobie, że ty mi na pewno dasz dobrą radę i... przyszedłem.

— Lecz — spytał Rousseau — po cóż ja ci mam właściwie udzielać rady? A czy radziłeś się mnie, kiedyś zamierzał popełnić ten... błąd?

— Panie, ten błąd...

— Cóż? — spytał filozof.

— Ten błąd niekiedy ludzie nazywają zbrodnią.

— Zbrodnią! Tym bardziej nie trzeba, byś mi o tym mówił. Jestem takim samym człowiekiem, jak i ty, a nie spowiednikiem. I zresztą, to co mówisz, wcale mnie nie zadziwia. Dawno przewidywałem, że źle skończysz. Masz z gruntu złą naturę.

— Nie, panie — odparł melancholijnie, potrząsając głową — mylisz się, panie. Mam tylko fałszywy rozum, a raczej sfalszowany. Naczytałem się wiele książek, głoszących równość stanów, pychę

umysłu, szlachetność przyrodzonych instynktów. Książki te podpisane były tak świetnymi nazwiskami, że ja, zwykły chłopek, dałem się łatwo omamić... i to była moja zguba.

— Ach, widzę, ku czemu zmierzasz, mości Gilberte.

— Ja?

— Tak. Zrzucasz winę na moją teorię, a gdzież to twoja wolna wola?

— Nie zrzucam, panie. Mówię tylko, że te książki czytałem. Obwiniam jedynie moją łatwowierność. Uwierzyłem i stało się nieszczęście. Na zbrodnię moją złożyły się dwie przyczyny: pan jesteś pierwszą, więc zacząłem od ciebie; przejdę i do drugiej, ale na to jeszcze czas.

— Czegóż wreszcie chcesz ode mnie?

— Ani dobroczynności, ani przytułku, ani nawet chleba, choć jestem opuszczony, prawie nagi i zgłodniały. Proszę cię tylko o pomoc duchową, o potwierdzenie twoich zasad, żebyś, krótko mówiąc, przywrócił mi wszystkie siły — nie te, które odpłynęły z moich rąk i nóg, ale te właśnie, które odeszły na skutek zwątpienia z głowy i z serca. Panie Rousseau, zaklinam cię, powiedz, czy to, co doświadczam od tygodnia, to jest ból wynikły z zaciskania się mięśni żołądka, czy to sumienie? Spłodziłem dziecko, dopuszczając się gwałtu. Więc powiedz teraz, czy mam wyrwać sobie włosy i tarzać się w piachu, krzycząc w gorzkiej rozpacz: przebaczenie! czy też śmiać się z tego, jak ta kobieta z Pisma świętego, mówiąc: robiłam to, co wszyscy; kto z was lepszy, niech rzuci we mnie kamieniem.

A więc, panie Rousseau — ty, który doświadczałeś przecież właśnie tego samego, co ja dzisiaj — odpowiedz na pytanie: czy jest zgodne z prawem naturalnym, żeby ojciec porzucił swoje dziecko?

Rousseau pobladał jeszcze bardziej niż Gilbert — i nagle zapodział się gdzieś zupełnie istniejący między nimi dystans.

— Jakim prawem mówisz mi to wszystko? — wyjąkał.

— Bo będąc wtedy u ciebie, panie Rousseau, tam na górze, gdzie mi dałeś przytułek, przeczytałem to wszystko, coś o tych sprawach napisał; pisałeś tam, że państwo powinno zaopiekować się dziećmi zrodzonymi z nędzy ...bo wreszcie, uważano cię za człowieka uczciwego, choć nie wahałeś się porzucić własne dzieci.

— Bezczelny! — wykrzyknął Rousseau. — Czytałeś moją książkę i w ten sposób do mnie mówisz?

— Więc co z tego? — spytał Gilbert.

— To, że złą masz głowę, a także i złe serce.

— Panie Rousseau!

— Żle czytałeś moje książki, tak samo, jak źle odczytujesz życie ludzkie. Widziałeś tylko powierzchnię zadrukowanych kartek, podobnie jak widzisz tylko naskórek twarzy. Chcesz mnie uczynić odpowiedzialnym za swój gwałt, powołując się na świadectwo moich własnych książek i mówisz: tyś tak uczynił, przyznajesz się do tego, hola, to i mnie wolno to samo! Ale to, czego ty, biedaku, nie wiesz, czegoś w książkach nie wyczytał, czego nie odgadłeś, to właśnie to, że życie człowieka, które obrałeś sobie za wzór, jest życiem pełnym biedy i wyrzeczeń. A mogłem je przecież sobie zmienić na życie pozłacane, rozkoszne, pełne przepychu i wypełnione od rana do nocy przyjemnościami. Czyż mam mniejszy talent od pana Voltaire? Czyż nie mógłbym być literatem równie płodnym, co on? A pracując mniej niż w tej chwili, czy bym nie mógł sprzedawać swoich książek za cenę równie wygórowaną, jak on to czyni i zmusić pieniądze, by wpadały stale do moich kufrów, które trzymałbym zawsze pod ręką napełnione do połowy do dyspozycji moich księgarzy? Złoto przyciąga złoto, czy nie wiesz o tym? Mógłbym mieć własny pałac, rączę rumaki i karocę do obwożenia po mieście młodej, ponętnej kochanicy, a wierz mi, te zbytki nie osuszyłyby we mnie niewyczerpanej krynicy poezji. I czyż jestem wyzuty z wszelkich namietności? Spójrz mi w oczy, które w sześćdziesiątym roku życia iskrzą się jeszcze ogniem młodości i temperamentu. Ty, coś czytał i przepisywał moje książki, czy Uświadamiasz sobie, że mimo podeszłego wieku, pomimo cierpień bardzo rzeczywistych i naprawdę niezwykle ciężkich, serce moje, zawsze młode, przejęło, żeby tym więcej cierpieć, wszystkie istniejące siły całej reszty mojej osobowości? Przybity dolegliwościami, które unieruchomiły nogi, czuję w sobie więcej sił życiowych i energii na znoszenie cierpień, niżli ich miałem w wiośnie życia na przyjęcie nielicznych uciech, jakie były moim udziałem.

— Wiem o tym, panie — rzekł Gilbert — obcowałem przecież z tobą i zrozumiałem cię.

— Jeśli więc obcowałeś ze mną i zrozumiałeś mnie, czyż ta dziwaczna moja abnegacja, nie leżąca zupełnie w mej naturze, nie mówiła ci, że chciałem odpokutować?

— Odpokutować? — rzekł przyciszonym głosem Gilbert. — Czyż nie rozumiesz, że ponieważ nędza skłoniła mnie w tamtych latach do podjęcia tak nieludzkiego postanowienia nie znalazłem

potem już innego sposobu zadośćuczynienia, jak nieprzykładanie wagi do pieniądza i uporczywe życie w nędzy? Czy ty nie rozumiesz, że karałem umysł upokorzeniami? Bo przecież on tu głównie zawinił, to on szukał ucieczki w paradoksach, byle tylko za wszelką cenę usprawiedliwić mnie we własnych oczach, gdy z drugiej strony karałem serce nie kończącymi się zgrzyotami.

— Ach! — zawołał Gilbert. — To mi tak odpowiadasz! Ach, to tak, wy mądralo, co układacie ludzkości prawa pisane, pogrążacie nas w rozpacz, a potem potępiać, kiedy postępujemy wedle waszych przykazań! Ech, co mnie tam do licha obchodzą twoje nieznane nikomu upokorzenia i te tajemnicze zgrzyoty! Och, przeklinam cię! Przeklinam! Przeklinam! I niech zbrodnie, popełnione przez twoje nauki, spadną na twoją starą głowę!

— Na moją głowę, powiadasz, przekleństwo i jednocześnie kara — bo jakoś zapomniałeś o karze — o, to bardzo wiele... A czy ty, coś zgrzeszył, jak mówisz, podobnie do mnie, czy tak samo srogo potępiasz siebie, jak mnie?

— Jeszcze bardziej, bo kara, która mnie spotka, będzie okropna, bo teraz, kiedy już w nic nie wierzę, pozwoliłbym się zabić memu nieprzyjacielowi; nędza doradza mi samobójstwo, sumienie przebacza z góry. O, teraz moja śmierć nie byłaby okradzeniem ludzkości. Napisałeś więc frazes, którego nie przemyślałeś.

— Zatrzymaj się, nieszczęsny! — rzekł Rousseau. — Zatrzymaj się. Czy nie dosyć już nabroiłeś złego przez twą nierozumną łatwowierność? Czy trzeba, żebyś jeszcze więcej krzywd wyrządził z głupiego sceptycyzmu? Wspomniałeś o dziecku; powiedziałeś, że jesteś, czy też będziesz ojcem.

— Powiedziałem — zgodził się Gilbert.

— A czy wiesz, co to znaczy? — wyszeptał Rousseau. — Skazywać w ten sposób, może nie na śmierć, ale na wstyd, istoty urodzone po to, by oddychać swobodnie i radośnie aurą cnoty, w jaką Bóg wyposaża każdego człowieka, kiedy wyszedł z łona matki? Wczuj się w moje położenie. Gdy porzucałem dzieci, zdawałem sobie dokładnie sprawę, że społeczeństwo, dla którego pojawienie się każdej wybitniejszej jednostki jest kamieniem obrazu, ciśnie na mnie tę obelgę, jako wyrzut hańbiący. Wtedy właśnie zacząłem swój czyn usprawiedliwiać paradoksami, wtedy to dziesięć lat życia prześlęczałem na udzielanie rad: matkom — jak mają wychowywać dzieci — ja, co nie umiałem być ojcem; ojczyźnie — jak kształcić obywateli na ludzi silnych i zacnych... ja, co byłem słaby i zepsuty. Aż wreszcie, pewnego ranka pacholek katowski pomścił się na mnie za społeczeństwo, państwo i sieroty — nie mogąc dobrać się do mojej skóry, dobrał się do książki i spalił ją, jako symbol hańby kraju, którego powietrze książka ta zatrąła. Teraz wybieraj, odgadnij i osądź, czy czyn mój był dobry, czy nauki złe?

Nie odpowiadasz? Najwyższy sędzia też byłby w nie lada kłopot, ten sędzia, który trzyma w dłoni szalę sprawiedliwości i występku. No, tak, ale ja mam serce, które jest w stanie rozstrzygać w tej materii. I to serce, tam głęboko w piersiach, szepcze mi stale: biada tobie, ojciec niepoczciwy, który porzuciłeś swoje dzieci; biada ci, jeśli spotkasz młodą ładacnicę, co wieczorem zagląda ci ze śmiechem w oczy na rogu ulicy, bo to może twoja porzucona córka, której głód kazał się łajdaczyć; biada ci, jeżeli zdarzy ci się na ulicy zobaczyć przyłapanego złodzieja, czerwonego jeszcze od wysiłku przy dokonywanym łotrystwie, bo może to twój syn, którego głód popchnął do występku.

Przy tych słowach Rousseau, który przed chwilą podniósł się na całą wysokość i stanął na nogach, opadł znów bezwładnie na krzesło.

— A jednak — ciągnął dalej z pokorą w głosie, z jakimś jakby modlitewnym uniesieniem — ja nie byłem aż tak zepsuty, jak można by sądzić. Widziałem matkę w bólach rodzącą, współniczkę mego grzechu, co zapomniała o wszystkim jak samica i powiedziałem sobie: Bóg pozwolił, żeby matka zapomniała, a więc widocznie tak być powinno. Srodcie omyliłem się wtedy, ale ty dzisiaj, kiedy usłyszałeś ode mnie to, czego nigdy dotąd nikomu w życiu nie mówiłem, ty już nie masz prawa sam się oszukiwać.

— A więc — spytał młodzieniec marszcząc brwi — nigdy byś nie porzucił dzieci, gdybyś miał pieniądze na ich wyżywienie?

— Nigdy! Bylebym miał tylko na najprymitywniejsze potrzeby, to przysięgam ci, że nigdy!

I Rousseau wyciągnął uroczyście trzęsącą się rękę ku niebu.

— Dwadzieścia tysięcy liwów — spytał Gilbert — czy to wystarczy na utrzymanie dziecka?

— Tak, to zupełnie wystarczy.

— Dobrze — rzekł Gilbert — dziękuję panu, panie Rousseau; teraz już wiem, co robić.

— I w każdym innym wypadku możesz utrzymać dziecko: jesteś młody, możesz zapracować. Ale wspominałeś o zbrodni. Czy cię może szukają, ścigają?...

— Tak jest, panie.

— Ukryj się więc u mnie, chłopcze, poddasze wolne.

— Kocham takich ludzi, jak pan, mistrzu — zawołał Gilbert — i z radością przyjmę twoją pomoc. W samej rzeczy proszę o schronienie. Na chleb zarobię sam; wiesz przecież, że nie jestem obibokiem.

— No, kiedy tak — rzekł Rousseau niespokojnie — to idź na górkę, żeby cię tylko pani Rousseau nie zobaczyła. Ona nigdy nie zagląda na poddasze. Bo i po co? Niczego tam od twego wyjazdu nie trzymamy. Znajdziesz tam jeszcze twój stary siennik. Rozgość się tak, żeby ci było wygodnie. — Dziękuję panu, nie zasłużyłem na tyle szczęścia.

— Czy nic ci więcej nie potrzeba? — rzekł Rousseau, patrząc jednocześnie na drzwi i dając tym niejako do zrozumienia, by już sobie poszedł.

— Jeszcze tylko jedno pytanie, jeśli łaska.

— Mów.

— Kiedyś w Luciennes zarzuciłeś mi zdradę; wierzaj mi, panie, ja nikogo nie zdradziłem, to tylko duma mi kazała...

— Nie mówmy już o tym... Czy to wszystko?

— Tak, teraz zechciej mnie pan jeszcze oświecić w takiej sprawie. Czy jeżeli nie znamy adresu jakiejś osoby w Paryżu, można się dowiedzieć, gdzie ona mieszka?

— Niewątpliwie, zwłaszcza, jeśli to jest osoba ogólnie znana.

— Ta, o której myślę, jest bardzo znana.

— Któż to taki?

— Hrabia Józef Balsamo.

Filozofowi ciarki przeszły po ciele; nie zapomniał jeszcze posiedzenia przy ulicy Platriere.

— Co chcesz od tego człowieka?

— Bardzo prostej rzeczy. Obwinałem cię, mój mistrzu, że byłeś duchowym patronem mej zbrodni, ponieważ sądziłem, że spełniłem tylko nakaz prawa przyrodzonego.

— Ale cię wyprowadziłem z błędu?

— Tak, panie.

— No i co jeszcze chciałeś powiedzieć?

— Że moja zbrodnia miała przyczynę nie tylko duchową, ale i fizyczną.

— Ach tak? I fizyczną przyczyną był zapewne pan hrabia Balsamo?

— Tak. Naśladowałem przykład i skorzystałem z okazji, przez co postąpiłem, przyznaję teraz, jak bestia drapieżna a nie człowiek. Przykładem byłeś ty, okazją — hrabia Balsamo. Czy wiesz, gdzie on mieszka?

— Wiem, przy ulicy Saint-Claude w Marais.

— Dziękuję. Biegnę w te pędy.

— Uważaj na siebie, dziecko — zawołał Rousseau — to człowiek potężny i bardzo zagadkowy.

— Nie obawiaj się pan, jestem rezolutny i sam mnie nauczyłeś, jak się należy pohamowywać.

— Prędko, prędko, idź na górę! — zawołał Rousseau. — Słyszę, że odmykają się drzwi od korytarza. Na pewno pani Rousseau wraca. Schowaj się na poddaszu, potem wyjdiesz.

— Proszę o klucz.

— W kuchni, na gwoździu, jak zwykle.

— Żegnam cię, panie, bądź zdrów.

— Weź chleb, naszykuję ci zajęcie na noc.

I Gilbert uwinął się, tak żwawo, że zanim Teresa weszła na pierwsze piętro, był już na poddaszu.

Otrzymawszy od Rousseau potrzebną wiadomość, Gilbert nie zwlekał z wykonaniem swego zamiaru.

Ledwie Teresa zamknęła za sobą drzwi, chłopiec, który tylko na to czekał, zbiegł ze schodów z taką szybkością, jakby go długi post wcale nie osłabił. Głowę miał pełną pomysłów, nadziei, pretensji i oskarżeń.

Na dziedziniec pałacu wszedł w chwili, gdy Balsamo odprowadzał do progu księcia de Rohan, który złożył wizytę wielkiemu alchemikowi, by osobiście podziękować za jakąś przysługę.

Książę zatrzymawszy się u bramy i zwrócony do pana domu jeszcze raz, kłaniając się dwornie, dziękował.

W tej samej chwili wynędniały obdartus prześliznął się jak psiak między panami i starając się jak najmniej spoglądać na bok, by nie stracić reszty odwagi, wbiegł do wnętrza.

Kareta Jego Wysokości czekała nie opodal na bulwarze. Książę podbiegł do niej żwawym krokiem. Gdy tylko drzwiczki zamknęły się, pojazd pomknął przed siebie.

Balsamo melancholijnie popatrzał w ślad za odjeżdżającym i kiedy powóz znikł, wszedł na ganek.

Na ganku stał w kornej postawie ktoś, kto wyraźnie przypominał żebraka.

Balsamo podszedł do niego nic nie mówiąc.

— Proszę o kwadrans posłuchania, panie hrabio — rzekł młodzieniec.

— Kto jesteś, przyjacielu? — rzekł Balsamo z największą łagodnością.

— Czy mnie pan nie poznajesz?

— Nie, nie poznaję, ale to nieważne. Chodź — odpowiedział Balsamo, nie zwracając uwagi ani na dziwną minę, ani na odzież, ani na nieszczęśliwe maniere swego suplikanta.

Zaprowadził go do najbliższego pokoju i nie zmieniając tonu ani wyrazu twarzy, rzekł:

— Zapytałeś, czy cię poznaję?

— Tak, panie hrabio.

— Istotnie, zdaje mi się, że cię gdzieś widziałem.

— W Taverney, panie, kiedy przybyłeś tam w wigilię przyjazdu następczyni tronu.

— Co porabiałeś w Taverney?

— Mieszkałem tam.

— Jako służący?

— Nie, jako rezydent.

— I opuściłeś Taverney?

— Tak, panie, blisko trzy lata temu.

— I przyjechałeś?

— Do Paryża, i tu najpierw pracowałem u pana Rousseau, potem uzyskałem w Trianon miejsce pomocnika ogrodniczego, za wstawiennictwem pana de Jussieu.

— Wielkie nazwiska wymieniasz, mój chłopcze. Czego chcesz ode mnie?

— Za chwilę powiem.

Gilbert spojrział czupurnie hrabiemu w oczy.

— Czy przypominasz pan sobie, iż przyjechałeś do Trianon w nocy, podczas wielkiej burzy. Był to piątek, jakieś sześć tygodni temu.

Z twarzy hrabiego znikł wyraz dotychczasowej łagodności; zachmurzył się.

— Tak, pamiętam. Czy mnie wtedy widziałeś?

— Widziałem.

— A więc przychodzisz, bym ci zapłacił za dyskrecję? — rzekł Balsamo ostrym głosem.

— Nie, panie. Mnie więcej jeszcze chodzi o utrzymanie tajemnicy niż panu.

— Więc to ty jesteś tym, kogo nazywają Gilbertem?

— Tak, panie hrabio. To ja.

Balsamo zmierzył przenikliwym spojrzeniem przybysza, którego nazwisko łączyło się z tak ciężkim przewinieniem. Balsamo znał się na ludziach, toteż zainteresowała go śmiałość i zręczność wystąpienia się chłopca.

Gilbert stał wyprostowany naprzeciw stołu. Ręce miał zgrabne i nad podziw białe, mimo długoletniej pracy na słońcu i wietrze. Sposób ich trzymania świadczył również o pewnej oglądzie.

— Domyślałem się z twego zachowania, po co przyszedłeś. Wiesz, że ciąży na tobie straszliwe oskarżenie i że to ja przy pomocy mej wiedzy sprawiłem, że panna de Taverney ujawniła twoje nazwisko. Przychodzisz czynić mi z tego powodu zarzuty, czy tak? Gdyby nie ja bowiem, to by twoja tajemnica nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Gilbert uczynił przeczący ruch głowy.

— Cóż, zawiniłeś, mój chłopcze — ciągnął dalej Balsamo — i przypuśćmy, że istotnie chciałem ciebie oskarżyć, nie będąc nawet do tego zmuszony, gdyż mnie właśnie zarzucano to przestępstwo; przypuśćmy, że obszedłem się z tobą jak z wrogiem, że cię napastowałem — gdy tymczasem ja się broniłem; przypuśćmy, że powodowała mną wobec ciebie zła wola — nie masz mi prawa czynić jakichkolwiek wyrzutów, gdyż żadne okoliczności nie zmieniają faktu, że istotnie dopuściłeś się czynu nikczemnego.

Gilbert szarpnął się gwałtownie za pierś, lecz nic nie odpowiedział.

— Brat cię będzie ścigać, a siostra każe zabić — mówił dalej Balsamo — jeśli się będziesz lekkomyślnie wałęsać po ulicach Paryża.

— Och, to mnie właśnie najmniej interesuje.

— Jak to cię nie interesuje?

— Ja kochałem pannę Andreę, kochałem tak, jak jej już nikt w życiu nie będzie kochał. Ona mną pogardzała, a przecież ja ją szanowałem jak świętość; pogardzała, a przecież choć dwa razy trzymałem ją w objęciach, nie dotknąłem nawet ustami jej szaty.

— Tak. I kazałeś jej potem zapłacić za ten szacunek. Zemściłeś się za tę pogardę podstępny gwałtem.

— Och, nie. Ja nie użyłem podstępu; skorzystałem jedynie z okazji do popełnienia zbrodni, którą mi nastręczono.

— Któż ci ją nastręczył?

— Ty, panie.

Balsamo zerwał się jak ukąszony przez żmiję.

— Ja!

— Tak, ty, panie, ty! — powtórzył Gilbert. — Tyś uśpił pannę Andreę, potem uciekłeś. Wtedy ona upadła na ziemię. Wziąłem ją na ręce, by zanieść do mieszkania. Uczułem ciepło jej ciała tuż przy sobie. Panie, marmur by ożył. A przecież ja ją kochałem do szaleństwa. Czyż jestem aż tak wielkim przestępcą, jak to wszyscy mówią? Powiedz mi, panie, ty, który również przyczyniłeś się do mego nieszczęścia.

Balsamo popatrzył na chłopca ze współczuciem.

— Masz słuszość, moje dziecko, to ja się przyczyniłem do twej zbrodni i nieszczęścia młodej dziewczyny.

— I zamiast, żeby jakoś tam zaradzić, ty, panie, człowiek tak potężny — a powinieneś być przecież również człowiekiem, dobrym — myślałeś tylko o jej nieszczęściu i zawiesiłeś śmierć nad głową, winowajcy.

— Prawda — odpowiedział Balsamo — mówisz dość rozsądnie. Ja jestem, widzisz, od pewnego czasu jakąś istotą przeklętą. Wszystkie moje zamierzenia w chwili, gdy się urzeczywistniają, przybierają kształty groźne i złowrogie. To wynika z nieszczęść, których — bo i ja też — doświadczyłem i których ty byś nie rozumiał. Ale to jeszcze nie powód, żebym kazał i innym cierpieć, więc mów, czego żądasz?

— Proszę pana o sposób naprawienia złego.

— Czy kochasz dziewczynę?

— Och, tak.

— Są różne miłości! Jakaż jest twoja miłość?

— Dawniej kochałem ją do szaleństwa, ubóstwiałem ją; dziś kocham ją z rozpaczą, z wyrzutami sumienia. Serce by mi pękło z radości, gdyby pozwoliła mi ucałować swe stopy.

— Dziedziczka wielkiego nazwiska, ale uboga — rozmyślał na głos Balsamo.

— Tak.

— Ale brat jej, człowiek dzielny, nie jest, jak mi się wydaje, bezkrytycznym wielbicielem starych przywilejów. Jak sądzisz, jakby postąpił, gdybyś go poprosił o rękę siostry?

— Zabiłby mnie bez chwili wahania. Ja się jednak nie boję śmierci i jeśli tak mi radzisz, uczynię to.

Balsamo zamyślił się.

— Jesteś człowiekiem rozsądnym i doprawdy, gdyby nie ten haniebny postępek, można by cię nazwać człowiekiem serca. No, w takim razie nie idź do Filipa de Taverney - syna, a pójdz wprost do

barona de Taverney ojca i powiedz mu, rozumiesz, że w dniu kiedy pozwoli tobie zaślubić jego córkę, ty wniesiesz wiano dla panny Andrei.

— Nie mogę. tego powiedzieć bo nie posiadam niczego, panie hrabio.

— A ja ci mówię, że wniesiesz jej w wianie 100 tysięcy talarów, które ci dam dla naprawienia nieszczęścia i zbrodni.

— Nie uwierzy mi, wie, że jestem biedny.

— Jeśli nie uwierzy, pokażesz mu te papiery, a wtedy przestanie wątpić.

To mówiąc, otworzył szufladkę i wyliczył trzydzieści biletów bankowych, każdy po dziesięć tysięcy liwrów, po czym wręczył je Gilbertowi.

— Czy to są pieniądze?

— Przeczytaj,

Gilbert wbił chciwie wzrok w papiery, które trzymał w ręku i przekonał się., że Balsamo mówił prawdę. Oczy mu zaświeciły z radości.

— Czy podobna? Ależ ja niegodny jestem tego, to za wielka szlachetność.

— Niedowierzanie jest zazwyczaj cenną zaletą, chłopcze, ale trzeba dobrze wiedzieć, kiedy i czemu masz nie dowierzać. Bierz te sto tysięcy i biegnij do pana de Taverney.

— Panie — rzekł Gilbert — przecież on mi nigdy nie uwierzy, że ja rzeczywiście dostałem tyle pieniędzy, będzie mnie znów podejrzewał...

Balsamo wziął pióro i napisał na kartce:

*„Dam Gilbertowi, w dniu, w którym zaślubi pannę Andreę de Taverney, wiano w sumie stu tysięcy talarów, które mu powierzam z góry w nadziei pomyślnego zakończenia sprawy
Józef Balsamo”*

— Weź ten papier, idź i nie powątpiewaj już więcej. Gilbert chwycił pieniądze drżącą ręką.

— Panie — rzekł — jeżeli tak się stanie jak mówisz, będziesz dla mnie Bogiem i tak jak Boga będę cię czcił.

— Jeden jest tylko Bóg, którego czcić należy — odpowiedział poważnie Balsamo — a ja jestem człowiekiem. Idź już, przyjacielu.

— Mam jeszcze tylko jedną prośbę.

— Jaką?

— Daj mi pięćdziesiąt liwrów.

— Prosisz o pięćdziesiąt liwrów, kiedy masz w ręku trzykroć sto tysięcy,

— Te pieniądze będą do mnie należeć dopiero od tego dnia, kiedy panna Andrea zechce za mnie wyjść za mąż.

— I na cóż ci te pięćdziesiąt liwrów?

— Kupię sobie jakąś przyzwoitą odzież, bo tak się nie mogę pokazać baronowi.

— Masz, chłopcze.

I wyliczył pięćdziesiąt liwrów. Pożegnał go skinieniem głowy i odszedł powoli, ciężkim krokiem w głąb pałacu.

ROZDZIAŁ CLII. PROJEKTY GILBERTA

Po wyjściu z pałacu Gilbert ochłonał nieco z radosnego oszołomienia, które uniosło go przed chwilą nie tylko poza granicę prawdopodobieństwa, lecz i zdrowego rozsądku. Na ulicy Plâtrière usiadł na słupku, rozejrzał się i stwierdziwszy, że nikt go nie podgląda, wyjął z kieszeni bilety bankowe. Straszna myśl przebiegła mu przez głowę:

— Zobaczmy — szepnął do siebie — czy ten człowiek mnie nie oszukał, kto wie, może postępuje ze mną jak z baranem, którego wabia do szlachtuza, pokazując mu z daleka garść smakowitej trawy. Słyszałem, że na mieście krąży wielka ilość fałszywych asygnat, którymi różne niebieskie ptaszki kręcące się przy dworze posługują się dla oszukiwania aktorek. Wyjął z paczki jeden bilet na dziesięć tysięcy liwrów i wszedł do pobliskiego sklepu. Tam pokazał go i poprosił o adres bankiera, gdyż jak oświadczył, jego pan kazał mu papiery wymienić. Kupiec obejrzał bilet ze wszystkich stron, obracał go

w rękach z wielkim respektem i żalem, gdyż sumka była wcale godna, a sklepik ubogi. Wreszcie skierował go do bankiera przy ulicy Sainte-Avoie.

A więc pieniądze nie były fałszywe. Gilbert wpadł w doskonały humor. Owinął bilety jeszcze staranniej niż poprzednio w chustkę i spostrzegłszy przy ulicy Saint-Avoie sklep z tandetą, kupił za dwadzieścia pięć liwrów — to jest za połowę tej sumy, jaką mu Balsamo ofiarował na ten cel — całkowity ubiór koloru kasztanowego, zupełnie jeszcze porządny i schludny, prócz tego parę czarnych jedwabnych pończoch, trochę już znoszonych i trzewiki z błyszczącymi sprzączkami. Całość uzupełniała koszula z dość cienkiego płótna. Ubiór nie zbyt nowy, jednak zupełnie przyzwoity.

Chłopiec z niemym podziwem przyjrzał się sobie w lustrze. Zostawił stare łachy jako dodatek do owych dwudziestu pięciu liwrów i wsunawszy do kieszeni cenną chustkę, udał się do fryzjera. Ten w przeciągu kwadransa uczesał go, jak mógł najdystyngowaniej. Ale protegowany hrabiego Balsamo umierał z głodu.

Po namyśle wszedł więc do piekarza, który prowadził swój sklepik przy Placu Ludwika XV, kupił za dwa sous chleba i udał się śpiesznie do Wersalu.

Przy Źródle Konferencji przystanął i napił się wody.

Szedł dalej, głuchy na zachęty fiaków, którzy pojąć nie mogli, dlaczego tak przyzwoicie ubrany młodzieniec żałuje sobie głupich piętnastu sous, tracąc nadaremnie czas i zdzierając zelówki.

Ale Gilbert miał swoje powody, dla których nie skorzystał z ich uprzejmości. Pierwszym — było mocne postanowienie, by nie wydawać ani sous ponad konieczną potrzebę, drugim — potrzeba samotności: chciał przemyśleć sobie na trzeźwo, w spokoju ducha szereg spraw.

Bóg tylko jeden wie, ile wspaniałych pomysłów zrodziło się w głowie młodzieńca w ciągu tej dwu i półgodzinnej wędrówki. W tym czasie przeszedł przeszło cztery mile francuskie, nie czując najmniejszego zmęczenia. Naprawdę, silny był jak tur.

Przyjął następujący plan działania:

Przemówić pompatycznie do starego barona; potem, gdy już uzyska jego zgodę, stanąć przed Andrea i wystąpić z oracją, utrzymaną w stylu tak wykwintnym i wyszukany, że panna de Taverney nie tylko mu przebaczy, ale i obdarzy tak wybitnego krasomówcę sercem oraz szacunkiem. Nadzieja wstąpiła w serce chłopca. Już teraz wydawało mu się wprost niepodobieństwem, aby panna w takim stanie nie przyjęła oferty naprawienia krzywdy — oferty, którą składa nie tylko człowiek prawdziwie zakochany, ale również posiadający sto tysięcy talarów.

Gilbert budując zamki na lodzie, był równie dobroduszny i pocziwy, jak ludzie o sercach dzieci w patriarchalnej erze ludzkości.

Zapomniał o złu, jakie wyrządził. Był w gruncie rzeczy pocziwszy, niż sądziliśmy.

Ułożywszy sobie w myślach całą kampanię, w pogodnym usposobieniu dotarł do Trianon. Gotów był na wszystko: na pierwszy wybuch Filipa, którego szlachetność jego kroku z pewnością rozbroi, na oburzenie i wzgardę Andrei, którą jednak przekona o swym uczuciu i na urągania barona, którego w porę ułagodzi blaskiem złota. Istotnie Gilbert, pomimo nieznaności życia społecznego, zgadywał instynktownie, że trzysta tysięcy liwrów to nie lada oręż. Lękał się tylko widoku cierpień Andrei. Widok ten może wstrząsnąć nim tak bardzo, że postrada na chwilę dar wymowy i zbity z tropu nie będzie mógł przeprowadzić pomyślnie swych zamiarów.

Wszedłszy do ogrodu młodzieniec, nie bez odcienia wyższości i dumy, która tak doskonale pasowała do jego obecnego ubioru, spoglądał na swych byłych towarzyszy.

Najpierw zapytał o barona de Taverney.

— Barona nie ma w Trianon — oznajmił mu posługacz oficyny,.

— A pan Filip?

— O, pan Filip wyjechał z panną Andrea.

— Wyjechał? — zawołał z konsternacją Gilbert.

— A, wyjechał.

— I panna Andrea też wyjechała?

— Będzie już z pięć dni, jak wyjechała.

— Do Paryża?

Posługacz uczynił ruch głowy, który miał oznaczać: A bo ja wiem? Co mi tam do tego!

— Jak to, nie wiesz? Panna Andrea wyjechała, a ty nie wiesz? Nie wyjechała przecież bez powodu?

— Głupiś! — odpowiedział mu posługacz, niezbyt respektując, jak widzimy, wytworny ubiór Gilberta. — Ma się rozumieć, że nie wyjechała bez powodu.

— A więc jaki był powód?

— Powód: zmiany powietrza.

— Zmiany powietrza? — powtórzył bezwiednie Gilbert.

— Tak, bo powietrze w Trianon okazało się dla panny Andrei niezdrowe i doktor kazał wyjechać.

Nie było sensu pytać więcej. Posługacz na pewno nic więcej nie wiedział.

A jednak Gilbert nie chciał uwierzyć temu, co słyszał. Pobiegł do mieszkania Andrei; drzwi zastał zamknięte, na korytarzu walało się potłuczone szkło, strzępy słomy, siana, kawałki postronka — zwykłe pobożowisko przeprowadzki. Gilbert skierował się do swej izdebki i zastał ją w takim stanie, jakby ją dopiero co opuścił. Okno mieszkanca Andrei było otwarte. Widać było przez nie wszystko, nawet przedpokój. Mieszkancko było puste.

Wtedy ogarnęła Gilberta taka rozpacz, że głową bił o mur, wyłamywał palce u rąk i tarzał się po podłodze. Potem wybiegł jak szalony i popędził do lasu. Zasył się w gąszcz i wbiwszy palce we włosy, upadł na krzaki, przeklinając swe życie i tych, co mu je dali.

— Wszystko stracone, wszystko! Bóg nie chce, żebym ją znalazł! Bóg chce, żeby mnie zabiły wyrzuty sumienia, rozpacz i miłość.

Tak więc mam odpokutować...

A może jest w Taverney? Pójdę, pójdę, choćby na koniec świata, wzniosę się pod obłoki, jeśli będzie trzeba. Odnajdę jej ślad i pójdę za nią, choćbym miał paść w połowie drogi ze znużenia, z głodu i chłodu.

Powoli uspokoił się, spojrzął wokół przytomniej i zwolna, krokiem ociężałym udał się w powrotną drogę do Paryża.

Tym razem zabrało mu to bez mała pięć godzin.

— Baron — rozważał — baron być może, pozostał w Paryżu. Rozmówię się z nim. Andrea wyjechała i zrobiła zupełnie rozsądnie; rzeczywiście nie mogła już dłużej przebywać w Trianon. Ojciec musi wiedzieć, dokąd wyjechała. Wskaże mi, gdzie obecnie przebywa, wreszcie sam odwoła córkę, jeśli zdołam pozyskać względy tego chciwca.

Dotarł do miasta około godziny siódmej wieczorem. Jest to czas, gdy tłumy spacerowiczów śpieszą na Pola Elizejskie, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Paryż zwolna i jakby z wahaniem porzuca zmierzch wieczorny i wstępuje w blask pierwszych światła dnia kłamanego, który przedłuża ten prawdziwy o dalszych dwanaście godzin.

Chłopiec udał się bezzwłocznie do pałacyku przy ulicy Coq-Héron i zakołatał w bramę.

Odpowiedziała mu cisza.

Zakołatał silniej — to samo.

Oszalały z rozpacz, gryząc ręce, jakby chcąc ukarać ciało, że mniej cierpi niż dusza, powłókł się do domu państwa Rousseau, popchnął drzwi i znalazł się na schodach.

Wysupłał z chustki, w której miał schowane pieniądze, klucz od swej izdebki; otworzył drzwi i rzucił się na swój barłóg takim ruchem, jakby rzucał się do Sekwany, gdyby w tym miejscu przepływała.

Wieczór był wprost cudowny. Delikatne, barwne obłoczki krążyły sobie beztrąsko po lazurowym niebie, nad lipami i kasztanami unosił się niezrównany zapach. Ściemniało się, i gacek zaczął tłuc bezszelestnymi skrzydłami w szyby małego okienka.

Gilbert zbliżył się do okna i patrzył jak urzeczony na bielejący opodał pałacyk.

Swego czasu tam, w ogrodzie, odnalazł był Andreę, która dziś jest już stracona dla niego na zawsze.

Miał takie uczucie, jakby serce pękało. Półomdlały osunął czoło na framugę okiennej.

ROZDZIAŁ CLIII. GILBERT PRZEKONUJE SIĘ, ŻE ŁATWIEJ POPEŁNIĆ ZBRODNIĘ NIŻ PRZEŁAMAĆ PRZESADY

Gdy odzyskał przytomność, było już zupełnie ciemno. Poczuł nagle niepohamowaną chęć dostania się do ogrodu. Przypomnił sobie, jak to po 31 maja — chory jeszcze — zapragnął zobaczyć Andreę i

z tego właśnie mieszkania po rynnie spuścił się do ogrodu. Była to bardzo niebezpieczna wyprawa; wtedy mieszkał tam wraz z Andream baron, a jednak Gilbert nie uląkł się.

— Muszę zejść na dół, muszę — szeptał z rozpaczą — może w alei ujrzę ślady, wyciśnięte stopami mej kochanki.

Te słowa, te straszne słowa, gdyby je kto usłyszał, Gilbert wymówił prawie głośno, z jakimś szczególnym upodobaniem.

Jeszcze raz spojrzął w tę stronę, gdzie majaczył w ciemności biały pałacyk.

Potem, po chwili, odezwał się do siebie:

— Nic nie wskazuje, ażeby dom zajmowali inni ludzie; żadnego światła nie widać i taka cisza. Zobaczymy.

Gilbert miał jedną zaletę: co postanowił, wykonywał natychmiast. Otworzył drzwi od paddasza, po omacku, cicho jak sylf przesunął się obok drzwi Rousseau, na pierwszym piętrze otworzył okno i po rynnie ześliznął się na dół, do ogrodu, narażając się na podarcie nowego ubrania. Stanąwszy na ziemi, odczuł wzruszenie, jakiego doznawał tu przy pierwszej bytności.

Piasek zaskrzypiał pod jego stopami i po chwili rozpoznał furtkę, którą Nicole wprowadziła Beausira. Bez namysłu wszedł na ganek i przycisnął usta do mosiężnej klamki.

Wszakże Andrea nieraz opierała na niej rękę; dla Gilberta było to dostateczne, by to miejsce ucałować.

Obdarzał ją ostatnio jakąś wprost religijną czcią.

Wtem lekki szelest zwrócił jego uwagę, szelest z zewnątrz; jak gdyby odgłos kroków po podłodze.

Cofnął się.

Przed drzwiami ujrzał jakieś światełko.

Wydawało się, że zabobon, ten syn ciemnoty i wyrzutów sumienia, wywołał przed jego oczyma widmo, że dusza jego opanowana strachem przywołuje drugą duszę, że przyszła na niego taka godzina przywidzeń, jakie miewają szaleńcy lub fanatycy.

A jednak kroki i światło zbliżały się ku niemu coraz bardziej. Gilbert patrzył jeszcze i nie dowierzał; znów przysunął się i chciał przyłożyć oko do szpary we drzwiach.

Wtem drzwi otworzono... i Gilbert, odepchnięty raptownie, odleciał aż pod mur.

Krzyknął przeraźliwie i padł na kolana.

Powaliło go bardziej zdumienie, niż uderzenie.

W tym domu, który uważał za niezamieszkały, bo przecież pukał do drzwi i wcale mu nie otworzono, ujrzał nagle tuż przed sobą Andream.

Młoda dziewczyna krzyknęła również — pierwsza jednak przyszła do siebie.

— Co to?... — spytała. — Kto pan jesteś?... Czego sobie życzysz?...

— O, przepraszam, przepraszam cię, pani! — wyszeptał Gilbert z głową zwieszoną na piersi.

— Gilbert!... Ty tutaj?... — zawołała Andrea ze strachem i gniewem zarazem. — Gilbert w tym ogrodzie!... Co tu robisz, przyjacielu?...

Ostatnie słowa poruszyły bolesne struny w sercu chłopca.

— O!... nie obwiniaj mnie, pani! — rzekł wzruszonym głosem. — Miej litość nade mną; ja tyle cierpię!...

Andrea ze zdumieniem patrzyła na mówiącego, nie rozumiejąc o czym on mówi.

— Najpierw powstań i wytłumacz mi, skąd się tu wzięłeś?...

— Nie, panienko, nie powstanę, dopóki mi nie przebacysz!...

— Cóżes tak straszego uczynił, że prosisz tak gorąco o przebaczenie?... W każdym razie wina nie musi być zbyt wielką, więc przebaczenie uzyskasz z łatwością. Czy to Filip dał ci klucz?

— Klucz?

— Tak, umówiliśmy się, że nie otworzę nikomu, więc zapewne dostałeś się tu przy jego pomocy albo wdrapałeś się po parkanie?

— Pan Filip — wyjąkał nieszczęśliwy — nie, to nie on.

i nie o niego mi chodzi. Więc nie opuściłaś pani Francji?... O, jakie to szczęście, jakie niespodziewane szczęście!...

I naiwny Gilbert wzniosł dziękczynnie oczy ku niebu.

Andrea pochylała się ku niemu, przypatrując się z niepokojem.

— Mówisz, jak pomyłony, mości Gilbercie — rzekła — suknię mi rozedrzesz; puśćże ją; puść, proszę cię, niech się skończy ta komedia.

Gilbert zerwał się na równe nogi.

— Gniewasz się, pani — powiedział cicho — trudno, zasłużyłem na twój srogi gniew, wiem, nie powinienem był przyjść tutaj, ale trudno! Myślałem, że ten dom jest pusty, szukałem tu wspomnienia po tobie. Prosty przypadek... Doprawdy, nie wiem już, co mówię; przebacz mi, pani, chciałem udać się najpierw do pana barona, ale go nie ma w Paryżu.

Andrea poruszyła się.

— Do mego ojca? — spytała. — A to po co?...

— O, bo pani zanadto się boję — wyrzekł cicho — jednak wiem dobrze; wszystko to powinniśmy sami załatwić. Jedyne to sposob naprawienia złego.

— Naprawienia... czego?... — spytała Andrea — no, mówże!

Gilbert spojrział na nią oczyma pełnymi miłości i psiej pokory.

— O!... nie dręcz się! Pani, rzeczywiście to zuchwalstwo z mej strony, wielkie zuchwalstwo podnieść oczy tak wysoko, ale stało się nieszczęście...

Andrea cofnęła się krok w tył.

— Zbrodnia, jeżeli tak to pani chce nazwać — ciągnął dalej Gilbert — o!... to prawda! Straszna zbrodnia!...

Ale winien temu los, a nie moje serce...

— Serce!... Los!... Oszalałeś, pocziwy Gilbercie, przestraszasz mnie.

— Niepodobna, aby taki szacunek, ból i rozpacz mogły cię natchnąć innym do mnie uczuciem, niż litością. Wysłuchaj mnie pani, to przysięga, jaką składam Bogu i Tobie. Całe me życie poświęcę na odpokutowanie tej jednej chwili; szczęście twoje będzie tak wielkie, że ukoji wszystkie zaznane cierpienia.

Gilbert zawahał się.

— Zgódź się na małżeństwo, które uświęci ten występny wiążek.

Andrea cofnęła się parę kroków.

— O! Ja nie jestem obłąkany, nie uciekaj przede mną, nie wyrwij mi swych rąk, przez litość... Zgódź się zostać moją żoną.

— Twoją żoną? — wykrzyknęła Andrea, myśląc, że oszalała i że słyszy to w przystępie jakiegoś obłądu.

— O! — jęczał łkając Gilbert — powiedz, że mi przebaczysz tę straszną noc; powiedz, że miłość moja tłumaczy zbrodnię.

— Ach!... łotrze! — krzyknęła dziko młoda kobieta — Więc to ty?... Boże miłosierny!... Boże!

Andrea ścisnęła rękoma rozpalone czoło.

Gilbert cofnął się przed tą bladą i piękną głową Meduzy — uosobieniem dzikiej rozpaczy, a zarazem zdumienia.

— Boże litościwy! — zawołała młoda dziewczyna ze wzrastającym uniesieniem... — Więc pozwoliłeś, abym była podwójnie zhańbiona: przez zbrodnię i zbrodniarza?... Odpowiadaj, podły nędzniku! Czy to ty byłeś?...

— Ona o niczym nie wiedziała — przebiegło mu przez myśl.

— Na pomoc!... Na pomoc!... — wołała Andrea wbiegając do mieszkania — Filipie!... Filipie!...

Gilbert szedł za nią machinalnie, ponury i zrozpaczony, mimo woli szukając wzrokiem czegoś do obrony lub też miejsca, gdzie by się mógł schronić przed ciosami.

Jednak nikt nie nadbiegał na krzyk kobiety. Andrea była sama w mieszkaniu.

— Sama więc jestem!... sama zupełnie — jęczała. — Precz stąd, ty potworze!... Precz!

Gilbert spokojnie podniósł głowę.

— Gniew twój, pani — powiedział to bardzo spokojnie i łagodnie — jest dla mnie czymś najstraszniejszym, co mnie mogło spotkać, błagam cię, przebacz mi! nie dręcz mnie tak okrutnie.

— Zbrodniarzu!... Zbrodniarzu! Zbrodniarzu! — krzyczała w furii.

— Wysłuchaj mnie, pani — błagał chłopiec — a potem zabij.

— Wysłuchać cię? Jeszcze i te tortury znosie?... Więc mów!

— Powtórzę to, co przed chwilą mówiłem. Popeliłem zbrodnią, ale jeśliby ktoś mógł czytać w moim sercu, poznałby, jak ogromnie żałuję!... I właśnie przyszedłem, żeby to naprawić.

— O! — zawołała Andrea. — Małżeństwo... Zdaje mi się, że wymówiłeś to słowo przed chwilą?

— Pani!... — bełkotał Gilbert.

— Małżeństwo — ciągnęła dalej dumna dziewczyna, unosząc się coraz bardziej. — O! Ja nie gniewuję, ale nienawiść, wstręt, pogardę, słyszysz, rzucam ci to słowo w twarz, ty błaznie!

Gilbert zbladł śmiertelnie, dwie palące łzy wściekłości zabłysły mu w oczach, wargi zsiniały i drżały jak w ataku febry.

— Panienko — wyrzekł, ledwie trzymając się na Bogach — nie jestem aż tak mało wart, żebym ci nie mógł pomóc w odzyskaniu honoru.

Andrea podniosła głowę.

— Jeśli idzie o stracony honor — odezwała się dumnie — to chyba jedynie o twój, rozumiesz, a nie o mój. Nie ma plamy na moim honorze. Dopiero wtedy bym go splamiła, gdybym za ciebie wyszła.

— A mnie się zdaje — odpowiedział zimno Gilbert — że kiedy kobieta zostaje matką, powinno jej chodzić przede wszystkim o przyszłość dziecka.

— Mój Gilbertcie, nie przypraszczana, ażebyś się ośmielił o tym myśleć — odparła Andrea, a oczy jej błyszczały od gniewu.

— Tak, myślę o tym — odparł Gilbert, obrażony do głębi — bo nie chcę, aby dziecko umarło z głodu, jak to się często zdarza w domach szlacheckich, gdzie panny zwykły bardzo wygodnie pojmować honor. Nie kochasz mnie, pani — to mogę zrozumieć, gdyż nie czytasz w moim sercu; pogardzasz — niech i tak będzie; ale że nie chcesz dać mi prawa do zajmowania się moim dzieckiem — tego nie pojmę nigdy, słyszysz — nigdy!

Chcąc cię zaślubić, chciałem wypełnić tylko obowiązek, oddałbym ci życie, byłbym twym niewolnikiem. Nigdy nie zmusiłbym cię do noszenia mego nazwiska, byłbym dla pani zawsze tylko ogrodnikiem; ale nie wolno ci poświęcać twego dziecka. Oto jest trzysta tysięcy liwrow; dał mi je szlachetny człowiek, który mnie osądził inaczej niż pani; dał mi je na posag. Jeżeli się z panią ożenię, pieniądze te będą należały do mnie; otóż ja ich nie będę potrzebował. Za życia potrzeba mi tylko trochę powietrza do oddychania, po śmierci wystarczy grób. Te pieniądze daję ci, pani.

To mówiąc Gilbert położył na stole bilety bankowe.

— Gilbert! — zawołała ostro Andrea. — On się myli, on nie ma dziecka!

— Ja?

— O jakim on dziecku śmie mówić? — zapytała z pogardą.

— Ależ o tym, którego ty, pani, będziesz matką. Czyż nie wyznałaś przed panem Filipem, przed hrabią Balsamo, że jesteś matką i że...

— Ach! Słyszałaś wtedy? — zawołała Andrea. — Tym lepiej, tym lepiej. Otóż na to mam tylko taką odpowiedź: Zgwałciłaś mnie, to prawda, jestem matką, ale moje dziecko będzie miało tylko matkę, słyszysz, bydlaku?

I schwyciwszy pieniądze rzuciła je prosto w twarz nieszczęśliwego Gilberta.

Wpadł w taką wściekłość, że chyba dobry anioł stróż Andrei zadrżał o nią w niebie.

Trwało to jednak chwilę.

Młody chłopiec miał tyle siły woli, że wyszedł z pokoju, nie spojrzawszy nawet na Andreeę,

Zaledwie przestąpił próg, młoda kobieta zerwała się z miejsca, zamknęła drzwi na klucz, zapuściła rolety, zaryglowała okiennice, jakby się chciała murem chińskim odgradzić od świata.

ROZDZIAŁ CLIV. DECYZJA

Jak Gilbert zdołał dotrzeć do domu, jak mógł znieść rozpacz i męczarnie tej strasznej nocy i nie wstać rano z siwymi włosami — doprawdy, trudno nam pojąć.

O świcie przyszło mu na myśl, czy by nie napisać do Andrei listu i nie wyłożyć gruntownie i uczciwie tych wszystkich argumentów, jakie nasunęły mu nocne rozmyślenia. Ale nie, znał przecież nieugięty charakter dziewczyny. Więc i ta nadzieja odpadła.

Poza tym wysłanie listu byłoby w jakiejś mierze upokorzeniem, a z tym nie mogła się pogodzić podrażniona ambicją Gilberta.

Przecież Andrea może nawet listu nie przeczytać. Po prostu zgniecie i ciśnie na ziemię. Wysłanie listu jest także niebezpieczne. Może naprowadzić na jego ślad zgrają zacierzewionych wrogów.

Listu nie napisał.

Z kolei zaczął rozważać, czy by mimo wszystko nie udać się do chciwego i dumnego ojca, czy do brata, człowieka prawego, którego należy się obawiać jedynie w pierwszej chwili.

Ale co mu przyjdzie z poparcia pana de Taverney i pana Filipa, gdy Andrea wiecznie tylko będzie powtarzać: Idź precz, nie chcę cię widzieć na oczy!

— A więc dobrze — mówił do siebie. — Nic nas ze sobą nie będzie łączyło, sama zerwała wszystkie więzy.

I tarzał się z wściekłości po posłaniu, przypominając sobie dźwięk jej głosu, wyraz twarzy i cierpiąc niewysłowione katusze. Kiedy słońce wzniosło się już wysoko nad horyzontem i zajrzało do izdebki, Gilbert wstał słaniając się na nogach i chciał podejść do okienka w nadziei, że może ujrzy swą nieprzyjaciółkę w ogrodzie lub na tarasie.

Lecz nagle nowa fala oburzenia, żalu i gniewu załapała mu myśli; przypomniał sobie, ile wycierpiał przykrości i upokorzeń od dumnej córki barona de Taverney i twardy nakaz woli zatrzymał go pośrodku poddasza.

— Nie, nie! — Gilbert mówił do siebie z goryczą. — Nie waż się nawet spojrzeć w tamtą stronę, nie wolno ci wsysać trucizny. To okrutnica! Ona nigdy nie odezwała się do ciebie przyjaźnie, nie pocieszyła w trosce, nie uśmiechnęła się do ciebie. To istota wyzuta z wszelkich uczuć! Ona nie ma Boga w sercu. Ona nie chce dać swemu dziecku ojca i skazuje niewinną kruszynkę na poniewierkę, nędzę, może śmierć, dlatego tylko, że to dziecko poczęte jest w hańbie.

Nie, mój Gilbertcie! Chociaż byłeś człowiekiem występny, chociaż jesteś zakochany i nikczemny, surowo ci zabraniam podejść do okna i nawet jeden jedyny raz rzucić okiem na pałacyk! Nie pozwalam ci tej kobiecie współczuć, ani osłabiać sił duchowych i dzielności ustawicznym rozmyślaniami nad tym, co minęło. Musisz żyć jak bydło: harować i zaspokajać swe potrzeby materialne; musisz dobrze wykorzystać czas, jaki upłynie od jej obelgi do twojej zemsty. Pamiętaj, mój drogi, że od ciebie tylko zależy zdobycie szacunku; aby go zdobyć, musisz stanąć ponad nich, pysznych ze swego nazwiska, musisz okazać się bardziej od nich wartościowy.

Blady i drżący odwrócił się od okna.

Można nań teraz spojrzeć oczyma wyobraźni.

Powoli, ociężale, jakby mu stopy wrastały w ziemię posuwał się krok za krokiem. Wszedł na schody. Chciał się udać do hrabiego Balsamo.

Nagle zastanowił się i rzekł w duchu:

— Szalony, co chcesz czynić? Myślisz o zemście — ale o jakiej?

Zabić ją? — Da się zabić chętnie, bo przed śmiercią będzie mogła cisnąć ci jeszcze jedną obelgę.

Rozgłosić jej hańbę? — Toż to byłaby podłość.

Muszę ją upokorzyć, ją, tę tak dumną, dumniejszą jeszcze ode mnie.

Upokorzyć — ale jak? Nie mam nic, jestem niczym. Ona na pewno wkrótce opuści Paryż.

Wiem, że moja obecność, częste następczenie się jej oczom, uśmiech pogardy, przykre słowo — to będą dla niej ciężkie tortury. Ale matka nie mająca litości dla dziecka, nie będzie jej miała i dla brata. Naśle go na mnie, każe mnie zabić.

Ale nie ciesz się z góry. Nauczę się i ja zabijać ludzi, tak jak nauczyłem się czytać i pisać. Zabiję ci twego Filipa, Andreo i śmiać się będę z ciebie!

Lecz nie!... to zemsta niegodna Gilberta, to sposób używany tylko w komediach.

Ten tylko ceni nade wszystko zręczność ręki i rutynę, kto zapomina, że w takie sprawy wdaje się Bóg lub przypadek... Ja, ja sam, z gołymi rękoma, z umysłem ogołoconym z wyobraźni, a przy pomocy mięśni, jakimi mnie obdarowała natura, i myśli giętkiej, zniszczę zamiary i nadzieje tych nieszczęsnych.

Czego chce Andrea? Co posiada? Co zamierza uczynić? — zastanówmy się.

I oparty o mur, utkwivszy oczy nieruchomo w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, głęboko się zamyslił.

Jej tylko to może się podobać — wyrzekł — czego ja nienawidzę. Więc zniszczyć trzeba to wszystko, co nienawidzę?...

Zniszczyć? Och, nie!... Zemsta moja nie doprowadzi mnie do złego! Nigdy a nigdy nie zmusi mnie do użycia ognia czy żelaza! —

Cóż mi pozostaje? Zrozumieć przyczynę wyższości Andrei, odgadnąć, jakim łańcuchem może ona skrępować moje serce i ramię...

Nie zobaczyć jej wcale! Nie zwrócić na siebie jej spojrzeń... gdy olśniewająco piękna i uśmiechnięta z dumą trzymać będzie dziecko na ręku... jej dziecko, które nigdy mnie znać nie bę-dzie. O Boże!!!

Gilbert uderzył z rozpaczą pięścią w mur; ta myśl doprowadzała go do szaleństwa.

Jej dziecko! Na tym właśnie polega cała tajemnica. Ona nie może posiadać tego dziecka, gdyż nauczy je nienawidzić własnego ojca, przeklinać Gilberta. Przeciwnie, niech ona wie, że to dziecko wychowuje się w nienawiści dla imienia Andrei.

Tak, to dziecko, którego by ona zapewne nie kochała, które może by dręczyła, bo ma złe serce, to biedne dziecko niech dla niej przepadnie. Niechaj nie widzi go nigdy, niechaj straciwszy, jęczy żałośnie jak lwica, gdy jej zabierają małe lwiątką! — ciągnął dalej mściwie wyciągając pięści w stronę domku Taverneyów. — Ty skazałaś mnie na wstyd, wygnanie, miłość, wyrzuty sumienia. Ja skazę cię na cierpienie, strach i bezsilną nienawiść! Będiesz mnie sama szukała; a ja ci zniknę z oczu; będziesz błagać o swoje dziecko. Zatopię w twym sercu sztylet bez rękonoży. Tak... tak... dziecko!... Moje dziecko... nie twoje! Gilbert będzie miał syna!... Moje dziecko!... Moje dziecko!...

Złowroga radość rozsadzała mu piersi.

— Ale uspokój się, Gilberte, tu nie chodzi o zwykły gniew, o jakieś kwilenia pasterskie, tu idzie o wielki spisek. Zamiast rozmyślać, musisz wpatrywać się w ten dom, ze wszystkich sił, z całej duszy. Nakazuję ci pilnować go jak najbaczniej — pilnować, byś mógł wykonać swój zamiar.

— Tak, Andreo, będę czuwał — wyrzekł uroczyście, zbliżając się do okna — będę czuwał dzień i noc; nie poruszysz się, abym tego nie zauważył, nie wydasz jęku, aby ci nie odpowiedziało moje przekleństwo, nie uśmiechniesz się, abym ci nie odpowiedział uśmiechem szyderczym i obelżywym. Jesteś moim łupem, Andreo! Częstka ciebie samej należy do mnie.

Ja czuwam, czuwam!

Przystąpił do okienka.

W tejże chwili w pawilonie podniesiono rolety. Cień Andrei przemknął za firanką i po suficie, zapewne odbity w lustrze.

Potem zjawił się Filip, który wstał wcześniej, ale pracował w swoim pokoju. Był to pokój sąsiedni.

Gilbert zauważył, że rozmowa między rodzeństwem była bardzo ożywiona.

Na pewno mówiono o nim, o wczorajszej scenie.

Filip przechadzał się zamyślony.

Być może, że zjawienie się Gilberta zmieniło projekty Filipa, bo przechadzał się niespokojnie.

Kto wie, może zamierzali opuścić Paryż, szukać gdzie indziej schronienia.

Na tę myśl Gilbertowi oczy zaświeciły jak wilkowi.

Ale po chwili weszła nowa służąca do sypialni Andrei, zgłosiła się zapewne z czyjejś rekomendacji.

Andrea widocznie ją zgodziła, gdyż dziewczyna zaraz złożyła swój tobołek w pokoiku Nicole.

Uspokoilo to trochę Gilberta, bo pozwalało mieć nadzieję, że brat i siostra nie wyjadą z miasta.

Filip wyszedł na taras, obejrzał starannie wszystkie zamki i klucze.

Zapewne podejrzewał, iż Gilbert otworzył sobie drzwi dobranym kluczem, może więc zamierzał zmienić zamki.

Gilbert uśmiechnął się ironicznie.

— Biedacy — szepnął — przez myśl im nie przejdzie, że mogę przecież w każdej chwili drzwi wyważyć. O! Piękne mają pojęcie o tobie, Gilberte! O! Nienawidzę! Nie! Nie! To nieprawda! To niegodne uczciwego człowieka; nie chcę ciebie! Spij spokojnie; śpij — do czasu!

I w kwadrans potem zeszedł ze schodów i udał się do Balsamo.

ROZDZIAŁ CLV. PIĘTNASTY GRUDNIA

Fritz bezzwłocznie wprowadził Gilberta do hrabiego.

Balsamo leżał na kanapie i odpoczywał, jak człowiek bogaty i próżnujący po trudach przespanej nocy.

Tak przynajmniej pomyślał o nim z goryczą Gilbert, ujrawszy go leżącego jeszcze o tej godzinie na sofie. Domyślił się również, że kamerdyner otrzymał rozkaz wpuszczenia Gilberta, jak tylko przyjdzie, gdyż nie przeprowadzał żadnych indagacji.

Gdy wszedł do salonu, Balsamo uniósł się z lekka na łokciu i zamknął książkę, którą trzymał otwartą, nie czytając jej wcale.

— Ho, ho, dzień dobry panu nowożeńcowi! Gilbert nic nie odpowiedział.

— Przychodzisz mi podziękować, chłopcze, jesteś więc wdzięczny i szczęśliwy, to dobrze, lecz ja nie lubię podziękowań; schowaj tę zdawkową monetę dla innych.

Było coś smutnego i życzliwego w tonie, jakim te słowa zostały powiedziane, że uderzyło to nawet rozdrażnionego Gilberta.

— O! Mylisz się pan, nie żenię się — odparł.

— Dlaczego? Cóż się stało?

— Odmówiono mi.

— To chyba źle zabrałeś się do rzeczy, mój drogi.

— O, nie zdaje mi się.

— I któż ci odmówił?

— Panna Andrea.

— To było do przewidzenia; dlaczego nie udałeś się do ojca?

— Bo inaczej zrządziło przeznaczenie.

— Ach! Jesteś fatalistą?

— Skąd mam mieć wiarę? Balsamo ściągnął brwi i popatrzył na chłopca badawczo.

— Nie mów nigdy lekko o sprawach, na których się nie znasz. Gdy tak czynią dorośli, dowodzą swej głupoty, dzieci — zarozumiałości. Pozwalam ci być dumnym, ale nie głupim. Coś więc uczynił?

— Chciałem, jak poeci, marzyć zamiast działać, przechadzałem się po alei, marzyłem o miłości, a wtem rzeczywistość

stanęła przede mną i zabiła mnie na miejscu.

— Niech cię to nie dziwi, Gilbertcie; człowiek w twoim położeniu jest jak żołnierz, wysiany na zwiady, który powinien iść z muszkietem w prawej ręce, a ze ślepą latarnią w lewej.

— W każdym razie nie udało mi się; panna Andrea nazwała mnie zbrodniarzem, łotrem i powiedziała, że każe mnie zabić.

— Dobrze, a dziecko?

— Powiedziała, że należy do niej, nie do mnie.

— A co potem?

— Potem odszedłem.

— Aha!

Gilbert podniósł głowę.

— A pan jakbyś postąpił? — zapytał.

— Nie wiem jeszcze. Cóż teraz zamierzasz uczynić?

— Ukarać ją za to, że mnie tak upokorzyła.

— To są słowa bez pokrycia.

— Nie, panie, to postanowienie.

— Ale... może dałeś sobie wydrzeć swą tajemnicę, swoje pieniądze?

— Pieniądze należą do pana; oto one.

Gilbert rozpiął surdut i wyjął z kieszeni trzydzieści banknotów, które przeliczył, rozłożywszy je na stole Balsamo.

Hrabia zebrał banknoty i zwinął, nie spuszczając oczu z Gilberta.

— Uczciwy i nie chciwy... inteligentny i z silną wolą; będzie z niego człowiek — pomyślał Balsamo.

— Teraz, panie hrabio, muszę ci zdać rachunek z dwóch luidorów, które mi dałeś — rzekł spokojnie Gilbert.

— Nie przesadzaj — odpowiedział Balsamo — pięknie to, żeś oddał sto tysięcy dukatów, ale po dziecinnemu byłoby rozliczać się z pięćdziesięciu liwrów.

— Nie chciałem ich oddać, a tylko powiedzieć, na co je użyłem i poprosić o więcej.

— To inna sprawa. Chcesz pieniędzy?

— Proszę...

— Na co?

— Chcę coś przedsięwziąć... pan sam mi myśl nasunąłeś...

— Chcesz zemścić się?

— Szlachetnie.

— Nie wątpię, ale zarazem okrutnie, prawda?

— Tak.

— Ile potrzebujesz?

— Dwadzieścia tysięcy franków.

— I już nie tkniesz tej kobiety?

— Nie.

— Ani jej brata?

— Nie.

— Ani ojca?

— Nie.

— I nie będziesz jej obmawiał?

— Z ust mych nie wyjdzie jej imię.

— Rozumiem. Ale to właściwie na jedno wychodzi, czy zabija się sztyletem, czy drwiną. Chcesz ją prześladować swą osobą, spojrzeniem, uśmiezkami pełnymi pogardy i nienawiści.

— Mam zgoła inny zamiar. Przychodzę prosić pana o jakiś sposób, żebym mógł opuścić, gdy zechcę, Francję i udać się za ocean, bez ponoszenia kosztów.

Balsamo zdumiał się.

— Panie Gilbercie — rzekł głosem cierpkim a zarazem łagodnym, w którym jednak nie znać było ani bólu, ani radości — zdaje mi się, że nie jesteś konsekwentny w swoim popisywaniu się bezinteresownością. Żądasz ode mnie dwadzieścia tysięcy franków, a nie chcesz z nich wziąć ani jednego tysiąca na podróż?

— Nie, panie i to dla dwóch powodów.

— Bardzom ciekaw.

— Po pierwsze, nie będą miał ani grosza w dniu wyjazdu, bo — zapamiętaj, panie hrabio — pieniędzy tych nie biorę dla siebie, lecz dla naprawienia winy, do której pan się przyczynił...

— Ale z ciebie twarda sztuka — rzekł Balsamo.

— Bo mam słuszną za sobą... o pieniądze proszę dla naprawienia winy, nie dla uciech i zabawy. Ani jeden szeląg nie pozostanie w mej kieszeni, pieniądze te mają swoje przeznaczenie.

— Dla twego dziecka, jak sądzę?

— Tak jest, dla mego dziecka — odpowiedział z dumą Gilbert.

— A ty?

— O, ja jestem młody, zdrowy, silny, wolny i niegłupi, dam sobie radę, bo pragnę żyć!

— Nie wątpię! Bóg nie obdarza tak silną wolą dusz, które mają wcześniej opuścić ziemię — Bóg, który ciepło ubiera rośliny zmuszone przetrzymywać ciężkie mrozy, uzbraja także w stalowe pancerze serca, stworzone do walki. Ale jak mi się zdaje, wspominałeś o dwóch powodach, nie pozwalających ci zachować dla siebie tych pieniędzy: pierwszy — etyczny.

— Wtóry — przezorność. W dniu, w którym wypadnie mi opuścić kraj, będę się musiał mieć na baczności. Nie będę więc mógł zgłosić się do kapitana i zapłacić za podróż, jak się to zapewne dzieje, bo w ten sposób nie mógłbym odbyć jej w tajemnicy i zniknąć niepostrzeżenie.

— Więc przypuszczasz, że ci dopomogę do zniknięcia?

— Wiem, że możesz to pan uczynić. — Któż ci to powiedział?

— O, za wiele masz pan magicznych sposobów, aby ci mogło zbraknąć naturalnych: czarownik wszystko może, na wszystko znajdzie środek. Czarownik nigdy nie jest aż tak pewny siebie, żeby nie przygotować sobie jakiejś cudownej furtki na wypadek ucieczki.

— Gilbercie! — rzekł Balsamo, unosząc nad nim rękę jak do błogosławieństwa — zrobię z ciebie wielkiego człowieka; zostań u mnie, dom mój będzie dla ciebie najlepszym schronieniem. Zresztą i ja opuszczam za kilka miesięcy Europę, zabiorę cię z sobą.

Gilbert zamyślił się.

— Za kilka miesięcy — rzekł — nie powiedziałbym, że nie; ale dziś muszę podziękować, chociaż to byłoby wielkim szczęściem dla takiego, jak ja, biedaka. Jednakże odmawiam, zachowując dla pana wdzięczność.

— Dla jednej chwili zemsty poświęcasz pięćdziesiąt lat życia, a to się może nie opłaca.”

— Panie, moja fantazja, czy kaprys, są dla mnie warte więcej, niż cały świat. Zresztą oprócz zemsty kieruje mną obowiązek.

— Oto masz dwadzieścia tysięcy franków — rzekł Balsamo bez wahania.

— Zobowiązujesz pan ludzi jak król! — odrzekł wzruszony młodzieniec.

— O, jeszcze więcej — odezwał się hrabia — bo nie wymagam nawet, żeby o tym pamiętano.

— Ale ja umiem pamiętać i być wdzięczny. I kiedy zadanie moje będzie spełnione, oddam panu te dwadzieścia tysięcy franków.

— W jaki sposób?

— Służę ci będę tyle lat, aż od służę te pieniądze.

— Jesteś znów na bakier z logiką, mości Gilbercie. Przed chwilą mówiłeś: Proszę o dwadzieścia tysięcy franków, które mi się należą.

— To prawda, ale pan ująłeś mnie za serce.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł głosem obojętnym Balsamo — zatem gdy zechcę, będziesz na moje rozkazy?

— Tak.

— Co umiesz?

— Nic. Ale czuję, że się wszystkiego nauczę. — To dobrze.

— Ale przede wszystkim muszę mieć możliwość opuszczenia Francji w ciągu dwóch godzin, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

— O! Uciekasz mi ze służby.

— Wrócę.

— Zresztą, potrafię cię odnaleźć. No, dość na dzisiaj, długa rozmowa mnie męczy. Przysuń stolik.

Balsamo wyjął papier opatrzony trzema podpisami, a raczej trzema dziwnymi cyframi i przeczytał półgłosem, co następuje: „15 grudnia w Havre, do Bostonu, P. J. „Adonis”.

— Co myślisz o Ameryce, Gilbercie?

— Że nie jest Francją i że będzie mi bardzo miło udać się w odpowiedniej chwili za morze do jakiegokolwiek bądź kraju, który nie jest Francją.

— Dobrze więc... Około 15 grudnia — czyż nie tak — nastąpi chwila, o której mówisz?

— Tak — odrzekł Gilbert.

Balsamo napisał na ćwiartce białego papieru:

*„Ulokować na „Adonisie” jednego pasażera.
Józef Balsamo”.*

— Ależ to bardzo niebezpieczny papier — powiedział Gilbert czytając. — Ja, który szukam mieszkania, mogę zbyt łatwo zamieszkać w Bastylji.

— Najrozumniejszy bywa nieraz głupcem — odrzekł hrabia. — „Adonis”, mój drogi Gilbercie, to okręt kupiecki, którego jestem armatorem.

— Przebac mi, hrabio, ale doprawdy w głowie mi się czasami kręci; przebac więc, panie i wierz w moją wdzięczność.

— No, idź już sobie, przyjacielu.

— Żegnam cię, panie hrabio.
— Do widzenia!

ROZDZIAŁ CLVI. OSTATNIE POSŁUCHANIE

W listopadzie, to jest w kilka miesięcy po ostatnich wydarzeniach, Filip de Taverney wyszedł z domu niezwykle wcześnie, jak na tę porę roku, bo jeszcze przed świtem.

Pracowity ludek paryski, spędziwszy z oczu sen, już zabierał się przy świetle latarni do swej codziennej krzątania. Piekarze rozwozili gorące bułeczki, które tak chętnie zajadają w chłodny ranek przybyli ze wsi kmiotkowie i ubożsi mieszczanie. Ogrodnicy rozstawili swe wózki pełne jarzyn. Na targ zwożono kosze ryb, ostryg i innych przysmaków.

Wszystko to odbywało się w milczeniu, bez hałasu, z pewnym rodzajem ostrożności, jaki przekupniom i woźnicom dyktował szacunek dla snu bogaczy.

Filip spiesznie przeszedł ludną dzielnicę, w której zamieszkiwał wraz z siostrą i udał się na puste o tej porze Pola Elizejskie.

Pożółkłe liście marszczyły się i skręcały na drzewach — moc ich zaścielała aleje Cours-la-Reine.

Młodzieniec ubrany był w modny frak z szerokimi połami i krótkie spodnie; na nogach miał czarne, jedwabne pończochy, przy boku szpadę.

Starannie uczesana głowa świadczyła, że posiadacz jej musiał na długo jeszcze przed świtem oddać się w ręce fryzjera.

Ranek był wietrzny, toteż gdy Filip spostrzegł, że mu wiatr zaczyna psuć fryzurę i rozwiewać puder, zaczął oglądać się za fiakrem.

Czekał niedługo. Wnet wynurzyło się z oddali stare, wypłowiałe, mocno sfatygowane karecisko, zaprzężone w jakąś bułaną szkapę.

Woźnica okiem jednocześnie czujnym i posępnym wypatrywał panicza z równym utęsknieniem, z jakim ongiś Eneasze oczekiwał na wybrzeżach Morza Tyreńskiego ukazania się jednego ze swych okrętów.

Dojrawszy Filipa automedon ów jeszcze energiczniej dał odczuć bicz swemu rumakowi i kareta z bożą pomocą dowlokła się jakoś do podróznego.

— Jeśli się sprawisz dobrze — rzekł Filip — i punktualnie na godzinę dziewiątą dotrzesz do Wersalu, dostaniesz całe pół talara.

Filip miał na tę godzinę wyznaczone posłuchanie u Marii Antoniny. Madame Dauphine wstawiała zwykle bardzo wcześnie i codziennie o godzinie ósmej schodziła do swych ulubionych ogrodów w Trianon. Nie wykazując zbytniego przywiązania do etykiety, Maria Antonina sprawdzała wykonanie robót, jakie zarządziła poprzedniego dnia, bądź to korygowała gust ogrodników, zaprzątniętych układaniem bukietów do pałacu. W takich chwilach dość chętnie udzielała paru minut rozmowy suplikantom, którzy oczekiwali na nią przed tarasem. Dzięki bystrości umysłu sprawę rozpoznawała krótko, odpowiedzi dawała konkretne, utrzymane w tonie uprzejmym, acz pełnym godności a niekiedy i wyniosłości, gdy przekonywała się, że uprzejmość nie została należycie oceniona.

Filip zmuszony brakiem pieniędzy do zaciskania mieszka, miał początkowo zamiar udać się do Wersalu pieszo, lecz poczucie godności własnej nie pozwoliło mu na to, by on, Filip de Taverney, maszerował piechotą. Musiał więc rozsuptać nieco trzosik i ostatecznie podróż odbył fiakrem. Ale przyrzekł sobie święcie, że wróci per pedes.

Tak więc widzimy, że i syn wielkiego rodu — Filip, i człowiek z plebsu, Gilbert, odbywał tę podróż jednakowo.

Z uczuciem żalu i goryczy spoglądał Filip na gmach Wersalu, wciąż jeszcze, mimo późnej jesieni, pełen uroku.

Ileż to różnych marzeń i złocistych nadziei narodziło się . ongiś w duszy młodzieńca, gdy po raz pierwszy oglądał tę rezydencję.

A oto — Trianon, prześliczne Trianon, z którym wiąże się teraz świeże wspomnienie nieszczęścia i hańby.

O dziewiątej zajechał na miejsce, wyjął kartą audiencyjną i stanął obok drzwi pawilonu.

Wkrótce spostrzegł Marię Antoninę rozmawiającą z architektem. Madame Dauphine otulona była płaszczem sobolowym; maleńki kapelusik a la Watteau dopełniał stroju tej olśniewająco pięknej kobiety.

Od czasu do czasu dobiegał do Filipa jej srebrzysty, dźwięczny głos i budził jakieś przedziwne, oszałamiające wspomnienia, które sprawiały, że tracił na chwilę poczucie rzeczywistości. Kilka osób mających zapewne również obiecaną chwilką rozmowy z następczynią tronu, weszło do przedpokoju. Marszałek dworu wprowadzał po kolei każdego do ogrodu.

Maria Antonina ze zwykłą swobodą wysłuchiwała prośby i dawała znak odejścia.

W końcu przyszła kolej na Filipa.

Już przedtem spostrzegł, iż Madame Dauphine przypatruje mu się z uwagą. Oficer zaczerwieniony po białka oczu czekał cierpliwie.

Marszałek zbliżył się do niego dyskretnie oznajmiając, iż chwila stosowna nadeszła, bo następczyni tronu po wejściu do pawilonu, nie przyjmuje nikogo.

Filip szybko zbliżył się do Jej Wysokości i złożył dworski ukłon.

— Nazwisko osoby, która się kłania? — spytała Maria Antonina.

Marszałek przeczytał głośno z karty audiencyjnej:

— Pan Filip de Taverney.

— A prawda — powiedziała księżna i rzuciła na Filipa przeciągłe i badawcze spojrzenie.

Młodzieniec stał schylony w postawie audiencyjnej.

— Dzień dobry, panie de Taverney — odezwała się Maria Antonina. — Jakże się miewa panna Andrea?

— Nieszczególnie, Wasza Królewska Wysokość, ale siostra moja niewątpliwie będzie wzruszona pamięcią Jej Wysokości.

Księżniczka nic nie odpowiedziała. Wiele cierpień i smutków wyczytała na białym czole młodzieńca, z trudnością też poznawała w nim eleganckiego oficera, który ją pierwszy; powitał na ziemi francuskiej.

— Panie Mique — zwróciła się nagle do architekta — wiesz pan już, jak chcę mieć przebudowaną salę balową, zatem wszystko ułożone. — Przebacz pan, że trzymałam cię tak długo na zimnie.

Była to grzeczna odprawa.

Mique skłonił się i odszedł.

Następczyni tronu skinieniem głowy dała znak odejścia osobom, stojącym opodal i te znikły natychmiast.

Filip struchlał. Miałże i on odejść z niczym?

Księżniczka przeszła obok niego.

— Mówiłeś pan przed chwilą, że siostra jest cierpiąca? — zagadnęła.

— Jeśli nie chora, to przynajmniej bardzo osłabiona.

— Osłabiona! — zawołała księżniczka. — Wyglądała jak okaz zdrowia!

Filip pochylił głowę.

Maria Antonina rzuciła nań owo przenikliwe spojrzenie, które w odniesieniu do mężczyzn jej rodu nazywano „orlim”.

— Pozwól pan, że nieco się przejdę — rzekła po chwili milczenia. Postąpiła kilka kroków; Filip pozostał na miejscu.

— Jak to?... Nie towarzyszysz mi pan? — odezwała się Maria Antonina, odwracając się szybko.

W dwóch susach oficer był już przy niej.

— Dlaczego nie uprzedziłeś mnie pan o stanie zdrowia Andrei, dla której mam bardzo wiele uczuć.

— Niestety!... — Filipowi trudno było mówić ze wzruszenia — ale Wasza Królewska Wysokość powiedziała... Wasza Wysokość interesowała się moją siostrą... ale teraz...

— I teraz się nią interesuję, bez wątplenia. Zdaje mi się, iż panna de Taverney opuściła nas dość niespodziewanie.

— Konieczność, pani — rzekł cicho Filip.

— Konieczność! To straszne słowo... Wytłumacz mi je pan Filip jednak milczał.

— Doktor Louis — ciągnęła dalej Maria Antonina — mówił mi, że powietrze tutejsze jej nie służy i dodał, że panna Andrea u siebie na wsi rychło odzyska siły. Oto wszystko, co mi powiedziano. Panna de Taverney złożyła mi wizytę pożegnalną, była blada, rozrzewniona, ogromnie mnie wzruszyło biedactwo, zalewało się rzewnymi łzami...

— I szczerymi — dopowiedział Filip z bijącym sercem — jej łzy nie kłamią.

— Wydaje mi się, że ojciec pański niesłusznie zmusił córkę, aby przyjechała do Wersalu i że to biedne dziecko więdło tutaj, bez swojej wsi rodzinnej, a może były jeszcze jakieś inne uczucia?

— Andrea żałuje tylko Waszej Królewskiej Wysokości.

— I cierpi?... Doprawdy dziwna choroba, którą powietrze rodzinnych stron miało uleczyć, a jest odwrotnie.

— Choroba mej siostry nastąpiła wskutek okropnych przeżyć, które ją doprowadziły do rozpacz. Panna de Taverney kocha na całym świecie tylko Jej Królewską Wysokość i mnie, lecz teraz ukochała nade wszystko Boga. Posłuchanie moje miało na celu zanieść prośbę o pomoc pani w urzeczywistnieniu tegoż życzenia Andrei.

Następczyni tronu podniosła głowę.

— Chce zostać zakonnica?...

— Tak, pani.

— I pan na to zezwalasz, pan, który kochasz to dziecko?

— Znam powody i to ja jej doradzałem, by tak postąpiła. Świat nie przypisze tego mojej chciwości, gdyż oboje nic nie posiadamy.

Maria Antonina przystanąła.

— Właśnie o tym myślałam; wy nie jesteście bogaci, prawda?

— Pani...

— Tylko bez fałszywego wstydu, mości panie; tu idzie o szczęście tej biedaczki... odpowiedz mi więc, panie Filipie, szczerze, jak uczciwy człowiek... którym jesteś — bo wiem o tym.

Oczy Filipa spotkały się z błyszczącymi oczyma Marii Antoniny.

— Odpowiem, pani — odrzekł.

— Więc ta konieczność zmusiła siostrę pańską do opuszczenia świata?... Mówże pan... Mój Boże! My, książęta domów panujących, jesteśmy naprawdę w kłopotliwym położeniu, mamy serca do żałowania nieszczęśliwych, ale brak nam tej przenikliwości, która by pozwalała odgadnąć nieszczęście poza draperią dystynkcji i drażliwości. Odpowiedz mi pan szczerze: czyż nie tak?

— Nie, pani — odrzekł stanowczym głosem Filip — nie o to chodzi. Siostra moja chce wstąpić do klasztoru w SaintDenis, lecz mamy tylko część potrzebnej sumy, zaledwie trzecią część.

— Jak to, więc nie posiadacie nawet sześćdziesięciu tysięcy liwrow? Zatem wasz majątek wynosi dwadzieścia tysięcy?

— Prawie tyle; ale wystarczy jedno słówko Waszej Królewskiej Wysokości, a przyjmą Andreę do SaintDenis bez posagu.

— Oczywiście, że tak...

— Oto jedyna prośba, jaką zanoszę do Waszej Królewskiej Wysokości, jeżeli nie umieściła już kogoś u księżny Ludwiki.

— Pułkowniku, zadziwiasz mnie! — zawołała księżniczka.

— Jak to, tyle więc mam szlachetnej nędzy obok siebie! Ech, pułkowniku, to niedobrze, żeś tak mnie oszukiwał.

— Nie jestem pułkownikiem — odparł ze smutkiem Filip — jestem tylko wiernym sługą Waszej Królewskiej Wysokości.

— Nie jesteś pułkownikiem?... Od kiedyż to?

— Nie byłem nigdy.

— Wszak król obiecał panu regiment w mojej obecności.

— Ale dyplom nie został mi wydany.

— Miałeś pan już jednak szlify...

— Zrzekłem się ich, wpadłszy w niełaskę monarchy.

— A to dlaczego? — Nie wiem.

— Och! — zawołała ze smutkiem księżniczka. — Och! Ten dwór!

Filip uśmiechnął się melancholijnie.

— Jesteś pani aniołem z nieba — wyrzekł z zapalem — i żałują, że nie będę służyć domowi panującemu, abym mógł umrzeć za Waszą Królewską Wysokość.

Żywy rumieniec zabarwił twarz Marii Antoniny.

Filip zakrył oczy rękoma, księżniczka nie próbowała go pocieszać ani odrywać od myśli, które nim nagle owładnęły. Milcząc i oddychając z trudnością zerwała różę bengalską i nerwowym ruchem obrywała jej listki.

Filip oprzytomniał.

— Przebacz mi, Wasza Królewska Wysokość — rzekł cicho. Księżniczka nic nie odpowiedziała.

— Jeżeli panna de Taverney nie zmieni zamiaru, może wstąpić do Saint-Denis, choćby jutro — szepnęła nagle gorączkowo — a pan... za miesiąc będziesz dowódcą regimentu. Ja tak chcę!

— Pani — odparł Filip — bądź tak dobra i pozwól mi się wytłumaczyć. Siostra moja przyjmie z wdzięcznością łaskę Waszej Królewskiej Wysokości, ale ja muszę odmówić.

— Odmawiasz pan?

— Tak jest; obrażono mnie na dworze... Moi nieprzyjaciele, znajdują okazję do prześladowania mnie.

— Nawet przy mojej protekcji?

— Przede wszystkim przy łaskawej protekcji Waszej Wysokości — odrzekł młodzieniec stanowczo.

— To prawda! — powiedziała cicho, zmieszana.

— Zresztą, zapomniałem, mówiąc do Waszej Wysokości, że nie mam w życiu szczęścia, zapomniałem, iż usunąwszy się w cień, nie" powinienem tęsknić za blaskiem; w cieniu człowiek z sercem modli się i nie zapomina!

Filip wymówił te słowa głosem, który przejął księżnę do głębi.

— Przyjdzie dzień — odpowiedziała po chwili w zamyśleniu — gdy będę mogła wykonać to, o czym mi obecnie tylko marzyć wolno. Kawalerze, siostra twoja ma wolny wstęp do Saint-Denis.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Wysokości.

— Co do pana... chcę, abyś mnie prosił o coś!

— Ależ, Wasza Wysokość...

— Każę...

Maria Antonina wyciągnęła ku niemu ręką, okrytą glansowaną rękawiczką.

Młodzieniec przykląkł i powoli przycisnął do niej gorące usta.

— Czekam na prośbę! — szepnęła Maria Antonina, tak wzruszona, że nie usunęła ręki.

Filip schylił nisko głowę. Fala gorzkich myśli zatopiła mu mózg, jak wzburzone morze rozbitka.

Wstał błądy i zmieniony, z oczyma pełnymi łez.

— Błagam o paszport na wyjazd z Francji — rzekł zdławionym głosem — w dniu, w którym moja siostra wstąpi do klasztoru.

Następczyni tronu cofnęła się przerażona; może zrozumiała rozpacz miotającą tym biednym rozbitkiem, gdyż nie znalazła innych słów, niż to jedno, jakie wymówiła prawie niezrozumiale:

— Dobrze!...

I zniknęła w alei cyprysowej — w alei drzew, które zdobią grobowce i wiecznie zachowują zieloność.

ROZDZIAŁ CLVII. DZIECKO BEZ OJCA

Dzień wstydu, ów groźny dzień nadchodził.

Andrea, pomimo częstszych obecnie wizyt doktora Louis i troskliwej opieki Filipa, była coraz smutniejsza, jak skazani na śmierć, którzy wiedzą, że godzina kaźni bliska.

Strapiony brat często zastawał Andreę pogrążoną w myślach i trzęsącą się jak w gorączce. Nie płakała jednak. Niekiedy przez cały dzień nie odezwała się ni słowem, potem nagle wstawała i krążyła szybko po pokoju, jakby chciała, niczym Dydona, uciec przed sobą, przed udręką, która ją zabijała.

Pewnego wieczora, widząc, że jest bledsza niż zwykle, niespokojniejsza i bardziej roztrzęsiona, Filip posiał po lekarza z prośbą, ażeby przybył jeszcze tej nocy.

Był to dzień 29 listopada. Filip umiejętnie przeciągał rozmowę do późna, by nie kładła się jeszcze spać. Rozmawiali o sprawach najbardziej smutnych, nawet tych, których dziewczyna szczególnie obawiała się dotykać, tak jak zraniony boi się, by czyjeś niezgrabne, ciężkie dłonie nie dotknęły jego rany.

Siedzieli przy kominku. Służąca, śpiesząc po doktora do Wersalu, zapomniała zasunąć zazdrostek, toteż odbłask lampy i płonących na kominku szczap łagodnie rozświetlał widoczny za oknem kobierzec pierwszego śniegu tej zimy.

Filip upatrzył moment, gdy Andrea z lekka się uspokoiła i palnął bez ogródek:

— Siostrzyczko, czy postanowiłaś już?

— Co miałam postanowić? — spytała wzdychając. — W sprawie przyszłości twego dziecka? Andrea wstrząsnął dreszcz...

— Chwila się zbliża.

— Boże Najświętszy!

— I nie zdziwiłbym się, gdyby jutro-...

— Już jutro?

— Nawet dzisiaj, droga Andreo.

Andrea tak zbladła, że przestraszony Filip objął ją i pocałował w rękę.

Opanowała się jednak.

— Filipie, nie jestem obłudnicą. Dawniej umiałam nieźle odróżniać dobro od zła, teraz nie wiem, gdzie jest zło, odkąd przestałam wierzyć w dobro. Nie sądz mnie surowiej niżli obłąkaną, gdy ci powiem, co czuję i myślę.

— Cokolwiek, Andreo, powiesz bądź uczynisz, nie przestaniesz być dla mnie najukochańszą i najbardziej godną szacunku z kobiet na świecie.

— Dziękuję jedyny przyjacielu. Mam odwagę przyznać ci się, że niegodna jestem twego przywiązania. Będę matką, Filipie, ale Bóg chciał, przynajmniej tak myślę — dodała rumieniąc się — że macierzyństwo jest podobne do owocowania w roślinie. Owoc przychodzi dopiero po kwiecie. Podczas kwitnięcia roślina przygotowuje się, przeobraża. A zakwitanie — według mnie — to właśnie miłość.

— Masz słuszność, Andreo.

— Ja — mówiła dalej podniecając się coraz bardziej — ja nie przesłamałam ani okresu przygotowania ani przeobrażania. Jestem pod tym względem czymś nienormalnym, wyjątkiem. Nigdy nie kochałam. Nie wiem, co to żądza. Mam umysł i serce równie nierozbudzone jak ciało. A jednak... dziwne zrzędzenie losu. Bóg zsyła mi to, czego nie pragnęła, co mi nawet nie przechodziło przez myśl. Bóg nigdy nie daje rodzić owoców drzewu, które uczynił bezpłodnym. We mnie nie rozbudził nawet najsłabszych drgnień instynktu. Matka, która cierpi bóle porożowe, wie, z jakiego powodu, zgadza się na nie w duszy; a ja nic nie wiem; ja nie chcę, ja drzę na samą myśl o tym. Mnie się zdaje, że mam iść na szafot... Filipie, ja jestem wyklęta!

— Andreo! Siostro!

— Filipie — ja czuję, że nienawidzę tego dziecka. Och, tak, będę je nienawidziła przez całe życie. Nie zapomnę nigdy tego dnia, kiedy je po raz pierwszy uczułam w sobie. Matki cieszą się z tego, ja przeklinam. Jestem wyrodną matką, Filipie. Jestem przeklęta!

— Na litość boską; Andreo, uspokój się. Mówisz jak obłąkana, to twoje rodzone dziecko, ja już je kocham, bo ono twoje!

— Ty je kochasz? — krzyczała, sina ze złości. — Ty śmiesz mi mówić, że kochasz moją i twoją hańbę? Śmiesz mówić, że kochasz tę pamiątkę po zbrodniarzu, ten przyszyły jego obraz?

Filipie, mówiłam ci, ja nie jestem podła, nie jestem fałszywa, po prostu nienawidzę tego dziecka, bo ono nie moje, bo ja go nie wzywałam. Nienawidzę, bo może będzie podobne do ojca... do swego ojca!... Och, umrę kiedyś wymawiając to okropne imię! Boże wielki! — krzyknęła rzucając się na kolana — że też nie mogę go uśmiercić przy urodzeniu, bo Ty mu dałeś życie. Nie mogłam podnieść na siebie ręki, dopóki je nosiłam, bo Ty zabroniłeś samobójstwa, tak samo jak morderstwa. Ale proszę Cię, błagam, zaklinam, jeżeli jesteś sprawiedliwy... o Boże, Boże! Jeżeli jesteś miłosierny i jeżeli nie postanowiłeś, że mam umrzeć z rozpacz, Boże, zabierz to dziecko! Boże, zabij to dziecko! Uwolnij mnie od niego i zemścij się za mnie.

Nieszczęśliwa kobieta tłukła głową o marmur kominka mimo usiłowań Filipa, który objąwszy ją wpół odciągał i uspokajał.

Wtem drzwi się otwały i służąca wprowadziła doktora, i ten od razu odgadł, co się dzieje.

— Pani! — powiedział tonem kategorycznym, nie znoszącym sprzeciwu. — Przyśpieszasz tylko to, na co nie ma rady. Uspokój się i nie obawiaj cierpień, które wkrótce nastąpią. Nie są one aż tak straszne, jak je sobie wyobrażasz.

— A ty — zwrócił się do sługi — przygotuj wszystko to, co ci mówiłem!

— Panie — rzekł z kolei do Filipa — bądź rozsądniejszy od siostry. Zamiast podzielać jej spazmy, pomóż mi uspokoić panią.

Andrea podniosła się mocno zawstydzona; Filip posadził ją na krześle. Nagle chora poczerwieniała, ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, dłonie zacisnęły się kurczowo na poręczach i pierwszy krzyk bólu wyrwał się ze zbieleńszych warg.

— Histeria przyśpieszyła przesilenie — powiedział doktor. Teraz odejść pan do swego pokoju, panie de Taverney i nie trać odwagi.

Filip ze łzami w oczach zbliżył się do siostry, która objęła go za szyję, ścisnęła z całych sił i przycisnąwszy usta do lodowatych policzków młodzieńca szeptała:

— Żegnam cię! Żegnam cię! Żegnam cię!

Louis niemal przemocą rozdzielił dwoje nieszczęśliwców, posadził Andreę z powrotem na krześle, wyprowadził Filipa do drugiego pokoju, po czym zapuścił firanki, zasłaniając przed oczyma ludzkimi sprawę, która odbyć się miała już tylko między lekarzem a kobietą, między nimi obojgiem a Bogiem. O trzeciej nad ranem doktor otworzył drzwi, pod którymi kłął i błagał Filip.

— Twoja siostra powiła syna. Filip złożył ręce jak do modlitwy.

— Nie wchodź — rzekł doktor — śpi.

— Śpi... Och, doktorze! Czy tylko prawda, że śpi?

— Gdyby było inaczej, anons mój brzmiałby odmiennie: „Panie, syn stracił matkę”. Zresztą zobacz.

Filip ostrożnie wsunął głowę.

— Czy słyszysz jej oddech?

— Och, tak, tak! — szeptał półprzytomnie Filip, ściskając doktora za rękę.

— Teraz do rzeczy. Wiesz, że przyjęliśmy mamkę. Przejeżdżając przez Point-du-Jour, gdzie mieszka owa kobiecina, uprzedziłem ją, żeby była w pogotowiu. Ale ty sam, panie, musisz ją tu sprowadzić, tylko ciebie powinni widzieć. Skorzystaj zatem, że chora śpi i jedź powozem, którym przyjechałem.

— A ty, doktorze?

— Ja mam przy Place Royal chorego. Nie ma już nadziei... pleura... Chcę tę noc zakończyć u jego łóżka, dopilnować spożycia lekarstw i ich skutku.

— Ależ zimno, doktorze!...

— Mam płaszcz.

— Na ulicach niebezpiecznie!

— Dwadzieścia razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat napastowano mnie na ulicy. Odpowiadałem: „Przyjacielu, jestem lekarzem i idę do chorego. Jeśli chcesz wziąć mój płaszcz, bierz, ale nie zabijaj, bo chory beze mnie umrze.” I wierzysz pan? — Ten płaszcz służy mi już lat dwadzieścia.

— Poczcwy doktorze!... Więc do jutra, czy tak?

— Będę tu jutro o ósmej rano. A teraz żegnam. Doktor pouczył jeszcze służącą, jak ma postępować z panią.

Kazał dziecko położyć przy matce, ale Filip przypominając sobie niedawne uniesienie siostry, uprosił go, żeby tego nie robił. Więc Louis sam ułożył dziecko w pokoju służącej, po czym wyszedł śpiesznie na ulicę Montorgueil.

W tym samym czasie fiakr wioził Filipa w stronę Roule.

Służąca zasnęła na krześle, przy łóżku swej pani.

ROZDZIAŁ CLVIII. PORWANIE

Sen, który nadchodzi po ciężkich przejściach i wyczerpaniu, to sen dziwny. W czasie takiego snu umysł zdolny jest jednocześnie odczuwać błogość rozłąki z ciałem, na którym osłabienie przyłożyło jakby pieczęć śmierci; jednocześnie zaś nad tym ciałem czuć.

Andrea uświadomiwszy sobie, że żyje, otworzyła oczy i ujrzała tuż przy sobie śpiącą sługę. Potem usłyszała wesoły trzask ognia na kominku i zdała sobie sprawę, że w pokoju panuje zupełna cisza. Było to dla niej nadzwyczaj przyjemnym odkryciem. — Ta cisza to niejako przedłużenie stanu bezwładu, bezpieczeństwa i spokoju, który ją ogarnął. Ocknięcie świadomości, nie było tym samym, co przebudzenie, ale nie było już i snem. Andrea z rozkoszą przedłużała ten stan pośredni między drzemką a jawą, gdyż pozwalał on powracać myślom do znużonego mózgu — powoli, jedna po drugiej, jakby w obawie, że wtargnięcie wszystkich naraz byłoby dla niej zbyt raptowne i bolesne.

Nagle do uszu jej dobiegł szmer jakby zza ściany. Był daleki, słaby, ledwie dosłyszalny. Od tej chwili nie było już ani snu, ani wypoczynku; przypominała sobie, nienawidziła.

Ale siła uczuć odpowiada zwykle siłom cielesnym. Andrea nie była obecnie w stanie tak mocno nienawidzić, jak temu dała wyraz w rozmowie wieczornej z Filipem.

Krzyk dziecka wdarł się do jej świadomości, najpierw jako uczucie bólu, potem przykrości. Zapytywała samą siebie, czy Filip, zabierając od niej dziecko powodowany wrodzoną delikatnością, nie jest wykonawcą nazbyt okrutnej woli.

Myśl o złu, jakiego życzymy istocie żyjącej, nie budzi tęga sprzeciwu moralnego, co oglądanie tego zła na własne oczy.

Andrea, która nienawidziła dziecka niedostrzegalnego jeszcze, więc niejako abstraktu, Andrea, która pragnęła jego śmierci, wzruszyła się teraz usłyszawszy płacz maleństwa.

— Cierpi — pomyślała sobie i natychmiast zareplikowała — a cóż mnie tam mogą obchodzić jego płacze, mnie, najnieszczęśliwszą pod słońcem?

Dziecko zapłakało znów, tym razem jakoś wyraźniej i żałośniej.

Andrea ze zdziwieniem stwierdziła, że jest naprawdę zaniepokojona i że jakieś niewidzialne nici wiążą ją z tą bezradną, kwilącą istotką.

— Nie trzeba — pomyślała Andrea — żeby ta biedna kruszynka skarżyła się na mnie niebu. Róg umieścił w tych drobnych istotkach, za ledwie narodzonych, głos najwymowniejszy!.. Zabić je można, to jest uwolnić od cierpień, ale nie mamy prawa pozwalać im męczyć się. Gdyby takie prawo istniało, Bóg nie dałby im tak przejmującego głosu.

Andrea uniosła głowę i zawołała na sługę, ale jej słaby głos nie mógł przebudzić czerstwej wieśniaczki.

Dziecię przestało kwilić.

Na pewno — pomyślała Andrea — nadeszła mamka, bo słyszą skrzypnięcie drzwi w sąsiednim pokoju. Ktoś tam wszedł i dziecko już nie płacze. Obcy wziął je pod opiekę i zaspokoił jego prościutkie potrzeby. Ach, to jest więc jego prawdziwa matka, ta, która za kilkanaście talarów zaopiekuje się maleństwem. Dziecko, które wyszło z mego łona, odnalazło prawdziwszą matkę, a kiedyś to dziecko przechodząc koło mnie, która się tyle wycierpiałam, by mu dać życie, to dziecko nawet na mnie nie spojrzy i powie „mamo” do najemnej kobiety, szlachetniejszej w swym interesownym przywiązaniu, niż ja w mym słusznym gniewie.

— Nie, tak nie będzie... cierpiałam i okupiłam prawa matczyne spojrzenia na to dzieciątko; mam prawo wymagać od niego, żeby mnie kochało za moje poświęcenie się, za cierpienia. — Małgorzato, Małgorzato!

Służąca obudziła się z trudem, lecz ani drgnęła na krzesło, do którego przykuł ją isticie kamienny sen.

— Czy słyszysz? — szepnęła z wysiłkiem Andrea.

— Adyć słyszę, pani, słyszę — odpowiedziała Małgorzata, przyszedłszy wreszcie jako tako do przytomności i zbliżyła się do łóżka.

— Czy pani chce pić?

— Nie.

— A może chce wiedzieć, którą godzinę?

— Nie, nie.

I nie spuszczała oczu z drzwi do przyległego pokoju.

— A już wiem, pani pewnikiem chce wiedzieć, czy pan już wrócił?

W duszy Andrei toczyła się jeszcze walka między dumą a rodzącym się przywiązaniem.

— Chcę — powiedziała wreszcie — chcę... otwórz te drzwi, Małgorzato.

— Dobrze, pani. Ach, jaki tam ziąb, wiatr okrutny, że ha! Istotnie wiatr wtargnął do pokoju Andrei i zatrzęsł płomykami świec i lampy.

— Mamka musiała zostawić drzwi, bądź okno otwarte. Zobacz, Małgorzato, zobacz... Temu dziecku... musi być... zimno. ,

Małgorzata weszła do drugiego pokoju.

— Okryję go, pani.

— Nie, nie! — wyszeptała Andrea krótkim, przerywanym głosem. — Przynieś mi je tutaj.

Małgorzata zawróciła i stanęła na środku pokoju.

— Pani — powiedziała niepewnie — pan zakazał przynosić dziecko, aby nie marudziło. Pani ma spać.

— Przynieś mi natychmiast moje dziecko! — zawołała młoda kobieta z takim wybuchem uczucia, że było już oczywiste, że poczuła się w pełni matką, jednocześnie w oczach jej pojawiły się łzy, na których widok musieli się uśmiechnąć wysoko w błękitach anieli — opiekunowie maleńkich dzieci.

Małgorzata wbiegła do drugiego pokoju, a Andrea uniósłszy się na posłaniu, zakryła twarz rękami.

Służąca wróciła jednak natychmiast, a na jej twarzy widoczne było przerażenie.

— I cóż? — zapytała szybko Andrea.

— Ach, pani, ktoś tu musiał być.

— Jak to? Kto?

— Pani, dziecka nie ma.

— Słyszałam przed chwilą kroki... Gdyś spała, przyszła mamka i nie chciała cię budzić... Ale mój brat, gdzie jest? Skocz no do jego pokoju! Małgorzata znów wybiegła.

— Pani — nikogoj w pokoju nie ma.

— To bardzo dziwne — powiedziała Andrea, nie mogąc powstrzymać nagłego bicia serca — czyżby mój brat znów wyszedł bez zobaczenia się ze mną?

— Pani, pani! — zawołała nagle służąca.

— Co takiego?

— Drzwi od ulicy się otworzyły!

— Zobacz no, zobacz!

— Nasz pan powraca! Chodź pan, panie chodź!

Wszedł istotnie Filip, za nim wsunęła się wieśniaczka w grubej wełnianej chuście, uśmiechając się przypodchlebnie do pani domu uśmiechem, jakim zwykle najemnik wita nowego chlebobawcę.

— Siostrzyczko, siostrzyczko, już jestem! — wołał od progu Filip.

— Mój braciszku... Jakiś ty dobry... Tak mi przykro, że przysporzyłam ci... tyle kłopotów i przykrości... Ach, otóż i mamka... Bałam się, że już odeszła.

— Odeszła? Przecież dopiero przyszła.

— Powróciła, chciałeś powiedzieć. Słyszałam ją, gdy wychodziła, choć stąpała bardzo cicho.

— O czym ty mówisz, Andreo? Przecież nikt...

— Och, dziękuję ci, Filipie — mówiła Andrea, przyciągając go do siebie i wymawiając z wysiłkiem każdy wyraz — żeś sobie o mnie źle nie pomyślał i nie wywiozłeś dziecka. Bądź spokojny, braciszku, będę to dziecko kochała, moje dziecko.

Filip okrył pocałunkami twarz i ręce siostry.

— Powiedz mamce, żeby je przyniosła..

— Ależ panie! — zdziwiła się służąca. — Przecież pan dobrze wie, że dziecka nie ma?

— Jak to nie ma? O czym ty mówisz? — zawołał Filip. Andrea spojrzała na brata z przerażeniem. Młodzieniec pobiegł co tchu do pokoju służącej, spojrzął i krzyknął przeraźliwie...

Łóżko było puste.

Andrea mogła dokładnie obserwować ruchy i wyraz twarzy brata w zwierciadle, które wisało na wprost łóżka.

Wrócił błądy z rękoma bezradnie opuszczonymi.

Zrozumiała część strasznej prawdy.

Cichy jęk młodej matki odpowiedział jak echo na krzyk Filipa i Andrea opadła w omdleniu na poduszki.

Filip zabrał się energicznie do cucenia. Minęło sporo czasu, zanim otworzyła oczy.

— Dziecko? — wyszeptła. — Gdzie moje dziecko?

— Trzeba przede wszystkim ratować matkę — szepnął sam do siebie.

— Ach, siostrzyczko, siostrzyczko! Przecież myśmy zupełnie głowy potracili. Zapomnieliśmy, że nasz poczciwy doktor zabrał dzieciątko ze sobą.

— Doktor? — zawołała Andrea z niedowierzaniem i jednocześnie z jakąś rozpaczliwą nadzieją.

— Ależ tak! Tak jest, na pewno on! Och, głowy kapuściane!

— Filipie, przysięgnij mi!

— Najdroższa, przynajmniej ty jedna bądź rozsądna. Jak ty w ogóle możesz nawet przypuszczać, żeby dziecko zginęło? Ależ to śmieszne!

I zaśmiał się hałaśliwie, zawtórowała mu służąca i nie rozumiejąca zupełnie o co chodzi mamka. Andrea uniosła się na łożku.

— Ale przecież słyszałam... — powiedziała.

— Coś słyszała?

— Jakieś kroki.

Filipowi ciarki przeszły po grzbiecie.

— Niemożliwe, przecież spałaś.

— Nie, nie, wcale nie spałam. Słyszałam wyraźnie.

— A więc słyszałaś kroki doktora. Lękał się o zdrowie dziecka i przyszedł je zabrać. Mówił mi o tym.

— Chcesz mnie uspokoić?

— Ależ nie! Przecież to takie proste.

— Więc co ja mam tu właściwie do roboty — zdziwiła się mamka.

— Ach, prawda!... Doktor tam czeka na ciebie.

— Niemożliwe! — zawołała.

— Ach, nie nie. Pojechał po ciebie... O, o! Właśnie... właśnie!... Małgorzata spała tak twardo, że nic nie słyszała, co doktor do niej mówił.

Andrea opadła nieco uspokojona na pościel.

Filip odprawił mamkę i zalecił służącej, by czuwała nad panią. Potem widząc, że usnęła, wziął lampę i skrupulatnie obejrzał po kolei wszystkie drzwi i okna.

Drzwi do ogrodu stały otworem, na śniegu widać było wyraźnie odbicia czyichś stóp.

— Ślad męskiej nogi — zawołał. — Jezus, Maria! Dziecko porwali!

ROZDZIAŁ CLIX. WIEŚ HARAMONT

Siady stóp w śniegu były śladami Gilberta, który od ostatniej bytności u Balsamo wzmógł obserwację sąsiedniego pałacyku i przygotowywał swą zemstę.

Komplementami i drobnymi grzecznościami zupełnie zawojował panią Teresę.

Strategia nie była zbyt skomplikowana. Za owych trzydzieści sous dziennie, jakie Rousseau płacił mu za przepisywanie, oszczędny i mało wymagający Gilbert trzy razy w tygodniu odkładał jeden liwr i za tę sumę kupował Teresie jakiś drobny podarunek: a to wstążkę do czepca, a to jakieś łakocie, to znowu butelkę słodkiego wina. Poczciwa kobiecina bardzo czuła na wszystko, co głaskało jej smak i drobnutką próżność, skłonna była, w razie konieczności, zadowolić się okrzykami zachwyty, jakimi Gilbert przy posiłkach darzył jej kucharskie talenta.

Genewski filozof postarał się o dopuszczenie swego protegowanego do stołu, toteż Gilbert w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zaoszczędził aż dwa luidory kasy własnej, która spoczywała pod siennikiem obok dwudziestu tysięcy liwrów hrabiego de Foenix.

Jakaż siła woli, co za wytrwałość w dążeniu do celu.

Wstawszy o świcie, Gilbert zaczynał dzień od rzucenia nieomylnym okiem na dom rodziny de Taverney, by przekonać się, co tam słychać nowego. Nic wówczas nie ukryło się przed jego wzrokiem, ani piasek w ogrodzie, na którym dostrzegał ślady stóp Andrei, ani fałdy firanek bądź szczelnie, bądź znów tylko na wpół zasuniętych.

Sposób ich zasunięcia był dla Gilberta prognostykiem aktualnego usposobienia „kochanki.”

W dniach silniejszego przygnębienia Andrea odmawiała sobie nawet światła dziennego.

Gilbert wiedział więc, co się dzieje w jej duszy i co się dzieje w domu.

Znalazł także klucz do odgadywania celu wszelkich czynności Filipa i nie mylił się pod tym względem ani na jotę. Dokładnie zgadywał: kiedy i po co idzie, z czym powraca. Posunął swą drobiazgową troskliwość aż tak daleko, że udał się pewnego wieczora w ślad za Filipem aż do Wersalu, kiedy to ten odwiedzał doktora Louis. Wizyta w Wersalu mocno zaintrygowała „anioła-stróża”. Lecz gdy w dwa dni później zobaczył, jak doktor chyłkiem wchodzi do ogrodu od ulicy Coq-Héron, zagadka została rozwiązana.

Gilbert pamiętał daty i zdawał sobie sprawę, że chwila ziszczenia jego marzeń zbliża się. Z największą ostrożnością i przezornością przygotowywał swoje przedsięwzięcie połączone z wielkimi trudnościami i nad wyraz niebezpieczne.

Zwiedził okolice Paryża, wzięwszy w tym celu urlop na trzy do czterech dni. W tym czasie odwiedził również pewne niewielkie miasteczko, leżące o osiemnaście mil od Paryża i dokoła otoczone lasem. Miasteczko nazywało się Villers-Cotterets. Przybywszy na miejsce, udał się do miejscowego notariusza, nazwiskiem Niquet.

Gilbert przedstawił mu się jako syn intendenta pewnego wielkiego pana, który to wielki pan rzekomo darząc szczególnie łaskawymi względami dzieci jednej ze swych wieśniaczek polecił jemu, Gilbertowi, wyszukanie odpowiedniej mamki dla tegoż dziecka.

Jest wysoce prawdopodobne, że ów wielki, a słynny ze szczodroblowości pan, nie poprzestanie na sowitym wynagrodzeniu mamki, ale nadto złoży właśnie na ręce pana Niquet pewną sumę na zabezpieczenie przyszłości dziecka.

Pan Niquet, szczęśliwy ojciec trzech chłopców, polecił mu córkę mamki swych synów, zamieszkałą we wsi Haramont, o trzy mile od Villers-Cotterets. Córka po wyjściu za mąż również chętnie podejmuje się usług w tym zakresie.

Zacna owa kobiecina zwie się Magdalena Pitou, ma czteroletniego synka, zdrowego jak żrebak. Niedawno również odbyła szczęśliwie połóg. Jest więc do rozporządzenia Gilberta od dnia, gdy będzie uważał za stosowne przywieźć albo nadesłać dziecko.

Po zasięgnięciu wszechstronnych informacji i ułożeniu całej sprawy Gilbert, jak zawsze dokładny, powrócił do Paryża na dwie godziny przed upływem otrzymanego urlopu.

Można się jedynie zastanowić, dlaczego Gilbert dał pierwszeństwo miasteczku Villers-Cotterets przed tyloma podobnymi.

Ma to znów związek z osobą filozofa genewskiego.

Rousseau któregoś dnia wspominał o okolicach Villers-Cotterets jako o jednej nieprzerwanej puszczy. W tamtej szczych borach znajdowały się, według jego słów, trzy czy, cztery wioszczyzny dosłownie ukryte w matecznikach.

Trudno przypuścić, by ktoś mógł odnaleźć tam dziecko Gilberta.

Szczególnie silnie wryła się w pamięć Rousseau leśna wioska pod nazwą Haramont.

Rousseau — mizantrop, Rousseau — samotnik powtarzał co chwila:

— „Haramont — zabite deskami od świata. Haramont — odludzie. Tam można żyć i umrzeć po prostu jak ptak: kręcić się wśród gałęzi i ucichnąć pod stertą liści.”

Filozof ożywił się, opisywał słuchaczom szczegóły wnętrza chaty i malował im tak, jak to on tylko potrafił, wszystko, co składało się na życie tego cichego zakątka — od uśmiechu mamki do beku kozy, od apetycznego zapachu grubego kapuśniaku, aż po oszałamiające wonie dzikiej morwy i fioletowych zarośli.

— Tam pojedę — przyrzekał sobie w duchu Gilbert — dziecko moje będzie rosnęło w cieniu tych samych drzew, pod którymi wielki myśliciel wzdychał i marzył o naprawie świata.

Jakaż więc była jego radość, gdy pan Niquet jakby uprzedzając ciche życzenie chłopca wymienił Haramont jako wioskę wybornie odpowiadającą warunkom.

Powróciwszy do Paryża Gilbert zajął się wynajęciem kabrioletu. Kabriolet nie był zbyt elegancki, ale mocny, a p to przecież głównie chodziło. Konie przysadziste, woźnica — drab niezgrabny. Tym lepiej, bo taki ekwipaż nie zwróci na siebie uwagi.

Historyjka Gilberta nie budziła najmniejszych wątpliwości w panu Niquet. Chłopiec mówił z dużą pewnością siebie, w swym nowym ubraniu prezentował się wcale nieźle — mógł z powodzeniem uchodzić za syna intendenta z dobrego domu bądź za przebranego kamerdynera jakiegoś księcia czy para.

Właściciel kabrioletu przyjął również zwierzenia chłopca za dobrą monetę; był to czas znacznej poufałości w tego rodzaju sprawach między ludem a szlachtą: przyjmowano pieniądze z pewną skwapliwą wdzięcznością nie pytając, co ani jak. Przy tym dwa luidory w owej epoce warte były tyle, co dzisiejsze cztery, a cztery luidory dobrze jest przecież mieć.

Eskapada ta miała dla młodego człowieka wielkie powaby, jakie wyobrażnia — poetów i filozofów — owe dwie czarodziejki, przyodziane w całkowicie odmienne stroje, przydają sprawom wzniosłym i słusznym uczynom.

Odebrać dziecko srogiej matce, posiąć zamęt i rozpacz w nieprzyjacielskim obozie, potem zaś z uśmiechem dobroci wejść do chaty wieśniaków — tak zacnych, jak ich przedstawiał mistrz, złożyć na kolebce dziecka sporą sumę i uchodzić w oczach tych biednych ludzi za jakieś bóstwo opiekuńcze, za jakąś ważną osobę — cóż więcej trzeba dla nasycenia dumy, gniewu, miłości bliźniego i nienawiści do nieprzyjaciół.

Wreszcie dzień fatalny nadszedł.

Nadszedł po dziesięciu innych dniach, które Gilbert przepędził w najwyższym niepokoju, po dziesięciu bezsennych nocach. Pomimo przejmującego zimna sypiał przy otwartym oknie, każde poruszenie Andrei czy Filipa docierało do jego uszu podobnie jak dociera do dzwonka ruch ręki, która szarpnęła za sznurek.

Ostatniego wieczora zaobserwował jakąś długą rozmowę brata i siostry. Andrea raptownie zerwała się z krzesła, za chwilę ujrzał służącą, wybiegającą śpiesznie z domu.

Gilbert pobiegł co tchu po kabriolet. Stał pod stajnią przez cały czas, gdy zaprzęgano. Tupął nogami w bruk, by powściągnąć szalejącą w nim niecierpliwość. Wreszcie woźnica wskoczył na konia, Gilbert — do kabrioletu. Dojechali do małej pustej uliczki, niedaleko hal targowych. Tam kazał woźnicy przystanąć i czekać cierpliwie.

Za czym powrócił na poddasze, napisał list pożegnalny do Rousseau i kwieciście uprzejmy do pani Teresy, tłumacząc swój nagły wyjazd otrzymaniem niewielkiego spadku na południu Francji. Obiecał, że powróci, uchylając się jednak od podania jakichś zobowiązujących terminów.

Następnie wsadził pieniądze w kieszeń, długi nóż ogrodniczy w rękaw; już miał się spuścić po rynnie do ogrodu, lecz nagle zmienił zamiar.

Śnieg... Ogród zasłany był śniegiem. Gilbert zaprzątnięty przygotowaniami ostatnich dni przeoczył tę właśnie okoliczność. Na śniegu dostrzegą jego ślady. Ślady dotrą przecież do murów domku Rousseau. Nagłe zniknięcie Gilberta dopowie resztę. W ten sposób wszystko się wyda.

Trzeba było obejść ulicę Coq-Heron i dostać się do ogrodu przez furtkę. Klucz do niej miał Gilbert w kieszeni już od miesiąca. Stąd do pałacyku rodziny Taverney już tylko zaledwie trzy kroki. Gilbert nie tracił ani sekundy czasu; przybiegł akurat w tym momencie, gdy nadjechał doktor.

Chłopiec skrył się za węglem pałacu, blisko oranżerii.

Była to chyba najstraszniejsza noc jego życia. Słyszał wszystko — krzyki, jęki, a nawet pierwszy płacz swego syna. I nie czuł wcale, że z czarnego nieba spada nań obficie gęsty i zimny śnieg.

Serce mu dzwoniło na żelazie noża, który z rozpaczą przyciskał do piersi; rozszerzone oczy świeciły jak ogień.

Nareszcie doktor wyszedł, nareszcie Filip zamienił z doktorem kilka pożegnalnych zdań.

Wtedy Gilbert zbliżył się do żaluzji, znacząc świeże ślady na śniegu, w który zapadał do kostek. Zajrzał do pokoju. Andrea leżała w łóżku — spała. Obok rozpostarta na krześle Magdalena — również drzemała. Dziecka w pokoju nie było.

Natychmiast zrozumiał, dlaczego. Otworzył wytrychem drzwi do pokoju Nicole i po omacku szukał dziecka na jej łóżku. Nieostrożnie dotknął twarzy dziecka zlodowaciałymi palcami. Wtedy dziecko krzyknęło i Andrea ten krzyk usłyszała. Owinąwszy noworodka wełnianą kołdrą, wziął go z sobą. Drzwi zostawił uchylone w obawie, by ich skrzyp nie rozbudził służącej. W minutę później dostał się na ulicę, dobiegł do kabrioletu. Spędził woźnicę, który wewnątrz spał jak zarżnięty i spuszczając skórzaną firankę zakrzyknął:

— Dostaniesz jeszcze pół luidora, jeśli za kwadrans minie my rogatki.
Konie tego podkute ruszyły cwałem.

ROZDZIAŁ CLX. RODZINA PITOU

Podczas tej podróży wszystko przerażało Gilberta. Turkot mijanych bądź dopędzających ich wozów, wiatr szumiący wśród zeschniętych gałęzi — wydawał mu się to pogonią, to znów krzykiem tych, którym wydarł dziecko.

Jednak wszystko układało się pomyślnie. Woźnica spisywał się gracko i spienione konie dotarły przed świtem, o godzinie wyznaczonej przez Gilberta, do Dommartin. Gilbert dał woźnicy przybiecane pół luidora, zmienił konie i puścił się w dalszą drogę. Przez ostatnią część podróży dziecko troskliwie owinięte kołdrą i otulone nie czuło wcale zimna i zachowywało się spokojnie.

Gdy dzień nastał, Gilbert spostrzegł z daleka jakąś wioskę. To mu dodało otuchy, a ponieważ dziecko zaczynało kwilić, zanucił mu jedną z odwiecznych piosenek, jakie śpiewano w Taverney podczas powrotu z polowania. Skrzypienie osi i resorów, brzęk żelastwa w całym powozie, orkiestra dzwonek na uprzęży — wszystko to wtórowało mu po szatańsku, a i sam pocztylion na dokładkę wyśpiewywał długie strofy jakiejś mocno buntowniczej burboneski. Wskutek tego hałasu poczciwina nie domyślał się nawet, że Gilbert wiezie w kabriolecie dziecko.

Zatrzymał konie pod miasteczkiem Villers-Cotterets, otrzymał zapłatę według umowy, nadto talar sześcioletni tryngieltu i Gilbert, wzięwszy swój ciężar starannie owinięty kołdrą, zanuciwszy przy tym możliwie najgłośniejszą piosenkę, oddalił się szybko, przeskoczył rów i zniknął na ścieżce obsypanej liśćmi, która zbiegała w dół, skręcając na lewo od traktu w stronę wioski Haramont.

Było mroźno. Śnieg od kilku godzin przestał padać; ziemia twarda, pokryta była ciemnym zielskiem i jakimiś krzakami o długich łodygach. Nad głową czerniały ogromne drzewa, w tej chwili smutne, ogołoczone z liści. Poprzez suche gałęzie przebierał bledy błękit dziwnie mglistego nieba.

Mroźne powietrze, zapach dębiny, perły lodu zawieszane na czubkach gałęzi — cała ta swoboda, spokój, poezja natury — żywo oddziaływały na wyobraźnię młodego człowieka.

Przeszedł spiesznym i pewnym krokiem jakiś niewielki wawóz, nie potykał się, nie zastanawiał. Widział już z daleka dzwonnice wioski i siwy dym unoszący się nad kominami. Nie minęło pół godziny, jak przeszedł strumyk opasany wyżółkłym bluszczem i rzeżuchą, i w pierwszej z brzegu chacie poprosił dzieci, by zaprowadziły go do Magdaleny Pitou.

Milczące i poważne, lecz nie bezmyślne i ogłupiałe, jak w tylu innych wioskach, dzieci wieśniacze podniosły się zerknąwszy ciekawie na nieznanego i zaprowadziły go trzymając się przez cały czas za ręce aż do obszernej, dobrze się prezentującej chaty, która stała tuż nad brzegiem strumienia.

Strumień toczył wody przezroczyste, wezbrane nieco od rozpuszczonego śniegu. Drewniany mostek, to znaczy gruba deska, łączył ścieżkę ze schodkami wyciosanymi w ziemi, które prowadziły do drzwi chaty.

Jedno z dzieci ruchem głowy wskazało Gilbertowi, że to tutaj.

— Czy tu? — upewnił się Gilbert.

Dziecko kiwnęło poważnie główką i znów nie rzekło ani słowa.

— Magdalena Pitou? — raz jeszcze zapytał Gilbert. Dziecko kiwnęło po raz trzeci; wtedy przeszedł mostek i zapukał do chaty, a mali przewodnicy znów wzięwszy się za ręce przyglądali mu się z zaciekawieniem, jakież to może mieć interes do Magdaleny ten śliczny pan w pięknym ubraniu i w trzewikach z błyszczącymi sprzączkami.

Poza dziećmi Gilbert nie zauważył we wsi ani żywego ducha. Haramont było rzeczywiście tak bardzo dlań pożądanym odludziem.

Drzwi otworzyły się i oto młody adept filozofii ujrzał przed sobą scenę pełną ujmującego wdzięku. Młoda, krzepka wieśniaczka karmiła zdrowe, kilkumiesięczne dziecko, u kolan jej kręcił się rześki chłopczyk — mógł mieć cztery, najwyżej pięć lat — i odmawiał głośno pacierz.

Przy kominie, blisko okna, a raczej wybitego w murze otworu, przedła druga chłopka, wyglądająca na jakieś trzydzieści pięć lat. Na prawo od niej stał kołowrotek, nogi miała oparte o drewniany stołeczek, na którym drzemał wtuliwszy pysk między łapy biały pudel.

Psiak spostrzegłszy Gilberta zaszczekał dość grzecznie i gościnnie, tyle właśnie, ile potrzeba dla okazania swej czujności.

Dziecko mówiące pacierz zamilkło w pół „ojczenasz”, a dwie kobiety wydały okrzyk ni to zdziwienia, ni radości.

Gilbert uśmiechnął się.

— Witam panią Magdalenę! — powiedział przyjaźnie.

— Pan zna moje imię? — spytała kobieta zdumiona.

— Jak pani widzi, ale nie przeszkadzaj pani sobie, bardzo proszę. Zamiast jednego dziecka, będziesz miała dwoje do karmienia.

I położył swego syna w kolebkę chłopskiego niemowlęcia.

— Ach... co za śliczne dziecko! — zawołała kobieta.

— Rzeczywiście — dodała druga z uśmiechem.

— Ta pani jest pewnie siostrą...

— Tak, panie, to moja siostra — odrzekła Magdalena.

— A moja ciocia — dodał rezolutnie chłopcaś.

— Cicho bądź — rzekła matka — przeszkadzasz panu.

— To, co pani proponuję, jest bardzo, niestety, zwykłą sprawą. Chodzi tu o dziecko zrujnowanego dzierżawcy mego pana, który będąc krewnym biedaka, zajmuje się jego losem. i pragnie, aby wychował się na wsi i został dobrym rolnikiem... — Czy może pani zaopiekować się dzieckiem?

— Ależ tak, panie...

— Urodziło się wczoraj, nie miało jeszcze mamki — przerwał Gilbert. — Jest to dziecko, o którym pani zapewne już wspominał pan Niquet.

Magdalena wyjęła małego z kołyski i podsunęła mu pierś z dobrocią, która wzruszyła ojca do głębi.

— Nie oszukano mnie — rzekł — jesteś pani uczciwą kobietą; chłopczyka tego powierzę pani. Ile płacił miesięcznie pan Niquet?

— Dwanaście liwrów, ale pan Niquet jest bogaty; nieraz przysyłał także po kilka liwrów na cukier.

— Matko Magdaleno — oświadczył nie bez dumy Gilbert — to dziecko płacić wam będzie dwadzieścia liwrów miesięcznie, co wyniesie dwieście czterdzieści rocznie.

— O, Jezusie! — zawołała kobieta, klasnąwszy w dłonie. — Dziękuję panu.

— A to zapłata za pierwszy rok — i Gilbert położył na stole dziesięć pięknych luidorów.

Kobiety patrzyły z nabożeństwem na świecące pieniądze, tylko mały „aniołek” Pitou sięgnął po nie drapieżnie rączką.

— A jeżeli dziecko umrze? — spytała mamka.

— Byłoby to straszne nieszczęście, które mam nadzieję, nie nastąpi. Zatem rachunek już zapłacony, czyście zadowolone?

— O!... tak, panie!

— To dopiero zapłata za rok jeden, dalej...

— Więc dziecko u nas pozostanie?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie zastąpimy mu rodziców. Gilbert zbladł.

— Tak — wyjął stłumionym głosem.

— Więc to biedactwo jest zupełnie opuszczone?

Gilbert nie był przygotowany na tego rodzaju pytanie. Musiał się opanować. Po chwili zmienionym głosem powiedział:

— Zapomniałem wam oznajmić: ojciec tego dziecka umarł ze zmartwienia.

Kobiety były wyraźnie wzruszone.

— A matka?

— O!... Matka! Matka!... To dziecko nie powinno nigdy liczyć na matkę — wybełkotał Gilbert.

Dalszą rozmowę przerwało wejście wracającego z pola ojca Pitou. Był to człowiek znany z uczciwości; czerstwa twarz przypominała wieśniaków z obrazów Greuze'a.

Kobiety w kilku słowach opowiedziały mu całą sprawę. Gilbert dodał, że chce zapłacić za cały czas, dopóki dziecko nie wyrośnie na dzielnego chłopca.

— Zgoda — odparł Pitou — ładne maleństwo.

— Chodźże więc pan ze mną do pana Niquet, złożę u niego należną sumę.

Ojciec Pitou wstał z ławy. Gilbert pożegnał się z kobietami i nachylił się nad kołyską maleństwa. Zdawało mu się, że dziecko już jest podobne do Andrei. Z całych sił zatrzymał łzy, cisnące mu się do oczu; złożył na brwiach synka nieśmiały pocałunek i cofnął się. Nogi ugiwały się pod nim,

Pitou oczekiwał już na progę.

Gilbert ofiarował małemu Pitou luidora i wyszedł błogosławiony przez kobiety.

Cała ta scena zbyt wstrząsnęła osiemnastoletnim ojcem; rozdrażniony był do najwyższego stopnia.

— Chodźmy, ojczel!... — odezwał się porywczo do Pitou.

— A no, to chodźmy. Udali się w drogę.

— Panie!... Panie! — zawołała Magdalena.

— Co się stało? — spytał Gilbert.

— Jak się nazywa dziecko?

— Gilbert! — odparł po chwili z dumą młodzieniec.

ROZDZIAŁ CLXI. ODJAZD

Pan Niquet szybko uporał się z formalnościami. Gilbert zdeponował u niego w imieniu własnym dwadzieścia tysięcy liwrow: na koszt utrzymania i wychowania dziecka — pięćset liwrow rocznie razy piętnaście; reszta miała być obrócona na kupno ziemi, gdy chłopiec dojdzie do lat.

Zabezpieczywszy los dziecka Gilbert pomyślał i o przybranych rodzicach. Ustalił, że syn po dojściu do pełnoletności wypłaci małżonkom Pitou dwa tysiące czterysta liwrow. Do tego zaś czasu procenty od sumy będzie pobierał pan Niquet jako pokrycie kosztów manipulacyjnych.

Gilbert wziął formalne pokwitowanie na zdeponowaną sumę od pana Niquet i za odbiór dziecka — od ojca Pitou. Następnie Pitou poświadczył podpis pana Niquet, a pan Niquet podpis ojca Pitou.

Po tych czynnościach, które trwały do południa, mógł Gilbert wyruszyć w drogę powrotną, pożegnawszy zarówno pana Niquet — zdumionego i zachwyconego jednocześnie niezwykle u tak młodego człowieka rozgarnięciem, jak i ojca Pitou — uradowanego nagłym wzbogaceniem.

Gdy mijał ostatnie zabudowania Haramont, uświadomił sobie nagle, że dziś wziął ostateczny rozbrat z dotychczasowym życiem nieodpowiedzialnego chłopca; stał się już mężczyzną, mężczyzną, który ma za sobą czyn wielkiej wagi, jeden z tych, które ludzie mogą określić jako zbrodnię, a Bóg — pokarać.

Niełatwo przyszło mu wyrwać się z objęć zacnego pana Niquet, który go aż tu odprowadził, zaręczał o gorącej przyjaźni i nęcił rozlicznymi propozycjami.

Jakże kapryśny jest umysł człowieka! Jak słaba natura ludzka! Im silniejszą posiada on wolę, tym rychlej włożywszy wiele trudów w wykonanie przedsięwzięcia, zatrzyma się i zaczyna mierzyć odległość, jaka go dzieli od pierwszego kroku. Największą nawet odwagę w takich chwilach ogarnia niepokój i człowiek zapytuje samego siebie, jak Juliusz Cezar: „Zali słusznie uczyniłem, przechodząc Rubikon?”

Gilbert, zostawszy sam, ostatni raz rzucił okiem na czerwonawe konary drzew, spoza których widać było już tylko dzwonnice.

chaty; tam na stołku przy kominie zasypiał, ani wiedząc, że wzeszły już gwiazdy.

Umiał zręcznie zmyślić cel podróży:

— Wracam, do mego wuja, do Rouen. Od Villers-Cottexets idę pieszo, ot, tak, dla przyjemności.

Nikt nie wątpił w prawdę jego słów, w tych czasach książka była dostateczną rekomendacją.

Czasami jednak dziwiono się tej wyprawie. Gilbert nie tracił fantazji i opowiadał naiwnym wieśniakom, iż udaje się do seminarium.

Szedł tak dni osiem, podczas których żył jak wieśniak i potrzebował zaledwie dwudziestu kilku sous dziennie.

Przybył do Rouen znużony, ale pełen nadziei. Książka, którą trzymał pod pachą, była to „Nowa Heloiza” — Rousseau'a. Ofiarował mu ją autor z miłą dedykacją na tytułowej karcie. Gilbert wydarł tę kartkę, schował ją starannie, a książkę sprzedał księgarzowi za trzy liwry.

W ten sposób w ciągu trzech dni dotarł do Havru, gdzie po raz pierwszy w życiu zobaczył morze.

Stało czerwone w blaskach zachodzącego słońca.

Jego buciki były w rozpaczliwym stanie. Wyglądały dość cudacznie przy jedwabnych pończochach, które z gracją wciągał, gdy wypadało przechodzić przez miasto. Toteż pończoszki sprzedał, a raczej wymienił na grube, ale całe obuwie. Nie było eleganckie, ale czy to już teraz takie ważne!

Ostatnią noc spędził w Harfleur. Tej nocy odpoczął po długiej podróży i jechał w obojętnej po raz pierwszy w życia ostrygi.

— To przysmak bogatych — pomyślał — Bóg dał i mnie go skosztować — najbiedniejszemu z ludzi. Bóg jest dobry, tylko ludzie źli i skrzywdzili jego dzieło, jak mówi pan Rousseau.

O dziesiątej z rana, dnia 13 grudnia Gilbert wszedł do portu, gdzie ujrzał „Adonisa” — piękny statek, o trzystu beczkach załadunku, kołyszący się w przystani.

Port był pusty.

— Gdzie kapitan? — zapytał majtka.

Majtka oddalił się. Wkrótce powrócił.

— Proszę wejść.

Zaprowadzono Gilberta do małego pokoiku o ścianach z mahoniem, umeblowanego z najściślejszą prostotą.

Młody, zaledwie trzydziestoletni mężczyzna, blady i nerwowy, wstał na jego spotkanie. Gilbert dał mu do zrozumienia, ażeby oddalił majtka.

— Czego pan sobie życzy?

— Czy pan jesteś kapitanem „Adonisa”? — zapytał Gilbert.

— Tak, panie.

— Zatem do pana zaadresowany jest ten papier. I podał mu pismo hrabiego Balsamo.

Zaledwie kapitan przeczytał bilecik, podał rękę Gilbertowi i rzekł z uśmiechem:

— A! I pan także?... Taki młody?... Dobrze.

— Dokąd się pan udaje?

— Do Ameryki.

— Kiedy?

— Naturalnie — wtedy, kiedy i pan.

— Zatem za osiem dni.

— Cóż będę robił przez ten czas, kapitanie?

— Czy masz pan paszport?

— Nie.

— A więc przychodź jeszcze dziś wieczorem na statek. Cały dzień może się pan przechadzać, tylko nie po mieście,

na przykład po Saint-Adresse. Tylko nie mów z nikim.

— Muszę jeść, a nie mam pieniędzy.

— Będziesz pan jadł tutaj.

— Później?

— Pozostaniesz pan na „Adonisie”, a gdy wyjedziemy na pełne morze, będziesz bezpieczny. Załatw pan dzisiaj wszystko.

— Muszę napisać list.

— Napisz pan.

— Ale gdzie?

— O, tu, na tym stole... oto papier, pióro; majtek zanieś list na pocztę.

— Dziękuję, kapitanie.

Gilbert pozostawszy sam, napisał list i wypisał na kopercie następujący adres:

„Panna Andrea de Taverney. Paryż, ulica Coq-Héron Nr 9, pierwsza brama od ulicy Platriere”. Następnie zjadł obiad razem z kapitanem, po czym wyszedł z majtkiem na pocztę i oddał list.

Cały dzień błąkał się po okolicy, długo spozierał na morze z nadbrzeżnych skał, a gdy zapadła noc wrócił do portu. Kapitan już czekał na niego i skrycie zaprowadził na statek,

ROZDZIAŁ CLXII. OSTATNIE POŻEGNANIE

Filip nie zmrzążył przez całą noc oka.

Ktoś ukradł dziecko, ale kto? Filip znał dobrze pana de Taverney. Pewny był, że baron podejrzewa Ludwika XV o ojcostwo tego dziecka. Niewątpliwie zależało mu jak najbardziej na utrzymaniu przy życiu żywego dowodu niewierności króla wobec pani Dubarry. Baron miał zapewne nadzieję, iż Andrea wróci do łaski i otrzyma sute wiano za cały wypadek.

Filip był przekonany, że pan de Taverney wywiózł dziecko. O ósmej rano czatował na doktora przed domem, a gdy ten nadszedł — przechadzając się z nim tam i z powrotem opowiedział o całym wydarzeniu. Doktor Louis był człowiekiem roztroprnym, miał zdrowy sąd o rzeczach. Przyjrzał się uważnie śladom na śniegu, lecz i on nic więcej nie mógł wymyślić nad to, co przypuszczał Filip.

— A czy nie uczynił tego ojciec dziecka?

— Och, nie — zawołał Filip — porzuć nawet tę myśl, doktorze; ten nieszczęsny hołysz, skądżeby mógł wyżywić syna? To kiepski wariat; zapewne uciekł gdzieś daleko; musi się teraz bać własnego cienia; może już nawet marnie zginął, choć nie przyłożyłem do tego ręki.

— A więc wyłączamy tę możliwość.

— Drogi, jedyny nasz przyjacielu, musisz zgodzić się na kłamstwo: trzeba uspokoić Andreę; powiedz jej, doktorze, iż będąc niespokojny o zdrowie jej syna, zabrałeś go ze sobą w nocy. Tak jej właśnie powiedziałem i tego się już trzeba trzymać.

— Dobrze, powiem jej to, ale pan musisz zająć się odszukaniem dziecka.

— Ja opuszczę Francję; Andrea wstąpi do klasztoru w Saint-Denis; wtedy pojedę do pana de Taverney; oświadczę, że wiem wszystko i zmuszę go, aby oddał dziecko pod groźbą powiadomienia o wszystkim madame Dauphine.

— A co pan uczynisz z dzieckiem, jeżeli je odnajdziesz?

— Oddam na wychowanie mamce, którą mi pan zarekomendujesz, później poślę do kolegium, a gdy dorosnie, zabiorę z sobą.

— I pan sądzisz, iż matka opuści pana i dziecko?

— Andrea z pewnością zgodzi się na wszystko, co ja zechcę, zresztą mówiłem jej o obietnicy następczyni tronu, więc już nie zmieni poprzedniego zamiaru.

— Chodźmy teraz do biednej matki — rzekł doktor. Andrea spała cichutko.

Pierwsze jej pytanie zaspokoili doktor z wesołą miną, powtórzył słowo w słowo wymysł Filipa.

Młoda kobieta uspokoiła się i szybko wracała do zdrowia, a po dziesięciu dniach wstała z łóżka.

Tego samego dnia Filip powrócił z Taverney. Doktor znajdował się właśnie u Andrei.

Korzystając z nieobecności pacjentki, która przechadzała się po oranżerii, doktor przybiegł do Filipa.

— I cóż? — zapytał ciekawie.

Młodzieniec miał minę tak zrozpaczoną, że doktor momentalnie zrozumiał, iż przynosi nowiny niedobre.

— Ojciec nabawił się złośliwej febry, leży w łóżku, ma silną gorączkę — odrzekł Filip. — Początkowo myślałem, że udaje, nie zważałem więc wcale na jego stan, nalegałem, groziłem. Pan de Taverney przysiągł mi na Chrystusa, iż nie wie o niczym.

— A więc nadal tajemnica nie wyjaśniona.

— Tak.

— Przekonany pan jesteś o prawdziwości słów barona?

— Prawie.

— O, pan baron nie łatwo da sobie wydrzeć sekret.

— Groziłem, iż wyznam wszystko Jej Królewskiej Wysokości.

Ojciec zbladł i odrzekł: — Zgub mnie, jeśli pragniesz, zhańb mnie i siebie, kiedyś oszalał; ja nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Więc...

— Więc jestem w rozpacz.

W tej chwili Filip usłyszał głos siostry.

— Czy to Filip powrócił?

— Wielki Boże! To ona... Co jej mam powiedzieć?

— Cicho! — szepnął doktor.

Andrea weszła do pokoju i uściskała brata z radością, która zupełnie już Filipa dobiła.

— Skąd wracasz? — spytała.

— Od pana barona...

— Jakże się miewa?

— Dobrze, dobrze... Andreo, widziałem się z osobami, które ci ułatwią wstęp do klasztoru. Bogu dzięki, jesteś już zdrowa, możesz trochę pomyśleć o sobie.

Andrea zbliżyła się do brata.

— Drogie bracie — rzekła z ujmującą prostotą — moja przyszłość nie obchodzi mnie już nic a nic, myślę teraz o przyszłości dziecka; poświęcę się dla synka. Tak sobie postanowiłam. Będę żyć dla niego, pracować, jeśli trzeba, ale nie opuszczę go. Nie chcę klasztoru, byłabym sobkiem; należą już do kogoś, Bóg mnie nie potrzebuje!

Doktor spojrział na Filipa, oczy jego zdawały się mówić:

— A co — nie mówiłem?

— Siostrze droga, siostrze, co mówisz? — zawołał Filip.

— Nie obwiniaj mnie, braciszku, to nie kaprys słabej i próżnej kobiety, zresztą nie będę niczego od ciebie wymagać.

— Ależ... Andreo, ja nie mogę pozostać we Francji!... Nie mam majątku. Wyjechałbym spokojny o ciebie wiedząc, że jesteś w klasztorze, ale jak mogę cię pozostawić samą, skazać na pracę?... Andreo...

— Przewidziałam wszystko... Kocham cię z całego serca, Filipie, wiesz o tym, będę płakać po tobie, tęsknić, ale nie odstąpię kołyski syna.

— To szaleństwo! — przerwał doktor.

— Ach, dobry doktorze, cóż chcesz? Matka bywa szaloną, a to szaleństwo zesłał na mnie Bóg. Dopóki to dziecko będzie potrzebowało opieki, będę przy nim.

Filip zamienił z doktorem przerażone spojrzenie.

— Moje dziecko — odezwał się doktor — nie jestem wymownym kaznodzieją, ale to wiem, że Bóg zabrania takiego przywiązania do kogokolwiek.

— Tak jest, Andreo — dorzucił Filip.

— Wszak Bóg nie zabrania matce kochać dziecka.

— Przebac mi, dziecko i słuchaj: we wszystkim szukajmy przyczyny, nie tylko moralnej, ale i materialnej. Bóg zabrania matce przywiązywać się tak bardzo do dziecka, bo to jeszcze roślina słaba i delikatna, wystawiona na zło i cierpienia; kochać więc tak słabą istotkę jest to narażać się na rozpacz.

— Doktorze — szepnęła Andrea — po co mi mówisz o tym? Dlaczegoś taki błąd, Filipie?

— Droga moja — przerwał młodzieniec — posłuchaj mojej rady; jesteś już zdrowsza, wstęp do klasztoru.

— Ja!... Mówiłam ci już raz, że nie opuszczę mojego syna.

— Dopóki będzie cię potrzebował, dziecko moje — rzekł doktor wymawiając z naciskiem każde słowo.

— Mój Boże! — krzyknęła młoda kobieta. — Coś się stało okropnego? Mówcie.

— Ostrożnie — szepnął doktor do ucha Filipowi — biedna kobieta jest jeszcze bardzo osłabiona.

— Nie odpowiadasz mi bracie. OL.

— Wiesz, iż przeszedłem przez Point-des-Jour, gdzie twój syn jest u mamki.

— Wiem... cóż dalej?

— Otóż... dziecko jest słabe...

— Słabe? Drogie maleństwo. Prędkiej, Małgorzato... Małgorzato... powóz! Pojadę do niego!

— Niepodobieństwo! — zawołał doktor. — Jeszcze nie wolno pani wychodzić, a tym bardziej jechać.

— A mówiłeś mi pan przed godziną, że już mogę, mówiłeś... że zobaczę mego syna, gdy Filip powróci...

— Uspokajałem panią tylko...

— Oszukałeś mnie pan! Doktor milczał.

— Małgorzato! — wołała Andrea. — Cóż to, nikt mnie nie słucha! Powóz!

— Ależ to ci grozi śmiercią — przerwał Filip.

— Więc umrę!... tak mało mi zależy na życiu!

Służąca spoglądała bezradnie to na panią, to na doktora, nie wiedząc kogo ma słuchać.

— Rozkazuję ci iść po powóz! Słyszysz? — krzyknęła młoda kobieta, czerwona ze wzburzenia.

— Ależ, siostrzyczko!

— Nie słucham, jeśli nie będzie powozu, pójdę pieszo.

— Andreo!..., najdroższa moja, nie pojedziesz! — błagał Filip, przyciskając siostrę do piersi. — Nie potrzebujesz jechać.

— Moje dziecko nie żyje! — zawołała kobieta i padła na fotel jak martwa.

Filip ukląkł przy niej.

Po chwili Andrea wróciła do przytomności, spuściła głowę na piersi i zaczęła cicho płakać.

— Pan Bóg jest wielki i sprawiedliwy — odezwał się Filip — Bóg chciał inaczej, może dlatego, że wiedział, iż widok tego dziecka byłby dla ciebie nie zasłużoną katuszą.

— Ależ — westchnęła biedna matka — po cóż Bóg pozwolił cierpieć tej niewinnej kruszynie?

— Nie cierpiało wcale — odrzekł doktor — umarło w kilka godzin po urodzeniu. Przemknęło przez świat jak cień.

— A ten płacz?

— To było ostatnie pożegnanie.

Andrea nie pytała już o nic. Obaj mężczyźni odetchnęli, Małgorzata weszła i podała Filipowi list... list, zaadresowany do panny Taverney...

Filip pokazał list doktorowi, ponad głową siostry.

— Kto to może pisać, od kogo ten list? — myślał Filip. — Nikt nie zna naszego adresu, a to nie jest pismo ojca.

— Andreo, list do ciebie — oznajmił głośno.

Bez namysłu i nawet bez zdumienia młoda kobieta przedarła kopertę, otarła oczy i otworzyła złożony arkusz papieru. Zaledwie przeczytała trzy wiersze — krzyknęła przeraźliwie, zachwiała się i padła na ręce Małgorzaty.

Filip podniósł list i przeczytał, co następuje:

*„Morze, 15 grudnia 17.....
Odjeżdżam, wypędzony przez ciebie, nie zobaczysz mnie już, ale
zabieram moje dziecko, które nigdy nie nazwie cię, matką.
Gilbert”.*

Filip zgniółł papier ze wściekłością.

— Och!... — zawołał, zgrzytając zębami. — A ja mu prawie przebaczyłem. Ale to już za wiele; to zbrodnia rozmyślna, przygotowana, nie przypadek... Na wszystko, co najświętsze, na moją miłość dla Andrei przysięgam, że zabiję tego nędznika przy pierwszym spotkaniu!... A Pan Bóg pozwoli mi go spotkać... bo przebrała się miara... doktorze, czy Andrea opamięta się?...

— Bądź pan spokojny.

— Doktorze, Andrea jutro musi wstąpić do klasztoru, pojutrze muszę być w najbliższym porcie morskim... Łotr... uciek przed nami... dogonię go... muszę odzyskać dziecko...

Doktorze, jaki jest najbliższy port morski?

— Havre.

— Za trzydzieści godzin będę w Havre — powiedział twardo Filip.

ROZDZIAŁ CLXIII. NA OKRĘCIE

Od tej chwili w domu Filipa i Andrei zaległa cmentarna cisza. Wiadomość o śmierci dziecka mogła wpędzić Andreeę do grobu. Głuchy, skrywany ból, bezustannie podkopując zdrowie i siły, powoli by ją zadławił. Ale list Gilberta był tak gwałtownym ciosem, że obudził w szlachetnej kobiecie dawną dumę i dzielność.

Gdy tylko ocknęła się z omdlenia, odszukała oczyma twarz brata; wyczytała w niej gniew i to jej dodało odwagi. Teraz już tylko czekała aż siły wrócą na tyle, by głos nie drżał i nie załamywał się.

Po chwili wzięwszy Filipa za rękę powiedziała spokojnie:

— Wspomniałeś dziś rano o klasztorze w Saint-Denis, gdzie królowna raczy mi udzielić celi.

— Tak, Andreo.

— Zawieź mnie tam dziś jeszcze.

— Dobrze, Andreo.

— Doktorze! Jak ci się odwdzięczę za tyle serca, współczucia i poświęcenia? Za to na ziemi nie ma nagrody.

Podeszła do wzruszonego pana Louis i ucałowała go.

— Doktorze, w tym medalioniku jest — o, zobacz! — mój konterfekcik. Gdy miałam dwa lata, mama kazała go namalować. Mój synek musi być chyba podobny do mnie z tej miniaturki. Weź go, zacny przyjacielu. Niech ci przypomina o dziecku, które wyprowadziłeś na świat i o matce, co winna ci życie.

Natychmiast po tej rozmowie Andrea zajęła się przygotowaniami do drogi i tegoż dnia, o szóstej wieczorem przeszła ze spuszczoną głową furką parlatorium klasztoru w Saint-Denis.

Filip stał samotnie po drugiej stronie kraty i na próżno usiłował zachować się, jak przystało na dzielnego mężczyznę.

Nagle biedaczkę opuściły siły. Spieszenie zawróciła i wyciągnęła ręce przez kraty.

On także.

Uścisnęli się raz jeszcze poprzez zimne żelaza; łzy ich zmieszały się ze sobą.

— Bądź zdrow, bądź zdrow! — powtarzała zanosząc się od płaczu.

— Bądź zdrowa! — odpowiedział z rozpaczą w głosie.

— Jeżeli znajdziesz synka — zniżyła głos do szeptu — przyjedź z nim. Nie chciałabym umrzeć wprawdzie nie pocałowawszy go.

— Bądź spokojna... Żegnam cię, żegnam!

Andrea wyrwała się z rąk brata i opierając się o ramię zakonniczki, odchodziła coraz dalej i dalej, oglądając się za siebie i patrząc nań z głębi mrocznego korytarza.

Dopóki mógł ją dojrzeć, dawał znaki ręką, potem chustką. Wreszcie ostatni pożegnalny trzepot ręki przesłany spod niskiego sklepienia i oto żelazne drzwi zapadły się pomiędzy nimi z żalobnym łoskotem, i wszystko się skończyło.

Filip wynajął karetkę pocztową i wzięwszy ze sobą mantelsak, pędził całą noc i cały dzień następny; dopiero następnej nocy dotarł do Havre. Zatrzymał się w pierwszej napotkanej gospodzie, a nazajutrz o świcie rozpytywał w porcie, jaki statek odpływa najwcześniej do Ameryki.

Powiedziano mu, że bryg „Adonis” wyrusza jeszcze dziś do New-Yorku.

Filip udał się do kapitana, który czynił ostatnie przygotowania przed podróżą; opłacił takse i wpisany został na listę pasażerów.

Potem wystosował ostatni list do Jej Wysokości z wyrazami hołdu i wdzięczności, odesłał rzeczy do swojej kajutki i w momencie odpływu morza udał się na statek.

Gdy na zegarze wieży Franciszka I wydzwoniła godzina czwarta, „Adonis” wypłynął z portu.

Morze było koloru granatowego, niebo czerwone. Filip wsparty o poręcz, ukłoniwszy się paru towarzyszom podróży, żegnał oczyma brzegi Francji. Okrywała je fioletowa mgła, która coraz to bardziej gęstniała, w miarę jak bryg rozpinając wciąż nowe żagle brał kurs na prawo. Statek mknął coraz szybciej; wyminał Havre i wypłynął na pełne morze.

Wkrótce Filip przestał dostrzegać cokolwiek i nie widział ani dalekich brzegów, ani pasażerów, ani oceanu. Wszystko okryła posępnyymi skrzydłami czarna, nieprzenikniona noc.

Filip odszedł do kajuty i położywszy się odczytywał kopię listu wysłanego dzisiaj do następczyni tronu. List można było uważać za suplikę i za pożegnanie.

Madame! — pisał w nim. — Człowiek bez nadziei i bez oparcia oddala się od ciebie, pani, z żalem, iż tak niewiele uczynił dla przyszłej Waszej Królewskiej Mości Człowiek ten powierza się burzom oceanu, gdy ty, o pani, narażona jesteś na sroższe burze i niebezpieczeństwa panowania. Młoda, piękna, uwielbiana, otoczona przyjaciółmi i ubóstwiającymi sługami — rychło zapomnisz o tym, kogo Monarsza Twoja dłoń raczyła podźwignąć nad tłum. Ja — natomiast — nigdy o tobie, Pani, nie zapomnę. Udaję się do Nowego Świata, iżbym nauczył się służyć ci tym pożytecznie, gdy zasiądziesz na majestacie.

Polecam opiece twojej, pani, siostrę moją, biedny, wędzący kwiatusek, który nie będzie miał innego ciepła, krom słońca twoich spojrzeń. Racz niekiedy zniżyć się do niej. I na łonie radości, potęgi i powszechnej miłości ubóstwiających cię poddanych — pamiętaj — o to także cię proszę i zaklinam! — że błogosławić cię będzie wygnaniec o którym może już nie usłyszysz i który — być może — więcej cię nie ujrzy”.

Ostatnie zdanie czytał ze ściśniętym gardłem. Melancholijny łoskot okrętu, jęk lin, szura bałwanów rozbijających się o burty — wszystko to stwarzało nastrój zdolny zasmęcić wesołą nawet wyobraźnię.

Długo i smutnie ciągnęła się pierwsza noc Filipa na morzu.

Nie pocieszyły go odwiedziny kapitana, który przyszedł zapytać, jak się czuje.

Kapitan oświadczył, że większość pasażerów lęka się morza i nie wychodzi z kajut, że droga będzie krótka, ale przykra z powodu gwałtownego wiatru.

Podróż przebiegała jednostajnie. Dzień następny podobny był do poprzedniego. Filip jadał obiady razem z kapitanem. Śniadania u siebie w kajucie.

Czując, że nie jest dostatecznie zahartowany na trudy morskiej podróży, spędzał po kilka godzin na pokładzie, leżąc na swym płaszczu oficerskim. Resztę czasu spędzał na snuciu projektów i lekturze.

Niekiedy spotykał na pokładzie towarzyszy podróży. Były to dwie damy, które jechały do Ameryki Północnej po odbiór sukcesji i czterech mężczyzn, w tym starzec z dwoma dorosłymi synami. I to już wszyscy pasażerowie pierwszej klasy.

Prócz nich widywał Filip kilku ludzi o twarzach pospolitych, ubranych dosyć lichy. Nic w nich nie znalazł godniejszego uwagi.

W miarę jak przyzwyczajenie zmniejszało morskie dolegliwości, Filip rozpogadzał się, podobnie zresztą jak niebo.

Nastaly teraz dni piękne, słoneczne i dziwnie spokojne. Był to znak, że statek zbliża się do strefy ciepła. Pasażerowie dłużej przebywali na pokładzie.

Czasami nocą Filip, który postanowił z nikim nie zawierać znajomości i nawet kapitanowi nie wyjawiał swego nazwiska, aby nie stwarzać okazji do poruszania niemiłych dlań tematów — słyszał ze swej kajuty odgłos stapania na górze i szmer rozmów, które kapitan prowadził z jakimś pasażerem. W takich chwilach nie chciał wychodzić na pokład, otwierał tylko okienko, by odetchnąć świeżym, słonym powietrzem i czekał ranka.

Pewnego razu, nie słysząc kroków na pomoście, postanowił przejść się.

Noc była ciemna, niebo zachmurzone. Z tyłu, za rufą pełgały miliardy jakichś fosforycznych światełek.

Noc była prawdopodobnie zbyt czarna i burzliwa, jak na gusta podróżnych, gdyż Filip nie dostrzegł nikogo obok kajuty oficerskiej. Jedynie z przodu, koło rudła, drzemał czy też zamyślił się jakiś podróżny, zdaje się, pasażer drugiej klasy.

Trudno go było dostrzec w ciemności.

Był to zapewne jakiś biedny emigrant, wypatrujący z niecierpliwością brzegów Nowego Świata, podczas gdy Filip tęsknił za Francją.

Długo przyglądał się nieznanemu, którego twarzy nie mógł dojrzeć.

Niebo poszarzało nieco na wschodzie; nadpłynął przejmujący chłód poranny. Filip już miał wracać do kajuty, gdy słysząc za sobą kroki kapitana, zatrzymał się.

— Zażywasz pan świeżego powietrza, kapitanie?

— O, ja wstaję wcześniej.

— Ale i tak pasażerowie pana wyprzedzają, jak widzisz?
— Chyba tylko pan, oficerowie wstają razem z marynarzami.
— Ech, nie tylko ja — rzekł Filip — o widzisz pan, ktoś tam siedzi, patrz jak to się zamyślił... Czy to też któryś z pańskich pasażerów?
Kapitan spojrział i jakby się zmieszał.
— Kto to taki? — spytał Filip.
— To jakiś kupiec — odpowiedział kapitan, trochę niepewnie.
— Co goni za majątkiem? — roześmiał się Filip. — Dla takiego na pewno pański bryg zbyt wolno żegluję?
Kapitan zamiast odpowiedzieć, podszedł do nieznanego i szepnął mu kilka słów.
Po chwili kupca nie było już na pokładzie.
— Przeszkodziłeś mi pan dumać — powiedział Filip z wyrzutem — przecież on mi wcale nie przeszkadzał.
— Nie, panie, uprzedziłem go, że chłód poranny niebezpieczny jest na tych szerokościach. Pasażerowie drugiej klasy; nie mają tak ciepłych płaszców, jak pan.
— Gdzie się obecnie znajdujemy?
— Jutro zobaczymy Wyspy Azorskie. Przy jednej z nich zarzucimy kotwicę. Trzeba odnowić zapas wody, gdyż wjechaliśmy w strefę upałów.

ROZDZIAŁ CLXIV. WYSPY AZORSKIE

Istotnie, dokładnie o tej samej godzinie, o której wspominał kapitan, dostrzeżono daleko, daleko, na skraju horyzontu, w oślepiających blaskach słońca zarysy jakiegoś lądu. Były to Wyspy Azorskie.

Wiatr dał pomyślny, toteż bryg poruszał się szybko i około godziny trzeciej znaleźli się w pobliżu wysp.

Filip podziwiał wysokie szczyty górskie o najdziwniejszych kształtach, zębate skały poczerniałe od wybuchów wulkanicznego ognia, zawrotne przepaście — krajobraz posępny i groźny. Dotarłszy do pierwszej z wysp na odległość strzału armatniego, bryg stanął i załoga przygotowywała się do lądowania, by uzupełnić na polecenie kapitana zapasy wody.

Podróżni wiele sobie obiecywali po postoju. Możliwość postawienia nogi na stałym lądzie po dwudziestu dniach i dwudziestu nocach morskiego wojażu to rozkosz, o jakiej pojęcia nie mają ci, którzy nie przedsiębrali dalekich podróży.

— Panowie — rzekł kapitan do pasażerów, widząc, że się wahają — macie pięć godzin czasu na zwiedzenie wyspy. Skorzystajcie z okazji. Znajdziecie na tej małej, bezludnej wysepce źródła wrzącej i lodowatej wody — jeśli jesteście naturalistami; zaś moc królików i czerwonych kurobatek, jeśli jesteście zawołanymi myśliwymi.

Filip wziął strzelbę, kulę i śrut.

— A ty, kapitanie — spytał Filip — zostajesz? "Dlaczego nie chcesz jechać z nami?"

— Bo tam — odpowiedział oficer, wskazując na morze — nadchodzi jakaś brygantyna, która mi się mocno nie podoba; od czterech dni płynie za mną jak cień; ma „złą minę”, jak powiedziałem i muszę mieć ją na oku.

Filip poprzestawszy na wyjaśnieniu wsiadł w ostatnią łódkę i popłynął do wyspy.

Kobiety i garść mężczyzn nie odważyli się płynąć, bądź czekali na drugą kolejkę. Odpłynęły zatem dwie łodzie z wesołymi majtkami i jeszcze weselszymi pasażerami.

Na odjeźdźnym kapitan raz jeszcze przypomniał:

— O godzinie ósmej ostatnia łódź zabierze panów. Pamiętajcie o tym. Kto się spóźni, zostanie.

Gdy już wszyscy, zarówno naturaliści, jak i zawołani myśliwi — szczęśliwie wylądowali, marynarze weszli do groty znajdującej się o jakieś sto kroków od brzegu.

Źródło wody chłodnej, przezroczystej i wybornej w smaku prześlizgiwało się wśród omszałych skał i wnet ginęło, nie wynurzając się nawet z groty, w miążskim, wydumowym piasku. Majtkowie zatrzymali się i napełniwszy beczki, toczyli je zwolna pod sam brzeg.

Filip obserwował ich pracę.

Było mu dziwnie przyjemnie stać w szarawym cieniu groty i wsłuchiwać się w łagodny szmer wody, spływającej niewielkimi kaskadami w dół.

Z początku wydawało mu się, że w grocie jest zupełnie ciemno i że panuje w niej dokuczliwy chłód. Po chwili jednak stwierdził, iż wprost przeciwnie, temperatura jest łagodna, a ciemności rozprasza nikłe, jakby tajemnicze światło.

Zdziwiło go to.

Z wyciągniętymi przed siebie rękoma, objając się o skały szedł po omacku za marynarzami, nie widząc zgoła nic. Z czasem jednak każda postać, każda twarz zarysowywała się przed nim zupełnie wyraźnie, niemal ostro.

Filipowi bardziej dogadzało światło tej groty niż blask nieba, jaskrawy i osłepiający na tych szerokościach.

Słyszał oddalające się głosy towarzyszy.

Jeden czy dwa wystrzały targnęły echem od strony gór; potem wszystko ucichło i Filip został sam, Marynarze skończyli swą robotę i nie mieli już po co wracać do groty.

Filip znęcony urokiem samotności położył się na miękkim piasku, oparł o skałę wymoszczoną wonnymi ziołami i pogrążył w rozmyślaniach.

Tak upływały godziny. Zapomniał o bożym świecie. Obok niego leżała beczynnienie nabita strzelba; żeby zaś wygodniej było leżeć, wyjął z kieszeni pistolety, z którymi nigdy się nie rozstawał.

Cała przeszłość stanęła mu przed oczyma — nadciągnęła powoli, uroczyście, jak przestroga, czy wyrzut. Cała przyszłość odlatywała w dal jak klucze płochliwych dzikich ptaków, które niekiedy dotykamy wzrokiem, ale ręką nigdy.

Gdy tak rozmyślał, inni, może o sto kroków od niego, niewątpliwie również zastanawiali się, śmieli, budowali zamki na lodzie. Czuł ten ruch mimo woli i kilkakrotnie zdawało mu się, że usłyszał plusk wioseł — znak, iż łodzie przywożą na brzeg, bądź odwożą z powrotem pasażerów — jednych mających dość wólczeży, drugich — chcących jej z kolei zakosztować.

Lecz nikt nie przerywał jego rozmyślań. Jedni nie zauważyli go, wsuwając głowę do groty, inni zauważywszy, nie chcieli mu widocznie przeszkadzać.

Nagle jakiś niepewny, bojaźliwy cień stanął na progu skalnym między światłem a jaskinią. Filip spostrzegł, że ktoś się zbliża powoli z rękoma wyciągniętymi przed siebie, jak się zdaje, znęcony szmerem wody.

W pewnym momencie nieznajomy pośliznął się na trawie i zawadził o wystającą skałę.

Filip zerwał się i podał przybyszowi rękę, chcąc pomóc mu przejść.

— O, tędy, tędy — rzekł uprzejmie — woda jest z tej strony, panie.

Na ten głos nieznajomy podniósł nagle głowę, chciał coś powiedzieć... W tym momencie głowa jego znalazła się w smudze nikłego światła.

Filip krzyknął przeraźliwie i cofnął się o krok. Nieznajomy również wydał okrzyk i odskoczył do tyłu.

— Gilbert!

— Filip!

Te dwa słowa zabrzmiały równocześnie, jak grzmot podziemny. Potem słychać było odgłosy szamotania i walki. Filip chwycił Gilberta oburącz za gardło i ciągnął w głąb jaskini.

Gilbert nie stawiał oporu i dał się wlec bez słowa.

— Ha, nędzniku, mam cię przecież! — wrzasnął Filip. — Bóg wydał cię w moje ręce... Bóg sprawiedliwy.

Gilbert zsiniały stał bez ruchu, ręce opuścił wzdłuż ciała.

— Och, podły! Och, zbrodniarzu, nie ma nawet w tobie instynktu obronnego, jaki każde zwierzę posiada. Broń się!

Lecz Gilbert odpowiedział jakimś nieprawdopodobnie łagodnym głosem:

— Bronić się! Po co?

— Słusznie mówisz! Dobrze wiesz, że i tak jesteś w mojej mocy, że zasłużyłeś na najokrutniejszą karę. Wszystkie twoje zbrodnie są dowiedzione. Zhańbiłeś kobietę i do grobu ją wpędzasz nieludzkim podstępem! Nie dość ci było zgwałcić dziewczynę, jeszcze chciałeś zamordować matkę!

Gilbert nic nie odpowiedział.

Filip rzucił się na niego w nowym ataku wściekłości.

Gilbert nie bronił się.

— Chyba nie jesteś człowiekiem — krzyczał Filip, aż wyjął ze złości — masz tylko twarz ludzką! Jak to? Nie bronisz się? Przecież ja cię duszę. Broń się! Opieraj się! Łotrze! Tchórze! Morderco!

Gilbert uczył, że ostre paznokcie wroga wbijają mu się w krtań; wyprostował się i z lwią siłą, jednym poruszeniem ramion odrzucił Filipa daleko w tył.

— Widzisz? — powiedział. — Mógłbym się bronić, gdybym tylko chciał; ale po co mi to? Chwytasz za strzelbę? — Strzelaj; wolę być zastrzelony od razu, niż szarpany paznokciami.

Filip rzeczywiście podniósł strzelbę, ale teraz cisnął nią o ziemię.

— Nie! — szepnął i dodał głośno: — Dokąd jedziesz? Skąd się tu wzięłeś?

— Jadę „Adonisem”.

— Kryłeś się więc! Widziałeś mnie?

— Nie wiedziałem wcale, że znajdujesz się na statku.

— Kłamiesz!

— Nie kłamię.

— Więc dlaczego cię nie widziałem?

— Bo tylko w nocy wychodzę na pokład.

— A więc kryłeś się!

— Tak.

— Przede mną?

— Oświadczam, że nie. Jadę do Ameryki z poufną misją i nikt nie powinien mnie widzieć. Kapitan dał mi nawet osobną kajutę.

— Gdzie dziecko?

— Dziecko? — powtórzył cicho Gilbert.

— Tak, wykradłeś je i wywoziłeś, żeby ukuć broń przeciwko nam, żeby ciągnąć z tego jakieś zyski, ach ty nikczemniku!

Gilbert podniósł głowę.

— Zabrałem dziecko, żeby je nikt nie nauczył pogardzać ojcem lub zaprzec się go.

— Gdyby to była prawda, gdybym wierzył w to, co mówisz, wyglądałoby, że nie jesteś aż takim złoczyńcą, jak sądziłem. Ale jak ci mogę wierzyć! Jeśli umiesz kraść, dlaczego miałbyś nie umieć kłamać?

— Nie ukradłem!

— Skradłeś dziecko!

— Zabrałem, mojego syna. Nie kradnie ten, kto zabiera swą własność.

— Słuchaj — rzekł znów Filip trzęsąc się z gniewu. — Przed chwilą chciałem cię zabić. Ślubowałem Bogu i miałem do tego prawo.

Gilbert milczał.

— Ale teraz Bóg mnie oświecił. Bóg skrzyżował nasze drogi, jakby chciał mnie przekonać, że zemsta nie daje pożytku. Nie trzeba się mścić, chyba że Bóg tak chce... Nie, nie, nie zabiję cię. Zburzę tylko gmach nieszczęścia, jaki wymurowałeś. Musisz mi natychmiast oddać dziecko.

— Dziecka nie ma na okręcie. Nikt nie zabiera na morze noworodka, który ma piętnaście dni.

— Przecież musiałeś znaleźć dla niego mamkę, więc dlaczego byś nie miał jej wziąć ze sobą?

— Oświadczam, że nie zabrałem ze sobą dziecka.

— A więc zostawiłeś je we Francji. Gdzie zostawiłeś? Gilbert milczał.

— Odpowiadaj! Słyszysz? Odpowiadaj! Gdzie zostawiłeś dziecko i skąd masz środki na jego utrzymanie?

Gilbert milczał.

— Ach, nikczemny! Drwisz ze mnie! Nie lękasz się, że znowu mogę wpaść we wściekłość? Czy wreszcie powiesz, gdzie jest dziecko mojej siostry? Czy oddasz je?

— Moje dziecko do mnie należy — odpowiedział cicho, lecz stanowczo Gilbert.

— Zbrodniarzu, sam gotujesz sobie śmierć.

— Nie chcę oddać mojego syna.

— Gilbercie, słuchaj mnie, mówię do ciebie łagodnie; postaram się zapomnieć o przeszłości, przebaczę ci, Gilbercie. Czy rozumiesz tę wielkoduszność?... Przebaczam ci... Przebaczam całą hańbę i nieszczęście, jakie zważyłeś na nasz dom. Przebaczam ci. To jest naprawdę wielka ofiara z mej strony... Oddaj dziecko! Czy chcesz może jeszcze czegoś więcej? Czy chcesz? — Spróbuję przekonać Andreego... Może przełamie w sobie słuszny wstręt do ciebie. Chcesz, to się wstawię za tobą... Dobrze? Uczynię to... oddaj mi dziecko... Jeszcze słowo... Andrea kocha swego syna... twojego syna, do szaleństwa, wzruszy się twoim żalem; przyrzekam ci to, zobowiązuję się, ale oddaj mi dziecko, Gilbercie! Oddaj!

Gilbert skrzyżował ręce na piersiach i utkwiał w twarzy Filipa oczy, w których gorzał jakiś posepny płomień.

— Nie wierzyłeś mi — odpowiedział. — Teraz ja ci nie wierzę; nie dlatego, żebym wątpił w twoją uczciwość, ale poznałem do głębi całą otchłań przesądów twojej kasty. Z mojej drogi nie ma powrotu... Jesteśmy śmiertelnymi wrogami i nie możemy sobie nawzajem przebaczać. Ty jesteś silniejszy, więc bądź zwycięzcą. Nie żądam od ciebie twojej broni, nie żądam i ty mojej.

— Więc przyznajesz, że to ma być broń?

— Tak, broń przeciwko pogardzie! Tak, broń przeciw niewdzięczności! Tak, broń przeciwko obelgom!

— Jeszcze raz powtarzam — krzyknął Filip z pianą na ustach — oddasz?

— Nie!

— Strzeż się!

— Nie oddam.

— Nie chcę cię zamordować; Ty mnie zabij, mnie, brata Andrei. Jedna zbrodnia więcej. Ach, to ci zapewne będzie odpowiadać. Bierz pistolet; oto drugi. Liczmy — każdy do trzech: raz, dwa, trzy i pa!

I rzucił jeden z dwóch pistoletów pod nogi Gilberta.

Gilbert stał bez ruchu.

— Pojedynek — powiedział. — Nie, to mi właśnie nie odpowiada.

— Wolisz więc, żebym cię zamordował — zawołał Filip, tracąc przytomność ze wściekłości i rozpacz.

— Wolę, żebyś mnie zabił.

— Zastanów się... przecież ja głowę tracę.

— Już się zastanowiłem.

— Słuszność po mojej stronie! Bóg mi przebaczy.

— Wiem o tym... zabij mnie.

— Po raz ostatni pytam: czy chcesz się bić?

— Nie.

— Nie chcesz się bronić?

— Nie chcę.

— A więc giń, jak zbrodniarz, giń, jak świętokradca, giń jak rozbójnik, giń jak... pies!

I Filip strzelił z pistoletu w pierś Gilberta. Chłopiec wyciągnął ręce, przechylił się zrazu do tyłu, potem naprzód i upadł na twarz, nie wydawszy jęku.

Filip uczył pod nogami piasek mokry od krwi. Zrobiło mu się ciemno w oczach. Jak oszalały wybiegł z jaskini.

Na brzegu czekała łódź. Zapowiedziano odjazd statku na godzinę ósmą, a było już kilka minut po ósmej.

— Ach, nareszcie pan jesteś! — ucieszyli się majtkowie. — Jesteś ostatni. Wszyscy już dawno wrócili na pokład... Cóż pan ustrzelił?

Filip usłyszawszy to słowo, zemdłał.

Zanieśli go na statek, który już podnosił kotwicę.

— Czy wszyscy wrócili? — zapytał kapitan.

— Ostatniego podróżnego przywieźliśmy, musiał gdzieś upaść i potłuc się, bo zemdłał.

Kapitan dał rozkaz do odjazdu i bryg szybko zaczął się oddalać od Wysp Azorskich.

W tej chwili właśnie nadjechał nieznany statek, który tak niepokoił kapitana.

Statek wywiesił banderę amerykańską.

Kapitan „Adonisa” porozumiał się za pomocą sygnałów z owym okrętem i uspokojony przynajmniej pozornie, wziął kurs na zachód.

Wkrótce statek zniknął w ciemnościach nocy.

Dopiero nazajutrz spostrzeżono brak jednego pasażera.

EPILOG DZIEŃ 9 MAJA

Dnia 9 maja 1774 roku o godzinie ósmej wieczorem Wersal był widownią nadzwyczaj ciekawych i fascynujących wydarzeń.

Pierwszego dnia tegoż miesiąca zapadł ciężko na zdrowiu miłościwie panujący Jego Królewska Mość Ludwik XV.

Lekarze -taili z początku przed monarchą prawdę o powadze tej słabości. Najjaśniejszy Pan leżał złożony niemocą i niespokojnie rozglądał się, po obecnych, czy wyczyta z oczu wyrok, czy nadzieję.

Doktor Bordeu orzekł, że król zachorował na wyjątkowo złośliwą odmianę ospy.

Doktor La Martinière, który takąż samą postawił diagnozę, był zdania, że należy natychmiast oznajmić pomazańcowi pańskiemu całą prawdą, by mógł w porę obmyślić — jako król i chrześcijanin — wszelkie materialne i duchowe środki niezbędne dla zbawienia własnego tudzież królestwa.

Arcychrześcijański monarcha,— twierdził doktor — powinien przyjąć Ostatnie Olejem Świętym Namaszczenie.

Stanowisko La Martiniere'a zgodne było w tej mierze z życzeniami stronnictwa Delfina, czyli opozycji. Bordeu nie podzielał poglądu kolegi, przeciwnie, zdecydowanie mu się przeciwstawił, twierdząc, że ujawnienie królowi prawdy przyspieszy zgon i że on nie ma najmniejszego zamiaru brać za to odpowiedzialności.

Stanowisko Bordeu zgodne było w tej mierze z życzeniami hrabiny Dubarry.

Istotnie, przywołanie do łoża królewskiego religii było jednoznaczne z przepędzeniem faworyty. Gdy-Bóg wchodzi jednymi drzwiami, szatan winien pierzchnąć drugimi.

Podczas gdy lekarze toczyli ze sobą wojnę domową, druga zaś wojna, podobna, postawiła w przeciwnych obozach członków rodziny królewskiej i koterie — choroba rozgościła się na dobre w ciele starym, wycieńczonym i otęchłym, a rozgościła się tak bezczelnie, że ani medykamenty, ani jakiegokolwiek zabiegi nie mogły jej wyrugować.

W początkach choroby wynikłej na skutek zbyt rozwiązłego trybu życia Najjaśniejszego Pana, do czego madame Dubarry usłużną przyłożyła rączkę, stanęły przy łożu chorego dwie córki, faworyta i garść najbliższych dworaków. Stroili żarty; nie tracili jeszcze nadziei.

Nagle w sieniach Wersalu ukazała się groźna, złowieszcza postać królowy Ludwika.

Opuściła ona surową celę klasztoru Saint-Denis, aby przynieść ojcu słowa duchowej pociechy.

Weszła posępna ł biała jak posąg Przeznaczenia.

Nie by ta już w tej chwili córką królewską, czy siostrą swoich sióstr — była podobna do prorokiń starożytności, co przybywały do weselących się królów ze słowami biada! biada! Weszła do komnaty sypialnej w momencie, gdy Jego Królewska Mość całował ręce hrabiny Dubarry i przykładał je pieszczotliwie do rozpalonego czoła i rozognionych gorączką policzków.

Na jej widok wszyscy puciekali: dygocące z przerażenia, siostry do przyległego pokoju, pani Dubarry — do swoich apartamentów, najbliżsi dworacy — do kordergardy, jedyniedwaj lekarze stanęli wyprostowani przy kominku.

— Moja córka — rzekł cicho król, otwierając oczy, które ból i gorączka nieustannie przymykały.

— Tak, twoja, córka, Wasza Królewska Mość — powiedziała królowa.

— Przyszłaś?...

— W imieniu Boga!

Król uniósł się na łożu starając się uśmiechnąć.

— Zapominasz o Bogu — powiedziała królowa Ludwika.

— Ja?

— Ja ci o nim przypominam.

— Cóрко, nie jestem tak bliski śmierci, jak może przypuszczasz i nie widzę potrzeby tak pilnego przygotowywania się do niej. Choroba moja niezbyt ciężka: bóle w krzyżu i lekkie zapalenie...

— Choroba twoja, Najjaśniejszy Panie, jest tego rodzaju, że według etykiety zgromadzić powinna przy łożu Waszej Królewskiej Mości wysokich prałatów tego królestwa. Winienes natychmiast przyjąć Sakramenta Święte.

— Cóрко — zawołał król mocno zmieszany — co ty mówisz?

— Powiadam — mówiła dalej królowna tym samym tonem — że Wasza Królewska Mość masz ospę.

Król krzyknął:

— Medycy mówili co innego.

— Nie odważyli się. Oczekuje Waszej Królewskiej Mości inne królestwo niżeli Królestwo Francuskie. Poleć się Bogu, Najjaśniejszy Panie i przebiegnij myślą wszystkie swoje lata.

— Ospa — szeptał słabym głosem pomazaniec pański — ospa — choroba śmiertelna!... Bordeu, La Martiniere, zali to prawda?

Obaj lekarze milcząc spuścili głowy.

— Więc ja umieram? — powiedział król bardziej przestraszony niż kiedykolwiek w życiu.

— Wyleczyć się można z każdej choroby, Najjaśniejszy Panie — rzekł Bordeu — zwłaszcza jeśli się zachowa pogodę ducha.

— Pogodę ducha i ratunek cielesny daje Bóg — rzekła królowna.

— Wasza Królewska Wysokość — odezwał się śmiało Bordeu — pani zabijesz króla!

Królowna nie raczyła odpowiedzieć. Podeszła do chorego i całując go w rękę, mówiła dalej:

— Rozstań się z przeszłością, ojczyzno i daj dobry, przykład twym ludom. Nikt cię nie ostrzegał; groziła ci zguba na wiek wieków. Obiecuj żyć po chrześcijańsku, jeśli będziesz żył, umrzyj jak chrześcijanin, gdy Bóg cię powoła do wieczności.

Znowu ucałowała rękę władcy i powolnym krokiem przeszła do przedpokoju. Tam spuściła na twarz czarną zasłonę, uroczyście zeszała ze schodów i wsiadła do karety, pozostawiając po sobie strach i przerażenie.

Król długo nie mógł przyjść do siebie i natarczywie rozpytywał lekarzy.

Chociaż zaprzeczyli, cierń w duszy pozostał.

— Nie chcę — rzekł — by przyszło znowu do takich scen, jak w Metz z księżną. Châteauroux; poproście panią d'Aiguillon, by odwiozła hrabinę Dubarry do Rueil.

Rozkaz ten wywołał istne trzęsienie ziemi. Bordeu usiłował coś klarować, lecz Najjaśniejszy Pan kazał mu milczeć.

Bordeu zastosował się do polecenia dość skrupulatnie, gdyż zdawał sobie sprawę, że jego kolega po fachu może o wszystkim donieść Delfinowi, a nie miał złudzeń co do finału choroby królewskiej.

Zatem wyszedł z sypialni i udał się do pani Dubarry, by w możliwie łagodnych słowach przygotować na cios, jaki ją spotyka.

Hrabina przestraszona ponurym i nieco obraźliwym wyrazem, jaki na jej widok przybierać zaczęły twarze dworaków, zajęła się nie na żarty przygotowaniami do podróży.

Po godzinie już jej w Wersalu nie było.

Księżna d'Aiguillon, serdeczna i wierna przyjaciółka, odwiozła dyzgracjonowaną do zamku Rueil, który przypadł jej w sukcesji po wielkim Richelieu.

Bordeu odwzajemnił się zamknięciem drzwi od sypialni Najjaśniejszego Pana przed rodziną królewską, pod pretekstem możliwości zarażenia. Komnata była jak zamurowana. Wolny dostęp do niej mieli odtąd tylko kapłani i śmierć.

Król tegoż jeszcze dnia przyjął sakramenta święte i wiadomość o tym obiegła cały Paryż, dla którego niełaska faworyty była już wydarzeniem zgoła przestarzałym.

Cały dwór zameldował się Delfinowi, który kazał zamknąć drzwi swego pałacyku i nikogo nie przyjmować.

Ale nazajutrz król czuł się znacznie lepiej i posłał księcia d'Aiguillon do madame Dubarry z zapewnieniem o swej życzliwości.

Dwór natychmiast opuścił pawilon Jego Królewskiej Wysokości i jak jeden mąż popędził do Rueil. Od czasu wygnania Choiseula do Chanteloup nie widziano tam takiego zjazdu karet.

Sprawy państwa chwiała się w tej chwili między dwiema ostatecznościami.

Czy Najjaśniejszy Pan wyzdrowieje i czy hrabina Dubarry będzie się zawsze cieszyć łaską Jego Królewskiej Mości?

Czy też król zemrze, a pani Dubarry jest tylko występna i pogardy godną wszetecznicą?

Oto dlaczego Wersal o godzinie ósmej wieczorem dnia 9 maja 1774 r. był dla tysięcznych rzesz miejscem nadzwyczaj ciekawego i fascynującego widowiska.

Na Placu Broni przed pałacem tłoczno było jak nigdy.

Ludzie cisnęli się do krat zaintrygowani i żądni sensacyjnych wiadomości. Był to stan trzeci Wersalu i Paryża.

Niektórzy z największą, na jaką tylko potrafili się zdobyć, uprzejmością zapytywali gwardzistów o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

Gwardziści nie odpowiadali na zapytania, przechadzali się w milczeniu z rękami założonymi do tyłu.

Powoli tłumy rozeszły się.

Mieszkańcy Paryża powiadali w powozy zwane „pataches”, by spokojnie powrócić do swych domostw. Mieszkańcy Wersalu pewni, że i tak najświeższe wiadomości dotrą do nich we właściwym czasie, również wrócili do domów.

Po mieście krążyły już tylko patrole, które atoli pełniły swą powinność leniwiej niż zwykle, i ów świat olbrzymi, zwany Château Royal, pogrążył się powoli w otchłań nocy i milczenia, podobnie jak świat nieco większy, który go otaczał.

Na rogu ulicy ocienionej drzewami, na ławce kamiennej, pod dość gęstym już daszkiem kasztanowych liści, siedział człowiek mocno posunięty w latach.

Twarz miał zwróconą ku zamkowi, ręce wsparte na lasce, na rękach zaś oparł szlachetne, zamysłone czoło.

Był to starzec przygarbiony i jak się zdaje znękany chorobą, ale źrenice zachowały jeszcze blask młodości, a myśl starca iskrzyła się jaśniej od źrenic.

Zadumany, nie zauważył człowieka, który stał przez jakiś czas przed bramą, wypytywał o coś gwardzistów, aż nasyciwszy ciekawość, przeszedł na ukos plac i zmierzał prosto ku jego ławce.

Młodzieniec miał niskie czoło, wydatne policzki i orli zakrzywiony nos.

Idąc uśmiechał się sarkastycznie, wtórując tym uśmiechem jakimś sobie tylko znanym myślom.

Dopiero o trzy kroki od ławki spostrzegł staruszka i stanąwszy z boku, zaczął uważnie przyglądać się nieznajomemu.

— Zażywasz pan, jak widzę, świeżego powietrza! — rzekł zbliżając się.

Starzec uniósł głowę.

— Ach! — zawołał młody człowiek. — Toż to mój czcigodny mistrz!

— Ach, to ty, mój nowy praktyk?

— Czy pozwolisz mi pan usiąść przy sobie?

— I owszem, młodzieńcze.

I starzec usunął się nieco, by zrobić miejsce przybytemu.

— Zdaje się, że Jego Królewska Mość miewa się nieco lepiej... cieszy mnie to nadzwyczajnie.

I roześmiał się głośno.

— Przez cały tydzień — ciągnął dalej — karety toczyły się z Paryża do Rueil i z Rueil do Wersalu... Hrabina Dubarry ma poślubić króla, gdy on tylko wyzdrowieje.

Starzec i tym razem nic nie odpowiedział.

— Pan wybacz, mistrzu, że mi tak wesoło — rzekł znowu młody człowiek z jakimś nienaturalnym grymasem na twarzy — dobry Francuz, uważasz, kocha swego króla, a nasz miłośnicy pan miewa się lepiej.

— Nie żartuj z takich spraw — odpowiedział łagodnie starzec — śmierć człowieka jest zawsze wielkim nieszczęściem. dla kogoś, śmierć króla bywa często nieszczęściem dla narodu.

— Nawet śmierć Ludwika XV — przerwał młodzieniec z ironią. — Och, mistrzu kochany... i ty, znakomity filozof, podzielasz takie poglądy?... Och, cenię — jak wiesz — siłę i błyskotliwość twoich paradoksów. Ale za ostatni uprzejmie dziękuję.

Starzec potrząsnął głową.

— A przy tym — dodał młodzieniec — po cóż tu myśleć o śmierci. Król ma ospę. Wiemy, co to za choroba. Czuwają nad nim świetni lekarze: Bordeu i La Martiniere... Pójdę o zakład, że nasz Ludwik Ukochany jakoś się wykaraska. Tylko, że tym razem lud Francji nie dusi się już po kościołach i nie odmawia na klęczkach nowenny, jak podczas poprzedniej choroby. Wszystko się zużywa...

— Cicho — rzekł starzec drżącym głosem — cicho, mówisz o człowieku, na którego w tej chwili spada straszny palec Boga...

Młody człowiek, zdziwiony tak osobliwym stylem, spojrzał zezem na sąsiada, który nie spuszczał oka z zamku.

— Masz więc dokładniejsze wiadomości?

— Spójrz! — powiedział starzec, wskazując palcem na jedno z okien pałacu, — Co tam widzisz?

— Światło w oknie... Czy tak?

— Tak... ale jakie światło?

— Świeca w małej latarce.

— O właśnie.

— Więc cóż?

— Czy wiesz, młodzieńcze, co oznacza ten płomyk świecy?

— Nie, mistrzu.

— Oznacza życie króla.

Młody człowiek spojrzał jeszcze uważniej na starca, jakby chciał się przekonać, czy jest przy zdrowych zmysłach.

— Przyjacielu mój, pan de Jussieu — mówił dalej starzec — postawił w oknie tę oto świecę; będzie się paliła tak długo, dopóki król nie umrze.

— A więc jest to sygnał?

— Tak, przyjacielu, sygnał, który w tej chwili pożera oczyma następcę Ludwika XV, ukryty gdzieś za firanką. Tak, ten sygnał, który oznajmi oczekującemu chwilę, od której zaczyna się jego panowanie, ostrzega zarazem biednego, jak ja, filozofa o chwili, w której Bóg zagasi wiek i życie.

— Prawda — szepnął młody człowiek poważniejąc — prawda, mój mistrzu.

— Ludwik XIV — mówił dalej starzec — panował lat siedemdziesiąt trzy. Ileż lat będzie panować Ludwik XV?

— Ach, spójrz — zawołał młody człowiek, wskazując palcem na okno, które nagle okryła ciemność.

— Król umarł! — rzekł starzec, wstając przejęty i drżący. Milczeli przez kilka minut.

Nagle ośmiokonna karetą wybiegła ostrym cwałem z pałacowego dziedzińca. Poprzedzało ją dwóch masztalerzy, trzymających zapalone pochodnie.

W karecie siedzieli: Następca Tronu, Maria Antonina i Elżbieta, siostra zmarłego króla.

Światło pochodni padało złowieszczym blaskiem na ich blade twarze.

Karetą przebiegła o jakieś dziesięć kroków od ich ławki...

— Niech żyje Ludwik XVI! Niech żyje królowa! — zawołał młodzieniec głosem ostrym, jakby znieważał ten nowy majestat, a nie składał hołd.

Delfin skłonił się, królowa ukazała w oknie twarz smutną i surową.

— Kochany panie Rousseau — rzekł młody człowiek — więc pani Dubarry jest już wdową.

— Jutro pójdzie na wygnanie — odpowiedział starzec. — Bądź zdrow, panie Marat...